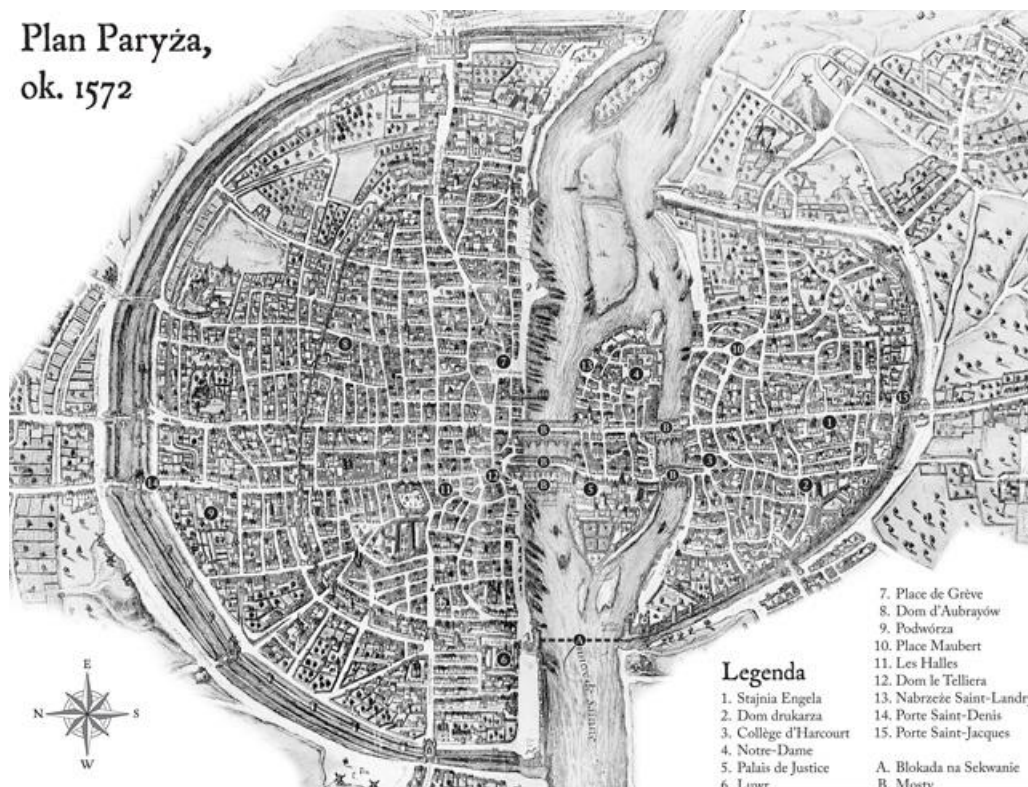


URODZONY
W PIEKLE,
OCHRZCZONY
KRWIĄ!

TIM WILLOCKS
DWANAŚCIORO
Z PARYŻA



Plan Paryża,
ok. 1572



NOTA DO WYDANIA POLSKIEGO

W książce używane są następujące dawne miary francuskie:

stopa (*pied*) = 32,48 cm

krok (*pas*) = 73,25 cm

sążeń (*toise*) = 1,949 m

mila (*lieu de poste*) = 3898 m

funt paryski (*livre de Paris*) = 489,505 g

CZEŚĆ PIERWSZA

TEN PODSZYTY LĘKIEM SEN

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Córki drukarza

Jechał przez kraj wypatroszony wojną i wciąż jeszcze krwawiący, gdzie nieopłacani żołnierze występnych królów nadal czynili swą powinność, gdzie dobroć była szaleństwem, a okrucieństwo – zaletą, gdzie nikt nie ważył się ufać nawet bratu.

Mijał szubieniczne drzewa, na których wrony o czerwonych szponach karmiły się padliną, i dzieci w łachmanach w milczeniu odwzajemniające jego spojrzenie. Mijał wypalone skorupy kościołów, pozbawione dachów i migocące odłamkami witraży rozrzuconymi niczym klejnoty na posadzce prezbiterium. Mijał osady, których jedynymi mieszkańcami były ogryzione szkielety i gdzie w mroku pobłyskiwały tylko żółte wilcze ślepia. Na dalekim wzgórzu płonął stóg siana. Popioły winnic bieleły się w blasku księżyca jak kamienie nagrobne.

Nie spodziewał się, że w tak krótkim czasie pokona tak długą drogę, lecz udało się i oto był u celu podróży. Mury miejskie drżały w oddali w gorącym sierpniowym powietrzu. Ponad nimi unosiła się rdzawa luna, jakby wcale nie były ścianą z cegieł, lecz wylotem gigantycznego komina sięgającego w niezbadane głębiny ziemi.

Takie właśnie pierwsze wrażenie zrobił na nim widok najbardziej katolickiego miasta w całym chrześcijańskim świecie.

Myśl o tym, że nareszcie stanął u celu, przyniosła mu jednak niewielką pociechę. Złe przecucia, które kazały mu tak gnać, bynajmniej nie ustąpiły. Noc spędził przy drodze, lecz chłodnym przedświtem znowu był w siodle, jego przeznaczenie zbudziło się – jak zawsze – jeszcze wcześniej. Czuł, że leży gdzieś tam, za tymi murami, w mieście zwanym Paryżem.

Mattias Tannhäuser dojeżdżał właśnie do bramy Saint-Jacques.

Mury obronne piętrzyły się tu na wysokość trzydziestu stóp; nad nimi wyrastały liczne wieże strażnicze. Tę nad bramą, podobnie jak mur po obu jej stronach, upływ czasu naznaczył zaciekami i ptasim gównem. Gdy na moście zwodzonym poczuł fetor gnijących

odpadków unoszący się nad fosą, oczy zaczęły mu łzawić. Jak przez mgłę albo jak we śnie przyglądał się dwóm rodzinom, które właśnie opuszczały miasto przez ogromne drewniane wrota.

Ujrzawszy czarne stroje tych ludzi, od razu wziął ich za hugenotów. Albo kalwinistów, luteranów czy innych protestantów. Nie udało mu się dotąd znaleźć nazwy, która w pełni opisywałaby postawę takich jak oni. Ich nowa koncepcja życia z Bogiem w sercu ledwie raczkowała, a już poszczególne wyznania skakały sobie do gardeł. Dla Tannhäusera, który zabijał w imię Boga więcej niż jednej religii, nie było to specjalnie zaskakujące.

Hugenoci, także kobiety i dzieci, uginali się pod ciężarem niezliczonych toreb i zawiniątek. Tannhäuser zastanawiał się, jak wiele ze swego dobytku musieli pozostawić w mieście. Minąwszy bramę, dwaj mężczyźni – zapewne bracia – spojrzeli po sobie z wyraźną ulgą. Szczupły chłopiec zadarł głowę, by popatrzeć na jeźdźca. Tannhäuser zmusił się do uśmiechu, a wtedy malec schował twarz w matczynej spódnicy, odsłaniając przy tym truskawkowe znamię na szyi, tuż poniżej zuchwy. Widząc wzrok nieznajomego, matka czym prędzej nakryła je dłonią.

Tannhäuser zjechał na bok, by ułatwić pielgrzymom przejście. Starszy z braci, zdumiony jego uprzejmością, spojrział w górę, lecz zauważywszy krzyż maltański na czarnej lnianej koszuli konnego, natychmiast opuścił głowę i przyspieszył kroku. Rodzina posłusznie podążyła za nim i tylko chłopiec obejrzał się jeszcze i odszukał wzrokiem oczy Tannhäusera. A potem jego twarz rozjaśnił radosny uśmiech, jakiego podróżny nie widział od wielu, wielu dni. Chłopiec potknął się, lecz matka podtrzymała go w porę i razem zeszli z mostu, by ruszyć ku nieznanym niebezpieczeństwom.

Tannhäuser popatrzył za nimi; przypominali mu lęклиwe stadko kaczek. Nie byli zbyt dobrze przygotowani do ryzykownej przecież podróży, ale przynajmniej, jak się wydawało, zdołali umknąć z Paryża.

– Powodzenia.

Nikt mu nie odpowiedział.

Przejechał pod pierwszą broną i znalazł się w bramie pod strażnicą. Minął celnika zbyt zajętego liczeniem monet, by ofiarować przybyszowi coś więcej niż przelotne spojrzenie. W przeciwnym kierunku podążała kolejna grupa tułaczy w czerni. Chwilę później był już za murem i przystanął w jego cieniu. Powietrze było wilgotne i duszące. Otarł dłonią czoło. Podróż z Garonne na północ zajęła mu osiem dni, podczas których wyczerpał niemal ze szczętem siły nie tylko kilku wierzchowców, ale i własne. Miał wrażenie, że nie zdoła

przejechać ani ćwierć mili więcej. Chyba tylko myśl o tym, że to jego pierwsza wizyta w stolicy, pomogła mu wykrzesać trochę energii, by mógł się choć rozejrzeć i poczuć ducha miasta.

Przed sobą miał Grand'rue Saint-Jacques, biegnącą w dół, ku brzegowi Sekwany. Szerokość ulicy nie przekraczała piętnastu stóp, za to każdy jej skrawek tętnił życiem – ludzkim i zwierzęcym. W porównaniu z tą kakofonią rozmów, nawoływań, porykiwania, beczenia i szczekania pole bitwy wydawało się zaciszem i nawet ci z przeklętych, których wieczną karą jest wylizywanie szczyn z czarciego nocnika, nie znieśliby panującego tu smrodu. Tego wszystkiego Tannhäuser się spodziewał, lecz poprzez chaos miejskiej codzienności wyczuwał coś jeszcze, złowrogie napięcie, jakby zbyt wielu przez zbyt długi czas musiało dławić w sobie zbyt wielką furię. Paryżanie byli z natury bojowi, niepokorni i skorzy do nieposłuszeństwa wobec władzy, lecz nawet oni nie mogliby znieść takiego wrzenia przez dłuższy czas. Być może w innych okolicznościach ten stan rzeczy nie niepokoiłby zbyt Mattiasa, lecz przecież nie przemierzył Francji po to, by szukać kłopotów.

Uczył to, by odnaleźć swą żonę Carlę i zabrać ją do domu.

Odkąd uparła się, że musi tu przyjechać, odchodził od zmysłów z niepokojem tym silniejszego, że była już w zaawansowanej ciąży. To miało być ich drugie dziecko i, z Bożą pomocą, pierwsze, które przeżyje. Mimo wszystko nie był zbyt zdziwiony jej postawą. Odkąd znał Carlę, zawsze przejawiała niezłomną, żelazną wręcz wolę, a gdy na drodze jej planów pojawiały się przeszkody, budziły w niej jedynie pragnienie walki i zwycięstwa. Między innymi za to ją kochał, choć był to także mur, o który wielokrotnie już bił głową. A jeśli dodać do tego fakt – jak to uczynił Tannhäuser, idąc za dobrą radą – że ciąża jest dla kobiety stanem tymczasowego obłąkania, podróż Carli do Paryża, drogami, których stan nie uległ poprawie od upadku cesarstwa rzymskiego, mogła się wydawać sprawą niemal zwyczajną.

Niewiele kobiet potrafi oprzeć się mocy zaproszenia na wesele, zwłaszcza gdy chodzi o połączenie dwu rodzin królewskich, wszem i wobec zapowiadane jako „epokowy związek”.

Dwie młodziutkie prostytutki o pobielonych twarzach, wysmarowane cynobrem na policzkach i ustach, podbiegły do Mattiasa przez błoto. Dziewczynki były bliźniaczkami, co bez wątplenia miało znaczący wpływ na cenę ich usług. Dziecięca radość, którą powinny lśnić ich oczy, zdążyła już zgasnąć i miała nigdy nie powrócić. Spoglądając na potencjalnego klienta, jak na komendę uśmiechnęły się lubieżnie w dobrze wyćwiczony sposób.

Czuając, jak złość ściska mu żołądek, Tannhäuser rozejrzał się w poszukiwaniu ich luja. Młodzian o tępej facjacie w lot przechwycił jego spojrzenie i jeszcze szybciej uświadomił sobie, że czeka go co najmniej ciężkie lanie. Świsnął przenikliwie, a wtedy dziewczęta zawróciły w miejscu i pobięły ku niemu. Po chwili zniknęły w tłumie, by dać się zgwałcić innemu klientowi.

Tannhäuser popędził konia, zagłębiając się w miejską cizbę.

Jego znajomość stołecznej topografii była ledwie szczątkowa i opierała się na opisach zawartych w listach od Orlandu, jego pasierba, który studiował matematykę i astronomię w Collège d'Harcourt. Tę południową część miasta, na lewym brzegu rzeki, nazywano Uniwersytetem. Wyspa na Sekwanie była znana jako Île de la Cité. Prawy brzeg zaś zwano po prostu Ville. Poza tym wiedział jedynie tyle, że trafił do największego miasta świata, ogromnego i przeludnionego mrowiska, złożonego z nieznanych ulic i bezimiennych zaułków, pałaców, karczm, kościołów i burdeli, targów, rzeźni i warsztatów oraz domostw zbyt nędznych, by poświęcać im uwagę.

W podróży korzystał z sieci oferującej konie pocztowe na zmianę, której funkcjonowanie przywrócono po wojnach. Ostatnia stajnia mieściła się ponoć w bocznej uliczce, na zachód od rue Saint-Jacques. Znalazł ją – Écurie d'Engel – dość łatwo, choć musiał po drodze odmówić jeszcze kilku natrętnym propozycjom kreatur z marginesu. W Paryżu wegetowało więcej kurw, żebraków i złodziei niż w pozostałych miastach Francji razem wziętych. Najemnych zabójców było tu tak dużo, że – podobnie jak złotnicy czy rękawicznicy – założyli własny cech. Bandy przestępców przeżywały rozkwit, bo sprzyjali im rozmaici *commissaires* i *sergents*. Na przeciwległym biegunie tego mikroświata przedstawiciele Korony i wielcy arystokraci – jeśli akurat nie byli zajęci knuciem przeciw sobie nawzajem oraz prowokowaniem bezsensownych wojen – poza niezliczonymi rozkoszami cielesnymi upodobali sobie rabowanie poddanych za pomocą coraz to bardziej wymyślnych podatków, co Tannhäuser uważał w głębi duszy za najohydniejszą z wielu ich zbrodni.

Po fetorze otwartych rynsztoków ulicy woń stajni przyniosła ulgę jego nosowi i oczom. Usłyszał odgłos chłostania i wiedział, że to nie zwierzę jest ofiarą, była ona bowiem zbyt cicha, za to z ust chłoszczącego raz po raz dobiegały pomruki zadowolenia. Tannhäuser zeskoczył z konia w podwórzu i podążył za odgłosami do stajennego boksu, gdzie półnagi osiłek okładał wychudzonego chłopaka ostrym końcem ogłowia. Okryty zakrwawionymi szmatami niezgrabny wyrostek w milczeniu wił się pod ciosami i kulił na wiązce brudnej słomy. Nie był to piękny widok.

Gdy stajenny po raz kolejny uniósł rękę, Tannhäuser pochwycił skórzane pasy uprząży, szybkim ruchem owinał je wokół jego szyi i szarpnął. Osilek zaczął się dusić własną pięścią, a chwilę później runął na ziemię, gdy but przybysza przydepnął jego ścięgno Achillesa, a kolano boleśnie wbiło się w plecy. Wylądował twarzą na bruku, przygnieciony ciężarem ciała Tannhäusera. Wąską kamienną rynną przecinającą boksy płynęła struga gorącego moczu wystraszonej klaczy. Wciskając w nią nos stajennego i czekając, aż ten spróbuje zaczerpnąć tchu, Tannhäuser zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie zawarł właśnie znajomości z Engelem, właścicielem stajni. Zaczekał, aż osilek przestanie się rzucać i skomleć, i dopiero wtedy zwolnił uchwyt.

Wychłostany chłopak zdążył tymczasem podnieść się o własnych siłach i można było stwierdzić, że natura nie poskąpiła mu słusznego wzrostu. Zajęcza wargą odsłaniała dziąsło niemal do lewego nozdrza. Właściwie trudno było odgadnąć jego wiek – mógł mieć dziesięć lat albo więcej. O sile charakteru świadczyło to, że na jego policzkach nie pojawiły się łzy. Przypatrując się jego dziwnie niekształtnej szczęce, Tannhäuser zastanawiał się, czy nie ma przypadkiem do czynienia z idiotą.

– Wyczyść klacz.

Chłopak skinął głową i zniknął.

Tannhäuser kopniakiem w pierś usunął z drogi osiłka, a gdy ten odpełził w kąt, zabrał się do zdejmowania siodła. Dopiero gdy pojawił się chłopak ze zgrzeblem, Engel podniósł się z trudem i wlokąc za sobą jedną nogę oraz przyciskając rękę do obolałych żeber, chyłkiem podążył w stronę ulicy. Obserwując chłopaka, który odprowadzał wzrokiem swego chlebowawcę, Mattias zastanawiał się, czy aby na pewno wyświadczył mu przysługę. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa mógł się spodziewać jeszcze bardziej brutalnego lania. Tannhäuser spojrzał na swój bagaż. Nie miał ochoty taszczyć go na plecach przez zatłoczone ulice, zwłaszcza w takim skwarze.

– Dobrze znasz miasto, chłopcze?

Nie zrozumiał ani słowa z bełkotliwej odpowiedzi, za to w osobliwym, urywanym śmiechu, nagłym przygarbieniu ramion i dziwnych gestach wielkich jak szpadle dłoni wyczytał niemały entuzjizm.

– Jak ci na imię?

Tym razem zaryzykował i spróbował przetłumaczyć na ludzką mowę zduszony, nosowy dźwięk, który dotarł do jego uszu.

– Grégoire?

Znowu ten śmiech. I energiczne skinienie głową. Tym razem i Tannhäuser się roześmiał.

– Zatem, Grégoire, uczynię cię moim sługą. I przewodnikiem, mam nadzieję.

Chłopak padł na kolana, złożył dłonie jak do modlitwy i wybełkotał coś, co mogło być błogosławieństwem. Możliwe, że nie był najlepszym oratorem świata, ale gdy Tannhäuser chwycił go za ramiona i postawił na nogi, dojrzał w jego oczach błysk inteligencji.

– Zajmij się koniem, Grégoire, a potem znajdziemy ci porządniejsze odzienie.

Ubrany w białą batystową koszulę Engela Grégoire całkiem nieźle radził sobie z dźwiganiem dwóch wielkich sakw zdjętych z siodła, rolki płóciennego śpiwora, okazałego bukłaka oraz pary olster z pistoletami, z których Tannhäuser wydmuchał proch, by chłopak nie odstrzelił sobie stopy. Jego pan niósł zaś w zgięciu ramienia strzelbę z zamkiem kołowym, a u pasa półtoraręczny miecz. Gdy zbliżali się do Grand'rue Saint-Jacques, na horyzoncie znowu pojawił się Engel.

Jego nos i wargi przypominały zgniłe gruszki, a jedno oko zniknęło pod opuchlizną. Towarzyszyli mu dwaj *sergents à verge*, uzbrojeni w krótkie łuki. Tannhäuser był ciekaw, ile kosztowało Engela ich wsparcie, bo gdy ujrzeli nadchodzącą z naprzeciwka, barczystą i dobrze uzbrojoną postać, zwolnili, najwyraźniej nabrawszy przekonania, że zbyt mało.

– Bogu niech będą dzięki, że go aresztowaliście – zawołał Mattias.

Sergents przystanęli.

– Przyłapałem go, gdy dobierał się do mojego konia.

Szczęka Engela opadła, a z całkiem świeżych, efektownych przerw w uzębieniu popłynęła krew.

– Na jego obronę dodam, że była to klacz, ale widzi mi się, że kara za to będzie nie mniej sroga.

Engel zaczerpnął powietrza, by zaprotestować, ale Tannhäuser nie czekał: huknął go kolbą strzelby prosto w czoło. Właściciel stajni upadł tak, jakby jego stopy były przybite do ziemi, a impet złagodziło dopiero lądowanie jego głowy w kupie łajna. Mattias uśmiechnął się do strażników, którzy zdążyli tymczasem cofnąć się o krok i chwycić za miecze.

– Mój sługa może zeznawać, potwierdzi jego przewiny. Nieprawdaż, Grégoire?

Grégoire wybełkotał coś niezrozumiale.

– Mogę czymś jeszcze wam służyć, panowie?

– Prawo zabrania noszenia broni w mieście.

– Wasze prawa nie dotyczą rycerzy świętego Jana.

Sergents spojrzeli po sobie niepewnie.

– Co więcej, jak przekonał się złodziej, którego ostatnio spotkałem, ta pukawka ustanawia własne prawa.

Po trosze, żeby się zrehabilitować, a po trosze z satysfakcją właściwą koneserom ludzkich nieszczęść, jeden ze strażników uśmiechnął się krzywo, spoglądając na nieszczęsnego Engela.

– Bez obaw, panie. Dopilnujemy, żeby ten sodomita dostał, na co zasłużył.

Zostawiwszy Engela w rękach strażników, którzy właśnie przetrząsali jego kieszenie, Tannhäuser ruszył znowu w stronę Grand'rue. Na końcu zaułka przystanął. Gdzieś tam, w tym ludzkim roju, była brzemienna Carla. Ale gdzie? Nadzieję na jej odnalezienie opierał na wierze w to, że jej syn, Orlandu, jest znacznie lepiej poinformowany.

– Grégoire, muszę się dostać do Collège d'Harcourt przy rue de la Harpe.

Chłopak odpowiedział po swojemu i natychmiast zagłębił się w tłum.

Tannhäuser podążył za nim. Szerokim łukiem ominęli dwóch nieszczęśników o nieprzytomnym spojrzeniu, skutych łańcuchem i bez wytchnienia szuflujących łajno z ulicy na wóz. W bocznej uliczce spostrzegli księdza posuwającego ładacznice; oboje mieli suknie zadarte powyżej pasa. Z Saint-Jacques skręcili na zachód, w tętniący życiem labirynt między domami piętrzącymi się tak wysoko, że ich dachy niemal się stykały nad wąskimi uliczkami. Minęło sporo czasu, nim dotarli do dzielnicy zamieszkannej głównie przez studentów i, naturalną koleją rzeczy, niemal równie liczne kurwy. Tannhäuser wychwycił w zgielku głosy przemawiające w kilku językach. Jeśli ktokolwiek mocował się tu z zagadnieniami natury metafizycznej, nie dał się usłyszeć; o wiele bardziej rzucało się w oczy dwoje młodych ludzi mocujących się ze sobą w błocie ku uciesze pijanych przyjaciół posługujących się angielszczyzną.

Widok surowych, dostojnych murów Collège d'Harcourt przywrócił Tannhäuserowi odrobinę wiary w powagę akademickiego życia. Hol był praktycznie pusty; tylko we wnęce otoczonej kontuarem siedział na wysokim stołku sędziwy pedel. Można było odnieść wrażenie, że nie ruszał się z tego miejsca od lat. Nosił krótką perukę z końskiego włosia, co najmniej o numer za małą i raczej marnie ukrywającą chorobę, która trawiła jego łysy czerep. Na resztkach włosów tuż nad uszami można było dostrzec kolonie szarych gnid. Wyłupiaste oczy, wybijające się dumnie nad wystającymi kośćmi policzkowymi, poruszały się miarowo pod zaciśniętymi powiekami pokrytymi siecią niebieskawych żyłek. Tannhäuser zabębnił palcami o kontuar.

Pedel ocknął się w całkowitym bezruchu niczym jaszczurka. Miał zdumiewająco błękitne oczy, jakby w tym prastarym truchle bytował duch zupełnie innej, zgoła niebiańskiej istoty. Bulwiaste ślepia zlustrowały odzienie Tannhäusera, biały krzyż na jego piersi oraz broń spoczywającą w zgięciu ręki, po czym spojrzały na Grégoire'a, obładowanego bagażami i ociekającego potem. Wreszcie powróciły do Mattiasa i dostrzegły w nim wszystko to, kim był: nisko urodzonego zabójcę z dalekiej krainy, do którego uśmiechnęła się Fortuna. Pedel gardził takimi jak on, więc nie raczył się odezwać.

– Szukam Orlandu Ludovici.

– Semestr dawno się skończył, panie – odpowiedział pedel jakby z satysfakcją. – O tej porze roku mieszka tu niewielu studentów.

– Ale znasz Orlandu Ludovici, prawda? Czy jest wśród tych niewielu?

– Maltańczyk nie sypia tu, oho, co najmniej od świętego Michała.

– Wiesz może, dlaczego się wyniósł?

– Panicz Ludovici nie zwierza mi się ze swych myśli, nie znam więc pobudek, które nim kierują.

– A może wiesz, gdzie go znajde? Dokąd się udał?

– Obawiam się, że nie wiem, panie.

Wydawało się, że własna niewiedza również sprawia mu przyjemność.

Ostrzegano Tannhäusera, że wszelkie kontakty z paryskimi urzędnikami, choćby najniższej rangi, wymagać będą niezmiernych pokładów cierpliwości.

– Ale wciąż pozostaje studentem tego kolegium?

– O ile mi wiadomo, panie.

– Kiedy widziałeś go po raz ostatni?

– Nie pamiętam, panie.

– Tydzień temu? Miesiąc?

– Nie pamiętam.

– Pamiętasz, że wyprowadził się rok temu, ale nie pamiętasz, kiedy go ostatnio widziałeś?

– W moim wieku, panie, pamięć staje się zawodna.

Tannhäuser pisał do pasierba cztery miesiące wcześniej, zanim wyruszył w ową podróż, która tak długo zatrzymała go w Vélez de la Gomera i jeszcze dalszych stronach. Wskazał na gablotę z przegródkami oznaczonymi literami, wiszącą w głębi wnęki. Nad literą „L” dostrzegł jakieś papiery. Oparł strzelbę o kontuar.

– Są dla niego jakie wiadomości, listy?

- Nie, panie.
- Będę wdzięczny, jeśli się upewnisz.
- Ależ jestem pewny, panie.

Tannhäuser uniósł część blatu zamocowaną na zawiasach i podszedł do gabloty.

- Nie wolno wchodzić za kontuar, panie.

Tannhäuser przewertował papiery w przegródce z literą „L”. Listów do Orlandu rzeczywiście nie było. Przegródka z literą „O” była pusta. Odwrócił się.

W oczach starca pojawił się błysk zadowolenia, a choć jego usta nawet nie drgnęły, w samym ułożeniu warg widać było szczerą pogardę. Tannhäuser nie mógł się oprzeć przykremu wrażeniu, że pedel spodziewał się jego wizyty, że czekał na niego i znał jego tożsamość.

- Ty wiesz, kim jestem.
- Niewątpliwie mężem wielce szlachetnego rodu.
- Orlandu musiał tu mieć przyjaciół, nauczycieli.
- Z pewnością, panie, lecz moja praca nie polega na tym, by się w tych sprawach orientować.

- Kogo jeszcze mógłbym zapytać?

- W sobotę, panie?

- Zatem mam uznać, że Orlandu zniknął z kolegium?

– Mamy w Paryżu dziesięć tysięcy studentów, panie, przybyłych z całej Europy. Kto wie, co się lęgnie w głowach tych młodych ludzi? Zwłaszcza w czasach tak niespokojnych.

- Orlandu jest moim pasierbem. Wiele dla mnie znaczy.

Żelazną obojętność pedla wykuły długie lata obcowania z hordą nieznośnych młodzików, z których każdy uważał się za pępek świata. Tannhäuser pomyślał, że może wzmianka o dworze nieco ją zmiękczy.

– Możliwe, że Orlandu dołączył do matki, pani Carli, hrabiny de la Penautier, która była gościem na królewskim weselu. Nie wiesz, gdzie mógłbym ją znaleźć?

– Skoro ty sam, panie, nie wiesz, gdzie jest twoja żona, to skądże ja miałbym to wiedzieć?

Tannhäuser postanowił zignorować ból pod czaszką i po raz ostatni zmienił strategię.

– Jeżeli udzielisz mi jakichkolwiek informacji, które pomogą mi odnaleźć Orlandu albo panią Carlę, okażę wdzięczność w złocie. Powiedzmy, że darowizną na rzecz kolegium.

Pedel uniósł bezwłose brwi na powitanie łatwego zwycięstwa.

- Przekupstwo? Doprawdy niesprawiedliwie mnie oceniasz, panie.

Tannhäuser zaproponował złoto z należytą delikatnością; obraźliwa była wyłącznie odpowiedź starca, który zresztą doskonale o tym wiedział. Porzuciwszy papiery, Mattias stanął przed nim i przycisnął palec wskazujący do jego piersi. Pod brudną kapotą wyczuł nieprzyjemnie żylaste ciało, w którym zostało niewiele życia. Pchnięty lekko pedel spadł ze stołka na posadzkę, z szeroko rozrzuconymi kończynami. Towarzyszący upadkowi jęk był bodaj pierwszym szczerym dźwiękiem, który wydał tego dnia. Tannhäuser nie przejął się tym, zajęty poszukiwaniem papieru i atramentu w schowku pod kontuarem. W kubku z piórami znalazł jedno, którego końcówka wyglądała jeszcze na zdatną do użytku. Niewprawną ręką nakreślił kilka słów po włosku.

Najdroższy Orlandu, jestem w Paryżu. Jeszcze nie znalazłem noclegu. Zostaw wiadomość tu, w kolegium. Powiedz, gdzie mogę znaleźć Ciebie i Twoją matkę.

Znieruchomiał. Nie bardzo wierzył ani w to, że Orlandu w najbliższym czasie przeczyta tę wiadomość, ani w to, że pedel nie „zgubi” odpowiedzi. Przypomniał sobie o karczmie, którą widział naprzeciwko kolegium, na rogu ulicy. Po namyśle dopisał:

Kopię odpowiedzi zostaw w Czerwonym Wole. Muszę jak najszybciej odnaleźć Carłę.

Przez chwilę szukał w pamięci daty. Do świętego Bartłomieja Apostoła został jeden dzień. Podpisał się i zanotował: *Popołudnie, sobota 23 sierpnia 1572*. Potrząsając kartką, by atrament szybciej wysechł, spojrzął na Grégoire’a, który przyglądał się całej scenie z szeroko otwartymi oczami, rozdziawionymi ustami i ciekącym nosem.

– Karczmy – rzekł Tannhäuser. – Poszukamy w studenckich karczmach.

Dwukrotnie złożył list, po czym z jednej strony napisał „LUDOVICI”, a z drugiej „MATTIAS”. Litery identyfikujące przegródki w gablocie wymalowano na małych drewnianych tabliczkach przybitych pojedynczymi gwoździami. Tannhäuser oderwał „L” i zaraz wetknął gwoździć na swoje miejsce, przypinając list w taki sposób, by nazwisko pasierba można było odczytać zza kontuaru. Teraz dopiero przystanął nad pedlem i kopnął go w żebra.

– Wstawaj.

Starzec, na pozór tak bliski śmierci, pozbierał się ze zwinnością, której pozazdrościłby mu niejeden młodzieniaszek. W istocie zresztą bez peruki i z twarzą wykrzywioną wściekłością wyglądał raczej na pięćdziesięcio- niż siedemdziesięciolatka. Skóra na jego głowie ginęła pod masą odłazących strupów. Tannhäuser cofnął się o krok, by czegoś nie złapać. Sięgnąwszy po broń, ruchem głowy wskazał na gablotę.

– Dopilnuj, żeby panicz Ludovici dostał wiadomość.

Słońce prażyło ulicę jeszcze okrutniej, tłum był jeszcze gęstszy, a fetor jeszcze bardziej nieznośny niż wcześniej. Tannhäuser przeczesał brodę palcami. Pot ściekał mu po skroniach, a oczy swędziały. Potrzebował łaźni, jeśli Paryż znał taki wynalazek. Chciał też znowu znaleźć się w siodle, by oderwać się wreszcie od tej mazi, która oblepiała jego buty. Grégoire wskazał na długi rząd zatłoczonych chlewów, z których dobiegał gwar.

– Studenckie karczmy.

W pierwszych trzech piwiarniach nie znaleźli niczego poza głośnymi swarami i morzem trunków. W każdej właściciel donośnym rykiem przebijał się przez zgiełk, lecz nikt nie odpowiadał na imię Orlandu. Gdy ta sama taktyka zawiodła w czwartym lokalu, Czerwonym Wole, Tannhäuser zasiadł przy stoliku w pobliżu wyjścia. Zamówił wino, placek z gęsiną na zimno i dwie pieczone pulardy. W rozmowach współbiesiadników dało się wyczuć zdenerwowanie, a może nawet lęk, jakby po mieście rozeszły się właśnie nie najlepsze wieści. Mattias starał się wychwycić ich sens, ale był na to zbyt znużony, a w dodatku nie przywykł jeszcze do tutejszego akcentu.

Dotarli do niego tylko wzmianki o królowej, Katarzynie Medycejskiej, o jej synu, królu Karolu, i o jego bracie, Henryku księciu d'Anjou, a także o księciu Gwizjuszu, katolickim obrońcy Paryża. Znacznie częściej, niż sobie tego życzył, słyszał też nazwisko Gasparda de Coligny'ego, hugenockiego demagoga i wielkiego admirała Francji. To ten człowiek głodził stolicę w sześćdziesiątym siódmym; to jego niemieccy najemnicy złupili wielką część kraju; teraz zaś, jak plotkowano, łaknąć miał wojny z Hiszpanią w Niderlandach. Ta sama banda imbecyli i łajdaków po trzykroć rzuciła Francję w groźbę wojny domowej.

Tannhäuser już nie mieszał się do polityki, a nawet się nią nie interesował, odkąd nabrał przekonania, że cokolwiek uczyni, nie zmieni biegu tych spraw. Ważni i możni niezmiennie trwali w przekonaniu o tym, iż są niezastąpieni, koła historii zaś toczyły się siłą ich najprymitywniejszych emocji. Władcy Francji nie byli, rzecz oczywista, ani bardziej zepsuci, ani bardziej niekompetentni niż monarchowie i urzędnicy innych państw, ale jako że właśnie ten kraj Mattias ukochał, rozpaczał nad ich zbrodniami. Rozchmurzył się nieco, gdy stanęły przed nim dzban wina oraz talerz z plackiem.

Dziewczyna, która im usługiwała, nie była pewna, czy Grégoire ma wziąć udział w posiłku. Gdy Tannhäuser dał jej znak, że tak, chłopak zdziwił się znacznie bardziej niż ona. Wydawało się, że nie jadł takich specjałów, odkąd matka odstawiła go od piersi, jeśli w ogóle zaznał kiedykolwiek tej przyjemności. Tannhäuser jednym kaprysem zmienił na zawsze jego przeznaczenie – może dlatego, że gdy sam był dzieckiem, obcy człowiek wiedziony impulsem zafundował mu podobną metamorfozę. Mógł naturalnie wybrać kogoś ulepionego z

lepszego gliny, kto służąc, dodałby mu prestiżu, lecz jego serce buntowało się przeciwko tej myśli. Postawił na tego chłopca i nie zamierzał go zawieść.

Grégoire eksplodował nagle gwałtownym kaszlem. Gdy jego twarz nabrała buraczanej barwy i lada moment mogła stać się sina, Tannhäuser podniósł się z ławy i otwartą dłonią huknął go między łopatki. Kawałki placka rozsypały się po stole, a chłopak nareszcie złapał oddech. Smarknął potężnie, a wtedy kolejna porcja okruchów wystrzeliła z jego nozdrzy.

– Bierz małe kawałki i żuj dwanaście razy. Umiesz liczyć do dwunastu?

– Umiem do pięćdziesięciu.

– Jesteś zatem człowiekiem nieprzeciętnym, ale do dwunastu wystarczy.

Grégoire zajął się przeżuwaniami, lecz spojrzawszy gdzieś ponad ramieniem Tannhäusera, znowu poczerwieniał gwałtownie, a zaraz potem wbił wzrok we własny talerz, wyraźnie zawstydzony. Mattias odwrócił się.

Przy sąsiednim stoliku dwaj żacy stroili głupie miny, próbując naśladować grymasy i bełkotliwą mowę młodocianego idioty. Towarzyszyły im dwie nastoletnie dziewczyny, na których popisy studentów nie robiły żadnego wrażenia. Tannhäuser wytarł usta wierzchem dłoni i spojrzał na nich w milczeniu. Zapewne nie żalowali sobie wina, nawet bowiem ten prosty gest spotęgował ich wesołość.

– Jeżeli bawi was nieszczęście, mogę wam dać mnóstwo powodów do radości.

Znowu zachichotali, tym razem bardziej z niepokoju niż czystej bezczelności, więc postanowił ich nauczyć, że człowiek ma prawo zjeść w spokoju placek, nie wysłuchując drwin ze swego sługi. Zanim powstał, trzymał już jednego z nich za gardło. Drugi w panice poderwał się z ławy, lecz Tannhäuser zdążył pochwycić go za czuprynę. Pozwolił, by dobrze mu się przyjrzeni, wijąc się w jego żelaznym uścisku, a potem wywlókł za drzwi, na ulicę.

Zaciągnął ich nad otwarty rynsztok, w którym sterty odchodów piętrzyły się pośrodku leniwego nurtu równie nieapetycznej cieczy. Huknęły zderzające się czaszki i dwa młode ciała runęły wprost do kanału.

Tannhäuser ruszył w stronę karczmy. W drzwiach stała wyższa z dziewcząt. Choć gniewnie zaciskała pięści, zauważył na obu jej dłoniach ślady inkaustu. Bojowo nastawiona dumnie uniosła podbródek.

– Dlaczegoś to uczynił, panie?

Jej oczy, choć ciemne, błyszczały dziko; kruczoczarne włosy miała krótko przycięte, jak chłopak. Była chuda; mogła mieć trzynaście lat. Może brakło jej urody, lecz z pewnością

nie ducha, co wedle Mattiasowej rachuby liczyło się znacznie bardziej. Próżno było szukać śladów różu na jej twarzy, za to wściekłość przydała jej policzkom naturalnej czerwieni.

Tannhäuser uprzejmie skinął głową.

– Dobrze im zrobi lekcja manier.

– Manier? – W tonie jej głosu dało się wyczuć, że to jego manierom brakuje nieco do doskonałości.

– Zapominasz, panienko, że dałem im szansę na przeprosiny.

– Owszem, byli okrutni wobec tego chłopaka, ale uderzyłeś na nich, panie, zanim zdążyli ci odpowiedzieć.

– Wybacz, lecz inaczej zapamiętałem tę chwilę.

Spojrzała na niego ze złością, ani myśląc ustąpić z drogi. Tannhäuser obejrzał się przez ramię. Studenci właśnie wypełzali na czworaka z rynsztoku, próbując oszacować – nie ukrywajmy: katastrofalny – stan swych ubrań. Wreszcie spostrzegli, że są obserwowani. Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na dziewczynę, dali drapak.

– Widzisz? Nic im się nie stało, muszą tylko wymoczyć się w rzece – powiedział Tannhäuser, odwracając się ku niej.

Nie wyglądała na udobruchaną.

– Pozwolę sobie zauważyć – ciągnął – że porzucenie cię w towarzystwie brutala to plama na ich rycerskim honorze.

– Nie jestem twoim towarzystwem.

– Wobec tego pozwól, że poproszę cię do naszego stołu. Jestem Mattias Tannhäuser, hrabia de la Penautier, Kawaler Łaski Magistralnej Zakonu Świętego Jana.

Nie odpowiedziała, ale przynajmniej nie zaciskała już pięści.

– Dopiero co przybyłem do tego miasta, zresztą pierwszy raz w życiu. Tymczasem żaden z jego mieszkańców nie przywitał mnie serdecznie.

Skrzyżowała ręce na piersi.

– Wcale się nie dziwię.

Tannhäuser pochylił głowę, doceniając ripostę.

– Tak czy owak, przepraszam, jeśli cię wystraszyłem.

Zacisnęła usta, jakby była zła nie tylko na niego, ale i na siebie. Po chwili odwróciła głowę i ustąpiła z drogi. Tannhäuser uklonił się raz jeszcze i wszedł do karczmy.

Na stole pojawił się wielki półmisek z pieczonym drobiem. Tannhäuser podzielił pulardy na porcje i dał znak swemu słudze. Grégoire odwrócił się tylko na moment, by

wydmuchnąć z nosa ziarno zielonego groszku, po czym zabrał się do pałaszowania mięsa. Nakładając porcję dla siebie, Tannhäuser zastanawiał się nad kolejnym krokiem.

Przybył tu – choć nie była to bezpośrednia przyczyna – z powodu ślubu królewskiej siostry, Małgorzaty de Valois, z jej kuzynem Henrykiem Burbonem, księciem Nawarry. Uroczystość już się odbyła, w poniedziałek. Małgorzata była katoliczką, córką Katarzyny Medycejskiej. Katarzyna zaś była Włoszką – a tym pomiotem Francuzi gardzili jak żadnym innym – oraz, nawet w ocenie swych stronników, szczęśliwą posiadaczką diabelskiej mocy. Rządziła krajem od śmierci męża, to jest od 1559 roku, a jako że Karol IX, mężczyzna już dwudziestodwuletni, wciąż pozostawał tylko i aż „potwornym dzieckiem”, wbrew jego marzeniom wciąż twardo dzierżyła władzę.

Zdaniem wielu to właśnie jej polityka tolerancji wobec hugenotów wywołała trzy wojny domowe. Małżeństwo Małgorzaty z protestantem Henrykiem – nadmienimy, że żadne z nich nie miało jeszcze dwudziestu lat – było ostatnim wysiłkiem Katarzyny na rzecz utrzymania kruchego rozejmu między możnowładcami poszczególnych prowincji. Związek ten, najdelikatniej mówiąc, był raczej niepopularny; nie budził entuzjazmu nawet w nowożeńcach. Większość hugenockiej szlachty oraz paryskich katolików uważała go wręcz za wybryk natury.

Tannhäuser zrozumiał to dobrze, podróżując na północ.

Tydzień, który nastąpił po królewskim weselu, wypełniły w stolicy niezliczone bale i uczty. Z listu, który czekał na Tannhäusera powracającego z morza, wynikało, że Carla została zaproszona „przez królową” do Luwru, gdzie swym występem miała uświetnić najważniejsze z wydarzeń towarzyskich – uroczystą galę w piątkowy wieczór, 22 sierpnia. Czyli ostatniej nocy.

O tym, że jego żona jest wirtuozką gry na violi da gamba, Tannhäuser wiedział od zawsze; oczarowała go swoją muzyką, zanim się zobaczyli. Zaskoczyło go natomiast to, że jej sława sięgnęła już tak daleko. Carla zapewniła go w liście, że będzie bezpieczna w drodze do Paryża, bo wysłano po nią zbrojną eskortę. Chronić ją miał także bodaj jedyny człowiek, któremu Mattias nie sprostałby w walce: Serb i były janczar, Altan Savas. Nie podała za to żadnych szczegółów co do swego zakwaterowania, bo sama ich nie знаła. Zamierzała zaraz po przybyciu do stolicy skontaktować się z Orlandu. Teraz, gdy szanse na rychłe odnalezienie jej syna były nader marne, Tannhäuser miał już tylko jeden punkt zaczepienia.

– Luwr – powiedział, spoglądając na Grégoire’a.

Chłopak pokiwał głową i uśmiechnął się. Na widok jego dziąseł Mattias poczuł przemożne pragnienie spojrzenia w zupełnie innym kierunku, ale się opanował.

Perspektywa wizyty w Luwrze bynajmniej nie budziła w nim zachwytu. Wiedział, że może się spodziewać długiej serii spotkań z wirtuozami w dziedzinie mnożenia trudności, zanim dotrze do kogoś, kto wskaże mu drogę do Carli.

Dom królewski, Maison du Roi, był bowiem dworem – czy też tworem – tyleż wielkim, ile pasożytniczym w swej naturze. Tysiące funkcjonariuszy rozmaitych szczebli współzawodniczyły z sobą w rabowaniu skarbu państwa, ogarnięte istnym amokiem ekstrawagancji i korupcji. Największym z departamentów były Bouche du Roi, królewskie usta. Drugie miejsce należało do Gabinetu; ponoć król nie mógł nawet włożyć koszuli pod nieobecność co najmniej tuzina urzędników, z których większość stanowili szlachcice pobierający z państwowej kasy gigantyczne pensje. Nawet królewski stolec Jego Wysokości – którego wydaleni również towarzyszyło niemałe zgromadzenie wysokich rangą funkcjonariuszy – badano nader skrupulatnie, choć Tannhäuser nie potrafił odgadnąć, jakież to wonne mądrości mogły się w nim kryć. Nie sądził, by przed balem Katarzyna Medycejska kiedykolwiek słyszała o Carli, ale ktoś z dworu musiał umieścić jej nazwisko na liście, a następnie zorganizować dla niej eskortę i godny nocleg.

Machnął ręką, jakby chciał się opędzić od zniechęcenia, a potem pociągnął zdrowy łyk wina.

Przypomnił sobie, że Carla wspominała o człowieku z Menus-Plaisirs du Roi, departamentu królewskich „pomniejszych przyjemności”. O dziwo, w urzędzie tym nie byli zatrudnieni specjaliści od królewskiego stolca, ale od organizowania niezliczonych dworskich rozrywek. Tylko jak on się nazywał? List od Carli był schowany w sakwie zdjętej z siodła.

Tannhäuser drgnął, gdy przy stole pojawiły się nagle dwie dziewczyny. Jasnowłosa wydawała się potulniejsza od tej, z którą się wcześniej spierał. Wstał niezgrabnie i skłonił się na powitanie.

– Przyjmujemy twoje zaproszenie, panie.

– Jestem zachwycony – odparł Tannhäuser, zastanawiając się usilnie, po cóż, u licha, ściągnął na siebie ten kłopot. – Grégoire – dodał, widząc, że chłopak nadal siedzi i z wilczym apetytem pałaszuje drób – mężczyzna o dobrych manierach wstaje i się kłania, gdy zbliża się dama.

Grégoire zerwał się na równe nogi i skłonił z takim entuzjazmem, że rąbnął czołem w stół. Dziewczęta wybuchły śmiechem, a sługa natychmiast spojrział na Tannhäusera z szerokim, acz krzywym uśmiechem, jakby chciał powstrzymać swego pana przed ukaraniem ich wesołości kolejnym aktem przemocy. Widok jego dziąseł był równie odrażający jak poprzednim razem. Tannhäuser tylko się uśmiechnął.

– To moja starsza siostra, Flore Malan. A ja jestem Pascale Malan.

– Bardzo mi miło. Jedźcie i się weselcie.

Dziewczęta zajęły miejsca na ławie i rzuciły się na półmisek z jeszcze większym zapalem niż Grégoire. Mattias tymczasem stracił apetyt. Spojrzał na swoje bagaże i pomyślał, że gwardia pałacowa raczej nie wpuści go do Luwru z bronią palną.

– Jesteś więc jednym z tych katolickich fanatyków – zagadnęła Pascale, wskazując podbródkiem na krzyż o ośmiu krańcach jaśniejący na jego piersi.

– Z fanatyzmem zerwałem dawno temu.

Spojrzała na niego pytająco.

– Mam wrażenie, że hugenoci lubują się w rozlewie krwi tak jak inni. Może o ich okrucieństwach mniej się słyszy, ale to tylko kwestia liczebności, a nie moralności. Poza tym obie strony nienawidzą muzułmanów i żydów, więc harmonia świata pozostaje niezachwiana.

Uśmiechnęła się. Miała charakterystyczną szparę między przednimi zębami, która wręcz przydawała jej uroku.

– Marcin Luter nienawidził żydów z tych samych powodów co katolicy – odrzekła – ale udało mu się wymyślić także kilka nowych. Jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że Kościół miał na to setki lat, dzieło Lutera można uznać za nie lada osiągnięcie, czyż nie?

Nawet jeśli próbowała z niego drwić, Tannhäuser słuchał jej z przyjemnością.

– Był tak błyskotliwy – ciągnęła – że doszedł do zaskakujących wniosków: że można nienawidzić żydów z tych samych powodów, dla których on nienawidził katolików. Twierdził na przykład, że i katolicy, i żydzi wierzą w zbawienie poprzez posłuszeństwo prawom bożym, a nie poprzez samą wiarę. Luteranie zyskali więc to, co najlepsze z dwóch światów: mogą połączyć nienawiść do żydów z nienawiścią do katolików, nie tracąc przy tym teologicznej spójności wierzeń.

– Zmuszasz mnie, panienko, bym gruntownie zmienił zapatrywanie na geniusz tego człowieka.

– Zgłębiając temat, przekonasz się, panie, że Kalwin postrzega żydów zgoła inaczej niż Luter. Przede wszystkim zalicza ich do Wybranych i dowodzi, że całe plemię Abrahama, w przeciwieństwie do innych, cieszyć się będzie życiem wiecznym.

– Czy naród żydowski słyszał już tę radosną nowinę?

– Inaczej niż Luter i Rzym Kalwin nie obwinia Żydów o uśmiercenie Chrystusa. Obciąża winą wszystkich. Jego zdaniem nie można twierdzić, że Żydzi są wyjątkowo występni, wszyscy bowiem ludzie są tacy. I nie tylko w porównaniu z Żydami, ale w ogóle. Choć oczywiście, zgodnie z tym rozumowaniem, Żydzi nie są też mniej grzeszni ani

zdeprawowani niż inni. – Uśmiechnęła się, jakby chciała podkreślić drwiący ton tego wywodu.

– Nie na moją głowę te mądrości – wyznał. – W moim życiu zdecydowanie brak „spójności wierzeń”.

– W tej dziedzinie Kalwin jest niezrównany. A tobie, panie, wystarczy wiedzieć, że wszyscy ludzie, bez wyjątków, są występni, zepsuci w niebywałym wręcz stopniu i nie da się ich odmienić. Wierzący, niewierzący, zbawieni i potępieni, dobrzy i źli, wszyscy.

– To akurat mogę potwierdzić, sam doszedłem to takiego wniosku.

– Mimo to niektórzy dostaną się do nieba, choć są zepsuci w równym stopniu jak ci, którzy trafią do piekła.

– Zatem i ja mam szansę.

– Nie jesteś więc tak święty, jak sugeruje twoja koszula?

– Moja koszula może oszukać ludzi, ale nie Boga.

– Jednak wierzysz w Niego?

– Wierzę w Boga, którego nie można ogarnąć ani imieniem, ani żadną doktryną, którą chcielibyśmy mu przypisać.

Pascale spojrzała na siostrę.

– Mówi zupełnie jak ojciec.

Flore skinęła głową i popatrzyła nieufnie na Mattiasa. Była może o rok starsza od Pascale, ale nie miała jej uroku. Pascale znowu zwróciła się do Tannhäusera:

– Mój ojciec także jest wolnomyślicielem.

– Wolałbym, żebyś nie używała tego słowa, chyba że pragniesz obu nas zobaczyć na stryczku.

– Twierdzi, że przyszłe pokolenia nie będą w stanie pojąć niedoli, którą dzisiejsi ludzie zdolni są sami sobie zgotować.

– Zapewne będą zbyt zajęte podziwianiem własnej niedoli.

– Powiada też, że to całe królewskie małżeństwo, podobnie jak pokój, który jeszcze trwa, to wielkie oszustwo. I że wojna jedynie przysnęła na chwilę, ale niewiele potrzeba, by ją zbudzić.

– Twój ojciec powinien nauczyć córkę, by nie ufała zbyt obcym.

– Mam więc żyć w strachu, nie ujawniając własnych myśli?

– Wszyscy musimy żyć w strachu, nie ujawniając własnych myśli.

– Nawet ty?

– Ja nie mam do powiedzenia nic takiego, za co warto by umrzeć.

Przez chwilę spoglądała na niego tak, jakby próbowała wyczytać coś w mroku jego duszy.

– Szkoda – powiedziała.

– Kiedyś też tak sądziłem – odparł Tannhäuser, dolewając sobie wina. – Czym się zajmuje wasz ojciec?

– Jestem jego czeladnicą. – Pascale uniosła dumnie dłonie poplamione atramentem. – Zgadnij, panie.

– Jest drukarzem – wtrącił Grégoire.

– Wydawcą – sprostowała Flore. – Publikuje głównie dla Collegium Regium Galliarum.

– Odważnie, skoro jest wolnomyslicielem – mruknął Mattias. Zauważył, że dłonie Flore są czyste. – A wasza matka?

– Nie żyje – odpowiedziała Flore krótko.

– Nie wyglądasz mi, panie, na kawalera. Ani na hrabiego, prawdę mówiąc. Ale założę się, że bywałeś żołnierzem.

– Jestem kupcem. Handluję ze Wschodem, Hiszpanią, północną Afryką. Moje interesy z Anglią skończyły się katastrofą, gdy wasi bracia w wierze rozpoczęli trzecią wojnę, a gezowie morscy skonfiskowali mój statek wraz z całym towarem.

– To dlatego tak nas nie lubisz?

– Ależ lubię was obie, nawet bardzo.

– Czym handlujesz?

– Szafranem. Pieprzem. Opium. Szklłem. Wszystkim, co wpadnie mi w ręce.

– I dlatego przyjechałeś do Paryża?

– Nie. Przyjechałem, żeby zabrać żonę do domu.

– Czyżby miała tu kochanka?

Tannhäuser nigdy nie brał pod uwagę takiej ewentualności, niekoniecznie z powodu niespotykanej cnotliwości Carli – której nigdy nie kwestionował – ale głównie dlatego, że nie mieściło mu się w głowie, by mogła wyżej cenić względy innego mężczyzny niż on. Mimo to, gdyby osobą, która wysunęła taką sugestię, nie była niewinna dziewczyna, poniosłaby nagłą śmierć z jego ręki. Flore postanowiła stanąć w obronie Carli.

– Wstydz się, Pascale. To chyba jasne, że pan Tannhäuser kocha ją miłością rycerską, jak orzeł kocha wiatr. A kobieta tak kochana nigdy nie posunęłaby się do niewierności.

– Zaproszono ją na królewskie wesele – wyjaśnił Mattias. – Nosi w łonie moje dziecko.

W tych kilku słowach kryło się tyle nowych zagadek, że Pascale milczała, nie mogąc się zdecydować, jakie zadać pytanie.

– Powiedźcie no, jakim sposobem można tu odszukać studenta?

– A czy to dobry student? – spytała Flore.

– Lepiej, żeby był dobry.

– W takim razie trzeba spytać jego magistra w kolegium. Całkiem możliwe, że mieszkają razem. Pilni uczniowie często znajdują lokum u swych mistrzów.

– Świetna rada, dziękuję. A gdzie mógłbym nająć izbę, by mój ekwipunek choć przez kilka godzin nie kusił złodziei? Mam ważne sprawy do załatwienia w Luwrze, a jak widzicie, bagaży przywiozłem niemało.

Usłyszawszy wzmiankę o Luwrze, Pascale spojrzała na niego jeszcze szerzej otwartymi oczami, ale to Flore pospieszyła z odpowiedzią:

– Wolnych pokoi brakuje w całym mieście, bo tłumy gości świętują królewskie wesele. Przybyli tysiącami, a wraz z nimi także tysiące tych, którzy mają nadzieję na nich zarobić. Co się zaś tyczy tutejszych gospód i złodziei, to nawet w znacznie bardziej sprzyjających chwilach...

Tannhäuser zmarszczył brwi i po raz kolejny przeklął w duchu weselne szaleństwo.

– Możemy przechować twój ekwipunek, panie – odezwała się nagle Pascale.

– Pascale – syknęła Flore.

– Jasne, że możemy. Ufasz nam, panie, czyż nie?

O dziwo – ufał.

– Mam nadzieję, że wolno mi nalegać, byście przyjęły zapłatę za ten dobry uczynek?

– Wolno – odrzekła Pascale.

– Gdzie zatem zamierzacie ukryć moje bagaże?

– W naszym domu, niedaleko stąd. Nikt ich tam nie znajdzie.

– Nie przewożę niczego cennego, może poza czystą koszulą, funtem perskiego opium oraz bronią. I z nią cały kłopot.

– Z bronią? – spytała Flore.

– Wątpię, by pozwolono mi wejść do Luwru ze strzelbą i parą pistoletów. Dlatego też, jeśli wasz ojciec pozwoli, odwdzięczę się sownie za przysługę, którą mi oferujecie.

Przed wejściem do Czerwonego Wołu stały rzędem cztery wiadra z wodą pilnowane przez małego ulicznika. Zdaje się, pomyślał Tannhäuser, że w Paryżu złodzieje czyhają nawet

na zwykłe kubły. Pascale wręczyła chłopakowi dwie garście drobiowych resztek; widać było, że nie spodziewał się aż tak szczodrej zapłaty. Zaraz potem wraz z siostrą dźwignęły wiadra i powiodły Tannhäusera w stronę domu.

Za rogiem ulicy trafili na bójkę: czterej młodzieńcy kopali i okładali pięściami piątego, który klęczał, skulony i zakrwawiony, pod ścianą budynku. Gapie z zapalem dopingowali napastników do większego wysiłku. Tannhäuser skierował dziewczyny na drugą stronę ulicy, jak najdalej od zamieszania.

– Proszę! – zawołał nagle pobity, odarty z resztek godności. – Proszę!

Jego błagania tylko wzmogły brutalność prześladowców. I choć trudno było to pojąć, teraz, gdy prosił o litość, ułatwił im niecne działanie. Tannhäuser spoglądał z niesmakiem i na ofiarę, i na jej przeciwników.

– Nie możesz ich powstrzymać? – spytała Pascale.

Czterej brutale nie martwili go ani trochę. Naprawdę groźny był tłum.

– On nie jest moim przyjacielem.

Odpowiedziawszy, podążył wzrokiem za spojrzeniem wyraźnie poruszonej Pascale. Rozległ się podwójny głuchy łomot: but napastnika z mocą przygwoździł głowę ofiary do muru. Nieszczęśnik osunął się na bruk, a jego prześladowcy wzięli się pod ramiona dla zachowania równowagi i zaczęli go tratować z nowym zapalem, jakby uczestniczyli w upiornym tańcu.

– Zostawcie go w spokoju, łajdacy! – krzyknęła Pascale.

W jej stronę pomknęły najpierw spojrzenia gapiów, a zaraz potem obelgi.

Tannhäuser popchnął siostry, by przyspieszyły kroku, nie bacząc na to, że zaczynają rozlewać wodę. Grégoire maszerował tuż za nim. Po chwili wyrwali się z tłumu i na najbliższym skrzyżowaniu skręcili w prawo. Teraz dopiero mógł odetchnąć. Dziewczyny były blade; Pascale bardziej z gniewu niż ze strachu. Postawiły wiadra na ziemi, by nieco odsapnąć.

– Gdzie jest dzielnica hugenotów? – spytał Tannhäuser.

– Protestanci są rozrzućeni po całym mieście – odpowiedziała Flore – ale tu, w szesnastej dzielnicy, jest ich więcej niż w innych.

– I jeśli tylko nie trzymają głów wystarczająco nisko, zawsze znajdzie się ktoś, kto pomoże im w tym kopniakiem – dorzuciła Pascale.

Spojrzał na nią badawczo. Bez wątplenia stracił nieco w jej oczach, ale nie miał pojęcia, dlaczego obchodzi go to bardziej niż powinno.

– Twoja odwaga jest godna podziwu – rzekł – podobnie jak twoja wrażliwość, lecz świat jest taki, jaki jest, a nie taki, jakim chciałabyś go widzieć. Gdybym pomógł owemu młodzikowi, nie zmieniłbym świata, ba, nie zmieniłbym nawet tej ulicy. Zmieniłoby się jedynie nasze położenie. Na gorsze.

– Nie nazwę cię tchórzem, bo nie myślę, że nim jesteś, ale jeśli nie można odmienić świata drobnymi uczynkami płynącymi z cnoty, to chyba w ogóle nie można go odmienić.

– Niewątpliwie, Pascale. Powtarzam: chwala twoim ideałom, ale nie da się przewidzieć zachowania tłumu. Czasem okaże słabość, lecz częściej zmieni się w dziką bestię. Gdyby tak się stało, musiałbym zabić tych ludzi, co do jednego.

Spojrzała na niego bez słowa. Potrzebowała chwili, by uświadomić sobie, że to nie żart, a potem jeszcze jednej, by uwierzyć, że naprawdę potrafiłby tego dokonać. Zatrzepotała powiekami, wciąż oburzona.

– Z takich drobnych cnotliwych uczynków rodzą się wojny – dorzucił Mattias.

– Hugenoci giną w Paryżu każdego dnia. Są bici, rabowani i znieważani. Nikt nie ponosi za to kary. Nikt nie ośmielił się nawet przemówić w ich obronie.

Tannhäuser nie darzył hugenotów przesadną sympatią. Uważali się za wybrańców Boga i z lubością napawali statusem niewinnych ofiar, a przecież przejawiali równie zdrowe upodobanie do bigoterii i przemocy jak wszyscy inni fanatycy rozmaitych religii, z którymi przez lata miał do czynienia. Sprowadzili całe armie holenderskich i niemieckich najemników, którym po zakończeniu wojny zapomnieli zapłacić, za to pozwolili im do woli rabować kraj. Tysiące owych żołnierzy wciąż grasowały na prowincji, zadając Francji rany, których zaleczenie miało trwać przez pokolenia. W świętoszkowatości – a była to cecha, którą Tannhäuser gardził bardziej nawet niż zwykłą podłością, gdyż za jej przyczyną rodziło się znacznie potężniejsze zło – przywódcy protestantów nie mieli sobie równych. We wszystkich innych formach moralnej degeneracji byli zaś równi swym wrogom, katolikom.

– Jesteście hugenotami.

– Nie wiem – odrzekła Pascale, uśmiechając się z rezerwą. – O to musisz spytać naszego ojca, panie.

– Z przyjemnością. Gdzie jego dom?

Pascale wskazała palcem na budynek po drugiej stronie ulicy. Wysoki na trzy piętra, wszere miał nie więcej niż piętnaście stóp. Tu i ówdzie spod sfatygowanego tynku prześwitywały ciemne smugi belek. Na obrzuconym nieczystościami szyldzie widniał napis: „Daniel Malan. Drukarz dzieł Collegium Regium Galliarum”. Przez listwy zamkniętych na głucho okiennic widać było smętne resztki szyb.

– Ojciec jest teraz na spotkaniu – wyjaśniła Pascale.

– Jesteście pewne, że moje rzeczy będą tu mile widziane?

– Oczywiście – pospieszyła z odpowiedzią Flore. – I proszę, wybacz Pascale jej cięty język. Miałaś rację, panie, niepokojąc się o nasze bezpieczeństwo. – To powiedziawszy, podniosła wiadra i przeszła na drugą stronę ulicy. Kluczem, który nosiła na szyi, otworzyła drzwi i odwróciła się, stanąwszy na progu. – Będziesz mógł odebrać swoje bagaże, kiedykolwiek zechcesz.

– Na pewno nie ma waszego ojca? Wolałbym, żeby pobłogosławił naszą umowę.

– Obroniłeś jego córki przed nieprzewidywalną tłuszcą i uniknąłeś walki – odrzekła Pascale. – Dlaczego nie miałby jej pobłogosławić?

Tannhäuser uśmiechnął się, a potem odsłonił panewkę w strzelbie, zdmuchnął proch i podał broń dziewczynie. Jej ciężar mocno zaskoczył Pascale, ale dźwignęła go dzielnie. Postawiła strzelbę pod ścianą, tuż za drzwiami. Grégoire tymczasem wręczył Flore olstra z pistoletami. Tannhäuser pochylił się teraz nad jedną z sakw i wydobyl z niej owinięty w płótno list od Carli. Wsunął go za cholewę buta, a skórzane torby oddał Pascale, która zaniósła je do domu. Rozejrzał się na wszelki wypadek.

– Obiecacie mi, że zamkniecie drzwi na klucz i zostanieie w domu, póki nie wróci wasz ojciec albo ja. Koniec z flirtowaniem ze studentami w karczmie.

– To byli aktorzy – powiedziała Pascale. – Właśnie szli na przesłuchanie.

– Aktorzy? Widzę, że wyświadczyłem wam większą przysługę, niż mi się wydawało.

A teraz obietnica.

– Daję słowo.

– Chcę usłyszeć, jak przekręcasz klucz i zamykasz zasuwę.

Tannhäuser podał zdumionej Pascale *écu d'or*¹.

Skłonił się na pożegnanie, a dziewczyna odsłoniła w uśmiechu szparę między zębami.

– Ty także uważaj na siebie – powiedziała. – W Luwrze nie brakuje wściekłych hugenotów. I w przeciwieństwie do tego nieszczęśnika, któremu nie pomogłeś na ulicy, noszą miecze.

– Niby dlaczego mieliby być bardziej wściekli niż zazwyczaj?

Spojrzała na niego jak na głupca i tylko utwierdziła się w swej opinii o nim.

– Na przykład dlatego, że admirał de Coligny został postrzelony.

¹ Złota moneta francuska bita od roku 1266, za panowania Ludwika IX, do roku 1651 (wszystkie przypisy tłumacza).

- Postrzelony czy zabity?
- Postrzelony przez żołnierza, katolika. Podobno przeżyje.
- Kiedy to się stało?
- Wczoraj rano. W mieście o niczym innym się nie mówi.
- Złapano niedoszłego zabójcę?
- O ile wiem, nie.
- Dziękuję za informację. A teraz dotrzymaj słowa.

Pascale zamknęła drzwi. Tannhäuser posłuchał zgrzytu klucza i zasuw, a potem wyjął z buta list i rozłożył go. Coś ścisnęło go za serce na widok tego cudownego charakteru pisma. Każde słowo, które czytał, rozbrzmiewało w jego umyśle głosem Carli i było ukłuciem miłości. A z każdym ukłuciem czuł narastający lęk. Wreszcie odnalazł nazwisko, które umknęło mu z pamięci.

Christian Picart. Urzędnik w Menus-Plaisirs du Roi.

Tannhäuser złożył i schował list.

Admirał de Coligny, hugenocki demagog, postrzelony, ale żywy.

Czwarta wojna albo już trwa, albo zaraz wybuchnie.

Luwr, jak zawsze, jest bagnem gorączkowych intryg.

Carla w dziewiątym miesiącu ciąży.

A on nawet nie wie, gdzie jej szukać.

– Chodźmy, Grégoire. Koniec tego dnia jeszcze daleki.

ROZDZIAŁ DRUGI

Zaiste wielki filozof

Tannhäuser wrócił do Collège d'Harcourt, ale nikogo tam nie zastał. Ruszył więc ze swym sługą ku pont Saint-Michel, a gdy dotarli do Cité i weszli między sklepiki pełne zbędnych drobiazgów i krzykliwej odzieży, przyszło mu do głowy, że powinien wybrać coś dla Carli, mały dowód uczucia. Jego żona nie lubiła zbytku – jej gusty i nawyki były bodaj surowsze niż jego – i może właśnie z tej przyczyny, ku zdumieniu Mattiasa, każdy skromny nawet prezent sprawiał jej zawsze wielką radość.

– Grégoire, gdzie tu można kupić modne drobiazgi dla damy?

Chłopak zagulgotał w odpowiedzi. Za każdym razem, gdy starał się przemówić, nosowo brzmiącym słowom towarzyszył warkot i jęk; najwyraźniej nie umiał inaczej.

– Mów wolno, jeśli nie chcesz, żeby cię brano za durnia. Nie mogę wciąż prosić, żebyś powtórzył, więc będę robił tak – przyłożył dłoń do ucha – żeby ci dać sygnał, że nie zrozumiałem.

– Przepraszam, panie. Mnie i tak nikt nie słucha, prócz koni.

– Załóżmy więc, że jestem równy koniom i chcę wiedzieć. Co powiedziałaś?

Grégoire wskazał palcem na fasadę budynku.

– W Sali Wielkiej Palais de Justice.

W Sali Wielkiej na setkach straganów sprzedawano atłasy, jedwabie i lniane płótno, talie kart do tarota, biżuterię, pióra, guziki, kapelusze i całkiem wytworne stroje. Dopiero teraz, gdy wkroczył do tego labiryntu, Tannhäuser poczuł ciężar brzemienia, które dobrowolnie wziął na swoje barki, gdy zapragnął kupić jakiś drobiazg dla Carli. Jedwabie były przedniej jakości. Gdy Carla po raz pierwszy wpadła mu w oko, miała na sobie właśnie suknię z neapolitańskiego jedwabiu – czerwoną i zwiewną. Nie umiał i nie chciał zapomnieć, jak rysowały się pod nią sutki. W istocie jednak taka materia byłaby raczej prezentem dla niego, cokolwiek nieodpowiednim dla kobiety w zaawansowanej ciąży. A może się mylił? Może przyjęłaby ją jako komplement? Liczyły się przecież sentymenty, tylko jakie? Kątem oka dostrzegł szatkę chrzcielną z białego jedwabiu. Przystanął i przyjrzał się bliżej niemal niewidzialnym szwom. Carla byłaby zachwycona.

– Ile za ten śliniak?

– Ależ panie, to nie śliniak, tylko szatka do chrztu, i to godna, zważywszy, że chodzi o najświętszy z sakramentów, księżniczki lub księcia. – To rzekłszy, kupiec rozpoczął pean

na cześć szlachetnych tkanin włoskich, jedynej w swoim rodzaju sztuki koronkarskiej oraz haftu na kołnierzyku wykonanego srebrną nicią.

– Z Wenecji sprowadzają takie w balach, więc daruj sobie te występy.

Kupiec wymienił cenę. Tannhäuser go wyśmiał.

– Zaczynj mówić do rzeczy, to może wrócisz do domu ze sztuką srebra w kieszeni.

Możliwe, że ostatnią na długi, długi czas.

– A to dlaczego, łaskawy panie?

– Dlaczego? Ano z powodu hugenockiej rebelii. Nie słyszałeś?

– Więc to prawda? Hugenoci zamierzają poderznąć gardło królowi i splądrować miasto?

– Właśnie zdążam do Luwru. Na twoim miejscu zapakowałbym towar na muła i ruszył na południe. Wiesz doskonale, że ci fanatycy pogardzają wszystkim, co piękne i kolorowe. Jeśli przyda im się na coś ten jedwab, to tylko na sznury, na których zawisną księża. A może i my wszyscy.

Kupiec omiół swoje dobra spojrzeniem pełnym bólu.

– Dziś w ogóle nie miałem otwierać, ale dostaliśmy nakaz z Bureau de Ville. „Żeby zachować pozory normalności”. A ja pytam: dlaczego sami nie zachowują takich pozorów? Tym krajem rządzą wariaci i złodzieje.

– Mam rozumieć, że w Paryżu to wiadomość z ostatniej chwili?

– Jedziesz, panie, do Luwru?

– Za wiele już powiedziałem. Zachowaj dla siebie to, co ode mnie usłyszałeś, nie potrzebujemy tu paniki.

Handlarz suknem spojrział na swych kolegów po fachu i ich niezliczone stragany. Pokiwał głową.

– A teraz gadaj – rzekł Tannhäuser. – Chcesz mi sprzedać ten śliniak czy nie?

Cena okazała się tak korzystna, że postanowił zaszaleć: na kolejnych straganach kupił jeszcze bryczesy, pończochy i buty dla Grégoire’a. Gdy zdumiony chłopak właśnie je przymierzał, Tannhäuser dostrzegł mniej więcej trzydziestoletniego mężczyznę w szacie z aksamitu w kolorze butelkowej zieleni, który obserwował go zza wieszaka z koszulami. Nieznajomy miał w sobie coś z łasicy; wydawał się zdeformowany, choć nie był kaleką. Zniknął po chwili, a Tannhäuser nie mógł oprzeć się wrażeniu, że skądś go zna, choć nie pamiętał skąd. W ciągu ostatniej godziny widział wszak więcej twarzy niż przez cały rok. I właśnie gdy wysilał pamięć, by go zidentyfikować, za jego plecami odezwał się tubalny, gardłowy głos.

– Ha! Na włochaty podbródek Proroka, czy to może być Mattias Tannhäuser?

W cieniu jednej z galerii stał Hiszpan, może rok lub dwa po czterdziestce, ubrany w dobrze skrojony, acz nierzucający się w oczy uniform. Nosił odznakę wyobrażającą skrzyżowane maczugi i klucze na czerwonym i złotym polu. Tannhäuser znał go jako Estrameño, przez samą naturę obdarzonego posturą budzącą lęk nawet u najodważniejszych; dziesięć lat zabijania wśród *tercios* z Neapolu i tępienie waldensów na zlecenie inkwizycji dopełniły dzieła. Hiszpan był uzbrojony w miecz i pistolet oraz co najmniej dwa ukryte sztylety, które Tannhäuser wypatrył wprawnym okiem. Pod kaftanem widać było zarys napierśnika.

Mattias podszedł bliżej.

– Guzman. Dlaczego jeszcze nie gnijesz w tutejszych lochach?

Guzman roześmiał się i uściśnął jego prawicę. Rozmawiali po włosku.

– Zdaje się, że dziś więcej znaczę w tym świecie. I ty chyba też. Zakupy w Sali Wielkiej?

– Szukam czegoś dla Carli, mojej żony.

– Gratuluję i błogosławię. Szczęśliwe stadło, mam nadzieję?

– Będę szczęśliwy, kiedy ją odnajdę. Dopiero przyjechałem. Carla jest gdzieś w mieście, ale nie wiem gdzie.

– Wiele żon zgubiono już i odnaleziono w Paryżu. Może będę mógł pomóc. Mam tu pewne wpływy, dzięki mojemu panu. Słyszałeś kiedy o Albercie de Gondim, hrabim Retz?

Retz był żołnierzem z Florencji; służył Henrykowi II już w czasach jego małżeństwa z Katarzyną Medycejską, dwadzieścia pięć lat wcześniej. Wytrwał, przetrwał i urósł w siłę; od dawna należał do najbliższych doradców króla. Tannhäuser skinął głową.

– Otóż jestem jego osobistą gwardią... Trzeba ci wiedzieć, że gwardzistów to on ma cały pułk, gotów na każde jego skinienie, ale tylko ja jestem jego cieniem. To ja mam przyjąć kulę albo klingę.

– Jak to się stało, że dla niego pracujesz?

– Ocaliłem go przed trzema zabójcami na ulicy w Tours, w październiku sześćdziesiątego dziewiątego, tuż po bitwie pod Moncontour. Nie wiedziałem, kim jest, ale gdy tylko zobaczyłem, co się dzieje, wiedziałem, że to boże błogosławieństwo. Poradziłem sobie bez trudu, ale pewnie domyślasz się, dlaczego Retz zaoferował mi posadę...

– Ja zostawiłbym jednego przy życiu.

– Ileż to razy na nic się to zdało! Ale tu stosują torturę wodną, która sprawia, że przesłuchiwany zaczyna błagać, żeby mu kciuki śrubami potraktować. Ten też błagał, a potem

blągali ci, których wskazał z imienia, oraz następnii, przez nich wydani. W końcu zacząłem się zastanawiać, czy wystarczy sznura.

– Póki nie braknie karków, nie zbraknie i sznura.

– Król był ledwie chłopcem, gdy Retz został jego osobistym doradcą. Nikt też nie stoi bliżej królowej Katarzyny, choć jeśli ją kiedy chędożył, musiało to być, zanim wstąpiłem na służbę. Tak czy owak, Retz zabiega o pokój, bo uważa, że to lepszy interes niż wojna. Jeśli jednak wojna nam pisana, też będzie w swoim żywiole.

– Mocno ranili de Coligny'ego?

– Nie żyłby już, gdyby nie to, że schylił się akurat, by splunąć do rynsztoka, gdy padły strzały.

– Strzały?

– Podwójny ładunek. Jedna kula rozerwała mu prawą dłoń, a druga lewe ramię. Stracił kilka palców, ale będzie żył. Strzelec służył frakcji Gwizjuszy. Od tamtej pory praktycznie nie spaliśmy, Retz i ja. Spotkanie tu, sondowanie tam, rozmowom nie ma końca. Jak się nazywał ten węzeł, co go Aleksander chlasnął?

– Węzeł gordyjski.

– O. I taka właśnie jest misja Retza.

– Pytanie tylko, czy ma dość ostry miecz.

– Król jest jego mieczem, jeśli tylko uda się Retzowi go dobyć. Ale opowiadaj, co z twoją żoną.

– Zaprosili ją na to przekłete wesele.

– Istotnie przekłete.

– Słusznie obawiam się o jej bezpieczeństwo?

Guzman wzruszył ramionami, jakby nie chciał budzić w Mattiasie zbytniego niepokoju.

– Gdyby zamordowano którąś z dam na tyle znaczących, że zaproszono je na uroczystości, wiedziałbym o tym z pewnością. Im szybciej jednak ją odnajdziesz, tym lepiej. Kim jest, jeśli wolno spytać?

– Hrabinią ze starego sycylijskiego rodu, posiada też ziemię nad Garonną. Miała zagrać ostatniej nocy na balu u królowej Katarzyny.

– Obyło się bez muzyki. Bal królowej odwołano z powodu strzelaniny, o którą pytałeś.

Tannhäuser przyjął ironię losu bez komentarza.

– Jeden z urzędników z Luwru powinien wiedzieć, gdzie nocuje Carla. Nazywa się Christian Picart.

– Na dworze kręci się dziesięć tysięcy ludzi takich jak on, a podczas królewskiego wesela potrzeba ich nawet więcej. Ale zostań ze mną – dodał Guzman i ruchem głowy wskazał na drzwi w głębi galerii. – Pójdziemy tam, gdy skończą się rozmowy z rajcami. Wewnętrzny krąg szykuje się do przecięcia wężła.

W tym momencie w drzwiach stanął przystojny mężczyzna około pięćdziesiątki, ubrany w jasnoszary dublet. Człowiek gotów zagrać w kości z historią i oczekujący wygranej, bez względu na wynik rzutu. Zmierzył Tannhäusera uważnym spojrzeniem.

– Jeden z twoich towarzyszy, Guzman?

– Wasza miłość, pozwolę sobie przedstawić Mattiasa Tannhäusera, *Cavaliere di Malta*, i to najprzedniejszego nawet w tym doborowym gronie. Razem staliśmy na Bastionie Kastylii, powstrzymując nawałę niewiernych Turków.

Retz skinął głową.

– Albert de Gondi, hrabia Retz.

– To dla mnie zaszczyt, ekscelencjo. Mattias Tannhäuser, hrabia de la Penautier.

– O nie, zaszczyt należy do mnie. Nawet najlepszych z nas nauczyła pokory wytrwała obrona Malty. Jak powiedziała królowa, było to „największe oblężenie w dziejach”.

– Ton głosu Retza i jego perfekcyjny włoski upewniły Tannhäusera, że ma przed sobą człowieka wielkiej klasy. – Teraz jednak proszę mi wybaczyć, czekają na mnie w pałacu.

– Ja także mam tam sprawę do załatwienia – podchwycił Mattias.

– Zatem jedź ze mną, panie. Jeśli pozwolisz, w drodze poproszę cię o radę.

Tannhäuser odetchnął głęboko.

Zaiste wielkiego trzeba było filozofa, by wyjaśnić przyczynę wojen, które pogrzyżyły ten kraj w rozpacz i sprawiły, że sąsiedzi, którzy od urodzenia żyli w zgodzie, rzucili się sobie do gardeł. Tannhäuser nie miał nic przeciwko temu, by objawił się taki mędrzec, jednak nie spodziewał się tego wcześniej niż na Sądzie Ostatecznym. Nie spodziewał się i tego, by jakiegokolwiek wyjaśnienia mogły zatrzymać falę szaleństwa i nienawiści, która, jak mniemał, w owej odległej chwili miała wciąż przetaczać się przez świat. Różnice w egzegezie Pisma Świętego, tak drobne, że ledwie paru biskupów potrafiło je pojąć, były oficjalną przyczyną wojny między katolikami a protestantami. Tannhäuser uważał jednak, że to tylko pretekst, którego tak zwane elity użyły – jak zawsze – do przekonania łatwowiernych ludzi, że powinni upodlać się i umierać tysiącami w ich imieniu i w ich interesie. Polityczne spory i rywalizacja, ambicje prowincjonalnych wodzów oraz katastrofa gospodarcza wywołana działaniami

władzy – oto co stanowiło mieszkankę trucizną, bulgocącą w wielkim kotle konfliktu. Tabory prawdziwej Wojny zawsze bowiem były pełne najbardziej przyziemnych motywów ukrytych pod najbardziej wzniosłymi sztandarami. Rzesze wiernych mogły sobie walczyć w imię Boga, lecz miarą zwycięstwa były władza, ziemia i złoto, a te przypadły ledwie garstce wybranych.

Na przykład Retzowi.

– W zasadzie nie mam nic przeciwko hugenotom – zastrzegł Tannhäuser.

– To dobrze – odparł Retz. – Ja też nie.

Okna karocy Retza były przesłonięte muślinem. Woreczki z lawendą i perfumowane poduszki sprawiły, że Tannhäuser nareszcie mógł oddychać, nie zaciskając zębów. Nieczęsto odbywał takie podróże; w wygodnych pojazdach czuł się nieswojo i niemęsko, ale widać w Paryżu tak wyglądało życie możnych. Woźnica strzelił z bata i donośnym rykiem rozpędził przechodniów. Guzman zajął miejsce na platformie z tyłu kabiny; Grégoire musiał biec za karocą. Tannhäuser czekał cierpliwie, by usłyszeć, jaką cenę przyjdzie mu zapłacić za przejazd do Luwru.

– Podróż będzie krótka, więc powiem krótko – zaczął Retz. – W mieście mamy ze dwustu hugenockich szlachciców, prawdziwych luminary tego ruchu, plus służba. Zajmują apartamenty w starszej części Luwru i pokoje w kilku okolicznych prywatnych domach. – Przemawiał bez wahania, jakby posiadał dokładną listę. – Zamach na życie admirała de Coligny’ego sprawił, że wszyscy oni jednym głosem domagają się sprawiedliwości. Niektórzy rzucali groźby pod adresem królowej Katarzyny. Młody król jest dość porywczy, a admirała ogromnie szanuje. Jego Wysokość jest więc rozwścieczony tym, że nieznani sprawcy strzelali do jego honorowego gościa, podczas gdy on sam raczył grać w tenisa. Frustrację wyładował, niszcząc swą raketę. A potem płakał z żalu i wstydu, czuwając u łóżka de Coligny’ego. Zabronił paryżanom chwycić za broń. Usunął wszystkich katolików z ulic wokół rue de Béthizy, by admirał mógł się czuć bezpiecznie wśród swoich. Poprzysiągł, że pomści tę zbrodnię lub zatraci własną duszę. Dziś rano tymczasowy trybunał – na rozkaz króla złożony głównie z sympatyków hugenotów – ogłosił, naturalnie nie przedstawiając żadnych dowodów, że za spiskiem stał książę Henryk Gwizjusz.

Retz umilkł, patrząc w oczy Tannhäusera.

Niemal dziesięć lat wcześniej zabójca działający w interesie de Coligny’ego zamordował ojca Gwizjusza. Podobnie jak król, który nim gardził, młody książę miał teraz dwadzieścia dwa lata. Byli tacy, co sądzili, że marzy mu się tron, do którego jakoby miał prawo przez pokrewieństwo z Ludwikiem IX Świętym. Był też ulubieńcem katolickich wicherzycieli oraz ludu Paryża.

– Jeśli Gwizjusz naprawdę pragnął zemsty za śmierć ojca – rzekł Tannhäuser – to muszę przyznać, że jest znacznie bardziej cierpliwy niż ja.

– Zadawniona żądza odwetu to potężny eliksir. Wystarczy łyk dziennie, by życie nabrało głębokiego sensu.

– Prawdziwa tożsamość spiskowców nie ma żadnego znaczenia. Hugenoci wmówią sobie bez trudu, że stali się ofiarą z dawna powziętego planu, zrodzonego w głowie królowej, króla, Gwizjuszy, papieża albo dowolnego przeciwnika, którego zechcą oczernić.

– Podejrzewasz, że zamach mogła zaplanować Katarzyna?

– Byłoby to niezgodne z jej polityką.

Satysfakcja, z jaką Retz przyjął te słowa, kazała Tannhäuserowi się zastanowić, czy aby nie dał się – wraz z większością Francuzów – oszukać, ściśle według życzenia królowej.

– Powiedzmy, że poddamy się woli naszego wrażliwego króla – powiedział Retz. – Co dalej?

– To zależy od de Coligny’ego.

– De Coligny wkrótce zacznie grać Chrystusa wskrzeszonego i zyska jeszcze większe wpływy. To dlatego pozostał w mieście, a nie wyjechał, do czego namawiali go towarzysze. I tu docieramy do sedna sprawy. De Coligny przekonuje króla, że powinien rozprawić się z Hiszpanami w Niderlandach. Wierzy, że tym sposobem uda się zjednoczyć francuskich katolików i protestantów w boju za wspólną sprawę.

– Rozsądnemu człowiekowi trudno w to uwierzyć.

– Twierdzi też, że ta wojna miałaby być ceną za jego zgodę na królewski ślub.

– Ślub wymagał zgody de Coligny’ego? I jeszcze wolno mu o tym głośno mówić?

Retz nie zareagował na tę krytykę królewskiej dyplomacji.

– Miesiąc temu armia hugenotów wkroczyła do Flandrii. Alva rozbił ją pod Mons. Przy Genlisie, który dowodził pokonanymi, znaleziono list od króla. Jego Wysokość obiecywał wsparcie dla holenderskich rebeliantów.

Tannhäuser jęknął cicho, ale się nie odezwał.

– Korona jest ogromnie zadłużona i właściwie zależna od włoskich bankierów – ciągnął Retz. – Kolejna wojna z Hiszpanami byłaby katastrofą, mimo to Jego Wysokość jest skłonny ją toczyć, a przynajmniej tak zapewnia de Coligny’ego.

– Dlaczego notoryczny podżegacz wojenny pokroju de Coligny’ego w ogóle ma dostęp do króla?

– Król ma ledwie dwadzieścia dwa lata.

– Aleksander w tym wieku stanął pod murami Persepolis.

– Masz słuszość... do pewnego stopnia – odparł Retz. – Tej nocy, gdy Jego Wysokość po raz pierwszy był z kobietą, towarzyszyłem mu, żeby dopilnować, by wszystko przebiegło należycie. I przebiegło, bo takie jest moje powołanie: pilnować, by wszystko przebiegało należycie. Sam jednak widzisz, gdzie tkwi błąd w twoim rozumowaniu: nasz król ma takie talenty i zdolności, jakie ma, a mimo to jest królem.

Mattias zacisnął zęby.

– Tannhäuser, otaczają mnie pochlebcy i kłamcy. Twoja brutalna szczerzość, zjawisko, od którego całkiem odwykłem, jest dla mnie cenna jak złoto. Słuchaj więc. Dwa dni temu de Coligny wygłosił bardzo konkretną groźbę: król musi wybrać – albo wojna z obcą potęgą, albo wojna domowa.

– Czy groźenie królowi nie uchodzi w tych czasach za zdradę?

– Jego Wysokość kocha de Coligny’ego prawie jak ojca, którego ledwie znał.

– A de Coligny kocha wyłącznie wojnę. Bez niej jest tylko jednym z wielu prowincjonalnych szlachciców. Jest nikim. Nie ma więc nic do stracenia i dlatego traktowałbym poważnie jego słowa: kolejna wojna już się rozpoczęła.

– Czterotysięczna armia hugenotów obozuje o dzień marszu od Paryża. Nie zamierza atakować i nie ma powodu, by to robić. De Coligny twierdzi, że to wierni poddani, ale ich dowódcą nie jest król, a to oznacza, że samo istnienie tej armii jest wyzwaniem rzuconym władzy królewskiej. Nie mówiąc o tym, że zwykli ludzie po prostu się jej boją.

– Po co mi o tym opowiadasz, panie?

– Chciałbym wiedzieć, co byś uczynił w tej sytuacji.

– Gdybym był tobą?

– Gdybyś był królem.

Tannhäuser poczuł ucisk w czaszce. Po miesiącach spędzonych w głuszy, na morzu i na pustyni, do niedawna czuł się wolny od dylematów tego świata. Koncentrował się wyłącznie na własnej sile, która pozwala przetrwać w świecie takim, jakim stworzył go Bóg. Zapomniał o świecie, który ludzie stworzyli w jego miejsce.

– Proszę, mów szczerze – dorzucił Retz.

– De Coligny to mocarz. Wie, podobnie jak ostatni żebrak w tym mieście, że król jest słaby, a przynajmniej tak jest postrzegany. Silni kiepsko znoszą przyjmowanie rozkazów od słabeusza. Lub, co gorsza, od matki słabeusza.

– Wnoszę stąd, że nie uznajesz edyktu z Saint-Germain o tolerancji?

– Tolerować można atak hemoroidów, ale nie podżegaczy wojennych, takich jak Gaspard de Coligny.

Z pierwszym ze wspomnianych dopustów bożych Tannhäuser szczęśliwie nie miał jeszcze do czynienia; z podżegaczami zaś – aż nadto. W tej chwili żałował, że nie jest znowu w Ziemi Boga, wśród wędrowców z Timbaktu.

– Czyż hugenotom nie należy się wolność sumienia?

– Kapitanowie de Coligny’ego nie przesiadują w karczmach po to, by debatować nad realną obecnością Chrystusa podczas mszy świętej. Gadają o kobietach i koniach, nie o naturze tego, co boskie. I nie mają pojęcia, o co walczą, zupełnie jak katolicy. To jest wojna między wierzącymi, którzy nie wiedzą, w co wierzą. To próba sił, nie starcie religii. Czy ostoją siły jest państwo, którego symbolem jest król? A może powinna być rozproszona między możnowładców i ich najemników? No, ale tego chyba nie muszę ci tłumaczyć, łaskawy panie.

Karoca wyhamowała z chrzęstem. Skrzypnął umocowany z tyłu stopień, gdy Guzman zeskakiwał na drogę. Zapukał do drzwi.

– Luwr, ekscelencjo.

Retz spojrzął na Tannhäusera.

– Jak odpowiedziałbyś na moje pytanie?

– Król nie potrzebuje moich rad.

– Przeciwnie. Powinien mu doradzać człowiek bywały w świecie, nieskażony dworskimi intrygami, o chłodnym umyśle. Człowiek, który w tej grze nie ma żadnych kart.

Tannhäuser skrzywił się z niechęcią.

– Hugenocka elita śmie buntować się przeciwko królowi w jego własnym pałacu. Mówi o zdradzie. Domaga się wojen. Grozi królestwu. Grozi matce króla. – Umilkł. Był świadom tego, że Retz dobrze rozegrał tę rozmowę. I wcale mu się to nie podobało. – Zabiłbym ich wszystkich – powiedział.

– Całą protestancką arystokrację?

– Tylko najważniejszych.

– Radykalne rozwiązanie. Zechcesz rozwinąć tę myśl?

– Zapewne nie ja pierwszy proponuję taką strategię.

– Interesują mnie szczegóły.

– Ściąć całe dowództwo, to wystarczy, żeby kolejna wojna była znacznie mniejszą wojną. Przy odrobinie politycznej zręczności – trzeba ogłosić, że zdecydowane działania pozwoliły zmiażdżyć niebezpieczny spisek w zarodku, że zmniejszy się podatki, że z drzew spadną jabłka z litego srebra i tak dalej – można ten mecz rozegrać tak, by w ogóle nie doszło do wojny.

– Doradzasz zatem zgładzenie, powiedzmy, czterdziestu arystokratów wraz ze strażą i służbą, goszczących w królewskim pałacu i cieszących się jego protekcją. – Ton głosu Retza nie budził wątpliwości: rzeczywiście nie pierwszy raz słyszał taki pomysł. – Potomków najstarszych francuskich rodów.

– Chciałbyś, jak mniemam, żebym dorzucił jeszcze parę argumentów dowodzących słuszności tego planu?

– A czy masz powody, by ich nie dorzucić? – spytał Retz.

– Najstarsze francuskie rody to nic więcej, jak tylko najstarsi przestępcy.

– Jego Wysokość ma wśród tych ludzi wielu najbliższych przyjaciół.

– Król, który nie jest w stanie wymordować swych najbliższych przyjaciół dla dobra ludu, w ogóle nie jest królem – odparł Tannhäuser. – Sulejman kazał udusić własnych synów, by zachować pokój. Zresztą nie tych, co trzeba, ale to zupełnie inna sprawa.

– Nic mi po argumentach, które każą porównywać Jego Wysokość do jakiegoś Turka.

Tannhäuser marzył o tym, żeby już wsiąść z karocy. Ale nie wysiadł.

– Jego Wysokość musi okazać surową, brutalną siłę. Jest bardzo, bardzo późno. W tej sytuacji jedyna waluta, za którą można kupić władzę, to krew. Sam de Coligny już nie wystarczy, bo pozwolono, by jego krew stała się krwią męczennika. Ale jeśli krew tę rozcieńczy się krwią paru innych spiskowców, którym zamarzył się tron – bo przecież o to w gruncie rzeczy chodzi de Coligny’emu – to męczennik stanie się zdrajcą, którym zresztą jest. Wystarczy dopilnować, by protestantów nie dosięgły żadne inne represje, a wtedy reszta hugenockiej szlachty pozostanie posłuszna królowi. W Anglii to się udało. Im serdeczniejszych przyjaciół zabije miłościwie nam panujący, tym lepiej. Powinien też zająć protestanckie twierdze, a zwłaszcza La Rochelle. Byłoby najlepiej, gdyby pojechał tam osobiście i zażądał kluczy. Jeśli ma dość ikry, żeby to zrobić, nie znajdzie się nikt, kto miałby dość ikry, by do niego strzelić.

Tannhäuser nie oczekiwał, że ostatnia rada zostanie potraktowana poważnie – i nie została.

– Rozcieńczyć krew męczennika – powtórzył ze smakiem Retz. – Król powie, że tak się nie godzi.

– A czy król wie, w jakim stanie jest jego królestwo?

Retz nie odpowiedział.

– Przejechałem cały kraj, od portu w Marsylii. Powinien być rajskim ogrodem, a jest ziemią jałową. Jest hańbą dla tych, którzy mienią się jego gospodarzami. A to jeszcze nie wszystko.

Retz zachęcająco skinął głową.

– Silny król nie poprzestałby na rozprawie z garstką protestanckiej elity. Aresztowałby Gwizjusza i kilkunastu innych katolickich spiskowców, po czym kazałby ich stracić. Oczyszczyłby pałac z libertynów i zaczął żyć jak mężczyzna. A gdy już wzbudziłby strach i szacunek, mógłby skończyć z wojnami domowymi. Jeśli w tym momencie jego poddani mieliby ochotę oddawać cześć bożkom ulepionym z błota, pozwoliłby im na to, ponieważ nikt nie ośmieliłby się złamać ustanowionego przezeń pokoju.

– Rozlałbyś morze krwi.

– Setki tysięcy ludzi straciło życie w wojnach wywołanych li tylko próżnością ludzi takich jak de Coligny. Król nie uronił nad nimi choćby jednej łzy. Grał, jak słyszę, w tenisa.

Tannhäuser rozparł się wygodnie na perfumowanych poduszkach. Za ciasno było mu w tej karocy. Miał wrażenie, że jeśli zaczerpnie tchu tak, jak tego potrzebował, ściany wygną się do środka.

– Teraz to widzę – rzekł Retz. – Rozumiem wszystko.

Tannhäuser pozwolił sobie na odrobinę refleksji nad radami, które właśnie wygłosił. Ktoś mógłby powiedzieć, że były potworne. Na przykład Carla. Może i były, ale nie potrafił dostrzec w swoich słowach ani jednej fałszywej nuty. Zresztą to nie był jego problem.

– Uzbroiłeś mnie w kilka bardzo mocnych pomysłów – rzekł Retz. – Co mogę dla ciebie zrobić, panie?

– Dla mnie?

– Nikt nie zbliża się do tronu tak bardzo, jak ty się właśnie zbliżyłeś, żeby następnie odejść, o nic nie prosząc. O protekcję, pensję, ułaskawienie, prawo monopolu, kontrakt na dostawy... Życie dworskie właśnie na tym polega: na nieustannym popychaniu spraw do przodu dzięki kontaktom z właściwymi osobami.

Być może w innych okolicznościach Tannhäuser przycisnęłaby Retza, lecz teraz czuł się brudny – powiedział prawdę, ale jednocześnie był świadomy, że został wykorzystany. Nie chciał, by mu za to płacono.

– Doceniam szczodłą ofertę, ale źle się czuję, będąc czyimś dłużnikiem. Pragnę jedynie odnaleźć żonę i nic ponadto.

– Jestem rozczarowany – odrzekł z uśmiechem Retz. – Po takiej odpowiedzi żałuję, że naprawdę nie stałeś się moim dłużnikiem. Niestety, to ja jestem twoim. Przyjmij wyrazy uznania, mój panie.

– Chcąc odszukać żonę, muszę najpierw odnaleźć pałacowego urzędnika, niejakiego Christiana Picarta. Byłbym wdzięczny, gdyby twoje jedno słowo, panie, ułatwiło mi to zadanie.

– Tak drobna uprzejmość to żadna nagroda, ale... naturalnie, uczynię to.

Wysiedli z karocy.

Na wschodzie, za niewielkim trawnikiem, zaczynał się Luwr: pół forteca, pół pałac, wspólne dzieło różnych królów i różnych czasów, konglomerat rozmaitych stylów architektonicznych. Na zachodzie piętrzyły się mury miejskie. Karoca stała opodal bramy w pałacowym ogrodzeniu, położonej najbliżej rzeki. Tannhäuser zajął przez nią i zobaczył bujne ogrody oraz pawilon i nowe skrzydło budynku – na wpół ukończone, ale już imponujące rozmiarem i formą. Wszędzie poniewierały się materiały budowlane, brakowało natomiast robotników.

Do karocy zbliżył się oddziałek Gwardii Szwajcarskiej, a wraz z nim trzej dworzanie. Halabardy i okucia lśniły w popołudniowym słońcu, a żołnierze, jak przystało, unikali kontaktu wzrokowego z przybyłymi. Dworzanie nie potrafili zachować takiej obojętności; ich samoocena wyraźnie spadła, gdy ujrzeli wysiadającego Tannhäusera. Zastanawiali się, kim też jest człowiek, który pozostaje w tak bliskich stosunkach z Retzem. Ścisłej mówiąc, zastanawiali się, jakim może być dla nich zagrożeniem. Retz wybrał najmłodszego z nich – i najbardziej korpulentnego.

– Arnauld, odprowadzisz hrabiego de la Penautier do pałacu. Powie ci, czego potrzebuje, a ty dopilnujesz, żeby to dostał.

Arnauld uklonił się nisko, by zamaskować rozczarowanie wywołane tym, że kazano mu opuścić tak zacną kompanię i służyć byle komu. Zaraz potem spojrzał na Tannhäusera z nieukrywanym niesmakiem.

– Widzę, że w pałacu nieźle karmią – rzekł Mattias.

Retz roześmiał się tak, jakby śmiech był tym, czego najbardziej mu brakowało.

Dworzanie, rzecz jasna, natychmiast zawtórowali mu dyskretnym chichotem – wszyscy, włącznie z pulchnym młodzikiem.

– Żałuję, że nasze spotkanie trwało tak krótko – powiedział Retz. – Życzę szczęścia i niech cię Bóg błogosławi.

Pożegnali się ukłonami, a potem Retz ze swą świtą ruszył w stronę ogrodów. Guzman mrugnął porozumiewawczo do Tannhäusera, a ten skinął głową. Odwrócił się, słysząc kroki nadbiegającego Grégoire'a. Chłopak był zlany potem. Pod pachą niósł szatkę chrzcielną, owiniętą w kawałek płótna i przewiązaną wstążką. Kulał nieznacznie.

– Uwierają cię nowe buty? – spytał Tannhäuser. – Jeśli tak, to je zdejmij.

Grégoire, choć wyraźnie cierpiał, spojrział na niego z przerażeniem.

– Ależ nie, panie, są cudowne.

– To stworzenie idzie z nami? – spytał lekko przerażony Arnauld.

– Grégoire, ten uroczy młodzieniec zaproponował, że zaprowadzi nas do Luwru.

– Tannhäuser! – zawołał Retz, zatrzymawszy się u bramy. – Ostatnie pytanie.

Mattias spojrział na niego wyczekująco.

– A czy ty zabiłbyś najlepszych przyjaciół dla dobra ludu?

– Nie mam nikogo prócz najlepszych przyjaciół. Dla ich dobra zabiłbym wszystko, co oddycha.

ROZDZIAŁ TRZECI

Świnia

Arnauld de Torcy prowadził ich niezliczonymi korytarzami, komnatami i salami, których zbytek wywołał rozdziawienie ust Grégoire'a oraz głęboką pogardę Tannhäusera. Mattias nie był do końca nieczuły na piękno architektury, ale ostatnio widział stanowczo zbyt wiele spalonej słońcem ziemi; zresztą Włosi i tak budowali lepiej.

Wszędzie pełno było rzeźb inspirowanych rzymską sztuką, ozdobnych tynków, delikatnych fryzów i alegorycznych płaskorzeźb przedstawiających głównie wyimaginowane przewagi królewskich rodów. Każda galeryjka i każde sklepienie było hymnem na cześć patronów, odtwarzającym co bardziej krwawe wydarzenia historyczne tak, jakby były częścią wielkiej mitologii. Wszystko tu lśniło nowością i oszałamiało rozmachem; Tannhäuser nie dziwił się temu zbyt, skoro inwestycji dokonano za pieniądze włoskich bankierów, pożyczone na morderczy procent. Im głębiej wkraczali do pysznej królewskiej siedziby, tym bardziej był przekonany, że nie obędzie się bez nowych podatków. Tu i tam przemykali dworzanie, zajęci spełnianiem kaprysów możliwych – równie licznych, jak odrażających. Kolejne pary lokajów kłaniały się w pas na widok Arnaulda i bez słowa otwierały podwójne złocone drzwi.

– Proszę zauważyć, że większość dworzan zasługuje jedynie na otwarcie połówki drzwi – pospieszył z wyjaśnieniem.

– Słyszałeś, Grégoire? Przed takimi jak my trzeba otwierać oboje drzwi!

– Bardzo zabawne. Musisz jednak wiedzieć, panie, że w tej oto szkatule cywilizacji z pozoru błahe wyróżniki statusu nabierają wielkiego znaczenia i nie wolno uznać ich za przejawy pustego ceremoniału. Każdy taki detal pomaga rozpoznać rangę dworzanina, definiuje jego miejsce w hierarchii. Gdyby ich zabrakło albo gdybyśmy nagle zaczęli je ignorować, w jaki sposób moglibyśmy się zorientować, kim – oraz czym – jest dany osobnik?

W komnatach królewskiej siedziby, podobnie jak na ulicach stolicy, dało się wyczuć pewien powszechny niepokój, jednakże nie dość wielki, by mógł pohamować przejawy dekadencji, z której sływał Luwr. Kobiety niezwyklej urody i niepośledniego statusu – być może dla podniesienia morale na królewskim dworze – prezentowały cycki rozleniwionym szlachcicom, zalegającym w swobodnych pozach na bogato zdobionych kanapach. Niektórzy z nich nosili na szyi małe srebrne klatki, w których trzymali miniaturowe pieski. Młody i przystojny lokaj właśnie nalewał do kielichów ożywczy trunek, z podziwu godnym

stoicyzmem znosząc poczynania jednego z panów, który przy wtórze chichotów i pisków pocierał poślinionym palcem jego krocze. Nie uronił ani kropli. W pokojach królowała woń moczu.

– Prowincjuszowi wydawać się może, że to istny raj – mówił właśnie Arnauld – lecz to, czego jesteś tu świadkiem, panie, to w istocie intensywna walka o miejsce w piramidzie zależności. Co ambitniejsi bez wytchnienia planują i realizują wymyślne manewry, których celem jest wywyższenie siebie lub poniżenie rywali, a tych ostatnich nigdy nie brakuje. Być może wygląda to na niekończącą się zabawę, ale zapewniam, że nie ma tu miejsca na prawdziwą radość, tu królują handel, podejrzliwość, zazdrość i zła wola. Wątpię więc, panie, byś odnalazł się w dworskim życiu, i przyjmij to, proszę, jako komplement.

Gdy przechodzili do sąsiedniego skrzydła gmachu, Tannhäuser wypatrzył kobietę o wymyślnej fryzurze ułożonej ze złotych loków: owa dama właśnie zadarła spódnicę z niebieskiego jedwabiu – same ozdobiące ją perły musiały kosztować tyle co skromne gospodarstwo – i przykucnęła pod schodami, nad stertą ludzkich odchodów.

– Czegóż to świadkiem jestem tym razem? – spytał. – Realizowania przez tę damę wymyślnego manewru celem wywyższenia się czy może intensywnej walki o miejsce w piramidzie zależności?

– To jedna z przyczyn, dla których dwór przenosi się co miesiąc do kolejnego pałacu – oznajmił Arnauld. – Fetor staje się nie do zniesienia i trzeba wietrzyć cały budynek, by nie wybuchła zaraza.

– A co mają znaczyć karłowate pieski w srebrnych klatkach?

– Jak należy oczekiwać, ośrodek władzy przyciąga nieuczciwych, chciwych, sprzedajnych, próżnych, a nawet występnych – przyznał Arnauld. – Bo cóż to byłby za marny dwór, gdyby nie przyciągał? Trzeba dać elicie specjalne przywileje, inaczej to po prostu bez sensu. Prawdziwą tragedią jest to, że dziewięciu z dziesięciu dworzan to głupcy, ignoranci, beztalencia oraz tchórze. Jednostki przeciętne pod każdym względem, może poza urodą. A przecież i one nieźle prosperują.

Gwardzistów – francuskich i szwajcarskich – rozmieszczono w taki sposób, by mieli na oku każdy pokój i wszystkie korytarze. Niektóre klatki schodowe i drzwi były wręcz odcięte szwajcarską stalą. Powyżej znajdowały się apartamenty rodziny królewskiej. Wreszcie opuścili pawilon króla, przechodząc pod imponującą bramą.

Mieli przed sobą ogromny, kwadratowy dziedziniec, długi może na sto kroków. Ze wszystkich stron otaczały go budynki – stare, nowe, na wpół zburzone i na wpół ukończone. Skrzydła północne i wschodnie wydawały się wiekowe – w przeciwieństwie do nowych,

wzniesionych najwyraźniej wyłącznie dla spełnienia zachcianek degeneratów, ów stary Luwr był prawdziwą fortecą. Jego trzy stożkowate wieże górowały nad wszystkimi narożnikami dziedzińca, prócz południowo-zachodniego.

Cały plac był pełen hugenotów pod bronią. Większość stanowili bojowo nastawieni młodzieńcy, żywo dyskutujący o czymś w małych grupkach. Niektórzy pogrążeni byli w podszytym napięciem milczeniu, jakby chcieli dać do zrozumienia, że za chwilę nie wytrzymają i wybuchną. Wśród debatujących byli też pijani, wykrzykujący obelgi i groźby w stronę królewskich apartamentów. Kilku nosiło nawet pancerze. Biały krzyż na piersi Tannhäusera wyróżniał go z tłumu i czynił naturalnym wrogiem. Ci, którzy już zauważyli, pokazywali go palcem swym towarzyszom.

– Gdzie Gwardia Szwajcarska? – spytał Tannhäuser.

– Jego Wysokość wycofał strażę z dziedzińca, by nie podsycać i tak gorących nastrojów.

– Dokąd teraz?

– Pokoje Plaisirs du Roi, w których znajdziemy Picarta, mieszczą się w północnym skrzydle. – Arnauld zapatrzył się na daleki budynek z taką miną, jakby marzył o tunelu. – Jeśli coś nie rozładuje ich wściekłości, będziemy świadkami okrutnych i szalonych czynów. Czy ci fanatycy nie rozumieją? Król jest najlepszym przyjacielem, jakiego mają.

– Być może nie na długo.

Tannhäuser przyjrzał się grupkom zbrojnych. Zastanawiał się, czy zdoła przejść przez dziedziniec, nie przelewając krwi. Doszedłszy do wniosku, że jest mu to obojętne, zagłębił się w tłum, a Grégoire podążył za nim. Po chwili uzmysłowił sobie, że Arnauld nie ruszył się z miejsca. Odwrócił się i spojrzał na niego. Arnauld wskazał na wąską bramę pośrodku północnego skrzydła.

– Dyżurnym oficerem garnizonu jest dziś kapitan Dominic le Tellier z Gwardii Szkockiej.

– Podstępny, zapalczywy i zapijaczony ponurak?

– Wątpię, by w Gwardii pozostał choć jeden prawdziwy Szkot, panie. Ja sam służyłem w niej przez rok. To prestiżowa służba, osobista ochrona Jego Wysokości. Przysięgamy chronić króla wszędzie, dokądkolwiek się uda, na przyjęcie, polowanie czy do wód. Żołnierze ochrony idą na wojnę tylko wtedy, gdy król osobiście angażuje się w bój.

– Nie nazwałbym was więc weteranami.

– Mimo to, łaskawy panie, mamy o sobie jak najlepsze zdanie. Jestem pewny, że kapitan le Tellier chętnie zaprowadzi cię do pana Picarta.

– Retz powiedział, że zapewnisz mi wszelką pomoc. Dlatego zaprowadzisz mnie do niego osobiście. Chętnie lub niechętnie, jak wolisz.

– Moglibyśmy pójść inną drogą – zasugerował Arnauld.

– Trzeba było wcześniej o tym myśleć. Pójdę tędy, bo taką mam ochotę.

– Jesteś więc, panie, takim samym fanatykiem jak oni.

– Jeśli teraz podkulimy ogony, będą wiedzieli dlaczego. A na to nie możemy sobie pozwolić, nieprawdaż, Grégoire?

Grégoire podciągnął dumnie swoje nowe, czerwone portki. Teraz dopiero Tannhäuser zauważył, że są za krótkie – nogawkom sporo brakowało do kolan – ale chłopak najwyraźniej nie miał nic przeciwko temu. Paczuszka z prezentem dla Carli, którą wciąż niósł pod pachą, była już tylko wymiętą, przepoconą szmatą.

– Nie możemy, panie – odpowiedział.

– Więc niech ta kreatura będzie ci przewodnikiem – zaproponował Arnauld.

– Wiesz? Mógłbym cię przeciągnąć przez ten plac – odparł Tannhäuser.

Dworzanin zstąpił po stopniach na dziedziniec tak, jakby zanurzał się w sadzawce pełnej wymiocin.

– Idź przy mnie, po lewej – rozkazał Tannhäuser. – Możesz sobie wyobrazić, że wciąż słyszysz w Gwardii Szkockiej. Głowa wyżej. Patrz tam, na tę bramę. Jeśli broń pójdzie w ruch, łap Grégoire’a i zwiewaj.

Ruszyli. Arnauld musiał niemal kłusować, by nadążyć za zamaszystymi krokami Tannhäusera. Choć złościło to Mattiasa niepomierne, wytyczył sobie kurs kilkoma prostymi odcinkami pomiędzy skupiskami hugenotów, tak by uniknąć niepotrzebnej konfrontacji. Gdyby jednak ktoś postanowił celowo zastąpić mu drogę, był gotów rozwiązać sprawę po męsku. Minęli kilka grup obrzuceni jedynie nieprzyjaznymi spojrzeniami. Gdy pokonawszy pół drogi, znaleźli się pośrodku dziedzińca, zaczęły się pokrzykiwania.

– Cóż to za tłusta świnia?

– Zad ma większy niż królowa!

– I pewnie częściej widywał kutasa.

Śmiechy. Chcąc odwrócić uwagę Arnaulda, Tannhäuser zagał rozmowę.

– Do tej pory zwiedzałem miasto pieszo, ale mam nadzieję, że da się tu znaleźć konia.

– Szlag, szlag, szlag – wyszeptał wystraszony Arnauld.

– Może w pałacowej stajni?

– Tylko za specjalnym pozwoleniem.

– Wyglądasz dostatecznie specjalnie, żeby mi je załatwić.

– Wolałbym nakaz aresztowania cię, panie.

Dwadzieścia stóp przed nimi jeden z hugenotów odłączył się od grupy. Stał dokładnie naprzeciwko Tannhäusera i skrzyżował ramiona na pękatej piersi. Wyglądał na dość twardego, by stanąć do walki, i na dość wściekłego, by jej pragnąć. Liczne blizny na jego twarzy dowodziły, że brał udział w niejednej burdzie, lecz w istocie tacy jak on często czerpali odwagę ze wsparcia swych towarzyszy. Tannhäuser obrzucił grupkę szybkim spojrzeniem, na wypadek gdyby osilek miał być tylko elementem odwracającym uwagę od kogoś znacznie bardziej niebezpiecznego. Nie dostrzegł jednak innych kandydatów.

– Co teraz? – zakwilił Arnauld.

– Daj mi więcej miejsca, ale nie zatrzymuj się.

Arnauld położył dłoń na rękojeści szpady i upewnił się, czy gładko wychodzi z pochwy.

– Zabierz tę łapę i rób, co każe.

Zbliżywszy się do barczystego hugenota, Tannhäuser zmienił nieco kurs, by konfrontacja nie była nieunikniona. Osilek jednak ani myślał ustąpić. Przesunął się o krok i wskazując palcem na Arnaulda, przemówił do Tannhäusera:

– Jak smakuje jego dupa?

Tannhäuser bez słowa pochwycił wysunięty palec i szarpnął go w tył. Osilek zawył z bólu. Nie mogąc zrobić użytku z własnej siły, zdołał jedynie odchylić się w ślad za mijającym go przeciwnikiem, by uniknąć wyłamania palca. W tym momencie Tannhäuser użył prawej nogi, by podciąć mu kolano. W chwili, gdy potężne cielsko upadało na bruk, poczuł w dłoni trzask i wtedy dopiero wypuścił palec, złamany na wysokości drugiego stawu. Wszystko to odbyło się tak błyskawicznie, że nawet nie zwolnił kroku. Nie obejrzał się też za siebie, bo nie musiał. Teraz to pokonany osilek przykuwał uwagę zebranych, nie trójka maszerujących ku północnemu skrzydłu. Arnauld nie wytrzymał, musiał zerknąć przez ramię.

– Patrz przed siebie – upomniał go Tannhäuser. – Minie chwila, nim się podniesie. Kolejna – nim zapanuje nad wstydem. A wtedy będziemy już za bramą. Zanim ogarnie go wściekłość, będzie już problemem dla Gwardii, nie dla nas.

Bez dalszych przeszkód dotarli do bramy. Dwaj gwardziści trzymający straż przy stopniach powitali ich, szczerząc zęby zza halabard. Z aprobatą skinęli głowami na powitanie Tannhäusera i celowo nie spojrzeli nawet na Arnaulda, co tylko wzmogło jego irytację.

– Właśnie tego rodzaju bezczelność jest moim krzyżem, który zmuszony jestem dźwigać tylko dlatego, że jestem tak blisko d’Anjou.

Henryk księżę d'Anjou – mężczyzna, który zdecydowanie wolał nosić damską biżuterię niż broń – był młodszym bratem króla i nie darzył hugenotów namiętną miłością. Swe dekadencje ciągoty miał zwyczaj karcieć osobliwym sposobem: bicząc się raz na jakiś czas.

– Nie zważaj na nich – poradził mu Tannhäuser. – Dobrze się spisałeś.

– Naprawdę?

– Nie straciłeś głowy, a w dodatku byłeś gotowy walczyć.

Arnauld jakby urósł, wkraczając do głównego holu. Przystanął, rozejrzał się, a potem ruszył w głąb korytarza. W starej części pałacu okna były ledwie szparami w kamiennych murach. Lampy i świece z trudem rozpraszały mrok.

– Jesteś jednym z *mignons* księcia d'Anjou? – spytał Tannhäuser.

– Przyjacielem i doradcą. Jednych i drugich bardzo mu brakuje.

– Odniosłem wrażenie, że doradców jest tu więcej niż lokajów.

– Pałac to kocioł spisków i rywalizacji.

– Może właśnie dlatego?

– A skoro już o moim protektorze: upodobanie księcia d'Anjou do wytwornej odzieży nie oznacza jeszcze, że jest on sodomitą. Nie świadczy o tym także tolerancja, którą okazuje wielu swoim faworytom, ceniącym męską miłość. Widziałem na własne oczy, jak brał od tyłu pokojówkę zajętą szorowaniem podłogi, choć uczciwość nakazuje mi przyznać, że zamierzał wtedy sprawdzić się w oczach swej matki, która również była świadkiem tego zdarzenia.

– Męska miłość, jak to nazwałeś, jakoś nigdy nie pochłaniała moich myśli. Muszę teraz o niej słuchać?

Arnauld uśmiechnął się krzywo.

– Powiedz mi, panie, dlaczego uparłeś się, by przejść przez dziedziniec?

– Nie cieszysz się, że to zrobiliśmy?

– Owszem.

– Oto i cała odpowiedź.

Weszli do przestronnej sali, zagraconej resztkami teatralnych dekoracji.

– Zaczekaj tu – powiedział Arnauld. – Christian Picart, tak?

Tannhäuser skinął głową. Gdy dworzanin się oddalił, by wziąć na spytki urzędującego tu biurokrate, rozejrzał się uważniej po sali. Pod ścianą stały sztuczne góry pomalowane na srebrno i zwieńczone tronami. Obok porzucono fragmenty scenografii udającej piekielny ogień. Maski demonów i diabłów zajmowały kilka półek. Na wieszakach

wisiały kostiumy aniołów i zwierząt. Dziwne dźwięki, które nagle usłyszał, skłoniły go do wejścia głębiej w to składowisko osobliwości. Stłumione szelesty dobiegały spod narzuty. Cisza. Coś jakby szepty i pojękiwanie. Znowu cisza. Tannhäuser uniósł zakurzoną, aksamitną połąć, a wtedy odezwał się znienacka chór skrzeczących głosów, tak donośnych, że odruchowo cofnął się o dwa kroki, ciągnąc za sobą narzutę.

Klatkę wykonano z listew z twardego drewna, a w jej wnętrzu kłębiła się liczna rodzina małp, z których żadna nie była większa od wiewiórki. Futerko miały krótkowłose i żółtawe, wokół oczu i pyszczka zabarwione czernią, przez co ich łebki podobne były do nagich czaszek. Drobne, zwinne palce zaciskały się wokół listew noszących ślady zębów. Zwierzęta oddychały szybko i płytko, a ich obnażone chwilami dziąsła miały szary odcień. Niektóre leżały na dnie klatki, patrząc na Tannhäusera zapadniętymi ślepiami, zbyt słabe, by się poruszyć. Grégoire spojrział na nie i westchnął współczująco.

– Co to za jedne?

– To małpy.

Grégoire z niemałym wysiłkiem spróbował powtórzyć nieznane sobie słowo.

– Żyją na drzewach. Przywieziono je z Nowego Świata, krainy po drugiej stronie oceanu.

– Są głodne i wystraszone. Nie mają wody.

– Słuszna uwaga. Pomóż mi.

Tannhäuser odrzucił na bok aksamitną narzutę. Przy wtórze jeszcze głośniejszych małpich wrzasków pospołu z Grégoire'em dźwignął klatkę i przeciągnął ją z dalekiego kąta sali w pobliże drzwi. Arnauld, który właśnie wrócił, spojrział na zwierzęta z niesmakiem.

– Co robicie?

– Nieszczęsne istoty konają z pragnienia. Tutaj przynajmniej będą mogły dać sygnał swemu opiekunowi.

Zostawiwszy rozwrzeszczane małpy, oddalili się w głąb korytarza.

– Dlaczego szukasz Picarta, panie? – spytał Arnauld.

– Powie mi, gdzie znajdę moją żonę.

– Przezywają go Małym Christianem, bo przyszedł na świat z pewną deformacją genitaliów... Wiem z dobrego źródła, że nie ma jąder, a jego penis jest ledwie widoczny. W młodości fakt ten czynił go wielce atrakcyjnym dla osób o co bardziej wyszukanych gustach erotycznych, a nie muszę chyba dodawać, że to miejsce przyciąga je niczym łajno muchy. Christian zaś znosił te upokorzenia w przekonaniu, że pomoże mu to w karierze dramaturga. I może by pomogło, gdyby tylko miał choć krztynę talentu.

– Jest pisarzem?

– Napisał jedną sztukę, bezczelnie zapożyczoną od Gringoire’a, tylko mniej dowcipną, a wyróżniającą się głównie pretensjonalnością formy oraz miałością treści. W niektórych kręgach wysoko się ceni taką twórczość, ale jej czas przeminął wraz urokiem nowości jego pośladków i to był kres kariery Małego Christiana. Obecnie jego specjalnością są złośliwe pamflety na bardziej utalentowanych twórców oraz fatalne erotyki pisane na prywatne zamówienie. Najwyżej jednak ceni się jego pokazy seksualnych dziwactw, które organizuje tu, na dworze, ku uciesze swych dawnych prześladowców. Potrafi zebrać całe zastępy karłów, zdeformowanych dzieciaków i innych wybryków natury, tak przynajmniej słyszałem z wiarygodnego źródła. Oficjalnie zaś zajmuje się organizowaniem dworskich rozrywek.

– Nie jest więc prawdziwie znaczącą postacią.

– Czyż może istnieć ktoś mniej ważny niż niewydarzony dramaturg?

– W życiu nie widziałem żadnego spektaklu – wyznał Tannhäuser.

– Mnie zaś, panie, wystarczyło pół godziny twego towarzystwa, bym stracił ochotę na teatr.

Arnauld zajrzał do trzech kolejnych gabinetów. Ponoć rano Christian był bardzo zapracowany, teraz jednak, jak i przez całe popołudnie, nikt go nie widział i nikt nie wiedział, gdzie go szukać.

– Zrobiłem, co mogłem – oświadczył Arnauld. – Polecę Dominicowi le Tellierowi, by rozesłał swoich gwardzistów, niech odnajdą tego łajdaka. Potem zaś, jeśli pozwolisz, zajmę się innymi sprawami, a mam ich naprawdę sporo.

Tannhäuser skinął głową.

Wrócili do holu i przystanęli. W smudze światła padającej od strony uchylonej bramy stali dwaj mężczyźni dyskutujący z ożywieniem. Tannhäuser widział tylko twarz wyższego z nich, oficera ubranego w kosztowny kaftan z bufiastymi rękawami i pończochy w identycznym kolorze. Był przystojny, a tłem dla jego urodziwego oblicza była bielutka kryza. W pewnej chwili spojrzął ponad głową swego towarzysza i zbyt szybko skierował wzrok wprost na Tannhäusera. Mattias nie po raz pierwszy odniósł wrażenie, że rozpoznał go ktoś, kogo nigdy wcześniej nie spotkał.

– Nareszcie – rzekł Arnauld. – Oto i Dominic le Tellier.

Dominic skinął głową, a wtedy i jego towarzysz obejrzał się przez ramię. Łasicowaty w aksamicie koloru butelkowej zieleni, ten z Sali Wielkiej, skojarzył natychmiast Tannhäusera.

Mężczyzna wyglądał na zaniepokojonego; odwrócił się czym prędzej, podobnie jak uczynił to wcześniej, wśród straganów.

– A przy nim Mały Christian – dodał Arnauld. – Mam cię przedstawić, panie?

Tannhäuser przyjrzał mu się uważnie, ale nie dostrzegł w oczach dworzanina żadnych oznak podwójnej gry.

– Nie. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, nasze drogi więcej się nie przetną, ale nie zapomnę twojej szczodrości.

– Zatem posłuchaj jeszcze mojej rady. Wyobraź sobie gniazdo, w którym mieszka rodzina wyjątkowo wrednych i mocno przekarmionych szczurów. Jej członkowie nienawidzą się całym sercem i z pełną wzajemnością. Wyobraź sobie też, że gniazdo to zdobią pajęczyny utkane z najczystszych kłamstw i że biegają po nich jadowite pająki niemal tak wielkie jak owe szczury. Wyobraź sobie nareszcie, że gniazdo to ukryte jest w jamie pełnej żmij i ropuch plujących trucizną.

– Gdybyś kiedy namalował taką scenę, uradowałbyś króla Hiszpanii.

– Nie żartowałbym na twoim miejscu, panie, stoimy bowiem właśnie w takim gnieździe, w takiej sieci, w takiej jamie. Tu wystarczy plotka, by lojalność zmieniła bieguny. Święte przysięgi łamie się dla kaprysu, a stare przyjaźnie niszczy dla obietnic, które nie zostaną dotrzymane. Nawet człek uczciwy, a jest tu takich niewielu, może pójść wieczorem do łóżka związany z jedną facją, a obudzić się jako zwolennik innej tylko dlatego, że gdy spał, jego pan zawarł nowy sojusz. Krótko mówiąc: opuść to miejsce, gdy tylko będziesz mógł.

– Zamierzam nawet opuścić to miasto, i to już o wschodzie słońca, jeśli nie wcześniej.

– To dobrze. – Arnauld skłonił się lekko. – Niech cię Bóg prowadzi.

– A ty uważaj na dziedzicu.

Arnauld uśmiechnął się, a potem odwrócił na pięcie i ruszył w stronę bramy.

Tannhäuser wskazał palcem na Christiana Picarta.

– Grégoire, spójrz no na tego człowieka, który rozmawia z kapitanem. Na tego, co wymachuje łapami jak małpa.

Grégoire skinął głową.

– Widziałeś go już kiedy?

Grégoire znowu skinął głową.

– Gdzie?

– Przed Czerwonym Wołem, po drugiej stronie ulicy. Niedaleko bramy kolegium.

– Zanim zaczęliśmy jeść czy później?
– Gdy skończyliśmy, a dziewczęta miały nas zaprowadzić do warsztatu ojca.
– Pięknie. Idź teraz, stań przy bramie i popatrz, jak młody Arnauld przechodzi przez dziedziniec. Jeśli będzie miał kłopoty, wróć i powiedz mi o tym.

Tannhäuser podszedł do Dominica.

– Chcę porozmawiać z tym tu, Małym Christianem.

Dominic nie skomentował tego nieuprzejmego wstępu.

– Jak sobie życzysz, panie – odpowiedział i oddalił się.

Christian odwrócił się z fałszywym uśmiechem na twarzy, jakby widział Tannhäusera po raz pierwszy.

– Christian Picart, do usług, mój panie.

– Mattias Tannhäuser, hrabia de la Penautier. Dano mi do zrozumienia, że możesz mi powiedzieć, gdzie się zatrzymała moja żona, pani Carla.

– Pani Carla jest gościem Symonne d’ Aubray.

– Będę wdzięczny za bliższe wskazówki.

– Mogę cię do niej zaprowadzić, panie, jeśli tylko jesteś skłonny chwilę zaczekać.

– Kim jest Symonne d’ Aubray?

– Wdową po Rogerze d’ Aubray – odparł Christian.

– Nie słyszałem ani o niej, ani o jej mężu.

– Roger był kupcem i powszechnie poważanym rektorem protestanckiej wspólnoty Paryża.

Christian umilkł, jakby czekał na reakcję Tannhäusera na wieść o tym, że jego żona nocuje w domu prominentnych hugenotów. Wobec nastrojów panujących w mieście z pewnością nie była to dobra nowina.

– Mów dalej – rzekł Tannhäuser.

– Został zamordowany w zeszłym roku, podczas zamieszek związanych z przenoszeniem krzyża de Gastines’ów². Symonne przejęła jego interesy i dziś z niemałym powodzeniem sprowadza z Niderlandów złote nici.

– Moje gratulacje. Ale dlaczego właśnie ona gości moją żonę?

Christian rozłożył ręce.

² Krzyż de Gastines’ów (Croix de Gastines) – pomnik upamiętniający miejsce, gdzie stał dom Philippe’a de Gastines’a, w którym potajemnie gromadzili się protestanci. W wyniku zdrady Philippe, jego brat i szwagier zostali aresztowani i skazani na śmierć. Dom zburzono, a na pustym placu po nim katolicy postawili krzyż. W grudniu 1571 r. na rozkaz Karola IX krzyż przeniesiono na Cmentarz Niewiniątek, czemu towarzyszyły zamieszki między katolikami a protestantami, które uznaje się za preludium nocy św. Bartłomieja.

– Obie znakomicie muzykują, podobnie jak czworo dzieci d’Aubrayów. A ponieważ naczelnym motywem królewskich zaślubin jest zgoda między religiami, ich wspólny występ uznano za znakomity pomysł. Miała to być, że się tak wyrażę, muzyczna alegoria.

– Kto uznał?

– Cóż, można powiedzieć, że wszyscy, nie wyłączając czcigodnej pani Carli, skoro przyjęła zaproszenie. Niestety, z powodu nieszczęśliwego zbiegu okoliczności cały bal, a więc i muzyczną alegorię, w ostatniej chwili odwołano.

– Kto wpadł na pomysł owej alegorii?

– Niestety, nie wiem – odparł Christian. – Mogę jedynie powiedzieć, że zaproszono ponad tysiąc gości. Polecono mi zadbać o godne przyjęcie pani Carli oraz bardzo wielu innych osób, które zaproszono do udziału w uroczystościach.

– Czy to ty zdecydowałeś, że będzie nocowała u madame d’Aubray?

– O nie, panie – odpowiedział pospiesznie dworzanin. – Na to jestem zdecydowanie zbyt skromnym sługą.

– Zatem kto?

– Ja dostaję jedynie listy nazwisk oraz polecenia. A są to długie listy. Nazwiska trafiają na nie w toku przeciągłego i skomplikowanego procesu – czasem dzięki staraniom przyjaciół, czasem za zasługi, łapówki albo długi. Doprawdy trudno mi odpowiadać za to, że takie obyczaje panują na dworze.

Mały Christian łągał, a ściślej mówiąc, maskował prawdę masą ogólników. Tannhäuser był też pewny, że to on, niedorobiony literat i luj w jednej osobie, z jakiegoś powodu śledził jego ruchy w mieście. Gdyby jednak przesłuchał go teraz, usłyszałby co najwyżej nowe kłamstwa. Zadowolające odpowiedzi mógł wydobyć zeń, jedynie budząc w nim strach i zadając ból, ale tu, w pałacu królewskim, nie mógł zastosować owych najprostszych metod.

– Powiedz mi, gdzie mam szukać pani Carli.

– Naprawdę nie chcesz, panie, bym był twoim przewodnikiem? Moglibyśmy wyruszyć dosłownie za godzinę.

– Próbujesz mnie zatrzymać?

– Ależ skąd, panie.

– Mam już przewodnika. Wystarczą mi wskazówki.

Christian zatrzepotał powiekami, jakby miał nadzieję, że ktoś przybędzie mu z pomocą.

– Będą dość proste jak na paryskie warunki. Pójdź wzdłuż rzeki na wschód, aż do place de Grève, który rozpoznasz po gmachu Hôtel de Ville oraz po szubienicy. Skręć wtedy na północ i idź dalej, wypatrując rue du Temple. Po prawej miniesz starą kaplicę i klasztor. Nieco dalej ujrzysz resztki dawnych murów miejskich, za którymi wznosi się sama Temple. Na południe od owych murów, po zachodniej stronie ulicy, zauważysz trzy piękne domy w całkiem nowym stylu, wybudowane nie dawniej niż dziesięć lat temu. Trudno je przeoczyć, tak wiele w nich szkła. Środkowy jest nieco wyższy od sąsiednich i ma dwudzielną fasadę. Nad drzwiami wykuto zaś motyw trzech pszczoł. I to właśnie jest dom d’Aubrayów.

– Lepiej, żebyś się nie mylił.

– Mam nadzieję, że bliskość Temple podniosła cię na duchu, panie.

– Niby dlaczego miałbym potrzebować pocieszenia?

– Chciałem jedynie być uprzejmy, panie. Czy mogę czymś jeszcze ci służyć?

– Możesz mi na przykład powiedzieć, gdzie się znajduje Collège d’Harcourt – odparł Tannhäuser.

Nie był to może najsubtelniejszy potrzask, ale Mały Christian nie spodziewał się ataku. W tej krainie intryg kłamstwo było tak powszechną bronią, że niekiedy najsprytniejszą taktyką była zwykła uczciwość.

– W tym mieście nie brakuje kolegów, panie. Obawiam się, że wiem o nich bardzo niewiele, w zasadzie tylko tyle, że większość znajduje się na lewym brzegu.

– Podobno mieści się w pobliżu karczmy zwanej Czerwonym Wołem.

– Karczmy mamy tu dziesięć razy więcej niż kolegów, panie.

Tannhäuser nie odezwał się.

Christian poruszył się nerwowo, jakby nie był pewny, kto kogo przechytrył. Wiedział, że Tannhäuser doskonale zna położenie obu budynków – przecież sam go tam widział. Nie ośmielił się jednak o tym wspomnieć. Taktyka zaprzeczania wydawała mu się najbezpieczniejsza, dlatego postanowił, że pozostanie jej wierny.

– Mam spytać kogoś o informacje w tej sprawie, panie?

– Sam się dowiem.

Kłamstwa Christiana utwierdziły Tannhäusera w przekonaniu, że był przez niego śledzony aż do chwili, gdy spotkał Retza. Pedel z kolegium musiał posłać doń umyślnego, gdy Mattias się posilał. Czym zajmował się Orlandu, skoro ktoś zarządził tak błyskawiczną akcję szpiegowską? Na odpowiedź należało jeszcze poczekać. Teraz najważniejsza była Carla, a szczegółowe informacje dotyczące miejsca jej pobytu wydawały się wiarygodne.

– Ostatnia sprawa, za to pilna: twoje małpy zdychają z pragnienia.

– Moje mały, panie?

– Dopilnuj, żeby zostały napojone i nakarmione. I to bez zwłoki.

Christian skłonił się i wycofał na bezpieczną odległość, a potem odwrócił się i oddalił bardzo żwawym krokiem.

Tannhäuser usłyszał tupot nóg, a zaraz potem chrzęst broni i ekwipunku.

– Tam jest, świnia!

Odwrócił się. Czterej hugenoccy szlachcice stali przed nim w dość groźnej formacji. Najstarszy był osiłek z dziedzica; najmłodszy był ledwie gołowąsem. Towarzyszyli im dwaj żołnierze Gwardii Szkockiej. Dominic le Tellier stał przed nimi, nieco z boku, a na jego twarzy nie było już nawet śladu przyjaznych uczuć. Jeden z hugenotów trzymał za kołnierz Grégoire'a, na którego policzku widać było jeszcze czerwony odcisk dłoni. Tannhäuser odetchnął głęboko, by zapanować nad nagłym pragnieniem dokonania dość brutalnych czynów.

– Widzę, że chłopcy z was na schwał, pokonaliście bezbronnego chłopca. Wypuście go.

– Ci szlachetni panowie... – zaczął Dominic.

– Ci szlachetni panowie wypuszczą chłopca.

Hugenot pchnął Grégoire'a z całej siły.

Tannhäuser pochylał się nad swym sługą i unióś jego podbródek, przyglądając się zaczerwienionemu policzkowi.

– Cały jesteś, chłopcze?

Grégoire skinął głową.

– Stań za mną.

Tannhäuser spojrzał na Dominica.

– Który z tych wielkich wojowników go uderzył? A może to Gwardia Szkocka potrzebuje ćwiczeń?

– Skarciłem go, bo na to zasłużył – odparł Dominic. – Był bezczelny.

– Może go zacytujesz?

– Dość tego – wtrącił osiłek. – Przejdźmy do rzeczy.

– Zaczekaj na swoją kolej albo sięgnij po miecz – odparował Tannhäuser.

Miecz pozostał w pochwie. Mattias znowu spojrzał na Dominica.

– Grégoire jest moim sługą i ja będę go karmił.

Dominic skłonił głowę.

– Nie wiedziałem, panie. Błagam o przebaczenie.

- A teraz przejdźmy do rzeczy.
- Ci szlachetni panowie twierdzą, że splamiłeś ich honor.
- Wszyscy czterej? Nawet nie zauważyłem kiedy.
- To bracia – wyjaśnił Dominic. – Obelga wobec jednego jest obelgą wobec wszystkich.

Opasłe tomy spisano, by wyjaśnić formalne zawilości kodeksu pojedynków, a powstały one – podobnie jak inne kodeksy honorowe i rzekome prawa wojenne – wyłącznie po to, by podtrzymać iluzję na użytek tych, którzy byli zbyt cywilizowani, by rozkoszować się barbarzyństwem w czystej postaci. Wedle postanowień kodeksu obrazy można się było dopuścić słowem lub czynem, a jako że obie kategorie były z natury swej szerokie, pojedynkowano się nader często. Tannhäuser nigdy nie brał udziału w formalnym pojedynku; wolał załatwiać swoje sprawy bez zbędnych ceremoniałów. Jednak w przeciwieństwie do ludzi niższych stanów jako hrabia mógł teraz stosować przemoc w majestacie prawa, toteż nie zamierzał przepuścić okazji.

Dominic wskazał na osiłka ze złamanym palcem.

- To jest pan Benedykt z...
- Jego imię przeczytam na nagrobku – wpadł mu w słowo Tannhäuser.
- Pan Benedykt twierdzi, że zraniłeś go w sposób nieuczciwy, podstępny i niehonorowy. Jeśli to prawda, to bez dalszych ceregieli wzywam cię, panie, byś stanął do walki albo zadośćuczynił za swój błąd.

Tannhäuser poczuł lekkie ukłucie w sercu, gdy pomyślał, że Carla nie byłaby zachwycona tym, co miał ochotę zrobić. Jeżeli przeprosiny, nawet całkiem nieszczerze, miały sprawić, że obędzie się bez rozlewu krwi, musiał spróbować – był jej to winien.

Z wysiłkiem przełknął ślinę.

- W jaki sposób miałbym zadośćuczynić temu panu?

Trudno powiedzieć, jakim cudem, ale udało mu się wypowiedzieć te słowa w taki sposób, że „temu panu” zabrzmiało całkiem jak „tej kupie łajna”. I wszyscy to zauważyli.

Benedykt przystąpił o krok bliżej.

- Daj sobie uciąć palec wskazujący prawej dłoni.

Kamień spadł Tannhäuserowi z serca.

- A jeśli odmówię?
- Odmowa będzie równoznaczna z twierdzeniem, że jestem kłamcą – wyrecytował Benedykt. – Niepodobna żyć w stanie takiej hańby, dlatego śmierć musiałaby zakończyć mój lub twój żywot.

W tym momencie u jego boku stanął młodszy brat.

– Ponieważ jednak – odezwał się ów młodzieniec – twoje podstępne działanie sprawiło, że mój brat odniósł kontuzję, która uniemożliwia mu walkę, to ja, Oktawian, jako jego sekundant, wyzywam cię na pojedynek.

Oktawian był wyższy i szczuplejszy od Benedykta, młodszy o ładnych kilka lat i nieco bardziej przystojny. Nosił u boku jeden z owych długich rapierów o czworobocznym przekroju, jakże modnych wśród tych, których noga nigdy nie stanęła na polu bitwy. Sądząc po sposobie, w jaki go nosił, uważał się za mistrza fechtunku. Z niezachwianą pewnością siebie spojrzął na krótszy i szerszy miecz Tannhäusera, zdążył i do pchnięć, i do cięć.

Mattias spojrzął na Dominica.

– Uważasz, że to zgodne z prawem?

Dominic wzruszył ramionami.

– Sekundanci często korzystają z tej możliwości.

– Rozważ najpierw propozycję mego brata – odezwał się znowu Oktawian. – W pojedynkach zabiłem już pięciu ludzi.

Tannhäuser parsknął śmiechem. Po chwili zwrócił się do Benedykta:

– Pokaż no tę straszliwą kontuzję.

Benedykt uniósł dłoń na wysokość twarzy Mattiasa. Palec zdążył mu spuchnąć jak szpula nici, a w miejscu pęknięcia utworzył się dorodny siniak. Tannhäuser chwycił go błyskawicznym ruchem i wykręcił w bok. Trzask rozniósł się echem po pałacowym holu, podobnie jak dziki wrzask Benedykta. Tannhäuser był pewny, że tym razem pękły także ścięgna. Benedykt opadł na kolana, zaciskając szczęki w nieznośnym bólu. Tannhäuser spojrzął na Oktawiana.

– Odejdźcie stąd albo was pozabijam. Pomyśl o tym gołowąsio. – Mówiąc to, ruchem głowy wskazał na jasnowłosego młodzika, który nie umiał ukryć przerażenia.

Oktawian popatrzył na brata. Nie był już tak pewny siebie.

Wściekłość Benedykta wreszcie wzięła górę nad bólem.

– Oktawian! Zabij go!

Tannhäuser wbił kolano w jego podbródek. Osilek runął na posadzkę bez zmysłów.

Oktawian pobladł jeszcze o ton, ale położył dłoń na rękojęści rapiera.

– Chcesz, żeby okrzyknięto cię tchórzem? – spytał Dominic le Tellier. – Czy będziesz walczył o honor?

Tannhäuser spojrzął na niego w milczeniu.

Kapitan wycofał się i stanął za plecami swych gwardzistów.

– Będę walczył – odpowiedział Oktawian.

– W takim razie do mnie należy wybór czasu, miejsca oraz broni – oznajmił Tannhäuser.

Nikt nie zamierzał podważać tej kodeksowej zasady.

– Teraz. Na dziedzińcu. Z użyciem tego.

Tannhäuser wskazał na ścianę ponad bramą. Przytwierdzono do niej dwa kiścienie, skrzyżowane rękojeściami okutymi żelazem. Rozległy się ciche pomruki, a twarz Oktawiana stała się jeszcze o ton bledsza.

– Nie umiem władać tą bronią – powiedział.

Tannhäuser też nie umiał, ale uśmiechnął się.

– No to cię nauczę.

Tłum na dziedzińcu rozstąpił się, zostawiając kwadratowe pole, na którym miał się odbyć pojedynek na śmierć i życie. Tannhäuser podał Grégoire'owi swój miecz oraz sztylet.

– Grégoire, będziesz moim sekundantem – powiedział, po czym wskazał na Oktawiana, konferującego ze swymi braćmi. – Zabiję tego człowieka. Rozumiesz?

Grégoire przeciągnął językiem po pękniętej wardze, przy okazji zlizując śluz z dziąseł.

– Jeżeli ktokolwiek wejdzie na plac boju, musisz natychmiast podać mi miecz. Biegiem, najszybciej jak potrafisz, trzymając za pochwę tak, żebym mógł chwycić rękojeść. Pokaż, jak to zrobisz.

Grégoire zsuł buty, odsłaniając nowiutkie, podarte pończochy oraz pęcherze i krwawe otarcia na stopach. Zaczerpnął tchu i chwycił pochwę miecza, kierując rękojeść ku przodowi.

– Tak?

– Doskonale. Będzie z ciebie świetny sekundant.

– Zginiesz, panie?

– Nie dziś.

Ścisnął w dłoni trzonek. Ogniwa łańcucha zabrzęczały, gdy upewniał się, czy żadne z nich nie jest pęknięte. Kula z polerowanego żelaza, wielkości dużego jabłka, nabijana była stożkowanymi ćwiekami, których zadaniem było przebijanie zbroi płytowej. Tannhäuser nigdy nie posługiwał się w boju taką bronią. Zdecydował się na nią dlatego, że sam wybór wystarczył, by pokonać Oktawiana. Bracia głośno komentowali tę niesprawiedliwą decyzję, a to tylko osłabiało morale młodego hugenota. Benedykt wręcz płakał, tym razem wcale nie z bólu.

Słońce opadło już za dachy zachodniego skrzydła, okrywając krwistą czerwienią jego nowiutkie dachówki i kominy. Tannhäuser zważył kiścień w lewej dłoni i zamachnął się na próbę, a potem obrócił się plecami do słońca i ruszył. Tłum umilkł. Tannhäuser przyklęknął, przeżegnał się i powstał, czując na sobie wzrok wielu. Niespiesznie potoczył spojrzeniem po twarzach hugenotów.

– Oktawian woli walczyć po ciemku?

Jego przeciwnik odłączył się wreszcie od braci, którzy poklepując go po plecach, udzielali mu ostatnich rad. Zbliżając się, wycofał kiścień za plecy i zaraz zmienił ułożenie stóp, by skompensować jego ciężar. Widać było, że będzie mierzył w nogi – był to najrozsądniejszy wybór. Zaczął kręcić młynka, przemieszczając się po łuku, by obejść Tannhäusera z prawej – i omal się nie przewrócić.

Tannhäuser ruszył po prostej, trzymając trzonek lewą ręką nieruchomo na wysokości piersi. To on był faworytem tej walki, dlatego spoglądał prosto w oczy Oktawiana. Gdyby układ sił był odwrotny – a przecież wiele razy tak właśnie bywało – patrzyłby w jego usta, oczy silniejszego są bowiem mroczną otchłanią, w którą łatwo wpaść. Oktawian usiłował wytrzymać jego spojrzenie. Dzieliło ich już tylko dziesięć stóp. Oktawian wciąż przesuwiał się po łuku, wciąż zataczał koła żelazną kulą i wciąż to ona panowała nad nim, a nie on nad nią. Powoli dojrzewało w nim zdumienie faktem, że przeciwnik nawet nie bierze zamachu.

Tannhäuser przystanął.

– Poddaj się – powiedział.

Oktawian zacisnął usta i to właśnie zdradziło jego zamiary. Zamierzał trafić w udo Tannhäusera, ale nie w pełni kontrolował naprężenie łańcucha, zbyt mocno pchnął do przodu trzonek i zaburzył tor lotu kuli. Ogniwa zabrzęczały leniwie; cios był zbyt wolny. Tannhäuser cofnął lewą stopę i stalowe ćwieki przemknęły tuż obok jego nogi. W tej samej chwili prawą dłonią chwycił swoją kulę, obserwując, jak siła zamachu oplata ramię Oktawiana wokół piersi.

Skoczył, tuląc żelazny ciężar do szyi niczym artylerzysta, który założył się z towarzyszami o to, jak daleko zdoła pchnąć kulę armatnią. Wykorzystując prędkość i masę całego ciała, wyprostował rękę i wbił nabijany ćwiekami ciężar w twarz Oktawiana z taką mocą, że poczuł w kościach wibracje.

Chwycił się za ramię, ale się nie cofnął.

W głębokiej ciszy panującej na dziedzińcu odgłos żelaza przebijającego ciało i kość zabrzmiał jak wystrzał. Krew trysnęła na pierś atakującego, a Oktawian runął na ziemię ze zduszonym okrzykiem bólu. Tannhäuser stanął nad nim i przyjrzał się swemu dziełu. Kości

twarży, od żuchwy aż po czoło, zapadły się od zderzenia z kulą. Oko gdzieś zniknęło, przemieściło się w górę i w głąb czaszki. Przez dziury wyrwane tępymi kolcami w miękkich tkankach policzka widać było zakrwawione zęby.

– Chirurdzy nie takim ranom dawali radę – oznajmił Tannhäuser. – Poddaj się.

Oktawian potrząsnął głową. Tannhäuser spojrział po twarzach ponurych, milczących widzów. Bracia byli jeszcze w szoku. Uniósł kiścień prawą ręką.

– Proszę go po raz trzeci, by się poddał – zawołał.

Oktawian pokręcił głową.

Tannhäuser zdążył już oszacować siłę, jakiej potrzeba było, by przebić czerep, ale jego mięśnie najwyraźniej nie miały ochoty na ten ruch. Nie, nie miał dylematów moralnych, to tylko ramię straciło zapal do walki. Zresztą całe ciało miało dość. Odwrócił się i spojrział na Grégoire'a.

Chłopak biegł sprintem ku niemu.

Tannhäuser obejrzał się i zobaczył Benedykta, który mając obłąd w oczach, zbliżał się z rapierem w lewej dłoni. Ryk, który wydarł się z piersi hugenota, podziałał jak okrzyk wojenny na dwóch pozostałych braci, którzy natychmiast ruszyli za nim. Tupot bosych stóp ucichł, Grégoire podał miecz swemu panu.

– Dzielny chłopak. A teraz zmykaj.

Tannhäuser zakręcił mieczem, szykując się do odparcia ataku. Benedykt działał dość bezmyślnie: najwyraźniej zamierzał po prostu biec za swym rapierem. Tannhäuser czekał, a gdy nadszedł odpowiedni moment, ustąpił na prawo i sparował proste pchnięcie. Cięższa klinga bez trudu poradziła sobie ze smukłym rapierem, a Benedykt w pędzie postąpił o krok za daleko. Tannhäuser jednym susem znalazł się za jego plecami i z półobrotu wymierzył cios kiścieniem w wewnętrzną część lewej łydki. Piszczel pękła jak porcelana, a że na niej właśnie spoczywał ciężar całego ciała, Benedykt padł twarzą na bruk niczym kłoda.

Tannhäuser zerknął przez ramię za siebie, na trzeciego z braci, który zbliżał się szybkim krokiem, ściskając miecz w prawej i sztylet w lewej dłoni. Nie miał w sobie ani wściekłości Benedykta, ani umiejętności Oktawiana, a może po prostu wiedział, że poważał się na łajdacki, podstępny atak. I dlatego zawahał się. Tannhäuser odstąpił o pół kroku i obracając się w lewo, zasłonił się mieczem. Sparował cios i niemal jednocześnie z całej siły zamachnął się kiścieniem. Kula przecięła powietrze z basowym pomrukiem i wbiła się w czaszkę trzeciego z braci na wysokości ucha. Kość zapadła się do wnętrza, a oko wystrzeliło z oczodołu wraz z kłębem krwawych strzępów. Trup opadł na ziemię przy wtórze jęków i gwizdów aprobaty. Tannhäuser zwrócił się teraz ku czwartemu, ostatniemu z braci.

Gołowas – młodzik co najwyżej czternastoletni – stał z otwartymi ustami, dzierząc w dłoni rapier, i usiłował pojąć, jak to się stało, że w tak krótkiej chwili utracił rodzinę. Spoglądał na Tannhäusera jasnymi oczami, nie mając pojęcia, co robić. Mattias popatrzył na Benedykta, który usiadł na bruku i dyszał jak wciekle zwierzę, osłabione, ale wciąż skore do walki.

– Zdychaj we krwi swoich braci, bo sam ją przelałeś.

Tannhäuser zamachnął się jak drwal rąbiący drewno i tym razem jego ramię nie czuło już żadnych oporów. Kula zagnieździła się w czaszce Benedykta tak głęboko, że wydawało się, jakby z niej wyrosła. Krew spłynęła kaskadami na ramiona, a było jej zadziwiająco wiele. Mattias wypuścił z ręki trzonek i pozwolił, by upadające ciało pociągnęło broń za sobą.

Oktawian dławił się odłamkami roztrzaskanych zatok. Tannhäuser skrócił jego męki pchnięciem w serce. I znowu się odwrócił, by spojrzeć na najmłodszego z braci. Nie miał zamiaru wyrządzić mu krzywdy, ale nie mógł mu zaoferować wiele więcej niż tylko honorowy odwrót.

– Żadna to hańba dla ciebie, jeśli zawrzemy teraz pokój.

Gołowas nie odpowiedział. Rozpacz odebrała mu mowę.

– Jak cię zwą? – spytał Tannhäuser.

– Justyn. – Głos powrócił. – Ale tu... moi bracia... wołali na mnie Juste. A teraz... jestem ostatni.

– Schowaj broń, Juste. I wracaj do swych hugenockich towarzyszy.

Chłopak zacisnął usta, próbując zdławić emocje. Rapier z brzękiem upadł na kamienie.

– Podnieś. Okaż trochę dumy. I idź już.

Nie panując nad drzeniem ramion, Juste pochylił się, podniósł rapier i wsunął do pochwy, a potem odwrócił się i odszedł na miękkich nogach. Tannhäuser splunął żółcią. Spojrzał na Dominica le Telliera, który właśnie nadchodził w asyście dwóch gwardzistów.

– Zgodnie z prawem pojedynków – rzekł Dominic, zatrzymawszy się – ciała należą do ciebie i możesz nimi rozporządzać wedle uznania.

– Nakarmcie nimi psy – polecił Tannhäuser.

– Wedle życzenia.

Równy dotąd szyk hugenotów otaczających kwadratowe pole walki zaczął się załamywać. Dominic skinął na swych żołnierzy, a ci, zamiast zająć się trupami, stanęli wokół Tannhäusera, trzymając halabardy w pogotowiu. Zaskoczyła ich i zaniepokoiła jego

błyskawiczna reakcja: wycofał się nieco i uskoczył w bok, tak by mieć przed sobą tylko jednego gwardzistę, a drugiego nieco dalej, za plecami. W tej pozycji mógł ciąć pierwszego w kolana i natychmiast zająć się drugim. Uśmiechnął się.

– Stać! – rozkazał Dominic.

Gwardziści zastygli w bezruchu, w niezbyt korzystnej formacji.

Tannhäuser znowu zaczął ich okrążyć, licząc na to, że usłuchają rozkazu – i tak się stało. Dominic zrozumiał swój błąd dopiero w chwili, gdy było już za późno: Tannhäuser zatrzymał się tuż przy nim.

– Wyjaśnij mi tę zdradę albo psy padną dziś z przejedzenia.

– Jesteś aresztowany – odpowiedział kapitan.

– Nie złamałem prawa.

– Chcemy cię chronić, to wszystko.

– Przed kim?

– Moi ludzie odprowadzą cię do kwatery, zapewniam, że bardzo wygodnej.

Tannhäuser potrząsnął mieczem i krople krwi Oktawiana spadły na kaftan Dominica, który skrzywił się odruchowo. Gwardziści byli gotowi do ataku, ale i tym razem ich dowódca przełknął zniewagę, wykazując nadzwyczajne opanowanie. Tannhäuser wołał, by uważano go za człowieka, który nie kontroluje się w najmniejszym stopniu.

– Nie oddam broni nikomu podlegszej rangi niż Albert de Gondi.

Dominic nie zastanawiał się długo nad odpowiedzią.

– Szlachcicowi, nawet gdy jest zatrzymany, należy się kredyt zaufania – powiedział.

– Zatrzymaj więc broń, a także swego sługę. Masz moje słowo, że nie dojdzie już do rozlewu krwi.

– Powiedz mi lepiej, komu służysz.

– Nie mogę.

Tannhäuser uniósł czubek klingi na wysokość jego gardła.

– Dość powiedzieć, że wołałbym liczyć na twoją łaskę niż jego – dodał Dominic.

A zatem intryga, pomyślał Tannhäuser. Ale czyja? I w jakim celu? Mógł zabić tych trzech z równą łatwością jak trzech braci. Wątpił, by ktokolwiek z zebranych spróbował zatrzymać go na pałacowym dziedzińcu. Wtedy jednak musiałby uciekać, spędzić gorącą noc w obcym mieście, w którym jedynymi jego przyjaciółmi byli pomocnik stajennego i dwie dziewczyny. Czy mógłby powołać się na Arnaulda lub Retza? Obaj tkwili pewnie po pas we własnych intrygach i trudno byłoby liczyć na ich lojalność wobec człowieka, który zabił

trzech gwardzistów z królewskiego pałacu. Gdyby zbiegł, dola uciekiniera czekałaby także Carlę – jeśli nie przesłuchanie, którego wolał sobie nawet nie wyobrazić.

W dalekiej bramie dostrzegł Małego Christiana.

Gdyby zabił Dominica, niewydarzony pisarzyna niewątpliwie wszcząłby alarm. A przecież wróg wiedział, gdzie szukać Carli, i trudno byłoby dotrzeć do niej wcześniej, jeśli w ogóle byłoby to możliwe. Tannhäuser walczył z własnym instynktem. Zdarzyło mu się już skapitulować, a teraz musiał myśleć przede wszystkim o Carli. Jeśli choć przez chwilę pozostanie tam, gdzie chcą go zatrzymać, ona choć przez tę chwilę będzie bezpieczna. A przynajmniej nie mniej bezpieczna, niż jest teraz. Myśl o Altanie Savasie przyniosła mu pocieszenie.

– Gdzie chcecie mnie umieścić?

– Dla szlachciców mamy kwatery we wschodnim skrzydle.

Cela była w istocie apartamentem złożonym z salonu, gabinetu i sypialni. Przez lata służyła wielu szlachetnie urodzonym, którzy z rozmaitych przyczyn popadli w niełaskę. Niektórych król zsyłał wprost do więzień, innym zwracał wolność, a czasem i odebrane wcześniej godności. Sam de Coligny był przecież swego czasu skazany na śmierć, ale zdołał zrehabilitować się w oczach władcy. Po cóż napelniać dodatkową goryczą serce wroga – na przykład osadzając go w ponurym lochu, z motłochem drobnych przestępców – który pewnego dnia może znowu stać się sojusznikiem?

Zapadł zmierzch i zapalono świece. Tannhäuser znalazł miskę i dzbanek wody. Zaspokoił pragnienie, a potem zmył z rąk ślady krwi. Wiedział, że prędzej czy później ten, kto stał za tym wszystkim, będzie musiał się ujawnić, a tymczasem snucie rozważań po prostu nie miało sensu. Niepokoił się tylko o Carlę, choć skoro przetrwała tak długo bez jego opieki... Taką przynajmniej żywił nadzieję. W gabinecie, na sekretarzyku, znalazł papier, pióro, inkaust oraz воск. Nie sądził, by Guzman potrafił czytać, ale gdyby przy odrobinie szczęścia udało się dostarczyć mu list, ktoś mógłby to zrobić za niego. Tannhäuser napisał więc krótką wiadomość po włosku i po francusku.

Guzman, jestem uwięziony na drugim piętrze wschodniego skrzydła. Wyciągnij mnie stąd natychmiast; będę twoim dłużnikiem. Twój brat z Bastionu Kastylii – Mattias Tannhäuser.

Zapieczętował pismo woskiem, a na wierzchu dopisał: Albert de Gondi, hrabia Retz. Niewielu bywalców tego pałacu ośmieliłoby się złamać tę pieczęć, a gdyby list dotarł do samego Retza, byłoby jeszcze lepiej.

Znowu miał przed oczami Carlę. Że też właśnie teraz zdecydował się na podróż do Afryki Północnej. Lecz z drugiej strony, czy cały świat miał stanąć w miejscu przez wzgląd na ciężę jego żony? Co właściwie mówił Mały Christian o miejscu, w którym się zatrzymała? Tannhäuser nie pamiętał. Odwrócił się, by zadać pytanie Grégoire'owi, lecz przecież chłopak nie słuchał tamtej rozmowy. Szubienica. Kościół. Symonne, wdowa po jakimś hugenockim buntowniku.

– Grégoire, gdzie w Paryżu zabijają skazańców?

– Na place de Grève, panie.

Place de Grève. Rue du Temple na północ. Teraz sobie przypomniał: ładny dom, dwudzielna fasada, trzy pszczoły nad wejściem. Po zachodniej stronie ulicy. Symonne d'Aubray. Zanotował i odłożył pióro.

– Grégoire, mam dla ciebie zadanie godne Heraklesa.

– Heraklesa?

– Herosa wyjątkowej siły i odwagi.

– Nie jestem zbyt silny – wyznał Grégoire.

– Ważniejsza będzie odwaga. Chcesz spróbować?

– Tak.

Chłopak włożył buty, a Tannhäuser poprawił na nim portki i wcisnął w nie koszulę. Otarł też twarz i dłonie oraz przygładził włosy wilgotną chustką. Nie, Grégoire z pewnością nie mógł uchodzić za pazia księcia d'Anjou, ale też przestał wyglądać na żebraka z ulicy.

– Pamiętasz Guzmana, tego Hiszpana?

Grégoire skinął głową.

– Znajdź go i oddaj mu ten list. Sprowadź tu Guzmana, niech mnie uwolni.

Tannhäuser podał chłopcu pismo, a ten przyjął je z taką czcią, jakby było drzazgą z Krzyża Świętego.

– Musisz iść korytarzami tak, jakbyś nimi chadzał codziennie. List trzymaj w ręku przed sobą, o, tak. Doskonale. Jeśli ktoś cię zatrzyma, pokaż nazwisko, które tu zapisałem. Retz to bardzo ważny człowiek, przy odrobinie szczęścia nikt ci nie przeszkodzi. A jeśli ktoś cię o coś zapyta, recytuj *Ave*.

– *Ave Maria*?

– Tak jest. Krzycz najgłośniej jak potrafisz, z uczuciem. Nikt nie zrozumie ani jednego słowa. Pamiętasz ten pierwszy, wielki budynek, do którego weszliśmy?

– Ten, w którym widzieliśmy panów z psami na szyi?

– Właśnie tam najpewniej znajdziesz Retza: na piętrze, blisko króla. Tam też powinieneś odszukać Guzmaną, jeśli to w ogóle możliwe.

– Odszukam.

– Jeśli nie zdołasz, nie myśl, że mnie zawiodłeś.

– Nie zawiodę.

Tannhäuser szarpnął za łańcuch u masywnych drzwi, by dzwonkiem przywołać strażnika.

– Mój sługa ma pilną wiadomość dla hrabiego Retza.

Gwardzista zmarszczył brwi, spoglądając na Grégoire'a, który dzierżył przed sobą list niczym talizman.

– Widziałem się z Retzem dziś po południu – dodał Tannhäuser. – Nie był w najlepszym nastroju. Jak się nazywasz, żołnierzu?

– Bez zwłoki odprowadzę twojego sługę do bramy, panie.

Tannhäuser rzucił strażnikowi srebrnego franka i skinął na Grégoire'a.

– Powodzenia, chłopcze.

Grégoire skłonił się i wyszedł, a gwardzista zamknął drzwi i przekręcił klucz.

W sypialni panował mrok. W dalekim blasku świec stojących w salonie Tannhäuser dostrzegł ledwie zarys łóżka. Był tak wyczerpany, że pobyt w królewskim więzieniu niemal go cieszył. Odpiął broń, zzuł buty, zrzucił koszulę i wykonał tych kilka prostych czynności, które dyktuje rozsądek. A potem położył się na łóżku, spróbował nie myśleć o kłopotach i szybko zapadł w głęboki sen.

Dama z południa

Carla obudziła się po raz trzeci tej nocy, czując palącą potrzebę skorzystania z nocnika. Westchnęła. Księżyc świecił tak mocno, jakby już świtało. Jak zwykle bolały ją plecy, żebra i kilka innych części ciała, ale przynajmniej ustąpił ból, który niekiedy czuła w nodze. Położyła dłoń na brzuchu, na swym śpiącym dziecku. Nie chciała znowu go budzić; wiedziała, że gdy już zacznie rozrabiać, nie pozwoli jej zasnąć.

Była przekonana, że nosi pod sercem syna. Te nieustające kopniaki i ciosy, ta niecierpliwość – zbyt wiele wskazywało na męski charakter dziecka. Pomyślała o Mattiasie, jak czyniła to sto razy dziennie – i uśmiechnęła się. Chłopiec czy dziewczynka, dziecko z pewnością odziedziczyło ducha po nim. Doskonale wyczuwała tę więź, która już teraz łączyła je z ojcem, a uczucie to poprawiało jej nastrój za każdym razem, gdy ogarniał ją smutek. Dzięki niemu jakoś potrafiła znieść nieobecność męża. Dzięki niemu wciąż był żywy w jej sercu, aż do dnia, w którym znowu będzie mogła go kochać.

Odrzuciła lekko wilgotną kołdrę i spuściła stopy na podłogę, a potem odepchnęła się rękami i wstała. Zawsze była dumna ze swej sprawności, lecz ostatnio ciężar dziecka i wód stał się zaiste ogromny, podobnie jak brzuch, który coraz bardziej zasłaniał jej uda. Przemiana, której ulegało jej ciało, nie przestawała jej zadziwiać. Podciągnęła koszulę, zwinęła jej brzeg i wsunęła pod piersi, ostatnio zdecydowanie większe niż dawniej. Jeśli nie myliła się w obliczeniach, to był trzydziesty ósmy tydzień ciąży. Wyciągnęła ramiona i wolno przykucnęła obok łóżka – akurat tę pozycję, jako jedną z niewielu, uważała w tych dniach za dość wygodną. Przyciągnęła nocnik bliżej, pod siebie, i poczuła ulgę. Niewiele tego, pomyślała, pewnie za godzinę znowu trzeba będzie wstać. Niektóre kobiety zapewniały ją, że ciąża to dla nich najcudowniejszy czas. Carla nie podzielała ich zachwyty.

Wsunęła nocnik z powrotem pod łóżko, ale nie zmieniła pozycji. Mocny skurcz sprawił, że zapomniała o senności. Takie przykre momenty zdarzały się coraz częściej, odkąd przed paroma dniami dziecko ułożyło się niżej, bliżej miednicy, i brzuch zmienił kształt. Minęły dwie noce, odkąd na koszuli nocnej znalazła ślad różowego śluzu. Nie planowała porodu w Paryżu, ale na to właśnie się zanosilo. Nie czuła niepokoju, lecz raczej przyjemne podniecenie oraz ulgę na myśl o tym, że wkrótce skończy się ten błogosławiony stan. Pragnęła nareszcie wziąć swego synka w ramiona.

Symonne była łagodna i wyrozumiała, troskliwie dbała o swego gościa. Ta sama akuszerka, która przyjęła na świat czworo jej dzieci, czekała tylko na znak, by odebrać poród

Carli. Świetny chirurg, monsieur Guillemeau, protegowany samego Ambroise'a Parégo, odwiedził ciężarną dzień wcześniej i był gotów operować, gdyby tylko zaszły komplikacje. Jak jednak zauważył, Carla była silna, podobnie jak jej dziecko, które przyjęło właściwą pozycję. Poza tym poprzedni poród przebiegł bez większych trudności.

Zaproszenie do wspólnego występu z Symonne – co zresztą uważała za świetny pomysł – zbiegło się w czasie z jednym z owych nagłych przyływów energii, których doświadczała podczas ciąży. Choć teraz wydawało jej się to dziwne, nawet nie wzięła pod uwagę tego, że mogłaby odmówić. Spodziewała się, że Mattias wróci na czas, by jej towarzyszyć; wszak zaproszono ją wraz z małżonkiem. Nie wrócił jednak, więc gdy zjawiała się oficjalna eskorta – sześciu konnych w pełnym uzbrojeniu, pod dowództwem Dominica le Telliera – postanowiła wyruszyć w drogę bez niego.

Podróż zaplanowano tak, by jej zbytnio nie zmęczyła. Postoje były częste, noclegi wygodne; nawet pogoda dopisała. Carla uwielbiała jazdę konną, a w zaawansowanej ciąży wręcz wolała spędzać czas w siodle, niż stać, siedzieć albo leżeć. Czerpała więc niemałą radość z podróżowania i czuła, że dziecko też jest zadowolone, poznając smak przygody. W Paryżu spędziła już dziesięć dni.

Skurcz – na szczęście jeden z łagodniejszych – minął wreszcie, lecz Carla zauważyła po raz pierwszy, że jej łono nie rozluźniło się w pełni. Zatem to już niedługo, pomyślała z ulgą. Wstała, zdjęła wilgotną koszulę nocną i rzuciła ją na łóżko. Skurcz jednak obudził dziecko. Nie tylko czuła, ale i widziała jego ruchy pod napiętą skórą brzucha. Czy to stopa? A może ramię? Zaśmiała się. A potem poczuła się samotna, bo tak bardzo pragnęła, by i Mattias cieszył się tym widokiem.

Trudno było o nim nie myśleć. Cokolwiek robiła, martwiła się o niego nieustannie, ale odkąd wyruszyła w podróż do Paryża, przynajmniej nie miała mu już za złe tego, że nie wrócił do domu na czas. Ów gniew po części skłonił ją do przyjęcia zaproszenia; wiedziała wszak doskonale, że on będzie się o nią niepokoił bardziej niż ona o niego. Teraz jednak wstydziała się własnej małostkowości. Poślubiła Mattiasa, wiedząc doskonale, czym się zajmuje i jakim niespokojnym jest duchem. On zaś przez ponad trzy lata starał się grać rolę posiadacza ziemskiego, zarządzać służbą, bydłem, sadami i winnicami – i z początku nawet bawiło go to, że musiał uczyć się wszystkiego od Carli – lecz z czasem spostrzegła, że ów powolny wiejski żywot pełen prozaicznych zajęć zaczyna doprowadzać go do szału. Przywykł do życia w rytmie handlu i wojaczki, nie pór roku. W końcu zaczął przypominać niedźwiedzia na łańcuchu, a wtedy, choć nie w smak była Carli rozłąka, sama zachęciła go, by zajął się tym, co naprawdę go pasjonuje. Nie przeszkodziło jej to, rzecz jasna, czuć

najpierw żalu, potem gniewu i wreszcie lęku, gdy udał się w podróż w interesach. Z niemałym wysiłkiem zdobyła się na to, by o nim nie myśleć.

Podeszła do okna z widokiem na podwórze.

Celowo zostawiła oba skrzydła otwarte, licząc na powiew rześkiego powietrza oraz na to, że muślinowe firanki wystarczą, by zatrzymać komary. Symonne oddała jej izbę na drugim piętrze. Do pełni brakowało jednej nocy; wielki księżyc wisiał na zachodnim niebie pośród mnóstwa gwiazd, rzucając srebrzystozielonkawą poświatę na czarną bryłę gęstej zabudowy Ville. Carla zastanawiała się, czy to prawda, że pełnia księżycy budzi w ludziach szaleństwo. Spoglądając w jego tarczę, sama czuła lekkie oszołomienie. Po zachodzie słońca miasto pogrążało się w mroku i choć było tak wielkim skupiskiem ludzi, tylko tu i ówdzie widać było żółtawe punkciki światła.

Przywykła do wiejskiego życia, dlatego po przybyciu do Paryża – nawet gdy była sama w pokoju – odczuwała bliskość tak wielu ludzi niemal jak fizyczny nacisk. Zupełnie jakby niezliczona masa umysłów stanowiła jedność, ocean kropel. Było to doznanie podniecające i złowrogie zarazem. Czy jej korab zatonie i spocznie na dnie tego morza, czy da się ponieść fali? Teraz, po dziesięciu dniach, odczucie wyraźnie osłabło. Nie zatonąła i nie dała się ponieść; stała się częścią fal.

Z początku Paryż na równi fascynował ją i odpychał; z czasem fascynacja zaczęła zwyciężać. Wystarczyły cztery dni, by przestała wyczuwać jakiegokolwiek wonie, choć przecież nie przestała obficie perfumować własnych szat. Mieszkańcy tego miasta wiedli swój żywot z zadziwiającą zażartością, jakby spodziewali się, że nie doczekają kolejnego świtu. Witalność stolicy nie przestawała jej zachwycać. Królujące tu okrucieństwo – rozczarowywało. Na myśl o nim znowu poczuła lęk, tym razem o Orlandu, swego syna. Był gdzieś tam, w ogarniętym ciemnością mieście, lecz nie wiedziała gdzie.

Od miesięcy nie czuła takiej radości jak w chwili, gdy znowu go ujrzała. Spotkanie ucieszyło ją nieporównanie bardziej niż jego przyczyna – królewskie gody – i musiała przyznać w duchu, że jeśli zdecydowała się na tę podróż, to przede wszystkim po to, by znowu zamknąć Orlandu w matczynym uścisku. Przez tydzień przebywali razem po kilka godzin dziennie; większość nocy spędził w domu d'Aubrayów, choć upierał się dzielnie, że lepiej będzie, jeśli rozbije namiot w ogrodzie, gdzie sypiał Altan Savas.

Zszokowało Carlę i niemal rozczarowało to, że stał się mężczyzną. Już od roku mieszkał poza domem, ale to nie czas był siłą sprawczą tej przemiany, tylko samodzielność, konieczność przetrwania o własnych siłach w wielkim mieście. Nie stracił przy tym radosnego czaru, który zawsze go cechował i który tak uwielbiała, choć teraz jego blask

przygasł nieznacznie, niczym świeca za witrażowym szkłem, jakby przesłoniła go świadomość jakichś mrocznych spraw. Trudy życia w Paryżu mogły być przyczyną, lecz Orlando pilnie wystrzegał się opowiadania o swym życiu poza uczelnią. A może to normalne? W końcu i Carla nigdy nie spowiadała się rodzicom ze swego życia wewnętrznego. Tym, co niepokoiło ją najbardziej, było coraz wyraźniejsze podobieństwo Orlando do jego ojca, Ludovica – widać je było nie tylko w coraz szerszych barkach i obsydianowych oczach, ale także w coraz mroczniejszej intensywności jego umysłu.

Nie widziała go od piątkowego popołudnia, kiedy przybiegł do niej w podnieceniu, by obwieścić, że admirał de Coligny został postrzelony i odwołano bal u królowej. Poprosiła go wtedy, żeby dotrzymał jej towarzystwa – w skrytości ducha wolała to niż królewskie gody – lecz Orlando wykręcił się, twierdząc, że ma pilne sprawy do załatwienia. Obiecał, że wróci, gdy tylko będzie mógł.

Carla wsparła dłonie na biodrach i odchyliła się do tyłu. Dziecko zareagowało kopnięciem. Uśmiechnęła się rozpogodzona – do tych błyskawicznych zmian humoru także zdążyła już przywyknąć. Przyjdzie jeszcze czas, by zająć się kłopotami starszego syna, pomyślała. Nie chciała budzić dzieci śpiących za ścianą ani Symonne, której pokój znajdował się piętro niżej, ale teraz potrzebowała ruchu. Brakowało jej codziennych konnych przejażdżek; w mieście niełatwo było je zorganizować. Wzniesiony w nowoczesnym stylu monsieur Cerceau dom d'Aubrayów miał głębokość jednego przestronnego pokoju. Z drugiego okna, po przeciwległej stronie izby, rozciągał się pejzaż rue du Temple. Carla podeszła do niego i oparła się na podokienniku, by ulżyć przeciężonym łędwiom. Przez cieniutką firankę dostrzegła jakiś ruch po drugiej stronie ulicy. Uchyliła ją nieznacznie.

Pod ścianą budynku naprzeciwko siedziała po turecku dziewczynka. Nie poruszała się – nawet jej drobna, blada twarzyczka była jak z kamienia – a przecież wydawało się, że jej ciało wije się w powolnych konwulsjach. Tułów był nienaturalnie duży, nie pasował do głowy. Carla zastanawiała się, czy oczy jej nie zwodzą w ciemności nocy i czy nie doświadcza kolejnego zaskakującego objawu związanego z ciążą. Zamknęła powieki, a potem spojrzała powtórnie. Coś oddzieliło się od dziewczynki i umknęło w mrok.

Carla odwróciła się z odrazą.

Ciało dziewczynki pokrywały szczury.

Czując silny dreszcz, z troską położyła dłonie na brzuchu, ale dziecko nie okazało zaniepokojenia. Coś kazało jej spojrzeć raz jeszcze. Nie, wzrok jej nie mylił. Żywy, wijący się płaszcz szczurów okrywał siedzące dziecko. Carla odetchnęła z ulgą, gdy uświadomiła sobie, że nie jest to atak. Dziewczynka zdawała się znosić ze spokojem bliskość gryzoni. Co więcej,

jej podbródek był nieznacznie uniesiony, jakby w cichej ekstazie. Dłonie zaczęły prześlizgiwać się po grzbietach zwierząt, gładząc ich brudnobrązowe futerka – jakby szczury nie były jej przyjaciółmi, ale kochankami. Carla cofnęła się o krok i z wysiłkiem stłumiła odruch wymiotny. Musiała napić się wody.

Zanim zdążyła zamyślić się nad tą osobliwą sceną, z zaułka tuż obok budynku, pod którego ścianą siedziała dziewczynka, wychynęli dwaj mężczyźni. Nie spuszczając ich z oka, Carla cofnęła się jeszcze bardziej.

Jeden z nich miał tak potężne barki i wielką głowę, że kołysał się przy każdym kroku, jakby lada chwila miał stracić równowagę. Budził skojarzenia z tytanami z greckiej mitologii, dziećmi Gai, które władały ziemią, nim rozprawili się z nimi bogowie. Drugi był chudy jak szczapa i nosił długie, ciemne włosy spięte w kucyk. Obaj mieli noże u pasa.

Sposób, w jaki mężczyźni snują wojenne plany, trudno porównać z czymkolwiek; jest wtedy w ich ruchach pasja, która nie towarzyszy im, nawet gdy uwodzą kobiety. Żelazna wola przenika każdy ich mięsień i każdą kość. Są trochę jak chirurdzy stający przy stole operacyjnym. Carla widziała takich jak oni – rycerzy, saperów, chirurgów – setki razy podczas słynnego oblężenia Malty.

Żaden z nich nie zwrócił uwagi na szczurze dziewczę. Mała zaś poderwała się z ziemi, wywołując nagłą i efektową ucieczkę gryzoni, które z chyżością przerwanego snu czmychnęły w mrok, pozostawiając po sobie jedynie osobliwą aurę. Tytan przemówił teraz do dziecka, wskazując na jakiś punkt na niebie, ponad dachem domu d'Aubrayów.

Carla poczuła, że coś ściska jej żołądek. Celem planowanej bitwy był budynek, w którym właśnie się znajdowała.

Szczurze dziewczę zadarło głowę, by spojrzeć na miejsce gdzieś nad głową Carli, która odruchowo omal nie podążyła za jej wzrokiem. Mała gwałtownie potrząsnęła głową; sądząc z ruchu jej ust, powiedziała „nie”. Mężczyzna z kucykiem pochylił się, by nawrzeszczyć jej w twarz, a potem spoliczkował ją tak mocno, że upadła. Carla wzdrygnęła się mimowolnie. Wzdrygnęła się ponownie, gdy tytan chwycił brutalą za włosy i wbił jego twarz w mur. Gdyby nie trzymał go mocno, mężczyzna z kucykiem także upadłby na ziemię.

Dziewczynka tymczasem wstała i z uwagą wysłuchiwała poleceń tytana, po czym skinęła głową. Wyjęła zza paska mały nóż i oddała bez słowa, a wtedy tyt z kitką chwycił ją za chudą jak patyk rękę i razem ruszyli ulicą na południe.

Tytan odwrócił się i spojrzał na dom d'Aubrayów. Carla nie widziała wyraźnie jego twarzy; jedynie zarys szerokiej, gładko ogolonej szczęki. Po chwili uniósł głowę i przez

ułamek sekundy miała wrażenie, że spogląda prosto na nią. Uczyniła trzeci krok wstecz. Tytan obrócił się na pięcie i zniknął w zaułku.

I znowu jedynym gościem na cichej ulicy był blask księżyca. Tytan pozostawił jednak po sobie niesamowity ślad: nie tylko strach, ale zwiastun katastrofy.

Naga Carla spacerowała nerwowo po izbie, próbując odzyskać spokój. Być może była świadkiem jeszcze jednego z niekończącej się serii dziwacznych przypadków, których pełne jest życie wielkiego miasta. Lecz przecież tytan nie omiótł domu d'Aubrayów przypadkowym spojrzeniem; on go z rozmysłem studiował. Pospieszyła do okna od strony podwórza i spojrzała w dół.

Od samej posiadłości La Penautier towarzyszył jej Altan Savas, Serb z pochodzenia, często brany za Turka były galernik, którego Mattias cztery lata wcześniej wykupił od kawalerów maltańskich. Podobnie jak Tannhäuser, Savas był niegdyś janczarem i może właśnie przez wzgląd na wspólną turecką przeszłość cieszył się bezgranicznym zaufaniem jej męża, a był to zaszczyt nie byle jaki, gdyż nie umiała wskazać wśród żywych nikogo, kto by nań zasłużył. A jednak, choć spędzili w podróży z południa bite trzy tygodnie, Carla wciąż prawie nie знаła Altana Savasa. Żył on we własnym świecie, modląc się do Allaha, o czym mało kto wiedział. Nieczęsto odzywał się po francusku, za to potrafił godzinami rozmawiać z Mattiasem po turecku. Na własne życzenie biwakował w ogrodzie, śpiąc na sienniku rzuconym na gołą ziemię. Jeśli dobrze zrozumiała jego wyjaśnienie, wyrażone mieszaniną słów i gestów, brzmiało ono mniej więcej tak: „Gdy lew sypia pod dachem, nie może wyczuć swojej zdobyczy”.

Teraz jednak, wyrzawszy przez otwarte okno, Carla dostrzegła tylko pusty siennik.

Prędko włożyła suknię z bladego złoto Inu, skrojoną specjalnie dla kobiety w błogosławionym stanie. Serce biło jej tak raptownym rytmem, że niemal nie mogła myśleć. Po części po to, by je uspokoić, a po części dla zwykłego, nieokiełznanego kaprysu – a miewała ich w tej ciąży więcej niż kiedykolwiek – zaczęła zaplatać włosy. Podziałało. Nie wiedzieć czemu, z warkoczem poczuła się silniejsza. A ponieważ – wiedziona podobnym kaprysem – nie ścinała włosów od początku ciąży, luźne sploty sięgały teraz aż do jej talii.

Uchyliła drzwi i po cichu wyszła na korytarz. Okna z obu stron budynku wpuszczały do klatki schodowej dość księżycowego światła, by można było dostrzec w półmroku zarys drabiny umożliwiającej wejście na poddasze, gdzie mieszkali ubodzy krewni Symonne, Denise pełniąca funkcję gospodyni oraz jej mąż Didier. Po drugiej stronie korytarza znajdowały się drzwi do pokoju dziecięcego. Carla otworzyła je bezgłośnie i zajrzała do

środku. Czworo dzieci d'Aubrayów – Martin, Lucien, Charité oraz Antoinette – spało smacznie w dwóch łóżkach. Martin i Lucien przenieśli się tu, gdy ich pokój oddano Carli.

Zamknęła drzwi i w tym momencie poczuła, że zaczyna się kolejny skurcz. Oparła się plecami o ścianę, oddychając głęboko. Tak silnego jeszcze nie miała. Coś bulgotało ostrzegawczo w jej brzuchu. W taką noc, pomyślała, wszystko wydaje się dziwne. Na przykład te postaci, które wypatrzyła na ulicy. W mieście takim jak Paryż z pewnością nie brakowało podobnych indywiduali. Czy należałoby obudzić Symonne śpiącą piętro niżej? Wystraszyć ją w środku nocy? I gdzie jest Altan Savas? Skurcz minął, ale pozostała słabość.

Wróciła do swojego pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Napiła się wody i raz jeszcze podeszła do okna od frontu. Rue du Temple była pusta. Carla postanowiła, że zejdzie do ogrodu, ale w chwili, gdy odwróciła się w stronę wyjścia, usłyszała dźwięk, jakby stłumiony stukot dobiegający zza szczytowej ściany budynku. Ruszyła w stronę drzwi, ale zatrzymał ją zdławiony pisk strachu i złości. Do kominka spadły najpierw bryłki żużlu, a potem buchnęła z niej chmurka sadzy. Następnie z komina wyłoniły się drobne ramiona, pukle włosów, wreszcie głowa. Po chwili w palenisku wylądowało półnagie, żylaste dziecko.

Carla miała przed sobą szczurze dziewczę. Mała wypełzła z kominka na czworaka, kaszląc gwałtownie. Sukmana z surowej wełny zawinęła się wysoko ponad jej biodra, noszące ślady świeżych zadrapań, podobnie jak kościste łokcie. Dziewczynka była brudna, choć zapewne nie bardziej niż na co dzień. Jej długie, kręcone włosy, były tak tłuste, że sadza nie chciała się na nich trzymać. Loki wyglądały na ciemnorude, ale trudno było stwierdzić to ponad wszelką wątpliwość. Mała pozbierała się nadzwyczaj zwinnie, jak dzikie zwierzę, po czym charknęła na dywan czarną śliną. Teraz dopiero, uniósłszy głowę, spostrzegła Carlę. Na umazanej sadzą twarzyczce błysnęły dziko szare oczy.

Natchniona przykładem szczurzego dziewczęcia, Carla pozbierała się równie prędko.

– Nic ci się nie stało?

Dziewczynka nie odpowiedziała. Teraz, gdy stała prosto, widać było, że jest niedożywiona – skóra i kości, nic więcej! – ale też starsza, niż się Carli wydawało; mogła mieć dziewięć lub dziesięć lat. Uliczne życie raczej nie służyło dzieciństwu. Znowu zakaszła. Carla podeszła do stolika i napełniła szklanek wodą. Zbliżyła się, by podać ją dziewczynce, która szybkim spojrzeniem omiotła najpierw izbę, potem szklanek i wreszcie ciężarną kobietę.

– Spróbuj mnie zatrzymać, a zabiję twoje dziecko.

– Nie spróbuję.

Dziewczynka łapczywie wypila wodę i zwróciła szklanek Carli.

– Zesłaś kominem głową w dół?

– Gobbo tak mnie wepchnął, żebym nie mogła wrócić. – Szczurza dziewczynka podeszła do okna. Najwyraźniej czegoś się bała, ale z pewnością nie Carli. – Jestem w niewłaściwym pokoju.

Przewody kominowe po tej stronie budynku prowadziły do sypialni Carli, saloniku poniżej oraz do biura na parterze. Latem nie były używane. Drugi komin, w południowym szczyście domu, odprowadzał dym z kominków w pokoju dzieciennym i sypialni Symonne, a także z kuchennego pieca. Carla zastanawiała się, ile mógłby ukraść złodziej tak nikczemnej postury. I nagle zrozumiała.

– Posłali cię kominem na dół, żebyś otworzyła frontowe drzwi swoim przyjaciołom.

– Tylne drzwi.

– Gobbo to ten wielki?

– Nie, to Grymonde, Infant Kukanii.

Wymówiła ten fałszywy tytuł ze śmiertelną powagą, jakby się spodziewała, że Carla zadrzy na jego dźwięk. Gdy tak się nie stało, ze złości wyszczerzyła zęby, zagięła palce jak szpony i warknęła z cicha. Carla roześmiała się mimowolnie. Dziewczynka miała w sobie coś z elfa, a był to urok, któremu trudno się oprzeć. Groźby, które miotła, były tylko echem zła otaczającego ją świata.

– Nie śmieję się ze mnie. Nie będzie ci wesoło, kiedy przyjdzie Grymonde.

– Nie chciałam być nieuprzejma. Ale sama byś się zaśmiała, gdybyś tylko spojrzała w moje lustro.

– Masz lustro?

– Pozwolę ci go użyć, jeśli powiesz mi, jak masz na imię. Jestem Carla.

– Estelle.

– Urocze imię. Jedno z najładniejszych.

– Grymonde woła na mnie La Rossa. To dlatego, że uwielbia moje włosy.

– Z pewnością są piękne, gdy je umyjesz. Może zostaniesz u mnie, Estelle? Pomogę ci doprowadzić włosy do porządku, znajdę czyste ubranie. A jeśli jesteś głodna, możemy zjeść śniadanie.

Estelle rozważała propozycję po trosze niewinnie, po trosze chytrze, lecz w końcu strach okazał się silniejszy od głodu. Pokręciła głową.

– Muszę iść. I nie próbuj mnie zatrzymać.

Rozległo się donośne pukanie do drzwi, a potem odezwał się głos z mocnym, obcym akcentem:

– Madame?

– Wejdz, Altan.

Estelle rozejrzała się w panice. Jej wzrok zatrzymał się na kominku.

– Nie. Nie bój się – powiedziała Carla. – Nie pozwolę, żeby spotkała cię krzywda.

Altan Savas stanął na progu i skłoniwszy się Carli, zmierzył spojrzeniem wystraszoną Estelle. Miecz trzymał jeszcze w pochwie, za to w dłoni ścisnął obnażony sztylet. Estelle rzuciła się w stronę kominka. Altan ruszył za nią, wsuwając sztylet do pochwy.

– Za pozwoleniem, madame.

– Nie rób jej krzywdy.

Estelle była już w kominie, gdy Altan chwycił ją w talii i ściągnął w dół. Walczyła, więc wymierzył jej siarczysty policzek. Błysnęły białka jej oczu.

– Nie, Altanie.

Serb jedną ręką pochwycił oba nadgarstki dziewczynki za jej plecami. Drugą dłonią przyglądał gęste, czarne wąsy, od lat nieodmiennie przycięte na janczarską modłę.

– Znaleźć człowieka.

Przez chwilę szukał w pamięci innych słów, ale bez powodzenia. Uniósł rękę i poruszając w powietrzu dwoma palcami, ukazał postać wspinającą się na dach. Zaraz potem opuścił otwartą dłoń.

– Gobbo spadł?

Używając tych samych dwóch palców, Altan pokazał, jak naciąga i zwalnia cięciwę.

– Spadł, tak.

Szarpnął nagle ramionami Estelle i spojrzał jej w oczy tak, by wiedziała, że zabije ją, jeśli tylko uzna to za konieczne. Dobrze rozumiała takie spojrzenia. Przestała walczyć.

– Żyje? – spytała Carla.

– Najpierw mówić. Teraz trup. Przyjść więcej.

– Ilu jeszcze?

Altan zawahał się.

– Powiedz.

Altan rozłożył dłoń wolnej ręki. Carla dostrzegła na niej ślady zakrzepłej już krwi. Na kciuku Serba tkwił pierścień z kości słoniowej. Pięciu. Carla poczuła mdłości, gdy zamknął dłoń i znowu otworzył. Zaraz potem po raz trzeci pokazał pięć palców.

– Piętnastu? – Zastanawiała się, skąd to wiedział, ale wołała nie pytać. – Prawda to?

Altan wzruszył ramionami.

– Ja pytać wiele razy. – Tu wykonał w powietrzu gest naśladowający cięcie nożem. – Ja mówić: więcej? Mniej? A on: piętnastu. Zawsze.

Carla spojrzała na Estelle, która dotąd z uwagą przysłuchiwała się rozmowie, a teraz spuściła głowę. Wyglądało to na potwierdzenie.

– Gdzie jest madame d’Aubray? – spytała Carla.

Altan przyłożył dłoń do policzka i pochylił głowę w bok.

– Musimy im dać to, czego chcą – oznajmiła. – Zbierzemy wszystkie cenne przedmioty i położymy za progiem, na ulicy.

– Ty jesteś tą damą z południa – odezwała się nagle Estelle.

Carla poczuła mrowienie na skórze głowy.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Grymonde chce ciebie. Szuka damy z południa.

Carla uzmysłowiła sobie, że objęła brzuch obronnym gestem. Jej syn trwał w bezruchu.

– Dlaczego?

– Grymonde zabije was wszystkich, a potem weźmie, co zechce. Stoły, krzesła, suknie, jedzenie, świece, no i całe złoto.

Znowu można było odnieść wrażenie, że dziewczynka cytuje czyjąś przemowę.

– Dlaczego Grymonde mnie szuka? Co o mnie słyszał?

– Nie wiem. Ty też nie?

– Ja słyszę o nim pierwszy raz. Kim on jest?

– Grymonde to król złodziei, król nas wszystkich. Całe Ville boi się Grymonde’a. I policja. I zabójcy. I świnię z pałacu. Jest moim smokiem.

Kolejny silny skurcz ścisnął łono Carli. Zamknęła oczy i użyła bólu, by skupić myśli. Estelle najwyraźniej durzyła się w tym bandycie, Grymondzie, dlatego niewątpliwie wyolbrzymiała jego znaczenie i siłę, ale z pewnością był ważną figurą w swoim świecie. Carla położyła na brzuchu otwarte dłonie i przez napięte mięśnie poczuła swoje dziecko. To dało jej siłę. Skurcz minął; pocieszające było to, że poród jeszcze się nie zaczął, wody nie odeszły. Już czuła się normalnie. Spojrzała na Altana.

– Możemy uciec?

Estelle pospieszyła z odpowiedzią:

– Bogaci myślą, że te domy należą do nich, ale nie, tej nocy tak nie jest. A ulice Paryża zawsze należą do nas. Możemy je zająć, kiedy tylko zechcemy. – Kolejny cytat. – Zresztą dokąd mielibyście uciec? – dorzuciła.

– W takim razie zostaniemy tu, aż *sergents* przyjdą nam z pomocą.

– Nie przyjdą. To tchórze. W dodatku Grymonde obiecał im piątą część, ale spokojna głowa, dostaną najwyżej dziesiątą.

Carla pomyślała o czworgu dzieciach śpiących w pokoju obok. Odkąd tu przyjechała, codziennie muzykowała z nimi i zdążyła je pokochać. Ich matka, Symonne, wolała trzymać dystans – wciąż była w żałobie – lecz i ona zdobyła serce damy z południa swą gościnnością. Wbrew przekonaniu Estelle Carla nie sądziła, by Grymonde chciał ją zabić – to po prostu nie miało sensu. Żadna logika, a tym bardziej żadna namiętność nie mogła popchnąć go do takiej zbrodni, nawet chęć zysku. Jeżeli w tym, co mówiła dziewczynka, był choć cień prawdy, to ktoś taki jak Grymonde, przywódca ulicznej bandy, musiał być człowiekiem rozsądnym, a przynajmniej chciwym. Carla zaś była warta sporego okupu i zamierzała powiedzieć mu to prosto w oczy.

Zdarzało jej się już stawać twarzą w twarz z niebezpiecznymi ludźmi. A najniebezpieczniejszego z nich poślubiła.

– Powiadasz, że Grymonde chce mnie dopaść? Wobec tego nie zechce skrzywdzić moich przyjaciół, mieszkańców tego domu.

– Ależ zechce, przecież są heretykami! Tej nocy wszyscy heretycy zginą, a potem pójdą prosto do piekła. Wszyscy, co do jednego, nawet dzieci.

– Co to znaczy?

– To jest dom hugenotów, a wszyscy hugenoci Paryża muszą zginąć, bo król wydał taki rozkaz.

Carla była świadoma nienawiści, w której tonęło to miasto, ale to, o czym mówiła dziewczynka, było nie do pojęcia. Nie minął jeszcze tydzień, odkąd na jej oczach król oddał swoją siostrę hugenotowi, Henrykowi z Nawarry. Podobnie jak jego matka, pragnął pokoju i porozumienia między wyznaniem. Zresztą w całej stolicy zabrakłoby żołnierzy, by wykonać tak potworne zadanie.

– Tak mówił Grymonde?

– Tak mówił szpieg z pałacu, z którym Grymonde rozmawiał. Nie uratujesz swoich przyjaciół.

Carla nie wiedziała już, w co wierzyć.

– Czas płynie – odezwał się Altan Savas. – Źli ludzie przyjdą.

Carla poskromiła falę przerażenia, które z wolna ją ogarniało; czuła na sobie wzrok Altana. Nie potrafiła walczyć tak jak on, ale mogła ułatwić mu zadanie. Przejąć dowodzenie. Wiedziała, czego spodziewałby się po niej Mattias. Zastanawiała się tylko, czy go jeszcze

kiedyś zobaczy. I na tym polegało jej pierwsze zadanie: wyłączyć owe rozliczne myśli, które mogły ją osłabić. Ruchem głowy wskazała na Estelle.

– Wypuść ją. Wyprowadź za drzwi, na ulicę.

Wąsy nie mogły ukryć reakcji Altana: zacisnął usta.

– Proszę – rzekł po chwili. – Ja zabić.

– I tak nie powie Grymonde'owi niczego, o czym by jeszcze nie wiedział.

– Ale widzieć nas. Widzieć dom. My zabić ją albo zatrzymać.

– Nie potrzebuję w tych murach jeszcze jednego dziecka, zwłaszcza że czeka nas walka.

– To nie dziecko. To wróg.

– Nie pozwolę, żebyś zamordował dziecko. Nie, Altanie. Nie.

– Będzie bitwa.

– Zatem gotuj się do walki. Ja uczynię to samo.

– Uciec teraz – zaproponował Altan.

Wskazał dłonią na Carlę, a potem na siebie. Poruszył palcami, naśladując kroki.

– Ty, ja. I chłopiec Mattiasa – dodał, spoglądając na jej brzuch.

– Mielibyśmy opuścić pozostałych? Symonne i jej dzieci?

Nakreślił w powietrzu rozległy półokrąg, a potem kilka razy ciął otwartą dłonią.

– Poza domem, ty, ja mogę obronić. Na ulicy, tak. Łukiem, mieczem. To nie żołnierze. Złodzieje. Ale inni? Kobiety? Dzieci? Za dużo. Dużo, dużo. Za dużo. Tutaj? – Wzruszył ramionami i skrzywił się. – Może.

– Nie zostawię tych dzieci.

Carla wypowiedziała te słowa bez namysłu, ponieważ wszystkie jej najgłębsze przekonania, cała jej tożsamość po prostu kazała jej to uczynić. Zaraz jednak pożałowała, nie mogła już bowiem wycofać się z tej deklaracji.

Altan ruszył w stronę drzwi, ciągnąc za sobą Estelle, lecz nagle przystanął, nasłuchując. Wrócił do okna od strony ogrodu i znowu nadstawił uszu. Spojrzał na Carlę. Teraz i ona usłyszała: z południowego zachodu dobiegał dźwięczny głos dzwonu. O dziwo napelniał jej serce trwogą.

– Teraz rozumiecie? – odezwała się Estelle. – Umrzecie wszyscy, co do jednego.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Szczurze dziewczę

Gdy wściekły Altan ciągnął ją schodami w dół, mała Estelle rozglądała się uważnie, by móc wiernie zameldować Grymonde'owi o wszystkim, co zobaczyła. Wiedziała, że złodzieje pojawiają się tu lada chwila.

Zbyt wiele było w tym domu okien, a żadnego z nich nie chroniły ani kraty, ani nawet okiennice. Bogacze wieszali zamiast nich szmaty, jakby sądzili, że są zbyt ważni, by mogła ich spotkać krzywda. Na pierwszym piętrze ciąg schodów zawracał i schodził łukiem na parter, ku drzwiom frontowym. Po lewej znajdował się pokój pełen biurka i wielkich ksiąg. Po prawej – kuchnia. Tu okna były nieco wyżej ulokowane i nie tak wysokie; gospodarze nie życzyli sobie, by ktoś zaglądał z ulicy. Zerknąwszy do kuchni, Estelle dostrzegła kołczan ze strzałami oraz dziwny łuk spoczywający na stole.

Dzięki oknom na każdym piętrze księżycowa poświata wypełniała klatkę schodową; to dlatego na parterze, na tyłach domu, można było dostrzec kałużę czarnej krwi. Dziewczyna domyślała się, że tam zginął Gobbo.

Altan chwycił ją za włosy i uniósł nad ziemię. Wijąc się z bólu, zaczęła kopać go w uda. Wiedziała, że chciał ją zabić, lecz dobrze pamiętała rozkaz damy z południa i była przekonana, że Altan usłucha. W duchu musiała przyznać mu rację: należało ją zabić. Przeszło jej przez myśl i to, że zdążyła polubić tę kobietę. Carlę? Właściwie nawet żałowała, że Grymonde ją zabije.

Wrzasnęła, gdy Altan cisnął ją na podłogę i wepchnął twarzą w plamę na wpół zaschniętej krwi – jeszcze cieplej, gęstszej i jakby tłustej. Zwarła szczęki, ale gdy musiała nabrać tchu, wciągnęła ją nosem. Krew przywarła do ścian jej gardła, a wtedy Estelle zakaszła, otworzyła usta i wciągnęła jeszcze więcej. Nie mogła już krzyknąć.

Pomyślała, że umrze w kałuży krwi Gobbo.

Altan szarpnął ją w górę i postawił na nogi. Zaniósł się kaszlem i zwymiotowała krwią. Nic nie widziała, ale janczar trzymał jej nadgarstki w żelaznym uścisku i nie mogła otrzeć oczu. Gdy znowu szarpnął ją za włosy, spróbowała go opluć. Spoliczkował ją mocno, ale nie tak mocno jak Gobbo na ulicy. A potem otworzył tylne drzwi domu.

– Patrz – rzucił rozkazująco.

Obrócił ją tak, by mogła spojrzeć. Do kołatki z kutego żelaza, wielkiej jak jej dwie pięści i ukształtowanej na podobieństwo pszczoły, uwiązana była lina. Drugi jej koniec

tworzył pętlę wokół szyi całkiem nagiego i całkiem martwego Gobbo. Jego połamane nogi ułożyły się pod dziwnymi kątami; obie pokryte były strugami krwi, które spłynęły z czarnej dziury w podbrzuszu, okolonej włosami łonowymi. Wybałuszone oczy trupa połyskiwały mętnie w świetle księżyca. Na piersi widać było rany klute. W ustach Gobbo tkwiły zaś jego ucięty kutas oraz jądra.

Estelle mieszkała z tym człowiekiem pod jednym dachem. On zaś, podobnie jak jego brat Joco, sypiał w jednym łóżku z jej matką, Typhaine, choć ostatnio raczej jej nie chędożyli – chyba że akurat była mocno pijana, co zdarzało się coraz rzadziej. Estelle nigdy ich nie lubiła. Lubiała jedynie Grymonde'a. Kochała Grymonde'a. Grymonde był jej smokiem.

Spoglądając na zakrwawione zwłoki Gobbo, nie czuła żalu. Zastanawiała się tylko, czy Altan najpierw uciął mu interes, a potem dopiero zabił. Miała nadzieję, że tak właśnie było.

Altan wypchnął ją na podwórze i wskazał na trupa.

– Powiedz swemu panu: przyjdź i zobacz! – odezwał się swym dziwnym głosem. – Przyjdź i zobacz!

Estelle niepewnym krokiem ruszyła w stronę zaułka łączącego się z podwórzem. Dostrzegła w mroku jakiś ruch. Właśnie tam mieli czekać – a Altan z pewnością już o tym wiedział – aż ona otworzy im drzwi, a zamiast tego mieli dość czasu, by napatrzeć się na Gobbo i najeść strachu. Strachu przed szalonym Turkiem, który powiesił trupa na drzwiach, uciawszy mu jaja.

Ale Grymonde nie mógł się lękać. Nie potrafił.

Altan był bezlitosny i bystry jak osaczony szczur. Nie wiedział jednak, że bez względu na to, jak bardzo boją się jego przeciwnicy, zawsze będą czuli jeszcze większy strach przed Grymonde'em. Estelle także go czuła. Zawiodła swego smoka.

Skrajem sukmany starła z twarzy krew Gobbo. Pomyślała o swoich szczurach. Pewnie chętnie wylizałyby ją do czysta. A potem obiecała sobie, że sprowadzi je, by mogły ucztować na trupie Altana Savasa.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Z natury wrażliwi

Niezidentyfikowany dźwięk sprawił, że Tannhäuser ocknął się nagle, usiadł ze sztyletem w dłoni i spuścił stopy na posadzkę. W tej samej chwili zaklął, poczuwszy ból w plecach. Sięgnął po miecz. Duchota była trudna do zniesienia. Po nader mrocznych snach delikatna poświata zza uchylonych drzwi wystarczyła: mógł rozejrzeć się po sypialni.

Po chwili wszedł do salonu i ujrzał na stole świece wypalone niemal ze szczętem, a przy nich półmisek z chlebem i mięsem oraz dzbanek wina. Najwyraźniej przespał czyjąś wizytę. Zgrzytnął zamek i w tym momencie Tannhäuser pojął, że dźwiękiem, który wyrwał go ze snu, był brzęk kluczy. Drzwi się otworzyły, ukazując postać żołnierza z nocnej straży. Za jego plecami stali Grégoire i Arnauld de Torcy. Coś jednak zmieniło się w Arnauldzie od ostatniego popołudnia. Przestał być młody.

– Zaczęło się szaleństwo.

– Jakie szaleństwo?

– Przy odrobinie szczęścia być może zdołasz je wykorzystać. Prędko.

Tannhäuser odkroił kawałek baraniny i przeżuwiąjąc go, wrócił do sypialni. Wciągnął wysokie buty i włożył czarną lnianą koszulę z białym krzyżem skropionym krwią. Zapiął pas i schował broń do pochew. I teraz dopiero, gdy obracał się ku drzwiom, spostrzegł drugie łóżko, a raczej niską platformę wciśniętą pod ścianę w wąskiej alkowie. Co więcej, leżało na niej ciało przykryte wilgotnym prześcieradłem. Zwrócone twarzą w stronę muru, podrygiwało w półmroku, jakby dręczyła je gorączka. Tannhäuser miał nadzieję, że to nic zaraźliwego. Wróciwszy do salonu, wlał w gardło pintę wina i ukroił jeszcze plaster mięsa, po czym dołączył do swych wybawicieli na korytarzu.

– Szatka dla dziecka – odezwał się Grégoire. – Została w środku.

Tannhäuser przełknął kęs baraniny.

– Idź po nią.

Chłopak wbiegł do celi.

– Która godzina?

– Dochodzi czwarta – odparł Arnauld. – Trudno było znieść wrzaski króla.

– Co się stało? Przegrał w tenisa?

Arnauld nawet się nie uśmiechnął.

– Nie wyobrażasz sobie nawet, panie, jak bardzo mroczna to noc. To stworzenie, które ci służy, zostało aresztowane podczas wspinaczki do okna na piętrze pawilonu króla po stronie robót budowlanych prowadzonych w nowym, południowym skrzydle.

– Pomysłowy chłopak.

– Miał szczęście, że go nie zabito, zanim zostałem wezwany.

– Zasłużyłeś na mą wiekuiłą wdzięczność, niewielu uszczęśliwiłem tym skarbem.

Dlaczego mnie aresztowano?

– Nie mam pojęcia.

Arnould zerknął w stronę celi, niecierpliwie wyczekując powrotu Grégoire'a.

Tannhäuser wszedł za próg. W końcu szatka chrzcielna miała jedynie wartość sentymentalną. Ujrzał Grégoire'a, który właśnie wkroczył do sypialni z dzbankiem wody w ręku. Pod pachą ścisnął paczuszkę zawiniętą w płótno.

– Grégoire, co ty wyrabiasz?

– Drugi więzień prosił przez sen o wodę.

– Do diabła z nim.

Z sypialni dobiegł cichy jęk.

Tannhäuser sięgnął po świecę, wyrwał dzbanek z ręki Grégoire'a i wkroczył do sąsiedniej izby. Miał nadzieję, że się myli. Postawił świecę przy platformie i przewrócił więźnia na plecy.

– Orlandu.

Gdzieś za pozbawionym okien murem rozległo się bicie w dzwon.

Policzki Orlandu były zapadnięte, a czoło wilgotne. Tannhäuser uniósł kciukiem powieki: oczy zdawały się uciekać w głąb czaszki, a źrenice były ledwie małymi kropkami. Chory był nieprzytomny. Tannhäuser wsunął ramię pod jego barki; przez mokrą koszulę wyczuwał gorąco bijące od ciała. Opium i gorączka, pomyślał. Gdy sadzał go na posłaniu, chłopak jęknął głośno. Tannhäuser przycisnął dzbanek do jego ust i przechylił. Orlandu przełknął.

Odstawiwszy naczynie, Mattias ostrożnie ułożył pasierba na platformie i zdarłszy z niego brudne prześcieradło, poczuł nagle lekką woń rozkładu. Orlandu był ubrany; brakowało jedynie lewego rękawa koszuli, który odcięto, by odsłonić ramię zabandażowane od łokcia aż po pachę. Tannhäuser dotknął opatrunku opuszkami palców: był nie tylko pokryty brązowymi plamami, ale także mocno nasiąknięty. Zbyt ciasno zawinięto bandaż; to dlatego wdała się paskudna opuchlizna. Przy obu brzegach opatrunku widać było silnie zaognioną skórę, zakażenie wciąż się rozszerzało. Tannhäuser odszukał obrzmiałe węzły pod szczęką chorego.

Rana była ciężka, a ryzyko gangreny poważne. A gdy trujące jady przedostawały się do krwi, nawet najsilniejszy mąż konał w ciągu paru godzin. Arnauld przystanął za plecami Mattiasa.

– Biją w dzwony na trwogę. Musimy iść.

– Sprowadź strażnika.

Tannhäuser spojrział na Orlandu. Należało jak najszybciej osuszyć ranę i wyciąć gnijące mięso. Kto wie, czy jedynym ratunkiem nie była amputacja ręki. Arnauld wrócił po chwili.

– Jak ci na imię?

Strażnik przestąpił nerwowo z nogi na nogę.

– Jean, panie.

– Powiedz no, Jean, kiedy kapitan le Tellier sprowadził tu tego więźnia?

– Wczoraj wieczorem, panie. – Strażnik w zamyśleniu zmarszczył brwi. – Znaczy: w piątek wieczorem, nie w sobotę.

Minęło trzydzieści godzin. I jednak stał za tym le Tellier.

– Więzień był już ranny?

– Był w takim stanie, w jakim jest teraz, panie. Rana została opatrzona, ale widzę, że od poprzedniej nocy bardzo mu się pogorszyło. To jest od wczesnego sobotniego ranka.

– Wezwaliście pomoc?

– O tak, panie. Lekarz się nim zajął i zostawił tę miksturę.

Jean wskazał na podłogę przy łóżku. Leżała tam niewielka odkorkowana buteleczka – zupełnie pusta; nawet zapach zdążył wyparować. Tannhäuser podniósł ją i polizał brzeg szyjki. Tynktura z opium. Rzucił buteleczką w Jeana; odbiwszy się od jego twarzy, roztrzaskała się na podłodze.

– Lekarz? Jemu potrzebny chirurg.

Jean skrzywił się, jakby potraktowano go niesprawiedliwie.

Tannhäuser stanął nad nim i pochylił się groźnie.

– Jeśli skona, odpowiesz za to przed d’Anjou, który kocha go jak syna.

To nazwisko znaczyło na dworze więcej niż jakiegokolwiek inne. Le Tellier przestał się liczyć.

– Co więc mam zrobić, panie?

– Znajdziesz mi dwóch ludzi, którzy go poniosą?

– Wszystkich strażników wezwano pod broń. Sam trzymam wartę.

– Pomóż mi zarzucić go na ramię.

Wciąż bito w dzwony.

Idąc słabo oświetlonymi korytarzami wschodniego skrzydła Luwru, Tannhäuser pomyślał z wdzięcznością o flaszeczce opium. Bez tego specyfiku Orlandu chyba nie zniósłby tej podróży. Na szczęście prawie się nie poruszał.

– Powiedz no, gdzie znajdę Ambroise’a Parégo?

– Królewskiego chirurga? – upewnił się Arnauld.

– Opatrywał de Coligny’ego. Musi być w pobliżu.

– Zamieszkał z nim na życzenie króla. Są w domu de Rochefortów na rue de Béthizy.

– Daleko?

– Dziesięć minut pieszo od bramy, ale nie jest możliwe, żeby...

– Mój syn umiera.

– Nie przejdziecie ulicami. Za chwilę zaczną się zabijanie.

Tannhäuser poczuł ucisk w żołądku. Arnauld przystanął, by otworzyć drzwi.

– De Coligny zostanie zamordowany, podobnie jak jego pobratymcy. Sam zobacz.

Arnauld wprowadził Tannhäusera do pokoju z oknem wychodzącym na wschód. Otworzył je. Za dachami budynków po przeciwległej stronie placu wznosiła się wieża kościelna z oszalałym dzwonem. Na północ od niej widać było dość bezładną kolumnę żołnierzy z pochodniami, kroczącą ulicami mniej więcej wzdłuż rzeki. Prowadzili ich dwaj jeźdźcy, a tuż za nimi maszerowali strzelcy z arkebuzami. Końcówki lontów w ich broni jarzyły się czerwienią. Las halabard zamykał pochód.

Tannhäuser ocenił, że ma przed sobą mniej więcej dwustu zbrojnych.

– Kto nimi dowodzi?

– Gwizjusz.

– Mów, co wiesz.

– Po wielu godzinach Jego Wysokość został przekonany – wbrew własnemu sumieniu – że należy wydać rozkaz stracenia wszystkich przywódców hugenotów. Właśnie wtedy usłyszałem krzyki zza ściany: „Na Boga, zatem zabijcie ich wszystkich! Zabijcie co do jednego, aby żaden już nie mógł mnie obwinić!”.

– A co ze szlachcicami zgromadzonymi w Luwrze?

– W tej chwili gwardziści podrywają im gardła.

– Ambroise Paré jest hugenotem – rzekł Tannhäuser.

– Jako geniusz zostanie oszczędzony, na wyraźny rozkaz króla.

– Zatem Jego Wysokość nie jest aż tak zrozpaczony, by zapomnieć o swoim najlepszym chirurgu.

– To pomysł Katarzyny. Nawarczyk i Condé także zostaną przy życiu, bo w ich żyłach płynie królewska krew. I nikt więcej, panie. Błagałem d’Anjou o życie mego przyjaciela, Brichanteau. Odpowiedział mi, że każdy ma przyjaciela, którego chciałby oszczędzić. Nawet La Rochefoucauld, od dziecka tak bliski naszemu władcy, musi umrzeć wraz z innymi. D’Anjou powiedział: „Król, który nie jest w stanie wymordować swych najbliższych przyjaciół dla dobra ludu, w ogóle nie jest królem”.

Tannhäuser skrzywił się.

Rozległ się huk wystrzałów. Zmrużywszy oczy, Mattias dostrzegł na ulicach pierwsze ogniska walki. Ludzie wybiegali z domów na wpół odziani, a klingi ich broni połyskiwały w świetle księżyca. Hugenoci ruszyli do boju, by bronić swego przywódcy. Błyski wystrzałów rozjaśniały ciemność.

– Odzywa się coraz więcej dzwonów – zauważył Tannhäuser. – Dlaczego?

– Nie wiem.

– To wezwanie dla milicji?

– Milicja dostała swoje rozkazy: ma utrzymać spokój w mieście.

– I nic ponadto?

– Ma czekać w gotowości, by zapobiec anarchii i chaosowi, nic ponadto. Zabójstwami zajmuje się Gwizjusz z Gwardią Szwajcarską. Jego Wysokość uzyskał zapewnienie, że akcja przebiegnie sprawnie i zakończy się przed wschodem słońca.

Tannhäuser wrócił na korytarz i rozejrzał się ostrożnie. Nikogo nie zauważył.

Z głębi pałacu także dobiegał huk strzałów.

Arnauld i Grégoire dołączyli do Mattiasa. Razem ruszyli schodami, czując coraz wyraźniej woń prochu. Z dołu dobiegały okrzyki przerażenia i bólu. Byli w połowie drogi, gdy ktoś wybiegł im naprzeciw. Był bosy, a jego rozciętą koszulę nocną znaczyła smuga krwi. Zatrzymał się na widok schodzących. Za jego plecami z mroku wyłonili się dwaj gwardziści.

– Nic złego nie uczyniłem, szlachetni panowie – odezwał się zbieg. – Błagam o łaskę!

Tannhäuser chwycił się mocno balustrady i z całej siły kopnął mężczyznę w pierś. Ranny pofrunął w tył z szeroko rozpostartymi ramionami i stoczył się po schodach wprost do stóp gwardzistów. Ich halabardy pruły jego korpus tak długo, aż ucichły krzyki i błagania, a krew i wnętrzności pokryły ich buty.

Tannhäuser zatrzymał się o trzy stopnie nad nimi. Teraz dopiero zainteresowało ich nieruchome ciało, które dźwigał na ramieniu. Na szczęście nauczono ich posłuszeństwa wobec władczego tonu, którym Tannhäuser posługiwał się od niepamiętnych czasów.

– Górne piętra są czyste – oświadczył, po czym skinął głową w stronę trupa. – Wywleczcie tego zdrajcę na dziedziniec. I nie pozwólcie, żeby jeszcze który wam uciekł.

Gwardziści bez słowa pochycili zabitego za kostki i pociągnęli za sobą. Koszula nocna podwinęła się aż po pachy, odsłaniając nagie, podziurawione ciało, z którego wciąż jeszcze lała się krew.

Arnauld cmoknął z niesmakiem.

– Ten człowiek błagał o litość.

Tannhäuser pokonał ostatnie kilka stopni.

– Dziękuj Bogu, że i ciebie nie sprawili tak jak jego.

– Nie ośmieliliby się – zaoponował Arnauld.

– Cuchnęli grogiem, a szlachcic do szlachcica podobny. Dla takich jak oni sposobność posłuchania, jak wrzeszczy ktoś dobrze urodzony, jest nie lada gratką.

Arnauld wskazał na krzyż maltański na koszuli Tannhäusera.

– Raczej nikt nie weźmie cię za hugenota.

– Ktoś jednak bierze mnie za kogoś gorszego.

Wąskie otwory strzelnicze w zewnętrznym murze rozbłysły żółtym światłem. Tannhäuser przerzucił Orlandu na drugie ramię i podążył za czerwonym śladem, który znaczył drogę gwardzistów. Przeszli przez salę, w której pięć trupów spoczywało w kałużach krwi na marmurowej posadzce. Obok martwej kobiety leżało dwoje dzieci. Mattias zatrzymał się dopiero przy drzwiach na wewnętrzny dziedziniec.

Zatrzymał się, by przyjrzeć się rzezi w blasku pochodni.

Wydawało się, że zachodnie skrzydło jest największym skupiskiem hugenockiej szlachty. Tu i ówdzie ciemne dotąd okna rozjarzały się na ułamek sekundy od wystrzałów z arkebuzów. Od strony głównej bramy, między dwoma szeregami gwardzistów, pędzono na środek placu żalosną grupkę „zdrajców”. Byli wśród nich nie tylko szlachetnie urodzeni, ale także ich paziowie, stajenni i lokaje oraz garstka kobiet z dziećmi. Wielu nie zdążyło się ubrać, niektórzy już krwawili. Żaden nie był uzbrojony. Kilku najśmielszych próbowało przecisnąć się między halabardami i dosięgnąć gardeł żołdaków. Kolejno kończyli żywot niczym dziki przeszyte lancami, a ciała ich współwynawców padały falami.

Kusznicy i arkebuzerzy zgromadzili się na południowym krańcu dziedzińca. Nie czekając na rozkaz, strzelali wprost w tłum hugenotów. Wschodnia strona błyszczała

polerowaną stalą. Nieszczęśnicy, którzy w swym szaleństwie próbowali ucieczki, trafiali wprost pod ostrza gwardzistów, mordujących wręcz na wyścigi. Okaleczeni i konający tarzali się w ohydnych jeziorze krwi i przedśmiertnych wydalinach. Tu i tam padały słowa pożegnania, niektórzy całowali bliskich po raz ostatni, a inni klęczeli na zbryzganych krwią kamieniach i się modlili. Wściekłość, przerażenie i śmiech królowały tej nocy. Przeklinano króla i wzywano Boga, lecz żaden z nich nie zamierzał przerwać tej rzezi.

Za balustradą na jednym z balkonów pawilonu króla Tannhäuser wypatrzył grupkę postaci. Stojąc nieruchomo niczym otaczające ich pomniki, niemi widzowie przyglądali się masakrze. Król Karol i jego brat d'Anjou. Katarzyna Medycejska, ich matka. Albert de Gondi, hrabia Retz. I jeszcze kilku wybitnych mężów stanu. Przynajmniej mieli dość charakteru, by na własne oczy oglądać to, do czego doprowadzili. Ci, którym odwagi nie stało, zamierzali zadowolić się krótkimi raportami na piśmie.

Tannhäuser odwrócił się, usłyszawszy szloch. Grégoire, który w swym krótkim życiu zniósł niemało przemocy i strachu, nigdy dotąd nie skarżył się i nie uronił łzy. Teraz jednak jego policzki były mokre, a śluz sączył się obficie ze zdeformowanych nozdrzy i dziąseł. Był wszak dzieckiem, w dodatku z natury wrażliwym; widok orgii bezmyślnego okrucieństwa wstrząsnął nim do głębi. Tannhäuser odciągnął go od bramy w głąb korytarza.

– Wytrzymaj twarz, chłopcze. Łzy nic tu nie pomogą, litość też nie – ani wobec nich, ani wobec nas.

Grégoire posłusznie osuszył twarz i nos rękawami batystowej koszuli.

– I Jezus zapłakał – szepnął Arnauld.

– Sami wywołali wojnę. I doczekali się.

– To nie jest wojna. To masakra.

– Masakra jest najstarszym narzędziem wojny. I kiedy już wszelkie inne narzędzia wymyślone przez człowieka stępią się w zgliszczach cywilizacji, gdy rozpadnie się ostatnie koło i spłonie ostatnia książka, a ludzkość wyląduje w błocie jak u zarania dziejów, brzeszczot masakry pozostanie ostry jak zawsze i nie zabraknie tych, którzy odważą się po niego sięgnąć.

Arnauld nie wytrzymał spojrzenia Tannhäusera.

– To słowa rozpaczy

– Ach, zapomniałem: wszak jesteśmy w szkatule cywilizacji.

Arnauld odwrócił się i nie wyrzekł już ani słowa.

Tannhäuser poczuł, że Grégoire ciągnie go za rękaw. Chłopak zdążył się już opanować i teraz wskazywał palcem na głowę Orlandu. Mattias uświadomił sobie, że nie

czuje na plecach żadnego ruchu. Pobiegł w stronę ławki stojącej pod ścianą i ostrożnie ułożył pasierba na drewnianym siedzisku. Arnauld przyniósł pochodnię zdjętą ze ściany. Wargi i część twarzy Orlandu były sine, ale jego pierś zaczęła znowu unosić się i opadać, a po chwili i skóra zaczęła blednąć.

- Płuca musiały się zamknąć pod ciężarem ciała. Daleko jeszcze do wyjścia na ulicę?
- Jeśli nikt nas nie zatrzyma, będziemy tam za minutę lub dwie – odparł Arnauld.
- Spodziewasz się silnej straży?
- U bramy zastaniemy Szwajcarów d’Anjou, którzy dobrze mnie znają.
- Sprowadzisz dla mnie konia?
- Prędzej dojdiesz pieszo, niż się go doczekasz.

Orlandu wyglądał już lepiej. Tannhäuser dźwignął go znowu i podążył śladem Arnaulda.

Szli na wschód, oddalając się od dziedzińca, a potem na północ, labiryntem korytarzy. Minęli kolejnego trupa. I jeszcze jednego. A potem następne. Gdy mijali alkowę z posągami, Arnauld uskoczył nagle i chwycił za rękojeść miecza.

- W imię króla, pokaż się!

Tannhäuser cofnął się nieco, ściskając w dłoni sztylet.

Z ukrycia wychynęła szczupła postać, wyraźnie blada w żółtawym blasku pochodni. Na widok Tannhäusera na twarzy młodzieńca odmalowało się przerażenie; jeśli wcześniej tliła się w nim jeszcze iskra nadziei, to w tej chwili zgasła. Był to bowiem jasnowłosy Juste, ostatni z rodu, bezbronny i ubrany w czarną szatę jak większość hugenotów.

- To Juste, jest niegroźny – odezwał się Mattias. – Chodźmy.
- Jeśli go tu zostawimy, wytropią go i zamordują – odparł Arnauld.

Tannhäuser bez słowa oddalił się korytarzem. Po chwili dogonił go Arnauld z pochodnią w dłoni, prowadzący pod ramię Juste’a. Minęli kolejny zakręt i ujrzeni przed sobą oświetlone stanowisko wartownicze, odległe najwyżej o trzydzieści kroków. Tannhäuser popatrzył na Arnaulda.

– Nie uratujesz chłopakowi życia w samym środku tej rzezi – powiedział cicho Arnauld.

- Jasne, że nie uratuję. Dlatego pójdzie z tobą. To ty go uratujesz.
- Potraktuję to jako żart.

Przystanęli obaj i zwrócili się ku sobie. Oczy Arnaulda płonęły.

- Ze mną nie pójdzie. Zabiłem trzech innych synów jego matki.

– Mógłbym powiedzieć, że właśnie dlatego powinieneś się o niego zatroszczyć, ale zbyt dobrze cię poznałem. Możliwe, że jestem gorszy od ciebie, bo to jest mój świat, nie twój, i to ja pomagałem zrobić go tym, czym jest. Ale, na miłość boską, Tannhäuser, spróbujmy uczynić coś godnego w tę noc hańby.

Mattias spojrział na Juste'a. Chłopak drżał.

– Nie miłuję Boga – odparł – i już czynię coś godnego: staram się zadbać o moją rodzinę.

– Ja też o nią zadbałem.

Na te słowa Tannhäuser nie znalazł odpowiedzi. Arnauld wpatrywał się w niego intensywnie.

– Obiecałeś mi wiekuiłą wdzięczność i sugerowałeś, że to istny skarb. Zatem domagam się mojego skarbu. I żądam dowodu wdzięczności. Weź ze sobą tego chłopca i chroń go. Tak, jak, mam nadzieję, chroniłbyś mnie.

Tannhäuser raz jeszcze spojrział na Juste'a, który z pochyloną głową wpatrywał się w podłogę, nie mając najmniejszego wpływu na własny los. I gdy tak na niego patrzył, widział jedynie zbędny ciężar. Juste mógł wszak szukać zemsty, ale Arnauld nie kupiłby takiego argumentu; zresztą i sam Tannhäuser wcale w to nie wierzył. Młode serce nie było zdolne do takiego ruchu. Juste bowiem, podobnie jak Grégoire, był z natury wrażliwy.

– Juste – odezwał się Mattias.

Chłopak odważył się spojrzeć jedynie na jego pierś i ani trochę wyżej.

– Będziesz robił dokładnie to, co każe, i dokładnie wtedy, kiedy każe.

– Tak, panie.

– Gdybyś nie wiedział, co czynić, naśladowaj Grégoire'a.

Juste zerknął na zdeformowanego dzieciaka.

– Tak, panie.

– Nie zniosę żadnego skomlenia ani żadnych kalwińskich bredni. Jeśli marzy ci się męczeństwo, a wiem, że niektórzy z twoich ziomeków niczego innego nie pragną, możesz zostać tutaj.

– Nie chciałbym, panie, żebyś miał mnie za tchórza, ale wolałbym żyć.

– Zatem sprawdźmy, czy obaj mamy dość odwagi, zanim Arnauld poprosi mnie, żebym przemienił wodę w wino.

Nikt nie wyglądał na rozbawionego, więc Tannhäuser roześmiał się sam.

Arnauld ruszył jako pierwszy w stronę trzech gwardzistów strzegących bramy. Tannhäuser musnął łokciem ręką sztyletu. Wiedział, że niosąc Orlandu na ramieniu, nie

będzie tak szybki jak zazwyczaj, lecz z kolei ci trzej zapewne nie spodziewali się, że zginą z ręki człowieka niosącego rannego.

– Juste, chwyć Grégoire’a za rękę i nie puszczaj.

Tannhäuser wyprzedził Arnaulda, ale ten zmierzył go chmurnym spojrzeniem i jako pierwszy stanął przed strażnikami.

– W imię d’Anjou, otworzyć bramę – rozkazał.

Dwaj gwardziści i sierżant dowodzący wartą zmierzyli przybyłych wzrokiem z należytą podejrzliwością.

– Wolno pokornie spytać, w jakim celu, panie de Torcy?

– Lombarts, prawda?

– Tak jest, panie.

– Otóż, jak widzisz, mości Lombarts, ulubiony paź – doprawdy faworyt – Jego Wysokości księcia d’Anjou został ranny w walce z buntownikami.

Z reakcji Lombartsa na te słowa Tannhäuser wniósł, że Orlandu został właśnie wzięty za rasowego sodomitę.

– Ten zaś uczony lekarz i kawaler maltański w jednej osobie, który stoi przed tobą, musi dostarczyć nieszczęśnika do Ambroise’a Parégo, królewskiego chirurga rezydującego na rue de Béthizy. Nie chcielibyśmy wszak, żeby ulubiony paź Jego Wysokości zgasł.

– Panie? – rzucił pytająco Lombarts.

– Żeby umarł – warknął niecierpliwie Arnauld. – Bo jeśli umrze, wszyscy będziemy za to odpowiedzialni, a najbardziej ten, kto zastąpił nam drogę. Życie uchodzi z niego z każdą minutą.

Tannhäuser spojrział złowieszczo na Lombartsa.

– A skoro już o tym mowa – ciągnął Arnauld – weźmiemy jednego z twoich ludzi, poniesie rannego. – To rzekłszy, wskazał na bardziej muskularnego z gwardzistów, kaprała. – Ten się nada – rzucił. Tannhäuser podziękował mu w duchu za ten nieoczekiwany ruch. – Jak widać, nieźle ich karmią w tym pałacu.

Zanim Lombarts zdążył zaprotestować, Tannhäuser podszedł do kaprała i rzucił Orlandu wprost w jego ramiona. Gwardzista jęknął z wysiłku, a dowódca warty przeniósł wzrok na dwóch najmłodszych, trzymających się za rękę.

– Idiota i jego opiekun też wychodzą – dodał Arnauld.

Grégoire zaczął bełkotać *Ave* i w tym momencie Lombarts uznał, że spełnił swój żołnierski obowiązek. Odpiął od pasa pęk kluczy i otworzył bramę Luwru.

Tannhäuser skinął na Grégoire'a i Juste'a. Wyszli, a w ślad za nimi pomaszerował kapral niosący Orlandu. Arnauld wyciągnął dłoń. Tannhäuser uścisnął ją mocno, patrząc mu w oczy. I wtedy pojawiło się między nimi coś, co nie istniało ledwie kilka godzin wcześniej.

– Dziękuję, Arnauld.

– Obaj zrobiliśmy dobry interes. Modlę się, byś odnalazł żonę bezpieczną. Bóg z wami.

Tannhäuser spojrział w głęboką ciemność poza zasięgiem pałacowych latarni.

– W piekle wolałbym raczej maszerować pod sztandarem diabła.

CZĘŚĆ DRUGA

DZIEŁA CZARNEJ NOCY, CZYNY HANIEBNE

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W nastroju

Gorączka sierpniowej nocy była jak wilgotny ciężar przygniatający pierś Tannhäusera. Pot spływał po jego czole i skroniach, a przecież była to najchłodniejsza godzina nadchodzącego dnia. Odetchnął głęboko i zaraz poczuł aż w migdałkach oleistą woń co najmniej tuzina rodzajów łąjna. Stał na skraju kręgu światła rzucanego przez lampy nad bramą.

Księżyc skrył się już za pałacem. Wielki Wóz wskazywał północ na niebie, na wschodzie zaś jasno świecił Jowisz. Tannhäuser skierował kroki ku ciasno zabudowanej dzielnicy, której pierwsze budynki stały tuż za granicą placu okalającego królewską siedzibę. Nie trzeba było godziny, by pieszo przemierzyć Paryż, niektórzy jednak twierdzili, że gdyby wyprostować i połączyć ze sobą wszystkie jego ulice, powstałaby droga do samej Jerozolimy. Choć może bardziej prawdopodobnym punktem docelowym byłoby Pandemonium. W całym bowiem dziele ludzkiego stworzenia nie znalazłoby się labiryntu bardziej szalonego i gorzej opisanego. A gdzieś w jego sercu przebywała Carla.

Tannhäuser nie wiedział, co by bez niej zrobił i kim by się stał – dlatego czuł strach. Jak powiedział mu kiedyś Petrus Grubenius, każda rzecz, od głupiego kamienia po Boga Wszechmogącego, z konieczności osadzona jest w swym *telos* – celu istnienia. Strach przypomniał Mattiasowi, że celem jego istnienia jest Carla. Z biegiem lat postrzegał świat w coraz mroczniejszych barwach, a ona, ze swą miłością, muzyką i nadzieją, ocaliła go przed utonięciem w rozpacz. Jeżeli żywił w sobie jeszcze jakąś iskrę dobroci, to w hołdzie dla niej i dla miłości, którą ją obdarzył, a także dla – z gruntu niepojętej – miłości, którą Carla obdarzyła jego. Bez tej kobiety jedynym celem i sensem jego egzystencji byłoby nadal sianie zniszczenia.

Wmawiał sobie, że jest bezpieczna i dobrze chroniona. Lękał się jednak o dziecko, które w sobie nosiła. Wieść o ciąży była dlań w równym stopniu cudowna jak szokująca. Czy jego potomek miał dość siły, by przetrwać, czy może pisane mu było umrzeć kilka godzin po narodzinach? Taki los spotkał wszak jego brata, urodzonego niespełna dwa lata wcześniej i

ochrzczonego imionami Ignatius Bors, które zresztą nadał mu sam, bo nie było pod ręką kapłana. Carla nosiła żałobę w ciszy i owo milczenie było dla Tannhäusera straszliwym doświadczeniem; potrzebował całej siły woli, by je znieść. Teraz jednak takie wspomnienia tylko odbierały mu moc. Wypchnął Carlę z umysłu.

Był zbiegiem na obcej ziemi, otoczonym złoczyńcami, dla których ta ziemia była domem. Musiał kroczyć ciemnymi ulicami, jakby należały do niego. Miał wystarczające powody, by nienawidzić tej cuchnącej suki zwanej stolicą, lecz mądry wilk kocha swój teren łowiecki, dlatego postanowił, że będzie kochał Paryż. Wielkie miasto najwyraźniej nie kochało swych mieszkańców, a Tannhäuser postanowił wziąć z niego przykład. Przy odrobinie szczęścia mógł poznać niektóre jego sekrety.

Na plac raz po raz zajeżdżały wozy ciągnięte przez woły. Słudzy nadbiegali co sił w nogach, by je rozładować, ale wydawało się, że są dziwnie nerwowi i przygnębieni, jakby właśnie się dowiedzieli, że znacząco zmniejszyła się liczba bywalców pałacu, którym trzeba będzie podać śniadanie. Sterty materiałów budowlanych wiele mówiły o naturze miasta na wpół zrujnowanego i tonącego w długach, a przecież wciąż pragnącego przyćmić swym rozmachem nawet Rzym. Na południu, nad brzegiem Sekwany, świnie i beżpańskie kundły buszowały w długich hałdach śmieci, zapewne czekających na wywiezienie. Z labiryntu uliczek na wschodzie dobiegało echo intensywnej palby. Słysząc było także brzęk tłuczonego szkła, trzask pękającego drewna, basowe rozkazy i przedśmiertne okrzyki. Ponad dachami wznosiła się wieża kościelna, której witraż odbijał resztki księżycowego blasku. I właśnie stamtąd, z dzwonnicy na tyłach świątyni, wciąż dobiegało metaliczne dudnienie.

Tannhäuser odwrócił się i spojrzał na dwóch chłopców wtulonych w siebie ramię w ramię. Grégoire złapał się za krocze palcem wskazującym i kciukiem. Zobaczywszy to, Mattias polecił obu, by się „natychmiast wyszczali”, a doszedłszy do wniosku, że rada jest całkiem niegłupia, uczynił to samo. Chwilę później sięgnął po jedną z pęku pochodni moczących się w wiaderku z naftą i odpalił ją od lampy przy bramie pałacu. Potem zaś zwrócił się do potężnego Szwajcara, który niósł Orlandu.

– Jak cię zwa, kapralu?

– Stefano, panie.

– Skąd jesteś, Stefano?

– Z Sionu, panie.

– Kanton Valais? Wiedziałem, gdy tylko na ciebie spojrzałem. – Bezczelne kłamstwo poparł poufałym klepnięciem w plecy.

Stefano, choć dźwigał ciężki ładunek, dumnie wypiął pierś.

– A teraz słuchaj, Stefano. Dostarcz tylko tego chłopca do królewskiego chirurga, a nie pożałuję ci złota. Lecz jeśli trafimy na twoich towarzyszy, rzeknij im zaraz ostro, że wykonujemy misję dla d’Anjou, słyszysz? A gdy ktoś się uprze, żeby nam stanąć na drodze, przyjaciel czy wróg, zabiję go.

Tannhäuser dał kapralowi dość czasu, by spoglądając w zimne oczy nowego dowódcy, mógł nabrać doń stosownego szacunku.

Po chwili Stefano strzelił obcasami i skinął głową.

– Tak jest, panie.

Tannhäuser strząsnął z pochodni nadmiar tłustego płynu. Płomień ożywił się zaraz, a deszcz płonących kropel z sykiem zgasł na piasku. Mattias podał pochodnię Juste’owi.

– Chłopcze, pójdziesz obok Stefana i będziesz oświetlał mu drogę.

Juste cofnął się odruchowo i nie przyjął pochodni, próbując jednocześnie wcisnąć głowę jak najgłębiej między ramiona. Grégoire wyciągnął rękę, ale Tannhäuser gestem kazał mu się cofnąć i znowu podał ogień młodemu szlachcicowi.

– Przechyl drzewce na bok, to płomienie cię nie dosięgną.

Juste potrząsnął głową, owładnięty paniką, a potem przycisnął dłonie do twarzy.

– Nie. Nie pójdę. Nie chcę. Nie mogę.

Tannhäuser huknął go w głowę otwartą dłonią. Cios nie był mocny, ale chłopak zachwiał się, a Grégoire natychmiast skoczył, by go podtrzymać. Wargę Juste’a zadrżała, a oczy zaszyły łzami. Otoczył twarz ramieniem, by zdusić w sobie szloch. Tannhäuser pamiętał te uczucia: przerażenie, dezorientację, upokorzenie. Chwytał nadgarstek chłopaka i wyprostował jego rękę. Juste uparcie spoglądał na czubki swych butów, a na jego rzęsach perlily się łzy. W dramatycznym blasku pochodni mógłby uchodzić za postać z malowidła na sklepieniu bazyliki, lecz był okazem piękna wymagającym brutalnej korekty. Tannhäuser uniósł jego podbródek, zmuszając chłopaka, by spojrzał mu w oczy.

– Twoi towarzysze zostali zdradzeni i wymordowani. Król jest diabłem wcielonym. Zagubiłeś się we wszechświecie kłamstw. I żaden bóg ci nie pomoże, ani ten twój, ani inny.

Juste próbował uciec przed jego spojrzeniem, ale nie potrafił.

– Słuchasz mnie, Juste? Odpowiedz. Powiedz: tak.

– Tak.

– Świetnie. Więc słuchaj dalej. Nos masz zatkany krwią i gównem, w bebeczach coś ci się przewraca, a mózg jakby gotował się w czaszce.

– Tak.

– Jesteś sam.

– Tak. Tak.

– Twoi bracia nie żyją, zezarły ich psy.

Juste zakwilił z cicha. Tannhäuser przełknął ślinę i kontynuował:

– To ja ich zabiłem. Zabiłem synów twojej matki. I oto stoisz w mojej mocy.

– Tak.

– Jest noc. Ta noc nie ma końca, Juste.

– Tak.

– I w całym tym mrocznym, krwawym świecie nie masz ni jednego przyjaciela.

– Tak.

– Albo tak ci się zdaje.

Cierpienie Juste’a było doprawdy trudne do zniesienia. Tannhäuser pamiętał i to.

– A przecie w tej jednej kwestii bardzo się mylisz. A to dlatego, że ja jestem twoim przyjacielem.

Strumienie łez spłynęły po policzkach gołowąsa, a jego oddech nagle zgubił rytm. Grégoire, który wciąż podtrzymywał Juste’a, poklepał go między łopatkami, jakby próbował uspokoić spłoszonego konia.

– Jestem twoim przyjacielem – powtórzył Tannhäuser. – I naprawdę, wierz mi, mógłbyś trafić gorzej. Co więcej, jako że Stefano jest moim przyjacielem, podobnie jak dzielny Grégoire, obaj są także twoimi przyjaciółmi. Stąd też mylisz się, twierdząc, że nie masz przyjaciół. Przeciwnie, jesteście nimi otoczony. Zgadzasz się?

– Tak.

– Czy wobec tego oświetlisz drogę swoim przyjaciółom w tę najczarniejszą z nocy?

– Tak.

– Dobry chłopak. A teraz wytrzymaj twarz. – To powiedziawszy, wetknął pochodnię w dłoń Juste’a, a ten zacisnął palce na drzewcu. Tannhäuser sięgnął następnie po jego lewą rękę i zamknął ją wokół prawej. – Blask ognia sprawiłby, że nie widziałbym nic w ciemności, a w niej właśnie zamierzam pozostać, dlatego ja pójdę przodem. Nie będziesz mnie widział, ale pozostanę blisko was – mówiąc to, wyjął z pochwy sztylet.

– To ta klatka – odezwał się nagle Grégoire i pobiegł w stronę sterty śmieci.

Tannhäuser odetchnął głęboko, gestem przykazał Stefanowi zaczekać i ruszył za swym sługą. Juste potruchtał za nim.

– Grégoire.

Klatka leżała na boku, tuż obok rzecznej przystani. Grégoire stał nad nią, spoglądając na mały. Były martwe. Drobne ciała tworzyły nieruchomy stos splecionych kończyn, głów i ogonów.

- Przebyły tak długą drogę przez ocean. I potrzebowały tylko wody.
- Musimy iść – powiedział Tannhäuser, ściskając jego ramię.
- Popatrz, panie, tutaj... Próbowały przegryźć pręty. Uwolnić się.
- Próbowaliśmy im pomóc.
- Ale nie za bardzo.
- Nie za bardzo.

Tannhäuser zauważył psa i świnię – zwierzęta walczyły o kilka nagich ludzkich ciał rzuconych na śmietnik. Trupy wyglądały na sztywne; śmierć musiała nastąpić co najmniej kilka godzin wcześniej.

Mattias zawrócił obu chłopców w stronę placu, zanim Juste zdążył dostrzec zabitych.

Idąc – zgodnie ze wskazówkami Stefana – na wschód, wzdłuż rzeki, mała procesja pod wodzą Tannhäusera opuściła plac przy pałacu i minęła pierwsze nabrzeża oraz szerokie schody prowadzące w dół, na plażę. Przy najbliższym zakolu odbili na północ, w stronę ulicy, na której – jeśli nie zawiodła Mattiasa orientacja – widział przez okno księcia Gwizjusza na czele oddziału morderców. Halabardnik, który trzymał straż u jej wylotu, spojrzał tylko na krzyż na piersi Tannhäusera oraz na Stefana zamykającego pochód, ale nie uczynił nic, by ich zatrzymać.

Teraz Mattias wysforował się nieco, kryjąc się w cieniu budynków raz po jednej, raz po drugiej stronie ulicy. Jego oczy przywykły już do mroku. Idąc dziesięć kroków przed pochodnią, mógł być pewny, że ktokolwiek zbliży się z naprzeciwka, zobaczy wyłącznie jej płomienie.

Znajdowali się w dzielnicy zajazdów, burs i warsztatów artystów pracujących głównie na zlecenie dworu. Tannhäuser wyczuwał w powietrzu woń wosku i terpentyny, a za pogrążonymi w mroku oknami – skulone ze strachu rodziny, modlące się o świt. Na niektórych drzwiach byle jak wymalowano białą farbą krzyż. Zamki w nich na nic się nie zdały; wyłamano je z zawiasów, by dopaść tych, którzy próbowali ukryć się w środku, a których nieruchome ciała spoczywały teraz boso w kałużach nieczystości, odziane w koszule nocne naznaczone mokrymi jeszcze, czarnymi plamami.

Klin budynków, które mieli przed sobą, wbijał się w sam środek ulicy, dzieląc ją na szerszą odnogę wschodnią i węższą północną. Tannhäuser odbił na wschód. Kolejne drzwi, kolejne ciała stygnące w gęstniejących plamach. Po obu stronach mijali ciemne zaułki, potem

boczną ulicę oddzieloną łukowatym portykiem i zaraz następną, po prawej stronie. Podążając za łukiem głównego traktu, przestał liczyć jego drobne odgałęzienia i podwórza zamknięte bramami. Wreszcie dotarli do sporego skrzyżowania, za którym widać było w oddali dziesiątki tańczących światełek. Dochodziły stamtąd triumfalne okrzyki; rozlew krwi wciąż trwał w najlepsze, z udziałem konnych i pieszych.

Tannhäuser zerknął za siebie: Stefano szedł miarowym krokiem, chłopcy trzymali się blisko niego. Znowu skupił uwagę na skrzyżowaniu i wtedy spostrzegł mężczyznę, który wymknął się z ostatniego zaułka po przeciwnej stronie ulicy. Zbieg nie nosił peruki i choć miał zapewne niewiele więcej ponad trzydzieści wiosen, był łysy jak mnich. Był także zupełnie nagi, jeśli nie liczyć jednego buta. Tannhäuser przebiegł na drugą stronę, korzystając z tego, że bicie dzwonu zagłuszało jego kroki. Nie zauważył w pobliżu żadnego innego hugenota. Wypatrzył natomiast skórzaną sakiewkę wiszącą na szyi uciekiniera; sądząc po tym, w jaki sposób się kołysała, musiała być ciężka. Mężczyzna niósł w lewej dłoni sztylet, ale trzymał go tak, jakby zupełnie nie miał pojęcia, jak się nim posługiwać. Gdy kulejąc z lekka, zbliżał się do Stefana i chłopców, Tannhäuser zaatakował go od tyłu.

Doskoczył po skosie, na początek chwytając za nadgarstek rękę uzbrojoną w sztylet. Niemal jednocześnie wpychał własną klingę za obojczyki zaskoczonego zbiega, uderzając raz po raz z góry, ponad jego barkami. Gdy ostrze zagłębiało się aż po rękojeść, obracał je nieznacznie, czując, jak pękają kolejne naczynia. Czymkolwiek było życie, umknęło z nagiego ciała w sposób natychmiastowy, acz wyczuwalny. Trup opadł na kolana bez jednego dźwięku ni spazmu. Nie wypuszczając z ręki tkwiącego w nim sztyletu, Tannhäuser utrzymał ciało w pionie na krótką chwilę potrzebną, by przechwycić sakiewkę i wyplątać rzemień spod uszu i podbródka. Następnie wyszarpnął broń, uważając, by nie dać się spryskać krwią, ale najwyraźniej nieszczęśnik zdążył wykrwawić się do wewnątrz. Łysa czaszka z pluskiem spoczęła w rynsztoku, a Mattias strząsnął posokę z ostrza i wsunął je na powrót do pochwy.

Sakiewka była nie tylko przyjemnie miękka, ale i perfumowana – Tannhäuser powąchał ją z lubością. Właściwie nie musiał zaglądać do środka; znał charakterystyczny ciężar złota. Dodatkowa opaska pozwalała przytroczyć woreczek do pasa. Obejrząwszy ją, pochylił się, by podnieść sztylet zabitego mężczyzny, mediolańskiej roboty, jak szybko ocenił, długi na trzecią część miecza i świetny do walki w ciasnych pomieszczeniach. Wyborna jakość stali oraz lazurytowa głowica sugerowały, że broń zamówiono jako element ekwipunku paradnego, co wcale nie umniejszało jej śmiertcioności. Wraz z pochwą była zapewne warta tyle samo ile złoto z sakiewki – niestety, pochwy brakowało.

Wsunął sztylet za pasek na plecach, rękojeścią w stronę prawego łokcia. Zdjął ze stygnących dłoni dwa pierścienie i dorzucił do sakiewki. Teraz dopiero spojrzał na twarz zabitego, lecz jej rysy tonęły w mroku. Wyprostował się, przeciągnął i skrzywił lekko.

Stefano zbliżał się równym krokiem, w plamie blasku pochodni. Gdy ujrzał Tannhäusera, strzepnął tylko krople potu znad oczu. Orlandu wciąż oddychał w jego ramionach. Juste pochylił nieco pochodnię i wraz Grégoire'em zapatrzył się na nieboszczyka, leżącego bez przydzwiewku w wolno rosnącej kałuży krwi, w dodatku w osobliwej pozycji, sugerującej, że upadł na plecy w chwili, gdy na kolanach dopuszczał się jakiejś perwersyjnej czynności. Jak na komendę spojrzeli na Tannhäusera, który właśnie przypinał do pasa sakiewkę.

– Orobowałeś go? – spytał Juste.

– Nie ma tak dobrze bronionej fortecy, której nie można by zdobyć pieniędzmi, a my mamy Paryż do zdobycia.

– Nie wydaje mi się, by Cynceron próbował tymi słowami usprawiedliwić morderstwo.

– Ten człowiek był już trupem, zanim go spotkaliśmy, to dlatego był uzbrojony i zdesperowany. Wy zaś staliście na jego drodze. A Cynceron usprawiedliwił złupienie połowy świata. – Tannhäuser spojrzał na Stefana. – Daleko jeszcze do tego chirurga?

Stefano wskazał kierunek ruchem głowy.

– To tam, tuż za tą gromadą walczących.

Ruszyli w stronę skrzyżowania, odległego może o sto kroków, lecz w tej samej chwili Tannhäuser usłyszał, że ktoś szybko zbliża się do nich. Odwrócił się.

Dwaj młodzi szlachcice – sądząc po krzykliwych strojach – wybiegli z tego samego zaułka, z którego wcześniej wyłonił się nagi mężczyzna. Obaj mieli przypięte do czapek krzyże z białego płótna. Pasy z rapierami nieśli przerzucone przez ramię; żadna klinga nie była zakrwawiona. Zatrzymawszy się, dyszeli ciężko i wyglądali na wystraszonych, lecz szybko odzyskali animusz, uniknąwszy prawdziwej walki. Teraz dopiero spostrzegli trupa. Niższy padł na kolana i z narastającym oburzeniem jął oglądać zabitego. W końcu zauważyli i Tannhäusera. On zaś, wraz ze swą kompanią, ruszył znowu w stronę skrzyżowania.

– Ejże, panie! To my ścigaliśmy tego heretyka!

Tannhäuser wciąż się oddalał, uważając to w duchu za akt łaski. Puścili się biegiem, by go wyprzedzić. Wystraszony Juste chwycił Grégoire'a za rękę, a wtedy pochodnia, dotąd trzymana oburącz, przechyliła się niebezpiecznie w stronę głowy nieprzytomnego Orlandu. Tannhäuser odebrał mu ją bez słowa i uniósł w górę, nieco ku lewej stronie. Zatrzymał się,

gdy dwaj młodzi szlachcice zastąpili mu drogę. Rapiery wciąż mieli na ramionach, zgodnie z chwilową modą.

– To był nasz heretyk – obwieścił niższy.

Tannhäuser rozejrzał się. Nie było świadków. Popatrzył pytająco na Juste'a.

– Co by na to rzekł Cyceron?

– Znakomite pytanie – zauważył wyższy młodzieniec.

– *O praeclarum custodem ovium lupum* – odpowiedział Juste.

– Słabo znam łacinę – wyznał Tannhäuser.

Wyższy z młodych szlachciców uśmiechnął się, gotów pomóc.

– Powiedział: „O najlepszy obrońco owiec, wilku!”. Cyceron jednakże, jestem niemal pewny, posłużył się ironią. I nic dziwnego, w końcu on wymyślił to słowo. Zgodzisz się ze mną, Georges?

– To był nasz heretyk. My go wypłoszyliśmy, ja i Nicolas.

Tannhäuser wszedł w zasięg ich rapiarów i zbliżył się jeszcze bardziej, przez co stały się praktycznie bezużyteczne, on zaś mógł zacząć działać. Jego przeciwnicy skrzywili się, gdy to pojęli, lecz natura wyposażyła ich w wystarczającą dozę dumy i głupoty, by nie uznali za stosowne się cofnąć. Z ich twarzy można było wyczytać, że oczekują od świata głównie spełniania zachcianek, być może dlatego, że świat jeszcze nigdy niczego im nie odmówił.

– Zejdźcie mi z drogi.

Georges popatrzył w oczy Tannhäusera, nie mając nawet cienia pojęcia o tym, co go zaraz spotka.

– Ten heretyk ukradł sztylet mojego przyjaciela. – To powiedziawszy, wskazał na pustą pochwę u jego pasa.

Nicolas obrócił się nawet, by ją lepiej ukazać. Była malowana, zdobiona srebrnym drutem i lazurytem.

– Chcemy go odzyskać – dorzucił Georges.

– Ten sztylet to mój łup.

– Zatem ukradłeś go.

– Grzecznością moglibyście go odzyskać. Niestety, wzgardziliście tą sposobnością.

– A ty ukradłeś też złoto heretyka.

– Georges, nie marnuj już mojego czasu. Wiedz, że jestem w nastroju do zabijania.

Nicolas odstąpił na bok, ale raczej z wrodzonego posłuszeństwa niż po to, by podstępem zaatakować.

– Ten sztylet nie znaczy aż tak wiele, kawalerze – rzekł pojednawczo. – Mój nieżyjący już ojciec dostał go kiedyś w prezencie, lecz miał tyle podobnych, że dziś nie pamiętam nawet, kto mu go podarował. A złoto nie należało do nas ani też nie jest nam do niczego potrzebne. Dlatego... dłużej cię nie zatrzymamy.

Georges nie poddał się tak łatwo.

– Kim jest ten chłystek, ubrany na czarno i biały ze strachu? – spytał, wskazując palcem na Juste'a.

– Odstąp albo rozwalę ci łeb, pyszałku.

Georges przechylił nieznacznie swój rapier.

– Złodziej nie będzie mi rozkazywał.

Tannhäuser nie sądził, by młodzieniec chciał się popisać czymś więcej niż buntowniczą postawą, zapewne dobrze wyćwiczoną w kontaktach z matką. Tak się jednak składa, że bieganie z bronią i szukanie podniety w zabijaniu bezbronnych w samym środku wielkiej masakry niesie ze sobą pewne ryzyko. Postanowił więc udowodnić tę tezę, wpychając pochodnię wprost w usta Georges'a, po czym odstąpił o krok w lewo, sięgając jednocześnie za plecy, po zdobyczny sztylet.

Płomienie stłumiły nieco kwik Georges'a. Wraz z powietrzem wciągnął do nozdrzy ogień, a płonąca nafta spłynęła mu po brodzie na kaftan, który zajął się natychmiast. Młodzieniec upuścił rapier i chwycił pochodnię obiema rękami, a Tannhäuser pozwolił mu na to. W tej samej chwili wbił sztylet w bok jego szyi i skierował ostrze w dół, by ułatwić sobie cięcie. Było tak ostre, że niemal bez oporu wsunęło się w ciało aż po jelce. Georges szarpał się, gulgocząc. Prawą rękę skaleczył, próbując wyrwać sztylet z rany, lewą zaś trzymał pochodnię z dala od siebie. Tannhäuser strącił mu z głowy czapkę i pochwycił za włosy, by go unieruchomić. Upewniwszy się, że Nicolas przygląda się tej scenie, przyłożył się do gładkiego cięcia, które otworzyło tchawicę i całe gardło Georges'a. Fala krwi zalała tors i trysnęła w górę, za uszami ofiary, a wraz z nią uszło zeń życie i wszelkie sny o dorosłości. Pochodnia upadła na ziemię, a zaraz potem Georges.

Nicolas przyglądał się temu z szeroko otwartymi ustami, jakby zmroziła go wizja rodem z koszmarnego snu, w którym on sam i wszystkie jego tytuły nie znaczyły nic, a warte były jeszcze mniej.

– Nicolas, rzuć broń i podaj swój pas temu chłopcu. Prędko.

Mężczyzna odpiął pas i oddał Grégoire'owi. Wykrzywił lekko usta; zapewne miał to być uśmiech oznaczający pełne posłuszeństwo. Wtedy Tannhäuser przystąpił doń i wbił

sztylet prosto w jego serce. Gdy wyjął ostrze, wystarczyło raz nim wstrząsnąć, by usunąć ze zbocza krew, do ostatniej kropli.

– Grégoire, daj mi pochwę od tego sztyletu. Rapier zostaw.

– Nie dałeś im szansy – powiedział Juste.

– Dałem. Na pewno większą, niż oni dali by tobie. Albo twoim pobratymcom.

Tannhäuser oderwał od czapek białe emblematy i podniósł z ziemi pochodnię.

– Noście je na piersi – rzekł, wręczywszy płócienne krzyże Juste’owi i Grégoire’owi.

– Będziecie wyglądać jak ci, co służą papieżowi. I niech Grégoire nauczy cię *Ave*. Wybornie zna łacinę.

To, że żaden z uśmierconych młodzieńców nie zabrał na nocną wyprawę sakiewki, było bodaj jedyną inteligentną – acz niemile przez Tannhäusera widzianą – decyzją, jaką ostatnio podjęli. Odebrawszy ozdobną pochwę z rąk Grégoire’a, Mattias schował do niej sztylet i wsunął za pas. Teraz dopiero zwrócił się po włosku do Stefana.

– Jesteś moim współnikiem w tym, co zaszło.

– Ależ w czym, panie? Mamy tu dwóch dzielnych lojalistów poległych w pościgu za niebezpiecznym buntownikiem.

– Stefano, właśnie podwoiłeś swoje wynagrodzenie w złocie.

Tannhäuser i jego grupka dotarli wreszcie do skrzyżowania ulic, gdzie w gorącym, nieruchomym powietrzu nocy czuć było głównie woń prochu i siarki. Niezliczone ciała widzieli dosłownie wszędzie. Na ich oczach stłoczono kolejny tuzin jeńców przed dwukrotnie liczniejszym szeregiem arkebuzerów. Podsypano proch, zapłonęły lonty, padły najpierw komendy, a potem strzały – i nieszczęśni hugenoci, rażeni ołowiem, runęli na ziemię w chmurze dymu. Niektórzy stali tak blisko wylotu luf, że ich ubrania zajęły się ogniem. A jednak nie wszyscy zginęli od jednej salwy; niektórzy wzywali Boga na pomoc tak długo, aż Szwajcarzy, kluczący między nimi niczym ogrodnicy szukający chwastów, skrócili ich cierpienia za pomocą glewii.

Raz po raz z wysoka dobiegały ostrzegawcze okrzyki tych, którzy z okien i dachów rzucali trupy na ulicę. Nieco dalej oddział gwardzistów z pochodniami zajmował się formowaniem wielkich, ociekających krwią stosów ciał, posługując się przy tym linami i końmi pociągowymi. Buty, kopyta i zwłoki nurzały się w czerwonych rozlewiskach, mieszając ludzką krew z wszelkim brudem i rozpryskując ją szczerze na wszystkie strony. Gdzieś nad dachami huknął pojedynczy wystrzał. Należało jeszcze wypłoszyć i zaszczuć ostatnie zające, a następnie sprowadzić wóz z trocinami do posypania okolicznych ulic, lecz wydawało się, że oddział wykonał należycie swą brudną robotę.

W całym mieście wciąż biły dzwony.

Tannhäuser odezwał się do jednego z gwardzistów, który wyraźnie się nudził:

– Hej, żołnierzu, pobiegnij no do kościoła i ucisz wreszcie ten dzwon. Kapralu? – dodał, spoglądając na Stefana.

– Rób, co każe jego ekscelencja – warknął Stefano. – I to biegiem.

Im bardziej zbliżali się do domu de Rochefortów, tym wyraźniej dostrzegali prawdę: niektórzy hugenoci stawili w tej okolicy wyjątkowo twardy opór, nim ich zabito; najwyraźniej próbowali przebić się do admirała de Coligny'ego. Wśród trupów widać było wielu mężczyzn z krzyżami na czapkach lub białymi opaskami na rękawach. Ranni katolicy leżeli na płaszczach i kocach, dogładani przez towarzyszy. Tu, na rue de Béthizy, z pewnością nikt się nie zdziwi, gdy natknie się na trupy dwóch młodzieńców, pomyślał Tannhäuser, prąc uparcie w stronę domu de Rochefortów. W chaosie, który nastąpił, gdy rzeź dobiegła końca, nikt nie zamierzał nękać jego małej procesji.

Z przeciwka ruszył kłusem oddział konnych, płosząc pieszych. Tannhäuser ściągnął chłopców pod ścianę domu, by przepuścić bogato odzianych i świetnie wyposażonych jeźdźców, dosiadających bodaj najpiękniej ułożonych wierzchowców w całym kraju. Nawet w marnym świetle pochodni sierść koni lśniła jak jedwab, a kopyta wznosiły się wysoko ponad krwawe błoto. Tannhäuser zapragnął zdobyć jednego z nich dla siebie. Na czele kolumny jechał mężczyzna niewiele starszy od Georges'a, za to diametralnie różniący się od niego charakterem. Kłusując, pokrzykiwał na żołnierzy:

– Pamiętajcie! To rozkaz króla!

Tannhäuser uświadomił sobie, że to Henryk Gwizjusz, obrońca katolickiego Paryża i dowódca tej nocnej orgii zniszczenia. Gwizjusz walczył pod Saint-Denis, Jarnac i Moncontour, a nawet udał się na Węgry, by stawić czoło tureckiej nawale. Być może właśnie przez wzgląd na tę ostatnią lekcję, gdy spostrzegł krzyż maltański na piersi Tannhäusera, zwolnił nieco i zasalutował. Mattias nie zamierzał się rewanzować. Ich oczy spotkały się tylko na moment, nim Gwizjusz, pijany krwią i chwałą, uśmiechnął się lekko i odjechał. Kilku z jego ludzi powtórzyło salut.

Dotarwszy do skrzyżowania, książę poprowadził swój oddział na południe, w stronę rzeki. Gdy ostatni z konnych zniknął za rogiem, bicie najbliższego dzwonu kościelnego nareszcie ucichło. I choć inne nie umilkły, wydawało się, jakby nareszcie nastąpiła błoga cisza.

– Oto i dom de Rochefortów – rzekł Stefano.

Tannhäuser spodziewał się czegoś bardziej imponującego niż wąski budynek z niewielkim dziedzińcem, po którym kręciła się spora grupa zbrojnych. W rynsztoku pod

oknami leżał trup w koszuli nocnej. Jakiś szlachcic uznał za stosowne kopnąć go w twarz. Drugi uczynił to samo. Właśnie wtedy Tannhäuser zrozumiał, kim jest ów nieboszczyk. Trzeci z odważnych, gotów przebić wyczyny poprzedników, wyjął kutasa i oddał mocz na doczesne szczątki Gasparda de Coligny'ego.

De Coligny wywołał wojnę i zginął jak głupiec, lecz przecież był także słynnym żołnierzem – i może dlatego nie spodobało się Tannhäuserowi to, czego był świadkiem. Podszedł więc do śmiałka, sięgnąwszy wcześniej po półpikę z wiązki opartej o mur, i huknął okutym żelazem, tęnym końcem drzewca w podstawę jego czaszki. Szczający upadł do nóg swych towarzyszy, których śmiech urwał się nagle, i znieruchomiał, jeszcze przez chwilę mocząc własne portki. Gdy Tannhäuser spojrział po ich twarzach, odwrócili głowy.

Odstawiwszy pikę na miejsce, położył dłonie na ramionach swych podopiecznych i zmusił się do uśmiechu.

– Dowiedliście już, że jesteście moimi twardymi, silnymi i stanowczymi towarzyszami.

Szczęka Grégoire'a opadła dość znacznie. Juste spuścił głowę.

– Teraz jednak, choć osiągnęliśmy pierwszy cel, czekają na nas inne. Juste, mistrz Paré może nie być zbyt chętny do współpracy, dlatego ty, jako wyznawca tej samej wiary, pomożesz mi zdobyć jego przychylność. Grégoire, w okolicy nie brakuje stajni, których zamożni i poważani klienci już nigdy nie powrócą po swe wierzchowce, ja zaś dość mam brodzenia w gównie. Idź, znajdź dla mnie najlepszego konia w całej dzielnicy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Płonące psy

Na wieść o tym, że jej dom może lada chwila stać się celem ataku, Symonne d'Aubray usiadła na łóżku w nocnej koszuli i zapatrzyła się w ciemność jak ktoś, kto właśnie postradał zmysły. Gdy Carla zasugerowała jej, by się ubrała i obudziła dzieci, Symonne jakby jej nie usłyszała. Miała dwadzieścia dziewięć lat i była kobietą inteligentną oraz przedsiębiorczą, lecz strach potrafił niekiedy zawładnąć nawet najspokojniejszym umysłem. Być może powróciły wspomnienia o jej mężu, Rogerze, zamordowanym przez tłum niespełna rok wcześniej, podczas ostatnich prześladowań protestantów związanych z przenoszeniem krzyża de Gastines'ów na Cmentarz Niewiniątek. Carla nie zamierzała nalegać. Położyła na łóżku suknię Symonne.

– Obudzę dzieci, a potem pomogę ci ułożyć włosy.

W chwili, gdy stanęła przy drzwiach, Symonne wreszcie przemówiła:

– Jeżeli nie jesteśmy gotowi cierpieć pod krzyżem, zdradzamy naszą wiarę w obietnicę zbawienia. Próby takie jak ta zsyła na nas Bóg, to sprawdzian naszej wiary.

W tych odważnych słowach Carla wyczuwała wpływ męża Symonne, ale w jej głosie – tylko rozpacz i zapowiedź klęski. Tak czy owak, to nie był odpowiedni moment na debaty teologiczne. Wyszła bez słowa.

Jej serce biło jak młotem, a żołądek kurczył się mimo woli. Pomyślała o Mattiasie, o jego sile i o tym, jak bardzo jej go brakuje. Z trudem wspięła się po schodach ze świecą w dłoni; ta prosta czynność wystarczyła, by ciężar dziecka pozbawił ją tchu. Zaalarmowała gospodynię, Denise, a także jej męża, Didiera, śpiących na poddaszu. Wreszcie obudziła dzieci d'Aubrayów. Najmłodsza, sześciolatka Antoinette, usiadła na łóżku, trzepocąc powiekami, i poprosiła o wodę.

– Jeszcze ciemno – zauważył najstarszy, dwunastoletni Martin.

Carla uśmiechnęła się z wysiłkiem.

– Martinie, jesteś w tym domu mężczyzną. Dopilnuj, żebyście wszyscy ubrali się jak najszybciej.

– Dlaczego? – spytała Charité.

– Róbcie to, co każe wam Martin, a potem zejście na dół, do saloniku – poleciła Carla. – Tam wasza matka i ja wszystko wam wyjaśnimy.

– Mamy się umyć? – spytał Martin.

– Nie – odrzekła. – Wystarczy, że się ubierzecie. Prędko. Włóżcie solidne buty.

Carla wróciła do swego pokoju i zamknawszy drzwi, oparła się o nie plecami, by wyrównać oddech. Rozpacz, którą wyczuła u Symonne, zaczęła się wkradać i do jej serca. Rozpacz zaś była bardziej jadowita niż strach. Carla położyła dłonie na brzuchu, by poczuć swego syna.

Otaczało go jej ciało; obmywały go wody, które wytworzyła. Mattias sugerował nawet – choć niechętnie przyznał, że to tylko spekulacje poparte przypuszczeniami alchemików – że wszystko, co przechodzi przez jej ciało, przechodzi też przez ciało dziecka i w jakiś sposób w nim pozostaje, kształtuje je. Trudno zresztą było temu zaprzeczyć, wszak nowe życie wykiełkowało z niej, z najgłębiej ukrytych włókien jej ciała. Mając w pamięci słowa męża, zadała sobie podczas ciąży sporo trudu, by dzielić się z dzieckiem najbardziej natchnionymi, wzniosłymi uczuciami: miłością do Mattiasa, radością konnej jazdy i obcowania z naturą, rozkoszą ciepłego wiatru we włosach, a nawet, gdy spała, najwspanialszymi snami. Nawet w tę podróż wybrała się także po to, by zaszczyć swemu potomkowi miłość do przygód. Dlatego teraz, na krótko przed krytyczną chwilą porodu, postanowiła solennie, że nie będzie karmić go strachem i rozpaczą.

Obleżenie Malty nauczyło ją, że nadzieja i wiara w Boga mogą pokonać rozpacz nawet w najczarniejszej godzinie, a gdy i one zawiodą, wyczerpią swe siły, pozostaje jeszcze ostatnia reduta: uparty opór. Znowu pomyślała o Mattiasie. Powinna była okazać większą cierpliwość. Nie należało wyjeżdżać z powodu kaprysu. Usłyszała jego śmiech, jakby mówił, że niczego innego się po niej nie spodziewał. I zobaczyła jego twarz, a wtedy poczuła, że jej serce zaraz pęknie.

Usłyszawszy jakiś dźwięk z ulicy, podeszła do okna. Dwunastu zbrojnych maszerowało na południe, w stronę place de Grève. Choć nie szli w nogę i nie nosili jednakich mundurów, jeden z nich niósł werbel, a inny – sztandar. Wszyscy mieli na ramionach białe opaski oraz białe krzyże przypięte do kapeluszy.

Carla wychyliła się za parapet.

– Messieurs! Dobrzy panowie, proszę, wysłuchajcie mnie.

– To dom hugenotów – zauważył jeden z nich.

– Pamiętacie Rogera d’Aubraya? – odezwał się inny.

– Owszem. Kawał łajdaka.

Ich dowódca uniósł głowę, ale nie zatrzymał się.

– Zostań w domu! – zawołał.

– Grożono nam! Banda opryszków chce splądrować dom i wymordować...

– Hugenoci wszczęli bunt. A my, milicja, zostaliśmy zwołani po to, by ich powstrzymać.

– Próbowali zabić króla!

– Boże chroń Jego Wysokość! – odpowiedział chór chrapliwych głosów.

– Nie jestem hugenotką! – Słowa te omal nie uwięzły w gardle Carli. – Jestem katolicką szlachcianką w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Tu są dzieci!

– Zostań w domu, pani, i dobrze zamknij drzwi. To najbezpieczniejsze miejsce.

– Wcale nie jesteśmy bezpieczni! – Dziecko kopnęło ją w brzuch i poczuła, że zapala się w niej gniew. Płomień świecy zadrgał. – Gdzie wasz honor? Czy wśród tylu dzielnych ludzi nie znajdzie się ani jeden, który by mnie obronił?

Zbrojni pomaszrowali dalej, nie odezwawszy się już ani słowem. Gdy ich pochodnie zgasły w mroku, Carla bardziej wyczuła niż dostrzegła jakieś cienie po drugiej stronie ulicy. Zaszczekał pies. Odpowiedział mu inny, a potem jeszcze jeden. A potem – tak, bez wątplenia – ktoś zaklął z cicha. A może jednak nie? Zamknęła okno i ujęła palcami złoty krzyżyk, który nosiła na szyi.

Jeśli tylko napastnicy uderzą z odpowiednią determinacją, pomyślała, nie da się obronić tego domu. Budowle wznoszone w nowym stylu w niczym nie przypominały dawnych miniaturowych fortec. Miały zbyt wiele okien; projektowano je tak, by wpuszczały jak najwięcej światła, a nie tak, by jak najskuteczniej chroniły mieszkańców przed rzeźmieszkami. Na ulicach zaś trzy kobiety z czwórką dzieci i służącym nie miały najmniejszych szans. Estelle mówiła, że napastnicy przyjdą po Carle, kobietę z południa. Czyżby więc jej obecność była zagrożeniem dla rodziny? Może jednak powinna uciec z Altanem Savasem, tak jak proponował? Do Temple nie było zbyt daleko, nawet kobieta w ciąży dotarłaby tam w trzy kwadransy. Ale czy wolno zostawić Symonne i jej dzieci na pastwę losu? To, co Carla przeżyła na Malcie, nauczyło ją także lojalności. A przecież była świadoma i tego, że gdyby ucieczka była jedynym sposobem na ocalenie nienarodzonego dziecka – uciekłyby. Nawet gdyby wszyscy pozostali mieli zginąć.

Podziękowała Bogu za to, że Orlandu nie został przy niej. Żałowała zaś, że nie ma Mattiasa.

Przez krótką chwilę czuła się zupełnie bezradna. Pragnęła skapitulować, oddać się w ręce nieznanym wrogów, porzucić wszelką myśl o oporze. Ta myśl przyniosła jej ulgę, ale i przypomniała o pewnym zdarzeniu. Carla widziała kiedyś, jak owca dała się zaskoczyć jednemu z jej psów i stała zupełnie nieruchomo, gdy ten rzucił się do jej gardła. Nie próbowała uciec ani uniknąć ostrych kłów. Gdy pies rozluźnił uścisk, by wypluć kłęb wełny,

ona wciąż stała, drżąc i czekając na nowy atak. Widok tej brutalnej sceny poruszył Carlę do głębi, ale nie współczuła ofierze – ogarnęła ją raczej odraza. Ta owca zasłużyła na śmierć. Pies ogarnięty morderczym szałem zabił wtedy jeszcze kilka zwierząt; Carla nie potrafiła go zatrzymać.

Teraz jednak musiała działać.

Wróciła do pokoju dzieci – zastała je na wpół ubrane i zajęte kłótnią. Ponownie kazała im stawić się na dole, a wtedy Antoinette, wciąż jeszcze w koszuli nocnej, zaczęła płakać. Charité wzięła ją za rękę.

– Do salonu, w tej chwili. – Carla tupnęła nogą. – Tam możesz sobie płakać.

W pokoju na dole cały czas leżały ich instrumenty – dokładnie tam, gdzie zostawili je po ostatniej próbie. Carla nie planowała tego wcześniej, ale przyszło jej do głowy, że przydadzą się, żeby zająć czymś dzieci: dobrze znanym ćwiczeniem wymagającym dyscypliny.

– Siadajcie, trzeba nastroić instrumenty.

– Jeszcze ciemno – zajęczał Lucien. – I jestem głodny.

– Martin, ty tu dowodzisz. Jeśli nie będziecie gotowi, gdy tu wrócę, zaczną się kłopoty.

Sąsiednim pomieszczeniem była główna sypialnia. Carla zajrzała tam i przekonała się, że Symonne nie ruszyła się z miejsca, a suknia wciąż leży obok niej, na posłaniu. Zostawiwszy ją bez słowa, ujrzała w korytarzu Denise i Didiera. Nie wyobrażała sobie, by któreś z nich mogło okazać się w walce czymś więcej niż przeszkodą. Słuchając, jak Martin bez przekonania wydaje pierwsze polecenia, żałowała wręcz, że ich obudziła. Z salonu dobiegł brzęk strun.

– Denise, przygotuj śniadanie dla dzieci – powiedziała Carla. – Didier, sprawdzimy, czy możemy się na coś przydać Altanowi Savasowi. Madame źle się czuje. Róbcie, co każe.

Zeszli za nią po schodach do holu, zaskoczeni i jeszcze mocniej wystraszeni tym, że wspomniała o Altanie. Niczego im nie wyjaśniła. Nie wiedziała nawet, jak miałyby wyjaśnić. Z głębi holu dobiegały jakieś odgłosy: rumor, sapanie, stękanie... nie, na pewno nie były to odgłosy walki.

Altan Savas nie próżnował: używając zaimprovizowanych klinów oraz desek, które wyrwał z podłogi, starał się unieruchomić tylne drzwi. Deski, zatknięte w dziurach, z których je wyrwano, miały podeprzeć zawiasy i zamek, tym sposobem zabezpieczając drzwi przed wyłamaniem. Carla była pod wrażeniem; Altan raczej nie. Spojrzał na Didiera jak na kobietę albo kogoś gorszego, a potem skinął na Carlę i razem przeszli do przedsionka we frontowej

części budynku, u podnóża schodów. Tam wręczył jej świecę i gestykułując obiema rękami, rzekł:

– Świece. Tutaj. Tutaj. Dużo, dużo. Światło.

– Didier – odezwała się Carla – powiedz Denise, żeby zostawiła śniadanie. Zbierzcie oboje jak najwięcej lamp i świec. Przynieście je tutaj, do przedsionka, i zapalcie. Prędko.

Altan wskazał palcem na drzwi frontowe.

– Źli ludzie przyjdą. Tutaj. Tak.

– Tak, wiem, nie powstrzymamy ich – odpowiedziała Carla. Wcześniej nie miała takiego zamiaru, ale nagle postanowiła spytać: – Powiedz, moglibyśmy uciec? Wydostać się stąd, tylko ty i ja? – Mówiąc to, wykonała palcami ruch przypominający kroki, a potem wskazała na niego i na siebie.

Altan skinął głową.

– Tak. Chcesz?

Nie odpowiedziała. Z góry wciąż dobiegało pobrzękiwanie strun i senne głosy dzieci.

Potrząsnęła głową.

Altan wyciągnął rękę w stronę tylnych drzwi.

– Chcą przyjść tam. Żeby my nie widzieć. – Odsunął zasuwę drzwi frontowych, ale nie tknął zamka. – Ale my sprawić, żeby oni przyszli tu. – Skinął głową w stronę schodów, po czym pokazał na migi, jak strzela z łuku, celując w dół. – Gdy wielu zginie, oni odejdą.

Carla zrozumiała. Zachęcić przeciwników, by weszli od frontu, od strony rue du Temple, gdzie będzie przynajmniej szansa, że ktoś z naprzeciwka zauważy, co się dzieje, i wezwie pomoc. Wykorzystać główny hol jako teren łowiecki, bronić schodów z półpiętra, u drzwi salonu i głównej sypialni. Jeśli wielu zginie, jeśli cena krwi będzie wystarczająco wysoka – a Carla nie wątpiła, że Altan Savas będzie się targował do końca – pozostali zrezygnują.

Poczuła w piersi iskrę nadziei.

– Tak, tak. Dobrze. Mattias byłby szczęśliwy.

Didier przyniósł dwa świeczniki, a Denise zabrała się do zapalania lamp naściennych. Z góry dobiegał odgłos smyczków nieśmiało piłujących struny.

– Mam do nich dołączyć? – spytała Carla, spoglądając w stronę salonu.

Altan skinął głową.

– Jedna świeca. Nie więcej.

Carla usiadła na krześle i przytuliła swą violę do brzucha. W tym stanie musiała siedzieć niewygodnie wygięta, by sprawnie operować lewą dłonią i smyczkiem, ale zdążyła

się do tego przyzwyczać. Wiedziała, że kiedy gra, vibracje instrumentu przenikają aż do jej łona i muzyka wypełnia mały wszechświat jej dziecka. Grała dla niego od poczęcia; nie miała wątpliwości, że jej syn uwielbia muzykę. Muzyka wykarmiła go w równym stopniu jak krew matki.

Grywała też dla swego nieżyjącego już potomka, Borsa, gdy jeszcze mieszkał pod jej sercem. I wciąż jeszcze znajdowała pocieszenie w myśli, że jego krótką egzystencję przepełniało czyste piękno. Jeśli zaś było tak, jak mówił – pod wpływem Petrusa Grubeniusa – Mattias i w łonie rzeczywiście nie istnieje jeszcze Czas, a jedynie Przedczas, to Bors słuchał jej muzyki przez tę samą wieczność, która królowała, nim nastąpiło dzieło stworzenia. Tak właśnie mawiał Mattias: Bors nie tylko słuchał jej muzyki zawsze, ale słuchał jej wiecznie.

Sięgnęła po smyczek i spojrzała na dzieci. Błyskały w półmroku szeroko otwartymi oczami, nie wiedząc jeszcze, czy powinny się bać.

– Nie zagraliśmy dla królowej, zatem zagramy dla waszej matki.

– Maman już nas słyszała – zauważyła Antoinette.

– To prawda. Ale jeszcze nigdy tak jak teraz, teraz bowiem zagramy tak, jak jeszcze nigdy nie graliśmy.

Odliczyła na głos i zaczęli grać *chanson spirituelle*, którą skomponowała specjalnie z okazji królewskiego ślubu. Było to rondo na cztery głosy – jeden ludzki, w wykonaniu Martina, oraz trzy instrumentalne. Antoinette grała na flecie, często improwizując, choć – dzięki ostrzegawczym spojrzeniom Carli – niezbyt katastrofalnie.

Podczas poprzednich prób hrabina de la Penautier bardzo się starała, by ćwiczenia przyniosły jak najlepsze wyniki. Tego ranka jednak grała wyłącznie dla siebie i dla swego dziecka. Zamknęła oczy. Jeśli jej syn miał nigdy nie zaistnieć w Czasie, jeśli miał poznać jedynie tę wieczność, to zamierzała dać z siebie wszystko, by przepełnić ją magią, a nie przerażeniem. Pozwoliła, by muzyka, drewno, struny z jelit, jej własna skóra, mięśnie i kości przeniosły ją daleko i głęboko w jego świat, świat Przedczasu.

Gdyby umarli, zginęli razem, mogliby zawędrować do Pozaczasu. Znowu sięgnęła myślą ku Mattiasowi, którego duch, jak wierzyła, był niemal tak wielki jak sama wieczność – bo jak mawiał: „Czymże nie jest prawa dusza”? – i potrafił pomieścić w sobie wszystko, nawet największą stratę. Z żalem myślała o bólu, który mu sprawi. A przecież Mattias przetrwałby i to, a pewnego dnia dołączyłby do nich – nie chciałaby znać raj, który zabroniłby mu wstępu. Połączyło ich dziecko, tu i teraz; grali we troje. Wierzyła, że ono wyczuwa swego ojca, wyczuwa przez nią jego obecność.

Gdy głos uwiązł Martinowi w gardle, ani drgnęła.

Gdy Antoinette upuściła flet, miała to za nic.

Gdy Lucien i Charité odłożyli instrumenty, Carla wciąż grała.

Gdy rozległ się łomot ostrzy z pasją bijących w drewno, Symonne zaczęła krzyżeć, a dzieci do niej dołączyły – Carla postanowiła, że nie będzie słyszeć.

I grała.

Gdy w całym domu rozległ się brzęk tłuczonego szkła, nie otworzyła oczu i nie zmyliła ani jednej nuty. Grała, a jej syn słuchał i kochał ją – z wzajemnością. Niech i Śmierć dołączy do tej pieśni, myślała. Umrzemy w miłości i muzyce.

Przestała grać dopiero wtedy, gdy Altan Savas wyrwał violę z jej rąk, ale oczy otworzyła, dopiero gdy poderwał ją i wyprowadził z salonu.

W wielkim oknie, które doświetlało hol główny znad drzwi frontowych, nie było już szyb, jeśli nie liczyć ostrych odłamków przypominających kły. Na podłodze, pośród lśniących drobin szkła i przewróconych świec, leżały kamienie i ołowiane kule. Drzwi frontowe jeszcze stały, ale wstrząsały nimi raz po raz potężne ciosy, mierzone to w górny, to w dolny zawias. Dwa młoty. Były to potężne drzwi, lecz nawet najpotężniejsze mają tylko taką wytrzymałość jak ich zawiasy, a te zawiasy podzwaniały, wyginały się i trzeszczały coraz głośniejsze. Kolejne szyby pękały z tak donośnym hukiem, jakby radowały się na myśl o tym, że spełniły już swoją misję i teraz nareszcie są wolne. Ale prócz wszystkich tych odgłosów Carla słyszała coś jeszcze: osobliwe, zwierzęce wycie oraz ludzkie przekleństwa.

Dłoń Altana była niewiarygodnie silna. Jego uścisk miażdżył jej ramię.

– My iść, teraz! – krzyknął wprost do ucha Carli.

Gdy rozluźnił uchwyt, pobiegła za nim schodami w dół, nie pytając nawet o przyczynę zmiany planów. Altan niósł na ramieniu swój turecki łuk z rogu. Z pochwy wyciągnął ulubiony miecz, krótki *Messer* o ciężkim ostrzu. Drugą ręką sięgnął po sztylet. Carla poczuła czyjś dotyk: to Antoinette chwyciła ją za rękę. Carla ścisnęła mocno jej dłoń i pociągnęła ją za sobą.

Byli w połowie wysokości schodów, gdy rozległ się potworny skowyt, jakby wszelkie żywe stworzenie zawyło naraz z przerażenia. Jednocześnie ponad szklanymi odłankami sterczącymi z okiennej ramy tuż nad nimi przemknęła spirala ognia, jakby był to portal łączący świat z piekłem gorszym od tego, które przepowiedzieli prorocy. U ich stóp wylądował płonący pies.

Antoinette krzyknęła. Po raz pierwszy krzyknęła także Carla.

Pociągnęła dziewczynkę tak, by zasłonić ją własnym ciałem, podczas gdy Altan praktycznie w locie ubił nieszczęsne zwierzę, wijące się w płomieniach od szyi po ogon.

Miecz przeciął psi korpus niemal do połowy, ale ciało wciąż funkcjonowało: oczy błyszczały bólem, szeroko otwarty pysk próbował chwytać oddech, a mięśnie kurczyły się nierytmicznie gdzieś w środku kuli płomieni. Wreszcie łapy, dotąd ślizgające się po odłamkach szkła, znalazły punkt zaczepienia i pies poderwał się do biegu, by zniknąć w głębi korytarza.

Carla cofnęła się ponownie, widząc, jak przez okno wpada kolejny płonący pies.

Tym razem wyczuła zapach smoły drzewnej, którą go wysmarowano, ale to woń palących się mięśni przyprawiła ją o mdłości. Czowała, jak rączki Antoinette szarpią jej suknię i słyszała jej spazmatyczny płacz. Gdy drugi pies lądował u ich stóp, pierwszy zdążył już wrócić z głębi korytarza: ciągnąc za sobą pióropusz ognia, gnał na oślep, wiedziony nieznośnym bólem i strachem; trudno było znieść jego żalosny skowyt. Wtem płonące zwierzęta zderzyły się, zawarczały złowrogo i przez moment wydawało się, że skoczą sobie do gardeł, ale błyskawicznie zmieniły zdanie i pomknęły schodami w górę. Altan Savas potraktował je kopniakiem i spod czubka jego buta strzeliły na boki jęzory płynnego ognia. Rozpostarł ramiona, by chronić Carlę i Antoinette.

Psy zanosły ogień do salonu, w którym ukrywały się pozostałe dzieci, Altan tymczasem sprowadził Carlę na dół, by zająć pozycję obronną w jednym z frontowych narożników holu. Oddychała ciężko powietrzem przesyconym wonią siarki.

Pojawiły się kolejne psy. Tych już nie podpalamo, jednak były równie przerażone, a przez to gotowe do zacieklej walki. Wrzucano je przez okna na parterze, i od frontu, i od podwórza – ile ich było? sześć? osiem? – a wszystkie były ulicznymi kundlami, mieszańcami marnych rozmiarów, za to pełnymi energii. Biegały schodami w górę i w dół ogarnięte szałem, ujadając zazarcie ze strachu, zdumienia i wściekłości. Z salonu na piętrze dobiegły równie przerażone ludzkie głosy: modlitwy, błagania i płacz przeciwko skomlaniu, wyciu i szczekaniu, niczym koncert absolutnego szaleństwa i strachu.

Nawet Altan Savas nie pozostał obojętny. Poruszał niespokojnie głową to w prawo, to w lewo, błyskając dziko oczami, jakby się spodziewał, że lada chwila wprost ze ścian wyłonią się zastępy demonów.

Carla uderzyła go otwartą dłonią w policzek. Jej ręka znieruchomiła natychmiast, jak po klepinięciu w masywny koński zad, ale to wystarczyło: Altan mrugnął nerwowo i oprzytomniał.

– Dziękuję, madame.

Staął przy drzwiach, by przyjrzeć się z wolna ustępującym zawiasom. Z ciemności na piętrze znowu dobiegły krzyki, lecz w tym samym momencie, z gwałtownością, od której Carla mimowolnie podskoczyła, drzwi frontowe wpadły do środka i runęły na podłogę. Tuż

za nimi wleciał do holu mężczyzna, niesiony impetem ostatniego uderzenia masywnym młotem.

– *Allaaahu akbar.*

Altan Savas uderzył w kark i byłby uciął młociarzowi głowę, gdyby w okamgnieniu nie cofnął ręki, by zaatakować jego towarzysza. Nim serce Carli zdążyło znowu uderzyć, Altan pchnął go czterokrotnie sztyletem i mieczem – w brzuch, pierś i gardło – po czym cofnął się o krok i spojrzał przed siebie, na ulicę. Na spieczonym błocie leżały trzy ciała podziurawione strzałami; jeden z trafionych żył jeszcze i jęczał, trzymając się za krwawiący kałdun. Carla zrozumiała, że gdy ona muzykowała, Altan nie próżnował: musiał ostrzelać napastników z okien. Coś świsnęło w powietrzu i przemknęło przez hol, choć Carla nie słyszała huku wystrzału.

Altan oparł miecz o ościeżnicę, wsunął sztylet za pas i zdjął z ramienia łuk. Sięgnął po strzałę i ustawił ją na cięciwie tak szybko i precyzyjnie, że Carla nie mogła oprzeć się skojarzeniu z ruchami, które jej dłonie wykonywały podczas gry na instrumencie. Po drugiej stronie ulicy zamajaczyła sylwetka unosząca nad głową ramię zbrojne w procę. Carla cofnęła się, tuląc twarz do ściany, a sekundę później znowu rozległ się świst i huk kamienia o mur. Teraz Altan Savas skoczył na próg, ramiona rogowego łuku ugięły się nieco, a pióra strzały dotknęły jego policzka. Uwolnił cięciwę spod pierścienia z kości słoniowej, a Carla mimowolnie spojrzała w ślad za strzałą.

Procarz klęczał, przyciskając dłonie do piersi, z której krew lała się niczym wino z dziurawego bukłaka. Strzała jeszcze drżała, wbita w belkę budynku, dziesięć stóp za jego plecami. Po chwili napastnik runął na twarz i więcej się nie poruszył.

Altan zdążył tymczasem ponownie naciągnąć łuk, tym razem mierząc do celu niewidocznego dla Carli. W ostatniej chwili odwrócił się jednak ku niej, a wtedy cofnęła się i przykucnęła odruchowo w półmroku. Skierował grot ku niej, potem uniósł nieco broń i znowu wyrównał.

A raczej próbował.

Zastanawiała się później, czy to właśnie ten półobrót kosztował go życie. I wiele, wiele więcej.

Za jej plecami rozległ się brzęk tłuczonego szkła i na krótką chwilę ogłuszył ją huk wystrzału.

Altan upadł na plecy, zdążywszy jeszcze wypuścić strzałę ponad jej ramieniem. Zza Carli wypadła tymczasem olbrzymia postać i rzuciła się na leżącego już Altana, by teatralnymi ruchami unosić w górę nóż i dziurawić ciało Serba niczym w walce z

nieśmiertelną bestią. Lecz Carla wiedziała od razu, że jej obrońca zginął w tej samej chwili, w której oddano strzał. Dzwonienie w uszach już minęło, a masywne ramiona przestały dziurawić zwłoki Altana. Napastnik wstał i spojrzał na swą ofiarę.

– Do diabła. Omal mnie nie zabił.

Głos, choć pełen zdumienia, wydał się Carli głębszy niż wszystkie głosy, które w życiu słyszała.

Mężczyzna nie odwrócił się.

Uświadomiła sobie, że wygląda na giganta jedynie z powodu rozmiarów głowy i ramion. Był przeciętnego wzrostu, z pewnością niższy od Mattiasa, i jeśli nie liczyć wielkich stóp, dolna część jego ciała miała normalne proporcje. Tylko głowa i ramiona mogłyby z powodzeniem należeć do kogoś dwukrotnie rośniejszego. Mężczyzna wyjrzał przez ościeżnicę frontowych drzwi, wciąż odwrócony plecami do Carli, a wtedy dostrzegła zarys jego potężnej zuchwy. W uchu nosił grube złote kółko, jakby odrobiną próżności buntował się przeciwko nędzy albo jakby wyzywał kogoś, by spróbował mu je odebrać. Dwa oszalałe psy pośliznęły się w kałuży krwi i przemknęły między jego nogami, obszczekując się wzajemnie w rozpaczliwej próbie ucieczki przed wrzaskami przerażonych kobiet i dzieci, ujadaniem swych pobratymców, brzękiem szkła oraz fetorem płonącej sierści.

Zabójca machnął dymiącym jeszcze dwulufowym pistoletem z zamkiem kołowym w stronę ulicy.

– Turek nie żyje! – ryknął w ciemność. – Weszliśmy. Sprowadźcie wózki. – Spojrzawszy na zwłoki Altana, dodał półgłosem: – Jeśli został kto jeszcze przy życiu, żeby je ciągnąć. Chcę stąd zniknąć przed świtem! – zagrzmiał znowu.

Wsunął zakrwawiony nóż za pas i raz jeszcze zmierzył spojrzeniem swego przeciwnika. Pokręcił głową, jakby nie dowierzając własnemu szczęściu, a potem, wcisnąwszy za pas także pistolet, pochylił się, by zdjąć z kciuka Altana pierścień z kości słoniowej. Obejrzał go z zaciekawieniem i spróbował wsunąć na własny palec. Nie pasował. Udało się dopiero z małym palcem, a wtedy mężczyzna uśmiechnął się, zadowolony z łupu. Potem zaś odwrócił się i spojrzał na Carłę.

Jego twarz właściwie nie była zdeformowana, jednak nos, usta, kości policzkowe i łuki brwiowe były tak ogromne, tak przerośnięte, że efekt był wręcz groteskowy. Miał też ciemne, bardzo głęboko osadzone oczy. Najdziwniejsze zaś było to, że miał w sobie coś z chłopca – potwornego chłopca. Być może wrażenie to wywoływała nieproporcjonalnie wielka głowa, a może coś, co emanowało z jego wnętrza. Był wszak Infantem Kukanii.

– Sześć. Twój Turek zabił sześć moich młodych lwów.

Carla dobrze pamiętała zasadę, którą wpoił jej Mattias, a także to, jak trudno jej było ją zaakceptować: kto okazuje słabość, ten sprowadza na siebie los słabych, a jest to zawsze ten sam los – słabi są bezlitośnie miażdżeni przez silnych. Wyłączyła zmysły, by nie czuć krwi lepiącej się do jej butów, fetoru spalonych ciał i całego zwierzęco-ludzkiego chaosu, który ją otaczał. Odetchnęła głęboko.

– Monsieur Grymonde, żałuję, że nie wybił was do nogi.

Grymonde otworzył usta, wsparł wielkie kułaki na biodrach, ale nie odpowiedział.

– Jestem Carla, ta, którą nazywasz damą z południa.

Grymonde nadal szukał stosownej odpowiedzi. Nie znalazłszy jej, spojrział ponuro na Altana.

– A to kto?

– Altan Savas, mój obrońca oraz towarzysz broni mego męża. Trzeba ci wiedzieć, że w obu tych rolach okazał się nie lada chwatem.

– A kimże jest ten twój dzielny mąż?

Odwaga była jej ostatnią walutą. Postanowiła zagrać nią ostro.

– Spróbuj skrzywdzić mnie bardziej, a za jego sprawą przeklniesz dzień, w którym się urodziłeś.

– I tak mam już powody. Mogę mieć jeszcze jeden.

– Ten pierścień, który zabrałeś, nie jest ozdobą. Służy do napinania cięciwy łuku, choć niewielu ludzi ma dość siły, by naciągnąć ten.

Grymonde pochylił się znowu i wyrwał rogowy łuk z martwej dłoni Altana. Zważył go w dłoni i mruknął coś pod nosem. Widząc, jak się z nim obchodzi, Carla nabrała pewności, że żaden z niego łucznik, lecz on miał dość sprytu, by nie podjąć wyzwania. Zarzucił łuk na ramię i uśmiechnął się szeroko.

– Dama z południa ma tupet, to trzeba jej przyznać.

Carla poczuła ruch dziecka i nagły skurcz w łonie.

– Twoje ramię, monsieur, jeśli łaska.

Wyszła z cienia i teraz dopiero Grymonde ujrział całą jej postać. Głęboko osadzone oczy zwilgotniały nagle – był tym faktem równie zaskoczony jak ona.

– Niech mi diabli ślepią wyłupią! Wkrótce rodzisz, pani.

Choć wcale tego nie potrzebowała, Carla wsparła się na ramieniu Grymonde'a. Miała wrażenie, że w jego dłoni zmieściłby się galon gruszek. Stojąc blisko, poczuła jego zapach, tak osobliwy, że nie kojarzył jej się z żadną znaną wonią. Jego skóra była pokryta jakąś tłustą wydzieliną i szorstka, choć nie kostropata. Carla patrzyła mu w oczy. W takiej

chwili warto było mieć tylko jednego sprzymierzeńca, a był nim Grymonde. Gdyby metodą drobnych kroków udało się uczynić zeń obrońcę, byłby nieoceniony. Im bardziej stawałby się obrońcą, tym trudniej byłoby mu się wycofać z tej roli.

– Pomóż mi stąd wyjść. Potrzebuję powietrza.

Zrobiła krok w stronę progu. Grymonde, który ją podtrzymywał, nie został w tyle. Gdy wychodzili, czuła u spódnicy kurczowo zaciśnięte dłonie Antoinette.

Miała wrażenie, że Grymonde pracowicie zmagają się z niespodziewanym dylematem, gdy powiedział:

– Jesteś w ciąży.

– Tak, jestem.

– Zamierzaliśmy zabić was wszystkich.

– Lecz oczywiście nie chcesz zabić mnie ani mego nienarodzonego dziecka.

Grymonde zacisnął wielkie wargi. Nawet nie mrugnęła, patrząc mu w oczy.

– Po co miałbyś to robić? Czy nie jesteś tu panem i władcą? Królem złodziei?

– Kpisz ze mnie czy próbujesz przemówić do mojej próżności?

– Mówię o tym, co widzę w twoim sercu.

– Ja nie kieruję się sercem.

– Jeśli mogę sobie pozwolić na śmiałość...

Grymonde parsknął śmiechem.

– ...nie sądzę, by to było prawdą.

Spojrzał na nią tak, że nie była pewna, czy aby nie posunęła się za daleko.

Chcąc ukryć zmieszanie, zwrócił się do swej zdziesiątkowanej drużyny:

– Do mnie! Do mnie, moja dzielna i wierna czarna gwardio. Pora żąć to, cośmy zasiali. Po takich zniwach nikt nie wyjdzie stąd głodny.

Gromada młodocianych złodziei zbiegła się ze wszystkich stron; niektórzy najwyraźniej czaili się na tyłach domu. Na pewno więcej niż dziewięciu pozostało przy życiu, lecz byli wśród nich tacy, których ze względu na wiek nawet w takiej zbieraninie uliczników trudno by nazwać mężczyznami. Nosili stroje pozszywane z różnobarwnych szmat i skór. Większość biegła boso z taką swobodą, jakby używanie butów było wbrew ludzkiej naturze. Ich twarze pokrywały blizny i brud – nieodłączne pamiątki przemocy i skrajnej nędzy. Niektórzy byli osmaleni, zalatywali naftą i przypalonymi włosami, ale jeden element stroju łączył ich wszystkich: biała opaska zawiązana wokół ramienia. Przyciągnęli ze sobą kilka dwukółek podobnych do tych, które Carla widywała na targu.

Byli ogromnie podnieceni, wręcz pocili się z nadmiaru energii i rechotali, by ukryć szok po śmierci towarzyszy. Byli iskrą życia w morzu śmierci i nocnej pożogi; przybyli, by przelać krew i siać strach, by rabować, by wydrapać pamiątkę swego istnienia na policzkach zadowolonego świata, by wreszcie choć przez chwilę trzymać lepszych od siebie pod ostrzem noży, co było ich największym marzeniem.

Jednakże z wybuchem prawdziwej radości czekali pokornie na sygnał od Grymonde'a.

Carla bywała już wśród żołnierzy. Była świadoma owych zróżnicowanych i potężnych sił, które jednoczą mężczyzn i pomagają im wspólnie osiągnąć cel. Tu tą siłą był Grymonde. Jego armia była sforą obdartusów, niewiele lepszą od przypadkowego tłumu ulicznych łajdaków. Carla dostrzegła wśród nich tylko jednego, który mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat. Ten akurat nie uśmiechał się wcale, a na jego czole widać było szpetną bliznę w kształcie litery V; takie znaki wypalano zwykle złodziejom. I tylko on jeden nie podzielał chyba respektu, jakim pozostali darzyli Grymonde'a.

– Bądź tak miły – odezwała się Carla – i każ im przynieść krzesło.

– Co? – spytał Grymonde.

– Krzesło. Słabo mi. I kubek wina. Jedno i drugie znajdą w kuchni.

– Joco! Przynieś z kuchni krzesło i kubek wina.

Joco, ten ze złodziejskim piętnem, skinał na dwóch chłopców.

– Papin. Bigot.

Chcąc przedostać się w głąb domu, musieli przejść przez stado psów zajętych chleptaniem krwi z podłogi. Niezadowolone czworonogi rzuciły się z zębami do ich nagich kostek, co wzbudziło wesołość bandy.

Joco spojrzał drwiąco na Carlę. Wyraźnie czuła jego nienawiść. On doskonale wiedział, co próbowała osiągnąć, i to burzyło w nim krew: im bardziej Grymonde stał po jej stronie, tym mniejsze były szanse na to, że wycofa się z tej pozycji, zwłaszcza gdyby ktoś rzucił mu takie wyzwanie. Carla pomyślała, że jeśli ryzykowny plan ma się powieść, trzeba pójść na całość. Uniosła więc jedną brew, rzucając Joco równie kpiące spojrzenie. Prowokacja przyniosła skutek: wściekły Joco wyszczerzył zęby i wyciągnął rękę w stronę Grymonde'a.

– Zarzniemy w końcu te świnię czy będziemy czekać na pozwolenie jak niewolnicy?

– Świnię są gotowe na rzeź, bo zabiłem dzika.

– Jeśli masz opory przez wzgląd na dziecko – odrzekł Joco – to sam mogę wyciąć je z jej brzucha, zanim ją zgwałcimy. Robiło się już takie rzeczy.

Rozległy się śmiechy i udawane jęki, lecz Grymonde uciszył je jednym spojrzeniem.

– Biedny Joco się smuci, bo zginął jego braciszek, nieszczęsny Gobbo... – zaczął Grymonde.

– Widziałeś, co z nim zrobili?

– Gobbo nie żyje, bo nie zrobił tego, co mu kazano. Joco też umrze, jeśli nie zacznie robić tego, co mu kazano. Podobnie jak cała reszta. Wydaje wam się, że to zabawa?

Grymonde przez cały czas patrzył prosto w oczy Joco, szeroko rozkładając wielkie ramiona. Był to niezły występ; publiczność słuchała go jak zahipnotyzowana. Nikt nie ośmielił się odpowiedzieć. Potoczywszy wzrokiem po twarzach swoich ludzi, zatrzymał spojrzenie na Carli i wtedy zrozumiała, że pytanie tak naprawdę było skierowane do niej. Dostrzegła tę chwilę jego osobliwej chwały i być może w innych okolicznościach czułaby odrazę, ale teraz należało ją wykorzystać. Musiała pokazać, że jego czar robi na niej wrażenie, niewiele jest bowiem spraw na tym świecie, które mężczyźni kochają bardziej niż wiarę we własną siłę. Jeśli tylko w ten sposób mogła go omotać. Spróbowała. Uśmiechnęła się.

– Być może.

– Dama mówi: być może. Dlaczego nie? Który dzielny mąż – albo i kobieta – nie kocha dobrej zabawy? Nikt bardziej niż ja. Jeśli jednak ma to być gra, pozwólcie, że wezmę na świadków naszych martwych towarzyszy i ostrzegę was: jest niebezpieczna.

– Czyż mogłaby być dobra, gdyby nie była niebezpieczna? – powiedziała Carla.

Grymonde klasnął z zadowoleniem; odgłos przypominał huk wystrzału.

– Pani Carla zawstydziła was wszystkich. Papin, daj to krzesło biednemu Joco.

Papin właśnie przebrnął przez sforę psów, niosąc krzesło z kuchni; Bigot siedł tuż za nim, z cynowym kubkiem w dłoni. Joco nie zareagował, gdy Papin wyciągnął rękę, by podać mu krzesło.

Dymiący jeszcze pies – ten, którego tułów Altan Savas rozplątał tuż za łopatką, chwiejnym krokiem przeszedł przez próg, kuśtykając na trzech łapach. Przystanął obok Joco i oparł się o jego łydkę, jakby miał nadzieję, że go pocieszy. Joco kopnął go w pierś. Skomląc z cicha, zwierzak zrobił jeszcze kilka kroków, zanim padł na bok, dysząc ciężko. Chłopcy wybuchnęli śmiechem.

– Wepchnę w nią to krzesło, każdą nogę po kolei – wycedził Joco – ale nie zamierzam na nią czekać.

Papin spojrzał na Grymonde'a.

– Papin. Bigot, ty też.

Grymonde przywołał ich ruchem ręki, a potem chwycił krzesło swą olbrzymią dłonią i zakręciwszy nim, w dwornym ukłonie postawił przed Carlą. Skinął głową, wskazując jej miejsce. Usiadła i położyła dłoń na brzuchu, drugą ręką poprawiając warkocz, który spuściła na piersi. Grymonde znowu się skłonił, podając jej kubek z winem.

– Dziękuję, monsieur.

– Masz już swoje krzesło i trunek. Możemy zaczynać?

Carla wskazała na poparzonego i krwawiącego psa.

– To nieszczęsne stworzenie wyświadczyło ci przysługę. Jesteś mu winien coś więcej niż okrucieństwo.

Grymonde wyprostował szerokie barki.

– Słyszałeś, Joco? – spytał, marszcząc brwi. – Jesteśmy dłużnikami zdychającego psa.

Joco skrzywił się nerwowo. Otworzyły się drzwi, ale jeszcze nie wiedział, jak przez nie przejść.

– Nie jestem dłużnikiem żadnego psa, jestem za to wierzycielem. Ktoś jest mi winien udział Gobbo.

Grymonde schylił się, by podnieść młot. Zacisnął dłoń mniej więcej w jednej czwartej długości trzonka, a potem przesunął nieco, by lepiej wyważyć narzędzie.

– Chciałbyś podwójną dolę? Niby dlaczego? Spisaliście z Gobbo testament, zanim poszliście na wojnę? Jak żołnierze Dawida?

– Jakiego znowu Dawida? – spytał Joco.

– Carla, szlachetna dama z południa, ma rację. Ten pies dobrze nam służył. Jak te lisy, co pomogły Samsonowi w walce z Filistynami.

Młot świsnął w powietrzu, jakby nie był cięższy od packi na muchy, i zmiądzzył kręgosłup leżącego zwierzęcia tuż poniżej czaszki. Grymonde spojrzał pytająco na Joco.

– Wiesz chociaż, kim był Samson?

Joco skrzywił się z wysiłku.

– To nie ten, którego Jezus wskrzesił?

– Nie, nie – wtrącił Papin. – To był Łazarz. A Samson wykopał Żydów ze świątyni i gołymi rękami rozwalił dach.

– A potem Filistyni ukrzyżowali go razem z Jezusem, nie? – dorzucił Bigot.

Rozgorzała dyskusja, ale Grymonde nie brał w niej udziału. Spojrzał na Carlę.

– Teraz widzisz, dlaczego te biedne dzieci potrzebują ojca.

To rzekłszy, położył dłoń na obuchu młota i z całej siły wbił trzonek w brzuch Joco, który zgiął się wpół, nie mogąc nawet jęknąć. Gwar głosów ucichł.

– A teraz pokażę ci, dlaczego muszą mu być posłuszne.

Zamachnął się i trafił młotem w korpus Joco w miejscu, w którym zebra spotykają się z kręgosłupem.

Carla nawet nie drgnęła, słysząc makabryczny trzask i jęk bólu. Pozostali nie panowali nad sobą tak dobrze.

– A teraz popatrzemy, jak Joco je psa.

Grymonde chwycił go jedną ręką za potylicę i zaciągnął, pełznącego na czworaka, do świeżego truchła, po czym wcisnął jego twarz w osmalone ciało.

– Zjedz psa, Joco, zanim zrobią to robaki. Gryź. Żuj. Przetykaj.

Joco spróbował się uwolnić, a wtedy Grymonde, dociskając młotem jego grzbiet, przygwoździł go do ziemi. Siłą otworzył mu usta i wbił twarz w po części różowe, po części poczerniałe mięso, z którego skóra odłaziła płatami. Joco poderwał jeszcze głowę, by zaczerpnąć tchu.

– Żuj, gnoju. I przetykaj te pyszności. Jedz, powiedziałem.

Joco przeżuł zwęglony kęs i przełknął z trudem.

Carla spostrzegła Estelle, szczurze dziewczę, przyglądającą się pilnie poczynaniom Grymonde'a. Umorusana sadzą i krwią wyglądała jak szmaciana lalka wydobyta z ruin splądrowanego miasta. Była jedyną przedstawicielką słabej płci w całej bandzie i Carla zastanawiała się, dlaczego ją przyjęto. Wcześniej w oczach Estelle widać było podziw dla Grymonde'a; teraz – bezgraniczne uwielbienie. Miłość dziecka uczyniła całą scenę jeszcze bardziej perwersyjną. Po chwili Estelle odwróciła głowę, by spojrzeć na Carlę. W jej oczach pojawiło się coś nowego.

Płomień nienawiści.

Carla zrozumiała, że dziewczynka jest zazdrosna. Dostrzegła w niej rywalkę w walce o względy Grymonde'a.

Dziecko poruszyło się w łonie Carli. Wyczuwała w nim zaciekawienie, ów głód przygód, który sama starała się mu zaszczepić. Dotknęła palcami pleców swego syna, by go uspokoić, może uśpić, by dać mu znak, że to nie czas na ciekawość, że powinien poczekać w jej brzuchu na przygody nieco mniej niebezpieczne. Poczula mocny, przeciągły skurcz, najdłuższy z dotychczasowych. Czowała, że wzbierają w niej naturalne siły – w niej, choć może nie z niej, a z samej ziemi albo z Czasu – zdolne do wszystkiego, bez względu na jej życzenia czy uczucia, bez szacunku dla ograniczeń jej ciała czy niesprzyjających okoliczności.

Zacisnęła dłonie na kolanach i zamknęła oczy, ale nie spuściła głowy. Całą siłą woli powstrzymała jęk, bo chciała, by banda pozostała skupiona na upokarzaniu Joco. W skupieniu zaczerpnęła tchu i wolno odetchnęła. Skurcz ustąpił, ale nie do końca.

Zdała sobie sprawę, że nie poczuje już pełnej ulgi aż do chwili, gdy dziecko przyjdzie na świat – jeśli uda jej się pożyć tak długo. Podróż już się rozpoczęła, a może raczej ostatni etap tej długiej podróży, w którą zabrał ją nienarodzony syn. Podróż, której kres miał być początkiem kolejnej. A przynajmniej należy w to wierzyć, pomyślała. Miała wrażenie, że wiruje na karuzeli życia i śmierci, z jednej strony dziwnie odrętwiała, a z drugiej – doskonale świadoma tego, co się dzieje, i tego, co może się stać. Musiała otworzyć swoje ciało i duszę. Poddać się woli dziecka. Musiała dorównać mu odwagą, bo jeśli nie dorówna, to nie przeżyje żadne z nich. Skoro jej syn zapragnął przyjść na świat wśród demonów, to trzeba mu na to pozwolić.

Czy to prawdziwe dzwony tak biją na trwogę, czy to tylko senne majaki?

Otworzyła oczy.

Joco, na wpół uduszony, nie stawiał oporu. Grymonde nie trzymał go już za głowę, ale postawił stopę na jego karku i wyprostował się. Carla poczuła nagły impuls, by krzyknąć: „Wykończ go! Zabij!”. Grymonde odwrócił się nagle, jakby ją usłyszał, i spojrzał na nią pytająco. Widząc żądzę mordy w jego oczach, zastanawiała się, czy aby na pewno nie wypowiedziała tych słów na głos. Po chwili odwrócił wzrok.

Machnął młotem w stronę stojących kręgiem młodocianych przestępców, których podziw dla niego najwyraźniej wzrósł jeszcze skutkiem tego, że oto dowódca bandy zwrócił się tak brutalnie przeciwko jednemu z nich.

– Kto chce uderzyć psa, zawsze znajdzie kij.

To powiedziawszy, uniósł nogę, a Joco natychmiast odpełzł, wymiotując gwałtownie, by chwilę później podnieść się i chwiejnym krokiem umknąć w najbliższy zaułek, tuż za węglem domu.

– Mamy go sprowadzić, szefie?

– Dla mnie już jest trupem.

Grymonde wskazał młotem na Estelle.

– La Rossa, to ty sprowadziłaś Gobbo i Joco do naszej kompanii. Obaj nas zawiedli. Podobnie jak ty – dodał, oskarżycielskim gestem wskazując na ciała zabitych. – Nie otworzyłaś nam drzwi.

Estelle spoglądała na niego z niedowierzaniem. Rozejrzała się, ale otaczały ją jedynie nieprzyjazne twarze młodych ludzi. Niektórzy uśmiechali się drwiąco, inni szydzili. Wreszcie popatrzyła na Carlę.

Carla zaś współczuła jej ogromnie, mimo pokazu wrogości sprzed chwili, ale ponure widowisko tak bardzo ją przytłoczyło, a bolesny skurcz tak dalece pozbawił sił, że stać ją było tylko na to, by utrzymać się na krześle.

– Przecież byłam dzielna – zaprotestowała Estelle. Jej głos brzmiał czyściej niż dudnienie dzwonów. – Altan omal mnie nie zabił. Gdybym ci o nim nie powiedziała, pewnie i ty zginąłbyś z jego ręki.

Carla miała wrażenie, że w oczach Grymonde'a dostrzega litość, ale nie zauważył jej nikt inny.

Estelle uniosła bladą i chudą rękę, by wskazać palcem na Carlę.

– Carla może potwierdzić, że byłam dzielna.

– To prawda – podchwyciła ciężarna. – Nie mogłaby się wykazać większą odwagą.

W tej samej chwili dostrzegała coś w twarzy Grymonde'a i uświadomiła sobie, że tylko przypieczętowała wygnanie Estelle. Teraz, gdy wódz pokazał swym ludziom, że nie zniesie nieposłuszeństwa, musiał im też dowieść, że nie będzie mu rozkazywać nawet Carla.

– Czasem odwaga nie wystarczy.

Estelle wyciągnęła rękę.

– Oddaj mi mój nóż.

– Odprowadźcie ją do jej szczurów, chłopaki.

Trzech z brudnych wyrostków rzuciło się na nią, ale wyśliznęła się, skutecznie unikając kopniaków. Jeden z nich przyspieszył i zdołał złapać ją za sukmanę na plecach, zanim umknęła. Zetlały materiał pękł, a wtedy dziewczyna obróciła się w miejscu i z głośnym sykiem złapała przeciwnika za krocze. Gdy ją wypuścił, by się bronić, zrzuciła rozerwane ubranie i nago puściła się biegiem. Zanim zniknęła w mroku, Carla miała wrażenie, że usłyszała jej szloch. I choć wcale nie było to prawdą, bo przecież Estelle nie była jej przyjaciółką, poczuła się tak, jakby straciła jedynego sprzymierzeńca na tych brudnych ulicach, ogarniętych szalem przemocy.

– A teraz posłuchajcie – rzekł Grymonde. – Skrzyknęto milicję złożoną z mieszczan i nie sposób odgadnąć, co strzeli do łbów tym durnym łajdakom. Pewne jest jedno: nie są to przyjaciele nędzarzy takich jak my i nie uda się ich przekupić tak jak policji. Dlatego musimy skończyć robotę i zniknąć o brzasku. Znacnie rozkazy. To dobre rozkazy. Tylne drzwi są wciąż zamknięte, więc idźcie teraz i otwórzcie je; z tamtej strony też mamy wózki. Nie zapomnijcie

o piwnicy, pełno w niej cennych rzeczy. Aha, przynieście też drabinę. I przeganajcie wszystkie te psy.

– Patrzcie, tam jest jeszcze jedna kobieta – zawołał nagle Bigot.

Carla powiedziała sobie w duchu, że nie powinna tego robić, lecz mimo woli uniosła głowę. Symonne spoglądała w dół z pozbawionego szyb okna salonu. Patrzyły sobie w oczy.

– Możemy się z nią zabawić, zanim zabijemy? – spytał Papin.

Carla odwróciła głowę.

– Jest bogata i apetyczna, ma piękne tłuste cyce i szparę w dupsku, którą mogłaby dusić węgorze – odparł Grymonde. – Śmiem twierdzić, że wyleje morze łez, żeby zmiękczyć wasze młode serca, ale nie dajcie się. Wasze matki i siostry szorowały jej podłogi i opróżniały jej nocnik, a ona nawet nie zadała sobie trudu, by spamiętać ich imiona, bo czy tacy jak ona kiedykolwiek je pamiętają? Pokażcie jej, jak piękne są jej podłogi, gdy się padnie na kolana i przyjrzy im z bliska. Pokażcie jej też wnętrze nocnika.

Carla usłyszała cichy szloch u ramienia. Odwróciła się i przytuliła Antoinette.

– Moje dziecko, klęknij i połóż głowę na moich kolanach. Poczuj maleństwo w moim brzuchu. Zanuć mu kołysankę, ale bardzo, bardzo cichutko.

– Resztę hugenotów też możemy ubić, szefie?

– Tak nakazuje dekret króla. Tego z Luwru.

– Szefie? A czy ci hugenoci są tak samo podli jak Filistyni?

– Są jeszcze gorsi. Samson osobiście zatłukł dziesięć tysięcy Filistynów za pomocą osłej szczęki – naprawdę mnóstwo ich było! – a przecież za ten czyn ogłoszono go bohaterem. Dlatego z radością sięgnijcie po noże i takim samym uczynkiem uradujcie Karola.

Odpowiedział mu chór wiwatów, a sekundę później banda obdartusów wdarła się do domu d'Aubrayów.

Carla zamknęła oczy, zasłoniła dłońmi uszy Antoinette i zebrała siły. Z na wpeł zrujnowanego budynku dobiegły krzyki ofiar i oprawców. Słyszała przerażenie i ból Martina. Charité. Lucien umarł ostatni. Potem były wymieszane krzyki kobiet, które zwały się w jedno niekończące się wycie. Czując dziwną woń, Carla otworzyła oczy.

Grymonde przykucnął przed nią i na odległość dłoni zbliżył do jej twarzy swe granitowe oblicze. W ciemności błyszcząły jego oczy i rzadko rozstawione zęby.

– Smaczne wino, łaskawa pani?

– Jeszcze nie próbowałam.

Jedna z kobiet przestała krzyczeć. Druga – jeszcze nie. Carla wiedziała, że to Symonne. Antoinette też wiedziała. Nie przestała nucić, choć drżała na całym ciele.

Grymonde położył dłoń na jej głowie i delikatnie pogładził włosy. Carla z trudem powstrzymała odruch; chciała odtrącić jego rękę. Cicha kołysanka zmieniła się w szloch.

- Chciałabyś, żebym uwierzył, że ta hugenotka jest twoją córką.
- Nie. Chciałabym, żebyś sprawił, że uwierzą w to twoi chłopcy.
- Nastawiłaś Joco przeciwko mnie.
- Chciał mnie zabić. A ty nie oponowałeś. Dziękuję.
- Powiniennem był go zabić?
- Tak.

Grymonde podrapał się po policzku wielkim kciukiem.

Krzyki Symonne przycichły, zmieniły się w stękanie, przeplatane obscenicznymi pokrzykiwaniami, śmiechem i odgłosami kłótni między tymi, którzy jeszcze nie zdążyli jej zhańbić.

Głowa Grymonde'a opadła nieco na bok, gdy się zamyślił, ale zaraz wróciła do pionu.

- Możesz zatrzymać swoją „córeczkę”. Ale więcej mnie nie okłamuj.
- Do tej pory nie okłamałam i nie zamierzam tego uczynić.
- Wobec tego przestań pociągać za sznurki, bo nie jestem kukielką. I o nic więcej mnie nie proś.
- Wiesz przecież, że muszę poprosić. I wierzę, że mi pomożesz.
- Dlaczego? Za mało widziałas moich złych uczynków?

Carla przypomniała sobie aforyzm, który Mattias czasem cytował, zasłyszany od Sabata Svi.

- Żydzi mawiają: gdzie nie ma ludzi, ty bądź człowiekiem.
- Będziesz mi cytować Żydów?
- Samson też był Żydem, podobnie jak Chrystus, choć czuję, że nie powinnam zbyt wiele polegać na twojej wierze w Niego. Tak, dowiodłeś, że stać cię na zło. A ja cię wyzywam: dowiedz, że potrafisz być człowiekiem.

Przez chwilę Grymonde pozostał nieruchomy jak skała i tylko jego oczy błyszczały, gdy patrzył na nią spod masywu czoła. Lśniły też jego czarne, kręcone włosy. Był dzieckiem Paryża, jego ulic, jego logiki, jego okrucieństwa, tak jak sowa jest dzieckiem lasu. Spuścił głowę, spoglądając pod krzesło. Wyciągnął rękę i cofnął ją zaraz.

- Odeszły ci wody. – Potarł palcem o palec i przyjrzał im się uważnie. – Są czyste. To dobry znak.

W ustach takiego człowieka brzmiało to dość przerażająco, ale nie miała czasu, by się nad tym zastanawiać.

Rozpoczął się poród.

– Zabierzesz mnie do Temple, do braci szpitalników?

– Ci mnisi nie mają pojęcia o kobiecych sprawach. Nie zaprowadziłbym do nich nawet cielnej krowy.

– Zatem proszę, zostaw nas, same znajdziemy drogę. Przez wzgląd na moje dziecko.

– Przez wzgląd na twoje dziecko i na ciebie zabiorę was do Kukanii.

– Daleko ta kraina szczęśliwości?

– Słyszałaś kiedy o Podwórzach?

Podwórzami zwano siedliska bandytów i żebraków, cieszące się tak fatalną sławą, że nikt prócz ich mieszkańców nie śmiał tam bywać. Carla skinęła głową.

– Kukania to moje podwórze.

Kolejny potężny skurcz sprawił, że dziecko w jej brzuchu poruszyło się niespokojnie. Był jak rosnąca fala, która osiągnąwszy szczyt, zaczęła słabnąć, bardziej zdumiewająca z powodu swej siły niż towarzyszącego jej bólu. Antoinette cofnęła się z wrażenia i stanęła za oparciem krzesła. Carla odetchnęła głęboko, ale się nie odezwała.

Grymonde ujął jej dłoń i ścisnął z delikatnością, do której wydawał się całkowicie niezdolny. Odwzajemniła uścisk z całej siły, na jaką było ją stać, i położyła drugą dłoń na jego masywnych kłykciach. Skurcz trwał w nieskończoność, a kiedy wreszcie minął, to nie do końca. Brzuch pozostał napięty bardziej niż do tej pory.

Cofnęła ręce, zmieszana tą chwilą niepożądanego, intymnego kontaktu. Zmieszana, bo w gruncie rzeczy była mu wdzięczna za ten uścisk dłoni. W jego twarzy nie było ani śladu pożądliwości, tylko lekkie rozbawienie i troska, jakby wierzył w nią równie mocno jak w siebie samego. Choć rozsądek buntował się przeciwko temu, instynkt podpowiadał Carli, że powinna mu zaufać – nie dlatego, że nie miała wyboru, ale dlatego, że był to dobry wybór.

– Ufam ci i wraz z moim dzieckiem oddaję się pod twoją obronę.

W domu d'Aubrayów rozległa się kolejna seria pełnych obrzydzenia krzyków.

– Proszę, to ci doda sił.

Podał jej kubek z winem. Spróbowała.

– Nie wiem, jak daleko dojdę w takim stanie.

– Dojdiesz? – Zaśmiał się, znowu prezentując przerwy między zębami. – Za kogo ty mnie masz?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Clémentine

Mówiłem już Cosseinsowi, że odmawiam leczenia twego rannego, panie – oznajmił Ambroise Paré. – On zaś doskonale wie, że nie mam obowiązku słuchać niczyich rozkazów prócz samego króla.

Tannhäuser położył Orlandu na łóżku. Dywan był nasiąknięty krwią, ale pościel czysta. Wskazał palcem na najbliższą lampę.

– Juste, światło.

Młodzian uniósł lampę nad posłaniem. Orlandu przez cały czas pozostawał pod wpływem opium; tylko jego pierś unosiła się i opadała.

– Żyje i jest młody – rzekł Tannhäuser. – Widziałem wielu takich, co byli w gorszym stanie i ozdrowieli.

– Nie słyszałeś, co mówiłem, panie?

Tannhäuser odwrócił się ku Parému. Wybitny chirurg stał w głębi izby, opodal drzwi prowadzących na klatkę schodową, jakby absurdalna fantazja o udanej ucieczce podnosiła go na duchu. Miał zapewne ponad sześćdziesiąt lat i nosił świetnie przystrzyżoną brodę, która nadawała mu dystyngowany wygląd. Tej nocy jednak wydawał się znacznie starszy. Choć starał się utrzymać buńczuczną postawę, z jego oczu biły słabość i lęk.

– Wybacz moje maniery, mistrzu Paré, i uwierz, że jeśli o nich zapomniałem, to tylko za sprawą ponurych wydarzeń ostatnich godzin. Jestem Mattias Tannhäuser i staję przed tobą w głębokim szacunku. W wielkim podziwieniu, mówiąc całkiem szczerze. Tak się bowiem składa, że jestem kawalerem Zakonu Szpitalników z Malty, a twoja sława pośród moich czcigodnych braci nie ma sobie równych. Podczas oblężenia stosowaliśmy twoje metody, wielu dzielnych ludziom ratując życie. Słyszałem wtedy często twoje nazwisko. I sam się na nie powoływałem, rozmawiając z moim przyjacielem, Jurieniem z Lyonu.

– Znałeś, panie, Juriena?

– Znałem i byłem przy nim w jego ostatniej godzinie. Stał przy stole i operował, gdy dopadli go Turcy, by mu obciąć ręce i głowę.

Duma mistrza Parégo, najpierw mile polectana, teraz została lekko ukąszona.

– W krwawych czasach – ciągnął Tannhäuser – nie jest łatwo trwać na posterunku. A przecie musimy.

Paré podszedł do łóżka i wyjął z rękawa okulary.

– Krwawe czasy, krwawe namioty, krwawe pola bitwy to całe moje życie. Nie jestem też naiwny, znam politykę zdrady. Ale na taką skalę? Gwizdus posunął się za daleko, król zażąda jego głowy. Jego Wysokość sam przecież siedział przy tym łożu i płakał nad ranami admirała. Płakał z żalu i wściekłości, przysięgając, że dopilnuje, by sprawiedliwości stało się zadość. A teraz docierają do mnie słuchy, że wszystko to dokonało się na jego rozkaz.

– Nie bywam wśród królewskich doradców, mistrzu, ale jednego jestem pewny: jeśli jeszcze żyjesz, to tylko dzięki rozkazowi króla.

Analizując implikacje tego stwierdzenia, Paré włożył okulary, a jego ręce, jakby żyjąc własnym życiem, zaczęły badać Orlandu. Puls, opuszki palców, węzły na szyi, faktura skóry, stan języka. Po chwili pochylił się, by powąchać oddech.

– Blżej to światło – mruknął do Juste’a.

Uniósł nieco powieki Orlandu.

Tannhäuser klepnął Juste’a w plecy.

– To dzięki mnie ten młody lew chodzi jeszcze po tym świecie. Niewykluczone, panie, że ty i on jesteście jedynymi żywymi hugenotami w tej dzielnicy. Nieprawdaż, Juste?

– Tak, panie. Omal nie zginąłem w pałacu, wraz z innymi.

Paré uniósł głowę.

– To i w Luwrze zabijają naszych braci?

– Myślę, że już zabili, panie.

– Spędzili ich na dziedziniec, gdzie łucznicy wzięli ich na cel – dodał Tannhäuser. – A rodzina królewska przyglądała się temu z balkonu królowej, jak na balu maskowym.

Paré zamknął oczy, jakby miał stracić przytomność.

– Radzili z wężami – powiedział Tannhäuser – to i posmakowali jadu.

Paré spojrział na niego bez słowa i być może wyczytał w jego twarzy całą brutalną twardość zrodzoną z bolesnego doświadczenia, a właściwą tylko tym, którym udało się przetrwać. Sam już od dawna był jej mistrzem, choć może wbrew swojej woli. Skinął głową.

– Masz rację, panie. Musimy trwać na posterunku. Kiedy po raz ostatni podano rannemu opium?

– Ponad dziesięć godzin temu.

– I nadal jest nieprzytomny? – Chirurg otworzył skrzynkę z instrumentami. – Istotnie musi być silny, skoro przeżył taką dawkę.

– Orlandu to chłopak z niezwykłym rodowodem: nierozważny po jednym z rodziców, fanatyczny po drugim, a uparty po obojgu. Teraz zaś jest mi synem, choć nie z mojej krwi.

– Kawalerze, mógłbyś mi pomóc, stając po drugiej stronie łóżka. Ty, Juste, zostań tu, gdzie jesteś. Lampa zaraz stanie się gorąca, chwyć ją przez ręcznik.

Posługując się szczypcami i nożyczkami, Paré zaczął otwierać gnijący opatrunek otaczający ramię Orlandu, dodatkowo zmięty i przekrzywiony trudami podróży. Tannhäuser stanął naprzeciwko chirurga.

– Rana zaparzyła się pod bandażem – zauważył Paré. – Byłoby znacznie lepiej, gdyby w ogóle jej nie opatrzone. Teraz prócz kuli jest w niej mnóstwo ropy.

– Sam myślałem o tym, żeby ją otworzyć, ale nie miałem nowego opatrunku. Szpitalnicy, zgodnie z twoim nauczaniem, panie, używają żółtka, weneckiej terpentyny i olejku różanego.

– To mikstura, którą zalecam na świeże rany. Gdy wda się zakażenie, tak jak tu, lepiej podać *Aegyptiacum* rozcieńczone winem, z dodatkiem *l'eau-de-vie*.

– Naturalnie, naturalnie – mruknął Tannhäuser, szperając w pamięci. – Grynszpan i miód?

– Są w Paryżu chirurdzy, którzy mniej niż ty wiedzą o swojej sztuce, a przecież, jeśli wolno mi tak powiedzieć, na pierwszy rzut oka raczej nie wziąłbym cię za chirurga, panie.

– Jestem żołnierzem, zabijam ludzi, zwykle za pomocą klingi, bo to najpewniejszy sposób, i głównie z tego powodu interesowałem się, w dość wąskim zakresie, anatomią. Ale dzięki temu nauczyłem się też co nieco o leczeniu ran, nie tylko o ich zadawaniu. W tym samym celu parałem się czas jakiś alchemią i magią naturalną.

Gdy Tannhäuser uniósł przesiąknięty ropą bandaż, w pokoju rozeszła się woń rozkładu. Tam, gdzie lniana tkanina przywarła, skóra odchodziła wraz z nią niczym skórka zbyt dojrzałej moreli.

– Wystarczy. Jeśli nie chcemy, żeby stracił rękę, trzeba najpierw rozmoczyć opatrunek. Użyję mieszaniny wina, wody i octu, ogrzanej nad świecą.

– Doskonale. Cudownie – mruknął Tannhäuser.

– Ale tak czy inaczej może stracić rękę.

– Albo życie. Potrafisz określić, kiedy zadano tę ranę, mistrzu?

– Półtora dnia temu, może trochę więcej.

Paré otworzył drzwiczki przenośnej skrzyni, pełnej szuflad i półek, na których stały pudełka z proszkami oraz buteleczki i fiołki. Miksturę, o której wspomniał, przygotował w szklanej retorcie.

– Juste, postaw lampę na stole i potrzyмай retortę nad płomieniem, masz pewniejszą rękę niż ja. Pomału mieszaj, niech mikstura ogrzewa się równomiernie. Kiedy zobaczysz, że nad powierzchnią unosi się para, przelej wszystko na ten talerzyk.

Juste przyjął naczynie i bez zbędnych pytań wykonał polecenia. Skupił się na tym tak bardzo, że bodaj po raz pierwszy, odkąd się spotkali, Tannhäuser ujrzał jego twarz choć na chwilę wolną od trosk.

– Byłby z ciebie świetny asystent – zauważył Paré.

– Dziękuję, panie.

– Twój poprzednik wkrótce miał zdawać egzamin bakałarski. Pchnęli go w plecy niespełna godzinę temu, na schodach prowadzących na poddasze. Teligny i pozostali jakoś zdołali dotrzeć na dach, zanim ich zastrzelono.

– Przykro mi to słyszeć, panie – odpowiedział Juste. – Asystentowi chirurga, bardziej niż komukolwiek innemu, należałoby oszczędzić takiego losu. Będę się za niego modlił.

– Z której części Polski pochodzisz? – spytał Paré. – Z Małopolski czy z północy?

– Z Małopolski. Spod Krakowa.

Tannhäuser, który aż do tej chwili radował się zupełnie nieuzasadnioną dumą z racji wzorowego zachowania i inteligencji Juste'a, teraz zbaraniał. Paré naturalnie to zauważył.

– Bardzo subtelny akcent. Twojego, panie, choć tak subtelny nie jest, nie potrafię zidentyfikować.

– Przynajmniej to wcale mnie nie dziwi.

Mattias spędził ostatnie siedem lat na szlifowaniu francuskiego – języka, który dawniej uważał za pomyłkę ludzkości, ale z czasem pokochał. Nie bez znaczenia pozostawał tu fakt, że jego nauczycielką była Carla. Tak czy owak, teraz nawet myślał po francusku, lecz przez lata życie zmuszało go, by myślał kolejno po niemiecku, turecku oraz w całej gamie włoskich dialektów.

– Wybrałeś się w nie byle jaką podróż na ten królewski ślub, chłopcze – powiedział.

– Nie przyjechaliśmy z tej okazji. Nasz dobry król, Zygmunt August, nie żyje. Henryk, książę d'Anjou, chciałby przejąć jego koronę. – Juste cofnął retortę znad lampy i przelał mieszaninę na talerzyk. – Luterkańscy elektorzy posłali moich braci, by się z nim spotkali i wysondowali, jakim jest człowiekiem. Niestety, nie udało nam się sforsować przeszkody w osobie twego przyjaciela Torcy'ego. Benedykt był wściekły.

– D’Anjou nie zechciałby się przenieść do Polski – zauważył Paré. – Uważa was za świniopasów.

– W Polsce katolicy i protestanci nie toczą nieustannych wojen. Nikt u nas nie głoduje. Nie płoną pola uprawne. Nie wydaliśmy też całych zapasów złota, by zapłacić Niemcom za spustoszenie naszego kraju. Co więcej, potrafimy pozbywać się własnego gówna, zamiast układać je w sterty, jak to się czyni w Luwrze.

Tannhäuser, choć znał chłopaka lepiej, był tą ripostą bardziej zaskoczony niż Paré.

– W żadnym razie nie chciałem obrazić twego wielkiego i sławnego narodu – odparł chirurg. – Wszystko, co powiedziałaś, jest prawdą. Modłę się, abyśmy znaleźli wśród nas męża takiego geniuszu, jakim był Zygmunt, i osadzili go na francuskim tronie, jednak nikt taki nie pojawił się dotąd na horyzoncie. Prawdę mówiąc, chodziło mi raczej o to, że to Katarzyna ma plany względem polskiej Korony i działa z myślą o swym synu. Spróbuj przekonać polskich elektorów, aby go wybrali. D’Anjou zaś usłucha rozkazu matki, bez względu na to, czy mu się Polska podoba czy nie.

– Po czym pospołu opróżnią skarbiec polskiej Korony ze wszystkiego prócz mysich bobków – uzupełnił Tannhäuser. – D’Anjou to degenerat. Po co Polakom król, który ubiera się jak kobieta?

– Właśnie z tym pytaniem moi bracia pragnęli powrócić do Krakowa.

Paré sięgnął po talerzyk z mieszaniną ciepłego wina, octu i wody. Podał go Tannhäuserowi.

– Dość polityki. Namocz opatrunek, a ja wytnę truciznę z ciała twego syna.

Szybkość i zdecydowanie mistrza Paré były wręcz niewiarygodne. Otworzył ranę i usunął martwe tkanki oraz nitki z opatrunku, po czym drugim cięciem wydobył małą, żelazną kulkę, którą wręczył Tannhäuserowi.

– Pistoletowa – stwierdził Mattias.

– Brak oparzeń prochem, nie ma też w ranie włókien flejtucha, co oznacza, że strzał oddano z odległości co najmniej dwudziestu stóp.

– Zatem ktoś chciał go zabić.

– Zwykle tak bywa, gdy się strzela – zgodził się Paré. – Chyba że strzelec posiadał wyjątkowe umiejętności.

– Wyborny strzelec wiedziałby, że ryzykuje chybienie lub postrzał w plecy. Poza tym, ktokolwiek to zrobił, nie dokończył dzieła.

– Widzę też ślad po ciosie w tył głowy – rzekł Paré. – Należy przyjąć, że ktoś go ogłuszył. Ale kto?

– Nie wiem – odparł Tannhäuser.

Chirurg zakończył oczyszczanie rany. Gdy zaczął przemywać ją *Aegyptiacum*, Orlandu szarpnął ramieniem. Ból musiał być straszliwy, mimo to ranny nawet na chwilę nie odzyskał przytomności. Ten, kto go uspił, musiał wlać w jego gardło całą butelkę roztworu opium.

– Zaopatrzyłem go, jak mogłem – rzekł wreszcie Paré. – Teraz jego los jest w ręku Boga.

Tannhäuser sięgnął do pachnącej lawendą sakiewki i chwycił palcami dwie złote monety. Zabrzęczały kusząco, a ich waga podpowiedziała mu, że to hiszpańskie podwójne pistole, dublony warte po dwadzieścia liwrów. Zanim zdążył wypuścić jedną z nich, zdał sobie sprawę, że zostałby uznany za skąpca, gdyby teraz nie wyjął obu – Paré wyciągnął już rękę i spoglądał na niego spod uniesionych brwi, w niemym wyczekiwaniu. Otrzymawszy zapłatę w złocie, uśmiechnął się szeroko, a Tannhäuser pomyślał, że zapewne był to jego pierwszy uśmiech od dwóch dni.

Medyk uznał, że nierozwagą byłoby transportowanie Orlandu, póki się nie obudzi – jeśli w ogóle się obudzi. Tannhäuser nie miał zaś bezpiecznego schronienia, do którego mógłby go przenieść. Pomyślał, że pod koniec dnia można będzie nająć wóz i zawieźć rannego wprost do domu d’Aubrayów, a może po prostu do Temple. Do tego czasu Orlandu musiał wracać do sił w samym środku rzezi. Było to jednak miejsce bezpieczniejsze od innych; w okolicy nie został już nikt do zabicia i wszyscy o tym wiedzieli. Paré był dobrze strzeżony, nie wybierał się na ulice miasta; zmienić jego zamiary mogły jedynie rozkazy z Luwru, a król miał teraz inne sprawy na głowie.

– Jeśli pozwolisz, panie, przyślę tu mojego człowieka, Stefana, by zadbał o twoje bezpieczeństwo. Zaręczam, że nie brał udziału w masakrze, jeśli to uspokoi twoje sumienie. Jakkolwiek bez wątpienia wziąłby udział, gdyby wydano mu taki rozkaz.

– Nie będę się skarżył, skoro powierzasz mu życie swego syna.

– Juste także zostanie. Miałeś okazję się przekonać, że świetny z niego towarzysz.

– Wykluczone – odpowiedział Paré.

– Chcę iść z tobą, panie – zawtórował mu Juste. – Dałeś słowo. Zabiłeś trzech moich braci i obiecałeś, że będziesz mnie chronił.

Tannhäuser poczuł na sobie pytające spojrzenie Parégo. Miał świadomość, że zaufanie chirurga, które tak pieczołowicie budował, zostało właśnie poważnie nadwerżone.

– Jego bracia zmusili mnie do pojedynku – wyjaśnił. – Nie miało to nic wspólnego z religią.

– Nie – potwierdził Juste. – Ty zabiłbyś każdego.
– Gdybym wiedział, że jesteście Polakami, może nie byłbym tak surowy.
– Dlaczego? Bo nami gardzisz?
– Bo ludzie z Północy powinni być naszymi sprzymierzeńcami.
– Zatem chodźmy razem. Chcę być twoim sprzymierzeńcem.
– Twoje życzenia nic nie znaczą.
– Mam nadzieję, że moje tak – wtrącił Paré. – Wierzę, że będę w stanie ochronić mego pacjenta. Nie mogę jednak ręczyć za bezpieczeństwo Juste’a.

Tannhäuser właśnie miał przypomnieć, że zapewnieniem bezpieczeństwa zajmie się Stefano, gdy chirurg dodał:

– Dość już widziałem rozlewu krwi. Przykro mi.

Tannhäuser skłonił głowę. Paré miał rację. Gdyby ktoś zidentyfikował Juste’a jako luteranina, Orlandu także znalazłby się w niebezpieczeństwie. Dlatego należało zabrać go ze sobą.

– Mistrzu Paré, jestem twoim dłużnikiem.

– Dziękuję, że broniłeś de Coligny’ego.

– Monsieur?

– Widziałem przez okno. Nie pozwoliłeś, by bezczęścili jego ciało.

– Nie godzi się tak traktować starego żołnierza. Jeśli ku temu zmierza świat, to nie warto doczekać jutra.

– Jedynym jutrem wartym doczekania jest ponowne spotkanie z Bogiem.

Tannhäuser spojrział w okno. Światło nie miało już barwy indygo; nabierało odcienia bladego fioletu.

– Mnie wystarczy, jeśli spotkam się z żoną. I z tym właśnie wiąże się moja ostatnia prośba, dość pilnej natury. Błagam, panie, czy zechcesz polecić mi dobrą akuszerkę?

– Twoja żona lada chwila rodzi?

– Nie wiem dokładnie, ale z pewnością wkrótce.

– Zatem przyprowadź ją do mnie. Im szybciej, tym lepiej.

– Przyjmiesz na świat nasze dziecko?

– Poród to temat rozprawy, nad którą pracuję. Żadna akuszerka nie wie o tym tyle ile ja.

– Kamień, nie: głąz nagrobny spadł mi z serca, mistrzu.

– Żona de Coligny’ego jest w podobnym stanie. Planował wyjechać z Paryża, być przy niej podczas porodu. Tymczasem...

Tannhäuserowi nie podobało się to porównanie. Trąciło złym omenem. Wyrzuciwszy z umysłu przesady, poprosił o adres – Paré mieszkał na lewym brzegu. A potem się rozstali.

Na dole minął wartę Cosseinsa, starając się nie słyszeć chlupotu krzepnącej krwi pod butami. Ambroise Paré zgodził się przyjąć poród – tak cennej zdobyczy Tannhäuser nie mógł się spodziewać w najśmielszych snach. Oto zyskał pomoc człowieka, który pisze książkę o swoim rzemiośle. Książkę! Czy był taki drugi na świecie? Czy komukolwiek choćby przyszło do głowy, by tego dokonać? Swoją drogą, myślał Mattias, to zdumiewające, że aż tyle wiedzy można zebrać na temat porodu. A Paré miał ją w głowie. Sprawy potoczyły się tak, jakby nareszcie ujawnił się ukryty motyw podróży Carli do Paryża. Tannhäuser poczuł się lepiej, zastąpiwszy w duchu zły omen jego znacznie pomyślniejszym wariantem.

Postanowił, że będzie dobrej myśli.

Na dziedzińcu, w niepewnym blasku świtu, czekał na niego Stefano. Pierwsze promienie słońca rozbłysły w kanionie rue de Béthizy. W rynsztokach gęstniała krew, a splamione nią, na co dzień czarne brukowce mieniły się rdzawo. Tannhäuser skinął na żołnierza i przekazał mu rozkazy. Stefano zacisnął wargi, ale nie zaoponował. Skinął głową na znak, że zrozumiał.

– Wyciągnij rękę.

Tego nie trzeba mu było mówić dwa razy. Gdy Tannhäuser rzucił na jego dłoń podwójnego pistola, Stefano spojrział na niego z nabożną czcią.

– Miałeś kiedy w ręku taki pieniądz?

– Panie, nawet nie wiem, co to za jeden, ale zachwyca mnie jego waga.

– Pół uncji hiszpańskiego złota. Dwadzieścia cztery karaty. Gdyby było jeszcze trochę czystsze, roztopiłoby ci się w dłoni. Wedle twojej miary warte jest czterysta soli.

Miesięczne pobory. Stefano milczał.

– Jeżeli w chwili, gdy znowu się spotkamy, przekonam się, że Orlandu nie ucierpiał bardziej niż do tej pory, a ty wciąż będziesz stał u jego boku, dostaniesz jeszcze dwie takie monety. Jeżeli trzeba będzie go przenieść, pójdiesz z nim. Cokolwiek się stanie, nie opuszczaj go. Masz dość sprytu, by nieco naciągnąć rozkazy Lombartsa, jeśli zajdzie taka potrzeba. W razie konieczności zasłaniaj się nazwiskiem Arnaulda de Torcy’ego. Jeżeli będziecie musieli zmienić miejsce pobytu albo wydarzy się coś, o czym będziesz chciał mnie zawiadomić, zostaw strażnikom u bramy słowo dla Mattiasa Tannhäusera.

– Tak jest.

Stefano cofnął się o krok, by zaszalutować, a wtedy Tannhäuser zauważył zwłoki de Coligny'ego, związane liną na wysokości kostek. Szyja pozostała już tylko krwawym kikutem; głowy nie było w zasięgu wzroku. Tannhäuser spojrział pytająco na Szwajcara.

– Ludzie Gwizjusza – wyjaśnił Stefano. – Zapiekują głowę w soli i wyślą do Rzymu. Mówili, że obiecali to papieżowi.

– Ojciec Świąty z pewnością będzie wniebowzięty.

– O tym też mówili.

– A ty nakarmiłeś psy ciałami moich braci – wtrącił Juste.

– Możesz już iść, Stefano. – Tannhäuser odwrócił się ku chłopakowi. – Co?

– Gardzisz tymi, co zbezczeszili trupa de Coligny'ego, a moich braci oddałeś psom.

– Chodziło o zupełnie inne pryncypia! – wybuchnął Mattias. – I inne tradycje.

– O to, że jesteście Polakami?

– Jasne, że nie. Sądziłem, że jesteście z Normandii, to przez tę wrodzoną zaciekłość.

– Czy tak ma wyglądać ów świat, którego jutra warto doczekać?

– Wiem jedno, chłopcze: młodzieńcy o zbyt ciętych językach zwykle wcześniej trafiają do grobu, a ty w krótkim czasie już dwa razy otarłeś się o śmierć.

– Moi bracia nie mają nawet grobu. Czyżbym ja zasługiwał na więcej?

– Psy czy robaki, wszystko jedno. Twoi bracia przybyli tu z Polski, by umrzeć. Ich imiona były zapisane w tej księdze, zanim jeszcze przekroczyli Odrę.

– Może podobnie jest z twoim imieniem.

– Na tej stronicy księga nie zostanie otwarta, póki jestem w Paryżu.

– Mówisz jak Benedykt.

Tannhäuser pomyślał, że ostatnio mówi jak bardzo wielu ludzi. Jak drukarz. Jak doradcy Retza nawołujący do krwawej jatki. A teraz jak wojowniczy Polak. Na tym właśnie polegał problem życia pomiędzy ludźmi. Jakże łatwo było obnażyć czyjąś małostkowość i nieoryginalność myśli. Uznał jednak, że to nie najlepszy moment na to, by okazać chłopakowi, że mu współczuje.

– Jesteś mi ciężarem, ale zgodziłem się przyjąć to brzemie. Osłaniam cię moją tarczą, lecz wiedz, że nie jesteś mym więźniem. Jeżeli obrazą jest dla ciebie moje towarzystwo, możesz pójść swoją drogą. Jeśli jednak mamy być sprzymierzeńcami, musimy skończyć z tymi kłótniami. Bo jeśli nie, śmierć upomni się o ciebie jak o przeterminowany dług. I zabierze najpewniej także Grégoire'a, a przecież jego charakteru nie śmiałym zakwestionować, podobnie jak lojalności wobec przyjaciela. Zgodzisz się ze mną?

– Zgodzę. I przepraszam.

– Wybaczam ci bez zastrzeżeń. I wzajemnie przepraszam, choć nie oczekuję wybaczenia.

W tym momencie zza węgła wyszedł Grégoire, prowadzący za uzdę olbrzymią siwą klacz.

Tannhäuser tylko raz w życiu widział konia podobnej wielkości: było to zwierzę pociągowe, zaprzęzone do wozu mieszczącego trzy tysiące funtów kul armatnich. To, które przyprowadził Grégoire, było zaiste niezwykle: wysokie co najmniej na siedemnaście dłoni, z rzymskim nosem, o szerokiej piersi i gigantycznym zadzie oraz z ekstrawaganckimi białymi szczotkami wokół kopyt, z których każde miało średnicę półmiska. Ciało klaczy nosiło liczne ślady niewesołej egzystencji w mieście, które nie umiało jej docenić: strupy i blizny po oparzeniach i rozcięciach mogły być pamiątkami wypadków, ale nie brakowało i większych ran, zadanych celowo przez małych ludzi, którym zdawało się, że świat niesłusznie tłamsi ich wielkiego ducha.

Tannhäuser chłonał ten widok z uznaniem, lecz jednocześnie – i wstydliwie – odezwała się w nim próżność. Pragnął wszak paradować po Paryżu na grzbiecie dumnego rumaka ze stajni Gwizjusza, a nie na takiej szkapie.

O dziwo, mały Grégoire zdołał jakoś ją osiodłać.

– Grégoire, to jest koń pociągowy. Z trudem spoglądam nad jego grzbietem.

Chłopak zabełkotał po swojemu. Tannhäuser pokiwał palcem w pobliżu ucha.

Grégoire zaczął od początku.

– To najlepszy koń dla ciebie, panie. Spójrz tylko na nią: jaka spokojna, silna, nieustraszona. Wszystkie inne, piękne koniki, były przerażone strzelaniną, dymem, zapachem krwi. A ona sianko sobie skubała. Inne chowały się na wsi, a ona zna Paryż. Nic jej nie wystraszy. Poza tym nie ucieknie, gdy ją zostawisz przed karczmą. No i będziesz jeździł tak wysoko ponad gównem! I jeszcze jedno: w Paryżu ulice są pełne ludzi, od muru do muru, a Clémentine utoruje ci drogę.

– Clémentine?

Tannhäuser liczył choć na stosownie dziarskie imię.

– Nie podoba ci się Clémentine?

– Mnie się podoba – wtrącił Juste.

Obaj spoglądali na Tannhäusera tak, jakby oczekiwali salomonowego wyroku.

– Sam bym nie wybrał lepszego imienia.

Stanął oko w oko z wielką klaczą i wzajemnie zmierzyli się przeciągłym spojrzeniem. Parsknęła z rezerwą, w swej mądrości całkiem słusznie nie ufając kolejnemu

człowiekowi, z którym zetknął ją los. Lecz gdy wymamrotał kilka czułych słówek po turecku, nagrodziła go rzeniem, od którego zagrało mu w piersi. Uznał to za przyzwolenie i bez wahania wskoczył na siodło.

– Grégoire, jesteś niezrównanym znawcą koni.

Albowiem ledwie jego żołnierska dupa spoczęła na twardej skórze, zrozumiał, że chłopak wybrał dlań istic legendarnego wierzchowca. Uda Tannhäusera, jego grzbiet i serce w jednej chwili połączyły się z potężną życiową energią i nieposkromionym duchem klaczy. Serce mu rosło, gdy o tym myślał, choć przecież dzwony w całym mieście wciąż były jak szalone, a w dążeniu do celu przeszkadzały mu tak liczne nieplanowane spotkania.

– Chwyćcie się strzemion, chłopcy, i mocno trzymajcie. Grégoire, prowadź nas do szubienicy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Z mocnego

Z początku ulice były całkiem ciche. W każdą niedzielę świt był zapewne leniwy; tym razem jednak pogłoski o rzezi i rebelii musiały skłonić dodatkowe tysiące ludzi do pozostania w domu. W prześwicie między budynkami ciągnącymi się wzdłuż koryta Sekwany Tannhäuser spostrzegł na rzece samotnego wioślarza i szybujące wysoko nad nim mewy.

Wreszcie zaczęli mijać uzbrojonych mieszczan w białych opaskach na ramionach i z białymi krzyżami na czapkach. Niektórzy dzierżyli sztandary, których tęczowe barwy zawstydziłyby nawet austriackiego księcia. Nie było wśród nich ani łuczników, ani kuszników, to nie była regularna straż miejska. Włoczyli się po nabrzeżach w fałszywym poczuciu własnej ważności, właściwym bigotom, których poparło państwo. Salutowali krzyżowi na piersi Tannhäusera, opuszczając nieco swe sztandary i piki.

Grégoire zsuł buty, związał sznurowadłami i zawiesił na szyi. Trzymał je kurczowo obiema rękami, by nie dać się kopnąć w usta. Puścił je tylko na chwilę, by poklepać Clémentine po masywnym grzbiecie.

– Dobry wybór, panie?

– Sam Pegaz musiał ją splodzić.

Chłopak odsłonił dziąsła w krzywym uśmiechu. Tannhäuser zdołał nie okazać niesmaku.

Wkroczyli na place de Grève, pełen mniejszych i większych oddziałów milicji zgrupowanych pod barwnymi chorągwiami. Dwaj dobosze ćwiczyli z zapalem, ale nikt nie miał ochoty maszerować. Sporą grupę słuchaczy zgromadził wokół siebie kaznodzieja snujący apokaliptyczne wizje. Kucharze rozpalali pod kotłami, przedsiębiorcze prostytutki próbowały szczęścia wśród zbrojnych, a bezpańskie psy myszkowały tu i tam w poszukiwaniu resztek.

Tannhäuser szybko dostrzegł szubienicę, tę gniadą klacz zrodzoną z dębu, która tak wielu zabrała już w ich ostatnią podróż. Deski pod nią zdążyły pociemnieć, nasączone wszystkim, co w godzinie śmierci uwalniały ciała skazańców. Nawet z tak dużej odległości fetor destylatu ranił nozdrza.

Za miejscem egzekucji piętrzyła się bryła na wpół ukończonego ratusza – Hôtel de Ville – to tam ci, którzy uważali się za najlepszych synów miasta, w pocie czoła snuli plany sprowadzenia nań kolejnych katastrof. Fasadę zdobiła inskrypcja: „Jeden król, jedno prawo,

jedna wiara”. Łucznicy, kusznicy i halabardnicy kręcili się wokół gmachu, podając sobie z rąk do rąk bukłaki z winem. Artylerzyści manewrowali ośmioma armatami odlanymi z brązu. Dzwony kościelne biły bez wytchnienia.

Grégoire parł na północ, ku wylotowi rue du Temple. Podobnie jak wszystkie inne ulice miasta – z wyjątkiem dwóch lub trzech największych – ta także nie była brukowana. Odcięto ją za to żelaznym łańcuchem rozpiętym od muru do muru. Wartownik stał przy nim wsparty na drzewcu swej giewi, sięgającej czubkiem mniej więcej o długość ramienia ponad jego głowę. Leniwie uniósł rękę, by zatrzymać nadchodzących.

Tannhäuser spojrział na niego twardo.

– Lepiej użyj tej ręki do opuszczenia łańcucha albo ci ją obetnę – zapowiedział.

Na twarzy wartownika widać było zażarty bój myśli, z których żadna nie odniosła decydującego zwycięstwa. Juste wystąpił naprzód, by skrócić jego męczarnie.

– Pozwól, dobry panie, że ja sam opuszczę łańcuch. W przeciwnym razie mój pan cię ubije, tak jak ubił w pół nocy siedmiu innych ludzi.

Słowa te, wypowiedziane z głęboką szczerością, najpewniej zapadły wartownikowi w serce, bo omal nie potknął się o własną broń, gdy rzucił się do odpinania łańcucha. Clémentine parsknęła z cicha i poczłapała naprzód.

– Powiedz no, panie – odezwał się Tannhäuser – jakie właściwie dano ci rozkazy?

– Hervé tynkarz do usług, szlachetny panie! Wszystkim nam przykazano pilnować, by nie rozpierzchli się hugenoccy buntownicy. I bronić się, gdyby uderzyli. Trudno zgadnąć, ma się rozumieć, co knują, ale bez ochyby coś podłego.

Tannhäuser rozejrzał się uważnie. Na rue du Temple nie było żywego ducha.

– Widziano tu siły buntowników?

– Ja tam nie wiem, panie, wiem za to, bo wszyscy wiedzą, że te diabły od lat ciągnęły do miasta z całego kraju: i z północy, i z południa. I z zagranicy nawet, głodne krwi i rabunku. Cała ta dzielnica, Sainte-Avoye, pełna jest heretyków, panie. Faszynę i proch po domach trzymają, gotowi całe miasto spalić – tacy to fanatycy, panie! – całkiem jak w sześćdziesiątym piątym, kiedy to młyny z dymem puszczały. Własnemu sąsiadowi niepodobna dziś ufać. Ja sam dobrą kapotę sprzedałem, żeby tę giewię kupić, boć to prawda, że na bezpieczeństwo żałować nie wolno...

Tannhäuser ponaglił Clémentine. Ruszyła klusa.

– Kto obroni miasto, jeśli nie my sami? Rajcy? Kawalerowie maltańscy? A skoro o tym, to dzięki ci, panie, że walczysz w słusznej sprawie!

Ulica pozostała pusta, a kopyta wybijały mocny rytm w długim, porannym cieniu domostw. Zabite na głucho drzwi i okna budynków, wysokich i na trzy piętra, wyglądały na niezamieszkałe; nawet z kominów nie unosił się kuchenny dym. Nie we wszystkich mogli mieszkać przerażeni hugenoci, ale i dla miłujących pokój katolików nie była to bezpieczna okolica. Tylko nierozważni, członkowie milicji i bandyci zapuszczali się tu tego ranka. Nad miastem zamknęła się klatka z mieczy. Każda dusza, którą Tannhäuser tu spotkał, w ten czy inny sposób odczuwała strach. Teraz, gdy znalazł się tak blisko Carli, uświadomił sobie, jak bardzo sam owładnięty jest lękiem.

Chłopcy uwieszeni strzemion biegli teraz, ile sił w nogach. Jedno potknięcie groziło tym, że skończą pod podkowami Clémentine.

– Puśćcie już. Pojadę przodem, dogonicie mnie.

Ledwie zostawił ich w tyle, gdy Clémentine parsknęła z niesmakiem. Tannhäuser także wyczuł tę woń: spalone mięso i włosy. Krew. Śmierć.

W oddali ujrzał dawne mury miejskie Filipa Augusta; ciągnęły się na prawo i lewo, po obu stronach ulicy. Pamiętał, że wspominał o nich Mały Christian. I o trzech pszczołach nad drzwiami. Po zachodniej stronie ulicy zobaczył wspaniały dom, z imponującą liczbą okien. W owym zamięłowaniu budowniczych do światła znać było zapowiedź nowej ery, nowego sposobu myślenia, życia, istnienia. Tyle że bodaj wszystkie szyby były roztrzaskane, a drzwi otwarte na oścież. Z okna na piętrze zwisał trup, a na kamieniach pod nim widać było fantazyjne wzory w odcieniu ciemnej czerwieni. Tannhäuser nie musiał już wypatrywać pszczoł nad wejściem.

Ściągnął wodze i poprowadził Clémentine stępą przed frontem owego domu umarłych. Miał nadzieję, że odnajdzie tu żonę. Teraz wiedział, że odnajdzie tylko jej zwłoki.

Z kałuży krwi krzepnącej na ulicy wiodły czerniejące już smugi tropów. W rynsztoku spoczywało na wpół spalone truchło okaleczonego psa. Nagi trup mężczyzny leżał na progu szeroko otwartych drzwi.

Ciało w oknie na piętrze należało do kobiety. Było nagie i zwisało uwiązane za kostkę do złotego sznura, umocowanego do belki dzielącej okno. Druga noga była dziwnie podwinięta. Gardło podciął jej ktoś niezbyt wprawny albo niezbyt zaangażowany – widać było liczne i zbyt płytkie nacięcia, w tym jedno na szczęcie; widocznie ofiara próbowała się bronić. Kobieta nie miała jednej piersi; próbowano też pozbawić ją drugiej, ale z jakiegoś powodu porzucono ten zamiar. Spływająca krew zabarwiła całe ciało, a we włosach utworzyła galaretowatą masę, wyglądem przypominającą roztopiony воск. Ciemne krople wciąż opadały w dół, ale w ciele zostało już tak mało krwi, że skóra nabrała odcienia smalcu.

Kobieta była w średnim wieku, miała może czterdzieści lat. Nie żyła co najmniej od godziny. O ile w tym stanie można było to ocenić, Symonne d'Aubray – jeśli to ona – nie była szczególnie urodziwa, ani z twarzy, ani z postury. Tannhäuser wiedział, że nieładnie tak myśleć o zmarłej, ale nie umiał się powstrzymać.

Carla była piękna. Ci, którzy popełnili tę zbrodnię, z pewnością też to zauważyli.

Większość szyb na wszystkich trzech kondygnacjach wybito, a że każde okno składało się z sześciu tafli, oznaczało to sporą ilość tłuczonego szkła. Na ulicy było go jednak bardzo niewiele. Tylko proce – bo w działanie oddziały arkebuzerów raczej trudno było uwierzyć – miały odpowiedni zasięg i tak dużą siłę rażenia. Z wnętrza domu nie dobiegał żaden dźwięk. Tannhäuser przyjrzał się budynkom po drugiej stronie ulicy, ale równie dobrze mogła je nawiedzić czarna śmierć – w ich oknach nie było żadnych oznak życia.

Wjechał w zaułek, by przedostać się do ogrodu i podwórza na tyłach domu. Tu także wszystkie szyby wybito do środka. Istniał tylko jeden powód, dla którego uczyniono to tak starannie i z takim rozmachem: spora grupa intruzów chciała wywołać chaos, by odwrócić uwagę obrońców, podczas gdy oddział szturmowy atakował frontowe drzwi. Tylko jedno okno, na parterze, ocalało z pogromu – było szeroko otwarte, podobnie jak tylne drzwi, prawie nieuszkodzone i z nietkniętym zamkiem. Otwarto je od środka. Dolna połowa skrzydła zachlapana była zakrzepłą już krwią. Mocno rozdeptana kałuża gęstej krwi zabarwiła stopnie prowadzące na podwórze. Wyglądało to dość intrygująco.

Tannhäuser zeskoczył na ziemię, pozwalając Clémentine zająć się skubaniem trawy i białej kapusty. Na ścieżce przecinającej ogród dostrzegł nie tylko liczne ślady stóp, ale także dwukołowych wózków. Nie było natomiast odcisków kopyt. Obok, na trawie, leżał porzucony siennik, zapewne własność Altana.

Mattias wyjął z pochwy sztylet i podszedł do tylnych drzwi.

Na kamiennym chodniku okalającym budynek zauważył kawałek ciała. Przykucnął nad nim i trącił go czubkiem klingi. Był to męski członek, ucięty wraz z workiem mosznowym. Brakowało jednego jądra, ale jego właścicielowi było już zapewne wszystko jedno. Teraz dopiero Tannhäuser zwrócił uwagę na masywną kołatkę umocowaną na drzwiach oraz na to, że w plamie krwi widać pionowe zacieki. Ktoś został powieszony na kołatce i zapewne wykrwawił się na śmierć.

Wszedł do środka i przystanął, nasłuchując. Absolutna cisza. Z podłogi tuż za progiem wyrwano kilka desek; nie było ich w zasięgu wzroku. Po lewej znajdowały się drzwi do piwnicy; po prawej przestronna kuchnia zajmująca całą szerokość domu. Kawałki szkła na podłogach. Spizarnia, kredensy i półki opróżnione w pośpiechu. Została tylko samotna

drewniana łyżka. Na posadzce ktoś rozsypał odrobinę mąki, ale ślad urywał się zaraz. Włamywacze najwyraźniej uważali, że warto ukraść nawet mąkę i łyżki.

Fakt ten zastanowił Tannhäusera. Zwłaszcza że łatwiej było mu myśleć o złodziejach niż o Carli. Ruszył w głąb holu, ku wielkiej kałuży krwi, którą zdeptały niezliczone stopy, w tym wiele bosych. Krew przywarła zaraz i do jego butów; podobnie jak ta, którą widział na progu, była czarna i miała konsystencję ciepłej smoły. We frontowej części holu było jej jeszcze więcej. Gęsta jak zimny sos, była równie mocno udeptana, ale widać było, że przelano ją nieco później, nie dawniej niż przed godziną. Szkło. Szkło. I bosa stopy na tyle twarde, by po nim chodzić. Tannhäuser poczuł pod podeszwą ołowianą kulę do muszkietu. Podniósł ją i obejrzał. Była zniekształcona od uderzenia, ale nie nosiła żadnych śladów spalonego prochu. Zatem proce. Widział już skutki ich działania dawno temu, w Adrianopolu. Były tanie, a przecież we wprawnych rękach albo w wielkiej masie śmiertelnie niebezpieczne.

Teraz dopiero mógł przyjrzeć się zwłokom, które zauważył już z ulicy. To był Altan Savas. Spoczywał w wielkiej kałuży galaretowatej posoki niczym jadalna figurka na torcie. Szczury, skuszone takim smakołykiem, przysiadły na jego udach i piersi, by pożywić się ciałem ze świeżych ran. Tannhäuser przepędził je kopniakiem, po czym wsunął sztylet do pochwy.

Spodziewał się, że znajdzie ciało Altana, od chwili, gdy ujrzał w oknie skrwawione zwłoki Symonne d'Aubray. Serb nie należał do ludzi, którzy umykają z szanów; nie zwykł porzucać spraw, którym oddał się bez reszty. Gdy Tannhäuser wykupił go na Malcie od rycerzy morskich, w lochach Świętego Antoniego nie brakowało janczarów wziętych do niewoli. Dokonując wyboru, kierował się instynktem, a także wiarą w moc serbskiej krwi. Pamiętał dobrze słowa, które przypieczętowały ich porozumienie. Po krótkim namyśle Altan rzekł mu wtedy: „Jeśli za cenę wolności oczekujesz, że wyrzeknę się Proroka, niech będzie błogosławione jego imię, to lepiej zostaw mnie przykutego do wiosła”.

Jego tureckie imię oznaczało Czerwony Świt i krwawym świtem dokonał żywota.

Ich przyjaźń była głęboka, choć raczej brakowało w niej miejsca na ciepło. Altan uśmiechał się do Tannhäusera wyłącznie po walce, gdy obaj ścierali krew z kling swoich mieczy. W niedawnych bojach, gdy w okolicy posiadłości pojawiły się dzikie bandy byłych najemników i dezertów, miał ku temu okazję może dwa razy. Mimo to, spoglądając na jego ciało, Mattias czuł ból.

Przyjrzał się bliżej ranom. Altan został postrzelony w lewe oko z niewielkiej odległości. Użyto pistoletu, a wybuch prochu osmalił i częściowo zdarł skórę z jego twarzy. Jeśli nie liczyć postrzału, czaszka była w zasadzie nietknięta. Wokół serca widać było kilka

ran kłutych, zadanych nożem. Trupa okradziono z odzieży i broni. Z jego ud wycięto spore fragmenty skóry – mordercy potraktowali tatuaże jako trofea wojenne. Części intymnych nie tknęli; nawet wśród zawodowych zabójców niewielu było naprawdę zimmokrwistych, którzy potrafili zdobyć się na pozbawienie człowieka męskości.

Tannhäuser domyślił się, że Altan zdołał złapać zwiadowcę, okaleczyć go i zawiesić na tylnych drzwiach, by zniechęcić – a przynajmniej wytrącić z równowagi – resztę intruzów. Na podłodze holu dopalało się kilka świec: zapalono je z pewnością celowo, miały oświetlić pole walki. To tam, przy wąskim gardle przedsionka, Altan urządził zasadzkę. Czekał na wrogów u drzwi i sądząc po ilości krwi na podłodze, zabił co najmniej kilku. Tannhäuser pomyślał, że nawet gdyby sam atakował ten dom z ulicy, nie dałby sobie wielkich szans w walce z Altanem, a już na pewno nie podszedłby tak blisko, by z pistoletu wypalić mu prosto w twarz. Zabójca musiał więc zejść go od tyłu. Strzał z bliskiej odległości, zapewne mierzony w potylicę, z pewnością go zaskoczył.

Tannhäuser spojrzał w górę, na schody.

Smród spalonych włosów. Tłuczone szkło, krew i cisza.

Altan Savas zginął, broniąc Carli, lecz jego śmierć była daremna. Mordercy, gwałciciele i złodzieje przybyli tu, by mordować, gwałcić i kraść. Tego, co już zobaczył, wystarczyło Tannhäuserowi, by nabrać przekonania, że ich apetyty nie miały granic.

Carla musiała być gdzieś tam, na górze. Naga, martwa, prawdopodobnie okaleczona, być może z dzieckiem wyprutym z jej łona. Zgwałcona. Pozbawiona „trofeów”. Często widywał kobiety wykorzystane w taki sposób, i to w każdym znanym mu zakątku świata. Fundamentem tych wspomnień był zaś obraz jego własnej matki i nie pamiętał niczego sprzed owej chwili, gdy zobaczył ją po raz ostatni: nagą i splugawioną, porzuconą na końskim truchle. Pomyślał też o Amparo, którą kochał, a zaraz potem spróbował o niej nie myśleć, i ją bowiem widział po raz ostatni jako ofiarę okrucieństwa, któremu nie zdążył zapobiec.

A teraz Carla stała się ofiarą klątwy, którą gwiazdy musiały rzucić na niego, gdy przyszedł na świat. Zupełnie jakby kosmiczna sprawiedliwość domagała się zapłaty z góry za zbrodnie, które pisane mu było popełnić. Carla nie żyła. Nie lękał się o jej duszę. Ale jaki los czekał duszę nienarodzonego dziecka? Tego nie wiedział.

Żył, a oni nie.

I był wolny.

Nie musiał już dźwigać brzemienia miłości, tego przytłaczającego ciężaru, któremu towarzyszył nieustający lęk. Nie musiał już tęsknić za Carlą, wystarczyło ją oplakiwać. Ulga, którą nagle poczuł, wydała mu się ohydna, ale nie mógł zaprzeczyć: naprawdę ją poczuł.

Nikogo już nie będzie kochał. Nikogo nie utraci. A stracił tak wiele. Nie, nie użalał się nad sobą. Nie potrzebował litości i nie zasługiwał na nią, a także nie przyniosłaby mu żadnego pożytku, bo czy komukolwiek przyniosła? Nie musiał już cierpieć. Mógł siłą woli zapanować nad bólem, bo brzydził się jego bezcelową wszechobecnością. Carla nie żyła, on zaś był wolny i zamierzał czuć się wolny. Teraz mógł podać rękę diabłu i zatańczyć jego pawanę. Mógł porzucić łagodność, nadzieję i radość oraz wszelkie inne pułapki słabości. Mógł wyruszyć na pustkowiec świata i w głąb własnej duszy. Mógł stać się tym, czym los tak wiele razy próbował go uczynić: bestią uwolnioną od bólu bycia człowiekiem.

Schody pozostały na swoim miejscu.

Podobnie jak to, co miał ujrzeć na ich szczycie.

Nie poruszył się.

– Panie?

Tannhäuser stał pochylony, wsparty dłońmi na kolanach, i oddychał z trudem. Nawet nie zauważył, kiedy się pojawili. Uniósł głowę, wyjrzał na ulicę i zobaczył Grégoire'a i Juste'a. Wyglądali na przejętych. Zaśmiał się szpetnie, ujrawszy ich miny. Płomienie świec zadygotały.

– Panie? – Niewątpliwie obawiali się o stan jego umysłu.

– Clémentine jest w ogrodzie. Dajcie jej wody. Juste, chodź tutaj.

Juste zatrzymał się na skraju kałuży brązowiejącej galarety.

Tannhäuser kciukiem wskazał mu kierunek.

– Wejść tylnymi drzwiami.

Juste puścił się biegiem.

Czy to naprawdę konieczne, posyłać go na górę?

Czy nie mógłbym sam?

Wiedział, że potrafiłby to zrobić, ale od dziesięcioleci nie czuł potrzeby sprawdzania odporności własnego żołądka. W jego pamięci wypalił się obraz dostatecznie wielu martwych kobiet. Obawiał się, że gdyby teraz ujrzał Carlę, mógłby zapomnieć o rozsądku. Był wszak w nastroju do zabijania, a oni zamordowali jego żonę. Jego nienarodzone dziecko. Na samą myśl o tym – i pod wpływem wywołanej przez nią kaskady dźwięków i obrazów: głosu Carli o świecie, widoku jej twarzy w chwilach namiętności, śmiechu, którym nagradzała jego wygłupy – wszystkie mięśnie jego ciała stężały w bolesnym skurczu. Pragnął bezlitosnego niszczenia, absolutnego chaosu, niewyobrażalnej brutalności, unicestwienia wszystkiego. Pragnął oczyścić się z brudu, którym była jego ludzka natura.

– Będę brodził w rzekach krwi – wycodził.

– Panie, przyniosłem ci wody.

Tannhäuser obrócił się, skinął głową i przyjął kubek. Wypił.

Powinien był pójść na górę. Postanowił inaczej.

– Juste, potrzebna mi twoja pomoc. Chcę, żebyś wszedł na górę i rozejrzał się dokładnie. Opowiesz mi o wszystkim, co zobaczysz. O wszystkim, Juste. Nie będzie to piękny widok. Możesz to dla mnie zrobić?

Chłopak spojrzał na niego z uwagą.

– Tak, panie.

– Będą tam trupy, lecz przecież widziałeś ich sporo. Dla ciebie to obcy ludzie.

– Nie chcesz zobaczyć martwej żony.

– Nie tylko martwej.

– Rozumiem. Widziałem, jak psy pożerają moich braci.

Spojrzeli sobie w oczy.

– Dziękuję – powiedział Tannhäuser.

Juste wbiegł na górę po tłuczonym szkłe. Zatrzymał się na ostatnim stopniu.

– Na korytarzu leży mężczyzna, ma wiele ran klutych. Jest stary, starszy od ciebie. Powiedziałbym, że to służący albo ogrodnik. Ma spracowane dłonie.

– Doskonale. Idź dalej.

Tannhäuser czekał. Sumienie popychało go ku schodom, ale strach ścisnął żołądek. Umysł, świadom, że oto staje nad przepaścią, doradzał cierpliwość.

– Jestem w salonie. Zabici chłopcy, dwaj zabici chłopcy, chyba pchnięci nożem wiele razy. I dziewczynka. Pchnięta, pchnięta, pchnięta... Mój Boże. Wszyscy nie żyją. – Juste nie odzywał się przez chwilę. – Za oknem wisi kobieta, złoty sznur łączy jej kostkę z podporą dzielącą okno. Zdaje się, że jest dość stara, ale nie za bardzo... Trudno powiedzieć. Pocięli ją strasznie, a jej...

– Widziałem ją. Domyślam się, że to madame d'Aubray. Jest tam ktoś jeszcze?

– Nie. Troje dzieci, służący i ta kobieta na linie. Jak tu pusto... Brak dywanów, obrazów, mebli. Niczego nie zostawili.

– Dobrze. Idź do sąsiedniego pokoju.

– To sypialnia.

Tannhäuser czekał. Walcząc z falą mdłości, spróbował skupić się na odtworzeniu logiki wydarzeń. Złodzieje przybyli, by obrabować dom i zabić kilkoro zamożnych hugenotów. Dlaczego nie? Wszak on sam nie tak dawno zabił i obrabował jednego z nich. Ale dlaczego wybrali właśnie ten dom? Było coś podejrzanego w tym, z jaką determinacją skupili

swoje wysiłki akurat na tym celu. Włamywacze szukają łatwego łupu, a nie regularnej bitwy; idealny byłby dla nich dom pozbawiony ochrony, a nie przyozdobiony wykastrowanym trupem jednego z ich towarzyszy.

Spojrzał raz jeszcze na ciało Altana. Jego zabójca wdarł się do domu przez okno na tyłach, podczas istniej burzy tłuczonego szkła. Dzielny człowiek. Niebezpieczny człowiek. Człowiek, którego sukces był pochodną odwagi.

Atak na dom wdowy d'Aubray musiał być zsynchronizowany z uderzeniem na dom de Rochefortów – sygnałem o jego rozpoczęciu było wszak bicie dzwonów na trwogę – to zaś oznaczało, że doszło do z góry zaplanowanej akcji. Czyżby w zмовie ze złodziejami był ktoś z milicji, a może i z gwardii pałacowej? Mieszczanie z milicji nie byli dostatecznie karni i w większości do tej pory nie wiedzieli, co się naprawdę dzieje. Jak wcześnie wyciekła informacja o planowanym pogromie? Przygotowanie ataku na tak dużą skalę, nawet przez zdyscyplinowany oddział – trzeba było przecież zorganizować wywóz mebli, ubrań, mąki, a wszystko w sobotnią noc – wymagało co najmniej... czterech godzin?

Nikt też nie zwyciężyłby Altana Savasa w taki sposób, nie posiadając dobrych informacji wywiadowczych, nie tylko o jego obecności, ale i o umiejętnościach. Gdyby do szturm ruszyli zwykli rabusie, nawet wielką gromadą, Tannhäuser zastałby tu Altana całego i zdrowego, zajętego budowaniem muru obronnego z ich trupów. Chcąc przeprowadzić atak tak skomplikowany i skuteczny, zabójcy musieli wiedzieć wszystko o układzie pomieszczeń w budynku. To nie była improwizacja.

Potrzebowali więcej niż godzin na przygotowania. Potrzebowali dni.

Tannhäuser niejedyn raz pracował poza prawem – w Mesynie, Wenecji, Stambule. Potrafił wejść w buty członka któregoś z paryskich bractw przestępczych. W tej chwili każdy bandyta w mieście przecierał oczy ze zdumienia, z niedowierzaniem patrząc na swą życiową szansę. Najlepsi z nich mogli usłyszeć o planowanej rzezi hugenotów nieco wcześniej niż policja czy milicja. Być może nawet wcześniej niż gwardia pałacowa. To ich bracia byli ową najniższą – a więc i niewidzialną – kastą, dzięki której Luwr w ogóle mógł funkcjonować. To oni wynosili królewski stolec; to ich kobiety gwałcił książę d'Anjou, by zademonstrować matce, jaki jest męski. Lecz ci, którzy splądrowali dom d'Aubrayów, dokonali tego mimo zacieklego oporu i zdążyli zniknąć jeszcze przed świtem. Co więcej, splądrowali dom średnio zamożny, podczas gdy mogli uderzyć na cel znacznie słabiej strzeżony i zdobyć nieporównywalnie bogatsze łupy.

Ten dom został im wystawiony.

To nie była przypadkowa zbrodnia w oceanie chaosu.

To nie był pech.

Nie były pechem także wszystkie te wydarzenia, które nie pozwoliły Tannhäuserowi dotrzeć tu wcześniej.

Wszystkie spotkania, których nie planował, a jednak się odbyły.

Carla nie była przypadkową ofiarą. Została zamordowana na zlecenie.

Tannhäuser dostrzegał tylko jedną inną możliwość: może to madame d'Aubray wraz z dziećmi była celem ataku, a Carla jedynie znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Tyle że ta teoria nijak nie wyjaśniała, dlaczego Mattias i Orlandu spędzili noc w celi. I dlaczego ktoś strzelił do Orlandu.

Zabójcy zostali poinstruowani przez kogoś, kto wiedział dość wcześnie o planach zamordowania de Coligny'ego i jego stronników, choć przecież decyzję tę, jak twierdził Arnauld, podjęto dopiero ostatniego wieczoru. W dodatku owa „decyzja” była ledwie zgodą wyrażoną przez słabego króla. Możliwe, że cały plan powstał znacznie wcześniej; na dworze nie brakowało kłamców i spiskowców zdatnych do takiej roboty. Tak czy owak, zamach, którego ofiarą padła Carla, przygotowano dzięki informacjom pochodzącym z Luwru, z wysokich kręgów władzy.

Tannhäuser uniósł głowę. Juste, blady i przejęty, właśnie schodził na dół.

– Sypialnię też splądrowali, brakuje nawet materaca...

– Znalazłeś tam martwą kobietę.

– Tak, panie.

– Mów, niczego nie ukrywaj.

– Niczego?

– Starą czy młodą?

– Za młoda nie była, ale i nie stara. W normalnym wieku, może... trzydziestu lat?

Carla miała trzydzieści pięć.

– Jakiego koloru były jej włosy?

Juste zmarszczył czoło i spojrział w sufit, szukając w pamięci. Wreszcie przepaszająco pokręcił głową.

– Nie wiem. Miała na głowie naczynie...

– Naczynie?

– Nocnik.

Tannhäuser zacisnął zęby. Juste na wszelki wypadek cofnął się o stopień wyżej.

– Zdjąłem go, ale pod spodem było mnóstwo krwi. Mam sprawdzić jeszcze raz?

– Była w ciąży?

Juste znowu się zawahał, strzelając oczami na prawo i lewo.

– Nosiła w sobie dziecko? Miała wielki brzuch?

– Tak, chyba tak.

– Chyba?

– Tak, możliwe, że była w ciąży. – Juste poczerwieniał. – Ale tego nie mogę być pewny, bo... nie mogę. Podziurawili ją, pocięli... – Umilkł i wykonał kilka gestów na wysokości torsu.

– Widziałeś dziecko? Wycięli je z jej brzucha? Mów, chłopcze.

– Nie... nie wiem. Nie wiem! Przepraszam.

Tannhäuser odetchnął głęboko.

– Nie gniewam się na ciebie. Proszę, mów dalej.

– Ona... klęczała, twarzą w dół. I coś... coś z niej wystawało.

– Coś?

– Krzesło. Noga od krzesła, ale nie odłamana... – Juste zasłonił usta, może po to, by zatrzymać słowa, a może po to, by opanować mdłości.

Tannhäuser odwrócił się. Nie mógł pozwolić, by chłopak zobaczył teraz jego twarz. Popęłnił błąd. Powinien był pójść na górę i zobaczyć na własne oczy. Tylko że teraz miał jeszcze mniej siły. Wyciągnął rękę, by poklepać Juste'a po ramieniu, ale chłopak cofnął się odruchowo.

– Juste, nie powinienem był prosić, żebyś to oglądał. Wybacz mi.

– Cieszę się, że mogłem ci tego oszczędzić, panie. Nie było to tak straszne jak los moich braci.

– Nie. Tamto musiało być gorsze.

Zastanawiał się, czy w sercu chłopaka nie pojawiło się coś na kształt satysfakcji. Jeśli tak, nie mógł go za to winić. A może to czarna część jego duszy podsuwała mu takie przypuszczenia?

– Idź już, zaczekaj z Grégoire'em i Clémentine.

– Nie byłem na ostatnim piętrze.

– Czy w sypialni znalazłeś jeszcze jakieś ciała?

– Nie. Tylko... ta kobieta. Co teraz zrobisz?

– Idź, zaczekaj w ogrodzie.

Gdy Juste zniknął mu z oczu, Tannhäuser nie wytrzymał: zwymiotował w kałużę krwi, w której stał. Poczul się lepiej. Wtedy dopiero ruszył schodami w górę.

Martwy sługa, salon zabitych dzieci, Symonne d'Aubray na końcu sznura – wszystko wyglądało tak, jak opisał to Juste. Ucięte genitalia, które znalazł przy tylnych drzwiach, nie należały do żadnej z tych osób. Na ciałach ofiar widać było liczne rany cięte i klute, także na dłoniach i ramionach – zabójcy działali z wielkim entuzjazmem, ale nie mieli pojęcia o najważniejszych dla życia narządach i naczyniach ludzkiego ciała. Ten, kto uśmiercił Altana, z pewnością wiedział o nich więcej, lecz jego ludzie nie byli wprawnymi mordercami – i nic dziwnego, skoro nawet wśród przestępców niewielu jest zawodowych zabójców.

Tannhäuser wspiał się wąskimi schodami na drugie piętro. Oba pokoje, do których zajrzał, zostały ogołoczone z wszelkich sprzętów. W tym drugim unosił się jeszcze zapach Carli, ten naturalny, z domieszką jej ulubionych perfum. Stłumił w sobie rozpacz, bo nie miał do niej prawa.

W kominku leżała kupka świeżej sadzy; czarne ślady drobnych stóp wiodły od paleniska aż do drzwi. Stara sztuczka, pomyślał Mattias. Spuścili chłopaczka kominem, żeby otworzył im drzwi. Naturalnie nie udało się. Tannhäuser był jednak pewien, że Carla nie pozwoliła Altanowi zabić dziecka.

Po chwili spostrzegł na wpół zapełniony nocnik. Tym razem rozpacz urosła w jego piersi i sięgnęła twarzy, rozsadzając jej kości czarną falą smutku i wstydu. Nie odróżniał już miłości od przenikliwego bólu. Wychylił się przez wybite okno na tyłach domu i odetchnął głęboko. Nie za takie przejawy uczuć zdarzyło mu się skarcić Juste'a. Nawet dać mu w twarz. Nie udało mu się stłumić jęku, który wydarł się z głębi jego piersi.

– Panie? – dobiegł z dołu głos wystraszonego Juste'a.

Jęk musiał być głośniejszy, niż się Tannhäuserowi zdawało. Opanował się szybko.

– Nie bój się – zawołał w odpowiedzi.

Miał nadzieję, że znajdzie choć jednego trupa, z którego głową mógłby odwiedzić co podlejsze karczmy w mieście, lecz intruzi zabrali wszystkich swoich zabitych. Z pewnością nie było to łatwe, ale też nie uczynili tego, by uczcić pamięć towarzyszy. Nie chcieli – a zwłaszcza ten jeden, najbardziej niebezpieczny z nich – by ktoś ich zidentyfikował.

Tannhäuser wyszedł z sypialni i zbiegł na dół po wąskich stopniach. Zawahał się jeszcze, nim wkroczył na główny ciąg schodów. Drzwi miał tuż za plecami. Mógł przynajmniej czymś ją okryć. Ale czym? Rozpacz. Mdłości. Wściekłość. Nie wiedział już, co wypada uczynić. Cokolwiek by zrobił, wszystko wydawałoby się kłamstwem. Nie wyobrażał sobie, że mógłby znieść widok Carli zaszlachtowanej i nadzianej na nogę krzesła. Nie chciał czuć zapachu jej krwi ani niczego innego, czym mogli zbrukać jej ciało. Tyle razy maszerował przez spustoszone miasta. Tyle razy widział takie sceny, najpotworniejsze sceny.

Zbyt wiele razy. Słyszał śmiech, podniecenie, satysfakcję tych, którym się zdawało, że właśnie wynaleźli wszystkie te okrucieństwa, podczas gdy ich historia była długa jak dzieje ludzkości.

Zatem jednak mógł znieść ten widok. Zrobił krok w stronę izby i znowu się zatrzymał.

Ta część jego umysłu, która w każdej sytuacji pozostawała zimna, powstrzymała go w ostatniej chwili. Ta część umysłu, która nie znała uczuć i nie ufała tej części, która je znała. Potrzebował chłodnego rozumu. Musiał wziąć w cugle swój umysł, by nie oszaleć. A jego chłodna część, która znała go tak dobrze, nie potrafiła teraz przewidzieć, co się stanie, jeśli Tannhäuser przekroczy próg.

Nie mógł zaryzykować tego, co mogłoby się wydarzyć, gdyby zobaczył Carlę.

Nie chciał pamiętać jej w takim stanie.

Nie chciał, by taki obraz dołączył do pozostałych.

Nie mógł z premedytacją oślepić tej odrobiny człowieczeństwa, która w nim jeszcze ocalała.

Ogarnęły go wstyd i zdumienie, gdy poczuł w gardle smak łez.

Przełknął je.

Musiał znaleźć księdza, by namaścił jej zwłoki.

Postanowił, że wtedy ją zobaczy.

Zszedł po schodach do holu i dalej, za próg domu śmierci, na ulicę.

Rue du Temple wciąż była cicha. Przy drzwiach frontowych – nie do wiary, że wcześniej nie zwrócił na to uwagi – stało masywne drewniane krzesło, a na kamieniu tuż obok niego – cynowy kubek niemal pełen wina. Tannhäuser wyobraził sobie szefa bandy, który zapewne właśnie tu delektował się swym triumfem. Usiadł na krześle, sięgnął po kubek, powąchał i spróbował mały łyk. Zamieszał trunek w ustach i wypluł, ale po chwili upił jeszcze trochę. Dobre wino, pomyślał. Z kieszonki naszytej na pas wyjął oselkę z Jerozolimy i włożył ją do wina, żeby nasiąkła.

Grégoire i Juste stanęli przed nim z płachtą nieco zawilgoconego konopnego płótna.

– Znaleźliśmy to w piwnicy – wyjaśnił Juste. – Jeśli zechcesz...

– Jeśli pozwolisz...

– Okryjemy tym twoją żonę. I zabierzemy krzesło.

– I pomodlimy się za jej duszę.

– Tak uczynicie – odpowiedział Tannhäuser. – Dziękuję.

– Ty także powinienes się za nią modlić – stwierdził Juste.

– Carla oczekiwała po mnie wielu rzeczy, lecz nigdy ich nie dostała.

Zmarszczył brwi, dostrzegłszy nagle coś drżącego pod koszulą Grégoire'a.

– Czy naprawdę jesteśmy twoimi twardymi, silnymi i stanowczymi towarzyszami? – spytał Juste.

– Co tam macie?

– Jego też znaleźliśmy w piwnicy, panie.

Grégoire sięgnął za koszulę i za fałdę na karku wyciągnął bardzo małego i bardzo paskudnego, ale muskularnego kundla. Pies dyszał gwałtownie, wciąż jeszcze oszalały ze strachu, szeroko rozdziawiwszy zębaty pysk. Całe jego ciało pokrywały plamy wypalonego futra i poparzonej skóry.

– Możemy go zatrzymać? – spytał Juste.

– Spowolni nas – odpowiedział Tannhäuser.

– Panie, on na pewno prześcignie każdego, nawet Clémentine.

– Może nas pilnować, gdy zaśniemy – dorzucił Juste.

– Jest bardzo dzielny.

– Nie zgadzam się – rzekł Tannhäuser. – Śmierdzi.

– To go umyjemy – zapewnił go Grégoire.

– A z grzbietu Clémentine nawet go nie poczujesz – dodał Juste.

– Zatem to wasz wspólny plan.

Tannhäuser wyłowił oselkę z wina i sięgnął po skradziony sztylet. Przyjrząwszy się ostrzu, uznał, że należy zmniejszyć kąt szlif. Chłopcy cofnęli się o krok.

– Co chcesz uczynić, panie? – spytał Juste.

– Przeszlifować ostrze.

W blasku poranka Tannhäuser dostrzegł na podkrzyżu sztyletu inskrypcję: *Fiat justitia* z jednej strony i *et pereat mundus* z drugiej. Pokazał ją Juste'owi.

– Odczytasz mi to?

– „Sprawiedliwości musi stać się zadość, choćby świat miał szczeznąć”.

Tannhäuser przeciągnął klingą po oselce. Zgrzyt stali o kamień działał nań uspokajająco. Tym dwóm materiałom zawsze mógł zaufać, choćby materialny świat wokół niego legł w gruzach. Twarde szlifowane twardszym, ze zdrowym dodatkiem wina.

Grégoire daremnie próbował ukryć wierzgającego psa na powrót pod koszulę.

– Czy ten nieszczęśnik ma jakieś imię?

– Nie chcieliśmy nadawać mu imienia zbyt wcześnie, na wypadek gdybyś miał zamiar go zabić – odparł Juste.

– Bo gdybyście to uczynili, byłoby wam bardziej smutno?

Skinęli głowami.

– Chronicie własne uczucia jego kosztem. Łatwiej się rozstać z bezimiennym psem, ale też łatwiej go zabić.

Chłopcy spojrzeli po sobie z niepokojem, a potem przenieśli wzrok na lśniące ostrze.

– Czyż nadanie imienia Clémentine nie uczyniło z pociągowej szkapy mitycznego stworzenia?

Obaj jednocześnie otworzyli usta, ale nie pozwolił im odpowiedzieć.

– Nigdy, w całym moim długim życiu, nie zabiłem psa. Carla za nimi przepadała. Po prostu chcę was czegoś nauczyć. I uraziliście mnie podejrzeniem, że byłbym zdolny do takiego czynu.

– Bardzo przepraszamy, panie.

Tannhäuser nie wiedział, czy jego nienarodzone dziecko było chłopcem czy dziewczynką. Lecz choć nie powiedział tego Carli, po cichu żywił nadzieję, że dziewczynką. Córek bowiem nie trzeba szkolić w wojennym rzemiośle ani w sztuce uśmierzania bólu bycia mężczyzną.

– Panie, dlaczego oni podpalili psy? – spytał Juste.

– „Z tego, który pożera, wyszło to, co jest spożywane, a z mocnego wyszła słodycz”³.

– To zagadka Samsona! – wykrzyknął Juste. – Samson podпалиł ogony trzystu lisów i tym sposobem zniszczył Filistynom zboże. A oni w odwecie spalili jego żonę... – Juste urwał nagle. – Przepraszam.

– On zaś „zadał im wielką klęskę, bijąc od bioder aż do goleni”⁴ – dopowiedział Tannhäuser. Na chwilę pogrążył się w zadumie, ale nie dogonił żadnej sensownej myśli.

Chłopcy przestępowali z nogi na nogę, wciąż niespokojni o los psa.

– Przykryjcie Carlę tym całunem. No już, idźcie. I dajcie kundlowi wody.

– Juste? – odezwał się Grégoire. – Ja nadałem imię Clémentine, więc ty wymyśl coś dla psa.

Zniknęli w zaułku, zajęci dyskusją.

Tannhäuser odprowadził ich wzrokiem.

³Sdz 14,14; wszystkie cytaty z Biblii za: Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, wyd. V, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 2003.

⁴Sdz 15,8.

Wciąż siedział w cieniu, ale powietrze było coraz gorętsze. Rękawem otarł pot z czoła. Znowu coś ścisnęło go za gardło, lecz nie bardzo wiedział, jakim uczuciom zawdzięcza to przykre doznanie; zbyt wiele ich konkurowało o ten zaszczyt. Znowu przeciągnął po ośelce ostrzem sztyletu z lazurytem. Uniósł go nieco do światła i zebrał palcem winny osad drobin kamienia i metalu. Potem przytępił nieco czubek, by nie wbijał się nazbyt głęboko w kość i nie klinował. Wreszcie schował broń do pochwy na prawym biodrze i sięgnął ku lewemu, po własny sztylet.

Czuł w sobie pustkę, którą mógł wypełnić jedynie krwią. Nie wiedzą, nie żałobą, nie Bogiem i nie miłością; w tej sprawie jedynie krew była dla niego prawdą i miarą jego porażki. Przez całe życie niczego się nie nauczył – znowu miał zostać niewolnym sługą Śmierci. Rozwiązywać zagadki. Dotrzeć na samo dno otchłani. A przecież czuł, że w całym Paryżu nie znajdzie dość krwi, by tę pustkę zapełnić, a może i w całym świecie. Mimo to zamierzał ją przelewać. Wiedział, że prędzej czy później przeleje i własną, a wtedy być może odnajdzie spokój.

Dopił wino.

Siedząc obok martwego psa leżącego w rynsztoku, starannie ostrzył broń.

Aż nagle uświadomił sobie, że dzwony umilkły.

CZĘŚĆ TRZECIA

FAŁSZYWE CIENIE RZECZY PRAWDZIWYCH

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Kukania, kraina szczęśliwości

Dwukólką, na której ułożono zakrwawiony materac, Carla i jej nienarodzone jeszcze dziecko podróżowali na zachód, w głąb Ville.

W stronę Podwórzy.

Do królestwa Kukanii.

Wąska uliczka była praktycznie pusta, jeśli nie liczyć kolumny pięciu wózków z łupami. Carla siedziała na pierwszym z nich; Grymonde szedł na czele. Psy biegały dokoła, zapomniawszy o niedawnych upokorzeniach, za to z nadzieją na zasłużoną nagrodę. Papin i Bigot, najbardziej muskularni spośród uliczników, z niemałym trudem ciągnęli dyszle pierwszego wózka, wykrzywiając twarze, na których strugi potu malowały brudne zacieki. Dostali wyraźne rozkazy: nie rozmawiać z Carłą, więc nawet nie patrzyli w jej stronę. Antoinette leżała zwinięta w kłębek u jej kostek i bez jednego słowa ścisnęła w dłoniach rąbek jej sukni. Carla była wdzięczna dziewczynce za to milczenie; nie mogła jej zaoferować niczego prócz szansy na przeżycie. Wszystko inne, całą siebie, rezerwowała dla swego dziecka.

Nawet gdyby była naga, nie czułaby się bardziej obnażona. Jej uda były mokre i oślizłe. Odchodzące wody zostawiły ciemne plamy na bladozłocistej tkaninie. Ból w plecach był coraz dotkliwszy i nie pomagało już nawet podpieranie lędźwi dłońmi. Grymonde zarzucił przednią część wózka jej bagażami oraz futerałami kryjącymi instrumenty muzyczne; nie zapomniał też o łuku i kołczanie Altana. Materac zgięto na pół i wraz ze stertą poduszek zajmował większą część podłogi, lecz mimo tego humanitarnego gestu Carla nie mogła znaleźć wygodnej pozycji.

I nie spodziewała się, że znajdzie.

Przed skrzyżowaniem z większą ulicą Grymonde uniósł rękę i kolumna przystanęła. Zniknął, jak się wydawało, na długą chwilę, a jego ludzie pokornie zachowali milczenie. Początkowo zaskoczyła Carłę ta karność, lecz szybko wyczuła, że powoduje nimi przede wszystkim strach przed Grymonde'em.

W ciszy, która teraz nastąpiła, można było odnieść wrażenie, że całe miasto zastygło w bezruchu.

Carla zdążyła już przywyknąć do gwaru, który trwał od świtu do zmierzchu; jego brak był uderzającą odmianą. Teraz odnosiła wrażenie, jakby całe miasto, podobnie jak banda Grymonde'a, nagle wstrzymało oddech. Przypomniała sobie początek oblężenia Malty, kiedy to – na godzinę przed pierwszym szturmem – w obrębie murów panowała podobna, upiorna cisza.

Grymonde wrócił wreszcie, wycierając dłonie o uda. Skinął ręką i karawana ruszyła. W chwili, gdy wózek drgnął, kolejny skurcz ścisnął brzuch Carli.

Uklękła czym prędzej i opuściła głowę tak, że nieomal dotknęła twarzą desek, które chwyciła z całych sił obiema rękami. Starła się zdusić w sobie jęk. Skurcz był tak potężny, że opanowała ją absurdalna myśl, iż nie minąłby, nawet gdyby umarła z bólu. Zastanawiała się, ile może potrwać i czy aby na pewno nie skończy się jej śmiercią. Myślała o tym, choć wiedziała, że tego typu rozważania tylko osłabiają w niej ducha. Natura zaciskała swą pięść wokół niej, a życie naprężało jej ścięgna do granic wytrzymałości. Na domiar złego otaczał ją niepowstrzymany wir okrucieństwa. Musiała czym prędzej przestać myśleć; myślenie było wstępem do paniki. I do porażki.

Nie mogła sobie pozwolić na porażkę.

Poddała się instynktowi, a wtedy ogarnęło ją osobliwe rozradowanie. Poczwała, że jedzie na grzbiecie rozpędzonego dzikiego konia. Kto chce takiego okiełznać, ten musi otworzyć serce na jego ducha, pozwolić, by się połączyły. Kto spróbuje stawić opór, ten zostanie zrzucony.

Pulsujący ból minął wreszcie, ale brzuch pozostał napięty bardziej niż poprzednio. Carla poczuła, że dziecko porusza się w swej szybko kurczącej się sypialni, ale był to ruch ledwie wyczuwalny. Syn dał jej znak, ostatni sygnał, zanim wszystko, co do tej pory znał, przestanie istnieć, zanim jego świat obróci się do góry nogami i zrobi wszystko, by wypchnąć go w świat dorosłych. Innymi słowy, dosiadał jeszcze dzikszego rumaka. Jaki on dzielny, pomyślała Carla. Przepelniała ją miłość tak intensywna, że omal nie pękły klamry jej serca. Miłość, która sięgnęła aż do Mattiasa. Carla miała wrażenie, że jego duch odpowiedział i przez krótką chwilę był w niej, tak samo materialny jak dziecko, które nosiła w łonie.

Był przy niej, nie wątpiła w to.

Był niedaleko.

Zaszlochała cicho.

To wystarczyło, by oczyścić umysł. Przez chwilę lewitowała w milczeniu, a potem wróciła do rzeczywistości: usłyszała skrzywienie osi i kół, a potem stękanie i przekleństwa tych, którzy ciągnęli wózek. Poczowała też ciepło wschodzącego słońca i ciężar własnego brzucha. Rozluźniła nieco uścisk rąk na drewnianej burcie i przysiadła na piętach. Gdy uniosła głowę, spojrzała prosto w oblicze Grymonde'a.

W świetle dnia jego oczy miały odcień najpiękniejszego brązu, jaki kiedykolwiek widziała. Barwą podobne do sowych ślepi, były zapewne równie bystre. Nie pasowały do tej nieproporcjonalnie wielkiej, ponurej twarzy; to były oczy młodszego mężczyzny o niemłodej duszy, jakby złośliwy rzeźbiarz dorobił do nich ciało. Spoglądały na nią nieruchomo, bez drgnienia powieki, spod wielkiego, zmarszczonego czoła.

– Nie bój się – powiedział Grymonde.

– Nie boję się.

– Nie. Teraz to widzę.

Grymonde obszedł wóz i zaczął iść za nim, tuż przy tylnej burcie, nieomal dotykając jej piersią. Teraz dopiero widać było, że ramiona ma niewiele węższe od wozu. Uśmiechnął się.

– Spędzisz jakiś czas w moim towarzystwie, przynajmniej do chwili, aż dziecko przyjdzie na świat, a ty poczujesz się lepiej. Powiedz więc, jak mam cię nazywać? Łaskawa damo? Madame? Wasza miłość? Szorstkie są moje maniery, lecz nie chcę, byś pomyślała, że całkiem brak mi ogłady.

– Możesz nazywać mnie Carlą.

Ta odpowiedź zaskoczyła ich oboje. Carla jednak nie zamierzała się wycofać.

– Dobry wybór. I mocne imię. Pasuje do ciebie.

– A jak należy się zwracać do króla złodziei?

Roześmiał się, aż burta wózka zawibrowała.

– Wystarczy Grymonde. A co do bycia królem... Oto cała moja armia: garstka mrówek pelzających przez dzikie ostępy pełne tygrysów.

– Wolę mrówki od skorpionów.

Wózek zatrzymał się gwałtownie i przechylił: jedno koło wpadło w sporą dziurę. Carla chwyciła się desek, Grymonde zaś tylko wzruszył ramionami, po czym uniósł pojazd i wyprawił w dalszą drogę z taką mocą, że Papin i Bigot omal nie stracili równowagi.

– Skorpiony, to wcale niezłe – podchwycił Grymonde. – Skorpion to symbol śmierci, a ci młodzieńcy żyją ze śmiercią za pan brat. Sypiają z nią, jadają z nią, noszą ją na grzbiecie, odkąd przyszli na świat.

– Jak my wszyscy.

– Istotnie. Jednakowoż większość ludzi tylko z rzadka słyszy jej szept, a do naszych uszu strzępi język niemal bez przerwy. Gdyby który z tych łajdaków zastanowił się nad tym choć przez chwilę, nie postawiłby ani łyżki miodu na to, że pożyje jeszcze ze trzy wiosny, i całkiem słusznie. Na szczęście nie zastanawiają się. Żyją chwilą, cieszą się smakiem miodu i zaznają większej swobody niż większość możnych tego kraju. Jeśli to jest królestwo, mogę nosić jego koronę.

Carla zrozumiała, jak bardzo chciał zrobić na niej wrażenie. I zrobił. Co więcej, była nawet poruszona. Mimo to odpowiedziała pytaniem:

– Królestwo zgwałconych kobiet i pomordowanych dzieci?

Spochmurniał i głębokie linie przecięły jego ogromne czoło. Zamknął oczy, by ukryć płomienie, które w nich rozbłysły. Odwrócił głowę, a Carla, choć nie widziała jego dłoni, wyczuła, że zaciskają się w pięści.

– Nie wiesz, jak to jest – powiedział. – Nie możesz wiedzieć.

– Dobrze poznałam, co to przerażenie – odrzekła.

Grymonde spojrzał na nią z powątpiewaniem. A potem zwątpił w swoje powątpiewanie.

– Przeważenie? Być może. A upokorzenie? Wstyd? Odrazę, którą czują wobec samego bicia twego serca?

– Tak, tak, po trzykroć tak. – Carla poczuła, że zapala się w niej gniew. – Poznałam to wszystko.

Grymonde zacisnął usta i przez krótką chwilę widziała cały ogrom bólu i niebywałą brutalność, które w nim drzemały.

– Nie urodziłaś się jako pies, którego można chłostać.

– Może i nie. Jednak stałam się nim. Jeżeli chcesz mojej litości, proszę, masz ją, naciesz się nią. Nie będę jednak znosić twojej pogardy. Nic o mnie nie wiesz. Nie wiesz nic ponad to, co widziałeś na własne oczy. Moja hańba należy tylko do mnie. Podobnie jak duma. Niech więc twoje skorpiony czynią to, co potrafią najlepiej. Jestem gotowa stanąć przed Stwórcą, podobnie jak moje dziecko. A ty?

Carla otoczyła brzuch rękoma. Spomiędzy tych samych ud wyszedł kiedyś jej pierworodny, Orlandu, a ledwie przecięto pępowinę, wrzeszczący i wierzgający został jej odebrany – nie mogła nawet spojrzeć na jego twarzyczkę. Miała wtedy szesnaście lat. Przez kolejnych dwanaście nie znalazła w sobie dość odwagi, by spróbować go odnaleźć. Uczynił to

w końcu Mattias: odnalazł Orlandu w morzu krwi i łez, za cenę życia Amparo, jedynej przyjaciółki Carli.

Spojrzała bez słowa w oczy Grymonde'a. Jego ramiona nie drżały już z wściekłości.

– Nie będziemy więcej o tym mówić.

Wątpiła w to; zbyt bolesny był to dla niego temat. I jakimś cudem rozumiała dlaczego.

– Zabierz mnie do chirurga. Na moim słowie możesz polegać, a przysięgam ci na życie mego dziecka, że czeka cię sowita nagroda. Dam ci ją, gdy tylko będę mogła.

– My, chłostane psy, mamy takie powiedzenie: gdy do rodzącej wzywa się chirurga, tylko jedno z nich wychodzi z izby żywe.

– Zyskałbyś też wdzięczność mego męża. Lojalność kogoś takiego jak on po prostu nie ma ceny.

– A gdzie jest ten twój lojalny mąż?

Nie zareagowała na ten przytyk, choć odczuła go mocno.

– Zatem zaprowadź mnie do akuszerki.

– Jeśli zechcesz, zostawię cię tu, na ulicy, razem z twoim materacem, poduszkami, instrumentem i hugenocką córeczką. Ba, dorzucę nawet udział w naszym łupie, żebyś mogła kupić sobie bezpieczeństwo w drodze. Udział większy niż to, co dostaną ci biedni łajdacy. Powiedz jedno słowo, a tak zrobimy. Zwrócę ci wolność.

Wiedziała, że mówił poważnie. Rozum podpowiadał, by skorzystać z oferty.

Lecz dziki koń nadal pędził na oślep.

– Ja już jestem wolna.

Spojrzeli sobie w oczy.

Wreszcie Grymonde uniósł otwarte dłonie ponad burtę wózka.

– Podaj mi rękę. Na tyle chyba mi ufasz?

Carla przysiadła na piętach. Nie wyczuwała w tym gościu ani krzty uwodzicielskiego czaru. Choć Grymonde wydawał się taki męski, nie dostrzegła w nim elementu pożądania – nie tylko wobec niej, ale wobec nikogo i niczego. Spędziła życie pośród mężczyzn – pośród wojowników – poznała ich z bliska i знаła tę emanację, te spojrzenia, choćby Bóg wie jak dobrze maskowane pobożnością, uprzejmością czy strachem przed potępieniem. Widziała twarze mężczyzn, którzy nigdy nie tknęli kobiety, ale obserwowali ją, wydając ostatnie tchnienie, i nawet wtedy pragnęli – nawet nie jej, ale wiedzy o tym, jak to jest. Znała i takich, którzy pragnęli wyłącznie innych mężczyzn. Ale Grymonde był inny; był jak bezwonna róża. Zdumiewał ją. Przerazał. A przecież trafił do jej serca, prosząc o zaufanie, czekając na

potwierdzenie. Jego słowa miały moc, ważyły prawie tyle ile jej brzuch. Zastanawiała się, czy jej dziecko wie o czymś, o czym sama nie wiedziała.

Lewą rękę wciąż przyciskała do brzucha, ale drugą podała Grymonde'owi. Ujął ją w obie dłonie. Były bardzo silne, ale jednocześnie miękkie, mięsiste. Pomyślała o rękach Mattiasa, równie mocnych, ale twardych jak końskie kopyta.

– Jestem królem gwałcicieli, morderców, kłamców i złodziei, tak, to prawda. Królem złych, ale nie najgorszych. Taki jest nasz świat i oboje o tym wiemy.

– Jako na górze, tako i na dole.

– Jako na górze, tako i na dole. Jest jednak pewna różnica. Tu, na dole, przy sprzyjających wiatrach można czasem usłyszeć prawdę. Oto i ona: gdyby nie twoje dziecko, w tej chwili muchy pelzałyby po twoich oczach, tak jak pelzają po oczach pozostałych, zapłacono mi za to bowiem niemałą sumę. Ja tymczasem prowadzę cię do kobiety, która przyjęła na ten świat więcej zdrowych dzieci niż którykolwiek z paryskich chirurgów.

– Mogę chociaż poznać jej imię?

– Alice. To moja matka.

Wózek skręcił w znacznie szerszą ulicę, Saint-Martin, o ile pamięć Carli nie zawodziła. Biegła ona na południe w stronę mostu i zaiste dziwnie było ujrzeć ją kompletnie wyludnioną. Grymonde uniósł rękę, by zatrzymać kolumnę, a potem minął wózek Carli i wyszedł na czoło. Usłyszała, jak półgłosem wydaje polecenia Bigotowi i Papinowi, którzy opuścili dyszle i podążyli za nim. Zaniepokojona zmieniła pozycję na materacu. Przyglądając się chwiejnemu krokowi Grymonde'a, jego rozkołysanym, potężnym ramionom uczeponym nieproporcjonalnie szerokich barków oraz olbrzymiej głowie, Carla zrozumiała, dlaczego mówiąc o nim, Estelle użyła słowa „Infant”. Od tyłu wyglądał jak gigantyczne dziecko, które dopiero niedawno nauczyło się chodzić.

Mniej więcej dwadzieścia kroków przed czołem pochodu rue Saint-Martin była zablokowana: w poprzek ulicy, na wysokości piersi dorosłego człowieka, rozwieszono łańcuch na żelaznych hakach wbitych w mury budynków. W połowie długości zapory stał wartownik wsparty na włóczni. Ramię miał obwiązane białą opaską, a na czapce przyczepiony biały krzyż. Otworzył szeroko usta, zobaczywszy nadchodzącego Grymonde'a. Uniósł broń na wysokość serca, ale widać było, że nie bardzo wie, jak się nią posługiwać. Daremnie próbował ukryć przerażenie. Grymonde wyciągnął przed siebie prawą rękę i wypowiedział słowa powitania, których Carla nie usłyszała i które najwyraźniej nie uspokoiły wartownika.

Bigot i Papin ruszyli w stronę haków, na których wisiał łańcuch. Wartownik zerknął na nich i wydawało mu się, że zrozumiał ich zamiary, ale nie umiał się przemóc: jak urzeczony wpatrywał się w monstrualną postać, która właśnie zaczęła podchodzić jeszcze bliżej. Nie ośmielił się jednak skierować grotu przeciwko niej, a na ucieczkę było już za późno. Grymonde skoczył naprzód i wymierzywszy mu potężny cios w żołądek, wyrwał włócznię z jego rąk i odrzucił na bok. Następnie popchnął zgiętego wpół mężczyznę ku ziemi i chwycił za łańcuch, który Bigot z Papinem zdążyli już odpiąć.

Antoinette uniosła głowę ponad burtę wozu, ale Carla otoczyła ją ramieniem i wtuliła jej twarz w miękki materiał spódnicy. Sama nie odwróciła jednak wzroku. Chciała obserwować każdy krok Grymonde'a.

On tymczasem owinał łańcuch wokół szyi wartownika i cofnął się o krok, ruchem ręki dając sygnał. Bigot i Papin najpierw poluzowali nieco łańcuch, a potem szarpnęli jego końce w przeciwnych kierunkach, jakby zabawiali się w przeciąganie liny. Żelazne ogniwa naprężyły się, zmuszając wartownika, by poderwał się z ziemi. Niemal jednocześnie jego tchawica pękła, on sam zaś tylko zatrzepotał ramionami i sflaczał po chwili – zawisł na łańcuchu jak świeżo wyprana koszula. Wydawało się, że dwaj młodzieńcy przyjęli jego bierność jako osobistą porażkę – pełni zapału, stękając i jęcząc, zdwoili wysiłki. Głowa wartownika opadła na ramię, a czapka sfrunęła na ziemię. Jego twarz przybrała jeszcze bardziej siny odcień, ale pozostał równie martwy, jak był chwilę wcześniej.

Carla nie czuła absolutnie nic. Nie mogła teraz dzielić się uczuciami.

Grymonde chwycił za łańcuch i skinął na swych towarzyszy, oni zaś posłusznie rzucili na ziemię oba końce. Odwiązawszy żelazną pętlę, pozwolił martwemu wartownikowi opaść na ziemię. Zabrał mu tylko czapkę i włócznię, po czym wrócił do kolumny wózków. Bigot i Papin chwycili trupa za kostki i pociągnęli za sobą.

– Zabierzcie mu ubranie, jeśli się nie zesrał – jest całkiem niezłej jakości – a ciało rzućcie tam, do tej kloaki. Gdy wróciacie, koniecznie zawieście łańcuch na hakach.

Grymonde położył włócznię na dwukółce i starannie zasłonił jej grot bagażami, by nie zranił pasażerek. Teraz zajął się czapką: długo przyglądał się jej wnętrzu, jakby szukał wszy. Nie znalazłszy ani jednej, spojrzał na Carlę.

– Żaden kat nie powiesiłby go zgrabniej.

– O, w takim razie z pewnością kamień spadł ci z serca.

Roześmiał się chrapliwie, ale tak szczerze, że i Carla musiała się uśmiechnąć.

– Kimże jest ten błędny rycerz, twój mąż? Jeśli nie jest wyjątkowo bogaty, musiał być nieprzeciętnie szlachetny, by zasłużyć na ciebie.

– Nie wiem, czy Mattias powiedziałby tak o sobie, ale prawdą jest, że naturalny instynkt i liczne zrządenia losu uczyniły go najszlachetniejszym człowiekiem, jakiego znam. Nawet jeśli goni za bogactwem, nie uważa pieniędzy za miarę człowieka – mężczyzny, kobiety ani dziecka. Widziałam, jak wszystko rzuca w ogień bez wahania i żalu, by służyć przyjacielowi. W głębi serca jest hazardzistą, a życie jest jego grą i stawką w niej zarazem. – Urwała, czując, że jej głos zaczyna drżeć.

– Jesteście tedy dobraną parą – rzekł Grymonde.

– Nie wiem, dlaczego nie wrócił na czas do domu. Nie wiem nawet, czy żyje.

– Ty byłaś owym przyjacielem, dla którego rzucił wszystko w ogień.

Carla przełknęła z trudem i skinęła głową.

– Przynajmniej w tej grze zgarnął całą pulę – dodał Grymonde.

Rozplakała się. Opuściła głowę i jedną ręką zasłoniła oczy. Próbowwała powstrzymać łzy, bo wydawały jej się dowodem słabości i nie miała dla nich miejsca akurat teraz, gdy musiała być silna. Mimo to płynęły. Tęsknota za Mattiasem była rozdzierająca. Już nie czuła jego bliskości. Nie czuła kontaktu z jego duchem. Była nieskończenie samotna.

I dobrze znała to uczucie; tak naprawdę nigdy do końca jej nie opuszczało. Zdominowało jej młodość i wczesny etap dorosłości. W młodości jedynymi towarzyszami byli dla niej muzyka, puste wybrzeża Malty oraz bezkresne morze. Później, na wygnaniu, pojawili się kolejno Amparo, znów muzyka, Mattias i wreszcie jej syn, Orlandu, którego utraciła tak dawno i pod pewnymi względami nigdy nie odzyskała – i który teraz znowu przepadł bez wieści. Dziecko, które nosiła w łonie, odgradził od niej ostatni skurcz, wrogi ruch jej własnego ciała. Wyczuwała parcie jego główki, skierowanej w dół, ku prześwitowi miednicy, rozciągającej jej kości aż do bólu, ale tak naprawdę nie czuła samego dziecka, a w każdym razie nie tak jak w ostatnich miesiącach ciąży. Dopiero teraz mogła docenić, jak cudowna i osobliwa zarazem była to bliskość i jak wiele dla niej znaczyła – dopiero teraz, gdy ją utraciła.

A przecież właśnie w samotności i w mądrości, która z niej wynikała, czuła swą największą siłę. W całkowitej samotności leżała jej prawdziwa wolność. Osuszyła oczy rąbkiem spódnicy i spojrzała na Grymonde'a. Miętosił czapkę w swych wielkich łapach, ale zachował spokój – i za to była mu wdzięczna. Uśmiechnęła się.

– Wysoka jest cena przywiązania. Nigdy nie umiałam dobrze jej płacić.

Nie rozumiał zbyt dobrze, co miała na myśli, ale i nie zapytał. Pochylił się nad wózkiem i włożył czapkę na głowę Antoinette. Była zdecydowanie za duża, ale ułożył ją

zręcznie w taki sposób, że nikt by tego nie zauważył. Uszyto ją z granatowej serży – wyglądała jak czapka artysty. Biały krzyż był tylko papierowym dodatkiem.

– Dziś ceną przywiązania jest śmierć – powiedział. – Ale tak być nie musi, jeśli zwiążesz swój los z moim. Nas nie wezmą za hugenotów, jesteśmy nędzarzami.

– Zatem dekret królewski to prawda?

– Milicja złożona z mieszczan gromadzi się na place de Grève. Szlachtę hugenocką już wycięto w pień. Zlecono to zadanie Szwajcarom, na dziedzińcu Luwru.

– Nie mogą przecież wymordować wszystkich hugenotów w Paryżu – stwierdziła Carla.

– Mogą spróbować.

– A ty?

– A dlaczego pytasz? Obchodzi cię los tej bandy hipokrytów? A może sądzisz po prostu, że powinien?

– Głupotą z mej strony byłoby prowadzić dysputy o moralności z rzeźnikiem kobiet i dzieci, głupotą jest też oczekiwanie, że to uczynię. Powiem więc tylko, że obchodzi mnie los ludzi, z którymi zetknęło mnie przeznaczenie.

– Zabijam dla zysku oraz po to, by bronić swego. Poprawiłem ci humor?

– Nieznacznie.

– Wybornie. A teraz w drogę. Mamy robotę do wykonania, a ty bodaj największą z nas wszystkich.

Skinął na czekających posłusznie towarzyszy, a potem stanął między dyszlami wózka, na którym siedziała Carla, i uniósł je bez wysiłku. Jechała teraz znacznie szybciej niż do tej pory. Czując kolejny skurcz, zacisnęła dłonie na deskach burt.

Zatrzymali się ponownie, dotarłszy do rue Saint-Denis, gdzie Grymonde zagadnął dwóch *sergents à verge* trzymających wartę. Pieniądze przeszły z rąk do rąk. Jeden ze strażników przyglądał się bacznie Carli, zwłaszcza jej długim włosom i drogiej sukni. Może powinna poprosić ich o pomoc? Nie, przecież byli przekupni, jaką pomoc mogli jej zaoferować? Odprowadzić ją do Luwru? Do najbliższego kościoła? Na dworze znała jedynie Christiana Picarta i Dominica le Telliera. Nie polubiła żadnego z nich, ale czuła, że nie odmówiliby jej wsparcia, gdyby tylko zdołała ich odnaleźć. Tak, z pewnością znalazłby się szlachcic gotów okazać jej miłosierdzie. Luwr był jednak sceną krwawej łaźni, a ona w każdej chwili mogła zacząć rodzić. Niestety, nie wiedziała nawet, gdzie szukać Orlandu, a tym bardziej kogoś biegłego w przyjmowaniu dzieci na świat. Czy Grymonde naprawdę

pozwoili by jej odejść, wiedząc, że była świadkiem jego zbrodni? Powróciło uczucie, którego Carla obawiała się najbardziej: panika.

Grymonde odłączył się wreszcie od *sergents* i wrócił do swoich, z marszu wydając pierwsze rozkazy. Papin i Bigot zdążyli już wrócić – ten drugi przyniósł ze sobą ubranie zwinięte w kłębek, który rzucił niedbale na jeden z wózków. Dwa pojazdy oddzieliły się od kolumny, a jeden ze strażników miejskich podążył za nimi. Carla wiedziała, że na ostatnim z nich spoczywają ciała tych, których zabił Altan Savas. Grymonde stanął przed nią.

– Carlo, bez najmniejszego trudu mogę odczytać twoje myśli. Przysięgnij na swoje dziecko, że nigdy nie zdradzisz mojego imienia ani tego – tu wykonał nieokreślony ruch na wysokości twarzy – ja zaś powiem strażnikowi Rody’emu, by zabrał cię, dokądkolwiek zechcesz. Z bagażami, rzecz jasna.

Możliwość wyboru tylko pogłębiła uczucie paniki. Carla żałowała, że w ogóle zaproponował jej to wyjście.

– Dlaczego?

– Dlaczego? – Grymonde cmoknął anielskimi ustami. – Powiedzmy, że król ma prawo do swoich kaprysów. – Zawahał się. – I być może dlatego, że od samego początku to – znowu wskazał na swoją twarz – nie wzbudziło w tobie odrazy.

– Co byś wybrał na moim miejscu?

– Wybrałbym to, co najlepsze dla dziecka: wizytę u mojej matki.

Dla Carli decyzja nie była tak łatwa. Poszukiwanie schronienia w złodziejskiej melinie, w dzielnicy, do której ponoć nawet Gwardia Królewska nigdy się nie zapuszczała, trąciło szaleństwem. Lecz jednocześnie, gdzieś pod warstwą narastającej paniki, Carla wciąż ufała temu człowiekowi, groteskowemu Infantowi Kukanii. Tak naprawdę bała się, że wybierze nieznaną, wyrzekając się zaufania, w które tak wiele zainwestowała.

– Nie wiem, rzecz jasna, jakich masz sprzymierzeńców – dodał Grymonde – i jak bliscy są twojemu sercu, ale kimkolwiek są, a mówię tu zwłaszcza o tych z pałacu, mimo wszystko zastanowiłbym się dwa razy.

– Co masz na myśli?

– Ten, kto mnie wynajął, żeby cię zabił, dobrze wiedział, gdzie cię szukać.

Poza kapitanem le Tellierem i Małym Christianem miejsce jej zakwaterowania znało zapewne kilkanaście innych osób w Luwrze; tych, którzy bez trudu mogli je poznać, było jeszcze więcej.

– Ktoś z Luwru – szepnęła.

– Tego ranka wymordowano w pałacu dwie setki ludzi, uprzednio zapewniwszy im nocleg w jedwabnej pościeli oraz śniadanie z królową. Wiem, co mówię, gdy cię ostrzegam.

– Nie przeczę. Zbyt wiele zaprzętało mój umysł, bym mogła wcześniej o tym pomyśleć. – Poczowała, że zbliża się kolejny skurcz, ale czy mogła powstrzymać go siłą woli? – Kto cię wynajął? – Przycisnęła dłonie do twardego brzucha.

– Złoczyńcy z wyższych sfer zawsze działają przez pośredników, czasem nawet przez kilku, aby nikt nie mógł zarzucić im współudziału. Znam człowieka, który mnie zatrudnił, i mogę przysiąc, że on sam nie ma nic przeciwko tobie, ale zupełnie nie wiem, kto zatrudnił jego.

Chciała dowiedzieć się więcej, ale ból był niepowstrzymany.

Poddała mu się.

– Zabierz mnie ze sobą.

Droga wiodła przez istny labirynt zaułków, w których wózki ledwie się mieściły. Choć Carla bardzo się starała, nie była w stanie zapamiętać trasy.

Wkroczyli do królestwa Podwórzy.

Niewykluczone, że była pierwszą osobą wysokiego stanu, która odważyła się to uczynić.

Była to kraina ciesząca się złą sławą, oddzielona od reszty świata ścianą nawarstwiających się mitów: o występku i przemocy, o martwych i zdziczałych dzieciach, o wyuzdaniu nieznającym granic, o ludziach, których zabito dla jednego piórka u kapelusza. Zamożni paryżanie lubili powtarzać opowieści o tych mrocznych kwartałach, jakby sama wiedza o nich jakimś cudem umacniała ich prestiż – choć przecież żaden z nich nigdy nie przekroczył granic tej dzielnicy.

Jak powiedziała kiedyś Symonne: „Mamy tu najpodlejszych żebraków chrześcijańskiego świata”.

Domy stawiano tu bez krzty logiki, kierując się jedną jedyną myślą: stworzyć jeszcze skrawek zamkniętej przestrzeni chroniącej przed deszczem. Każde kolejne piętro wyglądało na nowsze od poprzedniego, choć wszystkie były podobnie zaniedbane i można było odnieść wrażenie, że budynki nie legły jeszcze w gruzach tylko dlatego, że opierają się o mury sąsiadów. Niektóre z domów były wręcz lepiankami z gliny i błota, w których wstyd byłoby trzymać nawet kozy. Całość zwyczajnie cuchnęła – i nic dziwnego, bo ciasno tu było jak w ulu.

Bigot i Papin znowu ciągnęli wózek, Grymonde prowadził zaś pochód, rozpędzając na boki gromady ciekawskich dzieciaków. Droga wiodła pod górę. Tu i ówdzie w głębi

bocznych uliczek widać było przestronniejsze dziedzińce; z niektórych wychodzili mężczyźni, by wzięwszy się pod boki, spojrzeć na kawalkadę dwukółek. Popatrywali łakomie na łupy oraz z niedowierzaniem na Carlę, która spostrzegła właśnie, że Grymonde rozluźnił ramiona, jakby spodziewał się kłopotów. Pozdrowiał niektórych gapiów oszczędnym ruchem głowy, dwóch najgroźniej wyglądających wywołał po imieniu, a oni odpowiedzieli bez zbytnej serdeczności. Nikt jednak nie próbował zatrzymać kolumny.

Wreszcie zaczęli schodzić ze wzgórza.

W miejskim labiryncie, który równie dobrze mógł być sercem dzielnicy, jak jej skrajem, skręcili w podwórze i tam w końcu się zatrzymali.

– Witaj w Kukanii – rzekł Grymonde.

Dziedziniec, na którym stanęli, różnił się od pozostałych jedynie tym, że w jego daleki kąt wciśnięto dziwny budynek. Te, które otaczały plac, miały po cztery piętra – ten jeden liczył ich aż siedem... w pewnym sensie. Górne trzy, jeśli można użyć tego słowa, były nowsze od pozostałych o kilkaset lat, ale i niedokończone. Ściany i ościeżnice pobudowano z przypadkowych kawałków drewna, pochodzących z rozmaitych źródeł. Okna, z których żadne nie miało szyb, były losowo rozrzuconymi czworokątami o dość ekscentrycznych kształtach i proporcjach. Całość owej nadbudówki zwisała nad podwórzem pod dziwnym, mocno niepokojącym kątem, podtrzymywana grubą liną, którą zakotwiczono w nieznanym miejscu, oraz podparta belką wyciętą bez wątplenia z okrętowego masztu, a osadzoną w dachu przeciwnego budynku. Wyglądało to wszystko tak, jakby miało się zawalić od najbliższego podmuchu letniego wiatru. Gdyby nie okoliczności, Carla roześmiałaby się na ten widok.

– Nasza wieża wymaga nieco poprawek – przyznał Grymonde, choć w jego głosie pobrzmiewała duma. – Ale nie lękaj się, nie umieścimy cię na samej górze – dodał, otwierając burtę wózka. – Pozwól, że ci pomogę.

– Dziękuję. Czułam się jak skazaniec w drodze na szubienicę.

– Może następnym razem pójdiesz o własnych siłach?

– Prawdę mówiąc, wolałabym.

– Dlaczego nic nie powiedziałaś?

– Może dlatego, że właśnie zamordowałeś czworo dorosłych i troje dzieci. Byłam twoim jeńcem.

– Co nie przeszkodziło ci drwić ze mnie, gdy tylko miałaś ochotę.

Wielkie dłonie chwyciły ją pod pachy i przeniosły na ziemię.

Na krótką chwilę zetknęli się brzuchami; ich twarze także znalazły się blisko. Znowu poczuła jego dziwny zapach. Przytłaczał ją swą brzydota. Rozluźniwszy uścisk, odstąpił o krok.

– Dobrze, że pomyślałeś o materacu. Byłeś... – Urwała, bo to, co zamierzała powiedzieć, wydawało się absurdem, choć przecież było prawdą. – Byłeś dla mnie bardzo dobry.

Grymonde mruknął lekceważąco.

– Drobiazg. A teraz wybaczone, ale nie chcę, żeby widziano, jak drocę się z kobietą.

Mieszkańcy domów otoczyli wózki z łupami w wielkim podnieceniu. Byli wychudzeni i brudni, a także obdarci i wytatuowani – większość stała boso w ulicznym pyłku – ale jednocześnie przejawiali niezwykłą witalność, która udzieliła się nawet Carli. Nie tylko niezliczone dzieci, ale i dorośli przyglądali się jej tak, jakby była egzotycznym zwierzęciem. W spojrzeniach kobiet nie było zbyt wiele sympatii. Grymonde na szczęście stał przy niej, więc czuła się bezpieczna. Przeciągnęła się ostrożnie, a wtedy, choć zabolęła ją uda, rwanie w krzyżu nieco złagodniało. Ludzie dyskutowali półgłosem, lecz nikt nie odważył się tknąć zdobyczy, choć wszyscy mieli na to ochotę. Carla zacisnęła palce na drobnej dłoni Antoinette.

Grymonde uniósł ręce.

– Wiwatujcie, to wielki dzień dla ludu Kukanii.

Odpowiedziały mu gromkie okrzyki radości. Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Mamy wędliny i wina, cydr i cytry, a także cukier i mnóstwo jedwabiu, a wszystko do wzięcia już dziś, bo jutra może nie być.

– Jutra może nie być! – wykrzyknęła jakaś kobieta.

Pozostali podchwycili hasło.

– Jutra może nie być!

Grymonde spojrzał na Carlę tak, jakby chciał spytać: teraz już rozumiesz?

Była dziwnie poruszona, po części radością tych ludzi, a po części tym, że jej uczucia coś dla niego znaczyły. Skinęła głową.

– Jak małej na imię?

– Antoinette.

Grymonde znowu zwrócił się do zebranych:

– Najpierw jednak powitajcie nasze nowe siostry. Oto Carla, dama z południa, ale niech to was nie onieśmiela, dla niej nadęte ceremoniały i duma nic nie znaczą. A to

Antoinette, kolejna sierota, którą możemy przyjąć pod nasz dach. Jak powiedział sam Jezus: „Pozwólcie dzieciom przychodzić do mnie”⁵.

Carla nie była pewna, czy to nie okrutny żart, ale gdy spojrzała w oczy Grymonde’a, przekonała się, że nie. On naprawdę potrafił stworzyć doskonałą harmonię między występkiem a cnotą.

Klasnął w dłonie i spoważniał nagle.

– Niektórzy z naszych braci nie powrócą. Zęby młodych lwów połamały się w boju ze srogim przeciwnikiem. Będziemy oplakiwać ich dusze aż do rana, niech uczta będzie naszym nabożeństwem żalobnym. Niech nasz śmiech i pełne brzuchy będą dla nich godnym pożegnaniem. Uczcimy też pamięć naszego martwego przeciwnika, bo zaprawdę powiadam wam, że nawet Salomon w całej swej chwale nigdy nie spotkał podobnie dzikiej bestii. Usłyszcie więc jego imię, bo wiem, że może stać się legendą. Carlo?

Zaskoczył ją. Nie spodziewała się, że każe jej zabrać głos.

– Mów. To twego obrońcę pragniemy uhonorować.

– Altan Savas. – Coś ścisnęło ją za gardło. Grymonde miał rację. Altan zginął za nią.

– Nazywał się Altan Savas – przemówiła głośniej. – A imię to oznacza: Czerwony Świt.

– Słyszycie? – Grymonde uśmiechnął się do swoich. – Któż inny, jeśli nie Fortuna, mógł nam zesłać takiego przeciwnika, by poddać nas próbie? Altan Savas. Czerwony Świt. Bóg mi świadkiem, że był to świt pełen krwi.

– To Grymonde go ubił, własnymi rękami! – wrzasnął Bigot.

– A stali po kolana we krwi! – dorzucił Papin.

Grymonde dotknął piersi wielkim paluchem.

– Gdybym ja sam, stary łajdak, stanął przeciw niemu, niechybnie urwałby mi łeb z płucami – odpowiedział, salutując swym towarzyszom. – Altan Savas był bowiem nie tylko niezrównanym wojownikiem, ale także, jak się zaraz przekonacie, miał diabła po swojej stronie. Na jego skórze wypisano tajemne sentencje i magiczne zaklęcia.

Grymonde skinął na Bigota, a ten sięgnął do wózka i wyjął dwa świeże jeszcze i dość szerokie pasy skóry. Z jednej strony pokryte były ciemną czerwienią zakrzepłej krwi i strzępami mięśni. Z drugiej widniały arabskie inskrypcje i janczarskie tatuaże. Mattias nosił podobne na skórze ramion i ud.

Tłum zaszemrał z podziwem; niektórzy przeżegnali się lękliwie.

⁵ Mk 10,14.

Carla odwróciła się z obrzydzeniem. Gdy spojrzała na Grymonde'a, uniknęła jej wzroku, zapatrzony w publiczność.

– Z opowieściami o bohaterskich czynach wstrzymajmy się jednak, aż zapełnią się stoły. Przywieźliśmy smakołyków co niemiara, mamy nawet prosiaka! Najpierw jednak praca. Rozładujcie wozy, bierzcie, czego wam trzeba. Ten jednak zostawcie w spokoju.

Grymonde wskazał na bagaże Carli.

Wciąż pełna odrazy, pokręciła głową.

– Nie. Niech biorą, co zechcą. Tylko moja viola da gamba jest dla mnie cenna.

– Dobrze powiedziane – mruknął Grymonde. Jego oczy wciąż jeszcze płonęły podnieceniem po niedawnej przemowie; Carla znowu miała wątpliwości, czy nie jest szaleńcem. – W którym pudle ta viola?

– W największym.

Wyjął futerał z instrumentem i podniósł wysoko nad głowę.

– Carla pragnie, byście uwolnili ją od bogactwa. Widać i ona nie wierzy w „moje” i „twoje”.

– Mogę zatrzymać flet? – spytała cicho Antoinette.

– Weź go, zanim ktoś go znajdzie – odpowiedział Grymonde. – Ale jeśli tak się stanie, spróbuj nie płakać.

Złodziejski triumf dobiegał końca, a Carla wiedziała, że za chwilę spotka się z akuszerką. Nie chciała zjawić się u niej brudna i z pustymi rękami. Chciała ofiarować jej coś w dowód szacunku.

– Grymonde, pozwól mi zajrzeć do tego kufra.

Grymonde odepchnął kilku mieszkańców Kukanii, którzy już penetrowali bagaże. Carla podeszła bliżej, pochyliła się nad kufrem i właśnie wtedy sparaliżował ją kolejny skurcz.

Poczuła na udach nowy strumień płynu. Nikt nawet nie zauważył jej bólu; łupy wydawały się znacznie ciekawsze. Skurcz nie ustępował; nie panowała nad nim i czuła, że zawładnął całym jej ciałem. Lecz jednocześnie ból coś w niej odblokował i poczuła, że ogarnia ją – równie obezwładniające – uczucie miłości. Z miłością pomyślała o dziecku, mając nadzieję, że tylko ona czuje ból. Gdy skurcz nareszcie minął, była bliska omdlenia i z trudem chwyciła oddech. Potrzebowała chwili, by zebrać siły. Była w szoku: poród ledwie się zaczynał, a jej już brakowało energii. Sądziła, że jest lepiej przygotowana; przecież przechodziła przez to już dwa razy. Ciało jednak dawało jej sygnał: tym razem nie będzie tak

łatwo. Była starsza. Była słabsza. Tym bardziej warto skupić się na porodzie i na niczym więcej, pomyślała.

Wyprostowała się.

– Hugonie – odezwał się Grymonde. – Poniesiesz rzeczy Carli.

Chudy chłopak o delikatnych rysach, który nie brał udziału w wyprawie, podbiegł do damy z południa. Był półnagi, jak większość jego rówieśników. Pod skórą barwy macicy perłowej widać było wyraźnie wszystkie mięśnie. Na piersi nosił dwie blizny po cięciach nożem. Możliwe, że określenie „delikatne rysy” nie było do końca sprawiedliwe. Carla użyła go w duchu, by nie powiedzieć sobie wprost, że chłopak jest piękny.

Hugon skłonił się, spoglądając w jej oczy. Odpowiedziała tym samym. Odebrawszy wiołę i kufer z rąk Grymonde’a, popatrzył na nią raz jeszcze, ale nie umiała powiedzieć, jaki był wyraz jego twarzy. O ile w innych mieszkańcach Kukanii wyczuwała jedynie zaniepokojenie, o tyle Hugon zdawał się spoglądać na nią błagalnie, jakby znalazł się tu przypadkiem i w niej właśnie – wbrew rozsądkowi – dostrzegł swoją szansę na ocalenie.

Grymonde podał jej ramię.

– Chodźmy, pokażę ci mój dom. W całym Ville nie znajdziesz spokojniejszej przystani.

Carla położyła dłoń na jego przedramieniu, ale nie oparła się zbyt mocno. Poczowała, że wracają jej siły. Już kilka tygodni wcześniej porzuciła mrzonki o chodzeniu z gracją w tak zaawansowanej ciąży, jednak teraz, idąc u jego boku, starała się trzymać podbródek wysoko.

Hugon ruszył za nimi.

Drzwi były otwarte i ku swemu zaskoczeniu Carla poczuła bijący ze środka słodkawy zapach. Przypominał jej ten, który zapamiętała z wielkiej sali Świętej Infirmierii na Malcie – palonego w kadzielnicach wonnego drewna. Grymonde wszedł na pierwszy stopień i w tym momencie przypomniał sobie o manierach: odwrócił się, cofnął i zaprosił Carłę do środka szerokim gestem.

Zatrzymała się na moment, by spojrzeć przez ramię na Antoinette. Dziewczynka właśnie walczyła o swój flet z chłopcem niemal dwa razy większym od niej.

– Antoinette, oddaj mu – zawołała Carla.

Dziewczynka spróbowała wymierzyć chłopakowi ostatniego kopniaka, ale chybiła. W końcu wypuściła flet z rąk, krzyknęła coś pod adresem rabusia i pobiegła do Carli, z wściekłości bliska łez. Na widok Grymonde’a bez słowa zacisnęła usta. Carla położyła dłoń na jej ramieniu.

– Kupię ci inny. Co mu powiedziałaś?

- Że później go odzyskam.
- Byłaś bardzo dzielna.
- Maman powtarzała nam, że zawsze trzeba być gotowym na spotkanie z Bogiem.
- I miała rację, trzeba, ale nie za cenę fletu.
- Pozwól jej zostać na podwórku – wtrącił Grymonde. – Żadna krzywda jej tu nie spotka, a jeśli będzie musiała, zawsze może zapukać do tych drzwi.

Carla poprawiła czapkę na głowie Antoinette.

- Jak wolisz?

Antoinette spojrzała przez ramię na radosny tłum wokół wózków z łupami.

- Jeśli mogę, zostanę tu jeszcze trochę.
- Dobrze, ale pamiętaj: możesz do mnie przyjść, kiedy tylko zechcesz.

Antoinette ruszyła na poszukiwanie swego instrumentu, a Carla, spoglądając za nią, wypatrzyła w cieniu u wylotu zaułka, który prowadził na podwórze, chudą, niewysoką postać o nastroszonych włosach.

To była Estelle, szczerze dziewczę, które wpadło przez komin do jej pokoju.

Naga, samotna i wynędzniała, patrzyła wprost na Carlę, która po raz pierwszy odkąd przybyła do Kukanii, poczuła zimny strach.

- Spójrz, to chyba Estelle.

Grymonde odwrócił się.

- Wiedziałem, że tu trafi.

Spośród wszystkich potworności tego poranka nic nie dotknęło Carli bardziej niż upokorzenie i wygnanie Estelle. Nie wiedziała nawet dlaczego, ale tak właśnie było.

- Wykorzystałaś ją w okrutny sposób – powiedziała.

– W gorączce chwili. Trzeba było dać innym przykład. I o ile sobie przypominam, zostałem do tego sprowokowany.

Carla była zbyt rozdrażniona uśmiechem, który pojawił się na jego ustach, by sprzeczać się o ten detal.

– Tak czy owak, nie chciałem, żeby patrzyła na to, co... – Wzruszył ramionami. – Na to, co musieliśmy zrobić.

- Zdumiewające, że masz takie skrupuły.

Carla znowu spojrzała na tyły podwórza, ale Estelle zdążyła już zniknąć.

- Zawołaj ją – powiedziała.
- W ogóle nie powinna była z nami iść. Joco ją zabrał.
- Poślij kogoś za nią.

– Wróci, gdy poczuje pieczoną wieprzowinę. Wie, że ją kocham.

– Chyba jednak nie.

– Potrafi być niebezpieczną małą lisicą, gdy tego chce. A za tobą raczej nie przepada, widziałem, jak na ciebie patrzyła.

– Nie proszę o to dla własnego dobra. To dziecko woli towarzystwo szczurów, ceni je bardziej niż ludzi. Oto, ile wie o twojej domniemanej miłości.

Grymonde najeżył się, ale nie mógł zaprzeczyć.

– Nie ma tu nikogo, kto zdołałby złapać La Rossę, chyba że zechce zostać złapana.

Instynkt kazał Carli naciskać.

– W głębi serca właśnie tego chce.

– Papin! – ryknął tak głośno, że Carla skuliła się odruchowo, a Papin omal nie spadł z wózka. – La Rossa czai się w zaułku. Wyślij kogoś, żeby ją sprowadził.

– Estelle? – zdziwił się Papin. – A po co?

– Niech jej powie, że jej wybaczymy! I że ją kochamy!

– A to prawda?

– Wyślij kogoś, kogo nie będzie miała ochoty pchnąć nożem, jeśli znajdziesz takiego.

Grymonde odwrócił się ku Carli i skłonił, nie bez drwiny.

– Dziękuję – powiedziała.

– Sługa uniżony.

Z wnętrza domu dobiegł skrzeczący kobiecy głos:

– Właż no tu i dawaj całusa, diable wcielony!

Carla zajrzała za próg, ale w półmroku dostrzegła jedynie sterty rupieci.

Za jej plecami rozległy się głośne wiwaty: mieszkańcy Kukanii znaleźli na wózku baryłkę wina.

– Do kroćset, co tam znowu knujesz? Oprócz samego zła, ma się rozumieć? – Głos dobiegający z wnętrza domu był pospolity, zgrzytliwy i bardzo donośny.

– Chciałabyś wiedzieć, co, mamó? – odpowiedział Grymonde w podobnym tonie.

– Jeśli zmusisz swoją biedną starą, żeby sama do ciebie wyszła, synowski pocałunek będziesz mógł złożyć wyłącznie na jej dupie!

Grymonde uśmiechnął się z dumą.

– A kogo tam znowu sprowadziłeś? Czy i ona nie ma za grosz manier?

Carla odetchnęła głęboko, wygładziła poplamioną suknię i przygotowała się na najgorsze.

– A teraz, jeśli pozwolisz – rzekł Grymonde – przedstawię ci moją matkę.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Na szczycie

Najbliższy kościół był bardzo stary i bardzo zaniedbany. Tannhäuser miał go już wcześniej, w drodze z place de Grève. W głębi widać było także wieżę klasztoru Sainte-Croix, ale nie był w nastroju do przebijania się przez całą hierarchię mnichów.

Świątynia była niewielka i prosta, wzniesiona na planie prostokąta, bez transeptu i bocznych kaplic. Nie było w niej nikogo prócz dwu starych kobiet pogrążonych w modlitwie. Dwie zmurszałe drewniane barierki odgradzały narteks od rzędu ławek. Po lewej stała kamienna chrzcielnica, na której widok zrobiło mu się niedobrze. Drugim wyjściem z kościoła były niepozorne drzwi w południowej ścianie, tuż przed podwyższeniem prezbiterium, gdzie płonęła czerwona lampka zawieszona na łańcuchu. Były uchylone. Tannhäuser otworzył je i idąc korytarzem, minął zakrystię, by stanąć przed kolejnymi, również niedomkniętymi drzwiami do niewielkiego budynku. Tu, w pierwszej izbie, zastał księdza konsumującego śniadanie w postaci wina.

Kapłan miał na nosie szklę, a na stole przed nim leżały arkusze papieru, pióra oraz inkaust. Mniej więcej czterdziestoletni, o włosach mógł już tylko snuć ciepłe wspomnienia, lecz najwyraźniej nie czynił tego, spoglądał bowiem przed siebie zdecydowanie ponurym wzrokiem. Był wysoki i chudy, jakby życie nie ofiarowało mu wiele – prócz wina. Nawet nie zauważył, że przestał być sam.

– Mattias Tannhäuser, Kawaler Łaski Magistralnej Zakonu Świętego Jana Chrzciela.

Słowa te tak przeraziły klechę, że większość wina z kielicha wylał na swą sutannę, gdy poderwał się nagle, odruchowo przyciskając dłoń do piersi.

– Wybacz mi to najście, ojcze – ciągnął Tannhäuser – ale jeśli jesteś tu proboszczem, muszę cię prosić o pilną pomoc w świętej posłudze.

Na ścianie za plecami księdza wisiał portret mężczyzny w czerwonym nakryciu głowy i kardynalskich szatach, siedzącego na złotym tronie; obok niego stał ministrant. Mimo wysiłków artysty malarza hierarcha przypominał z twarzy starzejącą się burdelmame z nadrzecznego przybytku. Choć nie było nic zdrożnego w żadnym detalu portretu, sam układ postaci zdawał się sugerować, że kardynał trzyma rękę na tyłku chłopca, mina ministranta zaś potwierdzała słuszność tej interpretacji. Spojrzawszy znowu na księdza, Tannhäuser dostrzegł

zaskakujące podobieństwo, jakby miał przed sobą jedną osobę przedstawioną w trzech etapach życia.

Kapłan zdjął okulary i w milczeniu przyjrzał się plamom świeżej krwi na krzyżu maltańskim na piersi Tannhäusera. Gdy doszedł do wniosku, że stojący przed nim brutal raczej nie przyszedł tu, by dopuścić się kolejnej zbrodni, otarł wino z podbródka i skłonił się oszczędnie.

– Dzień dobry, kawalerze. Ojciec Philippe la Fosse.

Tannhäuser przyglądał mu się przez chwilę, daremnie próbując zebrać myśli.

– Czym mogę ci służyć? – spytał la Fosse. – Kawalerze?

– Moja żona została zamordowana.

– Żona? To potworne...

– Jej ciało spoczywa niedaleko od tej świątyni, możliwe nawet, że bywała tu ostatnio na mszy. Kto wie, czy nie rozmawiała z księdzem o chrzcie. Była w późnej ciąży.

Ksiądz zmarszczył czoło w dobrze wyćwiczonym wyrazie głębokiego współczucia.

– Niestety, nie przypominam sobie takiej osoby. To zaś nie jest kościół parafialny, toteż wątpię, by twoja małżonka go odwiedzała. Sainte-Cécile jest kaplicą należącą do klasztoru Sainte-Croix, choć prawdą jest, że otwiera swe podwoje dla wiernych w niedziele i święta.

– Nie przeczę, jednak byłbym ci wdzięczny, ojcze, gdybyś sprowadził służących: trzeba natychmiast przenieść tu jej ciało. Potrzebna też będzie kobieta o silnym żołądku, która ją umyje. Do tego solidna trumna, ołowiem wyłożona. Zabieram żonę do domu, a to daleko stąd. Poza tym: przystojny całun, stosowne sakramenty, requiem i tak dalej. Jej dusza się uraduje, jeśli spocznie w tych świętych murach, a ciało nie dozna dalszego zbezczeszczenia. Mówię o szczurach. I ja będę pocieszony.

Palce złożonych dłoni la Fosse'a zafalowały nerwowo. Jego współczucie wyglądało na szczere, nie miało jednak dostatecznej mocy, by skłonić go do zajęć, których nie planował. Uśmiechnął się więc ciepło, ale i z żalem.

– To tylko skromny, zapomniany kościółek, a w Paryżu nie brakuje wspaniałych świątyń...

– O ile wiem, wspaniałość nie robiła na Chrystusie większego wrażenia. Ani na Carli.

– Jeśli chodzi o trumnę z ołowiem...

– To bogata parafia w bogatym mieście. Dziesiątki takich trumien można mieć na jedno skinienie. Bogaci sądzą ponoć, że w takiej łatwiej trafić do raju. Mnie zaś chodzi tylko

o to, bym nie czuł, jak gnije jej ciało. – Tannhäuser rzucił na stół uncję hiszpańskiego złota. – Za to mógłbym kupić trumnę wyściełaną srebrem. – Dorzucił jeszcze podwójnego pistola. – A to do skrzynki dla biednych.

Trudności zniknęły równie szybko jak złoto.

– Osobiście wszystkiego dopilnuję. Za skromny datek klasztor przyśle cudnych chłopców, którzy na sześć głosów wyśpiewają piękne requiem. Łamią nawet serca z kamienia.

Serce Tannhäusera było wystarczająco złamane.

– Człek uczciwy oplakuje bez świadków.

– Jak sobie życzysz.

Dopiero teraz Mattias pomyślał o miłości Carli do muzyki.

– Chociaż.. może i pieśń byłaby na miejscu. O detalach pomyślę, gdy wrócę.

– Gdzie moi słudzy znajdują twą kochaną żonę, dobry panie?

– W sypialni na pierwszym piętrze domu d'Aubrayów.

La Fosse jakby poczerwieniał i oparł się jedną ręką o blat stołu.

– Twoja żona była gościem madame d'Aubray? – Widać było, że się zastanawia nad czymś bardzo intensywnie, ale Tannhäuser nie miał pojęcia nad czym – w końcu duchowni byli z natury skryci. Po chwili La Fosse odzyskał spokój. – Wolno spytać, dlaczego twoja małżonka tam trafiła?

– Zaproszono ją na królewskie wesele, miała wystąpić dla królowej matki. Zatrzymała się u madame d'Aubray, która także była zaproszona.

– To istna tragedia. Tragedia. Proszę, panie, przyjmij moje najszczerze kondolencje.

– Ciało Carli, okryte płótnem, spoczywa w sypialni na pierwszym piętrze. Twoi słudzy znajdują tam i inne ciała, lecz ich los jest mi obojętny. Tobie zapewne też, jeśli serce nie nakaze ci zająć się nimi.

– Inne?

– Zwłoki madame d'Aubray wywieszono z okna. Jej dzieci i służący leżą w środku. Jest tam także człowiek, który bronił Carli, ale sam się nim zajmę.

Słuchając tych ponurych detali, La Fosse przycisnął dłoń do czoła.

– Słuchasz mnie, ojczy?

– Tak. Wybacz, panie, ale znałem Symonne d'Aubray. To ohydne. Taka wspaniała kobieta... I jej dzieci także...? Boże miłosierny. Kiedy to się stało?

– Powiedziałbym, że dwie godziny temu, gdy ważne sprawy zatrzymały mnie w Luwrze.

– W Luwrze? – Tannhäuser wyraźnie zyskał w jego oczach. – Chodzi o spisek protestantów? O próbę zamachu na króla?

– Nie było ani spisku, ani takowej próby.

– W przeszłości nieraz usiłowali...

– Tej nocy to my spiskowaliśmy przeciwko nim.

Spojrzenie księdza ponownie omiotło ciemne plamy na piersi Tannhäusera. Uśmiechnął się obłudnie, ale zaraz przybrał grymas fałszywego żalu.

– Jakąż straszną stratę poniosłeś, panie, w służbie Bogu i Koronie...

Tannhäuser zacisnął zęby. Miał ochotę przesyć klechę sztyletem.

– Nie służę ani Bogu, ani Koronie. Nie służę nikomu.

– Rozumiem. – La Fosse zapatrzył się w swoje kciuki.

– Nie służę nawet żadnej sprawie.

Tannhäuser sięgnął ręką do twarzy i zasłonił ją, ściskając palcami skronie. Czuł na piersi straszny ciężar. Ledwie pamiętał, po co właściwie tu przyszedł, po co w ogóle rozmawia z tym lizusem w czerni. Przepępiała go wściekłość, lecz była ona jedynie cieniutką skórą przyoblekającą emocje znacznie potężniejsze i bardziej bolesne, nad którymi jeszcze słabiej potrafił panować. Jego umysł był w stanie wojny – choć może niezupełnie, i wojna bowiem ma choćby pozory struktury i jasno określony cel albo przynajmniej skutki, których można się obawiać lub ich pożądać. Jego umysł nie miał niczego takiego. Tannhäuser nie wiedział nawet, dokąd poniosą go nogi, ba, nie wiedział, dokąd powinien się udać. Myśli tłoczyły się na skraju pustki wypełniającej jego wnętrze, a panował nad nimi tylko dlatego, że każda z nich, gdyby doszła do głosu, mogłaby do reszty odebrać mu siły.

– Czy nienarodzony skończy w Otchłani? – Tannhäuser wypluł to pytanie, zanim jeszcze uświadomił sobie, że chce je zadać. – Nasze dziecko miało wszak duszę. Nie może być przecie tak, że początkiem duszy jest podróż z matczynego łona na świat. To podróż długa i niebezpieczna, tylko dusza może mieć dość odwagi, by ją podjąć. – Opuścił rękę i zacisnął pięści na wysokości ud. Teraz dopiero spojrział na la Fosse'a. – Wiem, że Kościół nie ma wiele litości dla dzieci, które umierają nieochrzczone. Z tej to przyczyny sam ochrzciłem nasze pierwsze. Jeśli jednak drugie zostało zabite, zanim przyszło na świat, musi być wolne od grzechu narodzenia, który, tu akurat zgodzę się z nauką Kościoła, jest największą z naszych zbrodni. Jeśli więc nasze dziecko było wolne od grzechu pierworodnego, czy powinno trafić do piekła? – Mówiąc to, czuł nieodparte pragnienie, by pochwycić la Fosse'a za gardło i popatrzeć, jak sinieje. – Zesłałbyś taką duszę do piekła? – spytał.

– O nie. Nigdy. Oczywiście, że nie. Proszę cię, kawalerze, nie czyn mi krzywdy.

– Poświęciłbym życie każdej żywej istoty w tym mieście, by wyrwać Carlę z objęć śmierci albo przynajmniej zdążyć na czas i zginąć w jej obronie. Choć zapewne przekłębą mnie za to, a nawet za samą myśl o tym. Mimo to chwyciłbym za topór i dokonał tego za jeden jej uśmiech.

La Fosse cofnął się odruchowo, słuchając tych mrocznych wynurzeń.

Tannhäuser w końcu się opanował.

– Wybacz mi, ojcze. I dziękuję, że zechciałeś zająć się moją żoną. *Adieu*. – Odwrócił się, lecz uznał jeszcze, że wypada podać powód. – Wrócę później. Muszę odebrać moją broń.

– Zaczekaj, bracie Mattiasie.

Tannhäuser poczuł na ramieniu dłoń la Fosse'a. Spojrzał na niego pytająco. Wizja rychłego pożegnania najwyraźniej dodała kapłanowi odwagi; nie wyglądał już na przerażonego.

– Pozwól, że wysłucham twojej spowiedzi. Zrzuc brzemię, które ci ciąży. A potem przyjmij komunię świętą. Niech ciało Chrystusa uleczy twoje rany.

– Ojcze, nie minął jeszcze dzień, odkąd przyjechałem do tego miasta. W tym czasie zabiłem sześciu ludzi, których, po prawdzie, wcale zabić nie musiałem. Zasugerowałem też królewskiemu pierwszemu doradcy, wspomagając się żelazną i subtelną zarazem logiką, że należałoby wyrznąć do nogi hugenocką elitę. Krew tych ludzi jest na moich rękach, ojcze. Opuściłem też żonę i nasze nienarodzone dziecko – oto oboje leżą teraz martwi i zbezczeszczeni. A trzeba ci wiedzieć, że zginie z mojej ręki wielu nowych ludzi, choć nie znam jeszcze ich tożsamości, ich los jest przesądzony. Oto i grzechy, które ci wyznaję, jedne ze wstydem, inne z gorzkim żalem, jednakże nie przyjmę twojego błogosławieństwa ani też rozgrzeszenia, większość z nich bowiem w najmniejszym stopniu nie budzi we mnie skruchy.

– Sądzisz, że tylko skruszonym Kościół odpuszcza przewiny?

– Te grzechy nie obciążają mego sumienia.

– Chwalić należy takie skrupuły.

– Carla kochała swoją wiarę. Z czcią przyjmowała sakramenty. Przez wzgląd na nią i ja zachowam dla nich szacunek. Nie będę ich ośmieszał, szukając w nich pocieszenia, na które nie zasługuję, którego nie potrzebuję i którego nie znajdę.

– Wobec tego dam ci jedynie moje błogosławieństwo, lecz wstrzymaj się jeszcze na chwilę, nim odejdiesz. Napij się wina.

– Bardziej przydadzą mi się informacje. Dom wdowy d'Aubray ograbili łajdacy tak nikczemnego autoramentu, że skradli nawet worek mąki, jakby to był szafran. Wiem, że uciekli na zachód, ale jestem tu obcy. Z której dzielnicy mogli pochodzić?

– Bracie Mattiasie, błagam cię, wyrzeknij się myśli o szukaniu sprawiedliwości za tę potworną zbrodnię, nigdy bowiem jej nie znajdziesz. Niech Bóg ich ukarze, Jego gniew będzie straszliwy. Opłakuj swą żonę i szukaj pocieszenia w dziełach naszego Pana.

– Mimo to z pewnością możesz udzielić mi wskazówki.

– Mamy tu co najmniej kilka cieszących się złą sławą enklaw całkowitego bezprawia. Są rozrzucone po całym mieście, a każda z nich jest labiryntem ślepych zaułków i podwórek znanych jedynie ich mieszkańcom i przez nich zazdrośnie strzeżonych. Nieszczęśnicy ci żyją jak... nie, właściwie trudno nawet porównać ich do zwierząt, bo jakie bydlę sprzedałoby cnotę chłopca za dzbanek pasternakowego wina? Tak czy owak, trwają w skrajnym upodleniu i bezbożności, hołdując przemocy.

Tannhäuser wrócił do stołu, sięgnął po karafkę i naplnił kieliszek winem. Pociągnął łyk.

– Co się zaś tyczy winowajców, których chciałbyś odnaleźć, nikt ci ich nie wskaże. Nawet gdybyś znał ich nazwiska, nic ci z tego nie przyjdzie. Równie dobrze mógłbyś wetknąć rękę w mrowisko, by znaleźć owada, który cię ukąsił.

– Który z tych diabelskich rojów położony jest najdogodniej dla dworu?

– Nie masz chyba na myśli Luwru?

– Obaj wiemy, kto płaci za pasternakowe wino.

– Jeśli cokolwiek wiem na ten temat, to jedynie z plotek, którym ufać nie wolno.

– Wystarczą mi plotki.

La Fosse walczył jeszcze ze sobą, jakby czuł, że podejmuje nierozważną decyzję.

– Na północ od dzielnicy targowej Les Halles mieści się zbiorowisko najgorszych szumowin w całym mieście, zwane Podwórzami. Zajmuje ono, aż po wierzchołek, stoki wzgórza na południowy zachód od porte Saint-Denis, to jest mniej więcej na zachód od domu d'Aubrayów.

– Podwórza.

Nazwa wydawała się nie gorsza od innych, jakie mogłoby nosić miejsce, w którym zamierzał podać rękę diabłu.

– Nikt z zewnątrz nie ośmiela się tam zaglądać, a już na pewno nie policja. Tam nawet dzieci są jak wściekłe psy. Kobiety jeszcze gorsze. Dwaj pokorni franciszkanie wybrali się raz na Podwórza, niosąc jedynie miłość w sercach i nic ponadto. Pragnęli szerzyć słowo Chrystusa, zanieść jego światło do jądra ciemności. Nigdy więcej ich nie widziano. Nie minął dzień, a ich habity i różańce pojawiły się na straganie na place de Grève. Niektórzy twierdzą, że mięso z ich ciał sprzedawano w Les Halles jako wieprzowinę. Wyobrażasz sobie, panie,

jakie może to mieć konsekwencje dla ich zmartwychwstania, gdy nadejdzie dzień Sądu Ostatecznego?

La Fosse ucałował krzyżyk, który nosił na szyi.

– Nazwy tych miejsc nic mi nie mówią. – Tannhäuser wskazał na przybory do pisania leżące na stole. – Naszkicuj mi plan.

La Fosse włożył szkła i wyjął ze słoika jedno z piór. Zanurzył je w inkauscie i sięgnął po czystą kartkę. Przez całą jej szerokość nakreślił dwie mniej więcej równoległe linie.

– Powiedzmy, że tak płynie Sekwana. Na rzece mamy zaś Cité. – Naszkicował kształt wyspy i na obu jej końcach postawił krzyżyk. – To Notre-Dame, a to Sainte-Chapelle. – Znowu umoczył pióro i zaczął rysować mosty łączące Île de la Cité z prawym brzegiem rzeki. – Z Cité do Ville można się przedostać po pont Notre-Dame, moście Wymiany oraz moście Młynarzy, tym z kołami młyńskimi. – Na południu La Fosse zaznaczył kolejne dwie budowle. – Z kolei Petit-Pont i pont Saint-Michel łączą Cité z Dzielnicą Łacińską.

– Wspaniale. Śmiało, ojcze.

– Na północ od rzeki mury Karola Piątego tworzą kształt, który moglibyśmy porównać do skorupki kaczego jaja. – La Fosse naszkicował połówkę dużego owalu, rozpoczynając się i kończąc na północnym brzegu Sekwany, i po raz kolejny sięgnął po inkaust. – Na południe od nich mamy jednak stare mury obronne, odgradzające przestrzeń, której kształt porównałbym raczej do przepiórczego jaja. A może kurzego?

W miarę, jak zarys miasta stawał się wyraźniejszy, Tannhäuser czuł się coraz pewniej.

– Dobrze – mruknął, lecz zaraz przypomniał sobie, że każdy artysta pragnie pochwał w stopniu najwyższym, i dodał: – Niedościgle.

La Fosse rysował z coraz większym zapalem. Po chwili zmienił pióro na nieco drobniejsze.

– Oto sześć bram północnych, które pozwolę sobie oznaczyć literami. Porte Sainte-Honoré. Montmartre. Saint-Denis. Saint-Martin. Temple. Saint-Antoine niech symbolizuje litera B, przez skojarzenie z Bastylią, która jej strzeże. Tu zaś mamy Les Halles, na zachód od wielkiej wieży Saint-Jacques, ufundowanej przez rzeźników. A mówi się o bogactwie Kościoła! Tutaj stoi budowla budząca największą groźbę w całej Francji: forteca Châtelet, główna kwatera policji. Jeśli szukasz sprawiedliwości, drogi bracie, udaj się gdzieś indziej. A to Cmentarz Niewiniątek. – La Fosse umilkł, a po chwili, jakby domagając się pochwał, dorzucił: – Mam nadzieję, że ten prosty schemat będzie ci pomocny.

– To arcydzieło kartografii.

– Jeśli zaś chodzi o inne kościoły w Ville, to... od czego by tu zacząć?

Tannhäuser wskazał palcem na zachodni kraniec planu.

– Tu jest Luwr? A tu, na wschód od pont Notre-Dame: place de Grève oraz Hôtel de Ville?

– Zgadza się. Bardzo dobrze. My zaś jesteśmy mniej więcej tu. – La Fosse wskazał punkt na planie. – A co z lewym brzegiem? Osobiście unikałbym tych stron. Kontakty ze studentami napełniają mnie rozpaczą. Tu mamy tour de Nesle. A tu sześć bram – dodał, szkicując energicznie. – I szubienicę na place Maubert. Aha, jeszcze opactwa. Za murami mamy Saint-Germain-des-Prés, a w ich obrębie Cluny, Sainte-Geneviève, augustynów, bernardynów...

– Wybacz, ojcie – wpadł mu w słowo Tannhäuser, zabierając plan, nim pojawiło się na nim zbyt wiele szczegółów. – Jestem twoim dłużnikiem. – Dmuchnął, by podsuszyć inkaust. – Opowiedz mi jeszcze o Symonne d'Aubray.

La Fosse zamaskował zakłopotanie tak skutecznie, że Mattias nie był nawet pewny, czy je dostrzegł. Kapłan wskazał na papiery rozrzucone na stole.

– Państwo d'Aubray byli protestantami. Mąż nawet dość radykalnym, za to Symonne poświęciła się głównie rodzinie i interesom. – La Fosse wzruszył ramionami. – Znalazła się na liście.

– Na liście protestantów?

– Posłaniec z Bureau de Ville wywłókł mnie z łóżka, tak mu zależało, żebym potwierdził jej kompletność. Listę sporządzono na podstawie archiwów podatkowych, stąd też wiele było braków. Ja zaś znam wszystkie rodziny w tej parafii, nawet te niekatolickie. Muszę powiedzieć, że w Bureau zapanowała panika. Czy to prawda, że hugenocka armia stoi u bram?

– Nie. De Coligny i jego kapitanowie nie żyją.

– Chwała Bogu.

– Po co Bureau taka lista? – spytał Tannhäuser.

– Miastem rządzą tak naprawdę Les Messieurs, wielcy świata finansów i prawa, a grupę tę zdominowali protestanci. Wszystko przez małżeństwa, pokrewieństwa, nawrócenia. Herezja nie jest już nawet przestępstwem! Pieniądz znaczy więcej niż miłość Boga...

– Po co Bureau taka lista? – powtórzył Tannhäuser.

– Ponoć dla własnej ochrony.

– Przed hugenotami?

– Paryżanie są zmęczeni. Głód, drożyzna, zaraza. Podatki, które trzeba płacić na wojny wypowiedziane, lecz niewygrane. Podatki, którymi trzeba przekupić najemników sprowadzonych przez hugenotów, by się stąd wynieśli. Podatki na własnych najemników. Podatki na budowę majestatycznych gmachów, których nie możemy ukończyć, bo nas na to nie stać. Podatki na to dziwaczne wesele. Czy ktokolwiek wierzy, że to dobrana para? Na pewno nie pan młody ani panna młoda. I jeszcze oczekują, że pójdziemy na wojnę z Hiszpanami? Paryżanie chcą, by te problemy nareszcie się skończyły, a to oznacza, że skończyć trzeba z hugenotami, ot co. Są jednak i takie faksje – owe bractwa czy, jak wolisz, milicje – które znużenia nie czują, nienawiść do hugenotów jest bowiem ich życiową siłą.

– Kto niby miałby zapewnić ochronę, o której wspomniałeś?

– Nie wiem – odparł la Fosse.

– A kto właściwie rządzi miastem? Kto na co dzień pilnuje porządku?

– Spytaj kilku sędziów, a otrzymasz kilka odpowiedzi i żaden z nich nie przysięgnie, że jego opinia jest prawdziwa.

– Ty też nie. Wyjaśnij, proszę.

– Król oraz Bureau zarządzają miastem pospołu, w istocie konkurując ze sobą. *Sergents à verge* to może ze dwie setki konstabli i egzekutorów, którymi zawiadują z Châtelet dwaj *lieutenants* – jeden *civil*, drugi *criminel* – oraz podlegli im nadzorcy i inspektorzy, znani jako *commissaires* i *examineurs*. Swoje dochodzenia prowadzą, głównie łamiąc delikwentów kołem, a większość energii poświęcają na zbieranie opłat i grzywien, bo to z nich się utrzymują. Jednak, a zapewniam cię, że nie konfabuluję, za jedno nie biorą żadnej odpowiedzialności: za zapobieganie przestępstwom na ulicach miasta. To już domena tego, który za dnia patroluje miasto z dwudziestoma łucznikami.

– To raj dla złoczyńców.

– Dobrze to ująłeś, kawalerze. Paryż ma też zarządcę wojskowego, do którego należy obrona murów miejskich. Gwardia Królewska to jeszcze inna kompania, złożona z trzydziestu ludzi, którzy patrolują miasto nocą, jeśli rzecz jasna uda się wyciągnąć ich na czas z karczm. Wszystkie te instytucje – cywilne, policyjne i wojskowe – wraz z paroma innymi, których nazw i funkcji nie pamiętam, dublują się wielokrotnie i na rozmaitych polach: władztwa, odpowiedzialności oraz jurysdykcji.

– Zawsze więc znajdzie się ktoś, na kogo można zwalić winę.

La Fosse zmarszczył czoło, jakby ta myśl jeszcze nigdy nie zaświtała w jego głowie.

– Naturalnie. Naturalnie!

– A kim są ci pajace, co włóczą się po mieście ze sztandarem i werblami?

– To mieszczańska milicja, *bourgeois guet*. Każda z szesnastu *quartiers*, czyli dzielnic, wystawia kompanię złożoną z setki ludzi. Podczas ostatniej wojny kapitanowie owej milicji ogłosili się Żołnierzami Chrystusa. Powiedzmy delikatnie, że byli nader aktywni podczas zamieszek wokół krzyża de Gastines'ów, w których zginął Roger d'Aubray. Tylko król może wezwać ich do boju. Trudno jednak, w sensie prawnym, określić, kto jeszcze kontroluje tę armię, kto określa zakres jej obowiązków, a nawet jaki jest ów zakres. W praktyce dyrygują nią bractwa, czyli grupy wyjątkowo gorliwych i, powiedzmy, bojowo nastawionych katolików.

Tannhäuser przypomniał sobie podobne bractwa działające na Sycylii; „piechurów inkwizycji”.

– Zatem milicją trzęsą fanatycy.

La Fosse zawahał się, niepewny, jaką właściwie pozycję zajmuje jego rozmówca.

– Ledwie wczoraj i ja zostałem nazwany fanatykiem – dorzucił Mattias.

– Ujmę to tak: ludzie w ogromnej większości nie kochają zbyt ojców naszego miasta, lecz gdy ulicami ciągnie milicja, wychodzą z domów i ochoczo wiwatują.

Tannhäuser podniósł ze stołu szkła księdza. Wypukłe soczewki w srebrnej oprawce połączone były mostkiem w kształcie litery C. Moje oczy nie są już tak bystre jak dawniej, pomyślał.

– Mogę?

Spróbował włożyć okulary na nos, ale były zbyt ciasne. Kątem oka zauważył bolesny grymas na twarzy kapłana, gdy rozginał mostek. Dawniej próżność nie pozwalała mu kupić lub choćby przymierzyć szkieł. Teraz zdumiała go ich moc. Rozmyte detale planu nagle zyskały ostrość. Inkaust był już suchy. Tannhäuser złożył kartkę na czworo, owinął nią szkła i wsunął do kieszeni. Zastanawiał się, czy nie warto zostawić tu Juste'a i Grégoire'a – dla ich bezpieczeństwa – ale jedno spojrzenie na portret kardynała wystarczyło, by instynkt zbuntował się przeciwko temu pomysłowi. Zgarnawszy ze stołu arkusze z kolumnami nazwisk, Mattias zwinął je i wsunął za cholewę.

Ruszył w stronę drzwi.

– Wróć, żeby dogadać szczegóły i obejrzeć trumnę, którą wybierzesz.

– Bracie Mattiasie, nie przyjąłeś jeszcze mego błogosławieństwa.

– Wystarczy, że postarasz się w sprawie trumny.

– A co z moimi szklami?

Chłopcy byli zadowoleni z siebie – z kawałka złotego sznura sporządzili obrozę dla na wpół wyłysiałego kundla. Psiak dreptał teraz między przednimi kopytami Clémentine

niczym mały dzinn i wydawało się, że obojgu pasuje ten układ. Wartownik Hervé, który skoczył, by opuścić łańcuch przed nadchodzącymi, rozdziawił szeroko usta, jakby owo dziwaczne stworzenie było jeszcze jednym dowodem na to, że Tannhäuser jest niespełna rozumu. Liczba zbrojnych na placu szubienicznym wyraźnie wzrosła. W wilgotnym i gorącym powietrzu poranka zwisało smętnie jeszcze więcej sztandarów i tylko dudziarz wygrywał żwawą melodię.

– Czołem, dobry panie! Wiesz aby, że jakiś kundel skrywa się pod twoją szkapą?

Tannhäuser rzucił mu sou. Próbuąc złapać monetę, wartownik strącił ją na ziemię i zaraz przykucnął z głową między kolanami, szukając w skupieniu, zakłócanym niepewnymi spojrzeniami w stronę psa.

– Jest coś diabelskiego w tym kundlu, panie. Patrzy na mnie złym okiem.

Grégoire pierwszy wypatrzył monetę i podniósłszy ją, podał wartownikowi. Hervé właśnie miał się uśmiechnąć, gdy jego spojrzenie padło na wargę chłopaka. Przyjął pieniądz bez podziękowania i wycofał się. Grégoire nie wyglądał na urażonego.

– Jak wołają na tego pacana? – spytał Tannhäuser, zwracając się do Juste’a.

– Hervé tynkarz – odpowiedział szeptem Juste.

– Hervé – rzekł Tannhäuser – ojciec la Fosse twierdzi, że milicja odpowiada za utrzymanie spokoju w mieście.

– W rzeczy samej, panie. Spokój utrzymujemy za wszelką cenę, a buntowników karzemy z całą surowością.

– Powiada też, że Bureau każe wam chronić hugenockich cywilów.

Hervé potarł palcami monetę.

– Tylko król wydaje milicji rozkazy.

– Widziałem Jego Wysokość ledwie trzy godziny temu, w Luwrze, gdy „karaliśmy z całą surowością” buntowników za pomocą naszych kling.

– Niech Bóg błogosławi najjaśniejszego pana, który nareszcie ujrzał światłość! I niech błogosławi ciebie, łaskawy panie.

– Czyżby klecha się mylił?

– Szlachetni panowie z Bureau de Ville lubią myśleć, że rządzą całym Paryżem, co tak naprawdę znaczy, że wypychają kieszenie złotem. A czyim złotem? Hugenotów, ma się rozumieć. Hugenockimi łapówkami. Hugenockimi podatkami i opłatami. I dlatego Bureau ich chroni. Ale prawda jest taka, że to nasze złoto, wyrwane, wycyganione, ukradzione choćby takim uczciwym rzemieślnikom jak ja. Trzeba ci bowiem wiedzieć, panie, że jeśli chodzi o wymuszenia, hugenoci ustępują talentem jedynie Żydom. Wracając jednak do twego pytania,

powiem, że w majestacie prawa tylko król może zwoływać milicję, gdy pojawi się poważne zagrożenie dla dobra publicznego, *ipso facto* to jednak my sami, natchnieni odwagą i honorem, ryzykujemy życie, nie licząc na choćby sola zapłaty – zwyczajnie, z obywatelskiego obowiązku. – Hervé urwał, by zaczerpnąć tchu, po czym wskazał kciukiem na tłum gęstniejący na place de Grevé. – Jak widzisz, właśnie tym razem król powołał nas do służby. Ufamy mu, a on ufa nam. Jeśli nie wprowadzono nas w błąd, wykonujemy swój święty obowiązek, wypełniając najzupełniej jasne rozkazy Jego Wysokości.

Tannhäuser przywołał w pamięci słowa, które Gwizjusz wykrzykiwał na rue de Béthizy.

– To rozkaz króla – mruknął.

– Otóż to, panie – przytaknął Hervé. – Zabić ich wszystkich.

Tannhäuser nadal wspominał: tym razem słowa, które wypowiedział do Retza.

– Zabić ich wszystkich – powtórzył ze smakiem Hervé, naśladując, jak mu się zdawało, królewski ton. – I nie zostawić ani jednego, który by pluł na groby naszych matek, gwałcił nasze żony albo podrzynał gardła naszym dzieciom. – Wartownik obdarował jeźdźca bezzębnym uśmiechem.

Tannhäuser zapanował nad pragnieniem kopnięcia go prosto w gardło.

– Cytuję wiernie jego słowa, panie. Zresztą znasz je lepiej niż ja.

– De Coligny i jego kapitanowie nie żyją.

– Dziwne, panie, żeś nie słyszał naszych wiwatów, gdy dotarła do nas ta wiadomość.

De Coligny i prowincjałowie to był bardzo zgrabny początek, jednakże... Jak powiedział nam kapitan Crucé: „Chłopcy! Reszta należy do nas”.

– Reszta?

– Reszta hugenotów, panie. Widzę, żeś nie jest z tych stron, zatem powiem ci, że jest ich więcej, niż sądzisz. Tysiące, grube tysiące. Nikt w tym mieście nie sypia dalej niż sześć stóp od prostytutki i trzy stopy od szczura, a tak się nieszczęśliwie składa, że hugenotów mamy w Paryżu więcej niż kurew.

– I wierzysz, że król pragnie śmierci wszystkich paryskich hugenotów?

– Jak wszystkich, to wszystkich, nieprawdaż, panie? – spytał Hervé. – No bo jak nie ubijemy wszystkich, to nie będą wszyscy.

Tannhäuser odjechał, a Grégoire i Juste pobiegli za nim, uczepleni strzemion.

– Polecam się, panie! I pięknie dziękuję za datek!

Na place de Grève panował już taki ścisk, że Tannhäuser postanowił objechać go dookoła. Wszędzie płonęły ogniska podsycane węglem; do jednego z nich cisnął listę zabraną

la Fosse'owi. Handlarze korzystali z okazji, sprzedając wino i żywność; przybyło też dziwek. Jako formacja wojskowa członkowie milicji prezentowali się żałośnie, skupieni bezładnymi grupkami wokół sztandarów. Łączyło ich to, że czynili mnóstwo hałasu, za to strojem – jeśli nie liczyć białych opasek i krzyży – różnili się skrajnie, podobnie jak bronią, trzymaną zwykle nieporadnie jak miotła. Pięćdziesięciu Szwajcarów mogłoby zagnać całą tę zbieraninę prosto do Sekwany.

Tannhäuser przyglądał się ich twarzom. Wątpił, by znalazło się choć dwóch takich, co kiedykolwiek celowo odebrali życie drugiemu człowiekowi. Niewykluczone, że Hervé tynkarz zrzucił kiedyś paletę cegieł na łeb kolegi, ale z całą pewnością nigdy nie wepchnął zimnej stali w czyjś brzuch. Milicjanci wyglądali jak pięć setek brukarzy i wytwórców świeczek – i w istocie nimi byli – którzy spotkali się na placu, by poplotkować o tym, jak niesprawiedliwe jest życie i jakim złem wcielonym są hugenoci. Był niedzielny poranek, nie spali pół nocy, tęsknili za swymi żonami i łózkami, a na dodatek nie dostali nowych rozkazów. Cuchnęli strachem, gniewem i nienawiścią. Cuchnęli głupotą i fatalnym przywództwem. I jak wszystko w tym mieście, cuchnęli gównem.

Choć widział na własne oczy listę la Fosse'a i był świadkiem entuzjazmu Hervégo, Tannhäuser nie bardzo wierzył, by podjęto poważną próbę zgładzenia wszystkich protestantów Paryża. Nic, co słyszał z ust Retza i Arnaulda, nie wskazywało na to, by król powziął taki zamiar, by choćby przyszło mu do głowy wydać taki rozkaz – nie mówiąc o tym, by wydał go naprawdę. Czyż nie wzbraniał się jak mógł przed wydaniem zgody na zabicie de Coligny'ego? Tannhäuser był przekonany, że nikomu w Luwrze nie chodziło o wymordowanie wszystkich protestantów, a to z tej prostej przyczyny, że taki akt nie przyniósłby żadnego pożytku, przeciwnie, stałby się przyczyną totalnej katastrofy politycznej i finansowej. Retz i Katarzyna potrafili zapomnieć o moralności, gdy sytuacja tego wymagała, lecz trudno było wątpić w ich instynkt polityczny. Przez minione dziesięć lat udało im się przechytrzyć najlepszych dyplomatów z sześciu krajów i dwóch imperiów. Czemu niby miałyby służyć wytepienie sporej części najlepiej wykształconych i najbardziej produktywnych obywateli? Miałyby to być akt zwyczajnej niechęci, której zresztą wcale nie czuli? Dla wszystkich, nie wyłączając Gwizjusza i d'Anjou, byłby to raczej dowód czegoś gorszego niż szaleństwo.

Poza tym z czysto praktycznego punktu widzenia plan był zupełnie nierealny. Owszem, dałoby się go wprowadzić w życie, ale na zidentyfikowanie, aresztowanie i stracenie tak wielu ludzi potrzeba dni, a nawet tygodni. Do akcji musieliby wkroczyć prawdziwi żołnierze, nie ta banda zadowolonych z siebie amatorów. Potrzebna byłaby też

zgoda komendanta Paryża de Montmorency'ego, umiarkowanego katolika, a także co najmniej akceptacja ze strony niezliczonych urzędników i oficerów, którzy nie bardziej niż on pragnęliby się splamić krwią tysięcy przyzwoitych obywateli i ich rodzin. Trzeba by całkowicie zawiesić obowiązywanie prawa, na co musiałby się zgodzić *Parlement*, armia prawników i urzędników dalece liczniejsza od wojska. Cała katolicka społeczność musiałaby się wykazać daleko idącym zepsuciem; najbardziej cywilizowane miasto świata musiałoby stać się areną nieznanego wcześniej barbarzyństwa, haniebnej brutalności bez precedensu. Nawet Tannhäuser nie umiał sobie wyobrazić takiego szału przemocy. A przecież wątpił, by ktokolwiek w całym Paryżu widział tyle przelanej krwi co on – choć ów brak doświadczenia mógł się również okazać bronią obosieczną.

W gruncie rzeczy Mattias rozumiał pretensje Hervégo. Dostrzegał też, że z okazji skorzystają bandyci: dojdzie do wielkiej fali rabunków i zabójstw. Prywatne wojenki, małe i duże, zostaną zakończone w brutalny sposób. Śmierć anuluje wszelkie długi. Wszyscy będą mieli usta pełne wielkich słów: oto król pokazał pazury. Wyrznął do nogi swych politycznych przeciwników. Umocnił swą władzę. Ocalił wiarę ojców. Obywatele zaśpiewają *Te Deum* i sławiąc silnego władcę, powrócą do robienia pieniędzy.

Gęsta ciżba na place de Grève rozbrzmiała nagle chórem wiwatów. Tannhäuser odwrócił się i zatrzymał wzrok na szubienicy. Jakby na dowód przyziemnych ambicji armii prostaków na linie zawisła, drżąc konwulsyjnie, samotna postać – ledwie ciemna plama na tle wschodzącego słońca. Nieszczęśnik kołysał się jeszcze przez długą chwilę, wierzgając nogami, przy wtórze drwiących okrzyków tych, którzy nie potrafili nawet porządnie powiesić wroga.

Tannhäuser gardził tymi ludźmi, choć przecież górował nad nimi chyba jedynie tym, że potrafił posługiwać się bronią. Jak każdy z nich, tkwił w nędznej celi własnych uczuć. Moralną wyżyną, z której mógł spoglądać na nich z góry, była co najwyżej kupa łajna na wskroś przesiąknięta krwią jego wrogów.

Poczuł, że rozpacz wkrada się do jego serca. Był znużony; brakowało mu jasności myśli. Właściwie nie miał planu działania, prócz tego, że zamierzał odebrać swój ekwipunek z domu drukarza. Co gorsza, nie czuł żadnego pragnienia, które mogłoby wskazać mu kierunek. Impulsy, których nie mogła wzmocnić wola Carli, nic dla niego nie znaczyły. Przez chwilę czuł wściekłość, lecz i ona szybko odeszła. Należało rozwiązać pewne zagadki i wyrównać pewne rachunki, ale nie miał na to szczególnej ochoty. Śmierć kobiety zabiła w nim ducha. Mścił się w życiu wystarczająco często, by wiedzieć, że czy na zimno, czy na gorąco, odwet karmił tylko to, co było w jego duszy najgorsze, a zatruwał wszystko to, co

było dobre. Spróbował skierować nienawiść ku zabójcom Carli, ale plac i tak był już jeziorem nienawiści i szczeranie do niego mijało się z celem.

Chciał już tylko znaleźć się jak najdalej.

Za rzeką ujrzał masywną bryłę Notre-Dame de Paris.

Jechał w stronę wysokiej wieży Saint-Jacques. Przy rue Saint-Martin skręcił na południe, na pont Notre-Dame. Strzegący mostu strażnicy obserwowali go z daleka i bez słowa opuścili łańcuch, gdy się zbliżył.

Wprost na moście, po obu jego stronach, stały rzędy identycznych, bardzo wąskich kamieniczek: warsztaty i sklepy na parterze, a nad nimi dwa piętra mieszkalne. W witrynach dominowały luksusowe towary; szyldy wisiały nad ulicą na długich żelaznych prętach. Kapelusznicy, perukarze, handlarze dziełami sztuki i piórami, importerzy włoskich strojów kobiecych – wszyscy mieli tu swoje siedziby, lecz choć słońce stało już dość wysoko, na jednym z najruchliwszych traktów Paryża nie było nikogo. Tannhäuser nie miał wątpliwości, że domy nie stoją puste – żony dzielnych milicjantów być może jeszcze grzały łoża, ale żaden kupiec nie zostawiłby swego towaru bez opieki. Jeśli jednak ktoś pilnował sklepów i warsztatów, to pozostał całkiem niewidoczny.

Tannhäuser znalazł się na opustoszałej wyspie znanej jako Cité.

Wąskie uliczki. Zaułki, w które chyba tylko Juste zdołałby się wcisnąć. Domy w nie najlepszej kondycji, za to sprytnie podparte. Nowy, imponujący ratusz wciśnięty między chylące się ku upadkowi budynki. Nie brakowało zajazdów. Przynajmniej wokół nich kręcili się ludzie, lecz i tu napięcie było wyraźnie wyczuwalne. Tannhäuser poczuł woń potraw dobiegającą z okolicznych karczm; gdzieś niedaleko na rożnie piekło się mięso. Tu i ówdzie na progach przesiadywali zbrojni, których charakterystyczne kaftany zdradzały jako *sergents à verge*. Żaden nie wyglądał na zbyt pewnego siebie. Ruchem głowy pozdrawiali przejeżdżającego Tannhäusera, jakby mieli nadzieję, że pojawił się, by wyjaśnić im, co się dzieje i co właściwie powinni robić.

Ulica ciągnęła się dalej na południe, zapewne aż na lewy brzeg, a koniec mostu wyznaczał jedynie pękaty fort, który, jak wyjaśnił Grégoire, nosił nazwę Petit Châtelet. Dotarwszy do pierwszej przecznicy, Tannhäuser skręcił w stronę katedry.

Masyw Notre-Dame de Paris wyrósł przed nimi nagle, w równym stopniu przywodząc na myśl świątynię, jak i twierdzę; był raczej demonstracją siły niż hymnem żarliwej wiary; był groźbą utrwaloną w kamieniu. Tannhäuser z pewnością nie nazwałby tego kościoła najpiękniejszym, ale być może zbyt wiele czasu spędził we Włoszech. Mimo to potężny gmach przesłaniający słońce nawet w nim budził respekt. Mattias jednak nie przybył

tu, by się modlić. Zadarł głowę, żeby sięgnąć wzrokiem ku dalekim wierzchołkom dwu dzwonnicy.

Ciasny plac przykatedralny był geograficznym centrum Francji – tak przynajmniej zapewniał Juste, z dumą wędrowca, który pracowicie zebrał fakty, udając się w podróż. Jakby w buncie przeciwko ciszy, która ogarnęła miasto, tu kurwy, żebracy, handlarze, poeci, żonglerzy i błażni – a połowę z nich stanowili złodzieje i kanciarze – zjawili się rankiem tłumnie i pokrzykując, robili swoje, nie zważając na obecność milicji. Ochotników było tu zresztą znacznie mniej niż na place de Grève, za to – choć na pozór cisi – najwyraźniej wywodzili się z mniej porządných rodzin.

Widząc Tannhäusera i jego zakrwawioną koszulę, kłaniali się z szacunkiem.

Południowy kraniec placu, wzdłuż rzeki, zamykał szpital Hôtel-Dieu. Kilka sióstr szpitalniczek kręciło się w tłumie okaleczonych, biednych i ciężko chorych, którzy zebrali się u bramy w nadziei, że zostaną przyjęci lub chociaż nakarmieni. Wprawnym okiem wyłuskiwały prawdziwie potrzebujących, nieomylnie odróżniając ich od licznych naciągaczy, którzy prezentowali się wprawdzie nieco lepiej, lecz i tak stanowili modelowy przykład ofiar skrajnej nędzy. Jeden z nich kątem oka spostrzegł przejeżdżającego Tannhäusera, a może raczej krzyż braci szpitalników na jego piersi, i odłączył się od pozostałych. Miał chyba tylko jedną nogę – w Paryżu nawet w takiej sprawie trudno było o niezachwianą pewność – za to poruszał się ze zdumiewającą chyżością, układając tułów niemal poziomo i wspierając pokryte strupami ramiona na dwóch krótkich kulach. Zanim Tannhäuser zdążył szarpnąć wodze, by odtrącić go masywnym ciałem Clémentine, pomiędzy jej kopyt wystrzelił pękaty kundel i bez jednego warknięcia rzucił się na nogę żebraka.

Nędzarz oddalił się w popłochu, stukając kijami o bruk, pies zaś zatrzymał się, prężąc dumnie pierś i złoty sznur na grubym karku. Przez chwilę spoglądał za uciekającym, radośnie merdając obscenicznie różowym ogonem. Wreszcie szczechnął pogardliwie, a Grégoire i Juste spojrzeli na Tannhäusera.

– Jak widzisz, jest niesłychanie inteligentny – powiedział Juste.

– Może nawet bardziej inteligentny niż Clémentine – dorzucił Grégoire.

– Nie przypuszczam, by któryś z nas trzech był od niej bystrzejszy – odparł Tannhäuser. – Ale w Paryżu pies, który potrafi odpędzać żebraków, musi być wart niezłą sumkę. Ciekawe, ile zapłaciliby za niego Hôtel-Dieu? Siostrzyczki z miejsca by go pokochały. Wyobraźcie sobie tylko, ile czasu i pracy mógłby im zaoszczędzić! I ile zupy nie musiałyby już nigdy gotować.

Grégoire i Juste spojrzeli po sobie w panice.

– A zresztą – ciągnął Tannhäuser – moglibyśmy oddać go za darmo, w geście chrześcijańskiego miłosierdzia.

Kundel wrócił tymczasem i przysiadł między chłopcami. Zadarłszy łeb, spoglądał na Tannhäusera z wywieszonym jęzorem, jakby oczekiwał nagrody.

– Ależ panie – ocknął się wreszcie Juste – przecież sam rozumiesz, że nie możemy go sprzedać ani nawet oddać w geście chrześcijańskiego miłosierdzia, dopóki nie odrośnie mu sierść.

– To prawda – podchwycił Grégoire. – Siostry nigdy w życiu nie wzięłyby w opiekę łysego psa.

– Słuszna uwaga – przyznał Tannhäuser. – Nie znam żadnej religii, której wyznawcy przepadaliby za łysymi psami. Zaczekamy więc, aż sierść odrośnie, a teraz okażcie mu wdzięczność, żeby wiedział, że się nam przysłużył.

Chłopcy pogłaskali psa, mrugając przy tym do siebie po trosze triumfalnie, a po trosze z ulgą.

– Wybraliście mu w końcu imię?

– Wabi się Lucyfer – odparł Juste.

– O, tym z pewnością rozczarowałby biedne siostrzyczki.

– Nie podoba ci się to imię, panie?

– Zaczynam się lękać, że zaniedbuję waszą edukację moralną.

– Panie, ja jeszcze nigdy nie nauczyłem się tak wiele w tak krótkim czasie. I jestem pewny, że podobnie jest z Grégoire'em.

– To prawda, panie. Niezrównany z ciebie nauczyciel.

– A i od psa można się sporo nauczyć – dorzucił Juste.

– Mieście oczy i uszy otwarte – polecił im Tannhäuser. – Usłyszycie jeszcze wiele plotek, fantazji i kłamstw, ale próbujcie wyłowić spośród nich pojedyncze fakty. Sami nie mówcie wiele, a najlepiej wcale się nie odzywajcie. Dziś każdy nasz krok i każde słowo mogą nas zdradzić.

Lucyfer szczechnął na Mattiasa.

– Wielkie imię, jak na tak małego psa.

– Jest mały – przyznał Grégoire. – Ale przeżył ogień.

Na placu można było się pożywić, Tannhäuser skorzystał więc z okazji: zsiadł z konia i kupił chłopcom jeszcze ciepły bochen chleba. Rozdarli go z takim zapalem, że dokupił każdemu jeszcze po pieczonym gołębiu, zatkniętym pomysłowo na patyku. Potem zaś patrzył, jak jedzą. Byli tak wygłodzeni, że dopiero pożarłszy połowę ptaka, Grégoire wpadł na to, by

podzielić się z Lucyferem; od tej chwili pies mógł się cieszyć co bardziej smakowitymi kaskami z obu porcji.

Grégoire wskazał na zagrodę w jednej z bocznych uliczek; zaszli tam, by zostawić Clémentine. Gdy zbliżali się do frontu katedry, Tannhäuser przyglądał się mrowiu tajemniczych rzeźb i hieroglifom, które zdobiły mur wokół głównej bramy. Wiele z nich gorliwi księża usunęli już ciosami młotów, nie pojmując ich znaczenia, a ulegając pogłoskom, jakoby miały one więcej wspólnego z hermetyzmem niż z tradycją chrześcijańską. Nie mniej było ozdób zniszczonych przez hugenockich fanatyków.

Tannhäuser wkroczył do świątyni przez odrzwia z portalem Sądu Ostatecznego.

Przeżegnał się wodą święconą, ale darował sobie klękanie u progu. W porównaniu z blaskiem poranka wewnątrz katedry wydawało się ciemne; oczy potrzebowały chwili, by przywyknąć. Pierwszą rzeczą, którą Mattias dostrzegł, była upleciona z wikliny kołyska, w której leżało troje podrzuconych dzieci – żadne nie miało nawet miesiąca. Patrząc na nie, poczuł ból w piersi i czym prędzej się odwrócił.

Ostatnie ławki były królestwem prostytutek obojga płci, gotowych zaspokoić nawet najwymyślniejsze pragnienia. Co najmniej dwie pochłonięte były wykonywaniem obowiązków zawodowych, przewieszane nad oparciem ławek przez dyszących klientów. Ich koleżanki i koledzy przyglądali się temu z zaciekawieniem, choć czy czynili to z ciekawości, czy też dlatego, że im za to zapłacono, Tannhäuser nie umiał odgadnąć. W przeciwległym końcu świątyni, w cieniu krzyża, trwało właśnie nabożeństwo, lecz odległość była tak wielka, że jedni drugim nie przeszkadzali.

– Urodziłem się w tym koszu – wyznał Grégoire.

– Niech więc twoja matka żałuje, my na tym zyskałiśmy.

Tannhäuser wciąż rozglądał się po przestronnym i pięknym wnętrzu, którego każdy kamień ozdobiono tak przemyślnie, że krył w sobie nie jedno, ale kilka znaczeń. Petrus Grubenius wierzył, że gmach ten wzniesiono w zgodzie z zasadami świętej geometrii, jako gigantyczne naczynie alchemiczne. Był ponoć nie tylko wielkim tygłem i nie tylko zbiorem słów o ukrytym znaczeniu, ale wręcz statkiem kosmicznym w podróży poza Czas, a jego duchowym pilotem był Hermes Trismegistos. Tannhäuser wyczuwał, że wzmianka o tym poruszyła chłopców do głębi.

– Jeżeli zgodzimy się – powiedział – że, jak wierzył Petrus Grubenius i jeden lub dwóch adeptów należących do zakonu szpitalników, msza jest manifestacją *magnum opus*, a siedem sakramentów symbolizuje procesy alchemiczne, których celem jest transmutacja

materii w ducha i ducha w materię, to Notre-Dame de Paris istotnie staje się naszą Matką, świętym centrum, łonem, z którego możemy się odrodzić ku oświeceniu.

Grégoire i Juste spoglądali na niego teraz z grzecznością wołu patrzącego na malowane wrota. Doceniał to. Potrzebował choć przez chwilę czuć, że jest kimś więcej, niż był w rzeczywistości.

– Tajemnice, które posiadli tylko najlepsi z nas, już nigdy nie zostaną zrozumiane, aż po kres dziejów. Będziemy błądzić w ciemności po omacku, wiecznie próbując wmówić sobie, że to już świt. Przychodzimy tu w godzinie rozpacz – królowie, mordercy, niemowlęta i kurwy – mając nadzieję, że natchnie nas esencja tego, co boskie, lecz większość z nas odchodzi, jedynie przeczuwając, jak wiele straciliśmy. Tak, jestem pewien, że te dzieciątka widzą dalej niż najmędrsi z mędrców. I z tobą tak było, Grégoire, to cię wyróżnia: kiedyś i ty widziałeś tak daleko.

– Ależ panie, nie pamiętam nawet, żebym patrzył.

– Twój umysł zapomniał, ale duch nie. A teraz powiedz mi, co mam zrobić, żeby wejść na szczyt północnej dzwonnicy.

Grégoire zaprowadził go do drzwi. Zamkniętych, jak się okazało.

– Czym mogę służyć, panie?

Tannhäuser odwrócił się ku mówiącemu.

Mówiący zaś – młody osiłek – przemówił przez ramię, zajęty był bowiem szczaniem na święty mur katedry. Woń panująca w tym zakątku sugerowała, że nie on pierwszy dopuścił się tego grzechu. Zanim skończył, podbiegł do niego Lucyfer.

Tannhäuser poklepał chłopców po ramionach.

– To wasz pies. Pilnujcie go.

Lucyfer tymczasem zmarszczył czarny nos i uniósł tylną łapę. Młody osiłek cofnął się o pół kroku, by włożyć w kopniaka nieco więcej siły.

– Panie! – wykrzyknął Juste. – To nasz pies!

– Nie krzywdź go! – zawtórował mu Grégoire.

Młodzian spojrział na nich przeciągle i widać było, jak bardzo żałuje, że przyszli tu z ochroną. Potem zaś popatrzył na Tannhäusera. Miał anielską twarz, lecz jej rysy wydawały się sztucznie stwardniałe, jakby zło tego świata nie tylko go ukształtowało, ale jakby urodził się gotów na to, by w nim trwać. Zepsucie zmieniło go tak dalece, że trudno było orzec, czy ma lat piętnaście czy o dziesięć więcej. Tannhäuser miał wrażenie, że już go gdzieś widział – i vice versa – ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie. Cherubin uśmiechnął się do niego.

– Jeśli ekscelencja życzy sobie chwili prywatności z tymi oto chłopcami na schodach wieży, mogę zorganizować klucz. Mogę zresztą zorganizować wszelkie przyjemności, cokolwiek zechcesz, panie.

Tannhäuser uważał, że ma pełne prawo zabić go na miejscu – został obrażony w świętych murach Notre-Dame, podczas niedzielnej mszy. Zanim jednak to uczynił, niczym na wezwanie wojskowego trębacza wychynęło z mroku dwoje umęczonych dzieci. Plamy cynobru zmieniły ich usta na podobieństwo wielkich ran, a oczy wtoczyły w głąb czaszek coś gorszego niż ból, coś trwalszego niż rozpacz, coś bardziej upodlającego niż przerażenie. Były to te same bliźniaczki, które luj o anielskiej twarzy oferował mu dzień wcześniej. Znał się na swojej robocie, a jej naczelną zasadą brzmiała: pamiętaj twarze i gusta swych klientów. Dlatego nie odwracając się, wyciągnął rękę za siebie, dając znak dziewczynom, by się zatrzymały.

Usłuchały natychmiast.

– Chcę wejść na szczyt dzwonnicy – powiedział Tannhäuser.

– Na szczyt dzwonnicy? – Choć na co dzień stykał się z najdziwniejszymi odmianami seksualnych perwersji, to życzenie wydało się lujowi wyjątkowo osobliwe. – Ależ to czterysta schodów. Tak mi przynajmniej mówiono.

– Jeżeli masz klucz, otwórz drzwi, a dam ci sola.

– Ależ panie, chyba nie chciałbyś, żeby te słodkie dziewczątka głodowały?

– Dziewczątka mnie nie interesują. Chcę wejść na szczyt.

– Wiem, że ich nie pragniesz, chciałem tylko powiedzieć, że...

– Otwórz drzwi i weź sola. Albo sam wezmę klucz.

Luj był dostatecznie mocny, by sprawdzić się w swoim rzemiośle: potrafił zastraszać kobiety i dziewczęta, a także mężczyzn, którzy płacili, by móc je wykorzystać. Skrzywił się teraz, jakby połknął ocet, i zakręcił młynka kluczem, który nosił na szyi.

– Dasz mi sola za minutę pracy? – spytał z uśmiechem. – Większość ludzi nie zarabia tyle przez cały dzień.

Otworzył drzwi. Dziewczęta przybiegły czym prędzej. Ze swymi wymalowanymi uśmiechami i pustymi oczami wyglądały jak wychudzeni błazni maszerujący do sali tortur. Tannhäuser zastanawiał się, co trzeba było z nimi zrobić, by tak ochoczo pędziły na spotkanie bolesnej przygody, która zwykle czekała na nie za drzwiami. Miał ochotę przebić luja mieczem, ale tego nie uczynił.

Cherub tymczasem obrócił się na pięcie i huknął bliżej stojącą dziewczynę pięścią w żołądek.

– Ten pan nie jest dla was, głupole!

Trafiona zgięła się wół, a siostra podtrzymała ją przytomnie.

Tannhäuser złapał luja za rękę, wykręcił mu ją do tyłu, między łopatki, a potem obił jego twarz o szorstki mur obok drzwi. Cherub splunął krwią i kawałkami zębów.

– Nie możesz wejść do Notre-Dame i tak traktować bliźniego. To katedra!

Tannhäuser podciągnął jego rękę jeszcze odrobinę wyżej.

– Jak cię zwać? – spytał.

– Tybaut. Tybaut, panie. – Zaciśnął zęby. – Nie ma potrzeby, panie, żeby tak mnie traktować. Mam swoje wpływy. Znam swoją wartość. Jestem nosem. No, powiedzmy nosem nosa...

– Nosem nosa? – Tannhäuser spojrzał pytająco na Grégoire'a.

– Szpiclem szpicla – wyjaśnił chłopak.

Lekki ruch ręki w górę sprawił, że Tybaut stęknął z bólu.

– W mieście roi się od szpiegów różnej maści – dodał Grégoire.

– Twój idiota ma rację, panie. Szpicle policyjni, szpicle dworscy, pałacowi, burdelowi, uliczni – znajdziesz ich w karczmach, sypialniach, nawet w kuchniach; szpiegują dla mężów, szpiegują dla żon. Że nie wspomnę o tych, co służą kolegom i Kościołowi. Gwarantuję ci, że co drugi służący w tym mieście to szpicel. Nawet w najwyższych sferach są tacy, co szpiegują, ale o tym z pewnością wiesz. Wszyscy szpiegujemy się nawzajem, bo szpiegowanie to życie.

– A kim jest ów ważny nos, któremu ty służysz?

– Możliwe, że wyolbrzymiłem jego pozycję, panie. To jeden z tutejszych diakonów, na razie, ale mam nadzieję, że będzie piął się w hierarchii, a ja wraz z nim.

– I wydaje ci się, że jesteś dla mnie coś wart?

– Zapewniam, panie. Z całym szacunkiem, nie wydaje mi się, żebyś zbyt dobrze orientował się w tutejszych stosunkach. A na odrobinie informacji każdy może zyskać.

– Świat zyskałby bardzo wiele, gdybym ci złamał kręgosłup.

– Wybacz szczere słowa, panie, ale nie wydajesz mi się jednym z tych, którzy zbyt dbają o to, by świat cokolwiek zyskał.

– Kto jest tym twoim obiecującym diakonem?

– Miej serce, panie – jęknął Tybaut, gdy dotarła do niego nowa fala bólu. – To ojciec Pierre.

– To on kazał ci włożyć tę białą opaskę na ramię?

– Nie musiał. Przecież widzę, co się dzieje dokoła. Tak samo jak ty, panie.

Tannhäuser wypuścił jego rękę.

– Uraduj mnie jeszcze „odrobiną informacji”.

Tybaut odwrócił się i wskazał na Juste’a.

– Ten tutaj podziela jak czerwona płachta na byka, gdy wreszcie byk stanie na waszej drodze. Wiadomo, większość ludzi to tępaki, w policji praktycznie wszyscy. Ale milicja? – Luj postukał palcami w skroń. – Tam nie wszyscy są tacy głupi. To jasne, że chłopak nie jest stąd, podobnie jak ty, łaskawy panie. To jeszcze nie zbrodnia, ma się rozumieć. Ale ten biały krzyż, który przypiął sobie do piersi, nie czyni z niego katolika.

– Oddaj mu swoją koszulę. I kaftan.

Tybaut wybuchnął śmiechem. Tannhäuser dał mu w twarz – na tyle mocno, że luj znowu zderzył się ze ścianą. Tym razem chyba mocniej, bo osunął się po kamieniach i wylądował na kolanach. Echo głośnego policzka rozeszło się po świątyni. Kilka głów zwróciło się w ich stronę, ale tylko na krótką chwilę. Tannhäuser spojrzął na bliźniaczki. Tuliły się do siebie, patrząc lękliwie na Tybauta, wyraźnie przejęte jego losem. Tak działał strach.

Strach przed Tannhäuserem.

Tybaut tymczasem zbierał siły, wciąż klęcząc, z pochyloną głową.

– Jeśli wyjmiesz ten nóż, najpierw wydłubię ci oczy, a potem utnę kciuki – zapowiedział Tannhäuser. – Będziesz mógł szpiegować innych kalekich pod bramą Hôtel-Dieu.

Tybaut wstał. Upokorzenie i wściekłość zamaskował uśmiechem.

– Przywykłem, by traktowano mnie z większym szacunkiem, panie.

Tannhäuser spoliczkował go drugą ręką. Tybaut był zdecydowanie zbyt powolny. Znowu upadł na kolana i dyszał ciężko, podparłszy się rękami.

– Wstawaj, luj. Oddaj mu ubranie.

Tybaut wstał z wysiłkiem. W oczach miał łzy.

– Masz charakter, chłopcze. Tylko że go marnujesz.

– To prawda, panie – odparł cherubin. – Jak miło spotkać kogoś, kto zaletami aż bije po oczach.

Tym razem szybko cofnął się o krok, ale nie doczekał się ciosu. Zdjął kaftan.

– Postaraj się nie zakrwawić koszuli.

– Trzeba było o tym myśleć, zanim wybiłeś mi zęby, panie.

– Słyszałeś dziś jeszcze jakieś plotki? Czego się spodziewasz?

Tybaut rzucił kaftan Juste’owi.

– Słyszałem, że będziemy dziś rabować i zabijać heretyków. Spodziewam się, że będzie ich bardzo wielu.

– Ty nie jesteś zabójcą.

– My, czyli paryżanie. Mamy najgorętszy dzień lata, a ktoś kopnął ul o jeden raz za dużo i pszczoły mają dość. Gdybyś nie był taki ważny, panie, może usłyszałyś ich brzęczenie. I zesrałyś się.

– Mówisz o milicji?

– Widzisz? Nie masz pojęcia, o czym mówisz – stwierdził Tybaut, zdejmując koszulę. – Kimże są ci milicjanci? Bandą brukarzy, niczym więcej. Istnieją jednak milicje wewnątrz milicji. Ligi, konfraternie. Niektórzy księża kierują własnymi milicjami. Niektórzy kapitanowie. Niektórzy szlachtetnie urodzeni panowie. Są i inne bractwa. Żebracy, złodzieje, przemytnicy, *bravos*. I luje. A wszystko to królestwa w królestwie, rządzone przez własnych królów, z realną władzą, choć bez tytułów. A poza tym wszystkim jest jeszcze policja, w której znajdziesz niezliczone faksje, spiskujące ze sobą lub przeciwko sobie. Każda z grup ma własne cele. Jak my wszyscy. A do czego ty dążysz? – Tybaut zwinął koszulę w kłębek i rzucił Juste'owi.

– Mam nadzieję, że nie jest mocno zawazona – rzekł Tannhäuser.

– Jestem bardzo wyczulony na wszy, pchły i kleszcze. Na moich dziewczynach też nie znajdziesz ani jednego owada. Troszczę się o nie, mój panie, dlatego – jak sam widzisz – kwitną. I wciąż mogą być twoje, za jednego białego franka. Albo twoich chłopców, jeśli chcieliby stracić niewinność. I nawet nie policzę podwójnie za tego idiotę. Prawdziwa okazja. Osobiście szkoliłem te słodkie owieczki. To mistrzynie wszystkich znanych form nieczystości, a także paru takich, które sam wynalazłem.

– Daj mi klucz.

Tybaut usłuchał. Tannhäuser podał mu kilka monet.

– Masz tu jeszcze jednego sola. Gdy zejdem na dół, twoje dziewczęta mają siedzieć na tej ławce, zajęte jedzeniem czegoś gorącego. Jeśli tak nie będzie, zatrzymam klucz.

Tybaut spojrzął na monety.

– Będzie zatem chleb i gorąca zupa, panie.

– Gołąbki.

– Zupy z gołąbków chyba nie dostanę, panie...

Tannhäuser spoliczkował go po raz trzeci.

Tybaut podniósł się szybko.

– Dziękuję w imieniu dziewcząt, panie.

Tannhäuser wspinał się po schodach równym rytmem, bez przystanków, ocierając się ramionami o ściany. Przed oczami miał wciąż widok wystraszonych twarzy młodocianych prostytutek. Pomyślał o Carli: pewnie wzruszyłyby ją do głębi.

Wyszedł na kamienną galerię łączącą dwie dzwonnice, ale nie zatrzymał się, by podziwiać panoramę miasta, nie spojrzął też w dół, na plac. Ruszył wprost ku północnej wieży, dostrzegł tam bowiem furtkę. Nie była zamknięta.

Szedł teraz jeszcze węższymi schodami. Oddychał z trudem i czuł ból w plecach; pochwa z mieczem stukotała o kamienne stopnie. Pot lał się z niego strumieniami. Wysiłek pomógł mu oczyścić umysł ze wszystkiego – poza obrazem Carli. Gdy zbliżał się do szczytu, czuł już tylko pustkę.

Wiatr owionął mu twarz – prawie chłodny, pachnący płonącym węglem drzewnym. Oparł czoło o kamień i przez chwilę oddychał głęboko. Wreszcie wstąpił na ostatni stopień, a potem na murek otaczający wierzchołek wieży. Poczul wiatr pod czubkami butów.

Spojrzał w dół.

Miasto falowało w oddali.

Po raz pierwszy czuł, że ma przed sobą żywy organizm, ogromną i szaloną jedność.

Paryż.

Dotąd ledwie musnął jego prawdziwą naturę.

To miasto wyrwało mu serce i zostawiło puste miejsce.

Mogłoby je zająć, gdyby tylko mu na to pozwolił.

Wtedy duch miasta połączyłby się z jego duchem i już nigdy go nie opuścił.

On zaś nigdy nie opuściłby Paryża.

Coś przynajmniej wypełniłoby tę pustkę.

Ale nie serce.

I nie miłość.

Tannhäuser nie miał nic przeciwko temu.

Miłość oznaczała ból.

Lucyfer wskoczył na murek tuż obok niego. Potoczył spojrzeniem po cuchnącej metropolii niczym dumny właściciel, a potem zadarł łeb i popatrzył na Tannhäusera.

– Przyszedłeś złożyć ofertę za moją duszę?

Okaleczony kundel szczeknął raz.

– Obawiam się, że jest już sprzedana.

– Panie?

Tannhäuser słyszał niepokój w głosie chłopca. Niespiesznie zszedł z muru.

Grégoire z ulgą oparł się plecami o drzwi. Juste dołączył do niego, sapiąc z wysiłku.

– Nie bój się. W swoim czasie znajdę inny sposób, żeby dokonać żywota.

Teraz dopiero Tannhäuser zauważył bezużyteczne, czerwone buty dyndające na szyi Grégoire’a.

– Jeśli jeszcze raz je zobaczę, zrzucę je z wieży.

Grégoire czym prędzej ukrył buty za plecami.

– Chodźcie tu. Spójrzcie na to.

Wyjął z kieszeni plan naszkicowany przez la Fosse’a i rozłożył go, drugą ręką wciskając na nos szkła. Papier był wilgotny od potu i inkaust nieco się rozlał, ale jedno i drugie było dobrej jakości – rysunek pozostał czytelny. Choć dość precyzyjny, odręcznie nakreślony plan nie dawał Tannhäuserowi prawdziwego poczucia skali. Miasto z oddali wydawało się małe, lecz wystarczyło minąć którąś z jego bram, by stało się olbrzymem bez granic, jak gdyby wkroczyć do Paryża oznaczało tyle, co przejść przez niewidzialną lukę w dziele stworzenia. Każda mila była jak dziesięć. Widziana z góry stolica była plamą w środku rolniczej krainy, rozlewającą się leniwie we wszystkich kierunkach. Dalej, wśród falujących zbóż dojrzałych do żniw, gnieździły się małe wioski. Pejzaż, aż po zielono-niebieski horyzont, zdawał się wibrować – i jeśli wyglądał jak panorama innego świata, to tak było w istocie. Świat zaczynał się bowiem za murami miasta; w ich wnętrzu rozciągał się Paryż.

Z pomocą Grégoire’a prześledził na planie pokonaną już drogę, próbując umiejscowić ją wśród budynków, które widać było ze szczytu dzwonnicy. Żaden z etapów podróży, począwszy od porte Saint-Jacques, nie wyglądał stąd na zbyt długi, a przecież wydawało się, że mieli za sobą wyprawę godną Odysa! Teraz dopiero Tannhäuser uświadomił sobie, jak niewielki skrawek miasta przemierzili. Nawet gdyby usunięto z niej wszystkich mieszkańców, francuska stolica pozostałaby labiryntem nie do zgłębienia. Co więcej, ogarnięta wiecznym wrzeniem, zmieniała się z minuty na minutę w coś, czym nigdy nie była i nie miała być ponownie.

Spoglądając na morze dachów, wśród których chyba nie było dwóch identycznych, wyszukiwał charakterystyczne punkty i próbował je zapamiętać. Widział domy wzniesione na domach i zabudowane kolejnymi, jakby całe to miasto było igraszką dziecka, stworzoną w nadziei na efektowny krach. Mech, który okrywał niektóre dachy, zdążył pojaśnić od letniego słońca. Pochylone mury kamienic przesłaniały wszystkie prócz dwóch lub trzech najszerszych ulic – najszerszych, a przecież mających co najwyżej dwadzieścia stóp szerokości. Po zielonych plamach ogrodów można było rozpoznać dzielnice, w których osiedlili się najzamożniejsi mieszkańcy stolicy.

Za zachodnim murem Dzielnicy Łacińskiej wznosił się gmach opactwa Saint-Germain. Inne przedmieścia, rozciągające się na północ i na południe od murów i fos miejskich, były żalosną zbieraniną dość nędznych chat, w których wegetowali co biedniejsi artyści. Île de la Cité była zaś zabudowana tak gęsto, że nawet z tego wysokiego punktu obserwacyjnego nie można było dostrzec oblewających ją wód Sekwany.

Na północny wschód od domu wdowy d'Aubray wznosiła się Wielka Wieża Temple, kwatera główna zakonu, do którego należał Tannhäuser. Jej ściany były białe, a donżon i narożne wieżyczki okryto stożkowatymi, czarnymi dachami. Wysoki mur obronny otaczał wieżę i dobrych trzydzieści akrów gruntu wokół niej; dodatkowym zabezpieczeniem były fosy, szańce i wieżyczki obserwacyjne.

Tannhäuser schował plan i okulary.

– Nie możemy tu zostać? – spytał Juste, wychylając się za mur. – Choć przez kilka dni? Moglibyśmy przynieść tu zapas wody i jedzenia. Kto by o nas wiedział? Kto by się zainteresował?

– Muszę odebrać pistolety i strzelbę, a potem, po raz ostatni, zobaczyć Carlę w kaplicy. Nie zginęła dlatego, że miała pecha. Została zamordowana na czyjeś zlecenie, a ja chcę wiedzieć dlaczego.

– Tybaut ma rację – powiedział Juste. – Długo nie pożyję.

To rzekłszy, wskazał kierunek. Tannhäuser spojrzał w dół, w stronę pont Notre-Dame.

Z tej wysokości widać było północno-zachodni fragment ulicy. Promienie słońca oświetliły właśnie symbol Złotego Młota. Zebrała się pod nim grupka ludzi odzianych w czerni. Stali plecami do witryny warsztatu, unosząc ręce nad głowami w geście kapitulacji. Było ich ośmioro, zapewne rodzina. W pobliżu zatrzepotał sztandar i w polu widzenia Tannhäusera pojawił się mały oddział milicjantów. Na krótką chwilę wszystko znieruchomiało, a potem zbrojni rzucili się z gwałtem na bezbronną rodzinę, w mgnieniu oka zmieniając ją w coś, co przypominało stertę czarnych, zakrwawionych szmat. Z tej odległości wydawało się, że zbrodnia dokonana się w całkowitej ciszy, jednak Mattias widział wyraźnie usta umierających, szeroko otwarte do krzyku.

– A może mógłbym zostać tu sam? – spytał Juste. – Z Lucyferem?

– Nie. Włóż tę koszulę i kaftan. Biały krzyż zatrzymaj.

Tannhäuser oddalił się w kąt tarasu, skąd miał lepszy widok na północ. Place de Grève zdążył na wpół opustoszeć. Regularne oddziały wojska wraz z artylerią pozostały na swoich pozycjach, za to luźne grupy milicji rozpełzały się z wolna we wszystkich kierunkach.

– Panie? – zawołał Grégoire.

Tannhäuser wrócił do niego. Chłopak wskazywał na słup dymu bijącego spomiędzy dachów w południowo-zachodniej części lewego brzegu. Dym był świeży, nie rozszedł się jeszcze w gorącym, nieruchomym powietrzu; wydawało się, że unosi się wprost z ulicy, a nie z jednego z okolicznych domów. Tannhäuser przypatrywał mu się, póki jego uwagi nie przykuły krzyki dobiegające z dołu, z samego placu.

Na placu zapanował chaos.

Uliczni sztukmistrze i handlarze pakowali manatki i umykali z wprawą tych, którzy nauczyli się zawczasu przeczuwać kłopoty. Nawet żebracy porzucali najlepsze miejsca, opodal wejścia do katedry.

Przyczyną exodusu był silny oddział milicji maszerujący pod trzema sztandarami w rytmie dwóch werbli i przy wtórze dziarskiej melodii granej na dudach. Czoło formacji wypełniało ulicę od muru do muru. Potężny brodaty mężczyzna w stalowym hełmie kroczył przed innymi, wymachując mieczem w takt muzyki. Pozostali tworzyli szyk pustego prostokąta, prowadząc w środku liczną grupę hugenockich jeńców, łatwo rozpoznawalnych po charakterystycznych czarnych strojach.

Byli tam ludzie w różnym wieku, obojga płci, w tym całe rodziny wypędzone z domów – w sumie sześćdziesiąt, może osiemdziesiąt osób. Niektórzy śpiewali i nawet na szczycie dzwonnicy można było wychwycić urywki żałobnych psalmów, chwilami zagłuszanych przez bębny, a chwilami przerywanych brutalnymi ciosami tępych drzewc w żebra.

Stan niepewnego pokoju, który panował w mieście od dwóch godzin, dobiegł końca. Stado postanowiło podążyć tropem krwi. Wszyscy królowie lękali się anarchii bardziej niż zarazy, lecz tym razem to król wypuścił ją z klatki. Bestia wypełzła ochoczo. Tannhäuser spojrzał na Juste'a.

– Drugi raz nie powtórzę. Wkładaj szmaty tego luja.

– Ten pożar w szesnastej... to chyba niedaleko od warsztatu drukarza – wtrącił Grégoire. Nadal wpatrywał się w rejon południowo-zachodniej krzywizny murów miejskich.

Tannhäuser podążył za jego spojrzeniem. Dym zgęstniał nagle; w powietrze uniosła się nowa, szersza chmura.

Wcisnął monetę w dłoń Grégoire'a.

– Sprowadź Clémentine na plac. Jak najszybciej.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Alice

Siedziały przy kuchennym stole, pijąc napar z dzikiej róży. Kuchnia mieściła się od frontu, a słońce stało już na tyle wysoko, by promienie trafiały w jej okna. Na zewnątrz było coraz goręcej; napój dawał orzeźwienie.

Carla nie mogła oderwać oczu od kobiety siedzącej naprzeciwko.

Ciało Alice było bezkształtne – miała z natury grube kości i dawniej była pulchna, jednak upływ lat i trudy życia pozbawiły ją tuszy. Skóra na jej ramionach i naznaczonych purpurowymi plamami policzkach zwisała luźno. Wargi pozostały pełne, lecz miały kolor wątroby i zapadały się nieco tam, gdzie brakowało zębów. Włosy Alice były ciemnorude, z pasemkami siwizny; przycięto je dość bezceremonialnie na wysokości ramion. Tylko w jej oczach, choć były jasnoszare, Carla dostrzegła podobieństwo do Grymonde'a. Wyczuwała w niej wielkie znużenie, ale i resztki żaru naturalnej siły, która w swoim czasie musiała być ogromna. Mimo wieku Alice emanowała prawdziwą wielkością. Ile mogła mieć lat? Carla nie umiała odgadnąć – co najmniej sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt, a może jeszcze więcej. Lecz choć niemłoda i zniszczona życiem Alice zdawała się nie podlegać takim kategoriom jak „wiek”.

– Czas to tylko bajka, skarbie – powiedziała, jakby czytając w myślach Carli. – I więzienie bez murów. Ci, co kazali nam wierzyć w jego istnienie, byli nadzwyczaj sprytni. Kalendarze, daty, „rok pański”, niezła sztuczka, nieprawdaż? Zamyka nam usta. Jak większość takich wynalazków, tak i czas jest tylko kolejnym biczem na nasze grzbiety. A teraz, gdy i zegary wymyślono, dajemy się jeszcze zakuć w kajdany i łańcuchy.

Carla nie bardzo wiedziała, jak na to odpowiedzieć. Znalazła się w kryjówce złodziei i siedziała oko w oko z matką człowieka bez cienia skrupułów gotowego zamordować każdego, kto stanąłby mu na drodze. Alice roześmiała się chrapliwie – gdyby mniejszy był w jej głosie ładunek ciepła, Carla mogłaby odebrać ów śmiech jako drwinę.

– Nie bądź taka nieśmiała, skarbie, nic ci z tego nie przyjdzie. Mów odważnie. Zapewniam cię, że jeszcze usłyszemy twój donośny głos. Nim zajdzie słońce, te ręce będą sprzątać po tobie, nie róbmy więc ceregieli.

– Brak mi słów, madame, by wyrazić wdzięczność za to, że mnie przyjąłeś.

Alice, wyraźnie rozczarowana, machnęła błyszczącą, czerwoną dłonią.

Carla uzmysłowiła sobie, że Alice jest nie tylko znużona, ale i chora – jej serce zaczynało szwankować. W całym swym życiu Carla nie spotkała jeszcze kobiety, którą mogłaby prawdziwie podziwiać, i poznała ledwie kilka takich, wobec których żywiła spory szacunek. Jej matka była słaba i potulna; bała się swego męża, bała się Kościoła, bała się nawet tego, co mogą o niej myśleć inni. W każdym możliwym sensie przeżyła życie na kolanach i umarła pełna żalu. W dodatku zdradziła Carlę w najpodlejszy sposób, gdy zgodziła się na to, by Orlandu został jej odebrany, kiedy tylko przyszedł na świat. Matka okradła córkę z macierzyństwa, a Carla nigdy nie znalazła w sobie tyle dobra, by jej wybaczyć.

Spróbowała się schylić i sięgnąć do kufra, ale brzuch jej w tym przeszkodził. Odsunęła krzesło i wstała, a następnie przykucnęła. W kufrze znalazła buteleczkę perfum. Zawinęła ją w jedwabny szal błękitny jak niebo, który kupiła kiedyś tylko dlatego, że miał kolor oczu Mattiasa. Wstając, poczuła ostry skurcz. Położyła zawiniątko na stole i czym prędzej podparła się obiema rękami. Oddychała głęboko, sięgając do najskrytszych pokładów dumy, by nie krzyknąć z bólu. Alice w milczeniu mierzyła ją wzrokiem, a Carla nie miała nic przeciwko temu. Akuszerka, z której usług korzystała poprzednim razem, zasypywała ją dzikim mnóstwem niepotrzebnych porad – póki Carla nie kazała jej umilknąć. Skurcz minął.

Wyprostowała się i uśmiechnęła z wysiłkiem. Alice odpowiedziała tym samym.

– Oto i kolejny masz za sobą.

– Ciekawe, ile ich jeszcze będzie.

– Lepiej o tym nie myśl, skarbie. Będzie ich więcej, niż sobie wyobrazasz. Staraj się zapomnieć o poprzednim, nim przyjdzie kolejny, a wtedy popłyniesz gładko, jak barka Kleopatry po rzece oślego mleka.

– Czasem boję się, że zabraknie mi sił.

– W całym świecie nie ma większej potęgi niż siła rodzącej kobiety. Gdyby Matka Natura nie stworzyła nas w taki sposób, w ogóle nie byłoby ludzi. Nic się nie martw, poradzisz sobie, gdy przyjdzie pora. A tymczasem dlaczego nie miałybyśmy cieszyć się chwilą? Na tyle, na ile to możliwe.

Wiara Alice w jej siły podziałała na Carlę jak kojący balsam. Poczuła, że wielki ciężar spadł jej z serca; wydało jej się to podejrzane, więc zaraz pomyślała, że postępuje nierozważnie. Czy miała powody, żeby oddawać życie – własne oraz dziecka – w ręce tej dziwnej starej kobiety? Nie, nie miała. Po prostu ufała swemu instynktowi oraz sile Alice. W tę ostatnią nie mogła przecież wątpić: matka Grymonde'a przeżyła wszak tyle lat tu, w Kukanii. Przetrwała. Carla przypomniawszy sobie, że i jej udało się przetrwać niejedno.

Odrzuciła wątpliwości. Wątpliwości oznaczały strach w najgorszej postaci, a strach był jej największym wrogiem. Uśmiechnęła się.

– Wspaniały plan. Tak... cieszymy się chwilą.

Znowu sięgnęła po zawiniątko i podała je Alice.

– Co to?

– Dla ciebie, madame. Podarunek.

Alice wytarła dłonie o spódnicę i ostrożnie rozwinęła błękitny szal. Dotknęła nim policzka, doceniając jakość jedwabiu. Przyjrzała się buteleczce, zanim wyjęła szklaną zatyczkę i uniosła szyjkę na wysokość brody, by powąchać.

– Rety – szepnęła. Dotknęła zwilżoną zatyczką skóry pod jednym, a potem i pod drugim uchem. – To za wiele dla takiej babci. Ludzie wezmą mnie za królową Saby.

– Nonsens. W całym Paryżu nie widziałam słodziej pachnącego domu. Pierwszy raz mogę normalnie oddychać. Proszę, przyjmij ten drobiazg.

– Nonsens, tak? No dobrze. Dziękuję. Ale zatrzymaj ten szal.

– On także jest twój.

– Nie, nie, jedno wystarczy. Przyda ci się do wycierania sutków, kiedy zaczniesz karmić. Czy nie po to zabrałaś go ze sobą?

Carla skinęła głową. Sięgnęła po szal i owinęła go sobie wokół szyi.

– Może trzeba było wybrać trochę ciemniejszy – nie powiem, ta suknia też nie powinna być tak jasna – ale tutaj nikt nie zwraca uwagi na takie sprawy. Usiądź wygodnie i powiedz to, co masz mi do powiedzenia.

– Mówiłaś, że czas to bajka, ale czy nie jest też warunkiem istnienia śmiertelnych ludzi?

– Nie jest. Matka Natura nie zna czasu i nie będzie go znać nawet wtedy, gdy ciała niebieskie zaczną spadać jak jabłka, a możesz mi wierzyć, że pewnego dnia zaczną.

Carla napiła się naparu, rozmyślając o Mattiasie i jego mistycznych rozważaniach.

– Nie jestem przeciwna takim pomysłom. Lecz z drugiej strony, przecież zmieniają się pory roku.

– I owszem, zmieniają. Podobnie jest z gwiazdami, są przecie w ciągłym ruchu. Mimo to nie wiedzą, co to miesiąc, rok, początek i koniec, a to dlatego, że końca nie ma. Jest tylko to, co przychodzi potem. Ile czasu mieści się we śnie? We wspomnieniu? W uścisku? Jeśli nie umiemy odpowiedzieć na te pytania, jak możemy zgadywać, ile czasu mamy w życiu? A ile ma go samo Życie?

– Biblia uczy, że Bóg stworzył wszechświat w sześć dni.

– A kto ją spisał? Głupcy. Bo na cóż Bogu dni?

Carla powstrzymała się od uśmiechu, choć bawił ją kpiący ton Alice.

– Trudno się z tym nie zgodzić.

– Zatem pozwól starej pogance dalej bluźnić: otóż Bóg nie stworzył i nas. Jesteśmy dziećmi Matki Ziemi; zrodziła nas tak samo jak liście na drzewach i ptaki na nieboskłonie. Jak wszystkie inne żywe istoty od zarania dziejów. Z żebra, tak napisali? Do licha! To i maciorę z żebra wieprza musiał zrobić, biedny Bóg. Strach pomyśleć, z której części ptaka ulepił mu samicę! – Mówiąc to, wykonała obsceniczny gest pięścią. – Nic dziwnego, że potrzebował aż sześciu dni.

Carla roześmiała się, a Alice jej zawtórowała, bijąc opuchniętą dłonią w blat stołu.

– Mądrości z tej księgi napełniły głowę mego syna niezliczonymi obrazami rozlewu krwi i występku, choć wcale tego nie potrzebował, bo ma wrodzony talent. Nie, żaden z niego uczony, po prostu lubi wzniosłe opowieści i dziwaczne koncepty. A skoro już rozmawiamy o czasie, to Biblię spisano wczoraj, a jutro – i nie będzie to jutro zbyt odległe – jak wszystkie inne święte księgi rozpadnie się na proch, podobnie jak kościoły i pałace jej obrońców, którzy mają się za tak potężnych. No, proszę: niech teraz przyjdą i spalą mnie na stosie.

Znowu się zaśmiały.

– Jako że nawet nie próbuję ci zaprzeczać, obie skończymy w płomieniach.

Carla przycisnęła dłonie do brzucha, ale lekkie ukłucie, które poczuła, nie było jeszcze początkiem skurczu.

– Wybacz starej babie – powiedziała Alice – ale brakuje jej tu porządnego towarzystwa. Cokolwiek powie, zapamiętaj lub zapomnij, wedle uznania.

– Zapamiętam z radością. Mnie także brakowało kompanii.

– Chyba nie zawsze. – Alice odchyliła głowę i zmrużyła oczy. – Kim jest ten twój anioł?

Carla odpowiedziała bez zastanowienia, choć wcale nie była pewna, czy o to ją zapytano.

– Moim aniołem jest Amparo.

– Jej duch jaśnieje tuż za tobą, błady jak świt. I podobnie nieustraszony.

– Tak, to cała Amparo.

Carla poczuła w oczach łzy. Zatrzepotała powiekami, by je rozpędzić. Odwróciła się, ale niczego nie zobaczyła. Jakąś częścią umysłu chciała nie wierzyć Alice, ale w głębi serca wierzyła jej bezgranicznie. Gdy znowu na nią spojrzała, Alice dostrzegła w niej tę wiarę.

– Masz szczęście, że trafiła ci się taka obrończyni. Zwłaszcza w tym, co cię czeka.

– Była mi najdroższą przyjaciółką. Ona...

– Amparo o tym wie, ty także wiesz. Staruszka nie musi wiedzieć. Dobrze, że chociaż jesteśmy świadome jej obecności.

– Dziękuję, że mi powiedziałaś. Rzeczywiście... dobrze mi. Bardzo dobrze.

Alice poruszyła się na krześle, by rozprostować kości, a potem klasnęła w dłonie.

– Dajmy jej chwilę milczenia. Niech Amparo wie, że cenimy jej bliskość.

Carla zamknęła oczy i pozwoliła, by napełnił ją duch Amparo. Pamiętała każdy ze złotych dni, które spędziły razem ⁶. Trudno było wyobrazić sobie bardziej niedobraną parę, ale jakąż muzykę tworzyły razem! Osobliwe szlaki, jak powiedział kiedyś Mattias, osobliwe szlaki przywiodły je ku sobie. I Mattiasa do niej. I Carlę do tego stołu, przy którym teraz siedziała. W innej sytuacji pewnie zadawałaby sobie w nieskończoność pytania o to, co tu się właściwie dzieje, a zadając je, skazałaby się na brak sensownych odpowiedzi. Czula, że jest w domu. Nawet nie wiedziała dlaczego, mało tego, nigdy wcześniej w żadnym miejscu nie czuła się podobnie. Ani w mrocznym mauzoleum, w którym wychowywali ją rodzice, ani w domu, w którym mieszkała od niemal dwudziestu lat. Zdarzały jej się tylko krótkie chwile takiego szczęścia: czasem gdy przenosiła się w świat muzyki, czasem w siodle, a czasem nawet w chaosie szpitala maltańskiej twierdzy. I w ramionach Mattiasa. A teraz czuła się jak w domu w nędznej kuchni, w sercu najuboższej dzielnicy.

Przeszył ją smutek tak dotkliwy, że słone łzy spłynęły po jej policzkach.

– Przepraszam, madame.

– Pozwól im płynąć, skarbie.

– Sama nie wiem, co się ze mną dzieje.

Alice wyciągnęła rękę, a Carla uściśnęła ją. Dłoń była chłodna, a jednak popłynęło z niej ciepło tak wielkie, że fala miłości jeszcze przybrała na sile.

– Nie wiem, gdzie jest Mattias. Orlandu zaginął. Dzieci, które całowałam na dobranoc, zostały wymordowane, a ja słuchałam ich krzyków, nie czyniąc nic, by im pomóc. Otaczają nas szal, nienawiść, okrucieństwo, chciwość...

– Nie tutaj, skarbie. Nie tutaj.

Carla mimowolnie zerknęła w stronę drzwi i biesiady trwającej gdzieś za nimi.

– Pozwól im się bawić, to ich sport – powiedziała Alice.

– Sport, w którym trofeum jest ludzka skóra.

⁶ O Amparo i jej przyjaźni z Carlą można dowiedzieć się więcej, sięgając po *Religię* tego samego autora (REBIS, 2007).

– Pewnego dnia głowa mojego syna zostanie zatknięta na pice, gdzieś wysoko nad murami miasta.

– Żadna suma złych uczynków nie daje w wyniku dobra.

– Staruszka nie twierdzi, że daje. Zauważa tylko, całkowicie zgadzając się z tobą, że barbarzyństwo i zepsucie to tylko jedna strona monety, którą jest królestwo człowieka.

– Ale dlaczego? Przecież dla wszystkich starczyłoby miejsca...

– Nie szukaj prawdy w polityce, skarbie. Nie szukaj odpowiedzi tam, gdzie nigdy ich nie znajdziesz.

– Jesteśmy zatem bezradni?

– Ależ skąd, przeciwnie. Nie powstrzymamy uczynków złych ludzi, lecz tym bardziej nie powinniśmy szukać pomsty. Oni nigdy nie przestaną, nigdy nie zabraknie głów oraz pik, na których można je zatknąć. Ale to oni są bezradni. To oni zaprzędali dusze bożkom, których sami wymyślili. My zaś nie musimy zarazić się ich szaleństwem. Możemy otworzyć się na ich przerażający świat – albo nie. Możemy też żyć tak, jak nam przykazała Matka, właśnie tu albo w dowolnym miejscu. My, czyli ty i twoje dziecko, i Amparo, i ta sędziwa wybranka diabła, która do ciebie mówi.

– Buty mam pełne krwi, którą dziś przelali. Trudno zignorować coś takiego.

– Prosta kobieta nie każe ci ignorować. Tym bardziej nie twierdzi, że będzie „łatwo”. Możemy za to skupić się na sprawach, które czynią nas większymi, ale nie umniejszają w nas ducha.

– To właśnie twój syn... – Carla ugryzła się w język.

– Niepodobna zliczyć, ile razy mój syn złamał to wiekowe serce. Taka jest rola synów, a my, matki, możemy jedynie trwać. To mężczyźni, skarbie. To potwory. Nawet ci, których uważa się za dumę rodzaju ludzkiego, a już zwłaszcza ci, którzy sami mają o sobie takie mniemanie. Nie możemy ich jednak za to winić, tak jak nie możemy winić deszczu za to, że jest mokry. Oni boją się Życia – nawet gdy nie boją się śmierci – albowiem czują w kościach, że nigdy go nie ujarzmią, choć tak bardzo się starają. Plotą więc te swoje bzdury: „Oto świat, jaki być powinien”, i robią wszystko, by go zmienić, dopasować, zdominować, zamiast żyć w świecie bez skazy, który został nam dany. Stąd te ciągle wojny, które toczą z innymi i z samymi sobą, przeciwko Życiu. A wszystkie te swoje nieszczęsne wizje świata nazywają „cywilizacją”. Paryż zaś jest jej centrum, jak mówią, i to jest lepsza konkluzja, niż jakiegokolwiek słowa, które mogłabyś usłyszeć od starej wiedźmy.

– Ja też mam syna.

Alice nie odpowiedziała. Carla wpatrywała się w stół, nie widząc niczego. Orlandu, gdy jeszcze był całkowicie niewinną istotą, i nie mając żadnego wpływu na swój los, złamał jej serce, zanim w ogóle pojął, co to takiego. I złamał je po raz drugi, gdy opuścił ją, by udać się do Paryża. I wtedy, gdy namówił Mattiasa, by go nauczył walczyć nożem. I wtedy, gdy...

– I noszę w sobie jeszcze jednego.

– Szanse, jak zawsze, są wyrównane. Zobaczymy. Jak wiele to dla ciebie znaczy?

– Nic. Oczywiście, że nic. Chłopiec czy dziewczynka, to przecież moje dziecko.

– Dla niektórych ma to wielkie znaczenie. Niektóre kobiety także ulegają mrzonkom.

– Alice raz jeszcze ścisnęła dłoń Carli, a gdy cofnęła rękę, pozostawiła przemożne poczucie straty. Położywszy dłonie na stole, pochyliła się, by wstać z wysiłkiem. – Woda w kociołku jeszcze gorąca. Zaraz zmyjemy tę krew.

– Nie... Nie odchodź, madame, zostań jeszcze, proszę. Nie pierwszy raz brodziłam we krwi. To nic nie znaczy, a ty... Ty masz rację. Wiem, że masz. Naprawdę. Proszę, pozwól mi znowu trzymać twoją dłoń. – Carla chwyciła ją za rękę i spojrzała w długą, srogą zimę jej oczu. – Masz tak niewiele, a tak wiele dajesz.

– O tym gadać nie będziemy, dziękuję bardzo. Nie mamy swojego straganu na rynku, choć moglibyśmy. Dom jest pełen rupieci.

– Nie chciałam cię obrazić. Chciałam tylko...

– Wiemy, co chciałaś, skarbie. I nie obrażamy się. – Alice rozprostowała obolałe ramię. – Co się zaś tyczy tego, co zapewne rozumiesz pod pojęciem „mieć”, to sama nie masz praktycznie nic. Bo przecież rzeczy, które zostawiłaś daleko stąd, nie masz przy sobie i kto wie, czy kiedykolwiek jeszcze je zobaczysz. Po cóż więc na nich polegać?

– Nie polegam na nich. Gdybym polegała, zapewne nie byłoby mnie już między żywymi.

– Dobrze powiedziane, dziewczyno. Po mojemu, nie warto posiadać niczego, co nie daje się unieść w rękach.

Carla uśmiechnęła się i poczuła na policzkach ślady zaschniętych łez. Oczami duszy zobaczyła Orlandu, wyczerpanego, bo takim ujrzała go po raz pierwszy. Zobaczyła też Mattiasa, jak z pokładu galery spogląda nocą na płonące dzieło swego życia. I wreszcie zobaczyła siebie, nie w jednym miejscu czy chwili, lecz w wielu naraz, a w każdym z nich nie posiadała niczego cennego prócz paru drobiazgów – może tylko w takich chwilach naprawdę była sobą? Jeśli tak, to nigdy nie była sobą bardziej niż tu i teraz.

– Nie usłyszałaś tu niczego, o czym byś sama nie wiedziała. – Alice także się uśmiechnęła. – Być może i ty jesteś po trosze wiedźmą.

– Być może.

– Wspaniale. Teraz możemy rozmawiać normalnie.

Carla wróciła myślą do wywodów Alice i znalazła w nich błąd.

– Nie umiałabym unieść konia, a przecież bez niego byłabym naprawdę uboga. Choć z drugiej strony, konia nie można posiadać, można go mieć co najwyżej za towarzysza.

– To przyjemność, której te stare kości nigdy nie zaznały. Miło, że dzielisz się nią ze mną. A jeśli już chodzi o dawanie – i nie, nie mówię tylko o koniach – to jesteśmy sobie równe. I mam nadzieję, że tak pozostanie, cokolwiek się zdarzy.

– Pochlebiasz mi. – Carla dostrzegła ostrzegawczo uniesioną brew Alice. – Tak. Zgadzam się. Pozostańmy równe sobie. – Brew opadła. – Pozwolisz, że zadam ci dziwne pytanie?

– Takie są zwykle najlepsze.

– Nazywasz mnie „skarbem”.

– Pasuje do ciebie to miano. Ale jeśli ci to przeszkadza, będę cię nazywać tak, jak tylko zechcesz.

– Nie, nie, to urocze.

Carla znowu się uśmiechnęła. W uśmiechu Alice dostrzegła cień ironii.

– To wszystko, jeśli chodzi o dziwne pytania?

– Może jeszcze jedno? Niewykluczone, że się mylę, ale nie wydaje mi się, żebyś choć raz użyła słowa „ja”.

– Nie mylisz się. Stara kobieta nie pragnie się oszukiwać, że stoi w centrum znaczących spraw, a to właśnie sugeruje słówko „ja”, tak popularne wśród otaczających ją ludzi i jak żadne inne będące przyczyną tego, że tak często przychodzi nam brodzić we krwi. Dzięki temu wyraźniej widzi prawdziwą naturę świata: to, że jest ledwie jego nicią, a nie tkaniną.

Carla słuchała uważnie. Rozsądek, skonsternowany, nie wiedział, co sądzić o tych słowach. Dusza pojęła w lot: w tej jednej chwili, bardziej niż kiedykolwiek, Carla nie myślała o sobie „ja”; myślała „my”.

– Mogłaby też zauważyć – dodała Alice – że wcale nie jest to kwestia fałszywej skromności.

– To już ustaliłyśmy. Jesteś więc złotą nicią.

Alice skwitowała ten komplement lekkim skinieniem głową.

– Poza tym – odezwała się po chwili – każdy z nas ma swoje anioły.

– Żałuję, że nie umiem ich dostrzec. Zapewne są wspaniałe.

– Nie bardziej niż twoje czy innych ludzi. A kiedy naprawdę otworzysz oczy, zobaczysz je.

– Mogę cię nazywać „Alice”?

– Do licha, na pewno byłoby to lepsze niż „madame”.

Carla poczuła, że zbliża się kolejny skurcz. Wstała i oparła się rękami o stół. Tym razem już się nie powstrzymywała: jęknęła głośno i trochę jej ulżyło. Ucisk w brzuchu powoli ustępował, za to ból pleców narastał, aż zaczęła się obawiać, że coś złego stało się z jej kręgosłupem. Wbiła dłonie w lędźwie, ale nie umiała docisnąć wystarczająco mocno, by poczuć ulgę.

Alice wstała. Nawet jej stoicki spokój nie mógł zamaskować wysiłku, który musiała włożyć w tę prostą czynność.

– Nie wstawaj, Alice. Już mija.

Carla uniosła głowę i wyprostowała się, próbując ukryć ból. Alice poczłapała wokół stołu. Jej kostki były mocno spuchnięte, podobnie jak stopy, które wylewały się z rozdeptanych pantofli. Alice zatarła ręce i stanęła za plecami Carli.

– Nic dziwnego, że boli – mruknęła. – Opuść ramiona, stań w lekkim rozkroku i wypchnij biodra. Nie jesteś na audiencji u królowej.

Carla wykonała polecenie. Ból nieco złagodniał.

– A teraz zobaczmy, czy te aniołki trochę ci pomogą...

Carla była absolutnie pewna, że nie poczuła na lędźwiach dotyku jej rąk, a jednak przeniknęła ją fala gorąca. Nie minęła chwila, a ostry ból zmienił się w łagodne pulsowanie.

– Jak to zrobiłaś?

– Każdy ma ręce, które leczą, ale nie każdy wie, jak ich używać.

Alice pokuśtykała w stronę kredensu, wyraźnie oszczędzając jedno biodro. Sięgnęła po sporą misę i umieściwszy w niej dwie mniejsze miski, dwie łyżeczki, trochę drewna oraz nóż, rozłożyła wszystko na stole.

– Pozwól, że ci pomogę.

– Spokojnie. Jestem gotowa.

Alice wróciła do kredensu, by wyjąć gliniany garnek, który także postawiła na stole. Na jej krześle leżała wytarta poduszka w kolorze świeżej trawy. Poprawiwszy ją nieco, Alice usiadła i stęknęła z ulgą. Purpurowe plamy na jej policzkach wyraźnie pociemniały. Przez chwilę sapała z wysiłku, podparta zaczerwienionymi łokciami, nim wrócił właściwy rytm oddechu. Niepokój ogarnął Carlę. Nie chciała, by asystowanie przy jej porodzie nadmiernie

wyczerpało Alice. Może zdążyłyby wezwać jeszcze kogoś do pomocy? Kobieta zauważyła troskę w jej oczach.

– Mówię przecie: spokojnie. – To rzekłszy, odkaslnęła w otwartą dłoń i przełknęła ślinę, krzywiąc się z bólu. – A teraz otwórz ten garnek i zaczynajmy.

Gliniane naczynie pokryte było warstwą smoły, a pokrywkę uszczelniono plecionką z witek wierzbowych namoczoną w wosku. Carla odcięła ją i ze słoja rozszedł się słodki aromat. Zapomniała, jak bardzo była głodna. Garnek był pełen płynnego miodu, w którym zatopiono połówki gruszek. Napełniła nim dwie małe miski.

– Pięknie pachnie, ale nie tylko miodem i gruszkami.

– Jeśli sięgniesz głębiej, wyłowisz też krojone pigwy, są wyjątkowo smaczne. I nie żałuj nam tego miodu, lej, ile wlezie. Musimy wykończyć ten garnek, zanim wróci mój syn. To cud, że tak długo udało mi się go przechować.

– Dokąd poszedł Grymonde?

– Staruszka nauczyła się nie pytać.

– Ale wróci?

Carla czuła się tu bezpieczna, lecz z Grymonde'em czułaby się jeszcze bezpieczniej.

– Ta większa miska też jest dla ciebie, gdybyś chciała sobie rzygnąć.

– Nadal odchodzą mi wody.

– Ta podłoga widywała już gorsze rzeczy. Pamiętaj tylko, żeby mi powiedzieć, gdybyś zauważyła, że są zielonkawe albo krwiste.

– Mogę jeść na stojąco? Tak będzie mi wygodniej.

– Ależ proszę, pomożesz dziecku wyjść.

– Naprawdę? Naturalnie stanęłabym choćby i na głowie, gdybyś mi to doradziła, ale... akuszerki, które mi pomagały, zawsze zalecały, żebyśmy leżała w łóżku przez cały dzień.

Alice oceniła tę praktykę lekceważącym pomrukiem i skrzywieniem ust.

– Poczekaj tylko, aż chirurdzy dostaną nas w swoje ręce, o czym oczywiście marzą. Grabarze i księża zarobią fortunę.

Alice sięgnęła po swoją miskę i zaczęły jeść. Siorbiąc, sapiąc i mlaskając, słuchała komplementów Carli, która myślała o niej z coraz większym rozrzewnieniem. Ciepłe uczucia osiągnęły w końcu taką moc, że po jej policzkach znowu pociekły łzy. Alice przesunęła po stole pustą miskę, a Carla napełniła ją na nowo, obficie polewając miodem. Przeprosiła, gdy na słodki deser kapnęła łza. Odstawiwszy garnek, wzięła łyk różanego naparu.

– Nasza Matka z radością przyjmuje wszystkie nasze łzy, skarbie. Przypominają jej o tym, że jesteśmy warci tyle, ile ją kosztowaliśmy. A najbardziej cieszą ją łzy radości. Daj no, podgrzeję ci ten napar.

– Nie, smakuje mi chłodny. Muszę splukać tę słodycz miodu.

Jeszcze jeden łyk i Carla wzięła się w garść. Zazwyczaj nie bywała zbyt sentymentalna.

Zagraj dla niej, szepnęła Amparo.

Jej głos był tak wyraźny, że Carla odwróciła się mimowolnie. Nie ujrzała ani światła, ani żadnej innej emanacji, co lekko ją rozczarowało. Jej wzrok zatrzymał się na futerałach wioli, upchniętym między rupieciami.

– Co powiedziała? – spytała Alice.

– Żebym zagrała dla ciebie.

– To twój instrument, nie skradziony? Jakbyśmy mało mieli innych gratów...

– Grymonde niczego mi nie zabrał. Właściwie nie pojmuję dlaczego. Jest taki... – Carla zawahała się. Nie wiedziała, jak ubrać wrażenia w słowa.

– Mój syn jest istotą szaloną, krwawą i piękną. Jego sprawy są tylko jego sprawami, a twoje – tylko twoimi. Stara kobieta nie będzie w nie wnikać. Ale jego domena kończy się za tymi drzwiami, więc jeśli tylko spróbuje cię nękać, daj mi znać.

– Nie jestem jego więźniem... a przynajmniej tak mi się zdaje.

– I na tym poprzestańmy. Czujesz się na siłach, by grać?

– Przynajmniej do kolejnego skurczu.

– Aniołowi się nie odmawia, skarbie. A inni też chętnie posłuchają.

Gdy Carla sięgała po instrument, dopadł ją kolejny skurcz, który nawet ją ucieszył, bo dawał jej więcej czasu na grę. Wsparta o futerał, przeczekała, aż minie najwyższa fala bólu. Skurcz, jak wszystkie ostatnio, był silniejszy od poprzedniego – aż ujrzała światełka tańczące pod zaciśniętymi powiekami – ale minął o wiele szybciej niż ten, który omal nie rozłożył jej na dziedzińcu. Teraz dopiero zrozumiała, jak bardzo się bała, mimo pozorów odwagi. Przeciągnęła się, a potem rozpięła klamry futerału i wyjąwszy violę oraz smyczek, przysiadła na skraju krzesła.

Naprężony brzuch zasłaniał jej uda. Rozłożyła je szeroko, czując napięcie mięśni i parcie dziecka w dół – wiedziała już, że niełatwo będzie pracować smyczkiem w tym stanie. Uniosła nieco instrument, złączyła nogi i oparła pudło o zewnętrzną część lewego uda, obracając się ku niemu całym tułowiem. Nie była to przepisowa pozycja, ale przynajmniej umożliwia granie.

– Amparo pochodziła z Hiszpanii i stamtąd przywiozła tę *la folia*, wywodzącą się z tańców poganiaczy bydła, wśród których dorastała. Właściwie nie jest to utwór w tradycyjnym sensie. Nie ma stałej formy ani tematu, choć trzyma się gamy d-moll. Wykonując go, nigdy nie wiedziałyśmy, dokąd nas zaprowadzi. I nigdy nie zagrałyśmy go dwa razy tak samo.

Nagle owładnęło ją onieśmienie, którego dotąd nie znała. Choć zdarzało jej się grywać dla książąt i łotrów, takiej publiczności jeszcze nigdy nie miała. Spuściła oczy. Alice, która obserwowała ją bacznie, skinęła głową. Carla spróbowała zaczerpnąć siły od anioła, który stał za nią.

– Amparo mówiła, że *la folia* trzeba grać tak, jakby próbowało się schwytać wiatr.

Viola da gamba, na której grała Carla, była częścią jej ciała podobnie jak opuszki palców. Mimo to, gdy tylko trąciła struny w prostym arpeggio – od najwyższych do najniższych tonów, by sprawdzić strój – bezbrzeżna głębia dźwięku, który rozbrzmiał w kuchni, zaparła jej dech w piersi.

Usłyszała westchnienie Amparo.

Usłyszała jej pomruk zadowolenia.

Viola przemówiła pod rękami Carli, drząc na krawędzi życia i śmierci. Instrument był tak bliski jej sercu jak żywa istota, a tego, że jest żywą istotą, była pewna jak własnego imienia. W jej samotności – a także w miłości, zagubieniu, żałobie, radości, rozpacz czy zawstydzeniu – viola była potwierdzeniem i pochwałą wszystkiego, co w jej duszy najprawdziwsze. Zanim wybrzmiał akord, Carla sięgała po następny, nieustannie biegnąc, ścigając wiatr.

Nuty fruwały razem z nią, biorąc się nie wiadomo skąd. Przenikały ją nagłymi i zmiennymi podmuchami, były jak niespokojna toń oceanu, jak opadające z drzew kwiecie, jak grad, jak spłoszone gołębie, jak dudnienie dalekiego grzmotu. Szlochała. Uśmiechała się. Roztapiała się w muzyce. Nie wiedziała już, kim jest, a w owej niewiedzy doświadczała niepojętej jedności ze światem. Drewno, skóra, struny, dźwięk, dziecko, pigwy, kobieta. Skurcz. Pochyliła się, czując naprężenie mięśni, wtuliła w instrument, nieprzerwanie pracując smyczkiem, nawet prędeej, mocniej; już nie ścigała wiatru, ale dosiadała go. Odrzuciła głowę do tyłu i krzyknęła w ekstazie. *La folia* odpowiedziała jej krzykiem, a potem zniknęła ostatnia granica – życie i śmierć stały się jednym.

Ta pieśń nie miała końca; taka była jej natura.

I dlatego, gdy Carla przestała już grać, nawet o tym nie wiedziała.

– Carla? Dobrze się czujesz, skarbie?

Otworzyła oczy, dopiero gdy poczuła dłoń na swym ramieniu. Siedziała głęboko pochylona, obejmując brzuch jedną ręką, a violę drugą. Podniosła się wolno i spojrzała na Alice. Stara kobieta przyglądała się jej z troską.

– Alice... Przepraszam, nic mi nie jest. Wybacz, jeśli cię nastraszyłam.

– Już dobrze – odpowiedziała Alice półgłosem. – Nie płozmy jej.

Miała na myśli *la folia* – i miała rację. Cień muzyki jeszcze trwał, niczym woń kadzidła.

Alice odebrała instrument z rąk Carli. Spróbowała też schylić się po smyczek, który spadł na podłogę, ale zatrzymała się w połowie drogi, wsparta na gryfie violi. Carla sięgnęła po smyczek i wyprostowały się razem, niemal twarz przy twarzy. Po raz pierwszy znalazły się tak blisko siebie i teraz dopiero dotarło do niej, jak bardzo skupiała się dotychczas na sobie i zbliżającym się porodzie: nawet nie zauważyła, jak kruchą istotą jest Alice. Owszem, dostrzegła pewne oznaki, ale wewnętrzna siła staruszki była tak wielka, że przyćmiewała słabości. Carla wiedziała też, że nie dojrzałyby ich, gdyby Alice nie zechciała ich odsłonić.

Objęła ją rękoma, przyciskając brzuch do jej ciała.

Alice przytuliła policzek do jej piersi i przemówiła łamiącym się głosem:

– Ja całe życie czekałam, by usłyszeć Pieśń Ziemi.

Carla pogładziła jej włosy; były cienkie i suche. Milczała. Alice uniosła głowę i po raz pierwszy położyła dłoń na jej brzuchu. Był to dotyk nadspodziewanie delikatny, a jednak ciężarna poczuła, że jej ciało zdradza wszystkie swoje sekrety. Alice skinęła głową i w jednej chwili wróciła jej dawna, niepokorna natura.

– Jest już blisko – powiedziała. Oddawszy instrument, cofnęła się o krok. – On lub ona.

Obchodząc stół dokoła, znowu emanowała wielkością.

Dopiero odkładając violę, Carla uświadomiła sobie, że Alice powiedziała „ja”.

Domknęła futerał, odwróciła się i zobaczyła, jak Alice zdejmuje z półki chudą talię kart i zaczyna je tasować. Po chwili wybrała jedną i położyła na stole, awersem do góry. Przez kilka chwil w milczeniu kontemplowała swój wybór. Wreszcie zamknęła oczy i rozrzuciła na stole pozostałe karty, tym razem awersami do dołu. Wymieszała je jeszcze, jednocześnie całym ciałem wykonując miarowe ruchy w przód i w tył. Wreszcie znieruchomiła i otworzyła oczy. Zebrała talię, lewą ręką odjęła kilka kart z wierzchu i odłożyła je na bok. Z pozostałych wyciągnęła jedną i położyła na stole, nieco bliżej i na lewo od tej, którą wyciągnęła jako pierwszą. Choć musiała dobrze znać tę figurę, przyglądała się jej w skupieniu granicznym z transem. Odwróciła kolejną i dołożyła na prawo od drugiej.

Przyjrząwszy się jej, wybrała czwartą kartę i także dodała z prawej strony, tworząc linię. Teraz odłożyła talię i oparła obie dłonie o blat. Przez długi, długi czas pochylała się nad kartami.

Carla nie umiała wyczytać z nich tego, co tak pochłaniało Alice. Czekala więc. Nadszedł kolejny skurcz. Położyła dłonie na kolanach i pochylona poddała się fali bólu. Napięcie było silne, ale nie przerażało jej tak jak poprzednie. Czuła w sobie moc. Poród nie był już czymś, co miało się jej przytrafić. Natura już nie trzymała jej w garści. Poród był czymś, czego miała dokonać wspólnie z Naturą. Skurcz minął.

Alice usiadła na krześle i skinęła na Carlę.

Pierwszą kartą, którą Carla ujrzala, stanawszy u jej boku, była Śmierć. Ujrzała i odwróciła głowę.

– Zobaczmy, co ciekawego wypatrzą dwie wiedźmy w kartach – powiedziała Alice.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Człowiek w ogniu

Dotarłszy do podnóża spiralnych schodów, Tannhäuser zamknął drzwi, a klucz zawiesił na szyi Juste'a. Bliźniaczki siedziały na wskazanej przez niego ławce, popijając zupę z drewnianych misek; pieczonego ptactwa nie było. Pomachały mu na powitanie i posłały po umęczonym, czerwonym uśmiechu, niewątpliwie zgodnie z rozkazem swego luj. Zupa zdążyła rozmazać nieco barwnik wokół ich ust, ale oczy pozostały niezmienione: pełne strachu. Ten sam strach był w nich i wtedy, gdy spotkali się po raz pierwszy, przy bramie Saint-Jacques. Strach wieczny. Ból częsty. Upokorzenie nigdy nieustające.

Tannhäuser odwrócił głowę.

Tybauta nie było w zasięgu wzroku.

Wyszędłszy z katedry główną bramą, Tannhäuser przystanął.

Plac powitał go wielką plamą krwi o nieregularnym kształcie, której powierzchnia drgała nieznacznie niczym kropla rtęci. Pomału pełzła naprzód, przekradając się szczelinami między brukowcami. Jej źródłem były gardła czterech mężczyzn, poderżnięte z nadzwyczajnym zapalem, głębiej niż potrzeba, jakby mordę dokonał ktoś, kto na co dzień zajmuje się trybowaniem mięsa. Ciała odziane w czerń i lśniące od krwi w porannym słońcu rzucono niedbale na stertę; niemal ucięte głowy zwisały pod dziwaczными kątami.

Tannhäuser przyglądał się brodatemu kapitanowi, którego wcześniej wypatrzył z dzwonnicy, a który właśnie podrzynał gardło piątemu hugenotowi. Ręce ofiary, podobnie jak czterech poprzednich, spętano za plecami. Kapitan zadał śmierć z ową niezwykłą sprawnością, która powoduje, że nawet najtrudniejsze czynności wydają się proste: jednym ruchem ręki, połączonym z rotacją korpusu w biodrach, za pomocą noża ostrzonego tak wiele razy, że jego ostrze przyjęło sierpowaty kształt. Pierwotny jęk eksplodował w tłumie zebranych dokoła, a złożonym i z katolików, i z pojmanych protestantów. Niegodna śmierć nieodmiennie budziła emocje, przynajmniej na chwilę jednocząc ponad podziałami.

Kapitan był mężem byczej postury; gdy efektowne fontanny krwi ustały, zasiliwszy czerwone jezioro, jedną ręką przeciągnął trupa i chwyciwszy za pasek, rzucił do pozostałych.

Tannhäuser poczuł, że Juste wtula twarz w jego plecy. Rozejrzał się w poszukiwaniu Clémentine, ale siwej klaczy nie było.

Tłum przyglądający się kaźni złożony był nie tylko z członków milicji i ich jeńców, ale także z żebraków i cywilów o mrocznej naturze, którzy w zadziwiająco dużej liczbie

zdecydowali się pozostać w tym ponurym miejscu. Przygryzając długi wąs, brodacz spojrział na Tannhäusera, który odpowiedział tym samym. Podobnie jak większość jego ludzi, kapitan nosił na ramieniu białe i czerwone wstążki. Wolno przeniósł wzrok na buty Mattiasa i na falę krwi, która właśnie się do nich zbliżała. Gdy ich dosięgnęła, Tannhäuser nie cofnął się nawet o pół kroku. W szeregach milicji rozbrzmiał cichy pomruk.

Kapitan uniósł naraz ręce, żeby uciszyć swych ludzi, jakby żałował, że przestał być w centrum uwagi.

– Obiecaliśmy sobie, że choć raz w ich chciwym, złodziejskim życiu prawnikom się nie upieczą. Podobny los spotka heretyków i zdrajców, którzy mają czelność negować prawdę o prawdziwej obecności Chrystusa, a za garść soli gotowi są sprzedać nasze miasto Anglikom i Holendrom. I oto stajemy tu przed pierwszym rojem tego robactwa, który z Bożą pomocą nie będzie ostatnim.

Milicjanci odpowiedzieli mu gromkim okrzykiem aprobaty, a ponad sześćdziesięciu schwytanych – jękiem i lamentami. Kapitan rozpromienił się.

– Muszą być hugenoci, kapitanie? Zwykli prawnicy nie?

Kapitan zmarszczył czoło. Był w tym naprawdę dobry.

– Spokojnie, towarzysze, przed nami nie lada dzieło. Dzieło z woli króla. Dzieło Boże. A kimże jesteśmy, jeśli nie silnymi, ale i skromnymi pomocnikami, którzy poprzysięgli wypełnić jego wolę? – Kapitan przeżegnał się zakrwawionym nożem. – No, który tam następny? Chodźcie do mnie, chodźcie, im prędzej skończymy, tym wcześniej zabierzemy się do kolejnej grupy.

Mocne pchnięcie rzuciło szóstego mężczyznę na kolana. Kapitan spojrział mu w oczy i wtedy na jego twarzy pojawił się błysk zrozumienia, a zaraz potem czystej złości. Pochylił się nad swą ofiarą, niemal nos w nos.

– Pamiętasz mnie, prawda? Ależ oczywiście. Bernard Garnier, fałszywie oskarżony o morderstwo w sześćdziesiątym trzecim. A potem nieustannie ścigany za długi procesowe. Powinieneś pamiętać, gnoju, bo to do twojej kieszeni popłynęły moje pieniądze.

Wulgarny śmiech. Spętany mężczyzna spuścił wzrok.

– Nie, nie, nie – mówił Garnier. – Tego łajdaka zostawimy sobie na koniec. Ustawcie go tylko tak, żeby dobrze widział. I zdejmijcie mu buty. Jeśli zamknie oczy, dźgniecie go w stopy. To samo uczynicie, jeżeli zacznie mamrotać te swoje hugenockie herezje. A teraz dajcie mi tu jego żonę i dzieci, niech sobie popatrzy, jak upuszczam im krew.

Tannhäuser zerknął w lewo dokładnie w chwili, gdy zjawiał się Tybaut, wciąż bez koszuli. Chłopak oddychał płytko i szybko, natchniony dumą, ale i niesiony odwagą

rozciągniętą do granic możliwości. Jego policzki były spuchnięte i mocno zaczerwienione. Jedną rękę trzymał za plecami.

- Przyjmij moją radę, Tybaut: idź stąd.
- Chcę odzyskać mój klucz.
- Jaka szkoda, że jesteś łujem. Mógłbyś mi się na coś przydać.
- Oddaj mi klucz albo zdradzę, że twój chłopak jest parszywym heretykiem.
- Odejdź natychmiast, Tybaut, albo cię zabiję.

Tybaut parsknął pogardliwie.

- Naprawdę? Otaczają nas moi ludzie, nie twoi, tępaku.

Tannhäuser użył lewej ręki, by pchnąć Tybauta sztyletem w brzuch, tuż poniżej mostka. Poza barierą skóry i mięśni opór, który stawiało jego ciało, był wyraźnie słabszy, jeśli nie liczyć lekkiego szarpnięcia, gdy czubek klingi rozharatał aortę. Tannhäuser wyszarpnął broń z rany i płynnym ruchem schował do pochwy. Cała akcja nie trwała dłużej niż wymierzenie policzka. Tybaut stęknął głucho, jakby zdumiony takim obrotem sprawy. Rana nie wyglądała groźnie, ale w jego trzewiach dokonało się już najgorsze i życie uciekało zeń błyskawicznie, marnując wnętrzności we własnej krwi. Poszarzał na twarzy, a nóż wypadł mu z ręki. Zrozumiawszy, że to jego ostatnie chwile, zapragnął błogosławieństwa od Tannhäusera.

- Tysiące dziewcząt cierpią bardziej niż moje. Dlaczego wybrałeś właśnie mnie?

W jego coraz szerzej otwartych oczach nie było nic poza bezgranicznym zdumieniem.

Tannhäuser szarpnął go za ramię i pochwycił z tyłu za pasek bryczesów.

- Oto jeszcze jeden bezbożny zdrajca. Żaden z niego prawnik, ale się nada!

To rzekłszy, Tannhäuser cisnął swą ofiarę w jezioro krwi. Tybaut próbował jeszcze utrzymać równowagę, ale potknął się o własną nogę i runął jak długi. Nie zdołał nawet podeprzeć się rękami, by wyhamować impet upadku. Tłum znowu jęknął, gdy krew bryzgnęła na wszystkie strony, plamiąc ubrania stojących najbliżej.

Tybaut otworzył usta i jego ostatnie westchnienie zamieniło się w bąbelki na powierzchni kałuży krwi. Tannhäuser tymczasem wyrwał z rąk najbliższego stojącego milicjanta włócznię o rozszerzonym grocie zwanym wolim językiem i uniósłszy ją nad głowę, z rozmachem wbił ostrze w plecy leżącego, tuż przy kręgosłupie. Broń tego typu z powodzeniem mogłaby zastąpić łopatę, więc Tybaut skończył po pierwszym ciosie, mimo to Tannhäuser stanął nad nim i kłął zaciekłe.

Kłął za swą matkę. Kłął za Amparo. Kłął za bliźniaczki o cynobrowych ustach, chłepące zupę w katedrze. Kłął za Carlę. Żadna z nich nie podziękowałaby mu za to, co teraz robił. Wszystkie uznałyby pewnie, że to odrażające. Mimo to dźgał martwego chłopaka, by dać ujście lawie wściekłości i bólu, która płynęła z jego serca, jakby zasysał ją stopami wprost z paryskiego bruku. Okaleczył młodocianego sutenera w spazmie niesmaku wywołanego własną bezradnością.

Podobnie jak diabeł, który przycupnął na jego grzbiecie, i jak Anioł Stróż, który obserwował go z dzwonnicy Notre-Dame, Tannhäuser przyglądał się temu, co czyni.

Znieruchomiał wreszcie, by ruchem powiek strzepnąć krople krwi i potu, które zalewały mu oczy. Spojrzał w dół.

Włócznia oddzieliła zebra Tybauta z obu stron kręgosłupa, odsłaniając dwie głębokie bruzdy. Choć działał pod wpływem ślepej furii, Tannhäuser musiał oddać sobie sprawiedliwość: wykonał bardzo przyzwoitą robotę. Nawet wedle standardów obowiązujących tego ranka w Paryżu zgotował gapiom obsceniczne widowisko.

Zapanowała wśród nich absolutna cisza, jakby lękali się, że jeśli któryś ją zakłóci, także będzie zgubiony – a trzeba powiedzieć, że instynkt ich nie zawiódł. Tannhäuser uniósł głowę i spojrzał w oczy hugenota bez butów, związanego i klęczącego na skraju jeziora krwi, który miał być świadkiem śmierci całej swojej rodziny.

On także milczał.

Ale czy jego usta nie wypowiedziały bezgłośnie słów „zabij mnie”?

A może tylko w jego oczach widać było to pragnienie?

A może Tannhäuser słyszał błaganie własnej wykolejonej duszy?

Ani diabeł na jego plecach, ani anioł na wieży nie znali odpowiedzi.

Krew obmywała jego buty, gdy zbliżał się, by wbić włócznię prosto w serce protestanta. Od strony gromady jeńców dobiegł głośny krzyk kobiety, taki, jaki może się zrodzić tylko na samym dnie niewieściej duszy, gdy umiera ukochany mężczyzna. Tannhäuser zaparł się stopą o pierś hugenota, by wyszarpnąć grot.

Odwrócił się teraz i popatrzył na mury katedry, na tajemniczy, wielki napis. Słyszał ryk Zielonego Lwa i sam także pragnął zaryczeć, znał już bowiem przesłanie. Petrus Grubenius próbował kiedyś przekonać go, by poświęcił życie badaniu tej prawdy. Prawdy tak radykalnej, że można było przekazać ją – w zaufaniu – tylko za pomocą alchemicznego kodu, który bardzo niewielu żywych potrafiło odczytać, a jeszcze mniej przyjęło do serca. Tannhäuser wysilił pamięć.

Jedyną manifestacją mądrości wartą czleka mądrego jest współczucie.

Współczucie dla bezwartościowych i odrzuconych.

Współczucie dla ofiar silnych.

Wszystkie inne ścieżki, choćby najbardziej chwalebne, prowadzą jedynie do pustki i szaleństwa.

Wiedział, że mógłby się zmierzyć co najmniej z kilkoma milicjantami, a jeśli wziąć pod uwagę ich umiejętności, to nawet z całą trzydziestką – choć może przy dziesiątym reszta osłów nabrałaby rozumu na tyle, by rzucić się do ucieczki. Tannhäuser nie musiał się nawet odwracać, by odgadnąć, w którym miejscu stoi teraz Garnier – kapitan musiałby paść jako pierwszy. Gdyby zaś pozostali nie umknęli, gdyby postanowili stawić mu czoło, to tym lepiej, bo czyż można znaleźć lepsze miejsce niż ten plac, by przyznać się do porażki w sztuce życia, w kształtowaniu własnej duszy, i nareszcie upomnieć się o miejsce w kotle wiecznego potępienia?

Odchodzę od zmysłów. I podoba mi się to, pomyślał Tannhäuser.

Stukot wielkich kopyt obwieścił przybycie Clémentine.

Tannhäuser znowu się odwrócił i zobaczył Grégoire'a. Chłopak chłonał obraz jeziora krwi, w którym stał jego pan – trzymając w dłoni włócznię unurzaną w posoce, na tle martwych ciał – dowodu niepojętej zbrodni. Zobaczywszy jego szeroki uśmiech, odsłonięte dziąsła i sznur smarków pod nosem, Tannhäuser wiedział, że Grégoire uśmiecha się po prostu na jego widok, nie z innej przyczyny. Nie obchodziło go, co Mattias czyni. Kochał swego pana. Ten jeden uśmiech wystarczył, by przywrócić Tannhäuserowi rozum.

Rzucił włócznię właścicielowi, który uchylił się przed nią w ostatniej chwili. Drzewce zaklekotało o bruk. Grégoire ustawił klacz wręcz doskonale – Tannhäuser mógł wsunąć stopę w strzemień i wskoczyć na grzbiet, co natychmiast uczynił. Zaraz potem spojrzał na Juste'a, który pobladał śmiertelnie. Tannhäuser zastanawiał się, ile jeszcze gołowąs potrafi znieść. Skinął na niego, nakazując, by trzymał się strzemienia.

Teraz z kolei popatrzył na kapitana Garniera, który był świadkiem tego wszystkiego: szybkości i precyzji ciosów, ale także szału godnego berserkera. Oficer zamrugał. Tannhäuser wolno potoczył wzrokiem po twarzach innych widzów. Jeśli nawet któryś z nich rozpoznał Tybauta, to milczał jak zaklęty, ale najprawdopodobniej nie zwrócili uwagi na tożsamość kolejnej ofiary.

– Nie zostaniesz, by odesłać do piekła jeszcze paru heretyków, kawalerze? – spytał Garnier.

Tannhäuser nie odpowiedział. Popatrzył na grupę skazanych na śmierć. Nie, niczego nie czuł. Lecz nagle znowu usłyszał ryk Zielonego Lwa. Odwrócił się ku Bernardowi Garnierowi i przemówił:

– Tę ziemię poświęcono Bogu w czasach, gdy ludzie nie znali jeszcze ognia. Te kamienie są świętym centrum Paryża, Francji, a zdaniem niektórych – całego świata. Prawem boskiej symetrii oraz w zgodzie z opiniami rozmaitych filozofów możliwe jest, że pod naszymi stopami znajduje się wierzchołek piekielnego stożka.

W odpowiedzi rozległ się pomruk rozczarowanych głosów.

– Płonące jezioro wcale nie jest pełne. Dlatego powinniśmy, w tym osobliwym miejscu, strzec się składania krwawych ofiar nieznanym bogom, albowiem pewne jest tylko jedno: jeśli ta ofiara miała być przeznaczona dla Chrystusa, to skręci Mu kiszki.

Ludzie zaczęli z wolna wycofywać się z placu, krok po kroku, jakby nagle uzmysłowili sobie, że trafili na trujące bajoro. Garnier przyglądał brodę zakrwawionymi palcami.

– Jeśli zaś chodzi o te hugenotki i ich dzieci, to przemawiam w imieniu samego króla, gdy nalegam: zaprowadźcie je do księży posługujących w tej katedrze. Dajcie im szansę przyjęcia katolickiego chrztu, a jeśli nie zechcą, niech przynajmniej proszą o litość i schronienie na świętej ziemi. Jeśli bowiem pozbawicie je tego drobnego aktu miłosierdzia, na jakie miłosierdzie będziecie mogli liczyć w dniu Sądu Ostatecznego? W owej wielkiej chwili, gdy nareszcie powstaniemy z grobów, a Michał wejrzy w nasze dusze, gdy nasza wiekuista dola zostanie odmierzona miłością, którą okazaliśmy za życia, nie tylko miłością do Boga, ale i do wszelkiego Jego Stworzenia. – Uniósł ramię, by wskazać na fasadę nad głównym wejściem. – Czyż to przypadek, że nad naszymi głowami wyrzeźbiono Sąd Ostateczny?

– Prędzej umrzemy, niż oddamy się papieżowi! – wrzasnął któryś z hugenotów.

Tannhäuser nie wiedział, który z nich przemówił, ale udzielił mu odpowiedzi:

– Czyżbyście i wy pragnęli więcej krwi?

– Zaczny kawaler ma rację – obwieścił kapitan Garnier, którego pragnienia nie budziły najmniejszych wątpliwości. – Niech ten mądrała, kimkolwiek jest, zademonstruje nam swoje przywiązanie do wiary. Niech zajmie pierwsze miejsce w kolejce po śmierć!

Nikt się nie ruszył.

Być może zresztą jakiś anonimowy teolog miał właśnie to uczynić, lecz w tym momencie pomiędzy gapiów wybiegł ciężko poparzony pies i zaczął z dziką rozkoszą tarzać się we krwi. Łypał wylupiastymi ślepiami, wywiesił długi jęzor i warczał z satysfakcją, głosem zadziwiająco złowrogim jak na tak niepozorne zwierzę. Tannhäuser pomyślał, że to

świetny sposób na szybsze zaleczenie niezliczonych oparzeń i ran, ale o wiele ciekawsze było wrażenie, jakie zachowanie psa wywarło na zgromadzonych. Jedni jęknęli, inni szeptali między sobą – bez względu na to, po której ze stron się opowiadali. Same morderstwa nie zrobiły na gapiach tak wielkiego wrażenia. Tłum cofnął się jeszcze dalej.

– Lucyfer, do mnie! – wykrzyknął Grégoire.

Na wypadek gdyby pies miał problemy ze zrozumieniem jego wymowy, Juste dodał od siebie:

– Lucyfer!

– Ta bestia jest opętana.

– Szatan przez nią przemawia!

– Spadniemy wszyscy na sam szczyt piekła!

Tannhäuser bez emocji trącił Clémentine piętami. Grégoire i Juste, bardziej przejęci losem kundla niż rozemocjonowanym tłumem, omal nie wypuścili z rąk strzemion.

– Sam podąży za stadem – zawyrokował Tannhäuser.

I tak się stało. Umorusany i lśniący od czubków uszu aż po koniec ogona, nasiąknięty wymieszaną krwią prawników i luja, Lucyfer przerwał swą świetną zabawę i pognął za towarzyszami, ochlapując najbliższej stojących. Chłopcy przyjęli jego lojalność z uznaniem. Gdy kundel zajął swoje miejsce między kopytami Clémentine, właśnie wjeżdżali na krzyżówkę ulic za Hôtel-Dieu. Tannhäuser wstrzymał konia, by się rozejrzeć.

Na wprost, mniej więcej w kierunku iglicy Sainte-Chapelle, ludzie kapitana Garniera oddawali się rabowaniu domostw i dyskusjom w niewielkich grupkach wokół stert trupów usypanych niedbale w rynsztokach.

Ulica po prawej prowadziła przez pont Notre-Dame; tam także widać było cuchnące już stosy zwłok. Milicjanci zajęci byli okradaniem sklepików z co cenniejszych dóbr, wynoszeniem mebli z mieszkań i zrzucaniem rozmaitych przedmiotów z okien na wyższych piętrach. Na samym końcu, tam gdzie łańcuch blokował ruch, trwała zażarta walka, choć trudno było ocenić, kto się z kim zmaga.

Po lewej mieli krótszy most, spinający brzegi węższej odnogi Sekwany. Tam także trwał podobny zgiełk, intensywny zwłaszcza wokół bramy pękatej fortecy z kamienia, na drugim brzegu rzeki.

– To Petit Châtelet – pospieszył z wyjaśnieniem Grégoire. – Baza *sergents*. No i więzienie.

Po namyśle Tannhäuser ruszył na zachód, mijając rząd publicznych latryn oraz prymitywną przystań u wysokiego, stromeego brzegu. Dwaj chłopcy, mniej więcej ośmioletni,

z heroicznym wysiłkiem ciągnęli zwłoki starszej kobiety w stronę nadrzecznej skarpy, zachęceni do tej pracy widokiem nagich mieczy dwóch milicjantów. Wreszcie udało im się zrzucić trupa, choć zabrakło im zgrania i głowa kobiety roztrzaskała się o wystającą belkę. Chłopcy odwrócili się tymczasem, tocząc wzrokiem po tym dziwnym świecie, w którym ich porzucono, a wtedy milicjanci przebili ich mieczami i zepchnęli do niespokojnej wody, w ślad za kobietą. Zadowoleni z siebie, skinęli głowami ze wzajemnym uznaniem.

Tannhäuser nie wstrzymał konia.

W rejonie kolejnego mostu, Saint-Michel, panował taki sam chaos jak przy poprzednich – zapewne z podobnych powodów. Tych, którzy próbowali wydostać się z wyspy, zatrzymał żelazny łańcuch rozpięty w poprzek ulicy. Jednocześnie po jego drugiej stronie napierał tłum usiłujący uciec z lewego brzegu do Cité.

Pośrodku zaś stała grupka łuczników w kaftanach i czapkach *sergents à verge*, próbujących jakoś wymusić na obywatelach posłuszeństwo. Po co? Tego nie wiedział nikt, a już na pewno nie oni. Na razie zdołali jedynie zamieszać w tyglu trującego gniewu, dezorientacji i lęku, czyli emocji, które w tych godzinach dominowały w całym mieście.

Z niektórych okien na wyższych piętrach domów wybudowanych na moście dobiegały pokrzykiwania, śmiechy, pogrożki i drwiące porady prawne zacnych obywateli, adresowane do uczestniczących w narastającym sporze. Wspiąwszy się na ramiona wyższego kompana, jeden z *sergents* zdołał nieco uciszyć tłum i skupić uwagę najbliższych, machając zieloną chustką.

– Panowie! Panowie! Nawet jeśli zgodzimy się, że ten łańcuch niczemu nie służy – wykrzyczał – to i tak trzeba założyć, że skoro jest tutaj, to nie po to, abyśmy go ignorowali! Krótko mówiąc, panowie, nie ma znaczenia to, dlaczego go tu umieszczono! Liczy się tylko to, że on tu jest! A wobec nieszczęśliwej sytuacji, w której nie posiadamy choćby najprostszego statutu czy dekretu regulującego ruch obywateli względem tegoż łańcucha, musimy trwać po jednej i po drugiej jego stronie do czasu, aż oświeci nas swą mądrością jaka wyższa władza!

Tłum przeanalizował to pseudolegalistyczne rozumowanie najlepiej, jak potrafił, po czym eksplodował kakofonią wrzasków, obscenicznych propozycji oraz nieźle wyuczonych cytatów z dziejów miasta, tłumaczących prawa obywateli, szczególnie tych dotyczących szabasu, a wywodzących się jeszcze z czasów Juliusza Cezara. Przepychanki jakby przybrały na sile.

Sergents mieli coraz mniej miejsca na swym stanowisku.

Tannhäuser uznał, że to właściwy moment, by do dyskusji wprowadzić argument w postaci cielska Clémentine.

– Chłopcy, trzymajcie się ogona.

Raz jeszcze wybór dokonany przez Grégoire'a okazał się zaiste natchniony. Clémentine przepychała się przez tłum siłą spokoju, ale i niepowstrzymanie. Mieszkańcy wyspy rozstępowali się przed nią albo odfruwali, napędzani niewidzialną siłą, przy akompaniamencie przekleństw i okrzyków bólu. Clémentine zaś parła naprzód, nie okazując ani współczucia, ani szacunku dla wieku, kalectwa czy płci. Gdy w końcu dobrnęli do łańcucha, Tannhäuser przekonał się, że w siodle sięga o głowę wyżej niż strażnik miejski na ramionach kompana. Rozmowę poprowadzili więc ponad falującym tłumem.

– Mattias Tannhäuser, kawaler maltański, doradca wojskowy Jego Wysokości księcia d'Anjou oraz wysłannik dyplomatyczny Alberta de Gondiego, hrabiego Retz.

Radość strażnika nie miała granic. Zasalutował, uśmiechając się szeroko, a uśmiech ów wyróżniał się tym, że odsłaniał jeden jedyny ząb w jego górnej szczęce.

– Konstabl Aloïs Frogier, ekscelencjo. Bóg cię nam zsyła, to pewna. Mamy tu coraz większe zamieszanie.

– Przybywam tu prosto ze spotkania z *commissaires* w Châtelet. Kto wydał rozkaz zablokowania mostu?

– Melduję, ekscelencjo, że rozkaz wydał kapitan Garnier.

– Powiadasz, człowiecze, że *sergents* podlegający oficerom z Châtelet wykonują teraz rozkazy ochotniczej milicji? Czy wasz dowódca już wie, że pozwalacie cywilom na taką uzurpację?

Strach Frogiera był równie nagi jak wszystkie jego odmiany, które Tannhäuser widział tego ranka.

– Nie, ekscelencjo, pewnie nie wie, choć trzeba powiedzieć, że uzurpacji żadnej nie było, a jeśli taki błąd, choć niezawiniony przeze mnie, jednak zaistniał, to pewnie byłoby najlepiej, gdyby dowódca się o nim nie dowiedział, jeśli tylko mogę liczyć na dobre serce ekscelencji. Wszystko przez to zamieszanie. Przez rebelię. Kapitan Garnier twierdził, że...

– Bernard Garnier nie ma prawa zawiadywać ani ludźmi, ani środkami należącymi do Châtelet, rozumiano? Mogę na tobie polegać, żołnierzu?

Frogier zasalutował, kołysząc się przy tym jak marynarz.

– Tak jest, ekscelencjo!

– Cała ta masa obywateli to porządni katolicy, którzy pragną jedynie wycofać się w bezpieczne mury własnych domów. I tego właśnie oczekują od nich król, wasz dowódca oraz

Bureau de Ville: niech pozostanie w domu każdy, kto nie pełni funkcji porządkowych. Głęboko słuszna polityka, nie sądzisz?

– Sądzę, ekscelencjo. Zgadzam się całym sercem.

– Opuść więc łańcuch, otwórz ulicę. Niech twoi ludzie uformują dwa strumienie pieszych, po jednym w każdym kierunku. I wróć do mnie, kiedy to zrobisz.

Szturchnięty przez kogoś, rosły *sergent* udający wierzchowca Frogiera zaczął rozdawać ciosy najbliższym stojącym, a wtedy jego dowódca bezradnie zakręcił młynka ramionami i wyładował na ziemi. Tannhäuser mógł mu pomóc, ale trzymając się swej władczej roli, postanowił, że tego nie uczyni. Frogier podniósł się z wolna i zaczął głośnym rykiem przekazywać komendy swoim ludziom, ci zaś zabrali się do porządkowania tłumu za pomocą pałek. Tannhäuser spoglądał ponad tym wszystkim w stronę Collège d'Harcourt.

Cokolwiek spotkało Orlandu, musiało mieć związek ze śmiercią jego matki. Tannhäuser nie potrafił sobie wyobrazić, by to ona była przyczyną jego kłopotów, za to jak najbardziej możliwe było to, że narozrabiał Orlandu. Tym, co mogłoby teraz najbardziej pomóc, byłaby ponowna rozmowa z pedlem z kolegium, który musiał ostrzec Christiana o przybyciu Tannhäusera. Niestety, niepokoił go dym. I los jego broni. I córek drukarza. Pedel mógł zaczekać na swoją kolej.

Frogier stanął przy Clémentine, która była teraz jak skała rozdzielająca dwa nurty pieszych.

– Frogier, jaka jest sytuacja w szesnastej dzielnicy?

– Kazano nam, ekscelencjo, trzymać się od niej z daleka.

– Bernard Garnier kazał?

– Tak jest, ekscelencjo. Dostaliśmy ściśle rozkazy z Châtelet, by nie ścigać, nie aresztować i nie zabijać nieuzbrojonych hugenotów. Kapitan Garnier natomiast uświadomił nam, że nie dostaliśmy rozkazu, by przeszkadzać tym, którzy będą to robić.

– Co oznacza, że milicja ma wolną rękę w szesnastej?

– Tak jest, ekscelencjo. I trzeba przyznać uczciwie, że zabija tych łotrów sumiennie, co do jednego. To jest: heretyków. Zaułek po zaułku, dom po domu, izba po izbie. Wspomagają milicjantów niektórzy studenci, sami przecież mieszkają w tej dzielnicy i wiedzą, kto jest kim, co jest czym i jakie szczury mogą siedzieć po okolicznych dziurach.

– Jakże mieliście rozkazy, zanim odwiedził was Garnier?

– Takie jak zawsze: obsadzić wartownię przy place Maubert.

– Zatem obaj wiemy, gdzie jest wasze miejsce. Jeśli po drodze spotkacie inne drużyny, którymi nielegalnie rozporządza milicja, z mojego rozkazu możecie je zluzować.

– Natychmiast, ekscelencjo.

– A teraz zawołaj mi tu jednego z twoich ludzi, tego z bielmem na oku. Odda mi swój łuk i kołczan. Niech powie przełożonym, że rozbroiła go milicja. Dostaniecie za to *écu d'or* – podzielisz tak, jak ci sumienie nakaze.

– Na twoim miejscu, ekscelencjo, nie zawierzałbym życia takiej broni. Za dwa *écus d'or* możesz mieć mój łuk. Jak widzisz, jest bez porównania lepszy.

Tannhäuser obejrzał broń, szukając pęknięć i innych wad, ale nie dopatrywał się żadnych. Nie był to krótki łuk turecki – a takie wolał – ale wystarczająco krótki, by można było strzelać z siodła albo w ciasnych pomieszczeniach. Miejsce ułożenia strzały owinięto czerwonym jedwabiem, na którym praktycznie nie było śladów używania. Tannhäuser naciągnął cięciwę i oszacował, że trzyma w ręku sześćdziesięciofuntówkę; łuk wystarczająco mocny, by powalić jelenia. Altan Savas pewnie by go wyśmiał, bo sam posługiwał się ponadsetką.

– Cięciwa nie najgorsza.

– Włókno lniane i wosk pszczeli, mój własny splot. Sześćdziesiąt włókien nici szewskiej w trzech pęczkach. Twój koń, panie, nie powstydziliby się takiego kopnięcia! W kołczanie jest zapasowa.

– Pokaż strzałę.

Frogier podał mu cały kołczan z jeleniej skórki, mieszczący mniej więcej tuzin strzał. Tannhäuser wyjął jedną, wykonaną z białej brzozy, sądząc po strukturze drewna. Promień był prosty, dobrze wystrugany; grot typu szydło miał długość palca wskazującego i profil sztyletu. Sprytnie uformowana nasadka z rogu sama naprowadzała się na cięciwę.

– Sezonowane przez dwa lata, podwójnie lakierowane, świetnie dopasowane do mocy i wagi łuku. Szydła hartowane w węglu drzewnym.

Tannhäuser spojrzał na skórzany ochraniacz na przedramieniu Frogiera. Nie, nie zdołałby przecisnąć przezeń swojej pięści.

– Nie masz strzał z szerokimi grotami?

Postrzał szerokim grotem można było porównać do ataku nożem i pozostawienia go w ranie: każdy ruch czy oddech rannego sprawiał, że grot wbijał się głębiej, ranił mocniej.

– Châtelet zabrania ich używania, ekscelencjo. Ponoć za duże były wydatki na usługi chirurgów, bo nie uwierzysz, panie, jak często zdarza się postrzelić niewłaściwego bandytę. Ale kto by tam potrzebował chirurga, żeby wyjąć taki grot? Nie rozpaczaj, panie, te, które dostajesz, z trzystu kroków rozpołowią drzwi stodoły.

– Ta zielona i czerwona farba między lotkami to twoje barwy?

– Spokojna głowa, ekscelencjo, jeśli kto znajdzie taką strzałę w niewłaściwym miejscu, wina spadnie na parszywego hugenota, który dziś rano, w zamieszaniu, ukradł mi broń.

– No tak, oni słyną z kradzieży.

– Wystarczy dodatkowe *écu d'or*, a jakiś czujny obywatel gotów będzie zidentyfikować winowajcę wśród trupów.

Tannhäuser ruszył na południe i minąwszy Collège d'Harcourt oraz Czerwonego Wołu, wjechał w rue de la Harpe. Zaraz za karczmą, jakby dla wyznaczenia granicy terytorium, na którym należało porzucić wszelką przyzwoitość, ktoś na żelaznym szyldzie sklepu zawiesił za kostki trupa. Tannhäuser już dawno minął tę granicę. Pokierował Clémentine tak, by ominąć wisielca.

Na brzuchu nagiego, zwisającego głową w dół nieboszczyka ktoś wyciął znak krzyża – albo jako symbol najbardziej miłosiernej z religii, albo po to, by ułatwić wybebeszenie nieszczęśnika. Splątany gąszcz wnętrzości zwisał nisko, zasłaniając twarz. Różowe i szarawe narządy przerośnięte były żółtawym tłuszczem i jeszcze nie straciły połysku; niektóre z nich wciąż drżały, poruszane drobnymi skurczami, jakby za wszelką cenę trzymały się gasnącego życia.

Tannhäuser jechał dalej.

Kolejne ciała spoczywały w pyłe spieczonej słońcem ulicy. Pięć. Dziesięć. Dwadzieścia. Więcej. W końcu przestał liczyć. Większość zabitych stanowili mężczyźni w równym wieku, powaleni toporami, nożami, pałkami, niektórzy uduszeni, a inni potraktowani kilkoma narzędziami zbrodni jednocześnie. Leżeli w przypadkowych miejscach i pozycjach – powaleni na progach domów, w zaułkach, ubrani w przypadkowo dobrane stroje, przypadkowe twarze, przypadkowe nazwiska. Dwóch powieszono w tradycyjny sposób; to byli ci, którzy zignorowali ostrzeżenia albo ich nie usłyszeli.

Teraz już nikt ich nie ignorował. Po wydarzeniach dnia poprzedniego na ulicach panowała nienormalna cisza, a miejsce codziennego gwaru zajęło milczące przekonanie, że wielka liczba niedoszłych ofiar ukrywa się jeszcze przed prześladowcami. Z bliska i daleka dobiegały od czasu do czasu echa krzyków, raz ostrzegawczych, raz budzących skojarzenie z nagonką na dziką zwierzynę. Chwilami wyły psy. Jeszcze rzadziej słychać było wycie ludzi – tak przenikliwe, tak przeraźliwe, wzbudzone strachem, nie bólem, że trudno było Tannhäuserowi orzec, czy wyrwały się z gardła kobiety, mężczyzny czy dziecka.

W Paryżu żyło od trzydziestu do czterdziestu tysięcy hugenotów. Mattias wciąż nie podejrzewał, by ochotnicy tworzący milicję mieli w sobie dość sprytu albo nienawiści, by

dokonać czystki na tak wielką skalę. Ale setki niewielkich masakr, przeprowadzonych przez dwadzieścia lub więcej małych oddziałów śmierci? Tak, w to był skłonny uwierzyć. Z czasem, przy braku nadzoru, takie bandy mogły się stać groźną armią.

Lucyfer uważał za stosowne obwąchać każdego trupa i wiedziony własną, niepojętą logiką, szczał tylko na niektóre z nich. Krew, którą nasiąkło futro w przedniej części jego ciała, zdążyła już podeschnąć i teraz kępy sierści sterczały jak sztywne kolce, nadając mu nieco masywniejszy, groźniejszy wygląd. Dla kontrastu tyły, mocno poparzone i lysawe, pokryte zaschniętą krwią, zyskały dziwną, matową fakturę, budzącą skojarzenia ze skórą nieznanego gada. Podobnie jak Tannhäuser, kundel już od dłuższej chwili był świadom nowego zapachu. Chmura dymu dryfująca ponad dachami zalatywała spalonym papierem, którego strzępy roznosił wiatr, ale dało się w niej wyczuć coś jeszcze: woń płonącego mięsa.

Mijając kolejną przecnicę, Tannhäuser dostrzegł grupę ludzi dobijających się do drzwi dwóch sąsiednich domostw siekierami i tępymi końcami glewii. Jacyś młodzieńcy – zapewne studenci – rzucali kamieniami w okna, wykrzykując groźby i drwiąc okrutnie z tych, którzy ukrywali się w środku, a także zachęcając ich, by sami otworzyli zamki. Usłyszawszy stukot kopyt, posłali w stronę Tannhäusera jedno jedyne spojrzenie i wrócili do przerwanej zajęcia.

Dotarłszy do końca ulicy, ujrzał pierścień murów miejskich. Fetor spalonego ciała stawał się coraz silniejszy, im bliżej był zakrętu w uliczkę, przy której mieszkał drukarz.

Tannhäuser zatrzymał Clémentine i zeskoczył z siodła.

Ostrożnie wyjrzał zza węgła budynku i ujrzał ognisko rozpalone pośrodku ulicy. Płonęły głównie książki, choć po większości z nich pozostała już tylko wielka góra czarnego popiołu. Chwilami, gdy wiatr podsyczał żar, w górę strzelały jasnoczerwone płomienie. Pośrodku stosu spoczywały zwęglone resztki spętanego ciała należącego do mężczyzny, sądząc po rozmiarach. Jeden z milicjantów stał od zawietrznej, po przeciwnej stronie ogniska, drapiąc się po zadku. Drugi wyszedł po chwili z otwartego na oścież budynku, nad którego drzwiami widniał szyld z nazwiskiem Daniela Malana. Niósł w rękach strzelbę Mattiasa, którą oglądał w blasku słońca z wyraźnym zdumieniem.

Tannhäuser wrócił do Clémentine i przywiązał ją do żelaznej barierki przed sklepem.

Spojrzał na Grégoire'a i Juste'a.

– Szybko wróć, ale wam ten czas wyda się okrutnie długi. Gdyby ktoś tu przyszedł, zwłaszcza milicja albo studenci, bądźcie gotowi do ucieczki. Trzymajcie ich na dystans. Nie pozwólcie, by was otoczyli. Niech się nie zbliżą na tyle, by zdołali was pochwycić. Nikomu nie ufajcie. Traktujcie każdego jak jadowitego węża. Jeśli spytają, kim jesteście,

odpowiedźcie, że pilnujecie mojego konia, a ja wykonuję ogromnie ważną misję dla kapitana Garniera. Jeśli się zorientujecie, że chcieliby zabrać Clémentine, pozwólcie im na to i uciekajcie. Nie martwcie się o jej bezpieczeństwo, nawet jeśli ją ukradną, nie zrobią jej krzywdy. W przeciwieństwie do nas ona ma dla nich sporą wartość.

Tannhäuser wziął do ręki łuk Frogiera.

– Nie możemy iść z tobą? – spytał Juste.

– Nie.

– Jestem bardzo dobrym łucznikiem. W Polsce polowałem na zające, kaczki, jelenie, dziki...

– Dziś wasze zadanie polega na tym, żeby nie stać się zwierzyną. Rozejrzyjcie się. Macie tu trzy drogi ucieczki; cztery, jeśli chcielibyście pobiec w stronę ognia. Grégoire, ty dobrze znasz tę dzielnicę, prawda?

– Widzę sześć dróg – odpowiedział Grégoire.

– Doskonale. Powinniście bez trudu przechytryć i prześcignąć każdego z tych, których widziałem na ulicy. Ale nie próbujcie być zbyt sprytni. Jeśli ogarną was wątpliwości lub obawy, nakazuję wam jedno: uciekać, zanim tamci zbyt się zbliżą. Zaufajcie swemu instynktowi.

– Nie jesteśmy tchórzami – rzekł Juste.

– Wiem, że nie jesteście, więc nie każ mi więcej słuchać takich głupot. Niech Lucyfer będzie waszym przewodnikiem – wyczuje złe zamiary prędzej niż wy, a gdy będziecie uciekać, pobiegnie za wami. Pamiętajcie: Clémentine jest bezpieczna, ale Lucyfer nie, ponieważ nie ma żadnej wartości. Zabiją go dla zabawy. Musicie uciec, żeby go ochronić.

Chłopcy jak na komendę spojrzeli najpierw na nieszczęsnego kundla, a potem po sobie. Wydawało się, że co do jednego panuje między nimi pełna zgodność: życie Lucyfera było dla nich więcej warte niż ich obu razem wzięte.

– Jeśli będziecie musieli uciekać, powtarzam: jeśli będziecie musieli uciekać, uciekajcie. Możecie wrócić okrężną drogą, żeby sprawdzić, czy już jest bezpiecznie... – Tannhäuser urwał, rozglądając się po obu ulicach. – Możecie podkraść się tamtędy... i tamtym zaułkiem też.

Pokiwali głowami; pomysł niebezpiecznej zabawy podobał im się znacznie bardziej.

– Możecie też wrócić do stajni Engela. Jeżeli nie zastanę tu was albo waszych ciał, wolałbym wiedzieć, gdzie was szukać.

Tannhäuser wyjął z kołczanu pięć strzał i założył pierwszą na cięciwę. Pozostałe, tatarskim zwyczajem, trzymał w lewej dłoni, wraz z majdanem łuku.

– Nie mamy broni – zauważył Juste.

– Gdybyście mieli broń, chcielibyście walczyć, a gdybyście walczyli, byłoby po was. Waszą bronią niech będą umysły i chyże nogi.

Tannhäuser wyszedł z za węgła wprost w chmurę pyłu i dymu. Mrużąc oczy, niósł łuk i strzały blisko ciała, przy lewej nodze. Dobrze mu znany fetor spalonego ciała mdlił coraz silniej i jak zawsze pobudzał ślinianki do szybszej pracy – tym szybszej, że był głodny. W zapanowaniu nad nudnościami nie pomagała mu myśl o tym, że na stosie spłonął najprawdopodobniej Daniel Malan. Nie był to pierwszy człowiek, który na oczach Tannhäusera zamieniał się w proch wraz ze swymi księgami. Taki sam koniec spotkał Petrusa Grubeniusa, tyle że z rąk fanatyków pod wodzą ojca Orlandu. Zwłoki spoczywały twarzą w dół, a ogień nie pochłonął ich jeszcze w całości. Widać było więzy na wykręconych do tyłu rękach i sznur łączący je z pętami na kostkach. Poczerniała skóra na plecach i udach napuchła i pękła w kilku miejscach; strumyki roztopionego tłuszczu ściekały wprost na żar, z trzaskiem podsycając płomienie.

Tannhäuser użył całej siły woli, by nie zwymiotować. Przyspieszył kroku.

Dwaj milicjanci zawzięcie dyskutowali o mechanizmie zamka kołowego, ale dopóki nie odciągnęli klucza do napinania zamka, strzelba nie stanowiła zagrożenia. Mattias usłyszał krzyki i wycie; przynajmniej niektóre głosy należały do kobiet, ale na dwóch ochotnikach nie zrobiły żadnego wrażenia – najwyraźniej zdążyli przywyknąć. Nie tylko dom Malana został zajęty; drzwi czterech sąsiednich budynków także otwarto na oścież. Przy każdym z nich Mattias dostrzegł pęki broni, która nie nadawała się do użytku w korytarzach i pokojach: pik i halabard. Końcówki niektórych drzewc były poczerniałe od sadzy; zapewne użyto ich, by wepchnąć drukarza z powrotem na stos, kiedy próbował odpełznąć. Jeśli miał szczęście, może któryś z grotów zadał mu śmierć.

Pobieżna kalkulacja: dwadzieścia sztuk.

Dwaj milicjanci unieśli głowy, kątem oka dostrzegłszy sylwetkę Mattiasa w chmurze dymu.

– Niech Bóg błogosławi Jego Wysokość – powitał ich Tannhäuser. – Gdzie kapitan Garnier?

– Garnier? – powtórzył ten ze strzelbą. – Nie wiem, panie. Nie on jest naszym dowódcą.

– To ten drukarz?

– Tak, panie, to ten łajdak, we własnej osobie. Na szczęście powiadomiono nas we właściwym czasie.

Tannhäuser nie kontynuował tego wątku.

– A co z jego córkami?

– Z córkami, panie? – Milicjanci spojrzeli po sobie. – To on miał córki?

– O nich nie wspomnieli ani słowem, parszywe psy.

– Zamek w tej strzelbie nakręca się kluczem, jak w zegarze – wyjaśnił Tannhäuser.

– A nie mówiłem? – ucieszył się drugi z milicjantów.

– Zwycię można go znaleźć pod klapką, w kolbie. Pokażę wam.

Tannhäuser uśmiechnął się, podszedł o krok bliżej i prawą ręką sięgnął pod łokieć, by jednym szybkim ruchem dobyć sztyletu i pchnąć tuż pod mostkiem tego ze strzelbą. Wyrwał broń niemal natychmiast, czując, że serce pękło od pierwszego ciosu. Nie zatrzymując się, wyprowadził cięcie na wysokość gardła, ale drugi przeciwnik był szybszy: rzucił się do ucieczki i ostrze rozcięło tylko bark aż do kości.

Tannhäuser na powrót wbił sztylet w pierś pierwszego i uniósł łuk. Z odległości pięciu kroków strzelił w pośladek biegnącego. Strzała przebiła ciało na wylot; szydło minęło miednicę i przedziurawiło skórę w kroczu. Zanim jeszcze mężczyzna upadł na ziemię, Tannhäuser wyszarpnął sztylet z piersi trupa i skoczył na plecy uciekającego. Tym razem wbił klingę u nasady karku i jednym cięciem przeciął główne naczynia i tchawicę. Schował broń do pochwy, nie wytarłszy krwi.

Wyprostował się i stał w ciszy i tumanie dymu.

Nic nie wskazywało na to, by był obserwowany. Przyłożył but do końcówki strzały wystającej z pośladka milicjanta i odłamał ją mocnym kopniakiem. Fragment z lotkami i czerwono-zielonymi paskami uwolnił z ostatnich drzazg i cisnął w ogień. Założył nową strzałę i zarzucił strzelbę ukosem na plecy, spoglądając na witrynę warsztatu Daniela Malana, pozbawioną okiennic. Zajrzał do środka. Regały z książkami najpierw opróżniono, a potem przewrócono; podobnie jak gabloty. W izbie na parterze nie było nikogo.

Przestąpił próg. Korytarz także był pusty. Tannhäuser wrócił na ulicę, chwycił pierwszego milicjanta za kołnierz kaftana i zaciągnął do warsztatu. Nasłuchiwał przez chwilę. Stłumione głosy, jakby na tyłach budynku. Klatka schodowa po lewej stronie korytarza i nowe głosy, tym razem z góry. Budynek miał szerokość jednej izby. Tannhäuser stał przed trojgiem drzwi, dwojgiem po prawej stronie i jednych na wprost, na końcu korytarza. Zza tych ostatnich sączyła się słaba poświata. Niewielkie drzwi pod schodami najpewniej zamykały drogę do piwnicy.

Tannhäuser wciągnął do środka drugiego trupa i sięgnął po półpikę. Zamknął za sobą drzwi frontowe. Zamek i zasuwca zostały wyrwane z ościeżnicy, więc z rozmachem wbił grot piki w deskę podłogi, a drzewce zaparł o żelazną obudowę wyłamane zamka.

Ruszył w głąb korytarza.

Dom pachniał inkaustem, terpentyną i metalami. Tannhäuser wyjrzał zza pierwszych drzwi i przekonał się, że największa izba istotnie jest pusta. Przy drugich zatrzymał się na moment, nasłuchując, zanim wszedł do środka. Tu także nie było nikogo. Ktoś przewrócił drewnianą ramę prasy drukarskiej. Drobne kostki czcionek rozsypano po całej podłodze, wraz z tacami, narzędziami i formami. Skórzany fartuch poplamiony farbą drukarską wisiał na kołku obok beczki z wodą. Tannhäuser po krótkim namyśle włożył go: wprawdzie sięgał mu ledwie do ud, za to całkowicie zakrywał krzyż maltański na piersi.

Zatrzymał się przed drzwiami ostatniego pokoju, usłyszawszy czyjeś stękanie i ciężki oddech. Przypomniało mu się powiedzenie: gdzie spotyka się trzech, tam musi być co najmniej jeden Jean.

– Jesteś tam, Jean? – zawołał.

– Obaj Jeanowie są na górze – padła odpowiedź.

Tannhäuser wszedł do pokoju i wycelował z łuku w człowieka, który klęczał tyłem do niego, zajęty zwijaniem dywanu leżącego przy biurku. Dwie świece dogasały na świeczniku z kutego żelaza. Większość izby zajmowały zapasy. Dom Malana przylegał tylną ścianą do rzędu budynków przy równoległej ulicy; podwórza ani tylnego wyjścia nie było.

Tannhäuser wolno poluzował cięciwę, a potem sięgnął po sztylet i podszedł bliżej.

– Kto jeszcze jest na górze? Ilu ludzi?

– A skąd mam wiedzieć? Przecież jestem na dole.

Klęczący teraz dopiero się odwrócił. Podobnie jak większość członków ochotniczej milicji, miał dwadzieścia parę lat.

– Kim jesteś? – spytał.

– Czy to prawda, że mają na górze jakieś dziewczyny?

– Podobno. Kim jesteś?

Mężczyzna podniósł się na jedno kolano i właśnie wtedy Tannhäuser poderżnął mu gardło od barku do barku, wraz z jednym palcem dłoni podniesionej w obronnym geście. Krew chlusnęła z rany i milicjant bezgłośnie upadł w gorącą kałużę. Tannhäuser zaciągnął jeszcze drżące ciało pod drzwi frontowe, by zrobić odpowiednie wrażenie na tych, którzy zdołaliby wejść do warsztatu. Po namyśle przykucnął przy pierwszych dwóch trupach i sztyletem wylupił im oczy.

Teraz dopiero zaczął wspinać się po schodach. Usłyszał dalekie krzyki, dobiegające zza ścian, z sąsiednich domów, ale z pewnością nie z góry. Nie życzył Pascale i Flore powodu do wrzasku, ale ta cisza niepokoiła go coraz mocniej. U szczytu schodów korytarz zawracał. Dwoje drzwi po prawej stronie, ciąg schodów na drugie piętro i jeszcze komórka bez drzwi.

Tannhäuser spojrział w dół. Ktoś dobijał się do drzwi frontowych. Stłumione wołanie. Nie miał czasu do stracenia. Skoczył do komórki.

W tym samym momencie na jej progu stanął mężczyzna zwabiony hałasem u drzwi. Miał puste ręce i nie zdradzał żadnych oznak niepokoju, póki sztylet Tannhäusera nie otworzył mu brzucha aż po mostek. Westchnął wtedy smutno, jakby użalał się nad swym losem. Cuchnęło mu z ust. Jeszcze trzymał się życia, gdy Tannhäuser uniósł broń wyżej i zaczął się cofać, ciągnąc go za sobą. Drobiąc nogami i brocząc krwią i żółcią, mężczyzna posuwał się w stronę schodów, a gdy byli już blisko, Mattias wykonał półobrót i uskoczył, by pozwolić mu stoczyć się po stopniach w dół.

Jego ofiara bez słowa zsunęła się z ostrza, w ostatnim spazmie spróbowała chwycić rękami powietrze, a potem, gubiąc wnętrzności, runęła na plecy. Tymczasem atak na drzwi frontowe nabral tempa i z każdym uderzeniem półpika coraz słabiej podpierała zamek. Tannhäuser zajrzał do komórki. Była pusta. Kolejne drzwi były uchylone. Otworzył je zdecydowanym ruchem, ale i tu nikogo nie zastał. W tym momencie drzwi frontowe otworzyły się z hukiem.

Zaraz potem rozległy się okrzyki zdumienia i przekleństwa wypowiedziane z zapartym tchem. Intruzi zadawali sobie pytania: czy weszli tu wystarczającymi siłami? Czy nie należy wezwać posiłków?

Tannhäuser otworzył kopniakiem trzecie drzwi.

Kuchnia. Dwóch ludzi.

Jeden z nich właśnie wychodził ze spiżarni, niosąc talerz z jabłkami i serem. Miał kirys, więc Tannhäuser dźgnął go pod pachą, aż po rękoność sztyletu. Obrócił ostrze i zostawił je w ranie; mężczyzna opał na kolana, oddychając ze świstem. Drugi zdążył tymczasem podnieść się zza stołu, na którym leżały dwa krótkie miecze oraz hełm. Tannhäuser był dla niego zbyt szybki: naciągnął cięciwę i strzelił. Mężczyzna skrzywił się, widząc, co się święci, i odruchowo wyciągnął rękę w obronnym geście. Strzała przebiła dłoń i przyszpiliła ją do piersi. Opadł z powrotem na krzesło, spoglądając na pierzastą końcówkę promienia.

Tannhäuser położył na stole łuk i trzy strzały, by sięgnąć po jeden z mieczy. Przeciwnik ranny w pierś ryknął głośno, wzywając pomocy. Wzniósł prawą rękę, by zasłonić się przed ciosem. Potężne dwuręczne cięcie ucięło ją tuż nad łokciem – miecz był lepszej

jakości, niż się Mattiasowi zdawało. Ryk zmienił się w nieartykułowane wycie. Tannhäuser nie zamierzał tego słuchać; sięgnął po ścierkę i wepchnął ją w szeroko otwarte usta.

Teraz szarpnął mocno za przybitą do piersi rękę i przeciągnął rannego na drugi koniec kuchni. Pierwszy klęczał tymczasem, podpierając się na łokciach i oddychając z coraz większym trudem, spoglądał na rosnącą kałużę krwi, nie rozumiejąc, co się stało. Tannhäuser z całej siły pchnął jednorękiego na ścianę tuż obok drzwi. Mocne szarpnięcie odsunęło drugą rękę może o pół stopy od piersi, aż do łokci, ale grot i większa część promienia tkwiły mocno w piersi rannego. Tannhäuser wyciągnął szmatę z jego ust, w których natychmiast pojawiła się czerwona piana.

– Gdzie są dwie dziewczynki?

– Na górze. – Mężczyzna zaszlochał, spoglądając na kikut ręki. – Są na górze, panie.

Na górze.

– Z Jeanem?

– Z Jeanem? Ja też jestem Jean. I mam pięcioro dzieci... – Zachwiał się.

– Ilu ludzi jest na górze z dziewczynkami?

– Dwóch, panie. Jean i... Tak, Jean jest na górze, ale to nie ja, tylko inny Jean. Jean i... Chwileczkę, panie, przypomnę sobie... Jean i... – Zakaszła i czerwona ślina pociekła mu po brodzie. – To żacy, panie. Nie znałem ich aż do dziś. Przyszedłem tu tylko na śniadanie, panie, to wszystko. Na małe śniadanie...

– To dlatego twoje ubranie śmierdzi dymem?

– Proszę, panie, nie zabijaj mnie. Nawet nie widziałem tych dziewcząt. Proszę, oszczędź...

– Zamknij oczy.

Jean zamknął.

– Jean i Ebert. Tak, Ebert. Proszę, panie, nie zabijaj mnie.

Tannhäuser na powrót wetknął szmatę w jego usta i cofnął się o krok. Drugie cięcie odjęło Jeanowi dłoń przyszpiloną do piersi. Strzała zmieniła położenie, ale utrzymała się w ranie. Jean wziął głęboki wdech, by krzyknąć z bólu, i w tym momencie bardzo głęboko zassał mokre płótno. Tannhäuser wyrwał strzałę z jego piersi wraz z uciętą dłonią. Grot nie był odkształcony. Zsunąwszy dłoń z promienia, Mattias odłożył strzałę na stół. Dłoń umierającego była spocona i gorąca; wyrzucił ją przez otwarte drzwi, wprost na schody. Ci, którzy widzieli, jak spadła, zaklęli siarczyście.

Jean wciąż dusił się szmatą, ale nie miał czym jej wyciągnąć. Tannhäuser wypchnął go za drzwi. Tu nie brakowało miejsca: mógł wziąć pełny zamach i trzecim cięciem otworzyć

czaszkę milicjanta, od potylicy aż po brwi. Gdyby używał własnego miecza, nie zdecydowałby się na taki cios – ryzyko uszkodzenia klingi byłoby zbyt duże – ale musiał przyznać w duchu, że efekt był spektakularny. Krew popłynęła z rozcięcia na niemal całym obwodzie głowy. Zostawiwszy miecz w ranie, Tannhäuser pchnął Jeana tak, by wyleciał przez barierkę. Nie był pewny, czy intruzi już skradają się po schodach, ale jeśli tak, to trup wylądował na ich głowach.

Konsternacja panująca na parterze osiągnęła nowy poziom. Ktoś zawołał, że trzeba sprowadzić armatę, a ktoś inny, że kawalerię. I że byłoby lepiej, gdyby mieli pancerze. Oraz lepszą broń. I gdyby ktoś nareszcie docenił ich heroiczną służbę. Po chwili cała grupka wycofała się aż na ulicę.

Tannhäuser wrócił do kuchni, gdzie mężczyzna z jabłkami i serem zdołał już po cichu skonać. Wyjął sztylet z jego gardła, wytarł go i wsunął do pochwy. Dwa dorodne jabłka schował pod kaftan; ser niestety utonął we krwi. Przewrócił zabitego na plecy, zaciągnął na korytarz i kopniakiem rozłożył mu nogi. Raz jeszcze zaszedł do kuchni, po drugi zdobyczny miecz. Ruchem znanym dobrze kopaczom rowów wbił klingę w genitalia zabitego i dalej, głęboko w deskę podłogową. Założywszy na cięciwę zakrwawioną strzałę, ruszył na drugie piętro.

U szczytu schodów, nieco węższych od poprzednich, znajdował się krótszy korytarz z dwójgim drzwiami, niestety zamkniętych na klucz. W suficie dostrzegł otwartą kłapę, z pewnością wyjście na strych. Zajrzał tam; poddasze było ciemne i ciche; nie widać było nawet drugiej kłapy, wiodącej bezpośrednio na dach, ale gdzieś tam musiała być.

Zatrzymał się przy wielkim wiklinowym koszu pełnym świeżego prania. Z dalszej sypialni, tej od frontu, dobiegły dwa męskie głosy. Wrzaski Jeana najwyraźniej nikomu nie przeszkodziły, podobnie jak pokrzykiwania intruzów dobiegające z parteru. Ci, którzy znajdowali się za tymi drzwiami, zapewne zdążyli zobojętnieć na takie odgłosy. Tannhäuser zdjął strzelbę z ramienia i sprawdził panewkę. Od wczoraj ktoś zdążył nasypać prochu. Sprężyna koła także była naciągnięta. Położył broń w koszu z bielizną.

Spróbował wyobrazić sobie, co go czeka za ostatnimi drzwiami. Ciasna sypialnia, może wielkości kuchni. Meble, łóżka, bibeloty. Przeszkody na każdym kroku. Dwie niewinne osoby. Dwaj młodzi, niesprawdzeni w boju przeciwnicy. Spora dawka paniki. A on wciąż nie odnalazł swoich pistoletów.

Zdjął z ramienia kołczan i położył obok strzelby. To samo uczynił z pasem i mieczem. Wyjął z pochwy sztylet z lazurytową rękojeścią; lewą ręką chwycił łuk i strzały.

Stanął przy pierwszych drzwiach. Cisza. Nacisnął klamkę, uchylił, wsunął grot strzały w szparę. Splądrowana sypialnia. Męskie buty. Zapach wody pomarańczowej. Pokój Daniela Malana. Tannhäuser zatrzymał się przy ostatnich drzwiach.

Pozwolił Carli umrzeć. Oczami wyobraźni zobaczył jej twarz.

A potem kopnął w drzwi.

– Jean. Ebert. Włóżcie portki i wyjdźcie stąd. Kapitan was szuka.

Zapadła cisza. Po chwili rozległy się nerwowe szepty. Studenci, nie milicja, pomyślał Tannhäuser. Debatują. Niespokojni, z poczuciem winy. Tylko Pascale i Flore milczą. Milczenie to jednak typowa reakcja na przemoc i gwałt.

– Żałujemy – odezwał się piskliwy głos – ale teraz nie możemy wyjść.

– Powiedz kapitanowi, że dołączymy później.

– Żałujecie? – Tannhäuser znowu kopnął drzwi. – Pożałujecie, gdy każe was porządnie wychłostać.

W zamku zgrzytnął klucz.

– Posłuchaj no, mój panie – odezwał się młody głos, tym razem siląc się na wielkopański ton. – Nie jesteśmy członkami tej waszej milicji i możemy robić, co nam się podoba. Jasne?

W tym momencie, dla lepszego efektu dramatycznego, student otworzył drzwi.

Tannhäuser już miał go pchnąć sztyletem, ale w ostatniej chwili rozpoznał jednego z aktorów, którym poprzedniego dnia dał lekcję w Czerwonym Wole. On także został rozpoznany.

– Nie, nie! – Aktor nieomal wrzeszczał. – My je ocaliliśmy! Ocaliliśmy obie.

Tannhäuser zmienił zamiar i miał wypatroszyć go cięciem od dołu, uniósł rękę wysoko i głowicą sztyletu złamał mu nos. Krew trysnęła obiema dziurkami, ale Mattias nie miał czasu na podziwianie widoków: podciął mu nogi i pchnął z całej siły. Wkraczając do sypialni, trzymał już w palcach nasadkę strzały i napinał cięciwę, nie wypuszczając z ręki sztyletu. Wymierzył w drugiego aktora, który właśnie podniósł się z krzesła stojącego przy oknie. Tannhäuser natychmiast zauważył, że obaj mają na twarzach zadrapania, głębokie ślady paznokci.

– Usiądź albo cię zabiję. I obie dłonie pod dupę.

Młodzieniec usłuchał, spoglądając to na lśniący czerwienią skórzany fartuch, to na skąpany we krwi grot strzały.

– Ty jesteś Jean?

– Tak. I to prawda – dodał prędko Jean – my je uratowaliśmy.

– Milcz. Podziwiał swoje jaja.

Jean i tym razem usłuchał.

Tannhäuser spojrział na Pascale i Flore.

Żyli i były ubrane. Wyglądało na to, że jeszcze nie spotkała ich krzywda. Zawstydział się, czując, że oczy zachodzą mu mgłą. Zwolnił cięciwę, opuścił łuk i schował sztylet do pochwy. W sypialni mieściło się podwójne łóże, dwa krzesła oraz mały stolik pod oknem. Prócz tego tylko kilka drobiazgów i nic więcej. Pascale i Flore siedziały po drugiej stronie łóżka, a Ebert wciąż leżał twarzą w dół, smarkając krwią. Tannhäuser kopnął go w lewy bok.

– Ebert, wczółgaj się pod łóżko.

Chłopak jęknął, ale zaczął posłusznie pełznąć, aż jego głowa i ramiona utknęły pod łóżkiem. Tam dopiero zaczął płakać. U pasa miał pochwę z nożem. Tannhäuser obejrzał go, ale broń nie miała żadnej wartości – wyrzucił ją za drzwi. Teraz kopnął Eberta w prawy bok i poczuł, jak chrząstka trzeszczy pod jego obcasem w miejscu, w którym łączyła żebra z kręgosłupem. Podeszedł do Jeana i wyjął mu zza paska długi rzeźnicki nóż – zupełnie nowy, zapewne nieużywany. Przyłożył ostrze do gardła chłopaka, by w spokoju wyrzeć przez okno.

– Sprawieś sobie rzeźnicki nóż, Jean? Chciałbyś być rzeźnikiem?

Szyby w oknach były grube i nieco zamglone w środkowej części, ale zobaczył, co chciał zobaczyć. Kilkunastu milicjantów debatowało, stojąc przy ognisku. Sądząc po szerokich gestach i czerwonych twarzach, emocji nie brakowało.

Tannhäuser odwrócił się i spojrział na Pascale. Szyję miała owiniętą czerwonym, jedwabnym szalem. Odwzajemniła spojrzenie i przez krótką chwilę czuł się tak, jakby cały świat zamarzł, porażony jej niezmiernym, niepoznanym bólem. A przecież wiedział, że to tylko iluzja, że świat wciąż się obraca. Obraca się przeciwko nim.

– Gdzie moje pistolety?

Dziewczęta siedziały nieruchomo, trzymając na kolanach cienkie poduszki. Żadna z nich nawet nie drgnęła. Tannhäuser pomyślał przelotnie o tym, jak straszliwego i długotrwałego strachu musiały doświadczyć w ostatnich godzinach.

– Wybaczcie, jeśli wyrażam się zbyt konkretnie. – Nadal przyciskał ostrze rzeźnickiego noża do gardła Jeana. – Z pewnością jesteście przerażone, ale w tej chwili liczą się tylko konkrety. Gdzie pistolety?

Pascale sięgnęła pod poduszkę i wyjęła pistolet z zamkiem kołowym, trzymając go oburącz jak krótki muszkiet. Opuszczony kurek spoczywał na panewce.

Flore wyjęła drugi.

– Są nabite? – spytał.

Pascale wzięła głęboki wdech, może pierwszy od bardzo długiej chwili.

– Po cóż miałybyśmy je trzymać, gdyby nie były?

– Możliwe, że zadałem głupie pytanie.

– Pytanie było dobre – zaproponowała Flore. – Dziś rano tata pokazał nam, jak je nabić i jak sypać proch na panewkę. Są gotowe do strzału.

– Mogę je wziąć?

– Nie ten – odparła Pascale.

– Rozumiem, ale... – zaczął Tannhäuser.

– Nie, nie rozumiesz.

– Zamierzam poruszać się po dachach – wyjaśnił. – Nie uda nam się ta sztuka, jeśli będziemy mieli pistolety gotowe do strzału. Nie czułybyście urazy, gdybyście widziały w życiu tak wielu przypadkowo postrzelonych jak ja.

– Nie chodzi o urazę – odrzekła Pascale. – I nie postrzelę się przypadkowo.

Wstała i wymierzyła w pierś Jeana.

Tannhäuser odsunął się na bezpieczną odległość.

– Pascale, nie strzelaj. Pozwól, że coś ci wyjaśnię.

Pascale nie strzeliła, ale nie przestała mierzyć do Jeana, który zaczął się trząść ze strachu.

– Przyszliśmy tu, żeby was ratować – wydukał. – I uratowaliśmy.

Zanim Jean zdążył przekonać ją wymówkami, by jednak go zastrzeliła, Tannhäuser wybił mu przednie zęby tępym końcem rękojeści rzeźnickiego noża. Jean upadł na podłogę i spojrzał na niego szklistymi oczami.

– Kazałem ci milczeć.

Tannhäuser spojrzał na Pascale, a Pascale na niego.

– Posłuchaj, jesteśmy w trudnej sytuacji i czeka nas długa droga, zanim będziemy bezpieczni.

– A sądzisz, że będziemy? – wtrąciła Flore.

– Nie przyszedłem tu, żeby umrzeć. Jak już zauważyłyście, te pistolety naprawdę mogą się przydać, zwłaszcza że ci pajace z ulicy nie wiedzą, że je mamy.

Oczy Pascale – ciemne tunele, wywiercone tylko po to, by można było dostrzec jej ból.

– Chcesz mi powiedzieć, że mam go nie zabijać?

– Proszę, żebyś nie strzelała, bo będziemy głusi przez resztę dnia. Jeżeli chcesz kogoś zabić, lepiej polegać na chłodnej stali. Musisz jednak wiedzieć, że zadawanie śmierci

to most, po którym można przejść tylko w jedną stronę. Nie ma powrotu, i to nie tylko w tym życiu, ale i przez całą wieczność. Moja rada jest taka: zachowaj duszę czystą od zabójstwa. Najprawdopodobniej będziesz żałować, jeśli to zrobisz.

– Nie uważam, żebym popełniała zabójstwo. I nie wierzę, że będę żałować.

– Usłuchaj go, Pascale – odezwała się Flore. – Tata na pewno powiedziałby to samo.

– Ojciec nie żyje. – Pascale ani na chwilę nie przestała patrzeć w oczy Tannhäusera.

– On nie żyje, prawda? Właśnie tym oddychamy przez cały ranek: zapachem spalonego ciała naszego ojca, prawda?

– Tak. On nie żyje. Spalili go na stosie książek, które wydrukował.

Flore z trudem stłumiła szloch. Pascale nawet nie mrugnęła.

– Powiedziałem „najprawdopodobniej”. Nie twierdzę, że na pewno, przecież nie znam cię tak dobrze. Może takie jest twoje przeznaczenie? Może masz być zabójczynią, czy będziesz tego żałować czy nie? Może powinienem powiedzieć tak: kto wie, czy żywot zabójcy nie jest przeznaczeniem, które wybierzesz, albowiem przeznaczenie zawsze wybieramy sami, ono tylko czeka na to, czy je odkryjemy.

– Żałujesz wyboru, którego dokonałeś?

– Przeszedłem po tym moście tak dawno temu, że już nie pamiętam, co jest po drugiej stronie.

– Czekałam na ciebie – powiedziała Pascale.

Zaskoczyła go.

– Na mnie?

– Na ciebie. Powiedziałeś, że przyjdziesz.

Tannhäuser nie odpowiedział.

Wargi Pascale zadrżały. Zacisnęła usta z całej siły.

– Czekałam całą noc. Mówiłam ojcu, że przyjdziesz. Mówiłam Flore, że przyjdziesz.

Ale nie przyszedłeś.

– Nie mów tak, Pascale – zaproponowała Flore. – Przecież przyszedł, jest z nami.

– A potem czekałam przez cały ranek. W końcu zabrali ojca. I spalili na stosie książek, które wydrukował. – W oczach Pascale błysnęły łzy, ale ona nie chciała, by popłynęły.

Tannhäuser znowu widział mgłę.

– On był najlepszym człowiekiem na świecie – ciągnęła Pascale. – Potrafił śpiewać i tańczyć. Mówił i pisał w starożytnych językach. W jego umyśle wszechświat obracał się dziesięć tysięcy razy dziennie, tak mi powiedział. I wierzyłam mu.

– Ja też mu wierzę – odparł Tannhäuser.

– Był lepszym człowiekiem niż ty.

– Nie wątpię. Wychował ciebie i Flore.

Nie przestając patrzeć mu w oczy, Pascale uniosła rękę i wytarła łzy opuszkami palców.

– Przepraszam – powiedziała. – To mroczny i krwawy dzień.

– Bardziej mroczny i krwawy, niż ci się wydaje. Ale i ja jestem mrocznym i krwawym człowiekiem. Dlatego pozwól, że zajmę się praktycznymi sprawami.

– Ja też chcę się nimi zająć.

– Na dole leży sześciu mężczyzn, których dusze już smażą się w piekle. Nie umarli łatwą śmiercią. Jeśli zaś nie masz zbyt wiele szacunku dla tych tu dwóch – a tylko na wypadek, gdybyś jednak miała, pozwoliłem im żyć tak długo – to wolałbym, żeby nikomu nie zdradzili mojego nazwiska.

– Nie znamy twojego nazwiska – zawołał spod łóżka Ebert.

– Nazywa się Tannhäuser – powiedziała Pascale. – Może i jemu pokażesz kutasa, tak jak nam pokazałeś? No, dalej. Wyjmij go.

Tannhäuser spojrzał na Eberta.

Chłopak puścił wiatry.

– Nie chcieliśmy was obrazić.

– Przyszliśmy tu, żeby was ratować, Pascale – zawtórował mu Jean, sepleniąc z powodu wybitych zębów. Podniósł się na kolana. – I pomogliśmy wam, prawda? Nie wpuściliśmy tu nikogo. Chroniliśmy was. Nie mamy nic do hugenotów. Daję słowo, ja ich nawet podziwiam. Nie jesteśmy tacy jak inni, nie jesteśmy z milicji.

– Wy ich tu sprowadziliście – odpowiedziała Pascale. – Wiedzieliście, gdzie mieszkamy.

– Oni i tak znali waszego ojca – odparował Ebert. – I tak by tu przyszli.

– Ale nie tak wcześnie. Trafiliby do nas może dziś wieczorem, a może dopiero jutro. Ale nie dwie godziny temu. Nie przyszliby wcześniej niż Tannhäuser.

– Przecież nie wiedzieliśmy, że on się tu zjawi! – wybuchnął Ebert. – Choć oczywiście dziękujemy Bogu, że jednak przyszedł.

– Chcieliśmy was zabrać do domu – dorzucił Jean. – I nadal możemy to zrobić, jeśli tylko nam pozwolicie.

– Masz na myśli to brudne poddasze? Czy może pałac rodziców?

– Pascale – jęknął Jean. – Nie rozumiesz, że cię kocham? Uwielbiam cię.

Pascale charknęła głośno i splunęła na niego.

– Nie pójdę z wami do domu – powiedziała. – Zamorduję was.

– Jego ekscelencja ma rację – odparł Jean. – Jesteś za młoda, żeby to zrobić.

– Ale nie za młoda, żebyś mnie łapał za cycki?

Tannhäuser zrozumiał, że powinien był zabić obu studentów, gdy tylko przestąpił próg tej izby. Słuchając rozmowy, sam już nie wiedział, co byłoby słuszne, a co nie. Poświęcił mnóstwo czasu na to, by nauczyć Orlandu, że nie wolno zabijać. Miał nadzieję, że to samo uda mu się z Grégoire'em i Juste'em. Lecz o ile chłopców rozumiał, o tyle o sercach dziewcząt nie wiedział absolutnie nic. Kusiło go, żeby dać Pascale to, czego tak pragnęła, choć przecież była jeszcze dzieckiem. Nie chciał pomagać jej w drodze do potępienia, choć to chodziło o jej duszę, nie jego.

Był w tym samym wieku co ona, gdy dokonał własnego wyboru.

– Czy to prawda, że sprowadziliście tu milicję? – spytał, zwracając się do Jeana.

– Tak, tak! – odpowiedział Jean. – Bo wiedzieliśmy, że tylko w ten sposób możemy ocalić dziewczęta.

– Skąd wiedzieliście? – spytała Flore.

Jean otworzył usta i zamknął je, nie wypowiedziawszy ani słowa.

– Mogliście przyjść i ostrzec nas – ciągnęła Flore. – Nie musieliście sprowadzać milicji. Tylko że wtedy tata kazałby wam odejść, zostawić nas w spokoju. A milicja pozbyła się go, na czym tak wam zależało. Ubiliście interes.

Jean patrzył jej w oczy, ale nie ufał własnemu głosowi. Nie zaprzeczył.

Tannhäuser także spojrział na Flore, a ona na niego. Ta chwila wystarczyła, by zmienić o niej zdanie.

To Flore ogłosiła wyrok śmierci na dwóch młodzieńców i dobrze o tym wiedziała.

Tannhäuser wyjrzał znowu na ulicę. Milicjanci już się nie sprzeczali, słuchali przywódcy.

– Pascale, oddaj mi pistolet – powiedział Mattias, stając plecami do okna.

Skierowała lufę w stronę podłogi i palcem brudnym od tuszu przestawiła kurek w bezpieczną pozycję. Oddała broń Tannhäuserowi.

– Włożyłeś fartuch ojca – zauważyła.

– Mam nadzieję, że się nie gniewacie.

– Ocieka krwią.

– To nie moja krew.

– Pożyczysz mi nóż?

– To, co chcesz zrobić, jest paskudniejsze, niż sądzisz.

– Nic nie jest paskudniejsze od tego, o czym myślę. Może tylko to, co czuję – odrzekła Pascale. – Chcę cuchnąć krwią tak jak ty.

Tannhäuser podszedł do Flore. Położył na łóżku obok niej swój łuk oraz pistolet. Gdy i ona oddała mu broń, zabezpieczył kurek.

– Macie też olstra? I sakwy podróżne?

Flore wyciągnęła je spod łóżka.

– Spakujcie do nich po jednej czystej sukni. I włożcie buty, w których będziecie mogły biegać.

Tannhäuser sprawdził oba pistolety i włożył do olster.

– Mój ojciec jest bogaty – odezwał się Jean. – Wy także możecie być bogaci.

Tannhäuser podszedł do niego, wykręcił mu rękę za plecy i szarpnął, stawiając go do pionu, a potem poprowadził w stronę drzwi. Jęki i błagania popłynęły z ust studenta z taką prędkością, a wypowiadał je z tak ściśniętym gardłem, że Tannhäuser nie zrozumiał ani słowa – i może dobrze się stało. Gdy Jean chwycił klamkę i założył jedną nogę za drzwi, by nie dać się od nich oderwać, Mattias wykręcił mu drugą rękę jeszcze trochę mocniej. Kość trzasnęła tuż poniżej stawu ramieniowego. Jean wrzasnął dziko.

Podobnie jak wszystkie inne krzyki, które tego ranka rozległy się w całym mieście, tak i ten nie wzbudził niczyjej litości ani nawet zainteresowania. Tannhäuser wykręcił drugą rękę Jeana i wyprowadził go na korytarz. Pociągnął go w dół, na kolana, tuż obok balustrady nad schodami. Zerknął przez ramię, czy Ebert nie ruszył się spod łóżka.

Pascale poszła za nim.

Flore została na łóżku.

Jean wił się jak spętana owca.

Tannhäuser złamał mu drugą rękę.

– Jesteś trupem, synu. Spróbuj pożegnać się z życiem z odrobiną godności.

Jean poddał się, ale w jego skomlaniu więcej było bólu i rozpacz niż dumy.

Tannhäuser spojrzał na Pascale.

– Jesteś gotowa?

– Jestem.

– Może oboje będziemy za to przeklęci, ale ja i tak jestem, więc niczego nie ryzykuję.

– Chcę przejść po moście i nigdy nie wrócić.

Pascale wyciągnęła rękę po nóż.

– Nie chcę pamiętać, jak jest po tej stronie.

– Jeśli masz zabić szybko, musisz wiedzieć jak, musisz być przekonana oraz musisz uważać na szczegóły, zwłaszcza anatomiczne. Bóg nie zaprojektował nas po to, żebyśmy szli na rzeź, choć dzieje się to tak często. Wyobraź sobie, że żebra to pancerz, który chroni nas z przodu i z tyłu – to akurat prawie prawda. Zobacz sama.

Nacisnął palcami klatkę piersiową Jeana, a Pascale powtórzyła jego ruchy. Skinęła głową. Jean szlochał, wijąc się ze strachu.

– Dobry Panie Boże, najszczerzej żałuję za wszystkie moje grzechy...

– Módl się w milczeniu – polecił mu Tannhäuser. – Jak mnisi.

Jean już tylko jęczał.

– Dlatego też – ciągnął Tannhäuser – nie jest łatwo przebić się przez żebra, nie mówiąc o tym, że ostrze może utknąć między nimi, a nawet się złamać. Poza tym, bijąc w żebra, można zadać rozmaite obrażenia, a nie uszkodzić żadnego z najważniejszych narządów. Świat jest pełen ludzi, których pchnięto nożem i żyją. Jestem jednym z nich. Weź pod uwagę i to, że poderżnąć komuś gardło to nie taka prosta sprawa, jak mogłoby się wydawać, ponieważ... o, tu, czujesz? Są tu pasma mięśni chroniące główne naczynia krwionośne. Potrzeba ostrego noża i uderzenia z determinacją, by dostać się wystarczająco głęboko. Nawet przecięcie tchawicy może nie skończyć się śmiercią, zwłaszcza dla kogoś, kto o tym wie.

Pascale słuchała go w ogromnym skupieniu.

– Ale dotknij palcami tutaj, nad obojczykami.

Pascale dotknęła chłodnego od łez ciała Jeana, mniej więcej u nasady szyi.

– Skóra i mięśnie są tu rozciągnięte jak membrana bębna, nawet u najsilniejszego człowieka. A poniżej pełno jest wrażliwych narządów, są choćby te wielkie tętnice biegnące od serca, są płuca, jest wreszcie samo serce. Wbij tu ostrze, a nawet największy szczęściarz będzie miał nikłe szanse, by przeżyć. Cios musi być jednak pionowy, a twój ciężar powinien podążyć za nim albo z góry, albo od tyłu, a czasem, gdy musisz atakować z przodu, możesz uderzyć od dołu.

Pokazał.

– Zrozumiałaś?

Pascale powtórzyła jego ruchy zaciśniętą pięścią. Skinęła głową i spojrzała na Tannhäusera.

– To haniebna rzecz, prawda? – spytała.

– Cieszę się, że to powiedziałaś. Wróc do Flore, ja się nimi zajmę.

– Nie o to mi chodziło. Wolę być zhańbiona niż słaba. Mam dość bycia jedną ze słabych.

Tannhäuser skinął głową.

– Nie zaprzeczyłeś. Zabijanie uczyni mnie silniejszą?

– Często stwarza taką iluzję. Ale czasem to nie jest iluzja.

– Daj mi nóż.

Tannhäuser przycisnął czubek ostrza do zagłębienia u nasady szyi Jeana, tuż nad prawym obojczykiem, nieco ukośnie, w stronę serca.

– Widzisz, jak ustawiłem ostrze? Naciśnij mocniej, niż sądzisz, że powinnaś, a potem pchaj aż do końca. Na koniec spróbuj obrócić rękojeść jak dźwignię od prasy drukarskiej.

– Pascale – jęknął Jean. – Błagam, przez wzgląd na moją miłość i w imię Pana Jezusa, zmiłuj się.

– Gdy mój ojciec krzyczał, zatykałeś uszy palcami.

– Nie pozwól, żeby ofiara cię rozproszyła – pouczył ją Tannhäuser. – To się może skończyć śmiercią.

Podał jej rzeźnicki nóż. Przyjęła go, chwyciła głowę Jeana za włosy i odciągnęła ją do tyłu. Przez chwilę przyglądała się jego oczom, jego łzom, jego wargom.

– Pascale – szepnął Jean. – Pascale.

Cokolwiek czuła Pascale, z pewnością nie było to wahanie. Przyłożyła czubek ostrza do skóry Jeana i wbiła je głęboko w dół, w klatkę piersiową, jakby czyniła to równie często jak Tannhäuser. Jean westchnął. Docisnęła do końca i poruszyła, jakby to była dźwignia prasy drukarskiej, rozcinając jego serce.

– Jean nie żyje. Czujesz to. Już wiesz.

– Tak. – Zacisnęła, a potem oblizwała usta. – Tak.

– Wyciągnij nóż i odsuń się.

Wykonała polecenie.

– Nigdy nie zwlekaj. Gdy tylko zabiłaś, bądź gotowa znowu zadać śmierć.

– Tak. Tak, rozumiem – dodała po chwili zastanowienia.

– Walka na śmierć i życie musi się rozstrzygnąć w ciągu paru chwil. Jeżeli przeciwnik jest dość dobry, by przeżyć trzy twoje ataki, jest też dość dobry, żeby skończyć z tobą za pierwszym razem. I nie daj się zranić.

Tannhäuser przewiesił ciało Jeana przez balustradę jak mokre pranie i wcisnął jego stopy między tralki, by nie spadło. Wróciwszy, kopnął Eberta w połamane żebra, by szybciej

wypełzył spod łóżka i dalej, na korytarz. Tam, nie zważając na jego łyzy, Pascale wysłuchiwała porad Tannhäusera w kwestii skutecznego przecinania arterii szyjnych i poderznęła Ebertowi gardło.

Jej fascynacja tym, czego dokonała – a efektem cięcia była fontanna krwi – mocno zastanowiła Tannhäusera. Wielu chłopców ze wsi tchórzy, gdy przychodzi czas, by zabili pierwszą świnię. Pascale zaś właśnie zamordowała dwóch młodych ludzi, jakby urodziła się specjalnie w tym celu. Może właśnie tak było? Spojrzała na niego. Poczuli, że łączy ich groźna więź.

Dźwignął Eberta i przewiesił go przez poręcz. Krew z dwóch ciał popłynęła kaskadami w dół, plamiąc schody i podłogi. Krople tańczyły w powietrzu i rozpryskiwały się niczym maleńkie fontanny. Cała klatka schodowa wypełniła się czerwonawą mgiełką.

– To jak w końcu z nimi było? Aktorzy czy studenci?

– Mówili, że są jednym i drugim... a może nie byli żadnym. Nie obchodzi mnie to.

– Możemy przynajmniej oklaskiwać ich ostatni występ.

Flore podeszła do drzwi.

– Słyszę czyjeś kroki na dachu

Tannhäuser nadstawił uszu. Flore miała rację. Co najmniej dwóch ludzi skradało się po dachówkach dokładnie nad ich głowami.

– Mogą stąd dotrzeć do klapy i zejść po drabinie?

– Kłapa ma zasuwę od wewnątrz, ale otwartą – odpowiedziała Flore. – Tata posłał nas na dach, ale Pascale postanowiła zostać, żeby porachować się ze studentami, i wtedy ją złapali. Nie mogłam jej zostawić. Nie pomyślałam o tym, żeby zamknąć zasuwę.

– Siostry powinny trzymać się razem – stwierdził Tannhäuser.

– A ty? Zostaniesz z nami? – spytała Flore.

– Zostanę do czasu, aż będziecie bezpieczne.

Tannhäuser czuł żar w oczach Pascale. Spojrzył na nią.

– Czy to znaczy, że nas przygarniesz?

Tannhäuser omal się nie roześmiał, ale szybko zrozumiał, że jest tak poważna jak wtedy, gdy wbijała nóż w serce Jeana. Podeszedł do okna w sypialni i wyjrzał na ulicę – w samą porę, by zobaczyć, jak milicjanci całą grupą biegną w stronę drzwi frontowych domu Daniela Malana.

– Wyczerpaliśmy zapas szczęścia. Spróbują wziąć nas szturmem.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Szaleniec nie ma pana

Carla spojrzała ponad ramieniem Alice na cztery obrazki.

Były to karty do tarota, wykonane w stylu włoskim, a każda pochodziła z innej talii. Dwie wydrukowano drewnianymi matrycami i ręcznie pokolorowano; nosiły numery XII oraz I. Dwie pozostałe namalowano temperami – obie były piękne, choć stworzyli je różni artyści. Te nie miały ani numerów, ani nazw, były też nieco większe. Carla widywała już podobne, używane w grach, ale sama nigdy nie miała ich w ręku. Były narzędziem pracy wróżbitów, których pamiętała z ulic Neapolu, a także tych, których spotykała niekiedy na nadmorskim targu w Marsylii. Świadoma, co sądzi o tym Kościół, nigdy nie prosiła o wróżbę, ale wiedziała, że Mattias korzystał czasem z ich usług. Zadrzała mimowolnie, widząc te, które leżały na stole.

– Umiesz czytać z kart? – spytała Alice.

– Nie.

– Ale masz do tego zmysł.

– Kościół zabrania jakichkolwiek form wróżenia.

– I powinniśmy być za to wdzięczni, bo i tę praktykę wykorzystaliby do niecznych celów, jak wszystkie, które sobie przywłaszczył. Jeśli masz coś przeciwko temu, co tu robię, po prostu powiedz.

– Ufam ci.

– Albo wykażesz większe zainteresowanie, albo zamkniesz przed sobą drzwi samopoznania, a trzeba ci wiedzieć, że karty przemawiają z wnętrza człowieka.

– Ależ ja nie mam o nich pojęcia. Nie wiem nawet, jak się nazywają.

– Wróżenie to nadzieja na schwywanie wiatru, który przenika duszę. Twoja *la folia* otworzyła drzwi w sercu starej poganki, takie, których istnienia nawet nie podejrzewała. To odpowiedni moment, sama na pewno to czujesz.

– Nie jestem pewna, czy chcę znać przyszłość.

– Nikt nie może jej poznać, nie tak, jak to sobie wyobrażasz. Nawet Bóg.

– Przecież Bóg z definicji wie wszystko...

– Nie. Tylko z definicji tych, którzy mienią się nadzorcami z Jego łaski i którzy chcą, byśmy żyli w strachu. Nie sądzisz, że gdyby Bóg naprawdę wiedział, co zamierzamy, miałby w sobie dość przyzwoitości, by nas powstrzymać?

– Bóg dał nam wolną wolę...

– Czy to On nam ją dał czy też nie – a stara kobieta uważa, że nie, bo wszystko, co mądrzy ludzie o Nim mówią, wskazuje na to, że nawet nie przyszłaby Mu do głowy taka myśl – rzeczywiście ją mamy, a to całkiem istotny fakt. Jak wszystko, co było, i wszystko, co jest, także przyszłość upleciona jest z niezliczonych drobnych włókien za sprawą geniuszu naszej Matki. Z każdym oddechem wplatamy jedno czy drugie włókno, zwykle nie wiedząc, które oraz po co, bo nawet nie chcemy wiedzieć. Wrózenie to sposób na zbliżenie się do tej wiedzy, na świadomy udział w boskim dziele, dziele Stworzenia wszystkiego, co jest i co będzie, w tańcu Pani Życie.

– Jej taniec trwa teraz we mnie.

Alice uśmiechnęła się, jakby była z niej dumna.

– Tak, skarbie. I nigdy nie bywa piękniejszy.

– Proszę, mów dalej. Jak mogę lepiej w nim uczestniczyć?

– Gdy twoja dusza otworzy się na siebie samą – a także na ciebie i wszystko, czym jesteś, oraz na wszystko, co cię otacza – musisz zadać sobie nowe pytanie: jak możesz zebrać plon tej wiedzy, by zaplatać włókna życia świadomie, a nie na oślep? Albowiem jest to wiedza zbyt wielka dla zwykłego umysłu – i dla wolnej czy niewolnej woli – by można ją było ogarnąć. Zbyt wielka, by dowolnie wybrać z niej włókno, splot czy węzeł. Nic więc dziwnego, że trwamy w chaosie.

– Tak, rozumiem to. Ale skoro mówisz o zaplataniu włókien na oślep – czyż nie jest tak, że i karty, które tu leżą, wybrał ślepy przypadek?

– Nie taki znowu ślepy, ale jesteś bliska właściwej odpowiedzi: zapraszamy przypadek, by zajął należne mu miejsce w porządku spraw. Nie tylko bowiem zawiera on w sobie wszelką wiedzę, ale też jest w swej istocie przeciwieństwem woli śmiertelników – jest od niej najzupełniej niezawisły, choć chcielibyśmy, by było inaczej. Dlatego też przypadek nie wie, co znaczy trwać w chaosie, gdyż jest on zaledwie częstką jego natury. Chaos, rzecz jasna, z punktu widzenia zwykłych śmiertelników.

Alice wzięła łyk chłodnego naparu, by dać Carli czas na wchłonięcie tych myśli, które, choć niebagatelne, odbierała tak, jakby towarzyszyły jej od urodzenia. Carla także sięgnęła po swoją filiżankę, a potem skinęła głową na znak, że gotowa jest słuchać dalej.

– Jako że wszystkie rzeczy są połączone – bo czyż może być inaczej? – te karty, a raczej ich wizerunki, pozwalają na spotkanie wiedzy, którą w chaosie posiada dusza, z mocą przypadku pozwalającego czerpać z owej wiedzy. Z tego spotkania rodzi się wróżba, która nie jest procesem całkiem ślepym, to my bowiem nadajemy kierunek jej spojrzeniu, choć ledwie

majaczy on nam przed oczami jak za ciemnym szkłem. Spośród wszystkiego, co wiemy – i co w swej obfitości tak nas dezorientuje – możemy dzięki niej wyłowić to, co naprawdę chcemy wiedzieć.

Rozmowa ta, będąca wyzwaniem dla koncepcji, które dotąd wydawały się jej niezmiennie, przypomniała Carli o zimowych wieczorach spędzanych niekiedy z Mattiasem – i z dzbankiem wina – przy kuchennym palenisku. Jeszcze wcześniej zdarzały jej się podobnie mistyczne chwile z Amparo. Zanim zdążyła odpowiedzieć Alice, nadszedł kolejny skurcz.

Jęknęła głośno, oparłszy się nisko o stół, ale postarała się nie przerwać toku myślenia. Alice położyła dłoń na jej plecach i obserwowała ją uważnie, acz bez niepokoju. Jej spokój udzielał się Carli. Przy poprzednich dwóch porodach lęk towarzyszył jej nieustannie, choć nie ona była jego źródłem. Carla otworzyła oczy i ujrzała karty tuż przy swej twarzy.

Rząd trzech obrazków, wybranych przez przypadek i duszę Alice.

Pierwszym był Wisielec, odwrócony.

Drugim – postać w czerwieni, także odwrócona.

Na trzeciej karcie widniał portret żebraka bez butów, odzianego w połatane lachmany. W jego złote loki wplecione były pióra i kwiaty; na ramieniu niósł kij, ale wyglądał tak, jakby nie był pewny, po co go niesie i co właściwie powinien z nim zrobić. Był młody, a w jego czarnych oczach krył się żal, jakby dręczyły go wspomnienia o tym, co widział w swej długiej podróży. Stał samotnie, plecami do granatowej połaci – oceanu, rzeki, otchłani – jakby nie mógł dalej wędrować. Wyglądał na zagubionego.

Pierwsze dwie karty były drzeworytami. Żebraka zaś namalowano z wielką starannością, podobnie jak postać na czwartej karcie – tej, którą Alice wybrała na samym początku i ułożyła wyżej niż pozostałe. Carla celowo unikała jej wzrokiem, bo nie mogła nie odgadnąć jej imienia. Teraz dopiero spojrzała na nią uważnie.

Śmierć, odziana w żółtą szatę, jechała na oklep na czarnym koniu. Długa biała wstążka, którą opasana była jej czaszka tuż nad oczodołami, powiewała radośnie jak koronka ofiarowana rycerzowi przez damę na szczęście. Nad głową Śmierć wiozła zaś ogromną czarną kosę o drzewcu inkrustowanym złotem. Nigdy nie wyglądała na bardziej ekstrawagancką, bardziej radosną i bardziej szaloną.

Rumak o wielkich wyszczerzonych zębach, karmazynowym języku i ślepiach demona wyglądał równie upiornie. Galopował w stronę lewej krawędzi karty. Pod jego kopytami, na polu porośniętym stokrotkami, leżały zwłoki króla, biskupa i dwóch kardynałów, między którymi spoczywał papież – być może sam święty Piotr, bo w jego prawej dłoni widać było jakby ślad po gwoździu.

Nie da się ukryć, pomyślała Carla, czując, że skurcz nareszcie ustępuje, iż artysta osiągnął swój cel.

– Jeśli męczą cię te głębokie sprawy, możemy przestać. Odczytałam już, co chciałam.

– Przeciwnie. To, co robisz, nie tylko pozwala mi zapanować nad zmęczeniem, ale też fascynuje mnie. Pozwól jednak, że spytam: skoro nie można poznać przyszłości, co właściwie mówią nam karty?

– To, co się wydarzy, jest nieistotne, albowiem to, co się wydarzy, jest Panią Życie, a ona tańczy wyłącznie do własnej muzyki. Liczy się to, jaką rolę odegramy w tych wydarzeniach, jak przyczynimy się do realizacji tego a nie innego scenariusza. Gdy wsłuchamy się w to, kim byliśmy i kim jesteśmy, dusza podpowie nam, kim możemy się stać, a tym samym lepiej nas przygotuje na to, czym będziemy – lub nie będziemy – w przyszłości.

Carla znowu spojrzała na żebraka.

– Skąd się o tym wszystkim dowiedziałas?

– Staruszka nie tyle dowiedziała się, ile uświadomiła sobie, że wie. Z pewnością są mądrzy ludzie, którzy wierzą w inne, własne zasady. Z pewnością powiedzieliby, że staruszka nie wie, co mówi. Ale ona nikogo nie zmusza, by jej słuchał. To, czy ktoś to robi, jest wyłącznie jego sprawą, nie jej.

– Ja słucham. – Carla wskazała na figury. – Jak się nazywają te karty?

– Zdrajca. Kuglarz. Szaleniec.

– Dlaczego wybrałaś Śmierć?

– Karta wybrana celowo reprezentuje pytającą i jej pytanie. To ona przygląda się z góry całej opowieści i dostrzega to, co leży poza nią. Ale nie denerwuj się, moje pytanie nie dotyczy ani ciebie, ani twojego dziecka.

– Opowieść tych kart wygląda mi na ponurą. Co właściwie mówią?

– Każda z nich przemawia na nowo, ich celem jest bowiem wywołanie niewidocznych obrazów ukrytych w duszy pytającej i wejrzenie w świat pytania, tak by odczytująca mogła zrozumieć ich znaczenie. Są jak psy myśliwskie płoszące ptactwo. Lecz nie mylisz się, w pewnym sensie to są ponure historie. – Alice wskazała kolejno na trzy karty, od lewej do prawej. – Stara kobieta widzi te obrazki z każdej możliwej strony, zna je na wylot – równie dobrze jak ty swój instrument. Ale najprostszym ruchem, wstępem do wszystkiego, jest dostrzeżenie w nich obrazu przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Jak nam było? Jak nam jest? Jak nam będzie?

Alice sięgnęła po Wisielca i podniosła go. Mężczyzna w zielonych pantalonach wisiał głową w dół, uwiązany za lewą kostkę do szubienicy z nieheblowanych belek. Ręce miał związane za plecami, a z jego kieszeni sypały się złote monety. Jego oblicze pozostało jednak dziwnie obojętne na to, co się działo. Wydawało się wręcz, że lada chwila rozpromieni je uśmiech.

Gdy Alice znowu przemówiła, w jej głosie pobrzmiwała gorycz.

– Pelikan karmi młode własną krwią. Robak zjada własny ogon. Głowa Zdrajcy kołysze się nad niespokojnymi wodami, a jego umysł tonie, ale on o tym nie wie, gdyż wzgardził roztropną radą i postradał zmysły. Nie kochał swego życia i nigdy nie pokocha, aż je straci. Tym bowiem, którego zdradził, jest on sam i choćby wyrzekł się fałszywej drogi, choćby wyznał swe grzechy, choćby nożem ofiarnym rozciął więzy, które go pętają, i tak utonie. Albowiem nie widzi swych ukrytych wrogów i nigdy nie wyda pieniędzy, za które zdradził.

Alice obróciła kartę i odłożyła na miejsce. Sięgnęła po Kuglarza, ubranego na czerwono. Stał przy stoliku ulicznego gracza, na którym leżały przedmioty służące mu do uprawiania jego rzemiosła: kostki, nóż, groszek i trzy muszle, pieniądze oraz puchar wina. Trzymał w dłoni cienki patyk – a może gwizdek do wabienia klientów? Alice znowu sięgnęła w głąb siebie.

– Sokół spłoszony strzałą. Wilczyca w potrzasku odgryza własną łapę. Ogary grają. Byk na wolności. Fałsz. Niecna sztuczka. Ambicja. Ropiejące rany. Subtelność raduje się złem i w jego imieniu służy występnemu bogowi. Lecz nawet wśród spiskowców panuje strach, bo puchar zatruty, a truciele wypiją aż do dna. – Alice machnęła kartą, zanim odłożyła ją na miejsce. – Ten Kuglarz jest wrogiem, którego nie widzi Zdrajca. Zresztą nikt jeszcze go nie widzi.

– Zatem karta może symbolizować konkretną, prawdziwą osobę?

– Naturalnie, choć zwykle kilka. Karty są odbiciem drogi pytającej, życiowego dramatu, w którym może występować wielu aktorów. Detale tej konkretnej wróżby nie powinny cię obchodzić, lecz wiedz, że ten scenariusz opiera się na intrydze, chciwości i kłamstwach. Jednak nie wszystko stracone, ponieważ poza wszelkim nieszczęściem i poza strachem stoi wariat. – Alice sięgnęła po Szalenca i spojrzała nań jakby z czułością. – Słuchajcie, słuchajcie, psy szczekają, żebrak przybył do miasta. Brzuch jego i talerz są puste, nie ma nawet kieszeni. Ukarali go nie za błędy, które popełnił, ale za te, których nie popełnił: albowiem Szaleniec nigdy nie szukał władzy nad swymi braćmi i siostrami, nie starał się też zapanować nad Naszą Matką. Morze przynależy krokodylowi, a płatki i kolce – róży. Jego

droga wiodła z ciemności w światłość i do domu w ciemności musi powrócić. Przebył każdą ścieżkę, którą warto przebyć, poznał każdą rzecz wartą poznania i teraz, nareszcie, już wie, że absolutnie nic nie wie. Stoi nad brzegiem Otchłani i nie widzi jej, dlatego spadnie. Ludzkie zmysły jej nie ogarniają, ale ma swoje dno; jej trzewia usiane są ruinami zgładzonych imperiów i kikutami obelisków, dawniej wysokich na siedem razy siedem. A przecie, skoro Szaleniec zaczynał od niczego i przed niczym staje, musimy zapytać: czy jego podróż dobiegła końca? A może ma się rozpocząć na nowo? – Alice odwróciła kartę ku Carli. – Wiesz? A czy staruszka wie? Albo on?

Carla spojrzała na zagubionego, zdezorientowanego wyrzutka, przepelnionego litością dla wszystkich prócz siebie samego. Owładnęły ją uczucia, których nie potrafiła wyjaśnić.

– Amparo – zaszlochała.

– Tak, skarbie.

– I moje dziecko.

– Tak, skarbie. I ty. I ja.

Carla pozwoliła sercu przemówić, a Alice chwyciła ją za rękę. W chwili, gdy zaczynała się lękać, że jej smutek jest nieskończony i nieokreślony, i nigdy nie minie, poczuła nowy skurcz, bardzo bolesny, ale była niemal wdzięczna, że narasta. A narastał bez litości, znacznie silniejszy i dłuższy niż wszystkie poprzednie. Lecz i on wreszcie minął, a Carla odetchnęła głęboko i spojrzała na swą towarzyszkę. Uśmiechnęła się smutno, widząc, że Alice mruga do niej porozumiewawczo. Zastanawiała się przy tym, dlaczego nie ma ochoty usiąść ani się położyć; czuła ból w udach, a jednak wołała stać.

– Czyż niektórzy nie nazywają Szaleńca Błaznem?

– A czy wygląda na Błazna? Masz rację, ostatnio tak właśnie na niego wołają. Lecz czy pajac z dzwoneczkami u czapki, zabawiający królów – a w istocie niewolnik, którego chlebem codziennym jest wszelki brud – mógłby wiedzieć to, co wie Szaleniec? Szaleniec nie ma pana, skarbie. Błazen zaś pełza u stóp swego chlebodawcy i walczy z psami o resztki z pańskiego stołu. Czy ktoś taki mógłby pozostać nieskazitelny, przebywszy świat chaosu, zepsucia i bólu? – Alice, oburzona, wykrzywiła zsiniałe usta w grymasie, który Carla zdążyła już polubić. A potem westchnęła i wzruszyła ramionami, wyrzekając się gniewu na rzecz rezygnacji i żalu. – Szaleniec zostanie ograbiony ze wszystkiego, co ma, ze wszystkiego, co najcenniejsze, lecz nie dla niego, a dla nas. A najcenniejsza jest nicość. Odbiorą mu nawet łachmany, zostanie zapomniany i przeklęty, a zamiast jego prawdy usłyszemy dzwonki. Mnóstwo dzwoneczków. Ludzie lubią dzwonki – drogę ku nicości jakby mniej. Ale nie zrobią

mu niczego, czego wcześniej nie uczynili Jezusowi i wielu innym. Ostatecznie zaś odbiorą mu wszystko. Ale twoje pytanie nie było złe.

- A twoje? To, na które odpowiedziała ci Śmierć?
- To było pytanie, które tylko staruszka mogła zadać.
- Dziękuję więc, że pozwoliłaś mi poznać choć część odpowiedzi.

Alice zebrała cztery karty, odwróciła awersami ku dołowi, dołączyła do talii i... już ich nie było. Carlę nagle ogarnęło niesłychanie silne poczucie pustki. Nie spodziewała się, że ich obecność jest aż tak realna.

Alice podała jej talię. Przyjęła ją z wahaniem.

- Nie wiem o nich tyle, ile potrzeba.
- Staruszka nie będzie się gniewać, jeśli nie zechcesz zadać pytania.
- Alice, ja nawet nie wiem, o co spytać. I jak to zrobić.
- Niech więc karta zada pytanie za ciebie.
- Ale która?

– Będziesz wiedziała, gdy ją zobaczysz. Jest tam, czeka na ciebie, jedna z dwudziestu dwóch. Ta właściwa, specjalnie dla tego miejsca i dla tej chwili. W innym momencie – zapewne inna karta albo ta sama, lecz oznaczająca coś innego. Nie przejmuj się, nie myśl, nie drąż, nie porównuj. Wyjawię ci ich imiona, żebyś choć nad tym nie musiała się zastanawiać. Tylko patrz, a kiedy już będziesz wybierać, czyń to prędko.

Carla przetasowała karty zwrócone awersami w dół. Były różnej wielkości i sądząc po wzorach na rewersach, pochodziły z co najmniej czterech różnych talii – czy było tak z konieczności czy ze świadomego wyboru, wołała nie pytać.

- Później będziesz je mieszać.

Carla uświadomiła sobie, że nie musi tasować. Odwróciła pierwszą kartę.

- Kochankowie – powiedziała Alice.

Carla zatrzepotała powiekami. Nie spodziewała się tak potężnego symbolu. Obrazek przedstawiał Kupidyna z opaską na oczach, unoszącego się nad młodą parą. Ten wizerunek musiał jednak należeć do innego czasu i miejsca. Odłożyła kartę awersem do dołu i znowu odwróciła.

- Koło Fortuny.

Carla odrzuciła kartę i sięgnęła po kolejną, przedstawiającą ponurą wieżę z blankami.

- Ogień.
- Kuglarz.

- Cesarz.
- Księżyc.
- Gwiazda.
- Diabeł.
- Zdrajca.
- Siła.

Kobieta zamykająca paszczę lwu. Carla znieruchomiała na moment, lecz i tę kartę odrzuciła.

- Słońce.
- Rydwan.

Carla odwróciła kolejną kartę i natychmiast zrozumiała, że to ta właściwa, pytająca. Kobieta w krwistoczerwonej sukni stała na zielonym kole, unoszącym się w kłębowisku błękitnych chmur. Wewnątrz koła widać było góry, a na ich wierzchołkach – miasta otoczone murami. Kobieta trzymała w ręku kostur oraz złoty glob, a jej głowę otaczała srebrzysta aureola. Wydawało się, że z trudem utrzymuje równowagę, jakby Ziemia – bo tym właśnie, według Carli, było zielone koło – obracała się pod jej stopami. Nie spadła jednak. Jeszcze.

– Oto moja karta. Wybieram czerwoną suknię, którą miałam na sobie, gdy spotkałam Mattiasa. Ten okrąg jest łonem. Ona zaś widzi wszystko, jak sędzę. Kto to jest? – spytała, pokazując kartę Alice.

- To *Anima Mundi*. Dusza Świata. Śmiały wybór.

Carla usłyszała w jej głosie ostrzegawczą nutę, ale po tym, co przeżyła, nie bała się śmiałych wyborów.

– Zapamiętaj pytanie i wymieszaj karty tak, jak ja to uczyniłam. Gdy staną się ciężkie, przestań i pozwól, że je zbiorę.

Carla przesunęła karty po stole i zaczęła je mieszać. Zamknawszy oczy, próbowała sprecyzować pytanie. Jej głowa była pełna pomysłów, ale jeden motyw zdecydowanie dominował. Dziecko. Orlandu. Mattias. Rodzina. Czy jeszcze będą razem? Czy Mattias kiedykolwiek weźmie dziecko w ramiona? Pozwoliła, by w jej umyśle uformowała się wizja całej czwórki. Po chwili dołączyły do niej i inne postacie, właściwie tylko sylwetki. Po policzkach Mattiasa spływały łzy – miała nadzieję, że to łzy szczęścia. Poczula, że coraz trudniej jej mieszać karty, więc przestała. Alice zebrała je w talię.

- Przelóż lewą ręką. Zobaczmy, co takiego dostrzeże *Anima Mundi*.

Dłoń Carli zawisała nad talią, zmrożona nagłym powiewem lęku. Alice usiadła i położyła ręce na kolanach, jakby zapadła się w sobie, nie odrywając oczu od Duszy Świata.

Nie zwracała uwagi na Carlę. Karty zostały przełożone. Alice sięgnęła po tę część, która została na stole, i wyjęła pierwszą kartę.

– Sąd, odwrócony.

Carla przyglądała się Alice, która z uwagą wpatrywała się w skomplikowany obraz z wieloma postaciami. Wydawało się, że próbuje oczyścić umysł, jakby czekała, aż z pustki wyłonią się słowa. Wreszcie przemówiła:

– Zważonemu zabrakło.

Teraz dopiero odwróciła kartę i Carla mogła przyjrzeć się jej uważnie, z narastającym lękiem. Dwa aniołki o zielonych skrzydłach, ubrane w karmazynowe tuniki, zawisły pośród chmur, dmąc w srebrne trąbki. Pod nimi zaś siedmioro nagich ludzi usiłowało wydostać się z czeluści czerwonego grobu. Niektórzy radośnie wznosili ramiona, inni próbowali zakryć swą nagość, w poczuciu winy lub zwątpienia. Carla przygryzła język, ale nie ośmieliła się przerwać milczenia. Pierwsza karta powiedziała jej coś, o czym i tak już wiedziała: nie należało przyjeżdżać do Paryża. Choć przecież, gdyby tego nie uczyniła, nie spotkałaby Alice; nie znalazłaby się w jedynym miejscu, w którym pragnęła teraz być.

Alice sięgnęła po kolejną kartę.

– Ogień.

Mroczna, masywna wieża z obrazka przypomniła Carli o oblężeniu Malty; o tym, jak biegała po murach w spódnicy przesiąkniętej krwią, oddając serce konającym. Jedna ze ścian wieży właśnie się rozpadała, głązy topniały, zsuwały się w dół, a spomiędzy nich wypełzały języki płomieni, choć artysta upodobił je do strumieni krwi. Wysoka, łukowato sklepiona brama otwierała drogę do wnętrza wieży, lecz i tu czerwień wylewała się za próg, tworząc na zewnątrz kałużę. Był to odrażający widok.

– Oto jest obraz Otchłani. Wszystkie nasze łańcuchy zerwane, kawałek po kawałku.

Carla już chciała poprosić Alice, by przestała. Przeczowała, która karta zostanie teraz odsłonięta, ale... wiedziała, że jej nie powstrzyma. Być może w tragedii, która rozgrywała się wokół niej, tylko ona, Śmierć, mogła przyjść jej z pomocą. Alice spojrzała w oczy Carli. Jej twarz była rozluźniona, rozmarzona.

Wyciągnęła Śmierć i położyła na stole, nawet na nią nie patrząc.

– Nie trzeba mi złota ni bogactw, ani łaski książąt ni papieży, świat bowiem należy do mnie. Czy wcześniej przybędę czy później, wy wszyscy, którzy żyjecie, będziecie tańczyć ze mną.

Razem spojrzwały na kartę leżącą na stole. Carla chciała wyjaśnić Alice, dlaczego ta historia nie jest aż tak straszna, ale stara kobieta wpatrywała się w karty w głębokim skupieniu.

– Sąd, Ogień i Śmierć – odezwała się w końcu Carla. – Przez chwilę lękałam się, że odkryję prawdziwie straszliwy los. Mam jednak obrońcę, który nie ma sobie równych i także dosiada dzikiego rumaka. – Mówiąc to, wskazała na szkielet w żółtej szacie, z nedorzeczną białą wstążką na czaszce. – Spójrz, jak szarżuje w stronę Ognia.

– Wybór *Anima Mundi* na pytającą był śmiałym ruchem i niełatwiającym sprawy, ale twierdzić, że Śmierć jest twoim obrońcą, to już lekkomyślność.

– Żartuję, żeby nie dać się strachowi. Proszę, wybaczyć, że przerwałam twą zadumę.

– Powiedz, jakie było pytanie.

– Pragnę zobaczyć twarz mego męża, gdy weźmie w ramiona nasze dziecko. Chcę znowu być z rodziną. Co mam uczynić, jak się zachować, by osiągnąć ten cel?

Alice znowu spojrzwała w karty, tym razem zaciskając usta. Po chwili uniosła i znowu opuściła brew.

Tym razem skurcz chwycił Carlę bez ostrzeżenia, z całą mocą – a miał jej dosyć, by pozbawić ją tchu. Ból był trudny do zniesienia, ale bez słowa zacisnęła dłonie na krawędzi blatu, a potem, czując przemożne parcie między biodrami, przykucnęła głęboko, teraz dopiero z trudem chwytając oddech. Skurcz był jednak silniejszy. Już nie trzymała się stołu; opadła na kolana i podparła tułów rękami. Jęk, który z siebie wydała, pochodził chyba z samego dna jej duszy. Czekwała na powolny spadek napięcia, ale nie nadchodził; przeciwnie, skurcz wydawał się coraz mocniejszy. Opadła na łokcie, dotykając brzuchem podłogi, ale po chwili wyprostowała ramiona, uniosła nieco wyżej. Kolejny oddech, kolejny jęk. Wyczuła przy sobie bliskość Alice. Śmierć galopowała jej przed oczami na oszalałym karym koniu, a jej zębaty uśmiech wydał się Carli tak nedorzeczny, że chyba roześmiałyby się, gdyby tylko mogła. Znowu jęknęła. Wyobraziła sobie, że skurcz słabnie, potem zrozumiała, że to tylko pozór, ale zaraz poczuła, że naprawdę jest lepiej. Teraz nadeszła fala mdłości. Przez chwilę Carla była pewna, że zwymiotuje, ale tak się nie stało. Mdłości minęły. Skurcz także. Dyszała z wysiłku, półleżąc na czworaka na kuchennej podłodze.

Usłyszała świszczący oddech Alice i poczuła na plecach jej dłoń.

– Zostań tu, gdzie jesteś, skarbie. Wszystko jest w najlepszym porządku.

Carla nie uwierzyłaby w te słowa nikomu innemu.

– Sprawdźmy, jak daleko posunęły się sprawy. Leż spokojnie i nie bój się. Oddychaj głęboko.

Carla z wdzięcznością skinęła głową i spróbowała uspokoić oddech. Poczula, że Alice zadziera skraj jej sukni, a potem zawija go wyżej, aż do talii. Nie otworzyła oczu.

– Teraz poczujesz moje palce i chłodny płyn. To olejek migdałowy z dodatkiem lili.

Carla poczuła, że Alice wsuwa w nią palce. Jej dotyk był kojący. Mocne palce działały zdecydowanie, znały się na swojej robocie. Badając, wsuwały się coraz głębiej.

– Wspaniale – oznajmiła Alice, wycofując dłoń. – Pani Życie jest z ciebie dumna, niech więc ona będzie twoim obrońcą. Możesz już wstać?

Oddech Alice był teraz ciężki, jakby dzieliła z Carlą trud porodu.

– Oczywiście. Nic mi nie jest, nie musisz mi pomagać. – Nagle poczuła wstyd na myśl o tym, że tak łatwo dała się rzucić na kolana. Podniosła się, opuściła suknię i na klęczkach sięgnęła do stołu, by wstać.

– Szyjka skróciła się całkowicie – powiedziała Alice. – Rozwarcie na dwa palce, główka dobrze ustawiona. Lepszych oznak nie mogliśmy oczekiwać. Ale nie przyj jeszcze, zaczekaj trochę. Musisz oszczędzać siły. Pora przejść do izby, w której będziesz rodzić. Zdołasz wspiąć się po schodach?

– Naturalnie. – Carla bardziej obawiała się o to, czy Alice da radę wejść na piętro o własnych siłach, ale nie wspomniała o tym. Uśmiechnęła się. – Zdaje mi się, że nie zjadłyśmy jeszcze wszystkich gruszek.

– Carla, jesteś kobietą w typie tej oto staruszki, która, choć nerwy ma z kamienia, rzadko poczyna sobie tak dzielnie. Zróbmy więc sobie naparu z ziół i bierzmy się do tych gruszek, a potem urodzimy piękne, silne dziecko.

– A co z kartami?

Alice machnęła ręką.

– Stara wilczyca nie odczytałaby ich lepiej niż ty. Niech i Śmierć będzie twoim obrońcą. Ruszamy szturmować Ogień.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

W Kraju Boga

Tannhäuser zacisnął w lewej dłoni majdan łuku oraz cztery strzały, dwie kolejne chwycił prawicą, a siódmą założył na cięciwę. Przez chwilę słuchał tupotu butów u drzwi frontowych, a potem ciszy, w której milicjanci przyglądali się swym bezokim, okaleczonym i wypatroszonym towarzyszom. Słuchał też szmeru rozmów, szeptów ukrywających wszystko prócz paraliżującego strachu. Odwaga, która przepelniała ich na początku akcji, ulotniła się bez śladu, gdy tylko przekroczyli próg domu. Tannhäuser zastanawiał się przez chwilę, czy aby nie przesadził, ale w końcu usłyszał dobiegające z dołu wezwania o pomoc paru lokalnych świętych, a potem głośnie kroki zadudniły na schodach skropionych krwawą mgielką.

Tannhäuser wycofał się do sypialni Daniela Malana. Był to niewielki, duszny pokój pozbawiony okien. Mattias poczuł kroplę na bucie i spojrzał w dół: z fartucha wciąż ściekała gęsta krew. Otarł pot z czoła. Spodziewał się, że najbardziej agresywni z przeciwników biegną na czele oddziału; być może jeden ubezpiecza tyły, na wypadek gdyby mniej dzielni zmienili zdanie. Jednak najbardziej niebezpieczni byli ci, którzy wspięli się aż na dach. Po chwili z pierwszego piętra dobiegł gwar podniesionych głosów i buńczuczne przysięgi zemsty – milicjanci znaleźli zapewne tego, który skonał z genitaliami przyszpilonymi do podłogi. Ktoś zasugerował, żeby zostawić w spokoju nieznaną zabójców, bo to pewnie „barbarzyńcy kupą działający”. Inni go zakrzyczeli, ale wcale nie było ich tak wielu. Znowu zabrzmiały głośnie przekleństwa i modlitwy: milicjanci musieli przejść przez wodospad krwi, sączącej się wciąż z ciał dwóch zabitych aktorów.

Okna od strony ulicy rzucały sporo światła na schody. Napastnicy musieli iść gęsiego, weszli już bowiem na ostatni, największy ciąg stopni. Nie widzieli jeszcze Tannhäusera, a on czekał na nich ze spokojem, gdyż nie pozostało mu nic innego, jak zaakceptować to, co miało się zaraz wydarzyć. Nareszcie, choć na chwilę, życie w Paryżu stało się proste.

Gdy jako młody chłopak uczył się w Enderunie, akademii kształcącej przyszłych janczarów, wyszkolono go w posługiwaniu się tureckim łukiem, w którym cięciwę naciąga się kciukiem, a strzałę układa po zewnętrznej stronie łuku. Opanowanie tej techniki pozwalało mu na szybsze zakładanie kolejnych strzał, zwłaszcza tych dwóch, które trzymał w prawej

dłoni. Jako że nie miał pierścienia na kciuk, pomagającego w utrzymaniu cięciwy, niezbyt silny naciąg łuku Frogiera był nawet zaletą.

Na czele oddziału szturmowego kroczył potężnie zbudowany jegomość uzbrojony w miecz i odziany w napierśnik oraz hełm. Idący za nim, także chroniony hełmem oraz kirysem, trzymał drzewce szpontonu w taki sposób, że ostrze wystawało znacznie za pierś lidera; razem tworzyli więc prymitywną formację bojową. Strzały z szydłami najprawdopodobniej przebiłyby ich pancerze, ale z tak niewielkiej odległości Tannhäuser nie musiał ryzykować. Gdy tylko pierwszy z napastników postawił nogę na przedostatnim stopniu, Mattias zbliżył się do szczeliny w drzwiach i z odległości sześciu stóp strzelił mu prosto w twarz.

Grot przebił prawe oko, oczodół i czaszkę, by strącić hełm, wychodząc w lewej tylnej ćwiartce jego głowy. Łuk o sześćdziesięciofuntowym naciągu miał dość mocy, by strzała odrzuciła lidera wprost w ramiona idącego za nim, ten zaś odruchowo rzucił szponton, by go podtrzymać. Tannhäuser trafił go tuż pod linią hełmu, w prawą połowę mocno pochylonej twarzy – strzała wyłoniła się z lewej strony szczęki i z impetem przyszpiliła nieszczęśnika do ściany, którą miał obok siebie.

Tannhäuser naciągnął cięciwę po raz trzeci i wyszedł na korytarz, by stanąć przy drewnianej balustradzie.

Miał pod sobą siedmiu ludzi stłoczonych w ciasnym rzędzie na wąskich stopniach, zaczynającym się przy kuchni na pierwszym piętrze, a kończącym niemal u szczytu schodów i zablokowanym kłębowiskiem martwych już kończyn. Wszyscy byli zbryzgani krwią zabitych wcześniej aktorów i wszyscy wiedzieli, że to zły znak. Byli w fatalnej pozycji do ataku, ale zbyt obawiali się oskarżenia o tchórzostwo, by po prostu uciec. Zanim podjęli decyzję, było już za późno.

Tannhäuser wychylił łuk ponad balustradą i strzelił w stronę ostatniego z intruzów – siódmego, stojącego przy drzwiach kuchni – trafiając go z góry między kręgosłup a prawą łopatkę. Szydła penetrowały skuteczniej niż kule z muszkietu: zakrwawiony grot i spora część promienia wystrzeliły z przebitej piersi. Kąt strzału był tak ostry, że trudno było nie uszkodzić któregoś z najważniejszych narządów. Kolejna strzała dosięgła szóstego: opadł na kolana, spoglądając na promień sterczący z mostka i rzygając krwią. Stojący przed nim dostał w nasadę szyi; strzała weszła niemal pionowo i wbiła się w ciało aż po lotki. Naciągając cięciwę po raz piąty, Tannhäuser usłyszał za plecami skrzypnięcie drabiny wiodącej na poddasze. W tej samej chwili czwarty z atakujących przeskoczył nad konającymi towarzyszami, ale Tannhäuser położył go kolejnym niemal pionowym strzałem. Tym razem trafił w plecy, a strzała zniknęła w ciele bez śladu.

Pochylił się, by podnieść włoski szponton porzucony przez drugiego, przybitego strzałą do ściany. Głowicę tworzyło obusieczne ostrze, podobne do klingi miecza, ale u nasady zaopatrzone w dwa zakrzywione skrzydła, służące zarówno do cięcia, jak i chwytania – w sumie broń ta przypominała trójzab o mocno skróconych bocznych ramionach. Drzewce miało sześciokątny przekrój i wzmocnione było żelazem. Końcówkę okuto stałą i uformowano na kształt kolca, spiłowanego na czubku niczym dłuto. Tannhäuser chwycił drzewce w połowie długości, w lewej ręce ściskając wciąż łuk i ostatnią strzałę.

Najbliżej stojący z trzech ocalałych przeciwników, który dojrzał do podjęcia próby ucieczki, właśnie siłował się ze swym towarzyszem, stojącym niżej i – chwala mu za to – wciąż palącym się do walki.

Tannhäuser odwrócił się w samą porę, by ujrzyć napastnika schodzącego po drabinie z poddasza. Ten także miał hełm i kirys, a trzeszczenie szczebli nie mogło dziwić, jeśli wziąć pod uwagę jego znaczną masę. W tym momencie z pokoju wysliznęła się Pascale; jej usta wykrzywione wściekłym grymasem odsłaniały pokaźną szczelinę między przednimi zębami. Mężczyzna na drabinie podskoczył nagle, ryknął donośnie i wypuścił miecz z ręki, gdy z mocą wbiła rzeźnicki nóż pod szczeblem i pod dolną krawędzią pancerza, wprost w jego odsłonięte podbrzusze. Mimo bólu przytomnie złapał Pascale za nadgarstek, a drugą ręką sięgnął po sztylet.

Stalowy kirys nie dawał Tannhäuserowi wielkiego wyboru. Ciągnąc mocno, z bioder, skierował ostrze szpontonu ku górze: w przedziałek między pośladkami intruza i dalej, przez obręcz miedniczną, rwąc po drodze pęcherz i jelita. Tannhäuser naparł na drzewce, a mężczyzna z głośnym kwikiem, od którego omal nie pękły szyby, zwałił się na bok wprost do sypialni Daniela Malana. Wyszarpnąwszy broń z jego trzewi, Mattias obejrzał się przez ramię.

Bojowo nastawiony milicjant zdołał w końcu minąć na schodach uciekającego oraz towarzysza przygwoźdzonego do ściany. Właśnie wspiał się na ciało lidera oddziału, dzierżąc rapier gotowy do pchnięcia, ale był jeszcze poza zasięgiem skutecznego ciosu, gdy w jego prawe oko wbił się stalowy kolec będący przeciwwagą szpontonu. Tannhäuser wypuścił drzewce, a napastnik zachwiał się pod jego ciężarem. Zdołał jednak chwycić je i spróbował wyszarpnąć z własnej czaszki, lecz ostrze szpontonu zahaczyło o deski podłogowe. Szarpnął więc głową do tyłu, stękając, drżąc konwulsyjnie i przewracając ocalałym okiem, by zsunąć się z kolca, ale stał zbyt mocno tkwiła w jego głowie; mógł jedynie rzucać się na wszystkie strony jak ryba trafiona oszczepem.

– Chryste, kapitan oberwał! – wrzasnął ktoś z poddasza. – Gdzie wy wszyscy jesteście?

Tannhäuser spojrział w górę, ku otwartej klapie, znowu naciągając cięciwę. Snop słonecznego światła z niewidocznego włazu w dachu padł na dolną połowę ciała milicjanta, który stał na poddaszu z mieczem u boku, ale najwyraźniej nie miał odwagi, by zejść po drabinie. Tannhäuser trafił go tuż poniżej klamry pasa. Moc łuku i sztyletowaty grot sprawiły, że strzała rozcięła dziesiątki zwojów jelit, nie dając trafionemu – o czym pewnie nie wiedział – żadnych szans na przeżycie. Ranny spojrział na pióra sterczące z jego brzucha i wrzasnął dziko, raczej przerażony widokiem niż trafiony falą bólu, która jeszcze nie nadeszła. Potknął się, a wtedy jego lewa stopa wpadła w otwór w podłodze i zawisł w nim, skomląc bezradnie, z udem przebitym własnym mieczem.

Tannhäuser miał jeszcze trzy strzały w koszu z bielizną. Położył łuk obok nich, chwycił drzewce szpontonu i podniósł z kolan nadzianego na kolec milicjanta. Pociągnął go w stronę balustrady, obracając ostrze w ranie, by uwolnić je z kości. Poczuł, jak czaszka rozstępuje się pod naciskiem stali, a potem usłyszał krzyk, gdy mężczyzna przechylił się nad poręczą i runął w dół, własnym ciężarem zsuwając się z kolca, by dołączyć do swych skazanych na śmierć towarzyszy.

Tannhäuser obejrzał się na wszelki wypadek, by obracając szponton, nie zranić Pascale, która zdążyła tymczasem sięgnąć po porzucony miecz. Zamierzał pouczyć ją, żeby uważała, co robi, ale ugryzł się w język, ujrawszy jej wściekłe spojrzenie.

Ranni i zabici spoczywali w wijącej się i skomlącej masie, blokującej dostęp na schody łączące pierwsze i drugie piętro płataniną kończyn i niekontrolowanymi spazmami. Tylko dwaj milicjanci pozostali nietknięci, ale i oni nie mogli się ruszyć, otoczeni z góry i z dołu ciałami swych towarzyszy. Ten, którego strzała przygwoździła do ściany, zaczynał się dusić własnym spuchniętym językiem, ale wciąż drapał zbryzgany krwią tynk, jakby miał nadzieję, że zdoła się uwolnić. Tannhäuser poczęstował go kopniakiem w twarz. Promień strzały trzasnął, a ciało pofrunęło efektownie w tył.

Mattias przeszedł po trupie, jedną ręką trzymając się balustrady, która wykazywała wyjątkową wytrzymałość, po czym z całej siły pchnął sześciostopowy szponton, celując w jednego z ocalałych, skulonego na stopniu pod ścianą i zasłaniającego rękami uszy, jakby chciał stłumić jęki umierających. Ostrze wbiło się w dół pachowy aż po skrzydełka, rozcinając płuco z taką łatwością, jakby klatka z żeber była ledwie wiklinowym koszykiem. Tannhäuser wyszarpnął je, a potem osadził w drewnianym stopniu i posługując się drzewcem jak tyczką, przeskoczył nad trupem.

Przy życiu pozostał już tylko ten jeden milicjant, który miał dość rozumu, by spróbować ucieczki. Był jednak tak przerażony, że nogi odmówiły mu posłuszeństwa: pełzł więc po zakrwawionych ciałach towarzyszy, głośnym wołaniem błagając Najświętszą Panią o wybawienie. Tannhäuser wbił szponton w jego kark, jednym ciosem oddzielając głowę od kręgosłupa.

Przystanął wsparty na drzewcu – może nie bez tchu, ale po to, by wyrównać oddech. Choć niektórzy z pokonanych, technicznie rzecz biorąc, jeszcze żyli, to wedle własnej rachuby powalił jedenastu przeciwników w ciągu niespełna minuty. Odsapnąwszy, pchnął kolcem szpontonu trzy ciała, które jeszcze wykazywały oznaki życia, oraz jedno, które ich nie wykazywało, za to wyglądało jakoś podejrzanie. Potem zaś, doszedłszy do wniosku, że będzie go to kosztować bardzo niewiele wysiłku, na wszelki wypadek podziurawił także pozostałe. Udało mu się odzyskać cztery nadające się do użytku strzały; trzy dalsze utkwily w kościach i ścięgnach tak mocno, że mógł jedynie ułamać ich pierzaste końcówki. Nagle z góry dobiegły głośne krzyki. Męski głos. Odwrócił się.

Pascale stała pod drabiną i mieczem starała się odrąbać nogę milicjanta, który utkwiał w przejściu na poddasze. Tannhäuser obawiał się, że przypadkowy spazm albo rozpaczliwe kopnięcie może sprawić, że klinga uderzy w twarz dziewczynki.

– Pascale, przestań.

Spojrzała na niego. Wrócił na górę i skinął na nią, by odstepiła, a gdy to uczyniła, wbił szponton głęboko pod żebra rannego i manewrował nim tak długo, aż ciało runęło na podłogę. Wtedy wyciągnął ocalałą strzałę z jego brzucha i dołożył do kołczanu.

– Wyrzuć ten miecz.

– Chcę go zatrzymać.

– Nie umiesz się nim posługiwać, a żeby się tego nauczyć, potrzeba lat. Żaden z tych głupców nie umiał, jak widzisz. Jeśli koniecznie chcesz mieć broń, a wiedz, że pozwalam ci na to w drodze wyjątku, to weź sztylet kapitana – dodał, wskazując na wypatroszone zwłoki.

– Nie jest zbyt długi, za to odpowiedni do twojej budowy. Pokażę ci kilka ruchów, które zawsze się sprawdzają w walce. Weź też te białe opaski, jeśli nie są zbyt zakrwawione.

Gdy Pascale pochyliła się nad ciałem kapitana, Tannhäuser ujrzał Flore, która stanęła na progu sypialni. Obserwowała siostrę. Gdy Pascale wstała, trzymając w ręku pas i sztylet, spojrzała na Flore i wydawało się, że dostrzegła w jej oczach dezaprobatę. Tannhäuser zaś nie dostrzegł nic i to skłoniło go do zastanowienia: czyżby to było tylko złudzenie, wzbudzone w Pascale wyrzutami sumienia?

– Oni zabili ojca. I nas też zamierzali zabić.

– Nie chcę, żeby coś ci się stało – odpowiedziała Flore.

Pascale owinęła się dwukrotnie pasem kapitana i zapięła klamrę. Jakby na potwierdzenie swojej twardej postawy, stanęła przy dwóch zabitych studentach i popchnęła ciała tak, by spadły piętro niżej.

– Ich krew już się nam nie przyda.

– Zadrzyjcie suknie i obwiążcie wokół talii – polecił Tannhäuser – jeśli nie chcecie dźwigać na nich po ulicach galonu tej krwi. Możecie też zejść po schodach bosy, jeśli szkoda wam butów, ale uważajcie, żeby nie stanąć na porzuconej broni. Pascale, przynieś pistolety. Flore, ty weźmiesz sakwy. I znajdźcie jakieś szmaty, musimy się wytrzeć.

– Co teraz zrobimy? – spytała Flore.

– Zobaczymy, co się wydarzy.

Flore spojrzała w dół schodów, na owoce rzezi, która się tam dokonała. Dzielnie stłumiła jęk, który tak bardzo chciał wyrwać się z jej piersi. Nie było chyba ani skrawka podłogi, który nie byłby pokryty posoką; podobnie przyozdobione były ściany. Zapach krwi nie był jednak najsilniejszy, w chwili śmierci bowiem w ciałach większości pokonanych puściły zwieracze. Niezawodne muchy, rozlicznych gatunków i wariantów kolorystycznych, już się uwijały przy trupach, rozmnażając się i pożywiając.

– Tu przyszliśmy na świat – powiedziała Flore. – Spałyśmy tu co noc i budziłyśmy się każdego ranka. Przez całe życie. I mama umarła w tych murach. A teraz tata... Nie ma już naszego domu.

– Nie ma – zgodził się Tannhäuser. – Ale my jesteśmy.

– Zniesiesz mnie na dół?

– Pewnie. Zaczekaj, tylko zbiorę swoje rzeczy.

Tannhäuser zarzucił strzelbę na plecy, a na ramię wziął łuk i kołczan. Wiedział, że być może dźwiga zbyt wiele broni, ale jakoś nie mógł porzucić zdobycznego szpontonu. Spodziewał się, że na jego drodze stanie jeszcze wielu wrogów, a ostrze na długim drzewcu miało niewątpliwą przewagę i nad sztyletem, i nad mieczem.

Pascale wróciła z podwiniętą suknią, z butami w ręku oraz z sakwami i olstrami na delikatnych ramionach. Tannhäuser wyciągnął lewe ramię, a Flore wskoczyła na niego, obejmując go rękami za szyję i nogami w pasie. Pascale zeszła na dół sama, bosy, wykazując godną podziwu obojętność, gdy brodziła w na wpół zastygłej krwi, która pryskała spod jej stóp aż na łydki. Tannhäuser ruszył za nią, na wszelki wypadek podpierając się szpontonem.

W domu nie spotkali już nikogo. Mattias zostawił dziewczęta w korytarzu, a sam wyszedł na ulicę, by się rozejrzeć. Nie zauważywszy nikogo, zbliżył się do ogniska i cisnął w

plomienie odłamane końcówki strzał. Zdjął też skórzany fartuch i rzucił go na ciało Daniela Malana, które dopalało się w żarze jego ksiąg.

Wrócił do domu, by wraz z Flore i Pascale obmyć krew z rąk, stóp i broni. Siostry milczały, a on, choć czuł, że mógłby poszukać słów pocieszenia, także nie przerywał ciszy. Obie zachowywały się zaskakująco spokojnie, jakby zgromadziły w sobie nieskończony zapas opanowania, przewidując od urodzenia, że prędzej czy później nadejdą tak trudne chwile. A może były po prostu zbyt oszołomione? Bez słowa sznurowały buty.

Ulica była wciąż pusta, gdy Tannhäuser w pośpiechu przebiegł z dziewczętami obok ogniska. Obie zdążyły spojrzeć na ciało dopalające się pod dymiącym fartuchem drukarza.

– Dziękuję – powiedziała Pascale. W jej oczach pojawiły się łzy, ale nie pozwoliła im popłynąć.

Tannhäuser nie zatrzymał się ani na chwilę. Wreszcie dotarli do końca ulicy i za węglem ujrzeli Clémentine, ale chłopców nie było.

Wielka szkap dreptała niespokojnie tam i z powrotem, przewracając oczami i szarpiąc wodze, zaniepokojona tym, że ją porzucono, że otaczały ją woń krwi i swąd spalenizny, że raz po raz ciszę przerywały przerażone głosy i krzyki umierających i że powietrze ulicy – i całego świata, który postrzegała swymi ślepiami – przesycone było mgłą ludzkiego szaleństwa i zła. Teraz jednak wyraźnie ucieszyła się na widok Tannhäusera, który zaczął szeptać do niej po turecku, od dawna bowiem wierzył, że wszystkie konie uwielbiają ten język. Spotkanie to niewątpliwie było dla niej pocieszeniem, ale nie tak wielkim jak dla Mattiasa. Mimo woli sięgnął myślą do swego wspaniałego mongolskiego ogiera, Buraqa, który cieszył się spokojną starością na pastwiskach majątku La Penautier.

– Mówcie Clémentine, że jest najpiękniejsza – szepnął Tannhäuser.

– Tak, tak – odezwała się Flore, spoglądając na wielki pysk klaczy. – Tak, Clémentine, jesteś najpiękniejsza na świecie... Mogę jej dotknąć?

– Wyciągnij najpierw rękę, niech poczuje twój zapach. I niech to ona dotknie ciebie.

Clémentine musnęła chrapami dłoń Flore. Tannhäuser tymczasem zarzucił sakwy i olstra na szeroki, szary grzbiet, a czyniąc to, spojrzął na niemałą stertę końskiego łajna. Było rozrzucone, jakby ktoś je kopał lub ciskał. Coraz bardziej niepokoił się o Grégoire'a i Juste'a.

Sięgnął za koszulę i wyjął dwa jabłka. Wyglądały naprawdę smakowicie i przypomniały mu o tym, jak bardzo jest głodny. Podał je Flore i Pascale, które błędnie odczytały jego intencje i natychmiast podały owoce Clémentine. Wygrały na tym, bo klacz aż wybałuszyła oczy z zachwyty. Dziewczęta roześmiały się na ten widok, choć po tym, co niedawno przeżyły, wydawało się to niemożliwe.

– Umiecie jeździć? – spytał Tannhäuser.

– Nie – odpowiedziała Pascale. – Nie miałyśmy okazji spróbować.

– W takim razie czeka was skok na głęboką wodę, bo to chyba najwyższy koń, na jakim kiedykolwiek siedziałem.

Zastanawiał się, jak posadzić je na grzbiecie Clémentine, nie brudząc sobie zbyt wiele rąk ich butami.

– Szkoda, że nie ma Grégoire'a – powiedział.

– Twojego sługi? – spytała Pascale.

– Jego grzbiet mógłby wam posłużyć za podnózek.

– A gdzie on się podział?

Tannhäuser nie odpowiedział. Wspiął się na siodło, a potem sięgnął w dół i po kolei posadził dziewczęta za sobą, na grzbiecie Clémentine. Potem przeniósł prawą nogę nad karkiem klaczy i zeskoczył na ziemię. Pascale natychmiast zajęła miejsce w siodle, a Flore przysunęła się bliżej i objęła ją w pasie. Tannhäuser podał Pascale strzelbę i pokazał, jak można oprzeć ją o łęk, a potem chwycił Clémentine za uzdę.

– Dlaczego nie pojedziesz z nami? – spytała Flore.

– Pieszko wygodniej mi walczyć. Jeśli pojawią się kłopoty, pogonię Clémentine cwałem, wywiezie was na bezpieczną odległość. Ktokolwiek stanie jej na drodze, gorzko tego pożałuje. Trzymajcie się jej grzywy i mocno ściskajcie kolana. A teraz chciałbym wiedzieć, kto może się wami zaopiekować. Kto wam udzieli schronienia?

Siostry spojrzały na niego tak, jakby dopuścił się najpodlejszej zdrady.

– Z pewnością jest ktoś taki. Przyjaciele, krewni, sąsiedzi?

– Połowa z tych, których ubiłeś na schodach, to nasi sąsiedzi – odpowiedziała Pascale. – Znali nas od urodzenia. Niektórzy przyjaźnili się z ojcem. Może trzeba było ich spytać?

– Nie macie krewnych katolików? Przecież nie mogę was wozić po Paryżu, nie w taki dzień.

– W inny dzień na pewno nie prosiłybyśmy o to – odparowała Flore.

Ulica, którą szli, usiana była trupami ludzi w różnym wieku i obojga płci. Jedne leżały w rynsztokach, inne na progach domów, a jeszcze inne zwisały z okien, brocząc leniwie krwią, jak towar na wystawie sklepu dla potępionych. Mijali oddziały zakrwawionych milicjantów i studentów, którzy spoglądali na dziewczęta z nieufnością w oczach i pożądaniem w jajach, ale żaden nie ośmielił się zadrzeć z opiekunem, a instynkt ich nie zawiódł, Tannhäuser był bowiem w nastroju do zabijania i tylko czekał na okazję. Widzieli

też złodziei plądrujących domy, ogarniętych amokiem chciwości. Niektórzy szli tuż za oddziałami milicji, by rabować dobytek jeszcze nieostygłych. Inni mordowali na własną rękę, właściwie nie zważając na to, jakiego wyznania są ich ofiary. Niektóre ulice tak obficie spłynęły krwią, a inne tak zatłoczone były gromadami zabójców i zabijanych – mordowano wszak całe rodziny, dzieci na oczach matek, ojców na oczach synów, a wszystko to wśród niekończących się błagań o miłosierdzie – że Tannhäuser nie ośmielił się w nie zagłębić i prosił Pascale, by wybrała inną drogę do celu.

Chwilami w dzielnicy panowała zaskakująca cisza, a wtedy dziewczęta oddychały z ulgą, sądząc, że to nareszcie koniec, ale to były tylko złudzenia. Echa mordów, gwałtów, tortur i rabunków powracały nieodmiennie. Szczury biegały jak oszalałe, nie mogąc pojąć, skąd ta nagła obfitość pożywienia, a dwa zziązane psy próbowały je ścigać. Jedno pozostało niezmiennie: jeśli nie liczyć ognisk brutalnej przemocy, miasto wyglądało na wymarłe, bo kto nie był skazany na śmierć, ten wolał pozostać w domu. Próżno było wyglądać kalekich, szaleńców czy ślepców; nawet kurwy wycofały się do swych legowisk, a na ulicach, którymi przeszły bandy morderców, spotkać można było jedynie ciepłe trupy.

Podwoje Écurie d'Engel były otwarte. Tannhäuser sięgnął po strzelbę i pomógł dziewczętom zsiąść z konia na dziedzińcu przed stajnią. Zamknął bramę oddzielającą posesję od ulicy, ale uchylił klapkę w górnej części furtki.

– Napełnijcie ceber dla Clémentine – powiedział, wskazując na beczkę z deszczówką.

Wszedł do budynku i ujrzał Engela – jeśli tak właśnie nazywał się właściciel stajni – powieszzonego na sznurze uwiązany do belki stropowej. Mężczyzna był nagi, a jego twarz ginęła w cieniu. Palce lewej dłoni były poczerniałe, gdyż uwięzły pod pętlą ściskającą gardło. Potężnie opuchnięte stopy i podudzia miały barwę buraków. Zdaniem Tannhäusera Engel nie żył co najmniej od poprzedniego wieczoru. W stajni panowała cisza, a szybki obchód ujawnił, że wszystkie konie zniknęły. Fakt ten można było wyjaśnić na kilka sposobów, ale Tannhäuser nie był zainteresowany. Obchodziła go przede wszystkim nieobecność Grégoire'a i Juste'a, ale jej przyczyny mogły być jeszcze liczniejsze i w większości dość ponure.

Napełniwszy wiadro sieczką, jęczmieniem i fasolą, wyniósł je na podwórze. Pascale i Flore z zaciekawieniem przyglądały się, jak Clémentine się pożywia, a Tannhäuser wrócił do stajni, by przykryć ciało Engela płótnem znalezionym w kącie. Gdy je odciął, opadło na bruk sztywno, nie gubiąc przy tym niczego nieprzyjemnego. Owinąwszy trupa płótnem, Mattias wyciągnął go ze stajni i dalej, za bramę, by odwinąć dopiero za najbliższą stertą śmieci. Gdy powrócił z płótnem, dziewczęta nie spytały nawet, co się w nim kryło. Wbrew

jego oczekiwaniom, sieczka nie przeszkodziła Clémentine w błyskawicznym rozprawieniu się z porcją paszy. Poprowadził ją teraz do bryły soli, a gdy zajęła się lizaniem, Pascale i Flore z rozbawieniem komentowały jej grymasy i zachowanie.

Tannhäuser przyglądał się ze wzruszeniem ich uśmiechom.

Popełnił błąd, pozwalając Pascale zabić aktorów. Zastanawiał się, dlaczego ta oczywista myśl nie przyszła mu do głowy wcześniej. Najwyraźniej rozsądek odmawiał mu posłuszeństwa. Spróbował uruchomić go teraz, wymyślić jakiś plan, ale plan wymagał celu – pożądanego, pozytywnego rezultatu – i z tym właśnie był największy problem. Tannhäuser wiedział tylko, że odkąd przybył do Paryża, podejmował wyłącznie niewłaściwe decyzje, a teraz czuł się tak, jakby stanął na końcu świata i miał przed sobą tylko jedną drogę: poza krawędź.

Usiadł na ławce i ukrył twarz w dłoniach jak człowiek, który nagle dotarł do końca drogi, a nie spodziewał się, by kiedykolwiek miała się skończyć. Czuł, że gdyby nie spoczął, padłby na kolana pod ciężarem bezmiaru rozpacz. Zdarzało mu się w życiu opłakiwać bliskich; było wszak wielu takich, których kochał. Ale tym razem oładnęło nim coś więcej niż żal, poczucie porażki i winy. Miażdżył czaszkę w dłoniach, jakby chciał wycisnąć z niej truciznę. Czuł, jak grudy krwi zakrzepłej w jego włosach pękają pod palcami i jedne osypują się jak proch, a inne wydzielają rzadki płyn, który spływa po jego szyi. Był krwawym upiorem w mieście krwi i w krwawym świecie. Poczul, że drży na całym ciele, i czekał, aż atak minie, ale wcale nie był pewny, czy doczeka.

Siostry podeszły po chwili i przysiadły obok niego, Pascale po lewej, a Flore po prawej stronie. Nie spojrzał na nie. Były sierotami, wygnanymi z własnego życia. Zmuszonymi do chłonięcia obrazów i dźwięków przeznaczonych jedynie dla potępionych. A teraz siedziały grzecznie, z dłońmi na kolanach, i milczały. Grzeczne dziewczynki, pomyślał Tannhäuser. I wtedy, jak na komendę, zaczęły płakać: po cichu, bez zbędnych demonstracji, jakby nie chciały mu przeszkadzać, ale potrzebowały bliskości.

On zaś pragnął być sam. Nie chciał brać na siebie kolejnego brzemienia opieki, lecz łączy dziewcząt parzyły jego sumienie. Chciał zaprosić do serca i umysłu ducha Carli – wspomnienie jej twarzy, jej głosu – bo ona, w przeciwieństwie do niego, wiedziałaby, jak pocieszyć te dzieci. Ale nie ośmielił się. Żal, który go dręczył, poruszył się bowiem w pustce jego serca jak bestia, która lada chwila może się ocknąć ze snu. Bał się. Nie ci, których pozbawił dziś życia, nie całe miasto – prócz może garstki łajdaków – ale on sam był winien masakry, która trwała od tylu godzin. W tym także Carli i ich dziecka.

Chciał podzielić się z dziewczynkami wyrzutami sumienia, chciał wyznać się przed nimi, ale nie mógł sobie pozwolić na taki dowód słabości. Nie mógł podważyć ich wiary w niego, której tak potrzebowały. Choć krucha, owa wiara była ostatnią rzeczą, która im pozostała. Zmusił się, by przemówić. By powiedzieć cokolwiek.

– Na pustyni...

Wyczuł, że uniosły głowy, by spojrzeć na niego. Spróbował jeszcze raz.

– Na pustyni, na południe od gór Atlas, jest okolica, którą tamtejsze plemiona zważy Mur Akusz, czyli Krajem Boga. Podróżowałem tam z ludźmi, którzy zawsze pozostają w ruchu, rodzą się i piją mleko matki w ruchu, umierają i bywają grzebani w ruchu, żyją, kochają i tworzą pieśni w ruchu, słowem są w ruchu od niezliczonych pokoleń i tacy pozostaną po wsze czasy. Odbywają oni niekończące się, wspaniałe podróże wzdłuż starożytnych, niewidocznych dla nas szlaków i ledwie przemierzają dystans, który sobie wyznaczyli, już gotowi są rozpocząć kolejną wyprawę. – Mówiąc to, brudnymi rękami kreślił w powietrzu ósemki. – Sami siebie nazywają „wolnym i szlachetnym ludem”.

Siostry otarły łzy z policzków.

– W pewnym sensie lud ten, czy raczej klan, który spotkałem, od wieków jest w nieustającej podróży, której początku nikt już nie pamięta, nikt nie zna też celu i nigdy go nie osiągnie. Każdej nocy ludzie ci rozbijają nowy obóz, pod nową konstelacją gwiazd, a potem każdego ranka wyruszają w nowym kierunku, bo nawet jeśli ich szlaki wytyczono dawno temu, to pustynia zmienia się nieustannie i stopa człowieka nigdy nie stanie po dwakroć na tej samej drodze. W pewnym sensie więc owi wędrowcy zawsze są w domu, gdyż nigdy nie opuszczają miejsca, w którym przyszli na świat. W innym zaś – wiecznie przybywają w nowe miejsce, tam gdzie nikt jeszcze nie dotarł.

Siostry zadumały się nad jego słowami.

– Czy ci wolni i szlachetni ludzie byli dla ciebie dobrzy? – spytała Flore po dłuższej chwili milczenia.

– Umarłbym, gdyby nie oni.

– A czy znalazłeś Boga w Kraju Boga?

– W dziczy zawsze odnajduję Boga. Jak wszyscy prawi mężowie. I dziewczęta.

– Chciałabym znaleźć się teraz w dziczy – westchnęła Flore.

– Jesteśmy w dziczy – odpowiedziała jej Pascale. – Tylko że nie ma tu Boga. Jest jedynie diabeł.

– Zatem zatańczymy do diabelskiej muzyki – rzekł Tannhäuser.

– Jeśli mi pozwolisz, zatańczę z tobą.

Tannhäuser podrapał się pod pachą.

– Dlaczego opowiedziałeś nam o pustyni? – zainteresowała się Flore.

Czuł na sobie ich wzrok. Nie odpowiedział, bo nie potrafił.

– Czy to dlatego, że twoim zdaniem powinniśmy pozostać w ciągłym ruchu, jak to plemię? – indagowała.

– Musimy znaleźć bezpieczną kryjówkę.

– A tu nie jest bezpiecznie? – zdziwiła się Pascale. – Clémentine wygląda na zadowoloną.

– Prędzej czy później milicja albo policja stanie za tą bramą – odparł, kiwając głową w stronę ulicy. – Jeśli będzie zamknięta od wewnątrz, zechcą wiedzieć, kto jest w środku. A jeśli nie dostaną satysfakcjonującej odpowiedzi, rozwalą bramę, żeby się przekonać.

– Ciebie usłuchają – powiedziała Pascale.

– Ja nie mogę tu zostać. Mój syn został za rzeką, w Ville. Jest ciężko ranny, a ja nie wiem nawet, kto go skrzywdził i dlaczego.

– Zatem jedźmy do niego – odezwała się Flore.

– Białe opaski na waszych ramionach przekonają tylko tych, którzy chcą dać się przekonać. Na ulicach tego miasta nie ma dziś katolickich dziewcząt. I istnieje tylko jeden powód, dla którego i wy nie siedzicie w domu: zapewne nie jesteście tym, za kogo się podajecie.

– Jeszcze wczoraj byliśmy tylko dziewczętami niosącymi wodę – powiedziała Pascale. – Dlaczego dziś jesteśmy nagle takie ważne?

– Od tamtej pory staliśmy się przyjaciółmi. Oto dlaczego.

– Chodziło mi o to, dlaczego jesteście takie ważne dla tych milicjantów.

– Nie jesteście.

– Więc dlaczego chcą nas zamordować?

– Mają wspaniały plan oczyszczenia świata. I w ramach tego planu musicie umrzeć.

– Przecież nawet nie wiedzą o naszym istnieniu.

– Najwięksi filozofowie nie potrafią rozwiązać takich zagadek. A nasze zadanie jest proste: musimy przetrwać i jeśli wróci nam na to apetyt, spróbować zacząć życie na nowo.

– Wspomniałeś o bezpiecznej kryjówce. Chodziło ci o miejsce, w którym mógłbyś nas zostawić, prawda? – spytała Pascale. – Chociaż powiedziałaś, że jesteście przyjaciółmi.

Tannhäuser wstał i podszedł do beczki. Napełnił ceber letnią wodą i wylał wszystko na swoją głowę. Przez chwilę szorował palcami sklezione krwią włosy, a potem twarz. Znowu splukał. Czuł, że potrzeba mu kąpieli. Wreszcie wyprostował się.

– Czy to prawda, że chcesz nas zostawić? – spytała Flore.

– Tym miastem nie rządzą już król i jego słudzy. Nie rządzi też Kościół ani państwo, ani prawo – kanoniczne czy cywilne – ani nawet milicja, policja czy jakakolwiek inna banda ostrzająca teraz noże. Tym miastem rządzi szaleństwo. Gorączka krwi, w każdym tych słów znaczeniu: gorączka zrodzona z krwi, odczuwana we krwi i gaszona poprzez radosny rozlew krwi. – Spojrzał na Pascale. – Czy ty i ja nie doświadczyliśmy tego delirium?

Pascale nawet nie mrugnęła.

– Tym bardziej nie powinieneś nas zostawiać.

Tannhäuser odetchnął głęboko. O ileż łatwiej było porozumieć się z chłopcami.

– Nawet jeśli tli się w kimś wola, by to szaleństwo wygasić, w co wątpię, to nie istnieją środki, którymi można by tego dokonać. Zabójcy nie ustaną, póki gorączka nie wygaśnie sama albo nie zabraknie potencjalnych ofiar. W każdej godzinie będzie przybywać zarażonych. Wielu ludzi – może i większość – nie podda się jej, ale niewiele powie słowo przeciwko niej, a jeszcze mniej uczyni. Cokolwiek zaś powiedzą, to jedynie szeptem, za zamkniętymi drzwiami, a to ze strachu, by nie otworzyć ich przed kimś takim jak wy albo przed innymi nieznanymi. Odegrają dokładnie taką rolę, jakiej oczekują od nich zarażeni gorączką. Lecz nawet garstka najbardziej chorych wystarczy, by w końcu ugasić pragnienie krwią niewinnych. Nasz problem polega zaś na tym, że w mieście tak wielkim jak Paryż może to potrwać całe tygodnie.

– Jesteśmy z tobą – oznajmiła Flore. – I z tobą chcemy pozostać.

– Kochamy cię – zawtórowała jej Pascale. – A ty nas nie?

Odwrócił się przerażony ich desperacją.

Potrzebował chwili, by znaleźć odpowiedź, której szukał.

Odwrócił się, rozłożył ramiona i skinął na dziewczęta.

Przybiegły, by objąć go i przytulić. Położył dłonie na ich ramionach, a one wtuliły w niego twarze i zapłakały, tym razem nie próbując panować nad sobą. Zapłakały jeszcze głośniejsze, gdy poklepał je po plecach. Zmienił taktykę: pogłaskał.

– Nie zawsze oddawałem miłości to, co jej należne – powiedział, czując, że to nie najlepszy początek. – Ale wasza jest cenniejsza niż rubiny. Cokolwiek się stanie, i ja was kocham. – Poczul, jak przybywa im sił. Czekają z zapiętym tchem. – Oto znaleźliśmy miejsce, w którym możemy uronić łzy. A teraz uśmiechnijmy się do nich i zatrzymajmy w sercach. Muszę czynić to, co jest dla was najlepsze, tak jak wy uczyniłybyście to dla mnie. Jeżeli mam w Paryżu sprzymierzeńców, co wcale nie jest takie pewne, to tylko na drugim brzegu rzeki, a na dziś... to daleka droga. Mostów strzec będą milicjanci, którzy – jak

wszystkie drapieżne bestie – potrafią wyczuć swą zdobycz, czyli was. Mamy za to dość blisko do bramy Saint-Jacques, a niemal każde miejsce za murami miasta będzie bezpieczniejsze. Wiem, że niedaleko od niej jest opactwo – rzut kamieniem na zachód, jeśli się nie mylę?

– Saint-Germain-des-Prés – powiedziała Flore. – To benedyktyni.

– Znam zakonników tej reguły, będą uczciwi wobec mnie. Gdyby ktoś was wypytywał, powiecie, że znalazłem was przypadkiem tu, w tej stajni, gdzie schroniłyście się, by ratować cnotę przed rabusiami. Wymyślcie sobie jakąś przeszłość. Imiona i nazwiska. Ktoś wkrótce zainteresuje się pobożowiskiem, które zostawiliśmy po sobie. Milicjanci to nie żołnierze, nie spodziewają się, że zginą. Gdyby było inaczej, zabrakłoby ochotników. Dwaj lub trzej zabici nie wzbudziłiby wielkich podejrzeń, ale w domu waszego ojca gnije dziewiętnaście trupów. Dlatego nikt nie może wiedzieć, że jesteście córkami Daniela Malana.

Dziewczęta spojrzały po sobie.

– Najlepiej będzie udawać, że nie jesteśmy siostrami – stwierdziła Flore.

– Bardzo słusznie – zgodził się Tannhäuser.

– Jak wydestaniemy się za bramę? – zainteresowała się Pascale.

– Kłamstwem i złotem.

– Czy jeszcze cię zobaczymy? – spytała Flore.

Tannhäuser pomyślał o Temple i potężnych braciach ze swego zakonu, strzegących tej wielkiej, białej twierdzy. Taka ochrona była gwarancją bezpieczeństwa; jedynie król nie musiał się z nią liczyć. Czyż nie dzieliła ich od niej zaledwie mila? Trzeba jednak było wyjść z dziewczętami na ulice – ów labirynt miał wszak jedną istotną zaletę: zawsze można było znaleźć inną drogę do celu. Lecz Cité to nie klatka schodowa w domu drukarza, pomyślał Tannhäuser. Jego ulice pełne były ludzi mordujących dla kaprysu. Niewłaściwe słowo, spojrzenie, akcent czy gest – oto, co wystarczyło, by sprowokować szaleństwo zakończone jedynym możliwym skutkiem: śmiercią dziewcząt.

– Rozsądek nie pozwala mi zabrać was za mosty.

– Już nam to tłumaczyłeś – odpowiedziała Pascale.

– Nawet jeśli więcej się nie zobaczymy, zawsze będziemy cię kochać. – Flore wypowiedziała te słowa cicho i szczerze, z głębi serca, celnie trafiając w to, co pozostało z jego honoru.

Lecz szaleństwo nie szanuje honoru, a honor nie jest przyjacielem rozsądku.

– Gdy Orlandu lepiej się poczuje, sprowadzę go do opactwa. Wtedy się zobaczymy.

Plan był zbyt nieokreślony, by wzbudzić w dziewczętach wielki entuzjazm, ale nie znalazły mądrych argumentów przeciwko niemu. Zanim wymyśliły mniej rozsądne, Tannhäuser oddalił się w stronę Clémentine, by poprawić popręgi.

– Mówiłeś, że pokażesz mi ruchy, które mogą się przydać. – Pascale wyjęła krótki sztylet, który odebrała kapitanowi. – W warsztacie wciąż używam jakichś narzędzi. Ojciec powiada, że jestem zręczna jak Apollo.

Tannhäuser wyczuł, że bardziej potrzeba jej towarzystwa niż wiedzy. Tyle mógł jej ofiarować. Przycisnął ostrze noża płazem do swego przedramienia.

– Ludzkie ciało to mapa śmierci, ale wiele jest na niej skalistych terenów. Trudno zadać śmierć, a najtrudniej uczynić to szybko. Musisz więc znać punkty orientacyjne na tej mapie.

– Kości.

– Nie tylko. Dwa ruchy, całkiem proste. Oba wymagają bardzo krótkiego dystansu i żelaznych nerwów, ale tych z pewnością ci nie zabraknie. Oto pierwszy. Tutaj, po wewnętrznej stronie uda, biegnie tętnica gruba jak mój palec. Przetnij ją, a człowiek wykrwawi się na śmierć, zanim zauważy, że na szczęście nie stracił interesu, co mogłoby go bardzo zdenerwować. Szybkość jest najważniejsza – i kiedy zadajesz cios, i kiedy cofasz rękę. Ukryj więc ostrze za przedramieniem, o, tak. Zaatakuj, wrzaśnij, jak to kobiety mają w zwyczaju – wzywaj litości, pomocy albo wołaj przeciwnika po imieniu, jeśli je znasz. Nawet najtwardszy straci chwilę, żeby zareagować, a ty wykorzystasz ją, by go zabić. Pochyl się, wbij głowę w jego brzuch, żeby nie widział, i wtedy wykonaj głębokie, mocne cięcie w wewnętrzną stronę uda, poniżej krocza, o, tutaj, jakbyś próbowała ukroić kawał starego, bardzo twardego sera. A potem się cofnij, uciekaj, trzymaj dystans, niech się wykrwawi, na pewno nie będzie miał siły, by cię gonić.

– Nie wahać się. Nie zwlekać.

– Otóż to. I drugi ruch. To samo podejście: biedna dziewczynka potrzebuje pomocy. Jeśli nie będzie zbyt wysoki, rzuć się do jego piersi, wyciągając lewą dłoń tak, jakbyś chciała go pogłaskać, może nawet po policzku. Prawą tymczasem – wciąż ukrywając ostrze, tak, jak ci pokazałem – unieś nagle w górę i wbij czubek u nasady szyi, tuż za obojczykiem, tak jak to zrobiłaś z Jeanem. Rozumiesz?

Pascale skinęła głową.

– Rozumiem – odpowiedziała, spoglądając na niego błyszczącymi oczami.

– A potem także wycofaj się natychmiast. Pamiętaj: musisz być szybka i zwinna jak lis. Ucieczka to najlepsza obrona. I nie daj się zranić. Decyduj. Decyduj w jednej chwili, bo

szybka decyzja to podstawa. Szybkość decyzji jest nawet ważniejsza niż to, jaka jest sama decyzja. Ale wybieraj walkę tylko wtedy, gdy nie będziesz miała innego wyjścia. Nie widziałaś przecież, bym podejmował niepotrzebne ryzyko.

– Właśnie zabiłeś siedemnastu uzbrojonych ludzi.

To, że skrupulatnie odjęła od rachunku Jeana i Eberta, nie uszło jego uwadze.

– Trudniej by było uśmiercić o połowę mniejsze stado gęsi. Nie ryzykowałem nawet draśnięcia. Zresztą, jak pamiętasz, wcale nie planowałem, że będę z nimi walczył: sądziłem, że uciekniemy dachami.

– Ale nie bałeś się. Jak to możliwe?

– Ależ boję się. Każdy czuje strach, to równie naturalne uczucie jak głód, wcale nie pochodzące z umysłu, jak się ludziom wydaje. Wiedząc o tym, wojownik może go okiełznać, strach bowiem to wielka siła. Strach oczyszcza umysł, daje szybkość, podwaja siłę, dodaje śmiałości i tym samym staje się odwagą, która jest kolejnym punktem naturalnego cyklu uczuć. Jeśli postrzegamy strach i odwagę jako przeciwieństwa, potrzeba magika, by przekształcić jedno w drugie. Lecz jeśli przyjmiemy, że są one jednością, jak dobry i niedobry los na kole Fortuny, możemy się nauczyć, jak owym kołem obracać.

– Rozumiem... rozumiem – wyszeptwała, wpatrując się w niego w ogromnym skupieniu. – Ale jak nim obracać?

– Skąd się bierze przyjemność jazdy galopem albo skoku na głęboką wodę?

– Dla mnie to przerażające.

– Dla wielu, Pascale. I właśnie ci zostają zrzuceni z końskiego grzbietu albo toną w otchłani.

Trawiła jego słowa przez chwilę.

– Zatem trzeba szukać przyjemności... w grozie?

– Poprawka do tego, co wcześniej mówiłem: jedynym przeciwieństwem grozy może być śmierć.

– Zatem nie ma jej na kole.

– Groza poluje samotnie i połyka człowieka. Pozwolisz, by zatrzasnęła szczęki, a nie zwolni uścisku tak długo, aż jedno z was przepadnie. Ale jeśli będziesz szybka, możesz wskoczyć na jej grzbiet.

– Jestem szybka.

– Naucz się więc dosiadać tej wilczycy, a sama staniesz się grozą.

– Skąd wiesz, że to wilczyca, a nie wilk?

Tannhäuser roześmiał się. Dlaczego opowiada dziecku takie rzeczy?

– Śmiejesz się ze mnie?

– Bystra z ciebie dziewczyna, bez dwóch zdań. Odpowiadam: wilczycę tylko wymyśliłem. Jeśli rozmawiamy o siłach, które rządzą ludzką duszą, to chyba łatwiej je zrozumieć, gdy porównamy je do czegoś materialnego.

– No tak.

Pascale sięgnęła po sztylet, który wciąż trzymał w ręku. Oddał.

– Mogę spróbować? Tylko raz.

– Najpierw schowaj go do pochwy.

– Ale wtedy nie będzie tak jak naprawdę...

– Właśnie o to mi chodzi.

– Przecież cię nie zranię.

– W takim razie powoli. Bardzo powoli.

Tannhäuser zacisnął zęby. Dziewczyna była zwinna i precyzyjna. Musiał panować nad sobą ze wszystkich sił, by nie skrzywić się, gdy ostrze błysnęło tuż obok jego krocza. Skinął głową z aprobatą i wtedy, tuż nad ramieniem Pascale, w otwartym wizjerze furtki dostrzegł głowę Juste'a.

– Mogę spróbować jeszcze raz?

– Później.

– Panie? Jesteś tam, panie?

Gdy Tannhäuser otwierał furtkę, usłyszał, że Juste mamrocze coś o myszach. Cofnął się o krok, a chłopak wprowadził na dziedziniec bliźniaczki Tybauta. Trzymały się kurczowo za ręce. Juste wszedł za nimi, a Tannhäuser wyjrzał na ulicę. Ani śladu Grégoire'a. Zamknął furtkę.

Juste stał jak posąg, wpatrzony we Flore. Żaden mistrz pędzla nie sportretowałby lepiej skutków działania strzały Kupidyna, ale też żaden nawet by nie spróbował utrwalić tej sceny, ponieważ z otwartymi ustami i głupkowatą miną chłopak wyglądał raczej jak młody byk niż młody bóg. Teraz jednak i Tannhäuser przyjrzał się dziewczynie uważniej. Była ładna, lecz przecież w takich chwilach niekoniecznie piękno jest decydującym czynnikiem. Amparo wszak zdobyła jego serce, choć połowa jej twarzy była zmasakrowana. Być może udręczenie malujące się na twarzy Flore oraz ślady łoż sprawiły, że wydała się Juste'owi prawdziwie piękna. Sądząc po tym, w jaki sposób odwzajemniała jego spojrzenie, Tannhäuser miał prawo przypuszczać, że ta sama strzała dosięgła i jej serca.

– Flore, Pascale, to mój dobry przyjaciel Juste. Pochodzi z zanego rodu polskiej szlachty i niestety w przykrych okolicznościach właśnie został dziedzicem majątku w tym

pięknym kraju. Jest dzielny, ale nie lekkomyślny, a przy tym nie oczekuje po bliźnich czolobitności należnej mu z racji urodzenia. Czyż nie tak, Juste?

Juste ocknął się nareszcie i skłonił najpierw jednej, a potem drugiej siostrze.

– Jestem zaszczycony – wydukał.

– Zawsze podróżuje z prostytutkami? – spytała rezolutnie Pascale.

– Spotkałem je przy Hôtel-Dieu, były całkiem same – odpowiedział czym prędzej Juste, spoglądając na Tannhäusera. – Wiedziałem, czego byś się po mnie spodziewał, musiałem im pomóc.

Tannhäuser spojrział na bliźniaczki. Ich splecione palce wydawały się pokryte purpurowym błotem, podobnie jak przedramiona. Białe podkład, węglowa czerń i buraczany sok, którymi były umalowane ich twarze, rozmazały się w szalone wzory. Na nogach miały sandały uplecione ze słomy, tak przesiąknięte gęstą krwią, że wydawały się dwukrotnie większe. Były obrazem nędzy i rozpacz, gdy z niepojętą żalnością wpatrywały się w stajenny bruk. Tannhäuser nakarmił je zupą i zamordował ich „opiekuna”, a potem o nich zapomniał. Teraz zaś miały być dlań ciężarem, ale nie nowym – może raczej małym dodatkiem do tego, który już wziął na swoje barki.

– Dobrze się spisałeś, Juste. Wiedzą o Tybaucie?

– Gdy je znalazłem, właśnie próbowały zaciągnąć jego zwłoki do szpitala.

Tannhäuser dobrze pamiętał, w jakim stanie zostawił Tybauta.

– Znasz ich imiona?

– Nie odzywają się ani do mnie, ani do siebie nawzajem. Nazywałem je Małymi Myszami, nie wydawały się obrażone.

Tannhäuser nie uważał, by był to przydomek stosowny do ich profesji, ale nie zamierzał się sprzeczać. Spojrział na starszą parę siostr.

– Dopilnujcie, żeby Myszy były gotowe do złożenia wizyty benedyktynom. Bądźcie dla nich dobre. – Pascale zarumieniła się, czując na sobie jego wzrok. – Żadnych docinków.

Skinął na Juste'a i razem obejrżeli z bliska dwukólkę wspartą na dyszlach w kącie podwórza. Przedniej burty nie było – woźnica mógł siedzieć na skraju platformy – tylna zaś otwierała się na zawiasach. Wóz wyglądał marnie, ale koła trzymały się mocno, a oś była nieźle nasmarowana.

– Grégoire żyje?

– Och... tak. Wybacz mi, panie, powinienem był od tego zacząć. Lucyfer też jest cały.

– Gdzie więc się podziewają?

– Grégoire śledzi dwóch ludzi, sam nie wiem, dokąd go zaprowadzą, a Lucyfer pobiegł za nim. – Ten ostatni fakt musiał być dla Juste’a pewnym rozczarowaniem. – Najpierw jednak postanowiliśmy, że wrócę i odszukam ciebie... i właśnie wtedy spotkałem Myszy obok Hôtel-Dieu...

Tannhäuser pociągnął go za sobą w stronę siodlarni.

– Kim są ci dwaj, których śledzi?

– Niełatwo zrozumieć Grégoire’a, ale mam wrażenie, że jednego z nich nazywał Małym Christianem. Udawał też małą, żebyś lepiej skojarzył, kogo ma na myśli...

– Kojarzę. Kim był ten drugi?

– Jechał na wspaniałym kasztanku z czterema białymi skarpetkami. Miał na sobie czarne ubranie i złoty łańcuch na piersi. Był starszy od ciebie, ale nie tak stary jak pedel.

– Pedel z kolegium? Zaszuszone owad w peruce?

– O tak, ten właśnie.

– Zatem widziałeś trzech ludzi: Małego Christiana, pedla i dostojnika?

– Tak jest.

Złote łańcuchy nosili często kawalerowie zakonów rycerskich.

– Możesz mi opisać ogniwa tego złotego łańcucha albo medalion?

– Nie, nie przyjrzałem się dokładnie. Nie chcieliśmy podchodzić zbyt blisko.

– Bardzo słusznie. Masz, trzymaj.

Tannhäuser podał mu chomąto i naręcze skórzanych pasów tworzących uprząż. Razem wrócili na podwórze, by zaprząć Clémentine do wozu.

– Wróc teraz do tej chwili, kiedy zostawiłem was na ulicy. Opowiedz o wszystkim.

– Najpierw to rzucaliśmy końskim łajnem... Nie, jeszcze wcześniej zabiłeś dwóch ludzi przy stosie i wciągnąłeś ich do warsztatu. Potem rzucaliśmy łajnem w takich jednych... no, właściwie to w takich chłopaków, ale uzbrojonych w noże i siekiery. Potem ganił nas ulicznymi, ale Grégoire wiedział, gdzie szukać dziury do tunelu przy kościele, gdzie trzymają kości zmarłych i gdzie mieszkają wariaci. Okropnie tam śmierdziało, a do tego biegliśmy w pełnym słońcu i nagle skoczyliśmy pod ziemię, więc nic nie widziałem i przyznaję, że bardzo się bałem, ale...

– Dlaczego rzucaliście końskim gównem w chłopaków z nożami?

– Lucyfer zaszczekał, gdy ich wyczuł, a ja powiedziałem: „Wejdą do warsztatu za Tannhäuserem!”. Wtedy Grégoire chwycił garść łajna... Dla niego to nie pierwszozna, ale i ja muszę wyznać, że to nic strasznego – końskie gówno lepiej niż inne nadaje się na przykład do

rzucania... – Urwał, kiwając głową, jakby chciał przekonać Tannhäusera, że to święta prawda.

Tannhäuser miał wielką ochotę skarcić go za lekkomyślność, ale się powstrzymał.

– Z pewnością. Dzielnie się zachowaliście. Mów dalej.

– Cóż, wariaci nie byli zachwyceni, gdy po nich deptaliśmy. Szczerze mówiąc, byli nawet wściekli, gdy stratowaliśmy ich sienniki i poprzewracaliśmy gąsiorzy z winem – tunel był doprawdy pełen przeróżnego śmiecia – i strasznie wrzeszczeli, ich psy szczekały, Lucyfer też szczekał, do tego jakieś wiedzmy okropnie wyły – to znaczy: ich kobiety, niektóre całkiem nagie – słowem było tam jak w piekle, ale Grégoire złapał mnie za rękę i pociągnął za sobą. Zatrzymaliśmy się dopiero przy schodach. Słyszałem za nami krzyki tych chłopaków, bo zdaje mi się, że wdali się w bójkę z wariatami i ich psami, ale pewny nie jestem, bo się nie odwracałem. Wybiegliśmy tymi schodami na samą górę, na cmentarz – bardzo mały, ukryty za kościołem – i wtedy Grégoire przerzucił Lucyfera nad murem, co wcale mu się nie podobało, a my wspięliśmy się w ślad za nim. Żaden z tamtych chłopaków już się nie pojawił na schodach. Biegliśmy dalej zaułkami. Ja się pogubiłem, ale Grégoire nie. – Juste umilkł, by zaczerpnąć tchu. – Mógłbym dostać trochę wody?

Tannhäuser zapiął kłamrę uprząży i zanurzył chochlę w beczce. Juste wypił łąpczywie.

– Co było potem?

– Posuwaliśmy się szerokim łukiem, żeby wrócić do Clémentine, ale gdy przebiegaliśmy obok wisielca, w pobliżu mostu, Grégoire dostrzegł Małego Christiana i zatrzymaliśmy się, żeby go poobserwować. No, tak naprawdę, to zatrzymaliśmy się, żeby podziwiać konia, pięknego kasztanka, ale wtedy właśnie Mały Christian wyszedł z kolegium w towarzystwie pedla, a ten dostojnik o coś ich zapytał. Po chwili pedel wrócił do budynku, a dwaj pozostali dosiedli koni i przejechali mostem na Cité. Poszliśmy za nimi.

– Dlaczego?

– Grégoire powiedział, że ty właśnie tak byś postąpił, oczywiście gdybyś ich obu najpierw nie zabił. Kazałeś nam przecie uważać na wszystko.

– Nie zauważyli, że ich śledzicie?

Juste pokręcił głową.

– Na wyspie wciąż panuje chaos. Pełno tam było takich jak my. Wyglądali mi na zachwyconych tym, co się dzieje. – Po krótkiej pauzie dodał oskarżycielsko: – Choć większość z nich miała nóż, a przynajmniej kij.

– Wy nie mieliście, a jakoś daliście sobie radę. Mów.

– Grégoire powiedział też coś, co brzmiało jak „le Tellier”, jeśli się nie mylę.

– To kapitan Gwardii Szkockiej. Dominic, pamiętasz go chyba.

– Oczywiście, że pamiętam, ale nie było go tam, tego jestem pewny.

– Dominic jest w zмовie z Małym Christianem.

– Chyba właśnie to próbował mi wyjaśnić Grégoire. Poszliśmy za nimi w stronę katedry, ale oni skręcili w końcu na pont Notre-Dame, w kierunku Ville. I wtedy uznaliśmy, że trzeba cię odnaleźć, panie, żebyś się o nas nie martwił. Grégoire powiedział, że zastanę cię tutaj, a z katedry już droga prosta, pod górkę, więc...

– Przeszliście po Petit-Pont?

– *Audentes fortuna juvat* – odparł Juste – co znaczy...

– Fortuna sprzyja śmiałym, wiem. Miejmy nadzieję, że to prawda. Jak tego dokonaliście?

– Przyłączyliśmy się – ja i Myszy – do jednej z band, dałem im do zrozumienia, że jestem jakby... Tybautem. Czy nie tak postąpiłbyś na moim miejscu?

– Co robi Grégoire, gdy jego śmiała wyprawa dobiegnie końca?

– Mówiłeś, panie, że wrócisz do kaplicy Sainte-Cécile, więc Grégoire zamierza czekać w pobliżu, w domu d'Aubrayów.

– Ponure miejsce wybrał. Dlaczego?

– Tam już nie można nikogo zabić, niczego więcej nie można też ukraść, zatem nie ma powodu, by ktoś tam jeszcze zaglądał.

– Niedługo przechytzycie swego pana, chłopcy.

Tannhäuser dopiął nagrzbietnik i odstał o krok. Zdecydował się zostawić siodło na miejscu; wóz i resztę uprzęży zamierzał ofiarować opactwu, ale Clémentine była mu potrzebna. Wiedział, że jeśli dorzuci parę sztuk złota, benedyktyni co tydzień będą odprawiać mszę za jego duszę.

– Mam nadzieję, że nie każesz nam podróżować tym wózkiem na łąno – odezwała się Pascale.

Teraz, gdy twarze Myszy zostały domyte, łatwiej było dostrzec, jak bardzo są młode i jak bardzo okaleczone na duszy. Wciąż trzymały się za ręce i wbijały wzrok w ziemię. Tannhäuser uśmiechnął się krzywo do Pascale.

– Ten wóz woził głównie paszę i pewnie jest czystszy od niejednego talerza. I owszem, pojedziecie nim, a jeśli coś ci przeszkadza, możesz przynieść z siodlarni koce, ale spiesz się. Poszukaj też jakichś rękawic, żeby zasłonić plamy inkaustu na palcach. Flore, napełnisz wodą ten bukłak? Juste, sprawdź, czy jest tam jeszcze coś, co warto by zabrać.

Chłopak teraz dopiero zauważył sztylet u boku Pascale.

– Czy ja też mogę dostać nóż?

– W opactwie nie będzie ci potrzebny – odparł Tannhäuser. – Tobie zresztą też nie – dodał, zwracając się do Pascale. – Schowaj go do sakwy.

– Zostawisz mnie z tymi dziewczynami? – spytał Juste, nie do końca przekonany, czy cieszy go ta perspektywa. Spojrzał ukradkiem na Flore.

– Potrzebują dzielnego młodzieńca, który będzie ich bronił – odparł Tannhäuser.

Pascale zaśmiała się mniej niż uprzejmie.

– Odnalazłeś swoją żonę? – spytała nagle Flore.

– Carlę? – bąknął zaskoczony Tannhäuser.

– Mówiłeś, że przebyłeś daleką drogę, żeby ją odszukać, a my nawet nie spytałyśmy, czy ci się udało. Pewnie sądzisz, że jesteśmy bezmyślne i samolubne.

– Mieliśmy pilniejsze sprawy na głowie.

– Prawda. Ale znalazłeś ją? – spytała Pascale.

Tannhäuser nie czuł się na siłach, by wysłuchiwać wyrazów współczucia, a dziewczęta z pewnością miały już dość ponurych nowin. Spojrzał na Juste'a, który czekał w milczeniu.

– Tak. Carla jest po drugiej stronie rzeki, w Ville. – To rzekłszy, zabrał się do układania broni na wozie.

Dzieci stały nieruchomo, jakby w niemym buncie.

– Róbcie, co wam kazałem – polecił Tannhäuser. – Za chwilę ruszamy.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Haniebniejszy od mordu

Plan Tannhäusera pozostał aktualny aż do porte Saint-Jacques, gdzie przed opuszczoną broną stała grupa mniej więcej trzydziestu uciekinierów. Za kratą, w półmroku bramy, widać było niewyraźne postacie znudzonych żołnierzy, a ciemność za ich plecami świadczyła o tym, że i główne, zewnętrzne wrota były zamknięte. Cywile rozmawiali półgłosem, a ich krnąbrne dzieci głównie płakały, zmęczone południowym upałem.

W oczach Tannhäusera byli jak ślepe mrówki uciekające z rozdeptanego mrowiska. Dreszcz przeszył go dopiero w chwili, gdy zrozumiał gorzką prawdę: był jednym z nich.

Stał na przedniej krawędzi platformy, trzymając w dłoniach lejce. Za nim, pod płachtą płótna, siedziały dzieci – niezbyt dobrze ukryte, bo z bliska widać było, jak na wybojach kiwają się ich głowy.

Skrzypnęła furtka i z wieży wyszedł dowódca straży – Tannhäuser nie znał barw jego munduru; ochroną murów zajmował się de Montmorency. W ślad za nim wybiegł żołnierz ze stołkiem używanym na co dzień do dosiadanania konia. Dowódca wspiał się na ów stołek i uniósł rękę, by zwrócić na siebie uwagę zebranych. Rozmowy ucichły. Ton przemówienia nie pozostawiał wątpliwości co do tego, że dowódca musiał je wygłaszać już kilkakrotnie.

– W oczekiwaniu na zbliżający się atak hugenockiej armii, lub hugenockich armii, brama Saint-Jacques została zamknięta, podobnie jak wszystkie bramy Paryża na północy i na południu miasta. Klucze do tych bram, północnych i południowych, oddano na przechowanie do Hôtel de Ville. Innymi słowy, brama jest zawarta na głucho i nikt z tu obecnych nie zdoła jej otworzyć. Nawet ja nie mogę opuścić miasta. Wy także nie możecie, ani nikt inny, bez względu na stanowisko i wpływy. Miasto jest odcięte od świata.

Z gardeł zebranych wydobył się jęk.

– Każdy, kto chciałby zanieść do Bureau de Ville petycję o wydanie kluczy, może to uczynić, ale nie miejcie nadziei, że coś wskóracie. Tymczasem zaś odsuńcie się wszyscy od bramy, gdyż potrzebujemy tu miejsca do celów wojskowych. Jeśli zaś będziecie się ociągać, wydam rozkaz moim żołnierzom, by was rozpędzili. Mam nadzieję, że wyraziłem się jasno. Boże chroń króla!

Tannhäuser zaczął zawracać.

– To oznacza, że jednak nie pojedziemy do Saint-Germain – wyjaśnił Juste.

– Nie jesteśmy ani głuche, ani głupie – odpowiedziała mu Pascale.

Dowódca precyzyjnie się przez tłum, ignorując padające zewsząd pytania. Zasalutował Tannhäuserowi.

– Przykro mi, panie, że wśród rozczarowanych jest i kawaler maltański. Chętnie bym cię przepuścił, ale tymczasem Paryż jest dla nas wszystkich więzieniem.

– Chcę tylko zawieźć te sieroty w bezpieczne miejsce.

– Wiem, że dziś rano opactwo Sainte-Geneviève przyjęło grupę ludzi – o, tam widać wieżę Clovis – ale teraz ponoć świnię z milicji blokują doń dostęp. A skoro nie uszanowali takiego miejsca, to nie wiem, na ile bezpiecznym schronieniem będą zwykłe kościoły. A może zabrałbyś je, panie, do Temple? Z pewnością przyjmą cię z otwartymi ramionami, choć może i tam napotkasz blokadę.

– Miło spotkać przyjazną duszę. Dziękuję, oficerze.

– Nie walczyłeś aby w wielkim oblężeniu Malty, panie?

– Walczyłem.

– Jestem więc pełen podziwu. Było aż tak strasznie, jak mówią?

– Jeszcze gorzej. Ale nie tak strasznie jak tutaj.

– Chyba rozumiem, co masz na myśli. Walczyłem z hugenotami pod Jarnac, pod rozkazami Tavannesa, ale to przynajmniej była wojna. Dostaliśmy jasne rozkazy, spełniliśmy obowiązek, a to oznacza, że uczciwie zadawaliśmy śmierć.

– Śmierć zawsze jest uczciwa. I tylko na jej słowie zawsze możemy polegać.

– A także na obietnicy zbawienia, danej nam przez Chrystusa.

Tannhäuser przeżegnał się.

– Miejmy nadzieję. *Dominus vobiscum*.

Tannhäuser machnął lejcami i Clémentine pociągnęła wóz w dół stoku.

– Pascale, wiesz, gdzie jest place Maubert?

– Pewnie.

– Zatem Clémentine i ja oczekujemy twoich wskazówek.

Skręcili na wschód, do dzielnicy kolegów i opactw.

Juste robił, co mógł, by wywiązać się z powierzonej mu roli opiekuna dziewcząt, próbując na przykład zabawiać je rycerskimi opowieściami, poniósł wszakże klęskę, pokonany ostrym językiem Pascale. Pod płótnem raz po raz wybuchały sprzeczki, ale Tannhäuser nie interweniował, wychodząc z założenia, że dzieciaki przynajmniej mają czym zająć myśli.

On sam także nie próżnował. Miał wielką ochotę dopaść wreszcie parszywego starego pedla, ale nie mógł tego uczynić, wioząc swój kłótlivy ładunek. Zastanawiał się, czy nie skorzystać z sugestii dowódcy i nie zawieźć dzieci do Dzielnicy Łacińskiej, ale skoro już musiał przejść przez milicyjną blokadę, wolał to zrobić przy którymś z mostów, a potem ukryć sieroty gdzieś w Ville, bliżej Orlandu. Tam też spodziewał się znaleźć odpowiedzi na kilka nierozwiązanych zagadek.

Minęli Sainte-Geneviève – bramy opactwa istotnie były strzeżone przez uzbrojonych cywilów. Wiedział, że dałby im radę, lecz wtedy inni, kręcący się w pobliżu, dowiedzieliby się o dzieciach. Poza tym, gdyby dopuścił się rzezi na progu klasztoru, mnisi nie byłiby doń zbyt przyjaźnie nastawieni. I dlatego kontynuowali podróż w dół dość stromą ulicą.

W tej części miasta mniej było śladów niedawnych zbrodni. Mijali liczne kolegia Sorbony, jadąc ulicami pełnymi studentów, zajętych głównie piciem wina i obmacywaniem dziwek, w czym w najmniejszym nawet stopniu nie przeszkadzał im fetor spalonych ciał. Im bliżej byli place Maubert, tym woń stawała się silniejsza. Tu atmosfera pikniku była jeszcze swobodniejsza, prym wiedli zaś ci sami kuglarze, kucharze i handlarze, którzy wcześniej starali się zarobić parę miedziaków na placu przed Notre-Dame. Im także nie wadził fetor unoszący się w gorącym powietrzu. Plac bywał miejscem egzekucji; tego dnia sześć brudnych lin stałej szubienicy skrzypiało pod ciężarem świeżych trupów. Opodal niej dogasały węgle, spośród których sterczał żelazny pręt, ostatnia podpora spalonych zwłok dwóch ofiar niedawnej egzekucji.

Na północnym skraju placu Tannhäuser wypatrywał to, czego szukał.

– Powiedźcie no – zagadnął, odwracając się ku ukrytym pasażerom – skoro kaczka kwacze, a pies szczeka, to jaki dźwięk wydaje królik?

Dyskusja nad zagadką trwała dłuższą chwilę, ale odpowiedzi nie znaleziono.

– Otóż to: królik nie wydaje głosu. A ja chciałbym, żebyście teraz zachowywali się jak króliki w skrzyni.

W cieniu drewnianej strażnicy stał stół, a wokół niego siedziało pięciu *sergents à verge*, zajętych dojadaniem resztek obiadu. Pracowali też usilnie nad opróżnieniem glinianego, pokrytego szkliwem gąsiora z czerwonym winem. Wydawało się, że Aloïs Frogier wykonał już swoją część roboty, gdyż drzemał beztrusko, z łokciami na stole i głową spuszczoną na piersi.

Tannhäuser zatrzymał dwukólkę w zasięgu głosu. Jeden ze strażników spojrzał na niego mętными oczami i szturchnął Frogiera, mamrocząc słowa ostrzeżenia. Tannhäuser

zeskoczył na ziemię i czekał cierpliwie. Frogier w zakłopotaniu potarł dłonią płamę na tunice i zmusił się do podejrzenia serdecznego uśmiechu.

– Frogier, tak się cieszę, że widzę cię pokrzepionym i wypoczętym.

Strażnik skłonił się uprzejmie.

– Dzięki temu lepiej będę wykonywał swoje obowiązki, ekscelencjo. A jak wiesz, są one niezmiernie liczne i także poważne.

– Ja sam chętnie bym się zdrzemnął. Tymczasem przyjechałem, żeby oddać ci łuk.

Frogier najpierw uniósł brwi, przyjemnie zaskoczony, ale zaraz zmarszczył je nieufnie.

– Nie bój się, nie żądam zwrotu pieniędzy. Po prostu lepiej będzie dla nas obu, jeśli nie będę widziany z tą bronią.

– Sługa uniżony, panie, jak zawsze.

– A teraz prowadź do Petit Châtelet.

Tannhäuser ruszył, prowadząc za sobą Clémentine i wóz, w stronę rzeki i wież Notre-Dame. Frogier w zamyśleniu uszczypnął wargę, ale zaraz opanował się, dał sygnał kompanom siedzącym przy stole i pobiegł za Mattiasem.

– Ekscelencja znalazł sobie, jak widzę, towarzystwo w podróży.

– To nie powinno cię obchodzić. Niech cię lepiej zainteresuje to, że brakuje czterech strzał.

Frogier znowu się zamyślił, a im dłużej myślał, tym bardziej bladł.

– Czterech?

– Szydła podpowiedzą, że strzelca należy szukać wśród łuczników z Châtelet, ale ułamałem i spaliłem brzechwy, więc nikt nie dotrze tym tropem aż do ciebie.

– A któż by chciał szukać właściciela czterech strzał w samym środku tej krwawej łaźni?

– Rzecz w tym, że ważne jest miejsce, w którym zostaną znalezione. Wydarzenia, do których tam doszło, wymagać będą śledztwa, zatem zastanów się, czy nie powinieneś zgubić całego kołczanu. Zamieszanie, hugenoci, złodzieje, sam rozumiesz.

– Wydarzenia?

– Im mniej wiesz, tym bardziej szczerze będziesz udawał zaskoczonego, a jeszcze lepiej: zszokowanego, gdy wykonując swoje obowiązki, po raz pierwszy usłyszysz o szczegółach.

– A usłyszę o nich, ekscelencjo? Nawet w tak ponurym dniu?

– Bez wątpienia. W pewnym sensie, nawet dość głębokim, tkwimy w tym razem, Frogier. Ktoś mógłby powiedzieć: jesteście współnikami. Dlatego też, przynajmniej, gdy jesteście sami, możesz darować sobie te tytuły, bo działają mi na nerwy.

Frogier był albo urodzonym filozofem, albo weteranem nieskończenie wielu ryzykownych i szemranych intryg – przyjmował słowa Tannhäusera z głębokim spokojem, nie próbował uzalać się nad sobą ani czynić wyrzutów.

– Łuku też mam się pozbyć? Nie, nie, w to trudniej byłoby uwierzyć. Zostawię kołczan z przeciętym paskiem gdzieś, gdzie bez trudu znajdzie go jakiś włóczęga. Sprzeda go pewnie za parę łyków trunku, a zanim zapadnie zmierzch, towar jeszcze parę razy zmieni właściciela.

Tannhäuser wiedział, że to dyskretna zapowiedź kolejnych wydatków, ale i tak zamierzał pozwolić Frogierowi na to małe zwycięstwo, by związać go ze sobą jeszcze mocniej.

– Ufasz swoim towarzyszom?

– Nikt nie jest godzien bezwarunkowego zaufania, ale też, jak wiesz, nic tak nie wzmacnia braterskich więzi jak smak złota.

– Zapłacę za gąsior.

– Sądzisz, że musimy płacić za wino? – Frogier dostrzegł coś kątem oka. – Zwróc mi łuk i kołczan.

– Są na wozie.

Frogier sięgnął po broń i zamrugał nerwowo, zobaczywszy zakrwawione grotty strzał. Spojrzał na Tannhäusera, ale nie odezwał się. Zniknął w zaułku, a gdy wrócił, niósł na ramieniu już tylko łuk – kołczan zniknął bez śladu. Strażnik skinął głową w stronę dwukółki.

– Jeśli to płótno nie służy im jako ochrona przed słońcem, to głosi jedynie wszem i wobec: „Uwaga, wiozę uciekinierów!”.

Tannhäuser zwinął płachtę i wepchnął w kąt wozu.

– Zaraz, to przecież dziewczynki Tybauta – zorientował się Frogier.

– Jestem Anne Durant – powiedziała Pascale.

– A ja Geneviève Lenoir – dodała Flore.

Strażnik potarł swój jedyny ząb.

– Po co ci cała ta dzieciarnia?

Tannhäuser wiedział, że musi się z nimi rozstać: gromada smarkaczy była dla niego ciężarem, on zaś dla nich zagrożeniem. Frogier zaś mógł być diabłem, ale przynajmniej w miarę znanym.

– Pomożesz mi przeprowadzić je wszystkie przez blokadę, do Ville.

– Do Ville? – Strażnik wyglądał mniej więcej tak, jakby kazano mu zanurzyć głowę w cebrze w wymiocinami. – Ale po co?

– Muszę im znaleźć bezpieczną kryjówkę, gdzie ktoś będzie je karmił i poił przynajmniej przez dzień lub dwa, a na dodatek zapewni im ochronę przed niebezpieczeństwem.

– W Ville?

– Chciałem, żeby były blisko mnie, ale najważniejsze jest bezpieczeństwo.

– Domyślam się, że to heretycy?

– To dzieciaki, które nie znaczą nic dla nikogo prócz mnie.

– Moja starsza siostra Irène... Mieszka w Cité, na nabrzeżu przy Saint-Landry.

– Ma męża?

– Kazałem go powiesić.

– Za zgodą Irène?

– Na jej prośbę. Za bardzo lubił sięgać po pasek i był Szkotem, a to już dwa dobre powody, żeby go wysłać na stryczek.

– Czym się zajmuje?

– Niezyczliwi mogliby szeptać – i prawdę mówiąc, szepotali – że to właśnie był trzeci i najważniejszy z powodów. Otóż ów Szkot, którego tragiczny los właśnie ci objaśniłem, posiadał był nieduży zajazd. Pod światłym kierownictwem mej siostry interes prawdziwie rozkwitł. Zazwyczaj nocują tam prawnicy z prowincji, ale wiem, że jeszcze dziś rano miała wolny pokój albo i dwa.

– Nikt prócz nas dwóch oraz twojej siostry nie może wiedzieć o dzieciach.

– Moja siostra bywa twarda w negocjacjach.

– Oto więc warunki, na które się zgodzimy: jeżeli wrócę po dzieci i przekonam się, że były bezpieczne, dobrze ci zapłacę. Jeżeli nie, uduszę cię cięciwą tego łuku.

Gdy dotarli do Petit Châtelet, Frogier zostawił Tannhäusera w szerokim, łukowato sklepionym prześwicie pod bramą i oddalił się, by zameldować o kradzieży kołczanu, dokonanej, rzecz jasna, przez nieznaną sprawców. Choć była to leniwa niedziela, *sergents*, wałęsający się po okolicy w dość licznych grupach, wyglądali na nieszczęśliwych, spiętych i skorych do bitki. Podobnie jak Frogier, byli jednak na co dzień zbyt sprzedajni, by wzorem ochotników z milicji wpaść w krwawy szal. Spoglądali ukradkiem na Tannhäusera i jego pasażerów, ale żaden nie odważył się podejść bliżej.

Mattias spojrział ku północnemu wylotowi bramy. Na krótkiej uliczce biegnącej mostem piekła się w słońcu sterta trupów skąpanych w polewie z własnej krwi, niczym dzieło życia cukiernika-mordercy. W pobliżu nie było nikogo, za to na przeciwległym krańcu mostu widać było przyczynę fatalnego humoru miejskich strażników. Ulicę przegrodzono łańcuchem, a za nim stała gromada milicjantów i sądząc z ich marsowych min, każdy wierzył głęboko, iż wykonuje misję nakreśloną Bożym palcem w litej skale.

Tannhäuser zerknął na swych podopiecznych. Siedzieli rzędem pod jedną burtą wozu, spoglądając nań z milczącym wyrzutem. Spróbował uśmiechnąć się do nich ciepło, ale poczuł, że bardziej przypomina to grymas bólu, i czym prędzej odwrócił głowę.

Frogier wrócił, w marszu regulując pasek nowego kołczanu.

– Jeden z naszych pokłócił się z milicjantem – Bóg jeden wie, o co – i zranił go w walce. Teraz wszyscy nienawidzą policji. Kto wie dlaczego? Tamten przeżyje, jeśli rana nie zacznie gnić, ale jego kompani ogłosili, że dopóki nie dostaną rozkazu z góry, nie odstąpią od mostu. Innymi słowy, nie mogę przeprowadzić was na drugą stronę.

– Idź za mną.

Zanim *sergent* zdążył zaprotestować, Tannhäuser wprowadził Clémentine na most. Milicjanci wyraźnie się ożywili. Było ich ośmiu; po ubraniach niektórych widać było, że od rana nie próżnowali. Na co dzień nie panowali nawet nad własnym życiem, nie wspominając o życiu innych. Teraz, gdy choć na jeden dzień miasto znalazło się w ich rękach, korzystali z okazji. Wszyscy mieli zawiązane na ramieniu czerwone i białe tasiemki.

Ich przywódca siedział na skraju okazałej beczki, machając nogami – zapewne zajął to miejsce, by dodać sobie choć pół stopy wzrostu, był bowiem, nawet wśród swych niedożywionych pobratymców, wyjątkowym konusem. Na głowie miał hełm przyozdobiony gęsim piórem, a na kolanach trzymał bat. Wyglądał na człowieka zadowolonego z własnej nienawiści do świata. Beczkę ustawiono mniej więcej w połowie długości łańcucha. Za plecami milicjantów kręciła się spora banda uliczników, którzy przystanęli z zaciekawieniem, zauważywszy zbliżającego się Tannhäusera.

On zaś zatrzymał wóz w połowie mostu, sięgnął po strzelbę, sprawdził, czy nie brakuje prochu na panewce, i demonstracyjnie opuścił kurek. Niektórzy z milicjantów przestąpili nerwowo z nogi na nogę.

– Zostań tu. Jeśli wystrzelę, zabierzesz dzieci do strażnicy.

Tannhäuser ułożył strzelbę w zgięciu ramienia i pomaszerował w stronę dowódcy siedzącego na beczce.

– Mattias Tannhäuser, doradca wojskowy i kurier dyplomatyczny Jego Wysokości Henryka księcia d’Anjou. Możesz mi mówić „ekscelencjo”. Kim jesteś?

Mężczyzna, lekko zbity z tropu, poruszył się niespokojnie na siedzisku. Wyczuwał, że mądrze byłoby zleźć z beczki, ale chciał sobie oszczędzić związanego z tym upokorzenia. Zaryzykował więc i skłonił głowę, siedząc.

– Chorąży Jean Bonnett, ekscelencjo, wierny sługa Boga i Jego Wysokości Króla.

Kilku milicjantów powtórzyło ostatnie słowa. Tannhäuser spojrzał na nich chłodno.

– Jego Wysokość nie wezwał milicji do buntu przeciwko Châtelet. Nie wydał też rozkazu do rozpoczęcia tej rzezi.

– To tylko plotka, rozpowszechniana przez protestanckich szpiegów – odparował Bonnett.

– Uważaj, co mówisz. I nie zapominaj o „ekscelencjo”.

– Chciałem tylko powiedzieć, że ekscelencja został wprowadzony w błąd przez...

– Chcę pomówić z Bernardem Garnierem.

– Nie ma go tu, ekscelencjo. A pod jego nieobecność ja pełnię obowiązki kapitana.

– Będę rozmawiał tylko z nim.

– Wezwano go do szesnastej, na drugą stronę rzeki, gdzie doszło ponoć do straszliwej masakry naszych dzielnych towarzyszy...

– Poślij po niego.

– To trochę potrwa, ekscelencjo.

– Zaczekamy.

– Mamy tu stan oblężenia, ekscelencjo. Nie wiem, czy zdołam kogoś wysłać.

Tannhäuser dźgnął go lufą strzelby w pierś. Bonnett stęknął, odchylił się i spadł za beczkę. Ze strażnicy za jego plecami oraz od strony widzów przyglądających się scenie z okien okolicznych domów dobiegły pojedyncze śmiechy. Ulicznicy zza pleców milicji uznali, że mogą im zawtórować.

– Poślij po niego – powtórzył Tannhäuser. To rzekłszy, odwrócił się i odszedł w stronę wozu, uśmiechając się do dzieci.

Frogier spoglądał na niego z otwartymi ustami.

– Czy aby nie ryzykujesz, odwracając się do nich plecami? – spytała Pascale.

– Gdybym tam został, żeby znowu stanąć twarzą w twarz z Bonnettem, wróciłbym do punktu wyjścia. Nie zostałem jednak, więc łatwiej mu będzie podjąć decyzję: pośle po Garniera. Inaczej bowiem musiałby przejść przez ten swój łańcuch i stawić mi czoło. Gdyby zaś to zrobił, zobaczyłbym ostrzeżenie w waszych twarzach.

- A jeśli po prostu siądzie na beczce i nie kiwnie palcem? – indagowała Pascale.
- Dziękujemy Opatrzności, że nie należysz do milicji, dziewczyno.
- Bonnett wysłała posłańca – zameldował Juste.
- Dlaczego nie zażądałeś po prostu, żeby nas przepuścił? – spytała Pascale.
- Zależy mi na pozwoleniu od Garniera. Jeżeli raz pozwoli wam żyć, przy kolejnym spotkaniu będziecie mieli większe szanse.

Zabezpieczając strzelbę, Tannhäuser rozejrzał się i spostrzegł, że w jednym z budynków na moście mieści się jadłodajnia, zamknięta na głucho. Z okna na piętrze przyglądał mu się jakiś mężczyzna.

- Ile za posiłek dla pięciorga dzieci i dwóch lojalnych sług króla?
- A ile za duszę człowieka, który nie uszanuje szabasu...?
- Jean – odezwał się Frogier – nie zmuszaj nas do wyważenia drzwi.

Gdy weszli, Pascale dwukrotnie zmusiła Juste'a do zmiany miejsca: najpierw, gdy wcisnęła się między niego a damę jego serca, i po raz drugi, gdy zażądała, by Tannhäuser usiadł między nią a Flore. Juste nie miał wyboru: przeniósł się na przeciwległą ławę, do Myszy, oddzielony od swej ukochanej całą szerokością stołu. Pascale ściągnęła rękawiczki z koźlęcej skórki znalezione w stajni, a Flore spojrzała na jej zabarwione inkaustem palce i się rozplakała. Juste zerwał się natychmiast, gotów ją pocieszyć, lecz Tannhäuser pokręcił głową, dając mu znak, że powinien pozwolić jej wyrzucić z siebie emocje.

Frogier przyciągnął sobie stółek i zasiadłszy u szczytu stołu, zajął się polerowaniem zęba. Kucharz, mimo wcześniejszych oporów natury religijnej, nie próżnował. Zapewne brakowało mu ostatnio klientów, bo podał nie tylko pieczeń z mielonej wieprzowiny na zimno, trochę drobnego ptactwa oraz kawałki królika, ale także tacę tartinek z serem, półmisek faszerowanych jaj, ryż z pałkami kurczaka oraz polewkę z bydlęcych flaków, którą Tannhäuser jedynie powąchał, co omal nie pobudziło go do wymiotów. Chwilę później na stole pojawiły się dzbanki z winem.

Mattias przeżegnał się. Dzieci siedziały na ławach potulnie, z rękami na kolanach, zdjęte nagłą melancholią i bez cienia apetytu. Frogier nie miał skrupułów: ochoczo nakładał ryż na swój talerz. Tannhäuser uznał, że spoczywa na nim obowiązek rozluźnienia atmosfery.

- Cieszę się, że mamy okazję – dość niespodziewanie – spożyć razem obiad...
- Bo to ostatnia taka okazja? – wpadła mu w słowo Pascale.

Flore zaszlochała i umilkła.

– Nonsens – odparł Tannhäuser. – To pierwsza z wielu okazji, choć może w naszym przypadku nawet druga. Zobaczycie, że jeszcze będziemy razem jadać, aż pewnego dnia ktoś

z nas powie: „A pamiętacie, jak jedliśmy faszerowane jajka na Petit-Pont, w dzień świętego Bartłomieja?”.

– Z tego dnia zostanie nam aż za wiele wspomnień – odrzekła Pascale.

– Wiele, ale nie za wiele. Każdy z nas stracił kogoś bliskiego... – Urwał na moment, krzywiąc się boleśnie. – I wszyscy widzieliśmy rzeczy, których nikt nie powinien oglądać.

Frogier, z ustami pełnymi ryżu, tylko chrząknął z aprobatą.

– Fatalny to dzień, ale wkrótce minie – ciągnął Tannhäuser – jak wszystkie inne dni, dobre czy złe. A nawet w najgorszym dniu można znaleźć dobre chwile, jeśli tylko dobrze się ich poszuka. – Na moment wrócił myślami do krwawych godzin, które spędził w Paryżu, daremnie szukając przykładu na poparcie własnej teorii.

– Jak choćby ta, w której uratowaliśmy psa? – podpowiedział Juste.

– Otóż to, Juste. Otóż to.

– I jak nakarmiłyśmy Clémentine jabłkami? – dodała Flore.

– W rzeczy samej, Flore, to jest: Geneviève. Doskonały przykład.

– I gdy nakryłeś ojca jego fartuchem – dorzuciła Pascale.

Intencje miała jak najlepsze, ale po jej słowach przy stole znowu zapanowało posępne milczenie.

– Proszę cię, Mattias, nie zostawiaj nas – odezwała się w końcu Flore.

Tannhäuser miał wrażenie, że ktoś zamknął jego pierś w zbroi wykutej dla męża znacznie nikczemniejszej postury.

– Nie zostawię was na długo – odparł – a siostra Frogiera dobrze się wami zaopiekuje. Czy można polegać na kimś bardziej niż na kobiecie, która dla zysku posłała na stryczek własnego męża?

Żart nie rozbawił nikogo poza strażnikiem, który z pełnymi ustami i tak nie mógł się śmiać.

Tannhäuser napelnił kubek winem i wypił do dna. Było niezłe.

– A teraz, jeśli mi Frogier pozwoli, zamierzam coś przegryźć. – To powiedziawszy, sięgnął po połówkę jajka. Niestety, okazało się zbyt delikatne dla jego twardych palców: ścisnął za mocno i nadzienie wyskoczyło z białka, by potoczyć się w dół po koszuli, ozdabiając ją nową kolekcją plam.

Dziewczęta Tybauta przerwały nazbyt długie milczenie, wybuchając gwałtownym śmiechem.

Tannhäuser wątpił, by od ostatniego wieczoru ktokolwiek słyszał w Paryżu słodszy dźwięk. A może i od odejścia Rzymian?

Pod wpływem impulsu najpierw udał wielkie zaskoczenie, potem przesadne rozczarowanie i wreszcie czarną rozpacz na widok zrujnowanej koszuli. Miał widać zadatki na błazna, śmiech bliźniaczek stał się bowiem jeszcze głośniejszy, a Juste im zawtórował. Mattias wyrzucił ugotowane na twardo białko za drzwi, na ulicę, i sięgnął po drugie jajko.

Tym razem z wielką ostrożnością zbliżał je do ust, a dzieci w napięciu i milczeniu przyglądały się jego wysiłkom. W ostatniej chwili znowu ścisnął białko i grudka lekko zbrązowiałego żółtka z siekaną pietruszką i masłem potoczyła się po jego piersi w ślad za pierwszą. Tym razem do chóru rozbawionych dołączyła także Flore. Tannhäuser spojrzął na Pascale i mrugnął do niej porozumiewawczo, a ona tylko pokręciła głową, lecz po chwili nagrodziła go uśmiechem pełnym rezerwy.

– To zaczarowane jajka – obwieścił. – Anne, moja droga, podaj mi, proszę, kawałek tej pieczeni.

Ku zachwytowi wszystkich, Pascale podała mu trzecie jajko.

Nastrój i apetyty wyraźnie się poprawiły, dlatego Tannhäuser nie oponował, gdy Pascale zaczęła pstrykać ziarnami ryżu w stronę Juste'a, w czym dzielnie wspomogły ją dziewczęta Tybauta. Zaspokoiwszy pierwszy głód, znowu sięgnął po wino. Dbał o to, by i kubek Frogiera nie był pusty, Frogier zaś o to, by często trzeba go było napełniać. W końcu poprosił o deser. Kucharz pojawił się po chwili z tacą ciasteczek figowych z miodem oraz talerzem kandyzowanych skórek pomarańczowych i dzbankiem krowiego mleka. Gdy młodzież zajęła się słodyczami, Tannhäuser zaczął przepytywać Frogiera.

– Gdybyś zobaczył mężczyznę w średnim wieku, ubranego na czarno, ze złotym łańcuchem na piersi, dosiadającego kasztana z białymi skarpetkami, kto by to mógł być?

Frogier kiwał się lekko na stołku, obserwując, jak znikają z tacy figowe ciasteczka, które młodzi kompani przezornie trzymali poza jego zasięgiem. Wreszcie wyprostował się, a na jego twarzy Tannhäuser rozpoznał tę samą minę, którą widział już rankiem.

– Obstawiałbym, że to Marcel le Tellier, i miałbym szczerą nadzieję, że mnie nie zauważy, choć po prawdzie on prędzej wypatrzyłby mnie niż ja tego konia.

Ta informacja zaskoczyła Tannhäusera. Grégoire musiał jednak rozpoznać tego człowieka i to właśnie próbował powiedzieć Juste'owi. Tyle że Juste, a potem i Mattias, opacznie go zrozumieli.

– Dlaczego chciałbyś uniknąć spotkania?

– Bo zadawałby pytania, na które wołałbym nie odpowiadać, i zleciłby zadania, których wołałbym nie wykonywać.

Tannhäuser uśmiechnął się, słysząc tak delikatną odpowiedź.

- Powiedz mi wszystko, co o nim wiesz.
 - A cóż taki skromny konstabl może wiedzieć o sprawach wielkich panów?
 - Założmy, że jesteś jednookim w królestwie ślepców.
- Frogier spojrział rzewnie na ostatnie ciastko figowe.
- Geneviève, daj mu to ciastko – powiedział Tannhäuser.
 - Zostawiliśmy je specjalnie dla ciebie – odrzekła Flore.
 - Frogier bardziej go potrzebuje. Może na rozluźnienie języka?

Pascale, która siedziała między dwoma mężczyznami i uważała się za równorzędnego partnera w ich rozmowie, na wszelki wypadek przechwyciła ciastko. Uśmiechała się dość złośliwie, słuchając odpowiedzi strażnika.

– Marcel le Tellier to *lieutenant criminel* w Châtelet. Stoi ponad wszystkimi *commissaires* i ma uprawnienia sędziowskie.

- Jak wygląda jego łańcuch?
- Są w nim jakby złote muszelki – odpowiedziała Pascale.
- Zakon Świętego Michała – stwierdził Tannhäuser.

Zgodnie z tradycją, wspólnota ta miała liczyć nie więcej niż trzydziestu sześciu członków, ale w ostatnich latach król przyjął doń setki nowych rycerzy, w zamian za gotówkę i wsparcie polityczne.

– Jeżeli nie kupił sobie tej godności – dodał po chwili Tannhäuser – a mam wrażenie, że nawet *lieutenant criminel* nie mógłby sobie na nią pozwolić, to najwyraźniej ma wielkie wpływy na dworze królewskim.

Frogier wciąż spoglądał z nadzieją na ciastko.

– Le Tellier został pasowany w czasach, gdy służył jeszcze jako *commissaire* w siódmej dzielnicy, w Les Halles. Ten zaszczyt pomógł mu wygryźć poprzednika, który ustąpił ze stanowiska, oskarżony o rozmaite wykroczenia. Marcel potrafi knuć jak nikt inny. Musiał się tego nauczyć. Nie jest może pierwszym, który zaczynał jako zwykły *sergent* i zaszedł tak wysoko, za to poprzedniego nikt już nie pamięta. Jego ojciec służył jako *prud'homme* u dworskiego kucharza, a do jego obowiązków należało kupowanie świeżych ryb na królewski stół. A skoro mowa o koronowanych głowach, Les Halles to królestwo le Telliera. Urodził się w cieniu Châtelet i zaraz zaciągnął się potrójnym smrodem tych okolic: targu rybnego, rzeźni oraz Cmentarza Niewiniątek. – Frogier umilkł, by pogłodzić swój samotny ząb. – Czy wiesz, ile potrafi nasrać krowa, gdy przypadkiem trafi do Paryża? Nie mniej niż każdy z nas, gdy pewnego dnia pójdziemy do piekła.

– Zatem Marcel para się rozwiązywaniem zagadek kryminalnych – stwierdził Tannhäuser.

– Nie, nie, nie – zaprzeczył czym prędzej Frogier, nadal hipnotyzując ciastko. – Choć urocza praktyka łamania kołem wybitnie ułatwia tę robotę, Châtelet nie zajmuje się rozwiązywaniem zagadek. Naszym celem jest zbieranie pieniędzy dla króla, a przy okazji wypłacanie sobie nędznych poborów. Trzeba przy tym powiedzieć, że są to pieniądze od prawych obywateli. Niemal wszystko, czym może się zajmować mieszkaniec tego miasta – prowadzenie zajazdu, handel butami czy powożenie – wymaga wnoszenia stosownych opłat. Z kolei za złamanie praw regulujących te kwestie – a jest ich tak wiele, że bardzo łatwo je złamać – grożą surowe kary. Ponadto doręczamy nakazy sądowe i...

– A cóż takiego owi prawi obywatele dostają w zamian?

– W zamian wieszamy całe stada przestępców, głównie złodziei, ale także bluźnierców, sodomitów i morderców. Rozwiązywanie, jak raczyłeś to nazwać, panie, zagadek kryminalnych, wymaga jedynie dwóch elementów: podejrzanego oraz przyznania się. A ponieważ oprawcy z Châtelet należą do najbardziej doświadczonych na świecie, łatwo i o jedno, i o drugie.

– Wciąż czekamy na jakieś przydatne wieści – przypomniała Pascale.

Tego było Frogierowi za wiele. Zauważywszy jaszczurcze spojrzenie zmrużonych oczu Aloïsa, Tannhäuser postanowił odbudować jego godność, przesuwając ku niemu talerz z figowym ciastkiem. *Sergent* wpakował je między dziąsła szybkim ruchem, jakby się obawiał, że jego dobroczyńca jeszcze się rozmyśli.

Pascale spojrzała na niego z niechęcią.

– Marcel służył w tej dzielnicy Paryża, w której sprzedaje się i kupuje większość żywności potrzebnej miastu. Przepływa tamtędy więcej pieniędzy niż przez królewski skarbiec. Dzięki wymuszeniom pomnażał majątki swych panów oraz własny, a jednocześnie wspinał się coraz wyżej po szczeblach kariery – rzuciła.

– Tak właśnie było – przytaknął Frogier, plując okruchami.

– Skłonny jest do przemocy? – spytał Tannhäuser.

– Nie musi. W Les Halles ludzi od takiej roboty można kupić taniej niż rybne flaki. – Frogier rozdziawił usta i zamieszał palcem na w pół pogryzione ciastko. – Za cenę takiej przekąski ktoś mógłby skończyć ze złamaną nogą. Marcel zawsze otacza się brutalami, których nazywa swoimi komornikami. Normandczyk Baro to jeden z nich. Niektórzy zrobili niezłą „karierę” u boku Marcela. A on sam, co ciekawe, słynie ze słabego żołądka: nie potrafi znieść widoku tortur ani egzekucji. Oczywiście, choć na widza się nie nadaje, swymi

wyrokami bez jednego „Amen” posłał już tysiące ludzi na place de Grève, a jeszcze więcej do lochów.

– Szpiedzy – wtrąciła Pascale. – Z tego też słynie.

– Prawda. – Frogier spojrział na nią spode łba. – Od samego początku wszędzie miał swoich szpicli. Poganiacze byłą donosili na rzeźników, żony na mężów, nawet prawnicy na swych klientów, dasz wiarę?

– A cóż w tym takiego dziwnego? – odrzekła Pascale.

– Właśnie dlatego wyniesiono go do godności *commissaire*. Wiedział więcej niż trzech inni na tym stanowisku razem wzięci; ba, niż sześciu innych – bo kimże właściwie jest zwykły *commissaire*? Człowiekiem, który pragnie siedzieć w domu, podczas gdy strażnicy miejscy w jego imieniu łupią obywateli, by mógł kupować swojej żonie kolejne klejnoty. Tymczasem Marcel posiada sieć szpiegów tak rozległą, że ci na jej krańcach pewnie nawet nie wiedzą, że dla niego pracują.

– Może więc i ty dla niego pracujesz? – zasugerowała Pascale.

– A może i ty, skoroś taka śmiała, ty młoda... – Frogier w porę przechwycił spojrzenie Tannhäusera – ...damo. Ja mam własnych panów i po prawdzie nie wiem, komu smarują chleb owocami swojej pracy, ale jedno jest pewne: niewielu jest dla mnie tak dobrych jak ty, ekscelencjo.

– Ja bym mu nie dała tego ciastka – wtrąciła znowu Pascale.

Tannhäuser pokiwał głową, nieobecny, pogrążony w myślach. Oto zaplątał się w sieć Marcela le Telliera. Instynkt i logika podpowiadały mu, że kilka zagadek zaczyna splatać się w jedną. Pedel, Mały Christian, Dominic le Tellier, Orlandu, przetrzymanie w Luwrze – tak, co do tych spraw nie miał wątpliwości. I może jeszcze co do ataku na dom d'Aubrayów w czasie, gdy w mieście, poza dworem królewskim, w zasadzie nic się jeszcze nie działo. We wszystkich tych sprawach wyczuwał rękę Marcela. A jeśli tak było, to musiał przyznać, że był to plan zakrojony zamaszyście i nader zawiły, nawet wedle jego miary. Cóż mogło być przyczyną wszystkich tych wysiłków?

Można było śmiało założyć, że Marcel działał na czyjeś zlecenie. W nędznej rzeczywistości Châtelet z pewnością był kimś, ale w Luwrze nie brakowało wielmożów, dla których nigdy w życiu nie mógłby się stać nikim więcej jak tylko synem handlarza rybami. Wystarczyłby natomiast jeden ich fałszywy uśmiech, by kupić lojalność kogoś takiego, jak *lieutenant criminel*. Moźni i wpływowi sprawowali władzę nie tylko w korytarzach Luwru, ale i w całym Paryżu.

Tannhäuser potarł oczy.

Zagadka miała wciąż tysiąc równie prawdopodobnych rozwiązań. Możliwe, że kluczem do jej rozwikłania był Orlandu. W co takiego się wpakował? I dlaczego, najwyraźniej w związku z tą sprawą, zamordowano Carlę? Miłość, polityka czy pieniądze zadecydowały o ich losie? Pospolite przestępstwo, nawet morderstwo, nie wymagałoby aż takiego zachodu. A może Retz miał rację, może zadawniona żądza odwetu jest aż tak potężnym eliksirem? Zabicie matki Orlandu było pewnym i okrutnym sposobem na zadanie mu bólu. Tak, pomyślał Tannhäuser, trzeba będzie przepytac Orlandu. A jeszcze lepiej Marcela le Telliera.

– Gdzie mieszka Marcel?

– W Les Halles – odparł Frogier. – Kupił stary dom z widokiem na rzekę, na zachód od Saint-Denis, opodal rzeźni Crucégo. Każdy, kto zna te strony, wie, gdzie to jest. Mógł naturalnie wybrać znacznie lepsze miejsce, ale naszym zdaniem po prostu nie potrafi zasnąć bez znajomego smrodu. – Przez alkoholową mgłę przebił się nagle niepokój. – Chyba nie zamierzasz wystąpić przeciwko le Tellierowi, panie?

– Broń Boże. Przyjaciele z Luwru już mnie przed nim ostrzegali, dyskretnie, ma się rozumieć. Po prostu wyleciało mi z głowy jego nazwisko.

Juste aż podskakiwał, tak bardzo chciał się wtrącić do rozmowy.

– Ty także byłeś w Luwrze, nieprawdaż? – zachęcił go Mattias.

– Tak, panie. I widziałem tam kapitana gwardii, niejakiego Dominica le Telliera...

– To syn Marcela – wybełkotał Frogier. – Choć niektórzy zastanawiają się, czy aby na pewno, bo rozumu w nim mniej niż w tym pustym dzbanie. Marcel tak bardzo przywiązał się do swej żony, że nie wziął sobie nowej, gdy owa piękność – widziałem ją raz, więc wiem, co mówię – rozchorowała się i umarła. Melancholia. Jej brat, za którym ponoć przepadała, też źle skończył. Podobno łamali go kołem. A le Tellier do dziś nosi kir, właśnie na jej cześć. I w każdy piątek każe odprawiać za nią mszę w Saint-Jacques.

W drzwiach stanął obcy *sergent*.

– Alois? Garnier czeka przy łańcuchu.

Tannhäuser pociągnął Frogiera do pionu, po czym spojrział na pozostałych.

– Zaczekajcie tu, póki was nie zawołam. A ty włóż z powrotem te rękawiczki.

Chorąży Bonnett właśnie kulił się za beczką, podczas gdy Bernard Garnier, podpartszy się pod boki potężnymi kułakami, pochylał się nad nim, zasypując dość wyszukanyimi obelgami.

Frogier oparł się o burtę wozu, jakby nie był pewny, czy ustoi o własnych siłach.

Tannhäuser postawił strzelbę przy kole i zawiesił na nim olstra. Upewniwszy się, że szponton, z ostrzem zawiniętym w worek na obrok, leży w zasięgu ręki, zrobił jeszcze dwa kroki w stronę łańcucha i zatrzymał się, żeby poczekać. Czekając zaś, przyjrzał się bacznie każdemu z milicjantów i już po chwili wiedział, jak mógłby zabić ich wszystkich i w jakiej kolejności – naturalnie prócz tych, którzy wykazałyby się największą chyżością w ucieczce. Garnier usłyszał ostrzegawczy pomruk swych ludzi i się wyprostował. Otarł rękawem ślinę z ust i odwrócił się, tocząc spojrzeniem spode łba. Był potężny i najwyraźniej wściekły. Tannhäuser wyczuwał, że ma do czynienia z człowiekiem, który czuje, iż świat go nie docenia, z niedostateczną wdzięcznością nagradza zaszczytami za wybitne zalety jego charakteru.

– Kapitanie Garnier, porozmawiajmy na osobności.

Garnier skinął dłonią i jego ludzie natychmiast opuścili łańcuch. Podszedł bliżej.

– Do usług, ekscelencjo – powiedział, kłaniając się bez entuzjazmu.

– Doceniam uprzejme traktowanie, ale darujmy sobie te formalności. Chcę prosić o przysługę.

– Ci głupcy nie mieli prawa zatrzymać kogoś takiego jak ty, panie. Zostaną przykładnie skarceni.

– Moim zdaniem wyglądają na dostatecznie skarconych. Godne pochwały, kapitanie.

Garnier wyglądał na zaskoczonego tym komplementem.

– Robię, co mogę, z materiałem, który mi powierzono. To nie są wyszkoleni żołnierze. Nie do końca wiedzą, jak traktować tę rebelię. Ale gdyby zobaczyli to, co niedawno widziałem na własne oczy, wiedzieliby. I przy okazji posraliby się w niedzielne portki.

Garnier tak dobrze grał rolę prostego, ponurego brutala, że Tannhäuser nie był pewny, jak chytry lis może kryć się pod tą maską.

– Armia hugenotów została pozbawiona przywództwa, a stacjonuje wiele mil od Paryża – odpowiedział.

– Mówię o masakrze w szesnastej dzielnicy.

– Przejeżdżałem tamtędy. Prawda, że zamieszki były krwawe i na wielką skalę.

– Doszło do rzezi dzielnych milicjantów, dobrych, uczciwych obywateli służących Bogu i królowi. Wciągnięto ich w zasadzkę i wyrżnięto jak bydło. Zginęli razem ze swym kapitanem. Okaleczono ich tak, że i Turkowi zrobiliby się słabo na ten widok. Co najmniej dwudziestu zabitych.

Tannhäuser usłyszał za plecami ciche przekleństwo Frogiera.

Garnier zmierzył strażnika nieprzyjaznym spojrzeniem. Tannhäuser nie odwrócił się.

– Jestem rzeźnikiem z zawodu, ale nigdy nie widziałem tak krwawej jatki. Gdy odjeżdżałem, nasi ludzie jeszcze wynosili ciała. Ponoć drukarz miał dwie córki.

– Drukarz?

– Widziano cię tam, ponoć na bojowym rumaku. Niektórzy twierdzą, że z dwoma chłopcami, inni przysięgają, że z dwiema dziewczynkami. Trudno nie zauważyć kogoś takiego jak ty, panie. I trudno zapomnieć.

Tannhäuser patrzył mu prosto w oczy. Garnier odwrócił głowę.

– Musimy wytropić morderców, zanim znowu uderzą – rzekł po chwili. – A ponieważ, jak sam raczyłeś wspomnieć, przejeżdżałeś tamtędy, może zauważyłeś coś podejrzanego?

– Widziałem bandy rabusiów plądrujących domy i mordujących dzieci. Widziałem ulice bezprawia, jak te w miastach w dolinie, nim je unicestwił archanioł Gabriel. Widziałem to samo co ty. Sądzisz, że katolicy zabijają wyłącznie hugenotów? Robią wszystko, na co im przyjdzie ochota. Mordują każdego, kto wejdzie im w drogę. Twój truposze mieli wrogów, kapitanie. Ale któż ich nie ma? Rzucaj oskarżenia tam, gdzie jest szansa znaleźć winnego. Chyba że wierzysz, jakobym zabił dwudziestu ludzi z pomocą konia pociągowego i dwóch chłopców. Albo dziewcząt.

Garnier spróbował udobruchać go śmiechem.

Tannhäuser się nie uśmiechnął.

– Wybacz mi, ekscelencjo. Nie zwykłem żeglować po tak głębokich wodach.

Mattias skinął głową.

– Z wdzięcznością przyjmuję dobrą radę – ciągnął kapitan. – Prawdą jest, że milicjanci mają swoich wrogów, jesteśmy wszak ludźmi króla, wiernymi duszą i ciałem, a także sługami papieża – a przecie niejeden z możliwych chętnie zwłóknąłby obu lub każdego z osobna z ich świętych tronów. Mroczne czasy ledwie się zaczęły. Powiedz mi zatem, proszę, czym mogę ci służyć.

– Obiecuj mi, że żadne z tych dzieci nie będzie prześladowane.

Tannhäuser odwrócił się w stronę jadłodajni, by zawołać swych podopiecznych, lecz oni już od dłuższej chwili tłoczyli się przy drzwiach, obserwując każdy jego ruch. Znowu spojrzał na Garniera.

– Nie myślę cię zwodzić, kapitanie. Ten chłopak to mój sługa. Dziewczęta przybiegły do mnie, bo groziła im śmierć. Możliwe, że wychowano je w protestanckiej

wierze, nie wiem. Nie pytałem. I nic mnie to nie obchodzi. – Pochylił się nieco w stronę Garniera. – Jestem człowiekiem religijnym.

Milicjant cofnął się o krok.

– Jestem kawalerem Zakonu Świętego Jana Chrzciciela. Blizny, które noszę, to pamiątki ran, które zadali mi Turcy podczas wojny w obronie chrześcijaństwa. Jezus Chrystus nawoływał, by dzieci przychodziły do Niego, lecz te przyszły do mnie. Nie wiem, czy chciałbyś mieć we mnie przyjaciela, ale jedno ci powiem: nie chciałbyś, abym był twoim wrogiem.

Garnier z pokorą zaplótł dłonie.

– Kawalerze, dla ciebie jestem gotów przechować je we własnym domu.

– Wzruszyłeś mnie tą ofertą, ale już znalazłem dla nich schronienie. Wystarczy mi, jeśli rzekniesz słowo swoim ludziom: niech nikt nie próbuje im grozić ani skrzywdzić w jakikolwiek sposób. Czy białe opaski na ramionach wystarczą, by zapewnić im bezpieczeństwo?

– Tak. Ja zaś dopilnuję, żeby moi ludzie zrozumieli, czego im nie wolno. Przysięgam.

– To mi wystarczy. A teraz ruszamy w drogę, mam kilka pytań do Marcela le Telliera.

Widać było, że Garnier chętnie cofnąłby się jeszcze o krok. Zmrużył oczy.

– Chciałbyś, żeby *lieutenant criminel* usłyszał ode mnie dobre słowo na twój temat?
– spytał Tannhäuser.

– Nie dziś – odparł Garnier. – Może innym razem.

– Widzę, że nie brakuje tajemnic między nami.

Podczas gdy kapitan próbował odgadnąć, czego miała dotyczyć ta aluzja, Tannhäuser spojrzał na milicjantów. Stali gromadą wokół beczki, obserwując go bez cienia sympatii.

– Podobnie jak ty – rzekł po chwili – dowodziłem już ludźmi w boju. Dlatego wiem, że morale to siła, która balansuje na ostrzu noża. – Zaczekał, aż Garnier skinie głową. – Nie odwracaj się jeszcze – dodał. – Twoi ludzie przyglądają się naszej konfrontacji i myślą: oto giganci podejmujący ważne decyzje, które mogą odmienić nasz los. Rozpaczliwie potrzebują wiary w nas, kapitanie. Pragną jej. Jesteś przecież ich dowódcą, z pewnością to rozumiesz.

Garnier był już w jego mocy.

– Wiary. Pragną wiary.

– Ich wiara zaś nie zna lepszej podsyty niż wiara kapitanów okazywana bez skrupowania. Proponuję więc, żebyś teraz klepnął mnie po plecach i odwrócił się ku swym ludziom z szerokim uśmiechem na ustach, ja zaś zawtóruję ci w okazywaniu przyjaznych uczuć, aby mogli zobaczyć na własne oczy, że dwaj giganci za nic mają chaos otaczającego ich świata oraz zagrożenia, które w nich samych mogą budzić lęk.

Im dłużej Garnier słuchał tych instrukcji, tym szerszy i bardziej niż szczery był jego uśmiech. Stał się psem Tannhäusera i nawet o tym nie wiedział. Wysłuchawszy zaś, klepnął swego pana po plecach i odwrócił się rozradowany. Tannhäuser zaśmiał się po męsku i oto gromada przybitych bezczynnością i strachem milicjantów w jednej chwili przeistoczyła się w coś, co przynajmniej z grubsza przypominało oddział żołnierzy. Wyrównali szyk. Wyprostowali grzbiety. Poprawili broń. I uśmiechnęli się wszyscy, nawet chorąży Bonnett. Garnier, podbudowany tym, jak błyskawicznie wzrósł jego prestiż, skłonił się Tannhäuserowi w bardzo oficjalny sposób, a ten wyszczerzył zęby w kolejnym uśmiechu i zrewanżował się tym samym. Duma Garniera była niemal żalosna.

Tannhäuser gestem przywołał dzieci do wozu i wrzucił za burtę pistolety oraz strzelbę.

Frogier przyglądał mu się w milczeniu, a gdy odzyskał głos, syknął jedynie:

– Dwudziestu?!

– Kapitan mnie przecenia. Tak naprawdę było ich dziewiętnastu.

Gdy przejechali przez most, Tannhäuser kazał dzieciom położyć się na platformie wozu i milczeć jak w klasztorze. Droga prowadziła labiryntem uliczek, opustoszałych za sprawą strachu i śmierci, w nieruchomym i gorącym popołudniowym powietrzu. Zajazd mieścił się na północ od Notre-Dame, nad samym brzegiem Sekwany. Budynek o drewnianej konstrukcji, szeroki na jedną izbę, miał cztery kondygnacje. Według Frogiera, z górnych okien na tyłach zajazdu był niezły widok na szubienicę na place de Grève. Podróż nie trwała długo, lecz gdy Mattias obrócił się ku swym podopiecznym, przekonał się, że wszyscy prócz dzielnego Juste'a zdążyli zasnąć.

Nie obudził ich. Podążył za Frogierem do zajazdu, który rzeczywiście wydał mu się odpowiedni dla prawników z prowincji: zbyt nudny, by zostać w nim dłużej, ale przestronny i czystszy od innych.

Siostra konstabla, Irène, była drobną kobietą po czterdziestce, ruchliwą jak wrona, o bystrym, błękitnym spojrzeniu, które zmierzyło Tannhäusera równie szybko jak przenikliwie, z wprawą niezbędną w jej zawodzie. Na jej widok sięgnął do głębokich rezerw osobistego

czaru, przedstawił się serią wyłącznie legalnych tytułów oraz przeprosił za swój niechlujny – i, miał nadzieję, nie nadmiernie niepokojący – wygląd.

W odpowiedzi – z cieniem dezaprobaty w głosie – zauważyła, że to nie jest zwyczajna niedziela. Milicjanci zdążyli z samego rana przeszukać zajazd i wyprowadzić dwóch gości, którzy już nie wrócili. Tannhäuser podejrzewał, że tym, co niepokoiło Irène najbardziej, była przyszłość prowadzonego przez nią interesu. Ucieszyła go jednak wieść, że milicja już przeszukała domy przy tej ulicy – nie było powodu, by mieli tego dokonać powtórnie. Gdy Frogier zapytał siostrę, gdzie mógłby znaleźć bagaże zaginionych gości, posłała mu karcące spojrzenie. Sądząc po jego reakcji, posyłała mu takie dość często.

Tannhäuser wyłożył jej sprawę: potrzebował noclegu i wyżywienia dla pięciorga wyczerpanych dzieci. Miały nie opuszczać budynku do czasu jego powrotu; wyraził nadzieję, że oznaczać to będzie: do nocy. Chroniło je słowo dane przez Bernarda Garniera. Miały nocować wszystkie razem – za jeden z pokoi na pierwszym piętrze, z widokiem na rzekę, gotów był zapłacić tyle, ile tylko chrześcijańskie sumienie pozwoliłoby jej przyjąć. Pragnął też zarezerwować drugi pokój, najlepiej na tym samym piętrze, dla siebie i swego syna Orlandu. Gdyby miało to oznaczać konieczność przeniesienia innych gości, gotów był za to zapłacić za pośrednictwem właścicielki. Gdyby zaś pojawił się u niej bosy chłopiec z zajęczą wargą, imieniem Grégoire, miała zaopiekować się nim tak jak pozostałymi i pozwolić mu dołączyć do nich.

Interes został ubity; Tannhäuser nawet nie próbował się targować, choć cena, zgodnie z jego oczekiwaniami, nie była niska.

Zajrzał do pierwszego pokoju – był całkiem znośny, a dwa stojące w nim łóżka – więcej niż wystarczające. Wyrzwał przez otwarte okno i zobaczył, że u stóp tylnej ściany budynku znajduje się wąski ogródek warzywny, a dalej już tylko brukowane nabrzeże i leniwa struga Sekwany. Zauważył też, że w przeciwieństwie do przeciwległego, piaszczystego brzegu rzeki, na którym leżały liczne łodzie, ten jest praktycznie pusty, jeśli nie liczyć dwóch barek cumujących o dobre trzydzieści kroków na wschód od zajazdu.

Po drugiej stronie Sekwany rzeczywiście widać było place de Grève, po którym wciąż kręciły się bez większego sensu grupki zbrojnych. Na oczach Tannhäusera na brzeg zajechały dwa wozy wyładowane trupami. Czterech parobków, półnagich i lśniących od potu, zaczęło ściągać je za nogi i ramiona, a następnie zrzucać wprost do rzeki. Niektóre z ciał były tak drobne, że wystarczyła jedna para rąk.

Rozbudził dzieciaki na tyle, żeby były w stanie – zgodnie z życzeniem Irène – zdjąć buty przed progiem i o własnych siłach wdrapać się po schodach na piętro, prosto do łóżek.

Zatrzymał jedynie Juste'a i Pascale, by rozmówić się z nimi w saloniku. Usiedli za stołem i rozmawiali półgłosem, gdy wyjaśniał im sytuację, w której się znaleźli – jak twierdził, „całkiem niezłą, zważywszy na okoliczności”.

Polecił Pascale, by w obecności obcych zawsze nosiła rękawiczki, nawet przy stole; miała się tłumaczyć chorobą skóry. Oznajmił też, że postanowił po raz drugi i z równą niechęcią pozostawić broń pod ich opieką, po czym wyjaśnił rozwlekłe i z naciskiem, dlaczego za wszelką cenę powinni zachować ten fakt w tajemnicy przed Irène, która – czego był absolutnie pewny – albo słowem i czynem okazałaby dezaprobatę, albo zażądała wyższej zapłaty.

Następnie wręczył im pieniądze w drobnych monetach.

Wyjawił, że w sakwach przechowuje tabliczki sprasowanego opium, które mogliby sprzedać – małymi kawałkami – okolicznym aptekarzom, ale za cenę co najmniej trzykrotnie wyższą od tej, którą ci skąpcy byliby skłonni zaproponować.

Znowu sięgnął do sakiewki i wręczył Juste'owi i Pascale po cztery podwójne pistole, sobie zostawiając ostatniego.

– Niech i one będą waszą tajemnicą – rzekł. – Zaszyjcie je w ubraniach. Każda z tych monet to pół uncji czystego złota o wartości czterystu soli, to zaś kwota zbyt wielka, abyście mogli ją wydać na cokolwiek prócz koni. Jeśli zaś spróbujecie wymienić je na *écus d'or* albo jeszcze drobniejsze monety, kontrahent z pewnością spróbuje wykorzystać wasz młody wiek, przez co będziecie musieli obniżyć cenę do, powiedzmy, trzystu sześćdziesięciu.

– A po cóż mielibyśmy je wymieniać? – spytał Juste.

– Bo on może nie wrócić – odpowiedziała mu Pascale.

– To prawda – przytaknął Tannhäuser. – Opłaciłem wam nocleg i wyżywienie za trzy noce z góry. Jeśli do tego czasu nie powrócę, będzie to oznaczać, że nie żyję lub utknąłem w więzieniu, z którego prędko się nie uwolnię. Ale żadna z tych ewentualności nie jest zbyt realna, jako że jestem w nastroju.

– W nastroju? – zdziwiła się Pascale.

– W nastroju do zabijania – wyjaśnił zawsze pomocny Juste.

– Gdybym jednak nie wrócił, to ponieważ nie macie potężnych sprzymierzeńców, a przynajmniej ja nic o nich nie wiem – tu spojrzął znacząco na Pascale – musicie zrobić wszystko, by zaskarbić sobie szacunek i sympatię Irène. Dzięki temu będziecie mogli zaufać jej bardziej niż komukolwiek innemu. We wszystkich sprawach, łącznie z finansowymi.

– A nie Frogierowi? – spytała Pascale.

– Frogier musi smarować czyjś chleb. Polegajcie na Irène. On się jej boi.

- Zostajemy więc sami – podsumował Juste.
- Są tacy, co rozkwitli na bardziej skalistym gruncie. Poradzicie sobie.
- A co ty byś zrobił na naszym miejscu? – spytała Pascale.
- Opuściłbym Paryż. Nic was tu nie trzyma. Tamci zajmą majątek waszego ojca.

Prędzej czy później odkryją też, że jesteście córkami drukarza, a wtedy was powieszą.

Skinęła głową, jakby tego właśnie się spodziewała. Tannhäuser spojrział na Juste'a.

- A na twoim miejscu zabrałbym córki drukarza do Polski.

Ta sugestia na moment oszołomiła chłopaka.

- To daleka droga...

– I wiele rąk podniesie się na was – zgodził się Tannhäuser. – Jednak ja w twoim wieku odbyłem znacznie dłuższą podróż i wcale nie zmierzałem ku domowi. Moglibyście też szukać schronienia w którejś z protestanckich twierdz, może w La Rochelle, a może gdzieś w Niderlandach. Wszystkie one są jednak tylko stosami, które wkrótce zapłoną. Ponoć Anglicy nie są takimi barbarzyńcami, jak się powszechnie uważa, przynajmniej na własnej ziemi. Mój najlepszy przyjaciel był Anglikiem – po prawdzie z północy, ale jednak – i najprawdziwszym barbarzyńcą, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Moglibyście też przyjąć chrzest.

– Mielibyśmy przyłączyć się do Kościoła, który chciałby nas spalić? – spytała Pascale.

– Może i dotarlibyśmy do Polski, gdyby Grégoire pojechał z nami – stwierdził Juste po długim namyśle.

– Byłby wam wielce przydatny, ale musicie go spytać o zdanie. I jeszcze jedno ostrzeżenie: jeżeli zostaniecie sami i będziecie mieli przed sobą długą drogę, zostawcie Myszy pod opieką Irène i dajcie jej podwójnego pistola. Zanim przejedzą taką kwotę, będzie skłonna zatrudnić je tu na całe lata i ani przez myśl jej nie przejdzie, by je odprawić. Wyszkolono je, żeby zadowalały innych. Poradzą sobie.

Juste nie potrafił ukryć rozczarowania.

- Przecież są z nami!

– Tak, są z nami, ale beze mnie i wy będziecie już inni. Jeśli zabierzecie Myszy ze sobą, zginiecie wszyscy.

Pascale nie musiał przekonywać, że tak właśnie będzie. Juste tylko pochylił głowę.

– Myszy nigdy nie nauczą się żyć w naszym świecie – wyjaśnił Tannhäuser. – Zaznały potworności, których żadna żywa istota nie powinna nigdy doświadczyć, nawet skazana na wieczne potępienie. Uczyniono z nich naczynie na wszystko to, co w ludzkiej duszy najczarniejsze. Wypaczono je nieodwracalnie. Nie wyobrażam sobie, by można było

naprostować je po tej stronie raju. Mimo to przetrwały. Mimo to wciąż mają dość siły, by się śmiać.

Juste słuchał go w zamyśleniu, nie podnosząc głowy. Być może wciąż miał przed oczami tę chwilę, gdy Myszy ciągnęły zabitego Tybauta w stronę szpitala w Hôtel-Dieu. Tannhäuser właśnie ją wspominał. A skoro taka scena w ogóle miała sens, to świat istotnie stał na krawędzi rozpacz.

– Niech odwaga Myszy będzie ich darem – rzekł Mattias. – Dla was i dla mnie. Nigdy już nie zobaczymy jej w czystszej postaci.

Juste spojrzał mu w oczy.

– Masz rację. Są najdzielniejsze. Przyjmę więc ich dar i będę go nosił w sercu. Ale właśnie dlatego tak mnie boli myśl o tym, że mielibyśmy je zostawić.

– Lojalność to piękna rzecz, ale gdy wydatnie skraca lojalnemu życie, jej wartość staje się wątpliwa.

– Tak jak skróciła je moim braciom.

Tannhäuser nie pomyślał o tym przykładzie. Skinął głową. Postanowił zadać pytanie, które przyszło mu na myśl, skoro Juste poruszył już ten niełatwy dla niego temat.

– Czy Dominic le Tellier odegrał jakąś rolę w sprowokowaniu ich do pojedynku?

Juste zastanawiał się chwilę.

– Gwardziści śmiali się z Benedykta, więc podszedł do nich, żeby ich uciszyć. Ale uciszył ich Dominic i właśnie wtedy powiedział memu bratu, że powodem sporu jesteś w istocie ty. Zapewnił nas, że nie wtrąci się i pohamuje swych ludzi, jeśli Benedykt zechce się z tobą rozmówić w honorowy sposób. Dodał, że nie wie, jak to wygląda w Polsce, ale żaden francuski szlachcic nie puściłby płazem takiej obelgi. – Juste umilkł, jakby teraz dopiero uświadomił sobie, do czego doprowadziła jego braci duma.

Tannhäuser nie pytał już o nic. Dominic usiłował sprowadzić na niego śmierć, choć poznali się ledwie parę minut wcześniej, a gdy to się nie udało, kazał go aresztować, uniemożliwiając tym samym spotkanie z Carlą. Christian próbował dokonać tego samego, wynajdując rozmaite powody ku temu, by Mattias jak najpóźniej trafił do domu d'Aubrayów. Przybycie Tannhäusera do Paryża groziło pokrzyżowaniem jakichś planów, których realizacja już trwała. Jednakże król wydał rozkaz rozpoczęcia rzezi hugenotów dopiero pół dnia później. W krwawym chaosie nocy i świtu Mattias nieświadomie połączył te dwa wydarzenia: masakrę w mieście i napaść na dom wdowy d'Aubray. A przecież nie było to logiczne. Teraz dopiero widział to wyraźnie: śmierć Carli i rzeź protestantów mogły nie mieć ze sobą nic wspólnego.

Zanim zagłębił się zbytnio w te rozważania, Pascale postanowiła poprawić nieco atmosferę.

– Pojechałabym do Polski. Albo do Anglii. Pewnie i tam, i tam potrzebują drukarzy.

– Wszędzie potrzebni są drukarze – odparł Tannhäuser.

– Mój ojciec powiedział kiedyś, że to zależy od tego, co drukujemy, bo drukowanie fałszywych ksiąg to czyn haniebniejszy od mordu. Nigdy nie wydrukowałabym tekstu niezgodnego z prawdą.

– Wiadomo – mruknął Juste.

– I w tym szlachetnym duchu... – rzucił Tannhäuser, wstając.

Oboje spoglądali na niego z udawaną odwagą, ale widział, jak bardzo się boją.

– ...uściśnijcie mnie teraz i życcie szczęścia, bo będzie mi ono potrzebne.

Ich bliskość dodała mu sił.

Gdy wreszcie się rozłączyli, ruszył w stronę drzwi.

– Wspomniałeś wcześniej, że wszyscy straciliśmy kogoś bliskiego – przypomniała Pascale. – A kogo ty straciłeś?

Tannhäuser przystanął. Odpowiedź udzielona teraz nie byłaby zaspokojeniem dziecięcego kaprysu. Byłaby zaprawą z krwi i smutku, spajającą ich jeszcze silniej. Odwrócił się ku niej.

– Carlę, moją żonę, a także nasze dziecko, niemal dojrzałe w jej łonie. Oboje zostali zamordowani przed świtem. Podobnie jak w domu waszego ojca, tam także zjawiłem się zbyt późno. – Czuł, jak rośnie miłość Pascale. To samo działo się w jego sercu.

– Mówiłeś, że musisz znaleźć sprawców – wtrącił Juste. – Czy dlatego nas teraz zostawiasz? – Starał się, by te słowa zachęciły Mattiasa do czynu, ale przebijał z nich zbyt wielki niepokój.

– Pójdę z tobą – powiedziała Pascale. – Pracowałam już z ojcem, mogę popracować i z tobą. Wiesz, że potrafię.

Tannhäuser poczuł, że na powierzchni niespokojnego oceanu uczuć, który dźwigał w piersi i po którym rzadko ośmielał się żeglować, podnosi się nowa, wysoka fala. Zbyt wielu stracił spośród tych, których kochał. Zbyt wiele z tego, co było w nim najlepsze, ale na pewno nie wszystko: w tej chwili bowiem uzmysłowił sobie, że kocha te dzieci równie mocno jak tych, których mu odebrano. Nawet Carlę. Nawet Amparo, Orlandu, Borsy i Sabaty Svi. Odwrócił głowę, by nie patrzeć w te kochające, płonące oczy.

– Dziewczyna może dokonać rzeczy, których ty nie potrafisz – kusila Pascale. – I wejść tam, gdzie ty nie wejdiesz.

Gdyby tylko zdołał wywieźć Orlandu i tych bezcennych małych przyjaciół z Paryża... czy rozwiązywanie zagadek naprawdę byłoby konieczne? Carla nie żyła. Sprawiedliwość pozostawała jedynie iluzją. Zemsta nie była zaś eliksirem, lecz trucizną. Gdyby odszukał i ukarał morderców, może zyskałby chwilę pocieszenia, nie trwałaby jednak długo. Czy mógł bez niej żyć? Zwarł pięści, czując ucisk w piersi i karku. Instykt podpowiadał mu prawdę: owa chwila pocieszenia była niską ceną za przyjaźń tych dzieciaków.

Spojrzał na Pascale. Kochała go. Potrzebowała go. Nie, na życiu jej nie zależało – i może to właśnie tak ich do siebie zbliżało. Silna była za to jej potrzeba przynależności. I choć myśl ta kłuła go w serce, w duchu musiał przyznać, że podzielał i to pragnienie.

– Tego dnia niezliczone zastępy winowajców unikną kary – odezwał się wreszcie – a najgorsi z nich zostaną wręcz wynagrodzeni, bo tak działa ten świat. Najlepsi z nas muszą zaś wznieść się ponad te reguły, albowiem nie zdołamy ich zmienić.

Pascale wiedziała, że mówi szczerze i że to prawda. Mattias zaś cieszył się, bo mówił szczerze i była to prawda. Nienawiść wszakże przyciągała go z wielką siłą. Zauważył, że Pascale dostrzegła i to – miała nadzwyczajny dar czytania w jego duszy. Wydało mu się to nader osobliwe: oto ktoś taki jak on spoglądał na dziewczynkę tak, jakby była dalekim i nieostrym zwierciadłem. Ale chciał, żeby dostrzegła w nim coś, co warto dostrzec. Potrzebowała tego, podobnie jak on. Wyczuwał, że duch Carli jest zadowolony. Uśmiechnął się, a wtedy Pascale odpowiedziała mu uśmiechem. Już nie zaciskał pięści, nie czuł ciężaru na piersi, a myśli mógł znowu skupić na tym, co słuszne.

– Muszę się upewnić, czy zajęto się ciałem Carli jak należy. Potem sprowadzę tu Orlandu i Grégoire'a. Popracujemy razem nad przyszłością, bo najlepszą zemstą będzie to, że przeżyjemy i rozkwitniemy na nowo.

Wyszedłszy na ulicę, zatrzymał się jeszcze, by zamienić słowo z Frogierem.

– Teraz, gdy wiadomo, że jesteśmy współnikami, prędzej czy później Marcel dotrze do ciebie. Nie wspomnisz mu ani słowem o tych dzieciach. On poluje na mnie, nie na nie, dlatego nie życzę sobie, by zostały wciągnięte w tę grę.

– Jaką grę?

– Jej reguł mi nie przedstawiono, ale jestem przekonany, że sędzią w niej będzie śmierć. Powiedz Marcelowi, że zabrałem dzieci do Ville. Powiedz, że spotkam się z nim w swoim czasie. A jeśli dzieciom coś się stanie...

Frogier potarł nerwowo ząb.

– Tak, wiem, udusisz mnie.

– Spalę ten dom do gołej ziemi, a ciebie i twoją siostrę wraz z nim – związanych twarzą w twarz.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Magdalena

Estelle ocknęła się w dusznej ciemności i ujrzała rzędy ludzkich czaszek, spoglądających na nią pustymi oczodołami. Nie przestraszyła się tego widoku; nie pierwszy raz znalazła się w tym miejscu, a w porównaniu z obrazami, które czasem prześladowały ją we śnie, mroczny pejzaż trupiarni był wręcz przyjemny. Czaszki przynajmniej się nie ruszały. Pocięgą były też jej szczury, ale teraz rozpierchły się na wszystkie strony, spłoszone przez grabarza, który potrząsnął Estelle, by się zbudziła. Jego także znała, należał do tych przyjaźniejszych. Większość jego kolegów wyrwałaby ją ze snu kopniakiem; mieszkańcy okolicznych trupich dołów nie należeli do najdelikatniejszych z ludzi. Spała przytulona do ściany tuż za drzwiami karneru, teraz bez słowa wyszła w oślepiającą jasność dnia.

Przecierając oczy, ruszyła w stronę bramy Cmentarza Niewiniątek. Stopy jej ciążyły, a sen wciąż pętał nogi i myśli.

Nie spała niemal przez całą noc. Twarz wciąż bolała po ciosie, który wymierzył jej Gobbo. Czuła się bardziej zmęczona niż wtedy, gdy zapadała w niespokojny sen, wpatrzona w czarne ślepia i ruchliwe nozdrza swych szczurów. Wszędzie, gdzie się pojawiła, gryzonie przyjmowały ją jak swoją. Tej nocy jeden z nich wziął nawet jej sutek do pyszczka, co zawsze uwielbiała. Nigdy nie dostrzegła choćby cienia podłości w szczurzych oczach. Może właśnie dlatego ludzie tak ich nienawidzili? Estelle wiedziała, że ma w sobie wiele złych uczuć. Ciężko pracowała na to, by ich przybywało, bo jeśli przecucie jej nie myliło, właśnie dzięki temu ludzie dochodzili do czegoś w życiu. Im kto był podlejszy, tym wyżej docierał.

Głód skręcał jej kiszkę. Była naga. Lecz wygłodzone nagie dzieciaki były w tej okolicy całkiem zwyczajnym widokiem. Nie oczekiwała, że ktokolwiek przejmie się jej losem.

Wałęsała się po Les Halles właściwie bez celu, mijając po drodze kościół Saint-Eustache, pomnik ludzkiego szaleństwa. Ponoć gmach ten zaczęto wznosić, zanim jeszcze przyszła na świat – Grymonde twierdził, że wcześniej nawet, niż on sam się urodził – ale budowa stanęła w miejscu i od lat nic się tu nie zmieniło. Powstały tylko wielki, pusty plac, potężny łuk i pojedyncze fragmenty murów. Ludzie zaglądali tu – podobnie jak do cmentarnych ossuariów – niemal wyłącznie za potrzebą albo po to, by się gzić; czasem też ktoś bywał tu pobity lub zabity, ale nigdy nie działo się tu nic dobrego. Grymonde powiadał,

że brakuje pieniędzy na kamień, by dokończyć budowę. Mówił też, że całe złoto wydano na wojny. Ponoć było go tyle, że starczyłoby na przemianę kraju w Kukanię.

Grymonde często nosił ją na swych barkach – przemierzali tak każdą ulicę i każdy zaułek w tych stronach, wszystkie arkady Les Halles, wszystkie targi i przystanie, a także aleje między pałacami, fontannami i kościołami; bywali na łąkach, na których pasły się konie, a nawet za mostami, w Cité i przy uniwersytecie. Zawsze i wszędzie, gdy tylko się spotkali, sadzał ją na ramionach i nigdy nie był zmęczony jej ciężarem.

Czasem spotykali się w tajemnicy, jak szpiedzy, w jakimś sobie tylko znanym miejscu, a wtedy podbiegała do niego i odwracała się nagle plecami. Słyszała wówczas jego śmiech, a był to najgłębszy i najpiękniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek pieścił jej uszy. Potem czuła na swej talii jego ogromne dłonie, a jeszcze potem była już tylko rozkosz zabawy. Piszcziała z podniecenia i traciła dech, gdy ją podrzucał; kręciło jej się w głowie i cały świat wirował razem z nią, gdy spadała, aż wreszcie żołądek podskakiwał dziko w jej brzuchu, kiedy lądowała na jego ramionach i chwytiała się gęstych, kręconych włosów, by nie spaść.

Ciepło i twardość jego mięśni, jego karku, jego piersi wypełniały ją w jednej chwili. Uwielbiała siedzieć tak wysoko. Oto ona, mała Estelle, stawiała się najwyższą ludzką istotą w całym Paryżu – fakt ten napełniał ją dumą, poczuciem triumfu, być może dlatego, że nie czuła się tak, jakby po prostu jeździła na barkach Grymonde'a. Czuła się tak, jakby fruwała. Śmigała. Szybowała. Często wracała myślą do tych podniebnych przygód. Żaden ptak, którego widziała lub o którym słyszała, nie mógłby unieść jej w powietrze, choć była taka drobna. Pewnej nocy, leżąc przy piecu, uświadomiła sobie, że tylko smok mógłby tego dokonać.

Grymonde był jej smokiem.

Gdy mu o tym powiedziała, ryknął tym swoim cudownym śmiechem, a jego uciecha była dla niej jak ciepły wiatr we włosach.

– Będę twoim smokiem, La Rossa, jeśli ty staniesz się moimi skrzydłami i moim ogniem.

Estelle była zachwycona tym, że miała stać się jego skrzydłami, ale wiedziała, że ogniem jest on sam.

Przekonanie to umacniało się w niej z każdym dniem, gdy patrzyła, jak wielki strach i szacunek budzi Grymonde, gdziekolwiek się pojawi. Nie było takiego tłumu na place de Grève, czekającego godzinami na egzekucję, który nie rozstąpiłby się jak delikatne łany jęczmienia, gdy Estelle nadlatywała, siedząc na ramionach swego smoka. Zapamiętała, że kiedyś Grymonde skinął głową w stronę szubienicy i zawołał do niej:

– Pewnego dnia i mnie tam zobaczysz, w końcu dosiędę bladej szkapy. A kiedy tak się stanie, chcę, żebyś była ze mnie dumna.

Nie wierzyła w to. Znała bowiem z bajek całą prawdę: smoka można było zabić, ale nie zakładając mu stryczek na szyję.

Po raz pierwszy zobaczyła go na targu rybnym w Les Halles. Była tam ze swą matką, Typhaine, która jak zawsze przystanęła na dłużej nad czerwonawymi rakami, jak zawsze zakłęła i jak zawsze poszła dalej, by kupić węgorza. Wielka dłoń zgarnęła wtedy trzy skorupiaki ze straganu, a druga rzuciła handlarzowi monetę. Sekundę później raki wylądowały w koszyku Typhaine.

Estelle zadarła głowę i w niemym podziwieniu spojrzała na olbrzyma, do którego należały owe ręce. I już od pierwszej chwili wydał jej się wspaniały. Nie uważała, by jego twarz była brzydka, choć z czasem dotarło do niej, że właśnie taka jest zdaniem innych. Widziała jedynie, że było jej... więcej. Więcej szczęki, więcej czoła, więcej kości policzkowych, więcej ust. A gdy pochylił się nad nią, zobaczyła też więcej uśmiechu niż kiedykolwiek wcześniej w swym krótkim życiu. Miał szerokie przerwy między zębami – to akurat widywała często, ale Grymonde był wyjątkowy: miał szerokie przerwy, choć brakowało mu tylko jednego zęba. Domyśliła się tego, bo jedna z przerw, blisko kącika ust, była znacznie większa od pozostałych. Jego nos przypominał szerokie nozdrza rzeźbionych lwów zdobiących fontannę. Oczy miał koloru złota. Gdy mrugnął do niej, uśmiechnęła się promiennie.

Typhaine skłęła go wtedy od góry do dołu, on zaś wycofał się bez słowa. Ciągnięta przez matkę za rękę Estelle spoglądała uparcie wstecz, ale jej olbrzym już zniknął. Gdy spytała ją, kim jest, usłyszała jedynie, że potworem i że powinna o nim zapomnieć. Typhaine zjadła raki sama; tylko jedne szczypce oddała córce.

Z pomocą swych braci, Joco i Gobbo, wyuczyła Estelle złodziejskiego fachu. Zdarzały się chwile, w których mała zastanawiała się, czy bracia matki nie życzą jej w duchu, by została złapana i powieszona, ale była zbyt dobra w tym, do czego ją wyszkolili. Wynałazła nawet kilka własnych sztuczek.

Pewnego ranka w Les Halles, opodal targu serowego, okradła kobietę ubraną w piękny, czarny jedwab, niosącą na jednym ramieniu wiklinowy koszyk z przykrywką. Pod plisami jej spódnicy dostrzegła charakterystyczne wybrzuszenie – sprytnie ukrytą, zawieszoną na biodrach sakiewkę z pieniędzmi. Natychmiast wyciągnęła nóż z pochwy wszytej w pas i skoczyła naprzód, jakby próbowała minąć swą ofiarę w tłumie. W tej samej chwili chwyciła za skraj jej spódnicy i okrążyła kobietę jak ogar okrąża umykającą zdobycz, zaciskając śliski

materiał wokół jej nóg. Teraz wystarczyło pchnięcie barkiem w uda i niewiasta w czerni runęła na plecy, prosto w błoto. Zwinna lewa ręka Estelle sięgnęła tymczasem ku upatrzonej zdobyczy. Błysnął nóż, kobieta zasłoniła twarz dłońmi, ale ostrze posłużyło jedynie do uwolnienia sakiewki.

Estelle musiała niemal natychmiast uskoczyć, ratując się z objęć jakiegoś uczciwego obywatela; metal błysnął po raz trzeci i rozciął dłoń gorliwca aż do kości. Chwyciwszy leżący na ziemi koszyk, rzuciła się do ucieczki, w stronę dobrze znanych zaułków. Rozległy się krzyki, twarze zwróciły się ku niej. Jakiś grubas zablokował przejście. Rzuciła się w lewo, potem w prawo, ale i tak poczuła we włosach jego palce. Szybka jak wściekły pies, ukłuła go dwukrotnie i na wszelki wypadek cięła w poprzek dłoni, i tym razem czując, że metal szoruje po kościach. Wypuścił jej włosy, ale zdążył chwycić koszyk.

Estelle pogodziła się ze stratą. Podjęła ucieczkę z sakiewką za pasem. Biegła jak szczur. Serce waliło w jej piersi jak oszalałe i prawie nie mogła już oddychać, ale nieustannie strzelała oczami na boki, szukając nowych przejść, a jej stopy gotowe były w każdej chwili zmienić kierunek biegu.

Na jej drodze pojawili się nagle dwaj mężczyźni.

Stała jak wryta i już miała zawrócić, gdy ten, który był bliżej, stęknął nagle i wygiął się w tył.

Gdy padał, zobaczyła, że stoi za nim Grymonde.

– Biegnij, La Rossa. Biegnij za mną. Na cmentarz.

Tak zaczęły się jej loty ze smokiem. Grymonde kazał jej skończyć z ulicznymi kradzieżami, które w najlepszym razie mogły ją zaprowadzić na giełdę niewolników, bardzo daleko od Paryża, bo tam trafiali niekiedy młodociani przestępcy nierokujący nadziei na poprawę. Obiecał jej dość łupów, by Typhaine była zadowolona – i dotrzymał słowa. Kazał też Estelle obiecać, że nigdy nie powie matce, skąd owe łupy pochodzą. Nie widywali się tak często, jak sobie tego życzyła, ale Grymonde stał się światłem w życiu małej dziewczynki. Okolice rue de la Grande-Truanderie były domem wszelkiego występku, lecz nawet tam fama Podwórczy budziła lęk. W Podwórczach, w przeciwieństwie do Truanderie, postronni nie mieli nic do szukania – była to czeluść nędzy, pułapka strasząca niezliczonymi formami cierpienia i śmierci. Mimo to Estelle dostrzegała w Kukanii powab czarownego, bajkowego królestwa – tym wyraźniej od chwili, gdy ktoś jej uświadomił, że naprawdę istnieją legendy o cudownej krainie beztróski zwanej Kukanią.

Gdy próbowała podążać za Grymonde'em z Les Halles na północ, przez Podwórcza do Kukanii, zawsze karcił ją i odsyłał do Typhaine. Z czasem jednak złagodniał i

towarzyszyła mu coraz częściej w tym, co robił – nigdy jednak nie zaprosił jej do swego domu. Estelle sądziła, że matka nic nie wie o jej tajemnym życiu, aż w końcu – ledwie przed tygodniem – Typhaine namówiła ją, by spytała Grymonde'a, czy Joco i Gobbo także mogliby dla niego pracować.

– Jeśli naprawdę taki z niego dobry przyjaciel, to dlaczego miałby ci odmówić? – spytała Typhaine. – To oznacza pieniądze i w twojej kieszeni. Jedzenie w brzuchu. Szmaty na grzbiecie. A ja wiem, że on się do czegoś szykuje. Spytaj go. Jeśli nie będzie chciał, po prostu odmówi.

Estelle spytała więc Grymonde'a.

– Czy to oznacza, że Typhaine nie zabroni ci widywać się ze mną?

– Niechby tylko spróbowała – odpowiedziała wojowniczo Estelle.

Grymonde porozmawiał więc z Joco i Gobbo – i zaproponował im robotę.

A potem, ostatniej nocy, Estelle wspięła się na dach i zeszła kominem do domu, który mieli zaatakować.

Grymonde wcale tego nie chciał, podobnie jak ona. To był pomysł Joco, choć Estelle musiała przyznać w duchu, że niezły. Grymonde pozwolił jej zdecydować, a ponieważ zawsze była gotowa pomagać swemu smokowi, zgodziła się.

A teraz była wyrzutkiem, za sprawą damy z południa.

Carli.

Estelle nie lubiła płakać. I nauczyła się tego nie robić, chyba że miało to służyć konkretnemu celowi, co zdarzało się dość rzadko. Kiedy jednak okrążała Les Halles i kierowała się na północ wzdłuż rue Saint-Denis, nie powstrzymywała już łez. Słyszała i inne szlochy, a nawet krzyki, dochodzące z bocznych ulic, ale nie zwracała na nie uwagi. Tu i tam napotykała sterty trupów, a także bandy mężczyzn uzbrojonych w topory i włócznie, ale i to nie robiło na niej wrażenia.

Carla nie była wobec niej podła, choć miała ku temu powody. Carla była łagodna. Wspomniała nawet Grymonde'owi, że Estelle była dzielna. Gdyby nie Carla, Altan zabiłby ją, kiedy tylko wyszła z komina. Mimo to Estelle czuła, że jakimś sposobem to Carla jest powodem jej wygnania.

Nie umiała nienawidzić Grymonde'a. Był królem, więc musiał być zły – czasem nawet dla niej, jak sądziła, choć nigdy wcześniej taki nie był. Zawiodła go, to prawda. Ale jeśli nie wystarczyło być dzielnym, cóż jeszcze mogła uczynić? Nie mogła mu ofiarować nic więcej. Przemysłała to dobrze. Taka była prawda. Nie posiadała przecież absolutnie nic.

A tym, co dręczyło ją najbardziej, był fakt, iż Grymonde zabrał Carlę do swego domu.

Dlaczego?

Nigdy nie uczynił tego zaszczytu Estelle. Nigdy, przenigdy.

Estelle nie miała więcej łez. Bolał ją brzuch i czuła, że kręci jej się w głowie.

Wróciła do domu.

Typhaine i jej bracia wynajmowali dwa pokoje na drugim piętrze. Joco i Gobbo nie mieszkali tu od zawsze, ale Estelle już trzeci rok z rzędu musiała znosić ich napady wściekłości oraz smród. Teraz zaś, zanim stanęła u drzwi, usłyszała kłótnię między matką a Joco. Wiedziała z doświadczenia, że takie sytuacje najlepiej jest przespać.

– Ucięli mu kutasa i jaja – skomlał Joco.

– Żadna to strata dla świata, podobnie jak jego życie – odparowała Typhaine. – Już dawno powinnam była pozbyć się was obu, łajdacy. Spójrz na mnie! Kiedyś wylądowałam w łóżu hrabiego, i to niejeden raz!

– Myślisz, że pierwszy raz o tym słyszę? Cała ulica już wie! Chryste! – Ostatnie słowo Joco zmieniło się w przeciągły jęk.

Estelle weszła do izby i ujrzała go na łóżku: pólleżał sztywny, wygięty w pałąk, z bólu zaciskając dłonie na krawędziach materaca. Przy wtórze cichego skomlenia, ostrożnie, jakby miał pod sobą tłuczone szkło, zdołał wreszcie ułożyć się znowu w pościeli. Oddychał płytko i szybko, jakby za każdym razem jego ciało przebijał nóż.

– Musiał mi złamać z pięć żeber po każdej stronie. Albo i kręgosłup.

– I za to wszystko nie dostałeś nawet sou? Dupek. A może tobie też obcięli jaja, co?

– Nie mogli, bo ich wyprzedziłaś!

– Szankrowaty łajdak, zrobił to, żeby mi dopiec! Chociaż... nie, jest na to o wiele za głupi.

– Muszę się wyszczać. O Jezu! – Joco znowu zakwilił, ścięty nagłym bólem.

– Grymonde kazał Joco jeść zabitego psa – powiedziała Estelle.

– Nawet nie zaczynaj, szcurzy pysku. Typhaine, podaj mi nocnik.

– Sam sobie podaj.

– Nie mogę nawet usiąść. Mam się zeszcząć w łóżko? Podaj mi ten dzbanek.

Typhaine przelała wino do dwóch misek i rzuciła dzbanek wprost na brzuch Joco. Gdy jęcząc, brał go do ręki, odwróciła się ku Estelle.

– A ty gdzie się podziewałaś? Zamartwiałam się na śmierć.

Estelle nie wierzyła jej nawet przez chwilę. Typhaine wciąż była smukła i bardzo urodziwa, a jej rude włosy nadal bujne i niesforne. Dawniej uchodziła za piękność w oczach swej córki, ale to się zmieniło i Estelle nie wiedziała nawet, z jakiej przyczyny. Często słyszała od matki, że pochodzi z rodu irlandzkich królów – i wierzyła w to. Raz w pijanym widzie Typhaine wyznała, chichocząc, że w żyłach Estelle płynie także krew francuskich królów, ale nigdy więcej o tym nie wspomniała, więc mała uznała to za kłamstwo.

– Gdzie twoja sukienka? Chryste, włóż coś na siebie.

– Jestem głodna – powiedziała Estelle.

– W kuchni jest chleb i zimna zupa. Za gorąco, żeby rozpałać ogień.

Estelle jadła, przysłuchując się, jak Typhaine szydzi z Joco. Powieki zaczynały jej już ciążyć, gdy nagle rozległo się energiczne pukanie do drzwi mieszkania. Rozbudzona, znowu zaczęła jeść, ale apetyt opuścił ją, gdy usłyszała trzeci głos, który dołączył do sprzeczeki.

Znała ten głos.

Nosowy, piskliwy, niepodobny do innych.

Głos Małego Christiana.

Owładnął nią strach. Podbiegła do otwartych drzwi i przystanęła, nasłuchując. Wypytywał o szczegóły ostatniej wyprawy, napadu na dom d'Aubrayów. Skąd w ogóle o nim wiedział? Cóż, w końcu był szubrawcem; jednym z tych, którzy wiedzą bardzo wiele o bardzo wielu sprawach. Estelle cieszyła się nawet, że rozmawiają o wyprawie, a nie o niej.

Któregoś wieczoru, ostatniej zimy, Typhaine i Joco zaprowadzili ją do Małego Christiana i polecili, by poszła z nim. On zaś zabrał ją do wspaniałej rezydencji opodal Luwru, znacznie większej i wspanialszej niż dom wdowy d'Aubray. Ledwie przekroczyła próg, uświadomiła sobie, że miejsca tak niebywale pięknego nie tylko nigdy dotąd nie widziała, ale nawet nie umiała sobie wyobrazić. Mały Christian i nieznajoma kobieta wykąpali Estelle, wyperfumowali jej włosy i ubrali ją w cudowną błękitną suknię – nigdy takiej nie miała! – ze złotą gwiazdą na piersi. Powiedzieli jej wtedy, że to Gwiazda Betlejemaska, a potem zapewnili, że czeka ją pyszna zabawa, w której będzie odgrywać rolę Marii Magdaleny. Estelle знаła to imię, ale nie wiedziała nic o postaci, więc zaraz jej wyjaśnili, że Magdalena była szczególną przyjaciółką Jezusa.

Zaprowadzili ją do przestronnej sypialni, w której czekał już mężczyzna w długiej, białej szacie i cierniowej koronie na skroniach – choć oczywiście ciernie nie były prawdziwe, bo nie chciał się pokaleczyć. Wyglądał jak Jezus z obrazów, które widywała w kościołach. Włożył stopy do srebrnej misy z wodą i polecił, by Estelle umyła je swymi włosami.

Odmówiła. Powiedziała, żeby sam sobie umył.

Reszty właściwie nie pamiętała, choć urywki scen wracały do niej niekiedy w snach. Nigdy nikomu o tym nie opowiadała. Typhaine nawet nie pytała, co się wydarzyło, ale Estelle wyczuwała, że i tak wie. Grymonde'owi nie mogła wspomnieć o tym ani słowem. Później zaprowadzili ją do Christiana jeszcze raz, ale uciekła mu i przez trzy dni ukrywała się wśród szczurów.

Zza drzwi dobiegł głos Joco:

– Gdy odchodziłem, wszyscy jeszcze żyli, oprócz Turka. Cóż więcej mogę powiedzieć. Spytaj Estelle, ona tam została.

Mała była tak przerażona, że nie mogła się ruszyć. Christian stanął na progu kuchni. Przypominał ropuchę, ubrany od stóp do głów na zielono. Jego twarz wydawała jej się nawet bardziej ohydna niż głos. Ale uśmiech był jeszcze gorszy.

– Jak się miewa nasza mała Magdalena? Śliczna jak zawsze. Chociaż kąpiel by jej nie zaszkodziła.

Estelle cofała się wolno, odruchowo szukając noża u pasa, lecz zaraz przypomniała sobie, że oddała go Grymonde'owi, żeby nie pokaleczyć się w ciasnym kominie. Sięgnęła po nóż do mięsa; był tak ciężki, że musiała go trzymać oburącz.

– Odłóż to – powiedziała Typhaine. – On chce tylko spytać o dzisiejszy poranek. Opowiedz mu, to kupi nam po sukience.

– Nie chcę sukienki.

– Jest przywiązana do Grymonde'a – wyjaśniła Typhaine, zwracając się do Christiana.

– Mam tylko jedno pytanie, mój mały jeżu.

Christian próbował ją oczarować, ale wywołał jedynie skurcz żołądka.

– Nie jestem jeżem. I nie jestem szpiclem.

– Miło mi to słyszeć. Nikt nie lubi szpicli. Tylko że szpicel działa na szkodę przyjaciół, a tu chodzi o to, by im pomóc. Joco powiada, że w dom d'Aubrayów nocowała piękna dama imieniem Carla. Pamiętasz ją?

– Grymonde kazał Joco jeść zabitego psa.

– Z pewnością mu smakował. Ale powiedz mi teraz, co się stało z Carłą, gdy Joco uciekł?

– Mnie też wygonili, a to nie było uczciwe. Byłam dzielna. Nawet Carla mówiła, że byłam dzielna.

– I miała rację, byłaś bardzo, ale to bardzo dzielna. Gdzie była, gdy to mówiła?

– Siedziała na krześle, na ulicy. A potem uciekłam od chłopaków.

Christian zacisnął usta, wyraźnie niezadowolony.

– Dlaczego chcesz wiedzieć? – spytała Estelle. Mocniej ścisnęła w dłoniach rękojeść noża, gdy popatrzył na nią przenikliwie.

– Carla to bardzo szczególna, urocza dama – powiedział wolno. – Ludzie, którzy ją kochają, chcieliby wiedzieć, co się z nią stało. Martwią się o nią.

– Jacy ludzie?

– Na przykład jej mąż, wielki pan, prawdziwy rycerz. Gotów jest sporo zapłacić, by ją odnaleźć. I zapłaciliby jeszcze więcej, by ją odzyskać. To się nazywa okup.

Estelle zmagala się ze sobą. Nie mogła znieść myśli, że Carla jest teraz w domu Grymonde'a. Czy nie powinna być we własnym, razem z tym swoim wielkim panem, co tak ją kocha? Mały Christian pracował dla Les Messieurs. A Grymonde lubił złoto. Wszystko to miało jakiś sens, mimo to ucisk w żołądku nie mijał.

– A czy ten wielki pan rycerz zapłaciliby Grymonde'owi?

– Naturalnie. Zapłaciliby szczerze, gdyby Grymonde wskazał mu drogę do żony. Kawaler byłby szczęśliwy, Carla byłaby szczęśliwa, a Grymonde byłby najszczęśliwszy z nich wszystkich.

– Estelle, gdzie ona jest? – spytała Typhaine.

– Carla jest z Grymonde'em, w Kukanii, w jego domu. Nosi dziecko w brzuchu.

– Skąd to wszystko wiesz? – spytał Mały Christian.

– Szłam za nimi. Widziałam, jak zabrał ją do domu.

– Nie skrzywdził jej?

– Nie. Był dla niej dobry. Ogłosił wszystkim, że to ich nowa siostra.

– A nie mówiłem? – dobiegł z sypialni drżący głos Joco, a zaraz potem jęk bólu. – To dlatego tak mnie urządził. Napalił się na nią, bo go oczarowała.

– Nie rozśmieszaj mnie – odparowała Typhaine. – Jeśli kiedykolwiek był na kogoś napalony, to tylko i wyłącznie na mnie.

– Trzymajcie swoje brudne języki za zębami – uciął Christian.

Estelle dostała gęziej skórki, gdy znowu odwrócił się ku niej z uśmiechem na ustach.

– Sądzisz, że Grymonde lubi Carłę?

Samo pytanie budziło w niej niechęć. Jasne, że ją lubi.

– Kto by pomyślał – mruknęła Typhaine, przypatrując się córce.

– Kazałem wam milczeć – warknął Christian. – Estelle? Czy Grymonde lubi Carłę?

– Nie wiem. Chyba tak.

– Grzeczna dziewczynka – uśmiechnął się Christian. – Dostaniesz dwie sukienki.

– Nie chcę twoich sukienek.

– W takim razie wszystkie trzy będą dla mnie – obwieściła Typhaine. – Sama wybiorę, jeśli nie masz nic przeciwko – dodała, wyciągając rękę do Christiana. – Nie zarobiliśmy ani sou na tej wyprawie, więc wypłać nam nasze trzy udziały. I jeszcze za informacje od małej. W końcu to ja spiknęłam cię z tym potworem... – Urwała, spoglądając na Estelle. – To był mój pomysł.

– W rzeczy samej. I spójrz tylko, na czym się skończyło.

Christian wyszedł z kuchni, a Typhaine o krok za nim. Estelle czym prędzej podbiegła do drzwi, żeby posłuchać rozmowy. Mały Christian wręczył Typhaine *écu d'or* i zanim zdążyła zaprotestować, położył palec na ustach.

– Później będzie więcej. Znacznie więcej. Zostańcie tu wszyscy, póki nie wrócę.

Gdy zamknął za sobą drzwi, Estelle poczuła ulgę tak głęboką, że nogi pod nią zdrząły. Zwinęła się w kłębek na baranicy rzuconej na podłogę obok paleniska. Brzuch wciąż bolał, choć nie wiedziała dlaczego. Nie była przecież szpiclem. Grymonde miał dostać trochę złota, a Carla miała wrócić do domu ze swym kawalerem. Cóż w tym złego? Estelle czuła, że może znowu uda się wzlecieć wysoko na ramionach smoka, jak dawniej. Gdy zasypiała, usłyszała jeszcze strzęp rozmowy matki z Joco.

– Za kogo on się uważa, suczy syn? – skarżyła się Typhaine. – Nijak mu nie dogodzisz. Jak nie chłopcy za duzi, to dziewczęta za małe. Spytał mnie, czy znam kogoś dostatecznie szalonego, by się na to poważył, więc mu powiedziałam. Czego, na miłość boską, oczekiwał? Jakież głupiec najmuje szaleńca, a potem dziwi się szalonym uczynkom?

Gdy Estelle się ocknęła, niebo było szare, a za otwartymi oknami szumiał rześisty deszcz. Podniosła się cicho. Chciała wyjść, zanim ulewa minie, pobiegać w strugach czystej wody. Było jej gorąco i czuła się brudna; deszcz musiał być przyjemnie chłodny i świeży. Zza ściany dobiegał zrzędlawy głos Typhaine, ale nawet nie miała ochoty słuchać. Jeszcze jeden dobry powód, żeby wyjść, pomyślała. Włożyła brudną sukienkę znaną w koszu, a gdy weszła do sypialni, przekonała się, że Mały Christian zdążył już wrócić.

– Zabiłby mnie na miejscu – mówiła właśnie Typhaine. – Zresztą policja nigdy nie zapuszcza się na Podwórze. Nikt tam nie wejdzie, nawet jeśli zapłacisz.

– Skoro nikt tam nie bywa, nie będą się nas spodziewali – odparł Christian. – Wejdziemy i wyjdziemy w ciągu pół godziny. Będziesz bezpieczna. Poza tym mówimy tu o Żołnierzach Chrystusa i oddziale Gwardii Szwajcarskiej, a nie o bandzie tchórzliwych *sergents*.

Estelle zauważyła, że dwaj *sergents* stoją u drzwi frontowych. Obelga najwyraźniej nie zrobiła na nich wrażenia. Jednego z nich rozpoznała, bo był wyjątkowy: nie przyjmował łapówek. Wołali na niego Baro i w przeciwieństwie do większości miejskich strażników był prawdziwym zabójcą. Drugi ziewnął znudzony i potarł palcem swój jedyny, brązowy ząb.

– Jeżeli nie chcesz, żeby cię zobaczył – ciągnął Christian – to możesz odejść, gdy tylko doprowadzisz nas na miejsce.

– Skoro już mowa o tchórzach – odrzekła Typhaine – to czy i ty wybierasz się z nami?

– Nie jestem pewny, czy to konieczne. Tak czy owak, nie ma to żadnego znaczenia.

– Ja was zaprowadzę – odezwał się z łóżka Joco – jeśli tylko dobrze zapłacisz.

– Nie doszedłbyś nawet do drzwi – odparła drwiąco Typhaine. – A ja nie przegapiłabym takiej okazji nawet za złoty nocnik z królewskim łbem na dnie. Prawdę mówiąc, mógłbyś dopisać taki drobiazg do mojego rachunku.

Estelle znowu poczuła mdłości, jak wcześniej, gdy rozmawiała z Małym Christianem. Oni zamierzali skrzywdzić Grymonde'a. Wcale nie chcieli obsypać go złotem i odesłać Carli do domu. Właściwie nie powiedzieli, co tak naprawdę zamierzają, ale Estelle umiała wyczuć złe zamiary, urazę, kłamstwo i zdradę. A serce Typhaine było pełne urazy. Za co tak nienawidziła Grymonde'a? Z oczu Christiana także wyzierało zło. I on nienawidził Grymonde'a.

Estelle wiedziała, że musi ostrzec swego smoka.

– Doskonale – rzekł Christian. – Pójdź ze mną, a nie uronisz ani chwili z tego, co się będzie działo.

– Tak nie mogę iść, muszę się przebrać – odparła Typhaine, a jej spojrzenie ostrzegło Christiana, że opór byłby bezcelowy. – Może ta chwila wystarczy, żeby niebo trochę się przetało.

Estelle ruszyła na palcach w stronę drzwi. *Sergents* spojrzeli na nią z góry.

– A ty dokąd, panienko? – spytała Typhaine.

– Chcę wyjść na deszcz. Gorąco mi.

– Będzie ci gorąco w zadek, kiedy skończę go prac. A teraz natychmiast wracaj do kuchni.

– Ten miły *sergent* dopilnuje, żeby nikt stąd nie wyszedł – dodał Christian. To rzekłszy, skinął głową na strażnika z brązowym zębem. A potem uśmiechnął się do Estelle, jakby teraz dopiero uświadomił sobie, że może być okrutny dla niej zamiast dla Typhaine.

Sięgnął do sakiewki i dwoma palcami wyjął srebrnego franka. – Wiesz, dlaczego byłaś idealna jako mała Magdalena?

Estelle nie odpowiedziała. Cofnęła się odruchowo przed ohydną, zieloną ropuchą.

– Otóż dlatego, że masz rude włosy – ciągnął Christian. – Judasz też takie miał.

Rzucił monetę. Trafiła w pierś Estelle i spadła na podłogę.

Z płaczem wybiegła do kuchni, wdrapała się na ławę pod otwartym oknem i wyjrzała na zewnątrz. Poczula na twarzy krople deszczu. Spojrzała w dół, by potwierdzić to, o czym i tak wiedziała: nie miała żadnych szans, by się tędy wydostać; było zdecydowanie zbyt wysoko. Czula, że zdradziła Grymonde'a. Stała się Judaszem. A przecież nie było w świecie nikogo gorszego niż Judasz. Łzy mieszały się z deszczem na jej policzkach. A może właśnie powinna skoczyć?

Sergent z jednym zębem pociągnął ją ku sobie i zatrzaskał okno.

– Spokojnie, mała Magdaleno. To nie twoja sprawa. Na Boga, czyżbym czuł zapach zupy cebulowej?

Jednozęby posadził ją na ławie. Patrzyła w milczeniu, jak próbuje chłodnej zupy i cmoka z zadowoleniem. Napełnił dwie miski, ale Estelle nie chciała jeść; chciała ostrzec Grymonde'a, że idą po niego Mały Christian i Żołnierze Chrystusa.

– *Sergent!* Prędko! – W głosie Małego Christiana dało się wyczuć strach.

Jednozęby siorbnął po raz ostatni i ruszył w stronę drzwi. Estelle pobiegła za nim. Baro stał w sypialni, przytulony do ściany tuż obok drzwi mieszkania, ściskając w ręku pałkę.

– Broń do ręki – rozkazał Christian. – Ktoś jest u drzwi.

Jednozęby zsunął z ramienia łuk i założył strzałę, po czym gotów cofnął się do kuchni. Spojrzawszy na Estelle, przyłożył palec do ust. Ktoś załomotał do drzwi. Christian odstał nieco i skinął na Typhaine.

– Kto tam? – zawołała.

– Papin. Wpuść mnie, zmokłem jak pies.

– To jeden z ludzi Grymonde'a – szepnęła Typhaine.

Christian przygryzł wargę, wahając się.

Estelle poczuła żywsze bicie serca. Papin mógł ostrzec Grymonde'a, ale czy usłyszałby ją przez drzwi? Usłyszałby co najwyżej krzyk, a w tym domu krzyki były czymś całkiem zwyczajnym.

– Zaprosz go i uśmiechaj się – polecił półgłosem Christian. – Wiesz, jaka jest stawka.

Christian spojrzał na Bara i gestem pokazał mu, co ma robić. *Sergent* uniósł pałkę do ciosu.

Typhaine z uśmiechem na ustach otworzyła drzwi, a wtedy Estelle przecisnęła się obok Jednozębego. Na progu istotnie stał ociekający wodą Papin. Estelle krzyknęła z całych sił:

– Uciekaj, Papin! Oni chcą zabić Grymonde’a!

Papin spojrział na nią i wtedy pałka Bara uderzyła go w kark. Estelle nie widziała nawet, jak padał na podłogę, bo w tym samym momencie Typhaine uderzyła na odlew, trafiając ją w twarz. Przez chwilę nie widziała nic, a gdy oprzytomniała, klęczała podparta łokciami, wpatrując się w buty Jednozębego. Za plecami słyszała jęki i krzyki, ale to już nie miało znaczenia.

Zawiodła Grymonde’a.

Była Judaszem.

I już nigdy nie pofrunie na smoku.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Izba porodowa

Carla miała wrażenie, że izba porodowa znajduje się w jakimś mitycznym królestwie, w którym czas nie płynie naprzód, a chwile powtarzają się bez końca. Gdy skurcz odbierał jej władzę nad ciałem, próbowała poddać mu się jak wysokiej fali, ale potem, zanim zdążyła odetchnąć, nadchodził kolejny. Monotonia wyczerpywała jej siły niemal tak samo skutecznie jak fizyczny ból. W pokoju, do którego zaprowadziła ją Alice, stało łóżko przykryte płachtą z żaglowego płótna – poplamioną, ale nie nadgniłą – na której z kolei rozpostarły czyste prześcieradło. Podłoga pokryta była warstwą suszonych traw.

Spacerowała, kuciała, pochylała się nad oparciem ławki. Wiele razy próbowała skorzystać z nocnika, ale pęcherz wciąż miała pełny. Gdy ogarnęło ją znużenie, położyła się, lecz choć szukała wygodnej pozycji to na jednym, to na drugim boku, wciąż coś jej przeszkadzało. Pojękiwała od czasu do czasu, wiedząc doskonale, że i krowa nie powstydziliby się takich odgłosów. Chwilami zapadała w sen, na minutę albo dwie, ale budził ją kolejny mocny skurcz. Pamiętała tylko strzępy bajkowych snów.

Ile można prześnić w minutę albo dwie?

Choć Alice zapewniała, że plugawy język nikogo w jej domu nie zgorszy, Carla ani myślała skarżyć się czy przeklinać. To była ostatnia reduta jej godności, której wyzbyła się już niemal całkowicie. Zaslony w oknach odcięty pałący blask słońca, ale przed gorącem nie można było uciec. Kadzidlany dym unosił się w nieruchomym powietrzu, prawie niewidzialny, jeśli nie liczyć paru cieniutkich smużek przecinających nieliczne snopy światła. Chłopiec, który wcześniej zachwycił ją urodą, Hugon, na rozkaz Alice biegał co pewien czas, donosząc wodę, czyste ręczniki albo świeży napar. Carla słyszała też, że pytał o jej stan, i może dwa razy widziała go w drzwiach, lecz pani domu nie pozwalała mu wejść do izby.

Carla przebrała się w białą koszulę nocną, którą już po chwili przesycał pot, podobnie jak jej włosy. Przyszło jej do głowy, że jest Ogniem, a jej ciało – obłożoną wieżą, roztopiającą się z wolna, coraz szerzej otwartą, rozpadającą się. Im dłużej trwał ten pojedynek, tym bardziej była obolała i wycieńczona; było tak, jakby zmagala się z samą Panią Życie. Przypomniała sobie opowieści Borsy o naturze zwycięstwa, chwały, uniesienia rodzącego się z walki z bólem, strachem i śmiercią. Czy tak właśnie czuł się Mattias podczas bitwy? Wątpiła w to, ale jeśli tak było, to czar owych zmagani jakoś jej umknął. Gdyby jednak nie

bitwa, którą właśnie toczyła, Alice nie pojawiłaby się w jej życiu. Czyż to nie było dostatecznym zwycięstwem?

Na żądanie Alice – a może raczej sugestię? – położyła się na plecach. Staruszka zbadała ją po raz kolejny i oznajmiła, że poród postępuje należycie, po czym rozłożyła mokry lniany ręcznik na brzuchu Carli. Płótno było nasączone balsamem z gotowanych jabłek, białek kurzych jaj, sproszkowanego rogu jeleniego i kadzidla, który, jak twierdziła, miał zapobiec powstaniu rozstępów. Carla nie wiedziała, czy specyfik ten naprawdę zadziała, ale sam kontakt z nim wydawał się jej przyjemny.

– Alice, co z nami będzie, kiedy to się skończy?

– Tego nie powiedzą nam nawet karty.

– Wiem, że nie jestem dziś sobą, ale wierzę, że w każdych okolicznościach znalazłybyśmy w sobie nawzajem cechy, które warto podziwiać. Ja z pewnością znalazłabym ich w tobie bez liku.

Alice zaśmiała się, zakaszła i przelknęła flegmę.

Powolnym ruchem pomasaowała brzuch Carli mokrym ręcznikiem.

– Do licha, staruszka w życiu nie spotkała nikogo takiego jak ty i wyzna szczerze, że dostała dziś lekcję manier ludzi dobrze urodzonych, która srogo ją zawstydziła.

– Cokolwiek znaczy „dobrze urodzonych”, dziś jestem całkiem zwyczajną osobą i moje maniery też są całkiem prywatne.

– Staruszka chciała tylko odpowiedzieć komplementem na komplement. Tu, na Podwórzach, rzadko się je słyszy, wybacz więc, jeśli trafiłam kulą w płot.

– O nie, to ja powinnam przeprosić. Od początku okazujesz mi wyłącznie dobroć.

– Dość już tego, nie próbujmy znowu orać tego samego pola. Jeśli pytasz, czy zostaniemy razem, gdy urodzisz, i oboje z dzieckiem będziecie gotowi do drogi, to odpowiedź brzmi rzecz jasna: tak! Nasze losy splotły się na zawsze, dzielimy wszak najświętsze chwile. Ale nie próbujmy pętać ich obrozą planów, by ich nie zadusić. Tu i teraz, oto, co powinno nam wystarczyć, aż nadto! Do diabła, starucha od dawna nie ruszała się z tego podwórza, a i z domu nieczęsto wychodzi. Gdy w końcu to zrobi, wybierze się znacznie dalej niż na targ rybny, a może i dalej niż na cmentarz?

– Przynajmniej będę wiedziała, gdzie cię odnaleźć.

Alice położyła dłoń na jej piersi.

– Znajdziesz mnie tutaj. Zawsze.

Carla uściśnęła jej rękę i spojrzała w zimowe oczy. Miłość, którą dostrzegła za ich mgłą, nie była podobna do żadnego znanego jej uczucia. Wydawała się osadzona w czymś

nadludzki. Lecz nagle Carla pojęła, że jest wręcz odwrotnie: ta miłość w oczach Alice wyjaśniła jej nareszcie, co znaczy być prawdziwym człowiekiem. Zaszlochała i z trudem powstrzymała łzy.

– Zawsze – szepnęła. – Zawsze.

– Pozwól im płynąć, skarbie.

Zza ciemnych zasłon, z podwórza, dobiegły nowe głosy. Alice spojrzała w stronę okna, a potem dźwignęła się z wysiłkiem i odeszła.

Carla zacisnęła pięści, bo kolejny skurcz uniósł jej barki nad materac. Krzyknęła głośno, popłynęła z falą bólu. Otarła pot z czoła niebieskim szalem. Alice wróciła po chwili, niosąc spory, sztywny arkusz papieru.

– Niewiele oczu oglądało tę miniaturę. Mój syn wierzy, że spaliła się dawno temu, ale stara lisica wybacza sobie to małe oszustwo.

Alice przysiadła na skraju łóżka i podała papier Carli, która nieświadomie wstrzymała oddech. Był to portret półnagiętego, zdumiewająco przystojnego mężczyzny, o twarzy ujętej z półprofilu, narysowany czerwoną i białą kredą. Rysy jego oblicza były szlachetne, a jednocześnie zawadiackie, a krzywizny kości policzkowych, brwi i szczęki tworzyły całość doskonale harmonijną. Muskulatura wydawała się tak niespotykane proporcjonalna, jakby artysta starał się zakląć w papierze alegorię męskiej urody. Subtelność w operowaniu kolorem i pewność kreski po stronie rysownika oraz inteligencja, łagodność i empatia emanujące z oczu modelu sugerowały wszak, że oto prawdziwy artysta uwiecznił prawdziwego człowieka. Młodzieniec patrzył w oczy Carli śmiało, nawet zuchwale, a było to spojrzenie kogoś, kto wie, że świat leży u jego stóp. Charakterystyczny układ warg mógł odziedziczyć wyłącznie po matce.

– Grymonde – powiedziała Carla.

– Najśłodszy chłopak, jakiego kiedykolwiek widziałam. A dziś udęcony mężczyzna skazany na potępienie.

Carla spojrzała na Alice i dostrzegła głęboko ukryty smutek. Chciała zadać jej wiele pytań, ale w obliczu tak silnego uczucia wszystkie wydawały jej się trywialne. Czekwała więc w milczeniu na opowieść, którą stara matka być może nie dzieliła się jeszcze z nikim.

– Sama widziałas, czym stał się mój syn. Trwało to dziesięć lat, dzień po dniu – właśnie wtedy powstał ten obrazek. Grymonde żyje obarczony klątwą, która powoli go trawi. To, co widzimy na zewnątrz, to jedynie wykwit choroby, która toczy jego wnętrze. Jest jak drzewo, które rośnie, ale usycha od środka, gdy z jego sokami krąży trucizna. A wszystko to z mojej winy. Przeklęłam go z powodu kobiety i dziecka, które z nią spłodził. Przeklęłam, bo

byłam zazdrosna i miałam w sercu zło, które czekało aż do tej chwili, by się o mnie upomnieć.

– Nie wierzę. Klnę się na życie tej istoty, którą noszę w sobie, że nie wierzę w to, co mówisz. Grymonde cierpi na nieznaną chorobę, może to jakaś zimnica, a może skutek działania trucizny...

– Stara matka dziękuje ci za słowo pocieszenia. Może nawet masz słuszność, ale to nie zmienia faktu, że właśnie ja – tak, znowu celowo mówię: ja – przeklęłam własnego syna, a to głęboka rana w sercu matki. W chwili, gdy owe słowa sfrunęły z mojego języka, przebiła mnie jakby rozżarzona strzała, a Nasza Matka zakrzyknęła wprost z kamieni pod moimi stopami, niektórych zdań bowiem nigdy nie można cofnąć. Zabrał wtedy swą kurwę – bo tym właśnie była i nadal jest – zabrał córkę równie piękną jak on i opuścił starą, głupią matkę, by została sama ze swym żalem.

Strumyki łez popłynęły po sinych policzkach. Carla także czuła głęboki smutek. Ścisnęła dłoń Alice, gdy kolejny skurcz ogarnął jej łono, ale mimo bólu nie wydała z siebie żadnego dźwięku.

– Popełniłam błąd – powiedziała Alice. – W tym stanie nie powinnaś słuchać opowieści o moim szaleństwie.

Sięgnęła po portret, ale Carla pokręciła głową i nie oddała go.

– Cieszę się, że mi o tym powiedziałaś. Alice, ja wiem, jak to jest zdradzić własnego syna. Karty powiedziały ci o tym dość wyraźnie, jak sądzę. Ja także cierpiałam jako matka. Głupio mi mówić ci o tym, ale czy nie takie jest nasze brzemię? I czy nie jest ono najtrudniejsze do udźwignięcia?

Alice otarła twarz wierzchem dłoni i przez krótką chwilę wyglądała jak dziewczynka. Skinęła głową, a Carla odpowiedziała jej uśmiechem. Alice także się uśmiechnęła.

– Widzisz, on naprawdę ją kochał. Stara kobieta lękała się tego, ile będzie go ta miłość kosztować. Mógł mieć każdą dziewczynę, chętnych nie brakowało nie tylko na Podwórzach, a on o tym wiedział i nieraz korzystał. Nie chodziło mi więc o to, że go tracę, ale o to, że tracę go właśnie dla niej. To była dziewczucha najgorszego sortu, najczarniejsza, piekielna kurwa. W miłości jednak rozum się nie liczy, my zaś nie potrzebujemy kart, żeby o tym wiedzieć. Wkrótce potem złamała mu serce, dokładnie tak, jak to przewidziałam. Była piękna – w pewnym sensie – to trzeba jej przyznać, dlatego i wśród lepszych od nas nie brakowało takich, co nie żalowali złota dla kilku chwil rozkoszy w jej towarzystwie. Mój syn zrobił z siebie głupca, tak bywa, ale w końcu odnalazł drogę do domu i najpierw długo lizał

rany, a potem został królem Kukanii. Po drodze zdeptał trupy wielu wrogów, a ci, którzy przeżyli, nazwali go Infantem.

– Infant Kukanii... Słyszałam już ten przydomek. Dlaczego?

– Z początku miała to być obelga – istotnie był młody, nie miał jeszcze dziewiętnastu lat. Starzy wyjadacze twierdzili, że nie wie, na co się porywa, że powinien pracować dla nich. Zanim zmienili zdanie, byli już martwi. Musisz zrozumieć, że mój syn nie ceni swego życia wyżej, niż kwiat ceni swe płatki, tymczasem jego wrogowie uważali, że ich życie jest nieporównywalnie cenniejsze. – W głosie Alice pobrzmiwały duma i ból.

Carla miała ochotę odpowiedzieć: ja też znam kogoś takiego. Poślubiłam go. Kocham go. Nie chciała jednak przerywać zadumy Alice, która najwyraźniej czuła, że musi podzielić się z kimś matczynym brzemieniem.

– Nigdy więcej nie zalecał się do żadnej kobiety, wypaliło się w nim uczucie miłości i odmawia nawet rozmowy na ten temat, ale staruszka nie zamierza twierdzić, że to kwestia uczucia do tamtej kurwy. Rany w jego sercu zagoiły się, jak to zwykle bywa. On po prostu przestał pożądać. To także był owoc matczynej klątwy. I kto wie, co jeszcze? Stał się najmroczniejszym z mężów.

– Wspomniałaś, że Grymonde ma córkę.

– Nigdy jej nie uznał i – choć innych grzechów popełnił bez liku – trudno go za to winić. On sam też nie zna swego ojca, chociaż to akurat żadna tragedia. Ale i babcia nie widziała swego małego kwiatuszka, odkąd przyjęła go na świat tu, w tej izbie.

Skoro wydarzenia, o których opowiadała Alice, rozegrały się przed dziesięcioma laty, Grymonde był znacznie młodszy, niż się Carli wydawało – mógł mieć trzydzieści lat. Jej myśli uparcie krążyły wokół Estelle. Przywołała w pamięci jej drobną, brudną, zaciętą twarzyczkę, ale nie potrafiła dostrzec podobieństwa, choć – o czym doskonale wiedziała – to jeszcze o niczym nie świadczyło. Tym, co budziło największe podejrzenia, były błyskawice zazdrości w oczach małej, gdy patrzyła na Carlę. Kimkolwiek jednak była wnuczka, Alice nigdy nie przeboleła straty.

– Odebrano mi syna w dniu, w którym przyszedł na świat – powiedziała Carla. – Wychowywał się jako bękart, sierota, w świecie dość podobnym do waszych Podwórzy. Miał dwanaście lat, gdy go znowu zobaczyłam. Sporo czasu minęło, zanim znalazłam w sobie dość odwagi, by zacząć go szukać. A teraz znowu zaginął. Ale tego dziecka, przysięgam, żadna siła nie wydrze z moich ramion.

Skurcz, który dopadł ją w tej chwili, miał taką moc, jakby chciał rozerwać jej biodra na dwoje. Minął po chwili, a wraz z nim emocje. Carla poprosiła o zimny napar. Gdy

zaspokoiła pragnienie, znowu z podziwem sięgnęła po rysunek leżący na łóżku. Czernie uzyskano ze sproszkowanego łupka, naniesionego metalowym rysikiem. Czerwień, która tak ożywiała dzieło, była w istocie rdzawą glinką. Błysk w oku otaczała kreska wykonana brązowym ołówkiem. Miała przed sobą arcydzieło, ale starała się powściągnąć ciekawość. Alice uśmiechnęła się lekko.

– Jeśli masz ochotę posłuchać, z tym obrazkiem wiąże się frapująca historia.

– Opowiedz, proszę.

– A zatem: pewnego dnia mój syn je sobie śniadanie przed karczmą w Les Halles. Nagle podchodzi do niego niezmiernie dystyngowany szlachetny pan i pyta, czy nie zechciałby pozować mu do portretu. W Les Halles spotyka się przeróżnych ludzi, ale coś takiego nie przytrafiło się chyba jeszcze nikomu, toteż mój syn bierze go zrazu za sodomitę – nie pierwszego zresztą, który czynił ku niemu awanse – i radzi mu, by się oddalił, póki jeszcze może chodzić. Ów człowiek jednak nie ustępuje: proponuje godziwą płacę za godzinę pracy. Ale jakiej? Na to pytanie wyjawia, że twarz mego syna jest dla niego artystycznym wyzwaniem, któremu nie potrafi się oprzeć, a następnie ogłasza, że jest ni mniej, ni więcej, tylko najslawniejszym malarzem we Francji.

– Wiedziałam: monsieur Clouet. Nadworny malarz rodziny królewskiej.

– Ten właśnie. Dla mojego syna, rzecz prosta, to nazwisko nie znaczy nic, za to odzywa się jego próżność. Nie ma się już czego obawiać, więc kończy swoją kielbaskę i rusza za malarzem do wspaniałego apartamentu w Luwrze, gdzie dotrzymując danego słowa i bez żadnych sztuczek, monsieur Clouet w okamgnieniu tworzy ten oto przepiękny portret, co zresztą wprawia go w niezmiernie zadowolenie.

– Nie dziwię się, to naprawdę piękna robota. Ale jak to się stało, że rysunek trafił w twoje ręce? – Kolejny silny skurcz przerwał na chwilę rozmowę; Carla zniosła go z narastającym zniecierpliwieniem. Ostatni etap porodu był już bliski, poczuła to po raz pierwszy, ale też wiedziała, że gdy się zacznie, nawet najciekawsza konwersacja nie odwróci jej uwagi od bólu. – Mów dalej.

– Monsieur Clouet dziękuje mojemu synowi i wręcza mu pięć złotych *écus* – sumę tak dalece przekraczającą jego oczekiwania, że aż trudno uwierzyć, że to nie fałszywe pieniądze. Zanim jednak je przyjmie, chce spojrzeć na skończone dzieło. I jak sądzisz, co było dalej?

– Powiedz.

– „O nie, monsieur – powiada mój syn – jako zapłatę wezmę ten obrazek; serdecznie dziękuję, moja matka się ucieszy. To uczciwy układ – chciałeś wyzwania i dostałeś je”. Możesz sobie wyobrazić, jaki powstał rwetes.

– Gdyby nie mój stan, parsknęłabym śmiechem.

– Gdy mój syn się uprze, to nic nie zmieni jego postanowienia. Zanim artysta zdążył wezwać straż pałacową, był już w ciężkim strachu. Mój chłopak zagroził mu między innymi tym, że podrze dzieło na strzępy, by mieć czym wytrzeć krew z podłogi. „Ponieważ szkoda byłoby zniszczyć tak elegancką miniaturę – rzecze mój syn – ty oferujesz mi pięć *écus d'or*, co oznacza, że rysunek wart być musi sto razy więcej, postoję tu jeszcze trochę, a ty uwiecznisz mnie ponownie, aby każdy z nas miał po jednym portrecie”. Tak też się stało – i oto on.

– Sądząc po błysku w jego oku, musiał to być drugi rysunek.

– Nie, skarbie, ten był pierwszy. Przy drugim ręka mistrza drżała tak mocno, że mój syn nie był zadowolony z efektu.

Na krótką chwilę wesołość zwyciężyła ostrożność i Carla roześmiała się głośno. Jej ciało odpowiedziało kolejnym silnym skurczem. Gdy leżała, jęcząc, Alice odebrała rysunek z jej rąk i ukryła. Wróciwszy, zdjęła lniany ręcznik i wytarła spocone ciało Carli, po czym zanurzyła dłoń w garneczku z balsamem.

– Zobaczmy, jak się sprawy mają.

Carla rozłożyła nogi, a Alice przystąpiła do badania.

– Wspaniale. Pełne rozwarcie, główka już schodzi. Ale jeszcze nie przyj.

Chwilę później z dołu dobiegł głośny odgłos kroków.

– Mamo! Wchodzę na górę!

– Zaczekaj, aż cię zawołam!

– Przynoszę nowiny.

– Słyszałeś.

Carla była zbyt zajęta kolejnym skurczem, by okazać niepokój. Alice czekała.

– Mój syn wychował się w tej izbie, obserwując pracę matki. A ponieważ jej siły nie są już takie jak dawniej, pomagał niejedną raz, zwłaszcza gdy dziecko źle się układało. Dziś najprawdopodobniej nie będzie nam potrzebny, ale przysięgam ci, że możesz mu ufać bardziej niż jakimkolwiek chirurgowi. Lecz jeśli wolisz, by tu nie wchodził, po prostu nie wejdzie.

Mattias towarzyszył Carli podczas ostatniego porodu, z wyjątkiem tych paru chwil, gdy jego niepokój tak bardzo ją irytował, że kazała mu wyjść i zająć się rąbaniem drewna.

Liczyło się tylko i wyłącznie dziecko; w tej chwili nie czuła żadnych innych obaw. Nawet gdyby miała rodzić przed całym tłumem widzów, nie zrobiłoby to na niej wielkiego wrażenia.

– Niech wejdzie, skoro może się przydać, nie przeszkadza mi to. Ale muszę wstać albo kucnąć, leżąc na plecach, czuję się słaba.

Podniosła się niezgrabnie, nie pozwalając, by Alice jej pomogła. Na chwilę pociemniało jej w oczach. Łóżko nie miało solidnego wezglowia, dlatego podeszła do krótkiej, masywnej ławy, której użyła już wcześniej. Zaciśnęła dłonie na oparciu i uspokoiła się nieco. Oddychając równo, słyszała głosy Alice i Grymonde’a dobiegające zza drzwi. Dyskusja, choć toczona szeptem, wydawała się gwałtowna, zwłaszcza ze strony staruszki. Carla nie próbowała jednak podsłuchiwać. Nie była nawet zaciekawiona. Nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo jest znużona; upał odbierał jej siły. Parcie na miednicę było potężne, zdecydowanie silniejsze niż wtedy, gdy leżała na posłaniu, ale stojąc, miała przynajmniej poczucie większej kontroli nad przebiegiem wydarzeń. Uda jej ciężyły, ale po latach spędzonych w siodle nie miała wątpliwości, że znajdzie w nich dość siły. Po raz pierwszy poczuła potrzebę działania.

– Alice, chciałabym przeć.

– Zaczekaj na kolejny skurcz.

Czekała, ale kolejny skurcz nie nadchodził. Miała wrażenie, że macica znacznie się rozluźniła, jakby w jej ciele zapadła nagle głęboka cisza i tylko umysł pełen był silnych emocji. Wciąż oddychała głęboko; wiedziała, że zaczyna się najbardziej niebezpieczna faza. Czy główka dziecka nie będzie zbyt duża? Odrzuciła tę myśl. Czy jej mięśniom wystarczy siły? Czy dziecko jest niespokojne? Do terminu brakowało wszak tygodnia lub dwóch.

– Nie czuję skurczu – zawołała cicho, nawet nie próbując ukryć strachu.

– Spokojnie, skarbie. To normalne, nawet w ostatnich chwilach.

– Twoje ciało zbiera siły do prawdziwego wysiłku – dodał Grymonde.

Odwróciła głowę, by na niego spojrzeć. Zdążyła już zapomnieć, jak bardzo groteskowe jest jego oblicze; przed oczami wciąż miała portret monsieur Cloueta. Otarła szalem pot zalewający jej oczy. Jeśli dobrze odczytała uczucia na jego grubo ciosanej twarzy, Grymonde był zatroskany, ale nie jej stanem – wobec niej nie wykazywał ani śladu onieśmienia czy zakłopotania. Uśmiechnął się szeroko, zobaczywszy jej spojrzenie. W przeciwieństwie do Carli nie dostrzegął w tej sytuacji niczego nadzwyczajnego; o dziwo, jego obecność podniosła ją na duchu.

– Carlo – rzekł – jesteśmy z ciebie dumni.

– Dziękuję. Cieszę się, że przyszedłeś.

– Umyłeś się chociaż, cielaku? – rzuciła Alice.

– Pewnie, że się umyłem.

Grymonde uniósł wielkie dłonie, by pokazać matce, a Carla, czując, że nareszcie zaczyna się kolejny skurcz, przykucnęła i zaczęła przec. Teraz dziecko przesunęło się w dół, a skóra zaczęła ją silnie piec. Pojękując cicho, parła tak długo, aż skurcz minął. Wtedy odetchnęła głęboko i zerknęła w dół, ale koszula zasłaniała jej uda. Podciągnęła ją wyżej, lecz to nie wystarczyło.

– Podwiąż mi ją, proszę.

Wcisnęła pod piersi przedni skraj koszuli nocnej, a Grymonde stanął za nią, chwycił za tylny, podciągnął wysoko i zawiązał.

– Nie ma się czego wstydzic – powiedział.

– Nie wstydzę się.

Pochyliła głowę nad brzuchem, by zajrzeć między uda, ale nadal nic nie widziała. Sięgnęła więc ręką i dotknęła krocza: było obrzmiałe i szeroko otwarte. Słyszała słowa otuchy z ust Alice i Grymonde'a, ale nie zwracała na nie uwagi. Była sama. Gdy tylko sobie to uświadomiła, poczuła nowe siły. Tak, to było jej dziecko. Jej dziecko liczyło na nią.

– Nie zawiodę cię.

Stęknęła, gdy dopadł ją kolejny skurcz. Naparła dzielnie; pieczenie między nogami jeszcze się nasiliło. I znowu poczuła ruch, potężny, niepowstrzymany, otwierający jej ciało. Przeszła z nogi na nogę na ściółce z suchej trawy. Wciąż czuła siłę w udach. Skupiła się na rozwarciu i skierowała całą siłę woli ku jednemu zadaniu: otworzyć się. Naparła i jęknęła z bólu.

– Kocham cię.

Skurcz minął. Wstała na chwilę, pochyliła się, wyrównała oddech. Pieczenie było trudne do wytrzymania. Pragnęła przec jeszcze mocniej, ale zamiast tego oddychała spokojnie i czekała – znowu jakby w nieskończoność; trudno było znieść te przerwy, trudniej niż skurcze, którym wystarczyło się poddać. Grymonde rozłożył na podłodze, między jej stopami, lniany ręcznik. Pomyślała, że ta prosta czynność kosztowałaby Alice mnóstwo sił.

– Cieszę się, że tu jesteś – powiedziała.

– To dla mnie zaszczyt. Rozsunę zasłony, niech dziecko przyjdzie na świat pełen słonecznego blasku.

Skinęła głową. Stała plecami do okna, mimo to, po dłuższym czasie spędzonym w półmroku, na moment oślepla w świetle dnia. Zmrużyła oczy i przykucnęła. Poczuła dłoń Alice ściskającą jej ramię. Poglądziła ją delikatnie.

Kolejny skurcz.

Naparła, jęcząc.

Kolejny.

Kolejny.

Kolejny.

Kolejny.

Za każdym razem piekący ból narastał, stawał się coraz intensywniejszy, choć jeszcze przed chwilą wydawało się to niemożliwe. Grymonde przyklęknął obok Carli.

– Jeśli pozwolisz...

– Tak, tak.

Zajrzał między jej uda, a potem chwycił ją za rękę.

– Zobacz. Główka już wychodzi – powiedział, kierując dłoń Carli między jej uda.

Poczuła mokre włoski. Ciepłą, twardą główkę dziecka.

– O Boże. – Wzruszenie, które nagle ją ogarnęło, pozwoliło zapomnieć o bólu, ale tylko na krótką chwilę.

Alice znowu uściśnęła jej ramię.

– Prawie skończyłaś, skarbie. Przy następnym skurczu nie przyj zbyt gwałtownie, tylko mocno i równo, żebyś nie pękła.

– Jakbyś wyciągała korek – podpowiedział Grymonde.

Skurcz przyszedł szybko, a wtedy naparła: mocno i równo. Pieczenie sięgnęło zenitu.

– Jestem Ogniem.

Jęknęła jakby w ekstazie w chwili, gdy z jej krocza wyłoniła się główka dziecka.

Na podłogę chlusnęły wody; Carla nie spodziewała się, że zostało ich aż tyle.

Oddychała głęboko.

Sięgnęła w dół.

– Jest zdrowy? Powiedz mi.

– Różowutki jak dojrzała brzoskwinia i już do mnie mruga.

Opuszkami palców musnęła niezrównanie delikatną skórę dziecka. Policzek. Zaczęła szlochać.

– Nie rozluźniaj się jeszcze, skarbie. Jeszcze ze dwa skurcze i będzie po wszystkim.

– Mam zaczekać?

Skurcz nadszedł, zanim Alice zdążyła odpowiedzieć. Carla zacisnęła powieki i zaczęła przeć. Pieczenie wróciło, ale nie zwracała na nie uwagi.

I wreszcie za ostatnim silnym pchnięciem dziecko wysliznęło się z jej ciała.

W tej samej chwili doświadczyła nagłego i przemożnego poczucia straty, które minęło niemal natychmiast, zmyte falą ulgi, głębokiej, niemal zwalającej z nóg. Zaciśnęła dłonie mocniej na oparciu ławy, by utrzymać równowagę. A potem otworzyła oczy i spojrzała w dół.

Dziecko leżało w wielkich dłoniach Grymonde'a, poruszając główką to w jedną, to w drugą stronę, jakby dziwiło się światu. Mrugało powiekami zalanymi perłowym płynem, który sączył się także z jego ust. Niepewnie prostowało i ugięło kończyny, z upodobaniem odkrywając prawdziwą swobodę. Biaława, rozdarta błona wciąż okrywała jego ramiona i ruchliwe nóżki, uczipiona jednym końcem do grubej pępowiny.

– W czepku urodzone – stwierdził z dumą Grymonde, spoglądając na Alice. – No, prawie. Ale to dobry znak.

Carla właściwie nie słuchała. Już nie musiała trzymać się ławy. Grymonde podał jej dziecko. Wzięła je na ręce, objęła czule ciepłe ciało pokryte kremowym śluzem i spojrzała na nie z rozrzewnieniem. Czowała, jak unosi się maleńka pierś, jak życie, nadzieja i odwaga pulsują w jej dłoniach.

Grymonde ostrożnie zdjął z noworodka resztki błony.

Carla podparła palcami główkę dziecka i wolno usiadła na podłodze.

Uniosła je na wysokość twarzy.

Znieruchomiała, urzeczona jego pięknem.

Jej pięknem.

Czysta miłość znowu zalała jej serce.

Urodziła dziewczynkę.

Ułożyła ją na rękę, delikatnie ucałowała maleńkie wargi i odessała resztkę płynu. Dziewczynka mrugnęła, poruszyła rączkami i spojrzała na mamę. Oczy miała jasne, błyszczące jak opale. Carla już wiedziała: wydała na świat anioła.

– Amparo.

Amparo zakwiliła cicho.

Carla przycisnęła policzek do jej policzka.

– Będiesz śpiewać pieśni – szepnęła.

Poczuła Alice u swego boku i zadarłszy głowę, ujrzała jej uśmiech.

Kochała tę staruszkę.

– Dziękuję, Alice. Nigdy... – Urwała, by przełknąć łzy. – Ja nigdy tego nie zapomnę.

Spojrzała na Grymonde'a. Jak to możliwe, że taki człowiek nosi w sobie taki mrok? I zaraz wspomniała Mattiasa, to samo bowiem pytanie zadawała sobie czasem, myśląc o nim.

Tak bardzo chciała zobaczyć go z dzieckiem w ramionach; wiedziała, że w skrytości ducha miał nadzieję, że urodzi mu córkę. Ale nie było go tutaj. Carla była sama, bezradna, z nowo narodzoną dziewczynką... Zanim ogarnął ją smutek, zmusiła się do uśmiechu, spoglądając na potwora, który przy niej przyklęknął.

– Tobie także dziękuję, monsieur Grymonde.

Olbrzym obnażył w uśmiechu nienaturalnie wielkie przerwy między zębami.

– Nie ma w tym mojej zasługi, Carlo. Ty tego dokonałeś.

– Oboje jesteście dla mnie szczerymi przyjaciółmi. Dla nas. – Tym razem poddała się emocjom i nie próbowała powstrzymać łez.

– Pora wrócić do łóżka – odezwała się Alice. – Masz jeszcze co nieco do zrobienia, że wspomnę tylko o pierwszym karmieniu małej Amparo. Im wcześniej, tym lepiej, siara pomoże pozbyć się popłodu.

Grymonde stanął za plecami Carli, chwycił ją w pasie i podniósł z taką lekkością, jakby nie ważyła więcej niż noworodek. Zachwiała się, nie czując w brzuchu ciężaru, który tak długo nosiła. Odzyskawszy równowagę, stwierdziła, że może iść o własnych siłach, ale chwilę później z ulgą spoczęła na łóżku. Alice rozłożyła dla niej dwa świeże ręczniki. Usiadłszy na nich, Carla oparła się wygodnie o spiętrzone poduszki. Przynęła do piersi Amparo, która natychmiast wzięła ją w usta i zaczęła błogo ssać.

Carla była niemal równie szczęśliwa.

– Moja córka. Moja piękna córka. A ja byłam przekonana, że to będzie chłopiec. – Uśmiechnęła się do Alice, która skinęła głową na swego syna.

– Zdaniem staruszki, poszczęściło ci się.

– Sądziłam, że to chłopiec, bo tak mocno mnie kopała.

– Staruszka przeczuwa, że nie będziesz ostatnią osobą, która doświadczy jej kopniaków. Masz, skarbie, poczuj, jak pępowina pulsuje, wasze serca pracują pospołu.

Carla chwyciła palcami niebieskawy sznur i rzeczywiście poczuła w nim pulsowanie własnej krwi.

– Dziwne to uczucie, ale piękne. Nie powinniśmy jej przeciąć?

– Przetniemy, gdy przestanie pulsować. Nie sądzisz, że na razie jest żywą częścią waszych ciał? Jakież głupiec chciałby ją zabić, zanim skona w naturalny sposób? – Uniosła dłoń i z dezaprobatą kręcąc głową, dodała: – Nie, nie mów mi. A teraz, póki tak wam dobrze, zobaczmy, jak pójdzie z łożyskiem. Ty, wielki cielaku, wynieś mokrą trawę, zanim zacnie gnić w tym upale. I zaciągnij zasłony, bo się usmażymy.

Grymonde parsknął śmiechem.

– Wielki cielak zajmie się najpierw błoną, a potem sprzątaniami.

– I powiedz Hugonowi, żeby nam zaparzył ziół.

Grymonde dobył noża i obrócił się na pięcie, zwinny jak dzika bestia, gdy od strony schodów dobiegł dziwny dźwięk, tak głęboki, że mógłby się zrodzić w gardzieli bajkowego potwora. Carla znała to brzmienie: ktoś próbował grać na jej violi – niewprawnie, ale nieźle.

– Nie bój się. To tylko moja viola.

– Twoja viola? Kto tam? – ryknął Grymonde w kierunku schodów. – Właż no tu na górę!

W drzwiach stanął Hugon, zawstydzony i wystraszony. Grymonde spojrzał na niego spode łba.

– To prawda, szelmo? Majstrowałeś przy violi?

– Proszę cię – wtrąciła Carla. – Nie rób mu krzywdy. Nie karć go nawet.

– Wybacz mi, pani. Słyszałem, jak grałaś... Wszyscy słyszeliśmy. I rozplakałem się.

– Zaraz znowu zapłaczesz, chłopcze.

Grymonde uniósł rękę, a Hugon odważnie czekał na cios, ale się nie doczekał. Patrzył na Carlę bez żalu, za to z tęsknotą, którą już wcześniej widziała w jego oczach.

– Chciałem wiedzieć, skąd się bierze ten dźwięk – wyjaśnił Hugon.

– I całkiem dobrze ci poszło – odpowiedziała Carla. – Atakowałeś struny z zapalem, na jaki wytrawni muzycy rzadko sobie pozwalają.

Hugon zatrzepotał powiekami, zdumiony. Wciąż jednak unikał surowego wzroku Grymonde'a.

Carla uśmiechnęła się lekko.

– Powinieneś nauczyć się grać.

– Ja? A mógłbym? To możliwe?

– Mogę ci udzielić pierwszej lekcji.

– Teraz?

W oczach chłopca płonął tak żarliwa nadzieja, że Carla omal się zgodziła.

– Dość tego – wtrąciła się Alice. – Przynieś nam ziół, jeśli mamy ci przebaczyć. – Klepnęła go po plecach, wyganiając obu na schody. – Hugon jest wyrzutkiem, ale to poczciwa dusza. Wyraźnie odróżnia się od pozostałych, lecz jest za młody, by odkryć dlaczego, w jaki sposób. I cierpi za to. A gdy osiągnie wiek męski, będzie cierpiał bardziej.

– Nie byłam zwyczajnie uprzejma. Viola naprawdę przemówiła w jego rękach.

– Staruszka też to słyszała, jednak wielu jest takich, którzy przemawiają, a nigdy nie zostaną usłyszani.

Upał w izbie zelżał. Alice delikatnie – tak delikatnie, że Carla prawie nic nie poczuła – sprawdziła napięcie pępowiny, ale nie próbowała jej wyciągnąć.

– Świetnie – mruknęła. – Gdy poczujesz skurcz, możesz przeć, ale bez pośpiechu. Będzie trochę krwi, może nawet sporo, ale to normalne. A kiedy będzie po wszystkim, staruszka pomoże ci się wykapać. Tobie i twojemu skarbowi.

Po pewnym czasie pulsowanie pępowiny ustało i wtedy Carla poczuła mimowolny ucisk w gardle. Trudy ciąży, ból porodu, wszystko to było już tylko wspomnieniem. Zniosłaby tysiącrotnie gorsze niewygody, by choć przez chwilę móc tulić w ramionach córkę. Wypuściła pępowinę z ręki. Jedną więź trzeba było przerwać, ale inne już się narodziły, zbyt liczne i zbyt głębokie, by ogarnąć je umysłem, a przecież już tak dobrze jej znane. Spoglądając na twarzyczkę pożywiającej się Amparo, zastanawiała się, czy kiedykolwiek będzie miała ochotę patrzeć na coś innego. Poczła skurcz w brzuchu, ale po tym, co przeszła, właściwie nie była pewna, czy ten lekki dyskomfort zasługuje na miano skurczu.

– Jestem gotowa, mogę przeć.

Alice przyczłapała z misą wody i czystym ręcznikiem przewieszonym przez ramię. Potrzebowała chwili, by wyrównać oddech, nim pochyliła się i ruchem głowy dała Carli sygnał, że może zaczynać. Po chwili z krocza zaczęła się wysuwać błoniasta, sinoczerwona masa, której towarzyszył strumień krwi. Masując brzuch Carli, Alice delikatnie pociągała za pępowinę. Przy kolejnym skurczu i kolejnym parciu spora część łożyska – pokaźnego, mięsistego placka – wysunęła się wprost do jej rąk. Alice czym prędzej zawinęła jego brzegi do środka, co znacznie ułatwiło wypchnięcie go do końca. Co najmniej kubek krwi wsiąkł w ręczniki, ponieważ jednak Alice przyjęła ten fakt ze spokojem, Carla także nie widziała powodu do niepokoju.

– Pękłam?

– Nie, wszystko jest w najlepszym porządku. Chcesz obejrzeć?

Carla pochyliła się nieco do przodu, by zobaczyć łożysko rozłożone na ręczniku. Miało wielkość sporego talerza, a po tej stronie, z której wyrastała pępowina, było białawej barwy, podobnie jak błona płodowa, z marmurową mozaiką naczyń krwionośnych. Alice odwróciła je, by ukazać wewnętrzną stronę, przypominającą surowe mięso w kolorze czerwonego wina. Nacisnęła łożysko palcem.

– Zawsze trzeba zbadać tę wewnętrzną stronę, upewnić się, czy wszystkie płyty są całe. Jeśli czegoś brakuje, oznacza to, że zostały w macicy i mogą krwawić albo zacząć gnić. Ale jak widzisz, urodziłaś całutkie łożysko, powierzchnia jest równa, bez żadnej skazy.

Carla skinęła głową. Samo łożysko wydawało jej się zdumiewającym tworem, a zwłaszcza niezwykle było to, że to dzięki niemu jej ciało miało łączność z ciałem dziecka.

Alice odetchnęła ze świstem.

– Myślę, że możemy ogłosić, iż cud się dokonał. Wypada podziękować Matce Naturze, to jej geniusz czcimy w tej chwili. Co nie znaczy, że nie wolno ci się pomodlić do dowolnego boga czy bożka, jeśli masz ochotę.

Carla spojrzała bacznie na Alice, na jej twarz ściągniętą bolesnym grymasem. To nie był dla niej łatwy dzień, a może nawet był bardzo trudny, zważywszy na to, że z pewnością starała się nadrabiać miną. Szare, zimowe oczy błyszczały wprawdzie obietnicą kolejnej wiosny, ale można było odczytać w nich i to, że będzie to już ostatnia wiosna. Carla otworzyła usta, ale nie znalazła słów, które mogłyby trafnie oddać jej uczucia. Alice zacisnęła wargi, jakby w ten sposób chciała dać odpór spodziewanej fali nadmiernych sentymentów, Carla uznała jednak, że musi się zdobyć na jakiś gest.

– Proszę, potrzymaj Amparo.

Jej córka już spała, wciąż zaciskając na jej piersi usta zażółcone nalotem pierwszego mleka. Jedno spojrzenie na nią wystarczyło, by znowu się zachwycić.

– Pozwól Amparo pospać przy piersi, potrzebuje tego. Chyba nie sądzisz, że w całym tym rozgardiaszu miała czas na drzemkę? Moja radość może poczekać. Trzeba zająć się pępownią i nie tylko. A potem poprosimy o karafkę, staruszka zdążyła wyschnąć na wiór.

– To rzekłszy, położyła jedną dłoń na udzie, a drugą na łóżku, by wstać z niemalym trudem. Stała przez chwilę, oddychając płytko, a potem przemówiła, nie odwracając się: – Nie mogłaś wybrać piękniejszego imienia. Druga Amparo promienieje.

Alice upewniła się raz jeszcze, że pępownia już nie pracuje, a potem przewiązała ją sznurkiem i przecięła nożem. Kikut posmarowała maścią, a Amparo nawet się nie ocknęła podczas tego zabiegu. Uprzątnąwszy krwawe resztki, za pomocą gąbki umyła Carlę, która omal nie zasnęła podczas tego zabiegu. Potem razem wykąpały Amparo, wciąż smacznie śpiącą. Tylko jej usta rozchyłały się raz po raz, a oczy ukryte pod cieniutkimi powiekami poruszały się żwawo. Czasem machała też rączkami, jakby w nowym świecie nawiedził ją wyjątkowo ciekawy sen.

– Nie powinna więcej płakać? – spytała Carla.

– Nie dałyśmy jej powodu, jak na razie. Ale jeszcze zapłacze.

Grymonde wszedł do izby z tacą w rękach.

– Napar dla hrabiny Kukanii i karafka wina dla tutejszej królowej.

– Mów ciszej, mała drzemie.

Grymonde przyniósł też miód, którym Carla posłodziła zioła. Alice tymczasem wypła duszką cały kubek wina, a gdy odetchnęła z ulgą, jej syn napełnił go ponownie.

– W podwórzu pieką prosiaka – powiedział. – Czujecie zapach?

– Czy Estelle wróciła? – spytała Carla.

– La Rossa? Nie widziałem jej. Za dużo się tu dziś dzieje.

– Cokolwiek dzieje się tam na dole – albo w jakimkolwiek innym miejscu ludzkiej cywilizacji – nic nas nie obchodzi – odezwała się Alice. – I będziemy wdzięczne, jeśli powiesz swoim ulicznikom, żeby zajęli się własnymi sprawami.

– Chyba trzeba jej powiedzieć – rzekł z powagą Grymonde.

– Jeżeli trzeba coś zrobić, to idź i zrób to. Jeśli nie, zachowaj spokój i pozwól nam cieszyć się naszym, póki nie wydarzy się coś godnego uwagi.

– Powinam o czymś wiedzieć? – spytała Carla. W tym stanie trudno jej było wyobrazić sobie wiadomość, która mogłaby ją wytrącić z równowagi. Z podwórza dobiegły podniesione głosy, które wywołały w Carli nagłe poczucie winy: zupełnie zapomniała o Antoinette. – Czy chodzi o Antoinette? Zaniedbałam ją, cały dzień spędziła...

– Antoinette radzi sobie doskonale – wpadł jej w słowo Grymonde. – Gdyby została tu tydzień, rządziłaby nami wszystkimi. Nie o to chodzi. Czy ten twój mąż podróżnik, Mattias, nosi nazwisko Tannhäuser?

– O wilku mowa – mruknęła Alice.

Carla mocniej przytuliła Amparo. Jeszcze nie wiedziała, co powinna czuć.

– Tak. Mattias Tannhäuser. Jest kawalerem Zakonu Świętego Jana Chrzciciela.

– Zatem wszystko się zgadza.

– Co masz na myśli?

Nad Podwórzami przetoczył się pierwszy grzmot letniej burzy.

Grymonde zmarszczył czarne brwi i nie zważając na dezaprobatę matki, rzekł:

– Mam poważne powody, by wierzyć, że twój mężczyzna jest w Paryżu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Paul Papież

Atak na dom d'Aubrayów był konsekwencją umowy, którą Grymonde zawarł pięć dni wcześniej, dzięki mediacji Paula Papieża, w karczmie zwanej Ślepym Dudziarzem. Trzydzieści złotych *écus* oraz tyle łupów, ile uda się wynieść, obiecano mu nie tylko za zabicie wszystkich mieszkańców domu – ze szczególnym naciskiem na uśmiercenie dwóch dam – ale także za pozostawienie odpowiednio szokujących śladów zbrodni.

– Obetnijcie im cyce – poradził mu Paul. – Niech to będzie coś śmiałego i krwawego. Po prostu spuść swoich chłopaków ze smyczy. Żeby Les Messieurs mieli o czym plotkować. I niech się pocą w tych swoich jedwabnych pościelach.

Paul musiał przyznać, że wyczyn takiego kalibru z pewnością czyni przedsięwzięcie zdecydowanie bardziej niebezpiecznym – i ponoć właśnie dlatego zwrócił się od razu do Infanta Kukanii. Odbiciem niebagatelnego ryzyka była zaś wysoka cena, którą Grymonde od razu podbił do pięćdziesięciu, a gdy to się udało, miał już pewność: pomysł na tę zbrodnię zrodził się daleko poza granicami Podwórze. Pieniądze odpowiedziały mu wtedy na wszystkie pytania, których wolał nie zadawać; teraz jednak, gdy szedł do tłustego łajdaka Paula po pozostałą część wypłaty – dwadzieścia złotych *écus* – zamierzał dowiedzieć się więcej.

Schodząc późnym popołudniem ze wzgórza w stronę Les Halles i Ślepego Dudziarza, pomyślał, że oto po raz pierwszy za jego życia to właśnie tu, w labiryncie uliczek wśród Podwórze, jest najbezpieczniej w całym Paryżu. Nie było tu ani hugenotów, ani dóbr wartych zrabowania (prócz tych, które zrabowano wcześniej w innych częściach miasta), a nawet gdyby były, to nikt przy zdrowych zmysłach nie spróbowałby ich zdobyć. Co więcej, bandy złodziei i włóczęgów, żebraków i zdziczałych dzieci, które kryły się na co dzień we wszystkich ciemnych zaułkach tej dzielnicy, teraz opuściły swe tereny łowieckie. Kto żyw, szukał łupów w mieście ogarniętym pożogą, a dzięki królowi nie brakowało łatwych celów, którymi nie były wyłącznie domy protestantów. Bandyci z Podwórze choć raz mieli okazję wyrwać się z samego dna wielkiej kupy łajna zwanej Paryżem.

O dziwo, Grymonde, który urodził się tu i tu spędził większość nocy swego życia, a nigdy nie widział powodu, by wypuszczać się za mury miasta, zawsze czuł w głębi serca, że jego miejsce jest daleko stąd, poza granicami wspomnianej kupy.

Tego dnia przekonał się jednak, że jest inaczej.

Tego dnia coś gryzło go od środka niczym szczury La Rossy.

Gryzły go karty rzucone na stół.

Jak na ironię, Grymonde zdążył już przywyknąć do tego, co trawiło jego ciało: był wszak ciężko chory i w niejednym trupim dole znalazłoby się truchło o zdrowszych trzewiach. Umierał od lat. Wielki ciężar kości, całej głowy zdeformowanej ohydnyymi guzami, niekończący się ból stawów i dłoni, opuchnięty język – wszystkie te uroki syfilisu potrafił znieść, zignorować, a czasem nawet wykorzystać do swoich celów. Nawet smutny fakt, że jego kutas od dawna już służył wyłącznie do oddawania moczu, miał swoje dobre strony. Za cudzołóstwo zapłacił kawałkiem duszy; podobnie jak kurwy wiedział jednak, że w przeciwieństwie do pieniędzy duszy odzyskać nie można. Wszystko to było dla niego w miarę zrozumiałe: deformacje, ból, rany – tak działała Natura; widział wystarczająco wiele martwo urodzonych dzieci, by być tego świadomy. Gdy myślał o swej kondycji – nieważne, czy jej przyczyną była choroba czy zły duch – to tak naprawdę przerażały go sprawy, których pojąć nie umiał, choć widział je jak na dłoni.

Jego serce było coraz większe, rosło w piersi niczym wielki, czarny krab. Czuł, jak tłucze się pod żebrami, choć dawniej to się nie zdarzało. Niekiedy krab chwycił go za gardło, nie pozwalał oddychać. Nerki także szwankowały, miewał bolesne ataki, a czasem tylko zrywał się w środku nocy i szczał jak koń. Bóle głowy. Bóle brzucha. Niedawno choroba rzuciła się też na oczy: drżały czasem w niekontrolowany sposób, a wtedy widział podwójnie. Ludzie sądzili, że jest potężny, ale to nie była prawda.

Był trupem w szytych na miarę butach wielkości barek węglowych.

Zdążył już przywyknąć do tego, że gnije od środka, ale nie do szczurów, które tego dnia wgryzały się w jego trzewia, a to dlatego, że wbiły zęby w jedyny narząd, o którego istnieniu zupełnie zapomniał: w sumienie.

Próbował już zaspokoić ich apetyt barbarzyńskim okrucieństwem, ale się nie udało – omal nie udławił się krwią. Wtedy zmienił strategię: wyciągnął rękę, by pomóc: matce, Carli, dziecku. Alice jak zawsze miała rację, a on jak zawsze jej nie usłuchał, dlatego szczury wróciły z nowym zapalem, gdy wymienił w obecności Carli nazwisko Mattiasa Tannhäusera.

Nad miastem przetoczył się grzmot.

Zaczęło padać, ale upał wciąż był nieznośny.

Grymonde minął Cmentarz Niewiniątek, czując fetor, który nawet dla jego zahartowanych nozdrzy był trudny do wytrzymania. Karczma mieściła się po przeciwnej stronie.

Gdzieś tu, na terenie wielkiej nekropolii, gniły już ciała Gobbo i pozostałych zabitych przez Altana Savasa. Żaden z nich nie doczekał się ceremonii pogrzebowej, wedle tutejszych standardów oznaczającej krótszy lub dłuższy lot z trumny z klapą na zawiasach na dno jednego z olbrzymich dołów – każdy z nich miał sześćdziesiąt stóp głębokości i mieścił do tysiąca ciał – które wykorzystywano cyklicznie, stosując swoisty płodozmian. Trupy spoczywały w ziemi tylko do czasu, aż tkanki miękkie uległy rozkładowi i zamieniły się w tłustą zupę, na której powierzchnię wypływały same kości. Te z kolei wyławiano i gromadzono w ossuariach wzniesionych wzdłuż ogrodzenia cmentarza, służących równie dobrze jako zaciszne miejsca dla cudzołóżników i sodomitów. To jednak było tylko teorią, w praktyce bowiem z ludzkich kości wytwarzano często mączkę, a z tłuszczu – perfumowane mydełka dla Les Messieurs, którym, jak z tego wynika, nie wystarczało eksploatowanie biedoty za życia.

Zabijamy niewłaściwych ludzi, pomyślał Grymonde, nie po raz pierwszy zresztą.

Wreszcie ujrzał w strugach deszczu Ślepego Dudziarza.

Przystanął na chwilę, zanim przeszedł na drugą stronę ulicy.

Łatwo było udawać, że o niczym nie wiedział – w zasadzie była to prawie prawda. Nie potrzebował głębokich przeczuć, żeby wiedzieć, że oto ma przed sobą prawdziwe siedlisko zdrady: karczma Ślepy Dudziarz była dla zdrady tym, czym Stolica Apostolska dla spraw Bożych. Mógł więc przeczuwać, a nawet mieć pewność co do jednego: że szczury w jego trzewiach nie przestaną gryźć, ponieważ nad trupem demonicznego Turka Carla raz na zawsze obudziła w nim sumienie.

Może wrócić do domu d'Aubrayów? Do samego początku?

Przeczuwał, że powinien to zrobić. Gdy niedźwiedź chce zapolować na ogary, zaczyna od miejsca, w którym po raz ostatni dopadły swoją ofiarę. Tym razem ogar mógł więc wytropić niedźwiedzia wężącego na miejscu zbrodni. Ale właściwie dlaczego Grymonde miałby tam wracać? Nie widział dostatecznych powodów. Nie był niczym dłużnikiem. Tylko że tu nie chodziło o długi.

Grymonde chciał służyć Carli.

Nigdy nikomu nie służył, ale to uczucie było przyjemne.

Potrzebował informacji. Jeżeli Paul czasem nie wiedział o wszystkim, co warto było wiedzieć, jako pierwszy, to z pewnością dowiadywał się jako drugi. Wszak to on wysłał gońca z wieścią o masakrze w Luwrze, zanim jeszcze do niej doszło. Grymonde zaś miał powód, by się tu pojawić: reszta zapłaty.

Niech diabli porwą Szaleńca.

Grymonde przeszedł na drugą stronę ulicy i szarpnął drzwi karczmy.

Rankiem tego dnia, gdy matka wygoniła go z domu, by dał jej i Carli trochę spokoju, Grymonde poprowadził swe młode lwy z powrotem ku bogatszym dzielnicom Ville.

O rozkazie królewskim dotyczącym wymordowania hugenotów dowiedział się owej nocy, gdy szli już do domu wdowy d'Aubray. Był więc świadom tego, że po niedawnej rzezi protestanckiej szlachty, dokonanej przez Gwardię Szwajcarską, okolice Luwru będą najbardziej niebezpieczne. Dlatego prowadził swój oddział znowu na wschód, ku dzielnicom Saint-Martin i Sainte-Avoye, ostatnio modnym wśród zamożnych kupców i dobrze urodzonych.

Z zasady podobała mu się panująca w mieście anarchia.

„Nieuprawniona swoboda czy też samowola mas”, tak definiowali ją moiżni, w typowy dla siebie sposób pomijając kwestię własnej bezkarnej samowoli i swobody, którą gwarantowało im prawo. Grymonde właściwie nie winił ich za chciwość ani za ciągoty do bezsensownych wojen, za które znacznie ubożsi musieli płacić bólem i gotówką, ale miał im za złe jedno: nie lubił, gdy nazywali go przestępcą (choć zasadniczo był dumny z tego tytułu) ludzie, których sam uważał za najbardziej zepsutych i bezlitosnych bandytów. Cóż, takie jest życie. Głupcem jest ten, kto bierze na swoje barki brzemię rozmyślań o tym, co dobre, a co złe; tylko szaleniec próbuje żyć wedle zasad. Matka Natura jest wobec takich obojętna; w jej wieczystym rejestrze dobro i złe nie znaczą więcej niż deszcze i wiatry. Dla Grymonde'a zaś ważna była bieżąca chwila.

Zanim dotarli do murów Filles-Dieu, do oddziału dołączyła cała gromada nowych ochotników. Grymonde prowadził więc czterdziestoosobową drużynę, złożoną w większości z młodzików, wśród których znalazło się nawet kilka śmiałych dziewcząt. Zatrzymawszy się wreszcie, wdrapał się na wóz, by do nich przemówić:

– Posłuchajcie mnie, młode lwy. Król zdecydował, że wszyscy hugenoci w Paryżu muszą zginąć. Niech więc będą przeklęci, chyba że mają głębokie i mocno wypchane kieszenie. – Zauważył, że nawet jego najwierniejsi żołnierze spoglądają nań ze zdziwieniem. Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Król i jego wielcy doradcy włożyli w nasze ręce miecz chaosu – ciągnął, zaciskając wielki kułak, jakby rzeczywiście dzierżył broń. – My zaś użyjemy go, żeby im obciąć jaja!

Tym razem odpowiedziała mu fala niepewnego śmiechu, którą zresztą wzbudził własnym przykładem.

– Nasz cel jest jasny: brać wszystko, czego zapagniemy, od każdego, kto to ma. Od tych, którzy nie wiedzą, jak to jest zasnąć z pustym brzuchem. Od tych, którzy nie sądzili, że

kiedykolwiek przyjdzie im zapłacić za własną chciwość. Żaden z tych wieprzy nie jest naszym przyjacielem. W czasach głodu i oblężenia to my głodujemy za nich! To my giniemy na ich wojnach. To my własnym trudem spłacamy ich długi. Choćbyśmy żyli jak święci, w ich oczach zdychamy jako bandyci, dlatego dziś udowodnimy im, że potrafimy być gorsi, niż im się śniło w najmroczniejszych koszmarach. Dziś obnażymy kły, niech poczują, że potrafimy kasać. – Zaciągnął się głęboko powietrzem ulicy. – Czujecie już zapach ich pieniędzy?

Odpowiedział mu dziki, radosny wrzask młodocianych nędzarzy.

Kochali go. A Grymonde kochał ich.

– Zamieńmy serca w kamienie, a na tych kamieniach naostrzmy noże!

– Wyrznać piździelców! Wyrznać co do jednego! – wrzasnął Papin, wzbudzając tym prostym planem jeszcze większy entuzjazm towarzyszy.

– Rzućcie się na ich spokojne życie jak tygrysy. – Grymonde uniósł nad głowę zaciśniętą pięść. – Niech ich lament będzie waszą muzyką. Napelnijmy nasz róg obfitości ich krwią!

– Chwała Infantowi! – krzyknął Bigot.

– Nie, przyjaciele, nie. Bigot chyba zbyt wiele czasu spędza w kościele. Nie chwalcie mnie, chwalcie nas wszystkich, bo Kukania to my, a my to Kukania – razem odniesiemy sukces. A teraz podzielcie się na siedmioosobowe drużyny, bo to magiczna liczba. Niech w każdej z nich ktoś obwoła się kapitanem – choćby i dziewczyna, jeśli znajdzie się taka z godnym temperamentem. Każdy kapitan zaś niech wyznaczy gońca. Nasze drużyny będą jak roje bojowych pszczoł, skupionych głównie na gromadzeniu miodu, lecz gdyby któraś z nich napotkała opór, niech goniec czym prędzej sprowadzi pomoc. Strzeżcie się, bo mieszczanie z milicji nie są nam braćmi. Jeśli będziecie musieli walczyć, macie żądlić i uciekać, żądlić... i uciekać. Przyszliśmy tu, żeby zarobić, nie umrzeć. Biercie tylko to, co najcenniejsze, bo na wszystko nie starczy nam miejsca na wozach. Czujecie w sobie siłę?

Gromkie „tak” i kilka obsceniczných dodatków.

– Czujecie okrucieństwo?

Jeszcze dzikszy aplauz.

– Zatem bierzmy, co nasze! – ryknął Grymonde. – Jutra nie będzie!

Grymonde bardzo wątpił, by ów królewski dekret był prawdą. Krajem, co oczywiste, rządili skończeni imbecyle, ale nawet najgłupsze bydlę potrafiłoby przewidzieć, że wymordowanie czterdziestu tysięcy obywateli będzie zgubne dla miasta. Kiedy jednak dotarli do rue Saint-Martin, szybko wyzbył się wątpliwości.

Zatrzymawszy się, nie mogli oprzeć się wrażeniu, że uczestniczą w zbiorowej halucynacji: oto na krawędzi dachu czteropiętrowego budynku stali milicjanci pochłonięci bez reszty zrzucaniem w dół kolejnych członków hugenockiej rodziny.

Dzieci pofrunęły jako pierwsze, jedno po drugim. Saint-Martin była jedną z nielicznych brukowanych ulic. Na kamieniach leżały już trzy małe ciała, może ogłuszone, może połamane, może martwe. Cztery kolejne dołączyły do nich w kilka chwil. Szybowały w dół drżące, przerażone w równym stopniu perspektywą śmierci, jak wrzaskami niedzielnych żołnierzy. Grymonde nie mógł pojąć, jak to możliwe, ale spadały o wiele wolniej, a zarazem o wiele szybciej, niż się spodziewał. Leciały w milczeniu, może w tym tkwił sekret? Jakby wstrzymywały oddech, uczestnicząc w emocjonującej grze na przeczekanie. Najpierw łopotały ich ubrania, potem pękały kości w nogach, a czaszki z łomotem uderzały o bruk, wypływając mózgi. Mimo całej upiorności tej sceny Grymonde nie mógł się oprzeć wrażeniu, że te dzieci miały przynajmniej lżejszą śmierć niż mieszkańcy dom d'Aubrayów.

Teraz przyszła pora na trzy kobiety. Przecisnęły się kolejno przez niskie drzwi z poddasza, modląc się ze złożonymi rękami i szlochając, lecz na spotkanie śmierci mknęły z godnością, która musiała zawstydić oprawców, nawet jeśli w żaden sposób tego nie okazali. Hugenockie kobiety wierzyły w coś, czego Grymonde nie pojmował, ale gdy pomyślał o Carli, i jego ogarnął wstyd, a szczury w jego brzuchu zaczęły gryźć ze zdwojoną energią.

Spojrzał na swych uliczników. Mógł się jedynie domyślać, jak różne uczucia nimi targają, ale wiele oczu zwróciło się ku niemu jakby w nadziei, że wskaże im kierunek. Nie potrafił. Odwrócił się.

Dwaj hugenoci runęli z dachu, przyciskając do piersi Biblię, a po chwili ostatni z milicjantów zniknął na poddaszu. Od strony splątanej i krwawej masy ciał dobiegały żałosne jęki.

Grymonde przygryzł język. Rozejrzał się po ulicy. Jak okiem sięgnąć, grupki milicjantów – cztero- i pięcioosobowe – wyłamywały drzwi domostw toporami i drzewcami halabard, by wyciągnąć mieszkańców i zamordować ich z zimną krwią.

Nie wiedział już, co ma o tym wszystkim myśleć. Serce tłukło się w jego piersi niczym piekielny komornik u bram duszy. Usłyszał głos matki, ale nie rozumiał słów. Przez całe życie kochał ją, ale jej nie słuchał, ona zaś, choć także go kochała, podobnie jak on – nie słuchała: nie chciała pojąć, jaki szła go ogarnia na myśl o tym, że nie jest takim mężczyzną, jakim mógł się stać. O tym, jaki był dawniej, nie pamiętał już od lat.

Od rana nosił w żołądku ołowiany ciężar; do tej pory zaznał tego uczucia tylko raz, dawno temu, ale to wystarczyło, by nabrał niezachwianej pewności, nic bowiem w całym

świecie nie mogło ciążyć tak bardzo. Kochał Carlę. Nie wiedział, który demon sprawił mu tego psikus, ale udało mu się jak nigdy – między innymi dlatego, że tym razem Grymonde nie miał żadnych wątpliwości, że postawił na jego drodze kobietę wartą prawdziwego uczucia.

– Szefie? – odezwał się Bigot.

Grymonde machnął ręką, by go uciszyć, ale chłopak miał rację. Mieli tu coś do załatwienia. Milicjanci właśnie wychodzili z domu po drugiej stronie ulicy, z pustymi rękami, jeśli nie liczyć półpik, którymi bez słowa zaczęli dźgać ciała leżące na bruku. Jęki rannych nareszcie ucichły, a dzielni mieszczanie ruszyli dalej, by zająć się nowymi okrucieństwami.

Grymonde nigdy nie czuł się królem bardziej niż w tej chwili. Popchnął swój lud do działania mocą sprytnych słów, łechcąc tym własną próżność, ale jego duszę skazując na wieczne potępienie. Mógł teraz rozkazać im, by wrócili do domów. Mógł wymyślić nowe kłamstwo, by usprawiedliwić ów rozkaz. Podobnie jak wszyscy inni wierni poddani, przełknęliby każde gówno, gdyby władca sobie tego zażyczył. Lecz taka decyzja byłaby początkiem końca jego panowania. Prawdziwy król uczyniłby coś innego: zdjąłby koronę i zrzekł się władzy, ale czy w dziejach świata znalazł się choć jeden taki, nie licząc tych paru, którzy uczynili to z ostrzem noża przystawionym do gardła? Królestwo Grymonde'a było marne i ulotne, lecz czy inne czymś się od niego różniły?

Kochał Carlę i za tę sprawę gotów był oddać wszystko bez słowa skargi. Tyle że gdyby teraz zrezygnował, nie byłby to żaden wielki gest „za sprawę”. Carla uznałaby jego decyzję za zupełnie normalny akt elementarnej przyzwoitości.

Bojowy szal mógł ulżyć w bólu, który rozwiercał jego trzewia. Co do tego nie miał żadnych wątpliwości. Praktykowanie zła łagodziło cierpienia miłości znacznie lepiej niż każde lekarstwo. O tym także wiedział doskonale, ponieważ Alice nauczyła go, że zło nie jest żadną wieczystą i samoistną esencją, lecz ledwie rzemiosłem – praktyką, narzędziem – wymyślonym obok wielu innych po to, by zwiększyć władzę rządzących. Podobnie jak każdy inny król, Grymonde mógł rościć sobie prawo tylko do jednego: do mocy czynienia zła.

Być może był to nawet królewski obowiązek. Na to wskazywał przykład znanych mu władców.

Król obrócił się ku swej armii. Niektórzy z jego poddanych podjęli decyzję wcześniej i właśnie umykali chyłkiem. Nie zatrzymał ich. Spojrzał na Bigota, a ten cofnął się mimowolnie o krok, nie odważywszy się sięgnąć wzrokiem wyżej niż do piersi władcy.

– Wybrać drużynę, która zaopiekuje się dobrami z tego domu – rozkazał Grymonde.
– Druga pójdzie za milicjantami, żeby zebrać to, czego nie zauważą. Tylko mądrze i po cichu. Wchodzimy.

Bigot skinął głową, a Grymonde raz jeszcze spojrzął na swą zbieraninę uliczników. Jego czar jakby osłabł; nadal był królem, lecz nie lwów, tylko wron. Czuł, że poddani chcieliby przelewać krew. Balast w żołądku ciążył mu coraz bardziej, a serce kopało żebra ze wszystkich sił. Dał sygnał do akcji.

I wkrótce dostali swoją krew: spłynęła obficie ulicami. Wypełniła skamieniałe od upału koleiny wyżłobione przez koła wozów, połyskiwała na progach domów i zastygała w promieniach południowego słońca w wielkich, lśniących taflach, które trzaskały pod stopami idących. Zabijanie dla królów, zabijanie z obowiązku, zabijanie dla złota, zabijanie dla przyjemności, zabijanie w imię wiary – wszystko to sprowadzało się do jednego i zdawało się nie mieć końca. Grymonde nigdy nie był żołnierzem; wolał zginąć za własne zbrodnie, niż dać się zabić za cudze, a przecież i on przyszedł tu, by wykonywać żołnierskie rzemiosło: za pieniądze, których nigdy nie zdążyłby wydać, mordować wrogów swego wroga, przy okazji zmieniając chłopców w morderców i nie tylko. Niczym oszalone psy, które w stadzie owiec rzucają się do gardeł kolejnym ofiarom, choć wcale nie czują głowy, poddani Grymonde’a zapomnieli, że przyszli tu jedynie z żądzy zysku – wozy napełniły się co najwyżej w połowie. W upiornym upale szli od domu do domu, od ulicy do ulicy, od rodziny do rodziny; byli żebrakami, a konkurowali w okrucieństwie z milicjantami, którymi na co dzień gardzili. Pot i brud spływały po twarzy Grymonde’a, bo i on postradał zmysły, jak wszyscy. Właściwie działał bez celu, mimo to trwał na miejscu, nawoływał, inspirował. I nie był sam. Tu dwaj księża maszerowali pośród mordujących i pomordowanych, spryskując tych pierwszych wodą święconą wprost z połączonych aspersionów. Tam grupka szlachciców pod bronią siedziała na grzbietach dorodnych wierzchowców, przypatrując się rzezi, jakby była niewinnym turniejem; w końcu znudzili się i odjechali, by szukać innych przyjemności. Nadjechał herold w liberii, która musiała kosztować więcej niż jego koń. Zadał w trąbę – zaiste wydawało się, że to śmiała satyra napisana przez samego Boga, a wyśmiewająca Jego własne potknięcia – po czym oznajmił wszem i wobec wolę Jego Wysokości, który zalecał natychmiastowe przerwanie rzezi. W odpowiedzi posypały się w jego stronę kamienie i kawałki gówna. Uciekł jak niepyszny, tutaj bowiem królem i bogiem w jednej osobie była Śmierć, a jej poddanymi – wszyscy obecni, mordercy i pomordowani.

Lecz armia Grymonde’a kurczyła się w oczach.

Ci, którzy napchali za koszulę dość łupów – w większości bezwartościowych, krzykliwych bibelotów – wymykali się cichcem.

Ich także nie próbował zatrzymać.

Balast w żołądku stał się jeszcze cięższy. Grymonde widział jak przez mgłę i tylko obrazy inspirowane złem mnożyły się w jego umyśle. Przycisnął dłoń do oczu. Nie chciał już patrzeć na to, co się tu działo, nie był już częścią tego chaosu, przeciwnie: zawierał go w sobie. Całą tę krew, wymiociny, łzy, gówno, wrzaski, absolutnie wszystko, co go otaczało, mieścił teraz w kloacznym dole swego jestestwa. Wszedł na ganek jednego z domów, chwiejnym krokiem próbując uciec od karnawału śmierci, ale i za progiem, w czterech ścianach, nie znalazł wytchnienia.

W holu leżały nieruchome ciała, każde we własnej kałuży krwi. Z salonu dobiegało rytmiczne stękanie i żalosne jęki. Grymonde zawsze uważał, że sumienie to wynalazek służący podporządkowaniu biednych, ponieważ bogaci dziwnym trafem nigdy nie nadziewali się na jego ostrze; dlatego też gardził nim zawsze, tępił je, wyciszał, wmawiał sobie, że znajdzie inne wyjście. Teraz jednak wydobył spod koszuli dwulufowy pistolet i ostrożnie opuścił oba kurki.

A potem wtargnął do salonu.

Papin trzymał młodą kobietę leżącą górną połową ciała na stole, Bigot zaś trzymał jej pośladki mięsistymi, zakrwawionymi dłońmi i gwałcił ją. Twarz miał czerwoną od słońca i z wysiłku, bo nie pierwszy raz tego dnia wytężał siły, by zostawić ofierze pamiątkę z własnego nasienia. Obaj spojrzeli na szefa z przestraszeniem.

– Zostaw ją – powiedział Grymonde. – Wracamy do domu.

– Co znowu? – wystękał Bigot, przyspieszając ruchy.

Papin odstał od stołu.

– Zbierzcie ludzi i wozy. I zostaw ją w spokoju.

– Papin już zrobił swoje...

– Powiedziałem: zostaw.

– Powiedziałeś też, żebyśmy brali, co nasze...

Grymonde strzelił mu prosto w twarz, a Bigot pofrunął w tył i padł na podłogę jak manekin. Papin, słabo widoczny za chmurą dymu, w głębokim szoku spoglądał na leżącego, dysząc płytko. Wreszcie obrócił się w stronę drzwi, nie spojrzawszy nawet na Grymonde'a.

– Papin.

Zatrzymał się na progu, wciąż zbyt wystraszony, by się odwrócić.

– Wozy. Ludzie. Zaprowadź ich do domu.

Grymonde skierował lufę w stronę dziewczyny i położył palec na drugim języku spustowym. Uniosła głowę i cofnęła się odruchowo, bardziej na widok jego twarzy niż wycelowanej w nią broni. Zawahał się. Co właściwie robił? Dziewczyna spojrzała po raz drugi. Jej oczy błagały o litość, ale czy to oznaczało życie czy śmierć, tego nie umiał odgadnąć. Zablokował kurek i wsunął pistolet za pas, a potem chwycił dziewczynę pod ramię i pociągnął do pionu.

– Możesz iść?

Nie spytał jej o imię, a ona nie zamierzała się przedstawić. Milczała, podobnie jak on. Razem kluczyli uliczkami, zdążając w stronę Les Halles. Okolica wydawała się z każdą chwilą cichsza, ale nie spokojniejsza – zbyt wiele strachu wsączyło się w te mury, by zostało choć trochę miejsca na spokój. Z przeciwka nadeszła grupka milicjantów szukających kolejnych ofiar. Grymonde popatrzył na nich tak, że jak jeden mąż wbili spojrzenia w ziemię i oddalili się w milczeniu. Czuł, że z wolna odzyskuje jasność umysłu. Ucisk za oczami także ustąpił; widział coraz wyraźniej.

Zatrzymawszy się przy kościele Saint-Leu, zwrócił się do dziewczyny:

– Tu znajdziesz schronienie, jeśli chcesz.

– Muszę się ochrzcić?

– Ojciec Robert nie jest fanatykiem. Ale zapyta, czy chcesz.

Dziewczyna skinęła głową, nie patrząc mu w oczy.

W świątyni panował mrok, dlatego zanim coś zobaczył, usłyszał ciche, lękliwe głosy i ostrzegawczy krzyk. Kościół był pełen uciekinierów. Gdy po chwili ujrzał ich twarze, wyczytał w nich bez trudu, jak wielkie przerażenie wzbudził swym wejściem. Ranni leżeli na posadzce, a sędziwy kapłan chodził między nimi z dzbankiem w dłoni; musiał być głuchy, bo nawet się nie obrócił. Inny kapłan, znacznie młodszy, już się przeciskał w stronę Grymonde'a. Był strwożony i gniewny, ale wcale nie zamierzał tego ukrywać. Grymonde sporo o nim słyszał: był to ponoć duchowny wielkiej wiary, ale i głębokiego miłosierdzia. Nad tym, co ksiądz mógł słyszeć o nim, wolał się nie zastanawiać.

– Ojcie Robercie, będę wdzięczny, jeśli udzielisz tej dziewczynie schronienia.

Robert powitał ją skinieniem głowy i gestem wskazał drogę w głąb kościoła. Zawahała się.

– Obawia się, że za cenę bezpieczeństwa każesz jej przyjąć katolicki chrzest.

– Mademoiselle, przyjmuję cię tu bez żadnych warunków.

Dziewczyna wybuchnęła płaczem, a Robert skinął w stronę stojących opodal kobiet. Dwie podbiegły czym prędzej, daremnie starając się zamaskować obrzydzenie, które czuły na widok Grymonde'a. Odprowadziły dziewczynę ku pozostałym.

– Została wykorzystana – rzekł Grymonde.

– Nie będę pytał, przez kogo. Znajdzie tu delikatną opiekę. – Robert spojrzął na krwawe plamy na koszuli Grymonde'a. – To na ciebie wołają Infant.

– Jestem Grymonde.

– Wszystko jedno, jesteś tym samym czarnym charakterem. A teraz wyjdź. Płoszysz ludzi.

Grymonde sięgnął po sakiewkę.

– Zatrzymaj splamione krwią pieniądze – powstrzymał go Robert. – Szatańska moneta nie kupi ci zbawienia.

– Nie szukam zbawienia, a przynajmniej nie w tej świątyni kłamstwa. A z diabłem rozliczę się w dowolnej walucie, choć śmiem twierdzić, że to on jest moim dłużnikiem. Zachowaj tę pogardę na najbliższe spotkanie z biskupem, przyda ci się, gdy będziesz całował jego pierścień. A teraz posłuchaj. To szaleństwo – katolickie szaleństwo – potrwa jeszcze wiele dni i nikt nie przewidzi, jak daleko zajdą sprawy. Drzwi tego kościoła trzymają się jedynie na słowo honoru...

– Słowo Boże.

– Dziś jakoś mało kto zwraca uwagę na Jego słowa, a wśród tych, co głoszą bardzo dziwną ewangelię, jest paru twoich rzymskich braci. Nie odrzucaj więc dobrej rady: najmij *sergent*, by stanął na straży. Przyślę ci jednego. Naturalnie nie będzie służył za darmo. – Grymonde cisnął sakiewkę prosto w pierś Roberta. – Chrystus ci wybaczy, że płacisz szatańską monetą – dodał – nawet jeśli nie uczyni tego twoja duma. Masz tu wiele gąb do nakarmienia. Chyba rozumiesz, że nikt nie zechce żywić tych ludzi za darmo?

Robert zważył sakiewkę w dłoni, zaskoczony jej ciężarem. Grymonde ruszył w stronę wyjścia.

– Odprawię mszę za twoją matkę...

– Moja matka nie potrzebuje tych bzdur.

– Zatem pomodlę się za twoją czarną duszę...

– Wystarczy, że najmiesz strażnika.

W niedzielę całe Les Halles były jak serce, które przestało bić, ale w pozostałe dni tygodnia wytrwale napędzało krwiobieg miasta: z rąk do rąk przechodziły tu codziennie niezmierzone masy żywności, która następnie od świtu do świtu zniknęła w żołądkach paryżan.

Przez rue Saint-Denis gnano każdego ranka tysiące zwierząt hodowlanych, których mięso i narządy wewnętrzne miały zaspokoić apetyty i najuboższych, i najzamożniejszych klientów. Procesja kończyła się dla większości w jednej z cuchnących rzeźni, choć uboju niektórych dokonywano wprost na ulicy. Wraz z nimi nadciągały wozy pełne ryb, drobiu i dziczyzny, a także warzyw, wina i nade wszystko zboża, paryżanie bowiem kochali chleb bardziej niż Boga.

Król Franciszek, który miał świetne wyczucie w interesach, już w 1543 roku – tym samym, w którym Grymonde przyszedł na świat – nakazał przebudowę całej dzielnicy. Inwestycja trwała od tamtej pory, ale jej końca wciąż nie było widać.

Grymonde szybko nauczył się zagadywać, kraść, uciekać i sprzedawać w tej zaczarowanej krainie wyburzania i budowania. Na jego oczach niszczone domy, które zdążył pokochać, lecz na ich miejscu wyrastały nowe, które darzył równie silnym uczuciem. Zdarzało mu się mieszać zaprawę, kopać fundamenty, nosić cegły, deski oraz ołowianą blachę na dachy – a wszystko za symboliczną opłatą. Gdyby ktoś wpadł na pomysł, by znowu wszystko wyburzyć i zacząć od początku, pewnie potrafiłby pokierować robotami równie dobrze jak ktokolwiek inny. Był jednak bękartem z Podwórzcy, którego matka puściła się z jakimś bandytą, więc zdaniem miejscowych nadawał się wyłącznie do kopania rowów.

Mimo wszystko kochał to miejsce.

Les Halles, jak nazywali tę okolicę miejscowi, sięgały na północy do linii Truanderie, na wschodzie do Saint-Denis, aż po Châtelet, na zachodzie aż po kolonię handlarzy serem, a na południu aż po warzelnię soli opodal nabrzeża. Dawniej był to tyleż rozległy, ile skomplikowany labirynt uliczek między straganami. Nowe targowiska były już krytymi galeriami, z których każdą przeznaczono dla handlarzy innymi towarami – nie tylko żywnością. Swoje wyroby sprzedawali tu także kaletnicy, kuśnierze i tkacze, kto chciał, mógł kupić sztukę, buty albo i egzotyczne ptaki. Ponad galeriami wybudowano mieszkania, między nimi zaś wzniesiono kościoły, kamienice i rezydencje. Nie zapomniano też o publicznej fontannie i ośmiokątnym pręgierzu. Tu i ówdzie zachowały się także relikty starego rynku, w postaci niewielkich warsztatów rzemieślniczych.

W niedzielę nie było tu jednak ani tłumu ludzi, ani korowodów zwierząt – panował względny spokój, zakłócany obecnością wynajętych strażników, spacerowiczów, młodych kochanków oraz rozbrykanych dzieci. Ten dzień był wszakże wyjątkowy – zostali jedynie strażnicy, wzmocnieni dodatkowo większym niż zwykle oddziałem *sergents à verge* sprowadzonym z Châtelet. Tysiące hugenotów – oraz wcale niemała grupa pechowych

katolików – ginęło we własnych domach niedaleko stąd, ale nic nie mogło zagrozić miejskiemu targowisku.

Mijając kolejnych strażników, Grymonde pozdrowił ich skinieniem głowy. Wiedzieli, że kiedy trzeba, potrafi hojnie posmarować. Wiedzieli też, że na co dzień interesują go inne sprawy – ich chlebodawcy często zajmowali się upłynnianiem towarów, które dostarczał, czasem nawet kilkakrotnie tych samych, jeśli tylko mieli ochotę zdradzić mu, kto je nabył. Wszyscy tu byli współnikami w niekończącym się przestępczym cyklu zwanym Paryżem.

Grymonde wypatrzył strażnika Rody'ego przed warsztatem nożownika.

– Znosi się na deszcz – powiedział *sergent*, ruchem głowy wskazując na wschód.

– Czekaj na ciebie suchy posterunek. Ojciec Robert potrzebuje wartownika przy Saint-Leu. Zapłaci normalną stawkę, jeśli zgodzisz się postać. A jeśli nie potrafisz wydoić dwóch szefów jednocześnie, to czas najwyższy rzucić tę robotę.

– Słyszałem, że przechowuje tam heretyków.

– Nie obchodzi cię, czy zginą, czy będą żyć, więc co ci do tego?

– Ja dostałem rozkaz, więc rzeczywiście mnie to nie obchodzi, ale kiedy ty stałeś się dobrym samarytaninem?

– Jeśli nie chcesz tej roboty, to stąd już widzę trzech, którzy na pewno ją wezmą.

– Ależ chcę – odpowiedział prędko Rody. – Milicjanci nie odważą się wkroczyć do kościoła, i tak mają co robić. Osobiście nie powierzyłbym milicjantom nawet szuflowania gówna, bo pewnie utknęłyby im między zębami, ale jedno muszę im oddać: żołądki mają mocne.

– Châtelet w ogóle się nie wtrąca?

– Gdy to wszystko się skończy, milicjanci wrócą do domów. My nie możemy. Od nowego tygodnia zaczniemy znowu zbierać opłaty, nakładać grzywny. Lepiej, żeby nikt nas nie uważał za bandę morderców. Nawet mordercy.

– Ach tak. Ludzie z zasadami.

Rody parsknął śmiechem.

– Gdybyśmy nie utrzymali milicji z dala od rynku, mielibyśmy tu sterty trupów. Sami po cichu wyprowadziliśmy stąd hugenotów i oddaliśmy w ręce Garniera i Crucégo. Takie były rozkazy le Telliera. Poszli potulnie jak barany. Sądzili, że są aresztowani i posiedzą w Conciergerie. Po prawdzie to nawet tam trafili, ale prosto do podziemi, gdzie ich wyrznięto w pień. I to oni nas straszili piekłem, co? Garnier mówił, że złożył przysięgę

świętemu Jakubowi: chce własną ręką wysłać do diabła stu heretyków. No to mu pomogliśmy, na dobry początek.

Grymonde przypomniał sobie, że rankiem tego dnia zamówił prosiaka na rożen właśnie z rzeźni Garniera.

Rody mrugnął do niego porozumiewawczo.

– Wszystko to śmierdząca sprawa, ale niektórzy dobrze wyjdą na tym, co się tu dzieje. Korona ogłosi aukcję pustych domów. Choć oczywiście dobra, które w nich zostały, nie doczekają tego dnia... Jesteś zainteresowany?

– Jeśli będę, to wiem, gdzie cię znaleźć. Chwilowo mam dosyć tego szaleństwa.

– A u nas, o dziwo, święty spokój – odparł Rody. – Ale całe miasto napięte jak skóra na bębnie. I wszystkie bramy zamknięte.

– Wszystkie?

– Wszystkie. Jedyne porte Saint-Denis otworzą na chwilę o północy. Nikt przecież nie pozwoli, żeby tysiąc krów do reszty ogołociło przedmieścia. Milicja może mordować hugenotów, ale nimi się nie najemy.

– Słyszałeś może jeszcze coś ciekawego?

– Król chce, żeby zamieszki ustały. Możesz podać dalej.

Rody uśmiechnął się, ale Grymonde pozostał poważny.

– Jest coś jeszcze i można zarobić parę franków – przypomniał sobie *sergent*. – Dziwna sprawa akurat w takim momencie, kiedy, jak sam mówiłeś, mamy chaos w mieście. Ktoś chce odszukać pewnego człowieka.

– Nie jestem szpiclem.

– Ale masz swoich ludzi, a sprawa nie dotyczy waszej bandy. Ów jegomość jest kawalerem świętego Jana. Wielki, z białym krzyżem na piersi, śmiały jak mało kto. Ponoć wczoraj wieczorem zabił w pojedynku trzech hugenotów.

– I dlatego go szukają?

– A czy to sensowny powód? Châtelet nie może aresztować kawalera Religii jak pospolitego złodzieja. Na to trzeba zgody Parlamentu, króla, a może i samego papieża.

– Religii?

– Tak wołają na siebie kawalerowie świętego Jana. Mają własne prawa i wszyscy zostawiają ich w spokoju. Poza tym nikt nam nie mówił, że ów człowiek popełnił zbrodnię. Mamy tylko ustalić, gdzie się znajduje.

– Kto go szuka?

– Nie wiem i nie wiedział tego ten, kto mi o tym mówił, ani ten, kto mówił jemu i tak dalej. Nikt nic nie wie, poza tym, że człowiek jest poszukiwany w niezwykle pilnej sprawie. Może ma wyjątkowo wielkiego kutasa, a księżę d’Anjou właśnie poczuł potrzebę?

– Będę miał oczy i uszy otwarte. Jak on się nazywa?

– Mattias Tannhäuser.

Grymonde wydał usta, jakby to nazwisko nic dla niego nie znaczyło. Tak, to była jedna z niewielu zalet jego twarzy: wszelkie grymasy wydawały się dziwne i przesadne, co ułatwiało mu ukrycie prawdziwych intencji. Tym razem pomyślał, że nazwisko to niewiele znaczy, ale z pewnością więcej niż nic, za to instynkt podpowiadał mu, że znaczy bardzo wiele.

– Czymś jeszcze się wyróżnia?

Rody zmrużył oczy i zapatrzył się w niebo, szukając w pamięci szczegółów. Grymonde odetchnął z ulgą. Rody pływał niczym węgorz w morzu kłamstw – jak wszyscy w tym mieście – ale gdyby chciał coś ukryć, zdobyć się na podstęp, z pewnością bardziej by się postarał. To zaś oznaczało, że nie wiedział o związku między kobietą, którą widział rankiem na wózku Grymonde’a, a Mattiasem Tannhäuserem. Rody pokręcił głową.

– Nie.

– Zatem ten wielki kutas to nic pewnego.

– Tylko w snach mojej żony.

– Znikam. A żonie powiedz, że ojciec Robert płaci w złocie.

– Niby po co miałbym jej to mówić?

Grymonde zatrzymał się przy Fontannie Niewiniątek, by opłukać buty. Możliwe, że mimo wszystko chodziło o inną osobę, lecz z drugiej strony imię Mattias nie należało do popularnych – chyba że wśród Sasów, jak podejrzewał Grymonde. Rozmyślając o tym, poczuł, że ołowiany ciężar wciąż tkwi w jego brzuchu. Kochał tę kobietę, wybór był więc bardzo prosty: albo mógł się kierować uczuciami, albo je zignorować. Pamiętał o tym, by zmienić koszulę, zanim wszedł do izby porodowej, i bez względu na to, czy saski kawaler miał wielkiego kutasa czy też nie, jedno było pewne: manewr zadziałał.

Grymonde spojrział w słońce. Wciąż paliło i wciąż stało wysoko, ale już na zachodniej stronie nieba. Stracił poczucie czasu, trzeba było to nadrobić. Pospiesznie ruszył w stronę Kukanii.

Tannhäuser bez wątpienia szukał żony, ale Grymonde nie dawał mu szans. Inni mogą do niej dotrzeć szybciej, jeśli tylko dowiedzą się, że przeżyła – a dowiedzą się na

pewno. Maszerując, mamrotał przypadkowe myśli na głos, mając nadzieję, że nabiorą większego sensu.

– Morderstwo to nie kokardka dla ukochanej. Nie można go kupić dla kaprysu.

Ryzyko. Cena. Odwaga. Zbrodnia była tchórzostwem, ale sam pomysł wymagał żelaznej woli. Nie, nie samo morderstwo – cały plan. Knucie wymaga praktyki, w tym przypadku nawet wielkiej. Zleceniodawca nie po raz pierwszy zrobił zakupy na rynku śmierci. Grymonde pomyślał o Luwrze.

– Łajdaki.

Dlaczego strażnicy z Châtelet szukają Tannhäusera? Żeby mu powiedzieć? Pomóc? Ostrzec go? Ochronić? Może ten sam łotr, który zapłacił Grymonde'owi za zabicie Carli, próbował dopaść także Tannhäusera? Ale kto miałby życzyć obojgu śmierci i dlaczego? Grymonde przeżył całe życie wśród niegodziwców wszelkiej maści, ale nigdy nie spotkał nikogo, kto nienawistną żądzą mordu prowokowałby w mniejszym stopniu niż Carla. Choć z drugiej strony morderstwo rozwiązywało wiele problemów. W dniu, w którym nawet rodzina królewska odmalowała swój pałac krwią – krwią gości weselnych, krewnych i wiernych przyjaciół – wszystko było możliwe.

– Dziecko – mruknął Grymonde.

Czy dziecko mogło być powodem?

Może to Tannhäuser był prawdziwym, utajonym wrogiem?

– Nie byłby pierwszym mężem, który zapragnął pozbyć się żony.

Kto wie, od jak dawna Tannhäuser przebywał w Paryżu.

Grymonde otarł z oczu kurz i pot.

Bolał go mózg.

To dlatego nie należy zadawać pytań, pomyślał gorzko. Ani łamać warunków umowy.

Zatrzymał się, żeby oddać moc. Wiedział, że *sergents* nie pójda na Podwórze: cena – zarówno teraz, jak i w przyszłości – była zbyt wysoka. Lecz wcale nie musieli tego robić. Dla postronnego obserwatora Podwórze były monolitem, lecz jak większość świata w istocie były mozaiką spojona zazdrością i fałszem. Nie brakowało Grymonde'owi rywali, których można było kupić równie łatwo jak jego, zapewne nawet taniej. Dla większości z nich – choć nie dla niego – była to równie dobra pora na wojnę między bandami jak każda inna.

Ruszył dalej.

Nie powinien był zabijać Bigota.

Całe miasto w niespełna dwa dni wykonało dramatyczny skok: od radosnego świętowania do krwawego chaosu.

A wydarzenia mogły jeszcze nabrać tempa.

Trzeba działać sprytnie.

Przyspieszył kroku.

Trzeba wywieźć Carlę z Paryża.

Gdy wrócił, Alice zabroniła mu wspominać Carli o kawalerze.

Narodziny dziewczynki przynajmniej na chwilę wymazały z jego pamięci wszelkie troski. Carla zdobyła jego serce; zawładnęła nim bardziej niż ktokolwiek inny w jego życiu. Miał nadzieję, że nie widać tego po jego zdeformowanej twarzy. Zastanawiał się, czy matka o tym wie.

Nic się nie zmieniło przez lata: jej sprawna praca, sama jej obecność, nadal wprawiała go w swoisty trans. Wiedziała, kim jest jej syn. Odmawiała czerpania zysków z tego, co robił; nie chciała od niego nawet chleba. Nauczyła go żyć po swojemu, ale Grymonde odrzucił te nauki, nie potrafił jej naśladować. A ów sposób życia polegał między innymi na tym, że nigdy go nie krytykowała, bo jak mu kiedyś powiedziała, sam musiał dźwigać swoje brzemię.

Od dzieciństwa przyglądał się matce, jak doskonale radziła sobie z rodzącymi, z noworodkami, czasem w radości, czasem w żałobie, a czasem w dramatycznych okolicznościach. Więź, która połączyła ją teraz z Carlą, była jednak zupełnie odmienna. Zastanawiał się, co takiego zaszło między nimi. Skąd wzięła się ta więź, która sprawiła, że teraz lękał się o jej życie.

Wóz i konia mógł zdobyć bez trudu – miał dość złota, nawet jeśli pod wpływem impulsu zbyt hojnie obdarował księdza. Do bramy Saint-Denis nie było daleko, a połowa dochodów zatrudnionych tam mytników pochodziła z łapówek. Mógł wyprowadzić Carlę z miasta, zanim przez bramę wpłynie rzeka krów i owiec. Planowanie pomogło mu odzyskać spokój.

Powiedział Carli, że Mattias najprawdopodobniej jest w Paryżu.

Była wyczerpana porodem i owładnięta związanymi z nim silnymi emocjami, dlatego jeśli coś poczuła na tę wieść, zostało to skrzętnie ukryte, także dzięki temu zdumiewającemu, wrodzonemu spokojowi, który tak działał na Grymonde'a od pierwszej chwili, gdy się spotkali. Przez moment milczała, spoglądając na śpiące dziecko. A potem popatrzyła na Grymonde'a.

– Proszę, przynieś mi inkaust, pióro i papier. Muszę do niego napisać.

– Napisać? Niby o czym? Poza tym nie mamy takich przyborów.

– Gdy Mattias cię znajdzie, zabije cię. A wolałabym, żeby tego nie zrobił.

Godność Grymonde'a została lekko ukłuta. Zdążył już wyobrazić sobie jej męża jako szlachetnie urodzonego bubka, bo któż inny mógłby zdobyć serce kobiety takiej jak Carla? Urodziwy, dzielny, ale z pewnością nie na tyle, by zmrozić krew w żyłach króla Kukanii.

– Wzrusza mnie twoja troska o moje bezpieczeństwo. Ja jednak bardziej lękam się o zdrowie dobrze urodzonego pana, który właśnie teraz błąka się w samym sercu tego piekła.

– W tym sensie, który masz na myśli, Mattias nie jest dobrze urodzony. W walce dorównuje Altanowi Savasowi, a jeśli nie mówię, że jest od niego lepszy, to tylko z szacunku dla dzielnego Altana. Prawdą jest jednak, że w każdym aspekcie sztuki wojennej – a także sztuki przetrwania – mój mąż nie ma sobie równych.

Grymonde przypomniał sobie o detalu, nad którym wcześniej zbytnio się nie zastanawiał: o trzech Polakach zabitych w pojedynku. Polacy mieli opinię twardych. Zacisnął wargi.

– Wierzę twoim słowom – rzekł wreszcie – ale odnalezienie tego człowieka również nie będzie łatwe.

– On zaś odnajdzie ciebie, nawet jeśli zamurujesz się w najgorętszej z piekielnych otchłani.

Spokój, z jakim wygłosiła tę opinię, nieco go zirytował. Zastanawiał się, czy zdoła jej odplacić tym samym.

– Mam pytanie, które może cię urazić, lecz muszę je zadać.

Carla skinęła głową.

– Czy to możliwe, że mąż życzy ci śmierci?

– Nie.

– Możliwe, że stawką jest życie twego dziecka.

– Już dawno temu postawiłam wszystko, co mam i kim jestem, na miłość Mattiasa.

Alice spojrzała z ukosa na Grymonde'a.

– Choć raz w życiu usłuchaj. Carla nie chce, by jej mężczyzna skoczył ci do gardła, choć ma pełne prawo to uczynić. Nie chce też, żebyś ty zwrócił się przeciwko niemu.

– Mattias nigdy wcześniej nie był w Paryżu – dodała Carla. – I choć wierzę, że potrafi cię odnaleźć, jestem też przekonana, że ty mógłbyś odszukać go szybciej. List ode mnie wam obu oszczędziłby bólu.

Grymonde skinął głową, zadowolony, że przynajmniej doceniła jego zdolności bojowe.

– Carlo – odezwała się Alice – może po prostu przekaz mojemu synowi słowa, które mógłby usłyszeć wyłącznie od ciebie. Takie, o których twój mąż wie, że nikt nie wyrwałby ich z ciebie siłą.

Carla spojrzała na dziecko, a potem zapatrzyła się w dal. Po chwili zwróciła się do Grymonde'a:

– Powiedz mu, że nowy słowik czeka na jego ciernie.

– Nowy słowik czeka na jego ciernie? – powtórzył Grymonde.

– Tak. Użyj dokładnie tych słów.

– Zagadka. – Grymonde zmarszczył brwi. – Mam nadzieję, że starczy mu rozumu, by ją rozwikłać.

– Bardziej martwimy się o twój – odparowała Alice. – A teraz, skoro już wiesz, co masz robić, ruszaj. I nie daj się zwieść fałszywym cieniem. Kuglarz nie próżnuje.

– Znowu czytałaś w kartach.

– Włosy stanęłyby ci dęba, gdybyś wiedział, co mi zdradziły.

– Jeśli chodzi o Kuglarza, to masz rację – przyznał. – Coś jeszcze?

– Szaleniec wskazuje wyjście, jeśli ono w ogóle istnieje. Ostrze jest bliżej, niż sądzisz. Cokolwiek planujesz, wiesz znacznie mniej, niż ci się wydaje. A jeśli nie można wiedzieć wszystkiego, lepiej nic nie wiedzieć. Łatwiej wtedy dostrzec, z czym ma się do czynienia.

– Znowu zagadki.

– Znam cię. Nie próbuj udawać sprytniejszego, niż jesteś. Myśl żołądkiem, nie głową.

Grymonde spojrzał na Carlę, licząc na konkretniejsze wskazówki.

– Jak wygląda twój mąż?

– Ma czterdzieści cztery lata, jest trochę wyższy od ciebie, ma włosy w kolorze brązu. Gdy na ciebie spojrzy – Carla wskazała na twarz w taki sam sposób, jak kiedyś uczynił to Grymonde – nie poczuje odrazy. Wszystkie jego cechy, o których już ci opowiadałam, odczytasz z jego niebieskich oczu.

– To mi wystarczy.

– Skąd wiesz, że jest w Paryżu?

– Usłyszałyśmy już tyle, ile nam potrzeba, skarbie – wtrąciła Alice. – W tej chwili przede wszystkim musisz się porządnie wyspać.

Carla zastanowiła się, a potem skinęła głową.

– Przynieść ci mięsa? Może coś do picia? – spytał Grymonde.

Carla pokręciła głową. Ruszył w stronę drzwi.

– Grymonde – zawołała. – Dziękuję. I powodzenia.

Skinął głową.

– Nowy słowik czeka na jego ciernie.

W swym pokoju, tuż obok izby porodowej, nabił pistolet i ukrył pod ubraniem dodatkowe dwa noże: jeden przypiął do lewego przedramienia, a drugi wsunął do lewego buta. Był już na schodach, gdy dostrzegł kątem oka karty leżące na stole. Instynkt kazał mu iść dalej. To nie były jego karty. Alice z pewnością jednak układała je po to, by odczytać jego przyszłość, a on wiedział już co nieco: Kuglarz i Szaleniec mieli wziąć udział w rozgrywce. Ale która karta leżała na pierwszym miejscu?

Podszedł i spojrział.

Anima Mundi.

Nie wątpił, że to Carla.

Poczuł ucisk w gardle, zobaczywszy pozostałe karty.

Sąd. Ogień. Śmierć.

Grymonde ruszył na południe, w stronę Ślepego Dudziarza.

– Czy wiesz – spytał Paul – ile pieniędzy można zarobić na gównie?

Paul Papież był na swój sposób nie mniej groteskową postacią niż Grymonde. Nosił purpurową szatę z gęsto tkanego jedwabiu, nasączoną w równym stopniu perfumami oraz potem. Był gruby jak beczka, a jego otłuszczone ramiona przypominały wzdęte jelito świeżo ubitej świni. Tłuszcz piętrzył się też pod pachami Paula i na brzuchu przesłaniającym uda – a każde z nich było tak grube, że można by je osiodłać – wylewające się spod szerokiego, obleśnego fartucha. Na wielkim brzuchu leżały zaś obwisłe, grube cycki. Policzki i podgardle spływały miękkimi fałdami na pierś i ramiona. Tonęła w nich normalnych rozmiarów głowa, która w porównaniu z resztą ciała wydawała się nedorzecznie mała. Paul był po pięćdziesiątce, ale napięta sadłem skóra sprawiała, że wyglądał młodziej. Był prawie łysy; tylko nad uszami zwiślały pojedyncze pasma kręconych włosów.

Grymonde czekał na rozwinięcie złotej myśli.

– Bo wszystko kryje się w liczbach – ciągnął Paul.

– A ty jesteś mistrzem liczb.

– One zawsze utrzymują się na powierzchni. Liczby to przyszłość. Pozwól więc, że objaśnię ci, jak można dojść do tych naprawdę wielkich. To miasto wkrótce utonie w gównie, o czym wszyscy wiedzą. Dlatego Bureau de Ville zamierza płacić za jego wywożenie. A chłopstwo z okolicznych wioch zapłaci po raz drugi, żeby kupić tak świetny nawóz.

Zacznijmy skromnie: powiedzmy, że za wóz ładunku weźmiemy tylko jednego białego franka. Kto chciałby przerzucić tyle gówna za marnego franka? Na pewno nie my, ale są tacy, dla których to godziwy zarobek. Ale najważniejsze są liczby. Pewien uczony uważa – nie pytaj mnie tylko, jak to sprawdził – że do zapełnienia jednego wozu dziennie potrzeba gówna od trzystu ludzi. Ale, jak mówię, nie bądźmy chciwi. W skali miasta daje to osiemset... nie, weźmy połowę: czterysta wozów dziennie. Odejmijmy posty, święta, zarazy – niech będzie, że mamy trzysta dni pracy rocznie, po czterysta wozów każdy. Masz pojęcie, ile to franków?

– Pewnie starczyłoby na wino i żarcie dla ciebie... przez tydzień.

Paul zatrząsł się ze śmiechu, a potem opadł na wielką kanapę, podpartą kłocami drewna i obitą wytartym, srebrzystym pluszem, pokrytym niezliczonymi plamami. Przy każdym jej końcu trzymał straż muskularny typ należący do licznej ekipy osiłków oficjalnie pełniących funkcję osobistej ochrony, a mniej oficjalnie – służących do znacznie bardziej prozaicznych celów: to oni pomagali mu wstać, ubierali go i rozbierali, a także wykonywali wiele mniej zaszczytnych czynności składających się na opiekę nad, w gruncie rzeczy, olbrzymim dzieckiem.

Musieli być mocni, by sobie z nim poradzić, ale ich postura przydawała się i w innym celu: dzięki nim dwór Paula wzbudzał strach, przynajmniej u niektórych jego gości. Zgiełk i przemoc były w Ślepym Dudziarzu prawie nieznanne; tego typu atrakcje łatwo było znaleźć w stu innych karczmach. Dudziarz był bowiem miejscem, w którym ubijało się interesy, a Paul był bardzo zamożnym człowiekiem. Należały do niego liczne stragany w Les Halles, rzeźnia, kilka lokali oraz sporo przynoszących zyski przybytków, o których istnieniu wiedziało niewiele osób. Potrafił czytać umowy równie dobrze jak ojcowie miasta, po łacinie, po włosku, po angielsku i po francusku. Wszyscy liczący się łajdacy z Ville – działający po obu stronach tego, co w stolicy uchodziło za prawo – prędzej czy później potrzebowali jego usług, a jedno ich słowo wystarczało, by w Dudziarzu zawsze panował spokój. Nikt nie ufał Paulowi, ale ufać musieli wszyscy. Jeżeli zdradzał, to rzadko i nigdy w taki sposób, by można mu to było udowodnić. Zresztą ci, których zdradził, nigdy się nie mścili, bo nie było ich już wśród żywych.

Bystrzejszy z dwóch osiłków podniósł rękę, by odpowiedzieć na pytanie Papieża.

– Maurice chciałby, żebyś go uznał za wybitnego matematyka – rzekł Paul. – Ale prawda jest taka, że słyszał już te wyliczenia. Bardzo to nieuczciwe z twojej strony, Maurice.

Maurice opuścił rękę, za to zza pleców Grymonde'a dobiegł dystyngowany, męski głos:

– Sto dwadzieścia tysięcy franków rocznie.

Karczma była długim i wąskim pomieszczeniem. Wzdłuż jednej ściany ciągnął się bar, a za nim pomost z beczkami win. Kanapa Paula stała w głębi, a Grymonde siedział na krześle zarezerwowanym dla tych, którzy dostąpili zaszczytu audiencji u Papieża. Odwróciwszy się, zobaczył przy jednym ze stolików niewysokiego eleganta w drogim – jak na warunki Ślepego Dudziarza – aksamitnym ubraniu w kolorze butelkowej zieleni. Wokół obu ramion miał zawiązane białe opaski, a na wypadek gdyby ktoś jednak ich nie zauważył, na kapeluszu nosił jeszcze biały krzyż. Przyglądał się Grymonde’owi z nieukrywaną odrazą i jakby złośliwie.

– Kolejny matematyk – powiedział Paul, kierując mętne oczy w stronę klienta lokalu. – I na dodatek podsłuchuje. Już ci mówiłem, mój panie, że wysłucham cię wtedy, kiedy znajdę na to czas.

Gość otworzył usta, zapewne po to, by dać wyraz poirytowaniu, ale rozmyślił się i wrócił do przerwanej zajęcia: wpatrywania się w kubek wina i zabawy kilkoma monetami leżącymi na stoliku.

– Wygląda na to, że wywózka gówna już się zaczęła: w małych, zielonych, aksamitnych woreczkach – stwierdził Grymonde, po czym spojrzał na Paula. – Jedyna kwota, która mnie teraz interesuje, to dwadzieścia w złocie.

Paul wyciągnął rękę, a Maurice bez słowa włożył w nią mieszek.

– Spodziewałem się, że przyjdiesz wcześniej.

– Byłem zajęty, Paul.

– Ano tak, słyszałem, że sporo się działo.

– Trzeba było kazać chłopaczkom, żeby wyburzyli ścianę. Wynieśliby cię na zewnątrz, popatrzyłbyś sobie.

Paul zaśmiał się i rzucił sakiewkę. Monety zadzwoniły w dłoni Grymonde’a.

– Co się stało z tą drugą kobietą? – spytał Paul.

– Chciałeś powiedzieć: z trzecią. Leży w szambie na tyłach Saint-Martin. Wzięliśmy też małą dziewczynkę. Powiedzmy, że ją przygarnęliśmy. Taki kaprys albo ręka Boga, wszystko jedno. Tak czy inaczej, zostanie z nami.

– Zapłacono ci, żebyś zostawił wyraźny ślad.

– Porzygałbyś się, gdybyś zobaczył, co zostawiliśmy.

– To było bardzo konkretne zlecenie, Grymonde. Chodziło o dwie kobiety, a przede wszystkim o damę z południa.

– Powiedziałaś: zabijcie wszystkich, więc zabiliśmy wszystkich, prócz tej jednej małej dziewczynki. Skąd mieliśmy wiedzieć, kto jest kim? – Grymonde wyczuwał, że to

marna wymówka, dlatego mówił dalej: – Moi chłopcy mieli prawo do odrobiny rozrywki, a czas naglił. Turek okazał się istnym szatanem, o czym chyba zapomniałeś nas uprzedzić. Straciliśmy sześciu ludzi, i dzięki szczęściu tylko tylu. Przepraszam nie będę. A jeśli potrzebujesz damy z południa, to pokażę Maurice'owi, gdzie może ją znaleźć. Niech ją wyłowi z kloacznego dołu i przytarga tutaj.

Maurice nerwowo przestąpił z nogi na nogę. Paul przyglądał się Grymonde'owi przez długą chwilę.

– Nie stać mnie na spory z tobą, Paul – przyznał w końcu Grymonde. – Oddam pięć *écus d'or*, ale nie więcej. Za tyle możesz kupić nawet tego zielonego kmiota, niech ci przyniesie trupa.

– To nie moje pieniądze – odparł Paul. – Chodzi o to, że ten, kto zapłacił, nie dostał tego, czego chciał.

– A kto mu o tym powie? Do diabła, w takim dniu jak dzisiejszy nikt chyba nie liczył ciała zabitych. Mógłbyś wyjść nago na ulicę i nikt nawet nie zwróciłby na ciebie uwagi.

– Słusznie. I wyznam, że i mnie nie stać na spory z wielkim Infantem Kukanii. Gdy w końcu będą nas wieszać, przyjacielu, ściągną na place de Grève takie tłumy, jakich jeszcze tam nie widziano. Nie możemy im tego odmówić.

Paul uśmiechnął się, a Grymonde odpowiedział tym samym. Poczul, że całkiem nieźle wybrnął bezczelnym kłamstwem z kłopotów.

– Mam dla ciebie łakomy kąsek lub dwa – powiedział. – Świeża sprawa, przynajmniej dla mnie.

– Świeże smakowite kąski to moja specjalność.

– Otóż ludzie z Châtelet usunęli z rynku sporą grupę heretyków, którzy... już tam nie wrócą. Ich dobra zostaną zlicytowane, ale te najciekawsze będą do wzięcia już dziś wieczorem. Gadaj z Rodym.

– Rzeczywiście smakowita rzecz. A co się stało z twoim apetytem?

– Dziś już dwa razy załadowaliśmy nasze wozy. Poza tym mama nie najlepiej się czuje.

– Nigdy nie ufaj człowiekowi, który nie dba o własną matkę.

– Kolejny kąsek to małe piwo: Rody wspomniał, że Châtelet szuka jakiegoś kawalera z Zakonu Świętego Jana. Zapomniałem imienia... Mattiasa. Nazwisko miał zagraniczne.

Paul przyjrzał się bacznie Grymonde'owi, a potem rzekł:

– Tą sprawą już się zająłem.

Grymonde nie czuł się teraz tak bezczelnie pewny siebie. Nie wiedział, jak podjąć wyzwanie. Nie bądź zbyt szczywany, upomniał się w duchu. Tak, wystarczy po prostu „szczywany”. Instynkt nakazywał mu milczeć, ale zignorował jego podszepty.

– Będę coś z tego miał?

– Jak powiedziałem, już zająłem się sprawą. Poza tym twoja matka nie najlepiej się czuje.

Grymonde wyczuł ruch za plecami. Odwrócił się. Mały zielony kmiot oddalał się właśnie, idąc wzdłuż baru.

– Wieczorem zapraszam na muzykę! – zawołał za nim Paul. – Będzie harfista z uroczym głosem!

Klient zniknął za drzwiami. Grymonde przygryzł język. Zastanawiał się, czy naprawdę odbędzie się koncert, czy to tylko szyfr. Z Paułem niczego nie można było być pewnym.

– Ani cierpliwości, ani manier – skomentował Papież. – A ty przegapiłeś okazję na niezły zarobek.

– W zamian za co? – spytał Grymonde, odwracając się.

– Za głowę kawalera. To nie byle co, ubić członka Religii – jego bracia wzięliby to sobie do serca i szukaliby pomsty. Nie wiem nawet, czy ktokolwiek odważył się kiedy spróbować. Ale pewni ludzie sądzą, że jest na niego sposób: można go najpierw oczernić, by związać braciszkom ręce.

Grymonde przyglądał się Paulowi, zastanawiając się, dokąd zmierza ta opowieść.

– Oczernić?

– Wydaje się, że Tannhäuser – bo tak brzmi jego nazwisko – zwyczajnie oszalał. Zamordował żonę i kilkunastu świadków. Możliwe, że jej zwłoki porzucił w szambie.

Grymonde poczuł w głowie falę gorąca pulsującą w rytmie serca.

Kuglarz nie tylko nie próżnował; Kuglarz był gotów zatańczyć na jego grobie. Paul Papież nie miał zwyczaju plotkować. Każde jego słowo – i opowieści o gównie, i na pozór lekkie żarciki – służyło jakiemuś celowi. Nieustannie przestawiał pionki i figury na szachownicy z tysiąca pól. Fala gorąca w głowie Grymonde’a osiągnęła punkt wrzenia, za to w brzuchu panował spokój. Dla Carli gotów był choćby i zburzyć tę budę, ze wszystkimi w środku. Nie odwracając głowy, przywołał z pamięci obraz sali. Kilkunastu ludzi. Trzech, może czterech, na których trzeba było uważać. Żadnych kobiet – Paul nie znosił ich zalotnej natury i gadulstwa. Grymonde czuł na skórze dotyk pistoletu i noży. Najpierw Maurice i jego

towarzysz. Wzruszył ramionami, żeby rozluźnić mięśnie. Lecz zanim przemówił, dostrzegł w oczach Papieża coś, czego nie było tam nigdy wcześniej: strach.

– Nie pogrywaj ze mną w ten sposób, Paul, bo zaraz mogę tę gierkę zakończyć.

Maurice uświadomił sobie, że po raz pierwszy w swej karierze podcieracza tyłka może być zmuszony do narażenia życia w obronie szefa. I że najprawdopodobniej je straci. Poruszył się nerwowo i zerknął na kolegę.

– Spokojnie, Maurice – odezwał się Paul. – Ty też, Od, bo jeśli nie przestaniecie, zrobi się gorąco. – Ochroniarze zamarli, a Paul spojrział w oczy Grymonde'a. – Pokój, Grymonde, pokój. No pewnie, że sobie z tobą pogrywam. Nie umiałbym nawet zaśpiewać dziecku kołysanki, nie robiąc z tego przedstawienia. Równie dobrze mógłbyś kazać mi schudnąć. Ale i ty grasz, przyjacielu. Nie przyszedłeś tu po złoto. Przyszedłeś usłyszeć właśnie to, o czym ci mówię.

– A po co mi o tym mówisz?

– To już moja sprawa. Element zupełnie innej gry. – Paul pochylił się nieco, na tyle, na ile pozwalała mu jego tusza. – Mógłbyś jednym kopniakiem rozwalić naszą szachownicę, dobrze o tym wiem. Właśnie dlatego jesteś Infantem Kukanii. Gdy zechcesz tupnąć, ziemia drży. Ale ta gra się nie skończy, bo inni będą ją ciągnąć beze mnie. Ale beze mnie ty przegrasz.

– A z tobą?

– Możliwe, że też. Na tym polega gra.

– Ale ty zarobisz bez względu na to, kto wygra?

– Dlatego nazywają mnie Papieżem.

– W takim razie mów, co masz do powiedzenia. I nie karm mnie kłamstwami.

– Nie pamiętam, kiedy po raz ostatni skłamałem. Nie pamiętam, żeby było mi to do czegokolwiek potrzebne. To tępe ostrze, a na dodatek zawsze kruche. A piękno życia w świecie kłamstw polega na tym, że moje ostrza są pierwszorzędne i człowiek nawet nie czuje, gdy podrzynają mu gardło. A przy okazji: to prawda, trzystu ludzi wystarczy, by w jeden dzień zapełnić wóz gównem.

– Zatem twoi zabójcy ruszyli za Tannhäuserem.

– Najlepsi, jakich udało mi się znaleźć. Weterani wojen. Jest ich pięciu.

Grymonde wyduł usta.

– Wiem – zgodził się Paul. – Ale pieniądze nie grały roli. Nie ryzykuj, powiedzieli. Jeśli to możliwe, chcemy dostać go żywcem, powiedzieli. Tylko że dla tej „możliwości” moi chłopcy nie będą ryzykować życia.

– To chyba zależy od tego, jak dużą tamci oferują premię.

Paul rozsiadł się wygodniej i uśmiechnął, co miało oznaczać, że duża.

– Dokąd go zabiorą? Albo jego głowę?

Paul wskazał kciukiem za siebie.

– Popilnują go tu, na tyłach, aż zleceniodawcy się zgłoszą.

Grymonde milczał.

– Ale na tej kobiecie strasznie im zależy – ciągnął Paul. – Nie powiedzieli dlaczego, ale skoro rano mieli jakieś ważne powody, to chyba tym bardziej teraz? Oto, jak się tu rozwiązuje intrygi: zaczynają spadać głowy tych, którzy wcale się tego nie spodziewają. Kto wie, co się jeszcze okaże za sprawą damy z południa? Oni nie pozwolą jej uciec. Zwłaszcza teraz, gdy już wiedzą, że jest w twoich rękach.

– Skąd?

– Gdy się okazało, że nie ma jej ciała, powstały pytania. Pojawiły się plotki. Moja wiara w ciebie nie wystarczyła, by ich uspokoić. A twoja opowiadka o trupie w szambie tylko utwierdziła ich w podejrzeniach.

Grymonde poczuł, że krople deszczu i brudnego potu ściekają mu po czole, ale nie otarł ich.

– Ten mały, zielony kmiot... Wystawiłeś mnie jak kozła na ofiarę.

– Nic podobnego, przyjacielu. Przecież nie musiałeś zabierać Carli do domu. I nie musiałeś tu przychodzić. Nie musiałeś też opowiadać mi bajek, w które nie uwierzyłby nawet Maurice. Ja zaś ostrzegłem cię całkiem jawnie, że ów człowiek podsłuchuje.

Grymonde poczuł, że coś się w nim gotuje. Prawda Paula Papieża istotnie była ostra. Znowu poczuł mrowienie na skórze: wciąż miał swoje wierne noże.

– Kogo posłałeś po Carlę?

– Nikogo – odparł Paul. – O to mnie nie poproszono. Zresztą nawet gdyby zaszła potrzeba, nie wiedziałbym, kogo posłać. Z prawdziwie twardych ludzi żaden nie jest dość głupi, by zapuścić się do Kukanii. Najemnicy nie lubią ryzyka, to dlatego trzeba im słono płacić, by je podjęli. A ja nawet nie wiem, gdzie szukać tej twojej kobiety, więc cóż miałbym im powiedzieć? – Paul przez chwilę patrzył w oczy Grymonde'a. – Nie wiem nawet, jak odnaleźć Kukanię. Nigdy nie było mi to potrzebne. Tu jest moja kraina szczęśliwości.

– Ale znasz ludzi, którzy wiedzą, gdzie szukać.

– Mały, zielony kmiot najprawdopodobniej też wie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nie pytał mnie, gdzie ma jej szukać – wyjaśnił Paul. – Co oznacza, że prócz mnie muszą mieć i inne źródła informacji. I to nie były jakie.

Prawda, kłamstwa, intryga. Grymonde przestał zmuszać się do myślenia. Posłuchał instynktu.

– Rody.

– Poborca opłat.

Grymonde pokręcił głową.

– Châtelet – uściślił.

– Nie jestem pewny, więc powiedzmy, że nie będę snuł domysłów.

Paul nie kochał komorników i innych funkcjonariuszy Châtelet, ich chciwości i hipokryzji, ich niezaspokojonego apetytu. Reguły gry stały się nieco bardziej przejrzyste: gdyby Grymonde zdołał jakoś zadziałać na niekorzyść ludzi z Châtelet, w żaden sposób nie kierując podejrzeń w stronę Papieża, spasiony wieprz byłby zachwycony. Gdyby jednak Grymonde poszedł na dno, Paul mógłby twierdzić, że im pomógł. Poza tym zależało im na schwytaniu Tannhäusera żywcem i nadal poszukiwali Carli, mimo totalnego chaosu panującego w mieście.

– Ty i pięciu zabójców to jeszcze nie oficjalne śledztwo.

– A od kiedy to większość szaleństw Châtelet ma oficjalny charakter?

– Mówiłeś, że mamy obciąć im cyce. Powiedziałbym, że ktoś tu wręcz dyszy nienawiścią.

– Nigdy jej nie brakuje. Jest jeszcze większą głupotą niż kłamstwa.

– Kim był ten kmiot?

– To mały lizus dworski. Christian Picart, urzędnik z Luwru. I pisarz.

– Pisarz?

– Wysmarował kiedyś sztukę teatralną, której nikt nie oglądał. Teraz pisze głównie zięjące nienawiścią traktaty dla jednej z konfraterni. To odłam milicji, Pielgrzymi Świętego Jakuba. Mały Chris – tak go nazywają, bo jego kutas zmieściłby się w napałku i jeszcze byłoby miejsce na kciuk.

– I ten właśnie kmiot mnie wynajął?

Paul wzruszył ramionami. Z dawnej prawniczej kariery zostały mu między innymi takie wyćwiczone gesty.

Grymonde analizował sytuację z podobnego punktu widzenia.

Gdyby zachował dla siebie pozyskaną właśnie wiedzę, mógłby powiedzieć Carli – i nie skłamać – że nie ma pojęcia, gdzie jest jej mąż. Typowo prawnicza prawda. Gdyby

szczęście dopisało pięciu zabójcom, Carla została sama, pod jego opieką. W opuchniętym sercu Grymonde'a z wolna narastała tęsknota. Nie, nie potrzebował dzielić z nią łoża; nawet nie zamierzał próbować. Wystarczyłoby, że Carla by go zaakceptowała, gdyby tylko wyrzekł się zła, a był gotów to zrobić. Właściwie już to uczynił. Oczami wyobraźni zobaczył twarz matki, jej oczy, szare jak wiatr, wpatrzone w jego źrenice. Dostrzegł jej miłość. Dostrzegł ból i niezmiernie rozczarowanie.

Zacisnął pięści.

– Zapłacił też innym bandom z Podwórzy, by zwróciły się przeciwko mnie?

– Nie – odparł Paul. – Ale w twojej sytuacji uznałbym to za marną pociechę.

Châtelet. Konfraternie. I Luwr.

Za wszelką cenę musiał wywieźć Carlę z Paryża.

Ale jej zdecydowanie i spokój... Nie, ona nie wyjedzie, pomyślał. Nie bez Mattiasa.

Wstał. Maurice i Od aż podskoczyli z wrażenia.

– Gdzie jest Tannhäuser?

Paul zacisnął usta.

– Gra zbliża się do finału – dodał Grymonde. – Chciałbyś, żebym był w niej szulerem czy pionkiem?

– Pięciu ludzi wykonuje moje zlecenie.

– Z tego, co słyszałem o tym kawalerze, wnoszę, że mogę co najwyżej ocalić ich parszywe tyłki. A wraz z nimi twoją reputację. I kto wie, może nawet tę twoją podbitą sadłem skórę.

– Boisz się go?

– Jeszcze nie. Ale wiem, że ci dwaj mnie nie obronią.

Paul skinął dłonią, a Maurice pochylił się natychmiast, by wysłuchać szeptanego rozkazu, po czym wyszedł tylnymi drzwiami. Paul uśmiechnął się do Grymonde'a.

– Zawsze pragnąłem, by Infant Kukanii osiągnął sukces, i tak się stało. Niejeden raz pociągałem za sznurki, żeby cię wesprzeć, choć nawet o tym nie wiedziałeś. Mało tego, sugerowałem nawet, że mógłbyś nie wziąć tej konkretnej roboty, pamiętasz?

– Ale najpierw mi ją zaproponowałeś.

– Bo ktoś poprosił właśnie o ciebie. Nie wiem dlaczego. Nie pytałem. Moi klienci nie lubią pytań. Wiedziałem jednak, że to dość głębokie wody. Że Infant jeszcze w takich nie brodził.

– Lepiej utonąć na głębokiej wodzie niż w kałuży szczyń.

– Gdybyś wydał Carlę – rzekł wolno Paul – byłby to niezły interes.

– Dla mnie?

– Dla nas obu. Mały Chris pewnie by się krzywił, ale to nie on płaci. Ci ludzie wiecznie wymuszają na sobie okupy. To dlatego nigdy nie giną w tych niekończących się bojach: w grę wchodzi zbyt duże pieniądze. A przecież to nie grzech, wycisnąć, ile się da z każdej sytuacji. Uznałem nawet, że właśnie to miałeś na myśli, porywając ją. Pomyślałem: „Mój Infant się uczy”. Zrozumiałem, że jest inaczej, gdy zapytałeś, czy wiem, gdzie jest jej mąż.

– A gdzie jest?

– Pozwól, że wypowiem słowo, które nieczęsto pada z moich ust: dlaczego?

Grymonde nie odpowiedział. Paul znowu się pochylił.

– Jak sam zauważyłeś, drogi Infancie, gra zbliża się do finału. Najemnicy wyruszyli wczesnym popołudniem. Urządzili zasadzkę w kaplicy Sainte-Cécile przy rue du Temple.

– Skąd wiedzą, że Tannhäuser tam przyjdzie?

– Sądzi, że znajdzie w kaplicy swą żonę. W trumnie, mówiąc ściślej.

Grymonde przygryzł język.

Doskonale pamiętał morze krwi, które zostawił po sobie w domu d'Aubrayów. Instynktownie rozumiał, co się musiało stać. Tannhäuser sądził, że Carla nie żyje. Widział, że doszło do masakry, ale nie ośmielił się odszukać jej zwłok. Nawet Grymonde poczuł mdłości, gdy wyobraził sobie brutalnie zamordowaną Carlę. Nie, jej mąż z pewnością nie chciał jej zobaczyć w takim stanie.

Grymonde odwrócił się w stronę wyjścia.

– Co się stało z potężnym Infantem?

Grymonde ruszył ku drzwiom. Dogoniły go słowa Paula:

– Nienawiść? Władza? Chciwość? Dlaczego nie. Ale miłość?

Grymonde otworzył drzwi kopniakiem i wyszedł na ulicę.

Deszcz ustał.

Niebo na wschodzie było ciemne jak oksydowany metal.

Na zachodzie dzień potępienia dogasał czerwienią jak wstyd.

Noc potępienia miała rozświetlić pełnia księżyca.

Ogary pragnęły krwi Carli.

Zawahał się.

Zależało mu na niej, nie na jakimś przeklętym rycerzu, który zostawił ją w niebezpieczeństwie.

Nie, przecież nie mogli zdobyć Kukanii. Nikt nigdy nawet nie próbował tego dokonać. Sama nazwa była niczym bastion obronny. Miał jeszcze czas. A Carla wyciągnęła swoje karty i obstawiła.

Sąd. Ogień. Śmierć.

Grymonde ruszył na wschód, w stronę kaplicy Sainte-Cécile.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Symbol

Tannhäuser znalazł stajnię opodal zajazdu Irène – zostawił w niej wóz i uprzęż, a Clémentine kazał napoić i wyczyścić. Był znużony i obolały. Zapłaciłby hojnie za choćby godzinę snu na wiązce siana. Niepokoił się tylko o Grégoire'a.

Po krótkim odpoczynku znowu dosiadł kłaczy i sięgnął po szponton.

Mijał splądrowane sklepy i cuchnące piramidy trupów na pont Notre-Dame. Przejechał przez place de Grève, gdzie zongler popisывał się sztuczką z wirującym kołem, a widzowie raczyli się winem. Wszędzie tam, gdzie udało się znaleźć choćby skrawek cienia, leżeli pokotem uzbrojeni milicjanci, powaleni upałem i nadmiarem trunków. Niewiele wskazywało na to, by uczestniczyli w rzezi. Ci naprawdę bojowi nadal włóczyli się po miejskim labiryncie, kompletnie pozbawieni dyscypliny, i zatrzymać ich mogło jedynie wyczerpanie pokładów nienawiści. Jakby na potwierdzenie tego, że czynili wszystko, co było w ich mocy, w stronę Sekwany odjechał kolejny wóz wyładowany po brzegi trupami. Cieknąca z nich krew zbierała się na platformie i tryskała na boki na każdym wyboju. Widać było, że ładujący działali metodycznie: górne warstwy składały się głównie z ciał dzieci, w tym niemowląt.

Tannhäuser nie zatrzymał się.

Na posterunku przy rue du Temple nie było już tynkarza Hervégo, nikt też go nie zastąpił. Zwinięty łańcuch wisiał na jednym z haków osadzonych w murze. Splądrowano kolejne domy, a na ulicy nowe sterty zakrwawionych zwłok czekały na transport. Możliwe, że la Fosse sporządził jeszcze jedną listę, pomyślał Tannhäuser. Zbliżając się do kaplicy Sainte-Cécile, czuł się przytłoczony nie tylko popołudniowym upałem, ale i zadaniem, które go czekało. Myśl o tym, że będzie musiał zachowywać się uprzejmie wobec la Fosse'a, także nie dodawała mu sił. Ucieszyłby się z każdego zdarzenia, które odwlekłoby chwilę spotkania. Martwi są cierpliwi. Ciało Carli mogło jeszcze zaczekać.

Drzwi kaplicy były otwarte. Gdy przejeżdżał obok, zwolnił nieco i zajrzał do środka. W głębi nawy płonęły w dwóch rzędach świece, a między nimi, na krzyżakach przybranych białym płótnem, stała otwarta trumna. Tannhäuser ucieszył się w duchu, że nie dostrzegł nikogo w półmroku wnętrza, ale nie zatrzymał się – pojechał wprost do domu wdowy d'Aubray.

Z zewnątrz zdewastowany dom nie zmienił się ani trochę, jeśli nie liczyć stanu zwłok Symonne. Wciąż zwiślały głową w dół, obwiązane w kostce złotym sznurem. Skóra miała barwę wosku z siateczką niebieskawych żyłek, ale ręce i palce zdążyły napuchnąć i zsinieć. Chmary much kłębiły się wokół ran i naturalnych otworów ciała. Głowa zaczynała przypominać zmasakrowany łeb Gorgony. Tannhäuser zmusił Clémentine, żeby podeszła bliżej drzwi frontowych, i pochylił się, by zajrzeć za próg.

W czarnej galarecie pokrywającej większość podłogi w holu, nad którą skrzydlate owady rozmaitych gatunków uwijały się pracowicie, znosząc jaja, widać było liczne odciski stóp. Nikt nie tknął ciała Altana Savasa. W miejscach, z których zdarto skórę, szczury ochoczo pożywiały się szarym mięsem. Tannhäuser nie widział możliwości wyprawienia mu w najbliższym czasie stosownego pochówku. Grób wojownika musiał wystarczyć.

Zeskoczył z konia.

Zaczął recytować *salat al-dżanaza*. Skończył po dłuższej chwili, ale wciąż był sam.

– Grégoire! – zawołał.

Odpowiedzi nie było. Zawołał po raz drugi, a potem zagłębił się w zaułek wiodący do ogrodu. Wyschnięte już płamy na tylnych drzwiach przypominały smołę. Zawołał trzeci raz – bez skutku.

Minęły co najmniej trzy godziny, od kiedy Grégoire i Juste się rozstali. Tannhäuser nie podejrzewał, by chłopak mógł go opuścić, choć przecież miał prawo to uczynić. Właściwie każde wyjaśnienie jego nieobecności brzmiało równie prawdopodobnie. I każde było równie niewesołe. Tannhäuser miał przykre wrażenie, że jego umysł wypełnia szlam. Nie umiał znaleźć ani jednego powodu, by ruszyć w dalszą drogę. Kobięcy lament rozbrzmiał w cuchnącym, wilgotnym powietrzu. Ledwie Mattias zdążył pomyśleć, że ktoś mógłby ją uciszyć, kobieta istotnie umilkła, jakby jej głos dobiegał z nagle urwanego koszmarnego snu. Czy tak krzyczała Carla? Naturalnie. Słyszał takie głosy we wszystkich krajach, które zdarzyło mu się odwiedzić; nie milkły ani na chwilę. Rozpacz ogarnęła go na nowo, lecz przecież rozpacz była powszechna jak piach i jeszcze mniej warta – a jego rozpacz nie była wyjątkiem.

Był znużony.

Spojrzał na siennik Altana.

Zostawił Clémentine, by pożywiła się kapustą, a sam przeciągnął siennik pod mur otaczający ogród. Gdy położył się w cieniu, jego ciało jęknęło z wdzięcznością. Owszem, istniało ryzyko, że ktoś poderżnie mu gardło we śnie, ale jeśli tylko dokonałby tego wprawnie, Tannhäuser byłby skłonny dostrzec zalety tego rozwiązania. Zamknął oczy.

Obudził się, gdy Clémentine przestała chrupać zielone liście. Przewrócił się na brzuch i podniósł na kolana, ściskając w dłoni rękojeść sztyletu. Rozejrzał się. W ogrodzie nie było nikogo, ale podążył wzrokiem za spojrzeniem klaczy, ku wylotowi zaułka.

Po chwili zjawił się tam groteskowy pies w złotej, plecionej obroży, a tuż za nim Grégoire. Jego bose stopy oraz nogi w niegdyś czerwonych bryczesach pokryte były warstwą paryskiego błota, podobnie jak koszula. Gdy w grymasie najszczerzej radości otworzył usta, Tannhäuser dzielnie zapanował nad odruchem i nie odwrócił głowy. I równie szczerze odwzajemnił uśmiech, wstając.

– Witaj, Grégoire. Wracasz z wojny.

Chłopak podbiegł do Clémentine, a ona na powitanie musnęła pyskiem jego głowę.

Tannhäuser podniósł szponton i postawił go pod ścianą domu.

– Jak się miewa Juste? – spytał Grégoire.

– Jest zdrowy, opalony i pławi się w luksusie w towarzystwie czterech dziewcząt, z których jedną pokochał od pierwszego wejrzenia. Co więcej, mam wrażenie, że to uczucie odwzajemnione.

Nie czekając, aż Grégoire ochłonie, Tannhäuser zdjął dekiel z beczki i zaczerpnął dłonią ciepłej deszczówki, by opłukać twarz i zetrzeć z oczu sen.

– Nie jedną z Tybautowych? – spytał Grégoire ze zrozumiałym rozczarowaniem.

– Nie. Jedną z dwóch sióstr z podobnie dobrego domu. Nie wiem, czy cię to pocieszy, ale będzie potrzebował twojej pomocy, żeby je zawieźć do Polski.

– Nawet nie wiem, gdzie to jest.

– Tym problemem zajmiemy się innego dnia. A teraz, w drodze do kaplicy, opowiedz mi, co widziałeś.

– Nie, nie do kaplicy.

Tannhäuser spojrzał na niego pytająco.

– To będzie długa opowieść – wyjaśnił Grégoire.

Mattias przysiadł na kamiennej ławie. Słońce zdążyło już skryć się za dachami domów. Minęła jeszcze chwila, zanim na nowo przywykł do chrząkania i innych dziwnych odgłosów wydawanych przez Grégoire'a, ale z opowieści wspomaganej licznymi powtórzeniami i gestami udało mu się zrozumieć wszystko.

Przejechawszy przez most Mały Christian i Marcel le Tellier udali się wprost do domu la Fosse'a, tuż obok kaplicy Sainte-Cécile. Gdy tam weszli, Grégoire zajrzał do kaplicznej salki i przekonał się, że jest pusta.

Opuściwszy dom księdza, pojechali do domu d'Aubrayów, gdzie Mały Christian dokonał szczegółowych oględzin. Gdy wyszedł, zwymiotował pod ścianą, a potem, wyraźnie poruszony, zdał relację le Tellierowi. Marcel odpowiedział rozkazem i odjechał na północ, w stronę Temple. Grégoire zaś podążył za Małym Christianem na zachód, w kierunku Les Halles.

– Dlaczego wybrałeś Christiana? – spytał Tannhäuser.

– Jest chłopcem na posyłki. Chciałem zobaczyć, po co go posłano.

Christian, jak się okazało, pojechał do karczmy opodal Cmentarza Niewiniątek, zwanej Ślepym Dudziarzem, i tam pozostał przez pewien czas. Gdy wreszcie wyszedł, udał się do dość podłego domostwa na rue de la Grande-Truanderie. Tym razem wizyta była krótsza, ale Grégoire nie wiedział, kto został nią zaszczycony. Następnie Christian wybrał się do domu Marcela le Telliera opodal Sekwany, na zachód od rue Saint-Denis. Grégoire obserwował ów dom w nadziei, że dworski urzędnik pojawi się raz jeszcze, ale tak się nie stało. U drzwi trzymali straż dwaj *sergents*. Posłańcy przychodzili i odchodzili. Czas mijał. Grégoire zamierzał już odpuścić, gdy w końcu podjechał powóz.

Rozpoznał woźnicę: był nim *sergent* Baro. Człowiek le Telliera. Pięść le Telliera. Wszyscy znali Bara. Gdy wóz zniknął za południową ścianą domu, Grégoire rozpoznał także siedzącego z tyłu: był nim Stefano z Gwardii Szwajcarskiej.

Zaintrygowany, okrążył dom le Telliera od północy i minąwszy jeszcze jednego wartownika, zdążył pojawić się na tyłach w samą porę, by ujrzeć zatrzymujący się wóz. Bawiąc się z psem przy bramie, zobaczył, jak Stefano pomaga Orlandu wysiąść. Młodzieniec poruszał się niepewnie, jakby wciąż był oszołomiony. Wsparty na ramieniu Stefana, zniknął wraz z nim w murach domu le Telliera.

Grégoire przeczuwał, że posyłki Małego Christiana jeszcze się nie skończyły. Zapłaciwszy miejscowemu ulicznikowi za to, by przy tylnym wyjściu wypatrywał mężczyznę w zielonym ubraniu, wrócił do frontowej bramy. Po pewnym czasie Christian istotnie się pojawił, a wtedy Grégoire podążył jego śladem do Ślepego Dudziarza.

Wielu ludzi wchodziło tam i wychodziło, ale chłopak nie znał żadnego z nich. Czuwał tak długo, aż zasnął, siedząc plecami do cmentarnego muru. Gdy się ocknął, zajrzał do karczmy i zobaczył Christiana zajętego rozmową z właścicielem, Paulem Papieżem.

Wtedy też uznał, że najwyższy czas odnaleźć Tannhäusera.

– Czy Orlandu nadal ma obie ręce?

Grégoire skinął głową.

– A Stefano wyglądał przyjaźnie?

– Gdyby chcieli skrzywdzić Orlandu, to na pewno nie tam, w domu pana le Telliera.

– Skąd Marcel mógł wiedzieć, że byłem w kaplicy? Pomóż mi ogarnąć to wszystko, chłopcze.

– Jego szpicle węszą wszędzie. A ludzie ufają księżom nie tylko u spowiedzi.

Tannhäuser rankiem także zaufał la Fosse'owi, a zaskoczenie i przerażenie klechy na wieść o morderstwach wydawały się całkiem szczere.

– Po co la Fosse miałby się kontaktować z Marcelem?

Grégoire wzruszył ramionami.

– Obstawiam, że najpierw posłał po Małego Christiana.

– Jeśli więc la Fosse oczekuje, że zjawię się przy trumnie Carli, to Marcel także.

Grégoire skinął głową, jakby rzecz była najzupełniej oczywista.

– Zatem trumna w kaplicy jest przynęta – podsumował Tannhäuser.

– Tak. Byłem tam przed chwilą. Zbrojni czekają na ciebie, panie.

– Widzieli cię?

– Pewnie, że nie. Właściwie to ja też ich nie widziałem ani nie słyszałem, ale czułem zapach. Siedzieli w środku, tuż za drzwiami, i jedli ser. Przynajmniej po jednym z każdej strony sali.

– Skąd w tobie tyle sprytu, chłopcze? Chyba nie nabrałeś go w stajni?

– Nie wychowałem się w stajni. – Grégoire ugryzł się w język. – Co zamierzasz, panie?

– Tamci spodziewają się, że w poszukiwaniu trumny zwyczajnie wejdę do kaplicy i stanę w blasku świateł. Na tle otwartych drzwi, ze światłem dnia za plecami, będę łatwym celem. Dosięgną mnie kule lub strzały, a może jedno i drugie.

– Zabójcy lubią kusze.

Nie trzeba zapalać, nie ma dymu, żadnego hałasu, pomyślał Tannhäuser. I nie potrzeba ani wielkiej wprawy w strzelaniu, ani czasu na naciągnięcie cięciwy.

– Marcel musiał się dowiedzieć o pojedynku – powiedział. – Jeśli jest ostrożny i dostatecznie hojny, mógł wystawić przeciwko mnie nawet czterech ludzi, po dwóch z każdej strony drzwi.

I zapewne widzieli go, gdy przejeżdżał. Omal nie wpadł obiema nogami w pułapkę. Przypomniał sobie o czymś jeszcze: wspomniał la Fosse'owi, że jedzie po pistolety. Głupio postąpił; tym głupiej, że teraz nie miał ich przy sobie. Sięgnął po szponton, wyjął osełkę i splunął na nią. Bez słowa zaczął obrabiać główne ostrze i skrzydełka.

– Marcel musiał też przewidzieć, że mogę najpierw odwiedzić la Fosse’a w domu, zanim udam się do kaplicy – rzekł po chwili. – La Fosse zaś, zgodnie z jego rozkazem, poprowadzi mnie na rzeź głównym wejściem. Na miejscu Marcela najalbym jeszcze jednego człowieka i zostawił w domu, po pierwsze po to, by la Fosse mógł się zachować lojalnie, a po drugie po to, by mógł uprzedzić pozostałych, gdy tylko się zjawię.

– Marcel użyje właściwych ludzi, nie miejskich strażników. Zabójców. Pewnie właśnie dlatego Christian spotkał się z Paulem Papieżem. Paul wszystko potrafi załatwić. Ale... pięciu ludzi, żeby zabić jednego?

– Miejmy nadzieję, że niepotrzebnie sobie pochlebiam i będzie tylko trzech.

– Nie musisz połknąć przynęty, prawda, panie?

– La Fosse jest elementem układanki. A jeśli się nie pojawię, zabójcy zaczną mnie szukać. Nie chciałbym żyć ze świadomością, że mogą się czaić za każdym rogiem. Nie mogę jednak też tak po prostu wejść do kaplicy. – Tannhäuser wyjął sztylet i nakreślił na ziemi prosty plan. – Kusze, przestrzeń i odległość dają im przewagę. Jeśli choć jeden z nich pozostanie poza zasięgiem mojego szpontonu, będę trupem. Tu mamy korytarz biegnący obok zakrystii – łączy kaplicę z domem la Fosse’a. To wąskie gardło. Jeżeli zmuszę klechę, by zwabił tam zabójców, będą sobie wzajemnie przeszkadzali, a ja będę mógł ich ciąć i kłuć.

Grégoire słuchał tak, jakby na co dzień uczestniczył w tego typu dyskusjach.

– Skoro tak, to najpierw musisz dopaść tego piątego, ukrytego. Ale jak?

Tannhäuser przyglądał mu się przez chwilę. Grégoire przestąpił z nogi na nogę.

– Byłeś złodziejem, prawda? – spytał wreszcie.

Grégoire otworzył usta, a zaraz potem wbił wzrok w ziemię.

– Nie wstydz się, chłopcze. Coś przegapiłem?

– Ten piąty stoi na czatach, uprzedzi pozostałych, gdy tylko wejdiesz do domu. Albo gdy ja wejdę czy choćby Lucyfer. Cokolwiek się zdarzy, on ich powiadomi. I natychmiast zniknie. – Grégoire wskazał palcem na mapkę. – Jeśli usłyszą, że jesteś w domu, nie pójdą korytarzem – poślą tamtędy najwyżej jednego człowieka, a jeśli jest ich pięciu, to najwyżej dwóch. Przecież i oni wiedzą, że to wąskie gardło. Znają się na takich sztuczkach.

Grégoire miał rację. Tannhäuser rozważał przez chwilę inne rozwiązania, ale wszystkie one wymagały spełnienia jednego warunku: błyskawicznego unieszkodliwienia piątego zabójcy, który musiałby być głupcem, żeby dać się podejść. Tannhäuser postanowił o nim zapomnieć.

– Już ja tym parchom pokażę sztuczki – mruknął.

– Pięciu paryskim zabójcom?

Tannhäuser wskazał palcem na plan.

– Nie mogę wywabić czterech *bravos* na korytarz. Ale jeśli uwierzą, że właśnie na tym polega mój plan i że tam na nich czekam, niektórzy wyjdą z kaplicy wprost na ulicę, żeby dostać się do domu frontowymi drzwiami i zejść mnie od tyłu – wyjaśnił, wskazując na oba końce korytarza. – Miałbym ich wtedy i przed sobą, i za sobą.

– Skąd wiesz, że tak zrobią?

– Gdy usłyszą wrzask *la Fosse’a*, będą musieli uczynić więcej, niż tylko siedzieć w kaplicy i modlić się za niego.

Tannhäuser wręczył Grégoire’owi ostatniego podwójnego pistola i objaśnił mu, gdzie znajdzie zajazd *Irène*. Przykazał mu następnie, by zabrał *Clémentine* i znalazł okrężną drogę do skrzyżowania na południe od domu *la Fosse’a* – stamtąd mógł obserwować przebieg wydarzeń. Gdyby ich skutek był tragiczny, miał dołączyć do pozostałych, jeśli taka jego wola, a jeśli nie – mógł się udać dokądkolwiek i cieszyć złotem, na które w pełni zasłużył.

– Zanim zapytasz – zakończył Tannhäuser – odpowiem: nie, w tej przygodzie nie ma roli, którą mógłbyś odegrać. – To rzekłszy, ruszył ulicą przed siebie, niosąc drzewce szpontonu pod pachą.

U wejścia do kaplicy przystanął w miejscu, w którym, jak sądził, ukryci we wnętrzu zabójcy mogli zauważyć jego obecność przez szpary w ościeżnicy. Ozdobny łuk nad wejściem był zagłębiony w mur prawie na stopę i wsparty na bliźniaczych kamiennych kolumnach. Dwaj mężczyźni próbujący wyjść z kaplicy zapewne otarliby się o siebie ramionami. Dwaj uzbrojeni w kusze zapewne nawet by nie spróbowali. Tannhäuser spojrzał w głąb sali, na trumnę. Przeżegnał się. Nie musiał udawać rozpaczliwego człowieka pogrążonego w żałobie. Z kaplicy nie dobiegał żaden dźwięk, ale ponad typowy dla tego miasta fetor wybijał się nowy, całkiem wyraźny smród gnijących zębów i niepowstrzymywanych gazów. Oraz sera. Pochylił głowę, zamknął oczy i zaczął mamrotać *Ave*, by przekonać *bravos*, że niczego nie podejrzewa, a może nawet dać im okazję do ataku. Nie wykorzystali jej. Byli zdyscyplinowani.

Ze wschodu dobiegł daleki pomruk grzmotu.

Pierwsze krople deszczu wzbily kurz na kaplicznym dziedzińcu.

Tannhäuser przeżegnał się raz jeszcze i ruszył w stronę bramy domu *la Fosse’a*. Oparłszy szponton o ścianę, załomotał do drzwi. *La Fosse* otworzył szybko. Wyglądał tak, jakby próbował ukoić nerwy solidną porcją wina, lecz trunek tylko obnażył żalospny stan jego ducha. Cofnął się o krok.

– O, brat *Mattias*. Chwała Bogu.

– Chwała Jezusowi Chrystusowi i jego świętym apostołom.

Ostatnie słowa zagłuszyły odgłos, który wydał z siebie la Fosse, padając na kolana, gdy Tannhäuser trafił go pięścią tuż poniżej mostka. Minawszy skulonego księdza, wszedł głębiej do izby i spojrział w lewo. Drzwi korytarza wiodącego do kaplicy były uchylone i zdawało mu się, że dostrzegł ich nieznaczny ruch. Tak jak zapamiętał, otwierały się na zewnątrz, ku kaplicy, z zawiasami po lewej stronie.

Chwyił la Fosse'a za gardło i pociągnął do pionu, a potem przycisnął do ściany.

– Ilu *bravos* czeka w kaplicy? Znam odpowiedź, więc nie łżyj.

– Czterech – stęknął la Fosse. – Nie, teraz już pięciu.

– Kusze, noże, miecze. Mają jeszcze jakąś broń? Zastanów się.

– Kusze, noże, miecze – powtórzył la Fosse. – Nic więcej nie widziałem.

– Wszyscy mają kusze? Pomyśl dobrze.

La Fosse zamknął oczy, koncentrując się ze wszystkich sił.

– Tak.

– Zbroje, napierśniki, hełmy?

– Trzej mają hełmy. Pancerzy nie widziałem, chyba że dobrze je ukryli.

– Pistoletów nie mają?

– Nie, nie widziałem ani jednego.

– A twoje zadanie polega na tym, żeby mamrotać modlitwy i wysłać mnie za te drzwi. Zgadza się?

– Tak. Wybacz mi. Boże, wybacz mi.

Tannhäuser uznał, że mamrotanie modlitw powinno potrwać parę minut, zanim zabójcy zaczną się niepokoić. Wykorzystał czas, by przedstawić kilka hipotez tak, jakby były niezbitnie dowiedzionymi faktami.

– To ty umieściłeś moją żonę u Symonne d'Aubray. Dlaczego?

– Christian Picart poprosił mnie, żebym porozmawiał z Symonne w imieniu pałacu. Przedstawiłem ich sobie. Oczarował ją. Nie dał mi żadnego powodu, bym mógł podejrzewać złe zamiary.

Mattias pamiętał, że Mały Christian zdecydowanie zaprzeczył, jakoby miał zorganizować Carli nocleg u wdowy d'Aubray.

– Symonne była hugenotką. Dlaczego Christian zwrócił się do ciebie, katolickiego księdza?

– Symonne była konwertytką. Jako dziecko z moich rąk przyjęła chrzest. Zmieniła wyznanie, gdy poślubiła Rogera, znanego radykała, hugenockiego bojownika.

– Dlaczego Christian wybrał właśnie ją?

– Symonne była wybitną instrumentalistką, podobnie jak twoja małżonka. Tak przynajmniej twierdził Christian. Chodziło o to, by z okazji królewskiego ślubu stworzyć muzyczny symbol pojednania między wyznaniem...

– Kiedy Christian przedstawił ci ten plan?

– Wkrótce po tym, jak obwieszczono zaślubiny. Pod koniec kwietnia, może na początku maja.

Ponad trzy miesiące temu, pomyślał Tannhäuser.

– I Symonne chętnie się zgodziła? – spytał.

– Po śmierci męża stanowczo opowiadała się za pokojem.

– Dlaczego Christian sam się do niej nie zgłosił?

– Nie wiem. Spytał, czy ją znam, wiedząc, że to całkiem prawdopodobne. To moja parafia. Do obowiązków duchownego należy między innymi i to: prowadzenie mediacji.

– Skąd Christian wiedział o Symonne?

– Być może słyszał o Rogerze, zamordowanym podczas rozruchów w zeszłym roku.

– Christian miał z tą sprawą coś wspólnego?

– Jego bractwo miało: konfraternia Pielgrzymów Świętego Jakuba.

– Fanatycy.

– Wierni Najświętszemu Sakramentowi, z parafii Saint-Jacques, kościoła rzeźników z rejonu Les Halles. Noszą czerwone i białe wstążki symbolizujące ich motto: „Jeden chleb, jedno ciało”. Na co dzień wszystko to tylko pretekst do urządzania przyjęć i zdobywania co lepszych miejsc w kościele, ale są wśród tych ludzi także prawdziwi bojownicy – politycy, kapitanowie milicji...

– Bernard Garnier?

– Garnier, Thomas Crucé...

– I ty?

– Nie, nie, ja zupełnie nie podzielam tych zainteresowań.

– Za to inne podzielasz. – Tannhäuser chwycił go za sutannę i obrócił twarzą ku portretowi kardynała obmacującego własnego bękartą, po czym wycodził mu wprost do ucha:

– Christian jest sutenerem, obsługuje możnych. Kogo sprowadzał tobie?

– Proszę, bracie Mattiasie...

– Szepczesz mu do ucha co ciekawsze opowiadki zasłyszane u spowiedzi, a on płaci ci chłopaczkami. Christian ich sprzedaje, a ty kupujesz. Prawda, że właśnie dlatego ma cię w garści?

– Najwyższe instancje rzymskie dowiodły ponad wszelką wątpliwość, że nigdzie w Piśmie Świętym ani też w rozprawach Doktorów Kościoła nie ma ani słowa o tym, jakoby cielesne obcowanie z chłopcem było czynem cudzołożnym.

– Możesz uspokajać sumienie tymi słowami, gdy będę ci podrzynał gardło.

– Mój Boże, mój Boże...

Tannhäuser cisnął nim o ścianę.

– Przesłałeś Christianowi wiadomość. Powiedziałeś mu o mojej wizycie.

– Musiałem opowiedzieć ze szczegółami o tym, co się zdarzyło w domu d'Aubrayów, a nikt nie wie lepiej niż ty, że wszystko to było dla mnie straszliwą niespodzianką.

– Powiedz no, jak postrzegano by ową napaść, gdyby nie było w mieście żadnych rozruchów?

– Napady rabunkowe i morderstwa to nic nowego w tym mieście.

– A gdyby się rozniosło, że ofiarami są członkowie rodziny protestanckiego radykała, czy ktoś uroniłby łzę nad ich losem? Ktoś spoza społeczności hugenockiej?

– Trudno mi sobie wyobrazić wielką falę wzburzenia – odparł la Fosse.

– Policja współpracuje z katolicką milicją, zatem przeprowadzono by co najwyżej pobieżne śledztwo, by jak najszybciej zapomnieć o sprawie. Zgadza się?

La Fosse skinął głową.

– Najprawdopodobniej.

Węzeł ponurej zagadki pomału zaczynał się rozluźniać.

– Masakra w mieście nie była potrzebna, by zamaskować morderstwo Carli – rzekł Tannhäuser. – Wystarczyło uznać ją za przypadkową ofiarę rabusiów. Jej los nie wzbudziłby niczyjej litości, była wszak katoliczką zadającą się z protestantami. – Wrócił myślą do spotkania z Bernardem Garnierem na placu przed katedrą. – Niektórych nawet ucieszyłaby ta zbrodnia, nie tylko jako kolejne ostrzeżenie dla hugenotów, ale i dla katolików skłonnych okazywać im przyjaźń.

La Fosse oklapł, jakby przygniótł go ciężar nowej myśli.

– Coś więcej niż ostrzeżenie.

– Mów jaśniej.

– Nie rozumiesz? Gdyby wszystko było jak dawniej, gdyby nie postrzelono admirała de Coligny'ego, gdyby tydzień królewskich godów dobiegł szczęśliwego finału, jak planowano, to śmierć Carli i Symonne byłaby postrzegana jako szczególny przypadek odrzucenia idei tolerancji religijnej. Innymi słowy: jako brutalny przejaw nie tylko pospolitej

nienawiści wobec protestantów, ale bardziej konkretnie, jako wyraz pogardy dla królewskiego wesela, dla pokoju z Saint-Germain, dla edyktu o tolerancji, dla całej polityki prowadzonej przez królową...

– Morderstwo symboliczne. – Tannhäuser nareszcie zrozumiał.

– Otóż to – przytaknął la Fosse. – Hugenocka szlachta domagałaby się sprawiedliwości, czegoś więcej niż posłania na stryczek paru złodziei. Nikt by nie uwierzył, że była to zbrodnia popełniona przez pospolitych bandytów. Symonne nie była nawet szczególnie zamożna! Admirał de Coligny naciskałby króla z wielką mocą, żądając zidentyfikowania i ukarania spiskowców, ale czy Jego Wysokość odważyłby się uczynić coś takiego? Nie tylko milicja, ale cały Paryż był przeciwny zaślubinom. Rzym także. Nie uzyskano wszak dyspensy papieskiej, tylko sfalszowano ją, by skłonić kardynała de Bourbon do poprowadzenia ceremonii. I właśnie dlatego morderstwo w domu d'Aubrayów zmusiłoby króla do dokonania wyboru: musiałby się odciąć albo od de Coligny'ego, albo od najsilniejszych obrońców wiary katolickiej, co byłoby dla nich wielkim upokorzeniem. A choć ci ostatni nie kochają zbytnio Karola, wciąż gotowi są za niego walczyć.

– Kolejna wojna.

Zbrodnia znacznie większego kalibru, która pochłonęła całe miasto, miała być skuteczną zasłoną dla tej mniejszej – tak właśnie jeszcze przed chwilą Tannhäuser interpretował morderstwo Carli.

Tymczasem fakty były zgoła odmienne: mniejsza zbrodnia utonęła w morzu krwi.

Nikt nie zwrócił uwagi na śmierć symbolu – dwu miłośniczek muzyki, uosabiających pojednanie katolików z hugenotami – gdy dokoła ginęły tysiące ludzi. Trudno jednak było przypuszczać, by spiskowcy, którzy zorganizowali napaść, byli rozczarowani tym, że ich głos został zagłuszony. Ich mała intryga przypadkowo zderzyła się z wielką i oto zamiast obiecującej strategii, którą sobie obmyślili, otrzymali totalną wojnę, której w istocie pragnęli.

Koncert na balu królowej miał się odbyć w piątkowy wieczór. Do tego czasu Carla była bezpieczna – zabicie jej, zanim stała się symbolem pojednania, zwyczajnie nie miało sensu. I dlatego Carla oraz Symonne zginęły dobie później, w noc poprzedzającą dzień świętego Bartłomieja.

Niepojęta zbrodnia, której dokonano w domu d'Aubrayów, nie została zaplanowana w ciągu paru godzin dla wykorzystania chaosu panującego podczas masakry hugenotów, ale w ciągu paru miesięcy. Uroczystości powiązane z królewskim weselem dały spiskowcom stosowną okazję, a żadna z nich nie nadawała się lepiej niż bal zorganizowany przez królową,

która bardziej niż ktokolwiek inny postrzegana była jako zdrajczyni katolickiej sprawy. Katarzyna z pewnością w lot zrozumiałaby przesłanie i jego polityczne implikacje.

Tannhäuser musiał przyznać w duchu, że plan był genialny. Retz wspominał mu przecież, że ledwie tydzień wcześniej de Coligny groził królowi wojną domową. Śmierć symbolu pojednania bez trudu przeważałaby szalę. Czyż dawniej wojny nie wybuchały z bardziej błahych powodów?

Śmierć Carli nie była sprawą osobistą, ale polityczną. Obie z Symonne były ledwie pionkami, których życie poświęcono, by uderzyć w Katarzynę Medycejską i politykę tolerancji.

Nikt się nie spodziewał, że w mieście pojawi się Tannhäuser – nawet Carla. Bezwiednie stał się zagrożeniem dla planu, z którego realizacją zwlekano aż do tej feralnej nocy.

Orlandu, jako jedyny potencjalny obrońca Carli w Paryżu, był obserwowany przez pedla, który, rzecz jasna, doskonale wiedział, kim jest Tannhäuser. Po spotkaniu z nim zaalarmował Małego Christiana, ten zaś udał się do Luwru, by uprzedzić Dominica le Telliera. Dominic z kolei spróbował improwizacji: chciał, by Tannhäuser zginął w pojedynku, a gdy to się nie udało, kazał go aresztować.

Orlandu zapewne wykrył intrygę, ale postrzelono go, nim zdążył ostrzec lub obronić swą matkę. Ale dlaczego uwięziono go, zamiast dobić?

Zagadka była niemal rozwiązana.

Zabójcy z kaplicy mieli wkrótce zakosztować stali.

La Fosse skrzywił się mimowolnie, widząc spojrzenie Tannhäusera.

– Klnę się na krew Chrystusa, że nie odegrałem żadnej świadomej roli w tym spisku ani nawet o nim nie wiedziałem. Musisz mi uwierzyć.

– Wierzę. Kto był waszym łącznikiem?

– Boniface, pedel z Collège d’Harcourt.

– Boniface, powiadasz? A kim jest Orlandu?

– Orlandu? Nie wiem. Nie mam pojęcia! Zaprawdę, na moje...

– Jaką rolę odgrywa w tym wszystkim Marcel le Tellier?

– Nie wiedziałem, że w ogóle jest zamieszany, póki nie zjawił się tu dziś z Christianem. Nie znałem go wcześniej, choć nieco o nim słyszałem.

– Jest milicjantem? Jednym z Pielgrzymów?

– Nie wiem. Wielu ukrywa swe przekonania z lęku przed królową. On zaś zajmuje eksponowane stanowisko i byłby niemądry, gdyby postępował inaczej.

– Co ci powiedział Marcel?

– Pytał mnie o naszą rozmowę, więc mu ją streściłem. Naturalnie wyrażałem się o tobie w najcieplejszych słowach i z wielkim szacunkiem.

– On zaś powiedział ci dokładnie, co masz uczynić z trumną?

– Tak. Zaraz po spotkaniu z tobą przystąpiłem do przygotowań. Marcel kazał mi je kontynuować zgodnie z twoim życzeniem, chociaż ciało...

– Miałeś czekać na zabójców i zastosować się do ich życzeń?

– W rzeczy samej, choć o tym, że są zabójcami, przekonałem się dopiero wtedy, gdy mnie nawiedzili.

Tannhäuser uznał, że nadszedł czas, by *bravos* zapracowali na swoje honorarium.

– Powiesz mi o nich coś jeszcze?

La Fosse zawahał się. Tannhäuser nachylił się groźnie ku niemu.

– Jeśli zginę, nikt się nie dowie, że mi pomogłeś. Jeśli przeżyję, będziesz potrzebował mojej łaski.

– O ile wiem, le Tellier chce cię dostać żywcem, jeśli tylko będzie to możliwe – odrzekł la Fosse.

– Tak powiedział?

– Nie. Słyszałem rozmowę jego ludzi. Zastanawiali się, w jaki sposób postrzelić cię tak, żebyś nie stracił życia.

– Wkrótce będą musieli porzucić ten ambitny plan.

Tannhäuser rozwinął cholewy butów tak, by chroniły pachwiny.

– Jeśli zwyciężą – odezwał się la Fosse po krótkim namyśle – zawiozą cię do Ślepego Dudziarza. To nora opryszków, jeśli się nie mylę. Jeśli nie, zabiorą tam jedynie twoją głowę, jako dowód.

– Nie wątpisz, że jest ich pięciu? Widziałeś ich. Widziałeś, jak wchodzili do kaplicy.

– Tak, pięciu, tego jestem pewny.

Tannhäuser przyłożył ostrze sztyletu do gardła la Fosse'a. Ksiądz pierdnął.

– Nie byłbyś pierwszym klechą poległym z mojej ręki.

– Proszę, bracie, proszę...

– Jeśli spróbujesz ich ostrzec, zginiesz pierwszy.

– Przysięgam. Ale jeśli chodzi o ciało. Muszę ci coś jeszcze powiedzieć o ciele...

– Ciało może poczekać. Chodź ze mną i bądź cicho.

Tannhäuser wyprowadził la Fosse'a z pokoju, w głąb korytarza. Zatrzymali się dobrych dziesięć stóp dalej, przy bocznych drzwiach, odległych może o dwadzieścia stóp od kaplicy.

Mattias nachylił się, by przemówić szeptem wprost do ucha księdza:

– Stań twarzą do drzwi. Dobrze. Teraz unieś obie ręce nad głowę. Połóż dłoń na dłoni i dotknij drzwi, ale nie naciskaj.

Ręce la Fosse'a drżały, gdy wykonywał polecenie.

– Po co? – spytał szeptem.

– Chcę cię zastać w tej samej pozycji, kiedy tu wrócę. Zrozumiałeś?

Barki księdza opadły nieznacznie, jakby poczuł ulgę.

– Tak.

Tannhäuser mocno chwycił prawą dłonią za żelazną klamkę. Drzwi były nieznacznie uchylone. Lewą ręką wznosił do góry sztylet i z mocą wbił go w dłoń duchownego, przyszpilając je do deski. La Fosse wydał z siebie mrozący krew w żyłach, dziki okrzyk. Tannhäuser pchnął nieco drzwi, odchylając je w stronę kaplicy, a ksiądz poczłapał wraz z nimi. Daleko za jego zeszywniałym z bólu ciałem, w głębi korytarza, u drzwi kaplicy, coś się poruszyło.

Tannhäuser obrócił się na pięcie i pobiegł w stronę wyjścia.

Ulica była pusta, padał deszcz. Chwyciwszy w pędzie szponton, Mattias pognał w stronę łuku nad bramą kaplicy i zatrzymał się przy kamiennych kolumnach. Trzymał broń tak, jak drwal trzyma siekierę. Prawą dłonią niemal dotykał ściany, lewą stopę wysunął ku przodowi i z uwagą wpatrywał się w drzwi kaplicy. Szponton był stalowym, skrzydlatym ostrzem długości jednej stopy, osadzonym na pięciostopowym jesionowym drzewcu. Jego masa działała na Tannhäusera uspokajająco, gdy czekał w bezruchu, nasłuchując głosów dobiegających ze środka. Można w nich było wyczuć napięcie, ale i opanowanie. Nikt nie modlił się za la Fosse'a, którego wrzaski dolatywały z korytarza.

Plan Tannhäusera był prosty: spowodować, by trzej zabójcy wyszli główną bramą, podczas gdy dwaj pozostali będą się skradać korytarzem.

Głosy umilkły. Na kamiennej posadzce tuż za progiem rozległ się odgłos szybkich kroków.

Nikt rozważny nie biega z kuszą, trzymając palec na języku spustowym, który tak łatwo trącić. Kiedy więc w drzwiach pojawił się pierwszy z *bravos*, broń trzymał lewą ręką, a prawą położył na łożu, na wszelki wypadek celując w bok. Siłą rozpędu zdążył zrobić jeszcze

dwa kroki, zanim zauważył przeciwnika. W tym samym momencie pod łukiem pojawił się drugi.

Tannhäuser dał krok naprzód i uciął lewą rękę pierwszego zabójcy dokładnie na wysokości łokcia. Zanim kusza upadła na stopień, obrócił się ku drzwiom.

Drugi *bravo* zdążył zatrzymać się na progu; skóra odłaziła płatami z jego tysej, spalonej słońcem głowy. Wycelował broń w Tannhäusera, lecz ten zszedł z linii strzału i płazem huknął z góry w spojenie łoża i łuczyska. Broń opadła nisko, ale delikatny mechanizm spustowy zaskoczył i bełt wystrzelił z ogromną siłą. Ledwie zdążył wbić się twarde, ubite błoto ulicy, a Tannhäuser skierował ostrze szpontonu w górę i wbił je w gardło napastnika, który poczuł je natychmiast aż w kręgach szyjnych i cofnął się odruchowo. Stał przebiła kość, ale gdy Tannhäuser pociągnął szponton ku sobie, ostrze wyskoczyło z ciała z cichym młaśnięciem, a zabójca upadł bezwładnie na twarz. Jego głowa przez chwilę podskakiwała konwulsyjnie, bulgocąc obficie płynącą krwią.

W cieniu pod łukiem zamajaczył na tle świateł trzeci kształt.

Tannhäuser skoczył ku murowi, by zejść z linii strzału. Bełt, który wytrysnął z ciemności, pomknął z sykiem i rozszczępił jedną z belek w domu naprzeciwko. Mattias zajrzał do kaplicy.

Trzeci z najemnych zbirów zdążył oprzeć kuszę o posadzkę i właśnie naciągał cięciwę, ściskając w zębach nowy bełt. W tym momencie najbardziej niebezpieczni byli dwaj pozostali, który z pewnością mieli broń gotową do strzału; któryś z nich mógł się czaić tuż za drzwiami. Tannhäuser obejrzał się przez ramię.

Jednoręki przysiadł na piętach niespełna dziesięć stóp od niego, spoglądając na strumień krwi tryskający z uciętego rękawa. Mattias chwycił go za kikut i wepchnął w otwarte drzwi kaplicy. Nic się nie wydarzyło. Gdy Tannhäuser wkraczał do wnętrza w ślad za nim, trzeci zabójca wypluł bełt i zawołał przez ramię w stronę drzwi, za którymi zaczynał się korytarz wiodący ku zakrystii:

– Tu jest! Tu jest! – Najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z tego, że jego głos jest ochrypły z przerażenia.

Tannhäuser pozwolił mu jeszcze ułożyć bełt w rozwidleniu orzecha, a potem wbił ostrze szpontonu w jego pierś aż po skrzydelka. Odchylił się natychmiast, by nie dać się zbryzgać czarną, spienioną krwią, która chlusnęła z rany. Przyciskając konającego do barierek, wyszarpnął zza jego pasa kolejny bełt i włożył między zęby. Następnie wyrwał kuszę z bezwładnych już rąk i teraz dopiero pozwolił, by ciało zsunęło się z ostrza i splugawiło posadzkę narteksu. Zmienił też uchwyt dłoni na drzewcu szpontonu na

oszczepniczy, na wypadek gdyby musiał nim cisnąć. Raz jeszcze pchnął leżącego w wątrobę, nim ruszył w stronę drzwi zakrystii.

Stały otworem, po prawej stronie, tuż przed prezbiterium. Zawiasy miały po lewej stronie, a otwierały się ku korytarzowi. Tannhäuser zerknął na kuszę. Łuczysko było stalowe, orzech wykonano z kawałka rogu, a bełt przypominał olbrzymi hufnal. Była to broń nieduża, poręczna, w sam raz dla zabójcy, ale z czterdziestu kroków bez trudu przebijała płytową zbroję.

Z głębi korytarza dobiegł lament księdza, który błagał najemników, by go uwolnili, rozpaczliwie powtarzając bez końca te same słowa. Nikt mu jednak nie pomógł. Skargi la Fosse'a przyniosły nieoczekiwany pozytywny skutek: zabójcy, którzy pozostali przy życiu, zapewne nie słyszeli nawet odgłosów towarzyszących śmierci swych towarzyszy. Tannhäuser wyjrzał lewym okiem zza ościeżnicy.

Czwarty *bravo* stał w mocnym rozkroku, mniej więcej piętnaście stóp w głąb korytarza, zwrócony plecami do Tannhäusera. Tuż za nim la Fosse, wspięty na palce, chował twarz między ramionami przygwożdżonymi do drzwi, układając się z Bogiem. Jego ciało wraz z otwartymi drzwiami blokowało przynajmniej połowę korytarza. Zgodnie z rachubą Tannhäusera ten stan rzeczy zmusił czwartego zabójcę do przyjęcia niewygodnej pozycji po lewej stronie, gdzie z powodu ciasnoty nie mógł sprawnie pracować nogami ani szybko się odwrócić i strzelić. Sądząc po nerwowych ruchach jego głowy i ramion, daremnie usiłował wypatrzeć gdzieś ponad ciałem la Fosse'a, co się dzieje w głębi korytarza.

– Munt! Na gównu Jezusa, gdzie jesteś?!

Niewidoczny towarzysz odpowiedział mu stłumionym okrzykiem.

Tannhäuser wkroczył na korytarz, niosąc szponton w górze jak oszczep. Tym razem wrzaski klechy zagłuszyły jego trzy pierwsze kroki, ale za czwartym zabójcą wreszcie go usłyszał, tyle że w ciasnocie nie mógł obrócić się z bronią ułożoną poziomo – musiał skierować ją ku górze, zmienić pozycję i wycelować ponownie. Zareagował z godną podziwu chyżością, lecz zanim wykonał połowę piruetu, Tannhäuser wbił pod jego pachę stalowy kolec. Obrażenia w płucach i sercu były natychmiastowe i rozległe, tak że jedynym dźwiękiem towarzyszącym zgonowi zabójcy były świszczący, bulgocący wydech. Tannhäuser zepchnął go kopniakiem z ostrza szpontonu i ruszył dalej, zasłonięty przez la Fosse'a. Przechodząc obok, szturchnął go lekko w ramię. Ksiądz zawył z bólu.

– Módl się głośniej – rozkazał mu Tannhäuser przez zęby zaciśnięte na bełcie.

La Fosse spuścił powieki i postarał się bardziej.

Jeszcze kilka kroków i Mattias był już w jego domu. Zatrzymał się przed drzwiami do salonu i postawił szponton pod ścianą. Uniósł kuszę gotową do strzału i zawołał głosem zmienionym przez bełt i łacińskie wrzaski la Fosse'a:

– Munt? Gdzie jesteś?

– Wyłaź! On jest w kaplicy! Schmidt nie żyje!

Tannhäuser zajął pozycję w drzwiach z kuszą skierowaną na wprost.

Munt stał w deszczu przed wejściem do budynku. Puścił się biegiem na południe.

Tannhäuser podszedł do drzwi frontowych i oparł ramię o ościeżnicę, by ustabilizować broń. Munt porzucił swoją, by nie przeszkadzała mu w ucieczce, ale i tak pozostał celem, który nie sprawiłby problemu nawet mniej doświadczonemu kusznikowi. Bełt świsnął w powietrzu i zniknął między łopatkami biegnącego, by ułamek sekundy później rozchłapać wodę z kałuży odległej o kolejne trzydzieści kroków. Munt wygiął grzbiet w łuk i zatoczył się na miękkich nogach. Opadłszy na kolana i dłonie, spojrzał jeszcze w stronę skrzyżowania, jakby się spodziewał, że dostrzeże tam jakiś cud. W końcu ręce ugięły się pod nim, padł twarzą w błoto i więcej się nie poruszył. Tannhäuser postawił kuszę na łożu i wyjął z ust zapasowy bełt. Odstąpił nieco od drzwi i machnął ręką, dając sygnał komuś niewidocznemu. Chwilę później z plamy światła wychynął Grégoire i w strugach deszczu popędził ku swemu panu.

Przeskakując nad ciałem Munta, klasnął w dłonie i nie zatrzymując się, zarżał swym dziwacznym, urywanym śmiechem, który przy pierwszym spotkaniu tak się spodobał Tannhäuserowi. Łysy pies trzymał się blisko niego, pokryty lśniącem, czarnym pancerzem z ludzkiej krwi. Grégoire otworzył dłoń, ukazując pięć palców.

Mattias skinął głową.

Chłopak nadstawił uszu.

– Kto to?

– La Fosse dziękuje Bogu za nasze wybawienie.

Tannhäuser przypomniał sobie o trumnie.

Rozpacz przygasiła radość ze zwycięstwa.

– Idź po Clémentine. I zaciągnij tego trupa do kaplicy.

Tannhäuser umieścił ciało Schmidta w narteksie, po czym przeszukał wszystkich trzech i znalazł przy nich dwanaście *écus d'or* oraz kilka sztuk srebra.

U czwartego trupa, leżącego w korytarzu, znalazł jeszcze cztery *écus*. La Fosse drżał i mamrotał, jakby postradał zmysły. Próbując przekonać Wszechmogącego, jak wartościową jest istotą, porównał się do łotra ukrzyżowanego wraz z Jezusem.

– To Dobry Złodziej dołączył do Chrystusa w raj, nie dobry pederasta – zauważył w odpowiedzi Tannhäuser.

Przeszukawszy księdza, odzyskał swoje dwa podwójne pistole, po czym chwycił go za rękę i wyszarpnął sztylet z drzwi. La Fosse jęknął i osunął się na podłogę. Instruowanie go, by się stąd nie ruszał, wydało się Mattiasowi zbędne.

Zaciągnął czwarte ciało do trzech spoczywających w kaplicy. Tam dołączył do niego Grégoire, który w sakiewce Munta znalazł cięciwę z krótkimi metalowymi sztabkami uwiązanymi na końcach. Posłużył się tą garotą, by uwiązać stopy zabitego do ogona Clémentine, której siła znacznie ułatwiła mu transportowanie trupa. Stanąwszy przed swym panem, pokazał mu cztery *écus*.

– Przynajmniej zarabiamy – mruknął Tannhäuser.

– To także twoje, panie.

Grégoire wręczył mu garść drobnych, głównie miedziaków.

– Sprzedałem buty. Mam nadzieję, że to wystarczy.

Był to mały ułamek kwoty, którą Tannhäuser zapłacił za nie poprzedniego dnia.

– Twardo się targowałeś. Dobra robota.

Grégoire skinął głową.

– Pochwalam też twoją uczciwość.

– Już nie jestem złodziejem.

– Z tego spośród twych licznych talentów być może będziemy jeszcze musieli skorzystać, ale masz słuszość, towarzyszy nie należy okradać. – Tannhäuser skinął głową w stronę ulicy. – Przynieś kusze. Zanim którą podniesiesz, zdejmij bełt i naciśnij spust. Uważaj na palce.

Tannhäuser położył Munta obok jego czterech współników. Zostawiwszy większość krwi na podłodze przedsionka, spoglądali w stronę raj, szeroko otwartymi oczami (i z szeroko otwartymi ustami), jakby kapryśny bóg, który ich poraził, wyznaczył im dziwaczną pokutę. Mattias zastanawiał się, czy nie powinien uciąć im głów i poustawić na ołtarzu, specjalnie dla Marcela. Nie byłoby źle, gdyby wróg uważał go za szaleńca. Pomyślał jednak, że skoro do tej pory nie zbecześcił zwłok Carli, zabijając kogoś w głównej sali kaplicznej, to tak powinno zostać.

Zerknął na trumnę, zmrożony mieszaniną żalu i poczucia winy.

Poszukał w myślach nowych powodów, by odwlec najtrudniejszą z chwil.

W kącie za drzwiami znalazł skórzany worek, a w nim linę, kajdany, obciążone ołowiem pałki, zapasowe bełty, pół bochenka chleba oraz piętękę sera. Pałki i kajdany

porzucił. Po chwili wrócił Grégoire i razem przyjrzeni się pięciu kuszom. Wszystkie były zadbane i dobrze wyważone, a także na tyle małe, że wystarczyły krzepkie ręce i mocny grzbiet, by naciągnąć cięciwę. Jedna z nich, w całości wykonana ze stali, ozdobiona była srebrem i kością słoniową, a przy tym mniej więcej dwukrotnie mocniejsza od łuku Frogiera.

– Skoro nie wychowałeś się w stajni, to gdzie?

– Tutaj, w Ville – odparł Grégoire. – W Les Halles.

Ktoś, kto przygarnął Grégoire’a wprost z kołyski porzuconej w Notre-Dame, nie uczynił tego z litości, lecz po to, by uczynić zeń pionka w bandzie żebraków. Kiedy jednak osiągnął pewien wiek i jego twarz stała się prawdziwie paskudna, okazało się, że więcej może zarobić, wzbudzając odrazę niż litość. Od tamtej pory wykorzystywali go jako element odwracający uwagę, ułatwiający pracę kieszonkowcom i pospolitym rabusiom. Żuł mydło i udawał ataki padaczki. Śledził zamożnych obywateli, by ich adresy przekazywać włamywaczom. Czasem widział, jak któregoś z jego towarzyszy patroszono i wieszano na placu de Grève. Pewnego dnia był świadkiem przygotowań do kradzieży konia i wozu wyładowanego zapasami. Ostrzegł wtedy właściciela, a ten odkrył, że jego dotychczasowy sługa był współnikiem złodziei. Wiedziony poczuciem wdzięczności – jakże dlań nietypowym – Engel zaproponował mu posadę, która właśnie się zwolniła.

– Zatem nieźle sobie radziłeś, dopóki się nie spotkaliśmy – orzekł Tannhäuser.

– Gdyby Engel przyjął teraz nowego sługę, musiałby nad nim popracować. Dlatego sądzę, że przyjmie mnie z powrotem.

– Bardzo wątpię.

Lucyfer wbiegł do kaplicy, wręcz dysząc szczęściem, co mogło oznaczać tylko jedno: że mimo swej nieciekawej kondycji zdołał znaleźć sobie chętną sukę. Obwąchawszy trupy, wybrał dwa, które uznał za stosowne oznaczyć swoim zapachem.

– Jeśli zamierzasz zabrać go do domu, będziesz musiał nauczyć go manier.

– Ja nie mam domu – odparł rzeczowo Grégoire, jak najdalszy od użalania się nad sobą.

– Mówię o moim domu na południu. Pojedziesz ze mną?

Grégoire spojrział na niego bez słowa. Przez chwilę trzepotał powiekami, jakby właśnie doświadczył fantastycznej wizji.

– Tak, panie. Jeśli tylko tam dotrzemy...

– Nie zamierzam zdechnąć w Paryżu. Przyda mi się giermek.

– Giermek?

– To szlachetniejsza wersja sługi. I lepiej zarabia.

Z każdym jego słowem Grégoire wyglądał na bardziej uszczęśliwionego.

– Widziałeś już swą żonę? – spytał, jakby nagle zaczął się bardzo spieszyć.

– Ten obowiązek jeszcze przede mną. Ale dość już tego zwlekania.

– Współczuję.

– Weź worek i broń. Idź do kuchni i zjedz coś.

Grégoire sięgnął za koszulę i wyjął zmięty kawałek materii, przesycony potem i deszczówką. Podał go Tannhäuserowi w wyciągniętej ręce. Dopiero na widok wstążki, którą przewiązany był ów mały pakunek, Mattias zrozumiał, że to szatka chrzcielna.

Przeżegnał się i podszedł do trumny.

Ciało ułożone było głową w stronę ołtarza.

Przystanął.

Ciało było niewłaściwego rozmiaru.

Niewłaściwego kształtu. Niewłaściwej długości. Niewłaściwej budowy.

Skoczył ku niemu, by odchylić rąbek białego całunu, który okrywał także twarz.

Ujrzał kobiece oblicze, jakby woskowe, poszarzałe, niczym się niewyróżniające, gdyż śmierć ściera z ludzkich twarzy oznaki indywidualności.

Ale to nie była twarz Carli.

Był przygotowany na ból, ale nie na coś takiego. Ogarnął go chaos emocji: poczuł ulgę, zrozumiał, że to nie jego żona, choć może była to ulga dość abstrakcyjna, bardziej myśl niż uczucie. Ciężar żałoby przytłaczał go dotąd jak głaz, miażdżył go; nigdy nie czuł cięższego brzemienia. Żadna materia, ani stal, ani kamień, ani nawet miłość nie ciążyły mu nigdy tak bardzo jak ten żal, z którym zdążył się zrosnąć. Stał się człowiekiem dźwigającym żałobę – nie został przez nią zniszczony, nie oszalał z rozpacz. A teraz okazywało się, że nie miał do niej prawa? Że nie istniała? Jak mogło zniknąć coś tak namacalnego? A przecież tak właśnie się stało – czuł nagłą pustkę, do której wolno wpełzał strach.

Śmierć Carli wyzwoliła go od strachu, który teraz powracał.

Tannhäuser odwrócił się plecami do trumny, w której nie spoczywało ciało jego żony.

Gdzie jest?

Czy jeszcze żyje?

Strach rósł w siłę.

Jeśli żyje, istniało ryzyko, że straci ją ponownie i raz jeszcze będzie ją oplakiwał. Nie był pewny, czy ma na to dość sił. A gdyby nie miał, nie byłby mężczyzną godnym istnienia.

Nawet jeśli Carla przeżyła napaść na dom d'Aubrayów, z pewnością nie zdołała uciec. Zwłoki Altana były na to najlepszym dowodem: tylko śmierć mogła oddzielić go od kobiety, którą oddano mu w opiekę. To zaś oznaczało, że sprawcy mogli zrobić z nią, co tylko chcieli, a Tannhäuser wiedział doskonale, czego zwykle chcieli. Zostawili ją przy życiu wyłącznie dla rozrywki. Fakt, że była brzemienna, mógł podsyć apetyt wielu z nich. Mieli cały dzień, by pastwić się nad nią i jej nienarodzonym dzieckiem. Bez względu na to, czy Carla jeszcze żyje, czy też zabili ją, znudzeni zabawą, Tannhäuser stracił cały dzień, zamiast próbować ją ocalić.

I właśnie to było powodem strachu i wyrzutów sumienia. To nie rozpacz nie pozwoliła mu wspiąć się po schodach w domu d'Aubrayów. To nie słaby żołądek. To było poczucie winy – bo przecież był winny. Winny tego, że zawiódł ją jako mąż; próżny i samolubny, zapomniał o lojalności i zostawił ciężarną żonę. Winny każdej błędnej decyzji, którą podjął, odkąd znalazł się w murach Paryża. Winny spóźnienia. A wszystko to było podszyte strachem: lękał się ojcostwa i towarzyszących mu zobowiązań. Lękał się utraty swobody. Śmierci kolejnego dziecka. To dlatego zabrakło mu odwagi, by wspiąć się po tych przeklętych schodach, by stanąć twarzą w twarz z niemym oskarżeniem, by stanąć nad ciałem Carli i znieść wyrzuty sumienia. Owym aktem tchórzostwa porzucił ją po raz wtóry, zostawił na pastwę potworów, a sam próbował zdławić żal, przelewając krew.

Nic nie wiedział ani o poczuciu winy, ani o prawdziwym strachu.

Teraz poznał je dobrze.

Miały przy nim pozostać na zawsze.

Dość.

Dość strachu, winy i obrzydzenia dla samego siebie.

To wszystko może poczekać do jutra.

Uniósł głowę i spojrzał na krzyż zawieszony nad ołtarzem. Wierzył, że ma mroczną duszę, ale okazało się, że i o mroku wiedział niewiele. Nie zmówił modlitwy. Nie potrzebował światła. Zapadała noc i tylko mrok mógł go przez nią przeprowadzić.

Przywołał na pomoc zimną furję.

Tannhäuser wrócił na korytarz, gdzie la Fosse wciąż siedział pod ścianą, przyciskając do ciała przebite dłonie. Chwycił jego głowę obiema rękami, mocno wbijając kciuki pod kości policzkowe, i dźwignął klechę na nogi. La Fosse przewrócił oczami jak spętane ciele. A potem wrzasnął, gdy ucisk na nerwy twarzy stał się nieznośny.

– Gdzie jest moja żona?

– Nie wiem! Próbowałem ci powiedzieć, że to nie ona leży w trumnie...

– Żyje?

– Nie wiem!

Ból, którego doświadczał La Fosse, był na tyle straszny, że skłonił go do rozpaczliwej próby uwolnienia się z uścisku. Tannhäuser ostudził jego zapal kopniakiem w krocze i wbił kciuki jeszcze głębiej.

– Gdzie jest moja żona?

– Sądzisz, że próbuję dochować tajemnicy? Sądzisz, że boję się czegokolwiek bardziej niż ciebie? Boję się ciebie bardziej niż samego Boga! Modlę się, by mnie oświecił, by zdradził mi, gdzie jest twoja żona, ale na Chrystusa ukrzyżowanego, nawet oni tego nie wiedzą! Proszę, przestań, ten ból... Proszę.

Tannhäuser zwolnił uścisk. La Fosse znowu sflaczał, ale Mattias nie pozwolił mu usiąść.

– Co znaczy „nawet oni nie wiedzą”?

– Tak powiedział Christian, gdy zobaczył ciało. To człowiek wybuchowej natury, dostał szału w jednej chwili. Powiedział, że sprowadziłem niewłaściwego trupa, jakbym nie wiedział, że to Symonne.

– Co jeszcze powiedział?

– Proszę, pozwól mi mówić. Nie mogę oddychać.

Tannhäuser przestał przyciskać go do ściany.

– Nająłem ludzi, by przynieśli ciało kobiety leżącej w sypialni, zgodnie z twoim życzeniem. Przynieśli mi Symonne d’Aubray. Przysięgali, że w całym domu nie ma innego kobiecego ciała. To prości ludzie, można im wierzyć. Wy tłumaczyłem sytuację Christianowi i le Tellierowi i właśnie wtedy padły owe słowa, które pozwolę sobie przytoczyć: „Zlecenie było jasne. Co ten bydlak z nią zrobił?”.

– Jak zareagował le Tellier?

– Uciszył Christiana spojrzeniem. I to skutecznie, bo Christian więcej się nie odezwał.

– Ale wcześniej obaj się spodziewali, że Carla nie żyje, a jej ciało spoczywa gdzieś w domu Symonne?

La Fosse skinął głową.

– Ponad wszelką wątpliwość.

– Le Tellier wyglądał na zmartwionego albo zaskoczonego?

– Od początku do końca był spokojny jak martwy karp.

– Wspominali jeszcze o ataku? Wymienili jakieś nazwiska?

– Nie, żadnych nazwisk... Powiedziałem le Tellierowi, że z pewnością tu wrócisz – naciskał, więc to zrobiłem – ale nie jestem pewny, kiedy to nastąpi. Wtedy polecił mi kontynuować przygotowania do pochówku, zgodnie z twoimi instrukcjami, tak jakby w trumnie spoczywała twoja żona. Sam wiesz, co było dalej.

– W oknie wisiały zwłoki jeszcze jednej kobiety. I nadal wiszą.

– To gospodyni Symonne, Denise, o ile mnie pamięć nie myli.

Tannhäuser uporządkował fakty.

Christian wynajął zabójców. Masakra paryskich hugenotów sprawiła, że symboliczne morderstwo straciło swoje znaczenie, zatem i Carla, jeśli jeszcze żyła, nie miała politycznej wartości i nie stanowiła zagrożenia dla spiskowców, których tożsamości nawet nie znała. Marcel le Tellier nie musiał się zbytnio przejmować jej losem.

Problemem Marcela le Telliera był teraz Tannhäuser.

Ale dlaczego chciał dostać go żywcem?

Le Tellier miał też zakładnika w osobie Orlandu – i jego warto było utrzymać przy życiu, przynajmniej do chwili, aż Tannhäuser zostanie pojmany lub zabity. To jednak było mniej istotne.

Carla zniknęła gdzieś w trzewiach tego wielkiego, chorego miasta.

Jakiś „bydlak” ją zabrał. Mały Christian znał jego tożsamość; inni zapewne też. Tannhäuser wątpił, by Christian, choć taki obrotny, nawiązał bezpośredni kontakt z ludźmi gotowymi podpalić żywe psy. Był zapewne tylko jednym ogniwem w łańcuszku pośredników. Możliwe, że nawet Marcel nie odgrywał znaczącej roli. Trzeba będzie wspiąć się po tej drabince, pomyślał Mattias, bez względu na to, jak wysoko sięga.

Jeżeli Carla jeszcze żyła, znajdowała się u jej podnóża, wśród zwierząt.

Nie, skarcił się w duchu, żadnych „jeżeli”. Carla żyje.

Zawłókł la Fosse’a do kuchni.

– Jakim sposobem wysyłasz wiadomości do Boniface’a?

La Fosse wskazał na klasztorne tereny widoczne za oknem.

– Przez brata Anselma z Sainte-Croix.

– Lubicie gry zespołowe, łajdacy, nieprawdaż?

La Fosse nie zamierzał bronić honoru mnicha. Mnich mógł wszakże bez trudu przedostać się na drugą stronę rzeki. Tannhäuser polecił Grégoire’owi sprowadzić brata Anselma.

– Gdzie twoje najładniejsze rękawiczki?

– Rękawiczki? – powtórzył la Fosse.

Tannhäuser zasypał mąką rany na dłoniach księdza – każąc mu podziękować, że to nie sól – a następnie pomógł mu włożyć cieniutkie jedwabne rękawiczki liturgiczne. Pozwolił mu też osuszyć puchar wina, a potem usadził w sąsiednim pokoju przy sekretarzyku, z kartką, piórem i inkaustem. Wśród szpargałów wyszukał arkusz pokryty już odręcznym pismem la Fosse'a.

– To twoja ostatnia szansa na ocalenie życia. Jeżeli pismo nie będzie równie doskonale jak na tej próbce, przypieczętujesz swój marny los.

– Potrzebuję szkiele, jeśli jeszcze je masz. Potem oczywiście możesz je dalej nosić... I zatrzymać na zawsze. Tak, są twoje.

Tannhäuser podał mu okulary. Wsunąwszy je na nos, la Fosse rozprostował palce, krzywiąc się w nadziei na przejaw współczucia. Widząc obojętność Mattiasa, umoczył pióro.

– Zaczynaj tak, jak zwykle pozdrawiasz Małego Christiana.

La Fosse zaczął pisać, a Tannhäuser przyglądał się jego poczynaniom, mrużąc oczy i żałując, że nie ma własnych okularów. Na kartce pojawił się kleks.

– Mój Boże, mój Boże – zajęczał la Fosse.

– Kilka kleksów nie zaszkodzi. Pisz dalej: „Kawaler wie o wszystkim”.

Rozpacz prowadziła pióro la Fosse'a. Pismo nie było zbyt równe, ale należało sądzić, że Christian zrozumie okoliczności; nie mógł mieć wątpliwości co do tego, że nakreśliła je ręka księdza.

– „Uciekam, lękając się o swoje życie. Nie odnajdziesz mnie”.

Usłyszawszy te słowa, ksiądz zaskomlał z nadzieją i znowu umoczył pióro w inkaucie.

– Pozwolę sobie zasugerować: „Nie odnajdzie mnie nawet le Tellier”. Co ty na to, bracie Mattiasie?

– Doskonale. Tylko niech to brzmi wiarygodnie.

– W Ville istnieje przynajmniej setka wspólnot religijnych, które nie są mu nic winne.

– Zatem dodaj: „Niechaj śmiałość tych słów będzie dla Ciebie sygnałem, czyjego gniewu obawiam się najbardziej”.

– Znakomicie, bracie Mattiasie. I jak prawdziwie. Rozważ jednak i taką możliwość: „Niechaj śmiałość tych słów będzie odbiciem nowej hierarchii mej lojalności, mych priorytetów oraz lęków”.

Tannhäuser skinął głową. La Fosse zapisał.

– „Plany le Telliera zostały zniweczone przez siły wyższe, związane z dworem. Nie ujdziemy z życiem”.

– Pozwoliłbym sobie ubogacić twe słowa, drogi bracie, takim oto dodatkiem: „Sprzymierzeńcy Kawalera to zaiste wybitne osobistości”.

– Dobrze. „Kawaler przysięga na krew Chrystusa, że oszczędzi Twoje nędzne życie pod jednym warunkiem”.

La Fosse zawahał się, nim zasugerował korektę:

– „Oszczędzi Twoje nędzne życie tak, jak oszczędził moje”?

Tannhäuser znowu skinął głową, zastanawiając się już nad kolejnym zdaniem. Nie przypuszczał, by ten plan przyniósł mu powodzenie, ani też nie zamierzał czekać, aż tak się stanie. Zamierzał zyskać pięć do sześciu godzin, by spróbować innych, a gdyby i one zawiodły – wtedy może warto byłoby się przekonać, jaki skutek odniósł list la Fosse’a. Pozostawiając sobie swobodę ruchów, mógł skuteczniej strzec się podstępów i w razie potrzeby wywalczyć sobie drogę ucieczki.

– „O północy masz się stawić samotnie przy szubienicy na place de Grève”.

La Fosse umoczył pióro i zapisał.

– „Jakakolwiek próba zdrady oznaczać będzie Twą pewną śmierć” – ciągnął Tannhäuser.

– „Możesz być pewny, że Kawaler dotrzyma słowa”. – La Fosse dopisał te słowa, nie czekając na pozwolenie.

– „Jeśli zaś się nie stawisz” – dyktował dalej Tannhäuser – „Kawaler będzie polował na Ciebie tak długo, aż Cię dopadnie i zada powolną śmierć. Nalegam więc, dla Twego dobra: rozważ, czy aby nie nadszedł czas, by zerwać dotychczasowe sojusze”.

– Znakomicie. Może dodamy: „jak od czasu do czasu czyni to każdy z nas”?

– Podoba mi się twoja szczerość. Zaproponuj finał w podobnym guście.

La Fosse pogłaskał piórem podbródek.

– „Modłę się, byś usłuchał rady danej Ci od serca, aby nasza przyjaźń mogła rozkwitnąć na nowo w szczęśliwszych i spokojniejszych okolicznościach”.

Wbrew rozsądkowi Tannhäuser omal nie postanowił darować la Fosse’owi życia, ale słowa o kwitnącej przyjaźni i natychmiastowe skojarzenie z losem tutejszych chłopców skłoniły go do zmiany zdania. Zdjął okulary z jego nosa i przeczytał cały list. Nie, z pewnością nie było to pismo człowieka, który spodziewa się rychłej śmierci. Wydawało się, że uda się przynajmniej wrzucić skorpiona do kieszeni Christiana. Gdyby podobnym lękiem Christian zdołał zarazić le Telliera, nic nie byłoby jeszcze stracone.

– Podpisz się i tak dalej. I daj pieczęć, jak zawsze.

Z kuchni dobiegło wołanie Grégoire’a, który obwieścił, że przyprowadził brata Anselma.

– Przekaż, że Boniface ma się spieszyć – powiedział Tannhäuser.

La Fosse wstał, zachwiał się i opadł na krzesło.

– Wybacz. To te dłonie... Ból jest coraz bardziej dotkliwy.

– Mam u pasa porcję opium. Dam ci później, a teraz wstawaj. Będę słuchał, co mówisz, a mój sługa będzie cię obserwował.

Gdy mnich ruszył w drogę z listem do Boniface’a, Tannhäuser poklepał la Fosse’a po plecach.

– Powiedz no, ojczulku, czy w tej starej kaplicy jest może krypta?

– Spoczywają w niej najstarsi luminarze zakonu. Dlaczego pytasz?

– Wożę ze sobą ciężki zapas złota. Chciałbym je gdzieś ukryć, jeśli tylko mogę ufać, że go nie ukradniesz.

La Fosse zaprotestował, broniąc swej uczciwości. Tannhäuser uśmiechnął się krzywo.

– Żartowałem. Pokaż mi tę kryptę, a potem niech każdy z nas ruszy w swoją drogę.

La Fosse zaprowadził go do krypty i pomógł odsunąć płytę chroniącą podziemny grobowiec, a wtedy Tannhäuser przewrócił go nad krawędzią i bez ceregieli poderżnął mu gardło. Dogorywającego cisnął w podziemia, zasunął płytę na miejsce i otrzepał ręce.

Wrócił jeszcze po szponton, a gdy wyszedł z kaplicy, przekonał się, że deszcz ustał. W półmroku odnalazł Clémentine i Grégoire’a, zajętego dokarmianiem łysego psa małymi kawałkami sera. Chłopak przewiesił sobie przez plecy worek należący do zabójców, a ich kusze związał w pęczek za pomocą garoty.

Nie spytał o la Fosse’a.

Tannhäuser dosiadł klaczy.

Zatrzymali się jeszcze na skrzyżowaniu ulic.

– Znasz może Podwórza?

– Nie, panie. Wiem tylko, gdzie ich szukać. Przykro mi.

Powietrze było jeszcze wilgotne po niedawnej ulewie i ciężkie po upalnym dniu. Ulica wiodąca na zachód otworzyła przed nimi rzadko spotykaną, daleką perspektywę: ujrzeni kraniec Ville i niebo spowite smugami dymu w odcieniu cynobru i ochry, jakby skaziły je płomienie trawiące Sodomę. Promienie zachodzącego słońca przeświectliły witraże w strzelistej wieży kościoła, lecz ich piękno gasło ze wstydu, a cnoty, których miały być

symbolem, wydawały się śmiechu warte w obliczu tego, co działo się w dole. Dalekie krzyki żegnały dzień, tak jak wcześniej witały świt. Nadchodziła noc, czas bandytów, fanatyków i degeneratów, a także chaosu, który pozwalał im spełniać najdziwniejsze kaprysy.

Gdzieś tam, w wirze nienawiści, Carla patrzyła w twarz śmierci. Wyobraził sobie jej spojrzenie, ów ciemnozielony ogień, który nawet jego potrafił mrozić do szpiku kości. Świat postrzegany przez Carlę nie był jego światem, nawet w takich chwilach, gdy ukazywał swe najpodlejsze oblicze. Zawsze widziała w nim nowe możliwości, on zaś dostrzegał tylko ograniczenia, które należało znieść. Jeśli ktokolwiek mógł tam przetrwać, jeśli ktokolwiek miał w sobie taką łaskę, to tylko ona. A jeśli nie – czekała go nowa żałoba. Jednak miał w sobie coś jeszcze i była to bodaj ostatnia rzecz, którą warto było posiadać: wiara w Carlę.

Musiał wierzyć, dla jej i własnego dobra.

Zamknął oczy.

Czuł bicie serca dziecka. Małej dziewczynki.

Ją także stracił tego dnia. Jakże za nią tęsknił.

Ale wróciła, była w nim. Obie wróciły.

– Wiedziałem, że ma wielkie serce – powiedział Grégoire.

Tannhäuser otworzył oczy.

Chłopak głaskał szeroką pierś Clémentine. Po chwili spojrzał na Mattiasa.

– Nie zawiodła cię, panie.

– Nie ona jedna, chłopcze.

Grégoire był bystry, ale nie na tyle, by dostrzec własną wartość.

– Miałeś kiedyś innego konia? – spytał.

– Nie o to chodzi. Clémentine była dzielna przez cały dzień. Powinniśmy pozwolić jej odpocząć.

– Znam wszystkie stajnie. Wiem, w której warto ją zostawić.

– Wiesz też zapewne, gdzie znaleźć nocleg dla siebie. Zrób to.

– Jeśli mnie odeślesz, i tak pójde za tobą. Nawet mnie nie zauważysz.

– Mam sporo do zrobienia. To niebezpieczne.

Grégoire kichnął kawałkiem sera.

Tannhäuser schylił się i wyciągnął rękę.

– Daj no ten pęczek. – Przyjął powiązane kusze i przelożył je do prawej dłoni, w której trzymał szponton. Znowu wyciągnął rękę. – Siadaj za mną.

– Mam z tobą jechać, panie? – Grégoire najwyraźniej uważał, że to wielce niestosowne. Potrzebował wyjaśnienia. – Jako twój giermek?

– Jako mój przyjaciel.

Grégoire zamrugał nerwowo, jakby spośród wszystkich wydarzeń minionego dnia to jedno wywołało w nim prawdziwe zdumienie. Odwrócił głowę, by ukryć drżenie wargi.

– Miałem już kilku wiernych druhów – dodał Tannhäuser – ale żadnego z nich nie cenilem wyżej.

Grégoire otarł oczy rękawem i spojrzał na niego.

– Czy Lucyfer może pójść z nami?

– Dlaczego nie? Tam, dokąd się wybieramy, kundel z piekła rodem może nam się przydać.

Pies jakby zrozumiał: zajął miejsce między przednimi kopytami Clémentine.

– Dokąd teraz? – spytał Grégoire.

Tannhäuser zawrócił konia w stronę karmazynowej plamy konającego słońca.

– Zapłacimy Dudziarzowi. Niech nam zagra.

CZĘŚĆ CZWARTA

POMOC DALEKA JAK CZYŚCIEC OD NIEBA

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Minstrel

Świadom tego, że za jego głowę wyznaczono nagrodę, a szpicle węższą za nim jak dziwki za klientem, Tannhäuser polecił Grégoire'owi, by poprowadził go bocznymi uliczkami. W pobliżu skrzyżowania rue Trousse-Vache i rue Saint-Denis kazał mu zostawić Clémentine w stajni.

Czekając na chłopaka, rozwiązał garotę i spośród pięciu kusz wybrał tę ze srebrnymi okuciami. Naciągnął cięciwę, ale nie założył beltu. Gdy wrócił Grégoire, Tannhäuser wybrał z worka pięć pocisków z blaszanymi lotkami. Każdy z nich ważył dwukrotnie więcej niż typowy belt, ale i jego siła rażenia była nieporównywalnie większa. Zatknął je z tyłu za pas i zwrócił chłopakowi worek.

Karczma Ślepy Dudziarz mieściła się przy południowo-zachodnim narożniku cmentarza. Starając się nie zważać na nasilający się fetor, wędrowali obok sklepów i ciemnych arkad, pod którymi *sergents* i nocni stróże czaili się na złodziei. Grégoire prowadził Tannhäusera takimi zakamarkami miasta, do których za dnia rzadko zaglądało słońce i w których nocą panował niemal zupełny mrok. Gdy raz na jakiś czas w ciemności zamajaczyła ludzka postać, Mattias starał się, by nieznajomy najpierw dostrzegł błysk szpontonu. Wizja wypatroszenia jednym ciosem skutecznie odstraszała potencjalnych przeciwników.

– Jesteśmy na tyłach Ślepego Dudziarza. – Grégoire podbiegł do dwu drewnianych bramek w wysokim ceglany murze. – Zamknięte na kłódkę od środka – zameldował.

To dobrze, pomyślał Tannhäuser. Łatwo nie uciekną.

– Nie ma psów – zauważył.

– Paul ich nie lubi.

Tannhäuser ruchem głowy wskazał kierunek i razem obeszli budynek, by przystanąć w cieniu cmentarnego muru. Od karczmy dzieliło ich teraz mniej więcej dwadzieścia stóp. Za grubymi szybami w masywnych drzwiach widać było żółty blask ognia. Okna na piętrze były ciemne.

– W którym miejscu jest bar? – spytał Tannhäuser. – Ilu ludzi go obsługuje?

– Po prawej. Zwykle jest tam tylko jeden człowiek.

– Drzwi otwierają się do środka czy na zewnątrz?

– Na zewnątrz.

– Jesteś pewny, że Papież jest w karczmie?

– Paul jest najgrubszym człowiekiem w Paryżu. Nigdy stamtąd nie wychodzi. Siedzi na kanapie w głębi sali. Ma nawet swoją gwardię: dwóch osiłków, którzy pomagają mu wstać.

Tannhäuser miewał już do czynienia z takimi jak Paul – choćby w Stambule czy Tangerze. Z reguły w kontaktach z nimi podstawą była cierpliwość, lecz tej nocy po prostu jej nie miał. Nie spodziewał się trudnej przeprawy z klientami karczmy – ludzie, którzy naprawdę potrafią i lubią walczyć, piją w samotności. A jeśli szukają zaczepki, to nie w takich miejscach. Jedynym, co niepokoiło Tannhsera, była ewentualna obecność kobiet. Jeszcze nigdy żadnej nie zabił, bo żadna nie dała mu wystarczającego powodu. Nie czuł wewnętrznego przekonania, że przesiadywanie w niewłaściwej karczmie w niewłaściwy wieczór kwalifikuje się jako taki powód. Dobył sztyletu.

– Potrzyмай no ten pęczek.

Tannhäuser kolejno przeciął cięciwy w czterech związanych garotą kuszach.

– Paul zatrudnia kurwy?

– Nie. Nie lubi kobiet.

– A chłopców?

– Dzieci też nie lubi. Interesują go jedynie interesy i jedzenie.

Tannhäuser schował sztylet do pochwy i ułożył bełt na łożu swojej kuszy.

Usłyszał muzykę. Brzęk strun. Śpiew.

– Paul lubi wieczorami posłuchać popisów minstrela – powiedział Grégoire.

– Co ty powiesz?

Tannhäuser zamyślił się. Minstrel?

Przywarł do ściany, słysząc kroki. Jakiś człowiek biegł ulicą.

Goniec zwolnił i skręcił wprost ku drzwiom Ślepego Dudziarza. Nie zauważył Mattiasa ani Grégoire'a.

– Miejmy nadzieję, że szczęście nas nie opuści. Podaj to żelastwo.

Tannhäuser przełożył gotową do strzału kuszę do lewej ręki, a prawą dźwignął za końcówki garoty cztery pozostałe, wraz ze szpontonem.

– Otwórz mi drzwi, ale nie wchodź do środka. Zaczekaj na mnie, trochę to potrwa.

– Nikt nigdy nie ważył się tknąć Paula. To dlatego nazywają go Papieżem.

– Najwyższy czas, żeby abdykował.

Grégoire otworzył na oścież drzwi Ślepego Dudziarza.

Tannhäuser omiótł spojrzeniem całą salę.

Powała, wsparta na licznych belkach, wisiała dość nisko; zapamiętał, że trzeba będzie uważać na głowę.

W głębi, na wielkiej kanapie, spoczywała purpurowa masa zwieńczona małą, różową kopułką, w towarzystwie dwóch wołów o ludzkich kształtach oraz gońca, który właśnie szeptał do ucha Paula.

Mniej więcej pośrodku sali siedział na krześle minstrel. Śpiewał, akompaniując sobie na harfie, którą trzymał na kolanie. Miał naprawdę piękny głos. Był odwrócony plecami do wejścia.

Tannhäuser przestąpił próg, a drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem. Oparł szponton o ścianę i szybkim spojrzeniem zliczył klientów lokalu: przy stolikach siedziało dziewięciu mężczyzn.

Wszyscy byli łajdakami tego czy innego sortu; niektórzy nawet nieźle ubranymi. Kilka par oczu od razu skierowało się ku krzyżowi maltańskiemu na piersi Mattiasa. Zatem spodziewali się jego wizyty – zapewne dlatego rozsiedli się tak, by paru z nich mogło zaatakować wchodzącego od tyłu. I dobrze, pomyślał. Skoro Paul obawia się tej wizyty, to znaczy, że ma mi sporo do powiedzenia. Tannhäuser na nikim nie zatrzymał spojrzenia na dłużej, za to przeciwnicy wpatrywali się weń bezceremonialnie. Szybko wypatrzył ich lidera, który przyglądał się jego bogatej kolekcji broni. Jego towarzysz wyglądał z kolei na dworzanina, który postanowił wydać trochę pieniędzy na figle po ciemnej stronie życia. Lider skinął palcem, dając sygnał dwóm twardzielom siedzącym przy sąsiednim stoliku: czekajcie i obserwujcie. Twardziele nie potrzebowali takich instrukcji; zauważyli gotową do strzału kuszę i mieli nadzieję, że nie zobaczą już nic ciekawego. Trzej inni *bravos*, siedzący w kącie sali, także wiedzieli, kim jest Tannhäuser. Gdy na nich spojrzął, jak jeden mąż zapatrzili się w swoje kubki z winem.

Mattias zrobił jeszcze dwa kroki, a potem rozkołysał wiązkę i cisnął ją przed siebie. Cztery uszkodzone kusze wylądowały z donośnym łoskotem i siłą rozpędu przesunęły się w stronę Paula, zgrzytając na kamiennej posadzce. Przecięte cięciwy wiły się jak węże, nim znieruchomiały. Możliwe, że dokładne znaczenie tego gestu nie dla wszystkich było jasne, ale jego ogólny wydźwięk – z pewnością tak.

Minstrel umilkł. W karczmie zapadła cisza.

Człekokształtne woły spojrzwały na Paula, jakby w nadziei, że raczy porazić przybysza piorunem. Twarz Papieża była zdecydowanie zbyt otłuszczona, by z tej odległości odczytać na niej oznaki strachu, ale zdradził go głos:

– Witaj, kawalerze! Właśnie doszły mnie wieści o twych śmiałych czynach.

Tannhäuser kiwnął głową w stronę minstrela.

– Śpiewaj.

Minstrel odwrócił się, trącił struny i zaśpiewał.

Tannhäuser dobył miecza, na wszelki wypadek kierując kuszę w bok.

Zawinął z biodra, mocno, na odlew, jednym cięciem pozbawiając minstrela głowy.

Upadła na kamienie z głuchym tąpnięciem. Z kikuta szyi chlusnęła we wszystkie strony krew, lecz ciało pozostało nieruchome, a ręce wciąż trzymały harfę.

Cisza, która teraz zapadła, wydawała się jeszcze głębsza. Wszyscy przyglądali się gasnącej z wolna erupcji.

Tannhäuser odwrócił się i podszedł do drzwi frontowych.

– Chryste, odgłowił minstrela!

Nagły pomruk wielu głosów przerwał ciszę.

Niektórzy dyskutowali o tym, czym śpiewak zasłużył na taki los.

Inni zastanawiali się, czy moralność pozwala im patrzeć, jak morderca bezkarnie się oddala.

Mattias tymczasem zamknął zasuwę.

Gdy z metalicznym brzękiem zaskoczyła na swoje miejsce, spekulacje ustały.

Tannhäuser odwrócił się znowu i spojrzął na zebranych.

– O mój Boże – powiedział dworzanin.

Twardziele odczytali sytuację najszybciej. Mogli jedynie sięgnąć po sztylety i zaatakować, to było ich jedyne wyjście. Pierwszy skończył z bełtem w piersi, gdy tylko poderwał się z krzesła. Moc strzału była tak wielka, że pofrunął bezwładnie jak wór łąjna i huknął plecami w ścianę. Drugi zdążył się rozpędzić, dzięki czemu sam nadział się na klingę miecza; Tannhäuser użył jedynie łoża kuszy jako młota: uderzył w podkryże, rozcinając brzuch napastnika w dół aż po pęcherz, nim wyszarpnął ostrze z rany. Twardziel chwycił w locie wypadające trzewia i zatoczył się w mrok.

Ich szef rzucił się w stronę drzwi, a może nawet stojącego obok nich szpontonu, lecz jego prawdziwe intencje na zawsze pozostały zagadką, zwałił się bowiem na posadzkę, gdy Tannhäuser podciął mu ścięgna udowe. Zaraz potem przyjął cios na lewą część pleców – na

tyle mocny, że zniszczył mu nerkę i poharatał jelita. Gdy szef wił się w przedśmiertnych skurczach, Mattias spojrział na dwóch, którzy mieli go zaatakować od tyłu.

Paul wyrzucił pieniądze w błoto: żaden z nich nawet nie podniósł się ze stołka. Nie drgnęli też trzej siedzący w kącie, ani dworzanin, któremu przytrafiła się nocna przygoda znacznie bardziej emocjonująca niż to, co zaplanował. Powietrze śmierdziało paniką, ale nikt nie śmiał zakłócić ciszy; wszyscy rozważali w pośpiechu możliwości, a raczej ich brak.

Tannhäuser położył na barze zakrwawiony miecz.

Oparł łoże kuszy o podłogę i wsunął stopę w strzemię, po czym chwycił obiema rękami cięciwę ze skreconych ścięgien i naciągnął. Kątem oka obserwował wołu, który zbliżał się, rycząc bojowo i wywijając toporem. Drugi wół próbował zająć go od tyłu, jakby z mniejszym zapalem, daremnie podsycanym piskliwymi komendami Paula.

Tannhäuser oparł naciągniętą kuszę o kontuar, odwrócił się i sięgnął po szponton. Obróciwszy się ponownie, pochylił drzewce i wykonał wykrok prawą nogą. Odbił się potężnie i wraził długi grot prosto w mostek atakującego osiłka, tak głęboko, że nawet czubki skrzydełek wbiły się między żebra. Porzucił szponton, by uskoczyć w bok i obejść rannego olbrzyma, który zrobił jeszcze krok naprzód, wypuszczając topór z bezwładnej dłoni. Chcąc ochronić ostrze swej broni przed uszkodzeniem, Tannhäuser szarpnął wołu w ostatniej chwili tak, by upadł na bok.

Uczyniwszy to, zwrócił się ku drugiemu olbrzymowi, który właśnie wracał biegiem do Paula. W powietrzu śmignął dzban z winem, ale Tannhäuser zdążył się uchylić i gliniane naczynie rozprysło się od uderzenia w bar. Sięgnął po miecz. Po lewej miał młodego dworzanina, który właśnie dobył rapier, najwyraźniej pod wpływem ogłupiającego przerażenia, i przyjął szermierczą postawę, z której jego nauczyciel fechtunku byłby zapewne dumny. Smukłe ostrze, choć prowadzone z niewątpliwą elegancją, wykonało bardzo przewidywalny ruch – Tannhäuser zrobił prosty unik i jednym cięciem otworzył gardło młodzika aż po kręgi szyjne. Dworzanin padł w kałużę krwi minstrela, gulgocąc i drżąc konwulsyjnie.

Mattias wrócił do kontuaru.

Odłożył miecz, sięgnął po kuszę i wsunął bełt w nacięcie orzecha.

Wół numer dwa, ignorując coraz bardziej natarczywe rozkazy Papieża, właśnie odepchnął pechowego gońca od tylnych drzwi lokalu i sam zabrał się do otwierania zamka.

Tannhäuser wycelował i strzelił. Bełt wbił się nieco poniżej karku wołu, na lewo od kręgosłupa. Olbrzym wpadł na drzwi i charcząc efektownie, jął bębnić dłońmi w solidne deski, wstrząsany niezbyt silnymi spazmami.

Mattias ponownie naciągnął cięciwę. Nie musiał się spieszyć; nikt go nie atakował. Jeżeli ktokolwiek wyobrażał sobie, że ma szansę, w tej chwili już wiedział, że jej nie wykorzystał. Wszyscy obecni mogli żywić tylko jedną nadzieję: że intruz okaże im miłosierdzie. Tannhäuser strząsnął krew z klingi i wsunął miecz do pochwy. Lider twardego wciąż leżał pod drzwiami frontowymi, jęcząc z bólu. Tannhäuser postawił stopę na martwym wołu i zaparłszy się mocno, wyszarpnął szponton z jego mostka, a następnie ostro okutym, drugim końcem drzewca przebił skroń lidera.

W ciszy rozejrzał się po sali.

Jeśli nie liczyć Paula i gońca, który usiłował odepchnąć dygocącego osiłka, by wreszcie otworzyć tylne drzwi, w karczmie zostało już tylko pięciu ludzi.

Dwaj *bravos*, którzy od początku obserwowali Tannhäusera, siedzieli absolutnie nieruchomo, jakby mieli nadzieję, że dzięki temu staną się niewidzialni. Trzej pozostali trzymali się zwartą grupą, stojąc pod przeciwległą ścianą. Zaczęli mówić jeden przez drugiego, niewątpliwie szczerze, z wielkim zapałem, ale on ich nie słyszał. Wreszcie dwaj odłączyli się od trzeciego, który z narastającym przerażeniem spoglądał na Mattiasa. Towarzysze twierdzili zgodnie, że to on rzucił dzbankiem, i przysięgali na dusze swych matek, że wpadli do Dudziarza jedynie po to, by w spokoju łyknąć coś mocniejszego. Fakt, że każdy z nich miał w ręku nóż, a o stołek oparli bojowe maczugi, zdawał się przeczyć ich słowom, lecz i to nie miało znaczenia. Tannhäuser zamierzał dokończyć rzeź.

Zabił wszystkich pięciu, kolejno dziurawiąc ich szpontonem. To była czysta robota: po jednym pchnięciu, za każdym razem w serce, ewentualnie przez nieopatrznie podłożone dłonie. Na pierwszy ogień poszli dwaj nieruchomi *bravos*, którzy własną skórę cenili wyżej niż życie swego chlebobawcy, Paula. Siedzieli przy stoliku do ostatniej chwili, jakby liczyli na to, że dobre maniere pozwolą im przetrwać. Potem przyszła kolej na tych dwóch, którzy podawali się za spokojnych miłośników wina i gorliwych katolików. Na końcu zginął ten, który ponoć rzucił dzbankiem. Potem zaś Tannhäuser znalazł jeszcze jednego mężczyznę, który od początku ukrywał się za beczkami z winem.

Jego także przebił szpontonem.

Uczyniwszy to, wrócił po swą kuszę i podszedł do Paula, który przyglądał się temu wszystkiemu, drżąc na swym papieskim tronie. Oparł szponton o ścianę, umieścił bełt na łożu kuszy i położył ją na stole, gotową do strzału. Teraz dopiero zauważył, że goniec wcisnął się w kąt sali, ściskając w dłoni nóż – może chciał w ten sposób dodać sobie odwagi, ale bez skutku. W szeroko otwartych oczach widać było, co się dzieje w jego głowie: w natłoku myśli nie potrafił znaleźć ani jednej, która przyniosłaby mu jakąkolwiek korzyść.

Tannhäuser spojrział na Paula. Widział już bardziej otyłych ludzi – w dalekim Egipcie – ale nie więcej niż dwóch. Twarz Paula lśniła w blasku lampek oliwnych, a oczy wpatrywały się w pierś Mattiasa. Oddychał szybko i płytko, przez ściągnięte usta – zupełnie jakby z marnym skutkiem usiłował gwizdać. Jego umysł także pracował gorączkowo i z pewnością potrzebował ochłody.

– Jestem Mattias Tannhäuser. A ty, jak się domyślam, jesteś tutejszym arcykapłanem.

Paul nie odpowiedział. Nie był w stanie. Zraniony beltem wół za jego plecami świszczącym głosem powtarzał wciąż jego imię, niczym wystraszone dziecko, plując krwią na drzwi przy każdym oddechu.

– Paul... Paul...

Tannhäuser obszedł kanapę dookoła i spojrział na gońca.

– Rzuć nóż.

Goniec rzucił nóż.

– Byłeś w kaplicy. Co tam widziałeś oprócz trupów?

– Widziałem Infanta. Poszedłem tam za nim. Paul mi kazał, panie.

– Infanta?

– Grymonde'a. – Goniec dyszał ciężko przy każdym słowie. – Grymonde wszedł do kaplicy. Został tam bardzo długo, jak mi się wydawało, a potem wyszedł frontowymi drzwiami domu księdza i przystanął na ulicy. Niepodobna odczytać jego uczuć. Ja przynajmniej nie umiem. Ruszył na północ, w stronę Temple. Wtedy zajrzałem do kaplicy i zobaczyłem zabitych. Leżeli jak upolowane zające... Potem przybiegłem tutaj.

– Doskonale. A teraz stań za Paulem i połóż ręce na jego ramionach.

– Paul... Paul...

Goniec, jak wszyscy, zignorował jęki wołu. Bez słowa wykonał polecenie.

Tannhäuser wyjął z pochwy sztylet z lazurytową rękojeścią i położył dłoń na lepkim karku gońca. Młody mężczyzna drżał. Mattias pomyślał o Carli. I o tym, co tacy bandyci jak ten mogli z nią wyczyniać.

– Nie musisz tego robić – odezwał się Paul. – Nie tak załatwiamy sprawy w tych stronach.

– Łaski, panie – wydukał goniec. – Jestem głuchy na jedno ucho.

Tannhäuser poderżnął mu gardło i przytrzymał w pionie, pozwalając, by krew chlusnęła wprost na głowę Paula, który zaskomlał i parsknął z odrazą, a zaraz potem zwymiotował na swój wielki, purpurowy brzuch.

Teraz dopiero Tannhäuser pozwolił, by ciało opadło na posadzkę.

– Paul... Paul...

– Na miłość boską, człowieku, nie mógłbyś przynajmniej uciszyć Maurice’a?

Tannhäuser spojrział na wołu, który powoli i systematycznie przyodzabiał drzwi własną krwią. Spomiędzy jego górnych zeber sterczały blaszane, nieco wygięte lotki. Grot beltu utkwiał w drewnie, po drodze jednak minął najważniejsze dla życia narządy. Tannhäuser wbił ostrze sztyletu za obojczyk Maurice’a. Teraz, gdy nogi nie mogły już utrzymać jego ciężaru, wół osunął się na podłogę, łamiąc promień beltu.

– Dziękuję – powiedział Paul.

Tannhäuser zasiadł na krześle naprzeciwko niego. Twarz Papieża była lśniąca, czerwoną maską. Krew spływała po wielkich fałdach tłuszczu, z których składało się jego ciało. Otarł oczy dłonią i zatrzepotał powiekami.

– Musiałeś zabijać minstrela?

Tannhäuser dostrzegł pod warstwą strachu przejawy inteligencji.

– Gdzie jest moja żona?

– Bardzo chętnie powiem ci, gdzie znajdziesz swą Carlę, lecz najpierw musisz zrozumieć, dlaczego pozbawienie mnie życia byłoby niezgodne z twoim interesem.

– W jakim jest stanie?

– Zapewniam, że nie spotkała jej żadna krzywda. No, jeszcze nie.

– Trzymają ją dla okupu?

– Chciałbym, żeby tak było – westchnął Paul. – Zwłaszcza że dostałbym swoją dolę. Ale nie rozpaczaj, rozmawiasz z właściwym człowiekiem. Jeżeli połączymy nasze talenty – a wyznam, że powstałaby wtedy niezrównana potęga – z pewnością doprowadzimy tę sprawę do szczęśliwego finału.

– Twoja próżność góruje nad inteligencją.

– Nie trzeba ani próżności, ani inteligencji, żeby stwierdzić, że jestem ci potrzebny.

– Ponoć uwielbiasz interesy, więc powiem ci, jaki ubijemy. – Tannhäuser skinął głową w stronę kuszy. – Ty mi powiesz to, co chcę wiedzieć, a ja wpakuję ten belt w twoją czaszkę.

– Składano mi już lepsze oferty.

– Tłuszcz nie krwawi zbyt mocno. Mógłbym wykroić z ciebie spore polacie sadła, a i tak gnąłbyś jeszcze dobry tydzień. Zapewne nie oszczędziłbym też języka i palców, choć do tego czasu z bólu raczej postradałbyś zmysły i nie zdradziłbyś nikomu mojego nazwiska.

– Twoje nazwisko i tak zna już całe miasto – odparł Paul. – Tnij, ile chcesz, jeśli ci to sprawi przyjemność, co wydaje mi się wielce prawdopodobne. Wiedz jednak, że mógłbym odpowiedzieć na twoje pytania – dowiedziałbyś się tego, co tak cię ciekawi. Nie dowiedziałbyś się jednak tego, co wiedzieć powinienes, a to z tej prostej przyczyny, że nie wiesz nawet, o co pytać.

– Spotkałem w życiu ludzi obojętnych na ból. Ty nie jesteś jednym z nich.

Tannhäuser wstał i dobył sztyletu.

Paul uniósł w górę zakrwawione ręce.

– Zaczekaj. Wszyscy znamy legendę o rycerzu, który grał w szachy ze Śmiercią. Możliwe, że gram tu o swoje życie, lecz ty grasz o życie Carli. I na tym etapie rozgrywki nie możesz sobie pozwolić na fałszywy ruch.

Tannhäuser nie usiadł. Ruchem głowy nakazał Paulowi, by kontynuował.

– Ta sprawa śmierdziała od samego początku...

– Kiedy wynajął cię Christian?

Paul oblizwał krew z warg, jakby już stracił kawałek ciała.

– Dziś po południu.

– Mówię o morderstwach w domu d'Aubrayów, nie o zamachu na mnie. Bo przecież to ty za nimi stoisz, nieprawdaż?

– Tydzień temu. Christian powiedział mi jedynie, czego oczekują. Nie wspomniał o przyczynach. Być może sam ich nie znał, mały lizus. Tylko że ja je pojąłem bez jego pomocy.

– Zapalić lont. Wywołać wojnę.

Paul zmierzył Tannhäusera uważnym spojrzeniem.

– Znakomicie. Naturalnie dałem się skusić. Na wojnie można świetnie zarobić, zwłaszcza gdy się wie, że ona wkrótce wybuchnie. Zażądałem królewskiego wynagrodzenia, żeby wybadać grunt. Nie napotkałem sprzeciwu. Ale nie mogłem się też wycofać, bo przestaliby mi ufać. To nie są pospoliccy bandyci, tyle wiem, choć nie mam pewności, kim tak naprawdę są. Przyznaję, że moje źródła informacji w Luwrze są słabe, a milicjanci nie należą do mojej klienteli.

– To Pielgrzymi Świętego Jakuba. Marcel le Tellier.

Paul był pod jeszcze większym wrażeniem.

– Spodziewałem się tego. Wielu chciałoby ujrzeć na własne oczy upadek tego cezara.

– I ujrzą. Wiedz, że twoja gra przebiega wręcz fatalnie: nie powiedziałeś mi jeszcze niczego, co chciałbym wiedzieć.

– Mogę ci powiedzieć, gdzie możesz się ukryć wraz z żoną. Gdy zamieszki dobiegną końca, gdy le Tellier zostanie zniszczony, będę mógł załagodzić sytuację. A także wywieźć was bezpiecznie z Paryża. Albo jeszcze lepiej: mógłbyś zostać tu ze mną i bardzo się wzbogacić.

– Ukrywanie się jakoś nie licuje z moim temperamentem. Carla też tego nie lubi.

Tannhäuser wbił sztylet w tłuszcz na boku Paula. Dziwne to było uczucie. Papież kwiknął głośno, a Mattias wepchnął ostrze jeszcze głębiej, aż po gardę, i zostawił je w ranie, lecz brakowało dobrej stopy, by dosięgnąć ważnych narządów. Teraz dopiero usiadł, przyglądając się, jak Paul trzęsie się z bólu.

– Posłałeś Grymonde'a do kaplicy, żeby pomógł twoim *bravos*.

– Nikt nigdzie nie posyła Infanta. Sam poszedł, żeby cię ostrzec, że na ciebie czekają.

Tannhäuser przeżuwał ten fakt przez chwilę, ale jakoś nie mógł go przelknąć.

– Dlaczego?

– Dlatego, że podobnie jak ty jest szaleńcem.

Tannhäuser znowu wstał.

– Grymonde kocha twoją żonę.

Zanim Mattias w pełni zrozumiał to zdanie, uświadomił sobie, że nie jest nawet specjalnie zdziwiony. Carla nie była uwodzicielką, wręcz gardziła kobiecymi sztuczkami, a w dodatku nosiła w brzuchu dziecko, ale i tak miała w sobie niepoślednią moc przyciągania, tkwiącą gdzieś w głębi duszy. Tannhäuser nie potrafił zgłębić jej natury. To dlatego zdołała ujarzmić lwa. To dlatego Grymonde darował jej życie. A teraz posłała go, by odnalazł jej męża. Naturalnie to nie mogło ocalić go przed śmiercią, lecz Mattias poczuł coś na kształt sympatii do tego człowieka. Wiedział, jakiego rodzaju uczucie potrafi wzbudzić Carla, nawet jeśli ostatnio okazał się go całkiem niegodny.

– Nająłeś Grymonde'a, żeby wymordował mieszkańców domu d'Aubrayów.

– Christian prosił właśnie o niego. Robota miała być efektowna, miała przyciągnąć uwagę, a powiedziano mu, że Infant nie będzie miał nic przeciwko temu, co zresztą było prawdą. Grymonde nie domyślił się jednak, że jego czyn ma posłużyć jako zarzewie wojny. Choćby o tym wiedział, pewnie wykonałby zadanie z podwójną przyjemnością.

– Jest fanatykiem?

– Tylko własnej sprawy, czyli totalnego zniszczenia, choć i tego nie jest świadomy.

– Zatem Carla jest w rękach Grymonde'a. Gdzie?

– Gdzieś na Podwórzach, na wzgórzu opodal porte Saint-Denis. Grymonde nazywa swoje terytorium Kukanią. Sam jej nie odnajdziesz, nawet Tezeusz by tego nie dokonał. Ani ja. Carla ma zaś coraz mniej czasu.

Tannhäuser znowu sięgnął po sztylet, a Paul zakwilił jak dziecko. Był niemal zupełnie posłuszny woli swego oprawcy, a wciąż uparcie trzymał się fantazji, że toczy jakąś grę.

– Minstrel był najmniej groźnym stworzeniem w tej sali – rzekł Mattias. – Gdy go zabiłem, wszyscy tu zrozumieli, że czeka ich ten sam los. Zdziwiający, ale większość mężów, gdy już pojmie, że nadszedł ich czas, woli po prostu umrzeć, niż stanąć do walki. Tych, którzy byli do niej zdolni, udało mi się sprowokować, lecz nawet oni działali z rezygnacją, wiedząc, jak to się skończy. Wszyscy, prócz ciebie. Ale nie dlatego, że jesteś wojownikiem, lecz dlatego, że wydaje ci się, iż świat cię potrzebuje. Prawda jest jednak inna: świat nie potrzebuje nikogo. Nie potrzebuje Carli. Nie potrzebuje mnie. Masz.

To rzekłszy, dźgnął tłuszcz po raz drugi. Paul zawył.

– To za nasłanie łotrów, by zabili moją żonę.

Kolejne pchnięcie.

– A to za nasłanie morderców na mnie.

Tannhäuser otarł ostrze o podeszwę swego buta.

Zadbał o to, by Paul dobrze widział, jak gówno z ulicy przykleja się do stali.

– To wystarczająca dawka paryskiej trucizny, żebyś pomału zgnił.

Pchnął po raz czwarty. Paul podskoczył i zaszlochał.

– Tak oto przypieczętowałem twój los.

– Jesteś przeklętym wariatem.

Tannhäuser znowu wbił w niego sztylet i zostawił, by nasączyć ranę łajnem. Paul wił się i skomlał, wybałuszając oczy otoczone karmazynową maską krwi.

– Jak mam odnaleźć żonę?

– Joco wie. Mieszka na rue de la Grande-Truanderie. Zna Kukanię.

Grégoire widział, jak Mały Christian składa wizytę w domu na rue de la Grande-Truanderie.

– Joco albo Typhaine, rudowłosa – dodał Paul. – Jej córka też zna to miejsce.

– Wiem, który to dom. Ale które piętro?

– Drugie.

– A jeśli ich tam nie zastanę?

– Joco leży w łóżku, bo Grymonde połamał mu zebra. Na pewno tam będzie.

Tannhäuser spojrział mu w oczy. Paul zacisnął powieki. Wciąż próbował zwyciężyć. Mały Christian. Christian wiedział o Grande-Truanderie. Grégoire go śledził. La Fosse wspomniał, że nie wiedzieli, gdzie szukać Carli, ale to było w południe. Zatem... już wiedzieli.

– Od jak dawna Christian wie, gdzie szukać Carli?

Paul spoglądał na Tannhäusera z furią wynikającą z głębokiego upokorzenia.

– Czekałem, aż staniesz w tych drzwiach, człowieku. Czekałem, by powiedzieć ci całą prawdę. I nie zażądałbym w zamian nawet miedziaka.

– Wiem o tym. Chciałbyś, żebym zajął się twoimi kciukami?

– Christian wyszedł stąd ponad godzinę temu. – Łzy spłynęły po policzkach Paula, złościąc doliny w gęstniejącej krwi gońca. – Gdzie nie ma ludzi, ty bądź człowiekiem – powiedział, szlochając.

– Hillel – mruknął Tannhäuser.

Od Hillela do Sabata Svi.

Do Tannhäusera.

Do Carli.

Do Grymonde'a.

– To Grymonde zacytował słowa rabina, prawda?

Paul przestał płakać. Spojrział na Tannhäusera.

– Powiedział, że właśnie dlatego chce cię odnaleźć. I dlatego powiedziałem mu, jak może tego dokonać.

– Jesteś Żydem?

– Sądzisz, że pozwoliliby, żeby Żyd zaszedł tak daleko? Ale znałem kiedyś pewnego Żyda. Nauczył mnie paru rzeczy, o których warto wiedzieć. Najlepsze z nich postanowiłem zapomnieć.

– Mamy zatem ze sobą coś wspólnego.

Mattias wyciągnął sztylet z ciała Paula, wytarł i schował do pochwy.

– Mamy ze sobą znacznie więcej wspólnego – odparł Papież. – Nie kochamy Marcela le Telliera.

Nawet siedząc i gnijąc na własnej kanapie, Paul Papież próbował osiągnąć cel, który przetrwałby dłużej niż on sam. Tannhäuser uśmiechnął się z podziwem i usiadł naprzeciwko niego.

– Skąd znasz le Telliera? – spytał Paul.

– W życiu go nie widziałem. A dziś usłyszałem o nim po raz pierwszy.

– Marcel bardzo chce dopaść Carlę, sam nie wiem dlaczego. – Paul skinął głową w stronę trupów leżących na podłodze jego karczmy. – Choć z drugiej strony widzę, że i ty doceniasz niewątpliwą wartość zacierania wszelkich śladów do czysta. Marcel przeznacz na ten cel naprawdę poważne pieniądze i podejmuje niemałe ryzyko, choć nie może wykorzystać środków Châtelet, a przynajmniej nie wprost. Nie mógłby bowiem ukryć tego faktu przed swymi konkurentami, a oni wykorzystaliby go bez litości, by zniszczyć le Telliera. Katarzyna Medycejska postara się obrócić tę wojnę na korzyść swego syna, nawet jeśli jej nie chciała. Nie będzie jednak tolerować szefa policji, który ośmielił się wykorzystać Châtelet, by wspomóc jej wrogów. Nikt nie jest niewolnikiem państwa bardziej niż policjant. Gdyby więc rzecz się wydała, za tydzień królowej używałyby głowy Marcela jako stołka.

– Pielgrzymi – powiedział Tannhäuser.

– Garnier, Crucé, Brunel, Sarrett, a może i inne konfraternie.

– Pielgrzymi zamordowałyby Carlę dla le Telliera?

– To nie byłoby morderstwo, lecz akt miłosierdzia. Ocaliliby katolicką damę z rąk niesławnego łotra, Infanta Kukanii. Po czymś takim czuliby się jak Strażnicy Życia. Kapitanowie ochoczo skorzystają z okazji, a wtedy Carla znajdzie się w rękach le Telliera. On ma syna...

– Dominica.

– On zaś znajdzie dość ludzi, najmie ich choćby wśród gwardzistów. Z nimi wezmą ją bez trudu, żywą lub martwą. Grymonde bowiem nie tylko nie spodziewa się ataku. On nawet nie wierzy, że atak jest możliwy. Jest królem Kukanii. Wielkim Infantem. I jest szalony. Prawda jest jednak taka, że to tylko jedna z wielu żebraczych nor, kolonia chwastów, których nikt jeszcze nie uznał za stosowne wyrwać.

– Czy Marcel osobiście poprowadzi ekspedycję?

– Marcel nie jest wojownikiem. Nie zamierza też okraść Pielgrzymów z chwały, a to ona będzie ich jedyną nagrodą. Są dostatecznie pobożni, by mniemać, że nader hojną.

– Twoi *bravos* mieli mnie wziąć żywcem.

– W zamian za znaczącą premię – odrzekł Paul. – Le Tellier najwyraźniej chciałby cię jakoś wykorzystać.

– Możliwe, że szuka kata dla samego siebie. Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

– Ja zaś na jego miejscu znalazłbym dla ciebie wiele ról – odparł Paul. – Na przykład: przymknąłbym cię na dzień w lochu, pozbył się Carli, a następnie uratował cię. Dowiódłbym przed tobą i całym światem, że ktoś inny nastawał na jej życie, dziecinna igraszka, między nami mówiąc, i pozwoliłbym, żebyś mając za sobą potęgę Religii oraz

prawo, zwrócił się przeciwko rzekomym sprawcom. Naturalnie okazałoby się, że owymi sprawcami są starzy wrogowie Marcela. Dwie pieczenie na jednym ogniu. Byłby to piękny podstęp, choć możesz mi wierzyć, że Paryż widywał już lepsze. Uwierz i w to, że nikt nigdy nie dowie się, kto kazał zastrzelić admirała de Coligny'ego. Wątpię, by wiedział to nawet człowiek, który pociągnął za spust.

– Nie potrzebuję już żadnych dowodów winy Marcela le Telliera.

– Mówię tylko o możliwościach, które zapewne dostrzega. On zaś nic nie wie o twoich intencjach. – Paul rozłożył ręce. – Wyobrażam sobie, że równie dobrze mógłby kazać poderznąć ci gardło w jakiejś ciemnicy, gdyby tylko zdołał cię w niej umieścić, co zapewne jest jego słodkim marzeniem.

– Uśmiercenie kawalera maltańskiego bez zgody zakonu to wielce ryzykowne posunięcie.

– Nie wtedy, gdy ów kawaler dopuścił się zabójstwa własnej żony i niemaleń gromady niewinnych obywateli. Le Tellier zrobiłby z ciebie Gilles'a de Raisa⁷. Z Gilles'em przecież się udało, czyż nie? Z tego, co wiem już o tobie, wnoszę, że bez trudu udałoby się spreparować równie przekonującą aferę.

– Jak wygląda w tej chwili sytuacja z punktu widzenia Marcela?

– Sądzi, że jesteś martwy lub siedzisz w kajdanach na moim podwórku – odpowiedział Paul. – Albo że w ogóle nie wróciłeś do kaplicy, tylko leżysz gdzieś pijany w burdelu, czekając, aż znajdzie cię jakiś *sergent*.

– Dlaczego miałbym leżeć pijany w burdelu?

Paul po raz pierwszy spojrział na niego jak na głupca.

– Bo pozwoliłeś, żeby jakieś bydlaki zamordowały twoją żonę.

Tannhäuser puścił mu płazem tę złośliwość.

– Przepraszam. To było poniżej mojego poziomu – zmytygował się Paul. – Obszukaj Maurice'a. Znajdziesz przy nim sakiewkę z premią. Trzydzieści *écus d'or*.

– Zawsze chętnie przyjmę królewskie podobizny.

Paul pochylił się nieco, mimo bolesnych ran, jakby zwęszył coś smakowitego.

– Mam tego znacznie więcej. Więcej, niż sobie wyobrażasz. Ale nie tutaj.

– Więc nic nam po tym.

– Wiesz, że dwaj tacy jak my mogliby zarobić fortunę?

⁷ Gilles de Rais (1404–1440) – francuski arystokrata oskarżony o zgwałcenie, torturowanie i zamordowanie co najmniej kilkudziesięciorga dzieci, a także o herezję; sądzony przez sąd kościelny i świecki i skazany na śmierć wraz ze swymi pomocnikami.

– Może wczoraj. Od dziś zapisów w księdze rachunkowej dokonuję wyłącznie krwią.
Paul zerknął na kuszę leżącą na stoliku, a potem spojrział prosto w oczy Tannhäusera.
Ten zaś dostrzegł w nim odwagę, która uczyniła z Paula papieża Les Halles.

– Grymonde nie jest wybitnym myślicielem – rzekł wolno Paul – choć w pewnym sensie nazwałbym go filozofem. Jest przeklęty. Sam się przekonasz, gdy go zobaczysz. A rozpoznasz go bez trudu. Ma też wyjątkowy instynkt i dość rozumu, by słuchać jego podszeptów. Powiedział mi: ktoś tu wręcz dyszy nienawiścią.

– Wojna tylko ją spotęguje.

– Nie miał na myśli ani hugenotów, ani fanatyków. Mówił o sprawie osobistej. O czymś, co dotyczy Carli. A jeśli nie jej, to kogoś z jej bliskich.

– A co ci podpowiada twój spasiony instynkt?

– Zgadza się z Grymonde'em.

– Znasz Orlandu?

– Nie. – Paul postanowił chwycić się ostatniej szansy. – Ale mogę go dla ciebie odnaleźć.

– Wiem, gdzie go szukać.

Tannhäuser wstał.

– Chciałbyś dowiedzieć się więcej o Marcelu le Tellierze?

– Nie. Chyba że potrafisz doprowadzić mnie na tyle blisko, bym mógł go zabić.

Marnowanie beltu nie miało sensu. Tannhäuser sięgnął po szponton.

Dreszcz przeszył Paula Papieża.

– Jeśli mogę mieć ostatnie życzenie, kawalerze, to chciałbym, żebyś uwierzył w to...

– Głos mu zadrżał. – Przysięgam, że gdy Grymonde stąd wyszedł, zamierzał ocalić ci życie.

– Tylko jedna osoba może ocalić je Grymonde'owi, ale nie ty. Dlaczego więc tak ci na nim zależy?

– Powiedzmy, że lubię go uważać za swego... niesfornego syna.

Tannhäuser spojrział na niego badawczo. Paul spuścił oczy.

– Oto papież, który spłodził króla. Mogło być gorzej.

– Mam nadzieję, że twój gambit się opłaci, łajdaku o czarnej duszy.

Tannhäuser pochylił szponton. Paul uniósł w górę palec.

– Czy wiesz, ile pieniędzy można zarobić na gównie?

Tannhäuser pchnął Paula Papieża prosto w serce.

Potem zabrał Maurice'owi sakiewkę, podniósł kuszę i odwrócił się w stronę wyjścia.

Posadzka, aż po drzwi, była zalana posoką zabitych, nad którą wystawały jedynie najwyżej sterczące kamienie. Martwe ciała emanowały ciszą, która nie miała nic wspólnego z brakiem dźwięku. Bezgłowy harfista wciąż siedział na krześle.

Tannhäuser nie czuł wyrzutów sumienia. Zastanawiał się dlaczego.

Doszedł do wniosku, że to nieistotne.

Rachunki jeszcze nie zostały spłacone.

Carla wciąż go potrzebowała.

A on jej.

Podszedł do drzwi i otworzył zasuwę.

Pchnął skrzydło ramieniem i wyszedł na ulicę.

Ślepy Dudziarz był już przeszłością.

A przynajmniej tak mu się zdawało.

Na zewnątrz było już niemal zupełnie ciemno. Nie zobaczywszy nigdzie Grégoire'a, Tannhäuser skręcił ku beczce, w której zbierano deszczówkę spływającą z dachu. Odłożył broń i ściągnął koszulę, która przyłgnęła do ciała nasączona krwią i potem. Zanurzył głowę w wodzie aż po barki. Była przyjemnie chłodna, chłodniejsza, niż się spodziewał. Pociągnął łyk, a potem wyprał koszulę i obmył ciało. Od razu poczuł się lepiej. Z kryjówki po drugiej stronie ulicy wybiegł chłopak z psem.

– Długo cię nie było.

Grégoire zapatrzył się na janczarskie tatuaże na ramionach Tannhäusera.

– Mówiłem ci przecież, że nie zdechnę w Paryżu.

– Co się stało z minstrelem?

Mattias wyjął koszulę. Nie odpowiedział.

– Muzyka ucichła. Potem słyszałem hałasy. A jeszcze potem... zobaczyłem to. – Grégoire wskazał na stopień przed drzwiami karczmy, po którym spływała krew. – I wreszcie wszystko ucichło.

– Nie mogłem przecież rozmawiać z Paulem z tuzinem noży w plecach.

– Minstrel też miał nóż?

– Minstrel nie cierpiał. Umarł z pieśnią na ustach.

Grégoire objął Tannhäusera w pasie i zaszlochał, przytulając się mocno. Był dzieckiem, znużonym i wystraszone. A człowiek, którego podziwiał, właśnie z zimną krwią zamordował minstrela.

Tannhäuser zarzucił koszulę na ramię i położył dłonie na plecach chłopca. Poczul, jak niezgrabne, chude ciało drży. Jeżeli Bóg w chwili Stworzenia trzymał w swych rękach

esencję dobra i z czystej ciekawości przyozdobił ją bólem dezorientacji, to Grégoire był w tej chwili żywym wcieleniem tego dzieła.

Mattias poczuł, że narastają w nim uczucia, których nie potrzebował. Należał do tych ludzi, którzy czynili ten świat tym, czym był. Długo szukał we własnym wstydzie słów, które mógłby wypowiedzieć. Słów, które miał prawo wypowiedzieć. Słów prawdziwych, niebędących próbą ucieczki. Mógł powiedzieć Grégoire'owi, że nie jest dobrym człowiekiem, że nie jest też mądry, że dla dobra kobiety gotów jest dopuścić się każdego zła, bez względu na cenę, którą zapłaci jego dusza. Mógł wspomnieć o wielu takich faktach, ale chłopak niczego by nie zrozumiał. Nie znalazłby w tych prawdach ani krzty pocieszenia, którego potrzebował i na które zasługiwał. Tannhäuser wiedział, że nie powinien był zabierać Grégoire'a ze stajni. Przypomniał sobie, jak to było, gdy w tej samej stajni siedział z córkami drukarza. Może warto spróbować?

– Grégoire. Kocham cię.

Chłopak zadarł głowę i spojrzał na niego, błyszcząc świeżym śluzem na dziąsłach, jakby nigdy wcześniej nie słyszał tych słów, co zresztą, jak poniewczasie pomyślał Tannhäuser, było całkiem prawdopodobne.

– Ocaliłeś mi życie. Może nawet ocalisz moją duszę. A gdybym stracił i jedno, i drugie, będę cię kochał z piekielnego ognia. A teraz umyj twarz.

Grégoire usłuchał.

Tannhäuser tymczasem ulżył sobie pod ścianą i zawiązał rękawy mokrej koszuli wokół pasa. Dobrze mu służyła, ale zbyt rzuciła się w oczy, odkąd stał się zwierzyną łowną.

Grégoire także sobie ulżył. Widząc to, Mattias parsknął śmiechem.

– Umyty i wyszczany człowiek zaraz czuje, że jest gotów na wszystko.

Grégoire wyszczerzył zęby i pokiwał głową.

Był Tannhäuserowi potrzebny: miał go zaprowadzić do domu na Grande-Truanderie. Do Joco. Do rudowłosej Typhaine. Potem jednak powinien zostać w jakimś zajeździe; gdyby protestował, Mattias mógłby zmusić go do posłuszeństwa. Tak przecież należało. Ale nie umiał znaleźć w sobie dość siły, by wykluczyć chłopaka z tej mrocznej krucjaty, do której powołało ich Przeznaczenie.

– Grégoire, przede mną jeszcze sporo krwawej roboty. Muszę ją wykonać.

Chłopak skinął głową.

– Czekają nas śmiertelne pułapki. Jeśli chcesz, umieszczę cię w jakimś bezpiecznym miejscu, ale jeśli postanowisz mi towarzyszyć, będę ci wdzięczny za pomoc. Bez ciebie marnie widzę swoje szanse.

– Ale jak mogę ci pomóc?

– Zaprowadź mnie do tego domu, który widziałeś przy rue de la Grande-Truanderie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Karmazynowy całun

Gdy Carla się ocknęła, Amparo patrzyła jej w oczy. Niemal dotykały się nosami. Carla zastanawiała się, co miała tak naprawdę widzi. Wyglądała tak, jakby kąpała się w oddechu matki. Carla leżała nieruchomo, zauroczona jej promienną niewinnością, czując na sobie dotyk wieczności. Świat był jednością, po wsze czasy. Amparo zakwiliła słodko. Powitanie. Pytanie. Pieśń życia. Carla uśmiechnęła się do niej.

– Jest gotowa do kolejnego karmienia – powiedziała Alice.

Carla uniosła głowę i w blasku lampy zobaczyła staruszkę siedzącą przy łóżku, wpatrzoną w ten macierzyński spektakl tak, jakby widziała go po raz pierwszy.

Amparo znowu zapłakała. Carla usiadła i podała jej pierś. Zasłony były teraz rozsunięte; od okna wiało świeżym powietrzem, a w oddali widać było fiołkowo-różowe niebo przecięte smugami czerwieni. Na podwórzu płonęły ogniska; iskry frunęły wysoko, a wraz z nimi głosy, śmiechy i woń pieczonej wieprzowiny. Uczta Grymonde'a trwała. Carla poczuła głód. Alice ustawiła mały rondel na trójnogu nad świecą i chwilę później, gdy Amparo posilała się mlekiem, przysiadła na skraju łóżka z miseczką podgrzanego bulionu.

Carla owinęła małą szalem i podała staruszce. Zdumiała się, czując w sercu ból nawet tak krótkotrwałego rozstania, ale przykre uczucie ustąpiło, gdy ujrzała radosny uśmiech na twarzy Alice. Spuściła stopy na podłogę, siadając ostrożnie. Musiała skorzystać z nocnika. Przeprosiła, a Alice dyskretnie stanęła przy oknie i mruzczała cicho do dziecka. Carla wstała, nie mogąc się nadziwić, jak lekkie wydaje się jej ciało. Nie czuła się jeszcze zbyt pewnie, ale sił jej nie brakło. Poczowała lekki skurcz w żołądku. W nocniku wylądowało kilka skrzepów, zdecydowanie za mało, żeby było się czym martwić. Alice wróciła na swoje miejsce na krześle, a Carla przysiadła na łóżku, by się posilić. Bulion był smaczny.

– Nie powinnyśmy zawinąć jej w powijaki? – spytała Carla.

– Jak uważasz. Większość matek tak robi, ale staruszka nie wierzy w takie wymysły. Jakież żywe stworzenie chciałoby, żeby mu ciasno pętać ramiona i nogi? To bez sensu. Życie przynosi nam dość więzów, nie warto narzucać ich od samego początku. Wystarczy, jeśli delikatnie owiniesz ją tym szalem. Im więcej będzie miała kontaktu z twoją skórą, tym lepiej. Założymy jej tylko pieluszkę.

– Pokaż mi, jak byś to zrobiła.

Alice wyjęła z kredensu białą ścierkę i wprawnymi ruchami uformowała z niej coś na kształt pieluchy, którą można było owinąć dziecko i przewiązać w pasie. Po chwili odstała, pozwalając, by Carla spróbowała powtórzyć jej ruchy. Zadowolona z siebie, wyjęła chustę z kufra i razem przewinęły Amparo. Z dołu dobiegł hałas: ktoś otworzył drzwi, wpuszczając na moment odgłosy wesołej zabawy, a potem je zamknął.

– Grymonde? – spytała Carla.

Alice pokręciła głową.

– Dom się nie zatrząsł – odpowiedziała, po czym wstała i poczłapała do drzwi. – Kto tam? Gadaj mi zaraz, bo jak nie, to zrobię sobie podwiązki z twoich flaków!

– Szukam Grymonde’a – odpowiedział jej wysoki, ale śmiały głos.

– Nie ma go tu.

– A gdzie jest?

– To chyba Estelle – wtrąciła Carla. – Zawołaj ją na górę.

– Właż! – Alice spojrzała na Carlę. – Estelle?

– Zdaje się, że należy do bandy Grymonde’a.

Alice zmarszczyła brwi, jakby trudno jej było w to uwierzyć.

Estelle przystanęła na progu. Jeśli to w ogóle możliwe, była jeszcze bardziej umorusana niż w chwili, gdy Carla ujrzała ją po raz pierwszy, i znowu od stóp do głów pokryta świeżą sadzą. Włosy miała praktycznie czarne, a na ramionach widać było liczne ślady zadrapań. Tylko oczy błyszczały bielą na czarnym tle twarzy, dzikie jak zawsze. Nie odważyła się wejść do izby.

– Do licha.

– Estelle – odezwała się Carla – czyżbyś znowu zeszła tu kominem?

– Nie, wdrapałam się kominem na górę. Gdzie Grymonde?

– Wyszedł – odpowiedziała Alice. – A ty, jeśli chcesz tu wejść, nie unikniesz kąpieli.

Estelle nie opierała się, gdy staruszka odpięła jej pasek i ściągnęła sukienkę przez głowę, a następnie użyła jej do starcia przynajmniej pierwszej warstwy sadzy z rudych loków. Niezbyt zadowolona z rezultatu Alice zwinęła brudną sukienkę i cisnęła za okno – na protesty z dołu nawet nie zwróciła uwagi. Teraz sięgnęła po lniany ręcznik, którego wcześniej używała, i owinęła go wokół głowy dziewczynki na kształt turbanu. Większość spadających drobin sadzy udało się zatrzymać za progiem.

– To szczególne miejsce, więc zważaj na swoje maniery – powiedziała Alice. – A teraz zlituj się nad grzbietem staruszki i sama postaw na podłodze tę misę z wodą. No, rusz się, tylko nie rozlej.

Estelle weszła do izby na palcach i zaraz się zatrzymała, zobaczywszy Amparo w ramionach Carli.

– To twoje nowe dziecko?

– Tak, mała dziewczynka.

– Jak ma na imię?

– Amparo.

– Pierwszy raz słyszę.

– Gdy się umyjesz, będziesz mogła się z nią przywitać. Zostaniesz jej pierwszą przyjaciółką.

– Pierwszą w życiu?

– Pierwszą w życiu i w całutkim świecie.

Estelle dźwignęła ze stołu cynową misę i postawiła ją na podłodze. Woda nie była całkiem czysta, ale nie miało to wielkiego znaczenia. Stała w niej z powagą, podczas gdy Alice pomału szykowała się, by klęknąć przed nią. Carla wstała i podała staruszce Amparo.

– Proszę, pozwól, że ja to zrobię. Dobrze się czuję.

Alice nie oponowała. Wzięła dziecko w ramiona, a Carla przyklękła przed Estelle i zaczęła myć ją od góry do dołu namydloną szmatką. Widać było, że to pierwsza jej kąpiel od dłuższego czasu. Spod brudu wyłaniały się kolejne strupy, blizny i całkiem świeże zadrapania. Gdy jej dłonie były już czyste, Estelle oparła je na ramionach Carli, by utrzymać równowagę. Był to miły dotyk.

– Musisz wymyślić lepszy sposób niż wchodzenie i wychodzenie z domu kominem.

– Nienawidzę kominów, ale w naszym domu przy drzwiach frontowych stróżował *sergent*, a okno było zbyt wysoko. Wstręciuch, zjadł nam zupę, a potem zasnął. Jego też nienawidzę. Nienawidzę ich wszystkich.

– Cóż, tutaj nie ma nikogo godnego nienawiści. Jesteśmy dobrymi przyjaciółkami.

– A Grymonde? Też jest twoim przyjacielem?

– Tak. Stał się nim i powiem ci, że dobrze jest mieć takiego przyjaciela.

– Czasem pozwala mi latać.

– To musi być cudowne uczucie – odpowiedziała Carla.

– O, tak. Ale ty jeszcze bardziej niż Grymonde'a lubisz swojego kawalera, prawda?

Carla znieruchomiała, spoglądając uważnie na dziewczynkę. Przypomniała sobie zazdrość w oczach Estelle i ból, który towarzyszył jej w chwili wygnania. Zazdrość już znikła; jej miejsce zajęła straszliwa tęsknota. Carla poczuła ucisk w sercu i już nie miała wątpliwości: Estelle była córką Grymonde'a.

Właściwie to nie jego odbicie dostrzegła w jej rysach, ale podobieństwo do Alice: jej oczy były dzikie i szare jak morze, skrywały w sobie głęboki ból. Carla już miała zapłakać, ale przełknęła łzy. Pragnęła spojrzeć na Alice, ale nie uczyniła tego. Wykręcając szmatkę, zastanawiała się, skąd Estelle wie o kawalerze. Chciała otrzeć twarz małej, ale woda i materiał były już tak brudne, że wolała użyć własnego przedramienia. Nie mogła myśleć, emocje były zbyt silne. Poszukała spokoju w najprostszych czynnościach.

– Wyjdź z misy, Estelle. Do twarzy użyjemy czystszej wody.

Dziewczynka wyszła posłusznie, a Carla podparła się na krawędzi łóżka, by wstać. Zaraz też pochyliła się, by podnieść miskę, ale Estelle była szybsza.

– Ja to zrobię. – Podeszła z misą do okna. – Uwaga! – zawołała.

Chlusnęła na oślep, a odpowiedziały jej głośne przekleństwa. Zwróciła misę Carli, która ustawiła ją na stole i nalała czystej wody z dzbanka. Rozejrzała się w poszukiwaniu nowej szmatki.

– Wspomniałaś o kawalerze. Chodziło ci o mojego męża, Mattiasa?

– Jego lubisz najbardziej, prawda? – Pytając, Estelle kiwała głową, jakby bała się odpowiedzi.

– Oczywiście, Mattiasa lubię najbardziej. Kocham go. Ale skąd ty o nim wiesz?

– Mały Christian wspomniał, że dałby Grymonde'owi dużo złota, gdyby pozwolił ci wrócić do domu, więc mu powiedziałam, gdzie jesteś. Ale on kłamał, oni wszyscy są kłamcami. Nazwał mnie judaszem, a ja wcale nie jestem judaszem. Więc uciekłam, żeby nie powiedzieć o wszystkim Grymonde'owi i tobie.

– Zatem nie widziałaś Mattiasa, kawalera?

– Nie – odrzekła Estelle. – Tylko oni rozmawiali o nim.

– Oni? Kto jeszcze tam był?

– Moja matka i Joco.

– Ten Joco, którego poznałam?

Estelle skinęła głową.

– Chociaż nic nie powiedziałaś, to przez ciebie Grymonde go skrzywdził.

Carla znalazła wreszcie szmatkę, zmoczyła ją i wyżyła. Nie czuła się już bezpieczna, ale znacznie bliższe emocje kazały jej na chwilę zapomnieć o lęku. Teraz liczyło się ciało. Zmęczenie. Radość. Dziecko. Alice.

– Carla? Pozwól, że staruszka umyje buzię tej małej.

Carla przejęła śpiącą Amparo z jej rąk i delikatnie przytuliła. Czowała ból w piersiach. Alice tymczasem wpatrywała się w Estelle, jakby chciała przeniknąć przez jej oczy aż do duszy. Dziewczynka cofnęła się odruchowo. Alice usiadła na łóżku i przywołała ją do siebie.

– Nie bój się staruszki, Estelle. Chcesz, żeby twoja śliczna buźka lśniła czystością, gdy Grymonde wróci do domu, prawda?

– A wróci?

– Grymonde zawsze wraca do domu. Jest moim synem.

– I moim smokiem.

Estelle uśmiechnęła się, a Carla uprzytomniła sobie, że bodaj po raz pierwszy widzi ją w takim stanie. To był uśmiech Grymonde'a, odrobinę szalony, ale wielki jak serce dziewczynki. Alice westchnęła, a w jej głosie dało się słyszeć cały ból i tęsknotę za skradzioną radością. Poklepała dłonią kolano, zapraszając Estelle. Dziewczynka przysiadła, zwracając wciąż czarną, ale ożywioną radością buzię ku staruszce.

– Nie wiedziałam, że Grymonde ma matkę – powiedziała.

– Każdy ma matkę, skarbie. Nawet smok.

Alice zwilżyła i namydliła szmatkę. Zawahała się. Jak na kogoś, kto zna największe sekrety ciała, wydawała się niemal złężniona, jakby Estelle miała zniknąć od jej dotyku. Carla rozumiała ją doskonale. Przytuliła Amparo do policzka, czując, że na krótką chwilę znowu obcuje z wiecznością. Alice zaczęła zmywać sadzę z twarzy Estelle, dotykając jej delikatnie, a zarazem z uczuciem. Co chwilę płukała szmatkę, jakby każde muśnięcie było skarbem wartym życia spędzonego w smutku; jakby z każdym muśnięciem zmywała ów smutek wraz z sadzą.

Strach Carli musiał ustąpić przed czymś jeszcze, czymś znacznie potężniejszym i trwalszym niż przyziemne sprawy. Przed czymś mistycznym. Amparo otworzyła oczy i zakwiliła, a wtedy Carla obróciła ją tak, by i ona mogła patrzeć na to, co się dzieje.

– Grymonde nosi mnie na ramionach, wtedy razem fruujemy – wyjaśniła Estelle, cierpliwie dając się myć. – A jego ramiona to najwyższe miejsce w całym Paryżu. Nikt nie jest tak wysoki jak on. Zabiera mnie wszędzie, gdzie zechcę. Ciągnę go za uszy, żeby wiedział, w którą stronę ma skręcić, a czasem zionie dla mnie ogniem. Wszyscy schodzą mu z drogi i chcieliby być na moim miejscu, bo jestem jedyną dziewczynką w całym świecie, która może latać ze swym smokiem. Jestem już czysta?

– Jeszcze nie, skarbie.

– Dlaczego płaczesz?

– Ze szczęścia.

Estelle spojrzała na Carlę.

– Ty też jesteś szczęśliwa?

Carla teraz dopiero poczuła łzy na policzkach. Skinęła głową.

– Ja tam płacę tylko wtedy, gdy mi smutno – stwierdziła Estelle.

– Łzy smutku są dobre, ale łzy szczęścia jeszcze lepsze – odpowiedziała Alice. Starła sadzę z warg i nosa Estelle, a potem z uszu. Wreszcie kazała jej zamknąć oczy i wymyła powieki oraz rzęsy. Na koniec spojrzała na nią z bliska. – Jesteś nią – szepnęła. – I jesteś sobą. Mogę cię objąć?

Estelle spojrzała niepewnie na Carlę, a Carla zachęcająco skinęła głową.

– Jak chcesz – powiedziała Estelle.

Alice przytuliła ją mocno. Carla widziała doskonale, jak przeszukuje niezmierzone pokłady swojej wiedzy, jak zadaje sobie pytania, jak szuka tego, co prawdziwe, co słuszne. I jak sposobi się, by odmówić sobie tej prawdy, tej deklaracji, która mogłaby uleczyć wszystkie rany jej duszy. Właśnie z tą mądrością, która nakazywała jej zachować prawdę dla siebie, walczyła najdłużej. Starła się spoglądać daleko poza własne pragnienia, ku temu, czego najbardziej potrzebowała Estelle. Spojrzała na Carlę.

– Tamta, wiesz, tamta kobieta powiedziała mu, że to nie jego dziecko. W ten sposób się go pozbyła. Twierdziła, że była z jakimś dobrze urodzonym paniczem, który ponoć dał jej pieniądze, ale jeśli nawet, to nikt tych pieniędzy nigdy nie oglądał. A potem on zaczął się zmieniać – jego zęby, jego czoło – ona zaś wstydziła się, że kiedykolwiek miała z nim coś wspólnego. Być może łatwiej mu było wierzyć w to, co mówiła, niż nie wierzyć. Ale staruszka wie jedno: on kochał tę małą od chwili, gdy przyszła na świat.

– I nadal ją kocha – odrzekła Carla. – Mam jej powiedzieć?

– Stara kobieta wyciągnęła dziś kartę dla maleństwa. Ranny Brzask. Koło i kwadrat, czerwień i biel, przeszłość i przyszłość, Nadzieja i Wiara. I bezruch po burzy.

– Gwiazda – dopowiedziała Carla.

Estelle wsłuchiwała się w każde słowo. Nie rozumiała zbyt wiele, ale czuła, że rozmawiają o niej. Nie spuszczała Carli z oka.

– Sama widziałas poranny układ kart – odrzekła Alice. – Możliwe, że długo się nim nie nacieszy.

– Może dlatego warto powiedzieć prawdę?

– A może on jest mądrzejszy niż my? Rodzic to jednak rodzic. Ale smok?

Carla przypomniała sobie, co Mattias opowiadał jej o Orlandu. Gdy po raz pierwszy powiedział chłopakowi, że przybył, by zwrócić go matce, Orlandu był tak urażony, tak

wściekły, że na jakiś czas wyrzekł się przyjaźni z Mattiasem. Wcześniej sądził, że potężny Tannhäuser wybrał go na swego druha przez wzgląd na jego charakter, a nie dlatego, że był czyimś synem. Fakt, że istniał jeszcze jeden, całkiem prozaiczny powód, natychmiast odarł go z dumy.

– Ktoś ją porzucił – powiedziała Carla – a ktoś inny ją wybrał.

– O czym wy mówicie? – nie wytrzymała Estelle.

– Rozmawiamy o tobie – odrzekła Alice. – Jesteś Gwiazdą Poranną, najjaśniejszą na niebie. To dlatego Grymonde wybrał właśnie ciebie.

Estelle długo przypatrywała się Alice.

– Grymonde woła na mnie La Rossa. Czy możesz specjalnie dla niego umyć mi włosy?

Mycie i perfumowanie włosów Estelle kosztowało Alice więcej wysiłku niż poród Carli, ale każda sekunda była źródłem radości i dla jednej, i dla drugiej. Carla tylko donosiła wiaderka czystej wody, które milczący Hugon zostawiał na progu izby, a Amparo leżała grzecznie na łóżku. Zanim skończyły, Carla ociekała potem.

Znowu nakarmiła Amparo, a potem przebrała się w bladozłotą suknię, która teraz zwisała z jej bioder workowatymi fałdami. Objęła brzuch rękami – wciąż czuła bóle w podbrzuszu i głębiej, od czasu do czasu wracały też krótkotrwałe skurcze. Była bardzo zmęczona. Chwile bliskie ekstazie następowały po napadach głębokiego smutku.

Teraz znowu niepokoiła ją myśl o Małym Christianie.

Zaczęła przechadzać się po pokoju z Amparo na ręku.

Mattias musiał rozpocząć poszukiwania od złożenia wizyty Christianowi. Wiedziała, że choć płacenie okupu byłoby wbrew jego zasadom, oddałby wszystkie pieniądze, by ją odzyskać. Nalegałby jedynie, by osobiście uczestniczyć w negocjacjach. Ale dlaczego Christian miałby rozmawiać o okupie z kimś takim jak Joco? Nie ufaj Luwrowi, tak mówił Grymonde. A przecież on sam nie wiedział, kto go wynajął, by odebrać jej życie.

Uświadomiła sobie nagle, że to Mały Christian skorzystał z jego usług. Nie na własny użytek, ale w imieniu kogoś znacznie potężniejszego. Ogarnęła ją fala mdłości. Zaproszenie na wesele. Długa podróż do Paryża. Muzyka. Wszystko to było oszustwem; sprowadzili ją tu z tak daleka tylko po to, by ją zabić. A potem czekali jeszcze niemal dwa tygodnie i wyrznęli w pień całą rodzinę Symonne.

Dlaczego?

Poczuła, że drżą jej łydki. Zatrzymała się przy oknie i oparła o podokiennik. Przez chwilę przyglądała się radosnym tańcom wokół ognisk. Czy zwierzcchnik Christiana miał dość

siły, by wkroczyć aż tutaj, na Podwórze? Rozmowa z Joco dotyczyła pieniędzy. Grymonde nigdy by jej nie zdradził, ale nie brakowało tu takich, których można było kupić za czystą koszulę.

Nie mogła uciec na ulicę. Grymonde miał wrócić lada chwila, może nawet sprowadzić Mattiasa. W miarę, jak opuszczało ją dziwne rozmarzenie, które towarzyszyło jej od porodu, z każdą chwilą coraz mocniej tęskniła za mężem. I z pewnością nie bez powodu czuła rano, że jest już blisko.

Był blisko.

Nadchodził.

Wyobraziła sobie jego twarz. Twarz Mattiasa świadomego niebezpieczeństwa, które jej groziło. Jego błękitne oczy. Były dla niej pociechą, ale i przerażały ją. Dobrze wiedziała, do czego jest zdolny. Pokochała go, patrząc, jak torturuje i zabija bezradnego kapłana. Miała przed oczami wizerunek człowieka, który zdolny jest do niewyobrażalnych czynów, gotów jest przekroczyć wszelkie granice moralności i honoru, nawet te, które sam sobie wyznaczył; który okaleczyłby własną duszę aż do samego jej jądra – dla niej. Kochała go. Pragnęła go. Przerażał ją. Zmieszana odwróciła się plecami do okna.

Spojrzała na Amparo, na absolutną doskonałość i niewinność noworodka. Czy to możliwe, by przyszła na świat za sprawą mężczyzny, którego oglądała oczami wyobraźni? Popatrzyła na Alice, rozpaczliwie pragnąc jej dobrej rady. Nie mogła jednak zakłócić jej tych radosnych chwil. A ponieważ Alice na swój sposób wniknęła w nią i obudziła coś, o czym Carla zawsze wiedziała, choć nie śmiała sobie tego uświadomić, potrafiła przewidzieć, jak brzmiałaby jej dobra rada.

Pokój pełen miłości.

Tutaj, teraz, jest miłość.

Wybór: miłość lub strach.

Carla uśmiechnęła się, gdy Alice na nią spojrzała.

Z niebieskiej jedwabnej koszuli, której Alice nie nosiła od dwudziestu lat, wyszykowały dla Estelle coś na kształt sukienki. Carla znalazła też w swym bagażu dwa grzebyki. Estelle pławiła się w komplementach, którymi ją zasypywały, i można było wyczuć, że spotkało ją to po raz pierwszy w życiu. Schyliwszy się po Amparo, Carla poczuła zawroty głowy i oparła się o ścianę przy oknie, by odzyskać równowagę. Alice natychmiast stanęła przy niej i objęła wpił.

– Za duży wysiłek, skarbie. Chodź, połóż się jeszcze.

– Zakręciło mi się w głowie, to wszystko. Potrzebuję tylko chwili.

Zamknęła oczy i potrząsnęła głową. Rzeczywiście, zaraz poczuła się lepiej, a gdy wyrzała przez okno, dostrzegła w oddali Antoinette. Dziewczynka biegała z zawiązanymi oczami, próbując złapać któreś z miejscowych dzieci. Zanosila się śmiechem. Carla miała wrażenie, że z jej starego ubrania został jedynie beret z białym krzyżem. Widząc ją w dobrym humorze, poczuła się mniej winna tego, że zaniedbała ją na całe popołudnie.

Uczta trwała w najlepsze. Na dziedzińcu między domami zgromadziło się ponad pięćdziesiąt osób, a ich największe zainteresowanie budził prosiak kręcący się na rożnie nad rozżarzonymi węglami. Ogień płonął też w żelaznych piecykach, a na stołach wspartych na prostych krzyżakach leżały bochenki chleba oraz misy z fasolą, ryżem i flaczkami, oświetlone małymi lampkami. Baryłka wina d'Aubrayów była już częściowo opróżniona. Na ziemi lśniły kałuże.

– Padało.

– Co cię gryzie, skarbie?

– Nie jesteśmy tu już bezpieczne.

– Wiem.

Przez tłum przebiła się barczysta postać zdążająca w stronę drzwi frontowych. Mężczyzna zadął głowę i zatrzymał się, zobaczywszy kobietę w oknie. Był to Papin, zdyszany i spocony, a także przerażony.

– Jest tam Grymonde? – zawołał.

Carla cofnęła się o krok. Nie chciała, by zobaczył Amparo. Znowu ugięły się pod nią nogi, ale zawroty głowy nie powróciły. Tak bardzo chciała mieć przy sobie Mattiasa. I Grymonde'a. Alice wychyliła się nad parapetem.

– Czego chcesz?

– Jest tam Grymonde?

– Jest zajęty. Idź, jedź prosiaka.

– Mogę wejść, pani?

– Ani się waż. Znasz zasady.

– Jest pewien problem.

– To zabierz go ze sobą.

– Nie mogę. Ten problem... właśnie nadchodzi.

– Zaczekaj na dole.

Alice cofnęła się. Jej twarz była blada jak воск.

– Źli ludzie przyjsć – powiedziała Estelle, wiernie cytując słowa Altana Savasa.

Carla i Alice spojrzały na nią w tej samej chwili.

Estelle była w bojowym nastroju, jak tego ranka w pokoju Carli.

– Christian mówił coś o Gwardii i o Żołnierzach Chrystusa. Chcą złapać Grymonde’a. I ciebie, Carlo. Wciąż cię szukają.

– Estelle – odezwała się Alice – pobiegnij na dół i zamknij dobrze frontowe drzwi. Jest tam zasuwka u góry i na dole, wystarczy, że zamkniesz dolną i założysz deskę, która wzmocni środek drzwi.

Estelle wybiegła z izby, potrząsając mokrymi włosami.

– Zamknij też okna i okiennice. – Alice oparła się o łóżko i pochyliła, by dźwignąć cynowy nocnik. Wsunęła go za okno i opróżniła, a potem zadzwoniła weń jak w gong. – Kukanio! Kukanio! Wysłuchaj swojej matki!

Czas i trudy życia osłabiły jej głos, a przecież była w nim moc jej ducha – tak namacalna, że zmroziła krew w żyłach Carli. Wołanie rozniosło się echem między murami i spadło na uczujących niczym klątwa opętanej matrony. Alice wyrzuciła nocnik i podparła się obiema rękami o podokiennik. Jej głowa jakby zapadła się między ramiona, a oddech, choć głęboki, stał się bardziej świszczący niż zwykle. Carla położyła dłoń na jej plecach i miała wrażenie, że wyczuwa bulgotanie płynu w płucach. Amparo otworzyła oczka i spojrzała na matkę. Alice wreszcie zebrała siły i wyprostowała się, a gdy przemówiła, na podwórzu panowała już cisza, przerywana jedynie trzaskiem płomieni.

– Słyszycie ich? Tych, co nas nienawidzą i zawsze nienawidzili?

Carla wyteżyła słuch. I rzeczywiście, usłyszała daleki, rytmiczny tupot maszerujących.

– Do dachówek, moje dzieci. Nadszedł sądny dzień. Do dachówek! Niech pożałują, że ośmielili się wkroczyć do Kukanii!

Znowu skuliła się w sobie, kompletnie wyczerpana.

Tłum już nie był nieruchomy.

Podniosły się pierwsze głosy: rozczarowania, zwątpienia, a potem gniewu.

Młodzi rozpierzchli się jako pierwsi i pognali ku drzwiom swych domostw.

Carla ułożyła Amparo na lewym ramieniu, a prawe wsunęła pod pachę Alice i objąwszy ją, poprowadziła do krzesła i posadziła. Zaraz potem napełniła kubek winem i podała staruszce. Wróciła do okna.

Uczujący, którym brakowało przywódcy, skupili się w kilku grupkach, nie bardzo wiedząc, co począć. Głęboki mrok nocy wydawał się jeszcze ciemniejszy, gdy jedynym źródłem światła były niespokojne płomienie ognisk. Papin gdzieś zniknął, podobnie jak

Antoinette. Carla dostrzegła jedynie Hugona, który pokrzykując, prowadził kilku chłopców w stronę najbliższej bramy. Grymonde'a nie było.

I wtedy muszkietowa salwa rozświetliła całe podwórze.

Ciała zabitych mężczyzn i kobiet wpadały na żywych i z pluskiem lądowały w kałużach, spowite chmurą prochowego dymu. W jednej chwili wśród ocalałych wybuchła panika: jak na komendę rzucili się w stronę drzwi domów. Muszkietierowie tymczasem – a było ich ośmiu – ustawiali się już krótkimi dwuszeregami do nowej salwy, otaczając podwórze od południa i zachodu. W pośpiechu ładowali broń, każdy chroniony przez milicjanta uzbrojonego w pikę. Zza ich pleców wyskoczyła nagle horda fanatyków wykrzykujących imię świętego Jakuba. Na głowach mieli stalowe hełmy, a na ramionach białe i czerwone opaski. Zbrojni w miecze, topory, halabardy i włócznie, zaatakowali miejscowych, tnąc, rąbiąc i kłując u drzwi domostw każdego, kto nawinął im się pod rękę, nie oszczędzając nawet dzieci.

Carla dostrzegła kilka postaci na dachach po południowej stronie podwórza. Znieruchomiały po chwili, oszołomione brutalnością sceny, która rozgrywała się w dole.

Amparo zaczęła płakać, a Carla przytuliła ją mocniej do piersi.

Nagle dostrzegła Grymonde'a, który wyskoczył z wąskiego przejścia między budynkami – nietrudno było poznać jego wielką głowę i olbrzymie ramiona. Poderżnął gardło pierwszemu muszkieterowi i jego partnerowi, zanim zdążyli się zorientować, że to ich ostatnie chwile. Zaraz potem podbiegł do największego paleniska i uniósł wysoko ręce, ściskając dwa zakrwawione noże.

– Walczcie o swoje dusze! Walczcie o Kukanię!

Widząc szarżującego pikiniera, uskoczył w porę i pchnął go oboma ostrzami jednocześnie, a następnie uniósł wysoko i cisnął na rozżarzone węgle, wzbudzając fontannę iskier i przewracając rozen. Płomienie buchnęły wysoko, a gdy objęły włosy pikiniera, Grymonde uznał, że może go już zostawić. Z dachów posypały się pierwsze dachówki i kamienie, żegnane bojowymi okrzykami i nienawistnym wyciem. Pikinier z płonącą głową zdołał odpełznąć na bok, daremnie próbując wydłubać czerwone węgle wbite w twarz. Grymonde schylił się po jego broń, zamachnął się potężnie i cisnął pikę w stronę grupki milicjantów. Rozproszyli się natychmiast, ale jeden z nich dostał w pierś, a gdy padał, grot sterczący z jego pleców wbił się w nogę jednego z uciekających. Ranny w łydkę próbował czołgać się w stronę ciemności, ale jakaś kobieta wychynęła nagle z mroku i wbiła mu nóż prosto w kark.

Grymonde spojrzał w górę, na Carlę. Ruchem głowy wskazał na drzwi frontowe.

Carla podeszła do Alice, ucałowała wciąż płaczącą Amparo i oddała dziecko starszeczce, po czym wybiegła z izby porodowej.

Nie zważała na skurcze i ból w podbrzuszu. Na schodach panowała ciemność; z dołu biła tylko blada, żółta poświata dalekich płomieni. Czując sztywność w biodrach, Carla na wszelki wypadek opierała się jedną ręką od ścianę. Była już prawie u celu, gdy pośliznęła się i zjechała na pośladkach po ostatnich kilku stopniach. Poderwała się czym prędzej i kulawym klusem przebiegła przez kuchnię.

Zobaczyła Estelle, która przyglądała się kartom rozłożonym na stole.

– Grymonde wrócił. Pomóż mi otworzyć drzwi.

Z zewnątrz dobiegał huk chaotycznych wystrzałów. Estelle dopadła drzwi jako pierwsza i zajęła się dolną zasuwą, a potem razem uniosły ciężką drewnianą belkę. Carla nie miała pojęcia, jakim cudem dziewczynka zdołała uprzednio założyć ją samodzielnie. Ledwie uchyliły drzwi, do środka wpadł Grymonde i w tej samej chwili kula z muszkietu trafiła w ościeżnicę, posyłając garść drzazg wprost w jego policzek. Zanim zamknął za sobą drzwi, Papin zdążył wśliznąć się do środka. Grymonde zamknął obie zasuwę i założył belkę.

– Nie znalazłem Mattiasa – oznajmił. – Tylko ciała, które zostawił po sobie. A potem dowiedziałem się o tym. – Odwróciwszy się, dostrzegł w półmroku Estelle. – La Rossa? Rety, ależ ty piękniejesz!

– I nie jestem judaszem – dodała Estelle.

– Jakim cudem miałabyś nim być? Jesteś skrzydłami smoka. – Uśmiechnął się szeroko i pogładził jej włosy.

– Mogę dostać mój nóż?

Grymonde zwrócił jej mały nóż, który natychmiast wsunęła za pasek.

– A teraz wszyscy na dach. Papin, skocz no po ten młot. – Grymonde zdjął z haczyka worek, wrzucił doń sakiewkę i potrząsnął, by pokazać, że coś w niej dźwięczy. – Papin, przestań dygotać, nie wstyd ci przy damach? Zabierz młot na dach.

– Jakim cudem uciekłeś, Papin? – spytała Estelle, przyglądając mu się uważnie.

– Jednemu *sergent*? Łatwizna. A ty?

– Dość gadania – uciął Grymonde. – Ruszać się. Ruszać.

Papin dźwignął młot i zaczął się wspinać po schodach.

– Estelle – odezwała się Carla – pójdz do Alice i powiedz jej, żeby zawinęła Amparo w becik.

Dziewczynka pognała śladem Papina, a Grymonde dorzucił do worka róg z prochem i mieszek z kulami. Następnie chwycił Carlę pod ramię i poprowadził w stronę schodów. Zatrzymał się tylko przy stole, by zerknąć na karty.

– Pielgrzymi Świętego Jakuba przybyli tu, żeby cię uratować. Nie ma innego powodu, dla którego taka banda fanatyków mogłaby zapuścić się tak daleko. Gdyby byli sami, może i bym cię wypuścił, bo chyba po raz pierwszy uważam, że powodują nimi szlachetne pobudki. Niestety, jest z nimi Mały Christian.

– To on cię wynajął.

– Owszem. I do dziś nie wiem dlaczego. Wynajął też pięciu *bravos*, by schwytali lub zabili Mattiasa. Jeśli jego zwierzchnik, kimkolwiek jest, życzył ci śmierci dziś rano, to teraz życzy ci jej w dwójnasób, choć Pielgrzymi z pewnością nie mają o tym pojęcia. Zatem proszę, chodźmy już na dach. – Grymonde zgarnął rozłożone karty i dołączył je do leżącej na stole talii.

– Nie wydaje mi się, żeby Alice zdołała wyjść na dach – powiedziała Carla. – Nie sądzę nawet, by chciała spróbować.

– Powiedz, jaką kartę wyciągnęłaś jako pierwszą?

– Odwróconego Wisielca. Alice nazwała go Zdrajcą.

– Smok pożera własny ogon – mruknął Grymonde i pokiwał głową. – Oto zniszczyłem Kukanię. A pytająca?

– Śmierć.

– Masz rację. Mama nawet nie spróbuje. Niech i tak będzie.

Pękły pierwsze szyby zasłonięte okiennicami. Pięści załomotały do drzwi, a głosy domagały się w imię króla, by je otwarto.

Carla wspinała się po schodach, gdy nagle poczuła, że coś się w niej przemieściło. Nie zatrzymała się jednak; parła dalej, trzymając się ścian. Gdy dotarła na szczyt, coś ześliznęło się w dół po jej nodze. I tym razem nie zareagowała. Potrząsnęła głową, by nie zemdlec. Dziecko, pomyślała.

Alice siedziała na łóżku w izbie porodowej, trzymając Amparo na kolanach. Obok niej przycupnęła Estelle, ucząc się, jak należy zawijać małe dziecko w chustę. Carla podeszła bliżej, by odebrać małą.

– Mogę ją potrzymać? – spytała Estelle. – Jestem już czysta.

Carla zapanowała nad instynktem i ułożyła Amparo w ramionach dziewczynki. Alice cmoknęła z wdzięcznością. Estelle odetchnęła głęboko, a jej szare, dzikie oczy zaszklily się w jednej chwili. Było tak, jakby przeczuwała wielkość i tajemnicę swego przeznaczenia – swą

przeszłość i przyszłość – i jakby stopiła się na zawsze z malutką Amparo, złączona z nią miłością nieznaną granic, niepojętą, niedefiniowalną. Carla wiedziała od razu, że to więź, której Estelle nigdy się nie wyrzeknie, nie doświadczyła bowiem w życiu niczego, co w sposób tak czysty i prawdziwy byłoby naprawdę jej. Estelle spojrzała w oczy Carli z przejmującym smutkiem.

– Dziś rano byłam niedobra. Powiedziałam, że zabiłabym twoje dziecko. Przepraszam, Carlo.

– Byłaś przerażona, podobnie jak ja. Nie myśl już o tym.

– Ona jest taka mała.

– Ty przyszedł na świat w tej samej izbie – odrzekła Carla. – I byłaś taka jak Amparo.

– Naprawdę?

– Pewnie – przytaknęła Alice. – I od razu byłaś małym diabełkiem.

Estelle zastanowiła się.

– Jestem więc jedną z nas?

– Jedną z nas? Oczywiście, że jesteś. Nasze „my” byłoby bardzo nędzne, gdybyśmy nie miały ciebie. – Alice otoczyła dziewczynkę ramieniem. – I oto jesteśmy: wszystkie córki razem. Carlo, usiądź z nami, skarbie.

Carla pomyślała o tym, co działo się na dachu, i o walce toczącej się na podwórzu. Przysiadła jednak obok, a wtedy Alice objęła i ją. Stare, niekształtne ciało emanowało ciepłem, w którym były i ból, i radość, i siła. Carla z trudem znosiła taki natłok emocji.

– Niektórzy mówią, że trudniej jest żyć, niż umierać, i może mają rację – powiedziała Alice. – Ale nie wtedy, gdy życie jest tak cudowne jak teraz, prawda?

Zaśmiała się chrapliwie, jak wiedźma, a Carla i Estelle zawtórowały jej.

W drzwiach stanął Grymonde. Spojrzał na nie i zmarszczył brwi, a cokolwiek poczuł lub zobaczył w tej chwili, sprawiło, że nie przekroczył progu.

– Musimy się spieszyć.

– Tu nie ma miejsca na pośpiech – odpowiedziała Alice. – Zaczekaj na zewnątrz.

Grymonde wycofał się w mrok.

– Carlo?

Carla spojrzała na nią z bliska, niemal dotykając czołem jej czoła, ale nie dostrzegła w oczach Alice ani śladu lęku. Dostrzegła w nich wielki spokój.

– Sporo wycierpiałaś, by dotrzeć do tego domu, a przyniosłaś ze sobą wielkie piękno. Przyniosłaś życie. Przyniosłaś miłość. Przyniosłaś nawet dobroć, którą zaszczepiłaś synowi starej matki, a to sztuka, której nikt inny nie dokonał.

Carla zerknęła na kościstą dziewczynkę, która tuliła jej dziecko.

– Nikt oprócz Estelle – powiedziała.

Alice spojrzała na swą wnuczkę i skinęła głową, po czym znowu zwróciła się do Carli.

– Stara kobieta błogosławi cię z całego serca.

– Och, Alice.

– Czy mogę nazywać cię siostrą?

– Jesteś nią. I moją matką. I aniołem.

– Amparo wciąż jest z nami, czuwa nad swoją imienniczką. Nie obawiaj się, staruszka też będzie przy tobie. Ty zaś przetrwasz wszystko, więc nie rozpaczaj. Mattias cię odnajdzie. Wezwałaś bladego jeźdźca, więc przybędzie.

– Kocham cię.

Carla przyciągnęła ku sobie Alice i ucałowała ją w usta. Przez cały czas patrzyły sobie w oczy, a świat wycofał się tchórzliwie, gdy wzajemnie napełniały się duchem. Wreszcie się rozłączyły.

Alice odezwała się do Estelle:

– Czy i ty ucałujesz staruszkę?

Estelle zawahała się. Być może nie nawykła do pocałunków, a może odpychała ją napuchnięta, purpurowa, spocona twarz, która nad nią zawisła.

– No, dalej, diabełku.

Alice ułożyła usta, a Estelle wreszcie się przemogła.

– A teraz już idźcie z jego wysokością.

Staruszka uścisnęła Carlę po raz ostatni.

– Ruszaj w stronę Ognia.

Carla ułożyła Amparo na ramieniu i podała rękę Estelle. Znowu spojrzała na Alice.

Nie mogła tego zrobić. Nie mogła jej zostawić. Alice odwróciła głowę.

– Estelle, kochana, zaprowadź Carlę na dach. I nie oglądajcie się.

Przy drzwiach czekał już Grymonde, wsparty o ścianę i zapatrzony we własne masywne przedramię. Na plecach miał rogowy łuk Altana i kołczan ze strzałami. Nie poruszył się, choć usłyszał kroki nadchodzących.

– Sabat skończony?

– Powiedz, co mamy robić – odrzekła Carla.

Grymonde pociągnął nosem, przełknął ślinę i wyciągnął zza pasa dwulufowy pistolet. Poruszył jednym z kurków w tę i z powrotem. Gdy spojrzał na Carlę, zobaczyła ból w jego pięknych, brązowych oczach.

– Wiesz, jak to działa?

– Nie zabiję nikogo, trzymając dziecko w ramionach.

– Ja wiem, jak to działa – wtrąciła Estelle. – Pokazałeś mi, pamiętasz?

– Pamiętam wszystko, co dotyczy ciebie, La Rossa.

Grymonde podał jej pistolet. Uniosła go oburącz na wysokość piersi. Wydawał się przy niej niedorzecznie wielki, ale to jakoś nie robiło na niej wrażenia. Grymonde zdjął z szyi sznurek i założył go na kark Estelle – na końcu pętli wisiał kluczyk do nakręcania zamka kołowego w pistolecie. Wsunęła go pod sukienkę. Z dołu dobiegły odgłosy uderzeń, dziwnie podobne do łomotu topora o solidne drewno.

– Zaprowadzisz Carlę do zgromadzenia zakonnego Filles-Dieu.

Estelle skinęła głową. Grymonde spojrzał na Carlę.

– Dopóki nikt się nie dowie, że tam jesteś – a najlepiej będzie, jeśli się nie przedstawisz – powinnaś być bezpieczna. Mattias cię odnajdzie. Albo ja.

– Skoro już się zegnamy, to i ty mógłbyś mnie ucałować – zawołała Alice.

– Alice nie idzie z nami? – spytała Estelle.

– Później się z nią spotkamy. Zaczekajcie na mnie na dachu.

Carla nie mogła sobie odmówić ostatniego spojrzenia wstecz.

Gdy Grymonde nadchodził, matka czekała na niego z otwartymi ramionami.

Wspinaczka po dwóch ciągach schodów w całkowitej ciemności odebrała Carli więcej sił, niż się jej wydawało. Stawy miała zeszytywniałe od czasu porodu, a rozciągnięte tkanki wydawały się dziwnie napięte. Każdy jej krok był ciężki, niezgrabny, niepewny. Estelle szła tuż za nią. U szczytu znajdowały się drzwiczki, za którymi widać było ciemne niebo i gasnący horyzont. Carla przystanęła i oparła się o belkę, znowu czując zawroty głowy. Zamknęła oczy, mocno tuląc do siebie Amparo. Miednica była jedną masą ćmiącego bólu. Ból potrafiła znieść. Zmęczenie mogła przemóc siłą woli. Nie była jednak w stanie zmusić swego ciała, by zapomniało o trudach porodu.

Otworzyła oczy. Dach opadał łagodnie w stronę krawędzi, za którą była już tylko pionowa ściana, a w dole – szaleństwo walki. Zobaczyła też sylwetki młodych ludzi z zapalem wyrrywających dachówki i ciskających je w stronę wrogów. Zagrzemiał wystrzał z

muszkietu i postać w spódnicy runęła bezwładnie w dół. Odgłos rąbania toporem drzwi nie ustawał ani na chwilę. Teraz dopiero Carla wypatrzyła Papina.

Siedział skulony pod ścianą wieży Grymonde'a i nawet nie wiedział, że jest obserwowany.

Z bliska owa wieża była konstrukcją jeszcze bardziej dziwną i przypadkową, niż się wydawało z daleka. Można było odnieść wrażenie, że wzniesiono ją raczej ku ucieście dzieci niż na chwałę Infanta Kukanii. Jej trzy piętra były zwyczajnymi chatami postawionymi jedna na drugiej, przy czym każda kolejna była mniejsza od poprzedniej. Pierwsza stała praktycznie na krawędzi dachu i opadała poza nią pod ciężarem pozostałych, podtrzymywana przez linę okrętową, uwiązaną z kolei do żelaznej obręczy opinającej podstawę pobliskiego komina.

Carla pochyliła się nad Estelle.

– Wiesz, w którą stronę mamy iść?

Dziewczynka wskazała na wschód. Carla poczuła supeł w żołądku.

Tuż za dachem Grymonde'a zaczynała się znacznie bardziej stroma połać dachu zwieńczona wąskim grzbietem, połączonym z kolejnymi, a każdy z nich był nachylony pod innym kątem – Carla miała wrażenie, że więcej logiki można dostrzec w liniach pęknięć potłuczonego talerza. Budowlana improwizacja trwała tu od pokoleń, a jej efekty bardziej przypominały twórczość Matki Natury niż dzieło rąk ludzkich. Carla poczuła pod stopami miękki mech, mokry i śliski od deszczu.

– Szłaś już tą drogą?

Estelle pokręciła głową, ale nie wyglądała na zmartwioną.

– Skąd będziesz wiedziała, którędy możemy zejść?

– Zawsze znajdzie się jakaś droga. Przez mansardę. Przez okno.

– Chcesz powiedzieć, że włamiemy się do czyjegoś domu?

Estelle wzruszyła ramionami, jakby odpowiedź była całkiem oczywista.

Grymonde dołączył do nich, zdjął z ramienia worek i jednym węzłem skrócił pasek, by móc przewiesić go przez pierś Estelle. Dziewczynka nawet się nie skrzywiła, poczuwszy na plecach niemały ciężar.

– Nie wydaje mi się, żebym potrafiła skakać po tych dachach – powiedziała Carla.

– Zatem ja cię poniosę. Nie martw się. Papin! – Grymonde podszedł do Papina i wydał mu rozkazy, wskazując na fragment masztu okrętowego, który podpierał wieżę, osadzony u podstawy sąsiedniego dachu. Papin skinął głową. Grymonde wrócił po chwili i wyjął z buta nóż. Bez słowa zabrał się do cięcia liny. – Odsuńcie się – polecił.

Carla i Estelle cofnęły się nieco. Spod ostrza raz po raz strzelały końcówki przerwanych włókien.

– Teraz, Papin. Spraw, żebym był z ciebie dumny.

Papin podszedł i wziął potężny zamach. Młot trafił w maszt w miejscu, w którym był umocowany do wieży. Gwoździe zgrzytnęły ostrzegawczo, a drewniany pał przesunął się nieco. Coś zaskrzypiało w ścianach wieży. Grymonde chwycił naciętą linę i szarpnął ją ku sobie. Konstrukcja znowu zaskrzypiała.

– Jeszcze raz, Papin. Jeszcze raz dla Infanta.

Papin zakręcił młotem i uderzył ponownie. Maszt ustąpił trochę, ale wciąż podpierał wieżę. Papin warknął ze złością i zdrowo przyłożył się do trzeciego ciosu. Podpora wyskoczyła z gniazda i runęła na podwórze. Grymonde puścił linę i czym prędzej rozciął ostatnie jej włókna. Osłonił twarz rękoma, by nie oberwać końcówką. Wieża przechyliła się niebezpiecznie w stronę dziedzińca. Skoczył ku niej, wsunął palce w poszerzającą się z wolna szczelinę, zaparł mocno nogami i dźwignął. Wystarczył jeden ruch, by groteskowa konstrukcja przekroczyła punkt równowagi. Wieża króla Kukanii poszybowała w dół.

Huk i trzask pękającego drewna na chwilę zagłuszyły inne odgłosy dobiegające z podwórza.

Grymonde spojrzał na Carlę i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Widziała w jego oczach, jak wielką rozkosz sprawił mu ten moment triumfalnej destrukcji. Skinęła na niego.

– Ruszajmy, Grymonde.

Nie umiał się powstrzymać: pobiegł na skraj dachu, by z dziecięcą ciekawością przyjrzeć się swemu dziełu.

W tym momencie Papin skoczył do niego i uderzył.

Obuch ciężkiego młota trafił Grymonde'a w plecy.

Carla wstrzymała oddech.

Nie wydał z siebie głosu. Straciwszy równowagę, runął w ciemną otchłań.

Papin stanął zaś na jej brzegu, oszołomiony własnym uczynkiem.

Estelle wyszczerzyła zęby i pobiegła ku niemu.

Carla użyła całej siły woli, by nie krzyknąć, nie ostrzec go mimowolnie.

Mimo to Papin wyczuł, że Estelle się zbliża. Odwrócił się, unosząc młot nad głowę. Dziewczynka była jednak szybsza: wbiła lufę pistoletu w jego brzuch i nacisnęła spust. Papin wrzasnął dziko, bo kula i ciężar młota porwały go w tył, w chmurę kropel jego własnej krwi. Spadł na podwórze w ślad za Grymonde'em.

Carla odwróciła się, by raz jeszcze spojrzeć na górzysty, dachówkowy pejzaż.

Nad omszałymi gąsiorami unosiła się rzadka mgła.

Nie, nie brakowało jej odwagi, by spróbować. Nie chodziło o strach; i tak nie miała innej drogi ucieczki. Być może nawet wystarczyłoby jej siły, ale nie wierzyła, że jest dostatecznie zwinna, by biegać i skakać po śliskich dachach. Nie wątpiła, że wróg ruszy w pościg. Była zbyt powolna. Zrobiła dwa kroki naprzód i poczuła, że kobierzec roślin rozjeżdża się pod jej stopami. Nie podejrzewała, by bosa stopy dały jej większą pewność. A gdyby spadła, trzymając w ramionach Amparo, albo – co gorsza – upuściła ją...

Przełknęła ślinę, by nie dać się gwałtownemu atakowi mdłości.

Czy wieża, spadając, zablokowała drzwi frontowe budynku, tak jak to sobie umyślił Grymonde? A jeśli tak, to ile czasu potrzebował oddział dorodnych mężczyzn, by usunąć stertę połamanego drewna? Może już byli w środku? Czy odważyliby się ruszyć w pogoń po omszałych dachówkach? I czy zapomnieli o patrolowaniu pobliskich ulic, na wypadek gdyby zdołała im uciec? Czy zgromadzenie Filles-Dieu nie było dość oczywistą kryjówką?

Estelle wróciła.

– To Papin był judaszem.

– A ty byłaś dzielna. Schowaj pistolet do worka.

Carla zmrużyła oczy. Bała się tej myśli, lecz ona uparcie wracała.

Głos Amparo, jej anioła i opiekunki jej córki, dobiegł zza jej pleców.

Zrób to. Pójdę z nimi.

Carla odetchnęła głęboko. Musiała odrzucić emocje, zachować chłód, wykazać się śmiałością – jak Mattias. Skoro Pielgrzymów zwerbowano po to, by uwolnić porwaną katolicką szlachciankę, Christian nie mógł jej po prostu zabić. Musiała spróbować.

Okryła twarzączkę córki rąbkiem chusty i nie ośmieliła się spojrzeć na nią po raz ostatni. Gdyby to zrobiła, mogłaby jeszcze zmienić zdanie. Woląла nawet nie myśleć o tym, co zaplanowała. Gdyby to zrobiła, nie starczyłoby jej odwagi. Ucałowała córkę przez cieniutki materiał.

– Powiedz no, Estelle, czy umiałabyś przenieść Amparo po dachach?

– Tak.

W jej głosie i oczach nie było ani cienia wątpliwości, ani śladu brawury.

– I nie spadniesz?

– Pewnie, że nie spadnę.

– A mogłabyś zanieść moją córeczkę do klasztoru?

– Tak.

– Masz może jakieś siostry?

- Nie. Ani braci.
- Ja też nie. Ale teraz to my jesteśmy siostrami.
- Ja, Amparo i ty?
- Tak. Ty, ja i Amparo. I jeszcze Alice. Cztery dziewczyny.

Estelle zaczęła płakać. Carla otarła jej policzki skrajem złocistej sukni i nagle poczuła, że także płacze.

- To szczęśliwe łzy – powiedziała Estelle.
- Moje też są takie. Zostaw mi ten worek, jest ciężki.
- Nie, będzie mi potrzebny. Poniosę go. Jestem silna.
- Wiem. – Carla uznała, że nie warto się upierać. – Zaopiekuj się małą siostrzyczką.

Zanieś ją do zgromadzenia i nie mów nikomu, co się tu wydarzyło. Powiedz, że znalazłaś Amparo na progu klasztoru. Rozumiesz?

Estelle skinęła głową, jakby przywykła do znacznie bardziej wymyślnych podstępów.

- A potem wróć tu, tylko bardzo uważaj na żołnierzy.
- Nie zauważą mnie, a jeśli nawet, to nigdy mnie nie złapią.
- Czekaj na wielkiego mężczyznę. Nazywa się Mattias Tannhäuser. Powtórzysz?
- Mattias Tannzer. To ten kawaler?

– Tak. I ojciec Amparo. Na pewno się zjawi. Włosy ma prawie takiej barwy jak twoje, tylko nie takie długie. Jest odważny jak ty i świetnie walczy, ale nie musisz się go bać. Jemu możesz opowiedzieć, co się tu stało.

Carla ułożyła Amparo w ramionach Estelle. Maleńka zakwiliła cicho pod rąbkiem chusty.

- Anioł będzie ci towarzyszył. Alice go widziała. On cię ochroni.

Estelle przyjęła to wszystko ze spokojem, który zadziwił Carlę i nappełnił ją nadzieją.

- Zostanę tu z Alice. Czy mogę cię ucałować?

- Jesteś moją siostrą.

Carla pocałowała ją w policzek, a potem raz jeszcze przycisnęła usta do czoła Amparo.

Najgorsze miała już za sobą.

- Jesteś najlepszą siostrą na świecie – powiedziała. – A teraz idź.

Estelle puściła się biegiem przez lekko pochyłą połąć dachu, a Carla – wbrew woli i w ciężkim strachu – odprowadziła ją wzrokiem. Mała drobiła nogami, stąpając lekko, na palcach, pewnością ruchów dorównując wiewiórkom. Po chwili przeskoczyła na szczyt

innego dachu i ruszyła dalej w równie zadziwiającym tempie. Na lewym ramieniu niosła Amparo, a prawą ręką podtrzymywała sznurek, by worek pozostał na swoim miejscu. Z daleka wyglądała tak, jakby płynęła ponad gęstniejącym tumanem mgły.

Carla nie mogła uwierzyć, że odważyła się na taki krok. Przez chwilę miała wrażenie, że nie wytrzyma, że przywoła Estelle. Potem omal nie ruszyła jej śladem. Lecz obserwując, jak dziewczynka przeskakuje z dachu na dach, doszła do wniosku, że podjęła słuszną decyzję.

W chwili, gdy była już gotowa uwolnić skrywane emocje i rozplakać się w głos, uświadomiła sobie, że otacza ją nocna cisza. Od czasu do czasu któryś z żołnierzy krzyknął głośniejsze, ale strzały i inne odgłosy walki umilkły na dobre. Spojrzała na przeciwległe budynki – ich dachy były już puste. Wraz ze śmiercią Grymonde'a nastąpił kres królestwa Kukanii, a jego poddani natychmiast wtopili się w krajobraz Podwórz.

Odwróciła się, by po raz ostatni spojrzeć na Estelle. Dziewczynka wciąż biegła, a jej rozwiane włosy płynęły wysoko nad wzburzonym morzem dachówek. A potem, nagle, jakby dotarli do tajemnego przejścia, Estelle i Amparo zniknęły.

Carla usłyszała odgłos kroków na schodach.

Wzięła głęboki wdech i na chwilę zatrzymała powietrze w płucach. Gdy je wypuściła, była znowu twarda jak stal. Pomyślała o Mattiasie. Błdy jeździec musiał ją odnaleźć. Podobnie jak ona, gnał na spotkanie Ognia.

Za jej plecami drzwi otworzyły się z trzaskiem, jakby ktoś je kopnął. Odwróciła się niespiesznie.

Dominic le Tellier zatrzymał się i spojrzał na nią. W ręku trzymał zakrwawiony miecz. Popatrzył w stronę krawędzi dachu i od razu przyszło jej na myśl, że zastanawia się, czy nie powinien zrzucić jej w przepaść. Zaraz jednak usłyszała nowe, cięższe kroki i chrzęst zbroi. Bez trudu zdobyła się na pogardliwy ton.

– Kapitan le Tellier.

Dominic poruszył się niespokojnie, jakby zawstydziło go brzmienie własnego nazwiska.

– Lepiej użyj miecza, bo jeśli nie, to przysięgam, że pofruniesz wraz ze mną.

Dominic otworzył usta i znowu spojrzał w stronę podwórza.

– O tym, że jesteś pajacem, wiedziałam od dawna. Teraz wiem też, że jesteś zwykłym tchórzem.

Masywny, mocno zdyszany mężczyzna przestąpił nad progiem i bezceremonialnie odepchnął Dominica na bok. Wyglądał na brutala; miał szeroką pierś, a wzrostem

przewyższał nawet Mattiasa. Jego miecz był czysty; w drugiej ręce niósł lampę. Na widok Carli schował broń do pochwy, zdjął hełm i uklonił się.

– Hrabina Carla de la Penautier? Kapitan Bernard Garnier, do usług.

Ucieszył się wyraźnie, gdy dygnęła w odpowiedzi na jego słowa.

– Kapitanie Garnier, uwolniłeś mnie ze szponów bestii zbyt podle, by zasługiwała na własne imię.

Duma rozpierająca Garniera sprawiła, że wydawał się jeszcze wyższy.

– To nic wielkiego, łaskawa pani. A dla mnie wręcz nieopisany zaszczyt.

– Zaszczyt w pełni zasłużony. Słaba jestem, mój panie. Zechcesz mi pomóc?

Garnier nie był z natury specjalnie wyrafinowany, za to przejawiał niezły zmysł praktyczny oraz refleks.

– Jeśli tylko się zgodzisz, czcigodna pani, oświetlę ci drogę na schodach i z całym szacunkiem proponuję – choć z pewnością nie jestem godzien takiej łaski – byś szła za mną i w razie potrzeby zechciała znaleźć oparcie w moich plecach.

Carla zachwiała się lekko, jakby naprawdę brakło jej sił. Miała go. Trzymała go na krótkiej smyczy.

– O potężniejszych plecach nie mogłabym marzyć. Proszę, panie, przyjmij w podziękę ten skromny dar – mówiąc to, zdjęła z szyi i podała mu błękitny jedwabny szal.

– Pani... – Garnier, jak się wydawało, był bliski łez. – Nie mogę go przyjąć, nie jestem szlachetnej krwi...

– Szlachetniejszej niż większość tych, którzy się nią chlubią. Przyjmij mój dar, kapitanie. Sprawisz mi przyjemność.

Garnier przyjął szal z takim nabożeństwem, jakby zdjęła go z ramion Najświętsza Pani. I stał tak, trzymając go w wyciągniętych rękach, nie bardzo wiedząc, co z nim zrobić. Carla wybawiła go z opresji, zarzucając mu szal na szyję. Gdy wzruszony Garnier opadł na jedno kolano, splotła dłonie na brzuchu, na wypadek gdyby przyszło mu do głowy ucałować jej rękę. Wyczuła, że Dominic stanął obok niej, ogłupiały na widok tej szopki, ale nie zaszczyciła go spojrzeniem.

– A teraz, kapitanie Garnier, możesz sprowadzić mnie na dół. Na dole będzie mi potrzebny powóz albo chociaż wózek. Niedola odebrała mi siły.

– Mamy wózki, łaskawa pani. Zabraliśmy je tym żebrakom.

Carla nie bez satysfakcji położyła dłoń na jego ramieniu i razem ruszyli w stronę drzwi. Gdy zeszli na piętro, zatrzymała się u wejścia do izby porodowej.

– Zostawiłam tu pewną damę, która musi mi towarzyszyć. Opiekuje się mną.

Carla przestąpiła próg.

I w tej samej chwili chwycił ją skurcz potężniejszy od wszystkich, które przeżyła w ostatnich dniach – jakby jej łono zbuntowało się przeciwko temu, co ujrzały oczy. Obiema rękami chwyciła się za brzuch. Nie mogła oddychać. Choć omal nie pękło jej serce, choć ogarnął ją nieopisany żal, choć jej wola została wystawiona na najcięższą próbę, postanowiła, że nie uzewnętrzní bólu, który ją przeszywał. Tego właśnie oczekiwałyby po niej Alice.

Usłyszała za plecami chrapliwy śmiech wiedźmy.

Tak, właśnie tego chciałyby Alice.

Carla czuła, że u jej boku stoi nowy anioł.

Stara kobieta siedziała na swym krześle przy łóżku, na którym z jej pomocą tak wiele sióstr wydało na świat potomstwo. Bezkształtne, nieruchome ciało emanowało zadziwiającym spokojem. Dłonie staruszki pozostały splecione na brzuchu, a podbródek spoczywał na piersi. Pełne, purpurowe usta prawie się uśmiechały, jakby zdrzemnęła się tylko i śniła o pigwach w miodzie i o dobrym winie. Albowiem Alice przyjęła Śmierć z otwartymi ramionami.

I tylko od szyi aż po kolana okrywał ją karmazynowy całun świeżej krwi.

Carla odwróciła się i spojrzała na Garniera.

To, co zobaczył w jej oczach, kazało mu się cofnąć o krok.

– Kto to zrobił?

Brzmienie własnego głosu zaskoczyło Carlę. Garnier uniósł brwi i rozłożył ręce. Bez wątplenia był niewinny. Spojrzała z kolei na Dominica le Telliera. Na winowajcę.

– Ta kobieta była mi matką.

Dominic parsknął drwiąco i chciał coś powiedzieć, ale nie pozwoliła mu dojść do słowa.

– Ty parszywy śmieciu. Dopilnuję, żeby cię powiesili za to tchórzliwe morderstwo.

Dominic spróbował uśmiechnąć się niepokornie, ale Carla dostrzegła w nim strach.

– Lepiej w to uwierz, kanalio. Zrobię to, choćbym miała uklęknąć przed królową i oddać jej za to własną duszę.

– Łaskawa pani – odezwał się z wyczuciem Garnier – czy chciałabyś, żebyśmy przewieźli jej ciało do kościoła? Jeśli to cię pocieszy, mogłaby spocząć choćby i u Świętego Jakuba.

– Nie ma takiego kościoła, który byłby godzien przyjąć jej kości. Zostawimy ją tutaj.

Carla minęła obu mężczyzn i ruszyła schodami w dół.

Zatrzymała się jeszcze w kuchni, gdzie tak niedawno piła z Alice różany napar. Na stole wciąż leżała talia kart. Podeszła bliżej i schowała ją do kieszeni sukni. Jej wzrok

zatrzymał się na futerale z violą – poleciła Garnierowi, by zabrał instrument. Przez chwilę miała ochotę oznajmić, że zostaje tu, choć wiedziała, że nie pozwoli jej na to. Czuła się tu jak w domu. Tutaj, w tych ubogich izbach, poznała więcej wartościowych prawd niż we wszystkich bogatych domach, które zdarzyło jej się odwiedzić. Nie chciała rozstawać się z duchem tego miejsca. Lecz przecież nie musiała. Alice była przy niej.

Na progu domu zatrzymał ją przeraźliwy dźwięk, który przerwał nocną ciszę. To był ryk – bardziej wściekłości niż bólu, ten bowiem, kto wydał z siebie ów głos, nie zważał na fizyczne cierpienie bardziej niż Prometeusz, któremu orzeł wyjadał wątrobę. Zaraz potem rozniósł się echem wśród murów nienawistny kobiecy głos:

– Oto jaki z ciebie Samson, parszywy bękarciu!

Ryk wściekłości, który zakłócił nocną ciszę, wyrwał się z krtani Grymonde'a.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Podwórza

Klatka schodowa cuchnęła tak odrażająco, że Tannhäuser obawiał się zakażenia odcisków na gołych stopach Grégoire'a. Gdy dotarli na miejsce, postawił broń obok drzwi do mieszkania Joco. Grégoire zapukał.

– Kto tam? Jezu miłosierny...

Jęk bólu i żalony ton przekonały ich, że mają do czynienia z Joco i jego złamanymi żebrami.

– Wieści od jego ekscelencji pana le Telliera! Od le Telliera!

Grégoire włożył w ten występ całe serce i co do jednego byli pewni: może i nie dało się zrozumieć wypowiedzianych przezeń słów, ale dziecięcy głos zdecydowanie nie budził niepokoju. Gdy Frogier otworzył drzwi, luźno trzymając miecz u nogi, Tannhäuser błyskawicznie pchnął go sztyletem w przedramię. Kiedy zakręcił ostrzem w ranie, miecz z brzękiem upadł na podłogę. Cios łokciem wepchnął jedyny ząb do gardła strażnika i pozbawił go czapeczki, a kopniak kolaniem w podbrzusze zgiął go wpół i dosłownie uniósł w powietrze. Wyjąwszy sztylet z rany, Tannhäuser schował go do pochwy i cisnął *sergent* twarzą do podłogi. Teraz dopiero odebrał mu nóż i miecz. Upewniwszy się, że w kuchni nikogo nie ma, cisnął tam nóż Frogiera.

Sergent tymczasem zwrócił sporą porcję szarawego płynu, ale był zbyt oszołomiony, by unieść twarz nad kałużę. Tannhäuser stanął na jego lewym nadgarstku, by zwichnąć mu dłoń, a następnie wbił krawędź obcasa w nasadę kciuka. Frogier rzucił się gwałtownie i zawył, gdy staw przybrał kształt i rozmiar włoskiego orzecha. Mattias pochylił się nad nim.

– Zapomnij o strzelaniu z łuku. Co się zaś tyczy reszty twoich dni, jeszcze możesz je wygrać.

Lucyfer biegał po mieszkaniu, węsząc i zostawiając tu i ówdzie wonne pamiątki swej wizyty. Łuk i kołczan Frogiera leżały obok cuchnącego materaca. Tannhäuser zarzucił je sobie na plecy.

– A ty, Joco, wstawaj. Zaprowadzisz mnie do Kukanii.

Joco zajęczał efektownie, by pokazać, jak bardzo jest dzielny, gdy podnosił się na łokciach.

– Panie, ja nie mogę chodzić. Zdaje się, że mam złamany kręgosłup.

Tannhäuser uciął mu lewe ucho, ale najwyraźniej nie docenił ostrości Frogierowego miecza, który z rozpędu wbił się w ramię Joco aż po obojczyk. Rana była paskudna, lecz z pewnością nie śmiertelna.

– Wstawaj albo odrąbię ci stopy i poszukam innego przewodnika.

Joco podniósł się i stanął wsparty dłońmi o kolana, oddychając ze świstem i plując krwią. Na ścianie wisiała strażnicza latarnia: świeca w szklanej szkatule przyczepionej łańcuszkiem do krótkiego trzonka. Sądząc po długości świecy, Tannhäuser oszacował jej żywotność na ładnych parę godzin. Kazał Grégoire'owi zapalić ją od świecy stojącej na stole. Chłopak, który wiedział, że należy się spodziewać kolejnej dawki przemocy, zniósł ją całkiem nieźle. Mattias rozkazał Frogierowi, by wstał.

– Grégoire, oddaj latarnię strażnikowi, zabierz szponton i zaczekaj na ulicy – dodał.

Rzuciwszy miecz strażnika do kuchni, sięgnął po swoją kuszę i pokazał mu belt gotowy do strzału.

– Powiedziałeś o wszystkim le Tellierowi.

– A cóż innego mogłem począć, ekscelencjo? Proszę, nie zabijaj mnie.

– Trudno cię winić za to, że smarujesz niewłaściwą kromkę.

– Ekscelencjo, w tym cała moja nadzieja, że tak właśnie postrzegasz sytuację.

Do uszu Tannhäusera dobiegł nagle dobrze znany mu dźwięk, stłumiony odległością i niezliczonymi murami budynków. Muszkietowa palba, może o ćwierć mili na północ.

– Włóż czapkę. I nie pozwól, żeby Joco spadł ze schodów. Prędkiej.

Na dole Tannhäuser odebrał Frogierowi latarnię i wręczył Grégoire'owi w zamian za szponton. Znowu rozległ się huk wystrzałów, tym razem pojedynczych, chaotycznych. Licząc je w duchu, zaczął wydawać rozkazy.

Nie odzywać się. Prawe ramię Joco na kark Frogiera. Złapać w pół.

Joco nie udawał, naprawdę miał połamane żebra: gdyby Mattias przycisnął go zbyt mocno, gotów był zwinąć się w kłębek na gołej ziemi i czekać na śmierć.

– Nie obchodzi mnie, czy któryś z was zdechnie czy przeżyje – powiedział Tannhäuser. – Zaprowadźcie mnie do Kukanii, a wtedy zobaczymy, czy będę w nastroju do okazywania łaski. *Sergent* zdaje się już wie, jak podatny jestem na zmiany nastrojów.

Wystrzały ucichły. Siedem muszkietów, pomyślał Tannhäuser. W ciemności, przy dwudziestu czynnościach składających się na przeładowanie broni, trzeba liczyć cztery minuty do kolejnej salwy. Ruszyli na zachód: jeńcy przodem, Mattias za nimi, a na końcu Grégoire z latarnią.

Poruszali się w beznadziejnym tempie, a Joco jęczał przy każdym kroku. Na pierwszym skrzyżowaniu skręcili na północ i wtedy znowu rozległ się huk wystrzałów. Tannhäuser miał wrażenie, że w ogóle nie zbliżyli się do celu; wciąż byli na zwykłych ulicach miasta. Kusilo go, by zostawić ich wszystkich i pobiec, kierując się jedynie słuchem. Wiedział jednak, czym są Podwórza; widział podobne siedlisko w Neapolu. Mieszkańcy takich dzielnic specjalnie czynili z nich labirynty; był to przejaw buntu wobec prawa. Próba dotarcia do – z pozoru niedalekiego – źródła dźwięku mogła oznaczać długie godziny błądzenia w sieci ślepych zaułków i niewiarygodnie krętych uliczek. Zwłaszcza o tej porze, gdy do wschodu księżycy pozostała co najmniej godzina.

Tannhäuser zwolnił nieco i oparł ostrze szpontonu o plecy Joco. Za cenę kilku lekkich pchnięć i głośniejszego skomlenia zdołał podwoić tempo marszu.

Minęli długi szereg zakrytych okiennicami witryn sklepowych i co najmniej czterech stróżów, którzy przytomnie uznali, że nie należy się wtrącać w nie swoje sprawy, zwłaszcza że *sergent* nie skarżył się na swój los. Przeszli też obok kilku karczm i pokonali kolejne dwa skrzyżowania. Gdy muszkiety odezwały się ponownie, zdaniem Tannhäusera wciąż były zbyt daleko.

Siedem luf. Ilu Pielgrzymów? Trudno zgadnąć. Może czterdziestu? A może i dwukrotnie więcej? Zbyt wielu, by rzucić się na nich samotnie, zwłaszcza gdy stawką było życie Carli. Rozstał się wszakże z Garnierem w przyjaźni, może więc lepiej przyłączyć się do nich? Przekonać Garniera, by odprowadził Carłę do Temple, i tam szukać wsparcia braci zakonnych? Z pewnością większa to chwała dla Pielgrzymów niż marsz do domu le Telliera. Dominic, rzecz jasna, byłby przeciwny, ale i na to znalazłby sposób: wystarczyło zauważyć głośno, że wielki dowódca Garnier winien jest posłuszeństwo wyłącznie królowi. Czy Marcel wspomniał Garnierowi o milicjantach wyrżniętych w domu drukarza? Taka historyjka z pewnością nie pomogłaby w przekonaniu Pielgrzymów do udziału w wyprawie po Carłę. Marcel miał też inny powód, by jej nie opowiadać: jeśli chciał wykorzystać Tannhäusera do własnych celów, nie potrzebował wściekłości Garniera, która mogłaby jedynie skomplikować sytuację.

– Frogier, jakie rozkazy dostali *sergents* względem mnie?

– Ekscelencjo, mieliśmy tylko zameldować, jeśli cię gdzieś wypatrzymy, i w miarę możliwości obserwować twoje ruchy. Ja zaś przysiągłem, że...

– Nie było rozkazu aresztowania?

– A za co, ekscelencjo?

– Może za zabicie dziewiętnastu milicjantów?

Śmiech Frogiera był podszyty strachem.

– Nie, nie, nikt nie twierdził, że ekscelencja ma coś na sumieniu. Wspomniano nam tylko, że jest poszukiwany w sprawie wagi państwowej. I właśnie dlatego wykonywałem obowiązki, zgodnie z przysięgą, którą...

– Co wiesz o ataku na Podwórze?

– Nic, ekscelencjo. Kazano mi tylko pilnować tej nory, w której mnie znalazłeś.

– Gdzie jest ta ruda, Typhaine? – spytał Tannhäuser.

– Wybacz, panie, ból stępił mi rozum. Zgodziła się zaprowadzić Christiana do Kukanii.

Droga wiodła teraz pod górę. Nachylenie nie było wielkie, ale wystarczające, by Joco znowu zwolnił. Tannhäuser raz jeszcze dźgnął ciemną plamę na jego plecach. Uliczka była coraz węższa. W pewnej chwili trzech młodzi mężczyźni wyszli z karczmy i znaleźli się tuż za plecami Frogiera, blokując przejście. Odwrócili się, zdziwieni widokiem tej osobliwej procesji, i wtedy ujrzeli Tannhäusera, półnagię i obwieszzonego bronią. Widać było, że nie żalowali sobie wina, ale Mattias nie wyczuwał wrogich zamiarów. Tracił Frogiera ostrzem szpontonu.

– Dobry wieczór, chłopcy. Ten oto *sergent* zapłaci *écu d'or* każdemu, kto zechce doprowadzić nas do Kukanii. Któryś z was chciałby zarobić?

Dwaj spojrzeli na trzeciego, a ten otarł usta wierzchem dłoni.

– Nikt tu nie zna drogi.

– Zechcecie więc wrócić do karczmy, abyśmy mogli przejść? – Tannhäuser nie chciał, by poszli jego śladem. Znowu szturchnął Frogiera. – Pan strażnik chętnie postawi wam niemały dzban wina.

Frogier sięgnął zdrową ręką do kieszeni. Wyjął dwie monety i podał je jednemu z nieznanym, a wtedy wszyscy trzech wrócili do lokalu. Poleciwszy Grégoire'owi, by oglądał się za siebie, Tannhäuser ponaglił jeńców. Minęli kolejne skrzyżowanie; teraz uliczka była już bardzo stroma. Przez chwilę maszerowali na wschód, ale zaraz znowu skręcili na północ, w zaułek tak wąski, że dwóch ludzi nie zdołałoby tu iść ramię w ramię. Smród był coraz bardziej dokuczliwy.

Dotarli na Podwórze.

– Joco – odezwał się Frogier – chwyć się mojego pasa.

Joco usłuchał i kontynuowali wspinaczkę gęsiego. Kręty szlak prowadził to na wschód, to znowu na północ. Muszkiety milczały od dawna. Czyżby bitwa dobiegła końca?

Tannhäuser czuł narastające zniecierpliwienie. Za wszelką cenę musiał dotrzeć do Kukanii, zanim Pielgrzymi odejdą.

Joco przystanął, jęcząc cicho. Tannhäuser ukuł go szpontonem i w chwili, gdy rozległ się okrzyk bólu, Frogier postanowił działać: obrócił się błyskawicznie i z całej siły pchnął Joco. Czując, że ostrze wbija się między połamane żebra, Tannhäuser cofnął je gwałtownie, ale ciało już ciążyło ku ziemi, w dół stoku, z siłą spotęgowaną pchnięciem Frogiera. Mattias wypuścił drzewce z rąk i cofnął się, a okuty kolec na drugim końcu szpontonu natychmiast wbił się w błoto. Ostrze przebiło płuco Joco.

Nie czekając, aż ranny upadnie na ziemię, Tannhäuser skierował kuszę w stronę czarnej sylwetki niknącej w mroku. Trafiony Frogier padł jak rażony gromem, szlochając. Mattias wyciągnął szponton z pleców Joco, który zanosił się mokrym kaszlem, przestąpił nad nim i skinął na Grégoire'a, by nie zostawał w tyle ze swą latarnią.

Frogier leżał na boku, zgięty w pół. Płakał. Bełt zniknął całkowicie w jego ciele, na wysokości łądzwi. Tannhäuser przewrócił go na plecy, używając kolca szpontonu. Teraz dopiero zobaczył strzałę wystającą z brzucha na pół stopy. Oparł szponton i kuszę o ścianę lepianki obrzuconej błotem, pochylił się i zdarł czapkę z głowy Frogiera. Owinąwszy nią grot, szarpnął bełt z całej siły i wyrwał z trzewi rannego. *Sergent* wrzasnął dziko. Tannhäuser rozpiął i zabrał mu pas.

– Grégoire, gdzie twój kundel z piekła rodem?

Chłopak uniósł latarnię i wskazał palcem. Lucyfer postawił uszy, przysłuchując się gulgoczącym oddechom Joco, jakby miał nadzieję, że będzie mógł chociaż zlizać krew z jego brody.

– Zrób mu z tego smycz. I miejmy nadzieję, że palić będą tylko własne psy.

Tannhäuser podał chłopakowi pas, a sam naprostował lotki bełtu i po krótkich oględzinach stwierdził, że będzie mógł go jeszcze użyć. Naciągając i ładując kuszę, spojrzął na Frogiera.

– Powiedziałeś Marcelowi, jak ważne są dla mnie te dzieci?

Frogier zaszlochał.

– Powiedziałem mu, że je kochasz.

– I co on na to?

– Odrzekł: to dobrze.

Ktoś tu dyszy nienawiścią.

Na przykład Marcel.

Nienawidził człowieka, który kochał te dzieci.

Który kochał Orlandu. I, ponad wszystko, Carłę.

Tannhäuser sięgnął po szponton i spojrzął na Grégoire'a.

– Zobaczymy, czy Lucyfer zdoła przeprowadzić nas przez piekło.

Przestąpił nad Frogierem, bladym i drżącym w słabym świetle latarni.

– Ekscelencjo, nie zostawiaj mnie tu. W dziesięć minut zedrą ze mnie ubranie.

– Żyłś jak świnia. Zdychaj więc jak świnia

Ruszyli dalej. Wkrótce uliczka nieco się rozszerzyła i w pobliżu – jak sądzili – wierzchołka wzgórza rozdzieliła na cztery mniejsze. Muszkiety nadal milczały, za to w cuchnącym powietrzu Tannhäuser wyczuł nareszcie woń prochu. W głębi dwóch uliczek bardziej wyczuwał, niż dostrzegał otwartą przestrzeń, zapewne podwórka otoczone domami. Gdy wyteżył wzrok, tu i tam zauważył blade, żółte światelka. Panująca wokół nich cisza była głębsza, niż można by się spodziewać – być może z powodu niedawnej bitwy. Wyczuwał też, że są obserwowani. Nie sądził, by ktoś w tych stronach posiadał broń palną, ale strzał, kamieni i dachówek z pewnością nie brakowało. Niosący latarnię był łatwym celem.

– Grégoire, oddaj latarnię. Weź psa i idźcie przodem.

Chwycił trzonek latarni tą samą ręką, w której niósł szponton. Grégoire wymamrotał kilka słów do kundla, który – jakby pojął w lot jego intencje – puścił się biegiem w zaułek po lewej stronie. Po chwili weszli w podwórze i wtedy, po paru krokach, Tannhäuser usłyszał cichy świst. Skoczył naprzód, pochylając głowę i wykonując półobrót. Procarz albo miał sporo szczęścia, albo doskonale przewidział jego ruch, bo mimo uniku kamień trafił Mattiasa w mięsień grzbietu, tuż poniżej lewej pachy. Zdarzały mu się w życiu mniej bolesne postrzały z muszkietu.

– Biegiem, Grégoire! I osłaniaj głowę ramieniem.

Pobiegli, ścigani świstem kamieni i łomotem uderzeń o ściany, a także szyderstwami. Chłopcy bronili swego terytorium i nieźle im to wychodziło. Tannhäuser usłyszał głuchy odgłos trafienia; Grégoire zachwiał się, ale nie upadł – nadal pędził przed siebie.

Dotarli szczęśliwie do zaułka na drugim końcu podwórza, ale wiedzieli, że pościg nie ustanie, bo takie obowiązywały tu reguły gry – mało zachęcająca perspektywa, bo w wąskim przejściu między budynkami trudno było unikać trafień. Tannhäuser zatrzymał się i opuścił szponton. Poczul na biodrze strużkę krwi.

– Trafili cię? – spytał, oddając latarnię Grégoire'owi.

– W sakwę – padła lakoniczna odpowiedź.

– Biegnij dalej i zaczekaj na mnie na następnym zakręcie.

Tannhäuser czekał w zaułku na chłopców, nadbiegających z głośnym wyciem w sile siedmiu lub ośmiu. Mógł pozwolić im się stłoczyć na wąskiej przestrzeni i wyrznąć paru, co odebrałoby pozostałym chęć do zaczepek, ale gdy od zaułka dzieliło ich jeszcze dwadzieścia stóp, wyszedł im naprzeciw, starając się, by zauważyli błysk stali na jego kuszy.

Byli nieźli. Zamiast zatrzymać się zwartą grupą, rozproszyli się jak jelenie i w jednej chwili stracił ich z oczu. Wycofał się do zaułka.

– Idźcie tam, skąd przyszedłem – zawołał. – Klnę się na honor, że znajdziecie tam konającego *sergent*, a przy nim garść złota.

– Na honor?

– Może się schylisz, wielki panie, a my grzecznie cmokniemy cię w jaja?

Śmiech.

Umilkli, gdy usłyszeli, że Tannhäuser także się roześmiał.

– Słodki owoc leży na wyciągnięcie ręki, chłopcy, i z pewnością będzie wam smakował. Podnieście go, zanim zrobi to ktoś inny. Jeśli zaś ruszycie za mną, posmakujecie jedynie bólu.

Usłyszał szept, a potem świst – kamień obił się o mur i stracił impet, wpadając w zaułek. Może i nie trafili, ale pomysł dobry, pomyślał z uznaniem Tannhäuser.

– Macie harde dusze, więc złożę wam inną propozycję. Szukam mego przyjaciela Grymonde’a, wielkiego Infanta Kukanii. Zaprowadźcie mnie do niego, a dobrze wam zapłacę.

– Infant zginął.

– Z całą pewnością nie.

– Mówili nam, że dostał kulkę i spadł z dachu.

– Zatem nic nie wiedzą. Wystarczy, że wskażecie mi drogę do Kukanii.

– Skąd mamy wiedzieć, że *sergent* naprawdę tam leży?

– Stąd, że zostawił swoje flaki na tym bełcie. Możecie powąchać. – To rzekłszy, wysunął kuszę z najgłębszego mroku. Usłyszał szybkie kroki.

– Do diabła, zgadza się! Świeżutkie!

– Dlaczego więc sam nie zabrałeś mu złota?

– Spiesz mi się i mam własne – odparł Tannhäuser. – Ale złoto strażnika przyjemniej będzie wydawać, no i czeka was dodatkowa przyjemność: on jeszcze żyje. Możecie obdrzeć go ze skóry jak morelę i do końca życia snuć o tym opowieści przy kuchennym piecu.

Nagie stopy zatupały w błocie. Dwa cienie przemknęły wzdłuż muru, a pozostałe pognały ich śladem. Tannhäuser zagłębił się w zaułek i odnalazł Grégoire’a.

Ruszyli dalej.

Lucyfer prowadził ich pewnie krętym szlakiem; od czasu do czasu zatrzymywał się, by powęszyć chwilę albo sobie ulżyć. Trakt, którym wędrowali, nie zasługiwał na miano ulicy, ale innych w Podwórzach nie było. Woń prochu była coraz silniejsza, aż wreszcie, minąwszy kolejny ciąg zabudowań, Tannhäuser ujrzał słup dymu i iskry frunące ku nocnemu niebu. W tym momencie do jego nozdrzy dotarł nowy zapach i stało się jasne, dlaczego kundel nie zabłądził, choć wcale nie było pewne, czy znał te strony. Zapach pieczonej wieprzowiny. I coś jeszcze: ostry fetor spalonych włosów. Może więc to nie prosiak skończył nad ogniskiem? Przy skrzyżowaniu alejek Tannhäuser kazał Grégoire'owi przytrzymać dyszącego łakomie psa i zaczekać. Krótki zaułek otworzył im drogę na południową stronę kolejnego podwórza.

Odnaleźli krainę szczęśliwości.

Wokół nie brakowało nieruchomych ciał: mężczyzn, kobiet, dzieci. Leżały w dziwnych pozach tam, gdzie spadły z dachów; inne piętrzyły się stosami u drzwi domów albo spoczywały wyciągnięte na otwartej przestrzeni. Zginęły dziesiątki mieszkańców Kukanii. Nikt się nie ruszał, nie jęczał, ale to nie było niespodzianką: milicjanci wszak przez cały dzień ćwiczyli pozbawianie życia. W żelaznych koszach i w palenisku obudowanym cegłami żarzyły się jeszcze węgle. Przewrócone krzyżaki pod stołów, baryłka wina, rozrzucone resztki jedzenia. Przerwana uczta. Jedyнным śladem po milicjantach była rzeź, której tu dokonali.

Tannhäuser znowu się spóźnił.

Od kiedy wszedł w mury tego miasta, przyświecał mu jeden cel: chciał odnaleźć Carlę, mieć pewność, że jest bezpieczna. Gdyby za cenę owego bezpieczeństwa musiał zrezygnować z zabicia le Telliera, bez żalu odpuściłby sobie tę przyjemność – choć być może po jakimś czasie wróciłby do Paryża samotnie, by zwieńczyć dzieło. Teraz jednak miał wrażenie, że le Tellier nie jest już pieskiem ujadającym u jego stóp, ale cytadelą stojącą mu na drodze. I wszystko wskazywało na to, że musi wziąć ją siłą. Zastanawiał się, czy zagadka, do której Frogier dostarczył klucz, może poprowadzić go w tej walce.

Marcel le Tellier chciał, by Tannhäuser cierpiał.

Starał się zadać ból jego najbliższemu, bo był to najlepszy sposób, by mu dopiec.

Pobudki, którymi się kierował, chwilowo nie miały znaczenia; Mattias nie zamierzał tracić czasu na spekulacje. Marcel już wiedział, że Tannhäuser nadal żyje – jego ludzie zapewne znaleźli bezgłowego harfistę oraz martwych zabójców w kaplicy.

A skoro tak, to Marcel le Tellier czuł strach.

Spodziewał się, że będzie smakował zemstę z bezpiecznej odległości setek mil. Wierzył, że Tannhäuser dowie się o śmierci Carli po paru tygodniach. Nie musiał nawet go oglądać, być świadkiem jego rozpacz; wystarczyło mu wiedzieć, że Tannhäuser cierpi, że będzie rozpaczał aż po kres swych dni, udręczony świadomością, że jego żona skoła w samotności, bólu i strachu, z dala od niego.

Koło zagadek obróciło się po raz kolejny.

Tannhäuser nie wątpił, że plan wywołania wojny za pomocą morderstwa był realny, że takie były intencje le Telliera, katolickiego fanatyka. Polityczna logika wydarzeń, którą z trudem zrozumiał la Fosse, a którą natychmiast pojął Paul, była bez zarzutu. Dwie pieczenie na jednym ogniu – tyle że drugą pieczenią nie była ta, którą miał na myśli Paul. Drugą pieczenią było serce Tannhäusera. Sprawa polityczna, sprawa osobista. Mattias wiedział, że rankiem instynkt nie zawiodł go tylko połowicznie: plan zamordowania Carli rzeczywiście był sprawą osobistą, ale prawdziwą przyczyną i prawdziwym celem był nie Orlandu, lecz on sam.

Marcel lubił rozkoszować się zemstą na zimno; Tannhäuser wolał ją gorącą, prosto z pieca, ale doskonale rozumiał swego przeciwnika i był pod wrażeniem. Cierpliwość. Zdolność przewidywania. Dyscyplina. Kleszcz potrafi żyć latami, żywiąc się najmniejszą kroplą krwi i trzymając się źdźbła trawy tak długo, aż pojawi się niedźwiedź lub wilk, a wtedy przysysa się do niego, ucztuje i pęcznieje, mając do dyspozycji zapasy na całe życie. Tak też było z le Tellierem, żywiącym się kroplą nienawiści – teraz zamierzał karmić się do syta bólem Tannhäusera.

Był to zatem człowiek pokładający wiarę we własne plany, w chłodne rozumowanie, w spryt – ale nie w śmiałość czy pasję. Polityk, nie wojownik. I nie barbarzyńca, lecz szef tutejszej policji.

Marcel le Tellier nie trwał w swej nienawiści samotnie. Niczym cesarz kochał swoje imperium i wszelkimi dostępnymi środkami – intrygami osobistymi i politycznymi – starał się bronić swej pozycji. Mógł żywić się nienawiścią, jeszcze bardziej potrzebował władzy, ale nade wszystko – pragnął żyć. Człowiek prawdziwie miłujący władzę – albo nienawiść – poświęciłby życie dla jednego lub drugiego. Le Tellier, zwolennik powolnego i skrupulatnego działania, nie był do tego zdolny.

Tannhäuser spojrział na ciała ludzi, którzy zginęli za sprawą le Telliera, a potem sięgnął myślą ku innym, znacznie liczniejszym, gnijącym we wszystkich zakamarkach miasta.

Marcel le Tellier był tchórzem.

Gdy dowiedział się, że Tannhäuser żyje i jest wolny, postanowił zatrzymać Carlę, a także Orlandu. Gotów był wykorzystać ich, by manipulować wrogiem. By z nim negocjować. By zagrać na jego miłości i lękach. Lecz gdyby zwyciężył, Carla i Orlandu i tak by zginęli, by, jak powiedział Paul, zatrzeć ślad.

Charakter i logika nakazywały Tannhäuserowi pogardzać takimi negocjacjami – i takimi lękami. Nie miał nic do stracenia. Marcel le Tellier postawił w tej grze wszystko, co miał, a gdy ktoś wkracza do walki, mając tyle do stracenia, z góry jest skazany na porażkę.

Tannhäuser wypatrzył w półmroku kolejną postać. Jeśli go wzrok nie mylił, był to jedyny człowiek na całym podwórzu, który jeszcze oddychał. A był to mężczyzna wielki: wielki w ramionach, wielki w czaszce, wielki w udach, wielki nawet w dumie – i wielki też był jego upadek. Klęczał w czerwonej poświacie dogasającego ogniska, z rękami za plecami i z głową spuszczoną na potężną pierś, niczym chłopiec w pokorze znoszący zadaną mu karę.

Infant.

Grymonde, król Kukanii.

Podwórze było usiane kawałkami dachówek, a na okolicznych dachach bystre oczy wypatrzyłyby może dwie szczupłe sylwetki. W dalekim kącie placu piętrzyła się zaś sterta połamanego drewna.

Tannhäuser uniósł broń w taki sposób, który mógłby przekonać ewentualnych obserwatorów, że nie ma złych zamiarów. Kamień z procy, który utkwił mu w plecach, sprawiał ból przy każdym ruchu, a krew wciąż się sączyła. Mattias wszedł głębiej w podwórze.

Przy palenisku klęczała też martwa kobieta, a górna połowa jej ciała płonęła na rozżarzonych węglach. To ona była źródłem dymu; Tannhäuser upewnił się jednak po kształcie jej kostek, że to nie Carla. Woń spalonych kości i mięsa przyprawiała go o mdłości. Opuścił szponton i zepchnął ją poza krąg ognia, przy wtórce syku płonącego tłuszczu. Wciąż dymiąc, ciało upadło w błoto, tuż obok resztek pieczonego prosiaka.

Tannhäuser zwrócił się teraz w stronę klęczącego olbrzyma. Na jego plecach dostrzegł kolczan i rogowy łuk, własność Altana Savasa. Z głębokiej rany na głowie sączyła się czarna krew. Spory odłamek drewna sterczał z jego uda. Wydawało się, że jest nieprzytomny.

– Jestem Mattias Tannhäuser.

Grymonde wymamrotał coś, nie podnosząc głowy.

Tannhäuser podszedł bliżej.

– Przyszedłem rozmówić się z Infantem.

– A znalazłeś jedynie zdrajcę. – W głosie pobrzmiewały gniew i wstyd. Grymonde nie uniósł głowy.

– Czy Carla żyje?

– Gdy widziałem ją po raz ostatni, była cała i zdrowa.

– Podobno ją kochasz.

Grymonde zaśmiał się chrapliwie.

– Zgadza się, obaj trzymaliśmy łapy między jej nogami.

Czyżby chciał umrzeć? Tannhäuser nie umiał orzec; Infant wciąż klęczał ze spuszczoną głową.

– Dogonię Pielgrzymów, zanim dotrą do domu le Telliera?

– Nie. Bardzo im się spieszyło do cywilizacji, czyli do miejsca, w którym ofiary nie mają zwyczaju się bronić.

– Dlaczego cię oszczędzili?

– Oszczędzili?

Grymonde skierował twarz w stronę Tannhäusera.

Oczy wyłupiono mu czymś rozżarzonym, zapewne różnem. Kości policzkowe oraz krawędzie pustych oczodołów były pokryte pęcherzami i zniekształcone, a powieki napuchnięte i obwisłe jak roztopiony wosk. Po gałkach ocznych nie było śladu, zapewne najpierw je wypalono, a potem wydlubano. Miejscami widać było tkanki. Grymonde musiał cierpieć niewiarygodny ból, ale wydawało się, że bardziej dokucza mu wstyd.

– Dobrze się bawili? – spytał Tannhäuser. – Dostarczyłeś im rozrywki?

– Przyjemnie ci, kiedy ze mnie szydzisz?

– Próbuję oszacować, jak bardzo jesteś wściekły.

– A jak głęboki jest ocean? Jak daleko ciągną się trzewia piekieł?

– Przyszedłem tu w nadziei, że odnajdę żonę. Chwilowo wystarczy mi, jeśli znajdę towarzysza.

Groteskową twarz wykrzywił grymas zdumienia. Grymonde milczał chwilę, tłumiąc ból.

– Przyszedłeś, żeby mnie zabić.

– Jeśli zemsta nie jest twym balsamem, mogę wyświadczyć ci tę przysługę – odparł Tannhäuser.

Infant wyszczerzył zęby w uśmiechu. Były zdumiewająco rzadko rozstawione.

– Zapewniała, żeś diabłem wcielonym. Zna swego mężczyznę. A co do balsamu, oddaj mi moje noże i rzuć mnie w tłum, to zobaczysz, ile może działać oślepiiony byk.

Tannhäuser odwrócił się. U wylotu zaułka stał Grégoire, z coraz większym trudem próbujący utrzymać na smyczy psa. Skinął na niego. I wtedy zobaczył ustawione w szeregu dzieci, chłopców i dziewczęta, uzbrojone w proce, pałki i noże. Zadarł głowę i na tle gwiazd dostrzegł jeszcze więcej sylwetek.

– Twoi przyjaciele podejrzliwie na mnie patrzą, a wyglądają mi na zuchów.

– Dzieci Kukanii! – Głos Grymonde’a był donośny jak grzmot. – Mamy nowego brata!

– Jest ze mną młody przyjaciel, Grégoire.

– Mamy dwóch nowych braci! Pierwszy to dzielny Grégoire! Drugi to Mattias Tannhäuser, znany zabijaka! – Grymonde odwrócił głowę ku Tannhäuserowi. – Te więzy palą mnie bardziej niż oparzenia.

Tannhäuser położył szponton na ziemi, wraz z kuszą, z której zdjął bełt. Na początek chwycił wielką drzazgę sterczącą z nogi Grymonde’a i zaparł się lewą ręką o jego udo. Wyciągnąwszy ją, cisnął w palenisko. Infant Kukanii nie wydał z siebie głosu. Z rany pociekła czarna, gęsta maź.

– Szczątki wieży złagodziły upadek. Chyba po raz pierwszy do czegoś się przydała, nie licząc rozsmarowania na ziemi paru Pielgrzymów.

– Ten łuk należał do mojego przyjaciela, Altana Savasa.

– Zostawili mi go dla żartu. Mały Christian. Stwierdził, że jest coś poetyckiego w postaci niewidomego łuczника. I choć nie ten kmiot wpadł na pomysł, by wyłupić mi oczy, to on wydał rozkaz siepaczom.

– Ilu waszych Altan zdążył zabić?

– Sześciu.

– To mieliście szczęście.

– Jeszcze jedno uderzenie serca, a i mnie by załatwił. Dziwnie się los plecie, co? Jedno uderzenie serca, a wszystkie te martwe serca wciąż by żyły. – Grymonde skinął głową w stronę trupów, których nie mógł już zobaczyć. – Ile serc dziś zatrzymałeś, kawalerze?

– „Dziś” jeszcze się nie skończyło.

– Nie jesteś chyba jednym z tych, co liczenie zostawiają Bogu.

– Zdaje się, że żaden z nich nie dotrze do bram Jego królestwa.

– Zrób przyjemność niewidomemu łucznikowi.

– Odkąd wstałem z łóżka... powiedzmy, że czterdzieści pięć.

– Do diabła. Biedny Paul.

Tannhäuser przeciął więzy Grymonde'a i podał sztylet Grégoire'owi.

– Idź, utnij nam trochę tłustego mięsa, a potem i ty się pożyw.

Grymonde wstał, pojękując cicho, gdy prostowały się zeszywniałe stawy.

– Zabiorę ci łuk i kołczan – powiedział Tannhäuser.

– Mnie już się nie przydadzą.

– Nie ruszaj się. – Ostrożnie zdjął łuk i kołczan przez głowę Grymonde'a. – Wezmę też pierścień. Masz go na kciuku.

– Nie pamiętam, na której dłoni. – Grymonde wyczuł pierścień palcami, zsunął go i oddał Tannhäuserowi.

– Znajdzie się tu kobieta, co radzi sobie z igłą? – spytał Mattias.

– Dziwnie spokojny jesteś, jak na człowieka, którego żona znajduje się w rękach wieprza.

– Obu nam przydałoby się parę szwów.

– Zatem nie koniec męki. Hugon! Żyjesz?

Poddani Infanta spojrzeli po sobie. Po chwili odezwał się z ciemności mężczyzna w średnim wieku.

– Nie ma go. Ponoć na dachach leży jeszcze paru tych, co dostali.

– Kto mówi? Andri? Powiedz Jehanne, żeby tu przyszła z igłą i nicią. I przynieście mi noże. I krzesła. I nie mówcie, że baryłka już pusta, bo popadnę w rozpacz.

Napełnili brzuchy wieprzowiną i winem nadzwyczajnej jakości. Dzięki Grégoire'owi nawet łysy Lucyfer podjadł zdrowo. Gromada kundli, które pojawiły się znikąd, nie mogła liczyć na takie względy ze strony chłopaka z zajęczą wargą.

– Mówiłeś, że Carla była w dobrym zdrowiu, gdyś ją ostatni raz widział.

– Zaraz potem wylupili mi prawe oko.

Tannhäuser skrzywił się na myśl o tym, czego świadkiem była jego żona.

– Jej twarz była więc ostatnią rzeczą, jaką w życiu widziałem – dodał Grymonde. – Zważywszy na to, ile razy przez te wszystkie lata udawało mi się oszukać bladą szkapę, może i warto było dać się oślepić za coś takiego.

– A poza tym, żeś nią cieszył oczy, zauważyłeś coś jeszcze?

– Powiedziałbym, że trzymała Bernarda Garniera na bardzo krótkiej smyczy.

Po namyśle Tannhäuser uznał, że była to z jej strony świetna strategia.

– Wypiję za to – powiedział.

– I ja. Kto by pomyślał, że będziemy mieli coś wspólnego z tym wielkim matolem?

Tannhäuser parsknął śmiechem. Grymonde mu zawtórował, ale tylko na chwilę – oparzenia wciąż były świeże.

- Carla coś powiedziała?
- Tylko jedno: „Alice jest ze mną”.
- Co to oznaczało?
- Że zabili moją matkę.

Tannhäuser nie odpowiedział; jego myśli natychmiast skierowały się ku mrocznej przeszłości.

- Będę wdzięczny, jeśli oszczędzisz mi współczucia – dorzucił Grymonde.
- Ani go nie poczułem, ani nie wyraziłem, ani nie zamierzam.
- I dobrze. A potem uciekli. Wiedzieli, że wygrali bitwę, ale podboju nie dokonali.

Każdy grymas i każde słowo sprawiały, że nieznośny ból przeszywał uszkodzone nerwy w twarzy Grymonde’a, ale nie skarżył się ani słowem, co najwyżej wstrzymywał oddech. Mimo to Tannhäuser widział, że oparzenia nie pozwalają mu się skupić. Nie pierwszy raz spotykał się z takimi obrażeniami – pamiętał choćby le Masa na zbryzganych krwią ruinach fortu Świętego Elma. Nawet tacy jak on, najtwardsi mężowie, jacy kiedykolwiek trzymali w dłoni stal, niekiedy poddawali się bólowi – Grymonde był bliski tego stanu. Tannhäuser sięgnął więc do kieszonki naszytej po wewnętrznej stronie pasa i wydobyl bryłkę opium, zawiniętą w skrawek szmatki, którą rozwinął i wyrzucił.

– Połknij to i popij winem. Poczujesz gorycz, ale i tak warto. – Położył mięką, czarną bryłkę nakrapianą złotem na dłoni Grymonde’a.

Król Kukanii obrócił ją w palcach.

– Co to jest?

– Kamień nieśmiertelności. Lek własnego wyrobu, ale wynaleziony przez Petrusa Grubeniusa, który z kolei wzorował się na odkryciach Paracelsusa.

– Jasne, jasne. Ale co w tym jest?

– Gdy spróbujesz, przekonasz się, jak by to było, gdybyś stał się duchem.

– Matka przez całe życie próbowała mi to objaśnić, tylko że ja nie słuchałem. Co w tym jest?

- Brandy, sok cytrynowy, płatki złota...
- Ha!
- Ale w gruncie rzeczy to przede wszystkim surowe opium.

Grymonde połknął bryłkę i popił winem.

- Jedna wystarczy? Dla kogoś o mojej posturze?

– Zobaczymy.

Dziarska kobieta imieniem Jehanne pojawiła się po chwili i zaczęła od wydłubania owalnego kamienia z rany na plecach Tannhäusera i zamknięcia rany za pomocą igły do szycia żagli oraz nitki. Podobnie potraktowała rozcięcie na głowie Grymonde'a i nakłucie na udzie, którego kość szczęśliwie nie została uszkodzona; zajęła się także kilkoma drobnymi ranami na jego żebrach. Oparzenia na twarzy natarła maścią kalaminową, której białawe smugi tylko podkreśliły jego zdeformowane rysy, a pustym oczodołom nadały upiorny blask. Żaden artysta nie namalował nigdy równie demonicznego portretu.

– Co wiesz o domu le Telliera? – spytał Tannhäuser.

– Nie ma tam nic, co warto by ukraść, szkoda wysiłku. Piętnaście pokoi, od piwnicy po dach. Marcel mieszka sam, nie licząc portfela, kutasa, gospodyni, strażnika Bara i – od czasu do czasu – jego syna Dominica, który jest...

– Znam Dominica.

– Towarzyszył Carli i Garnierowi, gdy wychodzili z mojego domu. Najpewniej to właśnie Dominic zabił Alice.

Grymonde zagiął palce jak szpony.

– Dom le Telliera – przypomniał Tannhäuser.

– Zwykle nad gankiem od frontu pali się latarnia. *Sergent* trzyma tam straż, ale nie po to, by bronić le Telliera – bo ktoś wystarczająco znaczny, by uderzyć na tak liczącą się postać użyłby bardziej subtelnych środków, a *sergent* to przecie tylko worek rzadkiego gówna – lecz po to, by odpędzać pobite żony i pijaków oraz całą resztę motłochu, który w swej głupocie szuka sprawiedliwości u jego drzwi. Dobiec stamtąd do Châtelet można w trzy minuty, sprowadzić pomoc – w dziesięć. Na tyłach wzniesiono wysoki mur z żelazną bramą; drzwi powinny wytrzymać choćby i strzał z armaty, podobnie jak bramka do piwnicy. W oknach na parterze są pręty. Ilu ludzi strzeże domu tej nocy, nie wiem.

– Marcel nie jest w stanie nawet sobie wyobrazić, ilu ludzi potrzeba, by mnie powstrzymać. I dlatego nie będzie ich aż tylu.

– Jeszcze nikomu nawet się nie przyśniło, by złupić rezydencję *commissaire* – nikomu prócz mnie, lecz nawet ja nie widziałem w tym sensu.

– Tej nocy ma to sens – rzekł Tannhäuser. – Co się zaś tyczy drzwi, to jak rozumiem, jesteśmy w złodziejskiej kryjówce. Czyżbyś nie umiał sobie poradzić z zamkiem?

– Umiem otworzyć każdy zamek w Paryżu, nawet na ślepo. Andri! A jeśli drzwi są zamknięte na zasuwę?

– Miasto pogrążyło się w chaosie – odparł Mattias. – Marcel jest zaś szefem policji. Ludzie wchodzą do jego domu i wychodzą. Wartownik za drzwiami z pewnością odpuścił sobie zabawy z zasuwami, bo kimże jest wartownik, jeśli nie człowiekiem marzącym o ciepłym łóżku? Powiadasz, że nikomu się nie przyśniło, by tam uderzyć. Le Tellier nie spodziewa się szturmego Mongołów. Spodziewa się co najwyżej mnie.

– I w to wątpię. Chyba że wie, podobnie jak ja, żeś jest niespełna rozumu.

– Marcel wysoko zaszedł – stwierdził Tannhäuser – ale wielu jest takich, co zaszedli jeszcze wyżej, on zaś ma powód, by obawiać się ich niezadowolenia. Dopuścił się dziś wielu zdrad. Znieważył swój urząd. Sprzeciwił się woli Korony. Wykorzystał honor i krew Pielgrzymów. Wszystkie te występki skrzętnie ukrył i nie ujawni ich, bo zapłaciłby głową. Nie poprosi komendanta miasta, by przysłał swych żołnierzy, a tym bardziej króla, by dał mu Gwardię Szwajcarską. A żadna inna ochrona mu nie wystarczy.

– Pielgrzymi...

– Nie może zwrócić się do nich z prośbą, by strzegli jego domu. Przeciw komu? Nie ośmieli się nawet wezwać większej liczby własnych policjantów.

– Marcel jest przebiegły – rzekł Grymonde. – Nie znasz go jeszcze.

– Znałem wielu takich jak on i wszyscy byli tacy sami. Jest żądny władzy i sądzi, że ona mu służy, lecz władza nie zna pana, ma tylko swych niewolników. Władza jest klątką, w której go dopadnę i zgładzę.

Grymonde zacisnął zdeformowane usta i nic nie powiedział.

– Gdzie ma gabinet? – spytał Tannhäuser.

– Na pierwszym piętrze, w południowym skrzydle, z widokiem na rzekę.

– Osobne schody?

– Nie. Korytarz od głównej klatki schodowej.

Grymonde posłał Andriego po swą torbę z narzędziami.

– A jeśli jest gotów zabić Carlę w przypadku napaści? – spytał.

Tannhäuser zdziwił się, czując, jak w jednej chwili ogarnęła go lodowata furia. Pochylił się ku osmalonej twarzy Grymonde'a.

– A czy nie jest jednym z tych, co płacą takim jak ty, by załatwiali za niego te sprawy, najlepiej z dala od niego?

Grymonde cofnął się odruchowo.

– Igrasz z jej życiem.

– Nie waż się czynić mi wyrzutów, do których nie masz prawa, niewidomy łuczniku, bo zostawię cię tu, w ciemności, żebyś płakał za matką.

Grymonde zacisnął pięść. Jego posępne i pozbawione oczu oblicze wyglądało potwornie.

– To twoja żona – rzekł wreszcie i skinął głową, rozluźniając pięści. – Nie chciałem cię obrazić.

Tannhäuser pociągnął łyk wina, przyglądając się ślepcowi.

Skurecz wykrzywił przypaloną, brudną i niekształtną twarz Grymonde'a, jakby w duchu toczył walkę z natłokiem sprzecznych myśli i uczuć. Mattias pomyślał o licznych podłych uczynkach, których dopuścił się ten człowiek. Gdyby zebrać występki wszystkich ludzi, których uśmiercił tego dnia, zapewne nie dorównałyby zbrodniom Grymonde'a. O dziwo, mimo to wciąż mu współczuł – ale nie dlatego, że doświadczył nieszczęścia. Czuł, że choć jego życiowe ścieżki tonęły w ciemności, losy Grymonde'a były jeszcze mroczniejsze. Tym, co ich łączyło, było głębokie przekonanie, że sprawy nie musiały potoczyć się tak, jak się potoczyły; że nie wszystko w ich życiu było zależne od świadomych wyborów, których dokonywali. Grymonde doszedł do podobnego wniosku, ale uśmiechnąwszy się, zdradził tylko mały wycinek swych przemyśleń.

– Polubiłbyś Alice, moją matkę. Dobrze o tobie mówiła.

– Czuję się zaszczycony.

– Alice kochała Carlę. – Grymonde pokręcił głową. – A tych, których darzyła uczuciem, potrafiła chronić, z wyjątkiem dzieci. Wiedziała, że łatwo stracić uczucie. Przybycie Carli było znakiem, na który czekała. Znakiem, że może odejść w pokoju, wiedząc, że znalazł się wreszcie ktoś, kto poniesie płomień. I miała rację, jak zawsze. Nie trzeba było się spieszyć. Carla też ją kochała.

Tannhäuser nie dopytywał się o sens tych zagadek – to kamień nieśmiertelności zaczynał działać na umysł Infanta. Zastanawiał się tymczasem, jakie kroki podjąć, gdy już wyrówna rachunki w domu le Telliera. Wiedział, że z Carlą nie będzie bezpieczny nawet w Luwrze. Zbyt wiele kłamstw trzeba by wygłosić, zbyt wielu kłamców oszukać. Dotarcie z nią do Temple oznaczałoby z kolei jeszcze większy rozlew krwi, a także nowe kłamstwa, które przeszłyby mu przez gardło z największym trudem. Z decyzją należało więc wstrzymać się do spotkania z Carlą. Była w ciąży, jej zdolność do dalszego podróżowania pozostawała wielką niewiadomą. Gdyby jednak spytała go o zdanie, odrzekłby, że najlepiej byłoby wydostać się z Paryża.

– Bramy miasta są zamknięte – powiedział. – Znasz może inną drogę? Przemytniczny tunel albo coś podobnego?

– W Paryżu przemytnicy nie kopią, tylko smarują – odparł Grymonde. – Ale porte Saint-Denis będzie otwarta o północy dla bydła idącego na rzeź i ziarna dla młynów. Dla tysięcy zwierząt i wozów. Châtelet nie kontroluje bram miejskich, to zadanie żołnierzy komendanta oraz poborców podatkowych. A ci ostatni chętnie pobiorą, jeśli tylko zaproponujesz im stosowny „podatek”.

– Przez cały dzień zbierałem pieniądze.

– Fakt, przy tych *bravos* z kaplicy nie znalazłem nawet jednego sou.

– Marcel mógł umieścić przy bramie strażnika lub dwóch nie po to, by mnie aresztowali, ale po to, by wysłali sygnał o naszej ucieczce. Schwytanie nas gdzieś na trakcie za miastem byłoby dziecinnie proste. Tylko że zanim do tego dojdzie, zdążę zrobić sobie pochwę na miecz z jego flaków. Nie umiem jedynie odczytać roli Pielgrzymów.

– Mówiłeś, że to nie jego psy.

– Garnier jest jego psem. Istnieje ryzyko, że ów pies zechce mnie ugryźć.

– Dlaczego?

– Dziś rano zabiłem siedemnastu milicjantów.

Grymonde wybuchnął śmiechem i zaraz przeklął pęcherze na twarzy, które sprawiały mu niewymowny ból.

– A po południu, gdy się tego po mnie spodziewał, zostałem jego przyjacielem. – Tannhäuser wyjął oselkę i umoczył ją w winie. – Marcel wie, że zabiłem milicjantów. Jeśli zechce rozegrać bitwę po cichu – a dotychczas bardzo mu na tym zależało – to zachowa ten sztylet w rękawie. W razie potrzeby jednak dobędzie go: powie Garnierowi, który przewodzi swym ludziom na innych zasadach niż on. Garnier to rzeźnik i człowiek dumny, człowiek z pasją. Wierzy w siebie i w swoją sprawę. Jego podwładni zaś wierzą w niego, nie w jego szarżę. Nie jest też spętany polityką, jego ludzie są zaś od wczoraj pijani smakiem krwi. – Mówiąc to, Tannhäuser ostrzył broń, zerkając od czasu do czasu na mieszkańców Kukanii, którzy zeszli się, by zadbać o zabitych. Tu i ówdzie, gdy znajdowano kolejne ciało, rozlegały się głośnie lamenty.

– Kiedy ruszymy? – spytał Grymonde.

– Gdy tylko Marcel poklepie Pielgrzymów po plecach i każe im odmaszerować. Choć bardzo chciałby, żeby obozowali na progu jego domu, byłoby to skrajnie niepolityczne.

– Łeb mi pęka od myślenia. A karty zostały już wyłożone, więc nic mi po tym.

– Karty?

– Carla je ciągnęła. I wyciągnęła ciebie. *Anima Mundi* przepowiedziała, że się zjawisz.

Tarot. Tannhäuser wiedział, że Carla nie ma zaufania do kart, lecz domyślał się, że z tego samego powodu może mieć talent do poruszania się w ich zagadkowym świecie. Wolał nie pytać, którą kartą był w tym rozdaniu.

– Chcę zabijać – oznajmił Grymonde. – A potem zginąć gwałtowną śmiercią.

Tannhäuser nie widział powodu, by odwozić go od tego zamiaru.

– I może to dziwne – dodał Infant – ale całkiem wesoło mi z tą myślą. – Jakoś nie przyszło mu do głowy, by skojarzyć zmianę nastroju z działaniem opium, ale w tym akurat nie było nic dziwnego.

Pod rozgwieżdżonym niebem rozniosły się dalekie krzyki. W mieście pozostały jeszcze tysiące hugenotów do uśmiercenia, a ulice były pełne morderców. Owe stada ludzi żądnych krwi niepokoiły Tannhäusera znacznie bardziej niż zagrożenie ze strony le Telliera.

– Moglibyście się ukryć – zaproponował Grymonde. – Są takie miejsca, o których *sergents* nigdy nie słyszeli. I jedno lub dwa, o których nie wiedział nawet Paul.

– Jak już powiedziałem Paulowi, ukrywanie się nie licuje z moim temperamentem.

– Paul uwielbia ciekawe rozmowy. Pewnie od razu cię polubił.

Tannhäuser nie skomentował.

– Potrzebuję jeszcze jednej porcji tych twoich nieśmiertelnych – stwierdził Grymonde. – Pierwsza jakoś nie działa. – Jego uśmiech, tym bardziej demoniczny, że okraszony widokiem pustych, białych oczodołów, sugerował, że jest wręcz odwrotnie.

– Może i pragniesz gwałtownej śmierci, ale nie zasługujesz na bezbolesną.

– Gdy Carla posłała mnie, bym cię odnalazł, obawiała się, że ubijesz mnie na miejscu. Dlatego podarowała mi zaklęcie, które miało mnie obronić.

Tannhäuser odłożył szponton i dopił wino z dna kubka.

– Gadaj, mój Infancie, albo naprawdę będzie ci potrzebne.

Grymonde parsknął śmiechem i skrzywił się. Podrapał się po świeżych szwach na głowie.

– Zaraz, jak to brzmiało? Coś o małym ptaszku... Andri, dolej mi wina! O strzyżyku? I o koronie z cierni chyba...

Tannhäuser dostrzegł za plecami Grymonde'a małą, szczupłą dziewczynkę, która weszła na podwórze od wschodu. Wilgotne, kręcone włosy okrywały ją niemal do łokci. U biodra niosła ciężki worek. W obu rękach zaś trzymała nieduże zawiniątko.

– O, już sobie przypomniałem – ucieszył się Grymonde. – „Nowy słowik czeka już na twoje ciernie”.

Tannhäuser wymówił imię bez chwili zastanowienia:

– Amparo.

– No proszę. Zadziałało jak magia.

Tannhäuser poczuł dreszcz. Amparo nie żyła. Umarła w samotności, bólu i strachu, a może nawet czymś gorszym – bo ją opuścił. Oddał broń w nadziei, że ją ochroni, ale mylił się. Carla wiedziała o wszystkim. Nie. Nigdy nie odnalazła ciała Amparo. Nigdy się nie dowiedziała, ile go to kosztowało. Kochała Amparo nie mniej niż jego. I tylko Carla wiedziała, co symbolizuje słowik.

Chwycił Grymonde’a za przedramię.

– Nowy słowik?

– Daj nieśmiertelną, powiadam. Tak potężne zaklęcie musi być warte przynajmniej tyle...

Palce Tannhäusera wbiły się głębiej w potężny mięsień.

– Grymonde?

Tannhäuser zerknął na dziewczynkę z burzą włosów.

– Grymonde? – powtórzyła głośniej.

Wyglądała na zbyt uradowaną, by uwierzyć, że to naprawdę on.

– La Rossa!

Uśmiech La Rossy był promienny jak słońce.

Radość Grymonde’a nie była mniejsza, ale – choć o tym nie wiedział – jego uśmiech wyglądał straszliwie. Okaleczona i osmalona twarz upodabniała go do olbrzymiego, obłąkanego arlekina. Zerwał się na równe nogi, odwrócił i szeroko rozłożył masywne ramiona. Tannhäuser także wstał i chwycił go za barki, by go powstrzymać, odwrócić plecami do dziecka.

– Mój Infancie, pozwól, że przygotuję dziewczynkę na...

W tym momencie La Rossa ujrzała twarz Grymonde’a.

Krzyknęła przeraźliwie.

Żal i współczucie wykrzywiły jej wychudłą twarzyczkę.

– Gdzie twoje oczy? – zaszlochała. – Gdzie twoje oczy?

Ręce Tannhäusera opadły, gdy chwycił go za gardło niespodziewany dźwięk.

Małe zawiniątko, które La Rossa trzymała w ramionach, zaczęło płakać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Myszy

Pascale śniła o Tannhäuserze.

Tuląc głowę do poduszki, marzyła o tym, by się jej przyśnił – i spełniło się. Najdziksze sceny, które siłą nieświadomej woli starała się przedłużyć, miały silnie erotyczny podtekst. Inne pełne były przemocy, a jeszcze inne – mieszały ze sobą te dwa smaki i także budziły w niej zachwyty. Były jednak w tym śnie i takie wizje, w których Tannhäuser był ranny i samotny, a otaczały go bestie, których sile – wynikającej tylko z liczebności – nie potrafił sprostać.

Gdy się ocknęła, przypomniała sobie, że jego żona nie żyje. A ja jestem niemal wystarczająco duża, żeby wyjść za męża, pomyślała. Nie otwierając oczu, przez chwilę wspominała bitwę, którą Tannhäuser stoczył na schodach przed jej sypialnią.

Kiedy jej ojciec eksperymentował z projektami i prototypami nowych czcionek – bo większość powszechnie stosowanych uważał za ledwie czytelne – bez reszty oddawał się temu zajęciu. Tannhäuser czynił to samo – tylko szybciej, bardziej intensywnie – kiedy zabijał. Nie było w nim wtedy nic poza zabijaniem. Myślał, owszem, ale i myśli podporządkowane były jednemu celowi. Nie czuł strachu, nie miał wątpliwości, nie hamowała go litość. Był tylko ruch, zdecydowany ruch, instynktowny, jak trzepot skrzydeł jaskółki tnącej powietrze. I podobnie piękny. Czy mógł nie kochać tego, czym był? Czy jaskółka mogłaby nie kochać latania?

Powiedział, że siedemnastu ludzi nie miało żadnych szans, a Pascale czuła, że rozumie dlaczego. Nie chodziło tylko o to, że Mattias więcej wiedział o technice walki. Owi ludzie przynieśli ze sobą więcej, niż potrzebowali – choćby zbyt wielu kompanów i cały bagaż lęków. Myśleli: wystarczy, że jesteśmy razem. Sądzieli, że wiedzą, co się stanie, ale nie wiedzieli, co robić. Żaden z nich nie umiał decydować. Wiedzieli tylko, jak zginąć.

Otworzywszy oczy, ujrzała Myszy, siedzące naprzeciwko siebie na drugim łóżku i bawiące się w jakąś grę z użyciem palców. Leżąc na boku, przyglądała im się przez chwilę, czekając, aż ustąpi senne poczucie ciężkości kończyn. Widywała bliźniaczki już wcześniej, na ulicach, ale nigdy nie zwracała na nie uwagi, a w każdym razie nie bardziej niż na tysiące innych dzieci wiodących równie nędzny żywot. Przypomniała sobie słowa Tannhäusera o ich odwadze i o tym, jak ludzie wykrzywili ich życie. Poczowała wstyd. Zastanawiała się, jak to

możliwe, że człowiek, który stąpał we krwi, potrafił dostrzec tak wiele w dwóch tak małych, nędznych istotach.

– Jak macie na imię? – spytała.

Przerwały grę, zawstydzone, jakby przyłapała je na niecnym uczynku. Nie odezwały się jednak.

– Potraficie mówić?

Spojrzały po sobie i w niemym porozumieniu podjęły decyzję.

– A co chciałybyś usłyszeć?

– Powiemy wszystko, co tylko zechcesz.

– Może na początek imiona – podpowiedziała Pascale.

– Prawdziwe czy robocze?

Teraz dopiero zrozumiała: wyszkolono je, by zadowolaly. Nie chciała wcale, by ktoś ją zadowalał, a przynajmniej nie dlatego, że uważał to za swój obowiązek. Nie spodziewała się wszakże, by łatwo było wyprostować to, co w nich wykrzywiono.

– Prawdziwe. Ja jestem Pascale, a moja siostra ma na imię Flore.

– Wiemy – odpowiedziała jedna z sióstr. – Jestem Marie.

– A ja Agnès. Tybaut mówił, że to nieładne imiona.

– To się mylił – odrzekła Pascale. Przypomniała sobie, co Tannhäuser mówił o Clémentine. Właśnie w tamtej chwili pojęła, że należy go kochać. – Powiedziałabym nawet, że to najpiękniejsze imiona świata.

Myszy znowu spojrzały po sobie.

– A teraz wy zadajcie mi pytanie – dodała Pascale. – O cokolwiek.

– Ten śmieszny pan jeszcze wróci?

– Jaki znowu śmieszny pan?

Ledwie spytała, przypomniała sobie scenę z jajkami.

– Ach, Tannhäuser. Mattias. Tak, wróci. – Pascale starała się, by jej głos zabrzmiał pewniej niż ten, który słyszała w sercu. Choć z drugiej strony – czyż mógł nie wrócić? – On zawsze wraca – dorzuciła. Przeciągnęła się i przewróciła na plecy. Z niepokojem stwierdziła, że siostra nie leży obok niej. – Gdzie jest Flore?

– Pracuje w sąsiednim pokoju. Z Juste'em.

Pascale zeskoczyła z łóżka i otworzyła drzwi. Materac ułożony dla Juste'a był pusty. Podeszła do drzwi przeciwległego pokoju, chwyciła klamkę i znieruchomiała, oddychając ciężko. Flore była o cały rok starsza, ale inicjatywa zawsze należała do Pascale. Zwykle nie miewała chwil niepewności, ale ta chwila nie była zwykłą. Pascale czuła się zdradzona.

Flore? Pracuje? Często flirtowały z chłopcami – a raczej to ona flirtowała za dwie – ale nigdy nawet nie myślały o czymś poważniejszym. Nacisnęła klamkę i znowu się zawahała.

To ona miała tu rządzić, zgodnie z rozkazem Tannhäusera. To ją wziął na stronę, nie Flore. I choć wziął także Juste'a, to Pascale wiedziała, że całą wiarę pokładał właśnie w niej, nie w chłopaku. Juste był zbyt miękkiego serca, by dowodzić. Nie był jednak, jak się okazało, aż tak miękki, by nie wziąć jej siostry do osobnego pokoju, mimo że polecono mu trzymać straż w korytarzu. Choć instynkt nakazywał jej wtargnąć do środka, Pascale zapukała, a czyniąc to, miała wrażenie, że w tej samej chwili pukanie rozległo się także na dole.

– Flore, to ja. Wchodzę.

Otworzyła drzwi i weszła do izby. Flore i Juste spali przytuleni, na łóżku, kompletnie ubrani. Pascale ugryzła się w język. Wyglądali tak spokojnie. Nawet uroczo. Kilka razy odetchnęła bardzo głęboko i już miała się wycofać, gdy usłyszała głosy dobiegające z ulicy. Szorstkie, niecierpliwe głosy.

Okno było otwarte.

Zbliżając się, usłyszała, jak Irène mówi coś o kapitanie Garnierze. Przemawiała stanowczo, ale obcy odpowiedzieli jej opryskliwie. Irène wspomniała o Frogierze. Oni także. Pascale zatrzymała się przy framudze i ostrożnie wyjrzała za parapet.

U drzwi zajazdu stali trzech *sergents*. Żaden z nich nie był Frogierem.

Frogier nas zdradził.

Mamy zginąć, jak wszyscy inni.

Pascale zamknęła oczy, czując, jak jej pierś wypełnia strach. Myśli przemykały przez jej głowę w dzikim pędzie. Uciekać. Szybko. Była szybka. Wiedziała, że jest. Skurcz żołądka. Nogi i ramiona jak worki pełne wody. Odetchnęła jeszcze głębiej. Zamienić strach w siłę. Puścić koło w ruch. Moc wojownika. Ale samo myślenie nie wystarczyło, potrzebowała działania. Tannhäuser by działał. Musiała zdecydować.

To wszystko.

Potrafiła to zrobić. Wiedziała, że to zrobi. Bo Tannhäuser wierzył, że potrafi. To dlatego powiedział jej o tylu sprawach, o których nie usłyszała Flore. Nie powiedział też Juste'owi. Powiedział właśnie jej, ponieważ wiedział, że jest wojowniczką. Któż na świecie miałby wiedzieć lepiej, kto jest wojownikiem, a kto nie?

– Jestem wojowniczką.

Decyduj i czyn. Czyn cokolwiek.

Podbiegła do łóżka, szarpnięciem obudziła Flore i położyła dłoń na jej wargach. Wraz z nią ocknął się wystraszony Juste. Otworzył usta, by coś wyjaśnić, jakoś się

wytłumaczyć, ale Pascale uciszyła go gestem, a potem przemówiła cichym, ale zdecydowanym głosem:

– U drzwi frontowych stoi trzech strażników miejskich. Wychodzimy oknem na tyłach domu.

Pascale wróciła biegiem do swego pokoju, gdzie okno było zamknięte z powodu pijackich wrzasków dobiegających zza rzeki. Spojrzała na sakwy i olstra z pistoletami, a potem na strzelbę opartą o ścianę. Wzięła ją do rąk, opuściła kurek na koło i położyła broń na swoim łóżku, a potem zapięła na biodrach pas ze sztyletem.

Jej ręce i nogi nie były już workami z wodą.

– Wstawajcie, ale już – zakomenderowała.

Bliźniaczki usłuchały.

– Spuszczę was z okna do ogrodu. To taka zabawa. Najpierw Marie, potem Agnès. Stańcie tutaj.

Pascale otworzyła okno. Konające słońce zabarwiło rzekę czerwienią. Na drugim brzegu półnaczy mężczyźni wciąż zrzucali do wody trupy. To dlatego muszą być pijani, pomyślała. Bliższy brzeg – utwardzone nabrzeże Saint-Landry – był zupełnie pusty. Okno znajdowało się wyżej, niż Pascale sądziła. Spojrzała na bliźniaczki stojące posłusznie ramię w ramię. Chwyliła pierwszą dziewczynkę pod pachy.

– Zamkniesz oczy i nie otworzysz, dopóki ci nie każę. Agnès, ty tylko obserwuj, jak to się robi.

– To ja jestem Agnès – powiedziała ta, którą Pascale trzymała, a potem zamknęła oczy.

– Zatem ty pierwsza, Agnès.

Posadziła ją na podokienniku. Dziewczyna była jeszcze lżejsza, niż się wydawało.

– Podwiń nogi i spuść z drugiej strony. Bardzo dobrze. A teraz przewróć się na brzuch. Nie bój się, trzymam cię.

Agnès wykonała polecenie bez słowa sprzeciwu, z zamkniętymi oczami. Pascale cieszyła się w duchu, że tak dobrze im idzie, ale jednocześnie coś skręcało ją w żołądku na myśl o tym, dlaczego mała jest tak nienaturalnie potulna.

– Świetnie. A teraz spuszczę cię za okno, trzymając za ramiona. Nic się nie bój.

Stopniowo opuszczała Agnès coraz niżej, wychylając się mocno, aż stanęła na czubkach palców. Ręce dziewczynki wolno przesuwaly się w jej dłoniach, aż wreszcie trzymała ją za nadgarstki.

– Teraz otwórz oczy i spójrz w dół. Widzisz ziemię?

– Tak. Jest dość daleko.

– Nie bardzo. Gdyby śmieszny pan stał na dole, mogłabyś oprzeć stopy na jego ramionach. Jesteś gotowa? Policzę do trzech i puszcze cię. Raz, dwa, trzy.

Puściła. Agnès wylądowała jak kot, podpierając się rękami, i natychmiast wstała.

Pascale wyciągnęła ręce po Marie i posadziła ją w oknie.

– Zamknij oczy, Marie. Agnès poradziła sobie bez trudu.

Flore wbiegła do pokoju. Była wystraszona, nawet bardzo, ale zmusiła się do zachowania względnego spokoju. Przypominała Pascale ojca, takiego, jaki był na kilka chwil przed tym, nim milicjanci wywlekli go z domu.

– Pascale, chyba powinniśmy z nimi porozmawiać. To policjanci, nie milicjanci...

– Weź pistolet, drugi daj Juste'owi. Opuśćcie kurki.

– Może oni chcą tylko porozmawiać...

– Jeśli wejdą na górę, zastrzelcie ich.

Marie nie potrzebowała instrukcji, by wiernie powtórzyć wyczyn Agnès. Pascale opuściła ją najniżej jak mogła, aż w końcu chwyciła ją za nadgarstki.

– Pascale? – odezwał się Juste.

– A teraz otwórz oczy i spójrz w dół. Gotowa?

– Tak – odpowiedziała Marie.

Wylądowała równie lekko jak jej siostra. Pascale odwróciła się i sięgnęła po sakwy. Prochu i kul mieli dość, ale wiedziała, że nie będzie czasu na przeładowanie broni. Opium i złoto. Lepiej, żeby Myszy oddały wszystko złodziejom niż policjantom, pomyślała. Wśród bandytów miały większe szanse na znalezienie litościwego człowieka.

Juste stanął przed nią.

Był dobrym człowiekiem. Łagodnym, ale i dzielnym. Był też piękny. Dlatego rozumiała. Może i miał rację. Ale to ona była wojowniczką.

Ona dowodziła.

– Pomyśl, Pascale – zachęcił ją Juste. – Tannhäuser by z nimi porozmawiał.

– Tannhäusera by się bali – odparowała. – Bierz pistolet.

– Słuchaj, możemy ich przekupić.

Pascale zrzuciła sakwy do ogrodu i wychyliła się przez okno.

– Marie, Agnès, zabierzcie je i ukryjcie gdzieś nad rzeką. Jeśli zobaczycie mężczyznę w tym oknie albo w tylnych drzwiach, uciekajcie. Wracajcie do domu. Macie jakiś dom? Może Tybaut miał?

Myszy skinęły głowami i podniosły z ziemi sakwy, by z niejakim trudem ponieść je w głąb ogrodu.

Pascale zaczerpnęła tchu. Wozy z trupami stały nie tak daleko.

Miała rację. A Juste się mylił.

– Jeśli uciekniemy, będą nas ścigać – powiedział.

– Nie jeśli ich zastrzelimy.

– Przecież to *sergents*.

– Nie dbam o to.

– Nie możemy zabić wszystkich trzech.

– Mamy strzelbę i dwa pistolety – odrzekła Pascale. – A oni sądzą, że jesteśmy dziećmi.

– Bo jesteśmy, czyż nie?

– Dlaczego Irène próbuje ich zatrzymać? Bo mają złe zamiary.

– Zatem ty i Flore uciekajcie, a ja z nimi porozmawiam. Może przynajmniej opóźnię pościg. Idźcie już.

Pascale spróbowała go ominąć i sięgnąć po strzelbę.

Juste odepchnął ją i wziął w ramiona Flore.

– Kocham cię – powiedział.

Przytulił ją tak mocno, że straciła dech, a potem popchnął lekko w kierunku siostry.

Gdy szedł ku drzwiom, od strony schodów dobiegał już tupot nóg zagłuszający protesty Irène. Pascale skoczyła po olstra z pistoletami.

– Masz, Flore. Rób tak, jak nas tata uczył.

Flore wybiegła za próg w ślad za Juste'em.

Pascale dźwignęła strzelbę gotową do strzału. W półmroku korytarza rozległ się stłumiony łomot i coś przemknęło przed otwartymi drzwiami, od prawej do lewej. Chrapliwe głosy zakłęły. Juste krzyknął i zatoczył się w tył. Tuż za nim pojawił się *sergent* z okutą żelazem pałką uniesioną nad głową. Z korytarza dobiegł krzyk Flore.

Pascale nie widziała, co się stało.

Gdy uniosła broń, w drzwiach znowu pojawił się *sergent*. Chwycił się ościeżnicy, by odzyskać równowagę. Juste obiema rękami ścisnął jego gardło.

Groza oszołomiła Pascale.

Wyskoczyła gdzieś z głębi brzucha i z wyciem uleciała przez szeroko otwarte oczy, po drodze rwąc jej trzewia. Pascale zachwiała się i upuściła strzelbę.

Wyobraź to sobie. Wyobraź!

Pascale zmrużyła oczy i zobaczyła wilczycę. Przez ułamek sekundy wilczyca czekała na nią. Była wspaniała. Szczrzyła kły, śliniąc się i błyskając błękitnymi ślepiami.

Wskakuj, może pozwolę, byś mnie dosiadła.

Pascale dobytek sztyletu i zaatakowała.

Uskoczyła w biegu, gdy *sergent* trafił pałką w ramię Juste'a, który zwinął się z bólu. Widziała tylko ciało wroga, jego lewy półprofil. Wycelowała między nogi, poniżej krocza i przebiła udo. Cięła z całą mocą, jakby zmagająca się z krążkiem wyjątkowo twardego sera, aż poczuła, że klinga zatrzymała się na kości. Wyrwała ją, gdy krew trysnęła jej na ramię. Wycofała się biegiem. Pałka świsnęła ledwie o stopę od jej głowy.

Zrozumiała, dlaczego Tannhäuser kazał jej ciąć jak twarde ser. W praktyce ciało nie stawiało większego oporu niż ugotowane jajko, ale gdyby jej o tym powiedział, nie zaatakowałyby z tak wielką siłą.

Sergent spojrzał na fale krwi zalewające jego kolana. Pascale była zdumiona tym, jak szybko ucieka z niego to płynne życie, jakby od zawsze pragnęło się uwolnić. Mężczyzna zrobił krok w stronę drzwi, zachwiał się i przystanął. Spróbował jeszcze unieść pałkę, ale szybko wypadła z jego bezwładnej już dłoni. Spojrzał na nią zadziwiony tym, jak niewiele znaczyła teraz jego wola. Oparł się o ścianę jak pijak.

Pascale skoczyła po raz drugi i pchnęła sztyletem w brzuch, a następnie pociągnęła oburącz w bok. Poszło ciężiej niż z nogą. Krzyknęła, by dodać sobie sił. Nie zważając na opór ciała, szarpnęła klingę w dół i odstała. *Sergent* opadł na kolana.

Sztylet do pochwy. Sztylet do pochwy.

Umierający zatarasował ciałem drzwi, ostatkiem sił spoglądając ku drugiemu *sergent*, który nadbiegł z krzykiem i usiłował wejść do pokoju. Chwilę później jego głowa opadła, stoczył się miękko wprost pod nogi towarzysza.

Pascale chwyciła strzelbę i położyła palec na spuście.

Drugi strażnik zauważył ją, przestępując próg. Wystarczyło mu przytomności umysłu, by zawrócić w miejscu i puścić się biegiem w stronę schodów. Pognała za nim. Zdażył postawić stopę na stopniu, nim wycelowała i wypaliła w jego plecy. Odrzut oszołomił ją na moment, a rozbłysk ognia oślepił. Choć ze wszystkich sił przyciskała kolbę łokciem do biodra, strzelba wypadła z jej rąk. Nie czuła palców prawej dłoni. Ogłuszona hukiem, stała w chmurze dymu, który wypełnił klatkę schodową. Broń z donośnym łomotem wylądowała na podłodze za jej plecami.

Pascale zatoczyła się z powrotem do sypialni, także spowitej dymem, i wyszarpnęła z olstra pistolet. Nadal słyszała dzwonięcie w uszach i z trudem oddychała. Od woni

spalenizny dostała mdłości, niepewnie stała na nogach. Zamrugła, próbując skupić wzrok na kurku pistoletu. Miała wrażenie, że palce jej prawej dłoni stały się grube jak kciuki, ale chyba nie były złamane. Opuściła kurek na koło i wyobraziła sobie wilczycę. Tak, wciąż jej dosiadała.

Pascale postanowiła, że zabije trzeciego *sergent*.

Podbiegła do drzwi.

Trzymając pistolet w lewej dłoni, podparła lufę prawą. Dym wciąż był gęsty. Oparłszy się o ścianę prawym ramieniem, zaczęła niespiesznie schodzić po stopniach. Broń trzymała w wyciągniętych rękach, a każdy jej krok był lekki i pewny. Na parterze widoczność była znacznie lepsza; przez pojedyncze smugi dymu dostrzegła leżące nieruchomo ciało. Zaraz potem usłyszała wrzask. Nie, nie wrzask: krzyk, dobiegający jakby z bardzo daleka.

– Uciek! Uciek!

Irène wołała z kąta salonu. Dzwonienie w uszach Pascale nareszcie ustało. Spojrzała na drzwi frontowe. Były otwarte. Przeskoczyła nad ciałem i wybiegła na ulicę. Zobaczyła mężczyznę oddalającego się pospiesznie na zachód – właściwie nie biegł, był to raczej kaczkowaty chód. Nie wierzyła, że trafi go z takiej odległości. Poznała już siłę odrzutu. Decyzja. Zrób to!

Puściła się w pogoń. Miała ochotę zawyć, ale nawet wilczyca milczała. Wydłużyła krok, by za nią nadążyć. Czuła się silna. Nigdy wcześniej nie poznała takiej siły. Doganiała go. Zacisnęła zęby.

Czuła się czysta. Czuła ekstazę.

Nawet jej nie słyszał. Wcisnęła lufę pistoletu w jego plecy, ale zanim pociągnęła język spustowy, odwrócił ku niej głowę, potknął się i upadł. Zdążyła przeskoczyć nad nim i zawrócić. Podniósł się, uklęknął, podparł rękami. Zimna stał pewniejsza, pomyślała Pascale. Obiegła go znowu, położyła pistolet na ziemi i sięgnęła po sztylet. Gdy klękał na jedno kolano, opierając dłoń na udzie, skoczyła i wbiła ostrze pod pachę. Wyrwała je natychmiast, gdy szarpnął się z bólu, a potem objęła ramieniem jego głowę i przeciągnęła klingą po prawej stronie szyi, jakby kroić ser, nieco ku górze, jak najgłębiej, za ucho, jak wtedy, gdy zabijała Eberta. Ostrze zgrzytnęło o kość.

Uskoczyła przed fontanną krwi i odepchnęła swą ofiarę.

Drżąc na całym ciele, *sergent* znowu oparł się rękami o ziemię, tym razem już w kałuży krwi. Oddychając głęboko, patrzyła, jak umiera. Nie zwlekaj, upomniała się w duchu. Wytarła sztylet o jego plecy, czując, jak dopada go śmierć. Schowała broń. Kochała ją. Musiała nauczyć się ją ostrzyć. Rozejrzała się. Była bardzo blisko rynku, a ciało leżało w zbyt

widocznym miejscu. Stajnia. Chwyliła trupa za rękę, by zaciągnąć go w zaułek wiodący do stajni. Był za ciężki. Przykucnęła, szarpnęła i przekonała się, że może go przetoczyć. Wystarczyły cztery ruchy, by opadł na przydrożną stertę łąna. Pascale zmrużyła oczy, czując zawroty głowy. Wilczyca zniknęła.

Pochyliła się nieco i zwymiotowała. Od razu lepiej, pomyślała. Zastanawiała się tylko, dlaczego jest jej niedobrze, skoro nie ogarnęła jej odraza. Czuła się taka dzielna. Potrząsnęła głową, by oczyścić umysł. Do tego, czego dokonała, potrzeba niemałej ikry, ale teraz, gdy było po wszystkim – już nie. To dlatego poczuła mdłości. Słuch wrócił jej całkowicie.

Zapadał zmierzch, trzeba było uciekać.

Podniosła z ziemi pistolet i pobiegła w stronę zajazdu. Gdy weszła do środka, od razu zobaczyła zwłoki drugiego *sergent*. Instynktownie chciała odwrócić głowę, ale zmusiła się i spojrzała: to było jej dzieło, musiała sprawdzić, jak je wykonała. Kula przeszła górną część pleców mężczyzny i jakimś sposobem urwała mu żuchwę, która zwisała teraz na kawałku skóry niczym fragment połamanego mebla. Nie, ci ludzie nie przyszli tu, żeby rozmawiać. Przyszli, żeby zabić dzieci. Miała ochotę splunąć na trupa. Czy tak postąpiłby Tannhäuser? Nie, nie marnowałby czasu. Zresztą i tak czuła suchość w ustach.

Spojrzała na Irène i wycelowała pistolet w jej stronę.

Czy i ją powinna zabić?

Irène przeczuwała, co się święci. Wskazała palcem na drzwi i przemówiła ostrożnie:

– Nie powiem im przecież nic, czego nie usłyszą od niego.

– Od kogo? – zdziwiła się Pascale.

– Od tego, który uciekł.

– Nie uciekł. Nie żyje.

Irène odetchnęła głęboko.

– Próbowałam ich zatrzymać. Przysięgam. Mówiłam, że...

– Przynies nam jedzenie. Nie żałuj. I spiesz się. A jeśli stąd wyjdiesz, dopadnę cię.

Pascale zablokowała kurek i wbiegła po schodach na piętro.

Musieli uciekać. Ale dokąd? Myszy miały dom. Pokój. Ulicę. Zaułek. I parchy. I lujów. I kurwy. Niech spróbują się ukryć. Czy Tannhäuser je tam odnajdzie? Tak. Przecież mu powiem, gdzie szukać, pomyślała. Dym wirował wolniutko w powietrzu. Usłyszała płacz Juste'a. Ciekawe, czy mocno oberwał. I czy zdoła wyjść przez okno. Możemy też uciec głównym wejściem, ale kto wie, jak szybko pojawią się tam nowi wrogowie?

I wtedy zobaczyła Juste'a.

Wiedziała już, dlaczego płakał.

Na jego kolanach i rękach spoczywało ciało Flore. Patrzyła jej w oczy.

Pascale podeszła bliżej. Flore się nie ruszała, a jej siostra już знаła ten bezruch, niepodobny do niczego innego. Tę ciężkość. Tę ciszę. Nie czuła smutku, nie doznała szoku, które, jak sądziła, powinny zawładnąć nią w takiej chwili. A może to głos ojca, który tak strasznie krzyczał, gdy płonął na stosie, pozbawił ją na zawsze tego rodzaju uczuć? Wszyscy przecież byli żywymi nagrobkami. Flore przynajmniej umarła prędko. Gdyby zostali schwytani, pewnie najpierw zostałaby zgwałcona przez wszystkich po kolei. A może lepiej nic nie czuć? Z uczuć nie ma przecież żadnego pożytku. Czynią człowieka słabym.

Juste odwrócił się ku niej. Był wstrząśnięty.

– Flore nie żyje – powiedziała Pascale.

– Jesteś pewna?

Pascale raz jeszcze spojrzała na twarz siostry, w połowie okrytą zakrwawionymi lokami. Przykucnęła i dotknęła jej policzka. Nie poczuła pod skórą niczego prócz śmierci. Serce Pascale załopotało. Żuchwa zaczęła jej drżeć, więc z mocą zacisnęła zęby. Flore odeszła. Na smutek będzie czas później, pomyślała, jeśli przeżyję. Spojrzała na Juste'a.

– Nie żyje – powtórzyła. I wróciła myślą do starcia, do strażnika z pałką. – Powinna była wziąć pistolet, gdy jej kazałam.

– Co? – Juste spojrzał na nią, nie rozumiejąc. Przestał płakać.

Popatrzyła mu w oczy.

– Ja tu dowodzę. Jeśli nie chcesz z nami iść, nie musisz.

– Ja już nic nie chcę.

Pascale położyła pistolet na podłodze i wstała.

– Połóżmy ją na łóżku. Ja chwycę nogi.

Flore była lżejsza, niż się Pascale zdawało.

– Miałam piękną siostrę. Szczęściara ze mnie.

Gdy położyli Flore na posłaniu, Juste przysiadł obok niej i chwycił za rękę, a Pascale przyjrzała się ranie. Po lewej stronie głowy, nad okiem, widać było duże, zalane krwią zagłębienie.

– Weź prześcieradło z drugiego łóżka i przykryj ją.

Pascale wyszła, by zabrać strzelbę. Korytarz był mokry od krwi pierwszego strażnika, którego zabiła. Wniósłszy broń do pokoju, wytarła ją o poduszkę i postawiła przy oknie. Juste ani drgnął, więc sama zdjęła prześcieradło z sąsiedniego posłania i rzuciła mu na

kolana. Wsunęła pistolet do skórzanego futerału i zanosła oba olstra pod okno. Wychyliła się i zawołała:

– Jesteście tam?

Z mroku wychynęły dwie drobne postacie. Marie i Agnès pomachały jej bez słowa; odpowiedziała tym samym. Zrzuciła pistolety do ogrodu, a potem opuściła strzelbę, trzymając ją za koniec lufy. Zdziwiła się, jak bardzo był gorący. Sięgnąwszy jak najniżej, upuściła ją na ziemię.

– Agnès, Marie, czy traficie stąd do domu Tybauta?

Pokiwały głowami.

– Zaczekajcie na mnie.

Odwróciła się. Juste wciąż siedział nieruchomo.

Wyszła na korytarz.

– Irène! – zawołała. – Gdzie nasze jedzenie?

Kobieta zjawiła się po chwili z workiem po mące, zapelnionym w jednej czwartej. A przecież Tannhäuser dobrze jej zapłacił. Teraz jednak nie było czasu na spory. Pascale wyciągnęła rękę, czekając, aż Irène dotrze na samą górę. Gospodyni zatrzymała się jednak, zauważywszy krew ściekającą po stopniach. Spojrzała na Pascale z nienawiścią. Dziewczyna tupnęła nogą i kilka kropel krwi prysnęło wprost na policzek Irène, która skrzywiła się odruchowo i wyciągnęła rękę z workiem. Ale Pascale jeszcze z nią nie skończyła.

– Tannhäuser tu wróci. Jeżeli powiesz o nas komukolwiek, on się o tym dowie i najpierw zabije ich, a potem ciebie. Sama bym to zrobiła, tylko nie jestem pewna, czy właśnie to uczyniłby na moim miejscu.

Irène wciąż patrzyła na nią z nienawiścią, ale także z przestrawieniem. Pascale odebrała worek.

– Zejdź na dół i czekaj na niego. Powiesz mu, że czekamy.

– Gdzie? – spytała Irène.

– On będzie wiedział.

Pascale wróciła do pokoju i wyrzuciła worek przez okno.

Juste zdążył tymczasem okryć ciało Flore prześcieradłem aż po podbródek, ale wciąż trzymał ją za rękę.

– Juste, idziemy. Oni chcieli nas wymordować.

– Wiem. Myliłem się.

– Nie to miałam na myśli. Chodzi o to, że dopadli tylko jedno z pięciorga dzieci.

– Zostaję tu, z Flore.

– Inni mogą się zjawić lada chwila. Nie wiemy, co planują.

– Mam nadzieję, że się zjawią.

– Ja też kocham Flore – powiedziała Pascale i ugryzła się w język, by nie dodać: bardziej niż ty. – Była lepsza ode mnie, tak jak tata był lepszy od Tannhäusera. Ale Flore i tata nie żyją. Ty też jesteś lepszy ode mnie, ale cię potrzebuję, więc nie wolno ci umrzeć.

– Było mi pisane zginąć już nocą, w Luwrze.

– A jednak tak się nie stało. Flore było pisane umrzeć dziś rano, a jednak przeżyła. I jeszcze w tym wszystkim... – Pascale miała ochotę się rozplakać, ale postanowiła, że się powstrzyma. – W tym wszystkim ty się zakochałeś i ona też.

Juste jęknął i odwrócił głowę.

– Chodź ze mną, Juste. Tannhäuser nas odnajdzie, nie spocznie, póki tego nie zrobi. Ale do tego czasu jesteś mi potrzebny. I Myszom. Twoim Myszom.

Wyszła na korytarz, zdjęła czapkę z głowy martwego *sergent* i umoczyła ją we krwi. Ojciec nauczył ją drukować na czarno; Tannhäuser – na czerwono. Wróciła do pokoju.

Wielkimi literami napisała na ścianie: MYSZY.

Podeszła do okna. W gasnącym świetle dnia dostrzegła na przeciwległym brzegu rzeki sylwetki milicjantów; patrzyli w jej stronę, najwyraźniej zwabił ich huk wystrzału. Przełożyła przez parapet najpierw jedną, a potem drugą nogę. Obróciła się na brzuch, podparła łokciami. Mogła skoczyć, ale przyszło jej do głowy, że jeśli zdoła oderwać Juste'a od Flore, może oderwie go na dobre.

– Juste, ręka mnie boli. Pomóż mi zejść.

Czekała.

Juste pochylił się i ucałował Flore. Wreszcie zasłonił prześcieradłem jej twarz i odszedł.

Złapał Pascale za rękę, opuścił nisko i rozluźnił uchwyt. Wylądowała bezpiecznie i schyliła się po strzelbę i olstra. Juste skoczył w ślad za nią. Podniósł z ziemi worek i sakwy podróżne.

Dołączyli do Agnès i Marie.

Pochyleni ruszyli brzegiem rzeki na wschód.

Pascale zatrzymała się w cieniu drugiej barki, pełnej węgla drzewnego dostarczonego z puszczy w górnym biegu rzeki. Byli w miejscu, w którym milicjanci z *place de Grève* nie mogli ich zauważyć. Podała strzelbę Juste'owi, a sama sięgnęła do sakwy po butelkę z prochem i kule.

– Przeładujesz? – spytała.

Juste skinął głową. Pogrążony w głębokiej melancholii, jakby się ucieszył, że może się na coś przydać.

– Pistolet też? – spytał.

– Nie użyłam go – odrzekła. – Jesteś ranny?

Juste poruszył ramieniem i potrząsnął głową.

Pascale przysiadła na burcie i ukryła twarz w dłoniach, by się zastanowić.

Tannhäuser wróci do Irène. Znajdzie Flore. Przeczyta wiadomość. Zrozumie, co i jak się stało. Pójdzie ich śladem. Spróbuje myśleć tak, jak myśli Pascale. Jeżeli zaś dobrze przyjrzał się temu, co zaszło, zrozumie, że Pascale myśli tak jak on. Strzelba była za ciężka. Musiała ją zostawić. Pistolety, opium i złoto zabrali ze sobą. Udali się do Tybauta. Tak, Tannhäuser odczyta wiadomość. Nikt inny jej nie zrozumie. I pójdzie za nimi, odnajdzie ich, gdziekolwiek będą.

Przyciągnęła do siebie Agnès i Marie.

– Czy możemy schronić się z wami u Tybauta?

Bliźniaczki spojrzały po sobie, jakby bardzo je zdziwił ten pomysł.

– Tak. Jeśli chcecie.

Pascale wcisnęła strzelbę między burtę a worki z węglem. Druga barka wyglądała na czystsza, ale kryjówka w brudzie wydawała się pewniejsza.

– Do wschodu księżycy będziemy się ukrywać w Wygonie.

– Co to jest Wygon? – spytał Juste.

– Ziemie należące do katedry. Pola, sady. To całkiem niedaleko. – Pascale zwróciła się do Myszy: – Znacie może jakąś tajemną drogę do domu? Mało znanymi zaułkami?

– Tak.

Myszy spojrzały po sobie jakby ze zdziwieniem, a potem znowu popatrzyły na Pascale.

– Mamy klucz Tybauta – powiedziała Agnès.

– I dobrze.

Pascale uznała, że jest już wystarczająco ciemno, żeby ruszyć w drogę. Zarzuciła olstra na jedno ramię, a worek ze skromnymi zapasami na drugie.

– A jeśli nas nie znajdzie? – spytał Juste.

– Wtedy będziemy sami – odparła Pascale. – I tak jesteśmy już sami.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Siostry

Estelle lubiła dachy. Były znacznie czystsze niż ulice, a w dodatku prawie nie spotykała tu ludzi. Czasem tylko zdarzały się dzieciaki, które bywały dla niej wredne – zwłaszcza chłopcy – ale zwykle umiała wypatrzeć je wcześniej, a jeśli nie, to przynajmniej górowała nad nimi chyżością. Albo wrednością. Pewnego razu jacyś chłopcy wywiesili ją poza krawędź dachu, trzymając za kostki, bo chcieli posłuchać, jak krzyczy. Ale nie krzyczała, a oni jej nie zrzucili. Znała jednego z nich i powiedziała o wszystkim Grymonde'owi. Gdy spotkała owego chłopca po pewnym czasie, nie miał uszu.

Gdy wspominała Grymonde'a spadającego z dachu, chciało jej się płakać, ale teraz musiała opiekować się swą nową siostrą, Amparo. Gdyby zapłakała tak mocno, jak tego pragnęła, nie utrzymałaby jej w rękach. I dlatego nie płakała.

Wydawało się, że i Amparo lubi dachy. Jej oczka pozostały otwarte; przypatrywała się gwiazdom, a od czasu do czasu spoglądała na Estelle. Ona także nie płakała. Nie widziała upadku Grymonde'a, nie rozumiała nic z tego, co się działo, ale swoim spokojem dodawała La Rossie sił. Estelle zastanawiała się, czy nie powinna zostać na dachach aż do świtu; nie brakowało tu zacisznych kątów, ale nie, przecież obiecała Carli. A przynajmniej powiedziała „tak”, a to coś w rodzaju obietnicy. Wiedziała, że ludzie nieustannie łamią obietnice, każdego dnia, w każdej godzinie. Obietnice, jak przypuszczała, były sposobem, który sprawiał, że ludzie wierzyli w kłamstwa. Estelle nie chciała łamać danego słowa, nie sądziła bowiem, by Carla uczyniła jej coś takiego – chyba że nie miałaby innego wyjścia. Tak naprawdę jednak nie miała wielkiej ochoty go dotrzymać.

Nie lubiła zakonnice.

Była już daleko od Kukanii. Znalazła dwoje zamkniętych drzwi, a potem właz, który podparto, by się nie zatrzasnął. Zajrzała do środka. Usłyszała sapanie i drapanie, a po chwili dostrzegła w mroku postacie leżące na materacach. Niektóre były większe od innych; jeden z dorosłych cicho mamrotał przez sen. Ruszyła dalej i po chwili znalazła kolejne drzwi, zamknięte tylko na skobel. Otworzyła je i cicho zeszła po tonących w ciemności schodach. Co kilka kroków przystawała i nasłuchiwała, czy z dołu nikt się nie zbliża. Do jej uszu dobiegały jednak tylko odgłosy z pokoi, które mijała. Schodziła więc coraz niżej, aż wreszcie na ostatnim – taką miała nadzieję – ciągu schodów jej stopa dotknęła czegoś miękkiego.

Natychmiast cofnęła nogę, nasłuchując i oddychając lękliwie. Wpatrywała się w mrok tak długo, aż wyłonił się z niego niewyraźny kształt. Ktoś spał na schodach – miała nadzieję, że pijany winem. Wróciła na półpiętro, do niewielkiego okienka. Sięgnęła ręką poniżej, szukając zagłębienia na wiadro z nieczystościami. Znalazła i niszę, i wiadro – było puste. Postawiła je na schodach i przykucnęła przy zagłębieniu w ścianie. Wiedziała, że nie zmieści się w nim cała, ale to nie było konieczne. Gdyby ktoś szedł schodami na górę, minąłby ją w ciemności i potknął się o wiadro. Estelle wyjęła nóż, tuląc do piersi Amparo.

Zeszła niżej i ukuła śpiącego w wyrzuczenie, które prawdopodobnie było ramieniem, a potem uciekła w stronę niszy. Zatrzymała się jednak po paru krokach, ponieważ z dołu nie dobiegł żaden dźwięk. A przecież nie mogła zabić śpiącego, nie pchnęła go dostatecznie głęboko. Może próbował ją oszukać? Nie, zbyt trudno było wytrzymać pchnięcie nożem. Zeszła ostrożnie i trąciła leżącego czubkiem stopy. Zamruczał, ale nie ocknął się. Mnóstwo wina, pomyślała Estelle, a potem przeszła po nim, trzymając się poręczy, i zbiegła do drzwi frontowych.

Po ciemności panującej na klatce schodowej zaułek pod gwiazdami wydał jej się nieomal jasny. Nie była tylko pewna, dokąd właściwie dotarła. Po lewej miała prawdziwą ulicę; tam było nawet jaśniej. Podbiegła do węgła i wyjrzała ostrożnie. Była już na samym skraju Podwórzcy, na najłagodniejszym stoku wzgórza. Poniżej dostrzegła kanciastą sylwetę wieży Saint-Sauveur. Do zgromadzenia Filles-Dieu miała jeszcze bliżej. Ciężar worka zaczął jej dokuczać; pasek coraz głębiej wpijał się w ramię. Wdrapała się na niewysoki kamienny murek, przysiadła na nim i zdjęła ładunek. Ułożywszy Amparo na kolanach, spojrzała na jej twarzyczkę.

– Amparo? Byłaś bardzo dzielna.

Estelle odpięła kilka guzików. Piers miała płaską jak chłopiec, ale szczury czasem ją ssały i pomyślała, że Amparo też by chciała. Zbliżyła usta małej do sutka. Amparo spróbowała – i wyglądała na zadowoloną. Dla Estelle także było to przyjemne. Kochała swoją nową siostrzyczkę bardziej niż kogokolwiek innego. Bardziej nawet niż Grymonde’a, zwłaszcza że już go nie było. Płakała przez chwilę. Nie, nie mogła jednej nocy stracić i smoka, i siostry. Na myśl o zatrzymaniu Amparo nie czuła wyrzutów. Wydawało jej się, że postępuje słusznie, i musiał istnieć jakiś powód, dla którego tak właśnie było.

– Nie chcesz zamieszkać z zakonnicami, prawda? – spytała Estelle. – Ja też bym nie chciała. Wszystkie ubierają się tak samo, a takim ludziom nie wolno ufać, bo to oznacza, że robią zawsze to, co im się każe, nawet jeśli to coś złego.

Amparo wypuściła z ust sutek i zakwiliła – dla Estelle była to wystarczająca odpowiedź. Była pewna, że i Carla zrozumiałaby jej postępowanie. Zastanawiała się, co Mały Christian zamierza zrobić z Carłą. Był podły i wykonywał rozkazy jeszcze podlejszych ludzi, którym nie brakowało sługusów. Estelle pamiętała, że Carla posłała z nią i z małą Amparo anioła. A może powinna była zatrzymać go przy sobie? Estelle była ciekawa, czy to anioł sprawił, że człowiek na schodach spał tak mocnym snem. Zastanawiała się też, jak mu było na imię – a może anioły nie mają imion?

– Jesteś tu? – szepnęła.

Przeszedł ją dreszcz. Ciepły dreszcz. Anioł był przy niej. Poczuli się różniej.

– Co zrobimy?

Nasłuchiwała bardzo uważnie. Do jej uszu dobiegły głosy: krzyki i jęki, które słyszała przez cały dzień; na szczęście bardzo dalekie.

– Umiesz mówić? A może tylko czuwasz nad nami?

– *Tannzer* – odpowiedział Anioł.

Estelle odwróciła się. Nie wiedziała, czy usłyszała ten dźwięk w głowie, czy dobiegł z zewnątrz. Nad Podwórzami rozbłysnął pojedynczy promień księżycowego światła.

– Chodzi ci o tego kawalera, Tannzera? – upewniła się.

Miała wrażenie, że Anioł skinął głową, choć widziała jedynie rozedrganą poświatę.

– Carla powiedziała, że Tannzer przyjdzie do Kukanii. To prawda?

– *Przyjdzie* – odpowiedział Anioł.

Estelle uniosła Amparo i ucałowała jej główkę, a potem zarzuciła worek na plecy, tym razem przez drugie ramię. Stała na murku i rozejrzała się. Nikogo nie było w pobliżu. Uśmiechnęła się do Amparo i znowu ją pocałowała.

– Nie bój się, Anioł jest z nami. Nie pójdziemy do zakonnic. Odnajdziemy Tannzera. To twój tatuś.

I wtedy zobaczyła pochodnie, potem żołnierzy i wreszcie wozy.

Żołnierze wyglądali na zadowolonych, Estelle widziała to wyraźnie. Obwiązani czerwonymi i białymi wstążkami nieśli sztandary. Sądziła, że racja jest po ich stronie. Sądziła, że spełnili dobry uczynek. Sądziła, że są lepsi od niej, od mieszkańców Podwórz i od Grymonde'a. Może zresztą byli lepsi – wiele na to wskazywało. Estelle zaś wiedziała, że nie jest lepsza od nikogo, nawet od szczurów. Ale jeśli żołnierze byli lepsi, to ona nie chciała taka być. Typhaine, jej mama, chciała – i obwiniała córkę za to, że nie podziela tego pragnienia. Estelle poczuła ból głowy i przestała o tym myśleć.

Jeden z przejeżdżających wozów był pełen zabitych żołnierzy. Ucieszył ją ten widok. W innym wieziono rannych. A w ostatnim jechała Carla.

Wyglądała nader marnie. Siedziała z pochyloną głową, jakby spała, ale tak nie było. Może płakała, choć Estelle sądziła, że Carla nie chciałaby okazać przy żołnierzach takiej słabości. Przypomniała sobie, że przez jakiś czas – niesłusznie – nienawidziła tej kobiety, lecz ona nie miała jej tego za złe. Carla była lepszą osobą niż ktokolwiek, kogo Estelle spotkała w swoim życiu, oprócz Alice. Carla i Alice nie dbały o to, kto jest lepszy. Powiedziały Estelle: jesteś jedną z nas. Ale kto to jest „my”? Na pewno nie większość ludzi, których znała. Typhaine na przykład, choć Estelle ją kochała, na pewno nie była jedną z nas. O dziwo, nawet Grymonde nie był jednym z nas. Estelle nie była pewna, dlaczego ona akurat jest jedną z nas, ale jednak była, sama Alice tak powiedziała. I pod pewnymi względami było to nawet lepsze niż fruwanie ze smokiem.

Właśnie: smok był martwy. Nie chciała o tym myśleć.

Zakołysała Amparo, przytuloną do piersi, i szepnęła:

– Nie martw się, Amparo. Jesteśmy jedną z nas.

Zauważyła, że Carla otacza ramieniem tę samą dziewczynkę, którą miała przy sobie rankiem. Ta mała nie jest jedną z nas, pomyślała Estelle, ale Carla jest, więc nic nie szkodzi. Carla była dobra, dlatego zaopiekowała się dziewczynką. Ale to nie to samo. Jakimś sposobem bycie dobrą czyniło Carlę silniejszą; z Alice było podobnie. A może i Estelle była po prostu dobra dla Amparo? Nie, chyba nie; Amparo była jej siostrą, jedną z nas, podobnie jak Anioł – Estelle nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

Wreszcie wypatrzyła Małego Christiana i bardzo zapragnęła, by ktoś go zabił. Żałowała, że sama nie może skończyć z nim tak jak z Papinem. Mały Christian wcale nie był lepszy, choć się za takiego uważał, był wręcz zły. Ukryła się głębiej w mroku i kołysząc delikatnie Amparo, mruczała do niej uspokajająco, aż minęli ją ostatni żołnierze. Zanim Carla zniknęła jej z oczu, widziała, jak wozy skręcają na południe, w rue Saint-Denis.

Estelle pobiegła zaułkami z powrotem w stronę Kukanii.

Gdy wreszcie wyjrzała zza węgła, zobaczyła dogasający ogień i cienie ludzi krzątających się w jego przydymionym, żółtym blasku. Ziemia usiana była ciałami. Estelle słyszała lament kobiet; widziała chłopców i psy.

I dwóch zwalistych mężczyzn siedzących na krzesłach.

Ten, który siedział przodem do niej, był półnagi i miał długie włosy. W poświacie rozżarzonych węgli widać było dziwne wzory na jego lśniącej skórze; na ramionach miał

ciemne rysunki podobne do tych, które zdobiły ręce Altana. Był też zbryzgany krwią. Może dlatego owe wzory wydawały się takie dziwne.

To był Tanner. Po prostu o tym wiedziała, choć nie miała pojęcia skąd. Wiedziała i już.

Tanner mówił i słuchał, nie przestając ostrzyć grotu wielkiej piki.

Wzbudził w Estelle strach. Ostrzył tę swoją pikę, bo stępiła mu się od zabijania ludzi, a zamierzał zabić ich jeszcze więcej. Siedział na krześle niczym król – nie tylko Kukanii, ale każdego miejsca, w którym by się pojawił. A przecież nie był królem: Estelle wiedziała, że nie zależało mu ani na Kukanii, ani na innych krainach. Nie wiedząc czemu, obserwując go, pomyślała o Alice.

Tanner także miał swego anioła, ale innego niż one. Ten nie połyskiwał w świetle księżycy, tylko w blasku czerwonych węgli. Anioł Tannera miał też czarne skrzydła. Estelle zastanawiała się, jak to możliwe, by ten człowiek był ojcem Amparo. No ale jak to możliwe, że Alice była matką Grymonde'a? Estelle nie знаła swego ojca, podobnie jak wiele dziewcząt z tych stron. A czy Tanner miał ojca? I matkę? Siostry łatwiej było zrozumieć.

Odwróciła Amparo tak, by mogła spojrzeć w stronę Tannera.

– Patrz, Amparo, to Tanner. Nie bój się go. To twój tatuś.

Obawiała się, że Amparo zacznie płakać, ale tak się nie stało. Zakwiliła przyjemnie. Estelle była ciekawa, co ich anioł myśli o Tannerze i jego aniele. Tanner tymczasem odłożył pikę i pociągnął łyk z kubka. Jego towarzysz poruszył się na krześle i machnął ramieniem. Estelle wyszła ostrożnie zza węgła i zobaczyła jego sylwetkę na tle paleniska. Podrapał się po głowie. Znała tę głowę. Znała każde dziwne wybrzuszenie ukryte pod kręconymi włosami. Nikt inny nie miał takich ramion. Latała nad Paryżem, siedząc na nich.

– Grymonde? Grymonde!

Grymonde wstał, odwrócił się, rozłożył ramiona i uśmiechnął się.

Tanner próbował go zatrzymać, a Estelle nie rozumiała dlaczego.

I wtedy zobaczyła twarz Grymonde'a. Jego uśmiech.

On nie miał oczu.

Zamiast nich w jego twarzy były tylko wielkie białe dziury.

Grymonde gładził jej włosy, tulił do piersi i wypowiadał słodkie słówka swym potężnym, dudniącym głosem, ale ona ich nie słyszała. Czowała za to ten jego dziwny zapach, jedyny, który naprawdę lubiła. Amparo zapłakała, wciśnięta między nią a Grymonde'a – wtedy Estelle także pozwoliła sobie na łzy.

Siostry płakały razem za orzechowymi oczami, w których niegdyś płonął ogień jaśniejszy od słońca, dzikszy od ognia, bogatszy od złota i miększy od puchu. Jak to możliwe, że takie oczy zniknęły, że już ich nie ma? Czy żołnierze zabrali je ze sobą? Czy można wstawić je z powrotem? Nie. Estelle wiedziała, że nikt prócz Boga nie dokona takiej sztuki, a Bóg i tak tego nie robi. Białe dziury miały na zawsze pozostać puste.

Nie było w nich nawet łez.

Żadne oczy nigdy nie spoglądały na nią tak jak te orzechowe. A gdy to robiły, czuła się jak jedyna dziewczynka w całym świecie. Orzechowe oczy sprawiały, że świat i cała jego zgnilizna znikały nagle, a liczyła się tylko ona, mała Estelle – i była dobra. Orzechowe oczy dawały jej to samo poczucie, które ogarnęło ją, gdy Alice otoczyła ramionami ją, Amparo i Carlę. Zatem Grymonde, mimo wszystko, musi być jednym z nas, pomyślała. A teraz otaczał ramionami ją i jej siostrę – i obie płakały za jego oczami. Wielka dłoń spoczęła na jej głowie jak czepek łagodności; druga otuliła plecy jak płaszcz miłości. Uwielbiała to uczucie. I tylko chciała, żeby w białych dziurach znowu rozbłysły oczy.

Amparo nareszcie umilkła. Estelle także przestała płakać.

Były siostrami.

Estelle odwróciła głowę, by zaczerpnąć tchu.

I zauważyła, że Tannzer się jej przygląda.

Jego oczy skrywał mrok, ale i tak wiedziała, że nie są brązowe. Lśniły w ciemności, twarde jak klejnoty. A przecież był w nich smutek. Orzechowe oczy Grymonde'a, których już nie było, nigdy nie widziały niczego poza Estelle. Oczy Tannzera widziały wszystko. Widziały ją. Widziały Grymonde'a. Widziały Amparo. Widziały ludzi, rzeczy, sprawy – nawet te, których tu nie było. Sprawy, które już się zdarzyły i które miały się wydarzyć. Sprawy, które mogły się wydarzyć, ale stało się inaczej. Być może dlatego był taki smutny.

Estelle czuła, że od razu rozpoznał Amparo.

A ponieważ Tannzer był smutny, a ona wiedziała, że Amparo jest jego córką, już się go nie bała.

Tannzer nie poruszył się i nie przemówił – po prostu stał sobie i patrzył i wiedział o tym, o czym wiedział. Estelle też chciała wiedzieć coś o tych sprawach, ale jednocześnie cieszyła się, że nie wie. Wiedziała, co znaczy samotność. Jej przyjaciółmi były szczury i smok. Lecz Tannzer był najbardziej samotną osobą, jaką kiedykolwiek spotkała. Tannzer nie był jednym z nas.

Tannzer nie był jednym z nikogo.

Estelle także poczuła smutek.

Żal jej było Tannzera.

Oderwała się wreszcie od Grymonde'a. Worek wbijał się głęboko w jej ramię. Zsunęła go i położyła na ziemi. Grymonde pochylił się ku niej, jakby chciał na nią spojrzeć, ale teraz, gdy pozbawili go oczu, nie miało znaczenia to, jak głęboko się pochyli: i tak nie mógł jej zobaczyć. Już nigdy. To także sprawiało Estelle ból. Spojrzała znowu w białe dziury i dostrzegła przypalone na czarno miejsca oraz pęcherze, z których coś wyciekało – jakby jego skóra płakała, skoro oczy nie mogły. Uświadomiła sobie, jak to musi strasznie, ale to strasznie boleć. Jej żołądek ścisnął okropny żal.

Dziwnie się czuła. Tannzer i Grymonde byli tacy wielcy, ona taka mała, a Amparo jeszcze mniejsza. Mimo to żałowała tych dwóch olbrzymów, podobnie jak Amparo.

– La Rossa, nie odchodź. Ja wciąż tu jestem. Tu, w środku.

– Nie odejdę, nie bój się. I nadal widzę ciebie w tych białych dziurach.

Estelle już od bardzo dawna nie tęskniła za mamą, bo i nie było zbytnio za kim tęsknić. Ale teraz strasznie pragnęła jej bliskości. Typhaine przynajmniej widziała.

– Mama tu nie przyszła?

Grymonde wzdrygnął się i skrzywił, a potem potrząsnął głową jak byk.

– Nie widziałem jej od jakiegoś czasu. Ale nie martw się o nią.

– Bałam się, że będzie judaszem, jak Papin.

– I była judaszem – wtrącił Andri. – A teraz jest trupem, oby Bóg przeklął jej duszę...

– Milcz, głupcze, i wynoś się – odpowiedział mu Grymonde. Poruszył głową najpierw w jedną, potem w drugą stronę, szukając Estelle. – La Rossa? Gdzie jesteś? Jesteś tam?

Estelle miała wrażenie, że jej ciało jest puste w środku. Przytuliła mocniej Amparo.

– Tu jestem.

– Twoja mama nie żyje, La Rossa, mój skarbie, to prawda, ale nie była judaszem. Zamordował ją ten sam wieprz, który odjął mi oczy. Była szaloną, dziką pięknoscią i wszystko, co uczyniła, uczyniła dla miłości i nienawiści, nie dla złota – i za to musimy ją kochać.

Estelle ucieszyła się, że Typhaine jednak nie okazała się judaszem. I że Grymonde ją kochał.

– Jesteś tu? – spytał.

– Jestem.

– Nie opuszczaj mnie.

– Nie opuszczę. Czy mogę oddać Amparo Tannzerowi?

– Przyniosłaś strzyżyka? Do cierni?

Grymonde się zaśmiał, a Estelle nie wiedziała dlaczego. Może coś mu się stało w głowę?

– Przyniosłam moją siostrzyczkę, Amparo.

– I sama zeszała z nią z dachów? – spytał Grymonde.

Estelle czuła na sobie wzrok Tannzera, ale nie śmiała spojrzeć na niego.

– Żołnierze nas nie widzieli.

– Moja kochana, moja piękna, mój skarbie, tak, tak, zwróć małego strzyżyka cierniom, do których należy. Amparo już na nie czeka.

– Mówisz o Tannzerze?

– Tak, La Rosso.

Tannzer przyglądał się temu wszystkiemu w milczeniu.

Estelle odwróciła się, by pokazać mu Amparo. I wreszcie na niego spojrzała.

Tannzer podszedł bliżej. Księżyc zdążył już wzejść; lśnił jasny i rogaty za jego plecami. Podwórza wydawały się przy nim małe, gdy pochylał się, by przypatrzeć się dziecku.

Teraz dopiero zobaczyła jego twarz.

Nigdy takiej nie widziała.

Właściwie nie była to dziwna twarz – dziwna w taki sposób, jak oblicze Grymonde’a – a jednak były w niej znaki, niewidzialne znaki, które sprawiły, że Estelle zadrżała. Znaki, przez które zapragnęła nagle, by został jej przyjacielem. Tannzer był mądrzejszy od Grymonde’a, ale i dzikszy. Nie był tak muskularny, ale był silniejszy. Nie był piękniejszy od Grymonde’a, ale miał w sobie więcej z demona. Lecz gdy patrzył na Amparo, jego twarz odmieniła się i to, co kazało Estelle drżeć z lęku, zniknęło bez śladu. Teraz dostrzegła w niej inne znaki – takie, których nikt inny dotąd nie widział. A stało się tak dlatego, że oczy Tannzera ujrzały coś, czego Tannzer nigdy jeszcze nie widział. Ale tylko Estelle i jej siostra dostrzegły to, co się zmieniło, ponieważ Grymonde był ślepy.

– Tannzer? – powiedziała cicho Estelle.

– Tak.

– To jest Amparo.

Tannzer wziął głęboki wdech i długo trzymał powietrze w płucach, aż wreszcie westchnął i się uśmiechnął. Niektóre z jego zębów były ułamane. Skinął głową i wyglądał tak, jakby od dawna, bardzo dawna był w podróży z bardzo, bardzo dalekich stron i nareszcie dotarł do miejsca, które pragnął odnaleźć. Chciał coś powiedzieć, ale słowo ugrzęzło mu w

gardle. Zakaszła, a gdy przemówił, jego głos zdumiał Estelle. Był równie łagodny, jak wielka była postać Tannzera.

– Amparo.

Estelle jeszcze nigdy nie słyszała tyle miłości w jednym słowie. Ani w wielu słowach. Jej oczy napełniły się łzami.

– Amparo.

Nie pozwoliła sobie na płacz. Wyciągnęła ręce, oddając dziecko ojcu.

– Możesz ją wziąć. Carla powiedziała, że jest twoja.

Tannzer nie poruszył się przez bardzo długą chwilę.

Nie przyjął Amparo. Estelle nie wiedziała, co o tym myśleć.

Wreszcie wyprostował się. Wydawał się jeszcze wyższy niż przedtem. Spojrzał uważnie na Estelle.

– La Rossa, tak na ciebie wołają?

– Grymonde tak mnie nazywa, ale mam na imię Estelle.

– Estelle.

– Dano ci je na cześć gwiazd – rzekł Tannzer.

– Gwiazda Poranna.

– Najpiękniejsza.

Ramiona Estelle drżały nieznacznie, gdy znowu tuliła Amparo do piersi.

– Powiedzieć ci, co oznacza imię Amparo? – spytał Tannzer.

– Tak.

– Oznacza Schronienie przed Burzą.

To imię pozbawiło Estelle tchu. Spojrzała na maleństwo leżące w jej ramionach.

– Żyjemy w świecie krwi i piorunów – ciągnął Tannzer. – Sądysz, że ten mały słowiczek zdoła ochronić takich jak my? Przed tak straszną burzą?

Estelle zastanowiła się głęboko. Pamiętała, jak siedziały na łóżku z Alice i Carlą, jak bezpiecznie czuła się wtedy, będąc „jedną z nas”, choć rzeczywiście otaczał je świat krwi i piorunów. A przecież gdyby nie Amparo, nie znalazłyby się tam, wszystkie razem.

– Tak. Ochroniła mnie i Carlę. I Grymonde’a chyba też.

Grymonde jęknął boleśnie. Białe dziury w jego twarzy płonęły.

Estelle nie uważała, by Tannzer potrzebował ochrony, ale dodała:

– Wiem też, że i ciebie ochroni, jeśli tylko zechcesz.

– Już mnie ochroniła.

Tannzer wpatrywał się w Estelle. Nie patrzył na nią tak, jakby była dziewczynką, ale tak, jakby dorównywała mu wielkością. Dziwne to było uczucie. Wydawało jej się, że jest coraz silniejsza.

– Czy wiesz, Estelle, że nawet podczas najmroczniejszej burzy, czy to dniem, czy nocą, gwiazdy – a Gwiazda Poranna przede wszystkim – wciąż lśnią gdzieś tam, jeszcze wyżej?

– Nie. Czy to dlatego, że wiszą wyżej niż burza? – spytała po krótkim namyśle.

Tannzer uniósł brwi.

– Masz wyjątkowy umysł.

– To dobrze?

– To cudownie. I masz rację: gwiazdy zawsze są zawieszane wysoko ponad burzą. A zatem, jeśli Amparo da nam przed nią schronienie, a ty, Gwiazdo Poranna, lśnić będziesz jeszcze wyżej, to czegoż mamy się obawiać?

– Niczego?

– Bardzo się cieszę, że jesteś siostrą Amparo.

Estelle nie odrywała wzroku od jego twarzy. Czowała, że Tannzer podarował jej coś cennego, ale nie wiedziała co. Nie współczuła mu już, bo tego nie potrzebował.

– Kocham moją siostrę najmocniej na świecie, ale... czy chciałbyś potrzymać ją w ramionach?

– Bardzo tego pragnę, Estelle. Bardziej niż oddechu. Tylko że burza krwi i piorunów jeszcze nie dobiegła końca. Ci, których ma zniszczyć, jeszcze nawet nie wiedzą, że nadciąga. A Amparo ich nie ochroni. Powiedzieć ci dlaczego?

– Powiedz.

– Bo to Grymonde i ja jesteśmy tą burzą.

Infant Kukanii ryknął gwałtownie i ekstatycznie.

– Zostawię po sobie stosy trupów. Tylko daj mi jeszcze jedną nieśmiertelną.

Tannzer wciąż przypatrywał się Estelle.

– A ponieważ to ja jestem burzą, nie mogę przytulić Amparo, póki burza nie ucichnie.

– Bo mogłaby zrobić jej krzywdę?

– Mądra z ciebie dziewczynka. Przechowasz więc dla mnie Amparo? Jeszcze tylko trochę dłużej?

– Przechowam ją w nieskończoność, jeśli chcesz. Lubię ją przytulać. Pomyślałam tylko, że i ty chciałbyś spróbować.

– Chciałbym, Estelle. Chciałbym. Ale gdybym choć raz to zrobił, burza mogłaby złagodnieć. A jeśli chcemy, by Amparo bezpiecznie wróciła do Carli – a pragniemy z całych sił tego dopilnować – to musi to być straszliwa burza.

– Twój anioł ci to powiedział, prawda?

– Mój anioł?

– Anioł o czarnych skrzydłach.

– Jej babka posiadała pewien dar – wyjaśnił Grymonde. – Widziała to, czego nie widzi większość z nas.

Estelle nie wiedziała, że miała babcię. Miała ochotę spytać o nią.

– Rozumiem – odrzekł Tanner. – Szczególne dary często objawiają się co drugie pokolenie.

– My też mamy anioła – dorzuciła Estelle. – Carla go posłała, żeby czuwał nade mną i Amparo. To anioł-kobieta; ma skrzydła z księżycowego światła. Właśnie ona poradziła mi, żebym zaniósła małą do ciebie, a nie do sióstr z klasztoru. Mam nadzieję, że Carla nie będzie na mnie zła.

– Zgadzam się z tobą i z księżycowym aniołem. Lepiej, by Amparo spróbowała szczęścia z nami, a nie wśród tych czarnych wron. Carla będzie z ciebie dumna, podobnie jak ja jestem. Dziękuję wam obu.

Tanner odwrócił się i sięgnął po swą świeżo naostrzoną pikę, zakończoną jakby potrójnym grotem. Taka pewnie lepiej zabija, pomyślała Estelle. Chwyciwszy Grymonde'a za rękę, włożył w nią drzewce. Estelle zauważyła, że wsparł się na niej, jej smok od razu poczuł się pewniej. Dotknął najdłuższego ostrza, zaraz potem zlizął krew z kciuka i pokiwał głową.

– Co masz w sakwie? – spytał Tanner.

– Pistolet.

– Oraz proch, kule i mieszek złota – dorzucił Grymonde.

Tanner wyjął z worka dwulufowy pistolet i przyjrzał mu się z uwagą.

– To robota Petera Pecka. Wart fortunę.

– Może i był wart dla tej świni, której go ukradłem – odrzekł Grymonde.

Tanner powąchał lufę.

– Ktoś niedawno z niego strzelał.

– Nie ja.

– Zastrzeliłam Papina – wtrąciła Estelle. – Spadł z dachu zaraz po tobie.

Grymonde zaczął się śmiać jak szaleniec. Tannzer mrugnął do dziewczynki porozumiewawczo i od razu poczuła się lepiej. Wyjął flaszkę z prochem, kulę i flejtuch. Załadował.

– Możemy iść z wami? – spytała Estelle.

– Nie – odparł Grymonde. – Zaczekacie tu na nas. Tu będziecie bezpieczne.

Estelle spojrzała na Tannzera.

– Wciąż potrafię fruwać na jego grzbiecie. Mogę być oczami smoka, jeśli nie skrzydłami.

Tannzer popatrzył na nią. Dostrzegła w jego oczach coś niewidzialnego i zadrżała. Spojrzał na Amparo. Zadrżała jeszcze mocniej. Tannzer szturchnął łokciem Grymonde'a.

– Co Estelle ma na myśli?

– Wiele razy nosiłem La Rossę na ramionach po całym mieście.

Tannzer schował flaszkę z prochem, rozwiązał węzeł na pasku i zarzucił worek na pierś Grymonde'a. Estelle wyjęła kluczyk, który nosiła na szyi.

– Mogę nakręcić Petera Pecka?

Tannzer znowu na nią spojrzał, a potem bez słowa nadstawił broń, by mogła przygotować zamek do strzału.

– Grymonde, w jakim kufrze skarbów znalazłeś tę dziewczynę?

– Tę historię znam tylko ja i nikomu jej nie opowiem.

Tannzer przywołał chłopca z zajęczą wargą, który podszedł, prowadząc na smyczy łysego psa.

– Grégoire, to jest Estelle, a to jej siostra – i moja nowo narodzona córka – Amparo.

Grégoire uśmiechnął się i uklonił. Z bliska był nawet brzydszy od swego psa, ale wydawał się miły.

– Grégoire, tam na stole leży duży bukłak. Opróżnij go i przynieś.

Tannzer wetknął pistolet za pas Grymonde'a.

– To dla Estelle – wyjaśnił. – Dasz jej, gdy poprosi.

– A cóż to za szaleństwo? – zdumiał się Grymonde.

– Moja córka idzie ze mną – oznajmił Tannzer.

Estelle wstrzymała oddech, czując na sobie jego spojrzenie.

– Jeśli jej siostra Estelle sobie tego życzy, też może nam towarzyszyć.

– Nie – odparł Grymonde. – Nie może.

Estelle bardzo pragnęła pójść z nimi i nie rozumiała, dlaczego sama myśl o tym zadaje Grymonde'owi taki ból. Dlaczego chciał, by została tutaj, z zabitymi, z dała od siostry? Nie wiedziała, ale nie ośmieliła się przemówić.

– Czy dzieci potrafią podejmować takie decyzje? – spytał Tannzer.

Estelle omal nie zawołała: tak! Lecz choć dwaj wielcy mężczyźni rozprawiali o tym, czego naprawdę chciała, wiedziała, że w końcu i tak będzie musiała poddać się ich woli. Przygryzła język.

– Pewnie, że potrafią – kontynuował Tannzer. – Ale czy im na to pozwolimy? A może powinniśmy uznać, że ich mądrość nie dorównuje naszej, tu, w tym piekle, które tacy jak ty i ja zbudowaliśmy wokół nich? Sam nie wiem. Co ty na to, mój Infancie?

– Infant nie odpowie.

– Ten dzień wiele mnie nauczył, może poza tym, co najgorsze, to znaczy: co najgorszego ja sam mogę dokonać. Tej granicy, mam nadzieję, nigdy nie poznam, choć jeśli będę musiał, nie zawaham się. Pomijając jednak takie zbrodnie, mogę jedynie przeć naprzód, podobnie ślepy jak i ty, nie mając za przewodnika niczego prócz własnego serca i instynktu.

Estelle zauważyła, że coś drgnęło w poparzonej twarzy Grymonde'a. Kochała go.

Grégoire powrócił, wytrząsając ostatnie krople wina z miękkiego bukłaka z koźlęcej skóry.

– Mówię to tylko dlatego, że takie są fakty, a nie dlatego, by groźbą skłonić cię do uległości – ciągnął Tannzer – ale jeśli Estelle zostanie, to i ty. Bez niej jesteś jedynie kamykiem w moim bucie.

Estelle była dumna, że Tannzerowi tak zależy na jej towarzystwie, ale też nie chciała porzucić swego smoka. Bała się, że będzie musiała dokonać wyboru.

– Jeśli osiągniesz swój cel – odparł wolno Grymonde – jeśli okradniesz samego diabła i wraz żoną i dzieckiem uciekniecie z Paryża, zabierzesz ze sobą La Rosse?

Estelle próbowała wyobrazić sobie, co to może oznaczać, ale nie potrafiła. Mimo to chciała pójść za Tannzerem.

Uśmiechnął się, a wtedy pomyślała, że tak właśnie muszą się uśmiechać wilki. Przyjął bukłak z ręki Grégoire'a i odciął jego szyjkę. Estelle przyglądała się temu ze zdziwieniem.

– Jaka czeka ją tu przyszłość? – spytał Grymonde. – Jedynie zaraza i burdel.

– Estelle, jeżeli wolisz tu zostać, powiedz tylko słowo – rzekł Tannzer. – Byłby to mądry wybór. Ja bowiem będę brodził w rzece krwi i trudno przewidzieć, kto z nas dotrze na

jej drugi brzeg. Lecz Amparo pójdzie ze mną, nawet gdyby czerwona fala miała zabrać nas oboje.

– Ależ chcę pójść z wami. Amparo też.

– I co teraz powiesz, mój Infancie?

– Smok nie może fruwać bez La Rossy. Nigdy nie potrafił.

Tannzer przewrócił bukłak na lewą stronę i rozciągnął ucięty koniec, pokazując go Estelle.

– Włóż Amparo do środka. To będzie jej kołyska, a ty poniesiesz ją do domu.

Teraz Estelle nareszcie pojęła: Tannzer zabierze ją ze sobą.

Wsunęła Amparo do skórzanego worka. Pasował jak ulał, tylko główka wystawała poza krawędź. Estelle zaśmiała się, tak słodki był to widok. Tannzer pochylił się tymczasem i zapiął jej pas o jedną dziurkę ciaśniej. Górne guziki jej koszuli były rozpięte. Rozpiął kolejny. Estelle nie dziwiła się już niczemu: miała pójść z nimi. Uśmiechnęła się, on także. Ostrożnie umieściła Amparo pod koszulą, tak że miała jej twarzyczkę tuż przy swej szyi. Czowała chłodny, wilgotnych dotyk koźlęcej skóry nasączonej winem. Miała wrażenie, że becik z bukłaka sprawdzi się doskonale. Tannzer zapiął jej guziki i cofnął się nieco, by ocenić swe dzieło.

– Nowo narodzone dziecię zniesie więcej, niż się nam wydaje. Pilnuj tylko, by miała czym oddychać.

– Przypilnuję.

Estelle czuła mocne bicie serca. Znowu miała pofrunąć.

– Grégoire, podaj mi pas strażnika.

Chłopak spuścił psa ze smyczy, a Tannzer zarzucił pas Frogiera na ramię Estelle, ukosem przez pierś i pod pachą. Zapięty z przodu, całkiem nieźle podtrzymywał Amparo. Teraz Tannzer ustawił Grymonde'a i odwrócił szponton w jego dłoni.

– Masz go ostrzem w dół, więc uważaj na stopy – powiedział. – Jeśli padniesz, zostawię cię.

– Padnę? Daj mi jeszcze jedną nieśmiertelną, człowieku. I sam też się poczęstuj.

Tannzer stanął za Estelle, ujął ją pod pachy i uniósł wysoko, tak prędko, że poczuła ciężar w żołądku. Zarzuciła nogi na ramiona Grymonde'a i wylądowała na jego karku.

– Nie dotykaj twarzy – pouczył ją Tannzer. – Amparo na swoim miejscu?

Estelle przesunęła bukłak tak, by opierał się o jej udo, a potem otoczyła go ramieniem.

– Tak jest.

Teraz dopiero, z wysokości, zauważyła, że dokoła zebrała się całkiem spora grupa młodych mieszkańców Kukanii.

– Pójdziemy z wami, szefie!

– Weźmiemy ten przeklęty pałac, jeśli taka twoja wola!

Tannzer odwrócił się plecami do zgromadzonych i odezwał się do Grymonde'a:

– Będziemy działać śmiało, ale i podstępnie. Oni zaś byliby tylko mięsem dla rzeźników.

Grymonde stanął przed swymi poddanymi i uniósł ramiona.

Estelle spoglądała na wszystkich z góry. Jeszcze nigdy nie była tak podniecona i tak wystraszona. Mocno zaciskała uda wokół potężnego karku. Oblizwała palec, żeby się upewnić, że jest czysty, nim wsunęła go w usta Amparo, która natychmiast zaczęła ssać opuszek. Od głosu Grymonde'a zatrzęsły się Podwórza.

– Dzieci Kukanii! Nadeszła chwila pożegnania.

– Nie! – odkrzyknęli chórem młodzi ludzie.

– Tak. Postanowiłem, że utonę w rzece krwi, którą utoczę z żył naszych wrogów. Nie oplakujcie mnie. Chcę żyć w waszych sercach, bo wiem, że w nich pozostanę. Na zawsze. Nadstawiajcie uszu w dniach, które nadejdą, a usłyszycie szloch kobiet naszych prześladowców. Słuchajcie też opowieści, a dowiedcie się, jak zginął Infant Kukanii – wiem, że się wam spodobają. I niech ów szloch i owe opowieści zagrzeją was do pracy: zbudujcie nową krainę szczęśliwości. Zrobicie to dla mnie?

– Tak!

– Przysięgacie?

Przysięgali jeden przez drugiego, głośno i ze szczerym zapalem.

– Jutra nie będzie! – ryknął Grymonde.

Estelle patrzyła, jak Tannzer zakłada na ramię dwa łuki i dwa kołczany. Sięgnąwszy jeszcze po kuszę, ruszył przed siebie, a chłopak z zajęczą wargą podążył jego śladem. Bezwłosy kundel ze złotą obrozą podreptał z kolei za chłopakiem. Kroczyli ku rzece krwi.

A Estelle i jej mała siostrzyczka Amparo wyruszały wraz z nimi.

Potem zaś mieli razem wrócić do domu.

Pociągnęła za uszy Grymonde'a. Roześmiał się. Znowu jak szalony.

– La Rossa, teraz jesteś nie tylko moimi skrzydłami, ale i oczami.

– Lećmy więc – odpowiedziała Estelle.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Czerń

Poradziłby sobie bez oczu. Po zachodzie słońca w Paryżu, a już zwłaszcza na Podwórzach – a przecież w tych stronach i o tej porze spędził niemałą część życia – i tak niewiele można było zobaczyć. Nos także nie był szczególnie przydatny; w powietrzu unosił się jedynie smród miasta, a z nowszych, mniej znanych woni Grymonde wyczuwał tylko własny fetor spalonego ciała. Tym, czego naprawdę potrzebowali wędrujący nocą przez Podwórze, był szósty zmysł. Gdyby Grymonde go nie posiadał, już dawno byłby trupem. Tej nocy jednak jego ostrość została stępiona przez ból. I nie chodziło o rany, które odniósł, spadając z dachu – tych praktycznie nie czuł. Oparzenia. Ból oparzeń nawet nie miał jednego ogniska; przemieszczał się i zmieniał z chwili na chwilę, nawet przez moment nie był pojedynczym, a zawsze mnogim doznaniem, zapalał się i gasł, szeptał i płonął na nowo. Był wszędzie, a mimo to Grymonde nie umiałby powiedzieć, gdzie go odczuwa, nie potrafił zakreślić kręgu i wskazać: oto on, jak to było z dziurą po wielkiej drzazdze w jego nodze. Ból ognia otaczał jego czaszkę i przenikał jej wnętrze, jakby zamknięto ją w wielkiej szklanej butli pełnej os. Sam ból Grymonde byłby w stanie przełknąć; ból nieodłącznie wiązał się z życiem. Był jednak wściekły, że osłabia go nie tylko ślepotą. Potrzebował kolejnej nieśmiertelnej.

Musiał przecież odegrać swoją rolę.

I nawet jeśli nie widział nic więcej, ową rolę dostrzegał wyraźnie, mimo zasłony bólu. Wyobrażał ją sobie. I wspominał karty, które wyciągnęła jego matka. Nie zamierzał już grać Wisielca, który zdradza samego siebie; nie był też gołąbkim w rękach Kuglarza. Był teraz Szaleńcem, stojącym na kruchej krawędzi otchłani; samotnym tak na początku, jak i u kresu swej drogi, wiedzącym wszystko i nic, dzierżącym kij, noszącym łachmany i dwa piękne pióra we włosach. Nie, już nie potrzebował zmysłów. Wystarczyło, że był. I że podążał ścieżką serca.

Dobrze, że miał takie wielkie stopy. Stawiał je miarowo, rytmicznie, z taką mocą, jakby stemplował ziemię i czekał, aż zaprotestuje przeciwko podobnemu traktowaniu. Każdy krok lewej nogi zgrywał z wbiciem w ziemię piki, którą niósł w prawej ręce. Czuł się z nią całkiem naturalnie. Wiedział, że nie upadnie.

Na plecach zaś niósł dwie istoty tak lekkie, że niemal nie czuł ich materialnego ciężaru, dwa najcenniejsze duchy Stworzenia. Jednym z nich była Gwiazda, która go

prowadziła, drugim zaś – maleńka istota, która na swój sposób także była Szaleńcem: jak on balansowała na krawędzi, w miejscu, w którym początek spotykał się z końcem; wiedząc wszystko, co niezbędne, a przecież nie wiedząc absolutnie nic. Skóra paliła go żywym ogniem, ale mimo bólu czuł gdzieś z tyłu głowy trzepot nowo narodzonego serduszka, który wtórował dudnieniu jego serca, zamkniętego w wielkiej klatce z żeber. Jakie to dziwne, myślał. Jakie cudowne. Kroczy ścieżkami, którymi nikt do tej pory nie szedł. Poczul mocne szarpnięcie za prawe ucho.

– Skręcamy na południe – powiedziała Estelle.

– Prosto w paszczę wroga. Znakomicie.

Grymonde zatrzymał się i wykonał zwrot w miejscu. Nie zamierzał upaść. Znowu ruszył przed siebie, tratując i dźgając ziemię piętami. Czuł, że jest coraz bardziej równa, stoki opadał już bardzo łagodnie. Wyszli z Podwórzcy i podążali kursem równoległym do Saint-Denis. Poczul kostkę Estelle zwisającą tuż przy jego piersi i uścisnął ją lekko.

– Jak się miewają moje skarby?

– Przed nami trupy na ziemi. To hugenoci. Tannzer odciąga je na bok, toruje drogę. Grégoire! Niech Grymonde opiera się o twoje ramię, póki ich nie miniemy.

Infant poczul klepnięcie w ramię. Wypuścił nogę Estelle i wyciągnął rękę przed siebie. Czyjaś dłoń chwyciła ją i naprowadziła na szczupły bark.

– Dziękuję, chłopcze.

Grymonde kroczył śmiało naprzód, trzymając pikę pionowo, nieco z boku, by nie drasnąć swego przewodnika. Gdzieś blisko wyczul źródło ciepła. Wrażenie było słabe, ale wystarczyło, by poparzona skóra zareagowała.

– Grégoire, czy ty niesiesz latarnię?

– Tak, panie.

– „Panie”? – Grymonde poczul, że zbiera mu się na śmiech. – „Bądźcie więc roztropni jako węże...”⁸ Powiedz no, chłopcze, czyżbyś ze świecą szukał dobrego człowieka na tych diabelskich szlakach?

Grégoire zatrzymał się tak raptownie, że Grymonde wpadł na niego, ale w porę podana ręka uratowała go przed upadkiem.

– Tannhäuserwalczyprzednami – wyrzucił z siebie jednym tchem chłopak.

Z oddali dobiegł żalostny okrzyk.

⁸ Mt 10,16.

– Tannzer zastrzelił z łuku człowieka – powiedziała Estelle. – Teraz biegnie. A teraz dźgnął drugiego.

– Poprowadź mnie do niego.

– Nie. Jesteśmy twoimi oczami i skrzydłami. Powiemy ci, kiedy przyjdzie czas na to, żeby ziać ogniem. Zresztą on już zabił wszystkich trzech.

– Trzech? – W głosie Grymonde’a pobrzmiwały bezradność i zazdrość.

– Rabowali trupy. Tannzer już ich odciągnął... Możemy iść dalej.

– Tannzer! – zawołał Grymonde. – Daj mi nieśmiertelną albo pozwól walczyć.

– Cicho bądź. – Estelle klepnęła go w głowę. – I rób, co ci każą.

Pod jego stopami zachlupotała, jak się domyślał, świeża krew. Zaciśnął zęby. To nie on ją przelał. Naprężanie mięśni twarzy nie służyło świeżym pęcherzom. Chciał zamrużyć, ale nie mógł – nie miał już powiek. Dziwne to było uczucie. Drgnął, gdy głos Tannzera rozbrzmiał tuż obok. Nawet obciążony ekwipunkiem ten człowiek potrafił skradać się jak pantera.

– Banda morderców plądruje dom, może sto kroków stąd.

– Zabierz te aniołki z moich ramion i weźmy się do roboty.

Palce twarde jak dębina zaciśnęły się na jego ramieniu. Grymonde nie nawykł do tego, by go pocieszano; prawie nie pamiętał, że to w ogóle możliwe – a jednak ten prosty gest dodał mu sił.

– Zabić ich to nie sztuka, lecz zawsze istnieje ryzyko, że któryś ucieknie i podniesie larum. W Les Halles roi się od *sergents*. Proponuję przejść na drugą stronę Saint-Denis. Czy jest jakieś miejsce, z którego mógłbym rzucić okiem na dom le Telliera, samemu pozostając niewidoczny?

Niczym człowiek daremnie opędzający się od mgły, Grymonde spróbował odegnać uporczywy, niepozwalający mu myśleć ból. Gdy próbował sobie wyobrazić dom i jego otoczenie, usłyszał serię bełkotliwych dźwięków.

– Grégoire mówi, że są tam zagrody dla bydła.

– Słusznie. Na tyłach rzeźni Crucégo. – Grymonde natychmiast ujrzał je oczami wyobraźni. – Powinny być puste, dopóki bramy miasta są zamknięte. Może spotkamy poganiacza albo dwóch, ale za miedziaka chętnie pójdą gdzieś, żeby się upić.

Ręka wycofała się i, choć było to głupie, Grymonde od razu za nią zatęsknił. Ruszył przed siebie, gdy Estelle kopnęła go obiema piętami w pierś. Zaraz potem znowu poczuł dotyk dębowych palców, które wcisnęły w jego dłoń niewielką miękką bryłkę. Kamień

nieśmiertelności, pomyślał. Zjeżył się na myśl o tym, że ktoś może wątpić w jego odporność na ból.

– Obejdzie się.

– Jak chcesz, ale trzęsiesz się jak marionetka wariata.

– Nie ogłupi mnie przed walką?

– W tej chwili ogłupia cię ból. A ból i opium znoszą się nawzajem, jak gorycz i słodycz. Możliwe jednak, że będziesz miał wizje. Estelle, postaraj się, żeby nie odpłynął.

Grymonde włożył bryłkę do ust i natychmiast język zeszywniał mu od goryczy, za to perspektywa wizji wydała mu się nader słodka.

Bezpiecznie przeszli na drugą stronę rue Saint-Denis i podążyli dalej na południe, tyle że węższymi ulicami. Od czasu do czasu ze wschodu lub zachodu dobiegało echo wystrzału, ale nie kanonady. Znowu zmienili trasę, gdy na ich drodze pojawiła się kolejna banda morderców. Grymonde nie upadł.

Przeszkodą, której uniknąć nie mogli, były hugenockie trupy, wręcz zaścielające ulice. Grymonde pomyślał ze wstydem, że sam przyłożył do tego rękę. Nie zabijał dla religii, bo jego wierzenia nie miały ani nazwy, ani kapłanów. Ale czy dla mordowanych stanowiło to jakąkolwiek różnicę? Przypomniawszy sobie tę bezimienną dziewczynę, zrujnowaną w ruinach własnej rodziny. Oszczędził ją. Lecz zaraz zastanowił się wzorem Tannzera: czego właściwie jej oszczędził?

Słuchał w milczeniu, jak Tannzer pyta Estelle o wydarzenia mijającego dnia, ale chwilami jego myśli dryfowały. Usłyszał imię Typhaine i skrzywił się na wspomnienie wyrazu jej twarzy, gdy drwiła zeń, nazywając Samsonem, gdy proponowała, by go oślepił. Zdumiewała go intensywność jej nienawiści, ale doświadczał jej zbyt długo, by jeszcze się nad nią zastanawiać. Zresztą czymże było pozbawienie go oczu? Sam przecież przyjął pieniądze za obcięcie kobiecych cycków, a wcześniej niejedną raz wiwatował wraz z tłumem, gdy podczas publicznej egzekucji na place de Grève wypruwano komuś flaki. Posłyszał znowu dwa słowa: Mały Christian.

– Ten zielony kmiot należy do mnie – wycedził.

Estelle klepnęła go w czubek głowy.

– Zatrzymaj się i nic nie mów – rozkazała.

– Kawalerze? Gdzie jesteś? Pozwolisz, żebym z nim skończył? – Zatrzymał się, czując na piersi dotyk męskiej dłoni.

– Pozwolę, jeśli będzie to możliwe. Ale cierpliwości, mój Infancie. I słuchaj Estelle, abyś nie upadł.

– Słyszałeś? – podchwyciła Estelle, wyraźnie zirytowana. – Masz mnie słuchać.

– Będę, moja gołąbko, będę. Przepraszam.

Grymonde czekał, aż ciała tarasujące przejście zostaną usunięte, myśląc o tym, że to nie one są prawdziwą przeszkodą, ale fakt, że pozbawiono go oczu. Miał wrażenie, że na pokonanie dystansu, który jeszcze po południu przebył w dziesięć minut, teraz potrzebują godzin. Gdyby rankiem zamordował Carlę, tak jak mu przykazano, albo zlecił tę robotę Papinowi i Bigotowi, pewnie nadal miałby oczy, mieszkańcy Kukanii nie zostaliby zdziesiątkowani, a jego matka, Alice, jadłaby teraz pieczonego prosiaka, bawiąc się w świetle księżycy z wieloma innymi, których już nie było wśród żywych. Strzyżyk zaś nie fruwałby teraz na jego plecach, bębniąc małym serduszkim o tył jego czaszki; La Rossa nie miałaby siostry, której musiała bronić, a on sam żyłby i umarł, nie znalazłszy w sobie odwagi, by przyznać się do miłości.

Jakie to dziwne. Jakie cudowne.

Chciało mu się płakać, ale nie miał już łez.

Kroczył naprzód, posłuszny komendom Estelle.

Przed oczami miał teraz nowy obraz, bardziej wyrazisty niż wizje jasnowidzów z pradawnych czasów: widział twarz matki, zmęczoną i siną; twarz kobiety, która nie miała sobie równych, póki nie wybrała Carli na swą siostrę. Tak, to prawda, podsłuchiwał pod drzwiami izby porodowej. Nigdy nie słuchał Alice, choć słyszał każde słowo jej rad i nie kwestionował ich mądrości. Ani razu nie powiedział, że ją kocha. Przynosił jej za to prezenty, którymi gardziła, bo pochodziły z kradzieży. Przynosił więc nowe, a ona uparcie je odrzucała – nawet mięso i napoje, którymi zarzucał jej stół. Każdy kęs strawy, który kiedykolwiek przełknęła, został kupiony za pieniądze, które z mozołem zarabiała.

Spełnił jej oczekiwania chyba tylko jeden jedyny raz, choć wcale nie na jej życzenie: wtedy, gdy darował życie Carli i sprowadził ją do domu. Tak jakby mimo wszystko wziął sobie do serca to, co próbowała przekazać mu całym swoim życiem, o czym szeptała, gdy jeszcze mieszkał w jej łonie, co przeniknęło do niego z jej krwią. A potem... podsłuchiwał pod drzwiami i słyszał każde słowo owej tajemnicy, która połączyła cztery siostry, a której nie umiałby wyrazić słowami.

Jakie to cudowne. I jakie dziwne.

Alice z jego wizji była uśmiechnięta.

Ale inne, potężne karty toczyły już swoją grę.

Sąd. Ogień. Śmierć.

Ryciny z kart wydawały mu się olbrzymie, miały po sto stóp i mieniły się setką barw przed jego pustymi oczodołami. Srebrne trąby Armagedonu. Płonąca, skrwawiona Wieża. Oszalały błady jeździec na oszalałym czarnym koniu.

Ścisnął mocniej ramię chłopaka. Grégoire wrzasnął i uwolnił się energicznym szarpnięciem.

Grymonde przystanął, wsparty o pikę, z otwartymi ustami wpatrując się w niewidzialne obrazy.

Carla wybrała *Anima Mundi*.

Dusza Świata poprowadziła jej rękę, współtworząc to niełatwe rozdanie.

I takimi kartami przyszło im grać.

Śmierć królowała.

On sam parł prosto w Ogień.

Poza Ogniem zaś był już tylko Sąd.

Grymonde szybował wysoko, w szponach ekstazy.

Lecz nagle zdjął go lęk.

Może jednak nie umrze.

Może Śmierć nie dosięgnie go przez Ogień.

Czy na pewno jego sądzić będzie ten Sąd? I jaki będzie wyrok?

Ma być skazany na życie? W takim stanie?

– Gdzie jesteś, chłopcze?

Poczuł na głowie muśnięcie piór i usłyszał anielskie głosy, a zaraz potem coś zadudniło w jego piersi jak echo bębna. Ktoś złapał go za rękę i umieścił dłoń na czyjejś kości. Zacisnął palce i usłyszał krzyk, ale kość nie umknęła. Dobra kość. Dzielna kość. Cóż za dziwny, cudowny chłopiec. Grymonde rozluźnił uścisk dłoni. Żołądek pomału się uspokajał, a stopy kroczyły coraz pewniej.

Szpony uniosły go jeszcze wyżej.

Wśród wielu innych obrazów Grymonde ujrzał Liczne Twarze Boga.

Duszę Świata. Sąd. Ogień. Śmierć.

Carlę. La Rossę. Strzyżyka. Alice. Alice?

Nie, Boga tam nie było. Bóg był tutaj.

Ale Bóg nie był Bogiem.

Tu nie ma bogów. Tylko Nasza Matka, Ziemia. I my.

Ból wypalił to objawienie do cna białym płomieniem. Zniszczył wszystko: wizję, obrazy, wiedzę. Przepadły. Grymonde miał przed sobą czern, a może nawet mniej niż czern. Wreszcie ból przygasł.

– Powiedziałem: słuchaj jej – mówił właśnie Tanner. – Skup się.

Nie użył siły, by ocucić Grymonde'a; tylko dłonie i pięty La Rossy raz po raz trafiały w jego głowę i pierś. Tanner dotknął oparzeń na jego twarzy, a potem dębową dłonią chwycił go za ramię.

– Jesteśmy już blisko celu. Trzymaj się mocno. Potrzebny mi silny Infant.

– Infant jest mocny. Poprowadź go do bitwy.

– Śmiało, ale chytrze. Spróbuj skupić się na wizjach tego, co na zewnątrz, a nie tego, co masz we własnym wnętrzu.

Grymonde znowu spróbował mrugnąć. Daremnie. Skinął głową. Biały płomień przywrócił mu równowagę.

– Estelle, Grégoire – rzekł Tanner – wykonaliście dobrą robotę.

– Amparo też – wtrąciła Estelle.

– Naturalnie.

Mniej niż czern wróciła i Grymonde chwycił się jej z całej siły. Zdawało mu się, że widzi złote rozbłyski, ale pozwolił, by zgasły same niczym spadające gwiazdy. Ruszyli. Mocno. Śmiało, lecz chytrze. Tanner? Tanner. Tak, La Rossa miała rację. Samo nazwisko ciążyło do kości, a człowiek, który je nosił – ciążył jeszcze silniej.

Grymonde go pokochał.

Oparł się mocniej na barku Grégoire'a, a gdy ten się zatrzymał, Infant uczynił to samo, nie wpadając na niego. Wizje na zewnątrz. Wizje we wnętrzu. Tak. Na zewnątrz Grymonde wyczuwał Tannera, układającego zabitych z flegmą typową dla człowieka, który czynił to już w przeszłości, może nawet zbyt często. Jeszcze nigdy nie spotkał nikogo, kto miałby równie zimną krew, choć przecież do czynu popychała go nieskończona pasja; nigdy nawet o nikim takim nie słyszał. Grymonde nie potrzebował wizji, by to pojąć: Tanner szukał Carli. Na razie odnalazł tylko dziecko, które razem stworzyli. Odnalazł strzyżyka w miejscu, które z założenia miało być nie do odszukania. W miejscu, którego nikt nigdy nawet nie ośmielił się poszukiwać. Gotów był postawić wszystko, nawet życie żony i dziecka, w tej grze, której stawką było ponowne spotkanie z nimi – po tej lub po tamtej stronie życia. Przynajmniej to nie było zbyt dziwne.

Ani trochę dziwne. To było słuszne. I prawdziwe.

Było cudowne.

Tak.

Grymonde kochał tego człowieka.

Kochał ich wszystkich.

Ale dość już tych cudowności z własnego wnętrza, pomyślał.

Uniósł rękę i włożył palec w otwór, w którym kiedyś miał lewe oko. Wbił go w czaszkę jak rozżarzony gwóźdź, ale zdławił w sobie krzyk, który tak bardzo chciał uwolnić – zdusił go i zamienił w przeciągły jęk. A jednak żył. I znowu był na zewnątrz. Był potrzebny. Ruszyli dalej. Mógł jeszcze służyć Carli. Mógł służyć siostrom siedzącym na jego grzbiecie. Nigdy, w całym swym życiu, nikomu nie służył i prędzej sam sobie podciąłby gardło, niż zniżył się do czegoś takiego. Teraz jednak gotów był służyć Tannzerowi. Nie. Mężczyzna pośród mężczyzn zasługiwał na pełne nazwisko.

Grymonde, potężny Infant Kukanii, gotów był służyć Mattiasowi Tannhäuserowi.

Tylko dlaczego Tannhäuser w ogóle potrzebował tej jego służby? Grymonde nie był kamykiem, był całą garścią kamyków w jego butach. La Rossa mogła nieść strzyżyka na własnych nogach, zapewne pięć razy szybciej. Nie. Znowu zaczynał zapadać się we własne wnętrze. Raz jeszcze wraził palec w pusty oczodół i jego czaszkę rozsadził błękitny płomień. Stęknął z bólu, zachwiał się i potknął. Ale stękając i potykając się, wciąż służył, bo nie wiedział, co jeszcze mógłby zaoferować.

Silna woń destylatu łąjna, które uwalniane raz po raz z trzewi bydłał przeczuwających rychłą śmierć kondensowało się w tym miejscu od wielu dziesięcioleci, przedarła się nawet przez półpłynną masę zwęglonych tkanek, która zatykała nos Grymonde'a.

– Ej! Wy tam! Wynocha, bo zawołam strażę!

Odwrócił się w tę stronę, z której dobiegł głos.

– Na krew Chrystusa! – Głos był ten sam, tylko zduszony.

I więcej nie zabrzmiał; rozległo się tylko ciche pluśnięcie, kiedy zwłoki opadły na stertę gówna.

Tannhäuser wołał płacić stalą, nie miedziakami.

– Zaczekaj tu, mój Infancie, i bądź cicho.

Grymonde czekał więc, odkrywając w sobie przy okazji nowe pokłady cierpliwości. Alice mówiła, że nie trzeba się spieszyć – i miała rację. Doskonale wiedziała, że zbliża się koniec, i dlatego w swych ostatnich chwilach oddała się miłości, nie strachowi. Zawsze umiała wypatrzeć prawdziwą okazję. Czy jej syn także potrafił? Z narastającym zdziwieniem stwierdził, że i miłości ma w sobie całkiem sporo. Gdzie się podziewała przez te wszystkie

lata? W jakim lochu pozostawała ukryta? Z wolna owładnął nim smutek. Grymonde znowu miał ochotę płakać i nawet cieszył się, że nie może. Słuchaj. Bądź czujny. Miał też w duszy spory zapas wściekłości, którą należało wykorzystać. Nigdy nie miał problemów z odnalezieniem jej w sobie. Ale dla jednego i drugiego nigdy nie starczało mu czasu. Kompromis nie był łatwy. Grymonde poczuł na sobie dłoń Tannhäusera.

– Garnier właśnie opuścił dom w eskorcie czterech ludzi. Drzwi strzeże jeden *sergent*.

– Co teraz?

– Teraz zdejmę brzemień z twoich ramion. Estelle, uważaj, nie kopnij go w twarz.

Anielskie pióra odfrunęły, a Grymonde natychmiast za nimi zatęsknił. Był sam i czuł, że zaczyna uzalać się nad sobą. Uniósł palec na wysokość oczodołu, by znowu przywołać się do porządku, ale Tannhäuser w porę chwycił go za nadgarstek. Znowu przyniósł Grymonde'owi pocieszenie. Jego głos był silny i spokojny, jakby kierowała nim nadzieja na przemówienie do rozsądku wielkiego dziecka.

– Grymonde, zaraz poczujesz łożę kuszy w lewej ręce. Tylko w lewej. Będziesz musiał utrzymać jej ciężar, ale z wyczuciem, tak żeby twoje ramię ustąpiło, gdy ktoś pokieruje bronią. Jeszcze nie założyłem bełtu, ale i tak uważaj. Nie dotykaj ani dźwigni, ani spustu. Pokażę Estelle, jak celować i strzelać, z pomocą twojej ręki. Ciężar należeć będzie do ciebie, ale celowanie i podejmowanie decyzji do małej. Jeśli wystrzeli, natychmiast naciągniesz cięciwę, żeby mogła strzelić powtórnie. W pewnym sensie będzie twoją panią. Nadążasz, mój Infancie?

– Tak. Tak, nadążam.

Grymonde zawsze uważał się za szaleńca i był z tego dumny. Gdyby jednak stać go było na szaleństwo takiego kalibru, pewnie rządziłby Paryżem.

– Ale gdzie jest La Rossa?

– Jestem z tobą, Tannzer – odezwała się Estelle. – Amparo też.

– Wiem, że tak jest – odparł Tannhäuser. – Zastrzeliłaś Papina. Wyniosłaś swoją siostrę, wędrując po dachach. Ocaliłaś ją przed zakonnicami. I wreszcie zwróciłaś ją mnie. A potem latałaś na oślepionym smoku. Nikomu nie ufam bardziej, dziewczyno, a jedynie Grégoire'owi ufam tak samo jak tobie.

– Co mam robić? – spytała.

– Pokażę ci. Najpierw poćwiczysz ze mną, a potem z Grymonde'em. Przedtem jednak muszę cię poprosić o coś jeszcze. To bardzo ważne zadanie.

– Wykonam je – odpowiedziała La Rossa.

W sercu Grymonde'a zapalił się płomień miłości gorętszy niż ów rozeń, którym wiercili jego czaszkę. To była jego córka. A on był jej smokiem. Musiał walczyć, by pozostać na zewnątrz.

– W tym świecie krwi i piorunów, o którym już rozmawialiśmy – rzekł Tannhäuser – wszystko może się zdarzyć. Moim zadaniem jest odnalezienie Carli, aby siostry i ich matka znowu były razem i mogły wrócić do domu. Może być tak, że nie wykonam tej misji. Lecz bez względu na to, czy mi się uda czy polegnę, na pewien czas muszę was opuścić. Muszę też prosić, by dzielny Grégoire zostawił was i wykonał inne zadanie.

Chłopak zabelkotał; Grymonde odczytał tę serię dźwięków jako zgodę.

– Wiem, że to zrobisz, mój chłopcze – odpowiedział mu Tannhäuser. – Estelle, Carla powierzyła ci opiekę nad Amparo. Ja czynię to samo. Pozwalam ci kierować się własnym zdaniem. Jesteś bystrą dziewczynką. Człowiek, który oślepił Grymonde'a i zabił twoją matkę, może się tu pokazać. Jeżeli uznasz, że Amparo jest w niebezpieczeństwie, zabierz ją prędko do Kukanii. Tak zrobisz?

– Tak.

– Jeśli przeżyję, odnajdę cię. Jeśli polegnę, sama musisz poszukać kobiety, która da Amparo mleka. Potrafisz to zrobić?

– Tak. Nie chcesz, żebym ją oddała zakonnicom?

– Wolałbym, żebyś sama wychowała ją w Kukanii, niż gdyby miał ją przygarnąć choćby i papież. Śmiem twierdzić, że Carla zgodziłaby się ze mną. Jeśli jednak zabierzesz małą, musisz zostawić Grymonde'a, by zginął w bitwie. Będziesz umiała to zrobić? Potrafisz zostawić go na pewną śmierć?

Grymonde wsłuchał się w długie milczenie. Sam miał ochotę je przerwać, mówiąc, że nie marzy już o niczym innym, jak tylko o takiej śmierci. Poczul nagle, że drobna rączka wślizguje się do jego dłoni. Trzymał ją tak delikatnie, że poczuł, jak ściskają go drobne palce.

– Tak – odpowiedziała wreszcie La Rossa. – Będę umiała zostawić go na śmierć.

– Grzeczna dziewczynka. A teraz chodź, pokażę ci, jak strzelać z kuszy.

– Po co ci dwa łuki? – spytała.

– Dobre pytanie. Strzały zrobione specjalnie do jednego z nich nie będą trafiać w cel, jeśli wystrzelę je z drugiego. Dla jednego bowiem promienie są zbyt miękkie, a dla drugiego zbyt sztywne.

– Skąd wiesz?

– Nauczyłem się. Są takie rzeczy, które muszą działać w harmonii z innymi. Choćby ty i Amparo, i Grymonde, i Grégoire, i ja. Ale są i takie, które nie muszą.

Grymonde uśmiechnął się. Może tak działały nieśmiertelne bryłki – choć w to wątpił – ale miał wrażenie, że jeszcze nigdy nie dostał w życiu takiego poczucia harmonii. Dłoń La Rossy wysunęła się pomiędzy jego palców i znowu został sam, ale nie miał jej tego za złe. Czerń zakrył bez reszty obraz, który pojawił się w jego głowie.

Właściwie nie zastanawiał się jeszcze, jak wygląda Tannhäuser.

Nigdy go przecież nie widział.

A teraz już wiedział.

Tannhäuser był Śmiercią.

Grymonde roześmiał się w głos.

W jego śmiechu było widocznie coś zaraźliwego, bo Tannhäuser także się zaśmiał.

Najwyraźniej potrzebowali właśnie tego. Nawet Grégoire dołączył, a potem i La Rossa zachichotała, a była to wizja nadzwyczaj słodka.

– Zbliża się czterech – zameldowała La Rossa. – Jeden niesie latarnię.

– Są uzbrojeni? – spytał Grymonde.

– Dwaj mają kusze, takie jak nasza, a wszyscy miecze, pałki i noże.

– Hełmy?

– Wszyscy je mają. Dwaj włożyli też napierśniki.

– Wyglądają na łajdaków? Na *bravos*?

– Tak. *Sergent* trzymający straż u drzwi właśnie ich pozdrowił. Nie odpowiedzieli.

Grymonde poczuł spokój – i może tak było lepiej, ponieważ zupełnie nie miał pojęcia, co robić. Tannhäuser udał się na rekonesans, by zbadać tyły domu le Telliera, uprzednio wysławszy Grégoire'a z misją znalezienia konia i wozu. Grymonde i La Rossa zostali za płotem zagrody dla bydła, niedaleko od bramy.

– Jeżeli wejdą do środka – powiedziała Estelle – to Tannzer nigdy nie dotrze do Carli.

Grymonde nie był tego taki pewny, ale musiał przyznać, że pojawienie się czterech *bravos* to niekorzystna okoliczność.

– Mogę jednego zastrzelić – ciągnęła La Rossa – a wtedy ruszą za nami. Mamy pistolet, więc mogę zabić drugiego, a może i trzeciego. Wtedy rzucimy się do ucieczki tam, skąd przyszlismy. Będą nas ścigać.

W normalnej sytuacji Grymonde uznałby ten plan za nierozważny, nawet wedle własnych standardów. Teraz jednak, odkąd ogarnął go ów głęboki spokój, niemal wierzył w jego powodzenie.

– Nie mogę uciekać – odpowiedział. – Ale ty i strzyżyk możecie. Obiecuj, że to zrobicie.

– Prędko – syknęła La Rossa. – Zaraz wejdą po schodach.

Poczuł, że założyła belt. Zrobił krok naprzód i uniósł kuszę w lewej ręce, nieco w bok od ciała, opierając dźwignię o biodro, tak jak to wcześniej wyćwiczył. Poczuł ramię Estelle oparte o swój brzuch. Mały strzyżyk zakwilił z wnętrza skórzanego bukłaka. Ojcowie i córki, pomyślał. Czy kiedykolwiek istniały takie pary jak oni?

– Jestem z ciebie tak dumny jak Tannhäuser ze swojej małej ptaszyny... Nie, chyba jeszcze bardziej.

– Milcz. Tannzer zastrzelił jednego. Trzymaj mocno. Drzwi się otwierają. Zastrzelił drugiego... nie, dwóch jedną strzałą: przeszła najpierw jednego, a potem drugiego. Drugi jednak żyje. Trzymaj mocno!

Grymonde zacisnął dłoń na łożu kuszy, ale Estelle mogła swobodnie kierować jego ramieniem. Świsnął belt. Przez brzęk ciężki usłyszeli okrzyk bólu i strachu.

– Naciągnij, prędko, naciągnij!

Grymonde schylił się i wbił palce stóp w strzemię.

– Mów, co widzisz.

– Tannzer zaatakował. Ciął w szyję jednego z *bravos*, tego rannego od strzały. *Sergent* pobiegł w stronę drzwi, żeby się schronić w środku, ale Tannzer dopadł i jego. Teraz nie mogą domknąć drzwi, bo ciało przeszkadza. A on... on wpadł do środka, widzę tam zbrojnych, ale nie wiem ilu. A teraz już nic nie widać.

Grymonde oburącz naciągnął ciężką, a gdy usłyszał ciche kliknięcie orzecha, wrócił do poprzedniej pozycji i natychmiast poczuł, że La Rossa zakłada nowy belt. Ale co się stało z ostatnim z czterech *bravos*?

– Trafiłaś jednego z nich?

– Tak. Ale jeszcze próbuje odpełznąć. Dobiję go...

– Zaczekaj. Jest niezdatny do walki, a ty nie powinnaś marnować strzał.

– Słusznie. O, znieruchomiał. I znowu pełźnie, ale jakby wolniej. Chyba jednak umrze. Jest i Tannzer! Wychodzi! – Estelle zachichotała. – Rąbnął tego pełzacza żelazną maczugą w łeb. A teraz wciąga po stopniach dwa ciała, już są za progiem.

– Trzeba mu przyznać, że zna się na tej robocie.

– Znowu wyszedł. Odchodzi. Wraca... Nie, tylko podniósł swój łuk, widać wcześniej go zgubił. Pomachał nim do mnie.

– Salutuje ci. Ocaliłaś jego głowę.

– Ciągnie ostatnie dwa trupy. Już wszyscy są w środku. Zamknął drzwi.

Grymonde poczuł, że wypuściła z rąk kuszę. Otoczyła go ramionami w talii i oparła głowę o jego brzuch. Uniósł kuszę wysoko. Czuł, że Estelle drży.

– Uważaj na strzyżyka. Ty płaczesz?

– Nie – odpowiedziała, odstępując o krok.

Wyciągnął rękę przed siebie.

– Gdzie jesteś?

– Od strony rzeki nadchodzi kolejny *sergent*. Zmierza prosto do domu.

Grymonde jeszcze się zastanawiał, gdy La Rossa wpadła na pomysł.

– Przygotuj się. Gdy znajdzie się przy latarni, tej nad schodami, strzelę do niego.

Grymonde opuścił kuszę i znowu poczuł, że Estelle nią kieruje.

– To *sergent* Rody.

– Rody? Durny lajdak.

– Prowadzi kogoś za ramię. Jakiegoś chłopca... Czeka, to przecież Hugon!

– Nasz Hugon?

– Każ mu uciec. Krzycz, głośno! Prędeej.

Grymonde wziął głęboki wdech.

– Hugon! – ryknął. – Biegnij, jeśli ci życie miłe! – Poparzona twarz omal mu nie eksplodowała.

– Trzymaj równo! – krzyknęła La Rossa.

Naprężył mięśnie, a cięciwa zaśpiewała.

– Trafiłam Rody'ego powyżej nóg... Chyba w jaja. Padł na schody.

– Zabierz mnie do niego, szybko. Dobry strzał, La Rosso, dobry strzał.

– Hugon już idzie.

Grymonde machnął kuszą i uderzył w ogrodzenie. Pochylił się, by postawić ją na ziemi, wspartą o płot. Poczuł, że Estelle wyciąga pistolet zza jego pasa. Zaraz potem kliknął kurek.

– Nie zabijaj go.

– Nie zabiję.

Estelle chwyciła Grymonde'a za palec wskazujący i pociągnęła za sobą.

– Rody, powiadasz? – mruknął. – Małe rybki bywają najśłodsze.

– Grymonde?

Sądząc po głosie, Hugon był skrajnie przerażony. Ciekawe dlaczego, pomyślał kwaśno Infant.

– Cały jesteś, chłopcze?

– Cały.

– Odbierz Rody’emu nóż i łuk, tylko uważaj. I podprowadźcie mnie do niego.

La Rossa wskazała mu kierunek. Usłyszał bolesciwe stękanie, a gdy ostrożnie wysunął stopę przed siebie, trafił na nogę rannego.

– Jezu Chryste wszechmogący na krzyżu!

Nawet jeśli Rody stał oko w oko ze śmiercią, zgroza w jego głosie wydawała się przesadna. Grymonde przypomniał sobie nagle o dziurach we własnej twarzy. Niezły widok, pomyślał. Gdy się uśmiechnął, Rody krzyknął ze strachu.

Grymonde opadł na kolana i poczuł, jak ciało strażnika łagodzi lądowanie, a gdzieś w jego wnętrzu pękają kości. Poczul palce sięgające mu do gardła, ale bez trudu chwycił nadgarstek Rody’ego i wykręcił go, a potem dalej wyżywał w rękach, czując, jak pękają kolejne kości, aż wreszcie całe ramię stało się bezwładne i bezkształtne jak worek żwiru. Znowu poczuł w twarzy ogień, który tym razem uniósł go spiralą ekstazy. Z kolejnych kilku chwili zapamiętał niewiele, miał tylko ogólne wrażenie, że coś podobnego strukturą do wiklinowego kosza ustępuje pod jego pięściami, a potem coś przypominającego cynowy dzbanek pęka w zderzeniu z kamieniem i staje się dziwnie mokre. Poczul też, że zbryzgane krwią włosy lepią mu się do rąk. Dopiero głos La Rossy przerwał ową spiralę ekstazy – Grymonde w jednej chwili odzyskał spokój, bodaj najgłębszy, jakiego doświadczył w swoim życiu.

Wstał i zachwiał się nieznacznie.

– Hugonie? Jesteś tu? Włóż mi do ręki kostkę Rody’ego. La Rossa, prowadź.

Zaciągnął zwłoki strażnika do zagrody.

Estelle podała mu kuszę.

– Hugonie – rzekł, naciągnawszy cięciwę. – Czas na wyjaśnienia.

– Szedłem za Carlą i jej violą. Od samych Podwórz.

– I dałeś się złapać Rody’emu? – Grymonde parsknął śmiechem; dobrodusznym, jak mu się wydawało. – No, ale i tak dobrze się spisałeś. I nic się nie martw: Tannhäuser jest już w środku, uwolni Carlę.

– W środku czego? – spytał Hugon.

– Hugonie, dlaczego masz mokre ubranie? – spytała La Rossa.

– Domu le Telliera, a czegoż by innego? – Grymonde nadal był spokojny, choć nieco zdezorientowany. – Jak to mokre?

– Carli tam nie ma – oznajmił Hugon.

Grymonde znowu się roześmiał; chłopak miał prawo odegrać się za drwinę.

– Bądź cicho – skarciła go La Rossa.

– Hugon żartuje.

– Nie, nie żartuje. Hugonie, skoro Carli nie ma w domu le Telliera, to gdzie jest?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Anioł

Anioł obserwował Tannhäusera przy drzwiach domu i naturalnie wiedział, że nie znajdzie w środku tego, na czym mu tak zależy. Nie odnajdzie Graala, którego tak usilnie poszukuje, nie rozwikła zagadki, której rozwiązania szukał przez całe życie, podczas gdy ono kryło się w jednym miejscu, do którego ani myślał zajrzeć: w jego własnym wnętrzu. W domu le Telliera mógł znaleźć tylko powody do urządzenia kolejnej rzezi. I Tannhäuser był gotów ją urządzić – bez wahania, ale i nie bez strat.

Dlatego Anioł był smutny.

Tannhäuser nie cenił zbyt wiele swego życia, zapewne dlatego, że je posiadał. Czuł się urażony faktem, że je posiada, podczas gdy wielu szlachetniejszych i łagodniejszych od niego ludzi już się tym przywilejem nie cieszy i wręcz na jego oczach kolejni są zeń rabowani. Ta niesprawiedliwość, ta skaza w logice istnienia była grzechem, który miał zabrać ze sobą do grobu, a może i dalej.

Jakby tego było mało, miał czelność grać życiem tych, dla których był gotów umrzeć. Grał życiem tych, dla których gotów był unicestwić świat, a wraz z nim – ich życie. Jednak ten brak logiki istnienia, choć może nie oczywisty – a Anioł nie uważał się za autorytet w tych sprawach – nie budził w Tannhäuserze takiej odrazy. On bowiem wiedział, z sobie jedynie wiadomych źródeł, że istnienie to coś więcej niż tylko życie.

Gotów był pozwolić, by jego córka, Amparo, przejechała przez samo serce piekła – które, spośród wszystkich istot śmiertelnych i nieśmiertelnych, wyłącznie ludzie mogli sobie zgotować – w ramionach małej ulicznicy, na barkach oślepiętego potwora. A wszystko to tylko dlatego, iż wiedział – choć nie umiałby powiedzieć skąd – że jego dziecko, które ledwie pół dnia wcześniej przyszło na świat, zna już doskonałość istnienia, ekstazę i piękno miłości, a także Panią Życie – nawet jeśli nie ma najbliższego pojęcia o świecie.

Wszystkie zaś zakłady znalazły się na Kole Fortuny, a ponure uczynki, z których je wykuto, były dla Tannhäusera wyrzutem sumienia, dręczyły go, jakby to jego własne członki połamano i umieszczono na rzeczonym Kole. Lecz i o tym bólu nikt nie wiedział, bo on sobie tego nie życzył. Odsłonić prawdę oznacza bowiem zdobyć współczucie, a tą marną walutą Mattias gardził, gdyż tylko go osłabiała. I dlatego nie wiedział nikt prócz niego i, rzecz jasna, aniołów.

W tak nędznym królestwie nikt inny nie miał dość odwagi, by posiąść tę wiedzę albo pozwolić sobie na taki hazard. Tannhäuser miał jej dostatecznie dużo i właśnie to – a nie talent i wiedza o wojaczce ani znajomość ludzkich charakterów – czyniło go prawdziwie przerażającym stworzeniem. Nikt inny nie mógł też znieść nawet myśli o utracie własnej duszy, bo kosztowałoby go to więcej niż tylko jej utratę: postradałby także rozum.

Anioł był Miłością, jak wszystkie anioły, te wyniesione i te upadłe, te o białych skrzydłach i te o czarnych. Taki był cel ich istnienia. Nie było nim natomiast przewidywanie przyszłości, lecz i tak Anioł wiedział, że w jednym Tannhäuser się nie myli.

Nie było mu pisane umrzeć w Paryżu.

Koło Fortuny nie było dla niego aż tak łaskawe.

Anioł znał tego drugiego – Anioła o Czarnych Skrzydłach, który czuwał nad Mattiasem. Kochał go nawet ze wzajemnością; razem zaś kochali Tannhäusera i Carlę – nie tylko dlatego, że byli aniołami i nie mieli innego wyjścia, ale dlatego, że każdy na swój sposób zapalał do nich miłością, ledwie ich ujrawszy. Do obojga. A może: do wszystkich. Anioł wiedział, że tak było, ale nie umiał tego wyjaśnić. Być może Anioł o Czarnych Skrzydłach znał odpowiedź, bo w przeciwieństwie do niego był błyskotliwy. Anioł wiedział jedynie, że Tannhäuser kochał tamtą Amparo, którą był, dawniej i teraz, choć nigdy jej tego nie powiedział.

Amparo grywała przeróżne role. Wysoko w górach baraszkowała między walczącymi bykami. Tworzyła muzykę z Carlą, tam gdzie muzyka była cenniejsza od rubinów. Nago płynęła przez dym ze spalonego prochu i morze krwi, by z rozkoszą gościć go w sobie i tym samym dawać mu rozkosz. Była też drogą, którą Tannhäuser pokonał, by znaleźć w sobie siłę do kochania Carli. Podobnie osobliwe drogi pokonała Carla, by pokochać Tannhäusera. A teraz mały słowik kwilił beztrosko w bukłaku, w wątych, lecz dzielnych ramionach dziewczynki z ulicy, dziewczynki jakże podobnej do tej, którą Anioł był za życia.

Jak pięknie.

Zastanawiał się, czy i Tannhäuser nie jest kimś w rodzaju anioła, wypełniał przecież bardzo podobną misję: próbował przeprowadzić te dzieci przez piekło. A jeśli tak, to jakiej barwy były jego skrzydła? Anioł roześmiał się głośno, aż Estelle zamknięta w bydłcej zagrodzie odwróciła się ku niemu z pytającym spojrzeniem.

Jest moją krwistoczerwoną różą.

– Kto jest twoją krwistoczerwoną różą? – spytała Estelle.

Tannhäuser.

– Naturalnie – odpowiedziała dziewczynka.

Czerwień to kolor skrzydeł mojej prawdziwej miłości.

– Och, tak bym chciała je zobaczyć.

Kiedyś zobaczysz, ale nie dziś.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Kuglarz

W holu domu Marcela le Telliera Tannhäuser pochylił się kolejno nad ciałami pokonanych, by poszukać oznak życia. Nie znalazł ani jednej. Półżywy *sergent* mógłby się do czegoś przydać, niestety, tego dnia Mattias zadawał wyłącznie śmiertelne rany. Przez chwilę nasłuchiwał, ale we wnętrzu panowała absolutna cisza. Konający zwykle wzdychali i modlili się, ale nie krzyczeli; krzyczeć mogli ci, którym śmierć zadano niewprawnie, lecz leżący w holu zostali zabici wręcz wzorowo. Nie mieli powodu, by wołać o pomoc, bo to oni mieli być pomocą. Umarli ciszej, niż żyli.

Tannhäuser zablokował drzwi frontowe, po czym odnalazł tylne i uchylił je. Wciągnął zwłoki strażnika, któremu strzelił w pierś, zanim jeszcze natknął się na ulicy na czterech *bravos*. Z jego piersi wyciągnął nieuszkodzone szydło.

Dziewięciu ludzi.

Le Tellier musiał czuć się niepewnie, skoro potrzebował aż tylu; teraz jednak sądził chyba, że jest bezpieczny.

Tannhäuser pomyślał, że przydałby mu się własny wartownik, na wypadek niezapowiedzianej wizyty, ale wołał, by Estelle i mała Amparo nie przekraczały progu tego domu. Zdjął z pleców rogowy łuk Altana i wraz z kołczanem pełnym strzał o szerokim grocie powiesił go na balustradzie u podnóża schodów. Wątpił, by znalazł się w tym mieście ktoś jeszcze zdolny naciągnąć tę ciężką, pokrytą, jak zauważył przy okazji, kroplami krwi w miejscu, w którym przecinała jego pierś. Wytrzeł ją do czysta palcami, a potem sięgnął po kuszę, którą wciągnął do domu wraz z jednym z zabitych *bravos*. Naciągnął ją i załadował, a za pas wetknął sobie kilka bełtów na zapas. Łuk Frogiera wciąż nosił na lewym ramieniu.

Pospiesznie przeszukał wszystkie pomieszczenia na parterze.

Były puste, z wyjątkiem jednego, zamkniętego na klucz. Nad progiem nie było smugi światła; jeśli ktoś postanowił dla bezpieczeństwa zamknąć się w ciemności, postąpił roztropnie. Tannhäuser odpuścił. Sięgnął jeszcze po maczugę ze stalowymi kołnierzami, tę samą, którą wcześniej otworzył czaszkę konającego *bravo*.

Wszedł po schodach na piętro.

Drzwi. Ciemność. Cisza. Nie zakłócił jej.

Ruszył na południe korytarzem, którego poszerzony koniec pełnił funkcję przedsiönka gabinetu. W blasku świec widać było drzwi ze złożonym emblematem

przypominającym muszlę. Nasłuchiwał przez chwilę: zza drzwi dobiegał piskliwy głos. Mały Christian. Tannhäuser czekał.

Na miejscu le Telliera zatrzymałby przy sobie przynajmniej jednego gwardzistę. A może dwóch? Nie, dwóch uwłaczałoby jego godności. Jeden bardziej przydałby się na parterze. Poza tym należało się spodziewać, że le Tellier polecił Małemu Christianowi, by osobiście otwierał drzwi – a otwierały się do środka, z zawiasami po prawej stronie. Jeśli gwardzista znalazł się na swoim rzemiośle, czekał w środku, naprzeciwko wejścia, z pistoletem albo kuszą gotową do strzału. Gdyby jednak to on otworzył drzwi, byłoby jeszcze lepiej.

Tannhäuser oparł maczugę o ościeżnicę, po czym zdjął z pleców łuk i kołczan. Nie mógł za wiele zrobić ze swym akcentem; w grę wchodziło co najwyżej podniesienie głosu o pół oktawy i ewentualne stłumienie go, które mogłoby być odebrane jako oznaka uległości. Chwyciwszy kuszę lewą ręką, zapukał dwukrotnie, dość lekko, jakby nieśmiało.

– Ekscelencjo, za pozwoleniem: nowi ludzie przybyli.

Cofnął się o krok, lewą, wysuniętą do przodu nogę zostawiając tuż przy krawędzi drzwi. Zapasowy bełt chwycił zębami – i czekał. Drzwi otworzyły się po chwili. Tannhäuser kopnął Małego Christiana w kość łonową i od razu poczuł, że ustąpiła pod ciosem. Dworski sługus poleciał na plecy, odsłaniając strażnika, który właśnie mierzył w drzwi z arkebuzą, stojąc w kącie na drugim końcu gabinetu.

– Baro!

Tannhäuser pozwolił sobie udawać cel do chwili, w której zobaczył błysk płomienia na panewce, a wtedy odskoczył z powrotem za ścianę. Huk wystrzału niewątpliwie oszołomił tych, którzy znajdowali się w środku. Gdy tylko kula rozpląszczyła się na murze, Mattias znowu stanął na progu i wycelował z kuszy.

Baro właśnie próbował wydostać się z obłoku dymu uparcie unoszącego się w powietrzu po jego strzale, gdy bełt przebił prawą część jego łędźwi.

Tannhäuser natychmiast przydepnął strzemię i naciągnął cięciwę, po czym ułożył nowy bełt. Teraz dopiero rozejrzał się po gabinecie i raz jeszcze popatrzył na zewnątrz. Christian zwijał się na podłodze, a łysy mężczyzna, w złotym łańcuchu zdobionym powtarzającym się motywem muszelek sercówki, siedział za biurkiem z polerowanego dębu, obiema rękami zasłaniając uszy. Drugiego gwardzisty nie było, tylko Baro, który uwiesił się podokiennika. Tannhäuser sprawdził też pusty kąt za otwartymi drzwiami. Wreszcie wycofał się, by zabrać łuk, kołczan i maczugę.

Obszedł Christiana, który kaszlał i wymiotował jednocześnie, a także łysego, który siedział tak nieruchomo jak popiersie Nerona stojące na blacie. Postawił kuszę, łuk i kołczan

pod ścianą, a potem z półobrotu trafił maczugą w kark krwawiącego Bara. Czując, że stalowe kołnierze wbiły się należycie między kręgi, poruszył trzonkiem, by rozdzielić je jak najszerszej. *Sergent* Baro padł jak rażony gromem i tylko jego ręce dygotały spazmatycznie. Tannhäuser odwrócił się.

Był w gabinecie z Marcelem le Tellierem.

Jeśli wziąć pod uwagę to, ile problemów wywołał, człowiek ten raczej rozczarowywał swą prezencją.

Tannhäuser nie znalazł w jego twarzy niczego interesującego. Była w niej może pewna doza inteligencji, może trochę próżności, może powagi – nabytej lub wywołanej stresem. Nie było w niej jednak żadnych cech, których nie widziałby wcześniej w twarzach tysiąca urzędników handlujących życiem w zamian za okruchy władzy, po którą nie byli w stanie sięgnąć innym sposobem. Jeżeli był w oczach le Telliera cień nienawiści, to skutecznie wybielony głębokim niedowierzaniem – nawet bardziej niż strachem. Nie odważył się odwzajemnić śmiałego spojrzenia Tannhäusera. Sięgnął po puchar z winem, ale zatrzymał rękę w pół drogi. Wydawał się oszołomiony tym, że jego cytadela – nie tylko dom, ale i zawodowy prestiż – została wzięta tak brutalnie i tak łatwo. Wreszcie spojrzął przez smugi dymu na tors Tannhäusera, zakrwawiony od gardła po klamrę pasa.

Mattias otworzył okno, by uwolnić wnętrze od prochowych oparów, po czym wyrwał z arkebuzy dymiący lont, zamek roztrzaskał maczugą, a całość wyrzucił. Budynek wznosił się na trzy piętra nad poziom ulicy, ale z tego skrzydła zagroda dla bydła była niewidoczna. Uwagę Tannhäusera przykuły wrzaski, pokrzykiwania oraz psalm śpiewany chórem drżących głosów.

Spojrzął w kierunku Sekwany.

Zabudowa sięgała w tej okolicy aż po brzegi rzeki, ale z tego okna widać było puste nabrzeża oraz wyspę, a na niej masyw *Conciergerie* oraz wąski pasek plaży oświetlonej księżycową poświatą. Poziom wody był wysoki po niedawnej letniej burzy. Na piaszczystym brzegu widać było – pod licznymi sztandarami i pochodniami – gorliwych członków katolickiej milicji, bez reszty pochłoniętych mordowaniem hugenotów i wrzucaniem ich ciał w spieniony nurt. Tu i tam oprawcy grupkami klęczeli wokół tej czy innej ofiary rzuconej na mokrą ziemię i gwałcili ją kolejno. Skazanych na śmierć pędzono pikami w żałośnie małych gromadach, rodzina za rodziną. Dobrze widzieli, jaki czeka ich los.

Tannhäuser miał tego dość. Kielkowało w nim podejrzenie, że wszelkie formy odbierania życia są w gruncie rzeczy takie same, a ci, którzy oddają się śmierci bez walki, woląc bronić swej duszy, a nie ciała, są prawdziwymi mędrkami. Nawet najdłuższe życie jest

wszak jak sen o poranku, gdyby zmierzyć je rytmem majestatycznych obrotów świata. Tyle że Tannhäuser jakoś nie miał w sobie dość ciepłości, by wyznawać takie credo. Jego sen był zdecydowanie zbyt zajmujący, by można było tak brutalnie go przerwać. Uwielbiał swój sen. Nawet w tej chwili. A może po prostu kochał śmierć, a żeby ją kochać, musiał oddychać? Bardziej prawdopodobne było jednak to, że zwyczajnie brakło mu mądrości.

– Jak śmiesz, monsieur? Nie wiesz, kim jestem? To mój dom. – Le Tellier mówił i wyglądał jak oskubana wrona.

Tannhäuser pochylił się, chwycił Bara za kaftan i pas, przeniósł trzy kroki dalej i cisnął brzuchem na biurko. Ramiona konającego wciąż jeszcze drżały.

– Wiem, kim jesteś – odparł Mattias. – Ale dom jest już mój.

Zamachnął się maczugą i uderzył Bara w głowę. Skóra pękła jak koronka, a sklepienie czaszki zapadło się wzdłuż niewidocznych szwów. Krew i wielce nieapetyczna galareta trysnęły na twarz le Telliera, który cofnął się odruchowo, zasłonił oczy i momentalnie poczuł w ustach smak żółci.

Mały Christian podniósł się tymczasem na kolana i łokcie, tęsknie spoglądając na drzwi. Tannhäuser odłożył maczugę, znowu dźwignął Bara i rzucił go wprost na dworskiego funkcjonariusza, niczym bezwładnego, dogorywającego sodomitę. Odwróciwszy się, oparł dłoń na biurku.

Broda le Telliera była nakrapiana kawałkami mózgu jego ostatniego obrońcy. Ciche pierdnięcie oznaczało, że lęk odebrał mu kontrolę nad zwieraczem. Jego umysł albo wyłączył się całkowicie, albo dokonywał tyleż gorączkowych, ile daremnych kalkulacji. *Lieutenant criminel* nie ośmielił się spojrzeć na swego ciemiężcę. Tannhäuser huknął maczugą w blat, posyłając w stronę le Telliera jeszcze kilka strzępów szarej materii.

– Widzę, że nosisz łańcuch rycerski. Oddaj mi go. Źle leży na piersi tchórza.

– Z honorem służę Zakonowi Świętego Michała.

– Właśnie go obsrałeś. Zdejmuj.

Le Tellier uniósł łańcuch nad głowę z takim trudem, jakby ciężar był ponad jego siły.

Tannhäuser nie spodziewał się tak słabego przeciwnika. Le Tellier zapewne jednak nie miał do czynienia z przemocą od dobrych dwudziestu lat, kiedy to zdarzało mu się jeszcze być rozjemcą w targowych sporach, a z przemocą równie krwawą – raczej nigdy. Władza, którą zdobył, odebrała mu wolę. Jak większość zasiadających na złoconych tronach i posyłających innych na śmierć pewnie nie znosił widoku krwi. Tannhäuser zarzucił sobie łańcuch na szyję. Złote muszelki unurzały się we krwi na jego piersi.

– Twoja fałszywa godność to już przeszłość – powiedział – podobnie jak wszystko inne, co kiedykolwiek kupiłeś albo wymusiłeś. Zawiodłeś pod każdym względem. Zrujnowałeś sam siebie. A wszystko to przez wzgląd na mnie.

Le Tellier po raz pierwszy spojrział mu w oczy, a gdy przemówił, zabrzmiało to tak, jakby wywoływał ducha, który z dawien dawna nękał najgłębsze zakamarki jego umysłu.

– Mattias Tannhäuser.

– Przypuszczam, że cała ta wojna toczy się o jakąś rzekomą krzywdę, którą ci wyrządziłem.

– Gdy fakty są niezaprzeczalne, przypuszczenia nic nie znaczą.

– Zatem to sprawa osobista, a nie politycznej czy prawnej natury?

– Ludzkich praw nie dotyczy – odparł le Tellier. – Ale sprawiedliwości naturalnej jak najbardziej...

– Wobec tego nikt wyższy rangą nie ma pojęcia o tym, co się wydarzyło?

– Nikt prócz Boga i diabła.

Tannhäuser nie potrzebował innych wyjaśnień z ust Marcela le Telliera.

– Żaden z nich nie przegrał dotychczas stawki, którą na mnie postawił.

Wziąwszy maczugę do ręki, Mattias obszedł biurko i stanął przy zdobionym krześle.

– Sprawilem, że ją oplakiwałeś – powiedział le Tellier. – Byłeś w żałobie. – Nienawiść nareszcie przebiła się przez pokłady przerażenia.

Tannhäuser skinął głową.

– Tak było. Przeżyłem dzień takiego bólu, jakiego nie zamieniłbym na całe złoto Paryża. Zdobyłem przyjaciół, za których gotów jestem umrzeć. Nauczyłem się rzeczy, za które warto zginąć. Przebrnąłem przez trzewia piekieł, by ujrzeć twarzyczkę mojej nowo narodzonej córki. A co się tyczy Carli, sprawileś, że pokochałem ją z nową siłą.

Le Tellier przez chwilę rozważał te słowa, a nienawiść w jego oczach stopniowo zmieniała się w głęboki smutek, tak że przynajmniej przez moment można było go wziąć za zupełnie innego człowieka.

– Za to wszystko jestem twoim dłużnikiem – dodał Tannhäuser.

To rzekłszy, położył dłoń na ustach le Telliera i uderzył maczugą w wierzchołek jego lewego ramienia. Stalowy kołnierz praktycznie odciął staw – główka kości ramieniowej załśniła upiornie, a ramię zwisło bezwładne i drżące. Potworny ból w rozrywanych nerwach sprawił, że le Tellier szarpnął się gwałtownie na aksamitnym siedzisku, a flegma z jego nosa trysnęła na dłoń Tannhäusera. Dowódca paryskiej policji spróbował wstać, ale ból był zbyt silny, podobnie jak dębowe ręce oprawcy.

Mattias cofnął dłoń i strząsnął z niej ohydny galaretę. Obszedł krzesło dookoła. Le Tellier wstrzymał oddech, a wtedy dłoń znowu zatkała mu usta, by nie krzyczał, gdy maczuga w identyczny sposób pozbawiła go władzy w prawym ramieniu. Tannhäuser w zasadzie nie był pewny, po co ucisza swą ofiarę – tej nocy miasto znowu krzyczało. Kto mógłby się domyślić, że ten konkretny ryk wyrwał się z płuc największego tutejszego oprawcy? Maczuga spadła na kolano le Telliera, który w agonicznym bólu zakołysał się na swym tronie. Tannhäuser położył broń na biurku i zerwał białą kryzę z szyi dygnitarza. Spory jej kawałek udało mu się wepchnąć do jego ust.

Teraz wrócił po kuszę.

Stanąwszy znowu przed le Tellierem, chwycił jego lewą dłoń i położył płasko na blacie. Ranny omal się nie udławił, czując gwałtowny ból w rozprutym stawie, ale nie stawiał oporu – bo nie mógł. Tannhäuser przycisnął jego dłoń strzemieniem pionowo ustawionej kuszy.

– Gdy stąd wyjdę, zapomnę o tobie. Za kilka tygodni zapomną też wszyscy, którzy cię kiedykolwiek znali. – Położył prawą dłoń na lewej i obie docisnął strzemieniem. – A już za parę dni ktoś inny zasiądzie na tym złoconym tronie, bo gdy tron jest nagrodą, tylko on się liczy, nie liczy się natomiast ten, kto sadza na nim swoją dupę.

Wycelował i nacisnął spust. Bełt z suchym trzaskiem przebił dwie dłonie i wszedł głęboko w gruby dębowy blat. Ból le Telliera zapewne nie był tak wielki jak po ciosach maczugą, ale jego spojrzenie było dla Mattiasa dostateczną nagrodą.

– A ty już nie potrzebujesz tronu. – To rzekłszy, Tannhäuser przewrócił pozłacane, obite aksamitem krzesło.

Bełt oczywiście wytrzymał: le Tellier runął na podłogę i zawisł na wyrwanych ze stawów ramionach, nienaturalnie skręcony, niczym na wpół ubite bydlę w rzeźni sadysty.

Tannhäuser załadował kuszę i zostawił swego gospodarza w paroksyzmie bólu.

Rozejrzał się dokładnie, a potem przez chwilę nasłuchiwał u podnóża schodów wiodących na kolejne piętro. Piętnaście pokoi. Nie licząc obscenicznych jęków dobiegających z gabinetu le Telliera, w domu panowała specyficzna cisza, która mogła oznaczać tylko jedno: ktoś bardzo chciał się ukryć. Jeżeli huk wystrzału nie wywabił tych, którzy tu jeszcze zostali, oznaczało to, że już nie uciekną. Jeśli zaś mieli rozkaz zabić Carlę w takim wypadku, już to uczynili. Jednakże tak ślepy rozkaz wydawał się bezsensowny, a jeśli go nie wydano, nikt nie ośmieliłby się uśmiercić zakładniczki.

Tannhäuser zszedł do holu, otworzył drzwi frontowe i wyjrzał na ulicę. Cisza i spokój. Pomachał w stronę zagrody, by dać znać swoim, że wszystko jest w porządku.

Szczupła ręka odpowiedziała mu takim samym gestem. Na powrót zamknął starannie drzwi i przeszedł do kuchni. Znalezione tam kosze napełnił tym, co znalazł w zasięgu wzroku: wziął spory kawał baraniego udźca, kawałki sera, wędzoną szynkę i kielbasy ze spiżarni, słoiki ogórków oraz chleb. Postawił kosze przy drzwiach frontowych i wrócił po baryłkę wina.

Znowu zajrzał do gabinetu.

Le Tellier wiał się, zwisając z biurka, po nieudanej próbie wstania na jedynym zdrowym kolanie – nie starczyło mu woli, by zaprzeć się, rozciągając rozerwane stawy. Christian wciąż dyszał, leżąc pod trupem, mocno nasiąknięty tym, co wypłynęło z czaszki Bara.

– Wstawaj.

– Proszę cię, panie, ja nie mogę oddychać...

Tannhäuser kopniakiem zrzucił z niego zwłoki.

Mały Christian podpełzł do jego stóp, jakby chciał je ucałować, a potem spróbował wstać, co ze złamaną kością łonową nie było łatwe. Miał zmoczone spodnie.

– Zaprowadź mnie do mojej żony – rozkazał Tannhäuser.

– Ależ panie, ekscelencjo, to niemożliwe. Nie ma jej tu.

– A gdzie jest?

– Panie, gdy ją tu przywieźliśmy, nie chciała nawet zejść z wozu. Przypomniała kapitanowi Garnierowi, że jest jej obrońcą. Stwierdziła też, że jest wolną kobietą, nieoskarżoną o żaden występki, więc jeśli kapitan nie udzieli jej schronienia, powinien przynajmniej wywieźć ją jak najdalej od tego przeklętego miejsca i zostawić na ulicy.

Tannhäuser słuchał uważnie niepomyślnych nowin.

– Przynieś mój łuk i kołczan. Jedno i drugie masz nieść na lewym ramieniu.

Christian oddalił się bez słowa.

Tannhäuser wyobraził sobie, jak Garnier zgrzyta zębami, słuchając pogardliwych zarzutów Carli. To było inteligentne posunięcie, ale bez względu na to, jak sprawnie pracował umysł jego żony, Tannhäuser wiedział, że trudy porodu musiały ją wyczerpać, że jest w istocie delikatną istotą. Nawet nie próbował sobie wyobrazić, co czuła od tak wielu godzin. Była świadkiem scen tak strasznych, że zdecydowała się powierzyć nowo narodzone dziecko dziewczynce z dzielnicy nędzy. Istniało tylko jedno wyjaśnienie tego kroku: spodziewała się rychłej śmierci. Teraz zaś, gdy została bez dziecka, musiała przechodzić straszliwe katusze.

Tannhäuser z trudem przełknął ślinę.

Mały Christian, który właśnie wracał, zauważył wyraz jego twarzy i instynktownie cofnął się o dwa kroki.

– Nie bój się, pisarzyno. Jeśli dasz mi dobry powód, nie zabiję cię. Dokąd zabrał ją Garnier?

– Ma piękny dom na północnym brzegu Cité, w pobliżu mostu Wymiany. Obiecał jej wszelkie wygody, jakie tylko zdołają jej zapewnić jego służby oraz żona.

– Ochrona? Straże?

Christian nie mógł się skupić, słuchając upiornego gulgotu swego niedawnego pana.

Tannhäuser spoliczkował go dość lekko. Christian zachwiał się, ale ustał.

– Nie rozmawiano o zabezpieczeniach, panie. Domyślam się, że dla spokoju ducha twojej żony sprowadzono tam milicjanta lub dwóch. I tak nikt nie ośmieliłby się uderzyć na dom Garniera. Nikt nie ma powodu.

– Czy Garnier wie, że jestem mężem Carli?

– Nie było powodu, by go o tym informować. Tylko Dominic wie i my trzej, tu, w domu.

Tannhäuser spoliczkował go po raz drugi. Tym razem Christian padł na podłogę, wijąc się z bólu.

– Nigdy nie wliczaj mnie, kiedy mówisz „my”.

– Wybacz, panie.

– Dominic nie był zachwycony, prawda?

– Nie miał powodu, żeby zaprotestować, ale i tak próbował. Osobiście starałem się go powstrzymać.

– Gdzie jest teraz Dominic? Gdzie jego muszkietery?

– Nie wiem.

Tannhäuser nie wierzył w to, ale tę sprawę – i kilka pomniejszych – mógł zostawić sobie na później.

– Czy Stefano nadal towarzyszy Orlandu?

Christian zamrugał nerwowo.

– Stefano nie odstępował go na krok. Dobrze ich tu traktowano, panie.

– Ktoś ich pilnuje?

– Nie, panie.

– Są w domu jeszcze jakieś pistolety? Łuki?

– Nie. Tylko Szwajcar ma swój miecz.

– Z pewnością są tu jakieś pieniądze. Przynies.

– Klucze są u pasa jego ekscelencji, panie.

Christian wskazał na le Telliera. Porzucając swego pana, czuł mniej więcej takie skrupuły jak pijak zegnający mało urodziwą kurwę. Wszedł za biurko i obszukał nieszczęśnika, krzywiąc się na dźwięk jęków, które wywoływał tym działaniem. Po chwili otworzył szufladę biurka i wyjął kasetkę.

Tannhäuser podszedł do okna. Mordowanie na plaży trwało w najlepsze. Według zegara na wieży Conciergerie do dziesiątej zostało dwadzieścia minut. Dotarcie z Carlą do bramy Saint-Denis przed północą, kiedy to miała zostać otwarta, wciąż było realne.

– Ten dzień sporo kosztował. Mniej więcej trzydzieści pistoli, z czego połowa w *écus d'or*.

Christian zjrzał do dwóch otwartych sakiewek.

– Podaj mi obie.

Tannhäuser zamknął okno.

Pomyślał o Pascale.

– Jak brzmiały rozkazy le Telliera dotyczące dzieci, które zatrzymały się u siostry Frogiera?

– Frogiera?

Christian wycofał się i jakby skulił, widząc, że Tannhäuser podchodzi bliżej.

– Widziałeś się z nim wieczorem.

Mattias pchnął Marcela butem. Ranny zawył w knebel z kryzy.

– Le Tellier wysłał trzech *sergents* do Irène, by zatrzymali Anne – odpowiedział Christian. – Na wypadek gdybyś wrócił, panie.

– Anne?

Przypomniał sobie po chwili: Frogier znał Pascale pod fałszywym imieniem.

– Dziewczynę o kruczych włosach. Le Tellier pytał, do której jesteś najmocniej przywiązany, panie.

Tannhäuser spuścił głowę. Szeroko otwarte oczy Marcela błyszczały czystym przerażeniem.

– A co z pozostałymi?

– Powiedział, że Anne wystarczy, a reszta będzie tylko zawadzać.

Tannhäuser przypomniał sobie śmiech Myszy, rozbawionych tym, co robił z jajkiem. Juste'a jedzącego ciastka z figami. Flore. Zacisnął prawą dłoń na gardle le Telliera. Spocona skóra wydała mu się cienka jak papier. Uniósł go wolno z podłogi, doskonale czując, jak napinają się ścięgna i kości przygwożdżone beltem do biurka, jak spazmy bólu szarpia

naderwanymi ramionami. Wiedział, jak bardzo cierpi szef paryskiej policji. Ale to mu nie wystarczało.

– Nie miałem z tym nic wspólnego.

Skomlenie Christiana przywróciło Tannhäuserowi rozsądek.

Nie chciał, by le Tellier umarł już teraz. Zwolnił uścisk.

– Zaprowadź mnie do Orlandu.

Tannhäuser nie zamierzał darować życia ani jednemu świadkowi tego, co wydarzyło się w tym domu, ale też nie chciał uśmiercać Stefana. Christian z wielkim trudem wspinał się po schodach. Mattias wyprzedził go po chwili, złapał za kaftan i wciągnął na drugie piętro. Służba dostała wychodne na ten wieczór; żadna osoba postronna nie mogła się pojawić w domu – chyba że zostałyby wezwana. Zatrzymali się przed drzwiami. Tannhäuser zapukał.

– Stefano z Sionu! To ja, Mattias Tannhäuser.

Potężny Szwajcar otworzył z mieczem w dłoni. Zmierzył spojrzeniem zakrwawioną postać Tannhäusera, złoty łańcuch na jego szyi i wreszcie kuszę. Schował broń do pochwy i zasalutował.

Mattias przemówił po włosku.

– Jak minął dzień?

– Panie, odkąd ostatni raz się widzieliśmy, najzacieklejszy bój toczyłem o to, by nie zasnąć.

– Jak się miewa Orlandu? Może podróżować?

– Jeśli tylko nie czeka go forsowny marsz. Jest jeszcze słaby, ma gorączkę i dreszcze, ale umysł wrócił już do normy. Kazałem mu spacerować po izbie co godzinę przez piętnaście minut.

– Doskonale. Żałuję, ale znowu musimy się rozstać.

– Jeśli wolno mi zauważyć, panie, widziałem już ten piękny łańcuch...

– Gdyby nadal wisiał na szyi le Telliera, przed świtem byłbyś trupem.

– I dlatego nie spałem. Odkąd tylko przewieźli nas tutaj, wyczuwam złą wolę, choć Orlandu wygląda na zadowolonego. Jeśli będę jeszcze potrzebny, panie, wystarczy poprosić.

Pokusa była silna. Stefano nie miał wszakże pojęcia, do czego mógłby być zmuszony. Tannhäuser nie zamierzał ściągać sobie na kark całej Gwardii Szwajcarskiej, a tak właśnie mogłoby się stać, gdyby sprowadził na złą drogę jednego z jej kaprali.

– Chcę, żeby absolutnie wszystko, co widziałeś i robiłeś od chwili, gdy opuściłeś dom de Rochefortów w towarzystwie *sergent* Bara – którego, nawiasem mówiąc, nie ma już wśród żywych – było twoją pilnie strzeżoną tajemnicą. Wymyśl jakąś opowieść, żeby

usprawiedliwić nieobecność. W takim dniu jak ten chyba nietrudno o wymówkę? Zrobisz to dla mnie? Dajesz słowo?

– Daję słowo, panie, że twój sekret będzie bezpieczny. A mogę spytać dlaczego?

– Obaj zostaliśmy wciągnięci w spisek, z którym nie mieliśmy nic wspólnego. Jego początkiem i końcem jest Marcel le Tellier, a sprawca tego końca właśnie stoi przed tobą. Jeśli ktokolwiek zechce dojść prawdy i okaże się, że odegrałeś w owym spisku choćby nieznaczną rolę, będziesz zgubiony. A jednocześnie żadna rola, którą mógłbyś sobie wyobrazić, nie przyniosłaby ci najmniejszego nawet zysku.

Stefano zerknął najpierw na Christiana, a potem na Tannhäusera.

– Nie będzie ani jednego świadka, który mógłby potwierdzić, że tu przebywałeś – zapewnił go Mattias.

– Rozumiem, panie. A opowiastki umiem snuć całkiem niezłe.

Tannhäuser odebrał Christianowi lżejszy z dwóch mieszkań i wręczył go Stefanowi.

– O tym także lepiej milczeć. Wydasz, gdy wrócisz do Sionu.

Ciężar sakiewki sprawił, że Szwajcar ze zdziwieniem uniósł brwi.

Tannhäuser poklepał go po plecach.

– Spotkamy się może innego dnia, podczas innej bitwy.

– Mam nadzieję, panie. Jeśli przyjdzie nam walczyć po tej samej stronie.

– Jeśli nie, to bij mocno, bo ja mam taki zamiar.

Gwardzista zasalutował i ruszył schodami w dół.

– Stefano, wyjdź tylnymi drzwiami, inaczej mała dziewczynka może ci strzelić z kuszy prosto w pierś. I uprzedzam, że w holu na parterze znajdziesz...

– Już znalazłem, panie, kiedy ty wybrałeś się po ten piękny łańcuch. *Buona fortuna.*

Z głębi komnaty dobiegł głos Orlandu.

– Mattias?

Tannhäuser zdjął belt z łoża i postawił kuszę pod ścianą. Wepchnął Christiana do pokoju i sam przestąpił próg. Orlandu siedział na krześle. Jego mocno opalona skóra miała nieco woskowy połysk, ale czuł się na siłach, by wstać i utrzymać pion. Oczy miał – po ojcu – bardzo ciemne, niemal czarne. Tannhäuser uśmiechnął się szeroko, jak zawsze gdy widział tego chłopaka. Orlandu zachował jednak powagę.

– Jesteś cały we krwi – zauważył.

– Nie martw się, to nie moja.

Orlandu nie uśmiechnął się i teraz.

– Pozwól, że cię obejmę – ciągnął Tannhäuser – albo przynajmniej uścisknę prawicę.

Lewa ręka młodzieńca spoczywała na temblaku; prawą podał Mattiasowi, który radował się już nieco mniej, bo właśnie w tym momencie zauważył pedla usilnie próbującego wtopić się w cień w najdalszym kącie izby.

– To Boniface – przedstawił go Orlandu.

– My już się znamy – odrzekł Tannhäuser. – Możesz zejść po schodach?

– Tak.

– To dobrze. Przysiądź na stopniach w holu, to nie potrwa długo. Jeżeli ktoś zapuka, zawołaj mnie, a potem spytaj, kto to.

– Proszę, mój chłopcze – wtrącił Boniface – on mnie zabije z zimną krwią.

– Dziękuj niebiosom, że nie mam gorętszej. – Tannhäuser spojrzał na Orlandu. – „Mój chłopcze”?

Orlandu skrzywił się i spojrzał na złoty łańcuch na piersi Tannhäusera.

– Zabiłeś jego ekscelencję?

Tannhäuser był chyba bardziej poruszony niż Orlandu.

– Jego ekscelencja właśnie modli się o śmierć w swoim gabinecie.

– Mattiasie, nic z tego nie rozumiem.

– Ja też nie, ale o tym później. Carla jest w niebezpieczeństwie. Zejdź na dół i popilnuj frontowych drzwi.

– Boniface jest moim przyjacielem. Mieszkam w jego domu.

Tannhäuser poczuł nieprzyjemny skurecz żołądka. Spojrzał badawczo na pedla.

Boniface padł na kolana i złożył ręce.

– Wczoraj – rzekł Tannhäuser – twój „przyjaciel” nie mógł sobie przypomnieć, kiedy widział cię po raz ostatni. Z tym degeneratem też się przyjaźnisz?

Orlandu spojrzał na Małego Christiana. To wystarczyło Mattiasowi, by odgadnąć prawdę.

– Ci pajace spiskowali z le Tellierem, by zabić twoją matkę.

– To niemożliwe.

Tannhäuser spojrzał w oczy Orlandu.

– Czy ty nadal majaczysz?

– Le Tellier to wspaniały człowiek – rzekł młodzieniec. – Błyskotliwy. Nauczył mnie bardzo wiele o polityce. Dzięki niemu przyjmą mnie do Pielgrzymów Świętego Jakuba, do...

– Wiem, co to za jedni. I ty też wkrótce przejrzysz na oczy. – Tannhäuser zamknął umysł, by odciąć się od bólu. Ojciec Orlandu, Ludovico, był fanatykiem, inkwizytorem. Czy

to możliwe, żeby dziedziczyć takie cechy przez krew? Odetchnął głęboko. – Le Tellier jest błyskotliwy tylko i wyłącznie w zwodzeniu bliźnich. I ty właśnie dałeś się zwieść.

– Czy to prawda? – Orlandu skierował to pytanie do Małego Christiana.

Tannhäuser uderzył na odlew, powalając niedoszonego literata na podłogę.

– Chcesz, żeby ten wór łajna poświadczał moje słowo?

Orlandu cofnął się o krok, widząc wściekłość Mattiasa – i być może słusznie postąpił.

– W jak bliskiej jesteś komitywie z tymi bydlakami?

– Nie przeciwko tobie, Mattiasie. Ani przeciwko matce. Jak mogłeś...

– Zatem przeciw komu?

Orlandu cofnął się jeszcze o krok. Nie był już nieprzenikniony; widać było, że ogarnął go strach.

Tannhäuser nie umiał jednak zdobyć się w tym momencie na współczucie.

– Nie było cię tu – zaczął Orlandu. – Nie znasz radykalnych hugenotów, nie wiesz, jacy są i co zamierzają uczynić z Koroną, z całym krajem...

– Kto cię postrzelił?

– Nie wiem – odparł Orlandu. – Było ciemno. Podeszli mnie od tyłu.

Tannhäuser postawił but na głowie Christiana i docisnął ją do desek.

– Kto go postrzelił?

– Dominic – odpowiedział Christian. – Dominic i Baro.

– Dlaczego?

– Nie mogliśmy pozwolić, by Carla wyjechała – padła błyskawiczna odpowiedź. – Od tego zależało powodzenie planu. Ocaliłem chłopakowi życie. Dominic chciał go wykończyć, ale nie takie dostaliśmy rozkazy. Przypomniałem mu o tym. Powiedziałem, że chłopak może nam się jeszcze przydać.

– „Nie mogliśmy pozwolić, by wyjechała”? Co to znaczy?

– Orlandu próbował skłonić matkę, by opuściła dom d’Aubrayów.

Tannhäuser spojrzał na Orlandu i dostrzegł coś strasznego w jego ciemnych oczach.

– Wiedziałeś, na czym polega ich plan – stwierdził.

Orlandu nie odpowiedział. Może nie był w stanie.

– Odpowiedz mi, chłopcze.

Cisza.

– Christian, w jaki sposób Orlandu dowiedział się o waszych planach?

– Nie wiem.

Tannhäuser docisnął piętę nieco mocniej i poczuł, jak czaszka dworzanina zmienia kształt. Oczy Christiana były nienaturalnie wybałuszone, gdy rzucał w panice całym ciałem.

– Nie wiem. Nie wiem! O Boże, przestań już, nie wiem.

– Właśnie, przestań już, błagam cię – zawtórował mu Boniface. – Ja mu powiedziałem.

Tannhäuser uniósł nogę i spojrzał na pedla.

– Nie o wszystkim, ale i tak sporo – uzupełnił Boniface. – A to dlatego, że dawno już pokochałem Orlandu. Aż w końcu do Paryża przybyła jego matka. Widziałem, jaki był szczęśliwy, gdy składał jej wizyty. Był taki piękny, piękniejszy niż kiedykolwiek, choć nie sądziłem, że to w ogóle możliwe. Ona zaś nic mnie nie obchodziła. Nigdy jej nie widziałem. I milczałem. Ale gdy zbliżał się feralny dzień, nie mogłem znieść myśli o zmarnowaniu takiego piękna. Powiedziałem mu, co słyszałem z wiarygodnego źródła: wynajęto morderców, by zabili Symonne d'Aubray, a jego matce, nocującej w domu tej kobiety, groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. – Boniface zaczął płakać.

Tannhäuser spojrzał na Orlandu, który najwyraźniej nie miał pojęcia, jaki był prawdziwy sens owej „miłości” Boniface’a – i może tak było lepiej. W całej historii pozostały jeszcze niewiadome, ale Mattias nie chciał już pytać; wystarczyło mu odpowiedzi. Wyjął z pochwy sztylet i podszedł do pedla. Stary sodomita chwycił oburącz jego buty.

– Starzy boją się śmierci bardziej niż młodzi, choć wydaje się, że powinno być odwrotnie. – Tannhäuser zerknął na Orlandu. – Jeśli nie chcesz na to patrzeć, zczekaj na dole.

– Mattiasie...

Tannhäuser pochylił się i wbił ostrze w prawą, dolną część chudego brzucha, a następnie pociągnął w górę, aż po lewe żebra. Zostawił Boniface’a, by dokonał żywota, drżąc konwulsyjnie w kałuży własnych wnętrzności.

– Pewnie chciałbyś wiedzieć, czy d'Aubrayów też bym uratował.

– Nie muszę – odrzekł Tannhäuser, wycierając klingę.

– Nigdy nie ukrywałeś przede mną prawdy.

– Pozwoliłbyś d'Aubrayom umrzeć. W porządku. A teraz chodźmy.

– Nie, Mattiasie. Musisz mnie wysłuchać.

Tannhäuser opanował się, schował sztylet i skinął głową.

– Przyjechałem tu, żeby powiedzieć le Tellierowi o tym, co usłyszałem od Boniface’a. Nadmieniłem tylko, że to ja podsłuchałem plotkujących w karczmie.

Tannhäuser jęknął mimowolnie. To, co uchodziło za spryt w maltańskich dokach, w Paryżu było niezręcznością. Le Tellier postąpił tak samo, jak Mattias postąpiłby na jego miejscu: oznaczył w duchu Boniface'a jako niepewnego kompana, ale pozwolił mu pracować dalej.

Orlandu źle interpretował ów jęk.

– Ty też kłamałeś, gdy było to konieczne – obruszył się.

– To sztuka wymagająca talentu. Mów dalej.

– Był bardzo zdumiony i zaniepokojony. Powiedział, że znajdziemy dla mojej matki o wiele bezpieczniejszy nocleg. I nie tylko.

Tannhäuser czekał.

– Tego samego ranka postrzelono admirała de Coligny'ego. Szlachta hugenocka podniosła raban, grożąc zemstą na ulicach miasta. Le Tellier wyjaśnił mi, że gdy w mieście dominują takie nastroje, śmierć wdowy – tu Orlandu z trudem przełknął ślinę – oraz dzieci Rogera d'Aubraya wystarczy, by popchnąć hugenotów do otwartej wojny. Nawet de Coligny'ego. Dodał jeszcze, że nie zna źródła tej strategii – choć zrozumiałem, że chodzi o pałac królewski – ale jest ona niezaprzeczalnie genialna. Zrozumiałem. Przyznałem mu rację. Nie wypieram się tego.

Tannhäuser nie umiał znaleźć żadnych argumentów na złagodzenie niesmaku, który ogarnął go na wspomnienie rozmowy z Retzem.

– Znałem te dzieci – ciągnął Orlandu. – Bawiłem się z nimi w ogrodzie. Rozśmieszałem je. Wiesz może, co się z nimi stało?

Tannhäuser pomyślał o dębowym biurku i pozłacanym krześle. W takich gabinetach, a już zwłaszcza w perfumowanych karocach, życie dzieci nie znaczy absolutnie nic.

– Nie żyją.

Wargi Orlandu zadrżały.

– Nie wolno ci wspomnieć o tym wszystkim matce. One zginęły na jej oczach.

– Co? – Orlandu był kompletnie zdezorientowany. – Jak to?

Tannhäuser pokręcił głową.

– Gdy się tu ocknąłem, le Tellier powiedział mi, że odesłał ją do Luwru.

– Jest zatem lepszym kłamcą niż ty – odparł Mattias. – A ty nie waz się okłamywać Carli. I w ogóle nie okłamuj kobiet. One i tak wierzą tylko wtedy, gdy zechcą, a nawet wtedy znają prawdę.

– Zatem co mam jej powiedzieć?

– Prawdę. Że właśnie byłeś w drodze do niej, gdy cię postrzelono i odurzono, a obudziłeś się tutaj. Słowem: byłeś ofiarą ich spisku tak samo jak i ona.

– A gdzie ona jest?

– Czeka na nas. Chodź do mnie.

Orlandu zbliżył się chwiejnym krokiem. Tannhäuser przytulił jego głowę do ramienia.

– Gdy byłem w twoim wieku, wyrzynałem szyitów na życzenie sułtana i zdawało mi się, że to święta misja. Przyjmij więc moją radę: jeżeli musisz popełnić grzech śmiertelny, czyn to wyłącznie we własnym imieniu, nigdy dla kogoś, nigdy dla cudzej wiary, cudzej korony, cudzej łaski. Tylko trzymając się tej zasady, możemy mieć nadzieję, że zostaniemy potępieni jako mężczyźni, a nie jako kurwy.

– Przepraszam.

– Chodźmy już.

Tannhäuser położył dłonie na jego ramionach i uśmiechnął się. Orlandu jeszcze nie był do tego zdolny.

– Jak mogę pomóc?

– Ponieś łuk i kołczan. Bądź gotów, żeby mi je podać.

Tannhäuser pociągnął Christiana za kołnierz i pas, a potem zrzucił go ze schodów. Z dołu dobiegł jęk bólu. Mattias wrócił do pokoju, by zwlec z łóżka materac, który także wyładował na dole. Wreszcie sięgnął po kuszę i załadował belt.

– Dlaczego le Tellier knuł przeciwko Carli? – spytał Orlandu.

– Zdaje się, że toczy prywatną wojnę ze mną.

– Dlaczego?

– Nie wiem – odparł Tannhäuser. – Nie pytałem.

Paryski *lieutenant criminel* balansował na jedynym zdrowym kolanie za swym pięknie wypolerowanym dębowym biurkiem. Gałki oczne drżały mu z wysiłku, a twarz nadal była pokryta fragmentami mózgu. Gęsta masa krwi i śluzu zwisała mu z kącika ust niczym obrzydliwa narośl. Przebite dłonie wyglądały tak, jakby złożył je do osobliwej modlitwy. Niewykluczone, że naprawdę się modlił.

Orlandu odchrząknął dyskretnie.

– Daruj sobie litość – rzekł Tannhäuser. – A jeśli to tylko niesmak, po prostu go przełknij.

Do tej pory formował tę żalostną ludzką glinę bez głębszych uczuć, ale teraz ogarnął go gniew. Nie kwestionował niczego, co zaszło z jego inicjatywy w tych murach – wszystko

to było po prostu konieczne. Czuł jednak odrazę na myśl o tym, że tyle mrocznych uczynków musiało dojść do skutku za sprawą tak prostego hipokryty oraz że zwykły ludzki śmieć próbował wypaczyć charakter jego syna. Położył kuszę na biurku.

– Ty, policjant. Spójrz na mnie.

Le Tellier spróbował, ale nie miał już sił. Zamknął oczy.

– Twój były uczeń chciałby posłuchać spowiedzi, ale ponieważ żaden z nas nie ma mocy odpuszczania grzechów, musisz wiedzieć, że wkrótce dołączysz do potępionych.

Katolicki fanatyk nie miał wielkich złudzeń co do swego wieczystego losu.

– Odpowiadaj mi ruchem głowy – rozkazał Tannhäuser. – Kiwnij.

Le Tellier kiwnął.

– Zapłaciłeś za zabicie Carli, żeby mnie pognębić.

Le Tellier kiwnął.

– Gdy dowiedziałeś się, że jestem w Paryżu, wynająłeś *bravos*, żeby mnie schwytali i dostarczyli tobie.

Le Tellier kiwnął.

– Mając w ręku Carlę, liczyłeś na to, że będę świadkiem jej śmierci.

Le Tellier zaczął płakać.

– Wiedziałeś, że jest w ciąży. Odpowiedz.

Le Tellier kiwnął.

– Zrobiłeś to wszystko z zemsty.

Le Tellier spojrzał na niego po raz pierwszy. I kiwnął głową.

– Zanim jednak kazałeś mnie zabić – ciągnął Tannhäuser – nie mogłeś odmówić sobie przyjemności: miałeś wielką chęć wyjawić mi, czymże zasłużyłem sobie na tak surową karę.

Le Tellier kiwnął. Z trudem wyciśnięta z oka łza spłynęła po policzku i zniknęła w gęstwinie brody.

– Jeżeli wyjmę ci z pyska tę szmatę, powiesz mi, po co to wszystko i czym zaskarbiłem sobie twoją nienawiść?

Le Tellier nie musiał nawet kiwać głową. Rozpacz, która nakazywała mu oskarżyć winnego, jaśniała w nim teraz silniej niż nadzieja. Skinął głową trzy razy.

– Wybornie – skonstatował Tannhäuser. – Bo ja nie chcę wiedzieć.

Le Tellier nie uwierzył.

Orlandu – przeciwnie. Mimo to obszedł biurko i sięgnął po knebel.

– Zostaw – polecił mu Tannhäuser.

– Chcę wiedzieć.

– Nie masz w tej sprawie nic do powiedzenia.

Orlandu ukrył ból za głęboką czernią oczu.

– Wielu jest takich, co z jakiegoś powodu przeklinają dzień, w którym przyszedłem na świat – dodał Mattias. – Niepotrzebny mi powód, który kazałby mi zapamiętać tego tu.

– I myśl o tym nie będzie cię prześladować?

– Oszalałbym już dawno, gdybym miał zwyczaj tak się zadręczać.

Le Tellier wymamrotał coś. Tannhäuser spojrzął na niego.

– Cokolwiek uczyniłem tobie i twoim ludziom, nie żałuję niczego. Twoja zemsta i twoje pobudki nic dla mnie nie znaczą. Podobnie jak twoja rozpacz.

Le Tellier walczył, za wszelką cenę chciał coś powiedzieć. W jego oczach błysnęła obłąd. Tannhäuser pochylił się, spoglądając w nie.

– Zanim jednak opuszczę to miasto, którego uważałeś się realnym władcą, zamorduję twojego syna.

Le Tellier próbował przeżuć knebel.

Tannhäuser dobył miecza.

– Pozwól, że ja to zrobię – zaoferował się Orlandu.

Mattias jakby przełknął coś mocno kwaśnego.

– Na Malcie walczyliśmy jako bracia, przeciwko honorowemu wrogowi. Robiłem wszystko, byś nie musiał odbierać życia. A odebranie tego nie będzie żadnym zaszczytem. – Pociągnął Orlandu do okna i otworzył je. – Odebranie tych też nie – dodał, wskazując na haniebne sceny rozgrywające się na skrawku plaży pociemniałym od krwi. – Oto twoi Pielgrzymi. Oto twoja wojna.

Orlandu podparł się zdrową ręką o podokiennik.

– Nasza wojna – poprawił się Tannhäuser. – Ja przecież jestem jej winien bardziej niż ty.

Zostawił Orlandu przy oknie, by zastanowił się nad tym, co zobaczył.

Wrócił do le Telliera.

Czubkiem miecza uniósł jego podbródek, by zadać czysty cios.

– I tak oto odprawiam cię do jeziora płonącej smoły – powiedział.

W oczach le Telliera widać było już tylko przerażenie.

Tannhäuser zamachnął się oburącz i jednym płynnym ruchem przeciął szyję.

Łysa głowa le Telliera potoczyła się po blacie i spadła pod stopy Christiana. Powódź krwi zatopiła dębowe słoje i zmyła rozrzucone papiery. Połamane, nieruchome ciało zawisło na dłoniach przybitych do biurka.

Tannhäuser sięgnął po puchar z winem i osuszył go jednym haustem. Znakomity trunek, pomyślał. Odstawiając puchar, dostrzegł wśród szpargałów znajome pismo.

La Fosse.

W całym zamieszaniu nie zwrócił uwagi na znaczenie obecności Boniface'a.

Spojrzał na Małego Christiana, który stał oparty o ścianę tuż obok drzwi.

– Widzę, dramaturgu, że przyniosłeś le Tellierowi list, który ci przysłałem.

– Nie, nie, panie, to znaczy... wcale nie zamierzałem tego zrobić, ale Boniface...

– Masz ostatnią szansę na to, by ocalić swoje życie. Powiedz mi, jaką obmyślili strategię.

Mały Christian był jednym z tych bydląt, które nie są w stanie pojąć, że ich los jest przesądzony, choćby przemawiały za tym Bóg wie jak wyraźne znaki. Dopóki żył, zdawało mu się, że może przetrwać.

– Polecieś mi, panie, abym się z tobą spotkał o północy przy szubienicy na place de Grève. Dominic i kapitan Garnier, naturalnie wraz ze swymi ludźmi, już tam są, przyczajeni i rozrzucony po okolicy, wmieszani w tłum milicjantów. Sądzą, że przybędziesz tam przed wyznaczoną godziną. List był pierwszą wiadomością na twój temat, którą udało nam się uzyskać.

– Zatem Garnier wie, co się wydarzyło w domu drukarza.

– Ja sam nic o tym nie wiedziałem, póki Frogier, a konkretnie le Tellier, nie powiedział Garnierowi, że zabiłeś tam dziewiętnastu milicjantów. Ja, rzecz jasna, nie odegrałem żadnej roli w...

– Kiedy miałeś się pojawić pod szubienicą?

– Pół godziny przed północą.

– Sam czy z eskortą?

– Sam, na wypadek gdybyś mnie obserwował.

Zapewne pozwoliliby Christianowi na przynajmniej pięć minut spóźnienia, zanim posłaliby kogoś, żeby go poszukał, pomyślał Tannhäuser.

– Orlandu, powiedz no, którą godzinę wskazuje zegar na wieży.

– Minęła dziesiąta.

Tannhäuser spojrzał na Małego Christiana.

– Pielgrzymi poruszają się pieszo?

– Tylko Dominic, Garnier i Thomas Crucé mają wierzchowce.

Trzy minuty dla gońca na dotarcie do domu le Telliera, pięć minut na ogarnięcie tego, co tu zostanie, kolejne trzy na powrót na place de Grève i jeszcze co najmniej dziesięć na zwołanie i wyprowadzenie zbrojnych. Powiedzmy, że o północy będą gotowi. Wyprowadzenie... ale dokąd? Tannhäuser czuł, że musi zakładać, iż jego wrogowie okażą więcej rozumu niż do tej pory.

Porte Saint-Denis nadal była dla Tannhäusera najkorzystniejszym wyborem.

Temple i ochrona braci zakonnych także wyglądały kusząco, lecz by tam dotrzeć, należało przebić się przez place de Grève albo poświęcić mnóstwo czasu na wędrówkę okrężną drogą. Co więcej, trzeba było przekonać nocną straż do otwarcia bramy, jednocześnie przebijając się przez blokadę – Temple to bodaj jedyne miejsce, wokół którego milicyjna blokada była niemal pewna. Istniała i inna możliwość, o której wspominał Grymonde: ukryć się. Ale jak ukryć tak liczną grupę? I na jak długo? Dominic w każdej chwili mógł objąć dowództwo Châtelet i, co gorsza, wpaść na trop uciekinierów.

I dlatego Tannhäuser musiał odnaleźć Carlę i Pascale, a potem – jeszcze przed północą – dotrzeć w rejon porte Saint-Denis. Gdyby zjawili się tam później, musieliby się zmagać z potokiem ludzi i zwierząt podążającym w przeciwnym kierunku, co mogłoby wręcz uniemożliwić wydostanie się za bramę. Musieli stawić się jako pierwsi przed jej otwarciem. Spęd byłaby mógłby być wtedy atutem – opóźniłby pościg – ale nie należało liczyć na to, że Garnier straci do nich więcej niż pół godziny. W dodatku nie będzie ciągnął ze sobą wozu. A może warto zawczasu pozbyć się konnych? Nie. Zmasowany pościg ruszyłby wtedy bez chwili zwłoki. Uciekając z wozem, nie mieliby żadnych szans, zwłaszcza że Garnier niewątpliwie gotów był kontynuować gonitwę i za murami miasta.

Tannhäuser strzepnął z ostrza krew le Telliera i schował miecz do pochwy.

Musiał mieć pewność, że w pościgu weźmie udział Dominic. Śmierć tych dwóch, której efekt należałoby wzmocnić rzezią szeregowych, sprawiłaby, że pozostali straciliby ochotę na dalsze łowy. Wszak o wiele łatwiej mogli wyładować agresję na hugenotach, których wciąż w Paryżu nie brakowało.

Ale jakimi siłami miałby stawić czoło pościgowi na drodze za miastem?

On sam był przecież jedyną siłą.

W mocnym blasku księżyca? Trzeba będzie znaleźć odpowiednie miejsce na zasadzkę i uderzyć z flanki. Rozproszyc wrogów jak ptactwo, myślał. A potem nawet zawrócić w stronę miasta i zapolować na niedobitki.

Podniósł za ucho głowę le Telliera i wyjął sztylet.

– Orlandu.

Młodzieniec odwrócił się plecami do okna, znacznie bledszy niż zwykle.

– W holu znajdziesz dwa kirysy. Zabierz je i zaczekaj na mnie. I hełmy do kompletu. Weź też tę maczugę. A ty daj mi swój pas, pisarzyno.

Położył głowę le Telliera na biurku i wykonał dwa równoległe nacięcia na jej czubku. Następnie wsunął ostrze w jedno z nacięć i przebił się do sąsiedniego, tworząc ze skóry naturalny uchwyt. Christian podał mu pas. Tannhäuser przełożył go pod uchwytem i zapiął. Gdy podniósł głowę na pasie, jej zmarszczone czoło wygładziło się nagle. Dworzanin z trudem powstrzymał wymioty.

– Twój pan wygląda co najmniej o dziesięć lat młodziej, nieprawdaż?

Tannhäuser zabrał kuszę i wygonił Christiana z gabinetu. Minęli przedsionek, ale w głębi korytarza Mattias przystanął.

– Garnier odwiózł Carłę do swego domu.

– Tak jest, panie. Uczynił to osobiście.

– Ty mu powiedziałaś. Na ulicy, zanim odjechał.

– Co takiego, panie?

– Powiedziałaś mu, że to ja wyrznięłem tych łajdaków w domu drukarza. Dlatego tak się spieszył z powrotem.

– Nie, panie. Powiedziałem mu tylko, że wiemy, kto zabił jego ludzi. Nie powiedziałem, że to ty. Rzeczywiście, wrócił prędko i wtedy Marcel powiedział mi, że to twoje dzieło.

Tannhäuser zepchnął go ze schodów potężnym kopniakiem.

I zaraz ruszył za nim, ciągnąc za sobą materac.

Przerzucił pętlę paska przez jedno z ramion ozdobnego żyrandola wiszącego w głównym holu i starannie naprostował rozhuśtaną głowę, z której przy każdym ruchu wyciekała odrobina krwi. Twarz była zwrócona ku górze i upiornie świeciła białkami oczu. Rozciągnięte usta, wciąż zatkane zakrwawioną kryzą, zastygły jakby w szalonym uśmiechu. W blasku świec całość wyglądała jak prześmiewcza maska, rzeźba najprawdziwszego wariata.

I z całą pewnością była pierwszą rzeczą, na którą musiał spojrzeć każdy, kto wkroczyłby do domu Marcela le Telliera.

Tannhäuser cofnął się do balustrady, by zabrać broń Altana.

Teraz dopiero przypomniał sobie o Orlandu, który stał z boku, trzymając w rękach pancerze.

- Sądzisz, że Dominic wrzaśnie ze strachu i ucieknie? Czy może dostanie szału?
- Najpierw jedno, potem drugie – odparł Orlandu.

Tannhäuser dźwignął z podłogi antałek z winem i zarzucił go sobie na ramię.

- Pisarzyno, przyciągnij mi tu materac i weź kosz.
- Chcesz, żeby Dominic ruszył twoim tropem? – spytał Orlandu.
- Tylko martwi się nie mszczą.

W chwili, gdy Tannhäuser stanął u podnóża schodów, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wydarzył się cud: Grégoire wychynął nagle z mroku, prowadząc konia zaprzęzonego do wozu. Wyszczerył dziąsła na powitanie, a Tannhäuser odpowiedział mu uśmiechem. Clémentine parsknęła z cicha. Lucyfer jak zwykle dreptał między jej przednimi kopytami.

Tannhäuser żałował, że nie polecił Grégoire'owi, by przyprowadził innego konia. Choć które zwierzę nadawałoby się lepiej niż Clémentine do tego, by przeciągnąć wóz pełen demonów przez samo jądro piekła?

- Dobry? – spytał Grégoire.
- Wysokie burty, solidne deski. W życiu nie widziałem lepszego wozu bojowego.

Gdy wrzucał na wóz materac i baryłkę, od strony zagrody dla bydła nadszedł Grymonde, podpierając się szpontonem. W drugiej ręce trzymał dłoń kompletnie przemoczonego chłopca, którego Tannhäuser wcześniej nie widział. Estelle szła tuż za nimi, niosąc pod koszulą bukłak z małą Amparo oraz gotową do strzału kuszę, którą musiała trzymać oburącz.

Tannhäuser zauważył, że Orlandu przygląda się wszystkim ciekawie.

- Orlandu, oto moja załoga. Grégoire, Grymonde, Estelle i jej siostra Amparo.
- Amparo? – powtórzył Orlandu.
- To także twoje siostry.
- Moje siostry?

– Carla urodziła Amparo dziś po południu. – Tannhäuser miał wielką ochotę pochylić się nad drobną twarzyczką wystającą ze skórzanego worka, ale nie mógł sobie pozwolić na zwłokę. Zabrał bełty z obu kusz, swojej i Estelle. – Załadujesz, gdy będzie taka potrzeba. Jeśli dojdzie do strzelaniny, zakryj Amparo tym kirysem. – To rzekłszy, wrzucił na wóz resztę ekwipunku i zapasów.

Na koniec posadził w skrzyni Estelle i spojrzał na przemoczonego młodzika.

- Kim jesteś, chłopcze?
- To Hugon – odpowiedziała Estelle.

– Rozumiem, że miasto pilnie potrzebuje nowego szefa policji? – odezwał się Grymonde.

– Le Tellier był tylko kolejną przeszkodą – odparł Tannhäuser. – Przed nami jeszcze wiele podobnych.

Christian podszedł do niego, stąpając nader ostrożnie.

– On nas zaprowadzi do Carli – oznajmił Mattias.

– Ja też mogę – wtrącił Hugon.

Tannhäuser spojrzał nań pytająco. Chłopak spuścił głowę.

– Hugon ją śledził – wyjaśniła Estelle. – Przepłynął rzekę wpław, gdy żołnierze przewozili Carlę po moście. A potem wrócił i wtedy złapał go Rody. A ja go zastrzeliłam.

Tannhäuser zdjął złoty łańcuch i zawiesił go na szyi Hugona.

– Tylko nie pływaj w nim. I nie próbuj sprzedać w takiej postaci.

– Nie jestem głupi. Przetopię go. – Hugon ukrył złote muszle pod koszulą.

Tannhäuser sięgnął po zwój liny leżący na wozie i obwiązał nią pierś Małego Christiana.

– Którym mostem mamy jechać, Hugonie?

– Wszystkie przegrodzono łańcuchami, z wyjątkiem mostu Młynarzy, który i tak nie jest przeznaczony do publicznego użytku. Biegnie nim zadaszona droga, po której jeżdżą wozy z młynów i do młynów. Ale też jest strzeżona.

Tannhäuser zacisnął węzeł, rzucił na ziemię koniec liny i odwrócił się.

Walka na śmierć i życie, by przejechać po moście. To samo – by wrócić. Potem brama. I droga za miastem.

Przez krótką chwilę – choć był to najgorszy moment z możliwych – Tannhäuser czuł się przytłoczony. Wszystkim, co zaszło i miało zajść. Rozlewem krwi. Okrucieństwem. Szaleństwem. Miłością. Wszystkim, co dotyczyło jego oraz ludzi, których pokochał. Tych dzieci, które wierzyły – być może daremnie – że zapewni im bezpieczeństwo, że ma w sobie mądrość, której przecież nie miał. Był zwykłym mężczyzną poszukującym swej żony. To wszystko. A przecież to już nie było prawdą. Spojrzał na dzieci. Na całej ulicy nie było nikogo prócz nich.

– Wracajcie wszyscy do swego życia – powiedział. – Tam macie większe szanse.

– Nie – odpowiedziała Estelle. – Nasze życie splątało się z twoim. Nie chcemy iść z tobą po to, żebyś się nami opiekował. Sami potrafimy o siebie zadbać. Chcemy po prostu być z tobą.

Popatrzył na nią.

– Nie bój się, Tannzer.

Przemawiała do niego najprostszymi słowy, ale miała rację. Bał się nie tego, że zginą pod jego opieką, ale poczucia winy, które zawładnęłyby nim, gdyby je przeżył.

– Możemy też poczekać tu na ciebie, panie. Nie znajdą nas – zaproponował Grégoire.

– Nie. – Estelle zdecydowanie potrząsnęła głową, spoglądając na niego. – Carla potrzebuje wozu i chce odzyskać Amparo, a ja nie opuszczę siostrzyczki. Tannzer też nie. Smok z kolei nie może mnie zostawić, bo jestem jego oczami. Ale ty, Hugonie, nie musisz iść z nami.

– Ależ pójdę – odparł z zapalem chłopak. – Dla Carli i jej violi.

Tannhäuser stwierdził ze zdziwieniem, że chwila słabości minęła. Postanowił, że nie ulegnie posępnym myślom.

– Słusznie. Pora pomuzykować. Orlandu, Hugon. Wsiadajcie.

Grymonde, wiedziony chyba instynktem, stanął nad Małym Christianem, a ten spojrzał ze zgrozą na jego potwornie oszpecone oblicze. Nareszcie zrozumiał, że jego życie i iluzje za chwilę się skończą.

– Znam cię. Oślepiiony, z nosem zapchanym krowim gównem, jednak cię znam. Jesteś dziurą w materii tego świata. – Grymonde umilkł na krótką chwilę. – Jesteś Kuglarzem.

– Oddał mnie jednemu panu – poskarżyła się Estelle. – Bardzo bogatemu. Miał drogi dom i drogie łóżko.

– A ja widziałem, jak kazał żołnierzom wypalić oczy Grymonde’a – dorzucił Hugon.

– I pozwolił małpkom zdechnąć – dodał Grégoire.

Grymonde odwrócił głowę ku Tannhäuserowi.

– Oddaj mi go. Oddaj go nam.

– Wymacaj linę na jego piersi – odparł Mattias.

Grymonde usłuchał. I jęknął rozczerowany.

– Jego język może nam się jeszcze przydać. Może wie o czymś, o czym my nie wiemy. Ale nie pojedzie z nami. Będzie pełzał.

– Pełzał?

– Przywiążę go pod wozem, do osi. Pomyśl tylko. – Tannhäuser nie bez satysfakcji obserwował Christiana, który także o tym pomyślał.

– Niech pełza – powiedziała Estelle.

Grymonde również zrozumiał i – pijany bólem i bryłkami opium – roześmiał się w głos.

Christian spojrzał na brud zalegający grubą warstwą na ulicy.

– Ekscelencjo, proszę cię...

Tannhäuser wepchnął go pod wóz, a potem wstrzymał oddech i kucnął, przerzucił oba końce liny nad przednią osią i zawiązał mocno. Odetchnął dopiero, gdy podniósł się z ziemi. Lucyfer podbiegł do klęczącego Christiana, obwąchał go nieufnie i nasikał wprost na jego głowę.

– Mój Infancie – rzekł Tannhäuser.

– Tu jestem.

Mattias wziął niewidomego olbrzyma pod ramię i poprowadził na tył wozu. Odebrał mu szponton i ułożył na deskach skrzyni.

– Siądź tutaj, gdzie nie ma burty. Niech dzieci skryją się za twoimi plecami. A jeśli ktokolwiek spróbuje wskoczyć na wóz, nie przedstawisz się, jest twój.

– Jest mój.

– Mówiłeś, zdaje się, że karty rozdane?

– Owszem. Carla je wyciągnęła.

– Jakie karty?

– Tylko ona to wie. Ale mam coś lepszego. Wiesz, co mi powiedziała?

Tannhäuser poczuł ból, gdy na jego ramieniu spoczęła największa dłoń, jaką kiedykolwiek widział.

– „Już dawno temu postawiłam wszystko, czym jestem, na miłość Mattiasa”.

– Dziękuję, mój Infancie.

– My wszyscy wykonaliśmy już pierwszy rzut. Teraz kości należą do ciebie.

Tannhäuser wrócił do Clémentine i stanął przy jej wielkim łbie.

Spojrzał na Grégoire’a i wrócił myślami do Juste’a.

– *Audentes fortuna juvat.*

Grégoire strzelił lejcami i wóz bojowy potoczył się naprzód, skrzypiąc osiami.

I gdy tak jechali ku Sekwanie i nieznanym niebezpieczeństwom, Grymonde ryknął nagle:

– Dajcie mi tylko ośłą szczękę!

CZĘŚĆ PIĄTA

ZŁOWROGA ŚMIERĆ

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Jeśli to ma być raj

Most Młynarzy wzniesiono ledwie o sto kroków od lochów i sal tortur twierdzy Châtelet. Tannhäuser nie zauważył jednak wzmożonej aktywności w pobliżu bramy fortecznej. Policja trzymała się z dala od masakrujących i masakrowanych – i było to inteligentne posunięcie. Stróże porządku wiedzieli, że skoro nie przyjęli odpowiedzialności, trudno będzie ich do niej pociągnąć, bez względu na to, jakie będą konsekwencje polityczne tragicznych wydarzeń w Paryżu. I dlatego ochotnicze milicje sprawowały pełną kontrolę nad mostami, a policjanci nie interweniowali, nawet gdy którejs z przepraw nie strzeżono tak, jak należy – zapewne takie wydano rozkazy. Niekompetencja rywali musiała być dla nich nawet źródłem satysfakcji.

Most Młynarzy był zadaszony, a to dlatego, że górne piętra młynów, które wzdłuż niego pobudowano, stykały się ze sobą. W pobliżu wjazdu na most Tannhäuser dostrzegł żelazny kosz przenośnego paleniska, a przy nim, w blasku samotnej wiszącej latarni, pięć ludzkich sylwetek. Członkowie nocnej straży mogli czuć się bezpiecznie – w taką noc jak ta nikt prócz ich towarzyszy nie ośmielił się wyjść z domu. Służba była nudna, więc i ludzie, którym ją powierzono, nie byli zbyt ciekawi. Mattias wiedział jednak, że nie może pozwolić, by któryś z nich uciekł do Châtelet albo mostem-tunelem na Cité.

Zostawił wóz w bocznej ulicy, a teraz, gdy wracał do niego, spoglądał na zachód, na rzekę i dwie dalekie łodzie unoszące się na wodzie na wysokości Luwru.

Rzeką mógł dotrzeć dalej i szybciej niż którąkolwiek z podparyskich dróg. Podróż drogą wodną byłaby też wygodniejsza dla Carli. Mogliby popłynąć choćby i do kanału La Manche. Albo jeszcze lepiej: nająć wioślarzy gdzieś w Elbeuf i rzeką Eure dotrzeć do Chartres. Carla zdążyłaby nabrać sił. Potem dzień lub dwa konno do Flèche, dalej Loarą do Saint-Nazaire, statkiem do Bordeaux i do domu.

Spodobał mu się ten pomysł.

Garnier i Dominic raczej nie domyśliliby się, gdzie zniknął – i jakim sposobem – zanim nastałby świt. Potem zaś, gdy ich głowy nieco by ostygły, gdy spojrzeliby w oczy

politycznej rzeczywistości i gdy pojęliby – odwiedziwszy dom Marcela le Telliera – jaką cenę krwi trzeba będzie zapłacić, być może w ogóle porzuciliby myśl o pościgu. Poza murami Paryża ich wpływy były o wiele mniejsze, podobnie jak ich zasięg. Poza murami musieliby liczyć na wsparcie innych władz, których zbytnia ciekawość mogłaby doprowadzić do niezręcznej, a nawet niebezpiecznej sytuacji. Tej nocy miasto należało jeszcze do nich – Tannhäuser byłby tylko jednym z wielu anonimowych trupów – ale zgoła czym innym byłoby domaganie się od Korony zgody na aresztowanie Kawalera Łaski Magistralnej Zakonu Świętego Jana bez żadnych dowodów przeciwko niemu, na słowo, w przededniu nowej wojny religijnej – byłoby mianowicie skrajną głupotą, nawet według standardów Dominica. Ryzyko ujawnienia jego nielegalnych poczynań, a nawet zdrady, byłoby ekstremalnie wysokie. Jedynym mądrym ruchem, na który Mattias mimo wszystko nie liczył, byłoby uznanie całej sprawy za niebyłą.

Tyle że on nie mógłby zapomnieć o tym, co mu zrobili.

Mógł natomiast wrócić pewnego dnia, by uregulować stare długi.

Przypomniał sobie o barkach zacumowanych na tyłach zajazdu Irène. Gdyby tak ukryć Carlę i dzieci na pokładzie? Gdyby stali się kapitanem barki i jego niewidomym sługą? Twarz Grymonde'a wystarczyłaby, żeby zniechęcić ciekawskich. A jeśli nie, to Tannhäuser miał spore doświadczenie w walce na wodzie; wątpił natomiast, by mieli je ci, którzy łodziami patrolowali rzekę.

– Hugonie, te łodzie, tam daleko, na rzece, to patrole pilnujące porządku?

– Nie. To zapora.

– Zapora.

Wizja Tannhäusera, jak to zwykle bywa z tymi pięknymi, rozplynęła się.

– Łodzie są przykute łańcuchami rozciągniętymi na całej szerokości rzeki – wyjaśnił Hugon – od tour de Nesle aż do nabrzeża przy Luwrze.

Grymonde westchnął ciężko.

– Ustawili ją już w południe. Zostaje więc albo brama Saint-Denis, albo jakaś klitka cuchnąca szczynami.

Tannhäuser założył bełt na tę samą kuszę, z której strzelał do Bara.

– Hugonie, stań na rogu ulicy i czekaj na mój sygnał. Grégoire, spokojnie prowadź wóz w stronę młynów, jakbyś miał tam sprawę do załatwienia. Reszta niech się przyczai.

Tannhäuser dobył miecza i ruszył w stronę mostu.

Półnagi i zbrzygany krwią w niczym nie przypominał poszukiwanego, o którym milicjanci mogli coś słyszeć. Nie wyglądał nawet na rycerza – ani prawdziwego, ani

wyimaginowanego. Chciał, by wzięli go za jednego ze swoich: za człowieka opętanego żądzą krwi. Księżyc miał za plecami, a szum młynów zagłuszał odgłos jego kroków. Blask ognia przytępił ich wzrok, a dzień samowolnej dominacji – umysły. Mógł się rzucić na nich z nienacką i zwyciężyć, zanimby się obejrzel, ale chciał wywabić wszystkich pięciu. Poczł woń pieczonego mięsa. Świńskie uszy. Albo podgardla. Pomachał mieczem na powitanie.

– Co nowego, kamraci, co nowego?

Teraz widział już czterech.

Zauważywszy go, w pierwszej chwili poczuli strach. Dwaj chwycili halabardy.

– Ładnie tu pachnie. Świńskie uszy?

– Ano. Ale niewiele tego mamy.

– Za to ja mam się czym wymienić.

Opuścili broń. Wilk wkroczył między owce.

Tannhäuser wiedział już, w jakiej kolejności ich zabije. Wreszcie pojawił się piąty; stanął na palcach, by popatrzeć ponad ramieniem czwartego. Tannhäuser zmienił kolejność. I uśmiechnął się.

– Ależ to całe zabijanie wzmaga apetyt.

Piąty odpowiedział uśmiechem.

Tannhäuser skoczył i w jednej chwili znalazł się zbyt blisko, by mogli skutecznie użyć halabard. Ciężarem ciała naparł na miecz na tyle skutecznie, że klinga przebiła brzuch czwartego i weszła na pół stopy w ciało tego uśmiechniętego, który stał za nim. Wzbudził panikę, kierując kuszę ku pozostałym, i wykorzystał chwilę, by zaprzeć się butem i wyszarpnąć miecz. Jeden z milicjantów rzucił się do ucieczki. Tannhäuser strzelił mu z bliskiej odległości w plecy, pomagając sobie prawym przedramieniem. Drzewce halabardy, które szerokim łukiem zbliżało się do jego kolan, zablokował łożem kuszy. Kolejnego przeciwnika ciął w gardło, a cofając miecz, zahaczył jeszcze o prawą stronę szyi i rozciął tętnicę. Ostatni był ten, który wcześniej próbował powalić go drzewcem. Tannhäuser odrzucił kuszę i chwycił halabardę. Szarpnął go ku sobie, skracając dystans, wbił miecz i obrócił w ranie. Wypuściwszy drzewce, oparł lewą rękę na zastawie i naparł ciężarem ciała, otwierając brzuch milicjanta aż po krocze.

Tannhäuser skinął na Hugona.

Uśmiechnięty jeszcze pełzał. Postrzelony z kuszy klęczał, dysząc płytko. Tannhäuser poderznął im gardła. Strząsnął krew z miecza i schował go do pochwy, a potem wyrwał bełt z pleców trupa. Natychmiast naciągnął kuszę i przygotował do strzału, po czym oparł ją o ścianę budynku.

Chwycił dwa trupy naraz i pociągnął na most, zgarniając po drodze wodę z kałuży, uliczny brud i mączny pył. Latarnie rozwieszono w regularnych odstępach, ale przeciwległego krańca mostu nie widział. Szum kół młyńskich niósł się echem pod sklepieniem. Minąwszy pierwszy młyn, zauważył prześwit między budynkami, a poniżej – nurt rzeki. Kołowrót z łańcuchem pozwalał dopasować punkt zawieszenia koła młyńskiego w zależności od poziomu wody. Drabinkami można się było dostać do przekładni, dzięki której obracały się żarna. W tej chwili była rozłączona; zapewne dlatego było względnie cicho. Tannhäuser spojrzał w dół, na rytmicznie zanurzające się w wodzie łopatki koła, a potem zrzucił ku nim dwa ciała. Runęły w spienione odmęty jak zakrwawione szmaciane lalki i zniknęły.

Powtórzył operację.

Na koniec dorzucił piątego wartownika.

Przystanął obok kołowrotu, żeby odsapnąć. Pot spływał mu po twarzy i dalej, na pierś pokrytą plamami i strupami, jakby cierpiał na ciężką chorobę skóry. Był bliski wyczerpania. Bolały go stopy, kolana i plecy. Nawet w palcach czuł sztywność. Zbyt wiele tych trupów. Pomyślał o Carli. Pewnie była jeszcze bardziej znużona. Zatoczył krąg głową, by rozluźnić kark.

Gdy się odwrócił, ujrzał młynarza w zakurzonym fartuchu, który przyglądał mu się, stojąc u podwójnych drzwi, a teraz cofnął się, zatraskując za sobą wrota.

Koła wozu zaterkotały na moście.

Tannhäuser zatrzymał go, gdy tylko zjechał z ulicy, po czym wrzucił na skrzynię halabardy i piki milicjantów drzewcami do przodu. Po chwili dołożył jeszcze latarnię. Spodziewał się, że na drugim końcu spotkają co najmniej trzyosobową wartę, która dzięki niezłemu oświetleniu mostu zauważy nadjeżdżających wcześniej niż on ją.

– Grymonde, wezmę twój pistolet. Grégoire, świńskie uszy są już gotowe. Weź też chleb i bukłak z winem. Czekać na mój sygnał. Przejedźcie szybko, tylko uważajcie, bo jest ślisko.

Tannhäuser sprawdził panewki i załadował obie lufy pistoletu. Miał nadzieję, że odgłos pracy młynów zagłuszy huk wystrzałów. Lewą ręką wetknął pistolet za pas na plecach, a potem przyjął od Grégoire'a bukłak i wlał sobie w gardło pół pinty wina.

– Hugonie, pójdziesz ze mną.

Zabrawszy kuszę, wyjął miecz z pochwy i ruszyli mostem w stronę drugiego brzegu.

Przy następnym prześwicie między młynami przyjrzał się lepiej jednemu z odcinków rzecznej zapory: w mroku majaczyły sylwetki niedużych kryp towarowych i maszty dwu

łodzi rybackich. Na plażach po obu stronach rzeki wciąż trwała krwawa orgia gwałtów i morderstw. Szkoda, że ustawili blokadę, pomyślał Tannhäuser, ruszając ku kolejnym plamom światła i ciemności. Most wibrował pod jego stopami.

– Hugonie, ile jest tych kół młyńskich?

– Dwanaście. Dwa łuki pozostawiono puste, żeby rzeka była żeglowna.

– Zostań tu, skąd wciąż jeszcze widać wóz. Na mój znak przywołasz pozostałych.

Tannhäuser nie zatrzymał się. Wchodząc w ostatnią ciemną strefę, nadal nie widział warty. Nad wyjściem z mostu wisiała samotna latarnia, a w cebrze stała pochodnia wypalona niemal do końca.

Z cienia wyłoniła się postać z półpiką w dłoni.

– Co nowego, co nowego? – zawołał Tannhäuser.

– Jeślibym się spodziewał nowin, to tylko od ciebie. – Głos brzmiał dość młodo. – Mam wrażenie, że moich towarzyszy nie ma od ładnych paru godzin. Przesłali może jaką wiadomość dla mnie?

Tannhäuser zobaczył wreszcie twarz swego rozmówcy: chłopak był młody, na pewno nie starszy od Orlandu i podobnie jak on zwiedziony szaleństwem starszych. Nosił na czole białą wstążkę – albo po to, by pot nie zalewał mu oczu, albo po to, by uchodzić za katolika. Nikt prócz niego nie pilnował tego przyczółka. A zatem: po trzech na każdym posterunku, przy czym dwaj wybrali się na drugą stronę, żeby się posilić i napić z pozostałymi. Młodzik nie wyglądał na wystraszonego; raczej z uznaniem przyglądał się Tannhäuserowi.

– Zatem zostawili cię samego, łajdacy? Który tu dowodzi?

– Oudin.

– Oudin. Mogłem się domyślić. Spokój po tej stronie?

– Jeśli nie liczyć młynarza, jesteś pierwszym człowiekiem, którego tu widzę tej nocy.

Mattias żałował, że ścieżki uśmiechniętego chłopaka i bandy fanatyków się przecięły. Ale i tak pchnął go prosto w serce i pozwolił, by ciało osunęło się na ziemię.

Zawrócił i szybko znalazł Hugona, który wbrew poleceniu zdążył podkraść się bliżej i teraz przyglądał się konającemu młodzikowi. Gdy spojrzął na Tannhäusera, trudno było wyczytać coś z jego oczu.

– To go nauczy – powiedział Hugon.

– Sprowadź wóz.

Mattias rozejrzał się po wąskiej ulicy. Była pusta, jeśli nie liczyć wozu ze stertą trupów, wokół którego kłębiły się nocne owady. Portowe magazyny. Conciergerie. Wieża

zegarowa. W ciemności widać było wskazówkę godzinową. Pół do jedenastej. Tannhäuser zablokował i wetknął za pas pistolet, a potem zaciągnął ciało młodego wartownika do najbliższego koła młyńskiego. Wrzucił półpikę do wody i zdarł z głowy zabitego białą wstążkę, po czym przewiązał nią swoje czoło.

Zwłoki zepchnął do Sekwany.

Gdy reszta dołączyła do niego, Tannhäuser wyjął z cebra pochodnię i osadził ją w żelaznym pierścieniu, specjalnie w tym celu umocowanym do burty wozu. Niechętnie wkraczał na to terytorium. Znowu byli na wyspie. Lewy brzeg był niczym mur więzienia. Mattias miał nadzieję, że zdążą wrócić z Carlą do mostu Młynarzy, zanim milicja na nowo obsadzi posterunki.

I z Pascale, dodał w duchu. Jeśli tylko czas pozwoli.

W magazynach panowała ciemność; z pewnością nie brakowało w nich zacisznych kryjówek. Znalazszy Carlę, mógł sprowadzić ją tu i ukryć wraz z wozem i resztą kompanii, by samotnie wyruszyć po Pascale. Łatwiej byłoby walczyć bez balastu, a Carla mogłaby się zająć Amparo.

– Żołnierze nas przez to nie wypatrzą? – spytała Estelle, wskazując na pochodnię.

– Słuszne pytanie. Ale i tak by nas wypatrzyli, a ponieważ wóz powinien być oświetlony, większe podejrzenia wzbudziłby brak pochodni. Hugonie?

– Jedziemy w lewo. – Chłopak wskazał na nieodległą wieżę. – Obok Palais de Justice.

Tannhäuser zapragnął spojrzeć na małą Amparo. Zdjął bełt z kuszy i odłożył ją na wóz, zanim odszukał wzrokiem Estelle. Amparo spała w buklaku. Dziwne to było uczucie, ta miłość, równie realna jak heblowana deska, na której wsparł dłonie. Odwrócił się, ale coś go tknęło.

– Gdzie Orlandu? – spytał, patrząc znowu na Estelle.

– Wskoczył z wozu, o, tam – odpowiedziała, wskazując na drugi koniec mostu. – Powiedział: Mattias zrozumie.

Tannhäuser sięgnął do wozu po sakiewkę z pieniędzmi le Telliera. Pobiegł najszybciej, jak mógł: plama żółci, plama czerni. Wielkie koła niestrudzenie mełły wodę. Znowu plama światła. Zatrzymał się. Jeżeli Orlandu odszedł, trudno byłoby go znaleźć. Jeśli nie, to czekał gdzieś blisko, obserwował.

– Orlandu! Rozumiem. Chodź ze mną.

Orlandu wyszedł z ukrycia i stanął na skraju ciemności.

– Potrafię przetrwać w Paryżu! – zawołał, przekrzykując szum wody.

– Dla takich jak my to żadna sztuka. Chodź ze mną.

– Nie mogę spojrzeć w oczy Carli. Jeszcze nie. Tobie zresztą też... Powiedz jej... –

Urwał wzruszony. – Powiedz jej, że wrócę do domu. Już wkrótce. Powiedz też, że kocham Amparo. Do zobaczenia, bracie.

Tannhäuser pchnął w jego stronę sakiewkę po śliskiej, błotnistej mazi.

Zatrzymała się u stóp Orlandu.

– To wystarczy, żebyś przeżył rok jak księżę, jeśli tylko będziesz się trzymał z daleka od burdeli.

Orlandu schylił się, podniósł woreczek i posłał go z powrotem do Tannhäusera.

– Nic mi po tym. Tobie bardziej przyda się pieniądz.

Tannhäuser sięgnął po złoto.

Orlandu potrząsnął głową.

– Przepraszam, Mattias. Przepraszam.

– Głowa do góry, synu. Poznaliśmy się w mroczniejszych chwilach.

– Nic podobnego – odparł Orlandu.

Tannhäuser przypomniał sobie Guwę.

A potem głowę Sabata Svi. I Borsa.

Ciężar ciała Amparo.

Tak, tamte dni były dla niego mroczniejsze.

Uśmiechnął się do Orlandu.

– Niech monsieur Paré obejrzy jeszcze to ramię. Jutro.

Orlandu zrobił, co mógł, by odpowiedzieć uśmiechem.

Tannhäuser już miał się odwrócić, bo był to najodpowiedniejszy moment, ale przyszło mu do głowy, że to Orlandu odchodzi – ruch należał więc do niego. Czekał w migotliwym świetle latarni kołysanych powiewami wilgotnego wiatru znad rzeki.

Orlandu otarł twarz rękawem. Zasalutował.

Tannhäuser uniósł rękę

Orlandu odwrócił się i zniknął w ciemności.

Mały Christian kaszłał i dyszał ciężko, zawieszony między przednimi kołami wozu. Jego stopy, na których nie było już butów, krwawiły. Portki, które miał na sobie, zwisały w strzępach u kostek. Był niemal w całości pokryty – a także oślepiiony i na wpół udławiony – brudną białawą masą z mostu Młynarzy.

– Hugonie, prowadź do domu Garniera.

– Będziemy przejeżdżać obok posterunku milicji przy moście Wymiany – odpowiedział mu chłopak. – Im też będziesz musiał dać lekcję.

– Grégoire, możemy jakoś obejść to miejsce?

– Daleka droga. I pewnie spotkalibyśmy jeszcze więcej milicjantów.

Na moście Wymiany znajdowały się liczne sklepiki ze złotem i klejnotami, nie brakowało więc prywatnej ochrony i miejskich strażników, dorabiających sobie po godzinach. Zadaniem milicji było jednak blokowanie mostu, a nie ulicy biegnącej prostopadłe do niego.

– Nie wyglądamy na hugenotów – stwierdził Hugon.

– Ani na milicjantów. Wystarczy, że będziemy jak *bravos*. Opuśćcie tę burtę i wyrzućcie do rzeki wszystkie piki, zostawcie tylko mój szponton. Baryłkę przestawcie na koniec skrzyni. Mój Infancie...

– Czyżby nadeszła pora na kolejną nieśmiertelną?

– Możliwe, że przyda się nam obu. Chodź ze mną.

Tannhäuser chwycił Grymonde'a pod ramię i poprowadził do wozu z trupami. Muchy kłębiły się wokół niego, bzyząc złowrogo. Wstrzymał oddech, podszedł jeszcze bliżej i wybrawszy parę ewidentnie męskich kostek ściągnął zwłoki na ziemię. Następnie podał je Grymonde'owi, a sam chwycił zmarłego za ramiona.

– Podążaj za ciężarem.

– Pewnie wywieźli ich z Conciergerie. Słyszałem, że wielu heretyków zgłosiło się tam dobrowolnie, żeby dać się aresztować. Wyrznięto ich w celach jak stado baranów.

Wrzucili ciało na swój wóz, twarzą do dołu, zwrócone głową ku tyłowi.

– Zamierzasz oszukać wartę – zauważyła Estelle.

– Doskonale. Towarzystwo macie nieprzyjemne, ale to nie potrwa długo.

Przynieśli kolejnego trupa i ułożyli obok pierwszego. Tannhäuser uznał, że to wystarczy. Nie podniósł burty. Poprowadził Grymonde'a i pomógł mu usiąść z przodu, obok Grégoire'a. Tworzyli niezapomnianą parę. Tannhäuser odbezpieczył pistolet.

– Młodzi, mówię teraz do was trojga: jeśli wywiąże się walka, zeskoczycie z wozu i uciekniecie. Hugonie, weźmiesz te dwa worki. Oddalicie się biegiem na bezpieczną odległość i się zatrzymacie. Jeśli zauważycie, że nie poszło nam dobrze, wróćcie do domu, na Podwórze. Infancie, schowaj swoje noże i nie podnoś głowy. Możliwe, że cię znają.

– Mam nadzieję.

– Grégoire, odepnij ten łańcuch. Owiń nim ze dwa razy jego nadgarstki. I uśmiechaj się szeroko do każdego, kogo spotkamy. Estelle, Hugonie, włóżcie te hełmy.

– Za duży – poskarżyła się Estelle.

– Tym lepiej. Infancie, gdy dam ci znak, wybuchniesz śmiechem. Bądź czujny.

– Śmiechem? A z czego miałbym się śmiać?

Przyczółek mostu Wymiany, głównej przeprawy w tej części miasta, był znacznie bardziej odkryty niż okolice mostu Młynarzy. Tannhäuser pamiętał to miejsce, przejeżdżał tędy z Retzem. Przy łańcuchu trzymało wartę trzech milicjantów. Podobnie jak ci, których pogrzebał w Sekwanie, nosili jedynie białe insygnia, bez czerwonych dodatków, które upodobali sobie Pielgrzymi. Gdy przechodził obok nich, trzymając się blisko wozu, jeden z milicjantów podbiegł do niego i gestem kazał się zatrzymać. Tannhäuser dał znak Grégoire'owi, by usłuchał.

– Stać, stać! Skąd jedziecie?

– Dodaj „monsieur”, to może usłyszysz odpowiedź.

Sklepikarz, pomyślał Tannhäuser, zapewne nawykły do pokrzykiwania na furmanów, a mnie wziął za jednego z nich. Stał najwyżej o krok od pochodni, płonącej nieco z tyłu, obok jego prawego ramienia. Sklepikarz przyjrzał się broni i śladom krwi.

– Monsieur, skąd to Bóg prowadzi?

– Z Les Halles, gdzie dzieje się jakby więcej niż tu.

Wartownik spojrzał na dzieci w wielkich hełmach. Na zgarbionego olbrzyma na koźle i na siedzącego obok woźnicę o ohydny uśmiechu. Na trupy i tysego psa. Na stwora unurzanego w mące i ekskrementach, gwałtownie wymiotującego pod wozem. Nie miał pojęcia, co o tym wszystkim myśleć, ale czuł się dostatecznie ważny, by nie ulegać obawom. Zmarszczył brwi.

– Przejechaliście mostem Młynarzy. To dziwne.

– Zamelduj o tym Oudinowi i jego kompanii. Jakoś nie widzieli w tym nic dziwnego.

Podobnie jak Bernard Garnier, który posłał mnie tamtędy, żebym uniknął tych waszych łańcuchów. Może pamiętasz, że opóźniły jego wymarsz.

Sklepikarz pamiętał.

– Kapitan niedługo wraca. Ja zresztą też. I znowu przejadę mostem Młynarzy.

– Obowiązuje godzina policyjna. Niebezpiecznie szwendać się po mieście. Jakie to sprawy macie do załatwienia?

– Sprawy Garniera. Zaczekam, jeśli rozkażesz, ale o te „sprawy” sam go będziesz pytał.

Sklepikarz spojrzał prosto w oczy Tannhäusera i natychmiast tego pożałował.

Mattias uśmiechnął się, by go zatrzymać.

– Kapitan nie ma dziś humoru, więc i ja kwaśny. No, ale on może sobie na to pozwolić, wszak jest kapitanem. Zawołaj no swych kompanów. Ejże! Kamraci!

Sklepikarz nie był zachwycony tym posunięciem, ale miał równie słaby instynkt samozachowawczy jak jego druhowie, którzy oparli swoje halabardy o łańcuch i czym prędzej przybiegli. Wyglądali na nieco twardszych; może byli rzemieślnikami? Sądząc po dłoniach, jeden z nich mógł być barwiarzem.

Tannhäuser skinął głową na powitanie. Odpowiedzieli tym samym.

– Spróbujmy tego wina – powiedział. – Wiążę z nim spore nadzieje. – Tannhäuser przykucnął, wyciągnął czop i nadstawił usta. Wstał po chwili. – Piłem już lepsze. No, przynajmniej raz, dawno temu.

Rzemieślnicy ani myśleli czekać na zgodę sklepikarza.

– Chcecie wiedzieć, skąd podły nastrój Garniera? – spytał Tannhäuser.

To było to. Sklepikarz uwielbiał plotki.

– Tej nocy stracił sporo Pielgrzymów. Tych z konfraterni.

– Naprawdę? Słyszeliśmy, że ponoć zapaścił się aż na Podwórze.

– Podobnie jak my. Było strasznie – odparł Tannhäuser. – Nawet dziewczuchy są tam bardziej niebezpieczne niż wściekłe psy. – Mówiąc to, mrugnął do Estelle, której oczy lśniły w ciemnym wnętrzu hełmu. – Ale pewnie znacie Garniera: dostał to, czego chciał, a ci żebracy prędko mu tego nie wybaczą. Słyszeliście może o Infancie? – Mattias wyczuł, że Grymonde poruszył się nieznacznie na koźle.

Sklepikarz pokręcił głową, za to barwiarz wstał czym prędzej, wypiwszy drugą dawkę wina. Towarzysz skwapliwie zajął jego miejsce.

– Infant Kukanii? Znaczy: Grymonde? A któż by o nim nie słyszał? Podciąłby człowiekowi gardło za ostatniego miedziaka.

Tym razem Tannhäuser posłyszał westchnienie Grymonde’a.

– Nie pytam, gdzie próbowałeś lepszego wina, przyjacielu, ale na pewno nie było to w Paryżu. Tak czy owak, to wchodzi jak krowie mleczko.

– Okazuje się, że całe życie piliśmy ocet, nawet o tym nie wiedząc.

– Zatem weźcie sobie tę baryłkę, druhowie – rzekł łaskawie Tannhäuser. – Jest wasza.

Dwie szczęki opadły dość nisko. Sklepikarz pokręcił głową.

– Jesteśmy tu, by służyć Chrystusowi i królowi, a nie po to, by żłopać wino.

– Zapewniam, że w Luwrze nie pijają octu – odparł Tannhäuser. – W klasztorach też nie. Nawiasem mówiąc, właśnie tam smakowałem lepszego wina. No jakże to, czyżbyśmy

byli kalwinistami? – Tannhäuser ryknął śmiechem, a dwaj rzemieślnicy zawtórowali mu, spoglądając łakomie na antałek. – Mam zresztą tego więcej, a nie kosztowało mnie to ani sou – kusił. – Pijcie więc i się weselcie. A jeśli to wbrew regulaminowi, zabierzcie do domu, poczęstujcie żony.

Rzemieślnicy przechwycili baryłkę, zanim ich kompan zdążył zareagować.

– Powiedz no, monsieur – odezwał się sklepikarz – co się właściwie stało z tym Infantem?

– Sam zobacz – odparł Tannhäuser. – Oto on.

Ledwie zdążył to powiedzieć, siedzący na koźle wybuchnął dzikim, maniakałnym śmiechem.

Rzemieślnicy umknęli, naturalnie zabierając ze sobą baryłkę, i natychmiast sięgnęli po halabardy. Sklepikarz nie został w tyle; wśliznął się za nich i wszyscy trzej, rozdziawiwszy usta, z bezpiecznej odległości wpatrywali się w Grymonde'a.

On zaś niespiesznie odwrócił głowę ku nim. Widok wilgotnych, białych oczodołów i potężnych, obnażonych zębów dał milicjantom doskonały przedsmak tego, co zobaczą w przedsionku piekła.

– Dajcie mi nieśmiertelną, łajdaki!

– Jak widzicie, kompletnie postradał zmysły – zawołał Tannhäuser.

Grymonde zadzwonił łańcuchami. Milicjanci cofnęli się jeszcze o krok.

– Zauważyłem, że kołysanie wozu działa nań kojąco – ciągnął Tannhäuser. – Ale jeśli sądzicie, że powinniśmy poczekać na kapitana, możemy spróbować uciszyć to monstrum paroma pintami wina.

– Kawalerze! – ryknął Grymonde, kierując twarz ku sklepikarzowi. – Polej mi wina!

– Ruszaj w drogę, przyjacielu – zawołał barwiarz w stronę Mattiasa. – I wielkie dzięki za baryłkę!

Sklepikarz nie ośmielił się zakwestionować tego rozkazu.

– Pewnie powiedziałem wam więcej, niż powinienem – rzekł Tannhäuser. – Gdyby więc Garnier pytał, powiedzcie mu, że Mały Christian w pełni panuje nad sytuacją, i ani słowa więcej.

Grymonde zarechotał tak gwałtownie, że wartownicy cofnęli się o jeszcze jeden krok.

– A jeśli o nic nie zapyta, wiecie, jak to jest ze śpiącym psem. Zbudzicie go albo i nie, wasza wola.

– Christianie, co on tam bełkocze? – spytał barwiarz, zwracając się do Tannhäusera.

Prawdziwy Mały Christian istotnie rzeźił jakby głośniejszy, powtarzając jedno słowo jak refren piosenki. Fekalia tryskały przy tym z jego ust i nosa, jakby pokrywały nie tylko całe jego ciało, ale i narządy wewnętrzne. Gdy mrugał, białka jego oczu pozostały niewidoczne, bo i one pokryły się ulicznym błotem.

– *Ordure!* – zawył Mały Christian. – *Ordure!*

– Możliwe, że to tytuł jego najnowszej sztuki – orzekł Tannhäuser.

Wóz zatrzęsł się od gromkiego śmiechu Grymonde’a.

– Nielatwo mu podróżować – zauważył barwiarz. – Co takiego uczynił, nieszczęsny łajdak?

– Był kochankiem Marcela le Telliera... – zaczął Tannhäuser.

Śmiech Grymonde’a sięgnął czarnego nieba.

– ...którego zamordował w szale zazdrości.

Wartownicy spojrzeli na unurzanego w nieczystościach pisarzynę z jeszcze większą odrazą.

– Kto by pomyślał – mruknął sklepikarz.

– Ano – zgodził się barwiarz. – Morderstwo to jedno, ale żeby chędożyć policjanta?

– A o co był taki zazdrosny? – spytał sklepikarz.

– A któż może wiedzieć, co siedzi w głowach lepszych od nas? – odparł filozoficznie Tannhäuser.

Drugi rzemieślnik uniósł nieco swą pikę.

– Nie masz nic przeciwko?

Tannhäuser chciał mu odpowiedzieć, że nie ma czasu na takie zabawy, ale w porę dostrzegł spojrzenie Estelle. Specjalnie uniosła lekko hełm, by nie miał wątpliwości co do jej intencji.

– Bylebyś go nie ubił – rzekł, zwracając się do rzemieślnika z piką – i konia nie pokaleczył. Baw się dobrze.

Mężczyzna przykucnął, a chwilę później rozległ się trzask kości, gdy grot dosięgnął kostek i stóp jeńca. Mały Christian przerwał swoją piosenkę i wrzasnął dziko. Teraz i sklepikarz przyłączył się do zabawy: odebrał barwiarzowi pikę i ciał w poprzek przez pośladki dworzanina. Zapewne obaj po raz pierwszy utoczyli krew, ale przynajmniej teraz mieli się czym pochwalić w gronie towarzyszy.

– Cóż, druhowie, na mnie już czas. Niech Bóg błogosławi króla i papieża na rzymskim tronie.

Odpowiedzieli mu ze szczerym zapalem, gotowi niemal żegnać go wiwatami.

Tannhäuser ruszył. Skrzyknęły koła wozu.

– Christian! – zawołał za nim sklepikarz. – A te dzieciaki to kto?

Mattias odkrzyknął mu przez ramię:

– Dzieciaki są moje.

Skręcili na południe, oddalając się od rzeki. Garnier mieszkał przy pierwszej ulicy po wschodniej stronie. Na wypadek gdyby nowi przyjaciele jeszcze ich obserwowali, Tannhäuser poprowadził wóz do kolejnej przecznicy i w nią dopiero skręcił. Na wyspie panowała cisza – nie na darmo „oczyszczano” ją przez cały dzień. Mattias zabezpieczył pistolet. Przy najbliższej stercie odpadków, na tyłach karczmy, zrzucił z wozu oba trupy. Skręcili na północ, z powrotem w stronę rzeki – i domu Bernarda Garniera.

Zbliżała się jedenasta.

Tannhäuser był pewny, że gdyby ukrył Carlę i wóz w nadrzecznym magazynie, mógłby niepostrzeżenie ominąć sklepikarza i jego towarzyszy. Księżyc stał na zachodnim niebie, a cienie były czarne jak Morze Północne. Z magazynów mógł dobiec do zajazdu Irène w dziesięć minut. To jednak oznaczało, że Carla zostałaby sama na pół godziny, może dłużej. Nie, ten plan mu się nie podobał. Im dłużej most Młynarzy pozostawał niestrzeżony, tym bardziej prawdopodobne było to, że w drodze powrotnej zastaną przy nim nową wartę. Gdyby przewiózł Carlę na drugą stronę od razu, dotarliby do Ville w dwadzieścia minut, nie pięćdziesiąt.

Wtedy jednak, chcąc sprowadzić Pascale, musiałby zostawić Carlę samą na jeszcze dłuższy czas. Mógł to zrobić – choćby w Kukanii. Nikt już nie odważyłby się tej nocy najechać królestwa żebraków. Lecz gdyby wrócił po Pascale, co oznaczałoby kolejne dwie przeprawy przez rzekę, do bramy miejskiej dotarliby wszyscy grubo po północy, a Pielgrzymi już by tam czekali. Sprowadzenie Pascale do Kukanii kosztowałoby go godzinę. Godzina zaś kosztowałaby życie jego żony i dziecka.

Wiedział, że stać go na to, by zostawić Pascale. Nie dlatego, że znał ją zaledwie jeden dzień – niektóre więzi wykute są bowiem z metali bardziej tajemniczych niż sam Czas. Zostawiłby ją, ponieważ był dostatecznie bezlitosny. Miał w sobie dość siły woli, by zapanować nad odruchami serca czy żołądka. Cóż jednak rządziło jego wolą, jeśli nie serce?

I dlatego jego wola czekała, aż powie jej, co ma robić.

Żałował, że nie może spytać Carli o zdanie, choć tak naprawdę z góry znał odpowiedź. W tej samej chwili pomyślał, że odpowiedzi nie będzie, a to dlatego, że nie zada pytania. Gdyby wsadził Carlę na wóz, nie wróciłby już po Pascale. Gdyby spojrzął w oczy

swej żony, gdyby wziął ją w ramiona, gdyby zobaczył Amparo na jej rękach, nie byłby w stanie oddalić się od niej. Donikąd. Ów plan był pustą fantazją.

Ani Carla, ani nikt z jego towarzyszy nawet nie widział Pascale. Zostałaby jedną z wielu bezimiennych ofiar rzezi, zapomnianą przez wszystkich – prócz niego.

Ten plan także mu się nie podobał. Pascale miała bowiem w sobie coś, czego nie wyczuł u nikogo innego prócz siebie. Czystość wiedzy, jasność myśli, której nie musiała się uczyć. Potrzebowała jedynie środków, by nauczyć się ją wyrażać. I miało to coś wspólnego ze śmiercią.

Wiedział, że najpierw musi dotrzeć do Pascale.

Zanim zabierze Carlę.

Jeżeli Carla rzeczywiście przebywała w domu Garniera, była bezpieczna. Jeżeli jej tam nie było, nie mieli najmniejszych szans na dotarcie do porte Saint-Denis przed północą. Mógł natomiast ukryć wóz już teraz, tutaj, zostawić wszystkich i sprowadzić Pascale. Zgarnąłby ich – i Carlę – w drodze powrotnej. W komplecie mogli dotrzeć do Ville w pół godziny. Jedynym problemem było to, że musiał na pewien czas zostawić Amparo. Estelle była dla niej lepszą opiekunką niż on, ale przecież obiecał, że jej nie zostawi. I nie zamierzał. Nie potrafił.

Kości zostały rzucone, karty rozdane – stawką było życie Amparo i wszystkich innych bliskich mu osób. Zbyt często tańczył z Fortuną i na zbyt wielu balach, by odrzucić jej zaproszenie. Gdyby to zrobił, zatańczyłaby z kimś innym, a on nie miał zamiaru oddawać pola, zwłaszcza nie teraz.

– Grégoire, znajdź w pobliżu miejsce, w którym moglibyśmy ukryć wóz.

Chłopak skinął głową z taką pewnością, jakby już je znalazł.

– Jeśli chcesz, weź pochodnię, ale pamiętaj: to ma być kryjówka, lepiej, żeby was nie widziano. Ja zabiorę latarnię. Jeżeli nie wrócę w ciągu godziny, weźcie z Hugonem te sakiewki i życie, jak tylko zechcecie. Wielkiego Infanta zostawcie.

– Zostawić Infanta? – zdumiał się Hugon.

– Sam wybierze sobie śmierć... i tak jest już trupem.

– Może i jestem – zgodził się Grymonde – ale dopilnuję, żeby odeszli z sakiewkami.

Estelle stanęła na wozie, tuląc Amparo. Tannhäuser spojrzał jej w oczy.

– Latałaś już ze smokiem, Estelle. Ośmielisz się pofrunąć z diabłem?

– A Amparo?

– Ten diabeł nie poleci bez obu sióstr.

– Możemy wziąć moją kuszę?

Wiedział, ile to dla niej znaczy. Uśmiechnęła się, gdy skinął głową.

Sięgnął po maczugę i wcisnął jej trzonek w wielką dłoń Grymonde'a.

– Myślisz, że będę miał okazję jej użyć?

– O, tak. Niech no tylko zobaczą, że trzymasz ją w ręku.

Grymonde powiódł palcami po ostrych krawędziach stalowych kołnierzy.

– Słusznie. Uderzę, gdy zaczną pierdzieć ze strachu.

Tannhäuser stanął plecami do krawędzi skrzyni i przywołał Estelle. Chwycił ją w pasie i posadził sobie na ramionach. Gdy się usadowiła, poczuł Amparo tuż przy prawym uchu. Łuk Altana i kołczan pełen strzał o szerokich grotach zawiesił na lewym ramieniu.

– Dokąd idziemy? – spytała Estelle.

– W stronę nabrzeży, odrobinę na północ od Notre-Dame.

– To niedaleko – zauważyła.

– Dlaczego właśnie tam? – zainteresował się Grymonde.

– Sprowadzę Pascale, moją przyjaciółkę. Złapali ją *sergents* le Telliera.

Tannhäuser uświadomił sobie, że zabiera nie tylko własną córkę, ale i córkę Grymonde'a. Co do ich pokrewieństwa nie miał żadnych wątpliwości od pierwszej chwili, gdy ujrzał ich razem na Podwórzach; równie dobrze rozumiał i to, że Estelle nie zna prawdy. Zastanawiał się, dlaczego Grymonde jej nie uznał, ale wolał nie pytać.

– Dostanę błogosławieństwo na drogę od wielkiego Infanta?

– La Rossa jest twoim błogosławieństwem. Infant nie żyje. Ale jeśli to ma być jego raj, niech i tak będzie.

– Hugonie – rzekł Tannhäuser. – Wskaż mi dom Garniera.

Dom Garniera wyróżniałby się spośród innych, nawet gdyby dwaj wartownicy nie drzemali na jego schodach. Tannhäuser mógł ich teraz zabić – nie zdążyliby nawet otworzyć oczu. To jednak nie zmieniłoby jego planów, a wykonać tę prostą czynność mógł równie dobrze teraz, jak i potem.

– Hugonie, gdy Grégoire znajdzie kryjówkę, wróć tutaj i obserwuj dla mnie ten dom.

Klepnął chłopaka po plecach. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek spotkał mężczyznę czy wyrostka, który nie lubił takich dowodów sympatii. Ale Hugon nie lubił. Poruszył nerwowo ramieniem, jakby zadano mu ból.

– Będę go obserwował dla siebie – odpowiedział. – I dla Carli.

– Jeszcze lepiej. Wypatruj też naszego powrotu.

Tannhäuser miał wrażenie, że czuje z tyłu głowy bicie serca małej Amparo. Nie, nie mógłby go poczuć przez skórę bukłaka, mimo wszystko... podniosło go to na duchu. Ruszył na wschód, ku gęstej ciemności i zajazdowi Irène.

– Tannzer – zagadnęła Estelle – podoba ci się imię „Pascale”?

– Tak – odpowiedział i zaraz poczuł, że nie była to najszcześniejsza odpowiedź. – Ale nie tak bardzo jak „Estelle”.

– Myślisz, że Pascale to dobre imię dla siostry?

– Owszem.

– Zatem Pascale jest jedną z nas.

– To prawda.

Szybko się przekonał, że może utrzymać dobre tempo marszu mimo pasażerów na grzbiecie; wąły blask latarni i tak nie pozwalał na więcej.

– Tannzer? A co znaczy „Pascale”?

Tannhäuser zastanawiał się przez chwilę.

Ucieczka Izraelitów z Egiptu.

– „Droga do wolności” – odpowiedział.

– Ach tak. – Estelle potrzebowała znacznie mniej czasu do namysłu. – Skoro więc mamy już gwiazdę, schronienie i drogę, możemy dotrzeć bezpiecznie aż do domu.

Tannhäuser zaśmiał się cicho.

– Jakbyśmy już tam byli.

– A co znaczy „Tannzer”?

– Tego nie wiem. Może sama coś wymyślisz?

Dotarli do ulicy przecinającej wyspę od pont Notre-Dame do Petit Châtelet. Tannhäuser spojrzał na północ. Przy łańcuchu broniącym wstępu na most kręciło się kilku milicjantów. Na południu ulica była pusta aż do zakrętu. Niezauważony przez nikogo przeszedł na drugą stronę i przyspieszył.

Estelle pochyliła się nad jego uchem i wyszeptała:

– „Wieje Północny Wiatr”.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Sąd

Carla czuła znużenie we wszystkich kościach i każdym mięśniu. Było tak wielkie, że zgasiło ostatnie płomyki jej ducha – został już tylko wątyły żar. Nawet gdy ciężko pracowała w szpitalu na Malcie, podczas najgorszych dni oblężenia, nie czuła takiego wyczerpania. Co gorsza, zmęczeniu towarzyszyła czarna melancholia. Mimo to Carla nie mogła zasnąć.

Leżała na przyzwoitym łóżku w pokoju gościnnym na pierwszym piętrze domu Bernarda Garniera na Île de la Cité. Od strony rzeki docierały upiorne odgłosy – okrutne mordy na hugenotach wciąż trwały. Carla nie miała jednak sił, by wstać i domknąć okno. Krzyki kobiet i dzieci, rozpacz śpiewających psalmy – wszystko to sprawiało, że czuła się wręcz zobowiązana słuchać. Wątpiła zresztą, by i w kompletnej ciszy udało się jej zasnąć. Jakżeby mogła, skoro nie było przy niej Amparo?

Czuła, że nie powinna była oddawać dziecka. Wciąż miała przed oczami obraz Estelle znikającej w mroku spowijającym dachy Paryża. Nie mogła jednak przewidzieć, że Garnier pojawi się po to, by zapewnić jej ochronę. Dominic przecież gotów był zabić i ją, i Amparo, gdyby tylko miał ku temu okazję. W praktyce więc nie miała wyboru, a raczej: wybór, którego dokonała, miał sens. Amparo naprawdę była bardziej bezpieczna pod opieką Estelle. Mimo to żal trwał i był gorzki, a smutek ciążył na piersi Carli.

Jej ciało nie przywykło jeszcze do pustki, która zapanowała w miejscu od miesięcy goszczącym nowe życie. Póki trzymała córeczkę w ramionach, nawet tej pustki nie zauważała – dziecko pochłaniało ją bez reszty, wypełniając sobą nie tylko ten skrawek ciała, ale i cały jej wszechświat. Bez Amparo zaś wszechświat wydawał się otchłanią rozpaczy.

Pociechy nie przynosiły jej nawet rozmyślania o Mattiasie. Czuła, że teraz, gdy znowu zniknęła, on już jej nie odnajdzie. Zło, którym Paryż przesiąkł aż do korzeni, było po prostu potężne. Widziała je w okaleczonych trupach, którymi usiane były ulice, w krwawych rozrachunkach, które od tyłu godzin trwały nad brzegami Sekwany. Dobrze, aż za dobrze wiedziała, co znaczy słowo wojna, ale to, co działo się w tym mieście, było zbyt odrażające, by zasługiwać na jakiegokolwiek miano. A w samym oku tego cyklonu zła Marcel le Tellier pragnął jej śmierci. O dziwo, ta postać jakoś nie budziła w niej wielkiej ciekawości. Jeszcze nigdy nie czuła się tak samotna i tak złąkniona. Pragnęła bliskości Amparo, która przyszła na świat w ciemności ludzkiego okrucieństwa i przyniosła ze sobą światło.

Antoinette zasnęła przytulona do swej opiekunki. Jej bliskość była pocieszeniem, ale tylko do pewnego stopnia: Carla obawiała się i o nią. Każdy, kto należał do rodziny d'Aubrayów, żył z wyrokiem śmierci. Jakby tego było mało, więz z Carłą była dla niej dodatkowym zagrożeniem. Jeśli nawet były bezpieczne w tych murach, co wydawało się wątpliwe, to czas spokoju miał wkrótce dobiec końca. Garnier obiecał Carli bezpieczeństwo, gdy stał na czele swych ludzi, jako zwycięzca. Le Tellier miał jednak inne uprawnienia: był między innymi sędzią. Działał może wolniej, ale za to skuteczniej i nieodwołalnie. Skoro przez cały dzień nie ustawał w dążeniu do celu, należało się spodziewać, że nie spocznie, póki go nie osiągnie.

Gdy przywieziono ją tu wraz z Antoinette, madame Garnier – chwilę wcześniej pogrążona we śnie – przyjęła rozkazy męża bez głębszego zrozumienia, ale i bez oporu. Gdy odjechał, Carla obawiała się, że wraca wprost do domu le Telliera. Odmówiła zjedzenia kolacji, podobnie jak Antoinette. Resztki energii zużyła na kilka uprzejmych gestów i słów, które pozwoliły jej jak najszybciej zamknąć za sobą drzwi pokoju gościnnego.

Antoinette rozpląkała się wtedy, a Carla długo tuliła ją w ramionach, nie znajdując żadnych słów pocieszenia. Sama zresztą też płakała i być może trwałoby to całą noc, gdyby palce małej – o, dziecięcy geniuszu! – nie wyczuły kształtu talii kart Alice w kieszeni sukni Carli. Ciekawość zwyciężyła smutek.

– Co to?

– Karty do gry.

Carla wyjęła talię i szybko usunęła z niej Śmierć oraz Diabła, chowając je dyskretnie z powrotem do kieszeni. Resztę pokazała Antoinette.

– Mogę nimi pograć?

– Oczywiście.

– A jak to się robi?

– Wymyśla się historyjki.

– Ale jak?

– Trzeba układać karty jedną obok drugiej, o, tak.

Carla wyłożyła Cesarza, Cesarzową oraz Kochanków.

– Widzisz? Rycerz zakochuje się w tej damie i biorą ślub.

– A potem?

– Spójrz na obrazki i sama zdecyduj.

Antoinette rozłożyła karty na pościeli.

– Nie podoba mi się tu – powiedziała. – Wolałabym wrócić na Podwórze.

- Poczujesz się lepiej, kiedy się wyśpisz.
- Zobacz, dama dostała pieska, który będzie bronił jej i rycerza.
- Cudowna historia, Antoinette. Tylko myślę, że to miał być lew.
- Lew? Jest chyba jeszcze lepszy niż pies?
- Znacznie lepszy. Weź sobie damę i jej lwa, prześpijcie się razem.

Karty leżały obok świecy, na stoliku przy łóżku.

Carla rozmyślała o Alice. Znała ją tylko przez jeden dzień, a tęskniła za nią tak, jakby przyjaźniły się przez całe życie. Nigdy nie było w jej życiu kobiety, którą mogłaby stawiać sobie za wzór. Alice oddała się jej bez reszty, była teraz jej częścią. Carla miała nadzieję, że towarzyszy jej nieustannie. Sięgnęła po kartę Siły, leżącą na poduszce Antoinette.

Czy dziewczynka mogła dokonać świadomego wyboru? Wybrała kartę z rysunkiem przedstawiającym lwa oswojonego przez damę. Alice powiedziałyby pewnie, że nie należy wybierać karty jako wróżby, ale jako zaproszenie do sięgnięcia w głąb własnej duszy. Karta wskazywała jedynie kierunek; dzięki niej można było przede wszystkim dowiedzieć się czegoś o sobie. Siła. Carla nigdy nie czuła się tak słaba. Widok lwiej karty uświadomił jej to jeszcze dobitniej.

Była słaba. Przyznać się do słabości, zaakceptować ją, widzieć, ale nie bać się jej – to chyba dowód siły, czyż nie? Była słaba, a na dodatek zamknięta w domu człowieka, który sprzymierzył się z jej najgorszymi wrogami. I z najgorszymi wrogami jej dziecka. Czy była tak bardzo słaba, że mogła jedynie biernie czekać, aż ją stąd zabiorą? Usiadła na materacu i postawiła nogi na podłodze. Nagły ruch wywołał kolejny, słaby już skurcz, prawie nie zwróciła na niego uwagi. Wstała.

Podeszła do okna – zatem mogła iść o własnych siłach, jeśli tylko miała ku temu powód. Pokój gościnny mieścił się na tyłach domu, za oknem widać było rzekę. Po lewej miała domy wzniesione na moście Wymiany – to zza nich dobiegały odgłosy nieustającej masakry. W cieniu domów na prawym brzegu dostrzegła na Sekwanie długi szereg pustych łodzi, jakby powiązanych ze sobą w pęczki, ale nie była pewna, czy refleksy księżycowego światła nie wprowadzają jej oczu w błąd. Przy bliższym brzegu nie widziała ani jednej łodzi. Po prawej miała tylne ściany domów wzniesionych na innym moście, pont Notre-Dame. Znajdowała się na wyspie.

Dokąd więc mogła uciec?

Po drodze widziała łańcuchy i milicjantów broniących wstępu na mosty. Garnier zostawił dwóch ludzi przy drzwiach frontowych, by czuła się bezpieczna. Jeden czuwał tu już wcześniej – by bezpieczniej czuła się żona kapitana. Nowym był zaś jego podkomendny,

chorąży Bonnett, który nie ukrywał, że nie w smak mu tak mało zaszczytna misja – między innymi dlatego, że Garnier umieścił go tu za karę za nadmiar pychy: to właśnie Bonnett zgłosił się na ochotnika, gdy trzeba było chwycić za rożen i wylupić Grymonde'owi oczy.

Skrzywiła się na samo wspomnienie. Grymonde był potworem, nie zapomniała o tym ani na chwilę, nawet gdy widziała swą nowo narodzoną córeczkę w jego wielkich dłoniach. Mimo to jakąś cząstką swego serca przekonał ją do siebie – i nie chodziło tylko o to, że ją pokochał. Owszem, kochał, ale dowiedziała się o tym dopiero wtedy, gdy stracił oczy.

Owa scena okrutnej kary omal nie wytrąciła jej z równowagi. Musiała patrzeć, jak rudowłosa piękność – bez wątpienia matka Estelle – drwi z Grymonde'a. Jak uśmiecha się okrutnie Mały Christian. Jak szydzą z Infanta prości żołnierze. Widziała też pierwszą dymiącą dziurę, która pojawiła się w nieforemnej twarzy olbrzyma.

I właśnie w tamtej chwili, gdy miała głośno wyrazić swój sprzeciw przeciwko temu, co zaszło, drugie oko spojrzało na nią przenikliwie i z miłością. Grymonde potrząsnął głową, choć dwóch mężczyzn trzymało ją od tyłu ze wszystkich sił. Potrząsnął, by dać Carli znak. Zrozumiała. Wiedziała, że ma rację. Nie mogła ocalić drugiego oka. Gdyby zaś stanęła w obronie niesławnego przestępcy, który ją porwał, zabijając przy tym wielu niewinnych ludzi, podważyłaby swoją pozycję, straciłaby wpływy. Milczała więc i nie uroniła ani jednej łzy. I właśnie tej bezgłośnej bitwy, którą stoczyła z własnym wstydem i żalem, omal nie przegrała.

Gdy Grymonde stracił drugie oko, porzucili go, spętanego, na kolanach, a Mały Christian wyjaśnił Dominicowi, że dla kogoś takiego jak Infant Kukanii była to kara znacznie gorsza od śmierci. Zaraz potem rudowłosa kobieta wszczęła awanturę o pieniądze, a Dominic zaspokoił żądze krwi, zabijając ją sztyletem i ciało rzucając na palenisko. Gdy wywozili Carłę z krainy szczęśliwości – tym samym wozem, którym tu przyjechała – tylko raz, jeden jedyny raz spojrzała na Małego Christiana. Wydawało jej się wtedy, że to, co przeżyła, pozbawiło ją wszelkich myśli i uczuć, jednak jakieś emocje musiały być widoczne w jej twarzy, natychmiast bowiem przestał się uśmiechać, zdjęty zgrozą.

Carla spojrzała kolejno na oba mosty. Nie miały szans na to, by przebić się z powrotem do Kukanii, choć podobnie jak Antoinette nie potrafiła sobie wyobrazić innego miejsca w Paryżu, w którym chciałyby się teraz znaleźć. Nie mogła też dotrzeć do zgromadzenia Filles-Dieu i odebrać Amparo. Ulice pełne były nie tylko zabójców, ale i innych złoczyńców węszących za ofiarami najbardziej wyuzdanych pragnień.

Odwróciła się plecami do okna i wyjęła z kieszeni dwie karty, które ukryła przed małą. W blasku świec trudno było rozpoznać Diabła, ale wiedziała, że to skrzydlata bestia pożerająca ludzi. Ukryła ją za plecami Śmierci. Widok kościotrupa tratującego konno

możnych tego świata przyniósł jej otuchę. Alice wybrała tę kartę jako najważniejszą w swoim rozdaniu i teraz wreszcie Carla rozumiała dlaczego. Alice wiedziała, że nadszedł już jej czas na spotkanie z bladym jeźdźcem: przyjęła go z otwartymi ramionami i chciała, by ją poprowadził. W rozdaniu Carli Śmierć – w innym wcieleniu – szarżowała ku Ogniewi. Ale jak Mattias miałby ją odnaleźć w takim miejscu? Dom Garniera nie był niepozorny, ale też nie górował nad miastem jak wieża.

Carla podniosła ze stolika pozostałe karty. Tasowała talię tak długo, aż trafiła na Sąd. To była pierwsza karta, którą wyciągnęła u Alice. *Zważonemu zabrakło*. Daniel w jaskini lwa. Lwy nie pożarły go, bo dostrzegły siłę jego ducha. A Śmierć szarżowała nie tylko w stronę Ognia, ale także w stronę Sądu. Carla spojrzała na kartę uważniej, ale studiowała ją bez refleksji, nie próbując dociec, jakie jest jej prawdziwe znaczenie.

Anioły ze srebrnymi trąbami wzywały zmarłych, by powstałi z karmazynowych grobów.

Sąd Ostateczny.

Przypomniała sobie tę samą scenę wykutą w kamieniu.

Umieszczono ją nad główną bramą Notre-Dame de Paris.

Od domu Garniera dzieliło katedrę ledwie kilkaset kroków. Degeneraci snujący się ulicami miasta nigdy nie ośmieliliby się zbrukać tego świętego miejsca. Może nie powstrzymałaby ich pobożność, ale z pewnością strach przed stryczkiem. Nawet Marcel le Tellier potrzebowałby sporo czasu – i wszystkich swoich wpływów – by złamać prawo schronienia. Carla tymczasem zdążyłaby udowodnić sobie i wszystkim kapłanom z katedry, że jest najwierniejszą córą Kościoła, jaką kiedykolwiek spotkali. Córami, jakimi naprawdę była, zanim poznała Alice. Bo przecież, choć wchłonęła tak wiele z filozofii matki Grymonde'a, nadal wierzyła, że Matka Natura zaakceptowałaby i takie dziecię, które w przeżartej zepsuciem strukturze Kościoła skłonne było dostrzegać serce pełne miłości, a Chrystusa uważało za filozofa o przekonaniach, z którymi warto się identyfikować.

Co najważniejsze, klasztor Filles-Dieu podlegał eminencjom ze stołecznej katedry. Carla była przekonana, że potrafiłaby zaskarbić sobie ich łaskę, współczucie i wsparcie, oni zaś mieli dostateczną władzę, by pomóc jej odzyskać Amparo.

Carla włożyła karty do kieszeni. Już nie czuła słabości. Jej ciało opadło z sił, ale nadal było posłuszne woli. Odrodzona siła potrzebowała tylko odpowiedzi na jedno pytanie: czy to nie szaleństwo, działać pod wpływem paru obrazków uwiecznionych na kartach? Zdarzało się wszak, że kobiety po porodzie odchodziły od zmysłów. Carla raz jeszcze rozważyła swój plan i odnalazła w nim głęboki sens.

Obudziła Antoinette.

Na komodzie stał dzbanek z wodą, a obok niego miska. Carla zmoczyła szmatkę i umyła twarz małej, która poddała się bez protestu i wyraźnie odżyła. Spojrzała tylko pytająco na poduszkę.

– Gdzie mój lew?

– Bezpieczny w mojej kieszeni. Miałaś rację: to nie jest dobre dla nas miejsce. Wychodzimy.

– Wrócimy na Podwórza?

– Tej nocy nie uda nam się przepawić przez rzekę. Chciałabym jednak, żebyś zrobiła dla mnie coś, co wymaga odwagi.

– Co takiego?

– Zejdź po schodach bardzo wolno i bardzo cichutko. Zobacz, czy jest ktoś na dole, przy drzwiach frontowych.

Antoinette wzruszyła ramionami i skinęła głową, jakby taka misja była fraszką dla dziewczynki, która szturmem wzięła Kukanię. Carla przytuliła ją i otworzyła drzwi. Antoinette wyszła bezszelestnie.

Carla umyła twarz. Włosy wciąż miała zaplecione; przyglądała tylko kilka luźnych kosmyków. Na sukni przybyło plam, ale niewielu mężczyzn zwracało uwagę na takie drobiazgi.

– Nikogo tam nie ma – zameldowała Antoinette.

W holu stał futerał z violą. Carla podniosła go i, o dziwo, poczuła się silniejsza: mogłaby nawet pchać go przed sobą, pełznąć ulicą na czworaka. Otworzyła drzwi frontowe.

Wartownicy drzemali na stopniach, ułożywszy u swych stóp latarnie i broń. Nie obudzili się. Carla szturchnęła Bonnetta kantem futerału. Zerwał się dość gwałtownie, a zaraz potem to samo uczynił jego kompan.

– Chorąży Bonnett, kapitan Garnier z pewnością się ucieszy, gdy mu powiem, że jego żona i jej goście cieszą się tak niezwykle czujną ochroną.

– Pokornie błagam zmiłowania, łaskawa pani. Za nami długi dzień, obudziłem się, gdy było jeszcze ciemno...

– Podobnie jak ja. Idziemy do Notre-Dame na Wezwanie.

– Wezwanie?

– To taka nocna modlitwa. Psalmi, czytanie Pisma i żywotów świętych.

– Ja wiem, pani, co to Wezwanie. Tylko dziwię się, bo ledwie minęła jedenasta.

– Nieźle się orientujesz w czasie, panie chorąży, jak na kogoś, kto śpi na służbie. Mam chyba prawo do modlitwy? A może kapitan powinien się dowiedzieć, że odmówiłeś jego gościom eskorty w drodze do świątyni? Albo że boisz się ciemności? Jeśli tak właśnie jest, pójdziemy same, bo nam ulice niestraszne.

Bonnett popatrzył najpierw na futerał instrumentu, a potem na Carlę.

Odwzajemniła spojrzenie.

– Viola da gamba przydaje się na Wezwaniu, pani?

Patrzyła na niego bez słowa tak długo, aż spuścił głowę.

– Pani, pozwól, proszę, że poniosę futerał.

Cieszyła się, że jest pod gołym niebem. Choć mogła stawiać tylko drobne kroki, a jej miednica wciąż była obolała, cieszyła się i z tego, że znowu chodzi. Antoinette trzymała ją za rękę i tak maszerowały na wschód, w stronę pont Notre-Dame, zamkniętego łańcuchem i strzeżonego przez drużynę milicjantów zajętych pieczeniem kasztanów. Minawszy Saint-Christopher, skręciły na południe, a potem znowu na wschód, ku wieżom katedry.

Przed niektórymi domami, sklepami i warsztatami stali najęci stróże. Pozdrawiali Bonnetta skinieniem głowy, a Carla – choć nim gardziła – cieszyła się, że eskortuje ją ktoś tak dobrze znany w okolicy. Minęli Hôtel-Dieu. W przeciwieństwie do większości ulic Ville w tej okolicy prawie nie było trupów, lecz Carla nie wątpiła, że po prostu już je usunięto. Kałuże powstałe po popołudniowej ulewie, z wyjątkiem paru najgłębszych, zdążyły już wyschnąć, ale deszcz nie wszędzie zdołał zmyć czarne plamy ze ścian i drzwi. Wyspa była śmiertelną pułapką. Carla miała wrażenie, że podobnie jak rankiem, tak i teraz otaczała ją złowróźbna cisza, zalegająca wszędzie niczym niewidzialna mgła, gęstniejąca miejscami od strachu i wstydu, choć akurat tych emocji prawie nie było widać na twarzach żołnierzy.

Gdy tylko wkroczyli na plac przykatedralny, poczuła pod stopami i rozpoznała śliską zawiesinę krwi – nie pierwszy raz. Zbezczęścili nawet to święte miejsce, pomyślała. Księżyc, choć stał wysoko, mieli jeszcze za plecami, a w jego blasku fasada świątyni wydawała się mozaiką srebra i głębokiej czerni. Sąd Ostateczny ginął w mroku, ale z całą pewnością był na swoim miejscu – podobnie jak Carla. Wielkie drzwi pod kamiennym fryzem były otwarte, a z wnętrza biła lekka poświata niezliczonych i niewidocznych jeszcze świec. Trzej milicjanci kręcili się w pobliżu wejścia – domyślała się, że czatowali na hugenotów szukających schronienia – więc po raz wtóry ucieszyła się, że towarzyszy jej Bonnett. Schyliła się, by szepnąć do małej:

– Antoinette, tutaj będziemy bezpieczne, dopóki nie upewnimy się, że jeszcze bezpieczniej będzie gdzieś indziej. Dziękuję ci, bo to twoja historyjka sprawiła, że tu jesteśmy.

– Moja historyjka?

– Ta, którą podpowiedziały ci karty: o damie i lwie.

Bonnett cofnął się nagle, zostawiając Carlę – czego nie omieszkała zauważyć – na pastwę losu, i szybkim ruchem dobył miecza.

Od północnej strony placu podbiegła do nich szczupła postać. Jedną ręką podtrzymała suknię wokół ud, a w drugiej niosła worek. Dziewczyna zatrzymała się o kilka kroków od Carli, opuściła skraj sukni i wsunęła rękę do worka. Widać było, że jest spięta, gotowa do błyskawicznego ruchu. Spojrzała na Bonnetta, a Carla nie mogła oprzeć się wrażeniu, że to on jest w większym niebezpieczeństwie niż ona.

– Kim jesteś, zdziro? – warknął chorąży, by zamaskować zmieszanie.

Dziewczyna zignorowała pytanie. Wbiła wzrok w Carlę. Miała może czternaście lat, a jej czarne włosy, przycięte krótko i niezbyt starannie, lśniły w blasku księżyca niemal jak błękit turecki. Twarz miała umorusaną czymś, co mogło – choć nie musiało – być prochem strzelniczym. W jej oczach były smutek i determinacja; Carla wyczuwała, że widziały za dnia jeszcze więcej zła, niż doświadczyła go ona sama.

– Wprowadzisz nas do środka, madame?

– Heretycy? – spytał podejrzliwie chorąży.

– Milcz, Bonnett.

– Jeśli tego nie zrobisz – dodała dziewczyna – oni spróbują nas zabić.

– Spróbują? – powtórzył szyderczo Bonnett.

– Kazałam ci milczeć, chorąży Bonnett. – Carla skinęła głową ku dziewczynie. – Oczywiście, że wprowadzę was do środka. Ile was jest?

– Czworo. Można mu zaufać?

– Ufam w jego strach przed kapitanem, którego łaską się cieszę.

Dziewczyna odwróciła się i machnęła ręką. Trzy kolejne postacie wychynęły znikąd i puściły się biegiem ku nim. Był wśród nich chłopak, mniej więcej w tym samym wieku co dziewczyna. Niósł na ramieniu parę mocno wypchanych i najwyraźniej ciężkich sakw. Dwie mniejsze dziewczynki, identyczne z twarzy, trzymały się za ręce.

– No, nie wiem, łaskawa pani – zamruczał Bonnett.

– Chorąży Bonnett, miałam nadzieję, że oszczędzę kapitanowi Garnierowi upokorzenia, ale chyba będę musiała mu opowiedzieć, jak to obrońcy jego żony zasnęli na

schodach domu. Wprowadź mnie i tę gromadkę dzieci do świątyni, a może jeszcze zmienię zamiar.

– Zamierzasz się ochrzcić w wierze Jedyne Kościoła? – spytał Bonnett, spoglądając wyzywająco na dziewczynkę.

Przestąpiła z nogi na nogę, mierząc go wzrokiem od stóp do głów. Carla nie miała wątpliwości – a Bonnett, który stał z opuszczonym mieczem, nie miał o tym pojęcia – że dziewczyna jest gotowa rzucić się na niego.

– Nie – odpowiedziała po chwili.

– Dość – ucięła Carla. – Wprowadź nas. Idź pierwszy. I schowaj wreszcie ten miecz.

Bonnett usłuchał i wyprostował się, dumnie prezentując swą postać, niższą od Carli i czarnowłosej czternastolatki. Ruszył przed siebie z wypiętą piersią, w marszu przyjmując niedbałe saluty milicjantów kręcących się przy drzwiach świątyni. Carla skinęła na dzieci, by weszły przed nią. Usłuchały wszystkie oprócz dziewczyny, która weszła z nią ramię w ramię, sprężysta jak kot.

Sąd Ostateczny, wykuty w kamieniu, rozgrywał się nad ich głowami.

Katedra nie była pusta, jak się spodziewała Carla. Przynajmniej w połowie zapępniały ją grupki uciekinierów, niemal wyłącznie kobiet i dzieci. Ich rozpacz przenikała powietrze jak woń kadzidła. Carla stanęła przed Bonnettem i odebrała mu futerał z violą.

– Jeśli chcesz zostać i pomodlić się o wybaczenie, to proszę bardzo. Jeśli nie, zwalniam cię ze służby. Możesz zameldować kapitanowi, że jestem zdrowa i bezpieczna.

Jako że jego decyzja była jej głęboko obojętna, wypowiedziawszy te słowa, po prostu obróciła się na pięcie. Zamierzała spytać dziewczynę o imię, ale nie zdążyła: czworo dzieciaków już się ulotniło.

Nie rozmyślała o nich zbyt długo. Wyświadczyła im drobną przysługę, a tu, w kościele pełnym uciekinierów, z pewnością nie brakowało im towarzystwa. Chwyła Antoinette za rękę i ruszyła w głąb nawy. Musiała znaleźć księdza i wyjaśnić mu, kim jest. Zamierzała posługiwać się włoskim; większość tutejszych kapłanów zrozumiałaby przynajmniej część z jej opowieści, a ona sama w ten sposób wyraźnie odcięłaby się od hugenotów szukających tu schronienia.

Znowu ogarnęła ją słabość, a jednocześnie poczuła skurcz. Nogi ugięły się pod nią, a do końca nawy było jeszcze daleko. Wiedziała, że jeśli zemdleje, prawdopodobnie zostanie zignorowana, bo wielu leżało tu krzyżem na posadzce. Postawiła futerał i przysiadła w najbliższej ławce, ciągnąc za sobą Antoinette. Miała zawroty głowy. Opadła na kolana, czując w sobie pustkę, która z wolna ją pochłaniała. Musiała za wszelką cenę odzyskać dziecko.

Zobaczyła twarz Amparo. Czy ujrzy ją raz jeszcze? Zakonnice z pewnością nadadzą jej inne imię. Ktoś się po nią zgłosi, przygarnie ją. Jak szybko może to nastąpić? Mamka potrzebna była od zaraz. Może więc jeszcze tej nocy? Mała musiała być głodna. I samotna. Wspomnienie ciepła i miłości, które towarzyszyły narodzinom Amparo, sprawiło, że z piersi Carli wyrwał się głośny szloch. Estelle. Alice. Matka.

Jak można pozbawić dziecko całej przeszłości?

Co ona najlepszego uczyniła?

Ksiądz. Musiała jak najszybciej znaleźć księdza.

Spróbowała wstać, ale zabrakło jej sił. Coś wysunęło się z jej ciała.

Była w świętym miejscu.

Zakryła twarz rękawem sukni i zapłakała, czując zbyt wielką pustkę, by wzywać na pomoc Boga.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Drobiazgowy Bóg

Tannhäuser kroczył środkiem targu opodal nabrzeża Saint-Landry, nie widząc dokoła żywego ducha. Postawił latarnię przy bramie stajni i zdjął z ramion Estelle. Amparo spała. Zaiste, była najprawdziwszym małym cudem. Mattias chwycił Estelle za rękę i razem obeszli leżącego przy kupie łajna nieboszczyka z gardłem poderżniętym aż po kręgi szyjne i daleko w bok, w stronę ucha. Bezgłośnie zbliżali się do zajazdu Irène.

Zatrzymali się w zaułku, o kilka domów przed nim.

Tannhäuser nie zauważył nikogo na czatach. Wiedział, że le Tellier musiał tu przysłać co najmniej jednego zabójcę o kamiennym sercu, gotowego zamordować troje dzieci – kogoś w rodzaju Bara, nie Frogiera – oraz dwóch degeneratów, którzy nie mieliby nic przeciwko temu, by je przytrzymać i popatrzeć, jak konają. Z pewnością też, wykonawszy swoje zadanie, spodziewali się przybycia Tannhäusera. Chcieli dostać go żywcem. Dokonali wcześniej tysięcy aresztowań i sądzili, że kolejne będzie do nich podobne. Irène zapewne miała otworzyć drzwi i uraczyć go porcją wyćwiczonych kłamstw. Ilu na dole – jeden czy dwóch? Co najmniej jeden musiał zostać na górze, by przypilnować Pascale. Tannhäuser odbezpieczył pistolet i przygotował kuszę do strzału.

– Estelle, zaczekasz tu i popilnujesz łuku?

Kiwnęła głową.

– Co zrobisz, jeśli stamtąd nie wyjdę?

– Ucieknę z Amparo i będziemy jakoś żyć.

– Mądra dziewczynka.

– Ale ty przecież wyjdiesz.

– No pewnie.

Odkleił się od muru i ruszył. W domu Irène nie dostrzegł ani jednego światła. Podbiegł do okna i przycisnął nos do szyby. Słaba poświata biła tylko od strony kuchni. Zapukał do drzwi trzykrotnie, a potem wrócił do okna i przyglądał się w mętym szkłe, jak zbliża się postać ze świecą. Kobieca postać.

– Madame Irène? To ja, *sergent* Baro.

Gdy tylko drzwi się uchylily, pchnął je silnie i wtargnął do środka z opuszczoną kuszą, bez słowa mijając gospodynię. Poczul woń prochu, a zaraz potem zauważył trupa leżącego na brzuchu u podnóża schodów.

– Uciekli wszyscy – oznajmiła Irène z udręczoną miną. – Oprócz tych, co polegli.

Tannhäuser odebrał jej świecę.

Sergent nie miał dolnej połowy twarzy; została odstrzelona. Nieco poniżej jego szyi ziała też spora dziura po kuli. Strzelba. Krótki dystans. Na tyle krótki, że płomień z lufy spalił kawałek koszuli i część włosów na głowie. Tannhäuser spojrzął w górę schodów. Ciemność.

Wbiegł na piętro. Na ostatnich stopniach poczuł pod butami lepka, zgęstniałą już krew; lśniła też na półpiętrze, jak galaretka w kolorze burgunda. Drugi trup spoczywał na kolanach, odgięty w tył. Jego brzuch i uda pokrywała maź w tym samym kolorze.

Pascale zabiła dwóch *sergents*. Może zresztą jednego zastrzelił Juste, ale instynkt podpowiadał Tannhäuserowi, że to mało prawdopodobne. To Pascale chciała czegoś więcej niż przyjaźni. Pragnęła wiedzy.

Pierwszy pokój był pusty. W drugim poświata księżycy była dostatecznie mocna, by wydobyć z mroku kształt ciała leżącego pod prześcieradłem. Tannhäuser odchylił je zdecydowanym ruchem. Flore. Lubił ją. Juste ją kochał. Podobnie jak Pascale. Mattias opuścił prześcieradło. Więcej zabitych nie znalazł.

Juste i Myszy żyli. Pascale zabiła ludzi le Telliera, zanim zdążyli wykonać rozkazy, a sądząc po tym, co z nich zostało, nawet zanim zdążyli się odezwać.

Postawił świecę na pustym łóżku i podszedł do okna. Na parapecie nie znalazł krwi. Spojrzął w dół, na zacumowane opodal dwie barki. Po drugiej stronie rzeki, na place de Grève, wciąż płonęły ogniska i pochodnie. Milicjantów wyraźnie ubyło od popołudnia, ale wciąż kręciło się ich tam co najmniej sześćdziesięciu – zapewne były to oddziały rezerwowe. Liczne oddziały musiały grasować po sąsiednich ulicach.

Dokąd uciekły dzieci?

Przypomniał sobie o Estelle. Odwrócił się, by zejść po nią.

Na ścianie ujrzał w blasku świecy napis nasmarowany krwią.

MYSZY.

Tannhäuser wprowadził Estelle i Amparo do holu.

Irène skrzywiła się na ich widok.

– Chce mi się pić – powiedziała Estelle.

– Pójdziemy do kuchni – odrzekł Mattias. – Irène, dasz nam wody.

Nie odpowiedziała, ale wykonała polecenie. Tannhäuser oparł kuszę o ścianę przy drzwiach i podał kubek Estelle. Amparo musiała jak najszybciej dostać pierś.

– Myszy – mruknął.

– Ta mała świnią zrujnowała mi podłogi.

- Kup sobie szmatę. Co się stało z trzecim strażnikiem?
- Anne wybiegła za nim na ulicę. Kiedy wróciła, powiedziała, że on nie żyje. Trup przy stajni, pomyślał Tannhäuser z niekłamanym podziwem.
- Zatem zabiła wszystkich trzech.
- I omal nie zabiła mnie.

Tannhäuser był ciekaw, dlaczego tego nie zrobiła. Irène jakby czytała w jego myślach.

- Powiedziała, że nie jest pewna, czy ty byś to zrobił, panie.
- Wobec tego jesteś moją dłużniczką. Kiedy odeszli?
- Zaraz po zmroku.

Minęły niemal trzy godziny. Sporo czasu, by się ukryć albo dotrzeć w dowolny punkt miasta. Tybaut, luj. Napis MYSZY oznaczał, że poszli do niego. Gdziekolwiek znajdowało się jego mieszkanie. Czas naglił. Szpicel szpicła, pomyślał Tannhäuser. Ojciec Pierre z Notre-Dame.

– Przesiedziałam tu pół nocy – powiedziała Irène, otulając się ramionami. – Całkiem sama, nie licząc tego trupa. Czekałam na Aloïsa. Albo na ciebie.

- Do świtu nikt z Châtelet już tu nie przyjdzie.
- Co ze mną zrobisz?
- Zostań w domu. Wyciągnę trupa na ulicę.
- Bardzo pięknie. Ale co mam powiedzieć Aloïsowi?
- Frogier nie żyje.

Irène zakryła usta dłonią.

Tannhäuser wlał w gardło resztkę wody i odstawił dzbanek.

- Jak odszedł?
- W bólu i ciemności.
- Ty łajdaku.
- Frogier obiecał dzieciom bezpieczeństwo. Ty, jeśli dobrze pamiętam, za to samo wzięłaś ode mnie złoto.

- Dopilnuję, żebyś zawisł.
 - Nie jestem Szkotem.
 - Wszyscy jesteście tacy sami. Krwiożercze bydlaki. Rzygać się chce.
- Tannhäuser poczuł lekki dreszcz na plecach. Pomyślał o kolejnym trupie.
- I wszyscy pójdziecie na stryczek – wycedziła Irène.

– Uważaj, Irène. Wody, w których utonął Frogier, są dostatecznie głębokie, by i dla ciebie znalazło się miejsce. Gdyby ktoś tu zadawał pytania, mów, że nic nie wiesz.

– Załatwię was wszystkich. Te twoje przekłete dzieci też. Powiem o wszystkim le Tellierowi.

Irène zgięła się nagle w pół i jednocześnie pofrunęła w tył. Zderzywszy się z kredensem, skulona upadła na podłogę. Akompaniamentem dla jej natychmiastowego zgonu był cichy brzęk cięciwy.

– Zdaje mi się, że trafiłam w serce – powiedziała Estelle, opuszczając kuszę.

Raczej w aortę, pomyślał Tannhäuser, jeśli wziąć pod uwagę tempo, w jakim ucieka z niej krew. Nie zamierzał jednak wdawać się w spory. Estelle przyglądała się swemu dziełu tak, jakby właśnie ubiła natrętną osę. Nie oczekiwała krytyki, a Mattias ani myślał krytykować. W śmierci Irène dostrzegał w istocie same plusy; poczuł się bezpieczniej. Zerknął na Amparo. Mała otworzyła oczka, ale nie wyglądała na przejętą faktem, że przed chwilą spod jej ciała wystrzelił śmiertelny bełt.

– Bardzo uważałam, żebyś nie stanął na drodze – powiedziała Estelle.

– To dobrze. Tak właśnie brzmi pierwsza zasada strzelania z kuszy.

Odebrał jej broń, naciągnął i załadował.

– Powiedziała, że powiesi dzieci.

– Na to nie mogliśmy się zgodzić, czyż nie?

Poszła za nim do kuchni. Z pleców zabitego *sergent* zdjął kołczan z zapasem bełtów.

– Dokąd teraz? – spytała Estelle.

– Spotkamy się ze szpiclem w Notre-Dame. Znasz może spokojną drogę do katedry?

– A pofruniemy znowu?

– Pewnie. Nie mamy wyboru.

Estelle poprowadziła go pustymi krużgankami klasztornymi. Amparo zaczęła płakać, zaskakująco głośno, jak na tak małą istotkę. Tannhäuser był oczarowany. Cóż za duch! Estelle zamruczała cicho, próbując udobruchać małą, ale Amparo wciąż płakała, gdy dotarli do katedry. Mattias zrzucił ekwipunek, postawił świecę na bruku i zdjął Estelle z ramion.

– Zdaje się, że wolałaby patrzeć na mnie – powiedziała.

Odpięła guziki koszuli i obróciła Amparo. Kucnęła pod murem w blasku świecy i cichymi szeptami w końcu uciszyła małą.

Tannhäuser sięgnął po kuszę i rozejrzał się po placu przed katedrą. Panował tu zadziwiający spokój, tylko dwaj milicjanci strzegli głównej bramy. Piki oparli o ścianę, a latarnię postawili na ziemi.

Podał rękę Estelle i pomógł jej wstać.

– Wejdiesz do katedry pierwsza i zaczekasz zaraz za bramą. Będziesz niosła przede mną świecę.

Ruszył dwa kroki za Estelle, wiedząc, że nawet tak mały płomyk wystarczy, by strażnicy nie dostrzegli nikogo prócz dziewczynki. Gdy ją zobaczyli, ożywili się nieco, bardziej z ciekawości niż z poczucia obowiązku. Byli jeszcze jedną parą niezłomnych obywateli, zmobilizowanych do udziału w wielkiej i złej sprawie.

Tannhäuser wszedł w krąg światła na prawo od Estelle, z kuszą gotową do strzału.

– Pierwszy, który dotknie broni, skończy z bełtem w kutasie. Podobnie jak pierwszy, który się odezwie.

Obaj wpatrywali się w grot strzały. Żaden się nie poruszył.

– Nie musicie zginać tej nocy. Pomyślcie o swych żonach i miękkiej pościeli. Ty, podnieś latarnię. A teraz obróćcie się obaj i podajcie sobie ręce.

Wykonali rozkaz. Uścisnęli sobie dłonie, jakby wzajemnie szukali pocieszenia.

– Estelle, wejdź do środka.

Odprowadził ją wzrokiem, a potem sięgnął po pikę.

– Idźcie w tamtą stronę i skręćcie za węglem.

Poszedł za nimi. W cieniu południowego transeptu polecił, by się zatrzymali.

– Zrzućcie te hełmy. Postawcie latarnię na ziemi. Stańcie nosami do ściany.

Spełnili wszystkie jego życzenia, wciąż trzymając się za ręce. Wtedy odłożył kuszę i wbił grot piki w to miejsce, w którym głowa pierwszego z wartowników łączyła się z karkiem. Drugi nawet nie odważył się odwrócić. Gdy jego towarzysz niemal bezgłośnie osuwał się na ziemię, wciąż trzymał go za rękę.

– Mój Boże, z całego serca żałuję za wszystko, czym Cię obraziłem i...

Tannhäuser pchnął po raz drugi. A potem wyszarpnął pikę z rany, postawił pod ścianą, podniósł latarnię i pikę, po czym wrócił na plac przed główną bramą katedry. Zostawiwszy lampę przy wejściu, wkroczył w chłodne mury Notre-Dame.

Rozejrzał się uważnie, szukając zbrojnych, ale nie zauważył ani jednego – ba, w ogóle nie było tu mężczyzn. W obu przejściach między ławkami po tej stronie transeptu było dość tłoczno – uciekinierzy stali grupkami, rozmawiając półgłosem; tu i ówdzie widać było samotne matki z dzieckiem albo pogrążone w smutku osoby. Wiele dzieci spało na kościelnych ławkach albo wprost na posadzce. Płacz i szloch dobiegał ze wszystkich stron – płynęły łzy ludzi, których pozbawiono wszystkiego. I choć każdy rozpaczał po swojemu,

głosy tworzyły przedziwną harmonię, jakby chór zrozpaczonych śpiewał niekończący się hymn.

Estelle nie odeszła daleko. Amparo daremnie ssła sutek na jej płaskiej, wąskiej piersi. W pierwszej chwili odrzucił go ten widok, ale nie oponował, obie bowiem wydawały się zadowolone z takiego układu i najwyraźniej nie dostrzegały w nim niczego nienaturalnego.

Wycofał się w mrok wnęki w murze i dyskretnie rozładował kuszę, dokładając swoje trzy bełty do kołczanu zabranego strażnikowi. W najciemniejszym kącie postawił łuk i kołczan Altana, a chwilę później dołożył zabezpieczony pistolet. Wreszcie rozwiązał rękawy koszuli, którą niósł na biodrach, usmarowane krwią. Zdrapał co większe skrzepy i spróbował wyjąć nasiąknięty posoką materiał. Zamierzał zabrać ze sobą Estelle i Amparo. Może nie była to najstosowniejsza eskorta, skoro chciał wypytywać o kryjówkę znanego luja Tybauta, ale ojciec Pierre z pewnością przywykł do takich widoków.

Reszta koszuli była wilgotna, ale szczęśliwie niezbyt zachlapana krwią. Strzepnął ją solidnie. Biały krzyż na piersi miał teraz barwę ciemnej czerwieni, ale interpretację tego faktu Tannhäuser postanowił pozostawić Ojcu Szpiclowi. Włożył koszulę. Wymięta i zeszywniała od krwi, skutecznie oparła się próbom wygładzenia. Lepiej nie będzie, pomyślał. Nie, niezupełnie.

Podszedł do chrzcielnicy i przeżegnał się, a potem umył twarz wodą święconą. Widząc, jak zmieniła kolor, uznał, że warto było.

Krew i woda święcona.

Carla z pewnością chciałaby, żeby Amparo została ochrzczona. Kościół był nieugięty w kwestii tego sakramentu; ktoś mógłby nawet rzec: surowy. Dusza dziecka w każdej chwili mogła trafić do Otchłani, skazana na wieczność z dala od Boga – gdyby tylko zabrakło jej tych paru słów i garstki święconej wody. Zaiste drobiazgowy był ten Bóg, ale kimże był Tannhäuser, by opierać się Jego woli?

– Estelle, podaj mi Amparo.

– Chcesz ją przytulić?

– Chcę ją ochrzcić.

Wyjął skórzany bukłak zza koszuli Estelle. Miał wrażenie, że tkwiąca w nim Amparo waży tyle co nic, za to w sercu nigdy jeszcze nie czuł takiego ciężaru. Uniósł córkę wysoko w obu rękach i spojrzał w jej twarz.

W kościele, za jej plecami, płonęły setki świec, wypełniając wysokie sklepienie ochrowym dymem. Ależ ona była piękna. Tylko czysta miłość mogła ważyć tak wiele, a

jednocześnie napęłniać go taką ekstazą. Miał rację. Amparo łagodziła burzę. Czuł, że może tak stać choćby i godzinę. Tyle że jego córka nie miała aż tyle cierpliwości – rozplakała się w głos.

Roześmiał się, opuścił ją i ucałował w czubek nosa, a przynajmniej zbliżył do swojej twarzy tak jak mógł, by nie pokaleczyć jej twardą szczecinę zarostu.

– Mała Amparo wcale nie ma ochoty na kąpiel. Wolałaby dostać pierś.

Tannhäuser pochylił niepokieszoną dziecinę nad krawędzią chrzcielnicy, zaczerpnął garść mętnej wody i polał nią małą główkę.

– *Ego te baptizo Amparo, in nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti. Amen.*

Jedną ręką przytulił płaczącą Amparo do piersi i uśmiechnął się.

– Ocaliliśmy ją od piekła. Teraz musimy ją ocalić od Paryża.

– Tannzer? Mnie też ochrzczisz?

Uśmiechnął się jeszcze szerzej. Estelle rozpromieniła się pod jego spojrzeniem.

– Z przyjemnością. Pochyl się nad chrzcielnicą.

Polał wodą święconą splątane loki Estelle. Zdziwił się, że są czyste.

– *Ego te baptizo Estelle, in nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti. Amen.*

– I już jestem ocalona od piekła?

– Diabeł pewnie jest zawiedziony, ale tak, jesteś ocalona.

Amparo była czerwona od płaczu, ale nie mógł się zdobyć na to, by ją oddać. Zaczął mrużyć do niej tak, jakby była krnąbrnym żrebakiem. Estelle chwyciła go oburącz za wolną rękę, jakby chciała za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę.

– Trzymaj się mocno – powiedział.

Uniósł ją bez trudu i zakręcił nią w powietrzu, idąc jednocześnie przed siebie. Estelle zapiszczała z uciechy, a gdy wylądowała, chwyciła jego rękę nawet mocniej.

– Jeszcze!

Zabawiając ją, nie przestawał szeptać po turecku do Amparo i maszerować w głąb nawy. Widok maleńkiej, wykrzywionej płaczem twarzyczki pochłaniał go bez reszty, ale jakąś cząstką umysłu wciąż analizował sytuację. Jeżeli kryjówka Tybauta znajdowała się poza wyspą, to raczej na lewym niż na prawym brzegu. Nie wyobrażał sobie, że mógłby dotrzeć do niej bez rozlewu krwi – chyba że zabrałby księdza ze sobą. Dla kapłana warty z pewnością opuściłyby łańcuchy na mostach. Co więcej, kapłana, który konferował z sutenerami, Tannhäuser z całą pewnością potrafiłby nagiąć do swej woli.

– Mattias?

Tannhäuser zatrzymał się i postawił Estelle na posadzce. Nie odważył się tylko odwrócić.

Umysł chciał wątpić w prawdziwość tego dźwięku, tego głosu, ale serce tak bardzo pragnęło go usłyszeć, że Tannhäuser obawiał się, iż to tylko gra wyobraźni. I choć to nie po męsku, jego oczy natychmiast napełniły się jak najbardziej realnymi łzami.

– Carla! Co ty tu robisz? – Estelle puściła jego rękę. – Wszędzie cię szukamy, a ty... jesteś tu.

Tannhäuser wciąż nie mógł się poruszyć. Tyle się wydarzyło... Oplakiwał ją. Urodziła mu dziecko. Lochy, ogień i miecze stały między nimi, a jednak się spotkali. Znowu byli razem, w tyglu Hermesa Trismegistosa. Teraz dzieliło ich już tylko jego poczucie winy.

– Tannzer, patrz!

Tannhäuser miał wrażenie, że jego serce bije tak szybko jak serce Amparo. Nagle zdał sobie sprawę z tego, jak strasznie wygląda. Lecz przecież Carla widywała go już w takim stanie. Dobrze, że przynajmniej obmył twarz; gdyby wiedział, że ją tu spotka, zapewne wypłukałby też usta. Odwrócił się.

Jej spojrzenie przeszło go na wylot.

Carla.

Patrzył jej w oczy przez bardzo długą chwilę.

Zawsze znała go lepiej niż on ją. Niewiele miał przed nią tajemnic; ona miała ich bez liku. Jej zielone oczy lśniły ogniem i łzami. Były jak rany, Tannhäuser był zaś jednym z tych, którzy zadali te najgłębsze. Kochał ją. To bolało jak nic innego, ale kochał i wiedział, że nie jest godzien tego zaszczytu. Lecz ona nie potrzebowała jego wstydu. Czego więc? Cóż mógł jej ofiarować?

Uśmiech chyba nie mógł zaszkodzić?

Połączył ich impuls nazbyt dziki, nieokiełznany i niepoznany, kwintesencja tego nieprawdopodobnego i nierozważnego zjednoczenia dusz, któremu ulegli. Uraza, którą dostrzegł w oczach Carli, zniknęła bez śladu, tak nagle, że zaczął wątpić w to, czy naprawdę ją widział.

Zatem wszystko było w porządku.

Nadal go kochała.

Ból minął, ale miłość pozostała. Jeszcze nigdy nie była tak łagodna i gorąca zarazem.

Pożerał wzrokiem jej twarz, jej ciało.

Odetchnął głęboko, czując ucisk w sercu.

Stanęła w nawie, próbując zachować równowagę. Nie była wyczerpana. Widział już, jak miesiącami znosiła wyczerpanie. Była tylko krucha, choć dawniej sądził, że nigdy nie zobaczy jej w takim stanie. To były ślady jej krwi, przelanej dla dziecka. Włosy, splecione w warkocz, opadały na jej pierś. Nigdy dotąd nie wydawała mu się tak piękna.

Postąpił ku niej, szeroko otwierając ramię. Objął ją mocno i uściśnął. Patrzyła na niego, mocno zaciskając szczęki; czasem tak robiła. Czuł, jak jej paznokcie wbijają się w jego pierś aż do bólu – w ten sposób mówiła mu: jesteś mój. Zatem nie była aż tak krucha. Podał jej dziecko. Amparo nie miała już siły płakać; tylko jej wargi jeszcze drżały.

Tannhäuser uśmiechnął się.

– Carlo, kochanie, nasz słowiczek jest głodny i źle mu w tych cierniach.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Jeszcze jedno dziecko

Carla uświadomiła sobie nagle, że oto po raz pierwszy usłyszała płacz Amparo.

W katedrze rozbrzmiewało wiele dziecięcych głosów, wiele skarg i lamentów, ale gdy tylko usłyszała ten jeden, wiedziała, że należy do jej córki. Przebił się przez jej rozpacz, wyrwał z letargu. Przez chwilę zdawało jej się, że jej błagania zostały wysłuchane, lecz zaraz dopadło ją zwątpienie. Rozsądek podpowiadał, że musi się mylić, że to desperacja usłyszała i rozpoznała głos dziecka, nie uszy.

Płacz dobiegał z tyłu.

Skąd Amparo miałyby się tu wziąć? Nikt przecież nie wiedział, że Carla tu jest, prócz Bonnetta. Któż zatem miałby przynieść tu Amparo? Kto i w jaki sposób zdołałby przemierzyć to miasto nocą, z dzieckiem na rękę? Zbyt szybko spróbowała wstać i zobaczyła ciemne plamy przed oczami. Usiadła. Nie, nie mogła sobie pozwolić na omdlenie. Nie mogła pozwolić sobie na to, by Amparo znowu zniknęła. Pochyliła się, kryjąc głowę między kolanami, i zaczęła spokojnie oddychać. Z wolna wracała jasność myśli. Lecz Carla wciąż słyszała ten płacz, jeszcze wyraźniejszy, jeszcze bardziej buntowniczy, ale ciągle tak samo daleki.

Wyprostowała się powoli, a potem chwyciła Antoinette za rękę.

– Antoinette, przejdź tu, usiądź po mojej lewej stronie.

Dziewczynka przesiadła się zwinnie nad jej kolanami. Carla przesunęła się do końca ławki i przełożyła nogi nad futerałem violi. Czuła sztywność i niemały ból w miednicy. Znowu coś pocięło jej po udach. Odwróciła się, by spojrzeć w głąb nawy. I wtedy zapomniała o bólu.

Z półmroku Notre-Dame wynurzyła się barbarzyńska postać.

Jej serce biło tak mocno, że omal nie pękło.

Chciała spuścić powieki, ale nie ośmieliła się.

Mattias szedł ku niej środkiem nawy, niosąc na ramieniu wrzeszczącą wniebogłosy Amparo. Szeptał do niej, mruczał i cmokał w ogromnym skupieniu. Jego szyja była czarna od krwi, podobnie jak krzyż świętego Jana na jego piersi; posoka, która zatrzymała się w zagięciach jego butów, była jeszcze mokra. Wyglądał dziko, jak zawsze, ale nigdy jeszcze nie widziała, by przepełniała go taka radość. Odnalazł ją. Odnalazł je obie. Zauważyła białą

wstążkę na jego czole. Blady jeździec Sądu nareszcie przybył, przynosząc jej dziecko. W dodatku przyprowadził ze sobą Gwiazdę Poranną.

Estelle trzymała się obiema rękami jego ramienia, a on unosił ją raz za razem wysoko w górę i śmiała się w głos, gdy rude loki frunęły wraz z nią. Carla uśmiechnęła się. Przy tym, co rozgrywało się na jej oczach, nawet królewskie wesele wydawało się nudnymi tańcami. Byli coraz bliżej i niemal z niechęcią myślała o tym, że trzeba będzie przerwać tę sielankę. Coś załaskotało ją w gardle; czuła, że się rozplacze ze szczęścia. Powstrzymała się. Nie chciała, by ujrzał ją we łzach po tak długim rozstaniu.

Oparła dłonie o ławkę i wstała niespiesznie. Tym razem nie zachwiała się. Machinalnie wygładziła suknię i nagle dotarło do niej, że jest równie zakrwawiona jak ubranie Mattiasa. Poprawiła włosy, przerzucając warkocz na pierś.

Mattias szedł jak w transie, zapatrzony w córkę. Minął ją.

Rozchichotana Estelle także jej nie zauważyła.

Carla omal nie parsknęła śmiechem, ale potrzebowała wszystkich sił, by stanąć w przejściu między ławkami.

Szerokie ramiona Mattiasa zasłoniły ołtarz.

Złoty blask dalekich świec otoczył go aureolą.

– Mattias?

Zatrzymał się. Estelle puściła jego rękę i odwróciła się ku niej z zachwytem. Powiedziała coś, ale Carla nie dosłyszała. Szukali jej. Znaleźli ją.

Mattias pochylił głowę. Westchnienie uniosło jego ramiona. Powoli prostował kark.

Odwrócił się i spojrzał na nią.

Spośród wszystkiego, co mógł jej teraz dać, najbardziej na świecie pragnęła Amparo i jego miłości, w którą – choć zostawił ją na tak długo – nigdy nie wątpiła. Gdyby tak było, nie przetrwałaby. A przecież dał jej coś jeszcze: swoje łzy. Choć nie pozwolił, by spłynęły po policzkach, widziała wyraźnie błysk w oczach i długo napawała się tym widokiem. Już nie musieli się spieszyć. Mattias zawsze był gotów na śmierć, tak jak każdy płomień gotów jest zgasnąć. Podobnie było z Amparo, wtuloną w masywną, zakrwawioną pierś. Z jej córką. Z ich córką. A w tej chwili – jego córką. Mattias i jego córka, pomyślała Carla.

Nie pamiętała, by coś ją kiedykolwiek mocniej wzruszyło.

Ona także była gotowa na śmierć.

Skoro byli razem, była gotowa na wszystko.

Jej ogień skoczył ku jego płomieniowi i stali się jednym.

Mattias pożerał ją wzrokiem i widać było, że sprawia mu to ból. Najpewniej wyglądam znacznie żałośniej, niż mi się wydawało, pomyślała. Ale cóż znaczyła suknia? Ostatnim uczuciem, które Carla chciałaby okazać swemu mężowi, była słabość. Chciała tylko, żeby ją tulił, żeby poczuł, że jest w niej siła, a gdy to uczynił, to z taką mocą, że zabrakło jej tchu. Poczuała pożądanie silniejsze od znużenia; wbiła paznokcie w jego pierś, aż zaboląły. Był tu, był jej.

Dał jej jeszcze coś, czego potrzebowała, nawet o tym nie wiedząc. Wyszczrzył połamane zęby w uśmiechu, tym samym, którym oczarował ją, gdy spotkali się po raz pierwszy.

– Carlo, kochanie, nasz słowiczek jest głodny i źle mu w tych cierniach.

Amparo spoczywała w worku z koźlęcej skóry. Jej usteczka drżały. Być może miała za sobą nie lada przygody, ale promieniała zdrowiem. Carla wiedziała, że musi ją nakarmić, ale mieli jeszcze chwilę dla siebie.

– Pocałuj mnie.

Mattias westchnął mimowolnie, a potem pocałował ją w usta.

Poczuała, jak w nią wpływa, i sama wlała się w niego.

Otworzyła oczy, wciąż dotykając go wargami. Wyczuł to. Patrzyła w lodowate, błękitne strumienie. Jakże dziwna była jego miłość: spadała kaskadami z miejsc, do których nie należała. Wciąż był zagadką. Niby znała go tak dobrze, niby przewidywała jego instynktowne reakcje, a przecież gdy byli tak blisko, czuła, że tak naprawdę nie ma pojęcia, kto mieszka w tym groźnym ciele.

Wycofał się po chwili i zmienił na twarzy.

– Zamierzam opuścić Paryż jeszcze tej nocy, ale będzie to ryzykowny manewr. To jest najbezpieczniejsze miejsce w mieście, zwłaszcza dla ciebie. Mam worek złota, dzięki któremu mogłabyś stać się gościem u samego kardynała, choćby i na miesiąc. Rozum nakazuje mi zostawić cię tutaj. Naprawdę uważam, że powinnaś tu zostać.

Coś skrzyło jej trzewia.

– Chcesz powiedzieć, że ty ze mną nie zostaniesz?

– Im dłużej krążę po Paryżu, tym bliżej jestem stryczka.

– Garnier odważyłby się naruszyć mir Notre-Dame?

– Gdy rzuci mi wyzwanie, a na pewno to zrobi, nie będę się krył za kiecką księdza.

– Nigdy bym cię o to nie poprosiła.

– A gdybym nawet spróbował się tu ukryć, po prostu zaczekaliby na mnie. To ich miasto, nie moje. Jeżeli wciąż tu będę, gdy skończy się ta krwawa łaźnia, ważne postaci

paryskiej areny nie zignorują tego, o co mnie tu oskarżają i czego rzeczywiście się dopuściłem. Będę diabłem, który zaszył się w murach katedry. Jeśli jednak dawno mnie tu nie będzie, moje dzieło stanie się ledwie kilkudziesięcioma trupami wśród tysięcy, a nikomu nie będzie się opłacało mówić o nim, z obawy, że wypłyną i cudze winy.

– Jak mogłeś pomyśleć, że pozwoliłabym ci odjechać bez nas?

Spojrzał jej w oczy. Zbyt wiele miał dla niej szacunku i zbyt wiele mądrości, by się z nią spierać.

– Porte Saint-Denis zostanie otwarta o północy. Zdążymy, muszę tylko zabrać ukryty po drodze wóz. Zaczekasz na mnie przy chrzcielnicy. A skoro już o tym mowa, ochrzciłem Amparo. Naturalnie w pełnej zgodzie z doktryną: nadzwyczajne okoliczności, sobór trydencki i takie tam... Nie wiedziałem, że cię tu znajdę. Zaczekałbym, gdybym wiedział.

– Słusznie postąpiłeś. Co jeszcze cię trapi?

– Nie trzeba ci więcej zmartwień.

Objął ją w pól i razem ruszyli w stronę wyjścia. Tannhäuser wypatrzył po drodze wolne krzesło i zabrał je bez namysłu. Carla wsparła się na nim, tuląc twarz do Amparo. Gdy dotarli w cień muru, usiadła na krześle, rozpięła suknię i podała małej pierś. Amparo nie czekała ani chwili. Doznanie było tak zniewalające, że Carlę ogarnęła senność. Uniosła jednak głowę i potrząsnęła nią, by się rozbudzić. Rdzawy blask pod sklepieniem świątyni wyglądał jak zwiastun wielkiego pożaru.

– Szarżuj w stronę ognia – szepnęła.

– Carla, dobrze się czujesz? – spytał Mattias.

– Tak. Doskonale. Idź już.

Carla zauważyła, że Estelle ją obserwuje.

– Nie zaniiosłam Amparo do zgromadzenia – wyznała dziewczynka.

– Estelle, dziękuję ci za to z całego serca.

Estelle rozpromieniła się.

– To teraz wystarczy, że znajdziemy Pascale.

Mattias odwrócił się nagle i Carla zrozumiała, że właśnie ta sprawa nie daje mu spokoju.

– Nie – odrzekł. – Nie dziś.

– A kiedy?

– Kim jest Pascale? – spytała Carla.

– Jedną z nas. Naszą siostrą.

– Nie mamy na to czasu – powiedział Mattias.

– Miałeś, zanim mnie odnalazłeś – zauważyła Carla.

– To moje ostatnie słowo.

Lecz ona dobrze rozumiała, ile go kosztowało to zdanie. Nie musiała wiedzieć nic więcej.

– Mattias, idź, odszukaj Pascale. Zaczekamy tu na ciebie.

Ruszył w stronę bramy, nie ołtarza.

– Mattias.

Zatrzymał się.

– To tylko jeszcze jedno dziecko. Mnóstwo takich chodzi po tym świecie.

– Nie wierzę ci.

– Ma spore szanse na przeżycie. Bez nas może nawet większe niż z nami.

Znowu ruszył w stronę wyjścia i raz jeszcze przystanął, bo właśnie w tej chwili do katedry wbiegł dość pokraczny chłopak.

Przez chwilę przemawiał do Mattiasa z wielkim żarem, lecz Carla nie zrozumiała ani słowa. Miał zajęczą wargę, a u jego kostek kręcił się mały, groteskowy pies. Chłopak wykonał ruch rękami, udając, że wkłada sobie coś przez głowę, jakby kołnierz albo naszyjnik.

Mattias zawrócił i przeszedł obok Carli; nie wiedziała, dokąd tak się spieszy.

Wrócił po chwili, ale tylko po to, by wybiec z chłopakiem przez bramę.

Znużenie dopadło ją ze zdwojoną siłą, ale nie zasnęła. Napelniała swoim mlekiem dziecko, a dziecko dopełniało ją. Donikąd nie musiała się spieszyć.

Gdy otworzyła oczy, ujrzała Grymonde'a.

Podszedł do niej niepewnie, opierając dłonie na ramionach Mattiasa i chłopca. Twarz miał pobladłą, a luźne płaty skóry z pękających pęcherzy zwisały z jego policzków. Głowa poruszała się nerwowo, to w prawo, to w lewo, jakby szukała zgubionego wzroku. Tych pięknych orzechowych oczu.

Poczuła, jak Alice się wycofuje, zdjeta nagłym bólem.

Ale czy w niej, czy za nią, Alice wciąż tu była.

Carla pochyliła głowę nad Amparo i zapłakała.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Tygiel

Tannhäuser porzuciłby Pascale, gdyby nie nowiny, które przyniósł Grégoire. Porzuciłby też Juste'a oraz Myszy. Przełknąłby jakoś gorzki smak poczucia winy, choć pewnie nigdy by jej nie strawił. Spojrzał za plecami Grymonde'a na Grégoire'a i skinął głową w nadziei, że przekaże w ten sposób choćby okruszek wdzięczności, którą czuł. Chłopak wyszczerzył zęby w uśmiechu. Zatrzymali się przy drzwiach ukrytych w niszy. Tannhäuser postawił latarnię na posadzce i z worka należącego do Infanta wyjął sakiewkę z narzędziami. Rozchylił jej szyjkę i wydobyl garść żelaznych pręcików z końcówkami o rozmaitych kształtach.

– Jeśli się okaże, że to były czcze przechwałki, powiedz mi, a odszukam księdza.

– Podaj mi ten wytrych zakrzywiony jak szabla. I naprowadź palce na dziurkę od klucza.

Tannhäuser usłuchał. Grymonde przyklęknął u drzwi i lewą ręką zbadał wielkość zamka, a potem wsunął do środka wytrych. Splunął, jakby w pogardzie dla ślusarza, który rzucił mu tak marne wyzwanie. Po chwili wycofał narzędzie.

– Daj mi pozostałe.

Wybrał jeden ze swych wytrychów, zagięty na końcu jak litera L, po czym wsunął go do zamka.

– Jeszcze jeden taki.

Włożył w otwór drugie narzędzie, próbując obrócić krzywki i cofnąć bolec zamka. Tannhäuser widywał za młodu, jak jego ojciec wykuwał elementy zamków, ale sam nigdy nie otworzył bez klucza niczego bardziej skomplikowanego niż kłódka. Grymonde wsunął do otworu trzeci wytrych. Wreszcie przekręcił ostatnią krzywkę – zamek otworzył się z cichym zgrzytnięciem.

– Na szczęście nie zardzewiały. – Grymonde wstał i pchnął drzwi, a potem prychnął pogardliwie. – Znalazłeś już tego swojego księdza?

Tannhäuser zaczął się wspinać spiralnymi schodami. Miał wrażenie, że od rana przybyło ich dwukrotnie, a ściany zbliżyły się ku sobie, ale mimo zmęczenia parł naprzód. Wreszcie dotarł na poziom galerii i przeszedł na drugą stronę, do furtki u podstawy północnej wieży. Postawił latarnię u stóp. Opaska na czole już dawno nasiąkła potem; zdjął ją teraz i w

miarę suchymi końcówkami przetarł oczy. Rozprostował kark, a potem otworzył furtkę i zadzierając głowę w górę, ku schodom, zawołał:

– Pascale! To ja, Mattias!

Czekał. Drewniane stopnie ginęły w zupełnej ciemności. Czyżby znowu musiał się wspinać? Nie czuł się na siłach, a przecież potrzebował jeszcze energii na podróż i walkę. Pochylił się mocno, by choć na chwilę rozciągnąć napięte mięśnie grzbietu. Gdy się wyprostował, stwierdził, że spogląda wprost w lufę pistoletu. Nagle poczuł na plecach krople zimnego potu.

Pascale opuściła broń i weszła w krąg światła.

– Jesteś pierwszą osobą, która miała szansę mnie zdmuchnąć – powiedział.

– Szansę?

– Chodź tu, dziewczyno.

Zeskoczyła z ostatnich stopni i z impetem wtuliła się w jego pierś. Otoczył ją ramieniem. Wydawała się taka drobna; pamiętał ją znacznie większą. Pomyślał o tym, co musiała przejść. Dał jej chwilę, więcej zresztą nie potrzebowała. Cofnęła się o krok i spojrzała na niego oczami, które, podobnie jak włosy, lśniły czernią obsydianu.

– Widziałem Flore – powiedział. – Przykro mi.

Pascale tylko skinęła głową.

– Pozostali są gotowi do drogi?

– Tak. Dokąd pójdziemy?

– Do domu.

Uśmiechnęła się.

– Ryzyko jest podobne, czy ruszymy, czy tu zostaniemy. Może zresztą nawet nieco większe, za to i nagroda więcej warta.

– Do diabła z ryzykiem.

Była żywa. Była pełna żaru. Zaraziła go swoim wigorem.

– Odnalazłem żonę i dziecko. Czekają na dole.

Pascale mrugnęła raz i zanim się uśmiechnęła, zdążył dostrzec w jej oczach ból rozczarowania. Zrozumiał, choć zaskoczyła go ta myśl. Dla niego była małą dziewczynką, nie małą kobietą. Miała jednak prawo postrzegać siebie inaczej.

– Gdy powiedziałem Estelle, że muszę was odnaleźć, zapytała, czy jesteś jedną z nas. Nie byłem pewny, co miała na myśli, ale odpowiedziałem, że tak. Tak naprawdę jednak chodziło mi o to, że jesteś taka jak ja.

– Mam nadzieję.

– A nie powinnaś.

– Nie chciałabym żadnej zmiany, gdyby miała oznaczać, że przestanę być taka.

Gdy wykonywała gest, który miał symbolizować ich podobieństwo, zauważył mieszaninę płam na jej dłoniach. Inkaust, smar z pistoletu, krew. Czuł, że otworzył w jej duszy najmroczniejsze drzwi, drzwi, które powinny były pozostać zamknięte. Mimo to blask, który padał przez nie na obsydian jej oczu, oślepił go.

– Parę minut temu, zanim się dowiedziałem, że tu jesteście, postanowiłem, że was porzucę.

Przyjęła to wyznanie bez mrugnięcia okiem, ale blask zamigotał nieznacznie.

– Dla dobra żony i dziecka. Zrobiłabym to samo.

– Carla chciała, żebym was szukał, bez względu na zagrożenie dla dziecka.

Pascale zamyśliła się.

– Wierzy w to, co we mnie najlepsze – dodał.

– Ja wierzę we wszystko.

– Zawołaj pozostałych.

Pascale sięgnęła po brudną białą wstążkę, którą trzymał w dłoni. Niepozorny dowód krwawej drogi, którą musiał pokonać. Może właśnie dlatego chciała ją mieć? Oddał. Z aprobatą skinął głową, gdy zabezpieczyła pistolet, nim wskoczyła na schody.

– Pascale.

Odwróciła się. Zranił ją, ale nie chciała, by o tym wiedział.

– Nie byłem specjalnie zdumiony, gdy zobaczyłem pierwszych dwóch strażników miejskich w kałużach własnej krwi.

Pascale nie bardzo wiedziała, jak zareagować.

– To dlatego, że zdążyłem już poznać, jakie żelazo masz w duszy. – Czuł, że podniósł ją na duchu. – Ale że zaszczułaś trzeciego na ulicy? To było najpiękniejsze.

Rozpromieniona Pascale zniknęła w ciemności. Po chwili usłyszał, jak woła Juste'a.

Stanął na dziobie kosmicznego korabia, setki stóp ponad placem katedralnym. W jedynym nieruchomym punkcie obracającego się świata. Na korku, którym zatkano gąsior zwany Piekłem. Pod sobą miał ocean Czasu i Przeznaczenia, któremu noc i księżycowa poświata nadały pozory spokoju. Oparłszy się o łeb maskarona, spoglądał w dół, na miasto.

Grzbiety dachów tworzyły fantazyjny geometryczny wzór w czerni i połyskliwych szarościach. Latarnie w wieżach strażniczych wznoszących się ponad murami obronnymi otaczały Paryż kordonem światła, lecz w mrowiu domów dostrzegł bardzo niewiele

zapalonych świec. Setki tysięcy ludzi kryły się w ciemności, dziwiąc się światu, który do niedawna wydawał im się znajomy i który nagle przestał istnieć.

Patrzył też na małe żółte smugi, rozsiane gdzieniegdzie na prawym i lewym brzegu: pochodnie stad morderców, którzy niestrudzenie przemierzali ulice. Znacznie jaśniejszy punkt światła zbliżał się ku wyspie; był już na pont Notre-Dame. W dole, na placu, Grégoire przemawiał do Clémentine. Tannhäuser sięgnął po latarnię.

Z wieży wyskoczyły Myszy, jak zawsze w filozoficznym milczeniu. Pascale zjawiała się tuż za nimi.

– Zostawiłam twoją strzelbę na barce z węglem drzewnym. Przepraszam.

– Słusznie postąpiłaś.

– No i zostawiłam ci złą wiadomość. Tybaut mieszkał na lewym brzegu. Nie wiedziałam o kluczu do wieży, póki Agnès i Marie nie wspomniały, że ma go Juste.

Tannhäuser osobiście powiesił klucz na szyi chłopaka. Gdyby przypomniał sobie o tym wcześniej, zapewne nie musiałby podejmować decyzji, której teraz żałował.

Wreszcie pojawił się i Juste, obwieszony torbami. Gdy spojrzał na Tannhäusera, daremnie starał się ukryć ból serca. Nie potrafił. Nie pozwolił, by Mattias odebrał mu choć część bagaży. Przyjął jedynie uścisk ręki na powitanie.

– Jest tu Grégoire? – spytał Juste.

– A jak mielibyśmy wydostać się z miasta bez jego pomocy?

– Pewnie nijak – zgodził się gołowąs.

– Gdyby nie on, nie znalazłbym was. A wcześniej żony i dziecka.

– Carla żyje? – Ta wieść wyraźnie poruszyła Juste'a. Chwycił Tannhäusera za rękę.

– Rano opowiadałem Flore o domu d'Aubrayów. Nie widziałem tam dziecka. I chyba przeczuwałem, że to nie twoja żona, ale... Była tak strasznie okaleczona.

– Nie czuj się winny. To ja zawiodłem, posyłając cię na górę. Ale gdyby tak się nie stało, nie znaleźlibyśmy Pascale i Flore żywych.

Juste skinął głową i już jej nie uniósł. Rana smutku znowu się otworzyła.

– Bez względu na to, ile cię kosztowało to spotkanie – dodał Tannhäuser – jestem pewny, że wiele byś oddał, by je powtórzyć.

Juste otarł rękawem nos.

– Oddałbym wszystko.

– Zatem dość rozpaczy, póki nasza odyseja nie dobiegnie końca.

Tannhäuser zagonił gromadkę na galerię łączącą wieże.

– Powiedźcie no lepiej, jak się wam udało ominąć strażę przy wejściu do katedry.

Carla mogła jedynie skinąć głową w odpowiedzi na podziękowania za to, że pomogła dzieciom znaleźć schronienie w murach Notre-Dame – na więcej nie miała sił. Gdy Tannhäuser podnosił ją z krzesła, wydała mu się naprawdę ciężka. Było tak, jakby to Amparo wysłała z niej życie, lecz mimo wszystko Carla uśmiechała się sennie za każdym razem, gdy spoglądała na córkę.

Ów stan rozmarzenia mocno zaniepokoił Tannhäusera. Widywał już żołnierzy zachowujących się podobnie – na krótko przed śmiercią. Ile krwi straciła? Znowu ogarnęło go zwątpienie. Wóz, ulice, godziny – a może i dni – na nieznanymi szlakach. W ciągu dziesięciu minut mógł umieścić ją w wygodnym łóżku, pod opieką księży. Mógł wezwać chirurga, choć ten pewnie spróbowałby upuścić jej jeszcze więcej krwi.

– Powiedz mi, kochanie, krwawisz jeszcze?

Carla pokręciła głową.

– Nie jesteś gotowa do drogi. Zostaniemy tu wszyscy razem.

– Nie. Musimy ruszać, póki Śmierć jest po naszej stronie.

– Śmierć nie bierze niczyjej strony prócz własnej.

– Jeśli okazemy jej strach, zwróci się przeciwko nam. Wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Sąd także będzie przeciwko nam. Alice mówi, że trzeba nam jechać.

Znowu karty. „Alice mówi”? Tannhäuser dotknął wierzchem dłoni czoła Carli. Było chłodne, nieco wilgotne. Nie miała gorączki. Możliwe, że majaczenie osłabionej kobiety było zgodne z jego prywatną filozofią, ale nie mógł wyzbyć się oporów moralnych. Był gotów narazić życie żony i dziecka, by ratować własny kark, a jednocześnie bez wahania w każdej chwili poszedłby na śmierć, gdyby w ten sposób miał przedłużyć ich życie choćby o jeden oddech. Ot, zagadka, pomyślał. Wydawało się, że Carla zna jej rozwiązanie; on – niestety nie.

– Carlo, ty i Amparo przeżyjecie, jeśli tu zostanieie.

– Nie potrzebowaliśmy ciebie, żeby przeżyć – odrzekła Carla. – I nie po to dokonałeś tego, czego dokonałeś, żebyśmy przeżyły. Dokonałeś tego, bo chciałeś być ze mną. Z nami. Oddałam Amparo małej żebraczce na dachu. A jednak jesteście tu, całe i zdrowe. I ty jesteś z nami. Nie możesz nas zostawić, bo my nie zostawimy ciebie.

Tannhäuser spojrział ku rozległemu sklepieniu katedry, okrętu wzniesionego przez tych, co wiedzą, dla tych, którzy są. Tajemne znaki wplecione w jej konstrukcję, rozmyte dymem i tańcem setek płomyków, napełniły go pierwotną świadomością, dla której wzniesiono tę budowlę. A była to wiadomość czystego chaosu – jego grozy i jego piękna. Istnienie było chaosem. Materią mokrą i materią suchą zarazem. Krew i woda; kamień i

szkło; purpura i biel; wiedza i niewiedza; zło i dobro; Chrystus i szatan; wreszcie msza i *magnum opus*: jedność wytopiona w świętym tyglu paryskiej katedry Notre-Dame.

Lecz bez względu na to, jaki metal dałoby się przetopić w jedność z rudy ich dusz, jego jakości miał dowieść dopiero proces kucia. Substancja powstała w tyglu do końca pozostawała zagadką; zagadka była jej esencją. Pewne było jedynie to, że jeśli nie zostanie poddana obróbce, pozostanie bryłą bezwartościowego żużlu. W takim stopie było dość miejsca i na żale, i na świętokradztwo, i na niezliczone grzechy, lecz kto by pomyślał, że wystarczy trochę węgla drzewnego, żeby zmienić surowe żelazo w stal? Wątpliwości i zagadki nie mogły być rozstrzygnięte w samym tyglu – należało go opróżnić. Chaos zaś był wieczny i mieścił w sobie wszystko.

Tannhäuser spojrział na Carlę.

Pogładziła szczecinę na jego policzku.

Pocałował ją i odwrócił się ku swej drużynie obdartusów.

– Juste, zaprowadź Myszy do wozu. Opuścisz burtę i ułożycie materac. – Tannhäuser zauważył Hugona, który przytulił do piersi futerał z violą. – Hugonie, poprowadź Infanta. Estelle, pokaż Pascale moją broń. I przynieście ją tutaj. Razem z latarnią.

Przechodząc obok, Grymonde zwrócił puste oczodoły ku Tannhäuserowi.

– Jeśli się okaże, że to były czcze przechwałki i nie doprowadzisz nas do porte Saint-Denis, to powiedz mi, a odszukam księdza. – Oddalił się, a jego chichot jeszcze przez chwilę niósł się echem pod sklepieniem katedry.

– Carla, trzymaj mocno naszego słowiczka.

Tannhäuser wsunął lewe ramię pod uda żony i uniósł ją.

– Zatem będzie Ogień – powiedziała.

– Dobry mąż wie, kiedy być posłuszny.

Carla roześmiała się i zaraz skrzywiła, czując ból w brzuchu.

– Wygodnie ci?

– Będzie wygodnie, jeśli przestaniesz mnie rozśmieszać i pozostaniesz posłuszny.

– Postaram się.

– Zabierz nas do domu.

Ruszyli w kierunku bramy.

– Grégoire i Hugon przyszli tu za tobą. Co się stało z twoją eskortą?

– Z chorążym Bonnettem? Nie wiem. Powiedziałam mu, że nie jest mi potrzebny.

Tannhäuser przypomniał sobie scenę sprzed ładnych paru godzin: kurdupla spadającego na plecy z beczki, na której siedział.

Bonnett, jako jeden z nielicznych, rozpoznałby go natychmiast. Jeżeli po prostu wbrew rozkazowi przestał pilnować Carli, zapewne zgłosił się do Garniera, by się wytłumaczyć. Garnier zaś miał zapewne większe zmartwienia niż to, że Carla modli się w Notre-Dame. Istniała jednak i taka możliwość, że Bonnett zauważył i rozpoznał Tannhäusera – albo przed, albo po tym, jak zabił strażników.

W bramie Tannhäuser dogonił Hugona prowadzącego Grymonde'a.

– Hugonie, widziałeś może, jak wychodził stąd milicjant, który eskortował Carłę?

– Nie. Byłem przecież przy wozie.

Dziedziniec oraz cały plac wokół świątyni były puste.

Tannhäuser ułożył Carłę na materacu.

– Leż płasko, za burtą, przynajmniej do czasu, aż przejedziemy po moście Młynarzy. Pascale, Juste, Myszy: wy także musicie się położyć. Juste, wsuń jeszcze ten napierśnik między burtę a Carłę.

Położyła się na boku, plecami do desek, które Tannhäuser podniósł i zablokował.

– Z przodu czy z tyłu? – spytał Grymonde.

Tannhäuser sięgnął po łuk Frogiera.

– Z tyłu. Tym razem ja powożę. Estelle, moja kusza i trzy bełty.

Raz jeszcze przyjrzał się swojej drużynie: kobiecie, Infantowi, siedmiorgu dzieciom i niemowlęciu.

Mały Christian zwymiotował gównem na bruk. Był już właściwie nagi aż po pachy i na wpół obdarty ze skóry przez kamienie i dziury w paryskich ulicach. Z jego brzucha sterczała jakby zwierzęca kość.

Tannhäuser nie widział powodu, by dłużej trzymać go przy życiu.

– Pan dramaturg zostaje. Kto chce go zabić?

Grymonde zeskoczył z wozu.

W tej samej chwili brzęknęła cięciwa kuszy.

Mały Christian szarpnął się nagle, a jego ostatni krzyk splugawił Paryż kolejną porcją ulicznego łajna. Chwilę później zawisł bezwładnie na linie, niczym zepsuta kaszanka w kącie spiżarni.

Estelle wycofała się w kucki pomiędzy tylnych kół wozu.

– Zdaje mi się, że trafiłam prosto w dupę.

Grymonde ryknął śmiechem.

– Bełt zniknął bez śladu.

Infant wyciągnął rękę do Hugona, by pomógł mu wejść na wóz.

– Prędeż, chłopcze, póki jeszcze stoję.

Tannhäuser przez chwilę przyglądał się jak urzeczony olbrzymowi bez oczu, powiek i sporej części skóry twarzy. Estelle wyrwała go z zadumy, podając mu kuszę i cztery strzały. Przyjmując je, omal nie pouczył jej, by takie zachowania nie weszły jej w krew, ale przyszło mu na myśl, że to niewłaściwy moment. Nie wątpił, że Carla w swoim czasie nauczy ją manier i zasad. Będzie damą, zanim się obejrzę, pomyślał. I uśmiechnął się do niej.

– Dobry strzał.

Estelle przyjęła te słowa jako zaproszenie i zawtórowała Grymonde'owi śmiechem. Zaraz potem dołączył Hugon i kolejno pozostali. Myszy. Grégoire. Nawet Pascale. Wszyscy z wyjątkiem Juste'a.

Tannhäuser zerknął na Carlę. Obserwowała Myszy. Śmiech dzieci jakby dodał jej sił – zresztą wszystkim zrobiło się raźniej. Przykucnął i odciął martwego dworzanina, a gdy wstał, Carla także się śmiała, ręką podtrzymując brzuch. Juste nadal był posepny.

Mattias załadował kuszę i postawił przy przednim kole, a potem sięgnął na wóz, po łuk i kołczan Frogiera.

– Juste. – Wręczył mu broń. – Sześćdziesięciofuntowy. Nie przejmuj się, jeśli nie naciągniesz do końca, i tak wystarczy mocy. Jeśli będziemy walczyć, to na krótki dystans. Mierz w jaja, zanim jeszcze naciągniesz, a potem szybko wypuszczaj strzałę, zanim ręce zaczną drżeć. Nie strzelaj, gdy ktoś z nas znajdzie się przed tobą.

Uśmiechnął się, zauważywszy, że Carla mu się przygląda.

– Świeć przykładem, kochanie: połóż się. Estelle, Hugon, włóżcie hełmy. Pozostali: wy też macie leżeć. I zabezpieczyć broń. Nikt nie strzela, póki nie wydam rozkazu. Gdzie ten kundel z piekła rodem?

– Mamy kundla z piekła rodem? – zdziwiła się Pascale.

– Najprawdziwszego – przytaknął Juste. – Wabi się Lucyfer.

– I przynosi nam szczęście – dodał Grégoire.

Osmalony pies wyłonił się zza martwego ciała Christiana i leniwie potruczał między przednie kopyta Clémentine.

– Zdaje mi się, że skądś go znam – powiedział Hugon.

– Teraz jest nasz – odparł Juste. – A tu siedzi drań, który go podpalił.

To oskarżenie na nowo wzbudziło w Infancie wesołość.

Tannhäuser podniósł kuszę i wdrapał się na kozioł, obok Grégoire'a. Teraz dopiero zauważył, że wielka, siwa szkapa jest nie tylko zaprzężona do wozu, ale i osiodłana. Chłopak spojrział na niego śmiało, jak zawsze.

– Do porte Saint-Denis? – spytał.

Tannhäuser zawahał się. Możliwe, że katedra Notre-Dame była teraz najbezpieczniejszym miejscem w Paryżu, ale jednocześnie – samym sercem labiryntu, z którego postanowił uciec. Obrócił się, usłyszawszy za plecami chichot. Patrząc na ciasno ułożonych pasażerów, pomyślał, że zabranie choćby jednego w bój byłoby błędem. Zabranie dziesięciu było głupotą. Teraz dopiero zauważył, że Carla patrzy mu w oczy.

Skinęła głową, jakby czytała w jego myślach.

Tannhäuser odwrócił się, ku Grégoire'owi.

– Tak. Przekonajmy się, jaki metal udało się z nas wykuć.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Oszukać ślepego

Polecił Grégoire'owi, by w drodze na zachód przejechał w pobliżu Petit-Pont. Gdy się tam znaleźli, spojrzął w stronę mostu: przy ognisku i łańcuchu nie było ani jednego wartownika. Milicja ruszyła do akcji.

Zagłębili się w labirynt uliczek starego miasta.

Bonnett sądził zapewne, że Tannhäuser zostanie z Carlą w katedrze. To z kolei oznaczało, że spróbuje ściągnąć tam Garniera – z place de Grève, przez pont Notre-Dame. Nadal była szansa na to, by utrzymać dystans. Chyba że wartowników, których brakowało przy Petit-Point, Bonnett rozesłał z ostrzeżeniem do posterunków przy pozostałych mostach. Albo do zabójców w pocie czoła pracujących na plaży.

Grégoire zawrócił na północ, w stronę mostu Wymiany.

Tannhäuser zauważył, że przy łańcuchu czuwa to samo trio wartowników. Położył kuszę na lewym udzie, postanowiwszy, że pozabija ich, jeżeli nie uśmiechną się albo nie pomachają na powitanie. Gdy przejeżdżali obok, sklepikarz i jego ludzie pomachali i uśmiechnęli się, ale Tannhäuser zauważył też, że uważnie obserwowali nowych pasażerów wozu. Nie wierzył ich uśmiechom.

Minęli Palais de Justice; przed nimi zamajaczyły magazyny.

– Grégoire, zatrzymaj wóz. Będzie tu dość miejsca, żeby zawrócić?

Chłopak rozejrzał się. Stali na skrzyżowaniu uliczek. Skinął głową.

Tannhäuser zeskoczył z wozu.

– Zawróć więc i czekaj tu, pod murem magazynu, gotów ruszyć albo w jedną, albo w drugą stronę. – To rzekłszy, pobiegł w stronę rzeki.

Zatrzymał się przed ostatnim zakrętem i spojrzął w stronę mostu Młynarzy.

Wóz bez konia blokował przejazd. Jacyś ludzie wynosili worki z mąką z magazynu nad brzegiem rzeki i ustawiali je na platformie. Z oddali dochodziły zaś wojownicze okrzyki. Zaryzykował i zrobił dwa kroki w płamę księżycowego światła, by spojrzeć na zegar na wieży Conciergerie.

Do północy zostało dwadzieścia pięć minut.

Wciąż jeszcze mieli dość czasu, by dotrzeć do bramy.

Tannhäuser ruszył go z powrotem w stronę wozu, trzymając się cienia rzuconego przez magazyn.

Kto wie, ilu ich jest, pomyślał. Ale trzeba walczyć tutaj. I zwyciężyć.

A potem przeprawić się na drugą stronę tym zabudowanym mostem.

Lecz na moście nie byłoby miejsca na walkę, tylko mury, ślepa jaskinia, a oni zamknięci w środku.

W trójkącie księżycowego blasku u zbiegu ulic pojawił się sklepikarz. Od grotu bełtu dzieliło go najwyżej sześć stóp, gdy Tannhäuser strzelił i przebił kość łonową. Zaraz też cisnął kuszę na ziemię i dobył miecza, bo w smugę światła wbiegła kolejna postać: łucznik z bronią gotową do strzału, wpatrzony w ciemność.

Tannhäuser pchnął go w lewą stronę brzucha, oburącz, ale niezbyt głęboko, a potem ciął w bok, wyrywając klingę z rany. Światło latarni. Wyskoczył zza węgła i wykonał unik w chwili, gdy ostrze halabardy spadało na jego głowę. Czterech ludzi wpadło na skrzyżowanie. Pięciu.

– Tannzer! Uważaj!

Ciężar halabardy pociągnął napastnika za sobą. Gdy metal uderzył w ziemię, milicjant natychmiast szarpnął drzewce, próbując unieść broń, ale było za późno. Tannhäuser przyskoczył do niego i cięciem na odlew rozpołowił mu tchawicę. Nie patrząc nawet na efekt tego ciosu, rzucił się na pozostałych.

Latarnia już się oddalała w stronę mostu Wymiany, ale jej wątły blask zdradził położenie trzech ludzi, którzy właśnie nadbiegali. Tannhäuser uniósł miecz oburącz i zamarkował uderzenie znad głowy. Tym, w którego mierzył, był barwiarz. Zgodnie z oczekiwaniami Mattiasa, uniósł ręce, z całych sił zaciskając poplamione dłonie na drzewcu halabardy, gotów zablokować cios. Tannhäuser jednak zmienił trajektorię miecza: klinga zatoczyła łuk, omijając przeszkodę, a cięcie z biodra posłało ją wprost w udo przeciwnika: w to miejsce, gdzie kość była najcieńsza, tuż nad kolanem. Wyrywając ostrze, dociął ostatnie włókna mięśni i skóry.

Obszedł barwiarza, by z jego ciała uczynić zaporę przed kolejnym wrogiem: dostatecznie młodym i masywnym, by z wiarą rzucić się do walki. Atakujący zmarnował jednak bezcenną chwilę, spoglądając na uciętą nogę kompana, a Tannhäuser skorzystał z okazji: skoczył ku niemu, odbił drzewce halabardy lewą ręką, prawą wprowadzając miecz pod żebra. Następnie oparł się na zastawie i nacisnął w dół, tnąc trzewia. Teraz wystarczyło już tylko podciąć kopniakiem mocarne nogi, by młodzik runął na ziemię ze skowytem zawodu. Tannhäuser odwrócił się ku trzeciemu, który cofnął się właśnie chwiejnym krokiem, potknął i wylądował na tyłku. Strzała, która sterczała z jego brzucha, unosiła się i opadała w rytmie jego jęków.

Juste wyszedł z mroku, zakładając kolejną strzałę.

Tannhäuser podbiegł do niego, zabrał mu łuk i podał swój miecz. Chwycił cięciwę palcami. Wymierzył w cień towarzyszący rozkołysanej latarni.

– Łukiem o właściwym naciągu na pewno byś nie chybił, ale tym razem musimy mieć pewność.

Naciągnął cięciwę i strzelił – w dolną część pleców uciekającego, sądząc po tym, w jaki sposób wygiął się nagle i padł na ziemię. Oddał łuk Juste’owi, otarł klingę miecza i schował go do pochwy. Kiwnął głową w stronę łucznika, który klęczał obok, podpierając się głową i łokciami, zapatrzony w splątaną masę flaków, która wylała się z wielkiej rany na jego brzuchu.

– Juste, sprawdź, czy jego łuk lepiej ci pasuje. Strzały też się przydadzą.

– Mój Boże – powiedział Juste. – On jeszcze żyje.

– I dobrze. Zobacz też, czy ma ochraniacz na przedramię.

Tannhäuser podszedł do ofiary Juste’a, by sprawdzić, czy strzała jeszcze się na coś przyda. Ranny trzymał promień rękami, jakby nie chciał się z nią rozstać. Tannhäuser odtrącił je bezceremonialnie i wyszarpnął strzałę.

– Oni wszyscy jeszcze żyją – zawołał Juste. – Mamy sześciu rannych.

Przez chwilę przyglądał się ranom, które zadał im Tannhäuser. Wszyscy albo jęczeli żałośnie, albo przynajmniej próbowali. Tylko barwiarz jeszcze stał: utraciwszy nogę, podpierał się halabardą, zarzucając Boga pytaniami, na które nie dostał odpowiedzi.

Tannhäuser schylił się po kuszę i dwie halabardy.

Zakrwawioną strzałę wsunął z powrotem do kołczana Juste’a.

Wrócili do wozu. Tannhäuser ułożył halabardy obok Grymonde’a i naciągnął kuszę, spoglądając na swych towarzyszy – oni zaś spoglądali na niego. Ich śmiech wydawał mu się niemal zatartym, dalekim wspomnieniem. Oczy, w które patrzył w blasku latarni, były pełne lęku i nadziei. Oczy dzieci rzuconych jak skrawki szmat na powierzchnię oceanu szaleństwa. W półmroku odnalazł też oczy Carli. I to ona dała mu wszystko, czego potrzebował. Dzieci zaś potrzebowały dobrej miny do złej gry.

Ściągnął obolałe łopatki, skrzywił się nieco, a potem uśmiechnął.

– Most jest zablokowany – powiedział, nie przestając się uśmiechać. – Nie przedostaniemy się na drugą stronę rzeki.

Grymonde zacisnął wielkie wargi. Przypalone mięśnie jego twarzy zadygotały.

– I dlatego popłyniemy – dodał Tannhäuser.

– Zapomniałeś o zaporze? – spytał Grymonde.

- Rozerwiemy zaporę.
 - Jak?
 - Czy mój Infant potrafi sterować barką?
 - Zdaje się, że zgubiłeś piątą klepkę. Nareszcie.
 - Pascale, wspominałaś o barce z węglem drzewnym? – spytał Tannhäuser.
 - Tak. A obok cumuje druga, pusta. Bo co?
 - Przed nami popłynie płonąca barka.
- Dał Grymonde'owi chwilę do namysłu.
- Potrzebny będzie pilot. Juste? Hugon? Któryś z was zna się na żegludze?
- Hugon pokręcił głową. Juste naciągnął cięciwę swego nowego łuku aż do ucha.
- Nigdy nie próbowałem. Ale zamierzam.
 - Przebicie się pod trzema mostami to nie robota dla nowicjusza – stwierdził

Tannhäuser.

- Ja mogę wiosłować – zameldowała Pascale.
- A ja nie jestem nowicjuską, jeśli chodzi o łodzie – wtrąciła Carla. – Przecież

wiesz.

Tannhäuser miał nadzieję, że oszczędzi jej wysiłku. Skinął głową.

- To nam wystarczy. A teraz połóżcie się wszyscy.

Zajął miejsce obok Grégoire'a i odłożył kuszę. Kątem oka zauważył, że nieszczęsny barwiarz właśnie stracił równowagę i przewrócił się na plecy. Skinął głową na woźnicę. Wóz potoczył się przez pobojuwisko.

- Tam leży człowiek bez nogi. Skróć mu drugą kołami wozu.

Zanim do niego dojechali, spod kół dobiegł wątyły okrzyk bólu. Wóz był zbyt ciężki, by poczuli nierówność na drodze. Tylne koło wywołało jeszcze jeden anemiczny protest, który w nikim nie wzbudził litości.

– Zdaje się, że ich szef właśnie stracił kostki – zawołał Hugon. – Spróbuj nas teraz pogonić, piździelcu!

Tannhäuser odwrócił się i zobaczył leżącego sklepikarza, którego stopy oddzielały od goleni wąskie paski ugniecionych pończoch, tonące w szybko rosnącej kałuży krwi.

- Połóż się, Hugonie.

Barwiarz także wrzasnął dwukrotnie, gdy koła miażdżyły jego kości i mięśnie.

- Dlaczego nie pozabijałeś ich wszystkich, jak zawsze? – zdziwił się Hugon.

– Chce, żeby zdychali powoli – wyjaśniła Pascale. – Gdy przyjdą tu milicjanci znad rzeki i zastaną wyjących z bólu, stracą trochę czasu. No i porzygają się ze strachu.

Z oddali, jakby na potwierdzenie, dobiegł kolejny wrzask cierpiącego barwiarza.

– Ognista barka? – rzucił bez przekonania Grymonde. – To robota dla głupca.

– Zatem świetnie się do niej nadajemy – odparł Tannhäuser.

– Będziemy w zasięgu luf z Luwru.

– Król nie życzył sobie, by mu zamieniono stolicę w rzeźnię. To milicja zbuntowała się przeciwko niemu, to jej zapora stoi na rzece, nie króla. Gwardia pałacowa nie będzie interweniować, jeśli nie dostanie bezpośredniego rozkazu. My zaś, jeśli nie uciekniemy z miasta, zanim go dostanie, będziemy trupami.

Tannhäuser chwycił za kłonicę wystającą spod siedziska i zszedł na dyszel. Schyliwszy się, podniósł z ziemi latarnię, gdy przejeżdżali tuż obok niej.

– Minie wiek, zanim łodzie tworzące zaporę wypalą się i pójdą na dno – zauważył Grymonde.

– Wiem.

– Ale proponujesz, żebym wlaźł na pokład piekielnej łajby, uzbrojony jedynie w drąg, którym mam ją napędzać i sterować?

– Spokojna głowa, mój Infancie. Popłynę z tobą.

– Czy w ramach tego układu dostanę kolejną nieśmiertelną?

– Być może. Dla podniesienia morale.

Tannhäuser odwinął bryłkę opium i rozgryzł ją na pół. Natychmiast poczuł w ustach gorycz. Jedną część schował, a drugą uformował palcami w kulkę i podał Hugonowi. Grymonde, jak się wydawało, obserwował te poczynania pustymi oczodołami.

– A ja mogę spróbować? – spytał Hugon.

– Ty nie jesteś ranny – odpowiedziała Estelle. – Oddaj nieśmiertelną.

– La Rossa, mój skarbie, tylko jej nie upuść.

Infant Kukanii połknął swoją bryłkę i skrzywił się, odwracając twarz ku Tannhäuserowi.

– Tak mało? Postanowiłeś oszukać ślepego? Brawo, coraz bliżej ci do rodowitych paryżan.

Przy łańcuchu broniącym wstępu na most Wymiany nie zastali nikogo. Nadal mieli dość czasu, by dotrzeć do porte Saint-Denis. Ale czy północny przyczółek mostu nie był wzmocniony posiłkami?

– Grégoire, zatrzymaj wóz. Juste, podaj mi łuk Frogiera i weź swój.

Zdjął koszulę. Materiał sztywny od zaschniętej krwi boleśnie ocierał mu pachy. Poza tym, gdy chodzi o wzbudzanie przerażenia, nic – może prócz zbroi, ale niekoniecznie – nie

sprawdza się lepiej niż naga skóra zbryzgana krwią. Rzucił koszulę do skrzyni wozu, myśląc, że do tej nocy lepiej pasują barwy diabła niż krzyż Chrystusa.

Zeskoczywszy na bruk, wziął do lewej ręki łuk i cztery strzały; piątą w marszu założył na cięciwę. Stanęli przed łańcuchem. Most właściwie niczym się nie różnił od ulicy – ulicy pełnej pieniędzy, a w dodatku jednej z lepiej oświetlonych w mieście. Bodaj co piąty sklep miał własnego stróża nocnego, a każdy stróż – własną latarnię. Tannhäuser i Juste musieliby minąć przynajmniej pięciu, nim dotarliby na tyle daleko, by ujrzyć drugi koniec mostu Wymiany. Niedobrze mieć ich za plecami, pomyślał Mattias, spoglądając w oczy Juste'a. Chłopak był na razie spokojny.

– Juste, zostań tu i spróbuj nie rzucać się w oczy. Gdybyś zauważył, że któryś z tych ludzi wykonuje ruch po tym, jak go minąłem, zastrzel go.

– Mam strzelać w plecy?

– Strzelaj, w co chcesz, bylebyś zabił. – To rzekłszy, Tannhäuser odpiął łańcuch i rzucił na ziemię. Zastanawiał się, czy na miejscu Juste'a nie strzeliłby w plecy człowieka, który zabił mu braci. Doszedł jednak do wniosku, że raczej nie, a przynajmniej nie w tak młodym wieku. Ruszył na most, w ulicę nocnych stróżów.

Był w zasięgu każdej broni drzewcowej, którą dysponowali. Nie spieszył się; pozwalał, by dobrze przyjrzeni się zaschniętym resztkom na jego ciele – pamiątkom po tych, którzy spróbowali stanąć mu na drodze. Patrzył prosto przed siebie; wołał nie sprawdzać, czy jego spojrzenie nie sprowokuje do działania kogoś, kto podobnie jak on był w nastroju do zabijania. Wyglądali na zbyt doświadczonych, by uczynić coś ponad to, za co im zapłacono. Gdyby jednak okazał słabość, mogliby się na niego rzucić.

Dotarł do wierzchołka łagodnego łuku konstrukcji mostu. Przeciwnie przyczółek zamknięto dwoma wozami, których dyszle skrzyżowano i solidnie obwiązano linami. Dostrzegł błysk ognia na panewce w samą porę, by obrócić się bokiem i położyć kciuk na cięciwie. Rozległ się huk wystrzału.

Dwa muszkiety, po jednym na każdy wóz, pomyślał. Słyszał, że kula przemknęła tuż obok niego, ale nic nie poczuł. Naciągnął łuk i wymierzył w drugi wóz, spowity już chmurką dymu po wystrzale z pierwszego. Ten widok wystarczył, by strzelcowi drgnęła ręka w chwili, gdy płomień pojawił się na panewce drugiego muszkietu. Mattias strzelił. Kula przemknęła ze świstem obok niego, za to muszkiety z klekotem upadł na bruk, po tej stronie barykady. Nałożył drugą strzałę, strzelił w burtę pierwszego wozu i znów sięgnął po strzałę, widząc postać, która odskoczyła w panice, zostawiając broń.

Wiedział, że rozproszą się, zanim zastrzelili wszystkich, a potem, zanim usunie z drogi powiązane wozy, wrócą z posiłkami. Wtedy czekałaby go walka uliczna aż do samej bramy Saint-Denis.

Zatem popłyniemy, pomyślał i zawrócił.

Drugi stróż po lewej padł na kolana, przez moment podpierał się piką, a potem upadł na bok – najwyraźniej jedna z kul jednak kogoś dosięgła. Najbliżej stojący z jego towarzyszy rzucił się na pomoc i niemal natychmiast upadł, trafiony przez Juste'a w plecy, nieco poniżej pach. Tannhäuser naciągnął cięciwę i powalił trzeciego stróża, trafiając go w pierś z odległości piętnastu stóp. Ten wprawdzie się nie ruszył, za to jego śmierć oznaczała, że przynajmniej wschodnia strona mostu jest czysta.

Mattias założył kolejną strzałę i wycelował w stróżów po zachodniej stronie. Jeden z nich rzucił pikę na ziemię; pozostali uznali, że rozsądnie będzie uczynić to samo.

Juste podbiegł do swej ofiary i chwycił promień strzały tuż poniżej lotek, próbując wyrwać go spomiędzy żeber konającego mężczyzny, który krzyczał z bólu za każdym szarpnięciem, dławiąc się przy tym krwią. Tannhäuser klepnął chłopaka w ramię.

– Dobry nawyk, ale tym razem odpuść. Chodź już. Jeszcze dotrzemy do Polski.

– Naprawdę tam pojedziemy?

– Nie dziś, ale Polska będzie nas czekać i jutro, czyż nie?

Tannhäuser pociągnął Juste'a w stronę wozu.

– Grégoire – powiedział – spróbujmy ominąć z daleka kolejny przyczółek.

– W takim razie trzeba będzie przejechać przez ulicę, która przecina całą wyspę.

Mogą nas zauważyć.

– No to będą mieli pecha.

Tannhäuser wskoczył na wóz.

– Jedziemy na nabrzeże Saint-Landry.

Skierowali się na południe, a potem skręcili na wschód, w ulicę, którą jechali poprzednio. Byli w połowie drogi, gdy Tannhäuser dostrzegł pochodnie podążające na południe: mieli przed sobą skrzyżowanie. Ciemne postacie maszerowały dwójkami. A potem kolejne pochodnie. I czerwono-biały sztandar.

Pielgrzymi Świętego Jakuba.

Tannhäuser sięgnął po kuszę.

– Grégoire, nie znajdzie się jakiś wąski prześwit między tym skrzyżowaniem a nabrzeżem, do którego chcemy dotrzeć?

Grégoire przyglądał się przez chwilę planowi okolicy, który miał w głowie.

– Nie.

– A czy Clémentine potrafiłaby się przebić przez tę kolumnę?

– Jeśli jej każe.

Pielgrzymi potrzebowali paru minut, by się przegrupować. Chyżość Clémentine dałaby im kilka dodatkowych, zanim dotarliby do barki. Tannhäuser założył belt.

– W takim razie każ jej. A wy, tam z tyłu, trzymajcie się mocno.

Grégoire wstał i wydał z siebie przeszywający głos, znany jedynie tym, którzy na co dzień pracują z końmi. Zmodulowany przez zdeformowane podniebienie chłopaka, przeraził nawet Tannhäusera, który odchylił się odruchowo w chwili, gdy klacz szarpnęła wóz, zrywając się do dzikiego galopu.

Milicjanci szybko usłyszeli tętent. Rozległy się krzyki, a ludzie się rozpierzchli.

Clémentine wpadła na skrzyżowanie w pełnym pędzie.

Tannhäuser spojrział w lewo. Kolumna zbrojnych ciągnęła się aż po pont Notre-Dame i dalej, jak okiem sięgnąć, a pomiędzy piechurami jechał samotny jeździec. Mattias odwrócił się pospiesznie, by zerknąć na prawo, na kolejnych co najmniej dwudziestu milicjantów i na narożny kościół. Obrócił się jeszcze mocniej i wycelował kuszę w miejsce, w którym wokół pochodni zebrała się grupka zaskoczonych Pielgrzymów, spoglądając w ślad za odjeżdżającym wozem. Strzelił prosto w pierś tego z pochodnią, a wtedy skrzyżowanie nagle opustoszało. Tannhäuser usiadł prosto i wsunął stopę w strzemień kuszy. Clémentine zwolniła bieg, parszkając.

– Prędej, Grégoire.

Chłopak znowu warknął na nią i strzelił lejcami. W chwili, gdy Tannhäuser zahaczał cięciwę o nacięcie orzecha, dostrzegł lancę podskakującą u boku rozpędzonej Clémentine. Klacz spróbowała odpowiedzieć na rozkaz Grégoire'a – napała z nową mocą na chomać, lecz w tej samej chwili coś w niej pękło. Gwałtownie skręciła w prawo, a młody woźnica natychmiast zareagował szarpnięciem lejcami. Wróciła na kurs, ale uniesione w powietrze prawe koło wozu zdążyło wyrwać parę drzazg z narożnika domu, który właśnie mijali. Wstrząs był tak silny, że Tannhäuser odrzucił kuszę i chwycił się kozła, a drugim ramieniem w ostatniej chwili uratował Grégoire'a przed upadkiem.

Tylną część wozu zarzuciło w lewo i w tym momencie ze skrzyni dobiegły krzyki przerażenia, zaczęli bowiem jechać na dwóch kołach, w mocnym przechyle. Jeszcze jedno potężne szarpnięcie Clémentine i pojazd odzyskał równowagę, ale słabła już i rozpędzony ciężar zaczął ją doganiać, boleśnie raniąc tylne pęciny. Grégoire wciąż trzymał lejce, a Tannhäuser postanowił mu pomóc, łapiąc je i ściągając ku sobie. Czy to w panice, czy w

nagłym przyplwywie odwagi, zwierzę znowu rzuciło się naprzód. Gdyby jednak Clémentine miała paść z wysiłku, wóz przekoziółkowałby i spadł na ziemię kołami do góry. Tannhäuser nie zamierzał na to czekać: wymacał obcasem dźwignię hamulca i napał na nią całym ciężarem ciała. Błoto trysnęło spod kół, zapachniało dymem, ale wóz zaczął zwalniać.

Po chwili Clémentine zgubiła rytm kroków i padła na bok z bolesciwym, przeciągłym jękiem.

Tannhäuser puścił wreszcie Grégoire'a i lejce. Zeskoczył z wozu i czym prędzej otworzył burtę. Carla spuściła nogi i zsunęła się na ziemię, trzymając Amparo w ramionach. Pascale podniosła do pionu Myszy i popchnęła je w stronę Mattiasa. Zdjął je ze skrzyni; Estelle zeskoczyła sama i sięgnęła po swoją kuszę.

– Zostaw, weź lepiej latarnię. Hugonie: sakwy i worki.

Pascale zdążyła już przewiesić olstra przez ramię. W rękach trzymała większy worek z prowiantem oraz jeden z dwulufowych pistoletów. Usiadła na materacu, by zsunąć się na ziemię.

Tannhäuser dostrzegł też Juste'a, który zeskoczył z tylnej części skrzyni i pobiegł w mrok.

Grymonde gdzieś przepadł.

Mattias spojrział na materac. W miejscu, w którym leżała Carla, połyskiwała ciemna, mokra plama.

– Możesz iść, kochanie?

– Tak.

Nie był pewny, czy mogła. Nawet ona tego nie wiedziała. Tannhäuser szacował, że od nabrzeża dzieli ich jeszcze trzysta kroków.

– Pascale, za mną. Zostaw ten worek.

Pobiegli w stronę potężnej postaci stojącej plecami do nich w plamie księżycowego światła, tuż przy skrzyżowaniu, przez które przebili się z tak marnym skutkiem. Grymonde ryczał jak dzika bestia, wznosząc bojowo maczugę ku nocnemu niebu. Strzała, która nadleciała z ciemności, odbiła się od ściany. Juste przyczał się o kilka kroków przed Infantem i odpowiedział, strzelając w stronę odległych pochodni. Tannhäuser stanął za Grymonde'em i klepnął go po plecach, a potem chwycił za nadgarstek ręki dierzącej maczugę i krzyknął mu wprost do ucha:

– Mój Infancie, cóż to za przyplwyw mocy?

– Dotarliśmy chociaż do piekielnej łajby?

– Jeszcze nie. Oddaj maczugę i wracaj z Pascale do wozu.

– Nauczysz mnie strzelać z łuku? – spytała Pascale.

– Obiecuję. A teraz trzymajcie się mroku. Niech pozostali szykują się do wymarszu.

Tannhäuser odrzucił maczugę. Kolejna strzała, już lepiej mierzona, przemknęła obok niego. Chwyił Juste'a za kark i wciągnął w mrok obok domu, którego konstrukcję naruszyły koła wozu. Zdjął z ramienia łuk i wraz z nim zacisnął w dłoni cztery strzały. Piątą założył na cięciwę i spojrzał w kierunku skrzyżowania. Pochodnie zdążyły się rozpierzchnąć, ale światło księżyca pozostało. Wybrał czarną sylwetkę i pewnym strzałem przeszył ją sztyłem. Inne sylwetki rozbiegły się na wszystkie strony, nie czekając, aż ich towarzysz upadnie.

– Zostań w cieniu i starannie wybierz następny cel. Spróbuj obejść nas tą uliczką, którą widzisz po lewej. Postaraj się, żeby się bali, a gdy tylko ich tam zobaczysz, daj mi znać.

Kolejna strzała przemknęła ze świstem. Nieprzyjacielski łucznik także krył się w mroku.

– Pójdę naprzód – zapowiedział Tannhäuser. – Spróbuj mnie nie postrzelić.

Puścił się biegiem, nisko pochylony, w niemal zupełnej ciemności. Krzyki i przekleństwa dobiegały ze wszystkich stron labiryntu; trudno było określić odległość i kierunek, ale jedno było pewne: nawołujący byli kompletnie zdezorientowani. Żaden z Pielgrzymów nie sądził, że przyjdzie mu zginąć tej nocy. W prześwicie między rzędem domów a kościołem pojawił się nagle łucznik. Zdążył wycelować, ale niemal w tej samej chwili padł na plecy, trafiony strzałą z łuku Tannhäusera.

Dwadzieścia stóp. Warto spróbować.

Pobiegł w stronę łucznika, ale gdy się pochylił, by zabrać mu garść strzał, ten wyciągnął rękę, by chwycić go za gardło. Zginął, gdy Tannhäuser z rozmachem wbił mu w twarz wiązkę grotów. Spojrzawszy w lewo, zobaczył Pielgrzyma nadbiegającego od strony kościoła, z mieczem gotowym do pchnięcia. Oczekał do ostatniej chwili i uskoczył, osłaniając się łukiem, po czym zamachnął się i wbił w szyję wroga cały pęk strzał. Zostawił je tam i spojrzał w ślad za trzecim, który salwował się ucieczką. Założył strzałę na cięciwę, patrząc, jak trzeci wpada wprost na czwartego, który wyszedł zza węgła, niosąc pochodnię. Biegający właśnie padał, w locie chwytając towarzysza wpół, gdy śmignęła ku niemu strzała. Grot przebił mu twarz od policzka do policzka i utkwiał w piersi tego z pochodnią. Oddalili się razem, złączeni strzałą niczym para szalonych tancerzy. Tannhäuser tymczasem pochylił się nad szermierzem, który siedział w kucki, dławiąc się własną krwią. Gdy szarpnął, by usunąć pęk strzał z jego gardła, miał wrażenie, że wrywa chwast z wyjątkowo grząskiej gleby.

Chwilę później zniknął w cieniu domów i pobiegł w stronę wozu.

– To ja, Mattias – zawołał.

Juste właśnie wypuścił strzałę, która ominęła go szczęśliwie, ale trafiła w cel: zza pleców Tannhäusera dobiegł okrzyk bólu.

Chłopak dyszał ciężko, tocząc dokoła dzikim wzrokiem.

– Lepsze to niż polowanie na kaczki, co?

Juste skinął głową, ale bez przekonania. Tannhäuser podzielił pęk ociekających krwią strzał i wsunął połowę do jego kołczanu; resztę wepchnął do swojego. Upadek kuszy, którą tu upuścił, spowodował wystrzał. Podniósł ją teraz i naciągnął na nowo, po czym załadował belt i postawił obok Juste'a, gotową do strzału. Ścisnął lekko ramię chłopaka, by go uspokoić.

– Jesteś naszą ostoją. Uważaj na tych, co podejda z flanki. Jeśli rzucą się do natarcia, wycofaj się.

Tannhäuser pobiegł w stronę wozu. Hugon zdążył obładować się ekwipunkiem, tak jak mu kazano, dodając do licznych ciężarów futerał z violą. Wydawał się spokojniejszy od Mattiasa. Myszy, jak zawsze, trzymały się za ręce, identyczne i obojętne jak perły z jednej muszli. Pascale znowu dźwigała worek z prowiantem, a Estelle odstawiła latarnię, by przytulić się do Carli, której najwyraźniej niosła tym sposobem pociechę.

Carla bowiem opierała się biodrami o wóz tak ciężko, jakby tylko dzięki niemu zdołała jakoś utrzymać pion. Na jej twarzy malował się smutek tak głęboki, jakiego jeszcze nigdy nie widział.

– Zostawiłam Antoinette – powiedziała. – Zapomniałam o niej.

Antoinette? Jaką Antoinette? To i tak nie ma znaczenia, pomyślał Tannhäuser.

– Gdzie?

– W katedrze.

– W katedrze jest znacznie bardziej bezpieczna niż my tutaj, więc nie smuć się zbytnio. Mój Infancie?

– Infant nadal czuje moc – odpowiedział Grymonde – więc i ty się nie smuć.

– Mattias – odezwała się cicho Pascale. Wskazała palcem na Grymonde'a, który opierał się ciężko o koziół.

Każdy jego płytki oddech sprawiał, że lotki strzały sterczącej z jego prawego boku unosiły się i opadały. Gdyby grot rozerwał którekolwiek z ważnych naczyń krwionośnych, już leżałby martwy, ale równie dobrze mogło do tego dojść za dziesięć kroków. Każdy ruch oznaczał teraz dalsze uszkodzenia w głębi jego ciała.

Tannhäuser spojrział na Carłę, licząc na diagnozę.

– Jeśli strzała ma zostać w ranie – powiedziała – to Grymonde musi zostać tutaj.

- Zdołam ją wyjąć? – spytał Mattias.
- Znajdź grot. Jeśli go wyczujesz, to może uda się go odsłonić i odciąć.
- Mój Infancie, obróć się ku mnie bardzo wolno.

Grymonde przemieścił się ostrożnie, a Tannhäuser rozerwał i ściągnął z niego koszulę, odsłaniając masywne mięśnie brzucha.

- Nie ruszaj się teraz. Pascale, przynieś latarnię i patrz.

Tannhäuser spróbował ocenić kąt nachylenia i głębokość rany. Położył prawą dłoń na brzuchu Infanta, a lewą chwycił za końcówkę strzały. Nacisnął lekko. Nie wsunęła się łatwo głębiej, a tak niechybnie byłoby w przypadku, gdyby grot tkwił w jelitach. Nacisnął mocniej i teraz poczuł pod prawą dłonią ukłucie.

- Grot uwiązł w mięśniu brzucha – poinformował Carłę.
- To dobrze – odrzekła.
- Wręcz wybornie – dorzucił kpiąco Grymonde.
- Nic nie mów – poradził mu Tannhäuser.

Nacisnął promień jeszcze mocniej i skóra wyraźnie wybrzuszyła się pod jego dłonią. Zaznaczył miejsce palcem i zostawiwszy strzałę, wyciągnął sztylet z pochwy na lewym biodrze.

- Pascale, naciskaj końcówkę tak, jak ja to robiłem. Przystaniesz, gdy ci powiem.

Wykonała polecenie bez mrugnięcia okiem. Na brzuchu znowu pojawiła się wypukłość.

- Teraz przestań.

Tannhäuser naciął wzgórek na kształt litery X. Krawędzie skóry rozchyliły się jak pęknięta figa, krwawiąc lekko.

- Dlaczego jej po prostu nie przepchniemy? – spytała Pascale.

– Stawiałaby opór, a promień łatwo złamać. Teraz trochę odpuść. O tak. – Wsunął palec w ranę i wyczuł czubek szerokiego grotu po drugiej stronie mięśnia. Naciął go sztyletem dokładnie wzdłuż własnego palca. Grot przesunął się ku przodowi, a uszkodzony mięsień natychmiast zamknął się wokół niego. Tannhäuser oddał sztylet Pascale. – Teraz użyj obu rąk. Przyłóż ostrze płazem do końcówki strzały i gdy ci powiem, mocno popchnij. Tylko nie złam promienia i nie pokalecz się. – Tannhäuser położył obie dłonie na ciele Grymonde'a, wokół nacięcia, by ustabilizować mięsień brzucha. – Mój Infancie, podeprzyj się teraz ramionami i spróbuj rozluźnić brzuch, jakbyś chciał się wyszczać.

- A właśnie chciałbym.
- Doskonale. Zatem szczaj.

– Przecież nie naszczam sobie w buty. – Opuścił rękę, by wyjąć przyrodzenie, westchnął z ulgą i zaczął.

– Tak jak przedtem, Pascale – rzekł Tannhäuser. – Pomału do przodu.

Nie chciał, by przebiła go tą strzałą. Po chwili grot pojawił się między jego dłońmi.

– Teraz pchnij mocniej.

Kawałek szerokiego grotu wysunął się z brzucha Grymonde’a.

– Dość. Podaj sztylet. Mój Infancie, bądź łaskaw przestać.

– Czy ja jestem psem?

– Czyżby król Kukanii nie umiał przerwać? Spróbuj przynajmniej.

Grymonde, który od początku zabiegu kontrolował się w pełni, teraz stęknął z wysiłku.

Strumień moczu ustał.

– Napnij mocno mięśnie brzucha i tak trzymaj.

– Co znowu? Teraz mam się zesrać?

– Tylko jeśli musisz.

Strzała znieruchomiała, jakby nagle chwyciło ją imadło. Tannhäuser ujął grot palcem wskazującym i kciukiem, tuż przy ranie, i odciął go nożem.

– Możesz szczać dalej – powiedział.

Wytrzeł dłonie do czysta o plecy Grymonde’a, a potem chwycił jedną ręką za promień, tuż przez lotkami, drugą zaś zaparł się o żebra rannego. Zaczekał, aż rozległ się plusk – i wtedy pociągnął. Udało mu się wydobyć pół stopy strzały, zanim mięśnie na powrót zacisnęły się wokół niej. Palce Tannhäusera ześliznęły się po piórach.

Grymonde stęknął z bólu.

– Jakoś nagle musiałem przerwać.

– Jeszcze raz.

Tannhäuser najpierw cofnął się o krok, a potem uniósł nogę i wysoko zaparł się stopą, jednocześnie chwytając strzałę. Pociągnął mocno – i udało się. Rzucił strzałę na ziemię, a Grymonde westchnął i schował przyrodzenie. Tannhäuser tymczasem zaczerpnął palcami nieco smaru do osi z wiaderka zawieszzonego pod kozłem i zatkał nim obie rany, po czym wytarł ręce o koszulę Grymonde’a.

– To była pieśń w wykonaniu człowieka, który uraczył się trzema nieśmiertelnymi.

– Dwiema, bo nie zamierzam liczyć tego okruchu, który smakował tak, jakbyś go wyjął z nosa.

– W tej chwili masz we flakach kilka dziur. Powiedz więc szczerze, jak się czujesz.

– Mógłbym pójść choćby i na rękach do tej twojej przeklętej, piekielnej łajby.

– A poniósłbyś Carlę?

Tannhäuser poczuł jej dłoń na ramieniu. Uścisnął ją, ale się nie odwrócił.

– Zaniosę ją choćby i do bram raj, jeśli tylko zechce.

– Na razie wystarczy do łajby.

– Potrzebuję tylko oczu i skrzydeł. Mojej La Rossy.

Tannhäuser spojrzał na Estelle. Uniosła ręce. Wątpił, by jej nikły ciężar sprawił Grymonde'owi jakkolwiek różnicę. Chwyił ją w pasie i podsadził na ramionach ojca. Twarz Infanta pękła w straszliwym uśmiechu.

– Czy Amparo może pofrunąć ze mną? – spytała Estelle.

– Nie tym razem – odparł Mattias. Odwrócił się i rozłożył ramiona.

Carla nie była pewna.

– Jeśli ty upadniesz, kochanie, padniemy wszyscy.

Znowu przeskoczyła między nimi dzika iskra. Carla skinęła głową. Podniósł ją bez wysiłku.

– Mój Infancie.

Grymonde wystawił przed siebie ogromne ręce.

Tannhäuser ułożył na nich Carlę i uśmiechnął się do niej.

– Wyglądają na wygodniejsze od moich.

– Bo są – odrzekła, odwzajemniając uśmiech.

– Pascale, zaprowadź ich na nabrzeże, na pokład pustej barki.

– Dlaczego nie idziesz z nami? – spytała Estelle.

– Wrogowie są zbyt blisko i jest ich zbyt wielu, by mogli nam odpuścić. Idźcie już.

Tannhäuser odwrócił się, by nie opóźnić wymarszu. Zajrzał do wozu, żeby sprawdzić, co pozostało. Broń Altana. Naładowana kusza. Kirys. Bukłak z winem. Trzy halabardy. Wybrał dwie, zarzucił bukłak na ramię i teraz dopiero odwrócił się, by spojrzeć za odchodzącymi.

Infant zniknął w ciemności z jego dziećmi i kobietą, którą kochał. Carla spoglądała na Mattiasa nad ramieniem Grymonde'a. Wiedziała, czego mu potrzeba.

Odwróciła głowę.

Tannhäuser rozejrzał się, szukając Grégoire'a.

Chłopak zdążył już wyciągnąć pikę z boku Clémentine i rozciąć uprząż, a także opatrzyć ranę smarem. Teraz próbował zdjąć chomąto z jej karku. Tannhäuser podszedł do niego, odłożył broń i pomógł mu. Clémentine z westchnieniem położyła łeb na ziemi. Mięśnie

pod jej skórą zaczynały drgać konwulsyjnie. Przez ranę w brzuchu straciła mnóstwo krwi. Grégoire się rozplakał. Tannhäuser odciągnął go na bok.

– Idź z Grymonde'em i pozostałymi. Weź te halabardy.

– Będzie cierpiała?

– Nie. Idź już.

Tannhäuser odwrócił się w samą porę, by ujrzeć nadbiegającego Juste'a i ścigającego go Pielgrzyma, który właśnie uniósł nad głową ramię z oszczepem, sposobiąc się do rzutu. Podbiegł do wozu i porwał gotową do strzału kuszę. Zdążył wycelować i zwolnić cięciwę dokładnie w chwili, gdy przeciwnik wykonał ruch. Bełt wbił się w jego pachę, ale oszczep, choć zadrżał nieznacznie, poszybował w stronę celu.

Pielgrzym i chłopak padli w tym samym momencie.

Tannhäuser rzucił kuszę i obiegł wóz, zauważywszy, że z bocznej uliczki wyłania się gromada zbrojnych, pokrzykujących bojowo w stronę tych, którzy wciąż czaili się na skrzyżowaniu przy kościele.

Juste dostał w plecy i właśnie próbował podnieść się na kolana. Ciężar drzewca tkwiącego w ranie sprawił jednak, że znowu upadł, pokonany przez nieznośny ból.

Tannhäuser wyjął miecz z pochwy i położył na wozie. Zamiast niego zabrał szponton.

Huknął strzał z muszkietu, zbyt daleki, by dało się wypatrzeć obłok dymu lub błysk z panewki. Rozległ się za to głośny krzyk.

Krzyk Grégoire'a.

Tannhäuser obrócił się i ujrzał chłopaka skręcającego się z bólu w kałuży własnej i końskiej krwi.

Z nogawki jego nowych czerwonych portek sterczały odłamki kości.

Oszczep tkwiący w plecach Juste'a miał długi i wąski, trójgraniasty grot. Na szczęście ześliznął się po łopatce i przebił tylko górną część tułowia, być może zahaczając o szczyt płuca – to trzeba było ustalić.

Tannhäuser pochylił się, postawił nogę na plecach Juste'a i wyciągnął oszczep. Zważył go w rękę i szybko znalazłszy punkt równowagi, cisnął broń z całej siły w stronę nadbiegających. Zareagowali zbyt wolno: nie dali szansy na unik temu, który znajdował się pośrodku grupy. Oszczep przebił jego pękatą pierś. To wystarczyło, by pozostali zawrócili w miejscu.

Tannhäuser podniósł Juste'a i spojrzął w jego szkliste oczy.

Chwyił go za żuchwę i nachylił się ku niemu.

– Grégoire kona. Leć, utnij kawał uprząży i zatamuj krwawienie z jego nogi. – To rzekłszy, wręczył Juste’owi sztylet i popchnął zdecydowanie w stronę rannego.

Chłopak karnie pokuśtykał w stronę przyjaciela, a gdy był już blisko, pośliznął się w kałuży krwi i upadł obok niego. Ukląkł czym prędzej i sięgnął lewą ręką po lejce. Rana w jego plecach nie była powierzchowna. Krzyknął z bólu, ale siłą woli zmienił ów krzyk w wyraz buntu przeciwko własnej słabości. Naciągnął skórzany pas zębami i zaczął piłować go sztyletem.

Coś się otworzyło w piersi Tannhäusera.

Jego chłopcy oberwali, prawdopodobnie było już po nich.

Pozwolił uczuciom popłynąć, by go nie rozsadziły.

Kolejny strzał z muszkietu. Odwrócił się bokiem, by stać się trudniejszym celem. Zauważył obłok dymu na skrzyżowaniu. Dwie lufy. Czyżby gwardziści Dominica? Z radością powitał wściekłość, która nim zawładnęła – pomogła mu zapomnieć o zmęczeniu i żalu. Pielgrzymi znowu pojawili się u wylotu bocznej uliczki; maszerowali naprzód w tempie, które zdradzało całą prawdę: byli przerażeni, ale uparli się, by udawać odważnych. Było ich kilkunastu. Trzy szeregi. Cztery piki na czele. Pozwolił im podejść na tyle blisko, by zasłonili go przed ogniem muszkietów.

Grégoire umilkł.

Tannhäuser złapał drzewce szpontonu jak kosę.

– *Allahu akbar.*

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Wisielec

Carla czuła przez koszulę ból Grymonde'a w każdym uderzeniu jego wielkiego serca. Widziała wielu ludzi, którym rany brzucha odebrały życie. Gdy pracowała w szpitalu na Malcie, oddzielali takich nieszczęśników od pozostałych rannych i nie poświęcali im zbyt wiele czasu, ponieważ niemal zawsze były to daremne wysiłki. Własna treść jelitowa zaczynała zżerać ich od środka. Brzuch Grymonde'a był już twardy jak dębowa deska. Z ust Infanta nie padło jednak ani słowo skargi. Z bezgranicznym oddaniem czynił wszystko, by nie poczuła najmniejszego nawet dyskomfortu, jakby to było ostatnie zadanie w jego życiu, które mogło przynieść mu odrobinę dumy. W porównaniu z niewygodami podróży wozem jego ramiona były jak z puchu i Carla cieszyła się, że ją niosą. Cokolwiek jednak twierdzili dwaj wojownicy, doskonale wiedziała, że ciężar jej ciała tylko potęguje cierpienie Grymonde'a i przyspiesza nieuchronny zgon. I dlatego czuła wyrzuty sumienia.

Gdzieś w tyle, w mroku miasta, rozległ się grzmot wystrzału.

Spojrzała w tamtą stronę, ale niczego nie zobaczyła. Skręcili na północ, w stronę rzeki. Popatrzyła przed siebie. Hugon ugiął się pod ciężarem bagaży. Obie latarnie trzymał w jednej ręce; w drugiej dźwigał futerał z instrumentem. Bez wahania zostawiłaby swą wiołę i wiedziała, że Mattias uczyniłby to samo, ale instynktownie wyczuwała, dlaczego Hugon był gotów na takie poświęcenie: nie chciał porzucić swego marzenia. Bliźniaczki zwane Myszami szły tuż za nim. Pascale gdzieś zniknęła.

– Grymonde, proszę cię, postaw mnie już. Mogę iść.

– Carlo, błagam... Jeśli nie będę ci potrzebny, uklęknię w piachu i zaczekam na twego męża, by mnie dobił. – Odetchnął głęboko. – Wolałbym uniknąć tej hańby.

– On ci pomoże dojść do nabrzeża.

– Gdyby nie potrzebował mnie w zastępstwie tej szkapy, poderżnąłby mi gardło, nie zastanawiając się nad tym dłużej.

Carla nie zaoponowała.

– Nie powinieneś mówić.

– To ostatnia rozmowa w moim życiu. Jest mi bardziej cenna niż wszystkie inne, w których uczestniczyłem. Choć może niewiele to znaczy, większość bowiem dotyczyła nader przyziemnych spraw.

– Nie wierzę, by takie było życie człowieka wychowanego przez Alice.

– A rozmowy ze mną nie były cenne? – wtrąciła Estelle.

– Czy umierający nie ma prawa do paru upiornych figur retorycznych?

Carla nie mogła się powstrzymać: wpatrywała się w twarz Grymonde'a. Osobliwa, lekko drożdżowa woń jego ciała docierała do niej falami. Pot spływał po jego czole i dalej, rowkami wypalonymi w oczodołach, a potem skapywał i zbierał się na ich poranionym dnie. Z każdym krokiem odrobina wypływała na policzki. Carla pamiętała jego dzikie, orzechowe oczy, które darowały jej życie – dla kaprysu. Nie, dla czegoś więcej niż kaprysu. A potem jej dziecko przyszło na świat wprost w ręce tego mordercy. Orzechowych oczu już nie było, a ręce mordercy niosły teraz i ją, i jej dziecko, przez najciemniejszą noc w dziejach. Nie rozumiała sensu tej historii ani jej ukrytego znaczenia, lecz wiedziała, że pewnego dnia zrozumie. Odpowiedzi nosiła w sobie.

– Co to znaczy? – spytała Estelle znad głowy Grymonde'a.

– To znaczy, że trochę przesadza, a wszystko po to, żeby zignorować nasze rady.

– Zgoda, poddaję się. Obie macie rację. Może i nie stosowałem się do mądrych rad mojej matki, ale słyszałem każde jej słowo. A co się tyczy twoich słów, La Rosso, to zawsze były klejnotami koronnymi mego królestwa.

– Naprawdę? – spytała Estelle.

Carla zadarła głowę, by spojrzeć na jej dziką twarzyczkę.

– Pamiętam każde, które kiedykolwiek wypowiedziałas, bo bawiłem się nimi w głowie. Były mi muzyką w niejedną ciemną noc i w niejednen słoneczny dzień. Zawsze czyniły dni i noce jaśniejszymi.

– Ja też je pamiętam – pochwaliła się Estelle. – Ale założę się, że wszystkich sobie nie przypominisz.

Grymonde wyszczerzył zęby do Carli. To bez wątpienia miał być uśmiech.

– Jest taka sama, jak jej babka.

– Nadal nie chcesz powiedzieć tego, o czym wiesz – stwierdziła Carla.

– Wiem, co mnie z nią łączy. Nie chcemy, by nasze skrzydła stały się zwykłymi kończynami. Może pewnego dnia... ale tobie zostawiam decyzję w tej sprawie. Jeśli zechcesz to dla mnie zrobić.

Przełknęła łzy i skinęła głową. Nie mógł tego zobaczyć, ale czuł, co zrobiła.

– Carlo, dlaczego on mówi szczerze?

– Każde jego słowo jest szczerze. Wyjaśnię ci to, gdy dotrzemy do domu. Gdy będziesz trochę starsza.

Estelle zamyśliła się na chwilę.

– Czy to znaczy, że dom jest bardzo, bardzo daleko stąd?

Grymonde roześmiał się. Carla także. Ból kazał im szybko przestać.

– Jest daleko, ale nie aż tak strasznie daleko – wyjaśniła. – I bardzo się cieszę, że pojedziesz tam z nami.

– Tanner powiedział, że mogę tam zanieść Amparo.

– Już to zrobiłaś – odrzekła Carla. – I poniesiesz ją jeszcze dalej.

– W sumie to właśnie strzyżyk nas ocalił, jeśli się nad tym dobrze zastanowić – rzekł Grymonde.

Carla pomyślała, że ma rację, i to na wiele sposobów. Czy Infant zabiłby ją, gdyby nie była w ciąży? Czy to właśnie próbował powiedzieć? Wolą nie pytać.

– Nie strzyżyk, tylko słowik – poprawiła go Estelle.

– W życiu nie widziałem słowika, ty zresztą też nie. Za to umiem rozpoznać strzyżyka, kiedy go zobaczę. – Grymonde zaśmiał się chrapliwie. – A ty umiesz?

– Nie – odrzekła Estelle. – Ja za to mogę zobaczyć Amparo, a ty nie.

– Otóż to, mój skarbie. Właśnie dlatego oczami umysłu widzę strzyżyka. I dopóki strzyżyk żyje, wygrywamy.

Pascale wychynęła z ciemności.

– Milicjanci przeszli między domami. Pójdziemy ukosem przez targ.

Carla spojrzała niespokojnie na rozległą brukowaną połąć. Żadnej osłony, pomyślała.

– Tędy będzie krócej – stwierdziła Pascale. – Gdy dotrzemy do tej latarni obok stajni, będziemy prawie na miejscu. – Wskazała kierunek Hugonowi, a ten najwyraźniej uznał, że to niezły pomysł.

Estelle pokierowała Grymonde'em tak, by mógł podążyć za chłopakiem. Wkroczyli na kamienny plac.

Pascale biegła obok, rozglądając się na wszystkie strony jak dzika kocica: absolutnie wystraszona, absolutnie żywa i absolutnie zdeterminowana, by za wszelką cenę przedrzeć się przez ten mrok.

– A co się tyczy kart – odezwał się nagle Grymonde – to moja matka uważała, że zagładanie w cudze rozdanie przynosi pecha, bo człowiek nie wie, na co tak naprawdę patrzy, i dlatego jest w stanie odczytać jedynie własną zagładę. I miała słuszość. Nie powiem jednak, że spotkał mnie surowy sąd, zasłużyłem bowiem na gorszy. – Uśmiechnął się do Carli, odsłaniając zęby. – W gruncie rzeczy dostałem łagodny wyrok.

– Czyż król krainy szczęśliwości mógł liczyć na coś innego?

– Były król byłej krainy, a jednak...

Grymonde kręcił głową tak, jakby porównywał ze sobą dwie serie obrazów wiszących w galerii jego umysłu. Carla zastanawiała się, czy jego wiedza o sobie samym nie jest odbiciem wiedzy Alice o świecie – czy to dlatego ich drogi jakoś nigdy się nie krzyżowały? Grymonde nigdy nie słuchał matki. Być może był jedyną istotą na całej ziemi, którą po prostu znał lepiej niż ona. A znając siebie, próbował ochronić Alice przed sobą. Grymonde uniósł to, co zostało z jego brwi.

– Nie śmierci sobie życzyłem. Nikogo nie zabiłem i raczej nie zabiję.

– Zabiłeś Rody’ego – przypomniała Estelle.

– Ale ty pierwsza do niego strzeliłaś, więc tego nie biorę w rachubę.

– Strzeliłam też do *bravo*, pamiętasz? Ale Tannzer go zabił, więc komu go zaliczymy?

– Tannzer nie wzięłyby tego na siebie. – Grymonde pociągnął nosem. – No, ale on może sobie na to pozwolić.

– Ale Papina zabiłam całkiem sama. I Irène.

Pascale wyglądała na podobnie zdumioną jak Carla, choć może nie tak przerażoną.

– Zabiłaś Irène? – upewniła się.

– A kto to był? – spytał Grymonde.

– Strzeliłam jej w serce – odpowiedziała Estelle. – Możecie spytać Tannzera.

Powiedział: to dobrze.

– Sądzę, że nic więcej nie musimy wiedzieć – podsumował Grymonde.

– Był jeszcze ten stwór spod wozu – przypomniała Pascale.

– Właśnie! Zapomniałam o Małym Christianie. Och, on naprawdę zasłużył.

– Oni wszyscy zasługują – odrzekła Pascale.

Carla wyczuła w tych słowach strach, który zapewne towarzyszył dziewczynie przez większość życia, a także okrucieństwo, które zajęło jego miejsce. Mattias przemienił te dzieci w zabójców. Widocznie miał ku temu mocne powody. Wcześniej przecież tak skutecznie strzegł Orlandu przed oddaniem się przemocy. Od paru godzin nie zastanawiała się nad tym, gdzie jest jej syn. Ale zanim zdążyła uczynić to teraz, Pascale puściła się biegiem przed siebie i zniknęła w ciemności.

– Stać, w imię króla!

Carla wyjrzała ponad ramieniem Grymonde’a. Od zachodu wkroczyli na plac targowy dwaj mężczyźni z mieczami w dłoniach. Jeden z nich niósł także pochodnię.

Ani Carla, ani Grymonde nie mogli spróbować ucieczki, bo w ten sposób sprowokowaliby atak. Czują, że jest tylko jedno wyjście: oddać się w ich ręce i sprawić, by stanęli razem na drodze Mattiasa.

– Grymonde, zatrzymaj się i nie odwracaj, dopóki nie dam ci znaku. – Mówiąc to, zacisnęła mocniej podudzie na jego ręce. Skinął głową. – Gdy dam znak po raz drugi, zawyjesz żałośnie.

– A co ze strzyżkiem? – spytał Infant.

– Twój głos nie może jej skrzywdzić. Panowie oficerowie! – zawołała. – Prędko, do mnie!

Milicjanci przyspieszyli, zaczęli biec. Niezły początek, pomyślała. Zwolnili, gdy znaleźli się całkiem blisko. Nie знаła ich, ale obaj nosili białe i czerwone wstążki, więc mogli należeć do oddziału, który zaatakował Kukanię.

– Jestem hrabina de la Penautier. Zaprowadźcie mnie natychmiast do Bernarda Garniera.

Poruszyła nogą. Grymonde odwrócił się wolno. Mężczyźni stanęli jak wryci.

– Jezu Chryste ukrzyżowany!

– To on. To Infant. Albo jego duch.

– A ta mała żebraczka? To też duch?

– Panowie, nie mamy wiele czasu. Może to i duch, ale wydaje się oswojony, dopóki mnie niesie. Obawiam się, że straci cierpliwość, gdy tylko stanę na ziemi.

Znowu zacisnęła podudzie na jego ręce, a wtedy Grymonde zawył tak przejmująco, że przez chwilę czuła, jakby jej serce miało się zatrzymać z rozpacz. Popatrzyła w dół. Amparo otworzyła oczy i spojrzała w rozgwieżdżone niebo, jakby szukała źródła tego osobliwego dźwięku; jakby był tak straszny i piękny zarazem, że mógł pochodzić jedynie od tych nieskończenie dalekich ognisk. Nie wyglądała na wystraszoną, a jedynie na zadziwioną.

Milicjanci cofnęli się nieco, a wtedy w kręgu światła pochodni pojawiła się Pascale. Stała za ich plecami. Jej działanie wydawało się pochopne i obudziło w Carli niepokój, ale nie mogła jej zatrzymać. Mogła co najwyżej sprawić, by ludzie Garniera skupili się na niej.

– Estelle, jeśli to ją macie na myśli, wygłaszając te obraźliwe słowa, jest moją córką, ale z przeprosinami możecie się wstrzymać. Jeżeli poczciwego kapitana Garniera nie ma w pobliżu, możecie nas odprowadzić do Notre-Dame.

Huk wystrzału sprawił, że Amparo zadrżała. Mężczyzna z pochodnią upadł jak mokra szmata, a z kuli ognia, która otoczyła jego potylicę, wystrzeliła czarna fontanna. Zanim jeszcze znieruchomiał na bruku, Pascale uskokczyła w tył i w bok. Drugi milicjant zareagował

przytomnie, na oślep tnąc mieczem z wielkim rozmachem, ale chybił co najmniej o krok. Pascale wróciła i trzymając oburącz pistolet Grymonde'a, strzeliła w pierś milicjanta, poniżej żeber, z tak małej odległości, że gazy wylotowe napełniły jego koszulę, a języki płomieni buchnęły między splotami materiału. Uczyniwszy to, natychmiast odskoczyła, zwinna jak młoda harpia ćwicząca się w morderczych sztuczkach. Ofiara zatoczyła się tymczasem i padła na ziemię, klnąc ostatkiem tchu.

Carla rozejrzała się po placu, ale nikogo więcej nie dostrzegła. Pascale uczyniła to samo, a ich oczy spotkały się na krótką chwilę w blasku pochodni leżącej na kamieniach.

Pascale czerpała siłę z tego, co było mrokiem w duszy Mattiasa. Carla czerpała z jego światła.

Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko, bo – jak to dziewczyna – chciała wzbudzać sympatię.

Amparo rozplakała się. Carla pochyliła głowę, próbując ją uspokoić.

Pascale podbiegła, dysząc radośnie, i podała Carli dymiący pistolet.

– Dziękuję, madame. Twoja strategia była mądrzejsza od mojej i bardzo ułatwiła mi zadanie. Teraz jednak muszę mieć wolne ręce. Poniesiesz broń?

– Ja poniosę – wtrąciła Estelle. – To Peter Peck, zresztą mój. Tannzer tak powiedział.

Pascale zmyślnie ukryła urazę pod trzepotem rzęs i podała jej pistolet.

– Dziewczęta biją wrogów, podczas gdy ja robię miny jak błazen – rzekł Grymonde.

– Czy i to zapisane było w kartach?

– Alice pokładała wielkie nadzieje w Szaleńcu – odparła Carla.

– Bardzo wam obu dziękuję. – Infant nawet nie próbował ukrywać goryczy.

– Ruszaj, Grymonde – powiedziała Pascale. – Hugon czeka.

– Tylko nie dawajcie mu broni, bo jeśli i on...

– Idź – rozkazała Estelle.

Kopnęła Grymonde'a piętą w pachę i położyła na jego głowie ciężki pistolet. Zachichotał do własnych myśli i ruszył bez słowa. Amparo ucichła tymczasem. Carla znowu wyjrzała ponad ramieniem swego tragarza, by zobaczyć, co robi Pascale.

Dziewczyna podniosła z ziemi miecz. Milicjant, który przyniósł pochodnię, klęczał skulony. Z jego głowy wciąż bił dym, jakby nie było w niej niczego innego. Pascale wbiła ostrze w jego korpus i dopchnęła ciężarem ciała, by sterczało pionowo. Zadowolona z efektu, ominęła pochodnię i podeszła do drugiego.

Chciała, by odnaleziono ich w takim stanie: przeбитych własnymi klingami. Robiła dokładnie to, co jej zdaniem uczyniłby Mattias.

Carla była poruszona. Niemal czytała w myślach Pascale, która sięgnęła właśnie po drugi miecz i oburącz trzymając rękojeść, stanęła nad jego właścicielem, z wysiłkiem unoszącym się na łokciach. Mężczyzna odwrócił głowę, by na nią spojrzeć. Dwie postacie zastygły w migotliwym świetle, odbitym od setek brukowców. Przypominały Carli aktorów odtwarzających jakąś prastarą biblijną scenę. Pascale uniosła wysoko broń i przez chwilę wydawało się, że pozbawi swą ofiarę głowy, ale cofnęła się o krok i przecięła jednym ruchem oba ścięgna Achillesa. Ranny wierzgnął nogami i zaległ płasko na kamieniach, wrzeszcząc dziko. Znowu uniosła miecz, tym razem jak sztylet. Stanęła na plecach leżącego.

Carla odwróciła głowę. Kolejny krzyk, jeszcze dzikszy od poprzedniego. Nie mogła tego znieść. Nie współczuła milicjantowi, ale z jego krzyku wyczytała, że Pascale i Mattiasa łączy nieznaną jej więź.

Minąwszy cuchnącą stajnię, podążyli w stronę zaułka śladem Myszy i Hugona.

– Hugonie, zaczekaj! – zawołała Pascale, nadbiegając z pochodnią. – Ja pójdę pierwsza. – Wśliznęła się w wąski przesmyk między budynkami.

Carla wiedziała od razu, że nie zmieści się tam niesiona przez Infanta.

– Grymonde, dalej muszę iść sama. Zaułek jest zbyt wąski. Poza tym czuję już zapach rzeki. Jesteśmy przy nabrzeżach. Udało ci się.

Grymonde postawił ją ostrożnie. Nogi nie zadrżały pod nią, gdy stanęła o własnych siłach. Była wcześniej tak bardzo wyczerpana, że odpoczynek na rękach olbrzyma przywrócił jej siły w zupełnie niespodziewanym stopniu. Grymonde zacisnął zęby, uniósł ręce i zdjął z ramion Estelle, która jak zawsze uśmiechnęła się radośnie, frunąc wysoko nad jego głową. Zastygł w połowie ruchu, jakby obawiał się, że ją upuści, a potem delikatnie postawił córkę na ziemi. Pochylony wsparł dłoń na kolanach, jakby dysząc, choć wcale nie brakowało mu tchu. Jego barki zeszywniały, a potem zadrżały. Potrząsnął głową i warknął bezsilnie.

– Idźcie już.

– Nie możemy – odpowiedziała Carla.

– Przecież nie widzisz – wyjaśniła Estelle. – Nie możemy cię zostawić.

– Weź mnie za rękę – zaproponowała Carla. – Przejdziemy bokiem.

Grymonde wyprostował się, wolno przesuwał dłoń po udach.

Carla przytuliła Amparo do serca i włożyła prawą dłoń w lewą rękę Infanta. Wielkie palce zacisnęły się mocniej, niż sobie tego życzył, ale nie z całej siły. Nie walczył ani ze ślepotą, ani z bólem. Walczył o to, by pozostać człowiekiem, którym chciał być. Carla obserwowała go z bezbrzeżnym żalem. Toczył tę bitwę przez całe życie i zwyciężył tysiąc razy, lecz teraz, gdy ścisnął jej dłoń, zobaczyła w nim nie tego, kim był, ale tego, kim mógł

się stać. Grymonde odwrócił ku niej twarz. Wilgotne jamy w jego twarzy zdawały się czytać w jej duszy lepiej niż najbystrzejsze oczy. On także dostrzegał w sobie tego drugiego, mówiły jamy, lecz wizja ta nadeszła zbyt późno.

– Wisielec uśmiecha się, ponieważ nie wie, że zawisł. A tym bardziej, że sam był katem. Szaleniec zaś uśmiecha się, ponieważ wie.

– Estelle, podaj Grymonde'owi pistolet i chwyć go za mały palec.

Carla poprowadziła ich w głąb zaułka, w ślad za Myszami i latarniami. Piers i plecy – a gdzieś tam nawet podbródek i tył głowy – Grymonde'a szorowały o ściany. Hugon był tak osłabiony ciężarem, który przyszło mu dźwigać, że raz po raz obijał się o mury, ale uparcie niósł futerał przed sobą. Dogoniwszy go, Carla przekonała się, że jego stękanie, które wcześniej wzięła za przejaw determinacji, było w istocie niekończącą się serią nader pomysłowych przekleństw. Zastanawiała się, gdzie jest Mattias. Miała nadzieję, że dogoni ich tutaj; stracili wszak na placu trochę czasu. Skoro oboje mieli umrzeć, chciała stać u jego boku w ostatniej godzinie. Skarciła się w duchu za te myśli.

– Grymonde, pociesz mnie jakoś. Posłuchajmy znowu twoich upiornych figur retorycznych.

– Posłuchamy, jak grają moje jelita, jeśli ten zaułek zaraz się nie skończy.

U wylotu przesmyku, przed Hugonem i Myszami, zajaśniała pochodnia Pascale.

– Zawracajcie. Oni nadpływają łodziami.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Konie i chłopcy

Tannhäuser wykonał gest w lewo i wszystkie cztery groty piki skierowały się w tę stronę. Gdyby milicjanci czytali ruchy jego ciała, a nie proste gesty, wiedzieliby, że zaatakuje od prawej.

Halabarda, partyzana, szponton. Prawdziwe piękno i groza broni drzewcowej drzemią w jej masie. Im cięższa jednak, tym trudniej się nią dobrze posługiwać. Niełatwo się obronić przed diabelską siłą rozpędzonego ostrza; to samo prawo powoduje jednak, że trudno zmienić jego kierunek, a przy niewłaściwym uchwycie, niedopracowanej postawie walczącego jest to praktycznie niemożliwe. Nie w tych krótkich chwilach, które decydują o życiu i śmierci. Praca nóg, pozycja, płynność ruchów, naturalna geometria, ruchy okrężne i liniowe. Walka szpontonem powinna być jak muzyka. Większość posługujących się tą bronią przypominała jednak osły, którym kazano śpiewać.

Jednym susem znalazł się tak blisko, że ostrza osadzone na długich drzewcach stały się bezużyteczne. Nisko pochylony, ciał, pchnął i pociągnął, mierząc w gołenię dwóch Pielgrzymów zamykających szyk – to były trzy dobre ciosy. Szeroki ruch obrotowy sprawił, że poczuł przy boku żelazny kolec na dolnym końcu swego szpontonu. Błyskawicznie zmienił uchwyt: złapał broń od dołu i pchnął najbliższego przeciwnika, skaczącego bezradnie na jednej zdrowej nodze. Pielgrzym upadł na podobnie okaleczonego sąsiada, a wtedy Tannhäuser dźgnął stojącego za nim prosto w tchawicę, niezbyt głęboko, za to z obrotem i szarpnięciem kolca. Szyja milicjanta eksplodowała jak zgniły owoc, a pochodnia z jego ręki pofrunęła między towarzyszy, gdy brał ostatni, gwałtowny oddech, z takim bólem, jakby wciągał do płuc truciznę.

Tannhäuser zrobił unik, widząc miecz sięgający ku niemu z kłębowiska ciał, a potem obiegł oddziałek, by uderzyć z flanki na drugi szereg. Znowu uchwyt kosiarza, wysoko do lewej, cięcie i pchnięcie; pierś, ramię, bark, biodro; kolejny obieg. Pielgrzym z tylnego szeregu wzniosł się w powietrze: ostrze szpontonu wbiło się tak głęboko pod jego żuchwę, że Tannhäuser poczuł, jak pęka podstawa czaszki. Strumień krwi chlusnął nosem i między zębami. Zatrzymanie, krok w tył, obrót i szarpnięcie.

Sąsiad z szeregu dostał w bok; ostrze przecięło ciało aż do kręgosłupa i natychmiast wróciło, by w porę zastawić spadającą klingę miecza. Ostatni z tyłu formacji nie zdołał powtórzyć ataku: pchnięcie, wycofanie, z biodra, po okręgu – potężny zamach sprawił, że

szponton wbił się w jego twarz, rozcinając czaszkę od skroni po nozdrze. Tannhäuser zakręcił drzewcem tak, jakby nawijał łańcuch studziennego żurawia, i poczuł, że ostrze otwiera twarz przeciwnika jak mały, oddzielając górną szczękę od reszty głowy. Wyszarpnął broń i wycofał się, ale tylko po to, by z rozmachem wbić grot poniżej mostka ofiary i pchnąć ją pod nogi tłoczących się towarzyszy.

Tannhäuser odetchnął po raz pierwszy.

Grupa ludzi wymagała szkolenia, by stać się sprawnym oddziałem, a gdy już szła w bój, potrzebowała dowódcy, by stawić czoło podobnym formacjom. Ci tutaj byli bezbronni jak dzieci. Podczas gdy kulawi kuśtykali, wyjąc i ślizgając się we krwi, a na wpół odgłowieni bryzgali posoką i strachem, reszta wykrzykiwała sprzeczne rozkazy, próbując nie zrobić sobie krzywdy własną bronią. Byli młodzi i wojowniczy, ale nie mieli dość doświadczenia, by wiedzieć, że na jednym oddechu Tannhäusera rozstrzygnął się ich los – byli zgubieni.

Staął w odwrotnej pozycji, jakby był leworęczny, żeby lepiej wykorzystać swoją pozycję i bliskość muru. Rąbał sobie drogę przez ciała wrogów z taką pogardą, jakby szuflował gównem. Ani na chwilę nie stracił jednak koncentracji: oznaczał kolejne cele i wczuwał się w ruch ostrza, zauważając każde odchylenie i zapamiętując przyczyny oraz skutki, ponieważ kolejny błąd mógł go słono kosztować. Pchnięcie od dołu, poniżej żeber. Kolejne nieco wyżej, ponad lewym biodrem Pielgrzyma czającego się blisko ściany – padł z rozciętym rdzeniem kręgowym i rozprutą aortą. Odskok. Znowu w górę, tym razem cięcie przez boczną ścianę brzucha kolejnego przeciwnika, który właśnie się obracał. Półprzysiad i szarpnięcie z półobrotu – mięśnie i skóra rozeszły się jak stare płótno, a ruchliwe trzewia zarzuciły macki na skrzydełka szpontonu. I raz jeszcze od dołu, poniżej unoszących się i opadających w panice żeber. Od tyłu, przez nerki i głębiej, do flaków. Grot wystrzelił przez powłokę brzucha. Szarpnięcie w tył, obrót, znowu pchnięcie i cięcie. Ziejąca czerwienią dziura w plecach.

Tannhäuser odetchnął po raz drugi. Powietrze cuchnęło tym, co wydostało się na świat z ciał umierających i wybebeszonych. Białe i czerwone wstążki komponowały się z krwawą masą ciał. Byłby zdziwiony, gdyby całe zajście trwało dłużej niż pół minuty. Dwóch jeszcze trzymało się na nogach. Trzeci oparł się o ścianę, rycząc z bólu przy każdej próbie zaczerpnięcia powietrza przez rozprutą tchawicę.

Ten, który stał dalej, jeszcze cały i zdrowy, rzucił się do ucieczki. Tannhäuser zwrócił się więc ku bliższemu, który dzierżył miecz i pochodnię.

– Rzuć broń! – ryknął.

Młodzik cofnął się odruchowo i wykonał rozkaz. Tannhäuser cofnął się o pół kroku, pochwycił szponton jak oszczep i spojrział za uciekającym. Rzucił, mierząc w miejsce o kilka kroków przed Pielgrzymem. Szponton nie był bronią przeznaczoną do miotania, ale i odległość nie była duża – udało się. Tor lotu drzewca z ciężkim grotem i kurs uciekającego przecięły się we właściwym momencie. Metal rozciął lewą łopatkę jak pergamin i zatrzymał się dopiero wtedy, gdy skrzydełka wbiły się głęboko w ciało. Pielgrzym zanurkował tuż obok wozu, w kałuży krwi Clémentine i chłopców.

Tannhäuser wyjął sztylet z lazurytową rękojeścią, podszedł do stojącego przed nim bezbronnego młodzika i z rozmachem wbił ostrze w nasadę jego szyi. Schylił się po jego miecz. Broń była przeciętnej jakości, pokryta zakrzepłą krwią – zapewne pamiątką morderstw, nie męskiej walki. Podszedł do pierwszego z kulawych i uciął mu głowę, a raczej uciąłby, gdyby klinga była lepiej naostrzona. Drugim uderzeniem zerwał resztki włókien i uniósł głowę – mogła się przydać, by zrobić odpowiednie wrażenie, we właściwym momencie rzucona między tych, którzy czaili się w głębi ulicy. Drugi z jednonogich skulił się w krwawym błocie i zasłonił głowę ramionami. Tannhäuser z rozmachem wbił miecz pod jego pachę i tak go pozostawił.

Obie pochodnie leżące na ziemi były świeższe od tych, które miał przy wozie. Zabrał jedną z nich. Rannych z rozprutym gardłem i brzuchem zostawił, by modlili się o szybką śmierć.

Sięgnął do wozu po swój miecz i schował go do pochwy. Włożył do uchwytu świeżą pochodnię, a dopalającą się wetknął między szprychy. Przyklęknął obok Grégoire'a i schował do pochwy sztylet, którym posłużył się Juste. Młody Polak zdążył już owinąć udo Grégoire'a kawałkiem skórzanej uprzęży, a teraz starał się zawiązać węzeł, posługując się jedną ręką oraz zębami. Tannhäuser przejął zadanie. Krew wypływała falami. Tętnica, pomyślał, zaciągając pętlę.

– Dobra robota, Juste. A teraz zatkaj własne rany tym smarem do osi.

Tannhäuser przyjrzał się nodze Grégoire'a. Kula trafiła z boku poniżej kolana i rozniosła grubszą z kości jak laskę kredy. Rana wylotowa ziała w zagłębieniu pod kolanem i właśnie tam krwawienie było najsilniejsze.

Mattias poczuł, że fala mdłości mija, jakby jego żołądek zrozumiał wcześniej niż głowa, że trzeba zrobić to, co konieczne. Zdumiewające, pomyślał, ile dziwnych pieśni wyśpiewuje ta rzeź. Wiedział, że starczy mu sił, jeśli tylko nie dopuści tej jednej pieśni do swego serca. Byle nie patrzeć mu w oczy, pomyślał, wstając.

Pociągnął za drzewce szpontonu, white głęboko w ciało Pielgrzyma. Przyciągnął go trochę bliżej i zaparł się piętą o jego plecy. Obszedł wóz, oparł broń o burtę i ściągnął na ziemię materac. Podniósł nieprzytomnego chłopca i ułożył go na twardych deskach wozu, ze strzaskaną nogą tuż przy krawędzi skrzyni. Teraz dopiero odważył się spojrzeć na jego twarz.

Grégoire oddychał głośno. Tannhäuser położył dłoń na jego czole.

Było chłodne i lepkie. Odgarnął włosy.

Spoglądając na paskudne, rozchylone usta dzieciaka, poczuł, że coś ściska go za gardło. Tracił panowanie nad sobą.

Może poluzować pętlę? Niech zaśnie w pokoju.

– Juste, bracie, pomóż mi. Czy mamy pozwolić mu umrzeć?

– Co?! Grégoire’owi? Jak moglibyśmy pozwolić mu umrzeć?

– Słusznie mówisz. Chodź tutaj. Przytrzymaj tę nogę, wysoko i mocno. Stój plecami do mnie.

Uniósł lewą nogę Grégoire’a i podał Juste’owi. Kula z muszkietu z trzaskiem przebiła burtę wozu. Tannhäuser pochylił się nad halabardami i kciukiem zbadał boczne ostrze każdej z nich, ukształtowane na podobieństwo topora. Wybrał najostrzejsze. Gdy chwycił drzewce, nudności wróciły, lecz tym razem już się nie powstrzymywał: zwymiotował w kałużę krwi. Po chwili splunął sążnięcie i otarł usta owłosionym przedramieniem.

Wyprostował się, odstąpił o krok, mocno zacisnął dłonie na drzewcu i wymierzył kąt.

Zebrał wszystkie siły ciała i ducha.

A potem odrąbał Grégoire’owi nogę.

Chłopak usiadł gwałtownie i wrzasnął wniebogłosy, tuż nad uchem Juste’a.

Tannhäuser spojrział mu w oczy. Tak jak się spodziewał, zobaczył w nich nie ludzki ból. Ale prawdziwe spustoszenie w jego sercu poczyniło to nieskończone zdumienie, które także w nich dostrzegł, owo niewypowiedziane: *Ty?!*

Odwrócił głowę.

Mierzył tak, by wraz z nogą rozplatać deskę, na której spoczywała – i tak się stało. Teraz wyszarpnął z niej ostrze topora i odstawił halabardę. Grégoire tymczasem przytulił się do Juste’a, nieświadom, że i on jest ciężko ranny. Juste zaś wypuścił jego zdrową nogę i objął sprawnym ramieniem. Zapłakali razem. Kolejna kula przemknęła ze świstem obok głowy Tannhäusera. Sięgnął za pas po połówkę bryłki opium, a potem schylił się po bukłak z winem i zębami wyciągnął korek. Wsunął opium w zdeformowane usta Grégoire’a i zatkał mu nos

palcami, a następnie wlał mu do gardła solidny łyk wina. Odłożywszy bukłak, na wszelki wypadek zasłonił dłonią usta rannego.

– Przełknij, chłopcze. Przełknij. Jesteśmy z tobą. Potrzebujemy cię.

Grégoire przełknął i zaraz zakaszłał, ale nie zwrócił bryłki. Tannhäuser zatkał bukłak i położył rękę na głowie Juste'a. Chłopak wciąż szlochał.

– Ciebie też potrzebujemy, Juste. Trzymaj go mocno.

Tannhäuser chwycił amputowaną nogę za kostkę i odrzucił ją jak najdalej, po czym sięgnął po pochodnię sterczącą spomiędzy szprych. Za kozłem dostrzegł swoją koszulę. Owinął ją dwukrotnie wokół lewej dłoni, stanął plecami do Grégoire'a i uniósł nieco kikut. Obie kości zostały ucięte na gładko, nie zostały żadne odłamki. Końcówka mięśnia łydki drgała spazmatycznie pod skórą; widział też końcówki naczyń, które musiał przypalić. Z całej siły ścisnął kolano chłopaka i przyłożył pochodnię do kikuta.

Wiedział, że musi odmierzyć czas. Zaczął modlitwę.

Nie słyszał własnych myśli przez krzyki Grégoire'a.

– Zdrowaś Mario, łaskiś pełna, Pan z Tobą...

Grégoire rzucał się ze wszystkich sił, a Tannhäuser modlił się i o to, by chłopak jak najszybciej stracił przytomność.

– Błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławion owoc żywota Twojego, Jezus.

Przetoczył płonąca główkę pochodni w nowe, surowe jeszcze miejsce.

– Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi...

Docisnął ogień do obkurczonych już tkanek, by dobrze zamknąć naczynia.

– ...teraz i w godzinę śmierci naszej.

Poczuł, że i jego ręka zaczyna się palić przez koszulę.

– Amen.

Grégoire zwiotczał nagle w uścisku Juste'a.

Tannhäuser oddalił pochodnię i teraz dopiero w jego nozdrza uderzyła woń spalonego mięsa. Z kikuta unosił się dym; kropla smoły zapaliła się na nim i zaraz zgasła. Dymiła też osmalona koszula na jego dłoni. Tannhäuser rzucił pochodnię i rozwiązał skórzany pas. W ranie pojawiła się odrobina płynu i zaraz zgęstniała. Spod spalonej skóry i mięśni sterczał kawałek chudej kości. Całość wyglądała makabrycznie, ale zabieg dobiegł już końca. Tannhäuser owinął kikut swoją koszulą i zawiązał rękawy wokół uda. Z północy dobiegł huk wystrzału z pistoletu.

I jeszcze jeden.

Pascale.

Amparo. Estelle.

Carla.

Cokolwiek się tam wydarzyło, gdyby teraz pobiegł, i tak nie zdążyłby na czas.

Usłyszał tętent kopyt cwałującego konia: od strony skrzyżowania ulic pędził ku niemu jeździec. Tannhäuser sięgnął po halabardę i wyszedł mu na spotkanie.

Wiedział, że koń nieszkolony do wojny znarowi się, czując przed sobą niewyczuwalną dla człowieka woń śmierci. Większość wierzchowców czuła strach także przed ostrymi przedmiotami, takimi jak grot piki. Tannhäuser stanął więc obok zabitych i osadził halabardę w brudzie przy jednym z nich, pozbawionym głowy, głowę zaś chwycił za zakrwawione loki. Pochylił broń w stronę nadbiegającego konia i poruszył nią tak, by wierzchowiec dostrzegł odbite w ostrzu rozbłyski światła z leżącej opodal pochodni. W najgorszym razie nieszczęsne zwierzę mogło nadzieć się na halabardę w pełnym pędzie. W najlepszym – była szansa na zdobycie konia, którego potrzebował.

Jeźdźcem nie okazał się Garnier. Postać była jakby drobniejsza. Chroniły ją napierśnik i hełm. Miecz nie spoczywał w dłoni zbyt pewnie. To nie był człowiek, który spędził życie w siodle, a tym bardziej człowiek doświadczony w kawaleryjskich szarżach. Tannhäuser spróbował wydać z siebie głos, którym tak zaskoczył go Grégoire, jednocześnie ciskając na ulicę uciętą głowę, jakby rzucał toporem.

Okrzyk, woń krwi, widok trupów, upiornego pocisku oraz ostrza halabardy – to wszystko sprawiło, że koń jak oszalały próbował rzucić się w boczną uliczkę. Kopyta pośliznęły się w błocie, daremnie szukając nowego rytmu, a ucięta głowa z rozmachem uderzyła w pancerz jeźdźcy. Tannhäuser porzucił halabardę i pobiegł.

Jeździec odchylił się odruchowo, ale siła odśrodkowa była niebezpiecznie duża. Być może utrzymałby się w siodle, gdyby nie to, że nie nawykł do ciężaru ekwipunku. Wylądował na ziemi przy wtórze jęków Pielgrzyma z rozprutym brzuchem. Tannhäuser przeskoczył nad jego nogami, skupiony wyłącznie na koniu, ale przerażone zwierzę było zbyt szybkie: zobaczył tylko jego nastroszony ogon, oddalający się w głąb bocznej uliczki. Odwrócił się i spojrzał na oddział piechurów, który podążał za dowódcą. Jeden z Pielgrzymów wyszedł przed szereg i, podobnie jak jego towarzysze, musiał teraz rozstrzygnąć, czy warto zginąć za jeźdźcą, który spadł z konia.

Tannhäuser sięgnął po kuszę, którą zostawił za węglem.

Strzelił w brzuch pierwszego Pielgrzyma, by choć trochę ułatwić pozostałym podjęcie decyzji.

Oddział zatrzymał się, a Tannhäuser odrzucił kuszę. Zdjął z pleców krótki łuk i dołożył do lewej ręki garść zakrwawionych strzał o szerokich grotach. Założył pierwszą na cięciwę i strzelił. Dobrze pasowały do tego naciągu. Założył, naciągnął, strzelił. Oszczędzał tych z pochodniami, bo światło było mu potrzebne. Celował w krocze, ale pierwsze dwie strzały pofrunęły nieco zbyt wysoko. Przy trzeciej wziął stosowną poprawkę. Teraz w tłumie znalazł się bohater, który skoczył naprzód. Jego przykład natchnął jeszcze jednego do działania. Pierwszy dostał strzałę w pierś; zdążył zrobić jeszcze trzy kroki, zanim padł. Drugi jakby się zawahał, po trosze dlatego, że się bał, a po trosze dlatego, że został sam. Obejrzał się przez ramię, by utwierdzić się w przekonaniu, że towarzysze zachowali się haniebnie – i na tym skończył, gdy stał wystrzelona z łuku Tannhäusera przebiła jego okrężnicę.

Pora pokazać im, jak atakują janczarzy, pomyślał.

Wyjął z kołczanu ostatnią garść strzał.

Zakładając pierwszą, obejrzał się wstecz i zobaczył, że jeździec klęczy pod ścianą budynku i próbuje wstać, podpierając się rękami. Z bardzo krótkiego dystansu posłał strzałę prosto w jego nieopancerzoną dupę i usłyszał, jak grot, który przeszył ciało na wylot, wbija się głęboko w belkę. Założył kolejną strzałę i ruszył w stronę nerwowo kołyszających się pochodni.

Naciągał, wypuszczał, zabijał i zakładał nową strzałę. Ci z pierwszego szeregu zaczęli wrzeszczeć na pozostałych. W wąskiej ulicy zapanował kompletny chaos. Kolejna strzała wbiła się w czyjeś plecy. Założył następną, nie zatrzymując się. Pochodnie zaczęły gasnąć jedna po drugiej, gdy najbystrzejsi z Pielgrzymów Świętego Jakuba dostrzegli zalety takiej strategii. Wstążki, którymi się obwiązali, też były cenną wskazówką: ułatwiały celowanie na wysokość piersi. Szyk przestał istnieć; milicjanci rzucili się do panicznej ucieczki, odsłaniając uzbrojonego w muszkiet strzelca, który właśnie celował. Tannhäuser był jednak szybszy: naciągnął cięciwę i posłał ku niemu ostatnią strzałę, mierząc nieco powyżej lufy. Widelec i muszkiet z klekotem upadły na ziemię, zanim palec dotknął spustu.

Broń z zamkiem lontowym mogła mu się przydać: dobył miecza i puścił się biegiem. Chwilę później wypatrzył kolejnego muszkietera, także opuszczonego przez towarzyszy i skupionego na celowaniu. Nie zatrzymał się jednak; gnał dalej, nie spuszczając z oka czerwonego punkciku lontu. Przeciął cięciwę i wyrzucił łuk. Upuścił na ziemię kołczan. Płomyk nagle zniknął, a wtedy Tannhäuser zamarkował unik w lewo i natychmiast rzucił się w prawo. Lufa drgnęła w ślad za nim, ale w chwili, gdy nastąpił zapłon, celowała w lewo. Poczłł gorący obłok gazów wylotowych. Jeszcze dwa susy. Powalił strzelca jednym szerokim cięciem przez brzuch.

Postawił muszkiet na kolbie i urwał kurek, podważając go zastawą miecza. Wrócił, by sięgnąć po drugi, gotowy do strzału, a potem pobiegł tam, skąd przyszedł, przez zwały trupów i rannych oraz porzuconych pochodni. Zatrzymał się dopiero przy jeźdźcu przybitym do ściany domu. Krew ściekała po jego udach, tworząc kałużę wokół kolan. Teraz dopiero Tannhäuser zobaczył jego twarz. To nie był Dominic. Trącił strzałę lufą muszkietu, wprawiając ją w wibrację. Jeździec zaskomlał, kurczowo wpijając palce w nierówności ściany.

– Gdzie są Bernard Garnier i Dominic le Tellier?

– Przy moście Młynarzy. Miałeś się tam zjawić.

– Ty pewnie jesteś Crucé.

Mężczyzna poruszył się nieznacznie, mając nadzieję, że znajdzie pozycję, w której ból będzie bardziej znośny. Odszukał wzrokiem twarz Tannhäusera. Spoglądał nań błagalnie, wyraźnie przerażony, być może tym, że kawaler Zakonu Świętego Jana właśnie maczał czubek swego miecza w jego gównie.

– Tak. Jestem Crucé.

Tannhäuser przyłożył klingę do jego żuchwy.

– A zostaniesz zapamiętany jako ukrzyżowany przez dupę. – To rzekłszy, wepchnął czubek ostrza od dołu w nasadę języka Crucégo. Z początku czuł opór, ale zaraz klinga znalazła się w ustach i dotknęła podniebienia. Crucé zakrztusił się krwią i przerażeniem. Tannhäuser wykonał mieczem trzy czwarte obrotu, a potem odszedł w stronę wozu, pozostawiając Pielgrzyma, by udusił się wolno z powodu opuchlizny oraz krwotoku.

Oparłszy muszkiet o burtę obok szpontonu, rzucił lont na wóz. Grégoire nadal był nieprzytomny. Tannhäuser obrócił Juste'a ku sobie i odchyliwszy koszulę, zbadał jego ranę. Smar zadziałał jak należy, krwawienie prawie ustało. Być może śmierć była chłopakowi pisana; być może nawet bardziej okrutna, ale na pewno nie teraz. Tymczasem wróg zdołał jedynie zadać mu ból i odebrać siłę. Mattias ułożył przedramię Juste'a na brzuchu i zapiął nad nim guzik koszuli.

– Zatem nie poddajemy się jeszcze – stwierdził chłopak. Ta myśl najwyraźniej oszołomiła go równie skutecznie jak upływ krwi oraz ból.

– Poddajemy? Ty i ja jesteśmy wyjęci spod prawa od samego ranka. – Uśmiechnął się szeroko, a Juste odpowiedział mu tym samym.

Mattias przykucnął przy łbie Clémentine i rozchylił jej pysk. Ani w nozdrzach, ani na zębach nie zauważył śladów krwi czy piany. Płuca były więc całe; szkapa nie ucierpiała

tak jak Grymonde. Tyle że każdy ruch sprawiał jej ból. Tannhäuser spojrzął w jej ślepie, a ślepie zwróciły się ku niemu.

– Nie wierzę ci, staruszek. Na pewno uda ci się wstać. Zrób to dla nas. No, dalej.

Wcisnął dłoń pod jej wielką zuchwę, a drugą ręką chwycił za grzywę. Dźwignął masywną głowę, skręcając jednocześnie szyję, a w decydującym momencie warknął groźnie do jej ucha i pociągnął w górę, prostując nogi. Clémentine podkurczyła przednie kopyta i parsknęła, czując przenikliwy ból, a potem zerwała się z ziemi tak nagle, że omal nie wyrzuciła Tannhäusera w górę. Podziękował, klepiąc ją czule po pysku, a potem przesunął dłoń po jej brzuchu, wzdłuż poprzęgu. Była spięta do granic możliwości. Opuścił strzemiona.

– Juste, chwyć mnie jedną ręką za szyję. Włóż stopę.

Objął chłopaka wpół i dźwignął do strzemienia. Gdy druga ręka dosięgła łęku, popchnął go jeszcze. Juste usiadł w siodle, a Clémentine nawet nie drgnęła.

– Przesuń się do przodu. Jeszcze. O, tak. – Tannhäuser podał mu wodze i oparł o jego nogę szponton skierowany ostrzem w dół. – Grégoire pojedzie za tobą. Przytrzymasz jego ramiona wokół swego brzucha.

– Będzie znowu krzyczał?

– Jeśli tak, przynajmniej będziemy wiedzieli, że żyje.

Tannhäuser powiesił na łęku bukłak i znowu wrócił do wozu. Zarzucił na ramię kołczan Altana i założył na plecy jego rogowy łuk. Rozdmuchał lont w muszkiecie i wymierzył w ciemność nad skrzyżowaniem ulic. Nie był w stanie dostrzec żadnego celu, ale wiedział, że jeśli ktoś tam został, to przynajmniej naje się strachu. Między nim a skrzyżowaniem leżało na ziemi kilka porzuconych pochodni; ich blask wystarczył, by dostrzec ciemne pagórki trupów, którymi ulica była teraz usiana; przypominały odchody jakiejś gigantycznej bestii. Tannhäuser pomyślał nagle, że do tej pory udało mu się przeżyć bez jednego wystrzału. W zasadzie nie miał nic przeciwko broni palnej, ale odnosił wrażenie, że bez niej świat byłby odrobinę lepszym miejscem.

Wyrwał lont i rzucił go w kałużę krwi, a potem rozbił zamek muszkietu o stalową obręcz koła i cisnął resztki w błoto. Przeciął też cięciwę łuku Juste'a. Nie znalazł więcej powodów do zwłoki. Bał się krzyków Grégoire'a co najmniej tak samo jak Juste.

Chwycił stajennego pod pachy i posadził na krawędzi skrzyni. Głowa chłopaka opadła bezwładnie w przód. Tannhäuser podparł dłonią jego pierś i wtedy wyraźnie poczuł pod koszulą wystające żebra oraz serce trzepocące pod nimi jak ptak w klatce. Otoczył Grégoire'a ramieniem, a drugą rękę wsunął pod jego uda. Uniósł go ostrożnie i podszedłszy do Clémentine, podrzucił go, w locie rozszerzając jego uda, by wylądował okrakiem w siodle.

Gdy kikut uderzył o twardą skórę, Grégoire wzdrygnął się i krzyknął cicho. Nie miał siły, by okazać ból w bardziej gwałtowny sposób, a opium jeszcze nie zaczęło działać. Tannhäuser przysunął go jak najbliżej do Juste'a. Grégoire objął go kurczowo.

Mattias usiadł za nimi i chwycił wodze oraz szponton lewą ręką, starając się drzewcem blokować Juste'a, by nie spadł. Grégoire trzymał się mocno między nimi. Tannhäuser schylił się po pochodnię tkwiącą w uchwycie przy skrzyni wozu.

– Lucyfer! – zawołał nagle Juste. – Grégoire, patrz! On wrócił!

Łysy pies węszył dokoła, jakby chciał się upewnić, że w uliczce nareszcie zapanował spokój. Spojrzał z powątpiewaniem na klacz, jakby nie wierzył w jej siły, ale ostatecznie zajął swoje miejsce.

– Widzisz, Grégoire? – odezwał się Tannhäuser. – Niby takie nędzne stworzenie, a jakie wierne swoim twardym druhom.

– Lucyfer nie jest nędzny – zaprotestował Juste.

Tannhäuser spiął Clémentine piętami, ale nawet nie drgnęła.

– Clémentine! – zawołał Grégoire.

Ruszyła nierównym krokiem. Tannhäuser szturchnął ją w zad trzonkiem pochodni, by zachęcić ją choćby do klusa. Cierpiała, podobnie jak Grégoire. Chłopak z trudem powstrzymywał się od krzyku za każdym razem, gdy kopyta mocniej uderzały o ziemię, a Mattias czuł, jak kikut raz po raz uderza o jego kolano. Ale jechali.

Na targu minęli dwa trupy, przeszyte własnymi mieczami. Córka drukarza – a teraz już jego córka – raz jeszcze wybiła swe imię wielką czcionką w jego sercu. Latarnia, którą zostawił koło stajni, nadal się paliła, ale ominęli ją od zachodu, zmierzając na północ. Za placem targowym zaczynały się nabrzeża, przy których wyładowywano plony. Wreszcie dotarli nad rzekę i skręcili na wschód, podążając za krzywizną Sekwany. W oddali, na skraju place de Grève, zauważył grupki ludzi w blasku ognisk – to tam jeszcze niedawno widział wozy pełne trupów. Przyglądali się czemuś na tym brzegu rzeki, ale na pewno nie klaczy wiozącej trzech jeźdźców.

Tannhäuser cisnął pochodnię do warzywnika.

Gdy wyjechali za krzywizną zakola, ujrzał barki, ale na nabrzeżu nie było ani Carli, ani nikogo z jej świty. Zobaczył za to światła na wodzie. Wiosła uniosły się w górę i łódź dobiła do brzegu tuż za barką z węglem drzewnym. Przywiozła pięciu, może sześciu ludzi. Większa, rybacka łódź została nieco w tyle. Była niebezpiecznie przeciążona, ale do pokonania miała już niewielki dystans.

Tannhäuser zatrzymał Clémentine. Parsknęła radośnie, jakby ucieszyła ją ta decyzja. Zeskoczył na bruk i odprowadziwszy ją w cień najbliższego budynku, podał wodze Juste'owi. Nie przyszła mu do głowy żadna inteligentna rada, której mógłby mu udzielić, a z nieinteligentnej chłopcy nie mieliby pożytku.

Trzymając się strefy mroku, ruszył ogródkami w stronę barek.

Pascale na szczęście nie potrzebowała jego inteligentnych rad. Zaprowadziła Carlę i pozostałych do zajazdu Irène. Tak, to się mogło udać. Milicjanci nie mieli czego szukać na pustym nabrzeżu. Niech odejdą stąd jak najprędzej, niech znajdą diabły odchody na ulicach w pobliżu skrzyżowania, niech zastanowią się, co ich czeka. Łódź rybacka podobała się Tannhäuserowi coraz bardziej. Jeżeli na jej dnie leżał maszt z żaglem – a sądząc po sylwetce kadłuba, było to możliwe – mógł bezpiecznie pożeglować nią choćby i do Bordeaux.

Pragnął tego.

Zwolnił nieco. Pierwsza łódź już zacumowała i milicjanci zaczęli się gramolić na brzeg w chwili, gdy łódź rybacka dobijała do kei tuż za barką z węglem drzewnym. Dzielila ich od Tannhäusera odległość czterdziestu kroków i nic nie widzieli, oślepieni własnymi latarniami i zajęci rozmową, nieświadomi zagrożenia. Znieruchomiał. Niech uwiążą tę rybacką łódź. Niech się zbiorą na brzegu i odmaszerują. Czyjeś ręce przywiązały linę do żelaznego pierścienia. Trzeba tylko zabrać chłopców spod domu na nabrzeżu i ukryć. Odwrócił się.

Cichy syk. I szept, gdzieś blisko.

– Tannzer!

Rozejrzał się. Z mroku, ledwie o krok od niego, wyłoniła się olbrzymia głowa.

Ale Estelle nie siedziała na ramionach smoka.

Tannhäuser poczuł, że chwyciła go za rękę.

W dłoniach Grymonde'a dostrzegł noże.

– Mój Infancie. Powinieneś być zostać z Estelle w zajęzdzie.

– Być może, ale jak zauważyłeś, nie zostałem.

– Zaczekajcie tu i ukryjcie się dobrze.

– Nie widzę dla siebie roli w twoim planie. Mam własny.

– Estelle, powiesz mi, na czym polega plan Infanta?

– Wepchnę go prosto między żołnierzy, a potem ucieknę i schronię się u Irène.

– Planami kreślonymi pod wpływem opium najlepiej cieszyć się w samotności – odparł Tannhäuser. – Zaczekaj tu.

– Jeśli mam czekać, musisz mnie zabić.

– Mój Infancie, przecież nie masz oczu.

– A czy ten, który zmiażdżył Filistynów, potrzebował oczu?

Grymonde nie uważał za stosowne szeptać. Kilku milicjantów z nabrzeża spojrzęło w ich stronę. Latarnie zakołysały się. Błysnęły miecze. Ktoś krzyknął wyzywająco. Po chwili ruszyły się też światła na drugiej łodzi.

Tannhäuser potrzebował łodzi rybackiej.

Z pobliskiego domu wystrzelił płomień. To moja strzelba, pomyślał Tannhäuser. Jakaś postać oddzieliła się nagle od grupki milicjantów i runęła do rzeki.

– Estelle, uciekaj już teraz. Ja go popchnę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Coś na kształt wiedzy

Wiedziałam, że przyjdzie. – Pascale stała na czatach przy otwartym kuchennym oknie. – Milicjanci wysiedli już z pierwszej łodzi. Znalazł Grymonde’a.

Carla przyglądała się w milczeniu, jak dziewczyna dźwiga strzelbę Mattiasa i kładzie jej lufę na parapecie. Widziała nieraz, co taka broń może zrobić z ramieniem nieprzygotowanego strzelca; widziała też przypadkowo trafionych i nie chciała, by taki los spotkał Mattiasa. Nie zamierzała jednak podważać autorytetu Pascale – nie tylko dlatego, że wszelkie próby perswazji odrzuciłaby równie zdecydowanie, jak uczynił to Grymonde. Nie miała prawa spierać się z nimi. Sama podejmowała równie nierozważne decyzje. Szaleństwo, które ich łączyło, było być może siłą utrzymującą ich przy życiu. Szaleństwo oraz Mattias, który absolutnie nie uważał się za nierozważnego.

Zadaniem Carli było utrzymanie spokoju w oku cyklonu.

Grymonde miał rację: owym okiem była Amparo.

W kuchni panował mrok, jeśli nie liczyć smugi bardzo wątego światła wpadającej z salonu, gdzie zostawili pochodnię i latarnie, a także Hugona i Myszy. Carla obmacała zimny piec, przy którym stała, i znalazła konopną szmatę. Zwinęła ją w kłębek i zaniósła dziewczynie.

– Pascale? Podłóż to pod kolbę. A kiedy będziesz strzelać, bardzo mocno napnij ramię.

Pascale była przerażona, podobnie jak ona. Carla wiedziała, że nikt nie jest w stanie zbyt długo znosić tak wielkiego strachu, dlatego nauczyła się odsuwać go od siebie, zamykać go w najdalszej celi swego umysłu. Nigdy jednak nie widziała osoby tak zdolnej jak Pascale do przemiany przerażenia w radosne skupienie. Natura dała jej niczym niewyróżniające się oczy – wraz z przerwą między zębami to właśnie one nie pozwalały nazwać jej urodziwą – ale teraz, gdy cel działania odbijał się w nich tak wyraźnie, budziły w Carli lęk. Zauważyła to już wcześniej, gdy tylko tu weszły, a Pascale – z siłą, o którą trudno było ją podejrzewać – przeciągnęła zabitego *sergent* do drzwi piwnicy i zepchnęła go na dół, by zaraz uczynić to samo z martwą kobietą.

– Dziękuję, madame – powiedziała Pascale, przyjmując szmatę. – Strzelałaś kiedyś z tej strzelby?

– Nie, ale mam coś na kształt wiedzy na ten temat. Stoisz odrobinę zbyt prosto i zbyt wąsko rozstawiłaś nogi. Jeżeli cofniesz nieco prawą nogę i ugniesz kolano lewej, będziesz mogła uchylić się wraz z odrzutem, zamiast stawić mu sztywny opór, co mogłoby się skończyć urazem.

Pascale postąpiła zgodnie ze wskazówkami i skinęła głową.

– Niech linia stanie się okręgiem – powiedziała Carla. – Wtedy nie dasz się przewrócić.

Pascale spróbowała wykonać opisany ruch.

– Niech linia stanie się okręgiem – powtórzyła.

– Zacytowałam Mattiasa. Mówił też: „Ale musisz być szybka”.

– Jestem szybka.

Odwróciły się jednocześnie, gdy od strony nabrzeża dobiegły krzyki.

– Zauważyli ich – powiedziała Pascale. – Idź do salonu.

Carla już zaczęła się wycofywać, chcąc oszczędzić Amparo huk i dymu albo czegoś gorszego. Pascale pochyliła się, by wymierzyć.

– Celuj nisko – poradziła jej Carla.

– Taki mam zamiar: w jaja. Gdy będziesz wracać, z łaski swojej przynieś tu latarnie.

Carla zniknęła za drzwiami i oparła się plecami o ścianę salonu. Hugon przykucnął przy otwartym futerale z violą, jakby to była skrzynia pełna skarbów. W pewnym sensie tak właśnie było. Uniósł głowę, ani wystraszony, ani winny. Groteskowe wydarzenia, w które został wciągnięty, jakby nie robiły na nim wrażenia. Spokojnie opuścił wieko, zamknął mosiężne haczyki i sięgnął po paski.

– Wiem już, jak naciągasz struny – powiedział – ale jak je naprężasz?

– Chodzi ci o to, w jaki sposób je stroję, żeby grały w harmonii.

Wystrzał zatrzęsł domem, a do salonu wpadł obłok dymu.

– Hugonie, otwórz tu okno. Zanieś do kuchni latarnię i tamten worek. Napelnij go prowiantem, wszystkim, co znajdziesz i co się zmieści.

Sięgając po drugą latarnię, spojrzała na Myszy. Siedziały przy stole, zabawiając się grą, do której potrzebowały jedynie swoich dłoni. Posiadały rzadki dar oddzielania świata zewnętrznego od własnego. Niewątpliwie potrzebowały tego, by przetrwać. Carla nie zamieniła z nimi dotąd ani słowa, a mimo to budziły w niej ciepłe uczucia. Zajrzała do kuchni. Pascale była zajęta ubijaniem prochu w lufie za pomocą stempla. Na stole leżały flaszka z prochem, worek z kulami oraz trzy duże pistolety.

– Dziękuję, madame. Szmata pod ramieniem i ten okrężny ruch pomogły. Zabiłam jednego, reszta poszła w rozsypkę. Proszę, postaw latarnię na stole.

– Trzymasz tam proch.

Carla postawiła latarnię na piecu i podeszła do okna.

Dwie potężne postacie biegły w stronę grupki zdezorientowanych milicjantów, choć może słowo „biegły” nie najlepiej oddaje to, co robiły. W innej sytuacji Carla byłaby skłonna dostrzec w tym pewien komizm. Mattias trzymał Grymonde’a z tyłu za pas i pchał do przodu, Grymonde zaś podnosił kolana nienaturalnie wysoko, pędząc przed siebie wielkimi, niezgrabnymi susami. Zapewne każdy krok sprawiał mu więcej bólu niż strzała, którą wyjęto mu z brzucha. Gnając przed siebie, wył jak opętany, tym razem już nie z rozpacz, ale z wściekłości tak intensywnej, że graniczącej z szałem radości.

Amparo zapłakała. Carla spojrzała na jej półotwarte oczka i czubek języka, który pojawiał się i znikał między wargami.

– Niemożliwe, żeby moje śliczności znowu były głodne.

Bez względu na to, czy Amparo rzeczywiście wymagała karmienia czy nie, trudno było oprzeć się pokusie. Zwłaszcza że mogła to być ostatnia okazja w ich życiu. W tej chwili żadna z nich nie znała większej przyjemności. Carla usłyszała chrapliwy śmiech Alice. Uśmiechnęła się i wyjęła lewą pierś. Gdy mała zaczęła ssać, wszystkie trzy poczuły błogość.

Drzwi otworzyły się nagle, gdy Estelle wpadła do domu, a wtedy Carla usłyszała wyraźniej głos Grymonde’a. Wątpiła, by ktokolwiek inny zrozumiał, co znaczył ten dźwięk. Nikt bowiem jeszcze nigdy nie krzyczał w taki sposób, nikt też nie znał Infanta tak dobrze jak ona. Cały jego wstyd, cała duma, cały żal – wszystko to zlało się w ten jeden dźwięk. Grymonde skoczył w ogień, wykrzykując imię swojej matki.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Nabrzeże Saint-Landry

Tannhäuser cieszył się w duchu, że nabrzeże jest brukowane.

Szarżował, niosąc szponton pod lewą ręką i wiedząc doskonale, że żaden rycerz jeszcze nie atakował w taki sposób i z pomocą tak dzikiej bestii. Niewidomy Infant praktycznie ciągnął go za sobą, a Tannhäuserowi pozostało tylko jedno: pilnować, by nie pobiegł wprost do wody. Spodziewał się, że każdy kolejny krok będzie jego ostatnim, ale, o dziwo, szaleńczy bieg trwał. Grymonde mniej może przypominał byka, a bardziej oszalałego Minotaura, co nareszcie wyrwał się z ciemnicy, w której trzymano go zbyt długo.

Załoga mniejszej łodzi, która zacumowała za barkami, stała już na kei. Łódź rybacka wciąż była pełna zbrojnych. Gdy go mijali, pierwszy z Pielgrzymów właśnie próbował wyjść na brzeg: wychylił się za burtę i oparł obiema rękami o kamienie. Wystarczyło w biegu wychylić nieco szponton i lewe skrzydełko zahaczyło o grzbiet jego nosa. Było to ledwie draśnięcie, ale jakże skuteczne: milicjant poleciał do tyłu, na swych towarzyszy, bryzgając na wszystkie strony krwią i smarkami. Łódź oddaliła się od brzegu.

Tannhäuser i Grymonde kontynuowali szarżę.

Czekało na nich pięciu zbrojnych. Jeden przesunął się cichcem na sam skraj nabrzeża; kusila go możliwość rozstania z suchym łodem. Czterej pozostali zwarli szyk, improwizując coś na kształt falangi za pomocą dwóch wzniesionych wysoko i dwóch opuszczonych nieco niżej mieczy. Tannhäuser wiedział, że frontalny atak to nie najlepszy pomysł, ale kości zostały rzucone. Wypuszczając z rąk pas Grymonde'a, krzyknął mu nad uchem:

– Za Kukanię!

Z pierwotnym rykiem, godnym janczarów powstających z ostatniego okopu, Grymonde wznosił noże nad głowę i rzucił się na Pielgrzymów.

Tannhäuser wziął na cel pierwszego z brzegu, który rzucił broń i zasłonił oczy dłońmi, po czym odwrócił się i skulił, zbyt przerażony, by choćby spróbować skoczyć do wody, jak to sobie zaplanował. Tannhäuser przeciął mu nerkę, jelito i śledzionę, czując przy tym jakże znajomy i jakże nieprzyjemny fetor mimowolnego wypróżnienia. Unosząc ofiarę nieznacznie, jak na widelcu, zepchnął ją z powrotem do łodzi i zawrócił ku pozostałym.

Dwaj ze środka formacji leżeli o ładnych kilka kroków od miejsca, w którym próbowali odeprzeć atak. Obaj mieli poważne problemy ze wstaniem, może dlatego, że obaj

zostali pchnięci nożem w pierś. Dwaj ostatni dali się odepchnąć niemal równie daleko, ale jeszcze trzymali się na nogach – nie mogli zresztą upaść, a to dlatego, że Grymonde objął ich ramionami i poczęstował obu nożem w plecy. Kręcąc młynka rękojeściami, metodycznie mełł ich trzewia, niczym oburęczny kucharz ubijający dwa jajka jednocześnie. Umarli w mgnieniu oka.

Tannhäuser dźgnął obu rannych kolcem szpontonu, a potem spojrzał w dół rzeki i zobaczył to, czego bardzo nie chciał: pozostali Pielgrzymi nie mieli ochoty walczyć o nabrzeże Saint-Landry. Żaden nie wysiadł z łodzi rybackiej, a jeden próbował właśnie odwiązać linę, która trzymała ją jeszcze u brzegu. Tannhäuser wiedział, że jeśli nie zatrzyma tej łodzi, jej załoga będzie stanowić poważny problem, kiedy popłyną barką w stronę rzecznej zapory.

Mijając w biegu Grymonde'a, zauważył czubki dwóch mieczy sterczące z jego pleców nad oboma biodrami, ale się nie zatrzymał. Zakręcił szpontonem i chwycił go jak kosę, a potem w pędzie pochylił się i ciał poniżej krawędzi nabrzeża, celując w nazbyt liczną załogę łodzi rybackiej.

Dziewięciu, może dziesięciu milicjantów wykonało jednocześnie gwałtowny ruch, próbując schylić się lub uchylić przed ciosem. Łódź zakołysała się niebezpiecznie. Czyjś miecz spróbował dosięgnąć kostek Tannhäusera, ale ten przeskoczył nad nim. Ktoś nadstawił wiosło, by wytrącić Mattiasowi broń z ręki. Zatrzymał się więc i bez namysłu pchnął szpontonem w twarz tego, który to zrobił. Zakręcił drzewcem w dłoniach, czując, jak zmienia się struktura kości policzkowej Pielgrzyma, a potem wyszarpnął broń, zostawiając trupa w tłumie towarzyszy. Przeskoczywszy nad nieruchomym już wiosłem, skrócił nieco uchwyt, zawinął szpontonem znad prawego biodra i wbił tylny kolec w kark milicjanta, który daremnie siłował się z cumą. Żelazny trzpień przedziurawił kark nieco poniżej ucha i odłupał spory fragment kręgu szyjnego. Tannhäuser znowu zakręcił szpontonem i grot przeszył mostek innego Pielgrzyma, próbującego złapać równowagę na chybottliwym pokładzie łodzi. Zamaszysty ruch drzewcem sprawił, że klatka piersiowa otworzyła się szeroko. Chlusnęła z niej czarna kaskada, gdy tylko Mattias wyrwał ostrze z rany i spojrzał za siebie.

Cuma wciąż trzymała łódź rybacką.

Tannhäuser chwycił za samą oprawę kolca i zacisnął mocno dłoń na śliskim, zakrwawionym metalu, a potem zamachnął się i ciał głęboko i nisko. Trafił wprost w gardło kolejnego Pielgrzyma – jego paniczny ryk i gwałtowne ruchy tylko wzmogły przerażenie tych, którzy jeszcze żyli na pokładzie tej barki potępionych. Tannhäuser pochylił się nad nimi i przemówił grobowym głosem:

– Ktokolwiek zostanie w tej łodzi, zginie.

Trzej od razu skoczyli do wody. Jeden zniknął bez śladu, jakby jego stopy były kowadłami. Dwaj pozostali w panice usiłowali utrzymać się na powierzchni w ciężkim bojowym ekwipunku. Spośród tych, którzy zostali, a nie byli śmiertelnie ranni, jeden klęczał w zęzach, smarkając krwią, a dwaj inni kurczowo trzymali się burt, ledwie wytrzymując kołysanie.

– Wy dwaj. Wyglądacie mi na bystrych. Wyrzucicie trupy za burtę. – Pochylił się niżej i szpontonem pchnął klęczącego w dolną część pleców. – Zaczniście od niego. Nie naróbcie mi chlewu na łodzi.

Odwróciwszy się w stronę zakrętu nabrzeża, gdzie zostawił chłopców, pomachał ręką. Z dołu dobiegł głośny plusk. Tej nocy Sekwana była cmentarzem; właśnie znalazł w niej grób Pielgrzym z rozciętym nosem i dziurą w plecach i, jak się wydawało, dwaj niedoszli pływacy. Tannhäuser podbiegł do Grymonde'a.

Infant stał pochylony, wspierając dłonie na udach. Z jego brzucha sterczały rękojeści dwóch mieczy, po jednym z każdej strony. Mogły to być rany zwiastujące powolną śmierć. Chwyciwszy jedną z rękojeści, nie wypuszczając szpontonu z drugiej ręki, Tannhäuser zaparł się o potężną pierś Grymonde'a. Teraz dopiero dostrzegł też mocno krwawiącą ranę na jego potężnym ramieniu.

– Mam szczać czy srać?

Tannhäuser wyciągnął miecz z rany i rzucił na bruk.

– Załatwiłem wszystkich?

– Wszystkich czterech.

– Zatem należy mi się nieśmiertelna.

– Nie mam żadnej na zmarnowanie. – Tannhäuser chwycił drugą rękojeść.

– Zmarnowanie? Co, mam sporządzić listę moich ran? Mamy czas na takie rzeczy?

– Czymże jest kilka drobnych przecieków dla wielkiego Infanta?

Tannhäuser wy dobył drugi miecz. Schyliwszy się, przeciął białą opaskę zawiązaną na ramieniu najbliższej leżącego trupa. Podniósł ją, odrzuciwszy miecz, i zerknął w stronę domu Irène. Carla pomachała mu przez okno; u tylnych drzwi dostrzegł Pascale ze strzelbą w rękach. Gestem nakazał im zaczekać. Zatkanął ranę na ramieniu Grymonde'a białą opaską, mając nadzieję, że nie wypadnie. Grymonde nawet nie zauważył „opatrunku”.

– Pozwalam ci żartować – rzekł łaskawie. – Ale wybacz, nie będę się śmiał.

– Będziesz martwy, zanim opium zacznie działać.

– Od wielu godzin obiecujesz mi śmierć.

Tannhäuser wrócił do łodzi. Clémentine była już przy barkach; spod jej podkówek sypały się iskry. Powłóczyła nogami tak, jakby z każdym krokiem pękało jedno włókno w jej sercu. Na jej grzbiecie dostrzegł dwie drobne sylwetki, tak skurczone, że wyglądające niemal jak jedno ciało.

– Ten młody łobuz jeszcze żyje, panie. Tylko krew mu idzie z oczu.

Tannhäuser spojrzał na mówiącego.

– Trochę to okrutne, panie. Ktoś powie nawet: tak się nie godzi chrześcijaninowi.

– Chciałbyś zejść z tej łódki czy nie?

– Chciałbym, panie. Niedobrze mi tu.

Wioślarz o przepołowionej twarzy wrzeszczał dziko i opierał się, ale towarzysz jakoś zdołał wciągnąć go na pokład. Tannhäuser zauważył na dnie maszt, reję i sklarowany żagiel.

– Rzućcie noże na pokład i wyłaźcie, dopóki jestem w nastroju.

– Dzięki ci, panie, który słyniesz z łagodności...

Gdy z niejakim trudem wypełzli na brzeg, Tannhäuser kazał im oddalić się o kilka kroków w dół rzeki. Ten, który z nim rozmawiał, rzucił mu pod nogi trzy maleńkie sakiewki, gestem budzącym skojarzenie z zachowaniem psa przynoszącego swemu panu upolowanego szczura. Sądząc po lichym brzęku, który wydały, spadając na kamienie, właśnie taka była ich wartość.

– Kto nie marnuje, ten nie potrzebuje, panie.

Tannhäuser pchnął milczącego szpontonem w brzuch. Rozmowniejszy natychmiast skoczył naprzód. Mattias wyszarpnął ostrze z rany i cofnął się nieco, by skończyć i z nim, ale zorientował się, że tamten chciał jedynie chwycić padającego towarzysza, którego zaraz pociągnął w stronę krawędzi nabrzeża. Rozległ się plusk. Pielgrzym otrzepał ręce i wrócił do Tannhäusera.

– Załatwione, panie. Czym jeszcze mogę służyć?

Nie wyglądał na zbytnio rozbawionego. Nie żartował więc i raczej nie próbował podstępu.

– Wiesz może, gdzie jest kapitan Garnier?

– Niestety nie, panie. Przysłał nas chorąży Bonnett.

Tannhäuser opuścił nizej szponton. Mężczyzna wydawał się zdumiony faktem, że jego życie ma się zaraz zakończyć.

– To przecież tynkarz Hervé – odezwał się nagle Juste.

– Szczera prawda, paniczu – przytaknął Hervé.

Tannhäuser miał dobrą pamięć do twarzy, ale tej nie pamiętał ani trochę. Położył szponton na ziemi, a obok łuk i kołczan Altana. Chwycił Grégoire'a w pasie i zdjął z siodła. Chłopak był bardzo osłabiony, ale przytomny. Krzywił się z bólu, lecz brakowało mu sił, by krzyczeć. Wcześniej jego rozpaczliwy głos ranił Tannhäusera aż do kości, teraz podniósłby go na duchu.

– Hervé, potrzymaj go tak delikatnie, jakby był dzieciątkiem Jezus.

Tynkarz wziął chłopaka w ramiona.

– Biedaczysko. A ostrzegałem go przed tym psem.

– Lucyfer nie odgryzł mu nogi – oburzył się Juste.

– Może i nie, paniczu, ale źle mu ze ślepiów patrzy.

Tannhäuser zdjął Juste'a z grzbietu Clémentine.

– Lucyfer zaprowadził nas do Kukanii – powiedział Grégoire. – I znalazł dziecko.

– Majaczy, panie. Kiepsko to widzę.

– Milcz – uciął Tannhäuser. – Chłopak potrzebuje spokoju.

Schylił się, by rozpiąć popręg. Brzuch Clémentine wyglądał fatalnie: spuchł tak, że z trudem można było wcisnąć palec pod skórzany pas. Klacz stęknęła z ulgą i zachwiała się, gdy Tannhäuser rozpiął klamrę. Zdjąwszy siodło i czaprak, rozłożył je na bruku. Odebrał Grégoire'a z rąk Hervégo i położył go na kocu, okaleczoną nogę opierając na siodle. Juste usiadł po turecku obok niego i chwycił za rękę. Tannhäuser podał mu bukłak.

– Spróbuj dać mu łyk wina. I ty też się napij.

Przez chwilę przyglądał się barce. Była załadowana do granic możliwości, aż po burty, a na rufie sterta węgla drzewnego kończyła się ledwie cztery stopy przed rumplem. Plan, który zamierzał zrealizować, równie dobrze mógł się narodzić w otumanionej opium głowie Grymonde'a. Sięgnął po czarną bryłkę. Z łatwością rozkruszył ją między palcami. Nie było to paliwo najlepszej jakości, co oznaczało, że tym łatwiej zajmie się ogniem. Problemem było tylko to, jak w ogóle je zapalić.

– Ta górka jest pewnie warta franka lub dwa, panie.

Tannhäuser spojrzał z ukosa na tynkarza.

– Hervé, mam dla ciebie robotę.

– I nie znajdziesz nikogo chętniejszego do pracy, łaskawy panie.

– Weźmiesz worki z rufy, te z ostatniego rzędu – zaczął, pomagając sobie gestami – i opróżnisz je na szczycie tych, które leżą na śródkręciu i dziobie. Chodzi o to, żebyś rozsypał warstwę luźnego węgla grubą na dwie dłonie. Powiedzmy, że ma to być pas szeroki na sześć worków, wzdłuż osi barki. Zrozumiałeś?

– Rozsypać i wygładzić, panie. Mnie nie trzeba powtarzać dwa razy.

– Kiedy skończysz, weźmiesz kolejne worki z rufy i ułożysz je w dwóch rzędach na górze, worek przy worku, po obu stronach tego rozsyanego pasa, oczywiście także wzdłuż osi barki.

– Byłoby łatwiej, gdybym wiedział, czemu to ma służyć, panie.

– Zamierzam podpalić cały ładunek. – To rzekłszy, Tannhäuser zabrał szponton i poprowadził Clémentine do najbliższego ogrodu. Chłopcy zbytnio poddali się bólowi i znużeniu, by to zauważyć. Gdy się zatrzymali, chwycił drzewce tuż za ostrzem i nad głowę. Klacz łypnęła na niego okiem.

– Zasłużyłaś na lepsze życie i lepszą śmierć, ale... nie ty jedna.

Clémentine wyglądała na usatysfakcjonowaną takim pożegnaniem. Odwróciła łeb. Tannhäuser pchnął celnie w kark, tuż za szczęką, i poczuł, jak ostrze zgrzytnęło o kręgi. Szybko przełożył ramię nad drzewce i napał ciężarem ciała. To wystarczyło, by przerwać nie tylko rdzeń, ale i tętnice. Klacz zachwiała się, a gdy ugięły się pod nią nogi, runęła na bok, w stronę Tannhäusera. Poczul mdłości, gdy potężny strumień krwi zalał jego buty, ale jednocześnie pokrzepiła go myśl, że zostały w nim jakieś resztki ludzkich uczuć. Oczy Clémentine błysnęły białkami, a pierś uniosła się i opadła po raz ostatni. Z przeciętej, zalanej krwią tchawicy ze świstem uszło powietrze. Dźwięk nie rozniósł się daleko. Tannhäuser zamrugał, by zetrzeć mgłę z oczu. Gdy przelewał ludzką krew, nie miał takich oporów. Wytarł szponton o pokryte bliznami, drżące jeszcze ciało Clémentine i odwrócił się. Odszedł, pozwalając siwej klaczy skonać w spokoju.

Zeskoczył na pokład łodzi i poczuł woń ryb oraz smoły. Pielgrzymi wsiedli do niej na przystani gdzieś na prawym brzegu, a ten, kto wybrał tę łódź, znał się na rzeczy. Poszycie zakładkowe, piętnaście stóp długości, cztery i pół szerokości, wysoki dziób. Długa reja i sposób jej umocowania na maszcie oznaczały, że mieli do dyspozycji żagiel łaciński, a z tym typem ożaglowania Tannhäuser miał już do czynienia. Maszt łatwo było złożyć, by przepłynąć pod mostem. Trzy wiosła. Po czwarte musiał sięgnąć na keję. Bosak, dwie latarnie. Zebrał z dna łodzi trzy miecze i wyrzucił je na nabrzeże; noże oraz czwarty miecz ukrył pod ławką sternika. Nie próbował otworzyć wbudowanego pod nią schowka. Sprawdzał tylko, czy ster pracuje. Solidna łajba, pomyślał, i na rzekę, i na morze. Wyskoczył na brzeg.

Podszedł teraz do mniejszej łodzi, w której znalazł dwa wiosła i jeszcze jedną latarnię. Zdmuchnął jej płomień i dołożył nowe zdobycze do trzech mieczy leżących na bruku.

Grymonde nie poruszył się, odkąd Tannhäuser go zostawił. Wciąż zaciskał dłonie na udach. Gdyby nie krew, która ściekała spod koszuli na buty, mógłby uchodzić za kamienny pomnik zaginionej starożytnej rasy.

Tannhäuser minął go bez słowa i ruszył w stronę zajazdu Irène. Pascale czekała na niego u drzwi. Strzelbę oparła o ścianę, a dwie sakwy oraz olstra z pistoletami trzymała na ramionach. Zza pasa wystawał trzeci pistolet. Była zmęczona i chyba tylko duma trzymała ją jeszcze na nogach. Gdyby Tannhäuser mógł się z nią podzielić sercem, odłamałby połowę, by jej oddać. Nie mógł, więc tylko się uśmiechnął – zupełnie bez wysiłku. Odpowiedziała uśmiechem, odsłaniając przy tym tę przerwę między zębami, której widok już przy pierwszym spotkaniu kazał mu się domyślać, jaki drzemie w niej duch. Wskazał palcem na Petera Pecka tkwiącego za jej pasem.

– Uczeń diabła przeładowany?

– Łatwiejsze to niż składanie czcionek.

– Obawiam się, że będziesz zawiedziona wiejskim życiem. Zaczekaj tu.

Chwycił ją w talii i odstawił na bok, a sam przekroczył próg.

Carla tuliła w ramionach Amparo, a Estelle i Myszy stały przed nią, gotowe do drogi. Hugon trzymał się z tyłu, dźwigając sakwy i worki. Tannhäuser skinął głową w stronę drzwi. Gdy wyszedł, odebrał sakwy i olstra Pascale i dorzucił je Hugonowi, który ugiął się pod nowym ciężarem.

– Dlaczego ona ich nie poniesie?

– Włóż te graty do łodzi rybackiej. Uważaj, żeby proch nie zamókł.

– Te graty? Nie mamy nic więcej. Dźwigam wszystko!

– Jeśli ci ciężko, mogę zabrać ten złoty łańcuch.

Hugon z trudem ruszył w stronę łodzi. Tannhäuser wrócił tymczasem do kuchni i się rozejrzał. Znalazł wiklinowy kosz pełen chrustu. Przewrócił na bok kuchenny stół i wyciągnął go z domu do ogrodu, gdzie odwrócił go białem do dołu. Nogi były wzmocnione poziomymi listwami.

– Pascale, potrzebujemy rozpałki. Przyda się wszystko: chrust, świece, oliwa do lamp. Układaj tu, co tylko znajdziesz.

Otoczył Carlę ramieniem i odprowadził do łodzi. Estelle i Myszy bez słowa pomaszerowały za nimi.

– Na wysokości Luwru ustawiono na rzece blokadę – zaczął Tannhäuser. – Użyto łodzi połączonych łańcuchami. Największe niebezpieczeństwo to Garnier i jego ludzie, zapewne zgromadzeni na prawym brzegu. Na lewym brzegu spodziewam się ledwie

szczątkowych sił, może paru ludzi, bez szans na posiłki. Zamierzam zaatakować zaporę w jej prawej części: podprowadzę barcę i ustawię burtę do blokady, a następnie podpale. Ogień zatrzyma tych, co chcieliby spróbować dotrzeć z prawego brzegu po pokładach łodzi. Ja tymczasem przerwę blokadę.

– W jaki sposób?

– Przecież nie zatrzyma mnie kawałek łańcucha. Co o tym sądzisz?

Carla odwróciła głowę, analizując plan. Po chwili spojrzała w oczy męża.

– Nie zatrzyma nas kawałek łańcucha.

Tannhäuser uśmiechnął się szeroko.

– Chcę, żebyście trzymali się w tyle, póki nie dam wam znaku, że możecie mnie zabrać. Pewnie będą strzelać do mnie, nie do was, ale żeby mi było lżej na sercu, muszę mieć pewność, że jesteście w bezpiecznym miejscu za wyspą.

– U szczytu Cité są dwie małe wysepki. Tam możemy zaczekać.

– Opodal Hôtel-Dieu jest przystań. Wątpię, żeby pilnowali okolic Notre-Dame.

Jeżeli mi się nie uda...

– Nie chcę tego słuchać.

– Carla, już od dawna chciałem ci to powiedzieć. Nigdy nie wyglądałaś piękniej.

Uśmiechnęła się.

– Kłamstw też nie chcę słuchać.

Świat wokół niej stał w płomieniach, a ona wciąż potrafiła dać mu uśmiech, który niósł otuchę. Zdumiewała go swoją odwagą. Przełknął ślinę.

– Nigdy nie byłem bardziej szczerzy.

Carla uścisnęła jego dłoń, nie bacząc na krew.

Tannhäuser odwzajemnił uścisk.

– Jeśli się nie mylę – rzekł po chwili – między mostem Młynarzy a zaporą mamy ze trzysta sążni czystej wody. Milicja nie ma zbyt wielu łuczników i muszkietierów, ale trudno przewidzieć, kogo udało im się zwerbować do pomocy. Jeśli znajdziemy się pod ostrzałem, to właśnie z tamtego odcinka nabrzeża. Gdy będziemy mijać mosty, trzymajcie się mojej lewej burty, aż dotrzemy do wysepek.

– Uważaj na mielizny – odpowiedziała. – Zwłaszcza przy prawym brzegu.

– Ostatnio padało, może nie będzie źle. Posłuchaj: jeśli zauważysz, że blokada jest przerwana, a mnie nie widać...

– Zatem bądź widoczny.

Zatrzymali się przy łodzi. Carla przyciągnęła ku sobie Mattiasa, a on spojrzał na córeczkę. Miał wrażenie, że ona też na niego patrzy. Czuł, że koło wieczności obraca się albo z niewyobrażalną prędkością, albo wręcz niezauważalnie wolno. Carla przypatrywała mu się w milczeniu. Spojrzał w jej oczy. Była taka blada. Coś ścisnęło go w piersi. Nie wiedział, co powiedzieć. Wspięła się na palce, by go pocałować.

– Spotkamy się przy zaporze.

Cofnęła się o krok. Teraz dopiero zauważył, że wybrudził jej suknię krwią.

– Nie martw się – powiedział. – To nie moja.

Znowu posłała mu ten swój uśmiech.

– Uwielbiam twoje najstarsze żarty.

– A propos: Orlandu kocha swoją nową siostrzyczkę i czuje siłę w sercu.

– Chcesz powiedzieć, że cierpi?

– Orlandu to chłopak z maltańskiej gliny. Twardy jak Infant.

Wiedział, że chciałaby zadać mu więcej pytań, ale tylko uściśnęła mocniej jego dłoń i wsiadła do łodzi rybackiej. Pewnym krokiem przeszła na rufę, usiadła przy sterze i przyjrzała się łodzi.

Tannhäuser popatrzył na chłopców i na kikut Grégoire'a. Chłopak zamruczał cicho i skrzywił się; opium nareszcie działało. Podniósł go z ziemi.

– Hugonie, weź siodło i czaprak, wymościś miejsce dla Grégoire'a obok Carli.

Grégoire otworzył oczy i spojrzał na Mattiasa, jakby rozmarzony.

– Clémentine odeszła?

– Jej dusza jest już wolna. Jej ciało nigdy nie było.

– Clémentine pomogła uratować dziecko, prawda?

– To ty je uratowałeś, bracie. I mnie.

– Panie? Czy mogę cię o coś prosić?

– Nigdy tego nie robiłeś, więc... proś.

– Nie zabijaj Hervégo. – W tym momencie oczy Grégoire'a były wyraziste jak srebrne lustro.

Tannhäuser zamrugał, dojrzawszy to, co się w nich kryło. Skinął głową.

Grégoire spuścił powieki.

– Hugonie, wyjdź na brzeg i spróbuj przytrzymać łódź.

Tannhäuser zszedł na pokład i ułożył Grégoire'a najlepiej, jak potrafił. Gdy się wyprostował, skinął na Myszy i kolejno postawił je w łodzi. Potem zawołał Juste'a. Hugon pomógł mu wstać, ciągnąc za zdrowe ramię. Chłopak syknął z bólu, ale nie zaprotestował.

Tannhäuser wyciągnął po niego ręce i posadził go obok pozostałych. Nikt się nie skarżył na ślady krwi. Wiosło na lewej burcie zostawił nieobsadzone i wyszedł na brzeg.

– Potrafisz wiosłować, Hugonie?

– Nie.

– Zatem idź, pomóż Pascale przynieść rozpałkę. Przyciągnijcie razem cały stół.

– Byłoby miło, gdyby Pascale czasem mi pomogła.

– Nosisz na szyi czterdziestoletnie pobory.

Tannhäuser podniósł z ziemi naręczce mieczy i wiosła, by zanieść je do barki z węglem. Palenisko zostało usypane tak doskonale, że nawet Hervé, choć przyglądał się swemu dziełu z każdej strony, nie potrafił dostrzec w nim żadnej wady. Między workami ustawionymi dokoła zostawił szczeliny szerokości dłoni, by zapewnić dopływ powietrza. Tannhäuser wyczuwał słaby wiatr w poprzek nurtu.

– Hervé, gdy już kupię Luwr i zamienię go w burdel, wynajmę cię, żebyś go otynkował.

– I nie znajdziesz lepszego wykonawcy, panie, zwłaszcza do roboty na taką skalę. Choć niektórzy twierdzą, że tam już nie trzeba nic zmieniać.

– Jeszcze jedno, Hervé. Chcę, żebyś mi zbudował redutę. Tam, wokół rumpla.

– Znaczy... taki murek, panie?

– Właśnie.

Hervé skinął głową i wskazał na kolekcję przedmiotów, które zgromadził na brzegu.

– Znalazłem to wszystko na tej drugiej barce, panie. Przyznaję, nieładnie jest tak pożyczać, ale jedno jest pewne: to świetna rozpałka. Jest tam trochę smoły do uszczelniania, jest smołowana lina, no i kawał smołowanego płótna. Wystarczy rozłożyć na wierzchu... i bum.

Tannhäuser spojrział w stronę Pascale i Hugona, którzy właśnie dociągnęli nad brzeg odwrócony stół. Kompletnie opadli z sił i gdyby nie to, że Mattias na nich patrzył, Pascale pewnie usiadłaby wprost na kamieniach. Gdyby zaś ona nie była dziewczyną, Hugon zapewne uczyniłby to samo. Stół był wyładowany różnymi łatwopalnymi przedmiotami – obyłoby się nawet bez smoły Hervégo.

– Znakomicie – pochwalił ich Tannhäuser. – Chcę, żebyście tam, na palenisku z rozsypanego węgla, zbudowali ognisko. Rozlejcie najpierw smołę, potem rozrzućcie chrust, tylko nie za gęstą i zostawcie mi trochę miejsca, żebym mógł podejść z pochodnią. Następnie...

– Wiemy, jak się buduje ognisko – wpadł mu w słowo Hugon.

– My? – zdziwiła się Pascale. – Zdawało mi się, że nie lubisz dziewczyn.

– Bo nie lubię.

Tannhäuser zauważył, że Grymonde rozmawia z Estelle. Podszedł bliżej. Infant nadal był nieruchomy, a każde słowo sprawiało mu taki ból, że brakowało mu tchu.

– La Rosso, kiedyś spytałaś mnie tu, na tych nabrzeżach... – Grymonde urwał na moment, ale zaraz się pozbierał i zmusił do uśmiechu. – Spytałaś, czy pewnego dnia stąd odpłyniemy.

Estelle omal nie zatańczyła w miejscu.

– Ty naprawdę pamiętasz każde słowo!

– Za chwilę naprawdę odpłyniemy. Będziemy jednak na osobnych łodziach, a moja popłynie znacznie dalej niż twoja. Jeśli dopisze mi szczęście, a moja rodzina to sami szczęściarze, będę też płynął szybciej niż ty. A teraz musisz zapamiętać moje słowa: dokądkolwiek dopłyniesz, smok będzie z tobą. Zawsze.

– Estelle – odezwał się Tannhäuser. – Wsiadaj do łodzi. Tylko uważaj na rannych.

– Tannzer, Pascale zabrała mojego Petera Pecka i nie chce mi oddać.

– Dopilnuję, żeby oddała. Ale na razie idź, pomóż Carli i swojej siostrze.

Estelle spojrzała na Grymonde'a. Skinął głową, a wtedy oddaliła się w podskokach. Tannhäuser podniósł dwa miecze, które wyciągnął z brzucha Infanta.

– Niełatwo wziąć mnie na litość – zaczął.

Grymonde parsknął śmiechem i zacisnął zęby.

– Proszę, przestań.

– Powiedz jedno słowo, a zabiję cię tu i teraz.

Grymonde odepchnął się od swych potężnych ud i stanął prosto. Puste oczodoły skierowały się ku Mattiasowi.

– Trzeba sobie pomagać w potrzebie. Wsadź mnie na tę swoją piekielną łajbę.

Grymonde zachwiał się, a Tannhäuser zrozumiał, że nie będzie w stanie unieść drąga, by pokierować barką.

– Na łajbie zabrakło miejsc. Poradzisz sobie z wiosłami?

– Ta rzeka mnie urodziła.

– Chodzi mi o to, czy wystarczy ci sił.

Grymonde odszukał przedramię Tannhäusera i ścisnął je.

– Mój Infancie, ręka mi sinieje.

– Będzie pasować do twojej czarnej duszy.

– Carla siedzi przy sterze. Słuchaj jej rozkazów.

– Nie czynię nic innego, odkąd ją poznałem.

– Zatem i to nas łączy.

– I to?

Tannhäuser poprowadził go w stronę łodzi rybackiej. Grymonde nie forsował tempa.

– Pascale siądzie na drugiej ławie – zapowiedział Mattias.

– Czy i w wiosłowaniu ma mi okazać swoją wyższość?

– Jesteśmy na miejscu. Stój. Usiądź teraz na tyłku i spuść nogi. Wezmę cię pod ramiona od tyłu i opuszczę na łódź.

Tannhäuser rzucił miecze na bruk i z niemałym trudem dźwignął potężne ciało, manewrując nim tak, by nogi Grymonde'a trafiły na pokład, tuż za ławką. Potem naprowadził jego dłoń na burtę i sam chwycił ją z całej siły, by ustabilizować łódź.

– Lewą nogą dotykasz ławki. Połóż na niej lewą rękę i usiądź.

Grymonde schylił się i podparł rękami. Stęknął z bólu, a potem jednym ruchem wykręcił ciało i opadł ciężko na grubą deskę. Łódź zakołysała się niegroźnie. Estelle zaczęła klaskać, a Myszy się dołączyły. Tannhäuser przełożył wiosła przez dulki i położył je na kolanach Grymonde'a.

Infant próbował ukryć ból, zginając się wpool, ale nie umiał powstrzymać przejmującego jęku.

– Mój Infancie, gdybyś miał umrzeć, bądź łaskaw paść na plecy.

– Pewnego ponurego dnia, przyjacielu, usłyszysz za sobą posepny śmiech. Odwrócisz się i nikogo nie zobaczysz. Otóż bądź pewny, że to będę ja.

Tannhäuser zebrał pięć marnych mieczy, wybrał najlepszy i schował na rufie barki. Hervé zdążył tymczasem zbudować trzystopniową redutę, która u szczytu miała dwa worki grubości, a przy tym była wyższa od burt o dobre trzy stopy. Była też wystarczająco mocna, by zatrzymać wszystko prócz kuli armatniej. Tynkarz uniósł w górę zwiniętą plandekę, którą przyniósł pod ręką.

– Za pozwoleniem, panie, chciałbym jednak rozłożyć ją nad paleniskiem. Kiedy się zajmie, całe miasto zobaczy płomień.

Tannhäuser wolał zatrzymać ją w rezerwie i być może wykorzystać w ostatniej chwili, gdy dobiją do blokady i taki efekt przyda się najbardziej.

– Nie, zostaw ją tutaj. I przynieś stół. Możesz go tam ustawić zamiast niej.

Mattias przespacerował się wzdłuż burty, podziwiając gotowy stos.

Hugon i Pascale obłożyli palenisko świetną rozpałką.

– Znakomicie. Hugonie, wskakuj do łodzi. Pascale...

– Viola! Zostawiłem violę! – Hugon popędził w stronę domu Irène.

– Pascale, widzisz tę pochodnię?

Tannhäuser wskazał jej miejsce na brzegu, w którym ją zostawił.

– Tak, ale mam inną u Irène w kominku, a w dodatku została tam twoja strzelba.

Skinął głową, a gdy Pascale pobiegła, zajął się układaniem efektownego rusztu z mieczy, tuż nad rozpałką. Nad nimi umieścił niepotrzebne wiosła. Przyciągnął jeszcze trzy worki węgla drzewnego i ułożył je na wierzchu, jeden obok drugiego. Wreszcie wyjął zatyczkę z chłodnej już latarni i połał worki wielorybim tłuszczem. Sięgnął jeszcze po ciężką, smołowaną linę, a potem Hervé pomógł mu ustawić nad wszystkim drewniany stół.

Tannhäuser cofnął się nieco i pokiwał głową.

– Jeśli to się nie zapali, to znaczy, że to nie węgiel drzewny.

– Rety, panie, zdaje mi się, że to kapitan Garnier. Tam, na placu.

Tannhäuser skoczył na keję i pobiegł po łuk. Schylając się po strzałę, spojrzął na drugą stronę rzeki, na place de Grève. Na tle czarnych belek szubienicznych widać było jeźdźca, który najwyraźniej obserwował Mattiasa. Był potężny. Miał pancierz i hełm. Sto kroków, pomyślał Tannhäuser. Zdarzało mu się trafiać z większej odległości, ale szanse na uśmiercenie człowieka w zbroi za pomocą szerokiego grotu były nader nikłe. Nie, stanowczo nie lubił marnować strzał. Może spróbować, gdy zawróci? Przypomniał sobie, jak wyglądał Garnier, gdy rozstał się z le Tellierem. Miał na sobie pełny kirys. Zatem i na plecach pancerne płyty.

Przewiesił kołczan przez ramię i podszedł do krawędzi kei tuż za plecami Carli. Garnier wstrzymał konia, choć właśnie miał odjechać. Tannhäuser uniósł nad głowę łuk Altana i pomachał mu. Widząc, że wzbudził zainteresowanie, wyjął strzałę, przyłożył ją sobie do krocza i znowu pomachał. Milicjanci z place de Grève wybuchnęli gromkim śmiechem, a Garnier pogroził mu pięścią i odjechał ku swoim.

Wiedział, że Pielgrzymi będą czekać przy blokadzie. Zastanawiał się tylko, gdzie jest Dominic. Schował strzałę do kołczanu i przełożył łuk przez głowę. Rozpiął i zdjął pas wraz z pochwą i mieczem. Pascale przybiegła zdyszana, niosąc jego strzelbę i pochodnię. Na ramieniu miała łuk i kołczan.

– Zabrałam jednemu z *sergents*. Mogę go wziąć do domu?

Kołczan z szydlami. Zabrał broń Pascale i zarzucił na ramię.

– Gdzie Hugon? – spytał.

– Hugon zniknął.

– Zniknął?

– Razem z violą.

– I już nie wróci – odezwał się Grymonde, obracając się w stronę Carli. – Wiedziałem od razu, już w izbie porodowej, że tak się to skończy. Trudno winić złodzieja za to, że kradnie. Dziwię się nawet, że zwlekał tak długo. No, ale Hugon zawsze był dziwny.

– Gdyby mnie poprosił – powiedziała Carla – dałabym mu tę violę.

– Wie, jak ją kochasz. Słyszał, jak grałaś.

Tannhäuser odebrał Pascale pochodnię i podał jej swój miecz.

– Nie będzie ci potrzebny? – zdziwiła się.

– Muszę być zwinny – odparł, podając jej rękę. – Wskakuj do łodzi. W razie potrzeby siadasz przy drugich wiosłach. I rób, co ci Carla każe.

Skinęła głową. Jej czarne oczy błyszczały.

Uścisnął ją.

– Jesteś jedynym zdrowym żołnierzem w tej łodzi.

– Zaopiekuję się nimi.

– Wiem. Widziałem trupy na targu.

Rozpromieniła się. Pomógł jej zejść do łodzi i w tym momencie usłyszał głos urażonej Estelle:

– Ja też jestem zdrowym żołnierzem, prawda, Carla?

Rozwiązał i zwinął cumę. Rzucił ją za plecy Grymonde'a.

– Skończyliśmy, łaskawy panie? – spytał tynkarz, stając przy nim.

– Ty skończyłeś, Hervé. Wiedz, że zawdzięczasz życie Grégoire'owi.

– Jestem mu zatem wielce zobowiązany, panie.

– Trzymaj się z daleka od milicji. Wracaj do domu, do żony.

– Do żony, panie?

Zza pleców Tannhäusera dobiegł ostry głos Carli:

– Agnès, Marie, natychmiast siadajcie!

Odwrócił się i spojrzał w dół. Myszy wciąż trzymały się za ręce, ale stały przy przeciwległej burcie łodzi, tak daleko odchylone plecami w stronę wody, że gdyby były choć trochę wyższe, wypadłyby z pewnością. Obie wpatrywały się w Hervégo z kamiennymi twarzami.

Tannhäuser poczuł mdłości.

Myszy spojrzały na niego i zrozumiał, że paraliżuje je strach. I że boją się właśnie Hervégo. Nie podobał mu się kolor tego strachu. Nie bały się bólu ani śmierci; bały się zdrady. Nie sądził, by zaznały w życiu wielu innych uczuć. Kochał Myszy. Cenił to, że

wytrwały. Gdyby one zginęły, zapewne wszystkich ich spotkałby taki sam los. Spojrzał na Hervégo, który nawet nie był świadomy własnego zepsucia.

– Tannzer? – zawołała Estelle, która zdążyła już odebrać Carli Amparo i znów ukryć ją pod koszulą. – Wiesz, co sobie pomyślałam?

Hervé uśmiechnął się do Myszy i pomachał do nich. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć.

Tannhäuser rąbnął go w gardło kantem dłoni i kopniakiem podciął mu nogi. Hervé uderzył potylicą o twardy bruk nabrzeża. Mattias zerknął na Myszy. Ich twarze pozostały nieprzeniknione, ale przynajmniej nie było w ich oczach strachu. Usiadły.

– Z Carlą będziecie bezpieczne – powiedział. – Zawsze. – Spojrzał na Grégoire’a. – Grégoire, czy zwolnisz mnie z danego słowa?

Chłopak cierpiał męki, ale rozumiał znaczenie sceny, która właśnie się rozegrała.

Spojrzał na Hervégo i skinął głową.

Tannhäuser odepchnął łódź rybacką od kei.

– Słuchajcie Carli. Musicie tylko przepłynąć przez przerwana zaporę.

Chwycił Hervégo za kaftan i zaciągnął do barki. Odłożył pochodnię i szponton, by unieść tynkarza i cisnąć go zadkiem w dół w wąską przestrzeń między dziobem a stertą worków, tak że dziobnica znalazła się między jego nogami. Odwiązał cumę i użył jej, by unieruchomić jego kostki. Hervé zakaszłał i zamrugał, gdy zrozumiał, że jego głowa i ramiona znalazły się może o trzy stopy od paleniska, które sam przygotował.

Tannhäuser odepchnął dziób barki od nabrzeża, wrzucił broń na pokład, odwiązał cumę rufową i sam przeskoczył nad burtą. Rzucił okiem na rumpel i na ster, ozdobiony rzeźbioną w drewnie podobizną syreny, bardzo cycatej i najwyraźniej często głaskanej rękami sterników. Ucieszył się, zobaczywszy, że rufę wzmocniono żelazem. Schylił się po drąg, a prostując się, poczuł ukłucie w krzyżu. Oparł drąg o redutę z worków i wyjrzał ponad nimi, by raz jeszcze zobaczyć Carlę siedzącą u steru łodzi.

– La Rossa! – zawołał Grymonde znad wiosła. – Masz jeszcze mój worek?

– Tak, jest tutaj.

– Otwórz go i zajrzyj do środka.

Tannhäuser przeskoczył nad redutą i ruszył z pochodnią w stronę dziobu. Hervé, który osunął się prawie na dno barki, odwrócił głowę ku niemu.

– Najmocniej przepraszam, panie, ale jeśli tu zostanę, upiekę się jak kasztan!

– Spróbuj trochę pożyć, aż twoi kamraci dołączą do przedstawienia.

Tannhäuser przyłożył pochodnię do rozpałki i dmuchnął z całej siły. W niebo wzniosła się smuga dymu. Cofnął się nieco. Płomienie buchnęły nagle z obu końców paleniska. Tłuszcz rozlany na workach z węglem drzewnym, ukrytych pod stołem, zajął się jako pierwszy. Żółte jęzory sięgały coraz wyżej. Hervé rzucił się rozpaczliwie ku górze, próbując dosięgnąć węzłów pętających jego kostki, ale tylko zaklinował się głębiej w ognistym sarkofagu. Jego krzyk i błagania o litość zagłuszyły trzask płonącego chrustu. Tannhäuser wrócił na rufę.

Ćwierć mili do blokady. Mattias szacował, że nurt rzeki ma prędkość nie większą niż trzy węzły. Z pomocą drąga i steru mógł pokonać ten dystans w mniej niż dziesięć minut. Rozprostował zeszywniały kark. Oparł drąg o keję i pchnął. Barka poddała się prądowi Sekwany i po chwili znalazła się obok łodzi rybackiej.

Oczodoły Grymonde'a zwróciły się ku Tannhäuserowi. Były tunelami absolutnej ciemności i czyniły uśmiech Infanta Kukanii prawdziwie upiornym. Uniósł nad głowę rulon brązowego papieru.

– Możesz usłyszeć ten śmiech i pod wodą, przyjacielu. Mamy czepek Amparo.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Duchy przeklętych

Carla sterowała tak, by łódź podążała śladem wielkiego płomienia, który rozświetlał czarno-srebrną wstęgę rzeki; śladem dzikiego, zakrwawionego flisaka, którego postać majaczyła na rufie, zniekształcona przez żar ognia podsycanego drewnem i ludzkimi kośćmi. Barka wpłynęła pod pont Notre-Dame i płomienie w całości wypełniły kamienne sklepienie. Przez chwilę Carla nie widziała niczego poza nimi, jakby Mattias miał już tylko ogień po swojej stronie i niczego więcej nie mógł obiecać tym, którzy za nim szli. Na Malcie sam poszedł za nią w ogień, choć obiecała mu jedynie muzykę. Tu, w Paryżu, zrobił w istocie to samo.

Carla uzmysłowiła sobie, że jest ogniem. Jest jego ogniem.

Miłość znowu ścisnęła ją za gardło. Z trudem przełknęła ślinę.

– Grymonde, zanurz wiosła. Ruszamy.

Nie zamierzała się z nim spierać, gdy ogłosił się jedynym wioślarzem w tej łodzi. Nieczęste były jego pociągnięcia, ale za każdym razem sprawiały, że woda pieniała się pod dziobem. Potem zaś kładł wiosła na kolanach i pochylony cedził słowa, których nie mogła usłyszeć.

Łódź rybacka wiozła taki ładunek strachu, że chwilami Carla obawiała się, czy nie zatona. Dwaj chłopcy leżeli na dnie, blisko siebie, jakby taki kontakt pomagał im łagodzić ból ran. Pascale straciła siostrę i ojca, lecz prócz tego nosiła w sobie urazy, których istnienia nawet nie podejrzewała. Carla niewiele wiedziała o życiu Agnès i Marie, ale to jej wystarczało. Estelle siedziała u jej stóp, trzymając na kolanach Amparo. Obie wydawały się szczęśliwe, jakby naprawdę połączyło je magiczne zaklęcie, lecz przecież i Estelle była świadkiem, a nawet uczestnikiem wydarzeń niebywale okrutnych. A malutka Amparo? To ona była przyczyną, dla której powstały wszystkie te więzi. Ale co właściwie czuła i widziała?

Miłość do dziecka ścisnęła Carlę za gardło.

Miłość do wszystkich tych dzieci.

Łódź nieźle reagowała na ruchy steru; bez większego trudu wprowadziła ją pod łuk mostu. Choć poziom wody po ostatnich deszczach rzeczywiście był wysoki, płynęła spokojnym nurtem. Mattias i jego ogień dopływali już do mostu Wymiany.

– Grymonde, trzy pociągnięcia.

Gdy przepływali pod kolejnym mostem, spostrzegła ciało kobiety, które utknęło przy palach otaczających filar. Było nagie, pokaleczone, a sine usta zastygły w wyrazie wieczystego rozczarowania.

Koła łopatkowe młynów wodnych rozmieszczono w odległości może trzech długości łodzi – bliżej, niż się spodziewała. Mattias pokierował barką tak, by przecisnęła się między dwoma umocowanymi najdalej na południe. Carla skierowała łódź tym samym kursem, a gdy przebili się przez pianę, ujrzała otwarty, szeroko rozlany nurt, połyskujący w świetle księżycy aż po czarną linię blokady. Wysepki zasłaniały większość zapory ze skutych łańcuchami łodzi, na którą z prawego brzegu wpełzały pojedyncze światełka pochodni.

– Grymonde, pociągnij.

Carla skierowała łódź kursem równoległym do barki. Mattias trzymał rumpel między kolanami, niespiesznie odbijając się drągiem od dna. Obejrzał się przez ramię i pomachał do niej. Dziób piekielnej łajby wyglądał jak krater podwodnego wulkanu plującego ogniem z węglowej korony. Dostrzegła w płomieniach zarys postaci uwiązanej gdzieś na stoku owego wulkanu, rzucającej się rozpaczliwie, poczerniałej i bezwłosej, wymachującej dymiącymi rękami w strzępach ubrania. Okrucieństwo tej sceny wydało jej się odrażające. Okrucieństwo Mattiasa. Lecz i ona nie protestowała przeciwko temu, co zamierzał zrobić, więc było to i jej okrucieństwo.

Odwróciła głowę.

Plaża poniżej murów Conciergerie była usiana trupami zmasakrowanych hugenotów. Mordercy stali pośród nich, unurzani po kolana we krwi, miotając przekleństwa i potrząsając długimi nożami niczym duchy przeklętych, którym obcy był żal za grzechy. Zegar na wieży wskazywał pół do pierwszej. W cieniu więzienia Carla dostrzegła sporą grupę hugenotów – co najmniej dwadzieścia osób – spętanych w pasie jedną długą liną, której koniec trzymał milicjant. Gdy łódź przepływała w pobliżu plaży, skazani na śmierć przerwali milczenie: wołali o pomoc, wyciągając ręce w stronę Carli.

Odwróciła głowę.

– Carlo, spójrz.

Pascale wskazywała na brzeg rzeki. Młoda kobieta przedostała się pod liną i teraz biegła plażą ku wolności. Jedną ręką machała rozpaczliwie w stronę ich łodzi, raz po raz wskazując na brzeg nieco dalej w dole rzeki. Drugą ręką tuliła do piersi malutkie dziecko. Ktoś krzyknął i dwa duchy rzuciły się w pogoń. Carla pchnęła rumpel ku prawej burcie i łódź gwałtownie skrzyła w stronę brzegu.

– Grymonde, daj z siebie wszystko.

Westchnął ciężko, a potem nawet zawył z bólu, ale łódź gwałtownie przyspieszyła. Kolejne trzy duchy dołączyły do pościgu, jakby zamordowanie nieznanym i jej dziecka było najcenniejszą w całym świecie nagrodą. Na płyciźnie unosiły się niezliczone ciała pomordowanych. Carla wiedziała już, że popełniła błąd: najcenniejszą nagrodę wiozła w tej łodzi i właśnie naraziła ją na śmiertelne niebezpieczeństwo. Została jej ledwie chwila na zmianę kursu. Zaciśnęła dłoń na rumplu, gotowa odbić w stronę środka nurtu, a w odpowiedzi poczuła uścisk w głębi łona.

Jeśli nie spróbujesz, ty także będziesz potępiona.

Carla utrzymała kurs.

– Grymonde, mocniej lewym.

Dziób wbił się już między trupy; płynęli coraz wolniej.

Kobieta wbiegła do płytkiej wody. Duch, który był najbliżej, skoczył za nią i wbił miecz w jej plecy. Potknęła się i zachwiała, ale siłą woli sięgnęła za siebie i odtrąciła klingę. Duch także stracił równowagę i upadł na jedno kolano. Miłość i rozpacz dodały kobiecie sił: brodziła coraz głębiej, łapiąc powietrze szeroko otwartymi ustami. Spojrzała na Carlę i wyciągnęła ramiona przed siebie, by oddać jej niemowlę. Łódź miała przepłynąć tuż obok niej.

– Pascale, weźmiesz dziecko.

Carla poczuła, że dno łodzi szoruje po piasku. Pascale siadła okrakiem na ławce i zawołała w stronę kobiety, która znowu się zachwiała, brodząc teraz po uda w wodzie, i odruchowo przycisnęła małeństwo do piersi. Duch już ją doganiał, z wysoko uniesionym mieczem. Syknęła strzała. Trafiony w pierś, upadł i zniknął pod wodą.

Łódź była już na tyle blisko, że Carla dobrze widziała twarz rannej kobiety. Widziała wyciągnięte ramiona i dziecko w jej dłoniach. Widziała też, jak coś wbiło się w jej korpus. Widziała, jak opadły powieki. Widziała, jak fala wzburzona przepływającą łodzią obmywa jej piersi. Widziała, jak kobieta pada na plecy i tuląc do piersi dziecko, znika pod wodą, choć od wyciągniętych rąk Pascale dzieliła ją co najwyżej stopa.

Pascale wychyliła się nad burtą najdalej, jak tylko mogła, zahaczywszy nogi o ławkę. Jej głowa i ramiona zniknęły w falach i trwało to tak długo, że Carla już miała skoczyć do niej i wciągnąć do łodzi. Lecz w końcu Pascale wynurzyła się, ociekając wodą, z pustymi pięściami wzniesionymi ku niebu, krzycząc ze wszystkich sił, by wyrzucić z siebie całą wściekłość i cały żal. Było tak, jakby ktoś wyrwał jej duszę z korzeniami, jakby w jednej chwili straciła wszelką wiarę.

Carla nie mogła sobie pozwolić na taki akt rozpacz.

Kolejna strzała śmignęła gdzieś po prawej. Głuchy łomot, przekleństwo i plusk.

Duchy biegły w wodzie tuż za jej plecami.

– Grymonde, mocno!

Carla pociągnęła za rumpel, kierując łódź w stronę płonącej barki.

Pascale zerknęła nagle i wyszczerzywszy zęby w dzikim grymasie skoczyła z ławki, po drodze depcząc Juste'a i Grégoire'a. Rumpel wyrwał się nagle z rąk Carli: jeden z duchów musiał chwycić za płetwę steru.

Nie zważając na ostry ból w brzuchu, poderwała się z siedziska i całą mocą grzbietu, ramion i nóg naparła na drążek, by utrzymać kurs. W pierwszej chwili ster ustąpił, ale nowe szarpnięcie omal jej nie przewróciło. Pascale wylądowała na ławce sternika i przyklękła. W jej wyciągniętej ręce błysnęła stal. Carla usłyszała krzyki – ducha i Pascale – a potem w strugach wody zamajaczyła twarz z otwartymi ustami i rozprutym gardłem, w które Pascale raz jeszcze wbiła nóż. Ster już nie stawiał oporu. Carla zauważyła kątem oka, że Mattias znowu unosi łuk i strzela. Kolejne ciało z pluskiem zatoneło gdzieś za rufą łodzi. Naciągnął cięciwę raz jeszcze, lecz po chwili zwolnił ją, nie oddawszy strzału. Carla zrozumiała, że już nikt ich nie ściga.

Spojrzała za siebie. Kobieta z dzieckiem zniknęła na zawsze. Pozostałe duchy wiedziały, jak dać upust wściekłości: miały przecież pętlę pełną heretyków. Miały piki, miecze, buty i noże. A potem noc spowiła sprawiedliwych i przeklętych jedną nieprzeniknioną ciemnością. Carla już nie patrzyła za siebie.

Pascale wytarła sztylet spódnicą i schowała do pochwy. Krew ducha spryskała jej policzki, usta, nawet gardło. Nie spojrzała w oczy Carli. Wróciła na swoje miejsce, ukryła twarz w dłoniach i zapłakała. Juste i Grégoire szlochali razem z nią. Nawet wargi Estelle drżały, gdy zadarła głowę, by popatrzeć na Carłę. Przy Mattiasie dzieci potrafiły być twarde, ale to nic dziwnego. Carla czuła się tak, jakby ktoś ją oskarżał, i choć nie miała pojęcia, przeciwko komu jest skierowany, poczuła w sercu nagły gniew, jakby otworzyło się w niej źródło ukrytej siły.

– Pascale, ta kobieta umarła w nadziei. Umarła, stojąc. Umarła, walcząc o swoje dziecko. Nie, nie przeżyła, ale zwyciężyła.

Pascale nie odsłoniła twarzy, ale przestała płakać.

Carla usłyszała głos Alice.

Teraz to twoi synowie i twoje córki, skarbie.

Jesteś matką.

Zawsze nią byłaś.

Carla nigdy wcześniej nie doznała tego uczucia. Nigdy nie czuła się uprawniona do tego, by być matką Orlandu, choć przecież narodził się z jej łona, tak samo jak Amparo. Nigdy nie zasłużyła na tę rolę; przeciwnie, czuła, że ją zdradziła. A teraz wszystko się zmieniło. Teraz wiedziała. Alice uleczyła ranę, której nie mógł uleczyć czas. Carla była matką, a to byli jej synowie i jej córki. Czując na sobie to niebywałe brzemie, doświadczała jednocześnie jego mocy i piękna.

– Pascale.

Dziewczyna opuściła ręce i spojrzała na nią. Carla odetchnęła głęboko. Tak się przyzwyczaiła do jej odwagi, że atak nagiej rozpaczycy wręcz ją wystraszył. A przecież Pascale była jeszcze dzieckiem. Próbowwała ocalić cudze niemowlę, a porażka musiała obudzić w niej wspomnienie innych, zapewne jeszcze okropniejszych scen.

– Pascale, nigdy nie byłam tak odważną dziewczynką jak ty.

Nie odpowiedziała.

– Bądź teraz nie tylko odważna. Choćbyśmy przemierzyli pięć rzek Hadesu, nie znaleźlibyśmy tak zroczonych dusz, jak te, które stłoczono na brzegu tej wyspy. A przecież w samym środku tego... tego wszystkiego... to właśnie ty dałaś tej kobiecie nadzieję. Właśnie ty dałaś jej to dobre uczucie w ostatniej chwili życia. Tej nocy na całym świecie nie ma cenniejszego daru. Nie jest nim nawet życie.

– Tej nocy życie jest bezwartościowe.

– Słuchaj Carli, dziewczyno. – Grymonde wiosłował pracowicie i rytmicznie, choć musiał cierpieć niewyobrażalne katusze. W jego pustych oczodołach widać było nie tylko światło księżyca, ale i osobliwy spokój. – Nie porzucaj nadziei, bo wszystkim nam jej zabraknie, a innej nie znajdziemy w tych mętnych wodach. A co się tyczy życia, to jest ono ledwie krótkotrwałym płomieniem, więc... płońmy wielkim ogniem.

Pascale otarła twarz i spojrzała na niego.

– Tak jak Hervé?

Grymonde znowu zgiął się wpół nad wiosłami, lecz tym razem ze śmiechu. Agnès i Marie zachichotały.

– Uwielbiam kobiety z ostrym językiem.

– Chcę wiosłować – powiedziała Pascale.

Grymonde położył wiosła na kolanach.

Dziewczyna spojrzała pytająco na Carłę, która w odpowiedzi skinęła głową. Pascale wsunęła swoje wiosła w dulki. Ramiona miała szczupłe, ale żyłaste. Jej pociągnięcia były krótsze i słabsze, za to znacznie szybsze. Zaczęli doganiać barkę.

Piasek na plaży prawego brzegu był czarny od krwi i śmierci, ale Carla nie widziała już duchów. Nikt też nie próbował wypłynąć na rzekę i zbliżyć się do piekielnej łajby. Nieliczni maruderzy wspinali się po schodach ku wysokim nabrzeżom, na których czekały już oddziały milicji. Pojawił się jeździec. Krzyki. Nagły ruch.

Wszyscy podążali w stronę zapory.

Łódź miała już niewiele do pokonania. Im bliżej byli blokady, tym wydawała się groźniejsza. Tworzyły ją głównie lichtugi, których płaskie dna nie stawiały nurtowi wielkiego oporu, a szerokie pokłady zapewniały ludziom sporo miejsca. W każdej z nich czuwał co najmniej jeden milicjant z bronią drzewcową; w niektórych było ich nawet trzech albo czterech. Odległość wciąż się zmniejszała. Carla zauważyła, że ci, którzy tworzyli grupki, nie trzymali pik ani halabard, tylko długie tyczki: zamierzali utrzymać płonącą barkę z daleka od zapory.

Mattias uparcie podążał do celu. Krople potu na jego twarzy lśniły odbitym blaskiem płomieni. Wreszcie wyjął drąg z wody i odłożył, by odwrócić się ku Carli i wskazać na przesmyk między Cité a wysepką położoną u jej krańca. Skinęła głową, a wtedy przycisnął palce do ust i przesłał jej całusa. Była zbyt wzruszona, żeby odpowiedzieć tym samym. Mogła przysiąc, że widziała uśmiech na jego obliczu. A potem skupił się na sterowaniu, by skierować płonący dziób barki wprost na środkową część zapory.

Carla skręciła w stronę przesmyku. Zachodnią część Cité otaczał mur obronny, a nad rozwidleniem rzeki górowała wieża strażnicza, w której, jak się jej wydawało, dostrzegła hełm wartownika. Mała wyspa była zupełnie płaska, lecz rzeka zalewała ją zbyt często, by ktokolwiek odważył się tu zamieszkać. Trochę dalej widać było następną, nieco szerszą, a oddzieloną od mniejszej wąskim kanałem.

– Pascale, wystarczy.

Wiosła wynurzyły się z wody.

– Carla, spójrz – powiedziała Estelle.

Dziewczynka wskazywała palcem na płonącą barkę, którą mieli teraz wprost przed dziobem i która zmierzała ukosem ku miejscu na prawo od środka blokady. Mattias strzelił z łuku i na oczach Carli jeden z milicjantów z tyczką, stojący po lewej stronie zapory, padł na plecy. Ci, którzy stali obok, w panice padli na pokład. Carla odwróciła głowę, by pilotować łódź w głąb przesmyku.

– Nie, spójrz jeszcze raz, na wodę.

Estelle złożyła dłonie wokół ust.

– Tannzer!

Carla zignorowała ją i wykonała kolejny zwrot, tym razem wyprowadzając łódź z przesmyku na wody kanału. Ściągnęła rumpel ku sobie i łódź, tracąc prędkość, zakołysała się tuż przed ujściem kanału, gdzie łączyły się ze sobą dwa nurty Sekwany. Przed sobą, już w niewielkiej odległości, mieli zaporę zbudowaną z łodzi i łańcuchów, biegnącą od tour de Nesle na lewym brzegu, do tour au Coin na prawym.

Zza wysepki wyłonił się pływający wulkan.

Lecz nagle barka zmieniła kurs.

Carla dobrze widziała Mattiasa.

Wychylił się nad rufą, próbując dosięgnąć steru. Mechanizm musiał się zaciąć. Płonący dziób zaczął skręcać w lewo. Mattias musiał natychmiast zmienić położenie steru, inaczej barka zablokuje lewą stronę zapory, choć miała zablokować prawą. W tej sytuacji, jeśli będzie chciał ją zerwać, zaatakują go zmasowane siły Garniera zgromadzone na prawym brzegu. Prędkość znoszenia była taka, że według Carli została mu najwyżej minuta do zderzenia z barierą, a pół minuty na dokonanie korekty kursu.

Nabrzeże bluznęło ogniem muszkietów i zasnuło się dymem.

Carla zamknęła oczy.

Gdy je otworzyła, tysiące drzazg wyrwanych z rufy barki salwą z broni palnej jeszcze unosiły się w powietrzu. Mattias zniknął i wydawało się, że nikt nie kontroluje ruchu piekielnej łajby.

Juste podniósł się na kolana, a Grégoire chwycił go oburącz za zdrowe ramię i usiadł, przewiesiwszy łokcie za burtę.

Estelle chwyciła Carlę za rękę.

Dzieci przyglądały się wydarzeniom w całkowitej ciszy.

Lecz Carla nie potrafiła. Spojrzała na Amparo, przytuloną pod brodą Estelle.

Małe oczka spoglądały to w prawo, to w lewo, aż wreszcie zatrzymały się na twarzy matki. Amparo nie wyglądała na zaniepokojoną. I słusznie, pomyślała Carla, ignorując potworny ucisk w piersi. Zawsze możemy wrócić do katedry. Przeżyjemy. A gdy przyjdzie czas, dopilnuję, żeby Bernard Garnier i Dominic le Tellier zdechli na kolanach, błagając o litość. Przysięgam.

Wyciągnęła rękę, by dotknąć ust Amparo.

– Przysięgam na twoje życie.

Jeszcze nigdy nie złożyła tak straszliwej przysięgi.

Nie wyobrażała sobie, że takie słowa przejdą jej przez gardło.

A jednak je wymówiła.

Poczuła na ramionach dłonie, choć przecież nie miała za plecami niczego prócz leniwie płynącej wody.

Stare dłonie, delikatne, ale silne.

Napięcie minęło.

Carla skinęła głową.

– Dziękuję, Alice.

– Mamy niewidomego na pokładzie, czy ktoś mu powie, co się tam dzieje?

– Pascale – odezwała się Carla, nie odrywając oczu od swego dziecka – czy Mattias żyje?

– Żyje i drukuje na czerwono.

Carla odważyła się spojrzeć.

Barka unosiła się burtą przy zaporze, zwrócona rufą w stronę prawego brzegu. Zatrzymała się wystarczająco blisko plaży, by ludzie Garniera mogli ją zaatakować, brodząc w wodzie. Mattias słał w kierunku nabrzeża strzałę za strzałą. Carla przyglądała się, jak pięknie i rytmicznie pracują mięśnie i ścięgna jego ramion i grzbietu. Wiedziała, co zamierza.

Mattias powali najpierw muszkietarów, zanim zdąży załadować broń.

Następnie wypędzi motłoch z zapory – ci ludzie, w przeciwieństwie do niego, panicznie boją się śmierci.

Gdy skończy, spróbuje rozerwać blokadę.

Wtedy pojawi się Garnier, a jako że jest lajdakiem bez honoru, nie przybędzie sam.

Jeżeli zapora nie będzie jeszcze przerwana, Mattias może nie podołać zmasowanemu atakowi.

– Carlo, powiedz mi, co mam robić – odezwała się Pascale. – Jeśli tego nie uczynisz, po prostu zacznę wiosłować.

Nie żartowała. Jej wiosła już zawisły nad wodą.

Pozostałe dzieci także spoglądały na Carlę. I także były gotowe.

Carla popatrzyła na córeczkę.

– Twój ojciec nie będzie zadowolony.

Amparo zakwiliła pogodnie.

Carla spojrzała na Pascale, a Pascale wyszczerzyła kły.

– Pascale, zabierz nas do zapory.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Diabelska grobla

Choć ludzie mawiali, że Fortuna jest ślepa, Tannhäuser wcale w to nie wierzył. Gdy tylko miała ochotę, przestawiała pionki z podejrzaną fantazją. Szanował ją za to, ale wątpił, by ją to obchodziło.

Spokojnie zbliżał się do blokady, kursem odbiegającym od prostopadłego może o kilka stopni w lewo. W niewielkiej odległości zamierzał wykonać ostry zwrot, tak by dziób uderzył w zaporę po prawej stronie, jak najbliżej brzegu. Gdyby pękła pod naporem barki – byłoby wspaniale. Jeśli nie, to rufa miała dobić do blokady chwilę później, mniej więcej w jej połowie, a prąd docisnąłby ją na całej długości burty. Ogień na dziobie barki miał uczynić go niewidzialnym od strony prawego brzegu. W połączeniu z ochroną, którą dawała mu reduta, oznaczałoby to pełną swobodę działania: mógłby nękać ostrzałem milicjantów rozstawionych na łodziach.

Rozsypany luzem węgiel drzewny pięknie zajął się ogniem jeszcze przed pierwszym mostem i sądząc po odcieniu jego czerwieni, w głębi stosu był już tak gorący, że można było wytapiać w nim metal. Był też dostatecznie gorący, by ogień objął także worki niesąsiadujące z pierwotnym ogniskiem. Płomienie były zbyt jasne, by mógł za nimi dostrzec to, co działo się w środkowej części zapory, ale wychyliwszy się nad sterburtą, wybrał zawczasu łódź, na którą zamierzał przeskoczyć, i czym prędzej powalił jej obrońcę strzałem w pierś. Przebiegł szybko na lewą stronę i tu z kolei ujrzał lichtugę z czterema milicjantami. Stojący pośrodku oberwał jako pierwszy; zanim położył trzeciego, na pokładzie nie było już nikogo. Niektórzy uciekali w stronę lewego brzegu, przeskakując z łodzi na łódź; inni po prostu leżeli i nie zamierzali wykonywać żadnych ruchów.

Strzelał z łuku strażnika, który Pascale znalazła w domu Irène, teraz zaś wypuścił rumpel na krótką chwilę, by odłożyć broń i wsunąć do kołczanu dwie strzały, których nie wykorzystał. Obrócił się na pięcie, czując, że barka gwałtownie zmienia kurs.

Rumpel odchylił się w bok w mgnieniu oka – i znieruchomiał. Tannhäuser chwycił go oburącz i pchnął. Ster zareagował powoli i niechętnie, jakby tkwił w gęstym mule. Nagle rozległ się piskliwy okrzyk, a na ogonie rzeźbionej syreny pojawiła się mała, biała dłoń. Palce zacisnęły się kurczowo.

Tannhäuser wypuścił rumpel, który natychmiast wrócił do poprzedniej pozycji. Wychylił się za rufę i ujrzał chłopca, który przytulił się z prawej strony do płetwy sterowej.

Malec kaszlał, wypływając sporo wody, i był zdecydowanie zbyt zajęty walką o życie, by ulec panice. Barka musiała doścignąć go w wodzie, a gdy ją zobaczył, postanowił skorzystać z okazji. Jeśli Tannhäuser dobrze widział, chłopak był nagi i z całej siły pracował nogami, próbując wydzwignąć się ponad lustro wody. W rezultacie jednak ster wychylał się coraz mocniej, a barka podążała niewłaściwym kursem.

Tannhäuser przyklęknął, sięgnął w dół i wciągnął dzieciaka na pokład.

Doświadczenie wojskowe nauczyło go, że gdy strzelano z muszkietów gładkolufowych z odległości przekraczającej czterdzieści kroków, najbezpieczniejszy był ten, kto był celem. Broń ta nadawała się bowiem – poza niewątpliwie skutecznym wzbudzeniem strachu – jedynie do strzelania salwami w szczelną formację wroga; wtedy istniała szansa, że niektórzy zostaną trafieni. Ludzie Dominica dobrze się ustawili i wykazali cierpliwością. Mieli sześć muszkietów, czyli dostateczną liczbę, by oddać groźną salwę. Co gorsza, obrót barki pozbawił Mattiasa ochrony w postaci półkolistej reduty.

Kiedy więc wyciągał chłopca z wody, chwyciwszy go za lewe ramię i prawą pachę, i dostrzegł kątem oka złowróżbne błyski w całym rzędzie panewek, pozostało mu tylko jedno: przycisnął malca do piersi i rzucił się na pokład. W tym samym momencie poczuł mocne uderzenie kuli w żołądek i nie bardzo wiedział, czy to postrzał, czy zderzenie z pokładem pozbawiło go tchu. Przewrócił się na plecy. Czuł, że spływa po nim krew, ale od razu wiedział, że nie jego. Chłopiec się nie ruszał. Tannhäuser zdjął go z siebie, uniósł głowę i spojrzał w dół, na swe zalane krwią ciało. Kula z muszkietu leżała na jego brzuchu. Odłożył ciało chłopca na bok i podniósł się. Gdy przyklęknął, kula spadła na pokład i potoczyła się w mrok.

Rumpel.

Coś, co zobaczył kątem oka, kazało mu znieruchomieć, choć właśnie miał się odwrócić, by zająć się sterem.

Znowu uklęknął.

Na szyi chłopca widniało truskawkowe znamię.

Tannhäuser pamiętał, jak matka zasłoniła je przed jego wzrokiem, jakby się bała, że odczyta w nim znak Złego. To ten chłopiec powitał go uśmiechem u bram Paryża. Kto wie, czy nie był to najweselszy widok ostatnich kilku dni. Spróbował unieść nieruchome ciało; było dziwnie ciężkie, a głowa opadła bezwładnie.

– Przecież stąd uciekliście. Po co wróciłeś?

Tannhäuser właściwie nie wiedział, co go tak zabolalo. W tej rzece pływało zapewne więcej martwych chłopców niż ryb. Gdy odciągał ciała jemu podobnych, torując drogę Grymonde'owi, nie żegnał ich nawet prostym „Amen”.

– Nie znam cię, chłopcze. Czy to możliwe, że ty znasz mnie?

Kloaka odrażających wspomnień, z których najstarsze zarejestrował jeszcze we wczesnym dzieciństwie i których na co dzień wołał nie wywoływać, podeszła mu do gardła. Tak, znał tego chłopca, a nawet mu zazdrościł, dla niego bowiem historia już się zakończyła.

Położył go delikatnie. Uwolnił szczupłe ramiona.

Wstał i pociągnął za rumpel.

Ster nadal był zablokowany.

Szarpnął najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Daremnie. Znowu wychylił się nad rufą i przesunął palcami po szczelinie między krawędzią steru a kadłubem. Już wiedział. Kula z muszkietu, gruba jak jego kciuk, utknęła między górnym zawiasem a płetwą. Była jeszcze ciepła. Spróbował ją wydłubać, ale tylko złamał paznokiec. Rozgrzany ołów wręcz wtopił się w żelazny element, na dobre blokując ster w pozycji maksymalnego wychylenia ku lewej burcie. Tannhäuser chwycił oburącz górną krawędź płetwy; popchnął, pociągnął, ale usłyszał jedynie groźny trzask drewna. Znowu dotknął kuli: była bardziej zdeformowana, lecz trzymała się równie doskonale. Próba wydobycia jej za pomocą sztyletu mogła potrwać kilka minut; prąd rzeki nie dawał mu aż tyle czasu.

Prawy brzeg z wolna pojawiał się w polu widzenia, a wraz z nim masa łódek zalegających na plaży. Kościół Saint-Germain-l'Auxerrois. Plac, na którym pierwszy raz skarcił Juste'a. Stożkowate wieże Luwru. Dryf miał się zaraz zakończyć fatalnym ustawieniem barki: dziobem ku lewemu brzegowi, nie prawemu. To oznaczało z kolei, że blokadę trzeba będzie przerwać mniej więcej w połowie długości, przy czym posiłki od strony nabrzeża dotrą na miejsce bezpiecznie, z prawego brzegu. Nikt i nic nie zatrzyma ataku od strony nabrzeża. Chyba że zrobiłby to sam.

Oddał Fortunie to, się jej należało: porzucił ster.

Wyjął z kołczanu garść strzał z szydłami, sięgnął po łuk i zerknął w stronę zapory, zakładając pierwszą z nich. Rufa miała uderzyć w barierę mniej więcej o cztery łodzie od brzegu, przy odrobinie szczęścia może o pięć. Wszystkie po tej stronie blokady były lichtugami, długimi mniej więcej na dwadzieścia pięć stóp i spiętymi łańcuchami, których długość nie przekraczała dwóch stóp. Wiedział już, na którym pomoście wychodzącym w nurt rzeki ulokowali się muszkietrzy. Z tego samego miejsca strzelali do innych uciekinierów, niespełna dwadzieścia godzin wcześniej. Teraz zaś w pośpiechu ładowali broń.

Tannhäuser naciągnął cięciwę i zabił pierwszego z prawej.

Naciągnął po raz drugi i zabił pierwszego z lewej.

Obaj zostali trafieni w brzuch. Obie strzały wbiły się aż po lotki.

Gdy padł drugi, dwaj środkowi zrozumieli, że nie zdążą nabić muszkietów. Gdy uciekali, trafił jednego z nich w plecy. Właśnie zakładał kolejną strzałę, gdy drugi zniknął mu z oczu. Piąty rozsądnie przyspieszył ucieczkę, porzucając broń. Tannhäuser i tak go uśmiercił i znowu przygotował się do strzału. Gdy szósty poderwał się do biegu, szydło przebiło oba jego uda; z okrzykiem, który zapewne spodobał się upadłym aniołom czekającym na jego duszę, potknął się i zanurkował do rzeki, która stała się jego grobem.

Tannhäuser sięgnął po kolejną strzałę. Pomiędzy dwoma pomostami znajdowały się szerokie schody prowadzące na plażę. U ich szczytu dostrzegł pochodnie i grupki milicjantów z białymi i czerwonymi opaskami, a nad nimi krzykliwy sztandar. Postanowił, że nie będą pielgrzymowali zbyt radośnie. Posłał strzałę w sam środek oddziału, by wiedzieli, że tu jest. Konsternacja, którą wzbudził, była natychmiastowa i powszechna.

Rufa nieubłaganie zbliżała się do prawego skrzydła blokady.

Drugi pomost był galerią widokową dla innej grupy Pielgrzymów, wśród których największe zaciekawienie budził zwęglony trup tynkarza. Tannhäuser zaproponował im nowy temat do rozmowy, strzelając jednemu z nich prosto w twarz. W kołczanie zostało sześć strzał. Zarzucił go na ramię. Miał też dwanaście strzał do łuku Altana. Ucieszyłby się, gdyby miał ich więcej. Wyjrzał ponad krawędź reduty.

Zapora sprawiała wrażenie opustoszałej. O burty lichtug obijały się setki trupów, jakby ustawiono blokadę specjalnie po to, by zgromadzić je w jednym miejscu. Napierały na wybrzuszoną środkową część zapory, jak gdyby powodowały nimi jakieś ważne motywy, jakby zależało im, żeby jak najszybciej wyruszyć w dalszą drogę. Ostatnia łódź była uwiązana wprost do drewnianego pomostu. Tannhäuser miał wrażenie, że prąd rzeki przyspieszył. Od kolizji barki z barierą dzieliło go może pół minuty.

Schylił się po szponton i wtedy zauważył zwiniętą plandekę. Wyjął ją spod ławki, tknięty nową myślą. Sięgnął po drąg, oparł go o stertę worków i wspiął się na nią, niosąc pod pachą plandekę. Zdołał zrobić trzy kroki, zanim powstrzymał go żar. Rozwinął smołowane płótno i zarzucił je na czubek drąga, a następnie zbliżył do płomieni. Właśnie schodził, gdy plandeka gwałtownie zajęła się ogniem.

Zeskoczył z ostatnich worków i dźwignął drąg.

Materia płonęła z głośnym szumem wysoko nad jego głową, pryskając mrowiem maleńkich kropel smoły. Na ułamek sekundy jego ramiona i pierś rozjarzyły się dziesiątkami

płomyków, które gasły, zanim zdążyły go oparzyć. Wychylił drąg za burłę, w stronę trzeciej lichtugi. Sięgnął po szponton i miecz, a łuk strażnika zarzucił na plecy. Drewniany szkielet barki zadrżał, gdy dziób dosięgnął blokady. Tannhäuser rozluźnił mięśnie, oczekując wstrząsu.

Wstrząs, który nastąpił, gdy cała burta zderzyła się z zaporą z łodzi, cisnął go na ścianę reduty.

Wiązary jęknęły, a deski poszycia zaskrzypiały ostrzegawczo. Dziób przesunął się jeszcze trochę, zanim zaklinował się i znieruchomiał. Zapora ugięła się w głębszy łuk, ale łańcuchy wytrzymały.

Tannhäuser stanął na burcie na wysokości rufy. O stopę wyżej sięgała burta najbliższej, czwartej lichtugi. Wstąpił na nią, odepchnął się szpontonem i wylądował mniej więcej w połowie długości płaskodennej łodzi. Jakiś człowiek skulił się przy latarni może o cztery stopy od niego, zasłaniając twarz dłońmi. Gdy opuścił je na chwilę, w żółtawym świetle Tannhäuser zobaczył strach w jego oczach. Ciął szpontonem w szyję.

Był już na zaporze.

Za nią rzeka płynęła jak zawsze swobodnie – aż do morza.

Tannhäuser podniósł latarnię i ruszył w stronę rufy, mocząc buty we krwi, która zbierała się w najniższym punkcie kadłuba. Od pomostu dzieliło go mniej więcej siedemdziesiąt stóp – długość trzech łodzi. W sąsiedniej lichtudze zastał dwóch płonących milicjantów, którzy właśnie zrozumieli, że najrozsądniej będzie wskoczyć do wody. Płandeka wisząca na czubku drąga jeszcze spływała w dół ścianą ognia, ale pomału zaczynała gasnąć. Z płomieni wyłoniła się trzecia postać. Twarz tego Pielgrzyma składała się głównie z bąbli, a ubranie płonęło od spadających strzępów i kropel niczym rytualny strój kapłana sekty samobójców. Mężczyzna machnął bezradnie rękoma i spróbował zaczerpnąć tchu, a wtedy ogień skoczył mu do ust. Upadł na plecy, by zagrać do końca rolę ofiary całopalnej.

Tannhäuser przyjrzał się uważnie połączeniu między dwoma jednostkami. Grubym łańcuchem obwiązano knagę na rufie lichtugi, bliżej lewej burty, dodatkowo nadziewając dwa ogniwa na jej rożki. Oba końce łańcucha skręcono następnie w jeden warkocz długi na dwie stopy. W miejscu, w którym znowu się rozdzielały, obwiązano nimi tak samo umocowaną knagę na rufie sąsiedniej łodzi, a luźne ogniwa spięto kłódką. Obie knagi były z kutego żelaza, a ich płytki mocujące przytwierdzono do szkieletu łodzi solidnymi trzpieniami.

Mattias odłożył łuk i miecz. Zawiesił latarnię na haku, wycelował dobrze i wbił zakończoną kolcem dolną końcówkę szpontonu w drewno tuż obok pierwszego trzpienia. Nacisnął drzewce i pierwsza drzazga w kształcie klina odskoczyła z chrzęstem. Dwie minuty,

pomyślał, a niech utonę, jeśli więcej niż trzy. Dym i iskry napływały falami znad piekła, które rozpałił na pokładzie barki, ale nie zważał na nie: wbijał kolec i podważał kawałki drewna krótkimi, szybkimi uderzeniami – tym łatwiej, że drażył zgodnie z biegiem włókien. Po chwili przebił belkę na wylot, odsłaniając cały trzpień. Teraz wystarczyło odgiąć nieco przednią płytkę mocującą, co także nie stanowiło wielkiego problemu. Miał nadzieję, że jeśli mocno szarpnie, zdoła wyrwać drugi trzpień, ale tak się nie stało: drewno wprawdzie zaskrzypiało, ale nie ustąpiło, za to kolec szpontonu wygiął się niebezpiecznie. Tannhäuser odpuścił.

Dostęp do drugiego trzpienia był trudniejszy: zasłaniały go zwoje łańcucha. Zmienił pozycję, przechodząc na dziób trzeciej łodzi. Zerknął za siebie. Ogień wokół dymiącego akolity dogasał już, bo wypaliła się cała plandeka. Znowu zabrał się do pracy i po chwili udało mu się oderwać spory fragment drewna otaczającego drugi trzpień. W tym momencie raczej wyczuł, niż usłyszał za sobą kroki.

Odwrócił się w chwili, gdy z chmury dymu mknął ku niemu grot halabardy. Zdążył zagarnąć drzewce skrzydełkiem szpontonu i zmienić trajektorię lotu, a gdy grot wbił się w dziób lichtugi, rzucił broń i skoczył naprzód, sięgając po sztylet. Pchnął halabardnika od dołu, poniżej lewych żeber, a potem poprawił w szyję i przeciął tchawicę. Gorąca krew trysnęła na pierś Tannhäusera, a pokonany Pielgrzym zwałił się ciężko na pokład.

Od strony drugiej łodzi zbliżało się co najmniej czterech zbrojnych; następni majaczyli w oddali, na pierwszej lichtudze i na drewnianym pomoście. Kilku brodziło w rzece po obu stronach zapory, ale już przy pierwszej łodzi woda sięgała im po uda.

Tannhäuser otrząsnął sztylet i schował go do pochwy. Szponton, którego kolec służył mu za dłuto, zostawił tam, gdzie go potrzebował; sięgnął za to po halabardę. Podszedł do spalonego akolity. Gdy nastąpił na jego pierś, ciało podskoczyło niespodziewanie, zwinęło się z bólu. Podparł się więc drzewcem halabardy i tym razem stanął na nadtopionej twarzy. Obcas ześliznął się z niej, zdzierając przy okazji większość tkanek z czaszki. Cofnął się o krok, depcząc żebra i miażdżąc płuca. Podmuch powietrza spod dociśniętego ciała na nowo rozbudził płomienie nad dopalającymi się resztkami plandeki; skoczyły wysoko, aż do bioder Tannhäusera. W tym momencie zauważył kolejnego Pielgrzyma, który znieruchomiał wsparty jedną nogą o rufę trzeciej łodzi, w bezbrzeżnym zdumieniu obserwując makabryczny spektakl.

Mattias zaatakował. Halabarda weszła jak w masło w ciało poniżej mostka, a impet szarzy zrzucił milicjanta z burty wprost na ukrytych za nią towarzyszy, zajętych wymianą bezsensownych rad. Tannhäuser wyszarpnął ostrze, gdy tylko wylądował. Półobrót z bioder

wystarczył, by toporek na końcu halabardy dosięgnął najbliższego stojącego Pielgrzyma: wbił się w czaszkę na wysokości oczodołu i zatrzymał dopiero przy nosie, po drodze wypychając na zewnątrz oko. Jeden ruch drzewca wystarczył, by otworzyć mu głowę jak szczapę drewna. Stojący obok wykazał się refleksem: złapał padającego z rozplataną czaszką towarzysza, jakby się obawiał, że potłucze się, upadając. Tannhäuser nagroził go za to ciosem z góry, który skutecznie otworzył i jego czerep.

Zirytowali go ci nieszczęśni imbecyle. Ich kompletny brak wartości bojowej był dla niego obrazą. Ich życie nie było warte nawet tych kilku chwil, których potrzebował, by wyróżnić ich jak barany.

Z wody wystrzeliła nagle pika. Uchylił się i przemknęła obok jego piersi, a potem ciał z góry ponad burtą łodzi, za pierwszym razem trafiając tuż za uchem osiłka, który ją cisnął. Nie był to najcelniejszy cios, ale ciężar ostrza sprawił, że miękkie tkanki odeszły od czaszki tak łatwo, jakby kroił rzepę. Przypadkowe uszkodzenie zawiasu żuchwy wywołało efektowną kaskadę krwi i zepsutych zębów.

To psy, pomyślał ze złością. Nawet nie przeciwnicy, tylko ofiary.

Przeszedł nad zabitymi i zaatakował czwartego Pielgrzyma, który właśnie się wycofywał. Piąty skoczył tymczasem na rufę łodzi i widać było od razu, że jest jeszcze większym głupcem niż pozostali, uczynił bowiem swoją włócznię kompletnie bezużyteczną, przywiązując do niej sztandar. Czwarty zmienił zamiary i spróbował szkolnego wręcz pchnięcia półpiką. Tannhäuser uchylił się bez wysiłku, skrócił uchwyt i z półdystansu ciał od szyi w dół. Toporek rozpołowił trzy żebra, zanim utknął w śródpiersiu, a uwolnieniu go towarzyszyła jeszcze jedna fontanna krwi. Odwaga opuściła piątego Pielgrzyma: właśnie zaczął się cofać, a sztandar raz po raz owijał się wokół jego głowy i ramion. Solidny zamach i nisko wyprowadzone cięcie pozbawiło go połowy prawej stopy.

Chorąży natychmiast porzucił sztandar i padł na kolana, błagalnym gestem kierując ramiona na wschód, ku pierwszej lichtudze. Wrzasnął na swych towarzyszy, by go ratowali.

Tannhäuser strząsnął pot z czoła i poruszył barkami, by rozluźnić mięśnie. Spojrzał na owych towarzyszy, a oni spojrzeli na niego – i zatrzymali się na śródokręciu. Było ich sześciu. Wykorzystując burtę jako wygodną podkładkę, jednym cięciem odjął prawą rękę chorążego tuż powyżej łokcia. Sześciu milicjantów patrzyło w osłupieniu, jak odrąbana kończyzna ląduje w wodzie, a Mattias, nie tracąc czasu, zmienił pozycję i w ten sam sposób potraktował lewą rękę. Pielgrzym wrzasnął dziko i przeciągle, a gdy skończyło mu się powietrze, osunął się bez zmysłów. Tannhäuser przydepnął obcasem sztandar okrywający jego plecy i spojrzął spode łba na sześciu towarzyszy.

– To jest diabelska grobla. Znajdźcie łatwiejszą drogę.

Ten, który stał na czele drużyny, czym prędzej schował się za plecami kolegów.

Jakiś dźwięk kazał Tannhäuserowi zerknąć przez ramię.

Łódź rybacka unosiła się na wodzie przy burcie trzeciej lichtugi, oświetlona czerwonym blaskiem piekielnej łajby i zacumowana potężnym uchwytem jednej ręki Grymonde'a. Carla spoglądała na niego, siedząc u steru, a Pascale zdążyła już wskoczyć na pokład i właśnie zabierała się do pracy, którą Tannhäuser był zmuszony przerwać. Wbiła jednak pod knagę nie kolec, ale główne ostrze szpontonu. Choć tego nie widział, skrzywił się odruchowo: widywał już rany zadane przez ostrze, które pękło, zamiast się ugiąć.

– Pascale, stój!

Odwróciła się i spojrzała na niego przez smugę dymu.

Nakreślił w powietrzu krąg.

– Drugim końcem! Kolcem! Grot może pęknąć, tak jak czasem miecz. – Raz jeszcze wykonał gest odwracania, tym razem z większym zaangażowaniem. Lecz tak naprawdę nie miało to znaczenia, bo uświadomił sobie, że toporkiem halabardy mógł błyskawicznie odrąbać knagę, a rzeź, którą urządził przed chwilą na czterdziestu stopach pokładu, z pewnością kupiła im znacznie więcej czasu. Machnął ręką. – Zostaw! Ja to zrobię!

Pascale odstąpiła od knagi i stanęła, podpierając się szpontonem.

W tym momencie przez żalosne jęki okaleczonego chorążego przebił się mocny głos:

– Na rany Chrystusa, pozwól nam chociaż zabrać nieszczęsnego Jeana!

Tannhäuser obrócił się.

Za plecami sześciu towarzyszy ujrzał pomost, nabrzeża i plac – pełne Pielgrzymów. Ich broń połyskiwała w świetle pochodni i blasku księżyca. Kolejni właśnie zbiegali po stopniach na plażę, u szczytu schodów zaś stała potężna postać w błyszczącym kirysie. Garnier spoglądał na Tannhäusera.

Zresztą wszyscy na niego patrzyli. Dziesiątki par oczu.

Tannhäuser zdjął nogę z pleców „nieszczęsnego Jeana” i wskazał na krzykliwy całun, który go okrywał.

– Hej, czy to nie sztandar świętego Jakuba?

– Tak jest. I nie zostawimy go ani tobie, ani diabłu.

– Właśnie o to walczymy i za to umieramy.

Tannhäuser wyjął z portek przyrodzenie.

– No to umrzyjcie za to. – To rzekłszy, oddał mocz na nieszczęsnego Jeana oraz święty sztandar. Zastanawiał się, czy w ciszy, która teraz zapadła, Garnier słyszał ten chlupot. Wreszcie otrząsnął i schował przyrodzenie. – Od razu lepiej. Jak godzina drzemki.

Gdy schylił się po półpikę, sześciu Pielgrzymów skorzystało z okazji, by wycofać się w stronę pomostu.

– Nieszczęsny Jean zostaje tutaj, ze mną i z diabłem. Podobnie jak sztandar.

Tannhäuser uniósł półpikę nad głowę i z mocą przyszpilił do pokładu Jeana oraz sztandar świętego Jakuba. Spojrzał na sześciu. Żaden nie patrzył mu w oczy. Spojrzał więc na Garniera, który – jeśli nie liczyć tego, że oparł pięści na biodrach – nie wykonał jeszcze żadnego ruchu i chyba nie miał zamiaru. Pozostali żołnierze Chrystusa chętnie poszli za jego przykładem. Tannhäuser zaś wiedział, że jeśli gotowi są przełknąć taką zniewagę, nie są dla niego większym zagrożeniem niż trupy płynące w dół rzeki.

Odwrócił się, by zająć się demontażem knagi, i nagle zmarszczył brwi. Juste właśnie przecisnął się obok Pascale i biegł ku niemu zadymionym pokładem. Dziewczyna zawołała go, ale on tylko odwrócił się na moment, by odkrzyknąć. Co znowu wymyślił?

– Juste, stój! – zawołał Tannhäuser. – Idę do ciebie.

Ruszył, unosząc dłoń w jednoznacznym sygnale, ale gołowas ani myślał słuchać. Błady z upływu krwi, błady z odwagi i ze strachu, parł naprzód, jakby zawładnęła nim prosta obsesja: rzucić się jak worek z piaskiem i zatamować potop zła, który zalewał świat. Jakby w ten sposób można było odkupić grzechy. Był piękny, w przeciwieństwie do świata. Zdrową ręką ścisnął miecz Tannhäusera.

– Juste, zatrzymaj się – powiedział Mattias, biegnąc ku niemu. – Wracaj.

Juste właśnie przechodził z rufy trzeciej na dziób drugiej lichtugi. Rękę obciążoną mieczem wyciągnął przed siebie, by utrzymać równowagę, ale gdy lądował, trafił stopami w kałużę świeżej krwi. Zranione ramię daremnie zatrzepotało na temblaku – gdyby był w pełni sił, pewnie by ustał, ale ból, który go przeszył, wprowadził całe ciało w niezgrabny piruet.

Juste wpadł do rzeki po drugiej stronie zapory i zniknął pod wodą.

Tannhäuser spóźnił się o dwa kroki. Upuścił halabardę i pochylił się nisko nad burtą. Cięciwa łuku Altana raniła go w szyję. Nad powierzchnią pojawiła się nagle rękojeść miecza; wyprężył się, by do niej sięgnąć. Złapał za pochwę i pociągnął ją ku sobie. Ujrzał najpierw rękę Juste'a, a potem jego głowę i ramiona. Chłopak gwałtownie łykał powietrze, ale jego dłoń zdążyła obsunąć się wzdłuż śliskiej pochwy. Porywał go prąd rzeki. Tannhäuser wykrzyczał mu w twarz całą rozpacz, która mroziła jego serce.

– Ścisłaj, chłopcze! Mocniej!

Poczuł drżenie kadłuba: Pielgrzymi wskoczyli na lichtugę. Ich szybkie kroki rozniosły się echem. Tannhäuser chwycił drugą ręką rękojeść.

– Teraz wyciągnę miecz, a ty masz trzymać się pochwy, jakby to była lina.

Miał nadzieję, że łatwiej będzie im obu zacisnąć dłonie na miękkiej skórze. Powoli wysunął klingę. Juste trzymał się dzielnie, także wtedy, gdy Mattias zerkał przez ramię na atakujących, wciąż ukrywając broń poniżej burty i zdając się na instynkt bardziej niż na rozum.

Pierwszy z Pielgrzymów zbliżał się z mieczem uniesionym nad głową, ostrożnie przestępując nad trupami. Tuż za nim szedł pikinier, niosąc broń w taki sposób, by drzewce z grotem poprzedzało pierwszego o całe dwie stopy. Była to dobra formacja, wręcz rewelacyjna, gdy Tannhäuser porównał ją ze swoim położeniem. Chcąc sparować pchnięcie piką siłowo – jeśli w ogóle było to możliwe – odepchnąłby drzewce na ciało pierwszego, tylko nieznacznie zmieniając jego kurs.

Ciął na odlew, ponad grotem piki, której pchnięcie miało umieścić żelazo między jego żebrami. W tej samej chwili poderwał nogę do góry i kopnął drzewce z całą mocą. Grot przeszedł tuż nad jego głową. Miecz tymczasem dosięgnął pachy Pielgrzyma i pomknął w górę, rozłamując po drodze obojczyk. Broń wysunęła się z ręki pozbawionej wsparcia mięśni i nerwów. Mężczyzna zatoczył się i upadł, podobnie jak jego miecz. Po tym kontrataku Tannhäuser był zbyt mocno wychylony w bok i z szeroko otwartymi ramionami nie zdążył się przygotować na akcję pikiniera. Pchnięty masywnym ciałem, uderzył mocno o burtę, brutal tymczasem zmienił uchwyt na krótszy, by wrazić pikę z boku w jego gardło.

Tannhäuser w ostatniej chwili pochylił głowę i cios prześliznął się po jej czubku. Pociągnął lekko pochwę, by upewnić się, że wciąż czuje ciężar Juste'a, a potem wsunął głowę między ramiona pikiniera i zatopił zęby w jego dolnej wardze. Zamknął oczy, całkiem słusznie spodziewając się wrzasku i potoku flegmy, która spłynęła po jego policzku. Poczuł w ustach krew, włosy i cuchnący oddech. Miecz, który wciąż trzymał prawą ręką, przyciągnął bliżej siebie i wtedy poczuł, że ostrze ociera się o ciało przeciwnika. Zaczął piłować szybkimi, krótkimi ruchami, napierając w dół. Wrzask, skierowany wprost w jego twarz, jeszcze się nasilił, ale Tannhäuser nie przestał ciąć, póki nie ukroił grubego filetu z uda Pielgrzyma, sięgając miejscami aż do kości. Poczuł, że ręce wypuściły drzewce, o które opierał się plecami, i zmiernają w stronę jego szyi. Znowu ugryzł i uderzył czołem – ręce cofnęły się, podobnie jak twarz, pozbawiona już ust. Tannhäuser wyszarpnął miecz z ogromnej rany na udzie, a gdy pikinier odwrócił się, by uciec wzdłuż burty, wypluł odgryzioną wargę i wraził klingę w jego bok, nieco powyżej biodra. Wszystko to rozegrało

się w mgnieniu oka. Mattias nadal trzymał lewą ręką pochwę, dzięki której Juste jeszcze unosił się na powierzchni, gdy zaatakował go trzeci Pielgrzym, uzbrojony w miecz.

W chwili, gdy Tannhäuser już prawie wiedział, jak się obronić, szponton wbił się w brzuch napastnika aż po skrzydełka, a Pascale, która właśnie przeskoczyła z sąsiedniej łodzi, wrzasnęła dziko, życząc mu śmierci. Zaraz też wyszarpnęła ostrze, a gdy Pielgrzym upadł, przebiła go na wszelki wypadek jeszcze dwa razy i spojrzała pytająco na Tannhäusera. W lichtugach nie było już chętnych do walki. Popatrzył jej w oczy, pobłogosławił i wskazał ruchem głowy na tego, którego zranił w udo. Mężczyzna zorientował się, co się święci, i próbował uciec, ale Pascale dogoniła go i wbiła szponton w plecy. Ryknął potężnie i padł, a gdy skomlał, leżąc w kałuży posoki, uderzyła jeszcze raz: w szyję.

Tannhäuser odłożył miecz i wychylił się nad burta.

Juste miał już dość – i nie chodziło tylko o upływ krwi i wyczerpanie. Trudno było rozpoznać w ciemności jego twarz. Wydawało się, że spogląda w stronę Luwru, gdzie rozpoczęła się jego podróż do krainy ludzkiej degeneracji. Jego ręka była o dwie stopy poza zasięgiem Tannhäusera i wydawał się nieskończenie delikatny, gdy tak unosił się bezsilnie na falach.

– Juste.

Chłopak spojrzał na niego. Wypluł trochę wody. Był przytomny.

– Widzę klatkę – powiedział. – Małpi cmentarz.

– Przyciągnę cię trochę bliżej i złapię za nadgarstek. Tylko trzymaj się. Ja się zajmę resztą.

– Moi bracia też tam są. Widziałem ich, razem ze świniami i psami.

– Trzymaj mocno. Teraz pomalutku.

Tannhäuser zaczął ciągnąć ku sobie pochwę, ostrożnie przekładając dłonie. Nie ośmielił się szarpnąć mocniej, by nie wysliznęła się z rąk chłopca.

– Mam wrażenie, że wracam do domu – powiedział Juste.

– Bo wrócisz, chłopcze. Spokojna głowa.

– Jestem spokojny. I zmęczony. – Juste podciągnął kolana do kadłuba lichtugi i uśmiechnął się dziwnie. – Widziałem też Flore – dodał. – Czeka na mnie.

Tannhäuser pociągnął mocniej.

A wtedy Juste puścił pochwę i odepchnął się obiema nogami od łodzi.

Odtrącił rękę, którą zdążył jeszcze wyciągnąć Mattias.

– Powiedz Grégoire'owi, że będzie mi go brakowało.

Pascale zapłakała z nieopisanego żalu.

Tannhäuser zacisnął zęby.

Juste odpływał w dół rzeki, leżąc na plecach i spoglądając ku swym przyjaciółom.

Pascale rzuciła szponton, usiadła na pokładzie i spuściła nogi za burtę. Tannhäuser otoczył ją ramieniem w pół i przycisnął do piersi.

Zaszlochała, a potem zaczęła krzyczeć przez łyż:

– Skoro ty za nim nie skoczysz, ja to zrobię.

Tannhäuser zdążył nauczyć się pływać od czasu, gdy omal nie utonął na Malcie, ale nie czuł się – zwłaszcza w tym stroju – na tyle dobrym pływakiem, by uratować Juste’a. Zbyt mało umiał, by podejmować takie ryzyko. Tym bardziej nie zaryzykowałby życia Pascale, bez względu na to, co umiała.

– Na Juste’a po prostu przyszedł czas – powiedział cicho. – Podjął decyzję. Niech wraca do domu.

Jeszcze unosił się na wodzie, może o dwadzieścia stóp od burty, ale już oddalał się od nich.

– Po co przyniósł mi miecz? – spytał Tannhäuser.

– Powiedział, że chyba wołałeś, że go potrzebujesz – odpowiedziała.

– Nie wołałem.

Pascale przechyliła głowę, by spojrzeć mu w oczy.

– Powiedziałeś, że ostrze szpontonu może pęknąć jak miecz.

Skinął głową. Wyglądało na to, że za jego sprawą zginęli wszyscy czterej bracia.

Właściwie wypadało, by okazał wdzięczność za odwagę Juste’a.

Uniósł miecz w pożegnalnym salucie.

Chłopak odpowiedział, podnosząc ramię.

– Juste! – krzyknęła Pascale.

Ale Juste właśnie pogrążył się w nurcie Sekwany i już go nie było.

Tannhäuser odłożył miecz i wziął dziewczynę na rękę.

– Kochał nas – powiedziała. – Kochał ciebie. – Jej oczy były nieskończonym bólem.

Tannhäuser pozwolił, by ten ból przeszył i jego. Pascale zamknęła oczy.

Przytulił twarz do jej twarzy.

– Ty i ja... minęliśmy już mosty, ale przed nami zapora. Musisz być mocna.

Pascale odwróciła głowę i spojrzała na rzekę. Skinęła głową.

Tannhäuser zaniósł ją na dziób, wychylił się nad łańcuchem i postawił na rufie trzeciej lichtugi. Usłyszał jęk i odwrócił się. To Grymonde przerzucił nogę przez burtę, a

potem, z wysiłkiem, na który nie powinno go było stać, podciągnął resztę ciała i zwałił się na pokład. Ryknął z bólu, a ze stygnącej smoły, w której usiadł, uniósł się obłok dymu.

Tannhäuser ucieszył się na jego widok. Umierający olbrzym nie był tym, czego teraz najbardziej potrzebowali na pokładzie łodzi rybackiej. Grymonde najwidoczniej doszedł do tego samego wniosku. Mattias podniósł szponton i podał go Pascale, a potem schował do pochwy miecz i przytroczył go do pasa. Sięgnąwszy po halabardę, odwrócił się, by spojrzeć na pomost. Diabelska grobla była pusta, jeśli nie liczyć trupów. Pielgrzymi pokrzykiwali nienawistnie, ale trzymali dystans. Garnier wciąż stał w tym samym miejscu, jakby sparaliżowany ciężarem dowodzenia.

Tannhäuser nie poddał się pokusie, by zastrzelić łajdaka. Inni mogliby to uznać za zbyt daleko idącą prowokację, a poza tym był coś winien Carli: bezpieczną ucieczkę. Wrócił do trzeciej lichtugi – tyle się wydarzyło, a przecież nie minęło jeszcze dziesięć minut, odkąd ją opuścił. Wydawało się, że dłużej. Zwłaszcza z perspektywy życia, które właśnie dobiegło końca. Zmusił się, by nie myśleć o tym, co się stało z Juste'em.

Przewrócił Grymonde'a na brzuch w gęstej mazi z krwi, smoły i spalonych ludzkich szczątków, a potem dźwignął go na kolana i wreszcie na nogi. Infant Kukanii z pewnością nie tracił krwi na tyle szybko, by umrzeć, ale jego wnętrzości trawiło zakażenie. Zacisnął szczęki, by zapanować nad bólem.

– Zatem jednak nie opuścisz Paryża – zauważył Tannhäuser.

Puste oczodoły zapłonęły.

– Nigdy w życiu nie opuściłem Paryża. Dlaczego teraz miałbym tego pragnąć?

Tannhäuser odebrał Pascale szponton i włożył go do ręki Grymonde'a.

– Doskonale. W takim razie popilnujesz diabelskiej grobli.

Grymonde wsparł się na drzewcu.

– Może łaskawy Bóg sprawi, że spróbują mi odebrać tę zabawkę, zanim padnę.

Tannhäuser minął Infanta i spojrzął z góry na łódź. Wciąż unosiła się przy burcie, tym razem dzięki bosakowi, który trzymały Agnès i Marie. Grégoire leżał nieprzytomny. Estelle położyła Amparo na rozciągniętej koszuli. Carla trzymała rumpel wychylony ku lewej burcie. Wiedziała, że Juste odszedł. Mattias zdawał sobie sprawę, że czuła się za to odpowiedzialna, ale chętnych do tego zaszczytu nie zabrakłoby pewnie na całej trasie od Paryża do Krakowa. Uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Ruszamy, kochanie. Bądź gotowa na otwarcie zapory.

Spojrzął jeszcze raz na knagę i ustawił się do cięcia halabardą. Łańcuch uniósł się nieco i teraz lepiej widział miejsce, w które należało uderzyć. Topór miękko wszedł w

drewno i zatrzymał się na trzpieniu. Podważył wolno ucięte drzazgi. Trzpień poruszył się nieznacznie. Wyrwał topór z nacięcia i wsunął pod żelazną płytkę stalowy grot. Pociągnął powoli. Obydwa trzpienie były już wyrwane. Cała knaga uniosła się lekko. Trzymała się teraz tylko za sprawą wielkich sił, które oddziaływały na łańcuch. Tannhäuser zostawił halabardę na miejscu i się wyprostował.

– Pascale, wsiadaj do łodzi.

Gdy pomagał jej zejść z wysokiej burty, ujrzał twarz Carli.

Wpatrywała się w brzeg jak skamieniała.

Tannhäuser podążył za jej spojrzeniem.

Wysoka postać wędrowała plażą ze wschodu, od strony leżących na brzegu łodzi. Wędrowała, a może maszerowała, najwyraźniej w jakimś konkretnym celu. Kierowała się ku schodom, u których szczytu stał Bernard Garnier.

– Mattias – szepnęła Carla – to Orlandu.

Orlandu niósł w zdrowej ręce ceberek.

– Masz rację.

Tannhäuser okrężnym ruchem rozprostował mięśnie karku.

Wciągnął Pascale z powrotem na pokład.

– Mattias, co on zamierza? – spytała Carla.

Tannhäuser dobrze wiedział, co zamierza jej syn. W zasadzie żałował nawet, że sam tego nie zrobił. Teraz zaś mógłby zostawić sprawę na głowie Orlandu, gdyby nie to, że strach i niepewność w głosie Carli podpowiedziały mu, że byłaby to nie najlepsza decyzja. Spojrzała na niego. Jej wargi drżały.

Odkąd ją znał, nawet w najcięższych terminach nie widział w jej oczach choćby cienia prawdopodobieństwa, że można złamać jej ducha. Jej duch bowiem dał się złamać tylko raz, na wiele lat przed ich spotkaniem, a gdy go naprawiła, stał się niezniszczalną istotą z metali, których nie znał nawet Tannhäuser. To Orlandu złamał jej ducha za pierwszym razem – choć wcale o tym nie wiedział – i wszystko wskazywało na to, że za chwilę uczyni to ponownie.

– Mattias?

– Orlandu próbuje kupić nam czas, którego już nie potrzebujemy. – Była to tylko połowa prawdy, Tannhäuser uznał jednak, że innych motywów nie musi teraz zdradzać. – Ale nie może o tym wiedzieć – dodał.

Carla skinęła głową. Pochylił się, by podać jej rękę. Jej dłoń była chłodna i wilgotna. Uśmiechnął się mimo ściśniętego gardła.

– Ty się zajmij naszą córką, a ja się zajmę naszym synem.

Tannhäuser pokazał Pascale niemal zdemontowaną knagę i wyjaśnił, jaki ruch powinna wykonać halabardą, by wyrwać ją do reszty.

– Wystarczą cztery ruchy, może pięć, tylko pomału, a rzeka stanie przed nami otworem. Objasnisz Grymonde'owi, jak to się robi. Jeżeli milicjanci wejdą na diabelską groblę, każesz mu zerwać blokadę. Odpłyniecie łodzią. Zostawiam moją żonę, całą moją rodzinę w twoich rękach, Pascale. Postępuj tak, jak ja bym postąpił, i rób to na zimno. Decyzja o tym, czy pojedziesz z nami, należy wyłącznie do ciebie, nie do Carli, rozumiesz?

Pascale chwyciła go za ramię.

– Nie idź. Zostań tu.

– Nie mogę stracić wszystkich chłopców – odparł z uśmiechem. – Zostałbym sam pośród kobiet!

Pascale ustąpiła. Skinęła głową.

Tannhäuser położył dłoń na ramieniu Grymonde'a i zacisnął ją lekko.

– Mój Infancie, mam sprawy na brzegu, związane z pewnym chłopcem i jego ceberkiem.

– Uparty z ciebie człek.

– To dobry dzień na upór. Rób, co ci każe Pascale.

– Przyzwyczailem się, że dzieci i kobiety mi rozkazują – odparł Grymonde. – Polecam.

– Gdyby sytuacja była niepewna, zerwij blokadę. Dla La Rossy i słowiczka.

Tannhäuser ruszył diabelską groblą w stronę brzegu.

– Co jest w tym ceberku? – zawołał za nim Grymonde.

Tannhäuser nie odpowiedział. Nie widział powodu, by niepokoić Carłę.

Ostatni krąg czekał na domknięcie.

Na małym cmentarzu.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Małpi cmentarz

Tannhäuser zdjął z pleców łuk Altana i wyciągnął cztery strzały. Ciężka była zachlapana krwią, ale Turcy zaplatali je, wiedząc doskonale, w jakich warunkach będą używane. Czysty jedwab, przedziony prosto z kokonów, wzmocniony karukiem i żywicą. Mattias założył strzałę i zatrzymał się przy mokrym, wybebeszonym trupie. Ostatnia pusta lichtuga była otwartym grobem dla każdego, kto ośmieliłby się na nią wejść. Spojrzał w górę, na Pielgrzymów stojących na pomoście, odległym może o trzydzieści stóp. Szydzili z niego i spoglądali bykiem, a jeden nawet pokazał mu dupę, ale dało się wyczuć, że prowokują go w głębokiej nadziei, iż odmówi walki. Agresja niektórych wydawała się szczerą, ale ze świecą trzeba by szukać takiego, co chciałby odpowiadać za wybuch nowej wojny.

Mówiąc krótko, chcieli przede wszystkim tego, by odszedł.

O sto stóp dalej na wschód Garnier w miarę przyzwoicie grał rolę dowódcy zaskoczonego przebiegiem wydarzeń, choć brakowało mu owego doświadczenia, które czyni dowódcę, dobrym lub złym: jeszcze nie posłał dostatecznie wielu ludzi na pewną śmierć, jeszcze nie widział, jak dostatecznie wielu umiera nadaremno.

Dominic pewnie lepiej poradziłby sobie z tą rolą. Lecz jeśli intuicja nie zawodziła Tannhäusera, ucięta głowa Dominica spoczywała właśnie w ceberku, który przyniósł Orlandu.

Tannhäuser nie umiał znaleźć innego wytłumaczenia – chyba że Orlandu postanowił zostać dostawcą mleka dla żołnierzy bractwa. Jeżeli jednak w ceberku spoczywała głowa, to niemal na pewno Dominica. Orlandu odłączył się, zanim pokonali most, i udał się do domu le Telliera. Zapewne zaczął się tam wśród trupów. Zapewne widział, jak Dominic, który wrócił w poszukiwaniu Małego Christiana, ujrzał żyrandol przyozdobiony głową ojca.

Potrzeba było zaiste żelaznej woli, by przepiłować człowieczy kark – zwłaszcza jednorącz, za pomocą noża. Wszystkie oczy na nabrzeżach spoglądały na Tannhäusera. Niesłusznie, nie on bowiem miał teraz odegrać główną rolę. Mattias spojrzął na plażę.

Orlandu mijał właśnie rozproszoną grupkę Pielgrzymów, którzy prawie nie zwrócili na niego uwagi. Był jednym z nich, stronnikiem i uczniem Marcela le Telliera. Na zranionym ramieniu nosił białą i czerwoną wstążkę. Mrok spowijał jego twarz, lecz Mattias wyczuwał światło w jego oczach. Orlandu z pewnością zauważył i jego, i Grymonde'a, i dzieci, i matkę siedzącą w łodzi. Był zbyt inteligentny, by nie odczytać osobliwej sytuacji, w której się

znaleźli: wszystkie strony tego brutalnego konfliktu pragnęły się rozejść, by uniknąć dalszego rozlewu krwi. Nawet Tannhäuser – wszak gdyby było inaczej, już czuliby na sobie jego stal.

Orlandu był zaś człowiekiem żelaznej woli.

Zamierzał zabrać głos w sprawie, która doprowadziła do wojny, przy okazji wywołując nową. Nie był to świeży pomysł; przecwicyły go przed nim tysiące królów.

Zamierzał pokazać Garnierowi głowę Dominica, a potem go uśmiercić. Wielki gest godzien wielkiej sceny; jego następstwem, jak należało się spodziewać, miała być heroiczna śmierć, a kto wie, może nawet nieśmiertelność.

Tannhäuser rozumiał. Nie tylko potrzebę naprawienia wyrządzonego zła, która kierowała poczynaniami Orlandu, ale także to nieznośne napięcie, które kusiło bardziej niż cokolwiek innego. Rozumiał, dlaczego warto było umrzeć, by je poczuć. Nie czuł radości na myśl o tym, że odbierze chłopakowi tę rozkosz; wiedział jednak, że zbyt wysoka była cena, którą zapłaciłaby Carla.

Gdyby przywołał go do siebie, Orlandu pewnie zdołałby bez przeszkód pokonać te pięćdziesiąt kroków plaży dzielących go od zapory. Gdyby chłopak odmówił, Tannhäuser mógłby z tej odległości zszyć strzałą uda Garniera – ot tak, dla pewności – a wtedy zawartość ceberka straciłaby znaczenie. Wobec chaosu na wielkiej scenie, wobec braku szans na swoją wielką chwilę, Orlandu usłuchałby instynktu przetrwania – tyle że jego szanse byłyby wtedy mniejsze.

Syn Carli dotarł do podnóża szerokich drewnianych schodów. Garnier spojrzał w dół, na niego, a potem odwrócił głowę, jakby przybycie młodzieńca było niczym wobec problemów, które go gnębiły. Już tylko osiem stopni dzieliło go od nabrzeża i kolejnej nierozważnej próby odkupienia win. Tannhäuser lękał się, że zbyt konkretnym powitaniem może narazić go na niebezpieczeństwo. Chciał też, by przestrzeń wokół niego stała się strefą śmierci dla każdego, kto będzie dość narwany, by do niej wkroczyć. Zaczekał, aż Orlandu stanie na trzecim stopniu, zanim zawołał:

– Jesteśmy gotowi do drogi.

Orlandu zatrzymał się i spojrzał na niego.

Garnier, wciąż nadęty mimo haniebnej porażki, źle odczytał intencje Tannhäusera.

– Zatem odejdźcie stąd, na miłość boską! – zawołał. – Nie mam uprawnień, żeby was ścigać!

Tannhäuser widział dobrze jego twarz w świetle księżyca. Strumyki potu ściekały z niej na stalowy pancerz. Obszczano jego sztandar, zdziesiątkowano jego prywatną armię, jego

wielki dzień został splugawiony. Na pozór pełen gniewu i jadu, był w istocie wystraszony i rozżalony.

– Diabeł żąda dziś twojej duszy – odpowiedział Tannhäuser.

Garnier położył pięść na sercu, jakby tym sposobem miał sobie przydać rycerskości.

– Nigdy nie byłem człowiekiem le Telliera. Podziwiałem cię. To wszystko nie musiało się wydarzyć.

Orlandu nie poruszył się, choć z pewnością rozumiał, jaki ma wybór.

Tannhäuser wskazał szerokim gestem na nekropolię zwaną Paryżem.

– Nie mów mi o tym, co nie musiało się wydarzyć.

– Nie słyszałeś, co powiedziałem, kawalerze? Ustępuję. Wygrałeś.

Orlandu odwrócił się, jakby walka tocząca się w jego sumieniu wreszcie dobiegła końca. Postawił ceber na stopniu. Zamierzał poddać się rozsądkowi. Tannhäuser pomyślał, że jeśli uda się przeciągnąć tę farsę jeszcze o minutę, młodzieniec zdąży dojść do zapory i nikt nawet tego nie zauważy. Garnier źle znosił ciszę, był więc znakomitym partnerem do dalszego błaznowania.

– Cały splendor spada na ciebie, człowieku. Czego jeszcze chcesz?

Tannhäuser dostrzegł coś niebieskiego pod jego brodą. Rozpoznał szal Carli już wcześniej, gdy Garnier odjeżdżał spod domu le Telliera; od razu wiedział też, w jaki sposób wykorzystana ten prosty rekwizyt.

– Czyżbyś nosił na szyi szal mojej żony?

Ktoś zarechotał i fala nerwowego śmiechu przemknęła pośród zebranych.

Tannhäuser wyszczerzył zęby. Tak, niech mnie trochę polubią, jeśli to w ogóle możliwe, pomyślał.

Garnier zdjął szal z karku tak ostrożnie, jakby to była szubieniczna pętla.

Orlandu ściągnął płótno, którym zakryty był ceber.

Tannhäuser poczuł mrowienie na skórze głowy.

Syn fanatyka zamierzał pokazać Garnierowi ucięty łeb Dominica. Nie chciał schodzić ze sceny; chciał ją odzyskać. Tannhäuser rozumiał i to, ale tu już nie chodziło o wyrzuty sumienia. Zło zostało dostatecznie naprawione w chwili, gdy Orlandu zabił Dominica.

– Hej, ty z wiadrem. Przynieś mi szal Carli.

Orlandu odrzucił płótno, ale nie wyprostował się i nie odwrócił.

– Carla jest zmęczona, a ja niecierpliwy. Nie badaj mojej dobrej woli.

Orlandu zawahał się.

Sięgnął do ceberka.

Musiał dowieść swojej męskości.

Nadszedł czas, by się przekonać, za jaką cenę.

Gdy Orlandu wyjmował za włosy głowę Dominica le Telliera, Tannhäuser naciągnął cięciwę i strzelił.

W tureckim łuku drzemała ogromna moc; cięciwa zagrała jak struny harfy.

Orlandu rzucił głowę w górę schodów, ale prawie nikt tego nie zauważył.

Szeroki grot wbił się w krocze Bernarda Garniera, mniej więcej o grubość palca poniżej dolnej krawędzi kirysu. Musiał trafić w twardą kość, bo szarpnął nim i obrócił jak olbrzymią marionetkę. Garnier upadł na deski z tak przerażającym stęknieniem, że jego żołnierze jęknęli chórem. Głowa Dominica zatrzymała się tuż przy jego twarzy, ale widok ten niewiele go obchodził wobec nieznośnego bólu.

Tannhäuser założył kolejną strzałę. Podczas gdy Pielgrzymi wciąż gapili się na upadek swego kapitana, nie całkiem gotowi do działania, postanowił zainscenizować coś jeszcze.

– Przynieś mi ten szal, człowieku. Natychmiast. Albo zostaniesz tu na zawsze, a ktoś inny chętnie wskoczy w twoje buty.

Orlandu spojrzał na niego. Nie sądził, by Tannhäuser chciał go zabić, ale głębsza interpretacja jego słów mu nie umknęła. Pokiwał głową, odwrócił się i wspiął po schodach na górę.

– Zostaw tam to swoje trofeum. Twoi towarzysze nacieszą się nim później.

Groźba, a także sugestia, że głowa należy do jakiegoś nieszczęsnego hugenota, powinny uwiarygodnić tę maskaradę, pomyślał, uważnie przyglądając się obserwowanym.

Orlandu tymczasem schylił się i wyciągnął szal spod ciała Garniera. Jeśli nawet kapitan wiedział, że chłopak nie jest Pielgrzymem, to poinformował o tym świat jedynie za pomocą nieartykułowanych, bolesnych jęków. Orlandu ruszył skrajem placu w stronę pomostu, przy wtórze zachęcających pomruków co śmielszych Pielgrzymów. Zszedł po schodkach na pierwszą lichtugę i spojrzał na Tannhäusera.

Tannhäuser zaś skinął na niego, nie odrywając oczu od zgromadzonych.

Orlandu niespiesznie przemierzył pokład łodzi. Mattias cofnął się nieco. Orlandu stanął przy łańcuchu i przeskoczył na rufę drugiej lichtugi. Wyciągnął rękę przed siebie, ściskając w dłoni niebieski szal. Był przerażony, chory, osłabiony – i bardzo dobrze to ukrywał. Ale nie przed Tannhäuserem.

– Oddaj go matce.

– Nie przyjmie go ode mnie.

– Carla przyjęłaby go, nawet gdybyś przyniósł na nim dzumę. Powiedziałem jej, że próbujesz kupić dla nas trochę czasu, którego tak naprawdę już nie potrzebujemy. A skoro kupiłeś go nam całkiem sporo, nie ma powodu, byś się ze mną spierał.

– Prawda to nie dość dobry powód?

– Prawda służy wyłącznie twojej próżności. Ona ma już jedno dziecko do nakarmienia.

Orlandu skrzywił się tylko.

– Dowiodłeś, czego chciałeś mi dowieść – ciągnął Tannhäuser. – A jeśli nie dowiodłeś tego i sobie, to znaczy, że eksperyment się nie udał i nadal jesteś chłopcem. Sam musisz rozstrzygnąć, czy tak jest. Twoja matka chce tylko mieć pewność, że żyjesz. Proszę cię więc jak mężczyzna mężczyznę: oszczędź jej swojego poczucia winy, swojej prawdy, swoich metafizycznych wątpliwości i wszystkich innych bzdur, którymi się karmiłeś.

Orlandu wcisnął szal pod temblak.

– Kupiłem czas, którego nie potrzebowaliście?

– Nie potrzebowaliśmy czasu na ucieczkę, ale jestem wdzięczny za każdą minutę z tobą.

Orlandu nie rozumiał. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak wiele znaczył dla Carli jego powrót. Była to ignorancja właściwa wszystkim synom, tak jak pewien rodzaj głupoty jest przywilejem młodości.

– Wdzięczny jestem też Dominicowi – dodał Tannhäuser – jeśli to jego głowa.

Orlandu wyjął nóż ukryty w temblaku i rozciął wstążki, którymi obwiązał sobie ramię.

– To była najohydniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem.

– Miło mi to słyszeć. Ale matka nie musi.

– I nie usłyszy.

Tannhäuser poklepał go po plecach i ustąpił z drogi.

– Każ Grymonde'owi zerwać blokadę.

Orlandu minął go bez słowa. Mattias miał ochotę powiedzieć mu, żeby uważał i nie wpadł do wody, ale dla Maltańczyka, nawet ciężko rannego, byłaby to obelga nie do przełknięcia. Spojrzał więc tylko za nim, gdy omijał kałuże krwi i przeskakiwał na trzecią lichtugę. Skrajne wyczerpanie czuł we wszystkich kościach, nawet tych, których istnienia dotąd nie podejrzewał. Był też mocno rozdrażniony, ale zdawało mu się, że to przywilej wieku. Odwrócił się w stronę pomostu.

Pielgrzymi nie mogli słyszeć jego rozmowy z Orlandu, ale zerkając na nich ukradkiem, widział, że są zdezorientowani. Teraz, gdy sprawa wydawała się zakończona, a do galerii zniewag mogli dodać zdradę, podstęp i oszustwo, z wolna ogarniał ich gniew. Przekleństwa, które teraz rzucali, wydawały się bardziej szczere niż wcześniejsze, ale nadal nie było takich, co woleliby zginąć, niż pójść spać.

Tannhäuser właśnie się zastanawiał, dlaczego życie zmusiło go do zawarcia bliższej znajomości z takim bydłem, lecz nie zdążył znaleźć odpowiedzi, nad plażą bowiem rozniósł się nagle głośny krzyk. Był tak przeraźliwy, tak przejmujący, że może nawet i Mattias byłby skłonny współczuć krzyczącemu, gdyby to nie był sam Bernard Garnier. Flaki, mięśnie i kości. Krawędzie grotu wypolerowanego ręką Altana wrzynały się w trzewia kapitana coraz głębiej, z każdym jego ruchem, z każdym oddechem. Garnier znowu wrzasnął.

– Na krew świętego Jakuba!

Tannhäuser słyszał człowieka modlącego się o cud, ale ten, kto klęczał przy rannym dowódcy, usłyszał coś innego. Powstał. Był to chorąży Bonnett. Odkąd Tannhäuser opuścił Notre-Dame, ten mały nadgorliwy gnój zaszkodził mu bardziej niż ktokolwiek inny. W pierwszym odruchu chciał go zastrzelić, ale opanował się: prowokowanie tłumu wściekłych fanatyków było przecież nierozsądnym krokiem. Zawahał się więc i zaraz się przekonał, dlaczego zwykle tego nie robił.

– Na krew świętego Jakuba! – ryknął Bonnett. – Za Boga i za króla!

Tłum także ryknął, z początku nieartykułowanie, ale szybko rozległy się krzyki wzywające do boju.

Tannhäuser strzelił w pierś chorążego Bonnetta.

Bonnett upadł na swego mistrza, potęgując ból zadany strzałą.

Tannhäuser odwrócił się.

Orlandu właśnie zeskakiwał z burty do łodzi.

Grymonde trzymał obie ręce na drzewcu halabardy, ale nie wykonywał żadnych ruchów.

Pascale krzyczała na niego.

– Pascale, wszyscy na pokład! – zawołał Tannhäuser.

I odwrócił się w stronę tłumu.

Napór od strony przyczółka pomostu sprawił, że dwaj Pielgrzymi stojący w pierwszym rzędzie spadli na lichtugę. Trzeci skoczył za nimi z własnej woli, a po nim czwarty. Tannhäuser pozwolił im się pozbierać, po czym strzelił w pierś stojącemu najbliżej. Lotki zniknęły w jego brzuchu, a gdy upadł, odsłonił swego towarzysza, przyciskającego do

genitaliów pięść, z której sterczały końcówka promienia i zakrwawione pióra. Tannhäuser założył ostatnią strzałę, którą trzymał w ręku, i przeszył nią ciała kolejnych dwóch Pielgrzymów, spinając je jak kopulujące psy. Ramiona bolały go od ciężaru łuku Altana. Rozciągnął je okrężnym ruchem, spoglądając za siebie.

Grymonde manipulował ostrzem halabardy pod żelazną knagą, ale przerywał co chwilę, dręczony falami straszego bólu. Tylko Paryż mógł go stworzyć i tylko Paryż mógł doprowadzić go do upadku. Wszystkie siły, które mu pozostały – a nie byłoby ich wcale, gdyby nie jego wielkie serce – skupił na tym jednym zadaniu: chciał uwolnić dzieci, które uwolniły jego.

Tannhäuser wiedział, że będzie mu brakowało Infanta. Ucieszył się tylko, że Pascale już zniknęła. Wszyscy, którzy mieli się znaleźć w łodzi, już tam byli – oprócz niego.

Znowu się odwrócił.

Bojowy zapal zgromadzonych na pomoście jakby przygasł; najwyraźniej porzucono myśl o ataku na lichtugi.

Od strony plaży, nabrzeży i placu wciąż słychać było głośnie krzyki i nawoływania, tylko nadal brakowało chętnych do działania. Bóg. Król. Święty Jakub. Święty Jakub.

Na jego świętą krew.

Krew, krew, krew.

Nie działałoby mu na nerwy tak bardzo, gdyby mieli pojęcie, o czym mówią. Tannhäuser był pokryty grubą warstwą czarnej, gęstniejącej, a miejscami zakrzepłej już mazi: krwi ludzi, którymi gardził. Nie pamiętał, by kiedykolwiek stracił tyle sił, zabijając. Miał pusty brzuch. Był spragniony. Bolał go krzyż, bolały stopy.

A przecież „to wszystko nie musiało się wydarzyć”.

Odwrócił się plecami do nich, ale czuł, że wcale nie chce zrobić pierwszego kroku. Nie dostrzegał żadnych dobrych powodów tego stanu ducha i jedynie kilka fatalnych. Widział za to wiele takich, które nakazywały mu odejść, a były to najważniejsze powody, zarówno moralne, jak i praktyczne. Tylko że jakoś mu nie pasowały. Te psy ujadły u jego kostek przez całą noc, a on przed nimi uciekał. Przerzedził już sforę, ale reszta miała za chwilę rozejść się do domów i opowiadać zgoła inną historię, a z czasem nawet w nią uwierzyć. Co prawda ich historia nie obchodziła Tannhäusera, za to interesowała go własna. Ganił Orlandu za uleganie impulsom całkiem podobnym do tych, które teraz czuł – lecz widać i to było przywilejem wieku. Nie bardzo wiedział, jak będzie żył z myślą o tym, że tchórze i mordercy dzieci pluli na niego, gdy odchodził.

– Mój Infancie.

Grymonde znieruchomiał. Z tej odległości jego oczodoły wyglądały jak otwory wywiercone w czaszce na wylot.

Tannhäuser zdjął kołczan z ramienia i położył na pokładzie wraz z łukiem Altana.

– Znajdziesz dla mnie chwilę? – spytał.

– Pod warunkiem że pozwolisz mi pójść z tobą – odparł Grymonde.

– Już jesteś ze mną.

– Uparty z ciebie człowiek.

Tannhäuser przestąpił nad zbezczeszczonym sztandarem i stanął na ostatniej lichtudze.

Podniósł włócznie i spojrzął na pokrzykujących doń Pielgrzymów. Ciekawość kazała im umilknąć.

– Dajcie mi tę klatkę – powiedział.

– Jaką klatkę?

Tannhäuser wskazał włócznią kierunek.

– Załadujcie ją na tę łódź, to może pozwolę wam pocałować dziś żony na dobranoc.

Stojący najbliżej klatki przyjrzeni się jej uważniej.

– Jest pełna zdechłych kotów. Albo szczurów.

– Małp. Z Afryki, jeśli się nie mylę.

– Chryste. Jakie okropne.

– I pewnie padły od zarazy.

– Powiedzcie mu, żeby sam ją sobie wziął.

– Sam ją sobie weź!

Dwaj, których postrzelił jedną strzałą, jeszcze żyli. Gdy pchnął włócznią w gardło pierwszego, najrozmowniejszy z Pielgrzymów cofnął się o krok. Jego towarzysze uczynili to samo. Tannhäuser dźgnął wtedy drugiego w śledzionę, przez plecy, i przeszedł na rufę lichtugi.

Jeden krok, by wejść na ławkę. Jeszcze jeden, by wskoczyć na pomost.

Duma nakazała mówcy wrócić na poprzednie miejsce i przynajmniej zamarkować pchnięcie półpiką.

Tannhäuser uniknął ciosu, stanął na ławce i dając krok w górę, na pomost, zaatakował czułe miejsce między jądrami a odbytem. Nadziany na włócznie kwiknął głośno, nim runął do rzeki. Jego kamraci znowu cofnęli się o krok, przerażeni tym, jak ponury spotkał go koniec, ale jednocześnie skierowali ku wrogowi kilka pik. Stłoczeni za ich plecami nie mieli już miejsca na żaden manewr; broń mogli skierować wyłącznie ku niebu.

Tannhäuser wiedział, że stojąc na pomoście, jest widoczny dla Carli. Z szacunku dla jej uczuć postanowił dać im ostatnią szansę.

– Kazałem wam przynieść tę klatkę.

– Na rany Chrystusa, po co ci ona?!

– Po to, żebyście mogli mi odpowiedzieć, żebym sam ją sobie wziął.

Nikt się nie ośmielił. Nikt też nie wpadł na to, by przynieść klatkę.

– Ani chybi oszalał.

Tannhäuser wznosił włócznię nad głowę i wymierzył w środek pierwszego szeregu. To wystarczyło, by dwaj Pielgrzymi odwrócili się w panice i wpadli na siebie, próbując umknąć. Ich półpiki skrzyżowały się.

Zaatakował z prawej flanki, szerokim wymachem odbijając drzewce dwóch pik w stronę środka formacji. Chwycił pierwszego z brzegu za pas i zrzucił go do wody, stojącego za nim pchnął włócznią w brzuch i pozwolił mu chwycić drzewce. Wyszarpnął z pochwy sztylet z lazurytem, dźgnął pod pachę tego, który jeszcze przed chwilą był drugi w szeregu, i sięgnął po drugi nóż. Podwójnym pchnięciem przedziurawił dwóch z drugiego szeregu, którzy właśnie się zastanawiali, co robić. Wszedł w prześwit między pierwszą a drugą linią – choć skutek paniki żadna nie przypominała już linii – i znowu dźgnął równocześnie, powalając jednego z lewej i jednego z prawej strony. Ruszył dalej. Długie ostrza pracowały bez wytchnienia. W nasadę szyi. Do serca. Unik, pchnięcie. Przeszywał kolejne ciała, a zmysły i instynkt pracowały szybciej niż jego umysł, zawczasu wytyczając kurs ku trzem, czterem kolejnym zgonom w szeregach Pielgrzymów. W zwarciu ich broń drzewcowa była bezużyteczna, a ich zmysły i instynkt, z natury słabe, wyłączyły się zupełnie, oszołomione paniką na widok fontann krwi buchających z ciał towarzyszy, sparaliżowane nagłą potrzebą wypróżnienia, przerażone szybkością i furją, z jakimi działał oficjalny pełnomocnik Śmierci na region Sekwany.

Szybka praca nóg. Nowe cele. Prawy sztylet w lewo, lewy – w prawo. Zablokować nogą drzewce piki. Pięć śmignęła w stronę jego twarzy; odchylił się zgodnie z kierunkiem jej ruchu i jednocześnie dźgnął jej właściciela w wątrobę. Zaufać ostrzom, uskoczyć przed padającymi trupami. Serce, szyja, szyja, brzuch. Ciąć w przedramię ręki uzbrojonej w nóż, poprawić pchnięciem w pierś. Zabił pięciu; zabił siedmiu, nim jego serce uderzyło tyle razy. Wbijał się w tłum wrogów, a jego ciało coraz mocniej lśniło od świeżej krwi. Palce konających ześlizgiwały się po jego skórze. Odwrócił głowę przed strumieniem krwawych wymiocin. Za plecami miał piekielne kłębowisko ciał, przed sobą ucieleśnienie paniki. Nie było już szeregów, tylko masa ludzi, którzy jeszcze nie wiedzieli, że są w odwrocie. Ci,

którzy chcieli stawić opór, musieli przedrzeć się przez tłum sparaliżowanych strachem, a jedni i drudzy byli tylko owcami idącymi pod nóż jego bojowego szau.

Zabił jedenastu.

W oczach umierających widział przede wszystkim zdumienie.

Zabił piętnastu, a potem stracił rachubę. I dalej zabijał.

Wkrótce na pomoście zrobiło się luźniej, a wtedy zostawił oba sztylety w piersi ostatniej ofiary i wyrwał z jej rąk halabardę.

Rozplątał szarżującego z mieczem i cisnął go pod nogi kolejnego; zmienił pozycję i bocznym, toporkowym ostrzem halabardy uwolnił mózg z jego czaszki. Trzeci dostał w tchawicę. Spojrzenie w stronę czwartego wystarczyło, by rzucił się do ucieczki, ale Tannhäuser nie pozwolił mu odejść: dogonił go i zatopił między łopatkami cały grot. Przycisnąwszy go do ziemi, poprawił ciosem w podstawę czaszki.

Przez cały dzień nie czuł się lepiej. Nie czuł się też gorzej niż w innych dniach swego życia. Czuł, że to właśnie jest kwintesencja tego, czym chciał uczynić go los. Czuł w żyłach jej pulsowanie, dobro i zło, purpurę i biel – i wiedział, że to cała prawda o nim. Nie pozwolił Bogu, by ukarał go śmiercią za grzechy. I Bóg usłuchał.

Tannhäuser odetchnął głęboko i się rozejrzył.

Zdażył już oczyścić pomost i wkraczał coraz dalej w głąb placu. Rozrzucone tu i tam sterty materiałów budowlanych zapewniały niezłą osłonę, ale nie zauważył, by ktoś przyczaił się za nimi. Wschodnie skrzydło Luwru tonęło w mroku, jeśli nie liczyć latarni nad stróżówką i jednego jedyne światła w wieży. Na placu zostało może dwudziestu Pielgrzymów, na plaży najwyżej kilku, ale nawet najbliżej stojący znajdowali się na tyle daleko, że nie warto było ich ściągać. Połowa zresztą oddalała się w pośpiechu, nie oglądając się za siebie. Pozostałych można było podzielić na dwie grupy: tych, którzy doznali paraliżującego szoku, oraz tych, których zżerała ciekawość – jak też skończy się ta batalia? Niektórzy jeszcze mierzyli Tannhäusera wyzywającym wzrokiem – może byli to weterani wojen, ale czyż weterani zajmują się czymś innym niż tylko staniem w szeregu i wykonywaniem rozkazów? Najgłupszy wierzył, że za chwilę ktoś zarżnie go jak prosiaka, najbystrzejsi nie mieli zaś pojęcia, jak go zaatakować.

Garnier leżał na nabrzeżu jak niewprawnie ubity wół z jego własnej rzeźni, przygnieciony ciałem Bonnetta. Tannhäuser podszedł do niego, postawił nogę na piersi chorążego, wyszarpnął strzałę z jego ciała i wetknął ją za pas. Trupa odsunął kopniakiem, by przyjrzeć się z bliska urazowi krocza, który zadał Garnierowi. Zabrakło może jednej stopy, by promień strzały zagłębił się w ciele aż po lotki. To oznaczało, że fragment długi na dwie

stopy odbił się od miednicy i, ułamany, utkwił w jelitach. Była to rana zwiastująca powolną i bolesną śmierć, czyli właśnie taką, na jaką zasłużył dowódca Pielgrzymów Świętego Jakuba. Tannhäuser wiedział jednak, że jeśli uśmierci go teraz, maruderzy dostaną jasny sygnał: to już koniec. Spojrzał kapitanowi w oczy i nie zobaczył w nich niczego prócz bólu. Uniósł halabardę oburącz, pionowo, a potem wbił jej grot w usta Garniera i dziurawiąc kark, przybił go do belek nabrzeża.

Popatrzył z ukosa na maruderów i dobył miecza. Odwrócili się i ruszyli w pośpiechu w stronę ludzkiego mrowiska Ville. Ci, którzy czekali na plaży, teraz odeszli na wschód, mijając zakotwiczone opodal łodzie.

Tannhäuser zawrócił w stronę pomostu. Zobaczył na swej drodze czterech, którzy mieli jeszcze siłę pęłzać w czarnych kałużach krwi niczym pokutnicy przed ołtarzem w jakiejś meksykańskiej świątyni. Uciał im wszystkim łby, jednemu po drugim, a potem wytarł klingę i uznał, że nareszcie zaspokoił żądzę krwi. Odnalazł swoje sztylety i schował je do pochew. Znalazoną czapkę otarł czoło.

Podszedł do klatki pełnej zdechłych małp.

Leżała na boku, a ciała drobnych, osobliwych stworzeń zsunęły się w jeden kąt. Upalne, wilgotne powietrze sprawiło, że zbiły się w groteskową masę, wielogłową i najeżoną kończynami jak truchło bajkowego potwora.

Przeciągnął klatkę na pomost. Przeciął skórzane opaski pełniące funkcję zawiasów – jedna ze ścian służyła jako wielkie drzwi. Przechylił klatkę, uwalniając jej więźniów. Prąd rzeki uniósł nieruchome ciała.

Nie zaprzeczyłby, gdyby ktokolwiek nazwał go teraz szaleńcem. Plac był jednak pusty – zostali wyłącznie zabici. Pusty był też pomost, pusta plaża i pusta zaporę na rzece. Nie został już nikt, kto mógłby zapytać go o stan umysłu, on sam zaś nie był ciekaw odpowiedzi.

Schował miecz do pochwy.

O kilka kroków dalej w górę rzeki zaczynały się schody, po których mógł zejść na plażę. Uczyniwszy to, zanurzył się po kolana w wodzie i pochylił. Najpierw umył ręce, potem długo szorował pokryte zakrzepłą krwią przedramiona, ramiona, pierś. Nabierał wody garściami, by domyć pachy i twarz. W końcu rozstawił szerzej nogi, pochylił się jeszcze głębiej i zanurzył z nurcie Sekwany całą głowę. Wyszarpał z włosów niezliczone skrzepy i pozwolił im spłynąć w dół rzeki. Przycisnąwszy mokrą czuprynę do karku, nareszcie się wyprostował.

Czuł, że może dołączyć do małej grupki ludzi w łodzi rybackiej.

Jeśli zechcą go przyjąć.

Wrócił na pomost i spojrzął w ich stronę.

Carla wstała z ławeczki na rufie i odwróciła się ku niemu. Płonące drewno i węgiel drzewny tworzyły ścianę ognia za jej plecami. Cała rzeka wydawała się strugą roztopionego złota i srebra. Księżyc w pełni lśnił nad jej głową. Tannhäuser nie widział twarzy swej żony; równie dobrze mogła być prastarym duchem, który wychynął z głębin.

Carla uniosła Amparo wysoko nad głową.

Tannhäuser odetchnął głęboko.

A zatem wybaczone mu. I dobrze, pomyślał, skoro tego potrzebowałem.

Przybył do tego miasta, by odnaleźć żonę, a wracał do domu z żoną i córką.

Z pięcioma córkami. Uśmiechnął się szeroko. Dlaczego nie?

Dotarł do końca pomostu i przeskoczył na zalaną krwią diabelską groblę. Z ciała znalezionej na pierwszej lichtudze wydobył nadającą się do użytku strzałę. Na drugiej znalazł ich więcej i wszystkie schował do kołczanu. Schylił się też po łuk Altana. I wtedy usłyszał za plecami charakterystyczne, pewne kroki żołnierzy, którzy wiedzieli, jak maszerować.

Jedenastu Szwajcarów z Luwru wkroczyło na pomost.

Nie był pewny, czy jest zbyt zmęczony, by uciekać, czy zbyt zmęczony, by walczyć.

Przyjrzał się im ponownie. Dziesięciu gwardzistów.

Korpulentna postać wystąpiła przed szereg i skłoniła głowę. Arnauld de Torcy. Skinął na Stefana, który dowodził drużyną, Stefano zaś wskazał swym ludziom trupy leżące dokoła. Gwardziści ustawili halabardy w stos, podzielili się na pary i zaczęli wrzucać ciała do Sekwany.

– Tannhäuser – rzekł Arnauld – pewnego dnia zajdziesz o jeden plac za daleko.

– Król już poszedł spać?

– Jego Wysokość ma za sobą ciężki dzień. Nie przysparzajmy mu zmartwień.

Tannhäuser popatrzył na gwardzistów, ślizgających się na zalanych krwią deskach, stękających i dyszących z wysiłku. Uniósł brew, spoglądając znowu na dworzanina.

– Mogiła zdrajców – wyjaśnił Arnauld. – Nie działali w imieniu Jego Wysokości.

– Podobnie jak ja.

– Ty nie przysięgałeś.

– Nasz młody podopieczny, Juste, nie żyje.

– Widziałem wszystko – odparł Arnauld. – Z wieży.

– Czy król wie, że jutrzejszy dzień będzie jeszcze gorszy?

Arnauld nie odpowiedział. Dokonał wyboru i zyskał.

– Powodzenia, przyjacielu – rzekł Tannhäuser. – *Adieu*.

Odruchowo napiął mięśnie nóg, gdy kadłub łodzi zakołysał się pod nim.

Zapora została przerwana.

Odwrócił się i zobaczył, jak Grymonde siada na dziobie trzeciej lichtugi i przerzuca nogi za burtę. Widać go było na tle płonącej barki, która zaczynała właśnie dryfować w dół rzeki. Większa część blokady uchylała się w stronę lewego brzegu.

Tannhäuser puścił się biegiem.

– Mój Infancie, zaczekaj!

Grymonde naprężył mięśnie ramion. I już znalazł się w wodach Sekwany.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Nie łzy go oślepiły

Gdy Mattias miał już zejść do łodzi, ale tego nie zrobił, Carla wiedziała, że wróci w mrok stokroć ciemniejszy od nocy. W jednej chwili owładnęły nią sprzeczne uczucia, tworząc skomplikowany węzeł. Wiedziała na przykład, że nie musiał tam wracać. Wiedziała też, że musiał.

Odebrała Amparo z rąk Estelle i przytuliła ją. Ich wspólne dziecko było dla niej źródłem pocieszenia, gdy patrzyła, jak Mattias kąpie się we krwi.

Jego zstąpienie w otchłań brutalnego szaleństwa zszokowało dzieci – nawet Pascale, która go uwielbiała. Sądziły, że tak dobrze go znają; sądziły, że znają go jako człowieka skorego do przelewu krwi, a mimo to ogarnęła je trwoga. Przez krótką chwilę nawet Carla była przerażona. Niewiele obchodzili ją ci, którzy trójkami i czwórkami padali od jego ciosów, dołączając do rzeszy zakrwawionych trupów. Wierzyła, że wszyscy trafią do piekła. Lecz Mattias nie zabijał ich w imię sprawiedliwości ani zasad; nie zabijał ich nawet po to, by bronić zapory na rzece. Zabijał ich, ponieważ tam byli, ponieważ mógł i ponieważ takie było jego powołanie.

Zranił ją, gdy nie zszedł do łodzi, mimo to lękała się o jego życie, choć strachu miała już dość. Morderczy trans potrwał minutę lub dwie; ostatni wrogowie odeszli po pięciu, ale czas ten dłużył się Carli w nieskończoność. Polował wśród zwałów trupów, mokry i czarny w świetle księżyca. Ucinał głowy, ranił, unicestwiał, jakby samo istnienie tych ludzi było dlań obrazą. Nie miała pojęcia, co takiego wyrzucił z klatki i dlaczego uznał za ważne, by oddać to rzece. Gdy Estelle o to spytała, nikt w całej łodzi nie umiał jej odpowiedzieć.

Carla patrzyła, jak Mattias zmywa z siebie krew, i choć próbowała jakoś zapanować nad falą miłości tak głębokiej, że aż bardziej bolesnej niż poród, widok ten złamał jej wolę: szloch wstrząsnął jej ramionami, a łzy spłynęły po policzkach na dziecko. Mężczyzna, którego kochała, był też poślubiony krwawej śmierci. Żadne uczucia nie mogły tego zmienić. Ślub ten zawarł dużo wcześniej, nim zrozumiał jego prawdziwy sens: gdy ludzie podobni do tych, których ciała spoczywały teraz na plaży, odebrali mu szansę na normalne życie. Być może właśnie dlatego Carla płakała: wiedząc normalne życie, nigdy nie trafiłby w jej ramiona, nie poznałby Orlandu i Amparo, a tego nie umiałyby się wyrzec za żadną cenę, nawet za cenę spokoju mrocznej duszy Mattiasa. Dlatego też nie miała prawa ganić go za tę furję, bo gdyby

nie furia, on nigdy nie należałby do niej, a ona do niego. Gdyby zaś nie umiała kochać wszystkiego, czym był, nie zasługiwałaby na niego.

Dzieci także płakały – wszystkie, z wyjątkiem Grégoire'a, który pojękiwał w delirycznym śnie, leżąc na końskim czapraku. Wszystkie doświadczyły niebываłych niebezpieczeństw i niebываłych strat, znosząc je z nadzwyczajną odwagą. Nie płakały nad sobą. Płakały, ponieważ kochały Mattiasa i obawiały się, że straci duszę.

Orlandu nie płakał, ale on nie był już dzieckiem. Pocałował matkę i zwrócił jej niebieski szal. Ona zaś podziękowała mu, a gdy usiadł na środkowej ławce obok Pascale, nie odezwał się już ani słowem.

Nawet Amparo nie płakała. Nie spała też, a otaczający ją zewsząd smutek zdawał się nie robić na niej najmniejszego wrażenia. Patrzyła na matkę.

Carla uśmiechnęła się. Taniec i pieśń Pani Życie wciąż trwały.

– Czy Tannzer wróci? – spytała Estelle.

– Pewnie, że wróci – odpowiedziała Pascale.

– Pewnie, że wróci – powtórzyła Carla. – I będzie chciał, żebyśmy się nim zaopiekowali, więc pora otrzeć łzy i pokazać mu, że może na nas liczyć.

– Nie wiedziałam, że Tannzerem trzeba się opiekować – zdziwiła się Estelle.

– Trzeba. Potrzebuje nas bardziej niż my jego.

– Tylko nigdy się do tego nie przyzna – dodała Pascale.

– Zdziwiłabyś się.

Carla patrzyła, jak ociekając wodą, wychodzi z rzeki i wspina się z powrotem na pomost. Popatrzył na nią i choć nie widziała jego twarzy, w jego postawie dostrzegła niezbyt szczerą skruchę. Skruchę przez wzgląd na nią.

Przez wzgląd na niego wstała więc i uniosła małą Amparo ku Mattiasowi.

Ponad rzeką umarłych.

Pod gwiazdami i jasną tarczą księżycy.

Brzemie nieszczeroci spadło z jego ramion.

Zeskoczył na lichtugę.

Carla opuściła Amparo, czując w brzuchu spózniony skurcz. Usiadła, żeby poczekać, aż ból minie. I minął, odbierając jej przy okazji siłę do płaczu. Kompletne wyczerpanie było tuż-tuż; czekało, by ją pochłonać. Strach wrócił, gdy zobaczyła, jak Mattias staje naprzeciwko dziesięciu Szwajcarów. Dziesięciu gwardzystów znaczyło bowiem więcej niż sześćdziesięciu Pielgrzymów, a nie mogła wykluczyć, że Mattias znowu skoczy w otchłań.

A potem królewska Gwardia Szwajcarska zajęła się zrzucaniem trupów do wody.

Usłyszała, jak Mattias mówi do ich przełożonego: *Adieu*.

Usłyszała, jak metal wgryza się w drewno.

Prąd Sekwany rozrywał zaporę na dwoje.

W chwili, gdy knaga oderwała się od belki, Grymonde rzucił halabardę za siebie i skoczył, jakby miał nadzieję chwycić odpływającą rufę sąsiedniej łodzi i siłą woli powstrzymać rozpad zapory. Jego dłonie złapały jednak tylko powietrze. Carla właśnie miała go zawołać, gdy nagle rozprężenie blokady i ruch uwolnionego nurtu rzeki sprawiły, że ich łódź zaczęła się oddalać od burty lichtugi.

Hak na końcu bosaka ześliznął się z burty, a drzewce – z rąk Agnès i Marie, również zapłakanych jak reszta dzieci. Natychmiast złapały się za ręce, przejęte tą niespodziewaną porażką. Pascale i Orlandu próbowali jeszcze pochwycić bosak, ale spóźnili się: drąg wpadł do wody i zniknął.

Łódź dryfowała, dzieci wpadły w panikę.

Carla zrozumiała, że boją się stracić Mattiasa.

– Pascale, łap cumę.

Carla wskazała na zwój liny leżący za przednią ławką.

Pascale natychmiast skoczyła na dziób.

– Rzuć ją Grymonde'owi. Grymonde!

Grymonde siedział na dziobie lichtugi, z nogami spuszczoneymi za burtę. Łańcuch, który do niedawna więził łódź, owinął sobie wokół lewego nadgarstka. I nagle odepchnął się. Przez moment nie rozumiała, dlaczego skoczył do wody, aż nagle szczęki zapory zaczęły się rozwierać, a prąd pchnął łódź w stronę szybko rozszerzającego się prześwitu.

– Pascale, Orlandu, do wiosł!

Grymonde był szybszy. Z głośnym rykiem wściekłości i bólu podciągnął się na łańcuchu, wystawił rękę i chwycił rufę ich łodzi. Spoglądając na Carlę oczodołami, z których wylewała się woda, zatrzymał łódź wbrew prądowi Sekwany.

Carla nie mogła zrobić nic, żeby mu pomóc. Gdyby powiedziała mu, żeby puścił, bo jego cierpienie nie jest już potrzebne, byłoby tak, jakby ukradła mu ostatnią cenną rzecz, która mu pozostała.

Orlandu jedną ręką osadził wiosło w dulce; Pascale usiadła obok niego i chwyciła drugie. Nie zamierzali zostawić tu Mattiasa. Wyglądało jednak na to, że zostawią Grymonde'a.

Grymonde i tak chciałby tu zostać. To oczywiste, pomyślała. Tyle że do tej pory nie dopuszczała do siebie tej myśli. A teraz, gdy już to zrobiła, ogarnęła ją dziwna mieszanka

uczuciu, wśród których dominował smutek. Nie. Dominowała miłość. Jego olbrzymia dłoń spoczywała blisko jej rąk; palce grubości drzewca od piki ścisnęły burtę z taką mocą, jakby miały rozerwać ją na drzazgi. Położyła dłoń na jego dłoni i odwróciła się, by na niego spojrzeć. Niesiona nurtem, mocno obciążona łódź rozciągnęła go tak, jakby wisiał na krzyżu. Potrząsnęła głową i wypłuł wodę. Powoli dryfowali w dół rzeki i zarazem ku brzegowi. Puste otwory w jego zdeformowanej, poparzonej twarzy nie były w stanie wyrazić bólu, który go dręczył. Wydawało się jednak, że wszystko widzą.

– Grymonde. – Carla nie wiedziała, co jeszcze mogłaby mu powiedzieć.

– Nie łzy oślepiły tego człowieka, więc i wy nie płaczcie po nim.

– Grymonde! – zawołała Estelle, wstając.

Carla otoczyła ją ramieniem.

– La Rossa, mój skarbie. Bądź wierna swojej siostrze i jej matce.

– Będę.

– Będę nad tobą czuwał.

– Jak anioł?

Grymonde zaczerpnął tchu i coś pękło w jego piersi.

– Czarny anioł? – pytała Estelle. – Taki jak ten, co pilnuje Tannzera?

Mattias wychylił się nad dziobem lichtugi, tuż nad Grymonde'em. Sięgnął halabardą i zahaczył ostrzem o rufę łodzi. Gdy przyciągnął ją bliżej, Grymonde wciąż ją trzymał, ale zanurzył się nieco głębiej.

– Mój Infancie, zagradasz mi drogę.

– Zatem obejdziesz mnie z daleka, przywykłem do tego.

Mattias poluzował uchwyt i przełożył halabardę nad głową Carli. Gdy zahaczył o burtę z drugiej strony, przesunęła się, robiąc dla niego miejsce. Stanąwszy ostrożnie na ławce, odrzucił halabardę, ale wciąż trzymał się jedną ręką kadłuba lichtugi.

W tym momencie nocną ciszę zagłuszył dźwięk, jakiego nikt jeszcze nie słyszał.

Odwrócili się wszyscy w stronę, z której dobiegł.

Uwolniona z coraz szerzej otwartych ramion zapory, płonąca barka obracała się wolno, niesiona prądem. Wydawało się, że sunie po dywanie z ludzkich ciał. Z dziobowej części kadłuba buchał ku niebu ogromny słup pary: szum, który słyszeli, był odgłosem tysięcy kawałków węgla, które oddawały wodzie swój żar.

– Mój Infancie, jesteśmy w komplecie. Zapłaciliśmy, co należało.

– Zatem płyncie i czekajcie, usłyszycie mój śmiech.

Mattias puścił burtę lichtugi i łódź drgnęła. Odpłynął na tyle daleko, na ile pozwolił mu zasięg ramion Grymonde'a. Estelle krzyknęła, ścisnęła mocniej Amparo i jeszcze głębiej wtuliła się w pierś Carli.

Grymonde wciąż nie rozluźniał uchwytu. Trwał, zaciskając zęby z wysiłku i bólu, zapatrzony pustymi oczodołami w gwiazdy.

Mattias zrzucił swój ekwipunek przy ławce dziobowej i skinął na Orlandu i Pascale, by podali mu wiosła. Zająwszy miejsce, umocował je w dulkach. Pochylił się i położył wiosła płasko na wodzie, czekając. Uśmiechnął się do Carli ponad młodymi, zasmuconymi twarzami. Czekał na jej rozkaz.

Carla chwyciła rumpel i skinęła głową.

Mattias zanurzył wiosła i mocno pociągnął.

Czując napór, Grymonde otworzył dłoń, odwrócił ją na moment i musnął palcami rękę Carli. Łódź odpłynęła, a ręka opadła w wodę. Carla spojrzała na Amparo. Dziewczynka nie spała, wciąż zachwycona światem.

Carla odwróciła się w chwili, gdy broda Grymonde'a opadła na pierś.

Wielka, zdeformowana i okaleczona głowa zniknęła pod wodą.

Nad powierzchnią została jedynie ręka, wielka, posiniaczona, nienaturalnie wykręcona i obwiązana w nadgarstku łańcuchem, który zwisał z lichtugi.

Mattias wiosłował rytmicznie. Przyspieszając, minęli piekielną barkę, która dryfowała w stronę brzegu, spowijając dymem niezliczone trupy unoszące się na wodzie. Wieże Luwru odcinały się czernią na tle nocnego nieba i mały w oczach. Carla dostrzegła pochodnie na murze otaczającym miasto. Właśnie opuścili Paryż.

Odwróciła się.

Ale Estelle nie. Wciąż wpatrywała się w ciemność, na dryfujące prawe ramię zapory.

– Poruszył się. Carla, spójrz! Smok nie umarł.

Carla spojrzała przez ramię na daleki łańcuch. Może to tylko filtrowany dymem księżycowy blask igrał na jego ogniach i powierzchni wody, ale zdawało się jej, że dłoń zacisnęła się w pięść.

– Estelle? – odezwał się Mattias.

Dziewczynka otarła policzki i odwróciła się, by na niego spojrzeć.

– Nie byłoby dobrze, gdyby Infant miał zostać aniołem.

– Dlaczego?

– Skrzydła anioła nie uniosą kogoś takiego jak on.

Estelle uśmiechnęła się szeroko.

- Ale smok ma swoje skrzydła.
- Właśnie. I ma jeszcze coś wspólnego z aniołami.
- Co takiego?
- Smok nigdy nie umiera.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Bezimienne uliczki

Hugon czekał w zaułku przy stajni, aż wreszcie mógł dosłyszeć jedynie bardzo dalekie krzyki. Gdy po pięciu minutach nie stały się głośniejsze, a nawet zaczęły słabnąć, ruszył najciemniejszym szlakiem, jaki tylko udało mu się wytyczyć, w stronę pont Notre-Dame.

Spojrzał na łysego psa, który dreptał obok niego.

– Mówiłem ci wczoraj wieczorem, żebyś z nimi nie szedł, ale ty nie posłuchałeś, prawda? Musiałeś iść za stadem. I zobacz tylko, co cię spotkało.

Kundel wydawał się jednak zadowolony ze swych przygód. Podobnie jak Hugon. Dobrze się spisał; zaryzykował i wygrał. Ci z rzeki omal nie pociągnęli go za sobą, na śmierć. Lecz przecież trzeba podejmować ryzyko, gdy się czegoś bardzo chce – zwłaszcza wtedy, gdy inni też bardzo czegoś chcą, a na dodatek uważają, że człowiek nie jest wart wiele więcej niż łysy pies.

Nikt z nich nie wiedział, kim naprawdę jest Hugon, a Hugon był zadowolony. Niech sobie zgadują. Nawet Alice go nie знаła, ale ona nie lgnęła zbyt do spraw tego świata, o czym wiedział od dawna. Grymonde też nic nie wiedział. Tannzer trochę Hugona zaskoczył – nie żartował z tymi czterdziestoletnimi poborami, ale dlaczego? – lecz i to było jedynie potwierdzeniem tego, w co wierzył: że głupotą jest sądzić, że się kogoś zna, póki się nie zobaczy jego uczynków. Jednego był pewny i bez sprawdzania: na pewno nie chciał wejść w drogę komuś takiemu jak Tannzer.

Co się zaś tyczy Carli... Chryste, jej pewnie nie rozgryzłby do końca życia! Gdyby nie to, że nosił jej violę, mógłby sądzić, że tylko mu się przyśniła. Żałował, że musiała odejść z innymi. Znała sekrety, które bardzo chciał poznać. Nie mógł powiedzieć tego o żadnej innej osobie, którą zdarzyło mu się spotkać. Dobrze, że miał przynajmniej violę. Wiedział, że niewiele w tym sensu, ale nie mógł się wyzbyć wrażenia, że ten instrument wart jest o wiele więcej niż te czterdziestoletnie pobory, które nosił na szyi.

Przyszło mu do głowy, że będzie musiał wymyślić imię dla tego psa, który najwyraźniej pragnął przy nim zostać. Sprawa była ciężka, ale Hugon miał nadzieję, że z diabelską pomocą jakoś się z tym upora. Chłopcy Tannzera nazwali go Lucyferem, ale cóż to za imię dla łysego kundla?

Most był pusty. Zastał na nim jedynie małą dziewczynkę.

Dziewczynka zbytnio go nie interesowała; nie znał nawet jej imienia. Wyglądała na zagubioną – nie dlatego, że nie wiedziała, gdzie jest, lecz dlatego, że była całkiem sama.

Życie nauczyło go już dawno, że lepiej się niczym zbytnio nie przejmować, a ostatni dzień utwierdził go w tym przekonaniu; po jutrzejszym spodziewał się tego samego. Ale to mogło być ciekawe. Był świadom, że Carla nigdy się o tym nie dowie – a pewnie właśnie wyzywała go od łajdaków, bo ukradł jej violę – ale czuł, że jest jej to winien.

Podszedł do dziewczynki, a gdy się ku niemu odwróciła, zauważył, że go rozpoznała.

– Jak ci na imię? Ja jestem Hugon.

– A ja Antoinette. Gdzie jest Carla?

– Odplynęła rzeką, nie wiem dokąd. I nie postawiłbym za wiele, że tam dotrze.

– Dlaczego zostawiła mnie w katedrze?

Miał ochotę odpowiedzieć: może cię nie chcieli. Tak, to wyglądało na najbardziej prawdopodobną przyczynę.

– Nie wiem. Może zapomniała?

– Ty widziałeś mnie w katedrze.

– Owszem, ale to nie była moja sprawa, prawda?

Musiała przyznać mu rację, ale wciąż była zadziwiona, a może nawet trochę urażona. Hugon wzruszył ramionami, czując ciężar łańcucha.

– Tannzer powiedział, że katedra to najbezpieczniejsze miejsce w mieście. Mówił też, że będzie ci tam lepiej niż im w podróży. I zgodziłabyś się z nim, gdybyś widziała, w jakim stanie odplywali. Mogłaś na przykład stracić nogę.

To wyjaśnienie nieco podniosło ją na duchu.

– Kto to jest Tannzer? – spytała.

Hugon nie wiedział, od czego zacząć. Pomyślał, że Tannzer to szaleniec, którego należałoby przykuć do wozu z łańcem i dać mu szufłę, ale nie powiedział tego na głos.

– Taki pan.

– Zabierzesz mnie do domu?

– Nie wiem, gdzie mieszkasz.

– A ty nie wracasz na Podwórze?

– A dokąd mógłbym pójść? Mam przecież, przynajmniej na razie, to, czego chciałem.

– Zabierz mnie do domu na Podwórzach, właśnie o to mi chodziło. Mogę pójść z tobą?

– Chyba tak. Ale nie będę się tobą opiekował.

Prawdę mówiąc, nie wiedział nawet, czy tego chciała.

Chwyliła go za rękę, a on pozwolił jej na to.

Weszli na most. W ciemności Hugon od razu poczuł się lepiej.

Antoinette zerknęła na futerał z instrumentem.

– To prezent od Carli?

– Powiedziała, że powinienem nauczyć się grać. Ponoć atakowałem struny z zapalem.

– Nam też ciągle powtarzała o tym atakowaniu i o zapale. Ale na flecie trudno to zrobić.

– Co masz na myśli? – zainteresował się Hugon.

– Dmuchanie nie bardzo przypomina atakowanie.

– Chodzi mi o to, kiedy ci o tym mówiła.

– Gdy grałyśmy muzykę.

– Ty i Carla? Grałyście razem?

– Tak, codziennie. Z Lucienem, Charité i Martinem. I z mamą.

Hugon spojrzał na nią przenikliwie.

– Czy to znaczy, że znasz się na muzyce?

– Potrafię ją czytać.

– I mam w to uwierzyć? Przecież jesteś tylko dzieckiem.

– Mama mnie nauczyła. To łatwiejsze niż czytanie książek.

Hugon jęknął cicho.

– Nigdy nie widziałem, żeby ktoś tańczył albo płakał od czytania książek. Nauczysz mnie? Nauczysz, jak czytać muzykę?

– Mogę spróbować. Jeśli masz jakąś.

– Co masz na myśli?

– A co ty masz na myśli?

Hugon uznał, że do tej sprawy najlepiej będzie wrócić przy innej okazji.

Przez chwilę szli w milczeniu, aż wreszcie w głowie Antoinette zrodziło się nowe pytanie.

– Hugonie, a dlaczego ciebie nie zostawili w katedrze?

– Potrzebowali mnie do noszenia różnych gratów.

– Czemu więc nie popłynąłeś z nimi?

Hugon zmarszczył brwi. Ta myśl właściwie nigdy nie przyszła mu do głowy. Naturalnie był świadom, że istnieje taka możliwość; mało tego, oni nawet tego oczekiwali, uważali, że to oczywista sprawa, że tak się stanie – tylko nie zadali sobie trudu, by spytać go, czy sobie tego życzy. Tym samym pomogli mu dojść do wniosku, że nadszedł już czas na ucieczkę – z violą, rzecz jasna. Nie wątpił, że gdyby złapała go na przykład ta starsza dziewczyna, Pascale, zastrzeliłaby go na miejscu, tylko po to, żeby zobaczyć, jak pada.

– Przecież zrobiłem, co do mnie należało, nie? A nawet więcej. Podobnie jak ty.

– No, nie wiem. – Zamyśliła się na moment. – Ja właściwie nic nie zrobiłam.

– A nie dotrzyzymałaś towarzystwa Carli? Uwierz mi, ona naprawdę tego potrzebowała. Szedłem za wami z Kukanii, po dachach. Wszystko widziałem. Przez cały czas trzymałaś ją za rękę.

– Niby tak. Rzeczywiście, trzymałam ją za rękę.

– I jeśli mnie pamięć nie myli, trzymałaś ją także wtedy, gdy przybyła do Kukanii. Tak jak teraz trzymasz moją. Dobrze ci to wychodzi.

– Naprawdę?

– Umieram z głodu. Znajdźmy coś do jedzenia.

Zatrzymali się przed łańcuchem na końcu mostu. Hugon wyrzwał na ulicę wiodącą wzdłuż rzeki. Wszędzie było ciemno i pusto, tylko z oddali dobiegało echo wystrzałów. Zdaje się, że nazywali to salwą, pomyślał. Przed bramą Châtelet dostrzegł latarnie, ale nikt nie trzymał tam warty. Łajdaki, pomyślał. Cieszył się, że w mieście nie było już nikogo, kto widział, jak Rody go przyłapał. Że też właśnie musiał to być Rody! Jak dobrze, że Infant tak go urządził.

Hugon chwycił mocno Antoinette i razem przebiegli na drugą stronę ulicy. Minęli Savonnerie i zagłębili się w sieć bezimiennych uliczek i zaułków na wschód od Saint-Denis.

Tu poczuł się bezpieczniej. Zaułkami mogli dotrzeć do samych Podwórczy.

– Nieźle się spisaliśmy, ty i ja. Będzie dobrze.

– Też tak myślę. – W głosie Antoinette nie było zbytnej pewności.

– Jeśli tylko nie będziemy sobie wierzyć. – Wyczuwał, że sam sobie przeczy, ale mała chyba tego nie zauważyła. – Wszystko będzie teraz wyglądało inaczej. Koniec z: „Hugonie, przynieś no wina i wody”. Teraz będzie: „Hugonie, byłeś tam, z Infantem i Tannzerem. Co tam się wydarzyło? Czego dokonali? I w jaki sposób?”.

– A co się wydarzyło? – spytała Antoinette.

Hugon nie uważał, by to pytanie zasługiwało na odpowiedź.

Spokoju nie dawało mu inne: to, które zadała mu na moście.

– Właściwie po co miałbym chcieć opuścić Paryż?

Ciemna noc drżała od dalekiego grzmotu i dudnienia: tysiące bydłał kroczyło wprost do paryskich rzeźni. Hugon nie widział już twarzy Antoinette. Uściskał mocniej jej dłoń.

– Jak powiada Infant, to jest najwspanialsze miasto świata.

EPILOG W GŁUSZY

Przez cały następny dzień, poniedziałek 25 sierpnia 1572 roku, paryska masakra rozlewała się po placach i ulicach z coraz większą intensywnością.

We wtorek szaleństwo krucjaty przeciwko hugenotom sięgnęło apogeum.

Choć ci o mniej odpornych żołądkach i słabszych sercach mieli już serdecznie dosyć, przez co skurczyły się nieco szeregi morderców, ci, którzy obudzili się o świcie i znowu chwycili za broń w imię Chrystusa, należeli do najambitniejszych i najbardziej oddanych sprawie. Teraz, gdy nie hamowała ich już obecność słabszych towarzyszy, gotowi byli prześcigać się w bezlitosnych, niemoralnych czynach. Kapitanowie milicji budowali swój prestiż, prowadząc swe bandy ze sztandarami i werblami, a księża błogosławili krew na ich mieczach w imię świętych patronów. Gwałty uznano za znakomitą drogę do świętości. Zabijano kobiety, używając ich dzieci zamiast pałek. Dzieci zaś chrzczono krwią rodziców, których śmierć musiały wcześniej oglądać. Mężczyzn grzebano żywcem w stertach łajna.

Apatia rzekomych sił porządkowych – królewskich, wojskowych i cywilnych – tylko ośmielała członków konfraterni i hord przestępców. Król nie ośmielił się skierować gwardii przeciwko swym najzagorzalszym zwolennikom, bo prócz nich nie miał już prawie nikogo. Wysłannicy, których ustami wyrażał swą dezaprobatę wobec niszczenia stolicy, byli bezlitośnie wyśmiewani i ignorowani. Ci, których kierowano z Bureau de Ville, wręcz obawiali się o swoje życie. Komendant miasta wypełniał powierzone mu obowiązki: strzegł murów miejskich, jakby nie wiedział, że każdy dom w stolicy jest zagrożony atakiem – nie z zewnątrz jednak, ale od wewnątrz.

Także katolicy bywali prześladowani, łatwo bowiem było ukryć akty zemsty w tak wielkiej fali przemocy, lecz urzędnicy Châtelet woleli zajmować się własnymi sprawami. Owe sprawy nabrały zresztą wyjątkowego charakteru, jako że walka o schedę po Marcelu le Tellierze trwała w najlepsze. Wobec braku świadków, na których prostą metodą łamania kołem można by wymusić – mniej lub bardziej wiarygodne – zeznania, odpowiedzialnością za śmierć le Telliera obciążono Infanta Kukanii, niesławnego Grymonde'a, ponoć schwytanego i zabitego w poniedziałkowy poranek przez komisarza, który później objął po Marcelu stanowisko.

Ciało Grymonde'a – dziwnie nabrzmiałe od wody, jak ktoś zauważył, skoro Infant miał jakoby zginąć w zażartej walce na miecze – poćwiartowano i rozwieszono nad głównymi bramami miasta; niestety, w zaistniałych okolicznościach mało kto miał okazję je oglądać. Jego wielką głowę osadzono na pice przed Châtelet. Wielu mieszkańców zastanawiało się, w jaki sposób mężczyzna bez oczu mógł dokonać tak śmiałego wyczynu albo chociaż stoczyć szermierczy pojedynek, lecz i ta zagadka ostatecznie przyczyniła się do umocnienia legendy sławetnego króla Kukanii.

Zwycięzca rzekomego pojedynku kazał później wygotować jego czaszkę i odessać z niej mózg przez otwór po rdzeniu kręgowym. Przez długie lata jego kariery była uroczym elementem wystroju gabinetu i tematem niezliczonych konwersacji towarzyskich. Osobliwym starczym kaprysem zapisał ją w spadku wydziałowi prawa Uniwersytetu Padeuskiego. Wedle powszechnego mniemania, czaszka Infanta spoczywa w skarbcu tej światłej instytucji po dziś dzień.

W środę, gdy stało się jasne, że władza królewska jest zbyt wątła, by zapanować nad anarchią, król zwołał Parlament i ogłosił, że wszystko, co się do tej pory wydarzyło, było skutkiem jego wyraźnego rozkazu, wydanego „celem udaremnienia niecnego spisku”.

Zmiana strategii królewskiej przyniosła zadziwiające skutki. Lud odkrył mianowicie – niestety, tylko chwilowo – że w sumie jednak kocha swego władcę. O jego odwadze i mądrości pisano poematy; sławiono też anioła, który go prowadził. Niezliczone procesje z Najświętszym Sakramentem i relikwiami świętej Genowefy, patronki Paryża, były wyrazem wdzięczności Bogu Wszechmogącemu za zwycięstwo nad hugenotami. Król kazał wybić złoty medal, na którym uwieczniono go jako Heraklesa zabijającego hydrę herezji. Członkowie elit, Les Messieurs, nieźle się obłowili. W Rzymie, Madrycie i wielu innych miejscach wieści o pogromie przyjęto z zachwytem. Giorgio Vasari otrzymał zlecenie na wykonanie w Watykanie fresków upamiętniających to wydarzenie.

Dominowało przekonanie, że rzeź hugenotów była pięknym sukcesem.

W pewnym sensie więc rada, która dotarła do królewskich uszu, okazała się słuszną.

Choć masakra nie zniszczyła ruchu hugenockiego ze szczętem, była dla niego poważnym, niemal śmiertelnym ciosem, po którym już nigdy nie odzyskał dawnej siły. Jego przywódcy zostali uśmierceni; utracono też środki, które mogłyby posłużyć do finansowania dalszej walki. Tysiące hugenotów wyrzekły się swej wiary; zniechęciła ich obojętność Boga, który dopuścił do tego, by tak bestialsko pomordowano jego wierne dzieci. Masowo przyjmowali więc chrzest w wierze katolickiej i żyli w spokoju. Jeszcze więcej było jednak

takich, którzy szukali wolności w krajach, gdzie stopy rezerwowano dla heretyków innej maści.

Zniszczenie potęgi protestanckiej we Francji nie zapobiegło wszakże kontynuacji wojny domowej: potrwała ona jeszcze ponad dwadzieścia lat, gdyż w wymyślaniu nowych pretekstów do mordowania swych przeciwników tak zwane elity wykazują niewyczerpaną wręcz inwencję. Wyniszczający konflikt doprowadził do wygaśnięcia linii Valois, a pierwszego króla z rodu Burbonów nie stać było nawet na nocnik. Władca ów, nawiasem mówiąc, głodził Paryż oblężeniem, by go sobie podporządkować. Bez skutku wprawdzie, gdyż jest to miasto ludzi upartych, za to ze skutkiem śmiertelnym dla ponad trzydziestu tysięcy mieszkańców. A gdy wreszcie w królestwie zapanował pokój, poprowadził swój lud na nową wojnę z Hiszpanią.

Zakończył swe panowanie tak samo jak jego poprzednik: pod nożem zabójcy.

Mordercze porachunki w Paryżu, rozpoczęte w dniu świętego Bartłomieja, trwały jeszcze przez miesiąc, a ustały nie dlatego bynajmniej, że zgasł entuzjazm mordujących, tylko dlatego, że zabrakło nowych kandydatów na ofiary. Naturalnie, niczym fale powstałe wokół kamyka rzuconego do sadzawki, kolejne masakry zakłóciły życie innych francuskich miast. Często się zdarza, że wielcy gracze rzucają takie kamyki; z reguły czekają tylko, by woda uspokoiła się po poprzedniej fali. Tannhäuser nie mógł jednak uciec przed świadomością, że przyłożył rękę do tego, by całkiem spory kamień trafił w paryską sadzawkę.

Wraz z Carlą i dziećmi napotkał w drodze do domu niejedną falę wzbudzoną niefortunnymi wypadkami w stolicy. Przetrwali je wszystkie, cali i zdrowi, przynajmniej na ciele. Choć Mattias nigdy nie był zdolny do odczuwania wyrzutów sumienia z racji tego, że odebrał komuś życie – nawet nieszczęsnemu minstrelowi czy spętanemu hugenotowi na placu przykatedralnym – to wiedział, że w jego sercu na zawsze pozostanie zadra, pamiątka rozmowy z Retzem.

Nie wyobrażał sobie, że jego rada przechyli szalę – pochlebiałby sobie, gdyby sądził, że to możliwe. Taką samą sugestię król mógł usłyszeć od każdego, kto rozumiał naturę władzy i wiedział co nieco o wojnie – i właśnie o to Tannhäuser miał do siebie pretensje: zaszkodziła mu własna próżność. W zamian za przywilej przejechania ćwierć mili na pachnących lawendą poduszkach oraz z wdzięczności za to, że mógł się poczuć ważny, wypłuł z siebie porcję umysłowych pomyj, brutalne bzdury, które równie dobrze można było usłyszeć w pierwszej lepszej karczmie albo wyczytać w broszurach pisanych przez kreatury w rodzaju Małego Christiana. Co prawda jedna porcja owych pomyj mogła zatruć co najwyżej kilka umysłów, ale gdy takich porcji pojawiło się więcej, gdy wystąpił z brzegów cały ich

strumień, zmieniając się w końcu w morze – wtedy i cały świat mógł utonąć w gównie. Tannhäuser zaś brodził w owym gównie głębiej niż inni.

Nic więc dziwnego, że tak wielką czuł pokusę, by wykąpać się we krwi.

Prawda tliła się nieustannie w głębi jego jestestwa.

Tannhäuser wiedział, że powinien odłożyć miecz.

Za wszelką cenę – nawet za cenę życia Carli i dzieci.

Wierzył, że ma dość silną wolę, by to zrobić, że stać go na to.

Tylko że nie chciał.

Jak powiedział mu kiedyś Petrus Grubenius, prawda jest nieznośnie ciężkim brzemieniem. To dlatego ludzie wymyślili prawdy mniejsze i łżejsze i uczynili z nich swoje bóstwa.

Jako że Tannhäuser miał dość silną wolę, ale nie chciał jej użyć, nie powiedział o swych rozterkach Carli, a to jeszcze bardziej umniejszyło go we własnych oczach. Nie powiedział jej, ponieważ lękał się, że Carla przyzna mu rację. Gdyby to zrobiła, prawda i jego wola nie znalazłyby już żadnej kryjówki.

Nie było tak, że Carla nie aprobowała jego zbrodni. Owszem, były wielkie, ale nigdy nie przekroczyły granic jej miłości i współczucia. Nie obawiał się, że kiedykolwiek popełni takie, które mogłyby je przekroczyć. Wszystko to była jednak tylko sofistyka, zbyt mało elegancka, by dał się na nią nabrać. Gdyby powiedział Carli, że musi odłożyć miecz, zapewne nie kochałaby go mniej, choć może także nie kochałaby go bardziej. Jej miłość zadziwiła go nieustannie, do tego stopnia, że wierzył, iż jest to uczucie absolutne.

Pobyty w Paryżu coś w Carli zmienił. Stała się jeszcze bardziej tajemnicza i jeszcze silniejsza. Kobieta imieniem Alice, matka Infanta, zmieniła ją nieodwracalnie – podobnie jak dzieci, z którymi pożeglowali z nurtem Sekwany. Zmieniła ją także Amparo. Zmiany te kazały zaś Tannhäuserowi zastanowić się nad prawdziwą naturą jego miłości do Carli. Stała się ona bowiem uczuciem tak głębokim, że jej otchłań otworzyła się u jego stóp i przerażała go sama myśl o tym, że mógłby się w nią stoczyć. On też się zmienił – a może jedynie czuł, że powinien.

Chwilami ogarniała go tak wielka melancholia, że nie ośmielał się wierzyć własnym myślom.

Opodal Castets, niespełna dzień jazdy od La Penautier, spotkali bandę dezertersów szukających łatwego łupu. Tannhäuser wyrznął ich do nogi i melancholia zniknęła. Tego dnia odłożył też na bok prawdę o tym, co powinien uczynić – postanowił, że wróci do niej w innym czasie i innym miejscu, zapewne nienależącym do tego świata.

Co się zaś tyczy spraw tego świata, to w jednym postanowił wytrwać: już nigdy nie udzielać rad.

Owej nocy, gdy uciekli z Paryża, Tannhäuser wiosłował aż do świtu. Orlandu i Pascale zmieniali się za sterem łodzi. Carla spała, wyczerpana do cna, tuląc do piersi Amparo. Estelle i Grégoire, a także Myszy, garnęli się do niej i ogrzewali się wzajemnie swymi ciałami.

Tannhäuser obserwował wschód słońca. Nikt inny nie wyprawił się tego ranka na rzekę, oba jej brzegi wydawały się nawet niezamieszkane. Śpiew ptaków. Dziko rosnące kwiecie. Drzewa. Słońce nisko nad horyzontem. Osobliwy spokój wydał mu się tak słodki, jakby niezauważenie przenieśli się do jakiejś legendarnej krainy. Spojrzał na śpiące dzieci, bose i odziane w zakrwawione łachmany.

Poza granicami piekła, którego płomienie zespoliły jego los z losem tych dzieci, ich twarze – choć przez chwilę – wydawały się niewinne i beztroskie. Miał wrażenie, że widzi każde z nich po raz pierwszy. Były takie drobne, takie młode, takie kruche. I gdy tak obserwował ich spokojny sen, jego pierś napełniła się bólem – tak niewyobrażalne było ich piękno.

Wreszcie wyczerpały się i jego siły. Skinął na Orlandu i po chwili łódź dobiła do brzegu. Uwiązał ją, ale nie zbudził nikogo – pospołu z pasierbem wyładował sakwy i worki, a potem, wciąż bez jednego słowa, nazbierali drewna i rozpalili ogień. Nie pierwszy raz siadali wspólnie przy ognisku. To jednak było szczególne. Uśmiechali się obaj. Tannhäuser sięgnął do worków i szybko stwierdził, że mają dość prowiantu na całkiem przyzwoite śniadanie.

A może nawet wystawne.

Spojrzał na Orlandu, który z uznaniem pokiwał głową.

Obudził Carlę i pomógł jej zejść na brzeg. Uśmiechnęła się blado, gdy ją pocałował. Gdy zaprowadził ją do obozu, wyraz jej twarzy wystarczył, by wyleczyć go ze zmęczenia. Usiadła po turecku, wyjęła pierś i zaczęła karmić Amparo, uśmiechniętą i pełną życia. Nadal milczeli, wszyscy troje bowiem czuli się tak, jakby wkroczyli do krainy snów i bali się złamać zaklęcie.

Zaklęcie nie przetrwało jednak zbyt długo, podobnie jak cisza, co wcale nie zepsuło im tego niezwykłego poranka. Estelle jeszcze nigdy nie widziała lasu. Ani ogniska pod drzewem. Ani takiej murawy. Ani tyle sera, chleba i kiełbasy. Podobnie jak Myszy. I Pascale. Rzuciły się więc na jedzenie jak dzieci, to jest: jak wygłodniałe lwy. Gawędziły beztrosko, a Myszy znowu się śmiały. Pascale zasypywała docinkami Orlandu i cieszyła się, gdy rewanzował się tym samym.

Był to widok wart zapamiętania. A przecież brakowało wśród nich najwierniejszego z towarzyszy. Gdyby nie on, nie byłoby tej uczty. Gdyby nie on, nie byłoby już żadnej uczty.

– Zostawcie coś dla Grégoire’a, nawet gdyby miało zabraknąć stawy dla mnie.

Dzieci oczywiście wyśmiały to poświęcenie, ale obiecały, że nie zapomną o rannym.

Tannhäuser wrócił do łodzi.

Nie zaniepokoiło go to, że chłopiec praktycznie się nie ruszał – dostał opium i miał prawo spać głębszym snem niż inni. Mattias zastanawiał się przez chwilę, czy nie zostawić go jeszcze w spokoju. Wiedział z doświadczenia, jak cierpią czasem ci, którzy stracili nogę. Ich stan pogarsza się przez długi czas, zanim coś się zmienia na lepsze. Uczta wśród bliskich mogła wszakże podnieść chłopaka na duchu, przywrócić siły – potrzebował towarzystwa równie mocno jak pokarmu.

A Grégoire lubił jeść.

Tannhäuser wszedł do łodzi i teraz dopiero zauważył, że chłopak wykonał jednak jakiś ruch, odkąd odbili od paryskiego brzegu: ścisnął coś w rękę, jakąś wymiętą szmatkę. Schylił się i zauważył między palcami Grégoire’a niegdyś białą wstążkę. To była paczuszka, którą powierzył mu jeszcze na targu w Sali Wielkiej. Zawierała jedwabną szatkę chrzcielną, zdobioną srebrną nicią. Co za chłopak! Wzruszony Tannhäuser delikatnie wsunął ramiona pod jego plecy i uda. Ciało było bezwładne, ale nie chłodne. Uniósł je i przytulił do piersi.

Dopiero gdy wyszedł na brzeg, uświadomił sobie, że Grégoire nie żyje.

Nie oddychał. Jego usta, a także szeroki pas odkrytych dziąseł, były sinawe.

Co więcej, czuł w sercu, że duch chłopca już uleciał.

W ślad za nim uleciała jakaś cząstka duszy Tannhäusera.

Wiedział, że ani owa cząstka, ani jego duch już nigdy nie powrócą.

Dlaczego umarł? W łodzi nie było jego krwi. Czyżby do rany wdało się zakażenie? Gdyby dawka opium była śmiertelna, zgon nastąpiłby znacznie wcześniej; Grégoire już by się po niej nie obudził, a przecież sięgnął do worka, by wyjąć tę szatkę. Czy to możliwe, by zabił go tak nieznaczny wysiłek?

Ta śmierć nie miała sensu. Nie tutaj, nie teraz, gdy wszystko dobiegło końca.

Tannhäuser chciał nim potrząsnąć.

Przypomniawszy sobie chłopca z truskawkowym znamieniem.

Przypomniawszy sobie Juste’a.

Ostatni uczynek w życiu Grégoire’a był aktem lojalności.

Aktem miłości.

Tannhäuser zaniósł go do lasu.

Ominął szerokim łukiem obóz i wesołą gromadkę. Nikt poza nim właściwie nie znał Grégoire'a, zbyt zajętego tym, by bezpiecznie przeprowadzić ich skąpanymi we krwi ulicami miasta. Nie potrzebowali teraz widoku jeszcze jednego martwego dziecka. Mógł powiedzieć Estelle, że smok zabrał Grégoire'a i odleciał. Myszy też by w to uwierzyły. A pozostali zrozumieliby... Zatrzymał się, gdy przestał słyszeć radosne głosy dobiegające od strony ogniska. Dotarł do niewielkiej polany zieleniącej się w łagodnym świetle poranka. Położył Grégoire'a na trawie i przyklęknął obok niego.

– Ty jeden nie musiałeś umrzeć. Ty jeden nie miałeś ważnego powodu, by mi towarzyszyć. Ciebie jednego wybrałem, choć nie musiałem wybierać. – Tannhäuser umilkł. Głos mu się łamał, ale nie dbał o to. – Kochałeś konie. I śmiem twierdzić, że one kochały ciebie, i nie winię ich za to. Odnalazłeś moją córkę w najczarniejszej nocy. Oddałeś Carlę w moje ramiona. Byłeś przy mnie, zostałeś ze mną, prowadziłeś mnie przez krew i śmierć, i grzmoty i nigdy się nie uląkłeś. Gdybyśmy się nigdy nie spotkali, wciąż kochałbyś konie. Lecz choć serce mi pęka, nie będę kłamał: nie chciałbym, żeby tak się stało. Nie mam niczego, czym mógłbym wykopać dla ciebie mogiłę, więc zostawię cię tu, w głuszy, na pastwę dzikich zwierząt i ptaków. Sam oczekuję takiego końca. Nazywamy to grobem wojownika. A nikt nigdy nie zasłużył bardziej na to miano.

Tannhäuser spojrzał po raz ostatni na twarz Grégoire'a.

Chłopak był po śmierci równie nieurodzivy jak za życia.

– Mówcie, że jest najpiękniejszy – szepnął.

Tannhäuser pochylił głowę i pozwolił, by pochłonał go żal.

Nie wiedział, jak długo to trwało.

Uniósł głowę dopiero wtedy, gdy usłyszał śmiech dziewcząt.

Carla przyklęknęła obok niego i uścisnęła jego dłoń.

Amparo spała na jej ramieniu.

– Carla... Nigdy nie wyglądałaś piękniej.

– Mam nadzieję, że to czułe kłamstewko.

– Nie.

– Stęskniliśmy się za tobą. Ja i twoje dzieci.

– Nie słyhać tego w ich głosach.

– Zdaje się, że śmieją się z ciebie.

Tannhäuser uśmiechnął się szeroko.

– Pozwól mi potrzymać moją córkę. Amparo.

Wziął dziecko w ramiona. Dobrze jej tu było. Czuł, że należy do tego miejsca, do jego rąk. Amparo czuła to samo. Tak mała. Tak niezwykła. Tak bardzo tutaj.

Była jego.

– Co Grégoire trzyma w ręku? – spytała Carla.

Tannhäuser zapomniał o zawiniątku.

Wyjął je z chłodnej dłoni.

– Kupiliśmy to razem dla ciebie i dla słowiczka. Grégoire dzielnie przechował.

Rozwiązała wstążkę, rozwinęła płótno i wyjęła ze środka szatkę.

Były na niej ciemne plamy.

– Trochę za duża – powiedział Tannhäuser. – Poczekamy, Amparo urośnie.

– Śliczna. Bardzo mi się podoba.

Pocałowała go, a on spojrzał jej w oczy.

– Przepraszam, że nie było mnie przy tobie – powiedział. – Bo powinienem.

Jej oczy zaszyły mgłą i wiedział, że była tego samego zdania.

Uśmiechnęła się i – choć była tego samego zdania – uwierzył, gdy powiedziała:

– Zawsze byłeś przy mnie.

Wstał, podał jej rękę i przyciągnął ją ku sobie. Otoczył ramieniem jej talię i razem wrócili do obozu przez zielony poranek.

Rzeką płynęło pewnie tysiąc ciał ludzi bardziej godnych tego przywileju, a na polance spoczywało ciało tego, za którego gotów byłby umrzeć, ale Tannhäuser żył i mógł patrzeć w zachwycie, jak jego córka ssie mleko z matczynej piersi. A potem usiadł przy ognisku z Amparo w ramionach: patrzyła, jak się posila i jak błaznuje ze wszystkich sił, ku uciesze dzieci.

Myszy.

Estelle.

Pascale.

Orlandu.

I Carli, kobiety jego życia.

Spojrzał w dół, gdy Amparo zakwiliła cicho.

I roześmiał się.

Przebył długą drogę, by spędzić ledwie dzień w najwspanialszym mieście świata. Teraz czekała go długa droga do domu. Mimo to dziękował Śmierci i Diabłu oraz Fortunie – ślepej czy nie – za skarby, które odkrył, i cuda, których był świadkiem, za taniec, w którym uczestniczył, i za pieśni, które zaśpiewał w swej duszy, za wygrane i przegrane, za błogość na

twarży ukochanej kobiety i wreszcie za miłość, którą wyryło głęboko w kamieniu jego serca
dwanaścioro dzieci Paryża.